

Realiści z wyobraźnią
Kultura

1976-2000
wybór tekstów

Realści z wyobraźnią

Kultura

1976-2000

wybór tekstów

Realności z wyobraźnią
Kultura
1976-2000
wybór tekstów

* *

Wybrali i wstępem opatrzyli
Basil Kerski
Andrzej S. Kowalczyk

Lublin 2007
Wydawnictwo
Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu

Redakcja: Teresa Dunin, Elżbieta Muszyńska, Andrzej Peciak
Projekt okładki i stron tytułowych: Jerzy Durakiewicz
Skład: „Bez Erraty” Joanna Dyszczyk
© Instytut Literacki, Paryż
ISBN 978-83-227-2620-4
Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5, 20-031 Lublin
tel. (0-81) 537-53-04
www.wydawnictwo.umcs.eu
Dział Handlowy: tel./faks (0-81) 537-53-02
e-mail: wydawnictwo@umcs.eu
Druk i oprawa: petit sc, Lublin

Świat przed i po upadku bloku sowieckiego

Dwugłos o eurokomunizmie

Gustaw Herling-Grudziński: Dobrym punktem wyjścia naszego dwugłosu będzie, jak sądzę, fragment artykułu Kołakowskiego w jednym z lutowych numerów tygodnika rzymskiego „Espresso”.

Opozycja antytotitarna w krajach bloku sowieckiego odnosi się do tak zwanego eurokomunizmu z dość mieszanymi uczuciami. Oczywiście opozycja ta wita z zadowoleniem każdy akt poparcia moralnego ze strony komunistów zachodnich, każdą ich ostrożną i łagodną krytykę pod adresem rządów komunistycznych we Wschodniej Europie. Na owe uwagi krytyczne powołują się często różne dokumenty opozycji. Należy jednak podkreślić, że sympatia do eurokomunizmu w krajach komunistycznych jest głównie sympatią do ruchów osłabiających ekspansjonizm sowiecki, a nie globalnym poparciem dla poprawionej wersji komunizmu. Jak dotąd jedynym znanym komunizmem sprawującym władzę jest komunizm typu sowieckiego, w swojej odmianie leninowsko-stalinowskiej: totalitarny, imperialistyczny i wysoce opresyjny we wszystkich dziedzinach ludzkiego działania. Dopóki w partiach eurokomunistycznych nie dojdzie do całkowitego i nieodwracalnego zerwania z systemem sowieckim, sympatia opozycji antytotitarnej w Europie Wschodniej będzie pełna rezerwy.

Opinia Kołakowskiego pokrywa się dokładnie z tym, co na temat eurokomunizmu pisałem parokrotnie w „Kulturze”. W numerze styczniowym, wyraziwszy mój sceptycyzm wobec eurokomunizmu, lecz zaznaczywszy równocześnie, że „sympatie do eurokomunizmu wśród dysydentów na Wschodzie są bardziej skomplikowane i w sumie zrozumiałe”, wysunąłem jako jedyny bezsporny sprawdzian jego dobrej wiary całkowite zerwanie z systemem sowieckim; czyli w praktyce przejście na pozycje socjaldemokratyczne.

Mamy teraz okazję spojrzenia na eurokomunizm z dwóch różnych – zobaczymy, w jakim stopniu różnych – punktów widzenia: polskiego emigranta politycznego zamieszkałego we Włoszech i ściśle związanego z „Kulturą” oraz głęboko zaangażowanego działacza opozycji polskiej w kraju.

Pytania, jakie eurokomunizm nasuwa obserwatorom, którzy odmawiają mu zbyt pośpiesznego i łatwowiernego kredytu zaufania, są nam znane. Taktyka w drodze do władzy, czy rzeczywiste i definitywne rozstanie z leninowsko-stalinowskim modelem komunizmu? Respektowanie zasad demokracji i pluralizmu, dopóki się jest w opozycji, jako narzędzi swoistej rewolucji za pomocą kartki

wyborczej (skoro inna jest na Zachodzie mało prawdopodobna), czy przyjęcie ich na stałe i wyrzeczenie się dyktatury jednej partii? Wielka operacja za cichą zgodą Moskwy, czy świadome i planowe oddalanie się (choćby na hamulcach) od Moskwy? Zdaję sobie sprawę, że wadą tych pytań jest ciągle ocieranie się o „spiskową teorię historii”, co próbom odpowiedzi na nie musi nadawać charakter deklaracyjny: wierzę eurokomunistom, nie wierzę żadnym komunistom. Ostatecznie istnieje także zjawisko mniej wystawione na niebezpieczeństwo deklaracyjności, zjawisko zwane „dylematem zachodniego socjalizmu”...

Adam Michnik: Przywołam – dla rozwinięcia tego aspektu problemu – wywód Leszka Kołakowskiego:

Jeśli ruch socjalistyczny – pisze Kołakowski w londyńskiej „Trybunie” – ogłasza się nosicielem interesów partykularnych klasy robotniczej przeciwko żądaniom i aspiracjom wszystkich pozostałych części społeczeństwa (choćby obiecywał, że w nieokreślenie dalekiej przyszłości wszystkie interesy „ostatecznie” się zbiegną), jest on nieuchronnie ruchem mniejszości. Jeśli więc, w sprzyjających okolicznościach, może przemocą opanować instrumenty władzy, skazany jest na utrzymywanie tej władzy środkami despotycznymi i przeobrazi się nieuchronnie w dyktaturę aparatu politycznego skierowaną przeciwko wszystkim warstwom społecznym, włączając klasę robotniczą. Innymi słowy: dyktatura proletariatu nad większością społeczeństwa jest po prostu niemożliwa, możliwa jest tylko dyktatura partii; nie jest możliwe przechowanie praw demokratycznych dla klasy robotniczej przy odebraniu ich wszystkim innym. Lecz również dyktatura partii może być tylko krótkotrwała, albowiem niepodobieństwem jest utrzymanie demokracji wewnątrzpartyjnej w warunkach, w których uprawnienia demokratyczne zostały odebrane reszcie społeczeństwa.

Stąd wniosek – kontynuuje Kołakowski – jeśli demokratyczny socjalizm jest w ogóle możliwy, może on być tylko ruchem, który zdobył poparcie znacznej większości klas średnich, to znaczy chłopstwa (tam, gdzie ono w ogóle istnieje), inteligencji najemnej (nauczycielstwa, intelektualistów, warstw urzędniczych i menedżerskich), pracowników usług, wolnych zawodów, a także drobnego przemysłu i handlu. Program socjalistyczny, który nie jest do przyjęcia dla znacznej większości tych warstw, nie może być programem demokratycznego socjalizmu, jakkolwiekby się nazywał.

Katastrofa chilijska dostarczyła jaskrawej i dramatycznej ilustracji przytoczonego rozumowania: kraj w stanie gwałtownego wrzenia i kryzysu gospodarczego, podzielony niemal równo między trzy obozy polityczne, z lewicą, która nie mogła zdobyć poparcia ani niższych klas średnich, ani nawet całej klasy robotniczej, a której to lewicy część parła ku despotyzmowi rewolucyjnemu. Powstała sytuacja, z której dobrego wyjścia nie było (oprócz, być może, cudu w postaci natychmiastowej i gigantycznej pomocy gospodarczej z zewnątrz, do czego, rzecz jasna, nie kwapiły się żadne mocarstwa, choć każde z innych powodów). Dyktatura lewicy nie była technicznie możliwa, gdyby była możliwa (czego nie można wykluczyć w innym kraju i w nieco innych okolicznościach), mogła być przez mgnienie oka tworzyć złudzenie dyktatury proletariatu, aby rychło przeobrazić się w despotyczne rządy biurokracji jednej zwycięskiej partii i policji. Drugą możliwością była dyktatura militarna prawicy i ta właśnie stała się ciałem.

Zgadzam się w zasadzie z Kołakowskim i dlatego właśnie sędzę, że eurokomunizm – odpowiadając na konkretną sytuację społeczną i polityczną – musi

dążyć do szukania formuł reformistycznych i demokratycznych. Dotyczy to zwłaszcza partii masowych, które mają realne szanse na wejście do rządu.

G. H.-G.: Tutaj wchodzimy na grunt obiektywnych przyczyn, które komunistów zachodnioeuropejskich powinny skłonić do wieczystego, a nie tylko taktycznego i czasowego pogrzebania wzoru sowieckiego. Spróbuję to prześledzić pokrótce na przykładzie Włoch – i dlatego że znam najlepiej stosunki w tym kraju, i dlatego że komunistów włoskich uważa się, nie bez racji, za właściwych prekursorów i promotorów eurokomunizmu. Analiza Kołakowskiego w *Dylemacie zachodniego socjalizmu* pokazuje zwięźle i precyzyjnie społeczną konieczność ewolucji w stronę socjaldemokracji. Ponieważ nie sprawdziły się przewidywania, że w miarę postępów industrializacji będzie wzrastał względny udział ludności robotniczej, przy równoczesnym spadku względnej liczebności klas średnich, trzymanie się głoszonej przez Gramsciego „hegemonii klasy robotniczej” musiałoby zamknąć komunistów włoskich w obrębie mniejszości, bez możliwości odwoływania się do pozostałych części społeczeństwa. Innymi słowy, albo interesy partykularne klasy robotniczej i linia na modłę sowiecką wiodąca do dyktatury jednej partii, albo zdobycie zaufania znacznej większości klas średnich i linia na modłę zachodnią, wiodąca do socjalizmu demokratycznego w ramach systemu wielopartyjnego. We Włoszech, wśród krytyków traktujących podejrzliwie eurokomunizm, określa się to formułą: trzeba domagać się od komunistów włoskich, by przeszli przez swój *Bad Godesberg*.

Tyle o konieczności społecznej. Co do konieczności politycznej, to wystarczy po prostu stwierdzić, że z chwilą gdy skończyły się powojenne rachuby na rewolucję i zbrojny pochód sowiecki na Zachód, przed komunistami włoskimi stanęło i nadal stoi od blisko trzydziestu lat pytanie: jak długo wielka i stale rosnąca partia może wytrzymać w opozycji? Obecny premier włoski Andreotti jest autorem powiedzonka: „Słyszę często, że władza zużywa; najzupełniej słusznie, zużywa tych, co jej nie posiadają”. Jeden z przywódców chadecji włoskiej ujął trafnie w kilkunastu słowach polityczny problem komunistów włoskich.

Berlinguer w książeczce, jaką o nim napisał dziennikarz Gorresio, powołuje się z aprobatą na szkic Crocego *Dlaczego nie możemy nie nazywać się chrześcijanami?* Konieczność zagwarantowania pokoju religijnego w kraju katolickim, posunięta aż tak daleko (w ustach komunisty), byłaby więc trzecią obiektywną przyczyną stopniowego, lecz konsekwentnego rozbratu PCI z „ojczyzną proletariatu światowego”.

I wreszcie układ stosunków międzynarodowych. Dość posłuchać samego Berlinguera: „Nie chcę, by Włochy występowały z NATO, gdyż naruszyłoby to równowagę międzynarodową. Czuję się bezpieczniejszy tu, gdzie jestem. System zachodni nakłada nam mniej ograniczeń niż Moskwa”.

Zgromadziłem celowo najważniejsze chyba argumenty, które przemawiałyby za trwałością ewolucji włoskiego komunizmu, głównego trzonu eurokomuniz-

mu. Powiem później, czemu wydaje mi się, że mimo ich ciężaru gatunkowego nie stanowią dostatecznej rękojmi nieodwracalności, a co za tym idzie autentyczności procesu ewolucyjnego.

A. M.: W epoce stalinowskiej analiza ruchu komunistycznego nie nastroczała szczególnych trudności. Partie były kierowane w praktyce przez Centralę i w zasadzie można było je traktować jako agendy partii radzieckiej. Dlaczego komuniści pozwalali sobą kierować w ten sposób, to osobny temat. Uwzględnić tu wypada kontekst międzynarodowy (fasyzm), kontekst ideowy (mit pierwszej zwycięskiej rewolucji antykapitalistycznej), zjawisko określane przez Miłosza jako „zniewolenie umysłu” *etc.* Po XX zjeździe KPZR rozpoczął się – tezę Togliattiego o policentryzmie – proces destalinizacji i desatelizacji w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Zjawisko „eurokomunizmu” jest fazą tego procesu.

Odrzucam „spiskową” teorię historii, która głosi, iż jest to wynik tajemnych planów Kremla. Jest ona równie absurdalna jak teza, że ruch opozycyjny w Europie Wschodniej jest dziełem schizofreników bądź imperialistycznych służb wywiadowczych.

„Eurokomunizm” bywa nader często analizowany wyłącznie przez pryzmat stosunków z ZSRR. To jest mylące. Nie związki z Moskwą przecież podyktowały 12 milionom Włochów decyzję głosowania na PCI. PCI zawdzięcza swą popularność i siłę długim latom walki z faszyzmem. Jest partią uformowaną nie tylko przez związki z Kominternem, ale i przez konkretną włoską sytuację, jest autentycznie związana z klasą robotniczą, której praw i interesów twardo broni; reprezentuje realistyczny program strukturalnych reform i przeobrażeń. To samo powiedzieć można o Komunistycznej Partii Hiszpanii.

Proces ewolucji włoskich komunistów łatwiej zrozumieć w kontekście innych ewolucji, w które obfitują dzieje ruchu komunistycznego. Przypomnieć tu wypada Koestlera, Silonego czy Annie Kriegel, którzy całkowicie zerwali z komunizmem, ale przypomnieć też trzeba Bieńkowskiego, Dedijera, Havemanna, Hegedusa, Smrkovskiego, Dubczeka czy Młynářa, którzy próbowali (i próbują nadal) komunizm od wewnątrz przekształcać. Ewolucja włoskich i hiszpańskich komunistów przypomina drogę ideową tych drugich. Jest to próba destalinizacji partii komunistycznych bez zrywania z ciągłością tradycji. Nieco inaczej traktuję ewolucję przywódców KP Francji. Jest to również ewolucja autentyczna, ale ewolucja innego rodzaju, mimo pozornych analogii. Georges Marchais reprezentuje w ramach eurokomunizmu tendencję bliską – powiedzmy – linii przywódcy rumuńskich komunistów Ceaușescu. Dystansowaniu się od polityki ZSRR nie towarzyszy demokratyczna autorewizja własnej polityki.

Trudno przewidzieć dalszą ewolucję Berlinguera czy Carilla, ale równie trudno było przewidywać ewolucję Dubczeka. Dlatego też, choć nie utożsamiam się z eurokomunizmem, spoglądam na eurokomunistów z nadzieją. Mając

wiele zastrzeżeń, wierzę jednak w to, co powiedział mi w osobistej rozmowie Giancarlo Pajetta: komuniści włoscy nigdy już nie zaakceptują prześladowania opozycjonistów w Europie Wschodniej.

G. H.-G.: 10 lutego ukazał się w „Espresso” „apel dwóch marksistów do wszystkich marksistów”. Jego wybitni autorzy, profesor Lucio Colletti i profesor Massimo Salvadori, postawili kierownictwu włoskiej partii komunistycznej swego rodzaju ultimatum: albo z takimi czy innymi zastrzeżeniami pozostajecie wierni przeszłości leninowsko-stalinowskiej, albo, jak to już zrobił Carillo, decydujecie się *urbi et orbi* powiedzieć, że „w Związku Sowieckim panuje dyktatura cienkiej warstwy społecznej nad całym społeczeństwem”, że system sowiecki nie ma nic wspólnego z socjalizmem i dla socjalistów nie może być w żadnej mierze modelem do naśladowania. Drobnym urywkiem tego apelu zasługuje na dosłowne przytoczenie:

Chociaż wasza partia oparła swoją strategię na demokracji politycznej, jej niewyjaśnione związki z tradycją pozwalają wciąż chadecji blokować dostęp lewicy do rządu poprzez wskazywanie dwuznaczności PCI, partii skrywającej w sobie, jako resztkę własnego pochodzenia, odłożony chwilowo na bok projekt totalitarny.

Tegoż dnia wieczorem odbyła się w telewizji konferencja prasowa Berlinguera. Z werdyktem hiszpańskiego sekretarza o ZSRR załatwił się krótko: „Sąd pobienny, którego nie podzielam”. Arrigo Levi, redaktor turyńskiego dziennika „Stampa”, zagadnął go o „apel dwóch marksistów”. Można w trzech punktach streścić odpowiedź Berlinguera. ZSRR i kraje demokracji ludowej są państwami, w których (co prawda wśród wstrząsów i sprzeczności) istnieje socjalizm, z całym postępem, jaki to słowo oznacza; przyjaźń z tymi krajami socjalistycznymi („prócz tylu dobrych stron, zdarzają się w nich także zjawiska nadające się do krytyki”) nie zostanie z pewnością narażona na szwank, aby sprawić przyjemność ludziom, którzy w takim rozwodzie widzieliby prawdziwą odnowę PCI; zbliżająca się narada komunistów włoskich, francuskich i hiszpańskich w Madrycie nie będzie miała bynajmniej charakteru preludium, jak wyobrażają sobie niektórzy, do wypracowania autonomicznego stanowiska eurokomunizmu wobec ZSRR. Levi spróbował jeszcze skierować rozmowę na dysydentów sowieckich i wschodnioeuropejskich. Berlinguer wzruszył ramionami: „Błędy nieuniknione, gdy buduje się socjalizm”. W dwa tygodnie potem, podczas wizyty Corvalana w Rzymie, z naciskiem podkreślił, że PCI nie wyzbędzie się nigdy „czujnego ducha internacjonalistycznego”; czyli, według słusznego komentatora „Le Monde”, nigdy nie zerwie z Moskwą.

Wróć na chwilę do „apelu dwóch marksistów”. Mowa w nim o „rozdwójeniu PCI między empiryzmem politycznym, który w jakiejś mierze przyjmuje do wiadomości nową sytuację i wyciąga z niej wnioski, i inercją ideologiczną, która wciąż utrzymuje partię w niewoli starych mitów”. Na prośbę redakcji „Espresso”

„apel dwóch marksistów” skomentowali przywódca socjalistów włoskich Craxi i członek sekretariatu PCI Gerardo Chiaromonte. Craxi, nie bez odcienia ironii, wytknął komunistom włoskim „osobliwą anomalię” w interpretacji ustroju sowieckiego jako „struktury socjalistycznej o nadbudowie autorytarnej”; przypomniał z uczuciem zawodu mediolańską mowę wiecową Berlinguera z 30 stycznia, nagrodzoną burzliwymi oklaskami „bazy” partyjnej za trzy stwierdzenia: że PCI stanowi integralną część składową światowego systemu komunistycznego, że mimo pewnych aspektów nieliberalnych społeczeństwo sowieckie i społeczeństwa w kadeelach są socjalistyczne, że centralizm demokratyczny pozostaje w mocy jako zasadniczy czynnik „odmienności” PCI; i w końcu otwarcie wysunął pod adresem komunistów włoskich zarzut „martwej pauzy w rozwoju, jeśli nie cofnięcia”. Chiaromonte wystawił ZSRR patent na socjalizm, dorzucając tytułem wyjaśnienia, że ustrój socjalistyczny może mieć rozmaite reżimy polityczne.

Teraz, po wyłożeniu na stół najświeższego materiału, łatwiej mi będzie przedstawić moją sceptyczną ocenę ewolucji PCI. Dlaczego Berlinguer zarył się naraz w ziemi, ba – jak gdyby ciągnie do tyłu? Słyszysz się o wzmożonej ostatnio presji sowieckiej. W tej wersji Moskwa, zgodziwszy się w swoim czasie bez entuzjazmu (i pod warunkiem nieingerencji komunizmu obrządku zachodniego w sprawy komunizmu obrządku wschodniego) na operację eurokomunistyczną, jest dziś poważnie zaniepokojona, że na dalszą metę operacja wymknie jej się całkiem z rąk, a nawet obróci przeciw „blokowi”. Instrumenty presji: pomoc finansowa w ramach spółek handlowych, groźba zmontowania rozłamu, straszak bliskiej Jugosławii po śmierci Tity. Przypuszczalnie jest w tej wersji sporo prawdy, ale istota rzeczy tkwi głębiej. Moim zdaniem sam Berlinguer zaczął się obawiać, że operacja wymknie mu się z rąk, w każdym razie że nie potrafi w pełni panować nad ukrytym w niej ryzykiem. I tu nawracam do obiektywnych względów, które przemawiałyby za trwałością ewolucji włoskiego komunizmu. Sęk w tym, że nie przemawiają do większości „bazy” partyjnej. Po trzydziestu latach indoktrynacji ideologicznej i propagandy partyjnej przeciętny członek PCI nie jest w stanie: wyrzec się przekonania o „hegemonicznej roli klasy robotniczej” i towarzyszącej mu tęsknoty do dyktatury jednej partii; przełknąć udział zaledwie we władzy, do spółki ze zniechęconą chadecją, w imię „kompromisu historycznego”; przystać na długofalowe zawieszenie broni z Kościołem; rozstać się, pod opiekuńczymi skrzydłami NATO, z mitem rewolucyjnej „ojczyzny proletariatu światowego”. Krótko mówiąc, Berlinguer zrozumiał, że jego linia oddaliła się zanadto od nastrojów w dołach partyjnych, że przeforsował ją dzięki dyscyplinie raczej niż rzeczywistemu poparciu.

Mniej wiem o francuskiej partii komunistycznej, sądzę jednak, że przy wszystkich różnicach w konfiguracji politycznej Francji i Włoch nie brak analogii między pozycją Berlinguera i Marchais'ego. Rozdziałem osobnym jest Carillo, jedyny w eurokomunistycznym zaprzęgu, który ma wszelkie powody, by wyrwać się z trójki do galopu.

A. M.: Niemal wszyscy krytykują eurokomunistów za zbyt powolne tempo ewolucji. Sądzę, że sprawa jest bardzo złożona, że apele o szybszą ewolucję, w rodzaju cytowanego tekstu Colletiego i Salvadoriego, są tyleż pożyteczne, ile nierealistyczne. Pożyteczne – bo stanowią element presji; nierealistyczne – bo proces ewolucyjnego odchodzenia od stalinizmu zupełnie inaczej przebiega w przypadku intelektualisty, a inaczej w przypadku masowego ruchu czy wielotysięcznej partii robotniczej.

Zgadza się, że ważką rolę odgrywa tu opór stalinowskiej bazy. Sądzę np., że gdyby przywódcy PCI ogłosili po interwencji w Czechosłowacji zerwanie z Centralą – co poniekąd postulowała wewnątrzpartyjna opozycja (Rossanda, Natoli, Pintor, Magri) – to konsekwencją tego byłby rozłam w partii. Dubczek i inni też nie odrzucili stalinizmu i wszystkich jego konsekwencji z dnia na dzień. Włoski komunista, jeden z przywódców ruchu związkowego, opowiadał mi niedawno o oporze bazy partyjnej wobec stanowiska sekretariatu PCI w sprawie Czechosłowacji. Działaczom robotniczym, wychowanym w kulcie ZSRR, trudno było znaleźć się w tym samym obozie krytyków „pierwszego państwa socjalistycznego” co skrajna prawica. Nam, ludziom z Polski, trudno to pojąć, ale czyż ktokolwiek z nas potępiłby chętnie dyktaturę w Chile czy Indonezji wspólnie z Żukrowskim czy Putramentem?

Proces ewolucji eurokomunizmu jest powolny, ale kto wie, czy nie jest to warunek konieczny jego skuteczności. Wielu ludzi, których wysoko cenię, wystąpiło z partii komunistycznych, uważając proces destalinizacji za zbyt powolny i niekonsekwentny. Szanuję odwagę i uczciwość intelektualną Colletiego i Rossandy, Pierre'a Daixa i Claude'a Roya, Fernanda Claudina i Jorge Sempruna, ale to nie oni, a właśnie Berlinguer, Carillo i Marchais wprowadzili do ruchu komunistycznego trwałe obyczaje krytykowania konkretnych poczynań antydemokratycznych przywódców sowieckich, polskich i innych. Trudno wprost przecenić znaczenie tego faktu – włoscy komuniści jednoznacznie potępił interwencję zbrojną w Czechosłowacji, więzienie rosyjskich opozycjonistów, antyrobotnicze represje w Polsce. Członek KC PCI Lombardo Radice opowiadał mi o swojej niedawnej wizycie u prof. Roberta Havemanna, który znajduje się pod nieustannym ostrzałem prasy w NRD. Opowiadał mi także o integralnym poparciu udzielonym przez PCI, i osobiście Berlinguera, Karcie 77. Dodam, że oficjalne wydawnictwo PCI opublikowało książki usuniętych z partii W. Brusa, Roja Miedwiediewa i Młynára.

G. H.-G.: Trzeba też przyjrzeć się eurokomunizmowi w szerszym kontekście międzynarodowym, ściśle – z perspektywy Ameryki. Mam pod ręką anonimową wypowiedź (przyczożoną w setnym numerze „Surveya”) wysokiego urzędnika Departamentu Stanu, eksperta w sprawach „bloku”. Rozumuje on z grubsza tak. Spotykamy się z zapewnieniami, że jeśli eurokomuniści wejdą do rządów koalicyjnych we Włoszech czy innych krajach Zachodu i jeśli w Ameryce i w ogó-

le na Zachodzie zostaną zaakceptowani jako *bona fide* demokraci, dopomoże to bardzo siłom rewizjonistycznym w Europie Wschodniej, ułatwiając im walkę o większy stopień niezależności od ZSRR. Nawet z samej Europy Wschodniej docierają do nas głosy wzywające Amerykę do poparcia eurokomunizmu w interesie owych wysiłków emancypacyjnych. Ale nie wierzymy, by pochod eurokomunizmu mógł być istotnie pomocny w procesie pokojowych i stopniowych zmian na Wschodzie. Dlaczego? Gdyby we Włoszech, we Francji lub w Hiszpanii eurokomuniści doszli do władzy, sojusz atlantycki zostałby zachwiany i osłabiony, a zatem zachwianiu uległaby strategiczna równowaga sił, do której sam Berlinguer przywiązuje tak wielką wagę jako do niezbędnego warunku wstępnego *détente*. Przy równowadze chwiejnej, bez *détente*, w sytuacji osłabienia Zachodu, ZSRR z całą pewnością stałby się mniej tolerancyjny i bardziej skłonny do dominacji. Szanse większej niezależności krajów Wschodniej Europy spadłyby raczej znacznie, niż wzrosły.

Nietrudno odgadnąć, że ekspert Departamentu Stanu pochodzi ze stajni Kissinger-Sonnenfeldt. Kamieniem filozoficznym jego wywodu jest zachowanie za wszelką cenę *status quo*, naturalnie ubrane w obłudną „troskę” o Wschodnią Europę. Dla mnie, rzecz jasna, wszystko jest lepsze od *status quo*. Jeśli więc eurokomunizm oznacza pewne jego naruszenie (nawet bez potrzeby wystawiania eurokomunistom świadectwa demokratyczności *bona fide* i akceptacji ich udziału w rządach), większa elastyczność amerykańska wobec Trójki wydaje mi się bardziej obiecująca od jednoznacznego *veto*. Tę większą elastyczność widać chyba u Brzezińskiego.

A. M.: Pytanie zasadnicze brzmi: kto na Zachodzie jest sojusznikiem ludzi walczących w Europie Wschodniej o prawa człowieka? Na ocenę Cartera jeszcze za wcześnie, ale – moim zdaniem – nie jest tym sojusznikiem amerykańska polityka w swoim wariacie kissingerowsko-sonnefeldtowskim. Tę politykę – przepraszam za niemodne sformułowanie – uważam za cyniczną i imperialistyczną. Jej istotą jest dążenie do utrwalenia podziału świata między supermocarstwa, do stabilizacji *status quo* w Europie Wschodniej i w Europie Zachodniej. Jest to zgodne – choć uznają to niektórzy za paleomarksizm – z interesami wielkiego kapitału, który inwestuje w Europie Wschodniej. Mówili mi włoscy komuniści, że „Fiat” chętniej inwestuje tam niż we Włoszech, tańszą ma bowiem siłę roboczą i nie ma kłopotów z robotniczymi strajkami. Z kolei włoski minister spraw zagranicznych Forlani zacytował niedawno wypowiedź sowieckiego przywódcy, że „we Włoszech jest zbyt wiele partii, zbyt wiele strajków i zbyt wiele pornografii”. Nie muszę dodawać, jak cierpko zareagowała włoska lewica na tę wypowiedź.

Doktryna Sonnenfeldta, której fundamentalnym założeniem było zamrożenie *status quo*, spotkała się z jednoczesną krytyką zachodniej lewicy i wschodnioeuropejskich „dysydentów”. Niestety obie strony nie do końca zdawały i zdają so-

bie sprawę ze wspólnoty swych interesów. Dlatego trzeba tę wspólnotę tłumaczyć jednym i drugim. Akcja dysydentów w Europie Wschodniej potrzebna jest lewicy – także eurokomunistom – tylko bowiem poprzez przewyższenie Świętego Przymierza supermocarstw możliwa jest realizacja projektu „socjalizmu w wolności” na terenie Europy Zachodniej. Akcja lewicy zachodniej jest nam potrzebna, jest ona bowiem czynnikiem destabilizującym Święte Przymierze, jest tym czynnikiem presji na rządy, który może przeobrażać *détente* w autentyczne odprężenie oparte na respektowaniu praw człowieka w całej Europie. Myślę przeto, że to lewica jest naszym sojusznikiem. Nie tylko dlatego, że widzę w tych ludziach jakąś autentyczną ideowość, że w powodzi głupstw, które mówią, piszą i robią, dostrzegam rzeczywistą pasję walki o lepszy świat, że odnajduję w nich te cechy mentalne, które są właściwością najszlachetniejszych dysydentów z Europy Wschodniej; słowem: że serce jest po lewej stronie, po drugiej zaś kieszeń nabita pieniędzmi... Przypominam ci wypowiedź Chiraca na temat Pluszcza czy komentarz redakcyjny „Le Figaro”, gdzie przeczytaliśmy, iż obrona praw człowieka w Europie Wschodniej jest tożsama z nawoływaniem do zbrojnej rewolty. Przypomnę ci także, że to nie Berlinguer, ale wielki włoski kapitał buduje dziś *entente cordiale* z rządami Wschodniej Europy oraz że to nie Agnelli i Pirelli, ale kierowany przez komunistę Bruna Trentina związek zawodowy metalowców (FLM) ogłosił deklarację solidarności z Komitetem Obrony Robotników i zadeklarował gotowość materialnej pomocy dla prześladowanych polskich robotników.

Lewica zachodnia – eurokomunistów do niej zaliczam – formułuje pytania istotne dla wszystkich społeczeństw industrialnych. Wyobraźmy sobie, że w Polsce są respektowane wszystkie prawa człowieka. I co dalej? Stajemy natychmiast wobec problemów dyskutowanych dziś przez lewicę: czym ma być fabryka, jak ma funkcjonować samorząd, jak zreorganizować uniwersytet i – szerzej – cały system edukacji? Jak będziemy rozwiązywać problemat „jakości życia” i zagrożenia ekologicznego? Co zrobić z tzw. czasem wolnym? Jak zorganizować demokratyczne funkcjonowanie środków masowego przekazu? Wszystkie te problemy musi podjąć ruch opozycyjny w Europie Wschodniej i bardzo pomocne mogą tu być refleksje eurokomunistów i – szerzej – zachodniej myśli lewicowej. I tak: wiele można się nauczyć z walki włoskich metalowców o płatną naukę robotniczą, wiele skorzystać można z dyskusji francuskiej lewicy na temat *l'autogestion*.

Wreszcie doświadczenie hiszpańskie. Przecież to doskonały i zasługujący na szczegółowe studium model walki z totalitarną dyktaturą; model ewolucyjnego wychodzenia z tej dyktatury ku formom demokratycznym. Hiszpański eurokomunizm może być dla ludzi lewicy z Europy Wschodniej ważną lekcją budowania wspólnego frontu z inaczej myślącymi, lekcją otwartości i lojalnego współdziałania z Kościołem katolickim, lekcją – wreszcie – budowania niezależnego ruchu robotniczego w warunkach totalitarnej opresji. Myślę tu oczywiście

o słynnych „komisjach robotniczych”, niezrównanym instrumencie walki o robotnicze prawa i interesy.

Do inplantacji w Europie Wschodniej nadaje się zresztą zasadniczy zrąb programu deklarowanego przez eurokomunistów. W madryckiej deklaracji, złożonej wspólnie przez Berlinguera, Carilla i Marchais, czytamy m.in.:

Komuniści Hiszpanii, Francji i Włoch pragną działać w kierunku zbudowania nowego społeczeństwa, przy wielości sił politycznych i społecznych, w poszanowaniu, gwarancji i rozwoju wszystkich wolności kolektywnych czy indywidualnych: wolności myśli i słowa, prasy, zrzeszania się i zgromadzeń, manifestacji, swobodnego poruszania się ludzi tak wewnątrz ich krajów, jak i za granicą, wolności ruchu związkowego, niezależności związków zawodowych i prawa do strajku, nietykalności życia prywatnego, poszanowania wyborów powszechnych i możliwości demokratycznej alternatywy większości, wolności religii, wolności kultury, wolności wyrazu dla różnych prądów i poglądów filozoficznych, kulturalnych i artystycznych. Ta właśnie wola realizowania socjalizmu w demokracji i wolności daje początek koncepcjom wypracowanym niezależnie przez każdą z trzech partii.

Niczego innego nie pragnę dla Polski.

Co prawda, eurokomuniści nie opublikowali w Madrycie jednoznacznego oświadczenia na temat sytuacji w Europie Wschodniej, co może czynić ich pozycję dwuznaczną. Powody tej niekonsekwencji są oczywiste: jest to lęk przed ostatecznym zerwaniem, które jest jednak – moim zdaniem – nieuchronną konsekwencją procesu destalinizacji. Wszelako spoglądając na to z mojego warszawskiego podwórka, trudno nie odnotować, że efektywny wpływ eurokomunizmu na kierownictwa partii wschodnioeuropejskich trwać będzie tak długo, jak długo istnieć będzie – werbalna choćby – jedność. Nie jest to, niestety, jedyny paradoks na tym najlepszym ze światów.

G. H.-G.: Postaram się, w „ostatnim słowie”, moje stanowisko podsumować. Bez wyraźnego oderwania się od systemu sowieckiego, od leninowsko-stalinowskiego podglebia, eurokomunizm musi budzić nieufność. Jego radykalna i trwała ewolucja w kierunku socjalizmu demokratycznego jest na najbliższą metę mało prawdopodobna, nie tyle ze względu na naciski, szantaże i manewry Moskwy, ile ze względu na ukształtowaną w ciągu wielu lat mentalność dołów partyjnych i zapewne dużej części aparatu partyjnego. Ale przyznaję, że za daleko sięgać wzrokiem nie można, że nie wolno z góry wykluczać definitywnie ewentualności głębszych przeobrażeń. Coś się ruszyło i draży, a wszystkich elementów ruchu nie da się przewidzieć. Na przykład, wzrost opozycji wewnętrznej w „bloku” w równej mierze korzysta z eurokomunizmu, co nań tak czy inaczej wpływa.

Masz całkowitą słuszość, że zerwanie eurokomunizmu z systemem sowieckim uniemożliwiłoby opozycji antytotitarnej w „bloku” odwoływanie się do Berlinguera, Marchais i Carillo; dzisiejsi „towarzysze”, choćby niezbyt prawomyślni, przeistoczyliby się natychmiast w „renegatów”. Racja, lecz na krótki dystans. W wypadku zerwania eurokomunistom pozostałoby jedyne wyjście:

wspólny z eurosocjalistami front antytotitarnej lewicy. Nieobojętny i niemało ważny punkt odniesienia dla tych sił, które w „bloku” stawiają opór sowieckiemu pod hasłem socjalizmu demokratycznego.

Tak czy owak, niezależnie od tego, jak się w przyszłości potoczą wypadki, *hic et nunc* obowiązuje trzeźwość. Wspomniałem o mentalności dołów partyjnych i dużej części aparatu partyjnego we Włoszech. Drobnym incydentem przypomni ci, jak to wygląda na odcinku intelektualistów komunistycznych. Dyrektor Biennale, socjalista, postanowił w tym roku urządzić wystawę poświęconą działalności i twórczości dysydentów w ZSRR i w Europie Wschodniej, na wzór wystaw poświęconych w przeszłości Chile i Hiszpanii. Komunistyczny członek rady nadzorczej Biennale, profesor uniwersytetu weneckiego, założył gwałtowny protest: „Kiedy się stawia obok siebie Chile i Hiszpanię oraz kraje Wschodu, stosuje się chwyt, który kategorycznie odrzucam, który ma cechy ordynarnej i powierzchownej instrumentalizacji. Uważam ten paralelizm za wyraz nieokrzesanego antysowieizmu”. Okrzesany eurokomunizm za bluźnierstwo poczytuje zestawienie ZSRR i Chile, PRL i Hiszpanii.

A. M.: Zupełnie się z Tobą zgadzam. Wszelako istotniejszym od tego, skąd się idzie, jest, dokąd się podąża. Wierzę, że kierunkiem ewolucji jest alternatywa demokratycznego socjalizmu, tak ważna dla całej Europy.

7 marca 1977

[4/1977]

Niemcy

Historia nie składa się wyłącznie z faktów. W życiu społeczeństw odgrywają znamienne rolę imponderabilia, a tożsamość narodowa kształtuje się niekiedy bardziej nawet pod wpływem mitów i resentymentów niżeli realiów politycznych.

Resentymentami można sterować, szczególnie w naszych czasach, kiedy technika postawiła do dyspozycji państwa potężne środki oddziaływania na świadomość mas.

W Polsce, gdzie od ponad trzydziestu lat panuje totalitarny monopol informacji i propagandy podporządkowanej interesom partii oraz rosyjskiej wielkomocarstwowej racji stanu – sterowanie nastrojami społecznymi jest ułatwione.

Odcięcie od źródeł obiektywnej informacji, forsowanie w mass mediach tendencyjnego obrazu świata, nieustanna presja, jaką na świadomość Polaka wywierają ze wszystkich stron czynniki propagandowe reżimu – nie pozostały bez rezultatów. Polacy od lat zdani są głównie na instynkt; stanowi to niemałą siłę społeczną, byłoby jednak polityczną krótkowzrocznością niedostrzeganie spustoszeń, jakich w świadomości masowej dokonała tego rodzaju propaganda, ten skrzywiony wizerunek współczesnego świata.

Społeczeństwu nie można wmówić wielu fałszów dotyczących powszedniego życia kraju, ponieważ sama rzeczywistość prostuje te fałsze, ponieważ fakty zadają im kłam. W tej dziedzinie Polacy są od dawna immunizowani na komunistyczną wersję rzeczywistości.

Są jednak obszary społecznej świadomości dość gruntownie przeorane przez propagandę. Obszarem takim jest bez wątpienia kwestia niemiecka i problem autentycznego pojednania Polaków i Niemców.

Od zakończenia wojny i upadku Trzeciej Rzeszy minęły trzydzieści dwa lata. Jest to okres, nawet w skali historii narodowej, znaczący. W ciągu trzech dekad lat mogą – szczególnie w XX wieku – radykalnie zmienić się układy w życiu narodu, a kierunki jego rozwoju mogą być poddane zupełnie nowym i trudnym do przewidzenia w przyszłości czynnikom sprawczym. Wynika to zresztą z elementarnych założeń dialektyki historii, o czym tak często rozprawiają komuniści.

Jest jednak znamienne, że te zasady dialektyki – tak chętnie stosowane przez komunistów w odniesieniu do przeobrażeń narodu polskiego – nie znajdują żadnego zastosowania w odniesieniu do Niemców. Na tym odcinku nie istnieje żadna dialektyka, tutaj obowiązują irracjonalne urojenia i metafizyczna wiara w niezmienną pewnych układów.

Ale są to tylko pozory. W istocie rzeczy jest to bowiem podporządkowane zimnej, politycznej kalkulacji.

Przez całe lata reżim starał się budować platformę jedności narodowej na antyniemieckości i resentymencie wypływających z przeszłości stosunków polsko-niemieckich. Awersja do Niemiec była w świadomości narodowej polskiej głęboko uzasadniona od stuleci, po ostatniej wojnie zaś stanowiła naturalny odruch psychiczny każdego Polaka.

Od pierwszego dnia zainstalowania się reżimu komunistycznego w kraju – wygrywał on nieustannie kartę niemiecką, była to bowiem jedyna karta, której autentyczności nie mógł żaden rozumny Polak kwestionować.

Udział Związku Sowieckiego w pokonaniu hitlerowskich Niemiec był dla Polaków nie tylko rzeczywistością historyczną, ale mógł stanowić argument dla propagowania wdzięczności dla Rosji. Ten stan rzeczy do dziś dnia pozostał najsilniejszym atutem reżimu. Ilekroć Moskwie i jej adherentom w Warszawie zależało na integrowaniu społeczeństwa polskiego – nieodmiennie pojawiał się straszak niemieckiego zagrożenia i rozlegały się elegijne nuty „pamięci narodowej”. Wszystkie ekipy z maniackim uporem powracały codziennie do tej argumentacji.

Po roku 1970 mogło się wydawać, że niemiecka karta została już ostatecznie rozegrana. Były to jednak tylko pozory.

Tak jak z niewiarygodną obłudą przekonywano naród polski po traktacie zgorzeleckim w roku 1950, że NRD jest państwem sojuszniczym, na którym nie ciąży dosłownie żadne winy przeszłości, tak samo po traktacie grudniowym roku 1970 – zawartym przez Gomułkę i Brandta w Warszawie – usiłowano, nie bez propagandowych rezultatów, dowodzić, że siły „odwetu i rewizjonizmu” w RFN wciąż bojkotują i torpedują proces normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Arogancja warszawskiego reżimu szła tutaj w parze z kokieterią i brakiem wszelkiej godności, ilekroć rząd PRL ubiegał się o uzyskanie niemieckich kredytów.

Uzależnienie polskiej gospodarki od pomocy Zachodu – a głównie zachodnich Niemiec – zmuszało reżim do zdumiewającej ekwilibristyki propagandowej. Władze nie mogły jednak zrezygnować z niemieckiej karty w tej trwającej od ponad trzydziestu lat fałszywej grze z własnym społeczeństwem.

Nie było to możliwe po prostu z przyczyn polityki wewnętrznej. Polska od czasu zakończenia wojny nie jest krajem suwerennym. Świadomość tego stanu rzeczy jest obecna w umysłach olbrzymiej większości Polaków. Przyczyna utraty niepodległości jest oczywista – wielkomocarstwowa obecność Związku Sowiec-

kiego w całej Europie Środkowo-Wschodniej, w tym również we wschodniej części podzielonych Niemiec.

Każdy Polak od trzydziestu lat na własnej skórze odczuwa tę obecność Sowieców. Jest zrozumiałe, uzasadnione i oczywiste, że niechęć od dawna kanalizuje się na Sowieciach, że resentymenty polskie orientują się ku Wschodowi. Wciąż jednak jest jeszcze żywa pamięć ostatniej wojny i związanej z nią narodowej tragedii. Pamięć ta ogranicza się w Polsce – w oficjalnej opinii – do kwestii naszych politycznych i moralnych rozrachunków z hitlerowskimi Niemcami, podczas gdy polityczne i moralne rozrachunki ze stalinowską Rosją stanowią „tabu”, otoczone obłudnym milczeniem. Brak swobodnej, demokratycznej opinii uniemożliwia – praktycznie rzecz biorąc – dokonanie koniecznego dla przyszłości narodowej przełomu, jakim musi się stać kiedyś autentyczne pojednanie Polaków i Niemców z jednej strony, pojednanie Polaków i Rosjan z drugiej strony.

Jako naród od stuleci żyjemy pomiędzy tymi liczniejszymi od nas sąsiadami, a historia naszych stosunków – w imię przyszłości Europy – wymaga uczciwej rewizji. Tak samo jak warunkiem przyszłego, demokratycznego rozwoju Polski jest pojednanie z najbliższymi naszymi sąsiadami, którzy nas oddzielają od Rosjan, a mianowicie z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Jest oczywiste, że reżim podporządkowany bez reszty imperialistycznej polityce Sowieców nigdy nie będzie w stanie zrezygnować z obłudnej gry antyniemieckiej i wynikających z niej propagandowych fałszerstw. Krok taki musi uczynić niezależna polska opinia demokratyczna, ludzie cieszący się moralnym autorytetem w społeczeństwie.

Nie jest to *novum* w polskim życiu politycznym, że czynnik, które naprawdę reprezentują opinię publiczną – wbrew intencjom reżimu przełamując monopol partii, podnoszą głos w kwestiach najbardziej dla Polski żywotnych. Należy tu przypomnieć list biskupów polskich do biskupów niemieckich z roku 1966, który oficjalna propaganda usiłowała przedstawić jako wyraz nierzetelności Episkopatu w newralgicznych kwestiach narodowych. A przecież właśnie ten list, dyktowany duchem chrześcijańskim i tak politycznie dalekowzroczny – stał się swego czasu wydarzeniem przełomowym i zapoczątkował prawdziwy dialog Polaków i Niemców, dialog niezależnej od reżimu komunistycznego i od dyktów Moskwy – polskiej opinii publicznej z demokratycznymi Niemcami.

Dziś konieczny wydaje się dalszy, poważny krok. Jak każdy krok radykalny może on wzbudzić niepokój moralny w części społeczeństwa poddanego propagandowym manipulacjom rządowych środków masowego przekazu.

Sprawiedliwość historyczna realizuje się w rezultacie zawiłych procesów społecznych, ekonomicznych i politycznych, a zasadniczym czynnikiem sprawczym jest tutaj świadoma działalność narodów. W ogólnym rachunku postępu – liczy się zatem nade wszystko owa sprawiedliwość wymierzona określonym koncepcjom życia, światopoglądom i praktyce politycznej. Nie ulega oczywiście wąt-

pliwości, że jednostki także muszą ponosić określoną odpowiedzialność za czynny, jakich się w sferze publicznej dopuścili, realizując antyludzki program ideowy. Jednakże wymierzanie sprawiedliwości jednostkom musi być w świecie cywilizowanym podporządkowane ogólnym zasadom prawa i demokratycznym obyczajom. Rozrachunki z winnymi przestępstw wojennych i zbrodni przeciw ludzkości, wynikające z zasad prawa międzynarodowego – nie powinny się przeradzać w akty bezmyślnej, okrutnej zemsty, pozbawionej wszelkiego znaczenia wychowawczego.

Tak jednak się dzieje w ostatnim czasie – głównie z powodu nacisków sowieckich – w odniesieniu do żyjących jeszcze i przebywających w więzieniach dawnych zbrodniarzy hitlerowskich. Szczególnie dwa przypadki stały się ostatnio głośne na świecie. Sprawa Rudolfa Hessa i sprawa Kaplera.

Ucieczka Kaplera z więzienia we Włoszech stała się przyczyną brutalnej nagonki na wymiar sprawiedliwości w RFN. Znowu doszły do głosu najbardziej niegodziwe argumenty, dyktowane uczuciami ślepej zemsty.

A przecież elementarne zasady człowieczeństwa, których niepodobna się wyzywać, jeśli nie chcemy się zniżyć do barbarzyństwa, przeciw któremu walczyła tak krwawo Polska w czasie wojny – nakazują tu zachowanie umiaru, rozważa i poczucia humanitaryzmu. Fakt, że ludzie tacy jak Kapler nigdy owej humanitarnej „słabości” nie ulegali – nie zwalnia nas samych z dochowania wierności zasadom, o których zwycięstwo prowadzono wojnę z hitleryzmem i które dzisiaj są kamieniem węgielnym kampanii w obronie praw człowieka.

Kapler jest człowiekiem starym i umierającym. Nieuleczalna choroba już przed laty uczyniła z niego bezbronnego, cierpiącego, wzbudzającego litość starca. Jest prawdą, że Kapler dopuścił się czynów zbrodniczych, które nie zasługują na wybaczenie. Powstaje jednak pytanie, czy Kapler konający na raka, którego rodzina wykradła z włoskiego więzienia, aby mógł skonać we własnym kraju – jest tym samym Kaplerem, który w czasie wojny dopuszczał się zbrodni?

Przed laty głośna była w Stanach Zjednoczonych sprawa wielokrotnego mordercy Chesmana, który przesiedział w więzieniu kilka lat, oczekując wykonania wyroku śmierci, i w tym czasie przeszedł wielkie wewnętrzne przeobrażenie, zdobył imponujące wykształcenie prawnicze, uchodził za wzór człowieka rozumnego i czułego na krzywdy innych. Chesman został stracony decyzją Sądu Najwyższego USA i wtedy podniosły się na świecie głosy potępiające bezduszną amerykańską wymiar sprawiedliwości. Nie bez głębokiej racji podnoszono, że kara śmierci dosięgła zupełnie innego człowieka niżeli ten, który przed laty – jako zbrodniarz – został skazany.

Trudno wyrokować, czy Kapler po trzydziestu latach uwięzienia zmienił się w takim samym stopniu i czy jego wewnętrzna przemiana ewoluowała w tak owocnym kierunku. Można jednak z pewnością twierdzić, że Kapler umierający na raka w roku 1977 nie jest tym Kaplerem, który dopuszczał się zbrodni we Włoszech w roku 1944.

Moralne i polityczne potępienie czynów Kaplera nie może i nie powinno być także przyczyną upartego, barbarzyńskiego traktowania starca, który osobiście nikomu już dzisiaj nie zagraża, a którego polityczna działalność i światopogląd zostały tak jednoznacznie ocenione przez olbrzymią większość społeczeństwa niemieckiego. Organizowanie nagonki przeciw Kaplerowi i wymiarowi sprawiedliwości w RFN jest aktem obyczajowego barbarzyństwa oraz politycznej ślepoty, ponieważ społeczeństwo niemieckie, które dało w ostatnim trzydziestolecu tak wiele konkretnych dowodów swej demokratycznej dojrzałości, ma prawo odczuwać żal i rozgoryczenie, wynosząc z tego incydentu poczucie krzywdy. A ilu jest jeszcze Kaplerów? Podobnie ma się sprawa z Rudolfem Hessem, jedynym przebywającym jeszcze w więzieniu Spandau dostojnikiem Trzeciej Rzeszy skazanym w Norymberdze. Hess został osadzony w Spandau bezterminowo, a wyrok w jego sprawie był rezultatem gwałtownych nacisków sowieckich. Rola Hessa w czasie wojny była znikoma; jak wiadomo – już w maju 1941 roku, próbując zmontować wspólny front antysowiecki, zbiegł on do Anglii, gdzie został internowany. Na Hessie nie ciążyły więc nigdy żadne zbrodnie wojenne, został skazany za udział w hitlerowskim spisku przeciw ludzkości, w czym bez wątpienia uczestniczył jako dostojnik partyjny NSDAP w okresie przedwojennym. Hess jest pozbawiony wolności od ponad 36 lat. Jest człowiekiem starym, schorowanym, o niezrównoważonym stanie psychicznym. Wszelkie względy ludzkie przemawiają za tym, by darować mu resztę kary i okazać akt łaski. Moskwa przeciwstawia się tej sugestii Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji już od wielu lat. Ponieważ jednomyślność tych czterech państw stanowi decydujący warunek legalności uwolnienia Hessa z więzienia Spandau – problem wciąż pozostaje nierozwiązany. Cztery byłe mocarstwa okupacyjne utrzymują zatem olbrzymie więzienie i garnizon dla jednego schorowanego starca, którego poczynałość od ponad 35 lat budzi wątpliwości. Jest w tym trudna do zrozumienia i niczym nieusprawiedliwiona agresywność i brak wszelkich humanitarnych pryncypiów. Ale – jak zawsze w Sowietach – kryje się za tym określony model politycznego myślenia. Moskwa pragnie uchodzić za nieprzejednaną i konsekwentną przeciwniczkę Trzeciej Rzeszy, Związek Sowiecki chce uchodzić za jedynego w świecie mentora moralności publicznej i rzecznika legalizmu. W istocie rzeczy jednak to przecież właśnie Związek Sowiecki był sojusznikiem Hitlera w pierwszym okresie wojny, a przestrzeganie prawa na pewno nie należy do mocnych stron sowieckiego systemu. Uparte organizowanie nagonki propagandowej wokół sprawy hitlerowskich zbrodniarzy wojennych – nabiera w naszych czasach, w 32 lata po wojnie, szczególnie obłudnej wymowy. Dziś właśnie Sowiety są tym krajem, w którym nieustannie łamie się i depcze prawa ludzkie i obywatelskie. Przywoływanie wojennej przeszłości służy ich aktualnym politycznym celom. Idzie o odwrócenie uwagi świata od najbardziej palących konfliktów i skanalizowanie jej na obszarach dawno przebrzmiałej historii. Temu samemu celowi służy hasło propagandy oficjalnej w kraju – „nigdy nie zapomni-

my!”. Jest to oczywisty fałsz, bo bez usilnych starań władz ludzie w Polsce dawno już zapomnieliby o okresie wojny, co na pewno przyczyniłoby się walnie do sprawy pojednania z Niemcami. Rzecz w tym, że reżim autentycznego pojednania Polaków i Niemców wcale sobie nie życzy i czyni wszystko, aby do urzeczywistnienia tego programu nie dopuścić.

Rozwiązanie tej bolesnej sprawy jest jednak ważnym zadaniem narodowym Polaków. Normalny, przyszły udział niepodległej Polski w życiu kontynentu europejskiego nie będzie możliwy bez przyjaznych stosunków z demokratycznymi Niemcami. Dlatego jest to już dzisiaj doniosły problem dla Polski. Nikt w tym przedsięwzięciu nie wyręczy polskiego ruchu demokratycznego. Być może dla niektórych kół opinii w Polsce będą to gesty niepopularne, lecz polityczna mądrość i dalekowzroczność nie może się liczyć tylko z popularnością. Odbudowa demokratycznej, wolnej opinii w kraju jest procesem żmudnym i długim. Wymaga on uczciwości, pryncypialności i wierności dla zasad, bez których demokracja w ogóle jest nie do pomyślenia. Walcząc o prawa ludzkie i obywatelskie, ruch demokratyczny musi zawsze, we wszystkich, nawet najbardziej skomplikowanych okolicznościach, podkreślać swój humanizm i szacunek dla jednostki ludzkiej, bo są to fundamenty, na których wspiera się kultura Polski i całej Europy.

[12/1977]

GEORGE GÖMÖRI

Dylematy „giętkiego” reżimu

W Polsce rok 1976 był rokiem polaryzacji – z podwyżką cen oraz strajkami i zamieszkami w Ursusie i Radomiu stało się jasne dla wszystkich, że nietrwały rozejm między społeczeństwem i rządem, funkcjonujący od roku 1971, dobiegł końca. Na Węgrzech sprawy potoczyły się inaczej: podczas gdy ferment intelektualny nabrał w latach 1976–1978 wyraźniejszych zarysów, rząd zdecydował się na pewne posunięcia obliczone na powstrzymanie wiatru dmącego w żagle opozycji. To właśnie owa giętka reakcja zdołała ocalić „węgierski kompromis” i raz jeszcze odroczyła kryzys reżimu Kádára.

Problemy, przed którymi stanęła węgierska partia komunistyczna, były, jak zwykle, gospodarcze i polityczne. Do podstawowych problemów małego kraju o gospodarce planowej, a przecież rozpaczliwie zależnego od handlu, zabrano się po raz pierwszy w roku 1968, wprowadzając Nowy Mechanizm Gospodarczy. Dziś można go ocenić jako sukces częściowy. Przyniósł on niewątpliwie większą zamożność, lecz także większą nierówność i większą urazę wśród robotników. Z powodów politycznych najpierw go przyhamowano, a później niemal zniszczono w roku 1974. Ale światowy kryzys naftowy, uderzywszy w gospodarkę Zachodu, nie oszczędził Węgier; i niebawem „ekonomiczni oportuniści”, od pewnego czasu pod obstrzałem swych bardziej ideologicznie nastawionych towarzyszy partyjnych, odzyskali dawną siłę. Około roku 1977 stało się oczywiste, że coś trzeba zrobić dla powstrzymania gospodarczego gnicia; że Węgry muszą wprowadzić zmiany, jeśli chcą zachować swą względnie wysoką stopę życiową. Latem ubiegłego roku „ojciec” Nowego Mechanizmu Gospodarczego (lecz od roku 1974 politycznie mniej wpływowy) Rezső Nyers wezwał w wywiadzie prasowym do śmiałej realizacji drugiego stadium programu reform gospodarczych. Coś w tym rodzaju zaczęło się dziać w roku 1979. Węgry wprowadzają obecnie system cen oparty na brakach rynkowych.

Reforma z roku 1968 nie przecięła dopływu subwencji rządowych dla przedsiębiorstw słabo działających i nieprzynoszących zysku. „Bezrobocie”, czyli zwalnianie siły roboczej w przedsiębiorstwach niewydajnych, zdawało się wówczas politycznie nie do przyjęcia. Stwarzało to z kolei sztuczne niedobory siły roboczej. Import Węgier z Zachodu wzrósł w ostatnim roku o 15%, gdy ich

eksport do tych samych krajów zaledwie o 4–5%. Teraz nowy plan domaga się rozsądniejszego podejścia do ekonomii. Około roku 1981 wszystkie odmiany subwencji będą przycinane, a zatem ceny pójda w górę. Będzie się zamykać lub łączyć przedsiębiorstwa niewydajne. Zachętą do większego współzawodnictwa w przemyśle ma być zakładanie liczniejszych spółdzielni przemysłowych i przyznawanie większych uprawnień handlowych przedsiębiorstwom w wielu dziedzinach, jak przemysł spożywczy i lekki. W ten sposób, oczekuje się, struktura gospodarcza stanie się bardziej racjonalna, bardziej podporządkowana wymogom podaży i popytu.

Przywódcy węgierscy nie mają złudzeń: przyszłość zapowiada ciężką harówkę. Minister finansów oświadczył w niedawnym przemówieniu, że w roku 1979 stopa życiowa wzrośnie o jeden ledwie procent (jeżeli w ogóle wzrośnie), a planowane podwyżki cen żywności i komunikacji (tramwaje, autobusy) ugodzą dość boleśnie przeciętnego obywatela. Niemniej jest mało prawdopodobne, by niezadowolenie przelało się tym razem na teren akcji politycznej. Dla wielu Węgrów opozycja wobec reżimu nie ma sensu, dopóki Kádár i jego ekipa są w stanie „zaopatrywać w towary”. I chociaż należy krytykować metody pracy biurokracji i stosowaną ostatnio politykę nominacji na odpowiedzialne stanowiska, sytuacja nie podsuwa żadnej innej alternatywy poza racjonalizacją ekonomii. Pozostaje pytanie, jak ludzie zareagują na zamykanie niewydajnych fabryk i czy rzeczywiście powstrzyma to braki w pewnych dziedzinach gospodarki.

Politycznie rzecz biorąc, reformy gospodarcze pociągające za sobą ciężary dla ludności mogą być przeprowadzone w dwojaki sposób: albo rząd wymusza posłuszeństwo siłą, albo idzie na ustępstwa. Pod pewnymi względami reżim Kádára zbliżył się do społeczeństwa – w ubiegłych trzech latach represje wobec opozycji były łagodne i selektywne, zadbano o dumę narodową Węgrów. W styczniu udało się rządowi sprowadzić ze Stanów Zjednoczonych koronę Świętego Stefana. Korona ta, znana również jako Święta Korona (używana do koronacji królów węgierskich), wywieziona została z kraju w roku 1945, dostała się w ręce wojska amerykańskiego w Austrii i odtąd przechowywana była w Fort Knox. Jej zwrot był emocjonalnym przeżyciem: nie oznaczał, jak sugerują niektórzy krytycy emigracyjni, amerykańskiego „zaprzeczenia się” reżimowi Kádára, lecz umożliwił setkom tysięcy ludzi oglądanie symbolu węgierskiej suwerenności narodowej w budapeszteńskim Muzeum Narodowym. W kilka miesięcy później Amerykanie rozszerzyli klauzulę „najbardziej preferowanego narodu” na Węgry – trzeci komunistyczny kraj korzystający z tej koncesji po Polsce i Rumunii.

Temat węgierskiej jedności narodowej podkreślono w kampanii władz w roku 1977, zmierzającej do rozwinięcia ściślejszych kontaktów z węgierskimi intelektualistami za granicą. W rzeczy samej od amnestii z roku 1963 liczba Węgrów, którzy opuścili kraj po powstaniu w roku 1956 i teraz go odwiedzali, rosła z roku na rok. Już pod koniec lat sześćdziesiątych zdarzały się podejmo-

wane bez zapału próby nawiązania „dialogu” z niektórymi grupami emigracyjnymi, ale dopiero w roku 1977 zaczęto drukować na Węgrzech wielu prozaików i poetów węgierskich przebywających na Zachodzie. Byłoby przedwczesne mówić o „normalizacji” stosunków (czy choćby swobodnego przepływu informacji) między pisarzami i uczonymi na Węgrzech, lecz postawiono obecnie pierwszy realny krok. Także w roku 1977 założono Międzynarodowe Towarzystwo Filologiczne, z siedzibą w Budapeszcie, posiadające jednak w swoim zarządzie Węgrów i cudzoziemskich filologów węgierskich z zagranicy.

Trudno z niejaką dokładnością ustalić, co skłoniło reżim Kádára do zwęksławiania na tory większej wyrozumiałości dla uczuć narodowych; w późnych latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych uważał przecież jeszcze „nacionalizm” za swego głównego wroga. Być może, zaważyło na tej zmianie przede wszystkim pogorszenie sytuacji Węgrów w Rumunii. Jeśli ostatnio prasa zachodnia przerwała długie milczenie w tej sprawie, stało się tak prawdopodobnie dzięki zainteresowaniu prawami człowieka i ich gwałceniem w krajach komunistycznych. Rumunia należy do najgorszych gwałcicieli, gorzej tam nawet niż w Czechosłowacji. Zamyka się w Rumunii więcej dysydentów w zakładach psychiatrycznych i prześladuje gorliwiej sekciarzy religijnych niż w większości krajów komunistycznych. Jest to stalinowskie państwo pozujące na dobrotliwą technokrację; kraj wściekłego nacionalizmu, z pretensjami do „internacionalizmu” czystszy niż sowiecki. Ceașescu oparł się co najmniej dwukrotnie presjom rosyjskim podczas swego panowania: w roku 1968, gdy odmówił wkroczenia do Czechosłowacji; i w grudniu 1978, w kwestii wydatków wojskowych; oba razy uszło mu to na sucho. Wiadomo jednak, jak źle prowadzi gospodarkę, jak tłumy wszelkie objawy opozycji i jak usilnie pracuje nad tym, by przemocą roztopić dwumilionową mniejszość węgierską w jednolitym państwie rumuńskim.

Z wyjątkiem krótkiego okresu nazajutrz po wojnie, i chwilowego rozluźnienia w latach 1968–1970, polityka komunistycznej Rumunii była ściśle centralistyczna i dyskryminacyjna wobec wszystkich mniejszości narodowych, zwłaszcza Węgrów. Węgrzy są w Rumunii jedyną mniejszością narodową, która (nawet według mocno preparowanych cyfr rumuńskich) rosła ilościowo w ostatnich latach; wielu etnicznych Niemców wyemigrowało do RFN, znaczny odłam Żydów wyjechał do Izraela. Dyskryminacje i represje skierowane przeciw Węgrom były szczególnie dotkliwe w okresie 1957–1962 i wzmogły się w ostatnich latach, jakkolwiek nie dochodziło do aresztowań. Nadzór policyjny, pobicia, szantaż, wyrzucanie z pracy są równie skuteczne, jeśli je umiejętnie stosować. Wszystko to zostało ostatnio ujawnione w serii dokumentów i memoriałów, wysłanych do Bukaresztu (i potem dostępnych na Zachodzie) przez Węgrów o wieloletnim stażu członkowskim w rumuńskiej partii komunistycznej. Są wśród nich memoriały byłego członka KC Károly Király (Tirgu Mures) i byłego rektora uniwersytetu w Cluj Lajos Takácsa, chociaż dokument najdokładniejszy i najbardziej wart cytowania wyszedł spod pióra autora podpisującego się

pseudonimem György Lazar (ogłosił go najpierw w Paryżu węgierski dwumiesięcznik emigracyjny „Irodalmi Ujsög”). Wszyscy autorzy zgodnie stwierdzają, że rumuńska polityka urzędowa zmierza do wyeliminowania w Transylwanii szkolnictwa w języku węgierskim. Na przykład ustawa 278/1973 ustala, że w szkołach powszechnych musi co roku napłynąć minimum 25 zgłoszeń, zanim wolno otworzyć klasę z językiem wykładowym węgierskim (czy jakimkolwiek innym „mniejszościowym”); na poziomie gimnazjalnym wymagane minimum rośnie do 36. Nie ma podobnych ograniczeń w stosunku do uczniów rumuńskich, wolno otworzyć klasę i dla dwóch tylko. Tak więc jeśli w okręgu Sekler (o przewadze języka węgierskiego) na 26 zgłoszeń dwa są rumuńskie, a 24 węgierskie, nauczanie w klasie musi się odbywać po rumuńsku! Nie ma prawie zupełnie technicznych czy zawodowych ułatwień szkoleniowych w językach różnych mniejszości. W okręgu Cluj, gdzie w roku 1966 Węgrzy stanowili 26% ludności, w roku szkolnym 1976–1977 liczbie 192 klas technicznych w języku rumuńskim odpowiadało 9 w węgierskim.

To część tylko skarg mniejszości węgierskiej; inne dotyczą dyskryminacji w zatrudnieniu. Mówiący po węgiersku lekarze przenoszani są ze swoich rejonów etnicznych i zmuszani do pracy gdzie indziej. Natomiast na obszarach zamieszkałych przez Węgrów uprzemysłowienie oznacza napływ z innych części kraju Rumunów, których władze lokalne faworyzują w przydziale nowych mieszkań. Mniejszość węgierska, na papierze w pełni równouprawniona, jest w praktyce całkowicie wyłączona z selekcji na odpowiedzialne stanowiska w rumuńskiej policji, armii i służbie dyplomatycznej. (Nie tak się dzieje w Jugosławii, gdzie Wojwodina posiada półmilionową mniejszość węgierską). Wielorakie są również skargi kulturalne: przede wszystkim pod adresem oficjalnej historii, która rozmyślnie ignoruje węgierską (i częściowo saksońską) przeszłość Transylwanii oraz jej dzieje jako odrębnego i autonomicznego księstwa, wysuwając jedynie na pierwszy plan wydarzenia, w których udział mieli Rumuni. Restrykcjom podlegają książki i gazety z sąsiednich Węgier. Cluj-Napoca czy Oradea odcięte są nie tylko od „Timesa” i „Le Monde’a”, lecz także od węgierskiego organu partyjnego „Népszabadság”!

Wszystko to powoduje wymianę not dyplomatycznych między Budapesztem i Bukaresztem. Węgierska opinia publiczna jest rozwścieczona dyskryminacyjnym traktowaniem Węgrów w Rumunii i domaga się od rządu przeciwdziałania procesowi „rumunizacji”. Reżim Kádára uległ niechętnie naciskom; w roku 1977 odbyło się w Oradei (Nagyvárad) spotkanie Kádára z Ceaușescu; z rezultatami bez większego znaczenia. Równocześnie toczy się wojna słów między węgierskimi i rumuńskimi pisarzami i historykami. Gyula Illyés, jeden z najwybitniejszych pisarzy i poetów węgierskich, napisał dwa artykuły do noworocznego (1978) numeru dziennika budapeszteńskiego „Magyar Nemzet”, nie odma- wiając sobie przejrzystych aluzji do sytuacji mniejszości węgierskiej w Rumunii. Wywołało to szal w Bukareszcie i autor odpowiedzi rumuńskiej naurągał

Illyésowi (lewicowcowi o długim stażu) od „faszystów spod znaku Horthyego”. Historycy rumuńscy wychodzą ze skóry, nie obawiając się śmieszności, w podbudowywaniu historycznych mitów. Ostatnio zaczęli obchodzić 2050 (!) rocznicę pojawienia się na dziejowej arenie pierwszego protorumuńskiego państwa pod wodzą trackiego wojownika imieniem Burebista. Urzędowo zrehabilitowano sadystę-maniaka Władę Tepes, rumuńskiego władcę z XV stulecia, pierwowzór hrabiego Draculi! Ale rumuński obłęd samopochlebstwa i mitoróbstwa poprzez historię nie martwi Zachodu; ani też nie spędza mu snu z powiek ledwie zawoalowana represyjność reżimu Ceaușescu. Jego taktyka grania „niezależnej” satelickiej karty opłacała się jak dotąd, lecz nawet ciche poparcie Zachodu nie będzie w stanie rozwiązać jego problemów gospodarczych. W każdym razie niezadowolenie mniejszości węgierskiej jest jedną ze spraw długoterminowych, z którymi musi się uporać, a jego dotychczasowa metoda „ostro naprzód – lekko do tyłu” nie zdoła rozbroić krytyków czy to na Węgrzech, czy na Zachodzie.

Na zakończenie szybki rzut oka na opozycję wewnętrzną. W roku 1977 zerwała się w Budapeszcie wichura podniecenia, gdy 34 węgierskich intelektualistów podpisało Kartę 77 na temat praw człowieka, zredagowaną przez opozycję czeską. Władze węgierskie usiłowały zbagatelizować sprawę, starannie unikając robienia ofiar z sygnatariuszy. W tym samym mniej więcej czasie marksistowskim filozofom i socjologom (przeważnie uczniom Lukácsa), których zalicza się niekiedy do „szkoły budapeszteńskiej”, wydano paszporty wraz z zachętą do wyjazdu na uniwersytety zagraniczne. Nawet György Konrád, *enfant terrible* literatury węgierskiej, dostał pozwolenie na roczny lub dwuletni pobyt za granicą, a jego druga powieść *Założyciel miasta* ukazała się w zeszłym roku w Budapeszcie z nielicznymi stosunkowo cięciami cenzury. Wszystko to wskazuje na nową giętkość ze strony reżimu; ale trudniej mu już przelknąć świeże wyzwanie.

Mam na myśli nagłą eksplozję samizdatu w Budapeszcie. Zjawisko jest w zasadzie nowe. Podobnie jak „Zapis” węgierskie teksty samizdatowe znalazły wydawcę na Zachodzie: ukazują się w Paryżu w serii „Magyar Füzetek” („Zeszyty Węgierskie”). Niektóre teksty ogłoszono również po angielsku w *Index on Censorship*. Drugi numer „Zeszytów Węgierskich” przynosi dobry wybór z węgierskiej antologii samizdatowej zatytułowanej sarkastycznie *0,1%* (aluzja do procentu ludzi głoszących przeciw w wyborach typu Frontu Patriotycznego), którą György Bence i János Kis opracowali na prośbę Adama Michnika. Dwie cechy antologii *0,1%* są szczególnie interesujące: jej autorzy należą prawie w całości do pokolenia po '56 roku; i szukają po omacku alternatywnego programu politycznego.

Tylko szukają po omacku; gdyż sytuacja, jak wspomniałem na wstępie, jest raczej niepodobna do sytuacji w Polsce. Cenzura na Węgrzech jest łagodniejsza, popularne tygodniki w rodzaju „Élet és Irodalom” czy „Uj Tükör” drukują niemal co tydzień artykuły krytyczne o takich czy innych aspektach życia skrzywionego i zduszonego przez biurokrację. Nie żeby dużo się działo po tych kryty-

kach; i nie zdają się one podkopywać centralnego założenia reżimu, że „w danych warunkach najlepszy jest nasz sposób rządzenia krajem”. Tak więc w swoim studium na łamach „Zeszytów Węgierskich” filozof Mihály Vajda dochodzi do następujących wniosków: po pierwsze, to prawda, że kompromis wypracowany między reżimem a społeczeństwem w latach sześćdziesiątych stracił swą zdolność do życia; nie można się w jego ramach posunąć naprzód o wiele dalej; po drugie jednak, wolno wątpić, czy nadeszła odpowiednia chwila do jego złamania. Drukując swoje studium w piśmie samizdatowym, Vajda sam go jakoś złamał, lecz tylko marginesowo – dopóki reżim dokucza jedynie swoim krytykom i izoluje ich, nie uciekając się do aresztowań, stary kompromis w zasadzie obowiązuje. Ilościowo inteligencja opozycyjna jest wciąż niewielka i skupia się prawie wyłącznie w Budapeszcie; czas pokaże, czy jej wyzwanie odciągnie wyobraźnię młodych od skromnej korupcji zaofiarowanej przez „socjalistyczny konsumizm”. W obecnej chwili jej znaczenie polega na umiejętności stawiania problemów, sygnalizowania frustracji i niezadowolenia w stosunku do reżimu, który utracił swój ideologiczny rozpęd i przemawia do poddanych tylko językiem bodźców materialnych. I gdy urzekająca wizja „komunizmu gulaszowego” stopniowo rozwiewa się na horyzoncie, pytanie: „dokąd zdążają Węgry?” zaczyna odzyskiwać swoją utraconą niemal ostrość.

[9/1979]

ZBIGNIEW BYRSKI

Na progu ósmej dekady

Z wyjątkiem rewolucji na Półwyspie Iberyjskim wszystkie te, które miały miejsce w XX stuleciu, mają jedną ważną wspólną cechę. Uczestniczące w nich masy, porwane chwalebными hasłami wolności i walki z tyranią, pełniły wyłącznie rolę instrumentalną. Po dokonaniu końcowego aktu rewolucji, czyli zainstalowaniu grupy nowych ludzi, zlikwidowaniu pokażnej liczby winnych i niewinnych (którzy znaleźli się w polu ostrzału wymiaru rewolucyjnej sprawiedliwości), nowa władza okazywała się wkrótce nie mniej, a przeważnie bardziej dyktatorska i barbarzyńska od poprzedniej. Nie przeszkadzało to w celebrowaniu „wyzwolenia”, albowiem lud, który wiwatował na cześć nowo powołanej zwierzchności, nie kwapił się do uznania tego, że stał się tylko narzędziem, a nie obiektem „wyzwolenia” (któż bowiem chętnie przyznaje się do tego, że wystrychnięto go na dudka?). Z tego powodu miódowy miesiąc trwał zwykle jakiś czas. Przeważnie kilka miesięcy – rzadziej rok lub dwa.

Te oczywiste refleksje powinny nasuwać się tym, którzy zastanawiają się po trosze nad następstwami już nie rewolucji październikowej – bo to stare dzieje – ale kubańskiej, wietnamskiej, irańskiej, etiopskiej i wielu pomniejszych. Niestety, mnóstwo ludzi, żyjących w krajach, które obserwują te rewolucje z bezpiecznego dystansu, nie lubi rozmyślać nad tym, co przez lata przyzwyczaili się adorować. Zaś „rewolucje” są admirowane, ponieważ wszelka ich negacja załatywałaby historyczną sklerozę. Kierunek historycznych przemian, które czasem rzeczywiście trudno zdefiniować (bo któż wie, jaki jest prawidłowy kierunek dziejów?), nie wydaje się dla entuzjastów rewolucji ważny. Szyld rewolucyjny wydaje się ważniejszy. Z tego powodu wciąż przeważa na świecie owo orwellowskie dwumyślenie, w którym wiele słów należy rozumieć odwrotnie. Orwell zapanał prawie niepodzielnie w ONZ, jeśli nie liczyć kilkunastu zastraszonych delegacji, które najchętniej wstrzymałyby się od głosu. Dzięki temu na ogólnym zebraniu tej organizacji popisuje się „wyzwolicielem” Fidel Castro, w dalekim Iranie zaś inny „wyzwolicielem”, ajatollah Chomeini. W Anglii w rozmowach z ministrem spraw zagranicznych lordem Carringtonem produkują się notoryczni mordercy – Mugabe i Nkomo, przywódcy dla odmiany nie „Frontu Wyzwolenieckiego”, ale – „Patriotycznego”, wyspecjalizowani nie tylko w strącaniu samolo-

rów pasażerskich, ale w dobijaniu ocalałych pasażerów. Pol Pot i Khmers Rouges w Kambodży dali najnowsza interpretację „wyzwolenia”. Junta w Nikaragui jeszcze nie, bo zanim przejdzie do bardziej szokujących popisów, chce przedtem wydoić Amerykę, korzystając z najgłupszego w naszym stuleciu amerykańskiego sekretarza stanu, Vance'a. Od blisko roku, w zajęтым przez armię wietnamską Phnom Penh, urzęduje zainstalowany tam przez Hanoi rząd Heng Samrina, który, rzecz jasna, również nazywa się rządem wyzwoleniczym. Rząd Heng Samrina rozstrzeliwuje umiarkowanie (jak na stosunki azjatyckie), natomiast, blokując pomoc dla głodujących, co najmniej od dziesięciu miesięcy skutecznie kontynuuje dzieło swego poprzednika Pol Pota*. Tu sprawa wymaga wyjaśniającego komentarza. Wiele osób, z którymi rozmawiałem, utrzymuje, że rząd Heng Samrina w Kambodży należy się umiarkowana pochwała i uznanie zgodnie ze starą, rozsądnie brzmiącą zasadą akceptowania „mniejszego zła”. Wobec tego nieodpartego argumentu jednemu z moich znajomych, którego rodzice zginęli w getcie warszawskim, zadałem kłopotliwe pytanie: „Przypuśćmy, że w 1941 roku w miejsce Eichmanna, zwolennika całkowitej eksterminacji Żydów, dostęp do Hitlera znalazłby inny – bardziej »umiarkowany« nazista, który by przekonał wodza, że zamiast stuprocentowego mordowania Żydów w komorach gazowych, należy użyć mniej drastycznych środków – np. obozów zagłodzenia, w których wystarczy umieścić tylko 50% żydowskiej ludności. Czy taki plan zyskałby sobie poparcie zagrożonych zagładą ludzi, czy też odrzuciliby politykę »mniejszego zła«, domagając się całkowitego położenia kresu ludobójstwu”? Oczywiście odpowiedź nie nasuwa wątpliwości. A przecież to, co czyni obecnie nowy rząd protegowany przez Hanoi, jest niczym innym jak dalszą fizyczną eksterminacją ludności Kambodży. Co prawda – nie tak rzucającą się w oczy wyselekcjonowanych reporterów, którym Wietnamczycy pokazują wyłącznie masowe groby – dzieło oprawców Pol Pota. Tu nasuwa się nieodparcie porównanie z minionych lat drugiej wojny światowej: z losem milionów jeńców sowieckich, których Niemcy hitlerowskie zagłodzili w obozach. Ci, którzy przeżyli, również

* Ostatnio, pomimo starań Kongresu amerykańskiego, który przeznaczył na pomoc żywnościową dla Kambodży około 70 milionów dolarów, wysyłając do Phnom Penh delegację Izby Reprezentantów z prośbą o dopuszczenie transportów żywności dla 3 milionów już nie głodujących – ale umierających z głodu ludzi, rząd Heng Samrina odmówił swej zgody. Dla uratowania od głodowej śmierci pozostałej przy życiu ludności potrzebne są dostawy co najmniej jednego tysiąca ton żywności dziennie. Nowy rząd Kambodży motywował swą odmowę tym, że żywność może trafić do północno-zachodniego zakątku kraju, gdzie obozuje liczne grupy partyzanckie wraz z rodzinami. Obecnie w żywność zaopatrywana jest tylko armia wietnamska, która w sile około 200 tysięcy żołnierzy okupuje Kambodżę. Najwidoczniej celem Hanoi jest, wedle starego powiedzenia z czasów carskich, oferować „martwym wolność”. Jeśli w końcu rząd w Hanoi uległ presji opinii publicznej bądź po prostu wykonał rozkaz Moskwy, dla której cała sprawa jest nieco żenująca, nie ma żadnej wątpliwości, jakie cele przyświecały rządowi Hanoi.

zostali „wyzwoleni” przez zwycięskie armie rosyjskie. Tyle tylko że hitlerowskie obozy powolnej śmierci zamienili na sowieckie gułagi. Inwazyjna armia wietnamska w Kambodży pełni taką samą rolę wobec ludności tego kraju, jak stalinowski aparat śmierci pełnił wobec „wyzwolonych” jeńców sowieckich z obozów niemieckich*.

O ileż jednak humanitarniej niż alianci postępuje wobec uchodźców z Kambodży słaba i bezbronna Tajlandia. Podczas gdy alianci zachodni oddawali władzom sowieckim każdego sowieckiego jeńca, nawet gdy udało mu się zbiec z obozu, Tajlandia, borykając się z gigantycznymi trudnościami i bezustanną groźbą inwazji ze strony agresywnych sąsiadów Laosu i Wietnamu, udziela im przynajmniej czasowego schronienia do chwili, gdy warunki w ich ojczystym kraju zezwolą im na powrót bądź przytuli ich inny kraj.



To, co piszę obecnie o językowym sabacie czarownic, rozwielnionym na świecie, nie jest oczywiście niczym nowym. Badacze języka, od Carnapa począwszy**, a na Chomskim skończywszy, z dawna uważali, że język jest czymś więcej niż instrumentem porozumienia. Poza tym, że jest bardzo skutecznym narzędziem nieporozumień, jest w ogóle demiurgiem kultur i pseudokultur wielu grup etnicznych na świecie. Obecna funkcja języka w tworzeniu kultur wydaje się bardzo skromna i przygaszona wobec rozzuchwalonych polityków, proroków i wyzwolicieli, którzy rzucają słowami z trybun lub ekranów telewizyjnych w zafascynowane tłumy niczym pociskami eksplodującymi. Te pociski sięją bardziej niebezpieczne spustoszenie w mózgach ludzkich, niżby czyniła to najgroźniejsza broń konwencjonalna w ich zdrowych i rzeźkich ciałach. Ale właśnie dlatego, że język stał się tak niebezpieczną bronią politycznych szalbierzy, nie wolno nam go ograniczać. Nie można w tym względzie imitować Sowietów, którzy obwarowali swą partyjną nowomowę monopolem. To, co należy czynić, a co nie jest rzeczą łatwą, to „sprzysiężenie” ludzi szukających prawdy, której nie można kamuflować drętą czy maniacką mową. Albowiem ta „niby-mowa”, miast trafiać do głów, omija mózgi. Nie pobudza receptorów do myślenia, natomiast mobilizuje słuchaczy do działań. Wobec nich ci, którzy

* Piszę tu wyłącznie o zwykłych jeńcach, a nie o wojskach Własowa, czyli o jeńcach sowieckich zwerbowanych przez Wehrmacht.

** Prof. Rudolf Carnap, założyciel słynnej szkoły wiedeńskiej, wykładający później w Chicago, zajmował się przede wszystkim logiczną składnią języka, nie angażując się w konsekwencje polityczne, jakie sprowadza niesprawny język.

myślą, stają się bezbronni. Przyglądają, a raczej przyglądali się im w późnych latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych z wielu olimpów uniwersyteckich, uwiedzeni radykalizmem młodzieży, dobrze zaawansowani w latach profesorowie. Tę epokę – wydaje się – mamy szczęśliwie za sobą. Nowe pokolenie nastolatków amerykańskich, tak jak to bywało już w przeszłości, traci wiarę w hasła. Zaczynają myśleć, i to nieraz bardzo „niebezpiecznie”, bo retrospektywnie. Być może więc, że stoimy na progu epoki, która w roku 1956 w Polsce określona była jedną krótką formułą: „Myślenie ma wielką przyszłość”. Wówczas jednak złudzenie rozwiało się szybko. Krótkotrwałą optymistyczną formułę zastąpiono innym gorzkim zdaniem: „Myślenie ma wielką przeszłość”. Stało się to dzięki Wielkiemu Bratu i jego partyjnym pełnomocnikom. Dla nich inne niż partyjne myślenie było śmiertelnym niebezpieczeństwem dla całości imperium – co zatem idzie – ich władzy. Ale od owych czasów minęło już niemal ćwierć wieku. Imperium sowieckie, choć militarnie tak potężne jak nigdy, nie sprawuje już tego rządu dusz metodą strachu jak dawniej. Dygnitarstwo, które ma wiele do stracenia, pada plackiem przed sowieckim olimpem. Lud prosty, choć daleki od otwartego buntu, nie przytakuje już władzy, jak to dawniej bywało. Po prostu przestaje udawać, że wierzy i ufa kierownictwu. Sądzę, że martwota oficjalnego słowa przyjmowana jest podobnie jak w Polsce – niczym monotony dźwięk katarynki, który zatrzymuje się na powierzchni błon bębnekowych sowieckich ludzi. Do mózgów już nie dociera.

To samo dotyczy zachodnioeuropejskich i amerykańskich gangsterów słowa, którego siewcami są renomowane pisma i wielkie korporacje radiowo-telewizyjne. Dlatego idea przywrócenia rzetelnej wartości słowu płynącemu z głośników, ekranów telewizyjnych i szpalt gazet zyskuje z wolna na sile i popularności.



Izrael jest jedynym z krajów należących do cywilizacji zachodniej, który zachował instynkt i wolę obrony. Izraelczycy wybrali sobie świadomie miejsce oblężonej twierdzy wraz ze wszystkimi jej nieprzyjemnymi konsekwencjami. Ta sytuacja doprowadza niektórych Izraelczyków do stanu euforii. Innych – napawa przerażeniem, skłaniając do ucieczki. Najgorsi i najniebezpieczniejsi są ci, którzy mniej myślą o zachowaniu państwa, a więcej – o wypełnieniu misji religijno-narodowej. Jesteśmy bowiem świadkami niewiarygodnej polityki rządu Begin, który próbuje wzorować się na hakacie pruskiej w swej akcji wywłaszczania Arabów z ziem okupowanych. Izrael jest osobliwością, która łączy w sobie cechy państwa teokratycznego ze swobodami demokratycznymi. Nie oznacza to bynajmniej tego, że swobody są dla Żydów, a bat – dla Arabów. Oznacza to tylko, że wbrew prawu, o którym ostatnio przypomniał Beginowi Sąd Naj-

wyższy w Jerozolimie*, rząd dopuszcza się bezprawia. Takie wypadki zdarzają się również w państwach legitymujących się niekwestionowanym patentem wolności i demokracji. Dopóki ciała ustawodawcze i sądy nie legalizują bezprawia, które popełnia administracja, dopóty nie ma racji obdarzać takiego państwa niepochlebnymi i przeważnie nieadekwatnymi epitetami w rodzaju: faszyzm, totalitaryzm, dyktatura.

Takiej sytuacji w Izraelu jeszcze nie ma, o czym nieomylnie świadczy decyzja Sądu Najwyższego w Jerozolimie, dymisja Dajana, nie mówiąc już o rosnącej opozycji przeciw psychopatom, którzy w Jerozolimie doszli do władzy.

W przekonaniu Begin Żydzi są narodem wybranym, bo tak orzekli starotestamentowi prorocy. Natomiast dla szejków, ropodzierzców, królów i prezydentów arabskich – narodem wybranym spośród wszystkich uciśnionych ludów świata są Palestyńczycy. I oto świat zaczyna z wolna tę prawdę, jak natrętą reklamę, przyjmować. Więcej – gotów jest zapomnieć o wielu innych narodach o nieporównywalnie starszych tradycjach niepodległościowych, żyjących pod cięższym uciskiem niż izraelski. W koncercie z naftowymi szejkami i Jasirem Arafatem coraz większa część opinii publicznej zaczyna wielkim głosem domagać się niepodległej Palestyny. Ta właśnie niepodległość, a nie żadna inna, stała się nagle niezmiernie ważna – ba, najważniejsza, bo jeśli się jej szybko nie zrealizuje, to... lepiej nie myślimy o tym, co się światu może przydarzyć. W świetle postulatów niepodległościowych PLO, żądania Polaków, Czechów, Litwinów, Ukraińców i jeszcze kilku innych narodów nabrały charakteru jakichś niedowarżonych pretensji ze strony nacji, które już nieraz w przeszłości przysparzały kłopotów rozmaitym gwarantom pokoju w rodzaju Chamberlaina. Teraz mogą z kolei zdenerwować sowieckie politbiuro, pogorszyć stan zdrowia Breżniewa i naruszyć porządek we wschodniej Europie. – Jeszcze tego potrzeba – bąkają zapewne z przyganą politycy w Waszyngtonie, Paryżu, Londynie i w Bonn. – Tak, jakbyśmy mieli mało kłopotów z Bliskim Wschodem, ropą i Murzynami w Rodezji.

W ten sposób świat stał się biernym świadkiem nowej gigantycznej mistyfikacji, podszytej łatwą do rozszyfrowania obłudą. Mówi się, że prowizoryczna konstytucja Zimbabwe-Rodezji jest niedobra i że trzeba w większym stopniu uwzględnić żądania „Frontu Patriotycznego”, a myśli się o nafcie nigeryjskiej (3,6% wydobywania światowego, czyli więcej niż dostarcza Kuwejt według danych z roku 1977).

Ostatnio na całym Zachodzie, a zwłaszcza w Ameryce toruje sobie drogę przekonanie, że byle by tylko oferować Palestyńczykom ich własne niepodległe państwo – a ropa zacznie płynąć do krajów Zachodu i Japonii szeroką rzeką, po cenie rewelacyjnie niskiej. Co głupsi wierzą w tę prymitywną bajeczkę, ale tych

* Uznając za nielegalne osiedlenie się Żydów na ziemiach będących własnością Arabów.

„co głupszych” jest na świecie coraz więcej. Poza tym, przez to, że ludzie są zmęczeni ustawicznymi wiadomościami, że coś tam na Bliskim Wschodzie może znów wybuchnąć, stają się podatni na każdą prymitywną blagę. Ten stan zamroczenia umysłów amerykańskich trafnie odczytał saudyjski minister energetyki Ahman Zaki Yamani. W czasie konferencji prasowej w Waszyngtonie Yamani, z uśmiechem prawdziwego naftowego czarodzieja, oświadczył, że „Ameryka nawet nie wyobraża sobie, jakie wspaniałości by ją oczekiwały w wypadku zapewnienia całkowitego pokoju na Bliskim Wschodzie”. Ten pokój na Bliskim Wschodzie, którego fundamentem miałyby być wspólna deklaracja sowiecko-amerykańska – o czym Yamani wspominał w innym wywiadzie – jest oczywiście kryptonimem niepodległej Palestyny. – A co będzie, jeśli Ameryka nie zaakceptuje propozycji pana ministra – zapytał naftowego wielkorządcę reporter prowadzący z ministrem wywiad telewizyjny w New Yorku? – Czy Saudia przestanie produkować obiecany dodatkowy milion baryłek ropy dziennie? – Nie – odpowiedział minister – Arabia Saudyjska nie opuści swego amerykańskiego przyjaciela, ale po prostu liczy na to, że jej dobra wola zostanie doceniona. – Poza tym – dodał szejk Yamani – cieśnina Hormuz jest bardzo wąska. W Kuwejcie roi się od Palestyńczyków i któż może zagwarantować, że tankowce przewożące ropę któregoś dnia nie eksplodują albo zgola nie zablokują cieśniny?

Jak widać z tego, szejk Yamani jest szantażystą taktownym. Grozi i jednocześnie z góry wyraża kondolencje szantażowanemu z racji konsekwencji, które będzie musiał ponosić, o ile szantażowi nie ulegnie.

Co wobec tego należy uczynić? Skoro 90 narodów, w tej liczbie Santa Lucia i Jamajka, tudzież Swaziland, mają niepodległość, to dlaczego nie przyznać jej Palestynie? Nawet wówczas, gdy ofiarą sowieckiej zaborczości padło 35 lat temu wiele krajów wschodniej Europy. Bo przecież to, że ktoś nie ma tego, co mu się należy, nie może być racją, żeby tego co sprawiedliwe odmawiać drugiemu?

Gdyby cały problem leżał wyłącznie w płaszczyźnie moralnej, byłby do rozwiązania prosty. Na nieszczęście tak nie jest. Wchodzą tu w rachubę inne ważniejsze okoliczności, ze Związkiem Sowieckim na czele. Czymkolwiek jest Izrael: czy rządzi w nim psychopata Begin, czy rozsądniejszy Peres, kraj ten jest wciąż zbrojną flanką Ameryki, która w znoju i trudzie musi przekonywać swych coraz bardziej rozczarowanych aliantów, że nie jest jeszcze całkowitym bankrutem – że wciąż jeszcze istnieją szanse jej psychicznej i militarnej rehabilitacji.

Dlatego uznanie obecnie, w aktualnych okolicznościach, pod presją i szantażem, tego wszystkiego, czego domaga się PLO i jej protektorzy, byłoby jeszcze jedną klęską Ameryki – tym razem pieczętującą jej los. A tego nie wynagrodzą jej nawet miliardy ton ropy. Ameryka nie może przywrócić swej potęgi poprzez zagwarantowanie dawnego stylu życia i komfortu swym obywatelom, bo właśnie ten luksus doprowadził ich do stanu bezwładu. Odwrotnie – musi nauczyć się wyrzeczeń. Zresztą, gdyby uległa w tej chwili szantażowi, ropa z krajów arabskich wcale nie zaczęłaby szerokim strumieniem

płynąć. Jeśli – to może przez tydzień lub dwa. Ale potem? – Z jakiej racji? Z wdzięczności? Wobec kogo?

Wobec rzuconego na klęczki Zachodu? Ani Sowiety, ani Trzeci Świat nie należą do wielkodusznych zwycięzców. Ajatollah Chomeini daje nam próbkę wspaniałomyślności wobec pokonanych. Człowiek, który zamienił swój kraj w jeden z najbardziej ponurych obozów koncentracyjnych, domaga się dalej głowy chorożego śmiertelnie szacha, a przedstawiciele Departamentu Stanu tłumaczą się gęsto, że szachowi pozwolono zostać w Stanach tylko tak długo, jak wymagać tego będzie jego leczenie. Iran, mimo bogatych zasobów ropy, której cenę śrubuje się co kilka miesięcy, pogrąża się w gospodarczej ruinie. Wicepremier dr Yazdi, najbliższy współpracownik demonicznego starca, wie, że po wstrzymaniu budowlanych i przemysłowych inwestycji miliony bezrobotnych zapełniają ulice perskich miast*. Mimo to z uśmiechem złośliwego zadowolenia na twarzy oświadcza reporterom amerykańskim: „Bonanza się skończyła”. Innymi słowy: „nasz lud może nie mieć chleba, ale wy będziecie musieli drogo płacić za ropę”. Taki bilans w pełni go zadowala. Logika Trzeciego Świata, który domaga się sprawiedliwego podziału dóbr materialnych, nie jest wcale logiką sprawiedliwości. Jest logiką zemsty. Zgodnie z nakazami chrześcijaństwa, „winniśmy kochać nieprzyjaciół nasze”, ale to wcale nie oznacza, że należy zezwolić na zaciśnięcie na naszych szyjach pętli.

Stosunek Trzeciego Świata, a przynajmniej niektórych jego krajów do Ameryki i ZSRR, choć trudno go wszechstronnie scharakteryzować, cechuje jeden

* Jak katastrofalna musi być sytuacja Iranu i do jakiego stopnia kraj ten niezdolny jest do gospodarowania bez obcych specjalistów swym głównym bogactwem – ropą – dowodzi fakt, że kilka miesięcy temu nastąpił w tym wyzwolonym od imperialistów państwie dotkliwy brak nafty, której ludność używa do opalania mieszkań i gotowania. W tej sytuacji rząd Iranu zwrócił się do Stanów Zjednoczonych o dostawę nafty, którą jej dostarczył (i jak przypuszczam, dostarcza dalej). Trzeba przy tej okazji zwrócić uwagę na niezmiernie dyskretne zachowanie się amerykańskich reporterów telewizyjnych, nieraz bardzo agresywnych wobec innych dyktatorskich rządów. Panowie ci – konkretnie McNeil i Lehrer – przeprowadzając wywiady z przybywającymi tu stale lub przejazdem dygnitarzami irańskimi, nigdy nie zadają im nadmiernie kłopotliwych pytań. Między innymi w czasie rozmowy z odwiedzającym ONZ wicepremierem dr. Yazdi, nikt nie zapytał go o ową nieszczęsną naftę, której Iran nie może sam wyprodukować. Sprawa egzekucji przestępców niepolitycznych – w tym 15-letnich chłopców oskarżonych o homoseksualizm, też została wicepremierowi oszczędzona. Znacznie więcej odwagi okazała włoska dziennikarka Oriana Fallaci, która po 10-dniowym czekaniu w świętym mieście Qum została dopuszczona przed oblicze „dostojnego starca”. Niezrażona tym, że w czasie rozmowy ajatollah kilkakrotnie próbował zakończyć wywiad i wyprosić reporterkę, Oriana Fallaci zadawała mu wszelkie możliwe kłopotliwe pytania, które ujawniły ciasnotę, okrucieństwo i ignorancję, a przede wszystkim kłamstwa władcy Iranu. Wywiad ukazał się w „New York Times Magazine” 7 października 1979 roku. Gorąco zalecam czytelnikom „Kultury” zapoznanie się z jego treścią. Zapewne ukazał się również w innych językach niż angielski.

ważny rys. Rys ten można było uchwycić właśnie we wspomnianym przeze mnie wywiadzie Oriany Fallaci z ajatollahem. Gdy włoska dziennikarka starała się podkreślić udział w obaleniu szacha marksistowskiej lewicy – obecnie prześladowanej – władca Iranu odpowiedział jej, że lewica irańska [choć w 90% marksistowska, lecz w nikłym stopniu należąca do komunistycznej Partii Tudeh – przyp. mój] jest tworem sztucznie stworzonym przez Amerykę, której celem jest sabotaż rewolucji islamskiej. Ta odpowiedź, będąca oczywistym nonsensem, nie odzwierciedlała, jak sądzę, przekonań imama. Niemniej pod jednym względem była symptomatyczna. Ajatollah bardziej lęka się Sowietów niż Ameryki, ale bardziej nienawidzi Amerykę niż Sowietów. Te dwa elementy – strachu przed Sowietami i nienawiści do Ameryki lub ogólniej – świata zachodniego, są o tyle ważne, że można je odnaleźć w postawach wielu państw Trzeciego Świata. Często proporcja między strachem, jaki wzbudzają Sowiety, i wrogością do Ameryki determinuje orientację aktualnego rządu. Proporcje te ulegają częstym zmianom w wyniku przewrotów. Oczywiście nie w wypadku przewrotów, które zmieniają kraje w satelitów Rosji. Wówczas trudno mówić o proporcjach.

Wypadek Iranu jest przykładem, w którym działanie tych dwu elementów widać bardzo klarownie. Ajatollah Chomeini zdaje sobie sprawę, że odsunięte bez żadnego oporu od swych wpływów w Persji Stany Zjednoczone nie zagrażają mu niczym. Jeśliby wróciły do tej części świata, to tylko na skutek przemian wewnętrznych i sił społecznych w Persji, które przerażone losem, jaki zgotowała ich krajowi „rewolucja islamska”, wypędziłyby mułłów, zlikwidowałyby tzw. ludowe komitety zajmujące się głównie egzekucjami. Jeśliby, w wyniku tej skądinąd bardzo postępowej kontrrewolucji, zapamiętały w swym okrucieństwie brodacze zachować głowę, to tylko dlatego, że działająca obecnie w ukryciu opozycja demokratyczna, zarażona humanitaryzmem Zachodu, nie zastosowałaby wobec niego tych samych kryteriów „islamskiej sprawiedliwości”. W tego rodzaju sytuacji ewentualna restytucja wpływów Ameryki i Zachodu byłaby bardzo wyważona i limitowana dotychczasowymi katastrofalnymi doświadczeniami. Same Stany Zjednoczone nie uczynią w obecnej sytuacji niczego, aby odbudować swe wpływy. Alternatywa Iranu, rządzonego przez ajatollaha, jest dla nich znacznie lepsza niż status Afganistanu. O tym, że żadna groźba sabotażu lub instygowanego przez Amerykę przewrotu w Iranie nie istnieje, ajatollah wie doskonale. Wie, że teraz i w najbliższej przyszłości Amerykę interesują tylko i wyłącznie dostawy ropy i że za cenę tych dostaw Waszyngton – tak rzekomo wyczulony na gwałcenie praw obywatelskich – nie kiwnąłby palcem nawet, gdyby ajatollaha nawiedziła myśl, że należy spalić Teheran i wysiedlić z niego ludność jak z irańskiej Sodomy, zakażonej beznadziejnie trądem zachodniej kultury i cywilizacji.

Z tego wszystkiego władca Iranu zdaje sobie doskonale sprawę, bo przy całej swej ciasnocie i ignorancji ma niewątpliwie dobrze wyostrzony realizm zręczne-

go polityka. Gdyby nim nie był, nie udałoby mu się pokierować rebelią i zdobyć nieograniczonej władzy. Natomiast jedyna realna interwencja – mianowicie sowiecka, każe mu się bardziej lękać ZSRR niż czegokolwiek innego. Nie musi to być wcale interwencja zbrojna. Sowiety, przy swojej sąsiedzkiej granicy, mają rozległe środki infiltracji, a ponieważ Persowie nie należą do narodów najbardziej nieprzekupnych, nie byłoby zbyt wielką niespodzianką, gdyby spora część mułłów znalazła się któregoś dnia na liście płacy KGB. Zwłaszcza że bazarnicy – ważna podpora rewolucji – w miarę pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego coraz niechętniej wspierać będą pieniądze szyickich duchownych. Ci, w przeciwieństwie do purytańskiego ajatollaha, nie są nieczuli na pokusy doczesności. Tego niebezpieczeństwa, którego źródłem jest północny sąsiad Iranu, wszechpotężny imam jest prawdopodobnie w pełni świadomy, ale przyznać się do tego jawnie nie może, ponieważ prezentując się jako wybraniec ludu (co wcale nie jest dalekie od prawdy, z tym że lud odznacza się wielką niestałością uczuć), musi obstawiać, że władza jego oparta jest na niewzruszonej opoce. Wiedząc wszelako, skąd rzeczywiste niebezpieczeństwo mu grozi, nie ma on powodu Sowietów nienawidzić. Nie są one dla niego obiektem nienawiści, ponieważ wobec nich ani ajatollah, ani Irańczycy nigdy nie odczuwali kompleksu niższości*.

Sowiety są w tej sytuacji, że prawie żaden naród nie ma wobec nich żadnych kompleksów. Odczuwa tylko strach. Te dwa fenomeny są z jednej strony następstwem ich całkowitej niewydolności ekonomicznej, z drugiej – potęgi militarnej. I one właśnie, jak stwierdziłem, są źródłem determinującym rozmaite proporcje w stosunkach do Ameryki i Rosji – oczywiście poza światem satelitów sowieckich.

Iran i Arabia Saudyjska są przykładami dość dobrze ilustrującymi moją tezę, jak się owe proporcje strachu i nienawiści załamują. Kompleks niższości wobec Zachodu jest w Persji tym silniejszy, że Iran, przy ponad dwóch i pół tysiąca lat liczących tradycjach państwowości i spuściźnie kulturalnej, której negować nikt nie może, okazał się zupełnie niezdolny do stworzenia własnego samodzielnego bytu gospodarczego na poziomie usług i produkcji towarowej nowoczesnego państwa. A ponieważ własnemu narodowi im ciśniejszą nakłada się obroż, tym bardziej należy mu schlebiać, dlatego – winni muszą być o b c y. Oni to właśnie deprawują duszę narodu, sieją korupcję i odpowiadają za demoralizację. Czasami bywa i bywało tak rzeczywiście. Na ogół jednak, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach naszego stulecia, trudno już czasem dociec, kto kogo deprawuje.

O tym, że Izrael – ekspozytura cywilizacyjno-militarna Zachodu – jest kamieniem obrazy dla poważnej liczby krajów Trzeciego Świata, z których wiele ma genealogię kolonialną – pisałem już wystarczająco obszernie (*Kraje arabskie*

* O kompleksie niższości ludów Trzeciego Świata wobec Zachodu, który w moim pojęciu jest elementem upokorzenia, co z kolei implikuje nienawiść, pisałem w artykule: *Przemiany w światowym układzie sił* w numerze kwietniowym „Kultury” z 1979 roku.

a *Izrael*, „Kultura” nr 5/380). Fakt, że Izrael jest szczególnie bolesną zadrą dla Arabów w zaistniałym układzie emocjonalno-geograficznym, jest faktem zrozumiałym. Ale Iran stał się wyjątkowym przykładem państwa niearabskiego (jedyne, które zerwało stosunki dyplomatyczne z Egiptem), którego ładunek nienawiści do syjonizmu zrównał się z potencjałem awersji do USA. Ukrywany przez ajatollaha strach przed realnym niebezpieczeństwem – sowieckim – musi znaleźć swój ekwiwalent w podsycanej nienawiści do Zachodu. Immanowi Iranu wydaje się, że cofnięcie kraju w ciemności średniowiecza, wraz ze wszystkimi jego skutkami cywilizacyjnymi, jest nie tylko możliwe, ale przyjęte zostanie z takim samym entuzjazmem przez jego poddanych, z jakim demonstrowali oni, domagając się głowy szacha. Z jego strony jest to po prostu dowodem kompletnej nieznajomości historii i braku wyobraźni. Nie pojmuję on elementarnej prawdy, że pewne procesy cywilizacyjne dadzą się odwrócić tylko na krótko. Nie rozumie tego, że łatwiej jest plk. Kadafilemu trzymać w posłuchu lud, któremu nikt nigdy niczego nie ofiarował, niż jemu, który ma do czynienia z milionami ludzi, którzy już zbyt zasmakowali w dwudziestowiecznym menu, by pod nakazami proroka wracać do dziewiętnastowiecznego jadłospisu. Historia pouczy go o tym wkrótce. Ajatollah może przetrwać jeszcze rok, najwyżej – dwa.

Jakkolwiek się wszelako potoczą losy Iranu, postępowanie nowego rządu i przebieg islamskiej rewolty jest potwierdzeniem mojej hipotezy – że strach i nienawiść kierowane w stronę leżących na dwóch biegunach potęg determinują politykę najważniejszych partnerów Trzeciego Świata.

Nieco inaczej i trzeźwiej ocenia swe przyszłe losy Arabia Saudyjska. Istnienie Izraela w arabskiej przestrzeni geograficznej jest też bolesnym przypomnieniem ich własnej, napęczniałej bogactwami, cywilizacyjnej niewydolności. Ale ta dotkliwa zadra jest miarkowana bardziej realną i nie tak zakompleksioną oceną niebezpieczeństwa sowieckiego jak w Iranie. Szejkowie saudyjscy nienawidzą szczerze Ameryki, choć bez tej patologicznej pasji ajatollaha. Obecna słabość Stanów gwarantuje im to, że nigdy nie będą opanowani przez euroamerykański kolonializm, jak to dawniej bywało, za ojców czy za dziadków obecnych władców. Ale pociecha stąd mała. Cóż z tego, że Riad – dyktując ceny ropy, a czasem zabawiając się w dobrego wujaszka, mógł nieco zwolnić śrubę naftową, skoro nowi – z nienasyconymi apetytami – spadkobiercy do objęcia zachodnio-amerykańskiej masy upadłości przelkną bez trudu Arabię, może nawet nie fatygując własnych dywizji. Arabscy szejkowie i monarchowie, opanowani pragnieniem zachowania swej naftowej potęgi, wiedzą, że Ameryka przestała już dawno być ich puklerzem. Waszyngton traktowany jest przez Riad z takim lekceważeniem i wzgardą, na jakie zasługuje, i żadne „waleczne słowa” Jimmy’ego Cartera tu nie pomogą. Wszyscy – i ci najgłupszy, i ci mądrzejsi – wiedzą już, że są to tylko czcze pogroźki.

Jeśli mimo tej dramatycznej sytuacji, która w ciągu ostatnich 10 lat wylania się na naszych oczach, uzbrojony blok Sowietów, ich najemników i satelitów nie uderza, to działa tu wiele przyczyn.

Pierwsza – to widmo „uśpionego giganta”, którego 39 lat temu rozbudziły japońskie bombowce nad Pearl Harbor. Jak wiele z owej Ameryki drzemie jeszcze w obecnym letargicznym narodzie? Trudno to odgadnąć. Jeszcze trudniej wymierzyć. Ale Japończycy byli wówczas świadomi swego ryzyka. Ponadto byli zmuszeni konsekwencjami własnej agresji w Chinach i ultimatum Roosevelta, który chciał ich odciąć od indochińskiej ropy. Położenie Japończyków wobec USA było wówczas trudniejsze niż obecnie Rosji i paktu warszawskiego wobec Ameryki i aliantów, przypominających stado spłoszonych kur.

Druga – to alternatywa powolnego zaciskania pętli na przeciwnikach. Alternatywa ta nie wymaga drastycznych i nieodwracalnych decyzji, na które członkom politbiura też niełatwo się zdobyć. Z drugiej strony metoda wymuszania częściowych kapitulacji przy użyciu kamuflażu, w której Sowiety są mistrzami, ma liczne zalety. Głównie dlatego, że mocarstwa zachodnie poddają się chętnie podbojom metodą „salami” i są wdzięcznymi receptorami uperfumowanych dymnych zasłon. Najlepszym przykładem jest sam prezydent Carter, który w swym kompromitującym przemówieniu „kubańskim”, nawiązując do owej sowieckiej brygady na Kubie, zapewnił słuchaczy, że w tej materii ma „solenne zapewnienie najwyższych czynników sowieckich, że owa brygada ani się nie powiększy, ani nie będzie użyta przeciw Stanom lub zaprzyjaźnionym z nimi krajom w tym rejonie świata”. Inaczej mówiąc, „słowa Breżniewa – to nie dym”.

Metoda częściowych podbojów ma jednak swoje cienie. Jak długo można ją stosować? Hitler był krótkodystansowcem. Przebył swoją drogę szybko – wielkimi skokami. Nie pozostawił swym ofiarom zbyt wiele czasu do namysłu. Zresztą świadomie dążył do wojny, bo bez niej nie mógł uwieńczyć swej głowy laurem zwycięzcy. Sowietom na takich dziecińczych akcesoriach nie zależy. Dlatego woleliby dokonać podboju bezboleśnie – o ile możliwe bez wojny. Ale w ten sposób zostawiają swym ofiarom zbyt wiele czasu do namysłu i refleksji. Wielka jest miara głupoty narodu amerykańskiego i Zachodu, ale nie bezmierna. Z każdym rokiem – z każdym nowym niewielkim sukcesem sowieckim – następuje kolejna porcja otrzeźwienia. Przy tym nie zawsze są same sukcesy. Czasami trzeba się cofnąć – a wówczas Zachód, miast dostawać przynajmniej lekkiego zawrotu głowy od sukcesu – dostrzega słabość Sowietów. To też niedobrze. Dlatego metoda „salami” nie daje stuprocentowej gwarancji powodzenia. Z kolei – metoda szybkich i gwałtownych rozwiązań militarnych. Tu myślę, że najlepsza koniunktura dla Sowietów przypadła na krótko po klęsce wietnamskiej Ameryki. Pograżona w depresji i niewierze we własne siły, nienawidząca swych prezydentów, rządu, armii, a uwielbiająca tylko liberalnych sędziów Ameryka była wówczas „ziemią niczyją”. W dodatku, mimo głębokiego konfliktu Chin z Rosją, żył jeszcze na wpół szalony przewodniczący Mao i zbliżenie amerykańsko-chińskie (dalekie jeszcze i obecnie do przeobrażenia się w dojrzały alians) było w stanie przedembrionalnym, nie wychodząc zbyt daleko poza stadium ping-pongowe. Obecnie szanse dla Sowietów się pogorszyły. Pod presją okoliczności

ci, mimo oporu ciemnych jak tabaka w rogu ultrakonserwatystów, wierzących ciągle w niespożytą moc ducha amerykańskiego, obydwie kraje zbliżają się coraz bardziej w sferze militarnej i gospodarczej. Niemniej nie można całkowicie wykluczyć ze strony Rosji rozwiązania militarne, choć stanowi ono poważne ryzyko. O użyciu nuklearnej broni strategicznej – nie ma co mówić, o ile nie użyją jej pierwsi amerykańscy generałowie, chcąc zrównoważyć przewagę sił konwencjonalnych Sowietów. Ale tego zapewne nie uczynią. Sowiety – jak już pisałem poprzednio – pragną zwycięstwa nad światem, a nie nad cmentarzem. Nie zamierzają zaczynać od punktu zerowego jak Pol Pot w Kambodży. Są większymi realistami. Zaczęli od spuścizny po carskiej Rosji i dokąd doszli? Gdyby zaczęli od zera, przy zerze by zostali. Nie należy się nad miarę lękać „czarnego nuklearnego luda”, bo od nadmiaru strachu Zachód może zwariować. A wówczas nie będzie naprawdę z kim Sowietom prowadzić ani zimnej, ani gorącej wojny.

Przed rozpoczęciem wojny Sowiety na pewno długo będą się wzdrygać. Tak długo, że może nigdy do niej nie dojdzie. Klucz do odwołania tej sprawy na czas nieokreślony leży w postawie narodów sowieckich i w Chinach. Własnych narodów Moskwa boi się bardziej od połączonego arsenału NATO. Ale narody sowieckie – to wielka niewiadoma. Jak dalece są one dla Rosji groźbą – tego nikt nie wie, łącznie z członkami sowieckiego politbiura. Ci, choć nie izolują się od złych wieści, jak to czynił Stalin, wiedzą dostatecznie mało, by pozostawać w ciemności. Jest to zresztą nieodzowny atrybut każdego społeczeństwa totalitarnego. Chwalebny wyjątek stanowi PRL, gdzie uchylono nieco hermetycznej pokrywy. Z musu – ale uchylono. W wypadku wojny i szybkich druzgocących sukcesów militarnych Sowietów na narody sowieckie nie można liczyć. Przeciwnie – pogrążą się one w apatii i wierze w tysiącletnie imperium sowieckie. Bo cóż im innego pozostanie? Odwrotnie – pierwsze rosyjskie niepowodzenie zwiększy zawartość materiału palnego w imperium. Armia nie będzie wówczas zdolna do prowadzenia wojny na dwóch frontach – przeciw Zachodowi i narodom sowieckim. Tym bardziej – na trzecim, chińskim. W tej ostatniej materii dotychczasowa polityka Waszyngtonu jest zatrważającą mieszaniną tchórzostwa i głupoty. Cyrus Vance obawia się Rosji – bo to jego przeciwnik. Ten sam Cyrus Vance obawia się ChRL, ponieważ zabiega ona o alians z Ameryką i jej poparcie – również z obawy przed Rosją. Vance wcale nie dlatego lęka się zbliżenia z Chinami, bo myśli o jakiejś odległej przyszłości, gdy układ sił na świecie może ulec całkowitemu odwróceniu. Nie. On nie chce gniewać Sowietów aliansami, które mogą Moskwie nie przypaść do gustu. A jaki alians obronny jej potencjalnych adwersarzy może przypaść Rosji do smaku? Żaden. Czy należy wobec tego „nie drażnić smoka”, podzucając mu czasem jagnię albo wołu do pożarcia? To już zrobiono po drugiej wojnie światowej. Smok się wzmocnił i nabrał apetytu. W historii owa polityka dawała już tyle razy tak żalosne rezultaty, że aż wspominać nudno. Na pomysł unikania drażniących Hitlera aliansów nie wpadł nawet nieboszczyk Chamberlain. Pod tym względem sekretarz stanu Cyrus Vance

jest prawdziwym innowatorem. Przy nim Neville Chamberlain – to podżegacz wojenny. Cyrus Vance jest gigantem appeasementu. Imię jego zapisane zostanie niezatartymi zgłoskami w historii. Tylko Pokojowej Nagrody Nobla Cyrus Vance już nie dostanie. Miejmy przynajmniej nadzieję. Po podzielonej między Kissingerem i Le Duc Tho nagrodzie sprzed lat za „koniec” wojny w Wietnamie nawet skądinąd czcigodni panowie z Oslo doszli do trafnego wniosku, że nie każdy i nie z każdym zawarty pokój lub zawieszenie broni zapobiega wojnie.

Nowy Jork, 31 października 1979

[12/1979]

Kraj Sacharowa i świat

Niżnyj Nowgorod przemianowano w roku 1932 na Gorki jako miejsce urodzenia barda rewolucji, ojca „realizmu socjalistycznego”, świętego patrona posłusznej władzom inteligencji sowieckiej. Nie jest wykluczone, choć nie mamy co do tego pewności, że w motywacji przemianowania wspomniano także o zesłaniu Gorkiego do jego miasta rodzinnego w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia za ostre wystąpienia przeciw caratowi w piśmie i mowie. Jeśli kiedyś, w przyszłej posowieckiej Rosji, podjęty będzie proceder przemianowywania miast, Niżnyj Nowgorod otrzyma nazwę Sacharow. W hotelu naprzeciw komisariatu policji, pod jej stałą obserwacją i z obowiązkiem meldowania się raz na tydzień, w praktyce bez prawa przyjmowania gości i z zablokowanym telefonem, odbywa swoje zesłanie wybitny uczony, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, przywódca duchowy opozycji w ZSRR, opiekun prześladowanych i uwięzionych, światowy symbol walki o poszanowanie praw człowieka. Pozbawiono go wszystkich godności i odznaczeń. Jednego tylko tytułu nie zdołano mu – chwilowo przynajmniej – odebrać, tytułu członka Akademii Nauk. Ale nie łudźmy się: gdyby Akademia Nauk nie była jedyną w ZSRR instytucją, gdzie obowiązuje głosowanie tajne, Sacharow zostałby z niej usunięty przytłaczającą większością głosów jawnych.

Nasi czytelnicy znają książkę Sacharowa *Mój kraj i świat*, w przekładzie polskim Michała Kaniowskiego i z posłowiem Leszka Kołakowskiego. W posłowie Kołakowskiego trzy szczególnie akcenty zasługują dziś, w obliczu zesłania Sacharowa, na podkreślenie. Kołakowski słusznie widział ośrodek książki Sacharowa w stwierdzeniu, że (jak to ujmuje posłowie) „ustrój Związku Sowieckiego nie jest sprawą wewnętrzną tego kraju, którą można by spokojnie powierzyć rozmyślanom jego mieszkańców, ale jednym z fundamentalnych wyznaczników sytuacji światowej”. Słusznie też pisał dalej: „Ustrój sowiecki nie jest sprawą wewnętrzną tego kraju w innym jeszcze znaczeniu, o którym mówi Sacharow, w tym mianowicie, że system rządzenia jest wprost i najoczywiściej przyczynowo związany z sowiecką ekspansją imperialną, a ekspansja ta może w pewnych warunkach stać się – bez względu na obecne intencje przywódców – zapalnikiem globalnej wojny, ruiny cywilizacji i może zagłady ludzkości”. Miał wresz-

cie rację Kołakowski, porównując przyznanie Sacharowowi Pokojowej Nagrody Nobla z inną Pokojową Nagrodą Nobla: tą, którą w roku 1936 dostał Karl von Ossietzky, oczekujący wtedy śmierci w hitlerowskim więzieniu.

Ossietzky – Sacharow; Igrzyska Olimpijskie w Berlinie – Igrzyska Olimpijskie w Moskwie; *Anschluss* Austrii i hitlerowski najazd Czechosłowacji – sowiecki najazd Afganistanu; cień Monachium – cień „finlandyzacji” zachodniej Europy... Analogie historyczne są często zawodne, ale w tym wypadku chodzi o coś więcej: o dwa pokrewne ustroje w akcji. Czy ustrój sowiecki w akcji napotka na swej drodze więcej przeszkód niż ustrój hitlerowski w akcji przed wybuchem drugiej wojny światowej?

Aresztowanie i zesłanie Sacharowa wywołało na świecie falę oburzenia i protestów. Nawet ślepy prawie Sartre (żeby posłużyć się jednym tylko, wymownym za to przykładem) dostrzegł, że Związek Sowiecki „zabrudził sobie ręce” (widocznie dotąd czyste) inwazją Afganistanu i represjami wobec Sacharowa za jej napiętnowanie. Na planie politycznym otrzeźwiało, albo został otrzeźwiony, Carter u progu prezydenckiej kampanii wyborczej. I on, wytrącony brutalnie ze słodkiej wiary w uniwersalną moc kazań niedzielnych, zdaje się w końcu widzieć *iunctim* między Afganistanem i Sacharowem, między ustrojem sowieckim i losami świata. O czym świadczy fakt, że od zbożnych dumań o „odprężeniu” przeszedł przynajmniej do zbożnej repliki z „arsenału zimnej wojny”. Twierdzi się, w niektórych pesymistycznych komentarzach prasowych, że to paliatyw. I że paliatywem jest – wobec głosu dział w Afganistanie, wobec zgrzytu gąsienic czołgów na granicy afgańsko-pakistańskiej i na granicy afgańsko-irańskiej, wobec „zagadkowych” manewrów i ruchów wojsk w krajach bloku sąsiadujących z Jugosławią – zapowiadany bojkot olimpiady w Moskwie. Zapewne, jest paliatywem. Ale paliatywem, od którego może zacząć się zmiana strusiego stosunku świata do kraju Sacharowa. Jeżeli ten bojkot okaże się połowiczny, i jeżeli równocześnie świat dołoży wszelkich starań, by został szybko zapomniany zesłaniec w mieście Gorki, widoki na oparcie się ekspansji imperialnej ZSRR staną pod groźnym znakiem zapytania.

Alain Besançon powtarza od dawna, że polityka sowiecka jest czymś w rodzaju nieustannego wahadła między NEP-em i komunizmem wojennym. Lepiej może formułuje podobną myśl Pierre Hassner, twierdząc, że problemem dla ZSRR jest nie tyle wybór między ofensywą i defensywą, między wojowniczością i odprężeniem, ile połączenie i „zgranie” obu tych elementów. Przywódcy sowieccy, z przyczyn nieodłącznych od ustroju ZSRR, nie mogą chcieć ani wojny, ani rzeczywistego odprężenia. W tej polityce *ni wojna, ni mir* oskarżanie Zachodu o dążenie do „zimnej wojny” jest w ustach sowieckich takim samym szantażem słów, jak sowiecka i w ogóle komunistyczna zabawa w wystawianie lub odmawianie innym patentów „postępowości”. „Kto jest, a kto nie jest Żydem decyduje ja” – miał powiedzieć Hitler, gdy mu zwrócono uwagę na „nieczyste” pochodzenia marszałka lotnictwa Milcha. Co jest, a co nie jest „zimno-

wojenne”, kto jest, a kto nie jest „postępowy” decyduje się na Kremlu. „Zimnowojenne”, więc sprzeczne z „duchem postępu”, są dla Moskwy postulaty przestrzegania aktu końcowego Helsinek i „trzeciego koszyka” oraz domaganie się cofnięcia deportacji Sacharowa i zwolnienia z więzień i łagrów wszystkich, których skazano z powodów religijnych, narodowościowych lub politycznych.

Nasze polskie możliwości uczestnictwa w tej rzekomej „zimnej wojnie” są skromne, ale obowiązkiem każdego z nas jest włączyć się do działania. Kiedy mówimy o naszych polskich możliwościach, mamy naturalnie na myśli Polaków na Zachodzie; formy udziału ruchów niepodległościowych i wolnościowych w kraju zależą oczywiście od nich samych. „Kultura” zatem występuje z apelem najbardziej elementarnym, ufając, że trafi on do przekonania zarówno starym, jak i nowym emigrantom; i że będzie zarazem okazją do usunięcia nieporozumień między jednymi i drugimi w tak dramatycznym momencie sytuacji światowej.

Wzywamy licznych uczonych polskich, czy pochodzenia polskiego, do zamianifestowania swej solidarności z Sacharowem i przyłączenia się do presji na władze ZSRR przez zerwanie kontaktów z uczonymi sowieckimi i z sowieckimi instytucjami naukowymi; do bojkotu zjazdów, sympozjonów i kolokwiów naukowych, na których przewidywana jest obecność uczonych sowieckich. To stanowisko winno być wyjaśnione, uzasadnione i propagowane w odpowiednich deklaracjach zbiorowych na macierzystych uczelniach.

Apelujemy, by wysłać depesze czy listy solidaryzujące się z Sacharowem na adres: Andriej Sacharow, Gorki, ul. Szczerbinka 2, ZSRR. Tego rodzaju masowa akcja będzie niewątpliwie dla niego moralnym podtrzymaniem.

Wzywamy ogół Polaków na Zachodzie do rezygnacji z wyjazdów turystycznych na ewentualne Igrzyska Olimpijskie w Moskwie oraz do propagowania w swoich środowiskach bojkotu ewentualnej okrojonej olimpiady moskiewskiej.

Specjalne zadania i obowiązki spadają na Amerykanów polskiego pochodzenia i na organizacje polonijne. Powinny one wywierać stały nacisk przez wysyłanie masowych listów i petycji do prezydenta USA i do członków Kongresu i Senatu, by:

- stworzono i wyposażono w należyte środki Instytut Obrony Praw Człowieka, którego projekt nie przeszedł przez Izby Ustawodawcze w roku 1978;

- nastąpiła szybka i radykalna zmiana stosunku do radiostacji Wolna Europa/Swoboda przez: zwiększenie ich budżetu; budowę mocniejszych nadajników i w ogóle modernizację techniczną; ożywienie i usprawnienie skostniałych programów; zaniechanie małostkowej i pchlarskiej cenzury, uprawianej przez ludzi o nikłej lub żadnej orientacji w problematyce wschodnioeuropejskiej i sowieckiej; definitywne zaniechanie projektów przeniesienia obu radiostacji do Stanów Zjednoczonych; rozbudowę personelu redakcyjnego, ze szczególnym uwzględnieniem sowieckich republik muzułmańskich; zastąpienie, w kierownictwie amerykańskim, ludzi, których posady są często synekurami obciążającymi niepotrzebnie budżet, przez zespół w mniejszym może składzie, lecz kompetentny

naprawdę w sprawach Bloku Wschodniego; i na koniec – *last but not least* – przyspieszenie prac nad wprowadzeniem w życie telewizji satelitarnej o zasięgu światowym.

Gdyby, mimo wszystko, miało dojść w Madrycie do ponownej „weryfikacji” Helsinek, organizacje polonijne wspólnie z pokrewnymi organizacjami innych narodowości powinny wymóc włączenie do delegacji amerykańskiej przedstawicieli wschodnioeuropejskich grup etnicznych.

Nic w tym apelu nie wykracza, naszym zdaniem, poza rzeczy i konkretne, i realne.

30 stycznia 1980

[3/1980]

ZBIGNIEW BYRSKI

O kontrrewolucji Ronalda Reagana

Gdy kilka lat temu Nowemu Jorkowi groziło bankructwo, z którego wyciągnął go trochę rząd federalny i trochę banki, obecny burmistrz Edward Koch, syn warszawskiego krawca, powiedział, że z bankructwa mógłby wyratować Nowy Jork on sam, gdyby miał prawo drukowania pieniędzy. Jak wiadomo, takie prawo ma w Ameryce tylko Federalny Bank Rezerw. Gdyby burmistrz Koch mógł emitować pieniądze, wydrukowałby ich tyle, żeby spłacić długi i budżet tego wiecznie chromego miasta byłby zrównoważony. Taka ewentualność nie wchodziła w rachubę, bo Nowy Jork wypuszczał tylko wysoko oprocentowane (jak na owe czasy) obligacje. Po pewnym czasie okazało się, że nie ma środków ani na spłatę pożyczek, ani na regulowanie procentów, a gospodarka Nowego Jorku stała się ogólnonarodowym przykładem, jak zasobne miasto można doprowadzić do finansowej ruiny. Tymczasem jego stan był tylko miniaturą tego, co się w owych latach odbywało w całych Stanach Zjednoczonych. Z tym że była to miniatura o znacznie mocniej zaakcentowanych cechach niż te, które występowały w całym kraju. W niej jak w soczewce skupiały się najgorsze cechy marnotrawienia pieniędzy, hołdowania społecznemu pasożytnictwu, mnożenia agencji i komisji, które miały kontrolować inne komisje i agencje. Po co o tym pisać? Po to, żeby na krańcowym przykładzie Nowego Jorku lat sześćdziesiątych i co najmniej połowy lat siedemdziesiątych dotrzeć do mechanizmu, który doprowadził do katastrofalnego stanu finansowego Stanów z jego najbardziej dotkliwą cechą – inflacją. Nowy Jork był zagrożony bankructwem (ponieważ deficytowy budżet równoważył obligacjami, których w pewnym momencie nie mógł spłacić), ale Stany Zjednoczone, prowadząc taką samą politykę w skali całego kraju, zbankrutować nie mogły, bo choć każdorazowego deficytu nie można było zlikwidować drukowaniem pieniędzy, to można było zaleczyć innymi sposobami leżącymi w gestii bogatego państwa, jakim są Stany Zjednoczone. Mimo że na szczeblu federalnym kłopoty finansowe władz wyglądają inaczej niż na szczeblu miejskim czy stanowym, mechanizm borykania się z zadłużeniem wygląda podobnie – ale tylko do pewnego momentu. W wypadku gdy wydatki przekraczają dochody, rząd w Waszyngtonie nie może kazać Federalnemu Bankowi Rezerw (w skrócie FBR), aby wydrukował odpowiednią ilość gotówki na

pokrycie długów, byłaby to bowiem prosta droga do zwielokrotnienia inflacji, a FBR nigdy by równie samobójczego polecenia nie wykonał, ponieważ nie jest ani urzędem, ani agencją rządu Stanów; jest niezależny od rządu. Pozostaje poza jurysdykcją egzekutywy i Kongresu. Jego rolę w przełożeniu na sprawy finansowo-pieniężne można by przyrównać do prerogatyw Sądu Najwyższego Stanów. W normalnych czasach – to jest w takich, gdy budżet jest zrównoważony i rząd federalny pokrywa swoje wydatki dochodami, zasadniczą funkcją Banku Rezerw jest pożyczanie pieniędzy bankom i wszelkim instytucjom finansowym prywatnym przy obniżonej stopie procentowej (tzw. *discount rate*). Pożyczanie pieniędzy bankom nie jest wyłącznie zawarowane dla FBR, ponieważ prywatne banki mogą pożyczać pieniądze i od osób prywatnych, i od innych banków – także od zagranicznych. W gestii FBR i tylko w jego gestii leży natomiast emisja pieniądza i regulowanie na tej drodze jego obiegu. W normalnych czasach, o których już w Ameryce dawno zapomniano, rząd w Waszyngtonie miał dostateczną ilość dochodów, płynących głównie z podatków, żeby utrzymać biurokrację, szkolnictwo, armię, dawać zasiłki bezrobotnym, a z nadwyżek subsydiować rozmaite projekty bez wypuszczania obligacji, czyli rządowych weksli. Ale czasy obecne są wybitnie „nienormalne”. Od wielu lat rząd USA ma znacznie większe wydatki od dochodów*, przy czym deficyt, który rósł z każdym rokiem i dochodził do sumy przekraczającej 45 miliardów rocznie, powiększył się wydatnie za kadencji Cartera.

Ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych nie znał żadnych cudownych sposobów pokrycia długów, a oszczędzanie i obcinanie wydatków (z wyjątkiem budżetu zbrojeniowego) było politycznie kłopotliwe, zachowywał się jak każdy osobnik tonący w długach. Żeby spłacić jedne długi, zaciągał inne. Odbywało się to w ten sposób, że wystawiał obligacje, które sprzedawał publiczności. Federalny Bank Rezerw, który powinien był emitować pieniądze na pożyczki dla banków prywatnych, które z kolei dawałyby kredyty firmom usługowym lub inwestycyjnym, zmuszony był udzielać pożyczek rządowi pod zastaw obligacji, czyli – jak mówią Pol-Amerykanie – „bondów”. Tak więc, w przeciwieństwie do Nowego Jorku uzależnionego od banków prywatnych, rządowi federalnemu bankructwo nigdy nie groziło, bo zawsze mógł liczyć na pokrycie wystawionych przez siebie obligacji przez FBR. Miast bankrutować, poprzez rosnące zadłużenie i wypłatę procentów uruchamiał motory inflacji. W ciągu lat zadłużenie rządu rosło i – jak powiedział prezydent Reagan w mowie wygłoszonej 24 września 1981 – za kilka dni miało przekroczyć trylion dolarów – czyli że w obecnej chwili ów trylionowy próg zadłużenia USA ma już za sobą**.

* W ciągu ostatnich dwudziestu lat dochody wykazały nadwyżkę nad wydatkami tylko raz – w 1969 roku.

** Oczywiście ów trylion dolarów nie ma w sobie nic tragiczno-magicznego. Z pełną słuszością zwraca się uwagę na następujące okoliczności. Po pierwsze: nie sam dług jest aktualnie

Żeby więc owe rosnące z każdym rokiem zadłużenie zmniejszyć, rząd chce zrównoważyć budżet w 1984 roku*. Temu wszystkiemu nie podobna odmówić zdrowego rozsądku i zresztą wielu oponentów polityki Reagana nie przeczy, że zrównoważenie budżetu jest kluczem do uwolnienia Stanów od inflacji. Nie zgadzają się tylko z nim, jak zrównoważyć budżet – czyli czym kosztem – i w tym tkwi polityczna kość niezgody. Ale nawet nie wszyscy godzą się z tym, że sprawa zrównoważenia budżetu jest decydującym czynnikiem w usunięciu inflacji. Powiada się, że inflacja w Stanach i na świecie ma swoje liczne przyczyny i nadwyżka wydatków państwowych nad dochodami jest jedną z wielu. Czy najważniejszą? – nie wiadomo. O to kłócą się wysoko wykwalifikowani ekonomiści, spośród których niektórzy powiadają, że można żyć z deficytem (ale jakim?) i nie mieć inflacji**. Że inne przyczyny mogą grać tu również rolę, jak np. gwałtowne wzrosty cen paliwa bliskowschodniego, nie budzi niczych wątpliwości. Ale inflacja jest na całym świecie i w Stanach Zjednoczonych ponoć wcale nie najstraszniejsza, bo w krajach Trzeciego Świata albo w Izraelu jest z reguły często wysoka – dwucyfrowa, a gdzie indziej jeszcze wyższa. W Izraelu łatwo tłumaczyć ją zbrojeniami, które pochłaniają ponad 50% budżetu, ale w innych krajach nawet i takiego tłumaczenia nie ma. Osobiście myślę, że mechanizm inflacji nie jest wcale tak skomplikowany. Jeśli zapomnimy raz na zawsze o złocie – na którego parytecie opierały się niegdyś waluty – to najzwyczajniej w świecie każdy, kto ma trochę zdrowego rozsądku, wie, że suma pieniędzy w obiegu musi być zrównoważona masą towarową na rynku. Ale masą – nieimportowaną, ale wypro-

dotkliwym obciążeniem Ameryki, ale konieczność płacenia od niego odsetek, które obecnie zwiększają wydatki rządowe o około 95 miliardów rocznie. Gdyby Ameryka nie musiała tych sum wypłacać, prezydent Reagan nie domagałby się w Kongresie dalszych dodatkowych oszczędności. Po drugie: przekroczenie takiego czy innego finansowego kamienia milowego nie ma znaczenia dla ekonomii Stanów. Ważne jest, że zadłużenie rośnie dalej i na trylionie się nie skończy, co pociągnie za sobą niekończące się bieżące zobowiązania. Chodzi o jak najszybsze zrównoważenie budżetu, bo to będzie miało wpływ na zahamowanie inflacji. Po trzecie – zadłużenie Stanów trzeba szacować w relacji do dochodu narodowego brutto (DNB). Przy szacunku w roku 1939, gdy kryzys w Ameryce wciąż jeszcze trwał, zadłużenie skarbu państwa wynosiło ponad 47 miliardów i stanowiło połowę DNB. W końcowym roku wojny – 1945 – zadłużenie osiągnęło 278 miliardów, czyli nieco więcej niż ćwierć obecnego, ale stanowiło 130% DNB. Po zakończeniu wojny wraz ze wzrostem produkcji pokojowej sytuacja uległa stopniowemu polepszeniu. W istocie poprawia się ona stale, lecz zwolna od 1950 roku. Obecny trylion dolarów stanowi nieco ponad 34% DNB. (Dane z „New York Timesa” z 30 IX 1981).

* Co nie znaczy, że ów przekroczony trylion dolarów zakumulowanego długu będzie się zmniejszał. Nie będzie się tylko zwiększał o sumy nowych obligacji rządowych.

** Można by, gdyby deficyt był pozycją zamrożoną i gdyby nie trzeba było płacić od niego odsetek. To, co gospodarczo zarzyna zadłużone kraje (zwłaszcza w wypadku zadłużenia zagranicznego) to zobowiązania krótkoterminowe.

dukowaną przez własny przemysł i rolnictwo. Jeśli pieniędzy jest więcej niż towaru, wówczas pieniądze tanieją, a towary drożeją. Proste jak kołek w płocie i może nie warto by tego powtarzać. Ale trzeba, bo przecież istnienie tej równowagi pieniężno-towarowej pozostaje w ścisłym związku z produktywnością narodu, liczbą niepracujących, którzy konsumują, ale nie produkują. Ale nie pracować można „z rozmaitych pozycji”. Raz – dlatego, że nie ma pracy i moce produkcyjnej są nasycone ludzką siłą roboczą albo też właścicielom się nie opłaca, bo zamiast zysku mają deficyt (jak to bywa w kapitalizmie, bo w socjalizmie produkuje się nawet deficytowe). Poza tym można nie pracować jeszcze z innych powodów, bo się nie opłaca. A nie opłaca się dlatego, że państwo opiekuńcze daje. Ale istnieje jeszcze wiele innych powodów. Nie pracują ci, którzy nie są zdolni do pracy z powodu chronicznej choroby, upośledzenia lub kalectwa*. Wszelako masa tych ludzi, których z jak najbardziej humanitarnych racji utrzymuje albo powinno utrzymywać społeczeństwo, jest zwykle stała z wyjątkiem wojen, które zwiększają liczbę inwalidów. W sumie są to wydatki, które mieszczą się w granicach tolerancji ekonomicznej każdego rozwiniętego kraju i żadną miarą nie można w nich upatrywać źródeł zachwianej równowagi budżetowej. Rozumie się, że niepodobna w naszym rachunku liczyć tylko ludzi produktywnych w znaczeniu wąsko materialnym. Współczesna rozwinięta cywilizacyjnie społeczność ma bardzo wysoki procent ludzi świadczących najrozmaitszego typu usługi. Do nich należą lekarze, nauczyciele, artyści, pisarze i długi szereg rozmaitych zawodów. Właśnie w społeczeństwach zaawansowanych sfera tych wydatków rozrasta się w miarę rozwoju społecznego narodu. Skądinąd tak zwane nieproduktywne w znaczeniu wąsko materialnym zawody nie powinny obciążać budżetu państwa, z wyjątkiem niektórych badań naukowych, lecznictwa, nauczania na szczeblu elementarnym i średnim**, ponieważ pokrywają je konsumenci dóbr kulturalnych z własnych dochodów. Jeśli to nie wystarcza, wówczas wkracza państwo lub stan, które nieraz utrzymują pewne instytucje ze względów prestiżowych. Subs-

* Ludzi niepracujących z powodu podeszłego wieku nie wymieniam. Ci korzystają w Stanach z emerytur państwowych, które uzupełnione są dość często emeryturami prywatnych przedsiębiorstw. Emerytury nazywają się ubezpieczeniem socjalnym i jeśliby gospodarowano nimi właściwie, nie powinny one obciążać budżetu państwowego, tym mniej przyczyniać się do deficytu, ponieważ pochodzą ze składek płaconych w ciągu wielu lat, częściowo przez ubezpieczonych, a częściowo przez pracodawców. Na nieszczęście funduszem emerytalnym zarządzano bardzo źle, bez myśli o przyszłości. Z tego powodu wypłata emerytur, które są niczym innym jak wywiązywaniem się państwa z zaciągniętych zobowiązań, wejdzie w fazę krytyczną w ciągu niezbyt odległych lat.

** Oczywiście kolosalne obciążenie w takim kraju jak Stany Zjednoczone stanowi armia, zbrojenia i badania związane z rozwojem nowych broni. Kwestia rozmiaru wydatków na zbrojenia należy obecnie w Ameryce do najbardziej kontrowersyjnych i dyskutowana będzie w dalszej części niniejszego artykułu.

diowanie przedsięwzięć służących rozwojowi sztuki lub popularyzowaniu kultury nie napotykało na sprzeciw w Stanach tak długo, jak długo rząd federalny nie borykał się z deficytem.

Obniżenie corocznego zadłużenia Ameryki, którego wzrost trwa już od lat, jest operacją złożoną i oczywiście polaryzującą społeczeństwo wedle kryteriów nie tyle politycznych, ile światopoglądowych. Na ogół wszyscy godzą się, że droga do zahamowania inflacji wiedzie przez zrównoważenie budżetu. Jest to jednak metoda, którą stosować można rozmaicie. FBR, dzięki regulowaniu obiegu pieniądza, ma w swej gestii niezmiernie ważny i czuły instrument, ale jest to coś w rodzaju dźwigni, której naciśnięcie uruchamia inne mechanizmy gospodarcze. Ponieważ FBR poza pożyczaniem bankom prywatnym musi obecnie pożyczać rządowi (który przy swoich podatkach i innych źródłach dochodu powinien być monetarnie samowystarczalny), z natury rzeczy emituje taką masę pieniędzy, że nie równoważy ona masy towarów i usług na rynku, co sprzyja inflacji. Żeby więc ograniczyć ilość gotówki, FBR stara się podrożyć pożyczki udzielane bankom, podnosząc ich oprocentowanie (*discount rate*). Z kolei banki podnoszą *prime rate*, czyli stopę procentową. W rezultacie na rynku pieniężnym robi się z gotówką ciasno. Dalszym tego skutkiem jest to, że prywatne banki pożyczają pieniądze od osób prywatnych, w tym od drobnych ciułaczy, wypuszczając obligacje bankowe odpowiednio wysoko oprocentowane, które równoważą kredytorom koszty inflacji. To w dalszym efekcie odciąga drobnych ciułaczy od kupna akcji na giełdzie – do czego w Ameryce wcale nie trzeba być bogatym – czyli że napływ gotówki z kieszeni drobnych inwestorów (posiadaczy niewielkich ilości akcji) do wielkich firm inwestycyjnych się zmniejsza. Trudności inwestorów i producentów amerykańskich, którzy nie mogą rozwijać gospodarki wymagającej zastrzyków finansowych przy tak wysoko oprocentowanym kredycie, mogą doprowadzić do zmniejszenia masy towarowo-usługowej na rynku, co oczywiście jest zjawiskiem niepomyślnym. W ten sposób polityka FBR, której celem jest, poprzez zmniejszenie obiegu pieniądza, zahamowanie inflacji – przez nadmierne naciskanie jednej dźwigni antyinflacyjnej może spowodować niezamierzony wzrost inflacji.

Równoważenie budżetu jest funkcją z jednej strony podatków czy innych dochodów skarbu, z drugiej – wydatków. Ponieważ Ameryka jest ciężko opodatkowana i progresja bardzo wysoka, o podniesieniu podatków federalnych się nie myśli. Przeciwnie, rząd Reagana preferował ich zmniejszenie, co wydaje mi się posunięciem błędnym. Trzeba więc w obecnej chwili bardzo drastycznie zmniejszyć rozchody państwa i na tej drodze zredukować deficyt. Jeśli się z powodzeniem zacznie je zmniejszać, rząd nie będzie musiał na nowo zapożyczać się na pokrycie starych długów. Innymi słowy, deficyt federalny zacznie się stopniowo zmniejszać. Dalszym skutkiem tego będzie to, że Federalny Bank Rezerw nie będzie musiał drukować pieniędzy na wypłatę rządowych obligacji i przy zmniejszonym obiegu pieniądza obniży stopę procentową dla banków. W rezul-

tacie zaciskające się tryby zbyt drogiego kredytu na gospodarce Stanów zaczął się rozluźniać. Na tym tle powstają najważniejsze problemy:

Jak ma wyglądać reforma podatkowa Stanów i czy w ogóle jest ona potrzebna, a jeśli tak – komu należy przykręcić śrubę podatkową, a komu – rozluźnić.

W jakiej dziedzinie ma nastąpić zmniejszenie wydatków – i tu są dwa rozległe obszary dające pole do oszczędności: zbrojenia i opieka społeczna, do której zaliczam wszelkie wydatki opiekuńcze państwa. Ta kwestia dzieli obecnie społeczeństwo amerykańskie. Odmienne poglądy na te sprawy odzwierciedlają nie tylko krańcowo przeciwne światopoglądy, ale determinują kierunki, którymi ma kroczyć Ameryka. Dla neoliberalów, którzy radzi byliby kapitalizm „zsocjal-demokratyzować”, do tego ideału zbliżało ich „Wielkie Społeczeństwo” (*Great Society*), które z rozmachem i – jak twierdzi Reagan – „bez głowy” tworzył (między innymi prezydentami Stanów) Lyndon Johnson. On to właśnie rozbudowywał funkcje społeczno-opiekuńcze państwa, łożąc szczodłą ręką na niezliczone agencje, projekty, programy, których celem było wciągnąć w sferę opieki państwa wszystkich potrzebujących. Wraz z nią rosła armia pracowników społecznych i funkcjonariuszy rządowych, których zawodem była opieka i troska o coraz liczniejszą klientelę potrzebujących. Oczywiście, że dość szybkiego tempa rozwoju państwa opiekuńczo-biurokratycznego nie można wyłącznie tłumaczyć dążeniami biurokracji amerykańskiej do pomnożenia swej potęgi. Proces ten musiał mieć przede wszystkim u swych podstaw grunt ideowy. Właściwością amerykańską jest to, że zjawiska tego wraz ze wszystkimi z nim powiązanymi konsekwencjami, mimo narzucających się symptomów, nie zauważono dość wyraźnie i dalej nie chce się zauważyć. Tu trzeba zwrócić uwagę na mass media. W szczególności, jeśli dotyczy to TV. Gazety w Ameryce liczą prawdopodobnie dziesiątki tysięcy tytułów, czyli działanie ich jest nieograniczone żadnymi restrykcjami. Przynajmniej teoretycznie, bo oczywiście kluczem oddziaływania jest nie publikowanie, ale czytanie, a ileż gazet można czytać? W każdym mieszkaniu amerykańskim jest przeciętnie jedna gazeta albo nie ma żadnej. U ludzi o nieco bardziej wysubtelniejszych potrzebach informacyjnych mogą być maksymalnie trzy. Natomiast w aparatach TV, do których dochodzą programy największych telewizyjnych korporacji, jest tylko siedem odbieralnych kanałów i około 10 do 14 kablowanych. Innymi słowy, przy obecnej technologii, która rychło może się zmienić i pomnożyć liczbę kanałów, najważniejsze korporacje telewizyjne NBC, ABC, CBS, NEW, NET, PIX, XTV zmonopolizowały właściwie tę część programów, które służą informacji politycznej i urabianiu światopoglądu widzów. Oczywiście porcja przeznaczona na ten cel nie przekracza maksymalnie 10% czasu telewizyjnego. Zainteresowania polityczne Amerykanów – zwłaszcza tych z dziada pradziada – wzmagają się tylko w momentach napięć międzynarodowych. I tu mamy do czynienia ze zjawiskiem osobliwym. O ile bowiem wachlarz poglądów reprezentowanych przez gazety amerykańskie jest różnorodny, w telewizji występuje znacznie bardziej uderzająca zgodność. Oczywiście nie na

sprawy drugorzędne, ale na najbardziej zasadnicze, które dzielą obecnie Amerykę. TV amerykańska jest politycznie bardziej „zmonopolizowana” od telewizji angielskiej, która, choć jest własnością rządu, więcej dba o przedstawienie różnorodnych poglądów niż redaktorzy amerykańskich programów. W jednej z najbardziej zapalnych kwestii – sprawy zagrożenia przez Sowiety – ulubionym kluczem stosowanym przez redaktorów programu jest przedstawienie społeczeństwa sowieckiego jako odbicia amerykańskiego. W sporze, czy Zachód jest rzeczywiście zagrożony ekspansją sowiecką, CBS przedstawia nam obawy rosyjskich mężów stanu, których troska o granice jest przecież głęboko umotywowana historią Rosji. Agresywność Sowietów i ich podboje podyktowane są chęcią zdobycia bezpiecznych granic. Byli nawet komentatorzy, którzy bez cienia obłudy zapewniali, że tym właśnie kierowały się Sowiety w inwazji Afganistanu. Generalna idea brzmi: nasze obawy są odbiciem ich własnych. W Moskwie tak samo z lękiem myślą o naszych zbrojeniach jak my o ich. Dlatego wojna może wybuchnąć na skutek czystego nieporozumienia i z racji przypisywania przeciwnej stronie najzupełniej bepodstawnie niecznych zamiarów. CBS nie proponuje wprost i wyraźnie jednostronnego rozbrojenia, zainicjowanego przez Stany, ale idee te podsuwa się telewizjom dyskretnie. Bo czyż nie byłoby to najlepszym sposobem rozproszenia wojennych podejrzeń*?

Tak więc jeden z największych biznesów kapitalistycznych: „sprzedaż antykapitalistycznej propagandy” – jak ją nazywa w swych *Rockford Papers* Leopold Tyrmand – odbywa się w Ameryce jak każda sprzedaż w eleganckim opakowaniu. W istocie jest to raczej reklama wizji tego typu społeczności, którą zaczęli wcielać w życie Kennedy, Lyndon Johnson i ich następcy do czasu wyboru Reagana. Ta wizja uzupełniona być musi Ameryką wolną od ciężaru zbrojeń, która by promieniowała umiłowaniem pokoju na cały świat, rozdzielając przy tym biednym narodom owoce swego dobrobytu w taki mniej więcej sposób, jak to czyniła wobec własnej „biedoty”. A ponieważ świat, w którym Ameryka żyje, na taki luksus nie przyzwalał, więc obraz jego trzeba było „podciągnąć” do upragnionej wizji, niekoniecznie licząc się z faktami.

To, co dla każdego pospolitego obserwatora, mieszkającego, a nawet nie-mieszkającego w Stanach, było jasne – to fakt, że u schyłku prezydentury Eisenhowera i w pierwszych latach rządów J. F. Kennedy'ego rozpoczął się w Ameryce wielki przełom o charakterze głęboko humanitarnym. Zamanifestował się on początkowo w postawie warstw oświeconych północno-wschodniego Wybrzeża Stanów z jego duchową stolicą Bostonem, póki swymi wpływami nie objął szerokie kręgi narodu. Zmiana w stosunku do czarnej ludności nie była bynajmniej detonatorem przemian ani sygnałem „rozbudzającym sumienie narodu”.

* Por. *CBS versus Defense*. J. Murawchik and John E. Hayenes – *Commentary*. Sierpień 1981.

Odwrotnie – była ona następstwem ogólnej rewolucji humanitarnej – której hasłem i drogowskazem było nadanie maksymalnej wartości życiu ludzkiemu. Na jej tle nie do pomyślenia był dalszy podział narodu na obywateli dwóch kategorii. Że przemiany te wypadły w okresie niefortunnego wpłątania się Stanów w wojnę wietnamską, stanowiło raczej nieprzewidywany spłot historyczny, który z natury rzeczy musiał zmienić konflikt azjatycki w agonię i klęskę*. Z tym wszystkim nie przeceniałbym wagi i doniosłości samego konfliktu. Na tle doniosłości samych przemian wewnątrz kraju wojna ta była tylko epizodem. Ponieważ wagi tych przemian się nie docenia ani nie próbuje się zgłębić ich genealogii, z natury rzeczy drogą kontrastu przecenia się doniosłość „wietnamskiego wstrząsu”.

Z tego powodu, gdy mówię o przemianach, których uchwytym skutkiem jest tworzenie się państwa biurokratycznej demokracji, myślę, że nie można tej sprawy skwitować byle jaką formułką – że ot, Ameryka ze wspaniałego narodu i potężnego państwa zmieniła się w pożalowania godny poligon bezprawia, anarchii, w którym kulturuje się gwałt, terror uliczny i rozwydrzenie obyczajów. Jeśli nawet ten obraz ma, niestety, w sobie więcej niż liczne elementy prawdy, wypada uwzględnić jego nieprostą genealogię. Właśnie teraz, gdy nowy kurs zainicjowany przez Reagana ma przeprowadzić Amerykę poprzez historyczny zakręt i wyciągnąć ją z kryzysu ekonomicznego i impasu międzynarodowego. Wiadomo, że w odpowiedzi na propozycje reform Reagana jego przeciwnicy odpowiadają mu wielogłosowym chórem, w którym najdonioślej brzmią dwa tony. Pierwszy: Reagan każe płacić koszty uzdrowienia ekonomii biednym, oszczędzając bogatych. Drugi zarzut ma charakter historyczno-socjalny: oto „reaganiści» chcą nas pozbawić wszystkich zdobyczy socjalnych, które Ameryka osiągnęła w ciągu ćwierćwiecza”. Czy wszystko to, co przyniosło ze sobą *Great Society*, jest „zdobyczą socjalną” – powinno być kwestią co najmniej sporną. Dla wielu jednak nie jest. Tak więc, gdy jedni upatrują w minionych latach powolną klęskę i upadek – inni traktują to jako „złote ćwierćwiecze” w dziejach Ameryki.

* Skądinąd wojna wietnamska była wspaniałym tłem, które posłużyło bardom amerykańskiej rewolucji humanitarnej do ukazania odrażającego oblicza wojny jako najstraszliwszego poniżenia człowieka. Jednocześnie nikczemnością i oszustwem było przeciwstawienie jakoby okrutnych amerykańskich żołnierzy ich przeciwnikom – partyzantom Wietkongu i armii Wietnamu Północnego, rzekomo szlachetnym bojownikom o wolność i pokój. W wykoślawieniu tej rzeczywistości celowały znów amerykańskie mass media. Gdy po inwazji opuszczonego przez Amerykę Płn. Wietnamu i ucieczce setek tysięcy Wietnamczyków na łodziach i łódkach, okrucieństwo i tyrania nowych władców nie mogły być nadal gloryfikowane, amerykańskie mass media, a zwłaszcza CBS, nabrały wody w usta. Nikt ze znakomitych komentatorów, włączając gwiazdora amerykańskiej TV Waltera Cronkite'a, nie potępił własnych kłamstw ani nie uznał za wskazane wytłumaczyć się przed telewizorami, że przez lata padał ofiarą mistyfikacji. Niekontrolowane przez nikogo kłamstwo jest dalej monetą obiegową amerykańskich środków masowego przekazu.

Gdy Reagan głosi, iż zamiarem jego jest wyprowadzenie Ameryki znad brzegu przepaści – jego przeciwnicy obwieszczają, że cofa on koło historii w wiek XIX. Myślę jednak, że nie zagubimy się w relatywizmie, który każe nam obydwu stronom przyznać część racji w zależności od punktu widzenia, jeśli zacytuujemy nieodparte fakty.

Zacznijmy od oskarżenia Reagana, iż w walce o zrównoważenie budżetu preferuje bogatych, a nie oszczędza biednych. Obserwacja trafna, tylko zarzut niemądry. Wypada się bowiem zastanowić, o jakich biednych chodzi i skąd owe kategorie biednych czerpały dochody. Pod tym względem nieodparte są liczby zacytowane przez Reagana w jego przemówieniu z 24 września 1981 roku. Że są prawdziwe, dowodzi to, że nikt z jego najzjadlejszych krytyków nie próbował ich kwestionować.

W ciągu ostatniego 20-lecia – powiedział Reagan – stworzyliśmy setki programów humanitarnej pomocy. Wiele z tych programów zrodziły gorące serca, ale nie wszystkim towarzyszył rozsądek. Koszty tych programów pomocy były zawrotne. W roku 1955 wydatki na nie pochłonęły 8 miliardów. W 1965 roku ich koszt wyniósł 79 miliardów. W przyszłym roku kosztować będą 188 miliardów

(Oczywiście już po skurtyzowaniu ich przez administrację Reagana, w przeciwnym razie wynosiłyby znacznie więcej). Zastanówmy się tylko chwilę nad charakterystycznym skokiem w wydatkach na opiekę społeczną w początkowej dekadzie. 10-letni okres od końcowych lat prezydentury Eisenhowera do objęcia rządów przez Johnsona poprzez lata rządów J. F. Kennedy'ego cechuje ich 900% wzrost. Czy w owym czasie nastąpił w Ameryce dziewięciokrotny wzrost liczby biednych, wymagających pomocy państwa? Tego nikt nie twierdzi. A więc ów gwałtowny skok w ciągu jednej dekady był następstwem eksplozji „gorących serc”, które po prostu owych „biedaków” dojrzały, choć biedowali na ziemi amerykańskiej od dawna. Gdy mówi się o opiece nad biednymi, wyłączyć z niej należy ubezpieczenia społeczne (emerytury), ponieważ nie były one innowacją lat trzydziestych i nie wprowadziły ich reformy *Great Society*. Wprowadził je Roosevelt przed drugą wojną. *Medicare*, czyli opieka lekarska dla osób o przekroczonym 65. roku życia, weszła w życie w latach sześćdziesiątych do istniejącego już Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (*Social Security*), nie obciążając dodatkowo budżetu państwa. Wydatki na rozmaite programy opieki społecznej, które od 1955 do 1981 podskoczyły z 5 mld dolarów do 188 mld – wzrosły 23-krotnie (nie kilkakrotnie, jak nie znając dokładnych danych, podałem w artykule: *Wolność czy Równość*, „Kultura” nr 10/409 z października 1981). Jeśli uwzględnimy stopniową obniżkę wartości pieniądza między 1955 a 1981 rokiem, która przybrała ostre tempo dopiero w ostatnich latach, to wypada, że ów dwukrotny wzrost trzeba zmniejszyć nieco więcej niż o połowę. Ilu podopiecznych liczyła armia biednych w 1955, a ilu w 1981? Jeśli jako kryterium uznamy, że ten jest biedny, kto otrzymuje pomoc państwa, stanu lub po-

wiatu w formie *welfare*, bonów żywnościowych, pomocy na komorne czy innych zasiłków w rozmaitych formach, to oczywiście tych biednych w Stanach będzie około 10 razy więcej, niż było ich 20 lat temu. Ale obserwacje oparte na takich kryteriach nie ukazują rzeczywistości, a wprowadzają jedynie zamieszanie. W minionych latach nie zaszły żadne wydarzenia, które by tak wydatnie zwiększyły ubóstwo ludności w Stanach. Niemniej jednak szybki wzrost wydatków na pomoc społeczną spowodował niezwykle powiększenie aparatu opiekuńczego. Jego rozbudowa tworzyła coraz liczniejsze szeregi ludzi, których nazywam biednymi „statutowymi”, ponieważ ich materialnemu położeniu nadało oficjalny status państwo i jego agendy. Ciężar 150–160, a wreszcie 180 miliardów rocznie na opiekę społeczną (z wyłączeniem emerytur) był zbyt ciężki nawet dla Ameryki – a w dodatku był napelnianiem worka bez dna, bo nowe subwencje na dalsze kategorie „biednych” wymagały nowych mechanizmów rozprawdzających. Trzeba więc było na czymś zaoszczędzić. Pęczniące wydatki musiały doprowadzić do inflacji, która zdevaluje zasiłki rządowe, zmuszając władze do ich dalszych podwyżek, czyli tworząc idealny cykl błędnego koła. Wypada tu przypomnieć, że tworzenie owego „Wielkiego Społeczeństwa” zbiegło się z potęgującą się agonią wojny wietnamskiej. Wprawdzie nadmieniałem, że nie przywiązuję nadmiernej wagi do wstrząsu, jaki w psychice amerykańskiej wywołał konflikt w Wietnamie, ale z czysto finansowego punktu widzenia jednoczesne wydatki na rozbudowującą się opiekę społeczną i na wojnę wzmogły niepomiarne trudności ekonomiczne Ameryki. Pod brzemieniem tego podwójnego ciężaru załamałby się w ciągu kilku tygodni każdy kraj.

Opieka społeczna pochłania obecnie 13% dochodu narodowego brutto (DNB), przy 6% za prezydenta Eisenhowera (co nie oznacza dwukrotnego wzrostu w liczbach bezwzględnych, tylko znacznie wyższy, ponieważ DNB od czasów Eisenhowera wzrósł bardzo wydatnie). Machinie rządowej – której oficjalną ideologią stał się nowy amerykański humanitaryzm mający kształtować profil nowego społeczeństwa – najłatwiej było ograniczyć wydatki federalne przeznaczone na obronność kraju. Nie było to zresztą pozbawione pewnej logiki. Skoro wojnę wykluczano z góry jako instrument obrony (konflikt wietnamski był wciąż akcją policyjną), to po cóż kolekcjonować nowoczesną broń, by rdzewiała w arsenałach; po cóż szukać dla armii najlepszych, a przynajmniej uzdolnionych ludzi, skoro najłatwiej przyjmować wypędków ze średnich szkół, nęconych obietnicą przygody, podróży po świecie i łatwego chleba. Obecnie Pentagon zbiera owoce tej polityki, a społeczeństwo z przerażeniem dowiaduje się od komisji senackiej o liczbie narkomanów znajdujących się w najnowocześniejszych jednostkach floty Stanów Zjednoczonych i o tym, że personel amerykańskiej marynarki „dorabia” sobie szmuglem narkotyków. Żeby to wszystko zmienić, trzeba było przystąpić do zmniejszenia wydatków na opiekę społeczną, czyli uderzyć po kieszeni „biednych” – co zaktywizowało najbardziej agresywną, najbardziej krzykliwą część opinii publicznej przeciw Reaganowi, przede

wszystkim zaś mniejszość murzyńską. Ponadto uzbrojenie Ameryki, a przede wszystkim zmodernizowanie jej sił zbrojnych, również uruchomiło te same neo-liberalne siły społeczne, ponieważ *détente*, czyli zasłona dymna, „opieka nad biednym człowiekiem” i rozbrojenie Ameryki stanowiły konsekwentnie zwarty syndrom.



Czynnikami wyznaczającymi równowagę budżetową – uznany przez nas klucz do zwalczania inflacji – są oczywiście wydatki i wpływy. Przy czym co najmniej 90% wpływów skarbu USA płynie z podatków. Ta właśnie sprawa jest wybitnie konfliktowa, polegająca nie tylko na różnicach światopoglądowych, ale na rozehnaniach czysto ekonomicznych. Jak wiadomo, Reagan przystąpił do redukcji podatków, które przynoszą minimalną ulgę mało zarabiającym – a znacznie większą bogatym. U podstaw kalkulacji nie chodziło naprawdę o zmniejszenie podatków biednym i średnio zamożnym, ponieważ tego typu ulgi działają tylko jako bodźce konsumpcyjne, przyczyniając się do zmniejszenia masy towarowej na rynku. Jeśli zaś chodzi o bogatych – ściśle tych, u których ulgi podatkowe nie wpływają na wzrost spożycia, ponieważ ich dochody są na tyle duże, że ich maksymalne potrzeby materialne są i tak zaspokajane – miały one pełnić rolę bodźców inwestycyjnych. Oczywiście z punktu widzenia ekonomicznego, tj. walki z inflacją, należało zmniejszyć podatki tylko bogatym, a średnio zamożnych i biednych zostawić bez żadnych ulg. W utrzymaniu równowagi między masą towarową na rynku a obiegiem pieniężnym ważne jest – poza ograniczeniem emisji pieniądza – przejściowe obniżenie konsumpcji do czasu uzyskania trwałej równowagi rynkowej. Dlatego jeśli celowe jest obniżenie podatków, to nie biednym, a bogatym. Politycznie jednak ze zrozumiałych względów było to niemożliwe. I dlatego Reagan wybrał kompromis i obniżył podatki wszystkim. Był to błąd podwójny, ponieważ: 1) nawet niewielkie ulgi podatkowe dla biednych w sumie bardzo zmniejszyły dochody skarbu, 2) ulgi w podatkach udzielone zamożnym nie będą prawdopodobnie zrównoważone bodźcami inwestycyjnymi, które by w efekcie zwiększyły masę towarową na rynku i stworzyły nowe stanowiska pracy, a wraz z tym pomnożyły wpływy skarbu. W rezultacie nie przyczyni się to do zmniejszenia deficytu*.

* Obecnie Reagan, nie chcąc wycofać się ze swej polityki redukcji podatków dochodowych, a czując, że w tym wypadku popełnił błąd, który utrudni zrównoważenie budżetu, z pomocą swych doradców myśli o nowych źródłach dochodu dla skarbu. W rachubę wchodzi federalny podatek na alkohole, niepodnoszony od 1955 roku, i podatki federalne na papierosy. Sprzedaż tych ostatnich opodatkowana jest rozmaicie przez poszczególne stany.



Biednych w Ameryce – a pojęcie to jest oczywiście rozciągłe – jest sporo. Należy ich jednak podzielić co najmniej na dwie grupy. Pierwsza to pracujący, ale zarabiający mało, oraz pewien procent emerytów, czyli takich, których głównym, a czasem jedynym źródłem utrzymania jest ubezpieczenie emerytalne wypłacane w całości (ale bardzo dalekie od średniej zarobków) po 65. roku życia. Do nich należy dodać kilkumilionową liczbę ludzi niestarych, ale niezdolnych do pracy. Ci korzystają z podobnych przywilejów jak emeryci. Tu nieamerykańskich czytelników wypada poinformować, że wypłata emerytur jest raz do roku wyrównywana po uwzględnieniu rosnących kosztów utrzymania. W zasadzie bywa ona niska i nieuzupełniona innymi dochodami (jak oszczędności lub pomoc rodziny) z trudem wystarcza na utrzymanie*. Jeśli chodzi o pracujących i zarabiających mało, to trudno tu zdefiniować poziom biedy przy zmiennych cenach rynkowych. Należą do niej pewne kategorie pracowników rolnych pracujących na plantacjach południowego Zachodu. W wysokim procencie są to jednak robotnicy migrujący z Meksyku lub przebywający w Stanach Zjednoczonych nielegalnie, co oczywiście utrudnia ich ochronę przed wyzyskiem. Bieda w Ameryce nie należy do legendy. Jest rzeczywistością. Procent jej jednak w porównaniu z liczbą dobrze i średnio zarabiających jest niski i relatywnie z innymi poziomami „nędzy” budzi pewien sceptycyzm.

Drugą grupę umownie nazywam „statutowymi” biednymi. Nie oznacza to bynajmniej, że nie są oni biednymi wedle kryteriów amerykańskich. Oczywiście – są nimi. „Statutowość” ich wskazuje na społeczno-polityczną genealogię ich biedy. Gdyby Kennedy, a zwłaszcza Lyndon Johnson, nie zainicjowali i nie stworzyli *Great Society* – co zresztą nie było wynikiem ich indywidualnych decyzji, ale następstwem przemian światopoglądowych w elicie umysłowej Ameryki, to ci, którzy stanowią obecnie „statutową biedę”, podzieliliby się na dwie grupy. Jedna zwiększyłaby armię pracy, druga – stałaby się lumpenproletariatem.

* Mowa tu oczywiście nie o emeryturach specjalnych, jak wojskowe, federalne i prywatnych korporacji, a choćby takich, jakie ofiaruje miasto Nowy Jork, które dzięki niesłychanej szczodrości jednego ze swych burmistrzów, Johna Lindsaya, wypłaca pracownikom komunikacji miejskiej emerytury równe 100% zarobków ostatniego roku zatrudnienia, wliczając w to godziny nadliczbowe. Ten niewiarogodny rabunek, jakiego dopuszczono się na mieszkańcach tego miasta, miał miejsce w czasie rozkwitu „Wielkiego Społeczeństwa” – Lyndona Johnsona – przy czym postanowień owej umowy zbiorowej nikt nie ośmielił się cofnąć, ponieważ łatwiej komuś coś dać, choćby to była rzecz najniesprawiedliwsza w świecie – niż wydrzeć.

W jakim stosunku dokonałby się podział – przewidzieć nie sposób. Natomiast pewne jest, że obraz ekonomiczny Ameryki, a z nią zapewne i świata, przedstawiałby się obecnie pomyślniej. Ameryka nie byłaby wobec Sowietów rozbrojona duchowo i materialnie, a Europa Zachodnia nie drżałaby ze strachu przed blokiem wschodnich sąsiadów. Oczywiście w Ameryce mniej ludzi korzystałoby z pomocy państwa bez obowiązku pracy. Jeśli ktoś uznaje to wszystko za historyczny regres, ten ma wszelkie powody gloryfikować zdobycze „Wielkiego Społeczeństwa”, które usiłuje podminować Reagan. Jeśli jednak „Wielkie Społeczeństwo” się sławi, to trzeba je niestety sławić z wieloma niezaplanowanymi skutkami, które tak wypełniają obraz życia w Stanach, że trudno nazwać je ubocznymi. Trzeba wówczas pamiętać o zdewastowanych dzielnicach amerykańskich miast, nad genealogią których zapuszcza się obłudną kurtynę nieoficjalnej cenzury*; o bezprawia i zbrodniach, nad którymi całe społeczeństwo rozdiera szaty, przemykając jednocześnie oczy, bo są to przecież sprawy drażliwe, wstydlive i w ogóle takie, o których większość Amerykanów boi się głośno mówić. Amerykańska hipokryzja manifestuje się przy okazji tych zjawisk w sposób najbardziej monstrualny.



Inflacja w obecnych rozmiarach jest klęską całej Ameryki – by nie rzec świata. Oczywiście dotyka ona wszystkich w stopniu nierównym. Więcej – istnieje liczna kategoria ludzi, którzy się na niej bogacą. Do nich należą kupcy, bankierzy, przedstawiciele wolnych zawodów i producenci. A więc bogaci, którzy przerzucają często z dodatkowym zyskiem koszty inflacji na klientów lub konsumentów. Nic nie można poradzić, że poza regulowaniem obiegu pieniądza w istniejącej strukturze kapitalistycznej drugim elementem obniżającym inflację jest zmniejszenie parcia na rynek, co można osiągnąć przez okresowe zmniejszenie siły nabywczej**. To zaś najpraktyczniej jest osiągnąć poprzez zmniejszenie konsumpcji niepracujących, ponieważ należą oni do kategorii konsumentów

* Setki razy pokazuje się telewizjom dzielnicę Nowego Jorku – Południowy Bronx, który wygląda tak jak miasta niemieckie po wielkich bombardowaniach alianckich. Poza Bronxem istnieją rozległe spalone przez ludność murzyńską sektory w Detroit, Chicago, Miami i paru innych wielkich miastach. Choć tyle razy się je pokazuje, bezustannie mówiąc o potrzebie ich rehabilitacji, nikt nie zapytał publicznie o przyczyny owych dewastacji. Sprawa jest wstydliva – a rzetelna odpowiedź spowodowałaby prawdopodobnie lawinę oskarżeń o rasizm i sympatie dla Ku-Klux-Klanu.

** Okresowe – bo trwale oznaczałoby zwalczanie inflacji bezrobociem, co w jakimś stopniu jest i tak nieuniknione.

„jałowych”. Zmniejszona konsumpcja niepracujących nie odbija się tak na produkcji, jak obniżenie standardu ludzi pracujących. Dlatego cięcia budżetowe Prezydenta wymierzone były przede wszystkim w te fundusze federalne, które szły na utrzymanie biedaków „statutowych”. Nie znaczy to oczywiście, że Reagan chciał ich całkowicie pozbawić owych dochodów – czyli pozostawić na bruku. Taka rzecz była nie do pomyślenia i nie leżała ani w niczych intencjach, ani w możliwościach, czego najlepszym dowodem jest fakt, że wydatki na te cele wynosić będą w 1982 roku 188 mld. Ale oczywiście dla Reagana i „reaganitów” było to coś więcej niż operacja oszczędnościowa. Była wyzwaniem rzuconym *Great Society* i systemowi obyczajów, który wraz z jego rozwojem i rosnącą potęgą przeorywał Amerykę przez ćwierć wieku, zostawiając ją w takim stanie, w jakim ją obecnie widzimy. Gdyby wysterylizować tę sprawę ze wszystkich podtekstów ideowo-humanitarnych, rzecz wyglądałaby nieco inaczej: „Dawaliśmy, póki mogliśmy. Nie dajemy, bo nas więcej na to nie stać, a stoi przed nami obowiązek dozbrojenia Ameryki”. Gdyby Reagan chciał tę sprawę przedstawić w płaszczyźnie czysto ekonomicznej – walki z inflacją, zrównoważenia budżetu i przedstawienia Ameryki z jej roli śmiertelnie przestraszonego adwersarza Sowietów, sprawa i tak nie byłaby prosta, ale przynajmniej nieco prostsza. Ale ani Reagan nie chciał problemu ograniczyć do kwestii ekonomicznych i pozycji międzynarodowej Stanów, ani nie życzyli sobie tego jego oponenti. Bo rzeczywiście nie chodziło tu tylko o miliardy dolarów. Tak zdeterminowanemu problemowi brakowałoby czegoś bardzo żywotnego, co wypełnia barwami emocjonalnymi dzielący Amerykę konflikt. Stany Zjednoczone są głębiej podzielone, niż by to ukazywał przedstawiany często schemat, streszczający się w tym, na co wydać miliardy dolarów: komu odjąć, a komu dodać i jakie wydatki mają priorytet – czy zbrojenia, czy programy nauczania dla zaniedbanych mniejszości. Czy badania naukowe dla rozwijania nowych broni i przywrócenia świetności Ameryki, czy obozy rekreacyjne dla młodocianych recydywistów. Te konflikty są tylko fasadą, za którą zwalczające się obozy mają przed sobą zupełnie odmienną wizję świata. Dla pewnych neokonserwatystów – zwolenników lub sympatyków celów, w stronę których steruje Reagan – państwo, w wielu swych funkcjach i agendach, stało się w ostatnim 25-leciu jedynie kamuflażem dla rozwijającej się narośli biurokratycznej, która sama dla siebie jest racją swego istnienia. Dla drugich – neoliberalów – odwrotnie: społeczeństwo, w którym osobiste talenty mają decydować o awansie i powodzeniu, jest państwem-monstrum, które z samego założenia jest niesprawiedliwością. Chcą państwa sprawiedliwego – a sprawiedliwość to znaczy równe nagradzanie tych, których los obdarzył zdolnościami, pracowitością i innymi talentami, i takich, którym los tych zalet odmówił i którzy w wyścigu przegrywają. Skoro zaś przegrywają nie z własnej „winy”, to państwo winno przejąć na siebie funkcje „niwelatora” – wyrównującego zarówno nabyte, jak i przyrodzone niesprawiedliwości.

Poglądy te nie są wypowiedziane *in extenso*, ale tak właśnie wygląda jądro światopoglądu tych, którzy by pragnęli w kategoriach absolutnych zrównać

wszystkich. Nietrudno zauważyć, że przy takim interpretowaniu, a zwłaszcza zastosowaniu „sprawiedliwości” społecznej, sięgającej niemal do prągenezy człowieka, pojęcie ludzkiej „winy” – przestaje istnieć. Wielu sędziów amerykańskich kieruje się świadomie lub nieświadomie tą właśnie filozofią sprawiedliwości. Dlatego tylu – w pospolitym rozumieniu – przestępców i zbrodniarzy znajduje się na wolności. Jeśli warunki bytowania nie rozgrzeszają ich w oczach sędziów, uniewinnia ich własne dziedzictwo.

Nie ma żadnych uchwytnych związków ani w ogóle łączności pomiędzy terrorystami strzelającymi do przedstawicieli świata zachodniego lub ich sprzymierzeńców a „reformistami” systemu działającymi w amerykańskich mass mediach, zasiadającymi w ciałach ustawodawczych lub zajmującymi stanowiska akademickie. Przeciwnie – ci ostatni potępiają surowo terror, i to w każdej postaci. Tyle tylko że nie zawsze sympatyzują z jego ofiarami. Ale to jest kwestia swobody ich poglądów. Zostawiając wszelako na boku sprawę ich sumień, można, jak sądzę, skonstatować jedno: terrorystów (walczących z „imperializmem zachodnim” i kapitalizmem) oraz lewicowych prominentów świata zachodniego łączy wspólna motywacja ideowa: wymazać z oblicza ziemi grzech kapitalizmu. Tych pierwszych (zwolenników gwałtu) i tych drugich (wrośniętych w kapitalistyczny establishment, który chcą zniszczyć drogą erozji) nie ma w Ameryce w sumie więcej niż kilkaset tysięcy. Jedni i drudzy są prawowitymi dziećmi amerykańskiej rewolucji. Natomiast rozległa baza społeczna państwa opiekuńczego liczy już chyba co najmniej kilka milionów. Jej skład jest bardzo różnorodny. Ci nie są dziećmi żadnego fermentu i żadnej rewolucji. Politycznie – są bękartami. Jeśli chodzi o ich funkcje społeczne, są pasożytami i w tym duchu należy odczytywać ich superhumanitarne deklaracje. Ponieważ z „troski o człowieka” członkowie „Nowej Klasy” uczynili swoje powołanie, w ich interesie jest, by „troska” ta stała się nie tylko maksymalnie dochodową profesją, ale w pewnych sytuacjach – instrumentem władzy i wpływów. Najbardziej reprezentatywny przedstawiciel średnioniskiego szczebla „Nowej Klasy”, poza działaczem związkowym, to pracownik społeczny (*social worker*) – o rozmaitym stopniu kwalifikacji: od 3-miesięcznych kursów – do magisterium z psychologii. Ci „aparaczyzy” demokratycznej biurokracji, specjaliści od skołatanej duszy ludzkiej wypełniają listy płac tysięcy agencji stanowych i federalnych. Funkcjonują w zakładach pracy, szpitalach, uczelniach i setkach innych instytucji, gdzie w ciągu 20 lat tworzą dla nich etaty. Poszukiwanie tej właśnie profesji stało się niesłychanie modne od połowy lat sześćdziesiątych. Ludzie ci na ogół hołdują tym politycznym poglądom, które determinują *prosperity* w ich zawodach. Dlatego z zasady (jeśli nie są cynikami) są zaangażowanymi liberałami. Z tej racji są za utrzymywaniem okulawionej demokracji kapitalistycznej, która jest produktem *Great Society*. I w tej podstawowej sprawie różnią się od tych ideowych spadkobierców egalitarnej rewolucji, którzy, nie dbając o konsekwencje, system ten chcą zetrzeć z ziemi. Między nimi a tamtymi nie dochodzi do spięć, zwłaszcza teraz,

gdy łączy ich wspólny cel – walka z „reakcyjnymi” reformami Reagana. Zresztą, o ile ideowi spadkobiercy rewolucji amerykańskiej są świadomi swych celów, „Nowa Klasa” kapitalistycznej Ameryki – jak każda biurokracja – odznacza się ciasnotą widzenia, krótkowzrocznością i absolutnym brakiem imaginacji. Jej umiejętność przewidywania nie sięga dalej niż troska o jej interesy w perspektywie najbliższych kilku lat. „Nowa Klasa” nie ma świadomości swego istnienia jako wyodrębnionego fenomenu społecznego w kapitalistycznej demokracji. Mimo ubóstwa ideowo-politycznego „Nowej Klasy” w istocie ona – a nie ci, którzy wszczęli ferment rewolucyjny – stanowi warstwę, która ma możliwość decydowania o przyszłości tego kraju. Ideowcy – jak to się na ogół zdarza – mogli być tylko zapłonem przemian. Kontynuatorami – i to zwykle szybko się opierającymi – bywają inni. Dlatego front walki rozciągać się będzie między warstwą średnią wywodzącą się z klasy robotniczej – bazy społecznej Reagana – a siłami napędowymi biurokratycznej demokracji.

Okazuje się – co mogłoby być dużym zaskoczeniem dla Milovana Džilasa – że „Nowa Klasa” nie musi powstawać wyłącznie w miejsce dawnej burżuazji jako biurokracja państwa komunistycznego. Najnowsze dzieje najpotężniejszego kraju kapitalistycznej demokracji pouczyły nas, że „nowa klasa” biurokratyczna może powstać nie zamiast burżuazji, ale obok niej i nawet bardzo dobrze przy jej boku prosperować.



Nie sędzę, żeby Biuro Polityczne KPZR miało tu jakikolwiek wpływ lub mogło nadawać kierunek owym przemianom. Sędzę natomiast, że na Kremlu obserwują obydwa zjawiska – terroru i stopniowej erozji systemu – z życzliwym dialektycznym zainteresowaniem. Od czasu śmierci Stalina politbiuro sowieckie nigdy nie było za bezcelowym rozlewem krwi. Sowiety mają w zanadrzu radykalne środki. Jeśli jednak można kroczyć poprzez historię skrótami i zaoszczędzić światu konfrontacji, Breżniew lub jego następcy chętnie wyjdą naprzeciw. Chodzi tylko o to, żeby naprzeciwko im nie wyszedł Zachód.

James Tobin, profesor Uniwersytetu w Harvardzie, doradca J. F. Kennedy'ego sprzed 22 lat, laureat Nagrody Nobla z ekonomii za rok 1981, nazwał podjęte przez Reagana próby ratowania Ameryki „kontrrewolucją”. Opinia ta w ustach Jamesa Tobina nikogo nie zaskakuje. James Carter określił ją mianem „aberracji”. Nie wiadomo, czy niełatwe próby administracji waszyngtońskiej uwieńczone będą powodzeniem. Między innymi dlatego, że „Nowa Klasa” czyni wszystko, aby dzieło nowej administracji maksymalnie utrudnić. Nic dziwnego. Sukces Reagana oznaczałby jej ciężką klęskę, jeśli nie zmierzch. Dla niej obecna walka o uzdrowienie Ameryki może oznaczać „być-albo-nie-być”. Reagan

ma rzeczywistych sprzymierzeńców wśród tych, którzy dawniej nazywali się klasą robotniczą, a teraz są warstwą średnią. Na nieszczęście ta właśnie warstwa musi przede wszystkim ponosić ciężary wyprowadzania Ameryki z katastrofy, w którą wpędziło ją „Wielkie Społeczeństwo” pięciu kolejnych prezydentów.

Nowy Jork, 26 października 1981

[1-2/1982]

Zmiana warty

Jeszcze siódmego listopada widziano go żywego na podium mauzoleum. Dziesiątego listopada z radia sowieckiego popłynęła smutna muzyka, a jedenastego listopada ogłoszono żałobną nowinę: „zmarł nagle” pierwszy sekretarz KC KPZR, przewodniczący prezydium Rady Najwyższej ZSRR Leonid Breżniew. Za miesiąc miał obchodzić 76. urodziny. Przez osiemnaście lat i jeden miesiąc stał na czele imperium sowieckiego.

Leonid Breżniew zdążył przed śmiercią wziąć udział w obchodach 65. rocznicy rewolucji październikowej. Kto wie, czy te dwie godziny, które – najwidoczniej na prośbę najbliższych towarzyszy – przestał w zimnie na mauzoleum, nie przyspieszyły trochę jego śmierci. Jakkolwiek by było, raz jeszcze okazało się, że nawet stanowisko pierwszego sekretarza KC KPZR nie zapewnia nieśmiertelności. Przekonano się o tym po raz czwarty. Przez 65 lat istnienia władzy sowieckiej przywódcy jej zmienili się tylko cztery razy. Dwunastego listopada nastąpiła zmiana. Miejsce Breżniewa zajął Jurij Władimirowicz Andropow.

Procedura wyboru nowego genseka ani na krok nie odbiegła od historycznych precedensów. Breżniew nie zdążył jeszcze całkiem ostygnąć, jak już leżał w sali kolumnowej Domu Sowietów, a Komitet Centralny wybrał nowego przywódcę partii, a więc i państwa.

Stanowisko pierwszego sekretarza KC stworzono w 1922 roku dla Stalina. Uważając, że trzeba koniecznie zaprowadzić porządek w szeregach partyjnych biurokratów, Lenin zaproponował utworzenie technicznego – jak myślał – stanowiska szefa sekretariatu i oddanie go w ręce człowieka twardego, zdecydowanego i oddanego partii – Stalina. Rok później chory już Lenin stwierdził, że pierwszy sekretarz skupił w swych rękach niebywałą władzę nad partią i nad krajem. Już Lenin miał wielką władzę jako twórca partii, organizator rewolucji i ojciec państwa sowieckiego. Stalin uzurpował sobie władzę absolutną, rozumiawszy, że stanowisko, które zajął, daje nieograniczone możliwości. Funkcja pierwszego sekretarza wedle litery uchwał partyjnych absolutnej władzy nie dawała. Ale stół był tak szeroki, że zasiadłszy na nim, pierwszy sekretarz stawał się genialnym sekretarzem. Stalin pokazał nie tylko, jak to zrobić, ale także co można zrobić, mając władzę pierwszego sekretarza. Po jego śmierci rozgorzała

walka o „mundur Stalina”. Wygrał ją Chruszczow, który stopniowo zawładnął i „stołkiem”, i „mundurem”. Przy wymianie Chruszczowa na Breżniewa procedura się powtórzyła.

Historia sowieckiego „następstwa tronu” dowodzi po pierwsze, że okres „owładania stołkiem” trwa około pięciu lat. Lenin umarł w 1924 roku, kiedy Stalin umocnił się już był na pozycjach wyjściowych do walki o władzę, ale wodzem i geniuszem ogłoszono go dopiero w roku 1929. Chruszczow wszedł w zestaw ścisłego kierownictwa zaraz po śmierci Stalina, ale dopiero w 1958 roku został „pierwszym wśród równych”, a potem po prostu „pierwszym”. Breżniewa wybrano na miejsce Chruszczowa w 1964 roku, ale musiało upłynąć około pięciu lat, zanim zdołał pozbyć się najbliższych towarzyszy i „zawładnął stołkiem”.

Dzieje Związku Sowieckiego są dowodem banalnej prawdy, że ludzie są różni, nawet pierwsi sekretarze: Chruszczow był inny niż Stalin, Breżniew inny niż Chruszczow. Dzieje Związku Sowieckiego dowodzą zarazem, że różnice temperamentu i charakteru są znacznie mniej ważne niż niezmiennosc zasad w służbie ustroju. Nietrudno to zrozumieć: dopóki pretendent piał się ku najwyższej władzy, ustrój formował go na swój kształt i podobieństwo, pozostawiając mu tylko te cechy, które mu były przydatne. Kiedy spostrzeżono, że „car Nikita” obok niezbędnych cech zachował także żywe ludzkie przymioty, ustrój go wypłuł.

Kilka dni przed śmiercią Breżniewa największy amerykański znawca spraw sowieckich w CIA zrobił oszałamiające wyznanie: ekspertom od sowietologii ani razu nie udało się wytypować następcy pierwszego sekretarza. Tym razem zadanie było niezwykle proste, a mimo to trudno powiedzieć, żeby wybory 12 listopada nie były zaskoczeniem.

Breżniew maksymalnie uprościł zadanie, zostawiając tylko dwóch pretendentów. Roboczy portret przyszłego genseka był znany: po pierwsze, musiał to być ktoś z mieszkańców pokoju nr 1, tzn. ktoś będący zarazem członkiem politbiura i sekretariatu KC. Już ten wymóg zwęził liczbę rozważanych kandydatów do czterech: Andriej Kirilenko (ur. w 1906), Jurij Andropow (ur. w 1914), Konstantin Czernienko (ur. w 1911) i Michaił Gorbaczow (ur. w 1931). Z tej czwórki odpadli w przedbiegach ciężko chory Kirilenko, który ponadto wypadł z łask Breżniewa, i zdecydowanie za młody Gorbaczow. Zostało jak w popularnej piosence o Murzyniátkach dwóch.

Sowietolodzy stanęli przed trudnym wyborem: Czernienko był ulubieńcem Breżniewa i jego głównym zastępcą, a Andropow do pokoju nr 1 wszedł dopiero w maju, kiedy opuścił stanowisko szefa KGB i został przyjęty do sekretariatu KC. Dla Komitetu Centralnego wybór był łatwy: sam Czernienko zaproponował Andropowa na stanowisko pierwszego sekretarza KC. Propozycję przyjęto jednogłośnie.

Powody, dla których nie wybrano Czernienki, są oczywiste: był faworytem zmarłego pierwszego sekretarza, karierę zrobił bardzo prędko i nosi ukraińskie

nazwisko. Niewykluczone, że pewną rolę odegrały też niejasne miejsca w jego biografii. Historyk Michaił Agurski przypuszcza na podstawie broszury o czystce w Dniepropietrowsku w 1938 roku, że K. Czernienko jako szef rejonowego wydziału NKWD osobiście uczestniczył w masowych rozstrzelaniach. Naturalnie nigdzie nie jest powiedziane, że nie można być katem, jeśli partia każe. Z drugiej jednak strony, rok 1938 wykreślono z historii Związku Sowieckiego. Ciekawe, że po opublikowaniu artykułu Agurskiego w wielu językach (1979) oficjalną biografię Czernienki nieco zmieniono. Białe plamy jednak zostały.

Sowietolodzy przypuszczali, że Andropowowi może przeszkodzić jego piętnastoletnia działalność w KGB. Powoływali się przy tym na historyczny precedens, likwidację Berii po śmierci Stalina, a także na fakt, że za Chruszczowa szef KGB nie był członkiem Biura Politycznego. Wybór Andropowa dowodzi jednak, że precedens nie odegrał roli, jaką miał odegrać. I to nietrudno zrozumieć: w 1953 roku wszyscy obywatele Związku Sowieckiego z członkami Biura Politycznego włącznie drżeli na myśl o MWD. „Organy” Stalina nie oszczędzały nikogo. KGB, które nadal budzi dreszcz przerażenia w człowieku ulicy, bynajmniej nie spędza snu z powiek wyższym warstwom nomenklatury.

Szefem KGB mianowano Jurija Andropowa w 1967 roku, po wieloletniej działalności w pionie partyjnym: był przywódcą Komsomołu, a potem partii w Republice Karelo-Fińskiej, w czasie wojny przewodził partyjnej partyzantce, w latach 1954–1957 był posłem w Budapeszcie, gdzie organizował zdławienie powstania węgierskiego, potem kierownikiem wydziału KC zawiadującego kompartiami będącymi u władzy. Do KGB posłano go jako oko i rękę partii. Spełniwszy zadanie, wrócił do sekretariatu KC, a teraz został nagrodzony najwyższym zaszczytem.

Dotychczas proces „owładania” stołkiem pierwszego sekretarza, czyli możliwościami, jakie on daje, trwał – jak powiedziałem – około pięciu lat. Nie należy jednak zapominać, że w chwili śmierci Lenina Stalin miał 45 lat, że Chruszczow liczył sobie w chwili śmierci Stalina lat 59, a Breżniew zastąpił Chruszczowa w wieku lat 58. Jurij Andropow ma lat 68. Jest więc oczywiste, że okres „adaptacji” musi zostać radykalnie skrócony. Andropow nie może czekać pięciu lat na pełnię władzy. Musi się spieszyć z powodów fizjologicznych. Nie ulega kwestii, że władzę swoją może poszerzać tylko kosztem innych członków ścisłego kierownictwa.

Jak na to zareagują? W chwili gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze, jak zostaną rozdzielone teki w „kolektywnym kierownictwie”. Można jednak zakładać, że w jego skład wejdą: prezes Rady Ministrów Nikołaj Tichonow (urodzony w 1905), minister obrony Dmitrij Ustinow (1908), minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko (1909), pierwszy sekretarz moskiewskiego komitetu partii Wiktor Griszyn (1914), pierwszy sekretarz leningradzkiego komitetu partii Grigorij Romanow (1923), pierwszy sekretarz kompartii Ukrainy Władimir Szczerbyckij (1918), Michaił Gorbaczow, zajmujący szalenie niebezpieczne sta-

nowisko ministra rolnictwa, i Władimir Dołgich (1924), sekretarz KC i kandydat na członka Biura Politycznego, zarządzający przemysłem sowieckim.

Podeszły wiek większości przywódców Związku Sowieckiego bije w oczy. Średnia wieku 54% członków KC wybranych w 1981 roku przekracza 60 lat, a 25% członków KC przekracza lat 70. Liczba członków KC, którzy nie przekroczyli 50. roku życia wynosi 6,3%. Zarazem liczebność „parlamentu partii” wciąż rośnie: w 1961 roku KC liczyło sobie 175 członków; w roku 1981 jest ich już 319. I wreszcie ostatnia cyfra: 82% członków KC wstąpiło do partii w dobrych stalinowskich czasach, tzn. przed 1952 rokiem, a 70% członków KPZR, która liczy sobie 17 milionów ludzi, wstąpiło do partii po 1952 roku.

Można więc bez ryzyka omyłki przyjąć, że walkę o rozszerzenie władzy Andropow będzie prowadził z kolegami i rówieśnikami. Można dalej przyjąć, że nowe pokolenie, na które tak liczyli zachodni sowietolodzy, dojdzie do władzy, kiedy już będzie stare i do cna przemielone przez ustrój.

Dotychczas każdej zmianie na stanowisku pierwszego sekretarza towarzyszyło odejście od poprzedniego okresu: Stalin przeprowadził faktyczną deleninizację, przy okazji mordując wszystkich współtowarzyszy Lenina, Chruszczow zaczął od formalnej destalinizacji, wszczynając walkę z „kultem jednostki”, Breżniew oświadczył po objęciu stanowiska Chruszczowa, że koniec z błędną polityką jego poprzednika, nazwaną „woluntaryzmem”. Jednak nieuchronna debreżniewizacja będzie miała inne przyczyny.

Stalin, Chruszczow i Breżniew umacniali swoje pozycje na negacji poprzedników. Co więcej, Stalin i Chruszczow zadali ciężkie rany i napytali gorzkiej biedy aparatowi partyjnemu. Breżniew uspokoił nomenklaturę, na serio zatrwożoną szaleńczymi reformatorskimi pomysłami Chruszczowa. Teraz imię Breżniewa po prostu wyjdzie z użycia, a nowy pierwszy sekretarz bez osądzania swego poprzednika i bez wspomniania go nawet nawiąże bezpośrednią więź z ojcem mitu – Leninem. To samo zrobił i Breżniew, przyznając Leninowi legitymację partyjną numer 1, a samemu biorąc numer 2.

Nowy pierwszy sekretarz KC KPZR, podobnie jak inni członkowie kierownictwa sowieckiego – tego najbardziej ekskluzywnego klubu na świecie – mało jest znany szerokiej publiczności. To, co o nim wiadomo, pochodzi głównie z departamentu dezinformacji KGB. Wiadomo, ile ma lat, wiadomo, że ten siwowłosy mężczyzna średniego wzrostu jest zawsze przyzwoicie ubrany i że nosi okulary. Niewykluczone, że właśnie okularom zawdzięcza opinię największego intelektualisty spośród członków politbiura. Były współpracownik KGB Władimir Sacharow, który studiował z synem Andropowa w moskiewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych i bywał u niego w domu, mówi, że szef KGB zna angielski i woli whisky i koniak od wódki. Stosunkowo blisko znał Jurija Andropowa komisarz budapeszteńskiej policji Sandor Kopaczi. Kopacziego aresztowano, bo w 1956 roku przeszedł na stronę powstańców: siedem lat przesiedział w więzieniu, a potem, dostawszy paszport na Zachód, napisał wspomnienia.

Sandor Kopaczi podaje, że Andropow ubierał się u najlepszego krawca w Budapeszcie, bardzo lubił cygańskie melodie, zwłaszcza pieśń o ptaszku opuszczającym swe gniazdo, i uchodził za doskonałego tancerza; jego popisowymi numerami było tango i czardasz. „Zawsze się uśmiechał, kadził reformistom – pisze Kopaczi – i zawsze był nienagannie uprzejmy. Nikomu nie wydawał rozkazów, udzielał jedynie rad i zaleceń. Ale wiało od niego chłodem. Czy jego bezustannie zmieniały kolor, a chwilami wydawało się, że za szklami okularów zapala się zimny ogień”. To ostatnie zdanie można by uznać za zbyt literackie jak na byłego szefa policji. Ostatni raz Kopaczi spotkał Andropowa w gmachu, do którego wezwano delegację Węgrów na rozmowy z sowieckimi władzami. Wszystkich Węgrów aresztowano i odwieziono do więzienia. „Kiedy nas zabierali – wspomina Kopaczi – zobaczyłem Andropowa stojącego na schodach ze swoim słynnym dobrodusznym uśmiechem. Kiedy nas zobaczył, radośnie pomachał mi ręką na pożegnanie...”.

Tyle wspomnień prywatnych. Działalność publiczna Jurija Andropowa na stanowisku szefa KGB znana jest znacznie lepiej. Jego bezpośredni zastępca generał Cwigun informował w gazecie „Komunist” nr 14/1981 o piętnastu latach pracy pod kierownictwem Andropowa: „W wyniku zastosowanych przez KGB środków, ściśle zgodnych z literą prawa i realizowanych pod kierownictwem organów partii [...] położono kres sprzecznej z prawem działalności antyspołecznych elementów, a najaktywniejsze spośród nich pociągnięto do odpowiedzialności prawnej”. Jest to podsumowanie walki z dysydentami. W walce tej Andropow dał dowody pomysowości, uporczywości i okrucieństwa. Kiedy objął na Łubiance gabinet szefa KGB, w ZSRR istniały trzy specjalne szpitale psychiatryczne – dziś jest ich ponad trzydzieści. To Andropow wymyślił, że zesłanie na emigrację może być formą walki z opozycją. Nie ulega wątpliwości, że jest to forma bardziej ludzka aniżeli areszty, łagry, szpitale psychiatryczne i wyroki śmierci. Jednak pod kierownictwem wielbiciela muzyki i tańca Andropowa szeroko stosowano i okrutniejsze formy represji. Charakterystyczne jest także, że na swoje miejsce na Łubiance wyznaczył on – w charakterze technicznego wykonawcy – najbardziej bezlitosnego ze wszystkich szefów KGB Witalisa Fiodorczyka.

Wybór Jurija Andropowa na stanowisko pierwszego sekretarza KC KPZR nie był wynikiem przypadkowego zbiegu rozmaitych elementów biograficznych. Kierownictwo sowieckie już przedtem wypróbowało tę szczególną formę wyjścia z trudnej sytuacji. W 1969 stanowisko pierwszego sekretarza KC Azerbejdżanu objął szef tamtejszego KGB Gajdar Alijew, a w 1972 roku pierwszym sekretarzem KC Gruzji został minister spraw wewnętrznych Edward Szewardnadze. Przenosząc Andropowa z KGB do sekretariatu KC KPZR (25 maja 1982) i wybierając go na stanowisko pierwszego sekretarza, przywódcy sowieccy wytyczyli cel na najbliższą przyszłość: chodzi o zaprowadzenie porządku w ZSRR.

Epoka Breżniewa trwała 18 lat – były to lata dojrzałego sowietyzmu, oficjalnie zwanego realnym socjalizmem.

Główne cechy epoki Breżniewa są zarazem najbardziej typowymi cechami realnego socjalizmu. Po leninowskim okresie wojen i rewolucji, po dziesięcioleciach kataklizmów stalinowskich, po gorączkowych wstrząsach ery Chruszczowa rządy Breżniewa wydają się wszystkim obserwatorom epoką spokoju i bezruchu. Wrażenie to, zapobiegliwie kultywowane przez wszechmocny sowiecki aparat agitacji i propagandy, nie odpowiada rzeczywistości.

Między październikiem 1964 a listopadem 1982 roku Związek Sowiecki bezustannie posuwał się naprzód, ale ruchami szczególnego typu. Nie były to te ruchy, których spodziewali się mieszkańcy ZSRR i reszta świata. Obywatele sowieccy mieli nadzieję, że ich położenie, które poprawiło się w epoce Chruszczowa, przynajmniej nie będzie się pogarszać. Reszta świata, która wciąż upatrywała w ZSRR państwo rewolucji, oczekiwała radykalnych reform, które by „zmodernizowały” gospodarkę sowiecką. Metoda analogii, którą zachodni sowietolodzy stosują do analizy ustroju sowieckiego, prowadziła do wniosku, że ustrój musi się zreformować i przezwyciężyć rozbieżność między poziomem uzbrojenia (mocarstwo światowe!) a poziomem życia ludności. Musi, bo tak robią wszystkie kraje świata.

Ale Związek Sowiecki jest inny niż wszystkie kraje świata. Era Breżniewa – okres dojrzałości realnego socjalizmu – przekonywająco dowiodła, że ustrój sowiecki jest unikalny i rozwija się w sposób specyficzny. Wkrótce po wyborze Breżniewa na pierwszego sekretarza KC zaczęły się „ruchy” w dziedzinie represji, zdecydowanie zaostrzono walkę z opozycją i z każdym, kto „myślał inaczej”. Jeszcze będąc szefem KGB, Jurij Andropow nazwał dysydentów „ludźmi kierującymi się błędnymi poglądami politycznymi lub ideowymi, fanatyzmem religijnym, odchyleniami nacjonalistycznymi, prywatnymi ambicjami i porażkami [...] a także, w wielu przypadkach, brakiem równowagi psychicznej”. Występując z okazji 60-lecia rewolucji październikowej, Andropow uprzedził: „Niech nam nie gadają o humanizmie”. Ci, którzy „gadali o humanizmie”, a wraz z nimi wszyscy inni odpowiadający wyliczonemu przez szefa KGB kategoriom, poszli do więzień, łagrów i szpitali psychiatrycznych. Erę Breżniewa rozpoczął sąd nad pisarzami A. Siniawskim i J. Danielem, skazanymi za książki i opinie wygłaszane przez występujące w nich postacie. Potem szedł proces za procesem: niekiedy znano nazwiska oskarżonych i świat stawał w ich obronie, niekiedy po latach starań zwalniano najsłynniejszych więźniów. Podczas gdy światowa opinia publiczna broniła poszczególnych znanych więźniów, dławiono tysiące nieznanych nikomu poszukiwaczy wiary albo poszukiwaczy prawdy, obrońców praw narodowych albo po prostu praw i godności człowieka. Banicją Sołżenicyna, zesłanie Sacharowa do Gorkiego to najwyraźniejsze oznaki nieustających postępów w walce z opozycją. Skazany na siedem lat więzienia i 5 lat zesłania Jurij Orłow, twórca Komitetu Helsińskiego, obliczył w niewoli, że w 1979 roku w więzieniach i łagrach sowieckich przebywało nie mniej niż trzy miliony ludzi. Według obliczeń amerykańskich zaludnienie sowieckich obozów i więzień wzrosło pod koniec 1982 roku do blisko czterech milionów.

Nie ulega kwestii, że w erze Breżniewa państwo sowieckie dosięgło niebywałych nigdy przedtem sukcesów w polityce zagranicznej. „Postęp” w tej dziedzinie był bezustanny i zdecydowany: zaczął się w 1968 roku od inwazji Czechosłowacji, po której nastąpiły „ruchy” w Wietnamie, Etiopii, Południowym Jemenie i Angoli. Po raz pierwszy od 1945 roku armia prowadzi wojnę poza granicami swego terytorium – w Afganistanie.

Nikt nie zaprzeczy, że w swym nieodpartym parciu na południe, północ, zachód i wschód machina sowiecka poniosła też porażki – niekiedy wręcz stawała, zmuszona do przerwy. Zdarzało się to zazwyczaj daleko od granic ZSRR. Wydarzenia w Polsce – pierwsze poważne uderzenie w podstawy ustroju – zdarzyły się wewnątrz jej terytorium.

Breżniewowskie kierownictwo nie miało wątpliwości, że uderzenie zostało odparte i rozpoczęła się normalizacja. W hasłach ogłoszonych na 65-lecie rewolucji październikowej (na miesiąc przed śmiercią Breżniewa) i wytyczających zazwyczaj główne linie sowieckich działań wewnętrznych i zagranicznych, pojawił się nowy front: Salwador. Pierwszego maja o Salwadorze nie było jeszcze mowy.

Bezustanna ekspansja wymagała od ZSRR niewiarygodnych wysiłków dla stworzenia niebywałej armii, wyposażonej w najnowszą broń, i gigantycznej floty działającej dziś na wszystkich morzach i oceanach.

Słowo „ruch”, używane zazwyczaj na oznaczenie ruchu naprzód, w rzeczywistości oznacza wszelkie przemieszczenie, każdą zmianę położenia. Można zatem mówić o szybkim ruchu w dziedzinie pogarszania się stopy życiowej i materialnego położenia obywateli ZSRR. Widomymi oznakami pogarszającego się położenia są nie tyle puste półki w sklepach i wieloletni brak mięsa, tłuszczów, serów na prowincji, chroniczne kłopoty z kartoflami i nawet chlebem, ile oficjalne dane o wykonaniu planu. Statystyka sowiecka, niemająca żadnego związku z rzeczywistością, spełnia rytualną rolę proroka świetlanej przyszłości. Kiedy w tabelach statystycznych, ogłaszanych co jakiś czas przez wszystkie gazety, pojawiają się zniżające się cyfry poniżej 100%, obywatele sowieccy wiedzą, że trudności trwają. Świadectwem trudności jest też alkoholizm, który przybrał katastrofalne rozmiary. W swym przemówieniu na XXVI zjeździe KPZR w 1981 roku Breżniew nazwał alkoholizm „poważnym problemem”. O rozmiarach pijactwa wymownie świadczy oficjalna cyfra, która może być tylko niższa od rzeczywistego stanu rzeczy: w 1974 roku 600 tysięcy szoferów skazano na kary obozu za prowadzenie w stanie nietrzeźwym.

Alkoholizm to jedna z przyczyn wyraźnego wzrostu śmiertelności w ZSRR, przede wszystkim wśród dzieci. Inną przyczyną jest coraz gorsza opieka lekarska. Począwszy od 1975 roku, nie ogłasza się w ZSRR danych statystycznych dotyczących śmiertelności dzieci. Dowodzi to kryzysu służby zdrowia. Świadczą o nim także opublikowane cyfry: w roku 1965, roku dojścia Breżniewa do władzy, na służbę zdrowia przeznaczono 6,6% dochodu narodowego, w roku 1978 – 5,2%.

Spadek stopy życiowej prowadzi do obniżenia wydajności pracy, do jaskrawego pogorszenia jakości produkcji i regresu technologicznego, czyli do zastoju w gospodarce.

Najbardziej charakterystyczną cechą ery Breżniewa, której nie pominie żaden historyk, był niepowstrzymany rozkwit korupcji. Bez łapówki nie sposób dostać się do lekarza, kupić mięsa, wstąpić na uniwersytet, wykonać planu w fabryce, kupić książki czy biletów do teatru. Niewiarygodne rozmiary korupcji wyjaśniają jej nieznaną dotąd socjologom charakter: korupcja stała się smarem maszyny państwowej, bez niej stanęłaby produkcja sowiecka; ona decyduje o podziale dochodu i o udziale w kierowaniu krajem. Zrealizowało się wreszcie marzenie Lenina: każda kucharka rządzi państwem. Bez łapówki żadna kucharka nie wyda obiadu w restauracji...

Korupcja, gigantyczny czarny rynek i złodziejstwo stały się normą, zjawiskiem powszechnym, które nikogo nie dziwi. Adwokat sowiecki Konstantyn Simis, zmuszony do emigracji, we wspomnieniach swych pt. *ZSRR – tajniki skorumpowanego społeczeństwa* przytacza dziesiątki przykładów przekupstwa i złodziejstwa, które przeniknęły do wszystkich dziedzin życia. Simis podkreśla jednak, że wciąż nie można mówić o zupełnym rozkładzie człowieka sowieckiego: „Ludzie sowieccy nie uważają kradzieży mienia państwowego za uszczerbek dla czyjejkolwiek własności... Dziesiątki milionów obywateli ZSRR, nie zastanawiając się, taszczy ze swojego miejsca pracy gwoździe, żarówki itp., ale przeważająca większość nie ukradnie nawet kopiejki prywatnemu człowiekowi”.

Gwałtowny spadek stopy życiowej ludności, regres gospodarczy, totalna korupcja są oznakami kryzysu. Kryzys ten jednak niepodobny jest do kryzysu ustrojów niesowieckich. Pierwsza różnica polega na specjalnym typie więzi między całością gospodarki a gospodarką wojskową. Sowiecka doktryna wojenna jest kategoryczna: „Decydujące znaczenie mają w chwili bieżącej nie potencjalne możliwości gospodarcze państwa, które można uruchomić w razie wojny, a stosunek tych sił i środków, jakimi walczące ze sobą strony rozporządzały przed rozpoczęciem działań wojennych” (M. Skirdo, *Naród, armia, wódz*, Moskwa 1970). Stąd wynikają starania o stworzenie przed rozpoczęciem wojny potężnej maszyny wojskowej, która zdolna będzie zdławić przeciwnika rozporządzającego znacznie większym potencjałem gospodarczym. Stąd też wynika szczególny nacisk na przemysł wojskowy, który pracuje nie lepiej niż inne gałęzie przemysłu, ale kontrolowany jest nieporównanie surowiej.

Słowo „kontrola” charakteryzuje ustrój sowiecki i wypacza charakter i naturę kryzysu. Ciężkie położenie materialne ludności sowieckiej zmienia się w głód kontrolowany. Regres gospodarczy staje się kryzysem kontrolowanym, pozwalającym kierować niezbędne środki na właściwe dziedziny gospodarki. Korupcja staje się korupcją kontrolowaną, dozwoloną w granicach wyznaczonych przez wyższe instancje, czyli kierownictwo partii.

Partia sprawuje kontrolę nad państwem. Realny socjalizm to kontrola partii złagodzona dozwoloną korupcją. Jak oświadczył przed śmiercią Michaił Susłow, „cała historia budownictwa socjalistycznego i komunistycznego dowodzi konieczności zapewnienia i umocnienia wiodącej i kierowniczej roli partii komunistycznej”.

Największym sukcesem propagandy ery breżniewowskiej było pobudzenie w ludności ZSRR psychozy wojny. W żadnym kraju świata nie mówi się tyle o wojnie co w Związku Sowieckim. Dziesiątki filmów, tysiące książek, miliony artykułów prasowych przekonały obywateli sowieckich, że tylko polityka Breżniewa ratuje ich kraj od wojny. Pamięć o okropieństwach wojny z Niemcami wykorzystywana jest do budzenia strachu, który bardziej jeszcze niż korupcja żżera dusze ludzkie. Strach przed wojną stał się jednym z warunków stabilności ustroju. Badania opinii publicznej, jakie w listopadzie 1982 roku przeprowadzono w USA, Francji, RFN, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Hiszpanii, Holandii i Włoszech, pokazały, że ludność tych krajów troszczy się przede wszystkim o swój dobrobyt i życie prywatne. Wszystkie ankiety przeprowadzane w ZSRR pokazują, że ludność sowiecka boi się przede wszystkim i nade wszystko wojny.

Sowietolodzy zachodni powitali wybór Andropowa z nadzieją, że ten liberał i reformator zajmie się reformami. Z racji poprzedniej funkcji zna on przecież – jak wszyscy zgodnie podkreślają – rzeczywiste położenie. Nadzieja jest cechą ludzką. Ale 65 lat historii ZSRR i niedawny los polskiej „Solidarności” dowodzą, że jedyna reforma, jaka mogłaby zmienić kierunek rozwoju ustroju sowieckiego, nie jest możliwa. Wymaga ona bowiem zreformowania roli partii w społeczeństwie.

Dopóki partia będzie „kierowniczą, wiodącą” i wszystko kontrolującą siłą w państwie i społeczeństwie, dopóty system pozostanie bez zmian. Zmiany na stanowisku pierwszego sekretarza mogą się odbić na detalach, ale nie tkną istoty systemu. Stalin zwykł mawiać: „żmija to żmija, tiorma to tiorma”. Można tylko dodać: realny socjalizm pozostaje realnym socjalizmem.

[12/1982]

Sytuacja w Afganistanie*

Z okazji kongresu naukowego w Pakistanie spędziłem m.in. tydzień w Peszawarze, gdzie miałem możliwość zetknąć się z niektórymi osobami reprezentującymi politycznie i organizacyjnie masy uciekinierów afgańskich, a także utrzymującymi kontakt z różnymi grupami afgańskich bojowców (mudżahedinów). Rozmowę z p. Akbarem, byłym pracownikiem radia w Kabulu, odbyłem 19 września w jego biurze, które jest też małym muzeum militariów sowieckich, dostarczonych przez bojowców dość swobodnie przenikających do Peszawaru przez pobliską granicę. Wśród eksponatów znajdowało się kilka „zabawek” plastikowych, wybuchających przy lada dotknięciu, a o których prasa zachodnia pisała ze sceptycyzmem. W istocie miny te nie są „zabawkami” *sensu stricto*, tzn. nie są zrobione celowo, by przyciągać dzieci, ale na pierwszy rzut oka sprawiają takie wrażenie. Są to ok. 10-centymetrowe przedmiociki w kształcie rybek o różnych odcieniach zieleni. Spłaszczony „ogon” jest względnie niegroźny, natomiast rozdęty korpus zawiera ok. 50 gram środka wybuchowego i eksploduje przy dotknięciu. Miny te przeznaczone są niewątpliwie do rozrzucania po polach i łąkach, gdzie stają się prawie niewidoczne; na tle brunatnej ziemi afgańskich gór muszą się odcinać bardzo wyraźnie i zapewne skusiły niejedno dziecko w górskich wioskach. Drugim rodzajem eksponatów były różne odmiany sprzętu przeciwgazowego: maski, fiolki z chemikaliami sygnalizującymi obecność gazu itp.; p. Akbar podkreślał, że każdy sowiecki żołnierz jest wyposażony w ten sprzęt, co – jego zdaniem – winno służyć za dowód, iż Rosjanie często używają gazu w akcji, a o czym prasa zachodnia również pisze półgębkiem i bez przekonania.

Mimo że znam paszto (afgański) raczej tylko biernie, nie chcąc ograniczać swobody wypowiedzi mego rozmówcy, prosiłem p. Akbara, by mówił w swym języku ojczystym i poniższy tekst jest tłumaczeniem (z niewielkimi skrótami), dokonany przez mnie później, w wolniejszym czasie, z taśmy magnetofono-

* Rozmowa z Saydem Fazelem Akbarem, kierownikiem Afgańskiego Ośrodka Informacji i Dokumentacji w Peszawarze (wrzesień 1983).

wej. Niektóre dodatkowe informacje (wtrącone w kwadratowych nawiasach) pochodzą z angielskich biuletynów Biura, które dostałem w czasie mej wizyty. W rozmowie uczestniczył też p. Madžruh, jeden z głównych koordynatorów politycznych na terenie Peszawaru, ale udział swój ograniczył on jedynie do roli komentatora i (chwilami) tłumacza. Rozmowa nie przyniosła jakichś rewelacji faktycznych, odzwierciedla jednak dobrze nastroje i poglądy afgańskich działaczy politycznych i z tego względu wydaje mi się interesująca. Oto jej tekst.



Maciej Broński: Co chciałby Pan powiedzieć na temat rosyjskiej akcji w Afganistanie?

Fazel Akbar: Jak wiadomo, Rosja jeszcze w czasach carskich snuła plany podboju Afganistanu. W nowszych czasach usiłowała uzyskać ten cel innymi środkami: mowa była o pomocy gospodarczej i przyjaźni, ale wszystko to w rzeczywistości zmierzało do podporządkowania sobie naszego kraju. W tym też celu Rosja zwerbowała sobie pomocników wewnętrznych, członków ugrupowań komunistycznych Chala (Lud) i Parczam (Sztandar) i oni to w kwietniu 1978 drogą krwawego zamachu stanu siłą zagarnęli władzę. Ludność jednak szybko zorientowała się, że ludzie ci są jej obcy, że nie reprezentują interesów Afganistanu i że są po prostu pomocnikami Rosjan, toteż zaczęła stawiać im opór, przybierający szybko rozmiary powstania. Rosjanie zorientowali się, że ich wpływy słabną, więc w grudniu 1979 postanowili interweniować bezpośrednio, militarnie.

Wojna, która toczy się obecnie w Afganistanie, ma charakter szczególnie i porównywanie jej z wojną w Wietnamie jest mylące, choćby dlatego, że tam strona antykomunistyczna miała ogromną pomoc amerykańską. W Afganistanie walczący są sami. Rosjanie prowadzą akcję, ignorując zupełnie przyjęte na świecie prawa wojenne: zabijają kobiety i dzieci, masakrują ludność cywilną. Jakiś miesiąc temu na przykład, w Ghazni, wyciągnięto z domów pewnego dnia ok. 20 osób i zabito je bez ceregieli. Powtarza się to często – przed trzema miesiącami w prawie każdej wsi w okolicach Pagmanu zabito w ten sposób wiele osób, w odwet za pomoc mudżahedinom. Poza większymi miastami Rosjanie nie mają władzy w terenie i dopiero gdy oddziały bojowców wycofają się w góry, wkraczają w formie ekspedycji karnych i zabijają ludność cywilną; giną kobiety, dzieci, nawet zwierzęta.

Rosjanie nie prowadzą właściwie systematycznej akcji przeciw bojowcom, na razie zależy im głównie na zapewnieniu bezpieczeństwa swym transportom i garnizonom. Tu działają systematycznie: np. na terenach na północ od Kabulu i Kunduzu stworzyli rodzaj korytarzy dla swych transportów, niszcząc wszystko

wzdłuż kilkusetmetrowych pasów po obu stronach drogi, domy, ogrody, wszystko... Wokół Kabulu i innych ośrodków zniszczyli wiele osiedli, by stworzyć bezpieczne strefy i zmusić ludność do emigracji. To ostatnie jest zaplanowaną taktyką: zbrojne najazdy na określone okolice mają za cel zmuszenie ludności do masowej emigracji, chodzi o wyparcie tysięcy ludzi z danej okolicy naraz. Nawet członkowie Parczamu (komunistycznej frakcji, z którą związany jest Babrak Karmal i która po zlikwidowaniu Tarakiego i Amina – opierających się na Chalqu – jest obecnie głównym ugrupowaniem reżimowym) przyznają, że plan sowiecki polega na wyparciu lub wygłodzeniu ludności; chodzi im o to, by pozostał goły teren...

M. B.: I stąd Pakistan ma obecnie na swym terenie 3,5 miliona uchodźców afgańskich... Czy pomoc materialna dla nich jest wystarczająca?

F. A.: Pakistan pomaga, ale wiadomo powszechnie, że kraj ten nie ma wystarczających środków materialnych i ma wiele własnych kłopotów ekonomicznych. Inne kraje też pomagają, ale pomoc ta nie wystarcza w pełni, są trudności z odzieżą i żywnością. Wolny świat powinien zwiększyć pomoc, zwłaszcza że Afganistan walczy po jego stronie, z jego przeciwnikiem... Poza tym zapomina się często, że uchodźców jest więcej, istnieją bowiem masy uchodźców wewnętrznych, ludzi, którzy nie byli w stanie przedostać się poza granicę – przejścia są nieraz odległe, trudne i niebezpieczne – ale musieli schronić się w innych prowincjach Afganistanu.

M. B.: Wiem z doświadczenia, że każdy reżim typu sowieckiego zaczyna od organizowania szerokiej sieci policyjnej i werbowania donosicieli. Czy wobec tego Rosjanie nie są w stanie szybko wytropić takich uciekinierów wewnętrznych?

F. A.: Jak wspomniałem, Rosjanie nie kontrolują w pełni terenu. [Według analizy danych, dokonanej w grudniu 1982 roku, około 80% terytorium znajdowało się wówczas pod kontrolą mudżahedinów i nawet tak duże ośrodki, jak Kandahar, Ghazni i Herat oceniano jako w 50% „uwolnione”, tzn. będące częściowo we władaniu grup bojowych; sytuacja jest oczywiście płynna]. Okupują tylko stolicę i pewne ośrodki prowincjonalne, nie mogą więc kontrolować ruchu ludności. Ale zjawisko donosicieli i agentów jest faktem. Zorientowawszy się, że akcja bezpośrednia przeciw bojowcom nie daje rezultatów, Rosjanie sięgnęli do środków pośrednich: przekupstwa, nacisku ekonomicznego... Próbuje infiltrować grupy mudżahedinów, rozbijać jedność... Ale nawet jeśli agentom udaje się niekiedy osiągnąć to na płaszczyźnie politycznej czy organizacyjnej, nie ma to większego znaczenia w skali ogólnej. Wojna w Afganistanie trwa już od 4–5 lat i od początku akcje bojowe były rozproszone. Należy zdać sobie sprawę, że wojna ta nie ma „celu”, nikt nie podejmuje walki, rozważając szansę, czy uda się wyprzeć Rosjan, czy też nie... To jest wojna o styl życia, o islam, o wiarę, to jest dżihad (wojna religijna), w której walczący składają ofiarę z siebie. Należałoby

życzyć sobie większej jedności, należałoby sobie życzyć większej pomocy ze strony wolnego świata – Afganistan walczy po jego stronie – należałoby sobie życzyć większego nacisku Zachodu na Związek Sowiecki, zwłaszcza nacisku ekonomicznego; ale niezależnie od tego, czy warunki te będą spełnione, czy nie, walka w Afganistanie będzie trwała – być może kraj padnie, ale nie podda się. Nawet w obecnej sytuacji w Afganistanie jest nadzieja, jest wielka nadzieja na wolność.

M. B.: Wspomniał Pan kwestię jedności, a raczej jej braku. Nawet wśród przedstawicielstw politycznych w Peszawarze brak jej. [Działa tu sześć różnych ugrupowań, dwa nawet o tej samej nazwie (Muzułmańska Partia Afganistanu), ale kierowane przez dwóch różnych przywódców; główne rozbieżności dotyczą kwestii ustrojowo-religijnych, gdyż wszystkie ugrupowania mają za cel taki czy inny „ustrój muzułmański” w przyszłości w Afganistanie; p. Akbar określa trzy ugrupowania jako „fundamentalistyczne”, tzn. mniej lub bardziej radykalne, *à la* Chomeini, a trzy jako „umiarkowane”]. Jak to odbija się na akcji militarnej w Afganistanie?

F. A.: To fakt, że każdy mudżahedin czy emigrant przybywający tu z Afganistanu skarży się na brak jedności. I jedność ta jest wielką potrzebą – jest zresztą nadzieja na to, prowadzi się rozmowy... Ale w praktyce brak jej nie ma aż tak wielkiego znaczenia w chwili obecnej. Na miejscu każdy komendant grupy bojowej jest suwerenny, podejmuje akcje według własnego rozeznania sytuacji, zależnie od własnych środków, warunków lokalnych, własnej determinacji, sam organizuje współdziałanie. I akcje są prowadzone... [Jako przykład typowej drobnej akcji p. Akbar wskazuje na „incydent” opisany w biuletynie Ośrodka z 1 sierpnia 1983: 25 lipca grupa mudżahedinów z kwater w Kilagai otoczyła grupę żołnierzy sowieckich kwaterujących w pewnym ogrodzie w miejscowości Doszi; zabito dwóch oficerów i sześciu żołnierzy, zginęło dwóch bojowców afgańskich; zdobyto 8 karabinów typu kałakow i kałasznikow i jednego jeepa].

M. B.: Oczywiście nie da się wymierzyć liczebnie ludzkiego cierpienia, ale jak Pan ocenia straty Afganistanu w terminach demograficznych? W 1979 roku kraj ten liczył ponad 20 mln ludzi – na ile ocenia Pan straty obecnie?

F. A.: Brak dokładnych danych, ale liczba zabitych przekracza pół miliona; są też bardzo liczni ranni. Afganistan stracił też 5 milionów ludzi, którzy wyemigrowali – 3,5 mln tu (do Pakistanu), 1,5 mln do Iranu.

M. B.: Wiadomo, że główną siłą oporu są Pasztuni; ale Afganistan jest krajem wieloetnicznym: mieszkają tam Hazara (ludność pochodzenia mongolskiego w centrum Hindukuszu), Tadżykowie i Uzbegy na północy; niepasztuńskie grupy ludności czuły się niekiedy zdominowane i odsunięte na drugi plan przez Pasztunów. Czy obecnie nie odbija się to na ich postawie wobec sowieckiego najazdu?

F. A.: To fakt, że głównym elementem wśród bojowców są Pasztuni, ale inni też biorą udział w walce. Różnice etniczne nie mają tu znaczenia: na północy też walczą, walczą Uzbegy i Tadżykowie, wszyscy pomagają mudżahedinom. Nawet sowieccy Uzbegy i Tadżykowie pomagają nam, przekazują amunicję... [Jak wynika z zeznań dwóch muzułmańskich żołnierzy sowieckich, którzy przeszli na stronę mudżahedinów (biuletyn z 1 lipca 1983), sprzedaż zdobytej lub skradzionej broni jest dość powszechnym procederem wśród stacjonujących żołnierzy sowieckich]. Różnice etniczne nie mają wpływu na postawę wobec najeźdźców...

M. B.: A jak wygląda sytuacja w afgańskich wojskach „rządowych”? Armia ta (licząca w 1979 ok. 100 tys. żołnierzy) bardzo się przerzedziła przez dezercję, ale wciąż istnieje...

F. A.: Jest bardzo słaba. Właściwie nie ma co w ogóle mówić o „wojsku Karmala”. Ci, którzy w nim służą, tylko czekają na okazję, by przejść do mudżahedinów. Do wojska biorą siłą, pod presją rosyjską; biorą kilkunastoletnich chłopców, organizują różne formy nacisku... [Jedną z nich jest uzależnienie studiów od uprzedniej służby wojskowej, stąd w ub. roku na uniwersytecie w Kabulu 90% studentów stanowiły dziewczęta. Uniwersytet zresztą jest „zreorganizowany”, rządzą w nim „doradcy” sowieccy, a wykładają ludzie zwербowani według kryteriów politycznych i poziom jest bardzo niski; ok. 80% dawnych wykładowców wyemigrowało. Rosjanie starają się stworzyć nową elitę, wykształconą w Sowietach – obecnie studiuje tam ok. 10 tys. młodych Afganów]. Wojsko to jest bardzo źle wyćwiczone, do służb technicznych (czołgi, lotnictwo) biorą nawet inwalidów z dawnych roczników! Tak że Babrak Karmal właściwie nie ma w ogóle wojska...

M. B.: To znaczy, że Rosjanie są zmuszeni zwiększać coraz bardziej swój własny kontyngent w Afganistanie. Czy potrafi Pan ocenić liczbowo wielkość sił sowieckich w tym kraju?

F. A.: To bardzo trudne, ponieważ właściwie nie ma granicy pomiędzy Afganistanem a Związkiem Sowieckim. Oni wprowadzają i wyprowadzają wojska zależnie od potrzeb chwili. Dotyczy to specjalnie samolotów, które właściwie z zasady startują z lotnisk sowieckich na ich terenie, a nie w Afganistanie. Tak że nie da się powiedzieć dokładnie, choć na pewno liczba żołnierzy stale wzrasta.

M. B.: Czy uważa Pan, że świat zachodni jest dobrze informowany o tym, co dzieje się w Afganistanie?

F. A.: Nie. Prasa zachodnia prawie nie pisze o tym, że wojna ta dotyka nie tylko bezpośrednio walczących, ale i całej ludności cywilnej, że toczona jest wbrew przyjętym konwencjom. Rosjanie używają gazów trujących, i to w wielu wypadkach. Przed kilku tygodniami w prowincji Logar zginęło od gazu ponad 100

osób, które schroniły się przed atakiem lotniczym w karezie (podziemnym kanale nawadniającym). W wielu innych miejscowościach, gdzie użyto gazu, skutki tego widoczne są po dziś dzień – ludzie cierpią na zaburzenia wzroku i słuchu, wymioty... Rosjanie używają masek, a ludność cywilna ich nie ma. O tym, że ludzie wciąż giną – nie tylko bojowcy, ale i ludność cywilna, kobiety i dzieci – pisze się za mało. Po strąceniu przez Rosjan samolotu południowokoreańskiego, w którym zginęło dwieście kilkadziesiąt osób, pisano bardzo dużo na ten temat – ale nie pisze się o tym, że w Afganistanie codziennie, w każdej prowincji ginie więcej ludzi niż tam... Sprawa Afganistanu przestała jakby liczyć się w opinii światowej. Niestety.

[11/1983]

JIŘÍ LEDERER

Karta 77 i chrześcijaństwo

Pierwsze dyskusje, które w rezultacie doprowadziły do powstania Karty 77, odbyły się wkrótce po podpisaniu aktu końcowego KBWE w Helsinkach. Zainteresowanie tzw. trzecim koszykiem było w Czechosłowacji ogromne. Pewną rolę w wytworzeniu atmosfery, z której zrodziła się Karta 77, odegrała również kampania wyborcza Cartera, a szczególnie ta jej część, która w poszanowaniu praw ludzkich upatrywała warunek pokojowego współistnienia w świecie.

Wielkie zainteresowanie wzbudziła ratyfikacja przez Czechosłowację Międzynarodowego Paktu Praw Politycznych i Obywatelskich oraz Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych i Społecznych. Monitor z zawiadomieniem o ratyfikacji został rozchwyty.

Niecałe cztery miesiące przed ogłoszeniem Karty 77 powstał w Polsce we wrześniu 1976 Komitet Obrony Robotników KOR. Nie pozostało to bez echa wśród czechosłowackiej opozycji.

Bezpośrednim bodźcem do założenia Karty 77 był proces sądowy przeciwko niezależnym grupom muzycznym. Przy powstawaniu Karty 77 ogromną rolę odegrały dwie wielkie indywidualności: dramaturg Václav Havel i filozof Jan Patočka, pierwszy daleki od wszelkiej religii, drugi głęboko związany z chrześcijaństwem. Ci dwaj ludzie zdecydowali o duchu nowego ruchu i stali się jego najsłynniejszymi rzecznikami. Obaj doczekali się w zamian brutalnych represji.

Karta od początku skupiała ludzi o różnych profilach. Byli tam młodzi i starzy, a nawet bardzo starzy, intelektualiści, artyści, naukowcy, dziennikarze, robotnicy, urzędnicy, gospodynie domowe, ekskomuniści i antykomuniści, ateści i ludzie głęboko wierzący, katolicy i protestanci. Podkreślam to na dowód głębokiej tolerancji panującej w tym ruchu.

Karta nie włączyła się w życie społeczne kraju jako siła opozycyjna i antyreżimowa. To właśnie nie podoba się wielu jej krytykom. Ruch Karty 77 jest jakby głosem sumienia dochodzącym ze społeczeństwa i do niego jednocześnie skierowanym. Nie jest to głos powstańców wzywających do obalenia znieprawdzonego, a jednocześnie znoszonego z rezygnacją ustroju.

O czym mówi Karta 77? O tym, jakie prawa mają obywatele i czego mogą żądać od rządzących. Przypomina wszystkim, że winni domagać się od władzy

poszanowania dla norm prawnych, które sama ustanowiła. Tak brzmi pismo Karty 77. Kto chciałby żądać od niej więcej, kieruje swe żądania pod niewłaściwym adresem. Karta nigdy nie zmieniła swego pierwotnego stanowiska i trwa przy nim do dziś.

Ruch Karty 77 nie jest ruchem masowym. Bezustannie prześladowany, czyli ryzykowny dla każdego, kto się doń przyłączy, nie może przyciągać tłumów. Mimo to Karta 77 imponuje swym moralnym profilem. Szczególnie widoczne było to w roku 1977, pierwszym roku jej działania.

Po ogłoszeniu Karty 77 reżim przypuścił potężną kontrofensywę mającą zastraszyć ludzi. Sygnatariuszy Karty w ciągu kilku godzin wyrzucano z pracy, prześladowano ich dzieci, odbierano im prawa jazdy, przerywano linie telefoniczne, nęcano ich bezustanną inwigilacją, różnymi groźbami zmuszano do emigracji, przesłuchiowano, terroryzowano w sposób często zagrażający zdrowiu i życiu. Niektórych aresztowano i skazano na lata więzienia. Nawet ich sąsiedzi byli narażeni na różne przykrości, co miało odizolować członków Karty 77 od społeczeństwa.

Jednocześnie wprawiono w ruch największą od lat pięćdziesiątych kampanię prasową, trwającą przez wiele miesięcy. Dzień w dzień radio, prasa i telewizja wylewały na sygnatariuszy Karty kubły oszczerstw. Zwolowano masówki, zwłaszcza w wielkich fabrykach, domagając się od robotników potępienia Karty 77.

Była to znakomita reklama, o jakiej nikomu się nawet nie śniło. Dzięki niej Karta stała się powszechnie znana. W styczniu 1977 sygnatariuszy było 245. Do końca 1977 roku liczba ich wzrosła do tysiąca. O ile pierwsi nie do końca mogli przewidzieć, co ich czeka, o tyle dalsi z całą świadomością brali na siebie ryzyko.

Karta 77 pojawiła się w chwili, kiedy nadwątlony w roku 1968 reżim zdołał się już zrestaurować. Proces odnowy nie był przecież, jak się niekiedy mylnie sądzi, wyrazem dążenia partii komunistycznej do większej wolności i demokracji, lecz wynikiem wewnętrznego kryzysu partii, której zaczęło braknąć sił do panowania nad społeczeństwem. Atmosferę lat siedemdziesiątych, epoki restauracji reżimu totalitarnego, najlepiej charakteryzują następujące zjawiska:

- W prywatnych mieszkaniach odbywają się grupowe dyskusje nad różnymi aktualnymi tematami. Niektóre takie kółka mają charakter jedynie dyskusyjny, inne, jak na przykład słynne kółko zbierające się wokół prof. Patočki – seminaryjne.

- Samizdat. Na początku lat 70. pisarz Ludwik Vaculík założył wydawnictwo Pětlíce (Pętla); wkrótce potem powstały inne wydawnictwa i kilka czasopism. W tym samym czasie pojawił się również samizdat religijny – czasopisma i książki, zbiorki i tłumaczenia.

- Ważną rolę odgrywały w tym czasie pisma emigracyjne, zwłaszcza – moim zdaniem – „Svědectví”, „Listy” i „Studie”.

- Nasiliło się zainteresowanie zagranicznymi audycjami radiowymi w języku czeskim i słowackim, ale także polskim; mam na myśli audycje Wolnej Europy, Głosu Ameryki i BBC.

W Karcie 77 dostrzegalne były dwie podstawowe siły: ekskomuniści i chrześcijaństwo (katolicy i ewangelicy). Z wielkiej masy byłych komunistów pojawili się w Karcie znani politycy, dziennikarze i inni, którzy uprzednio należeli do komunistycznego establishmentu. Ze strony chrześcijan przyszli nieznani w większości ludzie, jak np. dwaj rzecznicy, Václav Malý i Miloš Rejchert. Obaj są młodymi księżmi, jeden katolickim, drugi ewangelickim. Obu pozbawiono prawa wykonywania swego posłannictwa. Wymienić należy także teologa ewangelickiego Jakuba Trojana, filozofa Boženę Komarkovą – ewangeliczkę, robotnicę katoliczkę Marię Rut Křižkovą, katolickiego księdza Františka Lizné – z wykształcenia historyka literatury, a przede wszystkim katolickiego teologa Josefa Zvěřinę. Mógłbym wymienić wiele innych nazwisk, które świadomie podaję w pełnym brzmieniu – po pierwsze dlatego, że ich nosiciele zasługują, żeby o nich wiedzano, a po drugie aby im przysporzyć rozgłosu za granicą. Milczenie nie sprzyja sprawie, o którą walczą, wręcz przeciwnie.

W roku 1981 dostałem z Pragi list. Chciałbym zacytować dwa krótkie fragmenty:

Leżymy na łopatkach. Czekamy na cud. Ktoś może przyjdzie i pomoże... Straciliśmy honor. Polacy go mają. Nie udało się ich rzucić na kolana. Pomogła im świadomość narodowa, nacjonalizm i wiara, religia. Głęboka wiara w rzeczy sprawiedliwe. Wiara w Boga. Nie pozwolili sobie odebrać tej wiary żadnemu marksizmowi-leninizmowi. Zostali wierni swym przodkom i ich wierze.

Karta znajduje się w ciężkiej sytuacji. Ubywa nas coraz bardziej (to znaczy tych, którzy chcą coś robić), Służba Bezpieczeństwa obsadziła wszystko swoimi ludźmi... Pomimo to, w tych niesłychanie ciężkich warunkach, stała kadra jest ciągle znakomita, godna podziwu, chociaż zmęczona. Najlepsi są wierzący – katolicy i ewangelicy. W nich tkwi największa siła moralna, są to ludzie niezeepsuci, wartościowi, broniący się od 40 lat. A jest to jedyna struktura łącząca naszą przeszłość z teraźniejszością. Poza tym wszystko się rozpadło. W ogóle w powrocie wiary widzę nasz ratunek na przyszłość i siłę.

Słowa te napisał znany niegdyś komunista, którego szczególnie dotknęły prześladowania.

Jeden z przytoczonych cytatów podkreśla znaczenie Polski i najnowszych w niej wydarzeń dla Czechów i Słowaków. Nie jesteśmy jeszcze w stanie w pełni ocenić wpływu, jaki wywarło na sposób myślenia i odczuwania naszego społeczeństwa wstąpienie na tron papieski Polaka ani jaki oddźwięk w duszach naszych narodów miała Jego wizyta w Polsce. Już sam fakt jednak, że papież jest w Czechach popularny, dowodzi fundamentalnej zmiany, niemającej precedensu w naszych dziejach.

W latach 70. byliśmy świadkami odradzania się w Czechosłowacji wiary chrześcijańskiej. Wielu ludzi skłoniło do niej rozczarowanie komunizmem, który im obiecywał raj na ziemi. Inni, szczególnie młodzi, zbliżyli się do religii przez opozycję wobec reżimu. Nieprzypadkowo odrodzenie wiary zbiegło się z powstaniem Karty 77. Lutowy przewrót 1948 roku zapoczątkował okres najokrutniejszych prześladowań religijnych, niemających odpowiednika w całej his-

torii Czech i Moraw. Jednocześnie rozpoczął erę bezprzykładnego dławienia praw ludzkich. W latach siedemdziesiątych zrodziły się w społeczeństwie siły, które zdecydowały się stawić czoła wszystkiemu, co przyniósł przewrót lutowy. Ironia losu i historii sprawiły, że o duchową i społeczną odnowę walczą wspólnie byli komuniści i chrześcijanie.

Może ktoś uznać, że przypisuję zbyt wielką wagę do Karty 77 i renesansu wiary w naszym kraju. Oba te zjawiska mogą się wydać słabe w porównaniu z reżimem totalitarnym, wspartym na kolosalnej sile sowieckiej. Myślę jednak, że te prześladowane i tłumione zjawiska nie są całkiem bez perspektyw, bo są wyrazem trudno postrzegalnych, ale trwałych przemian duchowych w tym na pozór zubożonym i biernym społeczeństwie.

Zastanawiając się nad dziejami chrześcijaństwa w naszym kraju na przestrzeni ostatniego półtora wieku, można obecną tendencję uznać wręcz za zwrot w rozwoju. Przecież pod koniec zeszłego stulecia narastały w Czechach tendencje ateistyczne, ba, antyklerykalne. Czeskie społeczeństwo nie uważało Kościoła katolickiego za nieodłączną część życia narodowego, jak polskie. Pierwsza republika (po pierwszej wojnie światowej) głosiła hasło „dalej od Rzymu”, czyli dalej od katolicyzmu, a właściwie od chrześcijaństwa w ogóle. W tej atmosferze dorastała moja generacja. Chodzenie do kościoła było uważane za wyraz zacofania.

Tę właśnie politykę kontynuowali komuniści po przewrocie lutowym, z tym że doprowadzili ją do końca, stosując całą gamę prześladowań.

Lata siedemdziesiąte stanowią przełom. W religii przestaje się dostrzegać wyraz zacofania. Nawet ludzie niewierzący zaczynają rozumieć – ich akces do Karty 77 jest często tego właśnie wyrazem – że tam, gdzie się gnębi i prześladowuje religie, tam gnębi się i prześladowuje ludzi za ich przekonania.

Myślę, że znajdujemy się na początku ery rekrytyzacji Czech. Gdyby się to okazało prawdą, znaczyłoby *novum* o historycznym znaczeniu. Również z punktu widzenia stosunków wewnętrznych, na przykład wzajemnych stosunków między Czechami i Słowakami, a następnie między Czechami a Polakami itd.

Karta 77 jest przejawem dążenia narodu do wolności, przejawem zorganizowanym, o największym znaczeniu od 1948 roku (nie licząc roku 1968). Odrzucanie się chrześcijaństwa natomiast wyraża nowy impuls duchowy, niesłyszalnie ważny i mający znacznie dalsze implikacje.

Zarówno Karta, jak i renesans chrześcijaństwa w naszych krajach sygnalizują coraz większy rozpad Europy. Myślenie i stanowiska Europy Wschodniej i Zachodniej dzieli coraz większa przepaść. Obie części Europy zbyt długo już zmagają się z zupełnie innego rodzaju problemami żywymi i społecznymi, aby nie oddalać się od siebie. W Europie Wschodniej narastają siły dążące do życia w ładzie, wolności i demokracji, pragnące powrotu do chrześcijaństwa jako do źródła naszej cywilizacji. W Europie Zachodniej rosną siły anarchii, braku zaufania do demokracji, czyli odwrót od cywilizacji.

[6/1983]

P. ZNAWCA

Stan rzeczy

Kiedys – dawno temu – polityka KGB wobec dysydentów zdawała mi się głupia: anonimowych ludzi o mniejszych umysłach pakować do łagrów, zadreć po cichu, a prominentów wyrzucać na Zachód, gdzie, jak Solżenicyn czy Zinowiew albo Bukowski – brali się od razu do uświadamiania Zachodu, czym jest naprawdę sowiecki system. Nie mogłem tego pojąć: milionowymi nakładami książek o gułagu Solżenicyn udokumentował prawdę życia w Sowietach, Zinowiew dokonał sekcji sowieckiego społeczeństwa, opisał „homososa”, inni emigranci dopowiedzieli całą resztę. Jakże mogło się KGB tego nie spodziewać i nie obawiać? Czemu takich ludzi nie zabiło całkiem przypadkowo jakieś auto, jakaś nagła choroba, uliczny wypadek? Czyż „koszty własne” sowieckiego systemu nie byłyby wtedy mniejsze?

Byłem głupi. Im więcej prawdy znał Zachód, w tym głębszą popadał schizofrenię polityczną. Mniejsza że to się przejawiało na przykład jako potępienie „Solidarności” przez intelektualistów niemieckich i jako skrywana z trudem złość, że złożeni przez generałów do grobu Polacy nie chcą cicho leżeć w mogile jak przystoi trupowi. Mniejsza o zestawienie roczników „Spiegla”, o to, jak Augstein usiłował zakochać się z wzajemnością w Andropowie, niestety kochanek za prędko zmarł, a Czernienko jakoś gorzej się do tej miłości nadaje. Casus RFN jest osobny – toż marzą o zjednoczeniu i dlatego subwencjonują NRD, dając jej nad stołem miliardy, kiedy ich ona pod stołem kopie.

Ale proszę zajrzeć – powiedzmy – do „International Herald Tribune” z 1 maja tego roku. Stephen Cohen, profesor politolog uniwersytetu w Princeton, więc nie z jakiejś dziury, pisze (*The Soviet Union: A Script of Bad News and Loaded Language*), że Amerykanów o ZSRR informuje się tendencyjnie, potwarczo, jednostronnie, złośliwie i przez to kłamliwie.

Język pełen uprzedzeń nie jest do pogodzenia z obiektywną analizą [...]

Masowe środki przekazu wzięły za zwyczaj tworzenie popularnej opinii, że Sowiety winne są wszystkiemu, o co się je oskarża. W ostatnich latach prasa i telewizja „skazały” sowieckie przywództwo za następujące występki: wzrost wydatków na zbrojenie o groźne 4% do 5% rocznie, inwazję Afganistanu, aby sięgnąć po ropę Zatoki Perskiej, próbę zabicia papieża, wojnę chemiczną („żółty deszcz”) w południowo-wschodniej Azji, rozmyślne zniszczenie

południowokoreańskiego samolotu pasażerskiego z 269 pasażerami. Dane, ogłoszone później w mniejszym zakresie, unicestwiły jedno z tych oskarżeń i wzbudziły poważne wątpliwości co do innych. Mimo to w mniemaniu większości osób, jakie pytałem, ZSRR pozostaje wszystkim temu winny. Rezultatem jest rozszerzająca się postawa amerykańska, by wspierać czy wznowić politykę zimnej wojny. [...]

Wielu studentów [w college'ach – P. Z.] dziwi się, dowiadując się, że w tym kraju żyją i publikują do dziś utalentowani pisarze.

Obiektywizm wymaga zwalczania dyfamacji kraju, który tyle cierpiał i tyle osiągnął [... *that has suffered and achieved so much*]. Itd.

Amerykański ekspert polityczny nie twierdzi, że ZSRR nie dokonał inwazji Afganistanu, że nie zestrzelił tego samolotu, że nie spotęgował zbrojeń podczas lat odprężenia. Nie, on powiada jedynie ogólnikowo, iż jedno z tych oskarżeń zostało potem bez rozgłosu odwołane, a inne zakwestionowane. Nie warto pytać: a któreż to, Panie Profesorze, okazały się dyfamacją tego kraju, co się tyle nacierpiało i tyle osiągnęło? Skąd się wzięły te cierpienia – kto je zadał? Hitler? Ale przecież Hitler wymordował mniej obywateli sowieckich niż Stalin. Przecież to można dokładnie udokumentować! I jakież są osiągnięcia Sowietów poza dziedziną militarnego zbrojenia i agresji, którymi ten wspaniały kraj ma prawo się szczycić? Dlaczego Pan Profesor nie wymieni chociaż jednego takiego sukcesu? Zdaje się, że po opis tych sukcesów odsyła nas do „Prawdy”. A gazeta, w jakiej ogłosił swój interesujący esej, to ekstrakt „New York Timesa” i „Washington Post”. Wiadomo, że w USA panuje wolność słowa i każdy może tam głosić, co żywnie mu się zachce. Lecz ten artykuł jest ważnym symptomem mądrości KGB. Proszę bardzo: półki bibliotek Zachodu trzeszczą od książek przedstawiających konkretnie i liczbowo ludobójcze sukcesy sowieckie, emigranci ze skóry wyłazają, żeby uświadomić Zachód o naturze tego ustroju, a efekt jest zaiste skromny, skoro okazuje się, według uczonego fachowca, że to są potwarze. Że z tym państwem, co się tyle nacierpiało i tyle osiągnęło, trzeba postępować po dobremu. Zamach na papieża tylko się nam przyśnił. Pasażerski samolot wysłała nad Sowiety oczywiście CIA. W Afganistanie lud wprost kocha się w Rosjanach, a biją się z nimi bandy ciemnych kontrrewolucjonistów i opłacanych najemników. O Polsce, o Czechosłowacji, o państwach bałtyckich, o zagładzie wielkich tradycji kultury i literatury rosyjskiej nie ma co mówić – to tylko kłamliwa propaganda antykomunistów. Stosunek wzajemny sił zbrojnych NATO i Paktu Warszawskiego to też pewno łgarstwo. Stany Zjednoczone koniecznie chcą rozpętać wojnę z Sowietami, i wszystko przez to.

Skądinąd warto zauważyć, że te różne brzydkie zarzuty, znieważające świetlany sowiecki ustrój, od dziesiątków lat pojawiały się i nadal się pojawiają najpierw w pismach emigracyjnych typu „Kultury”, a ładnych parę lat potem niesłychanie zaskoczeni i przykro zdziwieni politycy Zachodu zupełnie te same twierdzenia wypowiadają sami, nie mając pojęcia o tym, że są to objawienia tylko dla nich. Gdyby ktoś miał dość czasu i możliwości, mógłby tę moją uwagę

bardzo porządnie udokumentować odpowiednią bibliografią. Mit dobrego Soczewickiego Państwa jest nieśmiertelny. Żeby się wszyscy dysydenci na głowach postawili, zawsze znajdzie się pożyteczny uczony idiota na Zachodzie, który wie od nich lepiej. To prawdziwie ponure zjawisko należy traktować z uwagą i z powagą. Nie trzeba głosić, że autorzy w rodzaju tego politologa są na żołdzie Moskwy. Nie ma tak dobrze. Agenturalno-konspiracyjna wizja dziejów jest właśnie moskiewskiego pochodzenia. Bynajmniej nie każdy, kto wypisuje takie pocziwości o Związku Rad, robi to za pobory w czerwonicach. Chodzi po prostu o brak rozumu, wyobraźni i „chciejstwo”, jak zwał Wańkowicz *wishful thinking*. Czyż nie byłoby znakomicie, gdyby okropności 60 lat systemu sowieckiego okazały się jednym wielkim wymysłem potwarców? Czyż nie byłoby wtedy bardzo łatwo dogadać się z tym sympatycznym supermocarstwem? Wystarczy zamknąć oczy na kilkanaście milionów faktów, a wszystko będzie fajnie.

Schizofrenia, o jakiej wspomniałem, rozszerza się w prasie Zachodu. Sumarycznie biorąc, objawy jej są proste. O tych niezupełnie pięknych rzeczach, jakie zaszły, powiedzmy, w Polsce, pisze się i drukuje – to owszem. I to jest alibi obiektywizmu. Można o tym czytać w „Newsweeku”, w „Spieglu”, w „Expressie” i tak dalej. Natomiast o ZSRR pisze się delikatniej. Każdy kolejny starzec, stający w nieco agonalnej zadyszce na czele politbiura, znajduje pełnych nadziei sympatyków w redakcjach i poza nimi. Stał na szczycie KGB, owszem, ale to liberał, zaraz zobaczymy, że wycofa się z Afganistanu, bo lubi jazz. Czernienko jazzu wprawdzie nie lubi, ale może gra na gitarze, a przynajmniej na bandzo? Tych bredni czepiają się z namiętnością godną lepszej sprawy. Nie tylko wysiłki sowieckich dysydentów, żeby zdemaskować psychiatrię sowiecką, były olbrzymie. Ogromne też były wysiłki licznych psychiatrów Zachodu, żeby udokumentowanych potworności – traktowania normalnych umysłowo ludzi jako groźnych wariatów – nie przyjąć do wiadomości.

Każdego najbardziej bołą własne rany. To oczywiste. Również to, że wiele jest na świecie okrutnych militarnych dyktatur. Podczas wojny polsko-jaruzelskiej nie doszło do tak masowych mordów jak w Argentynie. Lecz w państwach, podobnych Argentynie, można mieć nadzieję zmiany systemu. Tam do niej już doszło. Natomiast my podobnej nadziei nie możemy żywić. Sytuacja wielu krajów, także zamożnych państw Zachodu, jest kiepska. W niektórych jest zła. Nasza natomiast jest beznadziejna i w tym cała różnica. Nie brak nam mądrych głów. Mimo to lektura wszystkich politycznych medytacji, konceptów, propozycji, rozpaczliwych w zarodku – „co robić, kiedy nic nie można zrobić”, publikowanych „pod ziemią” w Kraju i na emigracji, przyprawia o ponuracką depresję. Niestety nasze jest bardzo stare. Szaleństwa, autentyczne, niewmówione, w które wpadali Polacy, ze swymi wieszczami na czele, za Wielkiej Emigracji w XIX wieku, brały się z tego samego poczucia niemocy i niezgody na ową niemoc wywołaną zniewoleniem. Cały towianizm, dziwactwa starzejącego się Mickiewicza, cuda i anioły Słowackiego, a pewno i po części tragedia Norwida

stąd się przecież wzięły. Ileż to było ratunkowych pomysłów i nadziei, żeby nad głową partii dogadać się z Sowietami, aby wyperswadować ekipie Jaruzelskiego powrót do totalnego zakłamania, aby stworzyć wewnątrz sowytyzowanego państwa wolne państwo, i tak dalej. To niestety ucieczka od rzeczywistości.

Wziąć choćby nieboszczkę reformę ekonomiczną. Reforma bez częściowej decentralizacji władzy jest niemożliwa. Pójść na jakiś NEP – to dać ludziom skrawek ekonomicznej niezależności od państwa, bo przestanie być jedynym pracodawcą. Marks miał pełną rację: kto ma środki produkcji, ten ma władzę. Mechanizmy, udaremniające w kraju gospodarczą liberalizację, widać jak na dłoni. W Polsce panuje „fasyzm o ludzkim obliczu”. Idioci u władzy pojęli, do czego mogą prowadzić ustępstwa. *Koniec wieku ideologii* Raymonda Arona ziszczył się najpierw w pełni u nas. Fasada „marksistowskiego humanizmu” poszła w proch. Powstała władza militarna rozumująca w militarny sposób. To wyjaśnia wiele paradoksów ekipy Jaruzelskiego, wyglądających na wariactwa. Generałowie myślą po wojskowemu, tak jak ich nauczono. „Nepla” należy zaatakować, zmusić do poddania się, a kiedy się ma przewagę w uzbrojeniu i w rozmieszczeniu żywej siły, można to zrobić. Tyle że to wojskowe myślenie jest na nic w gospodarce, w życiu społecznym, w kulturze. Myśl, że na rozkaz pobite społeczeństwo „podda się”, tak jak się poddaje zwyciężona regularna armia nieprzyjacielska, jest rodem z wodogłowie. Lecz cóż, tych biednych umysłowo pseudo-Polaków nie stać na nic więcej. Można pytać, czy nie mogą działać inaczej (bo tak chce Kreml), czy tylko nie chcą, boją się społeczeństwa w rozluźnionych okowach? Różnica jest zamglona, ale nie jest zbyt wielka. Paradoksalnym nieszczęściem skądinąd wspańskiego okresu „Solidarności” było to, że wszyscy cokolwiek warci ludzie „zdzęli maski” i reżim zobaczył nagle, że może liczyć tylko na lotrów stojących przy nim, bo na żadną karierę poza zdradą ich nie stać. Więc słyszymy teraz narzekania, że nie należało tworzyć jednego dziesięciomilionowego Związku, lecz liczne rozmaite ruchy, partie, o wyodrębnionych programach, jak gdyby powstanie owych partii z prawie że niczego w parę tygodni było możliwe. Nie mogło być inaczej, niż było. Owszem, z ludzkiego morza, co stało przy „Solidarności”, wyłoniłyby się z czasem różne programy i wyodrębniłyby się odmienne polityczne czy społeczno-ekonomiczne stanowiska, ale jednoczący wpływ na te miliony miała postawa reżimu, który ustępował, kłamiąc, oszukując, kręcąc, wywijając się, a właściwie częściej udawał, że w ogóle ustępuje.

Nie tylko żołnierze, lecz niższa kadra oficerska była na schyłku „Solidarności” zaniepokojona brakami uzbrojenia i naboju: ci ludzie byli naprawdę gotowi się bić, gdyby weszli Rosjanie (lub inni nasi bracia). Jednak wyżej majora czy pułkownika oficerowie zawodowi byli już po „tamtej” stronie. Sytuacja była całkiem inna niż w 1956 roku, kiedy na ruchy sowieckich wojsk w Polsce odpowiedziały ruchy naszych wojsk, nim Chruszczow przyleciał z kolegami do Warszawy na pogwarki z Gomułką. Teraz alternatywy oporu zbrojnego nie było, bo

Sowieci o to roztropnie zadbali. Za Spychalskiego, Kliszki, Gomułki powołusku wymienili kadrę niepewną na pewną, wierną w stu procentach. Zresztą, chociaż nie mam na to żadnego dowodu, pewien jestem, że Moskwa nienawidzi nas wszystkich razem z generałami i Jaruzelskim, a różnica tkwi tylko w natężeniu tej nienawiści. Polacy im się zbuntowali, więc dobrze, że na miejscu mieli swych hyclów i rakarzy, ale czy można specjalnie lubić rakarzy i hyclów? Rosyjski szowinizm, ubrany w sowiecki socjalizm, jest taki sam jak sto lat temu. Najbardziej optymistycznie nastrojeni realiści mówili nieraz, kiedy nad „Solidarnością” zbierały się już czarne chmury, że jej upadek nie będzie całkowitą klęską, ponieważ po każdym z poprzednich zrywów coś nam jednak pozostawało. Więc teraz też coś zostanie. Owszem, zostało: jako upowszechniona w całym społeczeństwie świadomość, że nie tylko jesteśmy w sferze sowieckich interesów, ale że stanowimy sowieckie strategiczne przedpole, i że to jest najważniejsze dla Moskwy. Przez trzydzieści lat ogromna większość Polaków szła na różne kompromisy z władzą, udając, jak kto umiał, że to nie jest władza narzucona przez obce imperium, o charakterze pośredniej okupacji, ale nasza własna, chociaż niemiła. Ludzie czepiali się eksponowanych przez reżim ukochanych narodowych symboli, Orła Białego, narodowego hymnu (mądry Józef Wissarionowicz powiedział: *Mazurka Dombrowskowsko charosza pieśńia, ostawit' paka*), a życzliwy Generał dodał jeszcze jako prezent rogatywki. Wszystko to jest już zupełnie puste, wydrażone, gołe i bosc. Taki jest stan rzeczy. Co będzie dalej? Zachodni wierzyciele będą prolongowali spłaty długów, bo im z tym lepiej. Traktując niespłacone długi jako chwilowo unieruchomione aktywa, więc takie postępowanie leży w interesie bankierów. Natomiast zachodnie rządy nie będą już dawać gwarancji na nowe kredyty, więc strumyczek wpływających do kraju dewiz będzie skromny. Dalej będzie się eksportować węgiel wydobywany jawnie rabunkową gospodarką, rabunkową, bo śląska niecka trzeszczy, zapada się, lecą wiadukty, domy, cała infrastruktura, ale trudno. Dalej będzie się sprzedawać po dumpingowych cenach cukier i co się jeszcze da oderwać ludziom od ust. Ruch samochodowy będzie dalej malał, bo Rosjanie mają na głowie ważniejsze rzeczy niż motoryzacyjne satysfakcje Polaków, więc i benzyny będzie mniej (już jest). Chodzą słuchy o projektowanych dalszych zmianach ustaw dewizowych, żeby skończyć z tą niesłychaną w obozie walutową swobodą posiadania własnych dolarowych kont. Inżynierowie będą, jak długo się da, dalej pletli słomianki, elektronicy szyli buty, akademicy – czepiali się firm polonijnych. Kościelny fundusz dla rolnictwa jeszcze nie powstał, a już poszły po nim rysy, bo i władza chętnie by te zapowiadane miliardy wzięła i dotąd jakoby hojnie ofiarodawcy zaczęli się z przyrzeczeń po trochu wycofywać. Z miliardów zrobiły się miliony.

Zachód nie kocha nas i Wielki Brat też nie. Trudno, taka jest prawda. O tym, jak Kreml ufa Jaruzelskiemu nie świadczą słowa, lecz fakty: gazowy rurociąg idący okółem przez Czechosłowację na Zachód, żeby wyminąć Polskę,

brak rakiet SS-20 w kraju, bezpośrednie promowe połączenie Libawy przez Bałtyk z Rostokiem. Jesteśmy chwilowo spacyfikowanym przedpołem i o to chodzi. Oraz o to, żeby polski przemysł zbrojeniowy pracował dalej dla Paktu, czyli dla Sowietów, tak samo jak za „Solidarności”, boż on był przecież i wtedy t a b u. Nawet wtedy nikt nie był aż tak szalony, żeby o nim wspominać inaczej niż półgębkiem.

Owszem: pojawiło się w tej „powojennej” Polsce parę ciekawych, bo nowych zjawisk. Po raz pierwszy (poza Chinami) w państwie socjalistycznym ukazały się artykuły o antynatalistycznej treści: nie stać nas na przyrost roczny rzędu 3/4 miliona dzieci, bo by trzeba 3000 nowych szkół w 1990 roku, a nie ma jak ich zbudować. Tymczasem przekroczyło się 37 milionów ludności i ta demograficzna prężność zapowiada wnet czterdziestomilionową Polskę – cywilizacyjnego i kulturalnego regresu, padającej oświaty (być dziś nauczycielem czy nauczycielką to mała przyjemność – kto może, ucieka z tego zawodu, a wszak im słabsza i gorsza kadra pedagogiczna, tym bliżej do analfabetyzmu), kompletnie przestarzałych i zużytych technologii, spadku jakości i prestiżu nauki (dyplomu zjeść się nie da), ale za to jako *novum* zjawyły się porno-partyjne periodyki literackie z krakowskim przerobionym „Pismem” na czele. Oraz dziwne – pod jakże purytańskim Generałem – jakieś na marnym papierze drukowane „Wenusy”, co starszym osobom niemiłe kojarzą się z pornograficzną „Fala”, wydawaną przez Niemców za okupacji, ażeby odwrócić uwagę Polaków od polityki w stronę narządów płciowych.

A Kościół? „Solidarność” była pierwszą linią jego obronnych walów. Reżim weźmie się za Kościół, kiedy uzna, że to już możliwe. Zresztą ten reżim tkwi w takiej samej bezwyjściowości jak naród. Chce, ale nie może. Ileż pięknych rzeczy pisze się i słyszy o naszej podziemnej działalności kulturalno-oświatowej! (Co prawda zaszło pewne przesunięcie – sporo ludzi, też drukarzy, łączy interes patriotyczny z finansowym, bo można tam nieźle zarobić). Bardzo to dobra i pożyteczna działalność, lecz jej zasięg okrutnie przesadzony. Są to zjawiska wielkomiejskie. Prowincja i wieś tych wydawnictw nie widzi, w zasadzie słucha się tam Głosu Ameryki i Wolnej Europy, lecz raczej Głosu (gdyż WE jest skutecznie zagłuszana). Bodaj najwięcej smutku budzi los młodzieży. To jak patrzeć w otchłań. W pewnym całkiem konkretnym, chociaż bardzo osobliwym sensie, całe społeczeństwo stara się „uciec”, schować się gdziekolwiek, a już dosłownie moc młodych ludzi roi o emigracji na Zachód, wspaniały wciąż w wyobrażeniach tych, co go nie posmakowali. Emigracyjne lawiny Węgrów po powstaniu 1956 zostały przez Zachód wchłonięte, gdyż całkiem inna była wtedy sytuacja. Dziś ten Zachód drży na widok każdego emigranta czy „azylanta”.

Zachodnia Europa jest ciężko chora, choć wciąż bogata. Już się w niej nie słyszy tyle o „finlandyzacji” co niedawno. Finlandia zresztą wcale się nie upodliła, nie uległa zbiorowemu samozakłamanu (za które Niemcy w RFN biorą się jak tylko mogą), tylko ma ograniczoną swobodę polityki zewnętrznej i poniekąd wewnętrzną.

Pozostają więc naprzeciw siebie dwaj ogromni przeciwnicy: ZSRR i USA. Czy Reagan jest rozsądny ze swoim (raczej wmówionym mu) projektem Gwiezdnych Wojen – laserowym płotem orbitalnym, który bodaj za bilion dolarów ma Amerykę osłonić przed sowieckimi rakietami? Rozsądny jest o tyle, o ile wynika ze zrozumienia, że Sowiety nie pojmują żadnych argumentów prócz argumentu siły. Czy nie oznacza to prawdziwie rosnącego zagrożenia świata, więc oczywiście i Polski? Ależ tak. Paradoksalnie jednak w tym nieustannym wzroście światowego zagrożenia tkwi ostatnia polska nadzieja, ponieważ jest to stan, który nie może trwać kilkadziesiąt lat. Eskalacja jest i będzie coraz bardziej kosztowna. Jeśli dojdzie do najgorszego, zginiemy wraz z tymi wszystkimi, którzy robią najgorszy użytek z największej, realnie dostępnej wolności. Jeśli zaś do atomowego zderzenia nie dojdzie, będzie się musiał wyłonić z antagonizmu jakiś rodzaj pojałtańskiego ładu. To właśnie stanowi na daleką przyszłość ostatnią naszą nadzieję. Poza biologicznymi granicami życia średniej i starszej generacji, zapewne. Ale choćby się bardzo chciało, trwania Polski nie można przymierzać do trwania osobistej egzystencji.

Maj 1984

[1984]

Czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia?

Optymista: Rozmawialiśmy o Gorbaczowie już nieraz w zeszłym roku. Byłeś bardzo sceptyczny co do jego zamiarów i jego reformistycznych szans. Zezwolenie na powrót Sacharowa do Moskwy uważałeś za propagandowy gest, adresowany głównie do Zachodu. O ile sobie przypominam, powątpiewałeś, czy Gorbaczow napotyka rzeczywiste trudności przy wdrażaniu swojego programu reform, czy tylko rozpuszczane są takie pogłoski, żeby rozjaśnić aureolę jego rzekomego liberalizmu. Plenum sowieckiego KC zostało jednak porządnie opóźnione sprzecznie ze statutem partii, a sam przebieg plenum, zwłaszcza to, jak zebrani przyjmowali wywody Gorbaczowa, i to, jak błady był odzew tych wywodów w końcowej rezolucji, przekonały cię chyba, że frakcyjne zmagania na Kremlu są rzeczywistością. Potem doszło do zwolnienia dużej liczby więźniów politycznych, do ogłoszenia projektów tej ogólnopartyjnej konferencji, o której rezolucja plenum milczała, choć Gorbaczow takiej konferencji się domagał. Bardzo wyraźne są wreszcie objawy takiego rozluźnienia w kulturze, jakiego nie było od czasu Chruszczowa. Bodaj obecna odwilż ma nawet większy zasięg. Prawda?

Pesymista: Jak widzę, spodziewasz się, że wydarzenia, które wymieniałeś, i te, których nie wyliczyłeś, radykalnie zmieniły moją ocenę planów i szans Gorbaczowa. Niektóre proporcje spraw politycznych rzeczywiście zdają się ulegać zmianie. Zasadniczo jednak mój pogląd na ZSRR i na to, co może ziścić Gorbaczow, nie zmienił się. Gorbaczow jako generalny sekretarz komunistycznej partii sowieckiej chce zwiększyć potęgę swego państwa. Wie on, że nie można tego zrobić powielaniem zużytych haseł i apeli. W swojej książce *W obliczu wojny* (*Devant la guerre*) Cornelius Castoriadis prezentował obszar sowieckich zbrojeń jako zamkniętą enklawę najwyższej efektywności i sprawności wśród morza powszechnej stagnacji, lenistwa, korupcji, niedołęstwa, marnotrawstwa, tępoty i uprzywilejowania prawomyślnych oportunistów. (Zresztą Castoriadis nie był odkrywcą koncepcji wyizolowanego sektora sowieckiej gospodarki). Castoriadis, ani historyk nauki, ani znawca jej rozwojowych tendencji z pierwszej ręki, mylił się o tyle, że obszar wysokiej sprawności przemysłu nie może być całkowicie wyizolowany z dziedzin pracy lichej, planów wykonywanych w sposób po-

zorowany, z bylejakości, brakoróbstwa i masy podobnych bied. Przeróżnym dowodem tego był Czarnobyl, produkujący pluton do atomowych bomb, a jednocześnie wyzbyty elementarnych na Zachodzie zabezpieczeń przed awarią.

Kto myśli, że KGB może wykraść wszystko, co wynajdzie Zachód, ma o technice zbrojeń na schyłku XX wieku wyobrażenia małego Jasia. Reformy są temu imperium życiowo konieczne właśnie przez to, że enklawa pracy wysokiej jakości może istnieć tylko kosztem całej reszty. Gdyby prawie całe społeczeństwo tak pracowało i było tak wynagradzane jak enklawa zbrojeniowa, to socjalizm – nie przestając być autorytarnym zaprzeczeniem demokracji – przestałby być obszarem brakoróbstwa, pijaństwa, urawniłowki mas w ubóstwie, a przede wszystkim – wszechkłamstwa. Efekty produkcji musiałyby być wszędzie autentyczne. To jest w obecnym stanie rzeczy niemożliwe i to właśnie chce zmienić Gorbaczow.

Optymista: Stajesz się zanadto jednostronny. Pozytywnych zmian w sferze kultury, niezwyklej poprawy w informowaniu społeczeństwa przez środki masowego przekazu albo „dostrzeżenia” – po raz pierwszy w historii PRL i ZSRR – siły polskiego katolicyzmu, roli naszego Kościoła nie można tłumaczyć zamiarem zreformowania wielkiego przemysłu czy, szerzej, całej gospodarki.

Pesymista: Nie uważam, żebym był jednostronny. Gdybym chciał być taki, imputowałbym Gorbaczowowi makiawelizm. Coś w rodzaju posunięcia Mao Tse-tunga, który ogłosił politykę stu kwiatów w kulturze, a potem wszystkim kwiatkom, „odchylonym” od partyjnego kursu, pociął główki. W odniesieniu do Gorbaczowa zaś można być zdania, że ta liberalizacja w kulturze, której powiewy ogarniają już państwa satelickie, ma czysto taktyczny charakter. Że ona jest ceną płaconą za wsparcie i pomoc, których gensek słusznie spodziewa się od intelektualistów zagranicznych i od głównego odłamu sowieckiej inteligencji z artystami i naukowcami na czele. Takie wsparcie jest mu teraz niesłychanie potrzebne. Można jednak po zwyciężeniu przeciwników – powiedzmy „partyjnych betonów” – na powrót dokręcić śrubę. Nie ma racjonalnego powodu, dla którego taki powrót mrozu byłby niemożliwy. Tym bardziej że model systemu sowieckiego, zaproponowany przez A. Besançona, pozostaje w mocy: jako ustroju, który waha się pomiędzy stanem „komunizmu wojennego” i stanem NEP-u. „Komunizm wojenny” to gospodarka nakazowo-rozdzielcza, obostrzona srogimi represjami, gospodarka, która prowadzi do kolosalnych kosztów ludzkich i nie tylko ludzkich, a przez to do stagnacji. Wtedy przychodzi konieczność zluźnienia śruby przez wprowadzenie szczypty praw rynkowych. Na tym właśnie polegał NEP. Jednak na pełny leninowski NEP Gorbaczow teraz nie może się poważyć. Byłby to zbyt wyraźny krok wstecz, urągający świętej doktrynie wyższości realnego socjalizmu nad kapitalizmem. Gorbaczow jest w nadzwyczaj trudnym położeniu. Chce usprawnić ustrój, udając, że go w zasadzie nie zmienia. Bodaj klasę posiadającą: wysoki i średni aparat partii przyjdzie mu

łatwiej przezwyciężyć w oporach aniżeli całość kierowniczej kadry przemysłu. Partię może przymuszać albo przekonywać. Natomiast nie może kierowniczym kadrom wprawić zupełnie im obcej mentalności z silnymi tendencjami do ryzyka, do inicjatywy, do oryginalnej pomysłowości, do marketingu itd. Zdaje mi się, że Gorbaczow aż za dobrze to rozumie i dlatego jest skłonny iść dalej, niż uprzednio sądziłem.

Optymista: Co chcesz przez to powiedzieć?

Pesymista: W ujęciu historycznym widać, że gdyby Sowiety trzymały się ortodoksji ideologicznej we wszystkich sferach życia, jak za Stalina, niewiele by z nich do dziś pozostało. W 10 czy 12 lat po roku 1950 spadłyby na tak anachroniczną pozycję, że przypominałyby niemal feudalną Japonię z ubiegłego wieku, kiedy pierwszy raz zetknęła się z zachodnią cywilizacją. Zarówno uzasadniane ideologicznie potępienie cybernetyki, jak potępienie autentycznej genetyki doprowadziłyby do zguby ZSRR. Miczurinowsko-łysenkowski praktyka do reszty zrujnowałaby rolnictwo, które pod brzemieniem kolektywizacji i tak ledwo żyło. Przekreślenie cybernetyki, więc komputerów, uczyniłoby Sowiety państwem kompletnie zacofanym militarnie. Można dodać jeszcze fizykę relatywistyczną, która zrodziła bombę atomową, bo ta fizyka też była za Stalina wyklінana przez sowieckich filozofów. Nie jako fizyka żydowska, jak w Niemczech Hitlera, ale jako fizyka burżuazyjno-idealistyczna i kosmopolityczna (bo wtedy oficjele życia umysłowego ZSRR zachorowali na wielkorosyjski szowinizm, co rykoszetem odbiło się w Polsce masą złośliwych dowcipów). Żeby ratować naukę przed runięciem w istne średniowiecze, sowieccy uczeni toczyli boje z dogmatycznymi scholastykami. Boje nieraz niebezpieczne dla uczonych. Przecież znakomity genetyk Wawilow zginął przez Łysenkę. W końcu jednak Stalin okazał się trzeźwiejszy, bardziej cyniczny od Hitlera. Tam, gdzie szło o życiowy interes państwa, władztwo ideologii uległo zawieszeniu. Dzięki temu idealistyczna fizyka pozwoliła zbudować bomby atomowe i wodorowe, a burżuazyjna łże-nauka cybernetyka – skomputeryzować zbrojenia. Jednak po kilkudziesięciu latach te odwroty stają się już niewystarczające. Pomimo częściowej dezideologizacji, Sowiety stały się ekonomicznym karłem z gigantyczną maczugą broni. Przecież ich dochód narodowy nie jest większy od Japonii, a warto porównać na mapie obszary terytorialne tych obu państw... Sowiety obecnie są pierwszą albo drugą (nikt nie wie na pewno którą) militarną potęgą świata i n i c z y m więcej.

To jest paradoks, poza wymiarem militarnym bowiem nie dysponują Sowiety ani okazałym potencjałem gospodarczym, ani kulturowym, ani organizatorskim, ani ideologicznym. Ich rzekoma atrakcyjność częściowo wynika ze zwyczajnych oszustw – kiedy, dajmy na to, brutalna ekspansja jest, jak w Afganistanie, legitymowana „wyzwolenczą intencją”, w którą nikt nie wierzy. Częściowo zaś rosnąca dziwacznie estyma, jaką Sowiety cieszą się właśnie w czasie po ujawnieniu ich potwornych ludobójstw, jest dziełem Zachodu. To, że naga siła, przystrojona figowym listkiem martwej wewnętrznie ideologii, podaje się za „świecącą

przyszłość świata”, jest tylko paradoksalne. Natomiast groteskowe jest to, czego by nikt przed drugą wojną światową nie uznał za możliwe. Lenin głosił już wtedy, że kapitaliści sprzedadzą Sowietom sznur, na którym się ich powiesi. Ale nawet on nie przypuszczał, że ten sznur będzie dany na kredyt czy raczej darowany, jak setki tysięcy ton masła, treściwych pasz i mnóstwa innych dóbr, którymi Europa Zachodnia obsypuje ZSRR.

Optymista: Zawsze dziwiła mnie ta szczodrość i nigdy się nie mogłem dowiedzieć, po co właściwie Europejczycy to robią. Powinni byli od dawna zauważyć, że nie daje im to żadnych politycznych korzyści.

Pesymista: Przypuszczalnie jedną z przyczyn tej szczodrobliwości jest zwyczajny strach przed sowiecką potęgą. Ostatnio to się zresztą wyraźnie objawiło. Sowiety zaczęły ściągać ze swoich łap rękawiczki dyplomatycznej grzeczności, kiedy zauważyły, jak bardzo Zachód się ich obawia. Kiedy na Kremlu tupną, niemiecka socjaldemokracja pada na kolana. Incydentów, wprost haniebnych dla samych Niemców, nie warto wyliczać. Ważniejsze jest to, że poza strachem są też inne przyczyny uległości Zachodu. Populacyjną liczebnością i (co donioślejsze) mocą gospodarczą Europa Zachodnia góruje nad Sowietami. Nie może jednak uczynić atutu z tej przewagi w grze politycznej, ponieważ składa się z wielu państw o egoistycznie sprzecznych interesach. Ponadto wszystkim państwom dobrobytu, nie tylko zresztą w Europie, bo to dotyczy też USA i Kanady, wspólne są poważne dolegliwości. Tych dolegliwości nie widać co prawda z dna cywilizacyjnej jamy, do której wtrąciła nas sowietyzacja Polski. Sowiety są potrzebne Zachodowi nie tyle i nie tylko jako odbiorca miliardowych prezentów, lecz raczej jako olbrzymi potencjalny rynek zbytu i handlowo-przemysłowy partner. ZSRR to jest istny raj dla kapitalistycznego przedsiębiorcy: siła robocza tania, żadnych związków zawodowych, które by broniły jej interesów, niezwykle bogactwa surowcowe, no i powszechny głód wszelkich możliwych produktów i środków spożywczych. Dowiadując się, że magazyn poświęcony modzie kobiecej „Burda”, będzie można wydawać w rosyjskiej wersji na razie w 100 czy 200 tys. nakładu, wydawca wprost nie posiada się z radości. Pomnóż to przez masę innych przedsiębiorców, uwikłanych w ciężką konkurencyjną walkę na rynkach przesycanych towarową podażą, a zrozumiesz skwapliwość, z jaką menedżerowie zachodni plotą na siebie sznury i powrozy. Wszyscy chcą robić z Sowietami interesy, a Gorbaczow wychodzi im naprzeciw, dopuszczając *joint ventures* z sowiecką przewagą (zachodni przedsiębiorca nie może mieć więcej niż 49% udziałów).

Optymista: Tak czy owak jest to pierwszy krok w kierunku urynkwienia tej gospodarki. Zarazem uzależnienie dyrektorów od podwładnej załogi, w postaci wyborów z pięcioletnią kadencją, plus rotacja 30% członków rady robotniczej, powinna przeciwdziałać fatalnej w tym systemie negatywnej selekcji. Może i dla nas zaświta w tych zmianach nadzieja.

Pesymista: Aktywności Gorbaczowa, niemal bezprecedensowej w niektórych dziedzinach, przyglądam się – wyznaję – z mieszanymi uczuciami. Najpierw trzeba podkreślić, że wszelka, byle niezmysłona, niepotiomkinowska przemiana w Sowietach łatwo staje się korzyścią dla państw podległych jak Polska – nawet jeżeli późną konsekwencją tej przemiany będzie przykręcenie śruby. W Sowietach nie ma partii politycznych w liczbie mnogiej, ale to nie znaczy przecież, że naprawdę panuje tam politbiurowa czy rządowa jednogłusność. W jednym ręku skupiał władzę Stalin za cenę rzek krwi. Po nim kierownictwo stało się w tym sensie kolektywne, że każdy nowy gensek musi powściągać na wyżyny KC, politbiura i inne kluczowe stanowiska swoich ludzi. Bez tego nic. Okres tej przepychanki, tradycyjnie maskowany w Sowietach, jak się dało – jako okres względnego bezwładu czy aż paraliżu – sprzyjał pewnemu rozluźnieniu u satelitów, o ile z kolei w ich państwach istniały po temu przesłanki. W *Nomenklaturze* Woslenskiego można ponadto przeczytać, jak bardzo kandydat na nowego genseka musi udawać przez czas wspinania się w górę nijakość i przeciętność. W przeciwnym razie aparat go zmiele czy wypłuje. Dlatego mieliśmy ponure przedstawienie w postaci serii półżywych starców na Kremlu. Frakcyjne sprzeczności były widocznie takie, że atrybutem, którym kandydat szczególnie zdobywał głosy oligarchów, była jego agonalna nieruchawość. To nie mogło jednak trwać, bo doprowadziłoby do upadku imperium – naturalnie nierychło. W każdym razie zdecydowali się na człowieka względnie młodego, bardzo ambitnego i co teraz najważniejsze – skłonnego wysłuchiwać prawdziwych ekspertów. Domagał się przede wszystkim diagnozy i usłyszał ją. System składa się z dwóch części: autentycznej i pozorowanej. Część pozorowana ma tendencję do pochłaniania autentycznej.

Optymista: Nie bardzo rozumiem, co to ma znaczyć?

Pesymista: Produkcja wysokogatunkowej stali czy stopów tytanu dla łodzi podwodnych i rakiet musi być autentyczna. Produkcja wiadomości może być pozorowana. W Sowietach niewiele się poprawiło od czasów Lejzorka Rojtszwańca. Mam na myśli hodowlę tysięcy królików na papierze sprawozdań bez realnych królików. Ponoć do dziś działa w ZSRR wydział ministerstwa transportu, zajęty poszukiwaniem całych pociągów, które gdzieś przepadły. Poziom sowieckiej medycyny, także z jej bazą techniczną i lekową, jest fatalny. Zresztą znacznie większa część przemysłowej bazy jest przestarzała w porównaniu z Japonią czy Zachodem. Wydajność pracy jest bardzo niska. Całą tę dziedzinę najtrafniej opisują zwięzłe dowcipy, w rodzaju „robotnicy udają, że pracują, a władze udają, że im płacą”. Odautentycznienie życia zaszło już tak daleko, że sztuczna, w całości manipulowana jest tak zwana opinia publiczna, dochodząca do głosu w listach czytelników do prasy również wtedy, gdy trzeba nie potępiać jakiegoś Solżenitsyna lub Sacharowa, ale, na odwrót, domagać się demokratyzacji! Dlatego właś-

nie jest tak trudno pojąć, co Gorbaczow naprawdę zamierza zrobić, kto naprawdę stoi mu na przeszkodzie i co może mu się udać podług zamierzeń, a co będzie nieosiągalne.

Optymista: W tym zakresie osądy są na Zachodzie rzeczywiście mocno sprzeczne. A co ty uważasz?

Pesymista: Ten system jest niesamowicie trudno naprawić. A to z dwóch przyczyn, splecionych, choć różnych. Niemiecki totalitaryzm trwał ledwo dwanaście lat, a zostawił ruiny i góry trupów. Dokopywanie się rzeczywistych mechanizmów tego systemu, dzieło wieluset historyków, jeszcze nie zostało ukończone, chociaż system uległ kompletnemu strzaskaniu. Sowiecki system jest jak lodowiec, który się nawarstwiał dziesiątkami lat, a każda kolejna warstwa składała się z trupów ludzi, ich wysiłków, ich łaknień i ich nadziei. Każda kolejna odwilż pozwala odsłonić jakąś drobną część tego gigantycznego cmentarza, na którym do grobów złożono utopię markowską. Oczywiście nikt wewnątrz systemu nie może dokonać „całkowitej odwilży”, bo ona ukazałaby monstrualny koszt i potworną daremność tego przedsięwzięcia, którego tylko dlatego nie uważamy za wariactwo, że stanowi już nierozdzielny człon dziejów powszechnych. Wszelkie odwilżowe rewelacje w rodzaju osławionego przemówienia Chruszczowa trzeba powściągnąć i zatrzymać w arbitralnie wybranym miejscu. Na przykład Chruszczow ograniczył się do „dobrych komunistów”, którzy stali się ofiarami Stalina, a i to większości nie użyczył dobra pośmiertnej rehabilitacji (bo by musiał wymienić nazwiska przez kilka tygodni dniem i nocą, bez przerwy). To jest pierwsza przyczyna nienaprawialności: nie można roztopić lodowca trupów, bo – chociaż obrzydliwie to zabrzmie – nie objawi się nic prócz zgniłego smrodu. Po wtóre, wszystkie dotychczas podjęte próby modyfikacji, modernizacji czy innego polepszenia systemu nie dały definitywnie dobrych rezultatów. W Jugosławii stawiano na samorząd, u Gorbaczowa można wyraźnie dostrzec podobieństwa czy zapożyczenia z tego programu w gestii przemysłowo-agrarnej. U nas przez pewien czas, mniej więcej w drugiej połowie istnienia „Solidarności”, idee samorządowe cieszyły się dość dużą popularnością. Ale Jugosławia wcale na tym modelu dobrze nie wyszła. Nie mogę wchodzić w szczegóły analizy. Faktem jest, że samorząd nie był żadnym panaceum na typowe bolączki „realnego socjalizmu”. Jugosłowian nikt nie zmusza, by produkowali cokolwiek półdarmo lub za nic dla Sowietów, a mimo to ich gospodarka robi bokami. Kolosalna inflacja, bezrobocie, poszczególne republiki są ze sobą na bagnety, korupcja, czarny rynek, głód energetyczny. Teraz wzięli się do poszerzonej repriwatyzacji przedsiębiorstw.

Optymista: To chyba dobrze?

Pesymista: Widzisz, jeżeli chcę zbudować wieżę tak wysoką jak wieża Eiffla, a w połowie budowy filary zaczynają się giąć i decyduję się zbudować wieżę le-

żącą na boku, jako długi szereg chałup, to przecież nazywając te chałupy wieżą, tylko bym się ośmieszył. System sowiecki, centralnego planowania i nakazowo-rozdzielczej produkcji i dystrybucji dóbr, nie może współistnieć z systemem rynkowym, z jego prawami podaży i popytu. Częściowe wprowadzenie rynku to mniej więcej tyle, ile mówi anegdota o Chruszczowie wracającym z Anglii. Widział tam lewostronny ruch uliczny, powiada więc towarzyszom, że warto by to wypróbować w ZSRR, ale na początek niechaj tylko 10% aut jeździ lewą stroną ulic.

Optymista: To dobry dowcip, ale złośliwa przesada. Gdyby nie polskie luzy z ich prywatną inicjatywą, wyglądałoby jeszcze gorzej, niż wyglądamy.

Pesymista: Zapewne, ale co dobre dla dostarczenia na rynek szczypiorku albo jaj nie wystarczy do optymalnego zreorganizowania nowoczesnej produkcji środków produkcji ani dla zmodernizowania przemysłu lekkiego. Obecnie rewolucje w technice zachodzą co 2–3 lata, a nie co 30–40 lat, jak do połowy XX wieku. Obecnie nawet państwa, które dostały się do czołówki, jak RFN, ale które uległy (mówiąc obrazowo) „ośluszczeniu”, mają problemy, ponieważ taka Japonia, gdzie koszt pracy ludzkiej jest niższy (ponieważ stopa życiowa jest skromniejsza), okazuje się innowacyjnie wysforowana do przodu. Myśląc o doskonaleniu systemu sowieckiego, nie można stosować mikroskopijnej skali w rodzaju firm polonijnych. Popatrzmy raczej na Chiny.

Optymista: A nie na Węgry?

Pesymista: Nie, bo Węgry dotarły już do granic efektywności, jaką daje ich reforma, zresztą tylko przemysłowa, bo wbrew fałszywym opiniom Zachodu, w kulturze mają Węgrzy dotychczas mróz większy niż Polacy. Reforma sowiecka musi być na chińską skalę, bo oba kraje są olbrzymie. Po rozwiązaniu kołchozów produkcja rolna Chin skoczyła i chłopcy poczęli się nie na żarty bogacić. Na tak prymitywnym poziomie rolnictwa jak chiński wyzwolenie z pęt kolektywizacji uruchomiło wielkie rezerwy pracy, a reszty dokonała udzielona chłopom swoboda wyboru upraw. Natomiast przemysłu nie można w ten sam sposób „spuścić z powroza” nakazowo-rozdzielczej gospodarki.

Optymista: Właśnie. Dlaczego nie można?

Pesymista: Bo jeżeli ceny nie są realne, czyli nie odzwierciedlają realnych kosztów pracy, międzyzakładowa konkurencja nie będzie realna. Ceny są przecież całkiem arbitralne, umowne.

Model kapitalistyczny w postaci czystej, oparty na stosunku popytu do podaży, okazuje się bezlitosny dla wszystkich przegrywających konkurencyjną „walkę o byt”. Prognoza Marksa o postępującym bogaceniu się kapitalistów i pauperyzacji proletariatu upadła na rzecz państwa „umiarkowanego kapitalizmu”.

Tworzy ono administrację zajęta taką redystrybucją dochodu narodowego, by słabsi ekonomicznie nie popadli w skrajną nędzę. Redystrybucja ta z czasem się komplikuje, obejmując rosnące podatki pośrednie i progresję podatków wymierzanych jednostkom, co tworzy fundusz zasiłków dla bezrobotnych, dla kultury (dla deficytowych teatrów na przykład), subwencji itp. System z uniwersalną opieką społeczną, wbudowaną jako „ssąca pompa” w dochód narodowy, może działać tylko do pewnej granicy. Jeżeli zasiłki dla bezrobotnych rosną, to motywacja podjęcia pracy maleje, nawet jeśli istnieją wolne stanowiska pracy. Jeżeli koszty leczenia się zwiększają, można je pokrywać tylko do pewnego stopnia. Jeżeli społeczeństwo się starzeje i jeżeli zarazem postępuje bezrobocie młodzieży (to są typowe dolegliwości najbogatszych państw), ludzie pracujący są coraz bardziej obciążani podatkami. Niwelizacja dochodów rujnuje motywację inwestorów i nowatorów. Są to różne błędne koła, których rozcięcie wymaga kompromisów. Japonia ma się dziś wciąż lepiej niż Norwegia lub Austria dlatego, że państwo japońskie jest bogate, natomiast stopa życiowa Japończyków jest niższa niż zamożnych Europejczyków. Lecz już i w Japonii zaczyna się owa zmiana w obrębie dochodów, dzięki której tradycyjna hierarchia zawodów ulega odwróceniu: wykwalifikowany pracownik fizyczny (na przykład technik-elektroelektronik) bywa tak samo lub lepiej płatny niż wykładowca uniwersytecki z naukowym tytułem. W USA menedżerowie, wykwalifikowani fachowcy i urzędnicy administracji tworzą trzon bytujących najpewniej jako najmniej zagrożeni utratą pozycji socjalnej i dochodów. Wspierają ich wielkie związki zawodowe, wielkie konsorcja i trwałość państwowej biurokracji (z wyjątkiem wyższych stanowisk traconych przy zmianie rządowej administracji). Natomiast reszta siły roboczej podlega znaczniejszemu życiowemu ryzyku.

Dobrobyt ponadto jest osobliwą pułapką, ponieważ poza konsumpcyjnym nie tworzy żadnego popularnego wzorca życiowej postawy. Utowarowieniu ulegają nawet potrzeby metafizyczne i stąd proliferacja religijnych sekt, których przywódcy stają się milionerami. Demokracja kapitalistyczna jest współistnieniem grup o sprzecznych interesach, a jeżeli niektóre z nich odmawiają zgody na kompromis, poczynają niszczyć podstawy demokracji. Tak postępowały na przykład angielskie związki zawodowe, pchając Anglię ku przepaści, aż „żelazna lady” umniejszyła ich uprawnienia ustawowo. Inną społeczną siłą, dążącą ku utopijskiemu tym razem ekstremizmowi, są „Zieloni” w RFN. Program państwa dobrobytu, opartego na ideałach socjaldemokracji, ulega zagrożeniu, gdy upaństwowiony przemysł deficytowy ratuje się subwencjami wyciskanymi z podatków, żeby ratować miejsca pracy. (Tak było na przykład w Austrii).

Zjawiskiem powszechnym u bogaczy jest bezrobocie, inflacja oraz zasadnicza nierentowność produkcji rolnej. Przy tym zasiłki dla bezrobotnych mają większą siłę nabywczą od przeciętnych dochodów Rumuna czy Polaka, a produkcja rolna idzie do spichlerzy i chłodni, tworząc przysłowiowe góry zboża, masła, pasz treściwych itp. Sytuację, w której rolnicy są opłacani za to, że mniej produkują,

oni sami uważają już za normalną, aczkolwiek w innych częściach świata panuje głód. Wszystko, co powiedziałem, trzeba mieć na uwadze, gdy myśli się o zreformowaniu realnego socjalizmu. Proszę, zważ, że przyspieszonym zmianom podstawowych technologii towarzyszą ogromne zmiany w strukturze zatrudnienia. W USA trzy czwarte pracujących kobiet znajdujemy w usługach, gdzie stanowią połowę wszystkich zatrudnionych. Natomiast przemysł zatrudnia 1/5 kobiet i 4/5 mężczyzn. Zmiany te mają tendencję wzrostową i powodują społeczną destabilizację, rozpad wartości tradycyjnych (rodzina, posiadanie i wychowywanie dzieci), przy czym jako wypadkowa obniża się poziom społecznej solidarności, a swoboda jednostkowego postępowania rośnie. Efekty są niekorzystne dla demokratycznej dynamiki. Bez względu na mniejszość może wymuszać ustępstwa na większości. Może więc niszczyć demokrację, co widzimy w RFN, gdzie „Zieloni” chcą zarazem być w rządzie i obalić istniejący porządek państwowy, gdzie 20 sędziów i sędzin, łamiąc prawo blokadą „siadania na ulicy”, zamyka dostęp do amerykańskiej bazy wojskowej w Mutlangen, a policja musi na rękach wynosić z drogi tych „strażników prawa”.

Optymista: Czy godzi się obrzydzać głodnym jedzeniem, opisując niestrawności żarłoków?

Pesymista: Problem jest zbyt poważny, żeby go można było załatwić żartem. Albo Gorbaczow zamierza przybrać sowiecki bunkier fikcyjnymi hasłami o tajnych wyborach, o wielości kandydatów, o regułach merytokracji przeciwko wręcz dziedzicznej nomenklaturze (która w takiej na przykład Rumunii stała się dynastyczno-nepotyczną władzą szewskiej głupoty i szewskiej pasji), albo chce te hasła wprowadzić w życie. Sądzę, że nie idzie mu tylko o propagandowe wydźwięki dla Zachodu, aczkolwiek pewien jestem, że chodzi mu o propagandowe efekty także. (Zwłaszcza w sferze rozbrojeniowej i kredytowych negocjacji). Prasowe kampanie korespondencyjne są (jak zawsze) wysterowane. Inaczej już nic w ogóle w tym kraju nie można począć, ponieważ autentyczna opinia publiczna należy do ofiar dawno temu zamordowanych przez reżim. Opinia ta może się jednak z czasem odrodzić. Opinię taką, jako pospółne i potajemne porozumienie, można było za czasów wojny dostrzec w republikach muzułmańskiego południa ZSRR, gdzie naszych wywożonych ludzi pytali miejscowi, jacy właściwie są ci Niemcy: liczyli bowiem na wyzwolenie przez Wehrmacht. Opinia publiczna, chociaż zatajona, istnieje tam, gdzie istnieje poczucie tożsamości narodowej i (albo) religijnej, znajdującej się pod uciskiem wieloletnich prześladowań.

Nie wiem, jak daleko Gorbaczow zamierza iść w „odkręcaniu śruby” (zwłaszcza że jest wiele „śrub do odkręcenia” i że odkręcenie wielu naraz doprowadziłoby do rozsypki imperium). Nie wiem, jak daleko będzie mógł iść w tym kierunku. Ponieważ oparzony dmucha na zimne, zachodni kremlinologowie przekrzykują się teraz wzajem napomnieniami, że Gorbaczow na pewno nie może być ani liberałem, ani demokratą. A zatem odwilż służyć ma nie utworzeniu

strefy swobód, lecz odtworzeniu motywacji pracowniczej, innowacyjnej, modernizacyjnej, organizatorskiej i tak dalej. Co wyłoni się z tak chociażby po trosze odtajalego lodowca? Czy wyleci motyl, czy owa ćma, o jakiej pisał Mickiewicz? Tego nie wiemy. Nie wie tego nikt. Jedyną pewną rzeczą jest dla mnie, że tego nie wie również sam Gorbaczow, ponieważ wstępuje na drogę nieprzetartą dotąd przez nikogo. Zdaje się on wszakże pojmować – i to uznałem za argument przemawiający za jego inteligencją – że nie może być uruchomienia ludzkich inicjatyw na konieczną skalę bez politycznego rozluźnienia. Ponieważ jednak nigdzie dotąd nie pojawił się „realny socjalizm” zreformowany tak, ażeby mógł wytrzymać porównanie ze współczesnym kapitalizmem pod kątem przystosowania do ciągłych i przyspieszonych zmian w technikach produkcji, pod kątem wydajności pracy, płynących z niej satysfakcji, dostępności dowolnych dóbr materialnych i informacyjnych, zakresu indywidualnej swobody postępowania, jednym słowem owego wszechnadmiaru w zaspokajaniu potrzeb, jakiego mirażem idea komunizmu od powstania tumań i miała wielkie rzesze ludzkie – przyszłość pozostaje zupełnie nieznana. Wydaje się nader wątpliwe, ażeby sowiecki system mógł ulec zreformowaniu dostatecznemu dla wytrzymania porównań z kapitalizmem choćby tylko pod względem jednej z wymienionych przeze mnie cech.

Optymista: Życzysz Gorbaczowowi, żeby skończył jak Chruszczow?

Pesymista: Nie jest wykluczone, że przegra jak Chruszczow, chociaż na pewno nie dokładnie tak samo. O tym jednak, abym życzył mu takiej klęski, nie ma mowy. Alternatywa, przed którą stoją Sowiety, przedstawia się dla ich imperialnego trwania groźnie. Jeżeli Gorbaczow podzieli los Chruszczowa i prawie nic nie ostanie się z jego reformistycznych zapalów, będzie źle. Jeżeli natomiast powiedzie mu się, będzie niedobrze.

Optymista: Doprawdy jesteś prawdziwym, rzetelnym pesymistą! Powiedziałeś, że może być albo źle, albo niedobrze? I nic nas nie uratuje?

Pesymista: Z nami osobna sprawa. Jeżeli Gorbaczowowi się nie powiedzie, to za trzydzieści do czterdziestu lat ZSRR będzie miał do wyboru albo wojnę, albo regres jako zejście ze światowej sceny politycznej do roli drugorzędnej, już tylko terytorialnie i ludnościowo znacznego kolosa. A to dlatego, że wymagania natury organizacyjno-społecznej, kształceniowej, kadrowej, jakie stawia wciąż przyspieszający rozwój nauki i techniki, są tak wielkie, że coraz trudniej im sprostać nawet tym państwom, które dotychczas przodowały cywilizacyjnie. Przez to właśnie powstały napięcia i tarcia między Japonią, Stanami Zjednoczonymi i Europą. Ponadto coraz więcej państw takich jak Brazylia pozostaje w tyle i coraz cięższym zadaniem dla opóźnionych staje się dogonienie czołówki. To jedno. Po drugie, granic enklawy, zawierającej zbrojeniowy przemysł, nie moż-

na już ostro wytyczyć. Coraz większa ilość coraz dalszych od siebie i coraz bardziej różnorodnych specjalności naukowych uczestniczy w wytwarzaniu nowych broni i w usprawnianiu dotychczasowych. W bojowe środki biopochodne jest zaangażowana cała biologia na czele z genetyką i cała medycyna z farmakologią. Balistyka to już nie armaty i reszta broni palnej, ale cała kosmonautyka, z rozrastającym się sektorem automatów i komputerów. Sam tylko zwiad poszerza się o coraz bardziej wyrafinowane układy satelitarne, a tu należy oczekiwać przybywania nowych technik z objętej wojskową tajemnicą sfery SDI (strategicznej inicjatywy obronnej). Znaczy to, że arsenałów ani zakładów zbrojeniowych nie da się już utrzymać jako wyspy w zamknięciu jakichkolwiek murów. Sądzę, że taka argumentacja gra istotną rolę w ekspertyzach, które czyta Gorbaczow. System sowiecki potrafi osiągnąć wiele przy wysokiej koncentracji wysiłków i przy najlichszym gospodarowaniu „całą resztą”. Otóż taki podział nie jest na dłuższy dystans do utrzymania. Tak więc państwo, które chce być mocarstwem, musi pozostawać w czołówce cywilizacyjnej, a nie tylko w czołówce producentów bomb atomowych, rakiet, czołgów i szpiegów. Obecnie Sowiety gniją od środka i są przez to jak ogromny nowotwór, który wewnątrz toczony jest rozkładem, chociaż z jego powierzchni zewnętrznych wciąż wydostają się zatrute tkanki, aby dawać rakowe przerzuty. Tak działa przecież GRU i KGB. Albo Sowiety okażą się niezdolne do adaptacyjnego uelastycznienia jako euroazjatycki system cywilizacyjny i wtedy – zamiast doganiać czołówkę – napadną ją. Oznaczałoby to wyjście atutem zgubnym dla wszystkich – atutem wojny światowej. Tak rozumiem porażkę Gorbaczowa i jego ekipy. Albo też Sowiety wbrew wszystkim dotychczasowym doświadczeniom będzie można przekształcić, ażeby sprostały XXI stuleciu i to będzie oznaczało nową, wyolbrzymioną potęgę tego supermocarstwa.

Optymista: Przypuszczasz zatem, że albo zostaniemy bezradnym, słabym „krajem prywilańskim” u boku udoskonalonego kolosa, albo zginiemy razem z nim i z resztą ludzkości? To ma być rozstajna droga, przed którą stoi Gorbaczow?

Pesymista: Rzeczywistość ma to do siebie, że nie daje się skutecznie przewidywać i rysowanie wykluczających się wzajem scenariuszy zająć jest zabiegiem nie tylko ryzykownym, lecz co gorsza odwodzącym od złożoności właściwej realnemu światu.

Niezwykłe tchnienie ciepła, które przyszło od najmniej spodziewanej strony, sowieckiego lodowca, podzieliło od razu państwa satelickie. Czechosłowacja i NRD są przeciwne Gorbaczowskim zapędom, to samo Rumunia z jej tyrańskim szewcem w czerwonej koronie. Węgry i PRL przytakuja nowemu gensekowi. Przyczyny tego podziału są oczywiste. Ekipa czechosłowacka została usadzona na Hradczanach przez Breżniewa jako zaporę przeciw wszelkim pomysłom reformatorskim rodem z Praskiej Wiosny. Trudno, by ci, co od 1968 roku do więzienia wsadzają za wypowiedzenie słowa „reforma”, nagle nabrali dla niej

sympatii. (W Pradze piszą nie o „reformach”, ale o „rekonstrukcji” gospodarki: tabuizacja pewnych słów ujawnia więc marksizmu z magią). NRD ma się najlepiej dzięki jawnej i skrywanej pomocy RFN, toteż ten barak jest w socjalistycznym obozie najlepiej zaopatrzony. (To nie znaczy, by mógł wytrzymać porównanie na przykład z Islandią). O Rumunii należy z litości zamilczeć. Węgry były za Breżniewa, Andropowa i Czernienki mniej lub bardziej chłodno tolerowane ze swymi eksperymentami, toteż nic dziwnego, że poczuły się wsparte, gdy nastał Gorbaczow. W gruncie rzeczy paradoksalna jest tylko pozycja PRL-u z Jaruzelskim, który zdaje się – przynajmniej chwilami – naprawdę sądzić, że on też uruchomił w kraju coś na kształt „reformy gospodarczej”. Ta reforma została już w powiciu zaduszona tysiącem ustawowych zastrzeżeń. Efektami jej są: rozrost katastrofy ekologicznej, gospodarka rabunkowa ludźmi i kopalinami, niezdolność obsługi samych tylko o d s e t e k polskiego zadłużenia oraz galopująca inflacja. Wszystko lub prawie wszystko stąd, że „reforma” ma działać z wyłączeniem choćby skromnej samorządności społeczeństwa. Jaruzelski tworzy wciąż nowe potiomkinowsko-dekoracyjne ciała doradcze, konsultacyjne, ratownicze, bogoojczyźniane, jakby myślał, że jadłem namalowanym na teatralnej dekoracji można karmić lud. Propagandyści generała przestali już temu ludowi wymyślać w zmonopolizowanych środkach masowego przekazu, jak tuż po wojnie polsko-jaruzelskiej i teraz wdzięczą się, głosząc, że „my też” robimy i to, co wymyślił Gorbaczow, i nawet więcej. Ponieważ jednak tej fikcji nie da się długo utrzymać, przyjdzie czas obrachunków, bilansów i to jest nasza polska szansa na średni dystans. Zanim – powiedzmy – Gorbaczow z kretesem przegra albo zanim – alternatywnie – uda mu się postawić na swoim w strategicznych sektorach gospodarki, będzie trwała odwilż. Niechaj ta odwilż potrwa 7 czy 8 lat – a pozbywszy się obecnych dziś przy sterze szumowin i durniów, okrzepniemy w kulturze i może nawet uda się rozpocząć kontrbatalię na dwu frontach największego zagrożenia: katastrofy ekologicznej i katastrofy ekonomicznej. Na razie bowiem nikt obu nawet diagnostycznie nie tknął jak należy. Rząd polewa kupami papierowego pieniądza te społeczne grupy, których głównie się boi – więc załogi wielkich zakładów, górników itp. Współcześnie mamy w Polsce więcej słoni niż reformy gospodarczej. To też nie warto mówić o tym, czego nie ma.

Nie twierdzę, że rozpoznałem przyszłość.

Na pytanie: czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia, odpowiadam: jeśli życzymy sobie zagłady imperium najprawdopodobniej razem z resztą świata – nie. Jeżeli jednak samo dalsze istnienie ludzkości może napoić nas nadzieją lepszego jutra – odpowiem: tak. Zresztą idzie o przyzwolenie lub negowanie czysto mentalne, ponieważ decyzje, które zapadną, zapadną poza nami.

Gorbaczow z perspektywy polskiej

Ankieta „Kultury”

Nie ulega wątpliwości, że Michaił Gorbaczow jest dziś tematem numer jeden prasy światowej. Również w polskich niezależnych środowiskach w kraju i na emigracji zarysowuje się spór na temat realności przemian w Związku Sowieckim oraz ich ewentualnego wpływu na sowiecką politykę zagraniczną. W tym stanie rzeczy, biorąc pod uwagę politykę Gorbaczowa i jego posunięcia, wydaje się konieczne wypracowanie stanowiska dyktowanego interesem polskim – zarówno doraźnym, jak długofalowym – mającym na względzie perspektywę odzyskania niepodległości.

Dlatego też redakcja „Kultury” zwróciła się do osób zajmujących się stosunkami międzynarodowymi, Związkiem Sowieckim czy sprawami polskimi, z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Jak scharakteryzowałby Pan działalność Gorbaczowa i jego ekipy w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej?
 2. Czy Pana zdaniem działalność ta spowodowała zmiany – i jakie? – w zasadach funkcjonowania gospodarki, kultury oraz systemu sprawowania władzy w Związku Sowieckim?
 3. Jakie są Pana przewidywania dalszych losów Gorbaczowa i deklarowanej przez niego „przebudowy” Związku Sowieckiego?
 4. Jak z punktu widzenia interesów polskich ocenia Pan ewentualną demokratyzację lub ewentualną modernizację Związku Sowieckiego?
 5. Czy Pana zdaniem polityka Gorbaczowa może doprowadzić do zwiększenia autonomii PRL w ramach Paktu Warszawskiego i RWPG?
 6. Czy uważa Pan za możliwe porozumienia Stanów Zjednoczonych lub Wspólnoty Europejskiej ze Związkiem Sowieckim kosztem interesów Polski?
- Poniżej drukujemy otrzymane odpowiedzi.

Luty 1987

Stanisław Gomułka

1. Poważna część sowieckiej elity rządzącej wydaje się najwyraźniej przeświadczona, że pozycja ZSRR jako supermocarstwa została w latach 1975–1985 tak zagrożona, że tylko radykalne reformy wewnętrzne mogą ją podtrzymać. Ta ocena wiąże się z amerykańskim wyzwaniem w dziedzinie nowych technologii wojskowych, z silnym zwolnieniem dynamiki gospodarczej w Europie Wschodniej i ZSRR, z kontynuacją (pomimo wzrostu bezrobocia) zachodnioeuropejskich i japońskich sukcesów gospodarczych oraz z kryzysem politycznym w Polsce. Zjawiska te podważały zaufanie elity do wewnętrznej stabilności systemu komunistycznego oraz realności ekspansywnych celów sowieckiej polityki zagranicznej. Celem Gorbaczowa i jego ekipy jest zatem nie tylko powstrzymanie tendencji kryzysowych wewnątrz obozu, ale także uregulowanie celów globalnych.

2. Jak dotąd, zmiany wewnętrzne, chociaż realne, są niewielkie. Dotyczą one głównie środków masowego przekazu, polityki kulturalnej oraz stylu wypowiedzi głównych polityków. Przygotowywana jest reforma gospodarcza, której założenia mają być wprowadzone stopniowo w latach 1988–1990. Jej celem ma być znaczne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw i roli rynku. Politycy wiążą z nią duże nadzieje. Reforma ta pod względem radykalizmu zapowiada się jednak co najwyżej na zmiany typu węgierskiego lub polskiego. Podobnie jak w tych dwóch krajach, również w ZSRR reformatorzy wydają się nad wyraz optymistyczni, oczekując *far too much from far too little*.

3. Pytanie o losy Gorbaczowa nasuwa się zwykle w związku z jego silnym poparciem tezy, że reforma polityczna jest w ZSRR warunkiem wstępnym reformy gospodarczej. Gorbaczow wyraźnie sugeruje, że urynkowanie gospodarki narusza interesy wielu wpływowych grup społecznych i że wobec tego może być przez te grupy blokowane lub spłycane. Ponieważ linie podziału przebiegają wewnątrz partii komunistycznej oraz wśród bezpartyjnych, a nie między komunistami a bezpartyjnymi, Gorbaczow może zabiegać i zabiega o aktywne poparcie dla swojego kursu w ten sposób, że zachęca jego zwolenników do otwartego ujawniania się i przejmowania (większej) władzy w partii i państwie. Taka polityka zagraża interesom wielu indywidualnych ludzi, ale nie musi zagrażać systemowi jako całości. Ograniczoną demokrację polityczną *à la* Gorbaczow rozumiałbym po prostu jako instrument ogólnie kierowanej, ostrożnej przebudowy systemu jednopartyjnego. Przebudowa taka może oczywiście pobudzić nadmierne oczekiwania poza komunistyczną elitą, jak to było np. podczas Wiosny Praskiej 1968 czy ostatnio w Chinach, a także budzić podejrzliwość czy nawet wrogość części partii komunistycznej. Ale komuniści w ZSRR mają tak dominującą pozycję, że większość z nich prawdopodobnie nie widzi poważnego zagrożenia w ograniczonych i ostrożnych reformach Gorbaczowa, poważniejsze niebezpie-

czeństwo upatrując w inercji czy jeszcze większej centralizacji. Kurs na ograniczone reformy uważam zatem za trwały, niezależnie od losów politycznych samego Gorbaczowa. Na dłuższą metę nie wykluczałbym też utworzenia drugiej partii komunistycznej w ZSRR. Gorbaczow podobno już teraz mówi o takiej możliwości, chociaż nie sędzę, aby sam zainicjował lub pozwolił na taki krok. Dopiero to miałyby istotne konsekwencje polityczne dla całego obozu.

4. Przez najbliższe 10 lat nie oczekuję ani istotnej demokratyzacji, ani poważnej modernizacji Związku Sowieckiego. Zmiany, które zachodzą, nie zmieniają w istotny sposób stosunków między tym krajem a Polską. W szczególności doktryna Breżniewa i kontrola wojskowa pozostają nadal w mocy. Niemniej powiększa się nieco margines niezależności politycznej krajów Europy Wschodniej, a w samych tych krajach rosną wpływy reformistów typu Kádára i Jaruzelskiego. Podobne skutki ma poprawa stosunków między ZSRR a USA, na co powinno mieć korzystny wpływ obniżenie poziomu zbrojeń w Europie. W Polsce i na Węgrzech zwiększy się po odejściu Jaruzelskiego i Kádára szansa na dojście do władzy przywódców większego formatu.

5. Takie zwiększenie autonomii, chociaż niewielkie i nieistotne, już ma miejsce. Reforma koncentruje bowiem uwagę Kremla na sprawach wewnętrznych i zmusza Gorbaczowa do szukania poparcia także wśród elit komunistycznych w Europie Wschodniej.

6. Interesy Polski są drugorzędne wobec interesów własnych Stanów Zjednoczonych lub Wspólnoty Europejskiej. Ale też nie widzę konkretnych spraw, w których tylko interes narodowy Polski jest lub mógłby być przeszkodą w porozumieniu się Zachodu ze Związkiem Sowieckim. Ogólnie uważam, że zmniejszenie napięcia między Stanami Zjednoczonymi a ZSRR, w szczególności w Europie, daje nieco większą autonomię krajom małym, w tym także krajom Europy Wschodniej.

Jakub Karpiński

1. Gorbaczow wielokrotnie stwierdzał, że reformy w jego kraju są potrzebne. Od czasu do czasu słyszy się w krajach komunistycznych wołanie o naprawę. Obecnie takie wołanie dobiega z ZSRR. Ma ono często postać ogólnych stwierdzeń o potrzebie zmian, rzadziej precyzuje się, jakie zmiany trzeba wprowadzić. W ZSRR zarządzono oficjalnie nastrój, atmosferę przychylną dla reform. Jest to zapowiedź i już częściowo realizacja jednej z wielu w historii Rosji i ZSRR prób wprowadzania zmian „od góry”, na dany znak.

Działalność Gorbaczowa w sprawach wewnętrznych polega głównie na ogłoszeniu walki z korupcją i pijaństwem i na przesunięciu granic tego, co dozwolone w sposobie mówienia: mówi się inaczej, więcej o przebudowie, mniej o marksiz-

mie-leninizmie. Zmianę mowy odzwierciedla słowo „glasnost”, które zrobiło karierę również na Zachodzie, tłumaczone na ogół jako „otwartość”. Ale to nie to samo. „Glasnost” to nadawanie publicznego echa, to wrażliwość na *publicity* i wiedza o *public relations*, dobrze wykorzystywane w oddziaływaniu ZSRR na kraje zachodnie (Marczenko nie żyje, ale wypuściliśmy Sacharowa; wybuchł Czarnobyl, ale po pewnym czasie powiedzieliśmy coś o tym w telewizji; złapaliśmy amerykańskiego korespondenta, ale pozwoliliśmy go wymienić na sowieckiego szpiega).

Polityka zagraniczna ZSRR polega obecnie w znacznej mierze na przekonywaniu Zachodu, by się rozbroił. Zacołowane technologicznie wielkie mocarstwo nie czuje się pewnie we współzawodnictwie i chciałoby kopiować nadal zachodnią technologię i nieco odciążyć swą gospodarkę. Miłe uśmiechy, ludzki wygląd lub zwolnienie stu więźniów mają przekonać Zachód, że partner negocjacji jest cywilizowany. Ta argumentacja bywa skuteczna, ale nie wydaje się, by potrzebę rozbrojenia Zachodu wystarczająco uzasadniały cywilizowane maniere na Wschodzie.

2. Ekipa Gorbaczowa pragnie pobudzić wzrost gospodarczy, a zwłaszcza rozwinąć nowoczesne dziedziny z informatyką na czele (publikowane oficjalnie dane wskazują, że wzrost gospodarczy w ZSRR jest coraz mniejszy). Dotychczas raczej żądano zwiększenia dyscypliny i wysiłku pracowników, niż stwarzano warunki dla innowacji. Mówi się o większym zróżnicowaniu płac, rozsądniejszych cenach, pewnym zwiększeniu samodzielności przedsiębiorstw. Jednocześnie zwalczą się „dochody niezapracowane” i próbuje się przyznać prawa do prowadzenia prywatnej działalności gospodarczej i usługowej we wskazanych szczegółowo dziedzinach, takich jak prywatne udzielanie korepetycji.

W kulturze zmiany są najwyraźniejsze. Pozwala się na więcej niż poprzednio, ale jest to o wiele mniej niż obecnie w Polsce i niż kiedyś w Rosji carskiej. Entuzjazm na Zachodzie wzbudza wtrącenie w prasie zdania o Bucharinie lub Zamiatinie. To są ważne znaki, ale nie należy utożsamiać ich z istnieniem wolności w kulturze.

W dziedzinie sprawowania władzy zmiany są przede wszystkim personalne, polegają na eliminowaniu funkcjonariuszy, którym zarzuca się korupcję, i na odmładzaniu kadr kierowniczych (widocznym zwłaszcza w porównaniu z epoką Breżniewa).

3. Wydaje się, że dobrze jest opierać przewidywania na rozeznaniu sił społecznych i na orientacji w tym, jak mogą się one zderzać.

W komunizmie zwiększanie terroru łatwiej przychodzi rządzącym niż liberalizacja. Póki terror nie kieruje się przeciw aparatowi wykonawczemu, zwiększanie terroru nie godzi w jego interesy. Ze zwiększaniem wolności jest inaczej.

Przemiany liberalizacyjne, raz wprowadzone w ruch, rozszerzają się. Kto dostał trochę wolności, widzi, że może zmienić się to, co wydawało się niewzruszone,

i chce następnych zmian. Ale to godzi w interesy warstwy dotychczas uprzywilejowanej – aparaczyków komunistycznych.

Zmiany proponowane lub przypuszczalnie zamierzane przez Gorbaczowa mogą wywołać żądania zmian już przez niego niezamierzonych (na przykład zmian w polityce wobec narodów nierosyjskich i w polityce wobec religii). Dlatego zmiany, a zwłaszcza niezamierzone, napotykać i będą napotykać opór funkcjonariuszy, których interesy narusza na przykład kierowanie się zasadą kompetencji lub zezwalanie na krytykę. Opór aparaczyków i wiedza o tym, że wolność jest zaraźliwa, będą skłaniać Gorbaczowa do ograniczania zmian pod hasłem: chcemy lepszej gospodarki, ale z wolnością nie należy przesadzać, wolność w zbyt dużych dawkach szkodzi.

4. Modernizacja Związku Sowieckiego jest do pewnego stopnia możliwa bez demokratyzacji i zapewne taką modernizację władze tego kraju wybrałyby najchętniej. Demokrację rozumiem jako możliwość i prawo zbiorowości do decydowania o sobie, a to obejmuje prawa narodowe, religijne, prawa organizowania się (na przykład w związku zawodowe). Bardzo Związkowi Sowieckiemu daleko do demokracji, natomiast w pewnych dziedzinach (zwłaszcza w kulturze i w obiegu informacji) zmniejszają się ograniczenia wolności (mamy więc do czynienia z liberalizacją).

Uważam, że dla Polski byłoby korzystne, gdyby poziom oświecenia i wyrobienia społecznego ludności w ZSRR był wyższy niż obecnie. Demokratyzacja, liberalizacja i modernizacja polepszyłyby stan społeczny tamtejszej ludności, zmiany te spowodowałyby, że władzom nieco trudniej byłoby ludnością manipulować.

Polska od ZSRR zależy i jest dla Polski ważne, jaka jest ludność ZSRR. Dla Polski byłoby korzystne, gdyby władze ZSRR nie mogły postępowania tamtejszej ludności kształtować dowolnie według swych pragnień.

5. Gorbaczow pokazał, że dąży do zmian wewnątrz ZSRR i do pewnej liberalizacji. To sprawa trudna i dlatego nie przypuszczam, by chciał sobie przysparzać jeszcze kłopotów na zewnątrz. Zachowanie *status quo* w obozie sowieckim jest – przy braku oporu społeczeństwa – rozwiązaniem niekłopotliwym i wobec tego – przy braku oporu – nie leży w interesie Gorbaczowa zwiększenie autonomii PRL. Rozwiązaniem optymalnym z jego punktu widzenia jest spokój (czyli martwota) w Polsce. Władze w Polsce pośredniczą między społeczeństwem i opiekunami sowieckimi i pokazały (zwłaszcza w stanie wojennym), że zrobią wiele, by opiekunów sowieckich zadowolić. Zadaniem społeczeństwa polskiego jest przekonać władze w Polsce i w ZSRR, że martwoty nie uzyskają, a więc wzmacniać istniejące obecnie elementy niezależności i odrębności Polski. ZSRR przyjmie to do wiadomości, ale – jak można przypuszczać – bez entuzjazmu.

6. W przeszłości porozumienia między ZSRR i Zachodem kosztem Polski już zawierano, więc są możliwe na tej zasadzie, że cokolwiek się zdarzyło, jest moż-

liwe. Pytanie jednak rozumiem jako odnoszące się do przyszłości i do możliwości pogorszenia istniejącej sytuacji. Trzeba wtedy zastanowić się, co jeszcze można by pogorszyć. Nadzieją Polski są enklawy niezależności społeczeństwa, ale nadzieję bardzo nadwątlili stan wojenny. Zmiany kształtu terytorialnego Polski nie wydają się prawdopodobne. Wydaje się natomiast prawdopodobne utrwalenie tego, co istnieje, a więc zależności Polski od ZSRR i funkcjonowania ZSRR jako gwaranta granic i ustroju, czyli panowania komunistycznego w Polsce. Rządy zachodnie, zwłaszcza niemiecki, dawały wielokrotnie do zrozumienia, że nie mają nic przeciwko spokojowi na wschodzie, to znaczy aprobują łagodne panowanie ZSRR w swojej domenie i łagodne podporządkowanie się krajów w sferze wpływów sowieckich.

Ofensywa wdzięku Gorbaczowa może spowodować podobne skutki co uroki Jaruzelskiego. Politycy zachodni mogą rozumować następująco: jeśli PRL zasługuje na członkostwo w Międzynarodowym Funduszu Walutowym i na klauzulę najwyższego uprzywilejowania, to dla czegoż liberalny i cywilizowany Gorbaczow nie miałby również na to zasługiwać? Bezwarunkowe koncesje dla krajów komunistycznych są najzupełniej możliwe i wcale nie tak trudno je uzyskać. Wzmacniają one rządy i ich panowanie, a zmniejszają konieczność przemian wewnętrznych. Z tej racji takie koncesje nie leżą w interesie kraju – nie tożsacym z interesem rządu.

Leszek Kołakowski

1. Na podstawie dostępnych wiadomości należy sądzić, że Gorbaczow i jego ekipa chcieliby „zjeść ciastko i je zachować”, tj. zmodernizować technologiczną podbudowę kraju, podnieść wydajność pracy i efektywność zarządzania, a także rozbudzić motywacje zgodne z tymi zadaniami, nie czyniąc przy tym żadnych zmian instytucjonalnych, lecz tylko niekosztowne ustępstwa, bądź słowne, bądź nawet realne, ale nienaruszające w niczym wszechwładzy partii (zwolnienie części więźniów politycznych; pewne koncesje kulturalne, mające zapewne na celu nie tylko poprawę reputacji wodza w świecie zachodnim, ale także zjednanie sobie sowieckiej inteligencji; stopniowa wymiana aparatu i wciąganie do niego ludzi bardziej sprawnych i lepiej wykształconych). Nie ma oznak, by monopol władzy został okrojony, jeśli nawet władza czyni gesty mające świadczyć o jej wspaniałomyślności. Wszystkie zmiany w polityce zagranicznej mają oczywiście na celu umocnienie państwa i jego siły w świecie; nie ma żadnych powodów do przypuszczeń, żeby ekipa Gorbaczowa chciała rozluźnić swoje panowanie w krajach podległych. Możliwe jest jednak, że jej zamiarem jest konsolidacja istniejących zdobyczy i chwilowe poniesienie dalszych planów podboju na rzecz bardziej wielostronnej i „normalniejszej” dyplomacji, tj. szukanie niewo-

jennych i nieterrorystycznych lub na szantażu opartych środków wpływania na kraje neutralne lub na te kraje Trzeciego Świata, które bardziej skłaniają się do przymierza z Zachodem. O skuteczności tej dyplomacji mówić za wcześnie.

2. O ile wiem, życie sowieckich obywateli nie uległo zmianie, pomijając znaczne kłopoty z zakupem wódki. Z zachwytem przez zachodnich korespondentów opisywane nowości, jak prywatny zakład fryzjerski w Rydze lub prywatne i legalne kursy językowe w Moskwie, są ekonomicznie bez znaczenia. Obietnica praw, które dadzą robotnikom udział w wyborze kadry menedżerskiej, jest też bez znaczenia, gdyż w braku prawa robotników do organizowania się w związki, wszystkie takie uprawnienia – i tak bardzo mgliste w istniejących obietnicach – staną się świstkiem papieru i będą z największą łatwością sabotowane przez aparat partyjny. Nie wierzę także, by przywrócenie zasad „rozrachunku gospodarczego” w przedsiębiorstwach (co wszakże nieraz już próbowano czynić) miało realne znaczenie, skoro wszystkie ważne decyzje zastrzeżone są tak czy owak dla ministerstw i władz partyjnych, a rozdział środków wytwarzania jest nadal scentralizowany, podobnie jak reguły odnoszące się do inwestycji i zatrudniania. Nie wiem, czy i jakie zmiany nastąpiły w organizacji rolnictwa, lecz byłbym niepomiernie zdziwiony, gdyby Rosjanie mieli zamiar naśladować Chińczyków, którzy praktycznie zdekolokalizowali gospodarkę wiejską; byłby to w Rosji krok o nieobliczalnych następstwach. Nie jest natomiast bez znaczenia, że odbywa się, choćby w ograniczonym zakresie i w sposób ogólnikowy, publiczna wymiana sprzecznych opinii na temat „reform”; sprzyja to kształtowaniu się konfliktowych grup w aparacie partyjnym i państwowym, a więc pewnej destabilizacji wewnętrznej, której możliwych rozmiarów nie potrafię jednak ocenić.

3. Zakładając, że ekipa Gorbaczowa nie zostanie obalona przez inną klikę czy frakcję, najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że wewnętrzne reformy w najbliższych latach skończą się na kosmetycznych poprawkach. Zupełnie nie wiadome są jednak zamiary (lub ich brak) wodzów w sprawach ideologicznych, zdają oni sobie bowiem niezawodnie sprawę z ruiny oficjalnej ideologii marksizmu-leninizmu jako możliwej siły motywacyjnej w zachowaniach i aspiracjach ludzi sowieckich. Zastąpienie jej jawną ideologią wielkorosyjskiego szowinizmu – co jest jedyną alternatywną możliwością realną – byłoby zbyt ryzykowne, gdyż podnieciłoby napięcia narodowe do niebezpiecznego punktu. Zapewne więc, jak dotąd, będą próbowali rzeczy latać.

4 i 5. O „demokratyzacji” nie ma co mówić, nic nie wskazuje na razie na ruch w tym kierunku. Co do całości wewnętrznej i zewnętrznej polityki „modernizacyjnej”, to nie wydaje mi się, by miała ona w intencji rozszerzyć autonomię sowieckich protektoratów w Europie. Jeśli ekipa Jaruzelskiego cieszy się faworami sowieckiego wodza, to nie z powodu relatywnie rozluźnionej na razie polityki wewnętrznej, ale z innych racji. Myślę, że przeciwnie, Gorbaczow będzie usiłował utrzymać kraje podległe w posłuchu, aby mu nie przysparzały kło-

potów w polityce wewnętrznej lub zagranicznej. Może nalegać na różne kroki „modernizacyjne”, lecz nie ma powodu przypuszczać, by chciał zwiększyć niezależność tych krajów albo osłabić w nich kontrolę partii (w Polsce, pewien jestem, chciałby ją wzmocnić). Często spotykane w prasie spostrzeżenie, że chce on wznowić w Czechosłowacji idee z czasu Dubczeka, wydaje mi się wręcz nonsensem, nawet jeśli dla wielu Czechów jego frazeologia brzmi obiecująco, a opozycja będzie zapewne na tę frazeologię się powoływać.

6. Nie wierzę w to, by, w wypadku dojścia do skutku obecnych negocjacji rozbrojeniowych, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki miały zaopatrzyć swoją umowę w tajny protokół, który dawałby z góry Rosjanom wolną rękę w krajach podległych lub spisał je na straty. Amerykanie wiedzą przecież (choć czasem, to prawda, zdają się cierpieć w tym zakresie na niewiarygodny zanik pamięci), że w tym kraju większość supertajnych działań rządu staje się jawna po kilku tygodniach lub miesiącach. Takie powtórzenie układu Ribbentrop-Mołotow czy też Jałty nie wygląda mi prawdopodobnie. Jest możliwe natomiast, że efekty jakiegoś układu rozbrojeniowego, jeśli do niego dojdzie, będą miały wpływ na sprawę polską. Nie mam żadnych kompetencji, by wypowiadać się na temat technicznych stron takiego układu, odnoszących się do „zbalansowania” potencjału militarnego i weryfikacji. Jeśli Rosjanom uda się skutecznie oszukać Stany Zjednoczone w tych sprawach i w wyniku poprawić stosunek sił na swoją korzyść, będą niechybnie bardziej agresywni, bardziej pewni siebie i bardziej skłonni do użycia knuta w Polsce i w innych koloniach. Jeśli zaś proces rozbrojenia będzie rzeczywiście dwustronny i doprowadzi do nowej równowagi sił na niższym poziomie uzbrojenia, ze skutecznymi środkami weryfikacji (że Rosjanie będą usiłowali oszukiwać, co do tego nie może być dyskusji), można się spodziewać – niezamierzonego – rozluźnienia w tych krajach w wyniku ogólnej poprawy atmosfery międzynarodowej i podniesienia progu, na którym władcy sowieccy uważaliby za opłacalne np. interwencje zbrojne w krajach Paktu Warszawskiego. Zależy to jednak, rzecz jasna, od zdolności rządzących ekip komunistycznych do wykorzystywania takich rozluźnień i od ich odwagi.

Bez względu na losy ekipy Gorbaczowa w najbliższych latach, polityka jego z pewnością nie przejdzie bez śladu w przyszłych dziejach sowieckiego imperium i ostatecznie, jak sądzę, przyczyni się, wbrew intencjom, do jego rozkładu.

Jan Nowak

Trzy scenariusze

Należy starannie odróżnić intencje i cele Gorbaczowa od niezamierzonych skutków, jakie może pociągnąć za sobą jego polityka. Celem jest zahamowanie powolnych procesów, które pchają Związek Sowiecki w dół, a w każdym razie

pozostawiają go coraz bardziej w tyle w konkurencji z Zachodem. System nie funkcjonuje. Jak na razie Gorbaczow chce go nie tyle zreformować, ile usprawnić.

Symptomy upadku

Wskaźniki wzrostu gospodarczego, które sięgały 5% rocznie w latach 1966–1970, wykazują od tego czasu stałą tendencję zniżkową i skurczyły się do 1,4% w roku 1986. Jeżeli obecna tendencja się nie zmieni, Stany Zjednoczone za pięć do siedmiu lat odzyskają zdecydowaną przewagę militarną. Technologia amerykańska dokonała w ostatnich latach ogromnego skoku naprzód, także w dziedzinie nowych środków obronnych. Olbrzymie ilości sowieckich czołgów skoncentrowanych w Europie Zachodniej mogą za kilka lat okazać się bezużytecznym szmelcem.

Przyśpieszenie wzrostu gospodarczego wymaga podniesienia wydajności, a więc bodźców ekonomicznych w postaci zwiększenia produkcji dóbr konsumpcyjnych i modernizacji przemysłu pracującego na rynek wewnętrzny. Obecnie zbrojenia pochłaniają 44% produkcji przemysłu ciężkiego w porównaniu z 18% w roku 1960. Dzieje się to oczywiście kosztem zaspokojenia potrzeb ludności. W miarę kurczenia się wzrostu gospodarczego – rośnie proporcjonalny udział wydatków na zbrojenia w dochodzie społecznym. Żadne zmiany strukturalne nie rozwiążą same przez się sowieckich problemów. Poprawa wymaga ograniczenia zbrojeń oraz zwiększenia importu nowoczesnych maszyn i technologii z Zachodu.

Tymczasem spadek światowych cen ropy naftowej i gazu ziemnego doprowadził do zmniejszenia o połowę sowieckich wpływów walutowych w porównaniu z 1983 rokiem. Wpływy z całego eksportu mocarstwa, które zajmuje jedną szóstą powierzchni globu ziemskiego, wynosiły w 1986 roku 26–29 miliardów dolarów, czyli jedną czwartą wpływów General Motors. Import zboża pochłania 60% rocznych wpływów twardej waluty. Aby utrzymać import na obecnym poziomie, Sowiety będą musiały pożyczyć na Zachodzie w ciągu następnych pięciu lat 25 miliardów dolarów, czyli podwoić obecne zadłużenie, które w końcu 1985 roku wynosiło 28,6 miliardów dolarów. Natomiast modernizacja sowieckiego przemysłu wymagałaby kredytów zachodnich w wysokości ok. 50 miliardów w ciągu tego samego okresu. Częściową alternatywą jest obcięcie o połowę produkcji przemysłu ciężkiego na zbrojenia i odpowiednie zwiększenie inwestycji włożonych w modernizację przemysłu.

Sowieckie konieczności polityki odprężenia

W polityce zewnętrznej Gorbaczow potrzebuje nie tylko układu ograniczającego zbrojenia, ale wytworzenia klimatu sprzyjającego rozluźnieniu zakazów i ograniczeń importu technologii, komputerów i maszyn z Zachodu, a przede wszystkim znacznego zwiększenia dopływu kapitałów zachodnich. Obecna poli-

tyka odprężenia jest podyktowana koniecznościami wewnętrznymi. Nie oznacza to wcale ograniczenia sowieckiej ekspansji. Wręcz przeciwnie – w odróżnieniu od Zachodu Sowiety zawsze prowadziły politykę dwutorową. Odprężeniu w stosunkach między rządami towarzyszą z reguły wzmożone próby podboju bez wojny. Tak było w czasach wojennego sojuszu ze Stalinem i w latach siedemdziesiątych za czasów Breżniewa. To samo powtarza się obecnie. Ustępstwa, uśmiechy i pojednawcze gesty przy stole konferencyjnym idą w parze z eskalacją operacji wojskowych w Afganistanie (bombardowanie Pakistanu w strefie przygranicznej), zwiększeniem pomocy wojskowej dla reżimów komunistycznych w Angoli, Etiopii i Nikaragui, wzrostem aktywności w rejonie Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej, próbami zdobycia baz na Pacyfiku itd.

Gorbaczow i Polska

Sowiecka polityka odprężenia wywarła już dość istotny wpływ na sytuację w Polsce. Gorbaczow nie chce konfrontacji, która pokrzyżowałaby albo znacznie opóźniła jego plany strategiczne w skali globalnej. To było chyba głównym powodem, dla którego pozwolił Jaruzelskiemu na zlikwidowanie sowieckiej piątej kolumny w PZPR w osobach Olszowskiego, Kociołka, Milewskiego, Molczyka, Grabskiego i innych. „Nowa targowica”, jak ją nazywa płk Kukliński, marzyła o dojściu do władzy na sowieckich bagnietach. Pozbywając się jednego z głównych narzędzi szantażu wobec polskiej grupy rządzącej, Gorbaczow rozszerzył znacznie swobodę manewru Jaruzelskiego. Generał korzysta z niej w granicach własnych interesów swojej ekipy. Interes ten nakazuje unikanie gwałtownej konfrontacji ze społeczeństwem w obecnym, niekorzystnym dla kierownictwa układzie sił wewnętrznych. Jak dotychczas oznacza to jednostronne, ograniczone ustępstwa, takie jak wrześniowa amnestia i gniewna tolerancja opozycji. W naturze generała leży polityka półśrodków.

W sprzeczności z sowieckim założeniem unikania interwencji jest znaczne zaostrożenie sowieckiej polityki eksploatacyjnej wobec wszystkich satelitów, a przede wszystkim wobec Polski, co pogarszając już i tak krytyczną sytuację gospodarczą, może łatwo doprowadzić do eksplozji.

Pierestrojka

Nawet pełny sukces sowieckiej polityki odprężenia w postaci ograniczenia zbrojeń i znacznie zwiększonego importu kapitałów i technologii nie zatrzyma sam przez się procesu powolnego upadku. Cudu tego ma dokonać pierestrojka – rekonstrukcja obejmująca wszystkie dziedziny życia społecznego. Na razie trudno jednak odczytać jakiś przemyślany do końca i całościowy plan rekonstrukcji (unika się słowa reforma). Wciąż nie wiadomo, jakie mają być granice zmian. Jak dotychczas mamy do czynienia z szeregiem doraźnych posunięć i z próbnymi balonami. Politykę uzdrawiania systemu zaczął Gorbaczow od walki z alkoholizmem i korupcją. Kolchozy mogą sprzedawać 30% swych pro-

duktów na wolnym rynku. Siedem wielkich koncernów państwowych zostało wyjętych spod kontroli Gosplanu i Komisariatu Skarbu. Projekt ustawy o przedsiębiorstwach socjalistycznych zapewnia nieco większą samodzielność zakładom przemysłowym, zwłaszcza na prowincji. Państwowy monopol handlu zagranicznego został zniesiony i od 1 maja przedsiębiorstwa mogą zawierać umowy z firmami zagranicznymi.

Zapowiedzi dalszych zmian sięgają dużo dalej niż dotychczasowe ograniczone reformy. Polityka Gorbaczowa polega przede wszystkim na liberalizacji środków przekazu. Głasnost jest potrzebna, bo pierestrojka może znaleźć poparcie społeczne tylko wtedy, jeśli dotychczasowa propaganda sukcesu ustąpi miejsca powszechnej świadomości, że jest źle, a może być jeszcze gorzej, i że robi się coś, by temu zapobiec. Dotychczas alarmujące symptomy znane były tylko wierzchołkom. Obecnie mają przeniknąć do świadomości ogółu.

Czy pierestrojka Gorbaczowa może pociągnąć za sobą skutki niezamierzone, które zmienią w sposób istotny sytuację w samym Związku Radzieckim, w Europie Wschodniej i w świecie?

Teoretycznie biorąc, możliwe są trzy scenariusze. Rozważmy je po kolei, zaczynając od tego, który z polskiego punktu widzenia jest najbardziej optymistyczny.

Scenariusz optymistyczny

Scenariusz ten zakłada, że Gorbaczow nie podzieli losu Chruszczowa i nie zostanie obalony w najbliższej przyszłości. Zamiast jeszcze jednej rewolucji pałacowej, rozegranej w ciągu kilku godzin w murach Kremla – dojdzie do przewlekłej i rozszerzającej się walki o władzę. Oba zwalczające się skrzydła szukać będą sojuszników na zewnątrz i wciągać do konfliktu siły stojące poza wąskim kręgiem grupy rządzącej, a więc biurokrację partyjną, wojskową, państwową, KGB, środowiska twórcze, inteligencję i wreszcie szerokie masy. Fale zataczać będą coraz szersze kręgi, by doprowadzić w końcowej fazie do rozbudzenia i poruszenia biernej i apatycznej ludności, z chwilą gdy zacznie ona wyczuwać osłabienie centralnego ośrodka władzy.

Jak wiadomo, podobny scenariusz w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji kończył się albo sowiecką inwazją, albo groźbą interwencji wojskowej, która zatrzymywała rewolucję w pół drogi. W ZSRR ten sam proces – jeśli będzie miał dość czasu, by się w pełni rozwinąć – może doprowadzić nawet do wojny domowej.

Już dziś uderzają analogie z latami „odwilży” w Polsce. W połowie lat pięćdziesiątych pewne elementy w kierownictwie PZPR uprzytomniły sobie, że kontynuowanie metod stalinowskich prowadzi do załamania gospodarczego. Wyjściowe założenia Gorbaczowa są zbliżone do przesłanek ówczesnego „liberalnego” skrzydła PZPR. Chodziło wtedy o wyrwanie mas z marazmu i apatii,

o przełamanie amorficznego, biernego oporu wyrażającego się w ograniczaniu wysiłku ludzkiego do niezbędnego minimum. Chodziło także o stworzenie przeciwwagi dla elementów konserwatywnych zwalczających wszelką reformę. Miał to być proces ściśle kontrolowany i kierowany odgórnie. Jak wiadomo, góra straciła panowanie nad wyzwolonymi przez siebie siłami i odwilż zamieniła się w powódź.

Prasę sowiecką studiuję w angielskim tłumaczeniu, bo poza „Kulturą” bardzo niewiele przenika z niej do publikacji polonijnych i emigracyjnych. Zagłębiając się w tę lekturę, mam uczucie *déjà vu*. Pamiętam, jak przecierałem oczy, czytając „Po prostu”, a później nawet „Trybunę Ludu”. Dziś z tym samym zdumieniem czytam rozważania w jednym z czołowych pism sowieckich, czy aby nie udałoby się przywrócić rosyjskim miastom ich nazw historycznych i czy nie byłoby lepiej, by Leningrad nazywał się znowu Piotrogradem. To oczywiście jeden z tysiąca przykładów. Nakłady prasy w Sowietach skoczyły w tym roku o 14 mln egzemplarzy. Trzydzieści jeden lat temu przed Październikiem w proporcjonalnej skali rosły nakłady prasy w Polsce. Podobnie jak w Polsce przed 1956 rokiem pisma, publicyści, dziennikarze nie są pewni, gdzie przebiegają granice swobodniejszej wypowiedzi, i ryzykują karierą, próbując coraz śmielej, jak daleko można się bezkarnie posunąć.

Analogie nie kończą się w tym miejscu. Partyjna konserwa, zaskoczona z początku przez głośność, oprzytomniała, zaczyna konsolidować się i przechodzi do kontrataku. Polemiki w prasie stają się coraz ostrzejsze. Najciekawszym zjawiskiem jest stalinowski samizdat. Po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę jugosłowiański dziennikarz Drago Buvac (cytowany przez Slobodana Stankovicia w opracowaniu Biura Studium RWE 4 maja 1987). Doktor ekonomii B. Isajew rozpowszechnia w Moskwie nielegalne broszury poddające program Gorbaczowa ostrej krytyce. Isajew wspomina z nostalgią stalinowską dyscyplinę i stopę wzrostu gospodarczego w latach „socjalistycznej industrializacji”. Przyczyny obecnego zwolnienia tempa dopatruje się Isajew w międzynarodowym i wewnętrznym spisku kół żydowsko-masońskich.

Kampanię, która łączy wezwania do leninowskiej ortodoksji z hasłami antysemitycznymi, podjęła nacjonalistyczna grupa Pamiat (Pamięć). Powtarza się dokładnie to samo, co oglądaliśmy w Polsce. Antysemityzm stał się klasyczną bronią stalinowców – najpierw Natolina, później partyzantów Moczara, wreszcie Grunwaldu Olszowskiego. Słowo „Żyd” ma być synonimem „liberalizmu”. W Polsce rozbudzony antysemityzm i podejrzenia żydowskiego spisku miały nie tylko odwrócić uwagę od istotnych źródeł pogarszających się warunków życiowych, ale zdyskredytować równocześnie zwolenników reformy. To samo powtarza się dziś w Rosji. Może nie należałoby przywiązywać do tego zjawiska przesadnej wagi, gdyby nie to, że ataki Pamięci na Gorbaczowa przybierają formy niezwykle ostre, a delegacja tej organizacji przyjęta została 6 maja przez pier-

wszego sekretarza okręgu moskiewskiego i członka politbiura Borysa Jelcyna, który zazwyczaj występuje w roli sojusznika generalnego sekretarza. Tego rodzaju audycja, udzielona nielegalnej grupie, nie miała dotychczas precedensu. Czyżby stalinowskie podziemie miało swego protektora na samej górze?

Krytyki pod adresem Gorbaczowa wysuwają także zwolennicy reform. W czerwcowym numerze „Nowego Mira” Mikołaj Szemiłow idzie dalej od Gorbaczowa, domagając się zniesienia subwencji i cen administracyjnych, wprowadzenia wolnego rynku, zerwania z centralnym planowaniem i dopuszczenia do bezrobocia jako nieuniknionego produktu ubocznego racjonalnej gospodarki: „Podobnie jak w 1963 i 1965 roku – pisze Szemiłow – znowu jesteśmy skazani na półśrodki. A półśrodki, jak wiadomo, okazują się często gorsze od bezczynności”.

Jak z tego wynika, polityka Gorbaczowa prowadzi do zaostrzającej się polaryzacji i walki. Na razie na słowa. Pierwsza runda ma się rozegrać na czerwcowym plenum w dyskusji nad projektem ustawy o przedsiębiorstwach socjalistycznych.

Scenariusz pesymistyczny

Wydaje się dużo bardziej prawdopodobne, że pierestrojka i głośność skończą się albo nagłym upadkiem Gorbaczowa, albo jego kapitulacją i powrotem do stagnacji z czasów Breżniewa. Dyplomaci zachodni w Moskwie utrzymują, że Gorbaczow skończy się jeszcze przed upływem kadencji Reagana.

Przemawia za tym wiele okoliczności i sekretarz generalny wydaje się izolowaną postacią w samym politbiurze. Usunął z niego wprowadzić wszystkich z wyjątkiem Władimira Szczerbickiego, którzy głosowali na Griszina jako następcę Czernienki, ale nowi ludzie przez niego wprowadzeni daleko mniej od niego angażują się w politykę rekonstrukcji, a naczelny ideolog partii Jegor Ligaczow i premier Mikołaj Ryżkow wysyłają między wierszami ezoteryczne akcenty krytyki pod adresem Gorbaczowa. Usunięcie generała Sokołowa i sam fakt, że po raz pierwszy wojsko nie jest reprezentowane w politbiurze przez pełnoprawnego członka, zdają się wskazywać, że armia nie jest sojusznikiem generalnego sekretarza.

Gorbaczow przeprowadził w partii najbardziej radykalną czystkę od czasów likwidacji Berii. W czasie ostatniego zjazdu partii w 1986 roku zmiany w składzie KC objęły 40% członków. Na szczeblu podstawowych organizacji partyjnych 23% funkcjonariuszy zostało zastąpionych nowymi. Nie znaczy to, by ci nowi ludzie byli entuzjastami pierestrojki.

Właściwości rosyjskiego charakteru sprawiają, że proces przebudzenia i uaktywnienia mas musiałby trwać w ZSRR o wiele dłużej niż w Polsce, na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Decentralizacja systemu zarządzania oznaczałaby większe uniezależnienie narodowości ZSRR, co musiałoby spotkać się z szowinistyczną reakcją Wielkorusów. Najgroźniejszym przeciwnikiem jest oczywiście aparat biurokratyczny, który czuje się zagrożony przez walkę z korupcją i projekty

wyborów na więcej niż jednego kandydata. Biurokraci widzą w rekonstrukcji zamach na swój stan posiadania.

Sądząc z lektury prasy sowieckiej, Gorbaczowowi udało się zmobilizować i zdobyć poparcie inteligencji twórczej. Wątpliwe, czy to samo można powiedzieć o robotnikach. Dotychczasowe zmiany nie polepszyły ich położenia. Sytuacja mieszkaniowa i żywnościowa nie uległy poprawie. Na skutek kampanii antyalkoholowej zdobycie butelki wódki wymaga dwóch godzin stania w ogonku. Spożycie alkoholu spadło o 37%, pozbawiając państwo ponad 16 miliardów rubli dochodu, a robotników jedynej ucieczki od ponurej rzeczywistości. Wprowadzenie systemu ostrej kontroli jakości towarów ugodziło w przemysł ciężki, którego produkcja obniżyła się o 3,6% w ciągu pierwszych dwóch miesięcy bieżącego roku. Kontrola objęła 1900 przedsiębiorstw, doprowadziła do zamknięcia niektórych zakładów i przepuściła tylko 83,9% produkcji. Robotnicy ponieśli dotkliwe straty w premiach. Doprowadziło to do zamieszek i protestów robotniczych w fabryce ciężarówek Rzeka Kama. Niezadowolenie robotników może sprawić, że powtórzą się w Rosji wypadki poznańskie z 1956 roku. Z tą różnicą, że w ówczesnym układzie sił wewnętrznych Poznań stał się katalizatorem, który otworzył drogę do Października, a w Rosji stłumienie rozruchów na większą skalę może równocześnie położyć kres polityce reform.

Rewolucje pałacowe w sowieckim systemie przybierają zazwyczaj formę głosowania przez zaskoczenie w Biurze Politycznym, a później w Komitecie Centralnym. Zaskoczenie wymaga głęboko zakonspirowanych przygotowań. Kto wie, być może w chwili gdy piszę te słowa, konspiracja przeciwko Gorbaczowowi już się zawiązała. Rozstrzygnięcie nastąpi prawdopodobnie przed następnym, XXVIII Zjazdem partii, który ma się odbyć w 1989 roku – o dwa lata wcześniej niż normalnie i przed uchwaleniem nowej pięciolatki.

Scenariusz mało prawdopodobny

Nie można (przynajmniej w teorii) wykluczyć trzeciego, najmniej prawdopodobnego scenariusza: Gorbaczowowi udaje się doprowadzić do ograniczenia zbrojeń, napływu kapitału i importu technologii zachodniej, modernizacji przemysłu, odbudowy infrastruktury, usprawnienia systemu zarządzania i poprawy warunków bytowych. Cały proces przebiega w sposób zgodny z jego zamierzeniami, kierowany i kontrolowany odgórnie. Związek Sowiecki wychodzi z pierestrojki wzmocniony. Perspektywa niezbyt realna. Rzeczywista poprawa wymagałaby przemian rewolucyjnych, a więc całkowitego przekształcenia samego systemu.

Co dalej, jeśli wypadki rozegrają się według pesymistycznego scenariusza i Gorbaczow zostanie usunięty? Oznaczałoby to tylko przeniesienie optymistycznego scenariusza w dalszą przyszłość. W miarę pogarszania się ogólnej sytuacji gospodarczej i coraz większego pozostawania ZSRR w tyle za uprzemysłowionymi państwami zachodnimi – narastać będzie wewnętrzny konflikt między pragmatykami i konserwą broniącą swych wąskich, klasowych interesów.

W ostatniej fazie napór konieczności życiowych musi odnieść zwycięstwo nad martwą doktryną.

Waszyngton, 9 czerwca 1987

Leopold Unger

1. Dwa lata to za mało do oceny polityki nowego sekretarza generalnego partii komunistycznej w ZSRR. Niektórzy fachowcy oceniają, że nowy przywódca sowiecki potrzebuje około 5 lat dla zbudowania swojej własnej maszyny politycznej. Przyjmując ten punkt widzenia, prawie całe obecne Biuro Polityczne, włącznie z Gorbaczowem, jest z wychowu Breżniewa. W istocie, jeżeli trudno jest na razie dokonać częściowego choćby bilansu „administracji” Gorbaczowa, można z dużą dozą prawdopodobieństwa mówić o jego zamiarach i planach.

W największym skrócie – mandat Gorbaczowa sprowadza się do próby ratowania, najtańszym kosztem, statusu ZSRR jako supermocarstwa mającego prawo i możliwości negocjowania z USA na równych prawach. W innym równaniu mandat Gorbaczowa polega na przezwycięzeniu sprzeczności między superpotężnymi ambicjami i koniecznościami ZSRR a jego możliwościami ekonomicznymi. Można to także przedstawić w formie pytania: w jaki sposób pogodzić roczny budżet wojskowy ZSRR w wysokości (według zachodnich ocen) ok. 15% PNB, czyli dwukrotnie wyższy niż w USA, z sowieckim PNB, który (też według zachodnich ocen) wynosi między połową a jedną trzecią amerykańskiego PNB.

Misja ta wykracza poza ramy układów międzynarodowych: chodzi w istocie o samą zasadę legitymizacji władzy kompartii i jej nomenklatury. To jest istota mandatu Gorbaczowa. Jego zadanie równa się prawdopodobnie kwadraturze koła: jak rozwiązać sformułowaną wyżej sprzeczność bez naruszenia podstaw systemu, jego dogmatów, monopolu KP, wszechwładzy aparatu, jak przeprowadzić reformę bez reformy, rewolucję bez rewolucji, przezwyciężyć sklerozę, korupcję, immobilizm, jak – mówiąc w skrócie – naprawić system bez jego zmiany.

Kissinger, który był niedawno w Moskwie, ciągle się dziwi, że naród o takim jak sowiecki nędzarskim poziomie życia może prowadzić tak globalną i twardą politykę zagraniczną. Otóż w tym właśnie rzecz, że prawdopodobnie już nie może lub też nie będzie mógł jej prowadzić w niedalekiej przyszłości. Cały mandat Gorbaczowa sprowadza się do misji sprostania temu wyzwaniu.

2. Jak wynika z punktu 1, uważam, że jest za wcześnie na rzeczowy, nawet częściowy bilans działalności Gorbaczowa. W tym, co pokazał w dziedzinie polityki wewnętrznej, jest dużo pustej retoryki, powtarzanych sloganów, normalnej propagandy – w sowieckim sensie tego wyrażenia. Mówienie o „reformie”

jest nadużyciem semantycznym. Gorbaczow działa na bardzo szerokim froncie: od gospodarki do kultury, poprzez plagi społeczne (alkoholizm), ale żadna z jego decyzji czy próby zmiany nie poszła jeszcze tak daleko, aby pozostawić nieodwracalne zmiany. Polska w 1956 roku, nie mówiąc już o okresie „Solidarności”, poszła znacznie dalej niż ZSRR Gorbaczowa, a przecież był „odwrót” i od Października, i od „Solidarności”.

„Solidarność” pozostawiła ślady, ale to, co w Polsce było „nieodwracalne”, istniało i przed „reformami”: Kościół, rolnictwo indywidualne, niezależność myślenia elity, pamięć historyczna, emigracja polityczna (i kulturalnie aktywna) itd. W ZSRR czynniki takie nie istniały i nie ma przyczyn, dla których można sobie wyobrazić, że głasnost, pierestrojka czy „demokratyzacja” potrafiłyby (przy założeniu, że Kreml chciałby tego) takie elementy powołać na trwałe do życia. Te tylko w wyobraźni zachodnich publicystów nieśmiałe „otwarcia” w dziedzinie inicjatywy prywatnej można było porównać do NEP-u. Natomiast przykręcenie śruby jest zawsze możliwe, zwłaszcza w ZSRR, gdzie okresowo, co jakiś czas, krwawymi czystkami lub kampanią w prasie władza udowadnia, że to, co wczoraj było dobre, dziś jest złe, że wczorajszy nieomylny przywódca był w istocie rozleniwionym bałwanem. Co najważniejsze przy tym, „cały naród” natychmiast i entuzjastycznie popiera nową linię. Sacharow jest na razie w Moskwie, ale jeżeli jutro znowu będzie porwany, większość członków Akademii – nie mówiąc już o tzw. narodzie – poprze znowu zesłanie uczonego do Gorkiego. Zasada „odwracalności” jest naturalnie jeszcze bardziej przekonująca w odniesieniu do życia kulturalnego.

Argument na rzecz Gorbaczowa, że w Polsce, też przecież komunistycznej, dokonały się jednak nieodwracalne zmiany (drugi obieg wydawniczy i dyplomatyczny, to znaczy spotkania opozycji z politykami zagranicznymi), nie wytrzymuje krytyki. Nawet przy absurdalnym założeniu, że Gorbaczow chciałby go naśladować, model polski jest z bardzo wielu przyczyn nie do zastosowania w skali ZSSR (podobnie jak model gospodarczy węgierski).

Gorbaczow dokonał znacznie bardziej spektakularnych posunięć w dziedzinie polityki zagranicznej. Ale w tej branży szkoda czasu na analizowanie sytuacji. Po pierwsze, podstawowe cele polityki zagranicznej ZSSR nie uległy żadnej zmianie, zmieniły się jedynie metody. Po drugie, zmiany w technice polityki zagranicznej są rzeczą najzupełniej normalną, wszystkie państwa to praktykują, a ZSRR – państwo konserwatywne i pragmatyczne – o niekontrolowanej władzy, w większym stopniu niż wszystkie inne.

3. W momencie śmierci Czernienki w Biurze Politycznym istniał *consensus* co do tego, że ZSRR wszedł w fazę upadku i że proces ten trzeba za wszelką cenę powstrzymać. Brak było natomiast zgody co do tego, w jaki sposób to osiągnąć. Wybór Gorbaczowa wydaje się w tych warunkach logiczny. Był on wtedy najmłodszym członkiem Biura Politycznego, inaczej mówiąc, miał przed sobą dużo czasu, należał do trzeciego pokolenia przywódców sowieckich, był bez

kompleksów: nie brał udziału w żadnej z faz patologicznych rozwoju ZSRR (wojna domowa, czystki, „stalinizm”, początkowe porażki, w ogóle dramat drugiej wojny światowej), uformował się w fazie, kiedy ZSRR był już aroganckim i niebezpiecznym supermocarstwem, był w pełni świadom tego, że siła ZSRR polega nie na jego promieniowaniu ideologicznym, ani na przykładzie jego sukcesów gospodarczych czy socjalnych, a na potęgze wojskowej.

Ważny przy tym był również prawdopodobnie fakt, iż Gorbaczow był odpowiednio przygotowany, właściwie nawet „podszykowany” do objęcia czołowej roli: był po studiach (sowieckich, ale zawsze), po praktyce komsomolskiej, po kierowaniu ogromnym rejonem, po sprawowaniu funkcji sekretarza KC, potem członka politbiura, a w końcowej fazie Czernienki *de facto* zastępcy sekretarza generalnego KPZR. Gorbaczow ruszył ostro z miejsca: w ciągu kilku miesięcy odbył (w Mińsku) zasadnicze zebranie z czołową Armią Czerwoną, wygłosił kilka programowych przemówień, pozbył się głównych rywali (Romanow, Grieszin), przyciągnął kilku gestami inteligencję i artystów, wydał wojnę alkoholizmowi, zwołał zjazd partii, odbył dwa szczyty z Reaganem itd., itp.

Takie tempo, a także rodzaj zmian, no i sposób, w jaki Gorbaczow je przeprowadzał (np. czystka na górze wojska po kompromitacji z zachodnioniemiecką Cessną), musiały przysporzyć mu naturalnie sporo przeciwników w establishmentie. A jednak, mimo apokaliptycznych wersji rozsiewanych przez samą Moskwę, nie widać jak dotąd żadnej formuły opozycyjnej zdolnej do obalenia Gorbaczowa lub skłonnej choćby do spowodowania zmiany kierunku czy sposobów jego działania. W ZSRR opozycji w sensie politycznym nie ma i tak szybko nie będzie, do obalenia genseka potrzebny jest spisek na samej górze (tak jak przeciw Chruszczowowi w 1964 roku) połączonych sił całej nomenklatury: aparatu partyjnego, wojska i KGB. Nic nie wskazuje, aby w dzisiejszych okolicznościach taki spisek mógł się zawiązać.

Wszystko, co Gorbaczow na razie robi, sprowadza się do próby ulepszenia działania systemu bez naruszania jego dogmatów. Jest to wspólny interes całej klasy rządzącej. Dopóki Gorbaczow nie poniesie bardzo widocznego fiaska, dopóty nie ma powodu, dla którego nomenklatura miałaby chcieć się go pozbyć. Gorbaczow bardzo potrzebuje i poszukuje dużego sukcesu wewnątrz ZSRR lub w polityce zagranicznej. Ale i bez jakiegoś psychologicznego wstrząsu faza Gorbaczowa potrwa długo, jeżeli zastosować normalne w ZSRR kryteria trwania.

4 i 5. Wszystko, co dzieje się w ZSRR, jest ważne dla Polski i dla innych KDL-i także, naturalnie. Ale nie należy przesadzać, a zwłaszcza wpadać w euforię, tak jak to uczynili niektórzy z moich kolegów po piórze, zapowiadając np. spotkanie Gorbaczowa z Dubczakiem. Wbrew komentarzom opisującym krew w żyłach mrozące sceny z rozmów Gorbaczowa z Ceaușescu czy Honeckerem, uważam, że głasnost nie jest przeznaczona na eksport. Stanowi ona manewr wewnętrzny i chwyt propagandowy wykorzystywany na Zachodzie, ale Gorbaczowowi chyba nie zależy na implantacji tego sowieckiego pomysłu w Polsce czy

gdzie indziej na Wschodzie. Nie tylko dlatego, że np. polska głośność jest już o całe wieki dalej niż sowieckie „szaleństwa” (Pasternak był już kilkakrotnie wydawany w Polsce), ale przede wszystkim dlatego, że Gorbaczow świadom jest ogromnego niebezpieczeństwa, jakie niesie ewentualny transfer kryzysu z metropolii na terytorium kolonii. Gorbaczow pamięta lekcję z 1956 roku i konwulsje, jakie spowodował tajny raport Chruszczowa w Polsce i na Węgrzech. Gorbaczow wie, że każda głośność w krajach podległych wyzwala automatycznie hasła nacjonalistyczne, to znaczy antysowieckie i niepodległościowe. Otóż, na to właśnie Gorbaczow nie może i nie chce zapewne sobie pozwolić. W tej dziedzinie nie ma doktryny Gorbaczowa, jest ciągle wiążąca doktryna Breżniewa.

Przywódcy krajów Paktu Warszawskiego wiedzą, że imperium wschodnioeuropejskie przestało być sprawą międzynarodową lub elementem polityki zagranicznej ZSRR, a weszło w sferę polityki wewnętrznej Sowietów. Posiadanie i kontrola imperium nie jest już sprawą „absolutnego bezpieczeństwa” ZSRR, a częścią legitymizacji władzy partii komunistycznej. Kwestia prawdziwej autonomii krajów podległych będzie ostatnią, jaka wejdzie na wokandę głośności. Można sobie wyobrazić, że Gorbaczow rzeczywiście szuka wyjścia z Afganistanu, gdzie wojna jest niepopularna (coraz więcej trumien wraca z Kabulu) i bardzo szkodliwa politycznie w Trzecim Świecie i w ogóle. Natomiast nie ulega kwestii, że każda interwencja w jakimś KDL-u „zagrożonym” przez bakcyła demokracji czy niepodległości będzie poparta przez „naród sowiecki”, tak jak były popularne interwencje na Węgrzech czy w Czechosłowacji lub jak byłaby popularna inwazja Polski w 1981 roku (*vide* Kukliński). Pod tym względem można i należy dziś mówić nie tylko o coraz bardziej widocznym za Gorbaczowa nacjonalizmie rosyjskim, ale także o nacjonalizmie sowieckim. Z tego punktu widzenia imperium wschodnioeuropejskie wydaje się „nienaruszalne”.

Imperium sowieckie, jak wszystkie imperia, kiedyś się rozluźni i rozpadnie. Są w tej sprawie rozmaite koncepcje: bałkanizacyjna, ottomanizacyjna, katastroficzna (poprzez trzecią wojnę światową), etniczna (w wyniku rewolucji narodów ZSRR). Nie należy wykluczać możliwości powstania w ZSRR ustroju demokratycznego czy nietotalitarnego. Ostatecznie – jak mówi Besançon – Niemcy podnieśli się po Hitlerze i Rosjanie też nie są skazani na komunistyczne dożywocie. No, ale dopóki nie ma pewności, jak i kiedy demokracja zawita w stepy i tundry, dopóty nie należy z tą hipotezą wiązać natychmiastowych nadziei. Tak rozumują np. przywódcy Węgier, gdzie niedawno byłem, którzy dziś są bardziej dyskretni niż kiedykolwiek, wolą nie ujawniać powabów ich własnej głośności, aby jej za bardzo nie wiązać z tym, co się dzieje w ZSRR.

To wszystko nie znaczy naturalnie, że nie należy Kremla „łapać za słowo”, że nie należy wyciągać z konwulsji i złudzeń moskiewskich największych możliwie korzyści. Fakt, iż Gorbaczow postanowił ze względu na dyplomatyczne korzyści nie przeszkadzać zachodnim politykom spotykania się z Sacharowem i jądania *pajecznych sederow z otkaznikami*, może „legalizować” w Warszawie obiady

i kolacje (mam nadzieję, że smaczne), spożywane przez ministrów spraw zagranicznych z Wałęsą, Michnikiem czy Geremkiem. To samo dotyczy „drugiego obiegu” nie tylko w dyplomacji, ale także w kulturze. Pasternaka w Polsce wydano już dawno, ale oczywiście, jeżeli *Żiwago* wyjdzie w ZSRR, to NOW-a czy CDN powinny w jeszcze większym stopniu uragać cenzurze. Zadzwoń do Dżilasa, kiedy dowiedziałem się, że po 20 latach dostał paszport. Zapytałem go, jak on to tłumaczy. Odpowiedział mi, że to bardzo proste: przywódcy jugosłowiańscy ośmiesziliby się ostatecznie, jeżeli by odmawiali paszportu Dżilasowi, kiedy Rosjanie wypuścili Sacharowa. Jeżeli jest prawdą, że zimna wojna domowa w ZSRR powoduje przykręcenie śruby w KDL-ach, to oznacza to, *à rebours*, że odwilż w Moskwie powinna uzasadniać odwilże u klientów. Za bardzo bym na to równanie nie liczył, ale naturalnie, próbować można.

Pozostaje chcieć.

6. Wszystko zależy od tego, co uważa się za „interes Polski”. Jeżeli interes ten polega na odzyskaniu niepodległości i suwerenności, to porozumienie się super- i średniowiekłych kosztem tak pojętego interesu uważam za nieuniknione i logiczne. Każde porozumienie, model *détente* z lat siedemdziesiątych czy jakaś inna formuła, zakłada poszanowanie *status quo*, spokój na peryferiach, respekt dla sfer wpływów itp. Fakt, iż tylko jedna strona (to znaczy zachodnia) respektuje tak pojęte „porozumienie”, nie zmienia, a tylko pogarsza sytuację. Westchnienie papieża w samolocie przed lądowaniem w Chile: „W Chile jest przynajmniej nadzieja na zmianę, a Polsce zaś...” nie stanowi jedynie „pobożnego życzenia”: w ciągu ostatnich piętnastu lat kilkanaście dyktatur prawicowych i wojskowych wylądowało miękko w demokracji; ani jedna dyktatura lewicowa, nawet niepodległa (Chiny czy Albania), nie poszła tą drogą. Każde z zachodnich państw ma swój interes w tym, aby „kwestia polska” nie była przeszkodą w porozumieniu: USA, bo jakiś układ o rozbrojeniu jest ważniejszy; EWG, bo kryzys gospodarczy zakłada handel ze Wschodem; RFN, bo stosunki niemieckie (a te zależą od Moskwy) są ważniejsze od stosunków z Polakami, nie mówiąc już o niepodległości Polski. Trudno domagać się od Reagana czy Kohla, aby byli bardziej katolicki od papieża. Jeszcze nie wysechł atrament na komunikacie z podróży Gorbaczowa do Rumunii i NRD, a już prasa amerykańska, nie tylko ta głupawo-liberalna, zaczęła się martwić o to, że aspiracje i nadzieje w krajach zależnych, wywołane przerzutami głośności, mogłyby zagrozić wielkiemu dziełu Gorbaczowa pokojowej przebudowy ZSRR.

Nie jest to sprawa sentymentów, a interesów. Nie jestem zwolennikiem tezy o tym, że im gorzej, tym lepiej (która zresztą nie zawsze się sprawdza), ale nie należy przemilczać faktu, iż w tych warunkach pozostają jedynie dwie możliwości przywrócenia sprawie polskiej poważnego miejsca na porządku dziennym XX wieku.

Pierwsza to presja wydarzeń w samej Polsce. Tylko sami Polacy mogą zmusić Zachód (i Wschód także zresztą) do interesowania się ich sprawami i szanowa-

nia „interesów Polski”. „Solidarność” dała przykład (poza wielu innymi), w jaki sposób Polacy mogą wpływać na fluktuacje w stanowisku Zachodu w zależności od presji wydarzeń w Polsce. Rumuni dają przykład, jak można szantażować i zmuszać USA do określonych ustępstw w zależności od oryginalnych posunięć w polityce zagranicznej.

Druga metoda to polityka polegająca na przekonaniu ZSRR i jego przywódców, że ich interes globalny (wejście w XXI wiek) i osobisty (bezkonwulsyjne utrzymanie się u władzy) polegać może na umiejętnej dekolonizacji. Nie mam w tej dziedzinie gotowego scenariusza. Zabieg wstępny jednak powinien polegać na uznaniu realności takiego podejścia i wpisaniu go w program bieżącej polityki. Afganistan już jest na takiej liście. Polska czy Węgry lub nawet kraje bałtyckie na niej nie figurują, bo nikt nie ma odwagi nazwać rzeczy po imieniu, to znaczy wpisać Polskę itd. na listę „konfliktów regionalnych” figurujących w spisie tematów na każdy szczyt amerykańsko-sowiecki i będących przedmiotem stałych konsultacji superwielkich.

A teraz pytanie 7 – moje własne: Co z tego wszystkiego wynika?

Niewiele. Tylko kilka uwag końcowych.

a) Niebezpieczni są nie ludzie, a system. Każdy nowy sekretarz generalny zostawia ślady. Ale charakter represyjny i imperialny ZSRR nie zależy od człowieka, leży natomiast w istocie systemu.

b) Z głośnością czy bez niej ZSRR pozostanie przeciwnikiem Zachodu w skali historycznej i globalnej, kierującym się kryteriami sprzecznymi z naszymi i broniącym interesów sprecznych z naszymi. Fakt, iż na czele ZSRR stanął człowiek inteligentny, sprytny i przewrotny, nadaje tym sprzecznościom bardziej niebezpieczny charakter.

c) Zachód powinien formułować swoją politykę zagraniczną w zależności nie od polityki wewnętrznej ZSRR, nie od głośności czy pierestrojki, czy też jeszcze innych rzeczy, które Gorbaczow wymyśli, a w zależności i uwzględniając przede wszystkim wymogi jego własnego bezpieczeństwa. System bezpieczeństwa Zachodu (czy też, niestety, Zachodów) powinien uwzględniać w poważnym stopniu sytuację, przyszłość i „interes” Polski, a także innych państw i narodów znajdujących się, wbrew ich woli, w orbicie kontroli ZSRR. Tak jednak jeszcze nie jest.

Szkoda, że to nie Polak wylądował w małym samolocie na placu Czerwonym w Moskwie.

Krzysztof Pomian

Omówienie ankiety

Co do dwóch rzeczy wszyscy zdają się zgodni: w Związku Sowieckim dokonują się jakieś zmiany; jest jeszcze za wcześnie, by określić ich kierunek, zmierzyć ich głębię, ocenić ich trwałość, gdyż nic nieodwracalnego na razie nie nastąpiło. Za wcześnie, innymi słowy, by podsumowywać dyskusję. Nie ulega natomiast kwestii, że sprawy sowieckie trzeba obecnie obserwować z uwagą i wnikliwością znacznie większymi niż w czasach Breżniewa i jego bezpośrednich następców. I że trzeba je obserwować, unikając apriorycznych nastawień, które bądź skłaniają do wykluczania z góry samej możliwości ewolucji systemu sowieckiego, bądź też, równie bezzasadnie, zakładają, że ewolucja ta musi nieuchronnie prowadzić w kierunku demokracji. Póki Związek Sowiecki trwał w bezruchu, można było od biedy budować dotyczące go prognozy na przypuszczeniu, że jutro będzie takie samo, jak wczoraj. Dziś, właśnie dlatego, że coś się dzieje, trzeba zajmować postawę, która – choć pamiętna przeszłości – wyraza z przekonania, że historia robi niespodzianki i która okazuje przeto gotowość przyjęcia do wiadomości czegoś, czego nikt nie mógł przewidzieć, jeśli coś takiego się rzeczywiście wydarzyło – w dodatku na tyle szybko, by można to było wykorzystać w działaniu politycznym.

Jest również trzecie stwierdzenie, które chyba nie budzi sporu, to mianowicie, że zmiany, jakie już dokonały się w Związku Sowieckim dotyczą w pierwszym rzędzie używanego języka i wyrażają się w pewnej odnowie słownictwa oraz w podejmowaniu tematów obłożonych do niedawna surowymi tabu. „Tygodnik Mazowsze” (nr 201 z 4 marca br.), który notuje przy tej okazji, że „Prawdę» – dawniej uważaną za najlepszy papier do pakowania śledzi – coraz trudniej w Warszawie dostać”, wymienia wśród takich tematów przywileje aparatu, łamanie prawa przez organy ścigania, patologię społeczną, fatalne funkcjonowanie gospodarki, wyklęte nazwiska w kulturze. Zapewne, polska prasa urzędowa nie ma się chwilowo czego uczyć od prasy sowieckiej. Ale niedoceniać zmian, jakie dokonują się w tej dziedzinie, a zwłaszcza negowanie ich, byłoby ciężkim błędem. Po pierwsze dlatego, że opinia, nie tylko zachodnia, lecz również polska – sądząc po zainteresowaniu „Prawdą” w Warszawie i po niektórych głosach prasy niezależnej – jest wrażliwa na odnowę języka propagandy sowieckiej i skłonna niekiedy przypisywać tej odnowie znaczenie, jakiego ona na pewno nie posiada. Przekonywającą odpowiedzią na takie złudzenia może być tylko sprowadzenie zjawiska do właściwych proporcji, np. przez pokazanie różnic między prasą centralną a prowincjonalną w ZSRR, nie zaś utrzymywanie, wbrew oczywistości, że właściwie wszystko dzieje się po staremu. Jest również drugi argument. Okazało się bowiem – wbrew niektórym prognozom – że zmiana języka propagandy, dostosowanie go pod pewnymi przynajmniej względami do przyzwyczajęń zachodnich, jest rzeczą łatwiejszą, niż kiedyś przypusz-

czano, a zarazem bardzo skuteczną, gdyż powodującą zamęt i na Zachodzie, i w europejskich krajach bloku sowieckiego. Przykład PRL jest pod tym względem pouczający. W ideologicznym konflikcie między demokracją a sowyetyzmem nie wolno spóźnić się o jedną wojnę, bo konsekwencje tego mogą być groźne.

Z polskiego punktu widzenia naczelne pytanie dotyczy oczywiście tego, jaki wpływ zmiany dokonujące się w ZSRR mogą wywrzeć na stan spraw polskich, w szczególności zaś – czy mogą otworzyć możliwość poszerzenia, czy też muszą popychać do ograniczenia autonomii wewnętrznej wymuszonej w ciągu ostatnich trzydziestu lat na władzach PRL przez chłopów, przez Kościół, przez niezależne ruchy społeczne, przez NSZZ „Solidarność”. Również na to pytanie brak chwilowo jednobrzmiącej odpowiedzi. Wolno wszelako zauważyć w oparciu o bogate dane historyczne, że nawet gdyby w Związku Sowieckim dokonywała się istotnie demokratyzacja, to nie wynikałoby z tego automatycznie, że osłabieniu ulegnie sowieckie panowanie nad Polską. Ostatecznie Związek Sowiecki jest wielkim mocarstwem i nie przestałby nim być, choćby nawet zapanowała w nim demokracja, na co się zresztą w przewidywalnej przyszłości nie zanoszą. Toteż okazując skądinąd całą sympatię do każdego kroku, który przyczynia się, choćby minimalnie, do przestrzegania w Związku Sowieckim praw człowieka, nie powinniśmy żywić żadnych złudzeń co do ewentualnego wpływu takich kroków na stosunki polsko-sowieckie. W tej dziedzinie inicjatywa może należeć tylko do społeczeństwa polskiego, które – wywierając nacisk na władze PRL – może zmusić je do nowych ustępstw i pośrednio skłonić Kreml, by się z tymi ustępstwami pogodził, jak pogodził się z klęską kolektywizacji w Polsce, z rolą Kościoła czy z istnieniem opozycji.

O jednej sprawie mówi się zbyt mało zarówno w krajowej prasie niezależnej, jak w publikowanych wyżej wypowiedziach: o stosunkach narodowościowych w ZSRR i ich możliwych zmianach – niekoniecznie na lepsze. Jeśli istotnie, jak zauważyła niedawno H      Carr  re d'Encausse, mamy obecnie do czynienia w ZSRR z równoczesnym wzrostem nacjonalizmu wielkorosyjskiego, kt  rego uosobieniem jest Gorbaczow, i przeciwnych mu nacjonalizm  w „peryferyjnych” nie tylko w republikach   rodkowoazjatyckich, ale r  wnie   na Ukrainie i gdzie indziej – to nale  y oczekiwa  ,   e w niedalekiej przysz  ci co   mo  e si   wydarzy   w  a  nie w dziedzinie stosunk  w narodowo  ciowych. Ot    z polskiego punktu widzenia jest to dziedzina kt   wie czy nie najwa  niejsza. Wydaje si   bowiem,   e nasza ocena tego, co dzieje si   w ZSRR, winna by   w zasadniczej mierze pochodn   odpowiedzi na pytanie o to, czy autonomia poszczeg  lnych narod  w, poszczeg  lnych republik, okazuje tendencj   rosn  c   czy malej  c  . W pierwszym przypadku zmiany te s   dla Polski pozytywne; w drugim – nie. Modernizacja   ycia sowieckiego, dokonuj  c   si   za cen   zwi  kszonego podporz  dkowania „peryferii” decyzjom „centrum” i zwi  kszonego obci   enia ich na jego korzy   , by  aby z polskiego punktu widzenia czym   jednoznacznie nega-

tywnym, nawet gdyby towarzyszy  y jej objawy pewnej liberalizacji na u  ytek samego „centrum”. Zar  wno podczas polskich dyskusji, jak wtedy, gdy bronimy naszych racji wobec opinii zachodniej, winni  my stale pami  ta  ,   e Z  w  zek Sowiecki jest ostatnim pa  stwem kolonialnym, a imperium sowieckie – ostatnim kolonialnym imperium w Europie. Modernizacja, liberalizacja czy demokratyzacja – nawet przyjmuj  c,   e mo  na o nich m  wi   bez cudzys  w  w – mog  by by   bez zastrze  en uznane za pozytywne tylko wtedy i o tyle, kiedy i o ile przyczyniaj   si   do zast  pienia stosunk  w kolonialnych w obr  bie Z  w  zku Sowieckiego i sowieckiego imperium przez r  wnoprawne stosunki mi  dzy narodami.

Pax sovietica, pax americana

Rozmowa z Eugenem V. Rostowem

Eugene V. Rostow jest znanym amerykańskim prawnikiem i dyplomata, specjalistą od spraw rozbrojenia. Rostow przez ponad czterdzieści lat był profesorem prawa na Uniwersytecie Yale w New Haven. W ciągu swej bogatej kariery politycznej pracował dla czterech prezydentów amerykańskich: Roosevelta, Trumana, Johnsona i Reagana. Rostow był też bliskim współpracownikiem zmarłego w 1983 roku senatora Henry'ego „Scoop” Jacksona, duchowego przywódcy frakcji konserwatywnej w Partii Demokratycznej.

W latach 1981–1983 Eugene Rostow był dyrektorem Agencji do spraw Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia. Rostow był współtwórcą strategii amerykańskiej w rozmowach rozbrojeniowych z Sowietami w czasie pierwszej kadencji rządów Reagana. Polityka ta doprowadziła do tego, że Związek Sowiecki po zerwaniu rozmów w Genewie powrócił do stołu negocjacyjnego i zgodził się na znaczną redukcję sowieckiego arsenału nuklearnego.

Eugene Rostow, który wykłada obecnie prawo i dyplomację na Uniwersytecie Obrony Narodowej w Waszyngtonie, udzielił poniższego wywiadu specjalnie dla Redakcji „Kultury”.

Robert Kostrzewa: Jaki jest główny cel Sowietów w negocjacjach rozbrojeniowych? Jak Pan sądzi, dlaczego Związkowi Sowieckiemu tak bardzo zależało na podpisaniu umowy o kontroli zbrojeń akurat teraz?

Eugene Rostow: Głównym celem Sowietów przy prowadzeniu rozmów na temat kontroli zbrojeń było, jak dotąd, doprowadzenie do sytuacji, w której jakkolwiek opór ze strony państw zachodnich wobec sowieckiej ekspansji stałby się niemożliwy. Innymi słowy Sowietom chodzi o to, aby doprowadzić do paraliżującej Zachód przewagi w sowieckim arsenale nuklearnym; przewagi, dzięki której Związek Sowiecki będzie mógł osiągnąć swoje strategiczne cele bez uciekania się do wojny. Użyłem określenia „jak dotąd”, gdyż nie można wykluczyć, że pewnego dnia polityka sowiecka ulegnie zmianie.

Drugim celem sowieckim przy prowadzeniu rozmów rozbrojeniowych jest zawsze dalsza neutralizacja Europy Zachodniej. Podstawą sowieckiej strategii jest wypchnięcie Stanów Zjednoczonych z Europy i zredukowanie jej do statusu Finlandii. Chodzi tu oczywiście o zachwianie równowagi sił na świecie i zastraszenie Chin, Japonii i wielu innych mniejszych państw. Kontrola zbrojeń jest zatem bardzo potężną i jak dotąd skuteczną bronią w rękach Sowietów.

R. K.: Dlaczego Sowietom zależało na podpisaniu umowy rozbrojeniowej właśnie teraz?

E. R.: Sowieci uważają po prostu, że są bardzo sprzyjające okoliczności po temu. W ciągu lat siedemdziesiątych udało im się osiągnąć ogromną przewagę w broni nuklearnej. Stan taki utrzymał się właściwie bez większych zmian do dnia dzisiejszego. Związek Sowiecki zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że komunizm jako system społeczno-ekonomiczny jest pełnym fiaskiem i dlatego chce osiągnąć swoje najważniejsze cele strategiczne jak najszybciej, kiedy ma ciągle zdecydowaną przewagę wojskową.

R. K.: Od wielu lat doktryna NATO oparta jest na groźbie użycia przez Zachód broni nuklearnej. Jest to życiowa konieczność wynikająca z tego, że państwa zachodnie mają bardzo ograniczone możliwości prowadzenia wojny konwencjonalnej. Wielu strategów NATO zadaje sobie pytanie, czy rządy państw członkowskich sojuszu północnoatlantyckiego będą w stanie przekonać opinię publiczną krajów zachodnioeuropejskich, że konsekwencją obecnego amerykańsko-sowieckiego porozumienia o wyeliminowaniu rakiet średniego i bliskiego zasięgu jest konieczność stworzenia przez Europejczyków własnego arsenału nuklearnego.

Jaki wpływ na gotowość Ameryki do obrony Europy będzie miał, Pana zdaniem, ostatni pakt między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim? W jakim stopniu przyczyni się on do osłabienia sojuszu państw Zachodu?

E. R.: Nie jestem aż takim pesymistą jak Pan. Uważam jednak, że Pana niepokój jest jak najbardziej usprawiedliwiony. Z jednym tylko zastrzeżeniem. Moim zdaniem, nie można przewidzieć na podstawie umowy dotyczącej broni nuklearnej średniego zasięgu (INF), jak będzie wyglądał końcowy bilans sił. Dlatego pakt ten nie powinien być, według mnie, ratyfikowany sam w sobie. Ratyfikację odłożyć należy do czasu, kiedy będzie wiadomo, jak wyglądają pozostałe części składowe równania wszystkich rodzajów broni atomowej. Broń średniego zasięgu nie jest jakimś odrębnym rodzajem broni, bo każdy jej cel może być zniszczony również przez raketę międzykontynentalną. Aby zdać sobie w pełni sprawę z powagi sowieckiego zagrożenia, należy więc patrzeć na całokształt sił nuklearnych, czyli zarówno na broń atakującą, jak i na systemy obronne. Uważam, że Związek Sowiecki znacznie wyprzedził Zachód w budowie systemów obrony strategicznej. Sowieci zainstalowali już bardzo nowoczesny, skomplikowany system obronny wokół Moskwy. Instalacje takie powstają również w innych częściach Związku Sowieckiego. O wielu z nich wiemy, o wielu nie mamy prawie żadnych danych. Powszechnie jednak wiadomo, że Związek Sowiecki zdecydowanie prześcignął Stany Zjednoczone w pracach nad bronią kosmiczną, taką jak chociażby rakiety antysatelitarne. Myślę, że głównym celem Gorbaczowa – poza wywołaniem psychologicznego szoku w Europie Zachodniej – jest oddanie paru pionków w tej strategicznej grze, o której wspomniałem na początku. Związek

Sowiecki gotów jest pozbyć się nadmiaru pocisków, aby nakłonić Stany Zjednoczone do zredukowania amerykańskich sił nuklearnych, zaprzestania badań w kosmosie i powstrzymania programu obrony strategicznej (SDI). Związek Sowiecki zostałby wtedy z wystarczająco potężnym arsenałem broni atakującej i monopolem w systemach obronnych. Nie muszę chyba nikomu tłumaczyć, że sytuacja taka miałaby dla Zachodu skutki zupełnie katastrofalne. Ocena paktu o wyeliminowaniu broni nuklearnej średniego zasięgu będzie w dużej mierze od tego, co stanie się w następnej rundzie rokowań, czyli w rozmowach o ograniczeniu broni strategicznej dalekiego zasięgu (START). W negocjacjach tych podjęte zostaną również decyzje co do umowy o pociskach antybalistycznych (ABM) oraz przyszłości systemów obronnych. Nie można oczywiście wykluczyć, że Gorbaczowowi objawił się archanioł Gabriel na wieży katedry Świętego Bazylego. Jest to jednak mało prawdopodobne. Dlatego powinniśmy być niezwykle ostrożni w kolejnej fazie rozmów, w których rozstrzygnię się przyszłość równowagi sił na świecie.

Jeżeli chodzi o gotowość Ameryki do obrony Europy i Japonii, to należy stwierdzić, że coraz więcej Amerykanów – niezależnie od ich politycznych afiliacji – nawołuje do rozwiązania NATO, wycofania się Stanów Zjednoczonych z sojuszów z Japonią, Koreą Południową i innymi krajami w basenie Oceanu Spokojnego i zniesienia umów z Chinami, aby prowadzić to, co byłoby, ich zdaniem, niezależną polityką zagraniczną. Wielu z nich to zwyczajni izolacjoniści, pozostali wierzą, że Amerykanie mogą sami sobie zapewnić bezpieczeństwo. Jest to według mnie niebezpieczne złudzenie, wynikające w dużej mierze ze strachu przed wojną atomową. Na szczęście jest ciągle w tym kraju wielu ludzi, którzy z całych sił walczą z tego rodzaju złudzeniami.

Podstawowym warunkiem bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych jest zachowanie na świecie równowagi sił. Walczyliśmy w dwóch wojnach światowych, aby nie dopuścić do podboju Rosji przez Niemcy właśnie dlatego, że byłoby to zbyt niebezpieczne zachwianie równowagi sił. NATO powstało oczywiście dokładnie z tych samych powodów – aby nie dopuścić do podboju Europy Zachodniej przez Związek Sowiecki, co dałoby Sowietom kontrolę nad całą Eurazją. Nikt nie byłby wtedy w stanie powstrzymać sowieckiej potęgi. Jest to zresztą odwieczny powód prowadzenia wojen. To się nigdy nie zmieni. W dzisiejszej sytuacji równowaga sił może być zachowana tylko dzięki soюзom Stanów Zjednoczonych z państwami Europy Zachodniej i Dalekiego Wschodu. Powód tego jest prosty: tylko Ameryka, dzięki broni nuklearnej, jest w stanie zagwarantować tym krajom bezpieczeństwo. Jest to jednak zależność dwustronna, gdyż sama Ameryka jest za mała, aby w razie potrzeby prowadzić wojnę konwencjonalną. System amerykańskich sojuszów ma zatem spójną wewnętrzną logikę, która nie może ulec żadnym zmianom.

R. K.: Wielu ludzi uważa, że negocjacje rozbrojeniowe mogą być użyte jako waluta przetargowa, aby nakłonić Sowiety do wycofania się z Europy Wschodniej.

Rozumowanie takie oparte jest na założeniu, że kraje Europy Wschodniej są dla Związku Sowieckiego nie tylko ciężarem finansowym, ale także niepewnym sojusznikiem wojskowym w razie konfliktu zbrojnego z Zachodem, oraz na nadziei, że jeżeli Stany Zjednoczone wycofałyby się z Europy Zachodniej i jeśli nastąpiłby w Europie proces dalszej finlandyzacji, Sowieci skłonni byłiby do przyznania „wewnętrznej suwerenności” sowieckim państwom satelickim w Europie. Oczekiwania takie bardzo trudno pogodzić z wypowiedziami Gorbaczowa, w których powtarza on właściwie dosłownie doktrynę Breżniewa, zgodnie z którą żaden rząd komunistyczny nigdy nie może być obalony. Jaki wpływ na przyszłość Europy Wschodniej będzie miała ostatnia zmiana kierunku w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim?

E. R.: Tak jak już powiedziałem, celem Związku Sowieckiego jest przynajmniej neutralizacja całej Europy. Mówię przynajmniej, gdyż nie można wykluczyć próby jeszcze większej kontroli i dominacji. James Schlesinger, w okresie kiedy był ministrem obrony, twierdził, że celem Sowietów jest albo finlandyzacja, albo polonizacja całej Europy. Myślę, że Związek Sowiecki gotów jest zapłacić stosunkowo wysoką cenę, aby doprowadzić do takiej sytuacji. Prób ze strony sowieckiej było oczywiście bardzo wiele, że wspomnę tylko o planie Rapackiego i różnych jego odmianach. Jeden z sowieckich dyplomatów powiedział mi kiedyś, że nie może zrozumieć, dlaczego prasa na Zachodzie krytykuje Związek Sowiecki za próby oderwania Europy Zachodniej od Ameryki. Czy ludzie na Zachodzie – zapytał – myślą, że Sowieci popierają NATO? Myślę, że jest to dobre podsumowanie realiów geopolitycznych w Europie. Przyszłość NATO będzie zatem w centrum uwagi w ciągu najbliższych kilku lat.

Nie wykluczałbym też takiej możliwości, że w pewnym momencie państwa Europy Wschodniej będą mogły osiągnąć jakąś formę niezależności, oczywiście na warunkach mniej sprzyjających niż finlandyzacja. Bardzo wysokiej rangi doradca sowiecki zapytał mnie ostatnio, co strona sowiecka mogłaby zrobić, aby przekonać Amerykanów o swoich dobrych intencjach. Przyjmujemy waszą własną propozycję o wyeliminowaniu broni średniego zasięgu, powiedział, a wy ciągle kręcicie nosem. Odpowiedziałem mu na to, że umowa INF jest jedynie częścią dużo poważniejszego problemu. „Ach, uważa Pan pewnie, że powinniśmy zrobić coś w sprawie Afganistanu”. Ja na to: „Nie, z Afganistanu musicie się po prostu wycofać. To chyba oczywiste, że musicie się stamtąd wynosić jak najszybciej. Myślę o czymś zupełnie innym. Gorbaczow mógłby rzeczywiście zwrócić naszą uwagę takim oto oświadczeniem: W Jałcie, a potem w Poczdamie Stalin przyrzekł, że w krajach Europy Wschodniej odbędą się wolne, demokratyczne wybory. Stalin nie dotrzymał swojej obietnicy, nie dotrzymali jej również jego następcy, ale oto ja, Gorbaczow, wprowadzę umowę jałtańską w życie”. Oczekiwałem wybuchu wściekłości ze strony mojego rozmówcy. Zamiast tego, przeciwnie, wszyscy członkowie sowieckiej delegacji stali się bardzo poważni, zarówno w czasie rozmów oficjalnych, jak i potem w trakcie bankietu. Szef delegacji sowieckiej

wziął mnie nawet na stronę i nalegał, aby mówić na ten temat przez ponad godzinę i wyjaśnić, jak można byłoby taki plan przeprowadzić. Odpowiedziałem mu, że Związek Sowiecki na pewno sam sobie poradzi z tak błahym problemem, jak sposób wprowadzenia takiego planu w życie. Zasugerowałem też, że można by podpisać specjalną umowę na ten temat. Zachód, na przykład, na pewno nie chciałby, aby nagle Bułgaria została członkiem NATO. Ton całej rozmowy był jednak poważny i bardzo cywilizowany.

Uważam, że nie można wykluczyć takiej ewentualności. Myślę, że nadszedł czas, aby zarówno wschodni Europejczycy, jak i Zachód uświadomili sobie, że przyszłość Europy Wschodniej jest kluczem do rozwiązania podstawowych problemów strategicznych między Ameryką i Sowietami. Wyzwolona Europa Wschodnia zmieniałaby całkowicie sytuację na świecie. Rozwiązanie wschodnioeuropejskiej lamigłówki jest na dłuższą metę również w interesie Związku Sowieckiego. Sowiecka dzierżawa Europy Wschodniej nie przyczynia się do większego bezpieczeństwa Związku Sowieckiego, chociaż posiadanie wschodniej Europy jest oczywiście ogromnym atutem, jeżeli Sowieci zamierzaliby zaatakować Zachód. Sprawowanie władzy w Europie Wschodniej jest jednak przede wszystkim bardzo kosztowne. Związek Sowiecki zaczyna rozumieć, że utrzymanie imperium nie jest takie proste. Pewien włoski minister powiedział kiedyś, że dzięki temu, że Włochy przegrały wojnę, Włosi na szczęście stracili kolonie. Utrzymywanie kolonii było i jest bardzo kosztowne. Wszystko zależy od tego, czy Sowieci rozumieją w miarę szybko, jaką iluzją jest ich polityka niekończącej się ekspansji. Myślę zatem, że nadszedł czas, aby zająć się zagadnieniem najpoważniejszym, jakim jest Europa Wschodnia, zamiast koncentrowania się na sprawach drugorzędnych, jak Afganistan czy Nikaragua.

R. K.: Trzeba byłoby jednak założyć, że Sowieci nie tylko zrezygnują z prowadzenia polityki zagranicznej opartej na podbojach, ale że będą skłonni oddać to, co już od dawna uważali za swoje. Problem polega oczywiście na tym, że ciągła ekspansja jest nieodłączną częścią sowieckiego systemu.

E. R.: Oczywiście, że takie założenie jest konieczne. Bez tego nie można w ogóle mówić o jakiegokolwiek *détente* czy pokoju. Jeżeli stanie się inaczej, Zachód musi przygotować się do bardziej aktywnej obrony, wykraczającej poza politykę powstrzymywania. Taka była zresztą nasza strategia w ciągu ostatnich kilku lat, czego najlepszym dowodem jest doktryna Reagana. W amerykańskich kręgach wojskowych strategia ta nazywana jest strategią półwyspu. Podobną politykę prowadziła Anglia przeciwko Napoleonowi, wykorzystując przewagę floty angielskiej, aby odzyskać ważne strategiczne przyczółki. Jest to najlepsza ilustracja tego, o co chodzi dzisiaj w Afganistanie. Najistotniejsze jest właśnie to, aby zmusić Związek Sowiecki do zaprzestania polityki podbojów. Kontrola zbrojeń jest zagadnieniem drugorzędnym. Umowy rozbrojeniowe same w sobie nic nie dają. Mogą natomiast wyrządzić wiele szkody. Musimy się na taką ewentual-

ność przygotować, szczególnie jeśli ostatniej umowie o wyeliminowaniu broni średniego zasięgu nie będą towarzyszyć porozumienia dotyczące pozostałych składników równania nuklearnego, czyli rakiet międzykontynentalnych oraz systemów obronnych. W 1982 roku przy okazji słynnego „spaceru w lesie” zaproponowaliśmy Sowietom, moim zdaniem, dużo lepsze rozwiązanie niż to, które nazywa się opcją zero. Ówczesna propozycja przewidywała utrzymanie niewielkiej liczby amerykańskich i sowieckich rakiet średniego zasięgu zarówno w Europie, jak i na Dalekim Wschodzie. Była to dużo bezpieczniejsza formuła porozumienia i kto wie, czy jeszcze się do niej nie powróci.

R. K.: Wielu ludzi na Wschodzie i na Zachodzie uważa, podobnie jak Pan, że podział Europy, wynikający z porozumienia amerykańsko-sowieckiego zawartego w 1945 roku w Jałcie, musi ulec zmianie. Dysydenci w Europie Środkowo-Wschodniej podkreślają, że dopóty nie może być mowy o pokoju w Europie, dopóki rządy państw bloku sowieckiego nie zawrą pokoju ze swoimi obywatelami. Poszanowanie praw człowieka jest zatem koniecznym warunkiem bezpieczeństwa na kontynencie europejskim. Jak jednak zagwarantować poszanowanie praw człowieka? Umowa helsińska z 1975 roku, która bez wątpienia stała się pomocnym narzędziem nacisku na rządy państw wschodnioeuropejskich, potwierdziła jednocześnie sowiecką dominację. Zdobyte w dziedzinie praw człowieka okazały się bardzo nietrwałe. Piękne hasła nie mają zbyt dużych szans w konfrontacji z nagą siłą. Jak ważne dla amerykańskiej racji stanu są kraje Europy Wschodniej? Jaka powinna być, Pańskim zdaniem, amerykańska strategia w Europie Wschodniej?

E. R.: Europa Wschodnia jest niezwykle ważnym elementem nie tylko w strategii Stanów Zjednoczonych, ale w strategii wszystkich państw, których bezpieczeństwo oparte jest na zachowaniu równowagi sił na świecie. Europa Wschodnia oddziela ogromną potęgę Związku Sowieckiego, czy przedtem Rosji, od Niemiec i Europy Zachodniej. Jest to jakby gwarancja uniemożliwiająca jakimkolwiek mocarstwu podbój całej Eurazji. Rozumiał to dobrze Tomasz Jefferson, kiedy Napoleon podbijał Rosję. Jefferson napisał wtedy słynny list, w którym ostrzegał, że jeżeli Napoleonowi uda się podbój Rosji i cała Europa będzie leżała u jego stóp, Anglia będzie tylko deserem po obiedzie. Nic się od tego czasu nie zmieniło i dlatego Europa Wschodnia spełnia tak ważną strategiczną rolę. Nikt nie zaprzecza, że porozumienie jałtańskie doprowadziło do podboju krajów Europy Wschodniej przez Związek Sowiecki. Nie zapominajmy jednak, że Jałta przyrzekała tym krajom wolność. Uważam, że jest to ciągle niezwykle ważny polityczny argument. Prezydent Kennedy powiedział kiedyś, że nie może być mowy o pokoju między Ameryką i Sowietami, dopóki nie dojdzie w Europie Wschodniej do przyrzeczonych w Jałcie wolnych wyborów. Myślę, że zdecydowana większość Amerykanów uważa, że to oświadczenie Kennedy'ego nie tylko nie straciło na ważności, ale że jest dziś jeszcze bardziej aktualne.

R. K.: Większość wschodnich Europejczyków uważa jednak, że po tym, kiedy Sowietci złamali dane słowo i pogwałcili umowę jałtańską, stała się ona bezwartościowym kawałkiem papieru. Jałta w tym sensie ważna jest wyłącznie dla rządów komunistycznych, które używają jej do legitymizacji władzy.

E. R.: Będę jednak upierał się przy tym, że należy ciągle przypominać Gorbaczowowi czy jego następcom, że Stalin przyrzekł w Jałcie wolne wybory w Europie Wschodniej i że przywódcy sowieccy powinni się z tej obietnicy wywiązać. Nie można moim zdaniem wykluczyć, że w pewnym momencie do tego dojdzie, gdyż Sowietci są zmęczeni rządzeniem Polakami, Czechami czy innymi narodami Europy Wschodniej. Tak się stało zresztą z Jugosławią. W obecnej sytuacji politycznej jakaś bardziej bezpośrednia interwencja czy atak ze strony Zachodu są bardzo mało prawdopodobne. Byłoby to zresztą ryzykowne. Wspomniał Pan o Helsinkach. Rzeczywiście było haniebnym posunięciem ratyfikowanie w ten sposób podziału Europy. Tak jak Pan też stwierdził, obietnice dotyczące tzw. trzeciego koszyka nagminnie łamane są przez państwa bloku sowieckiego. Dlatego alternatywa jest prosta. Albo nastąpi jakaś istotna zmiana w polityce sowieckiej, albo doktryna Reagana będzie coraz szerzej wprowadzana w życie, co będzie przysparzać Sowietom coraz więcej kłopotów, szczególnie w centralnej Azji.

R. K.: Czy nie jest to jednak polityka oparta prawie wyłącznie na reakcji na posunięcia Związku Sowieckiego? Nie jestem zresztą pewien, czy można ciągle mówić o doktrynie Reagana. Jeśli nawet można, to uległa ona w ostatnim czasie poważnemu zmiękczeniu.

E. R.: Owszem. Nie zapominajmy jednak, że jest to okres euforii związanej ze spotkaniem na szczycie i podpisaniem umowy INF.

R. K.: Mniej więcej rok temu CIA opublikowała informację, że Sowietci budują trzy kolejne ogromne radary w zachodniej części ZSRR. Te trzy gigantyczne radary – każdy wielkości futbolowego boiska – zamkną sieć radarów, która uniemożliwi przedarcie się amerykańskich rakiet na terytorium Związku Sowieckiego.

Specjaliści amerykańscy przewidują, że budowa sowieckiego systemu obronnego opartego na rakietach antybalistycznych (ABM) ukończona zostanie w 1991 lub 1992 roku.

Chodzi o to, że Związek Sowiecki będzie wkrótce w posiadaniu zgubnej dla Zachodu kombinacji uderzeniowej broni atakującej i systemu obrony zdolnego powstrzymać odwet amerykańskich rakiet balistycznych. Jak dużo czasu mają Stany Zjednoczone na opracowanie i instalację własnego systemu obrony (SDI), który w połączeniu z amerykańską siłą odwetową byłby w stanie powstrzymać zmasowany atak sowiecki? A raczej, czy jest na to jeszcze czas?

E. R.: Tak, jest na to ciągle czas. Po pierwsze nasze prace badawcze nigdy nie były całkowicie zatrzymane. Po podpisaniu umowy ABM amerykański program

badawczy utrzymywany był na stosunkowo niskim poziomie. Zdemontowany został też system obronny w Grand Forks w Północnej Dakocie. Począwszy jednak od lat 1983–1984, prowadzone są dość intensywne badania w ramach Strategicznej Inicjatywy Obronnej. To dosyć dużo czasu dla naszej maszyny technologicznej. Program ten wygląda zresztą bardzo obiecująco. Wracając do Pańskiego pierwszego pytania, dokładnie z tego powodu Gorbaczow bardzo zabiegał o podpisanie umowy rozbrojeniowej właśnie teraz. Sowieci chcą zatrzymać amerykański program obrony, zanim stanie się on dla nich niebezpieczny, czyli zanim Stany Zjednoczone dościgną Związek Sowiecki. Mam jednak nadzieję, że im się to nie uda. Myślę, że rozumie to zarówno prezydent, jak i Kongres.

R. K.: Wiara w kontrolę zbrojeń i umowy rozbrojeniowe wydaje się integralną częścią zachodniej kultury politycznej. Nie zważając na liczne porażki w negocjacjach rozbrojeniowych, demokracje zachodnie podpisują kolejne pakt z Związkiem Sowieckim, wierząc, że umowy rozbrojeniowe zapewnią pokój na świecie. Jakie są korzenie tej złudnej wiary?

E. R.: Korzenie te sięgają bardzo głęboko. Rzeczywiście jest to część zachodniej kultury politycznej, z tym że dużo bardziej jej protestanckiego niż katolickiego składnika. Wiara ta rozpowszechniona jest najbardziej w Stanach Zjednoczonych. Korzenie jej sięgają dużo głębiej w Anglii, Holandii, Danii czy w Norwegii niż we Francji, Hiszpanii czy we Włoszech. Osadnicy angielscy w Ameryce – początki społeczeństwa amerykańskiego to Anglia postawiona na głowie, czyli bardzo radykalni, a przy tym bardzo pobożni i odcytani w Piśmie Świętym protestanci – wierzyli w układy rozbrojeniowe na tej samej zasadzie, na jakiej wierzyli w Biblię czy w system konstytucyjny i niezawisłe sądownictwo. Dlatego pewnie Amerykanie mają tak wielkie zasługi w prawodawstwie międzynarodowym. Pierwsza propozycja umowy rozbrojeniowej datuje się z czasów rozmów pokojowych z Anglią w 1772 roku. Owocem tych pertraktacji był pakt o demilitaryzacji strefy Wielkich Jezior – jak dotąd jedyna w historii umowa rozbrojeniowa, która nigdy nie została pogwałcona. Pakt ten okazał się niesłychanie użyteczny w dziewiętnastym wieku w momentach napięć między Stanami i Anglią, dotyczących Kanady. Nie jest zatem łatwo przekonać Amerykanów czy Anglików, że nie warto zamienić szpady na lemiesz.

R. K.: Sprawa komplikuje się jednak, kiedy zamiast Anglii mamy do czynienia z państwem, które nie tylko nie podziela naszego systemu wartości, ale w swych ideologicznych oświadczeniach zwycięstwo nad nami traktuje jako historyczną konieczność.

E. R.: To prawda. Podobne doświadczenie mieliśmy zresztą z umowami rozbrojeniowymi w okresie międzywojennym. Wszystkie pięknie brzmiące pakt o flocie wojennej, z umową waszyngtońską włącznie, zaprowadziły nas prosto do

Pearl Harbor, dlatego że Niemcy i Japończycy budowali tzw. kieszonkowe krążowniki – teoretycznie w ramach wszelkich podpisanych pokojowych paktów, a w rzeczywistości niebezpieczne okręty wojenne. Tak samo było zresztą z traktatem wersalskim i demilitaryzacją Nadrenii. Nadrenia dopóty była strefą demilitaryzowaną, dopóki Hitler nie wprowadził tam swoich wojsk. Francuzi, jak wiadomo, chcieli interweniować, ale Anglia oczywiście nie kiwnęła palcem. Najtragiczniejsze jest to, że doświadczenia tego rodzaju niczego nas nie nauczyły.

R. K.: Jeden z moich amerykańskich przyjaciół powiedział mi ostatnio, że gdyby ktoś kilka lat temu przewidział kolejną falę amerykańskiego uwielbienia dla Związku Sowieckiego, pomyślałby, że biednemu człowiekowi pomieszało się w głowie. Entuzjazm, z jakim przyjmowane są w Stanach Zjednoczonych wypowiedzi sowieckich przywódców, a szczególnie Gorbaczowa, nauczyły go, przyznał, większego sceptycyzmu w ocenie swoich braci Amerykanów. Zupełnie załamany zwierzył mi się, że nie pamięta bardziej przyjacielskiego nastawienia do Sowietów od czasów Wujaszka Joe, kiedy Związek Sowiecki był wielkim sojusznikiem wojennym i jakkolwiek krytyka polityki sowieckiej była co najmniej nie na miejscu, jeśli nie wręcz niewybaczalna. Na ile ta odnowiona miłość groźna jest dla Zachodu i do czego może doprowadzić?

E. R.: Mam nadzieję, że miłość ta nie jest ani tak spontaniczna, ani tak głęboka jak za czasów Wujaszka Joe. Zresztą nawet wtedy nie było aż tak źle. Członkowie ówczesnego rządu amerykańskiego zdawali sobie doskonale sprawę z tego, co się dzieje. W kilka lat potem, w 1947 roku, kiedy prezydent Truman potępił sowieckie poczynania, znalazł w narodzie amerykańskim bardzo wiernych słuchaczy. Wystarczy zresztą spojrzeć na wyniki badań opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, aby przekonać się o prawdziwym stosunku Amerykanów do Związku Sowieckiego. Wyniki te pozostają zresztą od lat prawie niezmiennie. Oto co pokazują. Pytanie: „Czy jesteś za negocjacjami ze Związkiem Sowieckim i próbą osiągnięcia jakiegoś porozumienia?”. 80% odpowiada: „Ależ tak, oczywiście”. Swoją drogą zdumiewa mnie fakt, że jest w tym kraju 20% ludzi, którzy są tak sceptyczni, że nawet nie chcą prowadzić negocjacji. Następne pytanie: „Czy Sowieci dotrzymają podjętych w paktach tych postanowień?”. Te same 80% odpowiada: „Nie”. Kolejne pytanie: „Czy Stany Zjednoczone powinny zwiększyć wydatki wojskowe?”. Odpowiedź: „Oczywiście, bez wątpienia. Nie powinniśmy dać się wyprzedzić”. Pytanie: „Czy gotów jesteś płacić większe podatki na zbrojenia?”. Odpowiedź: „Jak najbardziej”. Badania te, przeprowadzane na przestrzeni wielu lat, pokazują, jak sędzę, prawdziwe nastawienie opinii publicznej w Ameryce. Amerykanie jako naród są dużo rozsądniejsi niż ich przywódcy, a już z pewnością mają więcej oleju w głowie niż amerykańscy intelektualiści, którzy są oczywiście najgłośniejsi i najbardziej widoczni.

R. K.: Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.

Waszyngton, 27 listopada 1987

W sowieckiej prasie

Euforia, jaką wzbudziła porażka nieistniejącego puczu, minęła niezwykle szybko. Wszystko zamarło w oczekiwaniu na cud. Borys Jelcyn pojechał odpocząć nad Morzem Czarnym, Michaił Gorbaczow wygłaszał mowy, podpisywał nawet jakieś ukazy, których nikt nawet nie myśli wykonywać. Liczni działacze państwowi, polityczni i społeczni pracowali jak mrówki, opowiadając sowieckim i zagranicznym dziennikarzom, jak zła, ba, coraz gorsza jest sytuacja w kraju. Hasłem dnia stała się doskonała formuła Siemiona Siemionowicza Podsiekałnikowa ze sztuki Erdmana *Samobójca*: „Łatwiej się żyje, kiedy człowiek powie, jak mu ciężko żyć”.

Nie jestem zapewne całkiem sprawiedliwy, bo toczyły się też, z przerwami i oporami, rozmowy o podpisaniu ekonomicznej umowy między republikami, 1 października dwanaście sowieckich republik (wszystkie poza trzema nadbałtyckimi) parafowało w Ałma Acie oświadczenie, że pragną stworzyć nowy związek ekonomiczny, podobny trochę do Wspólnoty Europejskiej. 12 października Rada Państwowa, do której należą prezydent ZSRR Gorbaczow i głowy republik, zaaprobowała sporządzony w Ałma Acie tekst. Ścisłej mówiąc, zaaprobowali go przedstawiciele dziesięciu republik – obok Nadbałtyki wejścia do nowego Związku odmówiły Gruzja i Mołdawia. Umowa miała zostać podpisana 15 października. Szczęśliwe zwieńczenie długiej procedury przyspieszyła decyzja odpoczywającego i złożonego chorobą Jelcyna, żeby podpisać. Jednak, jak już nieraz bywało, decyzję wprawdzie podjęto, ale zarazem odłożono. Francuzi mają w takich przypadkach: „Owszem, ale...” Właśnie to powiedziałby Jelcyn, gdyby mówił po francusku. Ponieważ mówi po rosyjsku, wy tłumaczył, że Rosja podpisze, jeśli – między 12 a 15 października – do tekstu zostaną wprowadzone wyjaśnienia dotyczące siedemnastu kwestii. Wśród tych siedemnastu niejasności figuruje tak ważna, jak pytanie o podział długu: kto i ile ma płacić zadłużenia zagranicznego ZSRR? Także inni prezydenci republik mają zastrzeżenia do tekstu, nie wspominając już o tym, że po podpisaniu umowa ma zostać zatwierdzona przez Rady Najwyższe „dziesiątki”.

25 września „Financial Times” opublikował wywiad Grigorija Jawlińskiego, 35-letniego cudownego dziecka sowieckiej reformy ekonomicznej. Rok temu

Wunderkind zwrócił na siebie powszechną uwagę programem „500 dni”, sporządzonym wspólnie z akademikiem Szatalinem. Gorbaczow i ówczesny premier Nikołaj Ryzkow program odrzucili. Pół roku później Jawliński przedstawił inny program, opracowany wraz z ekonomistami amerykańskimi i zatytułowany „Okno możliwości”: program ten obiecywał reformę opartą na kredytach zagranicznych. Prezydent Gorbaczow znów się sprzeciwił. Po puczu odsuniętemu od władzy Jawlińskiemu zaproponowano stanowisko wiceprezesa Komitetu Zarządzania Gospodarką Narodową, instancji złożonej z czterech osób, która zastępuje Radę Ministrów.

Grigorij Jawliński jest autorem tekstu parafowanego w Alma Acie i przyjętego w Moskwie. Jest on podobno ostatnim (obok Gorbaczowa) obrońcą idei Związku. 25 września powiedział, że jego plan zawiera pięć głównych elementów: system bankowy, system finansowy, podatki, cła, ceny. W dniu, w którym udzielał wywiadu, osiągnięto zgodę co do dwóch pierwszych punktów. Program Jawlińskiego przewiduje, że republiki zgodzą się na ograniczenie swego budżetu, na wspólne spłacanie długów państwowych, na bicie własnej monety tylko wtedy, jeśli będzie związana z rublem i niezwiązana z żadnym innym systemem finansowym, na zachowanie wspólnego kodeksu pracy i socjalnego, na zniesienie wprowadzonych barier celnych i na szybki marsz w kierunku cen wolnorynkowych. Sądząc po oświadczeniu Borysa Jelcyna, mnóstwo problemów z przytoczonej wyżej listy nie zostało rozwiązanych. Jeśli więc umowa zostanie podpisana, co jest bardzo prawdopodobne, to zastrzeżenia prezydenta Rosji należy rozpatrywać jako „polityczne”.

Nawet jeśli przyjąć, że wszystko skończy się dobrze, że republiki, a za nimi Rady Najwyższe podpiszą i ratyfikują umowę o nowym Związku, rozwiąże to tylko problemy techniczne. Bo zasadniczo model ekonomiki Związku i składających się nań (jeśli wszystko będzie dobrze) członków pozostanie bez zmian. Nie zmieniają się stosunki między gigantyczną Rosją i znacznie słabszymi republikami: Rosja „sprzedaje” swoje surowce tanio, a kupuje drogo republikańskie produkty. Wprowadzenie rynku będzie katastrofą dla wszystkich. Pomoc z zewnątrz niewątpliwie jest potrzebna. Na tym właśnie, wydaje mi się, polega główny szkopuł.

Istnieją dwa mity pomocy. Zachód wierzy, że kredyty otworzą mu gigantyczny rynek zbytu. Wschód (mam na myśli cały obóz socjalistyczny) wierzy, że jego gigantyczny rynek nie może nie nęcić Zachodu. 1989 rok był dla Zachodu godziną prawdy. Niezależnie od faktu, że dziesięć lat wcześniej przeżywali już cięły zachwyt wobec spodziewanego miliarda chińskich konsumentów i że spotkało ich gorzkie rozczarowanie, wpadli w kolejny zachwyt wobec mirażu socjalistycznego, w pierwszym rządzie zaś sowieckiego rynku. W 1989 roku do ojczyzny Lenina i Stalina i okolic tłumnie spłynęli bankierzy, przemysłowcy i kupcy. Wrócili wstrząśnięci zacofaniem technicznym, brakiem infrastruktury, niską wydajnością pracy.

Przed wizytami mówiono o nowym planie Marshalla. W 1985 roku Rand Corporation obliczyła, że aby wyjść z zacofania, Związek Sowiecki potrzebuje miliarda miliardów dolarów. Dziś widać jasno, że to nie wystarczy. Plan Marshalla kosztował Amerykanów 300 miliardów dolarów. Ale Amerykanie nie rzucali pieniędzy w próżnię. Trzeba było przedstawić szczegółowy plan – obiekt za obiektem – wykorzystania kredytów, a następnie comiesięczne sprawozdanie, jak przebiega realizacja inwestycji. Jest to dziś w sowieckich republikach absolutnie niemożliwe. Ale bez tego nie dadzą pieniędzy. Znacznie wygodniej jest inwestować pieniądze w kraje bogate aniżeli biedne.

Złudzenia kapitalistów rozwiały się w roku 1989. Rojenia sowieckich przywódców trwają. Są przekonani, że skuszą byłych wrogów rynkiem, bogactwami albo zaszantażują chaosem, który nastąpi w braku pomocy. Jest charakterystyczne, że ludzie głęboko przekonani o absolutnej potrzebie pomocy nie robią niczego, aby ułatwić pobyt pomocników na sowieckiej ziemi (o ile go nie utrudniają). Wystarczy wspomnieć problem kodeksu handlowego. Obecny – socjalistyczny – nie nadaje się. W Moskwie obiecują, że pomyślą o nowym. To może potrwać dziesięciolecie. Japończycy, których trudno podejrzewać o kompleks niższości wobec cudzoziemców, kiedy po wojnie i porażce postanowili odbudować gospodarkę, przejęli w całości niemiecki kodeks handlowy. Jak dzisiaj widać, nie popełnili błędu.

Mówię o sowieckich przywódcach. Muszę przyznać, że nie wiadomo dziś, kim oni są. Niezmienny doradca Gorbaczowa Aleksander Jakowlew na pytanie amerykańskich dziennikarzy, kto sprawuje władzę, odpowiedział, że nie wie. Po czym dorzucił: „wstyd powiedzieć, ale nikt”. Jest to dodatkowy powód, aby nie udzielać kredytów. Jeśli nie istnieje sztywna struktura polityczna, jeśli nie wiadomo, kto rządzi, to komu dawać? Doświadczenie pomocy dla Trzeciego Świata przekonało bankierów, że nędzarzom pozbawionym rządów nie należy pożyczać.

Związek Sowiecki – to oczywiście – nigdy nie zaznał niczego podobnego. Rosja była w podobnej sytuacji w XVII wieku, po śmierci Borysa Godunowa, kiedy zaczęły się czasy zamętu. Surrealizm sytuacji nie da się z niczym porównać. Kraj znajduje się – zdaniem wszystkich – w katastrofalnym położeniu, ale obywateli nie ma. Po puczu rozbiegło się wielu ministrów z rządu Rosji. I też nic z tego nie wyniknęło. Nowa „Prawda”, już bez haseł na stronie tytułowej i bez patrona w osobie KC KPZR, który się rozwiązał, zamieściła 2 września sylwetkę jednego z głównych spiskowców – Walerego Bołdina, najbliższego zaufanego Gorbaczowa. Od lata 1981 roku był pomocnikiem Gorbaczowa, w 1985 roku został pomocnikiem generalnego sekretarza i zarazem szefem wydziału ogólnego KC, który zarządza aparatem partyjnym, to znaczy partią, a to znaczy krajem. Potem Bołdin kierował aparatem prezydenta. Dziś gazety, czasopisma, radio i telewizja opisują go jako prototyp zdrajcy, Judasza. Wyrok zapadł bez sądu. Pod tym względem nic się w Związku Sowieckim nie zmie-

niło. Sąd, o ile się odbędzie, pokaże, na ile oskarżenie jest słuszne. Szczegóły biografii najbliższego towarzysza prezydenta są ciekawe dlatego, że pokazują typowego aparaczyka, gotowego na wszystko w imię kariery. Walerij Bołdin jest zwierciadłem, w które spogląda dziś każdy przywódca i z łatwością rozpoznaje w nim siebie.

Próżnia na miejscu władzy powstała dlatego, że przywódcy sowieccy, którzy w poprzednich warunkach doskonale wiedzieli, jak postępować, teraz są zagubieni. Ich następcy też są wychowani w sowieckiej zatrutej atmosferze i próbują robić to, co robiono dawniej, ale spętani nowymi regułami gry, pracują jeszcze gorzej niż ich poprzednicy.

O trudnościach działania przy nowych regułach opowiadają niesławni pučyści, których przesłuchania zniemacka pojawiły się na łamach tygodnika „Der Spiegel” (nr 41, 1991). Przypuszczam, że z uczuciem nostalgii czytałem opis moskiewskiego więzienia przy ulicy nazywanej za Piotra I romantycznym imieniem Ciszki Morskiej. Nostalgia ogarnęła mnie dlatego, że miałem okazję siedzieć w tym więzieniu, a też dlatego, że – sądząc po dzisiejszych opisach – nic się w nim nie zmieniło od „moich czasów”. Heraklit mylił się, twierdząc, że „wszystko płynie”. Nie wiedział o więzieniu przy ulicy Ciszki Morskiej. Zeznania oskarżonych robią wrażenie dlatego, że potwierdzają przekonanie, iż nie było żadnego puču; były rozmowy, marzenia, nadzieja, że wyjdą naprzeciw pragnieniom Gorbaczowa, który po długiej rozmowie z przyszłymi spiskowcami, przybyłymi do niego 18 sierpnia (w przeddzień) na Krym, odpowiedział: „Róbcie, co chcecie!” Zeznania zdumiewają przede wszystkim tym, że ukazały się w niemieckiej gazecie. Dokładnie tak, jak w swoim czasie nakręcane po kryjomu przez KGB filmy o Sacharowie w Gorkim. Kto sprzedał videokasety więziennych przesłuchań Niemcom? Na razie winnego nie znaleziono. Być może niezbyt gorliwie szukano, bo skoro wszystko jest na sprzedaż, to dlaczego nie miano by sprzedawać zeznań spiskowców?

Wszystkie opisane przeze mnie wydarzenia błędą wobec Wydarzenia. Jego znaczenie podkreśla też fakt, że w komunikacie Rady Państwowej na pierwszym miejscu figurowała nie wiadomość o zgodzie republik na podpisanie ekonomicznej umowy związkowej, chociaż wydaje się ona ważniejsza od decyzji o „reorganizacji Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego”. Zachodnie mass media jak jeden mąż ogłosiły, że zdecydowano zlikwidować KGB, Moskwa oficjalnie powiadomiła, że chodzi o „reorganizację”.

Istniejące do tej pory KGB zostaje rozwiązane, a na jego bazie – z tymi samymi współpracownikami – powstanie: centralna niezależna służba wywiadowcza (kilka dni temu szefem wywiadu mianowano najbliższego doradcę prezydenta ZSRR Jewgienija Primakowa), międzyrepublikański kontrwywiad (inaczej mówiąc wewnętrzny organ policyjny śledzący obywateli) i państwowy komitet ochrony granic państwa.

Na razie jest jeszcze wiele elementów niejasnych. Komentatorzy zwracają uwagę, że przestaje istnieć jedna policja polityczna, która skupiałaby w jednym

reku szpiegostwo i śledzenie obywateli i dysponowała własnymi siłami zbrojnymi. Zniknięcie partii komunistycznej przekształciło „tarczę i miecz” władzy sowieckiej w instrument nie partii, lecz państwa. Tak to wygląda na pierwszy rzut oka. Można jednak spytać, czy KGB nie było w ostatnich czasach organizacją zbyt rozbudowaną? Czy reorganizacja nie uczyni go sprawniejszym? Czy w reformie nie chodzi o to, aby ukrócić ogromną władzę, jaką dysponowali przewodniczący KGB? W 1953 roku po nieudanym puču Berii KGB także został zreorganizowany, a jego funkcje (przede wszystkim funkcje jego szefa) ograniczone. Obecna reforma ma miejsce po tym, jak Kriuczkow wystąpił, zdaniem Gorbaczowa, w roli organizatora puču. Nie mówi się o tym, co stanie się z całkiem niedawną ustawą o KGB, która przyznała „służbom specjalnym” ogromne pełnomocnictwa. Wreszcie zagadkowo brzmi formuła „międzyrepublikański kontrwywiad”. Co to znaczy „międzyrepublikański”? Czy republikańskie komitety bezpieczeństwa, które będą ściśle współpracować z Moskwą, bo moskiewskie centrum nadal będzie koordynowało działalność organów terenowych, staną się suwerenne?

Wątpliwości są uzasadnione, bo znana jest historia WCzK–GPU–NKWD–KGB: im bardziej „organy” się zmieniały, tym bardziej pozostawały sobą. Znać są też wypowiedzi nowych, już całkiem liberalnych przywódców. Ich argumenty brzmią: we wszystkich krajach istnieją wywiad i kontrwywiad – najważniejsze, żeby były demokratyczne. A to nowi gwarantują. Wreszcie wątpliwości budzi też fakt, że Radio Swoboda, które ma obecnie korespondentów w Moskwie, powiadomiło o projekcie ukazu, który zamierza podpisać Jelcyn. Ukaz nosi tytuł *O głównych kierunkach działania KGB RSFR i jego organów terenowych*. Projekt zawiera m.in. opis praw urzędu, który ma zajmować się „obroną ustroju konstytucyjnego” przed bezprawnymi atakami. Analogiczny urząd miało KGB ZSRR, nowy przewodniczący Wadim Bakatin zlikwidował go. KGB RSFR widocznie ma zamiar go zachować. Punkt 14, który określa „niezgodne z prawem ataki” – jak żywo przypomina dobrze znane teksty: kodeksy karne ZSRR, artykuł 58 z okresu stalinowskiego, artykuły 70 i 64 z okresu po śmierci Stalina. Uwagę zwraca punkt 6, który tłumaczy, że do funkcji rosyjskich „organów” należeć będzie „nadzór nad wprowadzaniem w życie reform o charakterze naukowo-technicznym, nad działaniami polityki zagranicznej i ekonomii zagranicznej”. Znowu jesteśmy jak w domu: KGB nigdy nie zajmowało się niczym innym (to jest całym życiem kraju).

Badania socjologiczne, często przeprowadzane w Związku Sowieckim, potwierdzają obraz, jaki wyłania się z prasy. W lipcu 1991 roku, w przeddzień puču, przeprowadzono ogólnorosyjską ankietę. Odpowiedziało na nią 2798 osób. Na pytanie, czy „zgadzają się z tym, że po 74 latach sprawowania władzy partia komunistyczna ostatecznie się zdyskredytowała”, 69% odpowiedziało „tak”. Za to na pytanie, czy „gdybyście w 1985 roku wiedzieli, do czego doprowadzą rozpoczęte wówczas w kraju przemiany, poparlibyście je?”, twierdząco odpowiedziało 23%, a przecząco – 52%.

Lista „problemów społecznych”, które niepokoją indagowanych, jest bardzo długa. Na pierwszym miejscu widnieją wzrost cen, brak towarów, wzrost liczby przestępstw, słabość władzy państwowej (20%), stan przyrody, groźba bezrobocia itd., 5% niepokoi się „odejściem od ideałów socjalizmu”. Co robić? Socjologowie próbowali się dowiedzieć, co ludzie o tym myślą, formułując pytanie następująco: „Czy zgadzacie się, że Rosję może uratować człowiek, który zdoła pociągnąć za sobą ludzi i zaprowadzić porządek w kraju?”. 70% indagowanych odpowiedziało „tak”. Następne pytanie było precyzyjniejsze: „Z jakimi ocenami działalności B. Jelcyna zgadzacie się?”. Ze wszystkimi działaniami i poglądami prezydenta Rosji zgodziło się 19%, ale ogólnie pozytywnie (czasami z zastrzeżeniami) ocenia go 70%. Komentując wyniki tej ankiety, znany socjolog Jurij Lewada odnotował jako fakt godny uwagi brak wyraźnych wpływów na społeczeństwo konserwatywnego rosyjskiego nacjonalizmu („Moskowskije Nowosti” nr 38, 22.09.1991).

Uczeni męczą się, zbierają informacje, badają, wyciągają ostrożne wnioski. Potem przychodzi dziennikarz i podsumowuje sytuację w kilku słowach. „Spiegel” opublikował cytaty z prowincjonalnej niemieckiej gazety, która następująco opisała sytuację w Związku Sowieckim: kolejki są coraz dłuższe, prezerwatywy kosztują 120 rubli, moskwićanie boją się zimy. To też jest prawda.

13 października 1991

[11/1991]

ADAM KRUCZEK

W sowieckiej prasie

Redaktor „Kultury” zatelefonował do mnie, aby mi przypomnieć, że zbliża się termin nadesłania przeglądu i nieoczekiwanie zapytał, czy nie należałoby zmienić tytułu rubryki, skoro nie ma już Związku Sowieckiego. Pytanie mnie zdziwiło; nie myślałem o tym. Po zastanowieniu się odpowiedziałem, że na razie nie zamierzam zmieniać tytułu, bo wprawdzie nie ma już Związku Sowieckiego, ale wciąż istnieje władza sowiecka. Rady deputowanych ludowych wszystkich szczebli nadal trwają we wszystkich republikach, choć są to obecnie niezależne państwa. Myślę, że epoka rad minęła, że wkrótce zaczną znikać – co na ich miejsce powstanie, jeszcze nie wiadomo, ale coś powstanie. Na razie wszakże istnieje i są podstawową instancją władzy. W Moskwie co prawda obok rad działają prefektury, ale rady nie zostały zlikwidowane. Nadal też ukazują się gazety zatytułowane „Sowieckaja Rossija”, „Sowieckaja Kultura”, „Sowieckij Patriot” (organ zachodniego zgrupowania wojskowego, stacjonującego na Ukrainie).

Poza tym należałoby się zastanowić, na co zmienić tytuł „W sowieckiej prasie”? Byłemu Związkowi Sowieckiemu (BZS) nadano wymyśloną naprędce nazwę Wspólnota Niepodległych Państw, w skrócie WNP, po rosyjsku SNG. Brzmi to paskudnie, że nie wspomnę już o literze „g”, przeciw której protestował akademik Lichaczow, przypominając, że w języku rosyjskim na „g” zaczynają się słowa, których w przyzwoitym towarzystwie używać nie przystoi. Mieszkańcy SNG wymawiają zresztą ten skrót SNIEG, można ich więc uważać za yeti z krainy wiecznego śniegu. Niewykluczone, że Wspólnota (a wraz z nią skrót) przetrwają – wtedy może nazwę kronikę „Śnieżną kroniką”.

W ubiegłych latach podczas dwumiesięcznych przerw w przeglądach nawarstwiało się mnóstwo informacji i zmian. Tym razem główną nowością jest wprowadzenie nowych cen. Posunięcie to, nazwane „zwolnieniem cen”, jest zwyczajną niebotyczną ich podwyżką. Inaczej zresztą być nie mogło. Ponieważ cała sieć handlowa pozostaje praktycznie w rękach państwa, odpowiedni organ skierował do wszystkich sklepów dyrektywę, o ile mają podnieść ceny towarów: dziesięciokrotnie, czterdziestokrotnie lub tylko ośmioipółkrotnie. Kierownicy sklepów zmienili etykiety, od tego jednak – na razie – towaru nie przybyło. Zaufanie do rubla spadło do zera. Nawiasem mówiąc, ludzie przyznają, że to

i owo można dziś w sklepach kupić, bo zmniejszyła się liczba nabywców: ludzie nie mają pieniędzy.

Podwyżka cen to główna nowina. Natomiast najważniejszym wydarzeniem minionych dwóch miesięcy jest stopniowe, ale stosunkowo szybkie skupianie spuścizny po ZSRR w rękach Rosji. Przede wszystkim za granicą. Rosja zajęła miejsce ZSRR w Radzie Bezpieczeństwa, ambasady zwinęły czerwone sowieckie sztandary i wciągnęły na maszty trójbarny sztandar rosyjski. Przeczytałem w „Prawdzie” zatrważającą wiadomość: w Zambii maszt poselstwa ZSRR jest pusty. Czerwoną flagę zdjęto, ale trójbarną nie wciągnięto, bo Zambia nie uznaje Rosji. Można jednak ufać, że uzna i wówczas „Prawda” się uspokoi.

Przejęcie zagranicznej spuścizny po ZSRR przebiega bez przeszkód. Trudniej to zrobić wewnątrz Wspólnoty. Przejście od bratnich stosunków do przyjacielskich napotyka na przeszkody. Wiele mówi się i pisze o sporach między Rosją i Ukrainą. Przybierają one czasami dziwny charakter. Ukraina pragnie zachować czarnomorską flotę wojenną – 300 pływających jednostek. Jelcyń oświadcza gniewnie, że flota czarnomorska była, jest i będzie rosyjska. Następnie poprawia się i zapewnia, że flota będzie wspólną własnością WNP. Do sporu o flotę włączyła się rosyjska Rada Najwyższa, która zapoznała się ze sprawozdaniem komisji spraw zagranicznych: otóż komisja odkryła, że Nikita Chruszczow w 1954 roku popełnił czyn antykonstytucyjny, oddając Krym Ukrainie. Aluzja jest przejrzysta: jeśli Ukraińcy będą się upierać przy swoich prawach do czarnomorskich okrętów, my zaczniemy żądać zwrotu Krymu. Poważniejsze są jednak konflikty ekonomiczne. Jelcyń rozpoczął 2 stycznia reformę gospodarczą (podniósł ceny) wbrew zastrzeżeniom innych członków WNP. Jednak były republiki, obecnie niezależne państwa, znajdują się – czy chcą, czy nie chcą – w strefie rubla, wobec tego też musiały u siebie podnieść ceny. W przeciwnym wypadku towary przeciekałyby do Rosji, gdzie ludzie płacą za nie drożej. Leonid Krawczuk wprowadził kupony (rosyjskie gazety nazywają to „kuponizacją”), ale Ukraińcy otrzymują w nich tylko część zapłaty. Resztę wypłaca się w rublach, za które na terenie państwa niczego nie mogą kupić. W ten sposób siłę nabywczą ludności ukraińskiej obniżono jednym zamachem o 60–70%.

Wprowadzenie czasu zimowego stało się prawdziwą manifestacją przyjacielskich uczuć. Moskwa wprowadziła go, nie uprzedzając Kijowa, który odmówił przejścia na moskiewski czas. Uczucia narodowe triumfowały, ponieważ jednak transport wciąż jeszcze jest wspólny, podobnie jak telefony itd., chaos na terytorium sowieckim jeszcze wzrósł – o ile to w ogóle jest możliwe.

Stosunki między byłymi republikami sowieckimi można dziś uznać za zagadnienie polityki zagranicznej. O polityce wewnętrznej można powiedzieć za Lwem Tołstojem, że szczęśliwe rodziny są wszystkie do siebie podobne, natomiast nieszczęśliwe cierpią każda na swój sposób. Dziś za najnieszczęśliwszego członka dawnej sowieckiej rodziny można obiektywnie uznać Rosję. Nie tylko dlatego, że jej mieszkańcy żyją w nędzy – cały był Związek Sowiecki tak żyje.

Ale do gospodarczego upadku Rosji należy dodać kryzys polityczny, społeczny i kulturalny. Popularny dziennikarz Anatol Strielanij opisał niedawno w „Moskowskich Nowostiach” swą podróż po Gruzji i Rosji i daremne poszukiwania szaletu publicznego, do którego można by wejść i nie utonąć natychmiast w nieczystościach. Barwny reportaż Strielanego kończy się mroczną przepowiednią: stan szaleców nie poprawi się zapewne przez najbliższych trzysta lat, dopóki ludzie nie zrozumieją, że pierestrojka w tej dziedzinie jest niezbędna, wszystkie inne pierestrojki są skazane na porażkę. Nawiasem mówiąc, sprawozdanie Strielanego o stanie szaleców w roku 1992 nastroiło mnie raczej optymistycznie. Siedemdziesiąt lat temu Siergiej Jesienin pisał: „klóciłem się i będę klócił przez jeszcze tysiąc lat, bo chcę wejść do klozetu, a klozetów w Rosji nie ma”. Trzysta lat to jednak mniej niż tysiąc!

Nie wiem, czy przytoczone powyżej teksty można uznać za humorystyczne. Wydaje mi się, że raczej należy je traktować jako wyraz przepaści między powszednim, zwykłym życiem a życiem politycznym. Po niekończącym się wystawianiu w kolejkach obywatele wracają do nieogrzewanych mieszkań, a tam gazety, radio i telewizja informują ich o zażartej walce o władzę i o tym, że na miejsce obalonych instancji władzy wciąż jeszcze nie powstały nowe. W Rosji sytuacja jest szczególna. W pozostałych republikach władza przeszła w ręce byłych komunistycznych funkcjonariuszy, którzy w oszałamiającym tempie przeфарbowali się na nacjonalistów. Wszyscy potrafili stosunkowo szybko ugrunтовać swą władzę, tzn. oprzeć ją na dawnych strukturach i wprowadzić nową terminologię (demokracja, rynek, wielopartyjność itp.). Sytuacja zmieniła się, bo partia jako fundament totalitarnej władzy przestała istnieć. Ale sytuacja pozostała taka sama, bo miejsce partii zajął klan oddanych wodzowi ludzi.

W Rosji jest inaczej, chociaż wszystko odbyło się tak samo. Pierwszy wicepremier Rosji Gienadij Barbulis obrazowo opisał upadek totalitaryzmu. Były wykładowca marksizmu-leninizmu, obecnie jeden z najbliższych doradców Jelcyna, tłumaczy w wywiadzie dla „Litieraturnoj Gaziety” (13.11.1991): kiedy upadł główny zbiornik trucizny – KPZR – „jad [...] został przetoczony do wszystkich komórek państwa i społeczeństwa. Dziś wiadomo już dość dobrze, dokąd się przeniosła nomenklatura partyjna w krajach, obwodach, miastach i rejonach. Ogromna jej większość w ciągu miesiąca znalazła się w ogniwach państwowej władzy wykonawczej. Wielu pozostało w radach. Znaczna część [...] otwarcie rzuciła się do rodzących się gangsterskich interesów. Inna z kolei część starymi kanałami wróciła do administracyjno-nakazowej sieci zarządzania”.

Barbulis dobrze zna truciznę, którą przez długie lata sączył w mózgi swoich studentów, i ma całkowitą rację co do transplantacji nomenklatury. Jej wynikiem jest chroniczny konflikt między „górami”, która marzy o reformach, a „dołami”, czyli aparatem wykonawczym, który żadnych reform nie chce. Ten konflikt przebiega znacznie ostrzej między Moskwą a rosyjską władzą terenową aniżeli w innych byłych republikach, chociażby dlatego, że ich rozmiary pozwalają

nimi łatwiej rządzić. A jak rządzić gigantyczną – nawet po upadku imperium – Rosją?

Wraz z osłabieniem władzy pojawiają się nieuchronnie rywale. Borys Jelcyn, bezsporny przywódca Rosji w sierpniu 1991 roku, pierwszy prezydent wybrany w głosowaniu bezpośrednim, powitał nowy rok pod gradem ataków nowych pretendentów do tronu.

Zarzuty padają z dwóch stron. Po pierwsze krytykują prezydenta i premiera byli przyjaciele: wiceprezydent Ruckoj, przewodniczący Rady Najwyższej Chazbulatow, burmistrz Petersburga Sobczak. Ich zarzuty mają charakter „filantropijny”: zgadzają się, że reformy i rynek są konieczne, uważają jednak, że należy bardziej osłaniać ludność, która cierpi z powodu braku towarów i drożyzny. Najwymowniejszy z rywali Jelcyna w obozie demokratów Anatolij Sobczak wyliczył dla „International Herold Tribune” błędy Jelcyna:

Pierwszy błąd – nie przeprowadził prawdziwej reformy rolnej; drugi – polityka gospodarcza doprowadziła do tego, że obniżył poziom życia 90% obywateli; trzeci – pozwolił, aby wojskowi sami decydowali o tym, komu będą składać przysięgę [burmistrz Petersburga ma na myśli oddziały, stacjonujące poza terenem Rosji – A. K.] i w ten sposób zwiększył rolę armii, podczas gdy nie należy przyznawać jej funkcji politycznych. Istnieją też błędy czwarty i piąty, których naprawienia Anatolij Sobczak ochoczo gotów się podjąć. Jest z zawodu prawnikiem, profesorem prawa, wiele podróżuje po świecie i uchodzi za pretendenta do tronu Rosji.

Politykę Jelcyna krytykuje się też z drugiej strony, którą najtrafniej chyba nazwać obozem konserwatywnym. Kiedy Anatolij Sobczak tłumaczy amerykańskiemu dziennikarzowi słabość programu Jelcyna, straszy go zamieszkami, które mogą doprowadzić do władzy albo „czerwonych”, tzn. komunistów, albo „brunatnych”, czyli nacjonal-socjalistów bądź faszystów. Pozostawmy sumieniu polityków, czy należy grozić koszmarnymi perspektywami. Faktem jest, że skrajne ugrupowania, zażarci komuniści z grupy Niny Andriejewej i zażarci naziści z Pamiati, nie cieszą się – być może na razie – wielką popularnością. Zarazem ostatnimi czasy coraz wyraźniej kształtuje się ruch, który stawia sobie za zadanie zjednoczenie „wszystkich rosyjskich patriotów”, od komunistów do monarchistów. Ludzie ci lubią też nazywać się państwowcami. Państwo, które mają na myśli, to rosyjskie imperium w dowolnej postaci: od Związku Sowieckiego do monarchii absolutnej. Poglądy „patriotów” propagują usilnie stare i nowe gazety i pisma: „Prawda”, „Sowieckaja Rossija”, „Dień” i inne. Na szczególną uwagę zasługuje „Dień”, który ukazuje się od stosunkowo niedawna. Jego naczelny redaktor Aleksander Prochanow jest autorem powieści politycznych, w których opiewał bohaterstwo sowieckich żołnierzy w Afganistanie, Kambodży, Angoli, Nikaragui. Wiele lat temu analizowałem twórczość Prochanowa i pisałem, że jest autorem „sowieckich powieści kolonialnych”, sowieckim Kiplingiem (bez talentu), sławiącym „czasy człowieka sowieckiego” niosącego ludzkości idee komunizmu. Te same idee propaguje w „Dniu”.

Ruch „patriotów”, czyli „państwowców”, jest ciekawy nie tylko z uwagi na swój program, ale i ze względu na swoją bazę finansową. Wszystkie główne organy prasowe „patriotów” finansuje wprost albo pośrednio firma Zawidija. Andriej Fiodorowicz Zawidija przedstawia się skromnie: jestem komunistą i milionerem. W 1991 roku podczas wyborów prezydenta Rosji kandydował na stanowisko wiceprezydenta w drużynie kandydata na prezydenta Władimira Żyrinowskiego (rosyjski Tymiński). Po porażce, która była zwycięstwem, bo tandem Żyrinowski-Zawidija zajął trzecie miejsce i zebrał ok. 7 milionów głosów, Andriej Fiodorowicz udzielił wywiadu swojej gazecie „Dień”. Trzydziestodwuletni komunistą i milioner oświadczył, że pragnie zostać prezydentem Związku. Jego wypowiedź charakteryzuje go dość jasno: „Mam dość tego spektaklu, w którym na scenie politycznej starzy intryganci bezwstydnie walczą o władzę, spychając społeczeństwo w przepaść”; „Rządzeniem powinni zająć się nowi ludzie – młodzi, energiczni, odpowiedzialni za los ludzi [...]. Są wśród nich giganci”; „Czy Gorbaczow albo Jelcyn może nauczyć choćby jednego prostego człowieka, jak odnieść sukces? Ja mogę tej sztuki nauczyć każdego”; „Dziesiątki wielkich zachodnich biznesmenów mówiło mi: jeśli pan zostanie prezydentem, setki miliardów dolarów spłyną do waszego kraju, konkretnie dla was”. Program Zawidija wyłożony jest lakonicznie: „Nie będziemy unikać okrutnych posunięć, zwłaszcza w pierwszym okresie” („Dień” nr 21, 1991). Dodam, że pamiętna wszystkim gazeta „Prawda”, obecnie w opozycji, jest blisko związana z Andriejem Zawidiją.

Jeden z ideologów „patriotów”, filozof (tzn. specjalista od marksizmu-leninizmu), deputowany ludowy i przywódca grupy deputowanych Rossija Siergiej Baburin, tłumaczy teoretycznie, dlaczego ideologia „państwowców” musi zwyciężyć: w kraju brak bazy społecznej dla sił centrowych. Siergiej Baburin ma na myśli demokrację. „W społeczeństwie – tłumaczy – niesłuchanie wzrosło przekonanie, że nie wyjdziemy z kryzysu poprzez przedstawicielskie organy władzy, tj. ludowładztwo [...]. A skoro istnieje potrzeba silnej ręki, to znaczy, że w najbliższej przyszłości zacznie się bezprecedensowy proces wzmacniania władzy wykonawczej” („Dień” nr 22, 1991).

Analiza Siergieja Baburina dotyczyła ostatnich dni władzy Gorbaczowa i pierwszych miesięcy władzy Jelcyna. Trzeba przyznać, że autor trafnie odczytał kierunek rozwoju. Powstaje pytanie: na kim może się oprzeć silna władza wykonawcza, jeśli jej organy dopiero się kształtują? Odpowiedź jest znana: na wojsku i KGB. Jest to odpowiedź banalna, ale słuszna. Widać już dziś, że rosyjska władza stara się zachować armię jako „wysoki konsolidujący zaczyn” („Prawda” z 20.01.1992). O działalności KGB w ostatnich czasach opowiada Wadim Bakatin, niedawny przewodniczący „organów”, który podał się do dymisji, kiedy „Prawda” (21.01.1992) oskarżyła go – praktycznie – o zdradę: chodziło o przekazanie amerykańskiemu ambasadorowi w Moskwie schematu rozmieszczenia aparatury podsłuchowej w nowym gmachu ambasady amerykańskiej.

skiej na Krasnoj Presni. W wywiadzie dla „Komsomolskiej Prawdy” i gazety „Ścisłe tajne” Bakatin tłumaczy, że KGB udało się wysadzić go z siodła przewodniczącego, bo starał się zreformować „organy”. Były przewodniczący dodaje, że opinia, jakoby KGB stracił na znaczeniu, jest śmieszna. Wspomina m.in. wpływy KGB w tzw. prasie demokratycznej.

Pytania oczywiście pozostają. Pierwsze z nich brzmi: komu zechcą służyć KGB i armia? Borysowi Jelcynowi czy komuś innemu? Skąd pojawi się ten inny?

Po wszystkim, co przeczytałem, nie zdziwiła mnie wiadomość, że zmniejszono racje żywności dla kosmonautów, którzy wciąż jeszcze gdzieś krążą nad byłym Związkiem Sowieckim. Nic w tym dziwnego: na Ziemi dzieje się tyle, że nikomu nie chce się nawet pomyśleć o kosmosie. Tym bardziej że – jak tłumaczy na tytułowej stronie „Prawda” – „jesteśmy optymistami: będzie jeszcze gorzej”.

4 lutego 1992

[3/1992]

KONRAD W. TATAROWSKI

Biedna Bośnia, czyli o samotności ginących

XI. Sporo pisze się ostatnio w prasie zachodniej o powrocie chmury pesymizmu nad europejski horyzont: narasta recesja gospodarcza, rośnie bezrobocie, Zachód osiągnął taki próg rozwoju, że ciężka praca nie powiększa automatycznie dobrobytu, dobrobyt zaś nie zwiększa zapotrzebowania na pracę. Wyborcy w krajach zachodnich coraz częściej głosują nie tyle za określoną opcją polityczną, ile przeciw aktualnej władzy. Idea zjednoczonej Europy wzbudza coraz mniej entuzjazmu i nadziei. Odżywają lokalne nacjonalizmy i szowinizmy. Czy jednak tylko w kłopotach gospodarczych szukać przyczyn owych zjawisk? Czy nie mamy do czynienia ze swoistą „chorobą duszy”, której źródła są moralne i metafizyczne? Czy można przyglądać się temu, co się dzieje w Bośni, bez poczucia winy? Pomoc humanitarna jedynie w małej części może uspokoić sumienia bogatej Europy, a zwłaszcza polityków i wojskowych, którzy dysponują ogromnym arsenałem gospodarczym i militarnym. To trochę tak, jakbyśmy ofiarom sadysty, który mieszka za ścianą, przynosili co wieczór kromkę chleba i szklankę wody, by dalej mogły znosić zadawane im tortury, jego zaś zapraszali na umoralniające sesje przy suto zastawionym stole. „Nasilenie walk w Bośni i Hercegowinie nie storpedowało rozmów...” – to fragment jednego z komunikatów z negocjacji genewskich – ze stycznia, lutego, marca... Czy nie brzmi to ponuro i groteskowo?

XII. Administracja George'a Busha aż do końca swoich rządów nie mieszała się do konfliktu na Bałkanach, pozostawiając inicjatywę sojusznikom europejskim. Może i słusznie – w końcu dzieje się to wszystko na kontynencie, którego najsilniejsze państwa są w Sojuszu Atlantycznym NATO i zmierzają do przekształcenia Europy w silny i spójny organizm, który będzie w stanie przejąć współodpowiedzialność za los demokratycznego porządku na świecie. Należałoby więc zacząć od własnego podwórka. Pozostanie jednak smutnym faktem, że przywódcy europejscy nie uczynili niczego, by przerwać eksterminację ludności cywilnej w Bośni i Hercegowinie. Od czasu do czasu niektóre spektakularne wydarzenia, jak zastrzelenie francuskich żołnierzy, uczestników misji „niebieskich hełmów”, bądź zamordowanie wicepremiera rządu Bośni (zresztą w obecności żołnierzy i obserwatorów ONZ), wywoływały ostrzejsze głosy domagające

się bardziej zdecydowanej akcji przeciwko Serbii. Na początku stycznia doszło nawet do tego, że ówczesny francuski minister spraw zagranicznych Roland Dumas zagroził francuską interwencją w celu przerwania blokady Sarajewa. Skończyło się jednak na zapowiedziach. Serbowie dalej „czyścili” i blokowali dostawy z pomocą humanitarną. Doszło nawet do tego – w połowie lutego – że muzułmański rząd Bośni i Hercegowiny odmówił przejmowania lotniczej pomocy dla Sarajewa: „Nie zgadzamy się, by utrzymywać przy życiu Sarajewo po to, aby zachodnia opinia publiczna miała czyste sumienie, podczas gdy innych Bośniaków [we wschodnich regionach – przyp. mój] pozostawia się umierających”. Do przełamania serbskiej taktyki, zmierzającej do zagłodzenia obrońców i mieszkańców wschodniej Bośni, przyczyniła się dopiero akcja rzutów zainicjowana przez prezydenta Clintona. Prawda, że ich bezpośrednia skuteczność okazała się wysoce problematyczna. Jej pierwszą konsekwencją było... zdobycie przez Serbów Czerskiej, miasta, które przez dziesięć miesięcy broniło się przed oblężeniem. W nocy, kiedy spadły tam pierwsze rzuty, na początku marca, część obrońców opuściła swe pozycje, udając się na poszukiwanie kontenerów z żywnością i lekarstwami. W tym czasie Serbowie zajęli miasto. Około 20 tysięcy mieszkańców Czerskiej zostało zmuszonych do opuszczenia swych domostw. Działo się to w czasie, kiedy nie puściły jeszcze zimowe mrozy w regionie górzystym. Wgnanym z domostw Bośniakom z reguły pozwalano zabrać tylko samych siebie, ciepłe odzienie i dobytek musieli pozostawić w domach. Około 8 tysiącom z nich udało się dotrzeć, w stanie skrajnego wyczerpania, do odległej o 50 km Tuzli, która znajdowała się pod kontrolą muzułmanów. Liczba śmiertelnych ofiar nie jest znana.

W tych samych dniach agencje donosiły o zaostrzeniu serbskich ataków również w innych okolicach wschodniej Bośni. Humanitarną akcję rzutów oddziały Karadzicia wykorzystwały dla własnych, agresywnych celów. Mimo wszystko jednak akcja rzutów samolotowych, wraz z towarzyszącą jej akcją propagandową, stała się wyraźnym sygnałem, że Ameryka nie pozostanie na uboczu wydarzeń w byłej Jugosławii. Przyczyniła się też, w bardziej praktycznym wymiarze, do rozluźnienia serbskiego pierścienia wobec konwojów lądowych. Za nią, 12 kwietnia, nastąpiła akcja patrolowania terytorium powietrznego Bośni przez samoloty NATO, z prawem do zestrzeliwania obiektów naruszających ONZ-owskie zakazy sprzed kilku miesięcy. Była to decyzja mocno spóźniona, bo wcześniej Serbowie naruszyli zalecenia ONZ około 500 razy. I tym razem jednak akcja ta stanowiła sygnał bardziej zdecydowanej postawy społeczności międzynarodowej wobec łamania elementarnych praw człowieka.

Towarzyszyła jej zapowiedź zaostrzenia sankcji Rady Bezpieczeństwa ONZ wobec nowej Jugosławii. W końcu sankcje zaczęły obowiązywać w ostatnim tygodniu kwietnia. I na nich zapewne się nie skończy, aż do wymuszenia na Serbach zgody na podpisanie planu pokojowego. W każdym razie, jak widać z powyższej analizy, bez aktywniejszego włączenia się Stanów Zjednoczonych

w przerwanie serbskiej agresji przywódcy europejscy przyglądaliby się zapewne nadal dokonującym się w bliskim sąsiedztwie zbrodniom ludobójstwa. Uwaga ta dotyczy zresztą również przywódców z odzyskanej po komunizmie części Europy. Ogólnikowym deklaracjom solidarności z ofiarami serbskiej agresji nie towarzyszyły i z tej strony konkretne inicjatywy, na przykład na forum ONZ, zmierzające do zaostrzenia sankcji wobec agresorów. Znacznie częściej rozlegał się w tej sprawie głos Iranu, Turcji lub krajów Trzeciego Świata.

XIII. Serbowie mają w tej wojnie sojuszników. Jawnych i ukrytych, świadomych i nieświadomych. Nieświadomi to ci, którzy w bałkańskim konflikcie „równo i sprawiedliwie” rozkładają odpowiedzialność za popełniane zbrodnie. Którzy mówią o „zbiorowym oblędzie”, który (nagle?) ogarnął wszystkich mieszkańców tej części Europy – Słoweńców, Chorwatów, Muzułmanów, Serbów, Albańczyków, i kogo tam jeszcze. Jednym słowem ci, którzy nie odróżniają kata od ofiary, agresora od napadniętego. Takie podejście uniemożliwia jakąkolwiek ocenę, paraliżuje. Skoro wszyscy oszaleli – to kogo przed kim bronić?

Taką taktykę propagandową przyjęli też Serbowie. Nawet ci krytyczni i opozycyjnie nastawieni do reżimu Miloszewicia. „Proszę pani, Serbowie nie mają monopolu na zabijanie! Złoczyńcy i maniacy istnieją wszędzie, a sprawozdania o masakrach, gwałtach i innych okrucieństwach popełnianych przez Serbów są – po części – bardzo fachowo zorganizowaną propagandą [podkr. moje], która niestety ukształtowała światową opinię publiczną” – to z wywiadu Milana Panicia, byłego premiera Jugosławii, kontrkandydata Miloszewicia w grudniowych wyborach prezydenckich („Polityka” z 9.01.1993). Głoszeniu podobnych tez o „symetryczności” zbrodni wszystkich stron, a także o wyłącznie „samoobronnych działaniach strony serbskiej” towarzyszy propagandowe nagłaśnianie każdego wyimaginowanego czy faktycznego przypadku chorwackiej czy muzułmańskiej zbrodni dokonanej na Serbach. I jest to – czy była aż do tej pory, piszę ten fragment pod koniec kwietnia – taktyka bardzo skuteczna.

Serbia, jako inicjator działań wojennych na Bałkanach, ma wszakże również sojuszników jawnych i świadomych. Przede wszystkim – Rosję, która nagle odkryła w sobie... ducha prawosławia. Przez cały czas trwania akcji „czystki etnicznej” w Bośni i Hercegowinie Rosja sprzeciwiała się każdej inicjatywie zmierzającej do zaostrzenia sankcji wobec nowej Jugosławii. Elokwentny minister spraw zagranicznych Andriej Kozyriew na początku lutego kwestionował zdolności nowej administracji amerykańskiej i Zachodu do zrozumienia „skomplikowanych procesów zachodzących w byłej Jugosławii”. Proponował też mediację rosyjską w tym regionie, twierdząc, że Rosja łatwiej się dogada z walczącymi stronami. Propozycje Kozyriewa sformułowane zostały 9 lutego, dwa dni po ujawnieniu instrukcji prezydenta Clintona skierowanej do Rady Bezpieczeństwa Narodowego w sprawie zniesienia embarga na dostawy broni dla Bośni i patrolowania terytorium powietrznego tego kraju z prawem do zestrzeliwania obiektów

tów naruszających ONZ-owskie zakazy. Instrukcja zalecała też rozpoczęcie przygotowań do ataków z powietrza na serbskie pozycje w Bośni i Hercegowinie. Oczywiście, z rosyjskiej mediacji nic nie wyszło, ale i pomysł prezydenta USA został skutecznie zablokowany. Zaś pod koniec tego samego miesiąca angielski dziennik „The Observer” informował o tajnych dostawach ogromnych ilości rosyjskiej broni dla Serbii. Kontrakt miał opiewać na sumę 360 milionów dolarów i obejmować między innymi dostawy czołgów T-55 i nowoczesnych rakiet o zasięgu 500 km, w tym rakiet przeciwlotniczych. Prezydent Jelcyn podobno nie był poinformowany o tym kontrakcie, czego w końcu w rosyjskim bałaganie wykluczyć się nie da. Informacje te pojawiły się w przeddzień amerykańskiej akcji rzutów z powietrza kontenerów z żywnością i lekarstwami dla mieszkańców wschodniej Bośni. Tym razem humanitarnej akcji nie udało się storpedować. Ale widać wyraźnie na tym przykładzie, że rosyjska miłość do Serbii nie jest całkiem bezinteresowna. Ciekawy jest również dalszy ciąg tego „rosyjskiego wątku” w konflikcie bałkańskim. 12 kwietnia rozpoczęła się międzynarodowa akcja patrolowania terytorium powietrznego Bośni i Hercegowiny. Wraz z nią miały wejść w życie ostrzejsze sankcje wobec byłej Jugosławii. Wtedy do akcji wkroczył prezydent Jelcyn, wystosował list do prezydenta Clintona z prośbą o przesunięcie głosowania kwestii zaostrzenia sankcji o dwa tygodnie – na okres po zakończeniu ogłoszonego przez niego w Rosji na 24 kwietnia referendum. Uzasadniał swą prośbę argumentem, że sankcje wobec Serbii zostałyby źle przyjęte przez jego przeciwników w kraju. Rada Bezpieczeństwa ONZ dostosowała się do prośby Jelcyna. W następnych dniach grupa siedmiu najbardziej uprzemysłowionych państw świata ogłosiła – z inicjatywy Stanów Zjednoczonych – pomoc kredytową dla Rosji, sięgającą 43 miliardów dolarów. Referendum przyniosło rezultaty dla Jelcyna korzystne. Zaostrzone sankcje wobec nowej Jugosławii zaczęły obowiązywać 26 kwietnia. Prezydent Rosji zaś ogłosił, że jego kraj nie będzie dłużej przeciwstawiać się inicjatywom zmierzającym do wywarcia większych nacisków na Serbię, by zmusić ją do zaakceptowania planu pokojowego dla Bośni i Hercegowiny. Z przytoczonej tu chronologii znowu morał wynika, że w polityce nie sentymenty się liczą, ale interesy i pieniądze. I nie zmienia tej oceny wcale fakt, że w dniu, kiedy Jelcyn ogłosił faktyczne wycofanie swego poparcia dla nowej Jugosławii, Izba Deputowanych Ludowych wydała rezolucję popierającą Serbię i przestrzegającą przed wywieraniem na nią dalszych nacisków. Po prostu przeciwnicy polityczni Jelcyna lokują swoje interesy gdzie indziej.

XIV. 19 kwietnia. Pięćdziesiąt lat temu grupa młodych ludzi, skazanych na zagładę, postanowiła czynnie i z bronią w ręku przeciwstawić się złu i przemoccy. Nie mieli żadnych szans na zwycięstwo. Mieli 220 pistoletów i karabinów, 500 granatów, w większości zrobionych chałupniczym sposobem, butelki zapalające... przeciwko sobie mieli ogromną machinę wojenną III Rzeszy i bezsilność bądź obojętność świadków – mieszkańców Warszawy. I całej Europy. Całego

świata. Kilka dni temu spotkałem się w Łodzi z doktorem Markiem Edelmannem, jedynym żyjącym przywódcą Powstania, czy – jak sam to określa – obrony getta. Przeprowadziłem z nim wywiad dla RWE; pod koniec zadałem pytanie: „Panie Doktorze, minęło pół stulecia od tamtych wydarzeń – i świat się właściwie niewiele zmienił. Nie wiem, czy to nie będzie ryzykowna analogia, ale kiedy obserwuję w tej chwili rozwój sytuacji w Bośni, to nasuwają mi się porównania do sytuacji, w jakiej znaleźli się organizatorzy obrony getta w 1943 roku. Na pewno jest to zbyt daleko idące porównanie, ale czy Pan nie ma podobnych odczuć?”. Oto odpowiedź Marka Edelmana:

Proszę Pana, nie tylko, że to jest identyczne. To jest zwycięstwo Hitlera z za grobu, to co się dzieje dziś w byłej Jugosławii. Obchody 50-lecia powstania w getcie mają sens tylko wtedy, jeżeli przypomną światu, że morderstwo, zabijanie ludzi z powodu przekonań religijnych czy narodowościowych jest zbrodnią. I że ta zbrodnia musi być ukarana. Że kat, który to dzisiaj robi, będzie mieć świadomość, że jutro spotka go za to kara. Sens tych obchodów polega na przypomnieniu tej zasady. Nie sądzę, żeby one wpłynęły na zmianę polityki państw, które prowadzą dookoła Jugosławii te swoje przetargi dyplomatyczne i kierują się prawem międzynarodowym, że nie wolno ingerować w wewnętrzne sprawy innych państw, co jest klęską. Bo nie ingerowali w Kambodży, gdzie zabito dwa miliony ludzi, nie ingerowali w Białfrze i nie ingerują tutaj. Ale są świadkami tego. Świadkowie milczący są tak samo winni jak mordercy. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. [...] Teraz jest trochę inaczej, bo środki masowego przekazu pokazują, co się dzieje w Bośni, ludzie wiedzą i jest pewien nacisk na polityków, więc zrzucają z góry pojemniki z jedzeniem. Ale z tego nic nie wynika, bo morderstwa trwają dalej i będą trwały. Bo zasada prawa międzynarodowego powinno być życie ludzkie. Życie ludzkie ginie i będzie ginęło, dopóki się świat nie zmieni. Co robi Europa Zachodnia? Tworzy getto ludzi bogatych. [...] To jest polityka bardzo podobna do polityki Chamberlaina. Człowiek jest taki, mówi sobie, mnie to nie dotyczy, ja chcę mieć spokojne życie, zbuduję sobie mur dookoła bogatych. Różnica polega na tym, że Niemcy budowali dookoła biednych, a tu dookoła bogatych. Ale to jest ta sama psychologia.

XV. W dniach, kiedy w Polsce i na całym świecie obchodzono 50. rocznicę powstania w getcie warszawskim, padła Srebrenica, miasto we wschodniej Bośni, jeden z ostatnich punktów oporu w tym regionie. Przebywało tam kilkadziesiąt tysięcy osób, oprócz stałych mieszkańców również uciekinierzy z okolicznych miejscowości zdobytych przez Serbów. By ich ratować od masowej rzezi, obserwatorzy ONZ i dowództwo oddziałów „niebieskich hełmów” podjęli mediację z serbskimi przywódcami. Ci ostatni zgodzili się w końcu na wpuszczenie do zdobytego miasta oddziału wojskowego sił pokojowych ONZ. Warunkiem jednak było, między innymi... rozbrojenie obrońców Srebrenicy. Muzułmanie nie mieli wyjścia. Spróbujmy jednak wejść w położenie ludzi, którzy przez rok bronią się z determinacją przed znacznie lepiej uzbrojonym przeciwnikiem, by w konsekwencji oddać broń w ręce... potencjalnych sojuszników i patrzeć potem, jak do miasta wchodzi uzbrojone oddziały wroga. Rozpacz. Jak pisać o rozpaczach? I upokorzeniu, które jest konsekwencją bezradności? Oto cena, ja-

ką zapłacili za zgodę Serbów na wywiezienie ze zdobytego miasta rannych, kobiet i dzieci. Oglądam przeładowane do granic możliwości ciężarówki, wywożące tych biednych, opuszczonych przez świat ludzi. Świat, który teraz ratuje ich od pewnej śmierci. Ale jaka przed nimi przyszłość? I co się stanie z mężczyznami, którzy pozostali w serbskich rękach? Czy ktoś o tym pomyślał? No a poza tym... patrząc na rzecz zimno i bez emocji. Z serbskiego punktu widzenia. Czy akcja międzynarodowych organizacji charytatywnych, masowego wywożenia muzułmanów z ich ojczyzny nie wpisuje się w ideologię „czystki etnicznej”? Gdyby tych ludzi pozostawiono na miejscu, to Serbowie „musieliby” przecież „coś” z nimi zrobić! Zamknąć do obozów koncentracyjnych, zastrzelić na miejscu... Nie ma właściwie powodu, dla którego Serbowie mieli się z taką akcją nie zgadzać. Patrząc na rzecz z tego punktu widzenia, łatwiej też pojąć, dlaczego władze muzułmańskie w niektórych miejscowościach, wcześniej, nie chciały zezwalać na wywożenie swoich żon, matek i dzieci. W końcu zgadzali się..., bo alternatywą przecież było zbiorowe samobójstwo. Oto tragedia pisana przez życie na naszych oczach. Nie ujmują jej suche doniesienia dziennikarskie. Nie chwytają kamery filmowa. To jednak, co chwytają, jest i tak wystarczająco wymowne.

XVI. Nie kieruje mym piórem niechęć do narodu serbskiego. Wielu jego przedstawicieli na pewno nie zgadza się z głosicielami i realizatorami postulatów „czystki etnicznej”. Tak jak wielu Niemców nie zgadzało się z hitleryzmem i wielu Rosjan ze stalinizmem. Jest jednak coś bardzo niepokojącego w fakcie, że Miloszević zdobył sobie mandat prezydencki w demokratycznych wyborach i że – w dobie otwartości informacji – nie słychać wielu antywojennych głosów dochodzących z Belgradu. Wygląda na to, że przyniatająca większość liczących się środowisk politycznych i intelektualnych nowej Jugosławii jeżeli nie czynnie, to przynajmniej biernie Miloszewicia popiera. Serbscy „narodowi komuniści” całkowicie opanowali oficjalne struktury polityczne, a także media i prasę oraz instytucje kulturalne. Środowiska nastawione opozycyjnie – młoda inteligencja, studenci – w tej trudnej sytuacji nie potrafili się odnaleźć. Jak pisze Svetlana Slapszak: „Dysydenci nie potrafili przyswoić sobie odmiennego sposobu życia, odmiennych wartości – modelu alternatywnego, który by ich całkowicie uniezależnił od autorytatywnych instytucji oraz od polityki prowadzonej przez ludzi, którzy nigdy nie wyrzekli się komunistycznej władzy”*. I w innym miejscu: „Dysydenci są bezpośrednio odpowiedzialni za to, że nie stworzyli precyzyjnego i ostrego języka jawnej krytyki, który nie przepuściłby żadnej okazji, by zaatakować nacjonalistyczny bełkot”. Dopóki w samej Serbii nie pojawi się silny ruch antywojenny skierowany przeciwko nazistowskiemu bredniom i proponujący demokratyczny i wolnościowy model życia – na Bałkanach nic się nie zmienia.

* Patrz „Kultura” nr 6/1993, pierwsza część artykułu K. W. Tatarowskiego.

Ale to jest zadanie dla Serbów i dla Chorwatów również. Bo i tam nacjonalizm święci triumfy.

Przytłoczeni informacjami o serbskich podbojach kolejnych części Bośni i Hercegowiny przeoczamy często wiadomości o chorwackich akcjach zmierzających do podporządkowania sobie przygranicznych terenów. Do tej pory opalowali oni około 20% terytorium Bośni. Bezceremonialnie wykorzystują sytuację. Ot, choćby 18 kwietnia, w czasie kiedy Serbowie kończyli atak na Srebrenicę, Chorwaci uderzyli na miasto Jablanica, położone kilkadziesiąt kilometrów na południe od Sarajewa.

Biedna Bośnia, przypomina się sytuacja Polski z września 1939 roku. Hitler od zachodu, Stalin od wschodu. Generalissimus osobiście raczył wówczas zaznaczyć linię demarkacyjną na Bugu. Wtedy między niemieckim i sowieckim wodzem panowała jeszcze niezakłócona niczym przyjaźń. Tutaj sytuacja jest odmienna o tyle, że rozdzierający ziemię Bośni i Hercegowiny najeźdźcy również między sobą są skłóceni. A nową mapę tego kraju narysowali panowie Vance i Owen. Sankcjonuje ona lwią część serbskich i chorwackich zdobyczy, tyle że Serbom przyznaje mniej, niż faktycznie już zdobyli. „Czyszczą” więc dalej.

XVII. Wygląda na to – na przełomie kwietnia i maja, kiedy dopisuję ostatnie strony tego tekstu – że świat wreszcie przestanie ograniczać swe działania do wyciągania niedobitków z bałkańskiego piekła. Świadczą o tym ostre wypowiedzi prezydenta Clintona, a także wycofanie przez Jelcyna poparcia Rosji dla nowej Jugosławii. Obiektywny i chłodny sposób podawania informacji o wydarzeniach w Bośni, który obowiązywał w mediach do tej pory, zostaje zastąpiony językiem bardziej emocjonalnym (i, dodajmy, adekwatnym do sytuacji). W amerykańskiej stacji telewizyjnej CNN w wypowiedziach komentatorów i ekspertów pojawiło się ostatnio kilkakrotnie określenie „ludobójstwo” (*genocide*). Jednoznacznie wskazuje się też, kto jest ofiarą, a kto katem. Jeżeli jednak nawet dojdzie do jakiejś formy interwencji zbrojnej w Bośni, to powstaje pytanie – dlaczego dopiero teraz, kiedy cały piękny kraj zamieniony został w wielkie gruzowisko? Przecież o istnieniu obozów koncentracyjnych i o nazistowskiej doktrynie „czystki etnicznej” świat wiedział od dawna, przynajmniej od lata ubiegłego roku. Nie zdobyto się nawet na wysiłek wyswobodzenia obozów, o których istnieniu było wiadomo. Obozów śmierci, do których Serbowie nie dopuścili obserwatorów międzynarodowych i specjalnego wysłannika ONZ Tadeusza Mazowieckiego. Przez długie miesiące, mimo że Rada Bezpieczeństwa ONZ zakazała lotów nad Bośnią i Hercegowiną, przyglądano się, jak strona serbska ten zakaz gwałci, bombardując miasta i zaopatrując w broń oddziały lądowe. Ogłoszony pod koniec kwietnia przez prezydenta USA plan zniesienia embarga na broń dla bośniackich muzułmanów oraz ataków z powietrza na strategiczne pozycje serbskie nawiązuje do jego koncepcji z początku lutego. Od tamtego czasu Serbowie zdobyli kilka większych miejscowości we wschodniej Bośni. Zaś w ostatnim tygodniu kwietnia, po wejściu w życie zaostrożonych sankcji wobec

nowej Jugosławii – ich odpowiedzią była odmowa podpisania planu pokojowego i kolejna wielka ofensywa.

XVIII. I jeszcze garść pytań, które nasuwają się w związku z poruszonymi tu tematami. Do końca kwietnia w Bośni i Hercegowinie zginęło 39 żołnierzy ONZ-owskich, więcej niż w czasie wojny z Irakiem w 1991 roku. Czy nie jest czymś absurdalnym posyłanie między walczące strony wojska (świetnie uzbrojonego), które nie ma prawa używania broni? Czy nie należałoby – nawiązując do przytoczonych wcześniej opinii Marka Edelmana – uczynić z reguły poszanowania podstawowych praw człowieka podstawy prawa międzynarodowego? A wraz z tym zrewidować zasadę o nieinterwencji w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa? Kto miałby to robić? Międzynarodowe wojska ONZ, ale wyposażone w prawo do czynnego wdrażania demokratycznego ładu. Albo – takie rozwiązanie możliwe było w Bośni – oddziały Wspólnoty Europejskiej, od Portugalii po Rosję albo przynajmniej od Portugalii po Niemcy. Muszę przyznać, że rozumiem amerykańskich krytyków decyzji prezydenta Clintona, by zwiększyć zaangażowanie USA w byłej Jugosławii. To zadanie powinni wykonać Europejczycy, oczywiście przy współpracy innych demokratycznych państw. Wydarzenia w Bośni raz jeszcze potwierdziły słowa ministra spraw zagranicznych Belgii Marka Eyckensa po wahaniach i sporach w łonie Wspólnoty Europejskiej w kwestii przyłączenia do koalicji antyirackiej w 1991 roku. Stwierdził on wówczas, że Europa zasługuje na miano „kolosa ekonomicznego, Pigmaja politycznego i larwy militarnej”. Sprawdziło się.

XIX. Jak to się właściwie dzieje, że w sercu sytego i pogodnego mimo wszystko organizmu europejskiego sadowi się nagle potwór, który znieprawia ludzkie umysły i wywołuje powszechną grozę? Jaka jest natura owego potwora? Złożona zapewne i niemożliwa do jednoznacznego zdefiniowania. Najtęjsze umysły w dziejach ludzkości mierzyły się z pojęciem zła i każdy widział jego naturę trochę inaczej. Filozofowie głosili śmierć Boga i zastanawiali się, „czy diabeł może być zbawiony?”. Poeci prowadzili z nim flirty i targi, umiejscawiając go to w historii, to w ludzkim sercu. Księża przestrzegali przed nim i stawiali krzyże, zagradzając mu drogę. A on znajdował boczne ścieżki. Albo wkładał się w serca tych, którzy nieśli krzyże i w ich imię mordowali innowierców. Jakże bowiem pogodzić krzyż z duszą inkwizytora?

Diabeł, o którym piszę w tym tekście, diabeł nacjonalizmu, należy do najgroźniejszych i najbardziej rozpowszechnionych diabłów. Chcę zakończyć zapisem z mojego dziennika z początku tego roku. Prowadząc wtedy jeden z radiowych programów, wysłuchałem relacji o obozie pracy przymusowej w Jaworznie. Istniał on do 1954 roku i panował w nim rygor bliźniaczo podobny do łagrów sowieckich. W audycji tej, poprzez dokumenty w niej przytoczone, poruszono też bardziej uniwersalną sprawę wiążącą się z ludzką naturą. Z okrucieństwem. I to nie „klawiszów”, którzy z „nadania władzy” niejako musieli przestrzegać drakońskich regulaminów. Z okrucieństwem ludzi z boku, z zew-

nątrz. Oto scena pędzenia do obozu osób pochodzenia niemieckiego. Jest 45. rok, tuż po wojnie. Scenę tę opisuje kobieta w zaawansowanej ciąży. Towarzyszy jej 4-letnia córka. Kobieta mdleje, dziecko błaga o łyk wody. Chłopi z okolicznych wsi odganiają ich od studni, jak niegdyś odganiało się trędowatych. W końcu jeden z żołnierzy czy milicjantów, którzy prowadzą ich do obozu, wbrew protestom miejscowej ludności nabiera do naczynia wody i pozwala się napić kobiecie, jej dziecku i innym osobom z konwoju. Małeńka scenka – ale jakże wymowna. Potępiamy dziś Serbów i Chorwatów w byłej Jugosławii. A przecież kierują nimi te same, najprostsze i najniższe, „plemienno-wspólnotowe” odruchy. „Nie nasz” – to wróg, niech zdycha. W opisywanej scenie grzechem tych ludzi, polskich wieśniaków, była nieczułość na cierpienia drugiego człowieka (choćby i Niemca). Serbowie posunęli się jedynie pół kroku dalej, uznając, że wszystkich „nie-swoich”, to znaczy Muzułmanów, trzeba wymordować. Ale podstawa myślowa jest tu taka sama: postawienie plemiennej wspólnoty nad naturalne czy boskie prawa mówiące o konstytucji człowieka jako istoty odrębnej od innych ssaków, od płazów, gadów, ryb, ptaków... i czego tam jeszcze. Nie człowiek zatem w myśleniu nacjonalisty jest ważny, ale to, co ludzi różni: rasa, religia, język, miejsce urodzenia i wychowania *etc.* Ten diabeł, diabeł nacjonalizmu, i inne szatańskie pokusy tkwią w każdym z nas. Jak pisał pewien mało znany poeta:

W lesie natury błądząc z rozumu latarką
I z duszą na ramieniu w świątyni popiołów,
Gasisz stosy, gdzie kości zwęglonych aniołów.
Szloch niesie się jak potop nad Przymierza Arką
I z jego studni czerpiąc, ciągle w miłość zbroisz
Zło, którego krawędzią chleb codzienny kroisz.

Monachium, 2 maja 1993

[7-8/1993]

Pomiędzy Timișoară a Tirgu Mures

1.

Pamiętnej jesieni narodów 1989 roku w pewnym mieście w Banacie, zwanym przez jednych Timișoară, przez drugich Temesvár, stanęli obok siebie ramię w ramię Rumuni i Węgrzy w proteście przeciwko reżimowi Ceașescu, zapoczątkowując tym samym przewrót w Rumunii. Nikt wtedy nie mówił o mniejszościach narodowych. Mówiono o opozycji demokratycznej, o mieszkańcach miasta, obywatelach Rumunii. W kilka miesięcy później, w marcu 1990 roku, w pewnym mieście sąsiedniego Siedmiogrodu, zwanym przez jednych Tirgu Mures, a przez drugich Marosvásárhley, stanęli naprzeciwko siebie pełni nienawiści Rumuni i Węgrzy. Doszło do walki. Były ofiary śmiertelne. Potem w Rumunii wszystko wróciło do „normy” – mniejszości narodowe zaczęły zwierzać swe szeregi tak jak nauczone były to czynić przez całe mijające stulecie; przystępowano do tworzenia partii narodowych, kontynuowano walkę o uniwersytety narodowe, wyklócano się o narodowe „okienka” w mass mediach, oczekiwano pomocy ze stolicy, od strony „macierzy”, od Ligi Narodów – o, przepraszam, Rady Europy oczywiście...

Te dwa wydarzenia ze współczesnej historii Rumunii są symboliczne dla biegu wypadków w całej Europie Środkowo-Wschodniej po roku 1989. „Norma”, która nastąpiła po Tirgu Mures, stała się powszechna we wszystkich krajach postkomunistycznych. Czasami ustanawiano ją za pomocą zbrojnego konfliktu, jak to miało miejsce w byłej Jugosławii; czasami poprzez krwawe, ale sporadyczne i na niewielką skalę konflikty lokalne, jak w Siedmiogrodzie, a czasami poprzez drobne, ale niekończące się incydenty na Śląsku, Spiszu, Bukowinie, w Wilnie, Przemyślu, Komarnie... Przede wszystkim jednak o jej dominacji zdecydowało to, iż w powszechnej świadomości „norma” ta była oczywista i naturalna, nie było żadnej innej, która mogłaby zająć jej miejsce. Wspólnoty narodowe, zwłaszcza te będące w mniejszości, okopały się na swych pozycjach i przystąpiły do obrony swych partykularnych interesów. Do istniejących już linii podziału doszły nowe. Natomiast Timișoara symbolizuje szansę, jaką przez krótki moment mieliśmy w tym przełomowym okresie, szansę zrealizowania innego scenariusza rozwoju wydarzeń, opartego na postawie obywatelskiej, wyswobodzonej z opłot-

ków narodowego egoizmu, gotowej do wspólnego budowania w oparciu o cały potencjał naszego najbliższego sąsiedztwa i wielokulturowych tradycji. Była wówczas szansa, aby w miejscach przez nas zamieszkiwanych znalazł się – używając sformułowania Józefa Mackiewicza – „sukcesor do całości”, a więc ktoś, kto scali i zintegruje świat, z którego w minionym okresie „każdy chciał tylko urwać dla siebie kawałek”. Sam fakt, że Rumuni i Węgrzy razem stanęli do walki o wspólną sprawę – a byli z nimi również miejscowi Niemcy, Serbowie i Żydzi – mógł w konsekwencji spowodować stworzenie wspólnej partii politycznej, wspólnego uniwersytetu i integracyjnego programu edukacyjnego dla szkół, wspólnej telewizji, radia czy gazety. Przecież podziały nie muszą przebiegać wzdłuż przynależności narodowej czy wyznaniowej. To był ten moment, w którym wydawało się to możliwe. W grudniu 1989 roku w Rumunii nikt złego słowa nie mógł powiedzieć o Węgrach, którzy byli towarzyszami we wspólnej walce. Podobnie było pomiędzy Polakami i Litwinami, zwłaszcza wówczas, gdy padły pierwsze ofiary podczas szturmów wojsk sowieckich na wieżę telewizyjną w Wilnie. Gorące przemówienia w polskim Sejmie, atmosfera solidarności z walczącymi o niepodległość sąsiadami, zaangażowanie we wspólną sprawę części litewskich Polaków. Coś podobnego jak na początku drugiej wojny światowej, gdy zwaśniona z Polską Litwa otworzyła swe granice dla polskich żołnierzy uciekających przed Sowietami i po ludzku ich przyjęła u siebie.

Takich przykładów można by znaleźć jeszcze wiele. Wszystkie trwały bardzo krótko. W Rumunii rządząca nomenklatura, która „ukradła” rewolucję Timișoara dla dokonania jedynie wewnętrznego zamachu stanu (dzisiaj coraz więcej zwolenników ma teza, że grudniowe zajścia były świadomie w tym celu sprowokowane), tak naprawdę wystraszyła się jednego: sojuszu rumuńsko-węgierskiego. Szybko zaczęto rozgłaszać, że opozycja wyprzedaje rumuńskie interesy narodowe Budapesztowi. Hasło padło na podatny grunt zadawnionych urazów i lęków. W Timișoarze Rumuni zaczęli udawać, że nie mają nic wspólnego z Węgrami i poprosili swych węgierskich przyjaciół, aby nie podpisali się z nimi na wspólnych programach, lecz pisali swoje własne. Nieuchronnie zbliżało się Tirgu Mures. Propaganda rozgłaszała, że Węgrzy chcą odłączyć Siedmiogród od Rumunii. Do miasta nadjeżdżały autokary z chłopami rumuńskimi, którzy pamiętali Węgrów jedynie z lat 50., kiedy jako komunistyczni urzędnicy przeprowadzali kolektywizację ich gospodarstw. Łatwo to można skojarzyć z freskiem znajdującym się w ogromnej cerkwi prawosławnej na głównym placu miasta, przedstawiającym pana węgierskiego chłostającego rumuńskiego chłopca. Na tym placu po kilku dniach sporadycznych incydentów spotkały się ze sobą manifestacje węgierska i rumuńska. Dokumentalne zdjęcia filmowe, które obiegły później cały świat, pokazywały człowieka zapamiętającego jakąś tablicę z dyktando drugiego człowieka. Domniemywano, że to Rumun bije Węgra, później okazało się jednak, że było tak jak na fresku w cerkwi.

A potem wszystko wróciło do „normalności”. „Dziwisz się, że walczymy o swój węgierski uniwersytet?” – dopytywał się z niedowierzaniem mój znajomy

z Klużu (on mówił: Kolozsvár), gdy próbowałem mu tłumaczyć, że pojęcia „uniwersytet” i „narodowy” wykluczają się wzajemnie. Staliśmy na głównym placu miasta przed pomnikiem siedmiogrodzkiego króla Węgier Mathiasa, na którym narodowy mer miasta George Funar nakazał przymocować tablicę w języku rumuńskim, z której wynikało, że król był pochodzenia rumuńskiego i został pokonany przez własny naród. Wokół rozpoczynały się właśnie zainicjowane przez Funara przygotowania do prac wykopaliskowo-archeologicznych, mających na celu odnalezienie ruin starożytnych rzymskich budowli. Gdyby prace rozwijały się dobrze, z pewnością trzeba by usunąć (przynajmniej na czas jakiś) pomnik „pokonanego” króla. Mieszkańcy, zarówno Węgrzy, jak i Rumuni, którzy uważają Mathiasa za swego wspólnego władcę, szykowali się do protestu. Później dowiedziałem się, że rząd pod naciskiem protestujących wstrzymał prace wykopaliskowe. Natomiast za pomyłkę uznano fakt zamalowania i pokrycia tynkiem podczas „porządkowania” miasta tablicy poświęconej pamięci Józefa Bema – władze lokalne zostały wprowadzone w błąd faktem wymawiania z węgierską imienia generała – József. Dopiero protesty mieszkańców ujawniły, że Bem nie Węgrem był, lecz Polakiem. Działo się to wszystko w roku 1994. Z tego samego okresu podobne przykłady naszej środkowoeuropejskiej „normalności”, która nastąpiła po Tirgu Mures, mógłbym przytaczać bez końca. Na przywołanym wcześniej pograniczu polsko-litewskim, gdzie też rozsiewano plotki o rewindykacyjnych zakusach Warszawy wobec Wileńszczyzny, Polacy litewscy szybko doszli do przekonania, że trzeba tworzyć własny polski uniwersytet w Wilnie, a w Sejnach rozpoczęły się spory o pomnik Antanasa Baranaukasa, który był biskupem i Polakiem, i Litwinem.

Zostawmy jednak w spokoju Tirgu Mures i jego konsekwencje, do których już przywykliśmy i skłonni jesteśmy raczej je bagatelizować. No bo cóż znaczą drobne incydenty na tle narodowym czy wyznaniowym wobec przemian i reform, jakich doświadczamy obecnie, wobec procesu integracji europejskiej? Problem tkwi jednak w tym, że choć incydenty same w sobie nie są może groźne i mają zasięg lokalny, to jednak ujawniają istnienie ciągle tej samej „normy”, według której ułożone jest nasze myślenie i postępowanie i która nie podlega żadnym przemianom ani reformom. Lecz by się przyjrzeć temu zjawisku bliżej, pytać raczej należy nie o Tirgu Mures, a o Timișoară, o to, dlaczego w dłuższej perspektywie Timișoara była niemożliwa?

2.

Wiele wskazuje na to, że po załamaniu się ideologii komunistycznej jej miejsce zajmuje ideologia nacjonalistyczna, zrodzona w tym samym XIX wieku, bardziej jednak – jak się okazuje – żywotna. Ktoś powiedział nawet, że by przejść z systemu komunistycznego do demokratycznego, trzeba zmienić słownictwo i gramatykę, natomiast przechodząc do nacjonalizmu, wystarczy zmienić jedynie słownictwo. Rzeczywiście niepokojąco łatwo i szybko ta zmiana się dokonu-

je. Sprzyja temu dziedzictwo poprzedniego systemu, który wprowadził w sferze ideologii tożsamość narodową, w praktyce jednak ugruntowywał dominację myślenia narodo-państwowego. Rzecz dotyczy jednak nie tylko byłych krajów komunistycznych. Już na początku lat 80. Isaiah Berlin zwrócił uwagę na niespodziewany renesans nacjonalizmu we współczesnym świecie. Nikt z wybitnych myślicieli początku naszego stulecia tego nie przewidział. Wróżono raczej rychły zmierzch tej ideologii opartej na słabej jednostce poszukującej wsparcia i dowartościowania w określonej zbiorowości. Dla tych jednostek zbudowano państwa narodowe, w których posiadacze tej właściwej narodowości, a bardzo często i wyznania, mogli poczuć się u siebie i na swoim, mogli powiedzieć o sobie „my”, podczas gdy wszyscy inni to byli już „oni”, skazani na organizowanie się i walkę o przetrwanie w tzw. mniejszościach. Zaistnienie takiego tworu jak państwo narodowe pociągało za sobą daleko idące konsekwencje dotyczące organizacji życia społecznego i politycznego, sposobu myślenia i wartościowania. To jest „gramatyka”, którą posługujemy się do dzisiaj. Wykazał to przekonująco Michael Billig w książce *Banal Nationalism*, którą omawiał niedawno Jerzy Szacki na łamach „Gazety Wyborczej”:

[Billig] pokazuje, jak myślenie w nacjonalistycznych kategoriach nieustannie ujawnia się w języku brytyjskiej i amerykańskiej polityki czy też w języku codziennej prasy, i to nawet wtedy, gdy nie dotyka ona wielkich narodowych tematów. [...] Świat, w którym żyjemy na co dzień, okazuje się uporządkowany w znacznej mierze w kategoriach narodowego „my” i „oni”, choć wielu z nas o tym nie wie [...], tożsamość narodowa nie jest jedną z wielu tożsamości, pomiędzy którymi jednostka dokonuje swobodnego wyboru, lecz stanowi jej tożsamość bezwzględnie najważniejszą i jak gdyby „naturalną”, bo narzucaną codziennie przez tę „formę życia”, jaką jest państwo narodowe.

Timișoara to było rumuńsko-węgierskie „my” przeciwstawione „onym”, reprezentującym inny świat wartości. Była to zatem inna „gramatyka”. Wydawałoby się, że to tak niewiele, a jednak... By mógł się dokonać nowy „przewrót kopernikański”, trzeba od czegoś zacząć. Napisałem o Timișoarze, że to była wielka szansa, jaką niosła ze sobą jesień narodów 1989 roku. Naiwnością byłoby sądzić, że mogła być ona już wówczas zrealizowana. Natomiast może jej jeszcze całkowicie nie zaprzepaściliśmy? Wydaje się, że tym razem historia dała nam łaskawie trochę czasu. Warto go wykorzystać, próbując odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Timișoara była wówczas niemożliwa i jakie konsekwencje należy z tego wyciągnąć?

Z pewnością byliśmy nieprzygotowani do zaproponowania nowej, wyrazistej postawy, odnoszącej się do naszych środkowoeuropejskich realiów. Wykrystalizowanie się tej postawy utrudniał fakt, że wyzwaliśmy się z systemu komunistycznego, który tłumił i sztucznie redukował uczucia narodowe, które domagały się teraz ujścia i dowartościowania. Z drugiej strony przyjmowaliśmy na wiarę, że w Europie istnieją już wypracowane wzorce postaw, które potrafią uporać się z różnymi problemami, w tym również narodowościowymi, więc wystarczy

je tylko przeszczepić na własnym gruncie. W konsekwencji w tym przełomowym okresie bardzo niewielu z nas odczuwało potrzebę wyartykułowania jakiejś nowej postawy, wypracowania nowych wzorców myślenia i wartościowania. Z jednej strony rugowaliśmy komunizm, z drugiej strony – przyjmowaliśmy Europę i w ten sposób utrwalaliśmy model państwa narodowego i robiliśmy miejsce dla jego ideologii – nacjonalizmu. Wprowadził retoryka europejska jest dzisiaj bardzo antynacjonalistyczna i na każdym kroku podkreśla się obawy związane z odradzającymi się nacjonalizmami w Europie Środkowo-Wschodniej, to jednak sami zachodni Europejczycy pielęgnują swój własny nacjonalizm, co obnażył w swej książce Michael Billig, i wcale im nie spieszo do zmiany tej „gramatyki”. Można by to doskonale wykazać na przykładzie stosunku państw europejskich do konfliktu w byłej Jugosławii, a szczególnie w Bośni i Hercegowinie, ale to już temat na osobną opowieść. W każdym razie, na taką Europę się otworzyliśmy, zapominając bardzo często o tym, co sami już wcześniej wypracowaliśmy, na przykład o „linii” paryskiej „Kultury” propagującej konsekwentnie otwieranie się i zacieśnianie współpracy z najbliższymi sąsiadami, co nie byłoby możliwe bez uprzedniego pozbycia się rozmaitych narodowych resentymentów i uprzedzeń; albo o koncepcji Europy Środkowej lansowanej przez środowiska dysydenckie i emigracyjne. Paradoksalnie w roku 1989, kiedy można było przystąpić do ich urzeczywistniania, straciliśmy zainteresowanie tymi koncepcjami, nagle wydały nam się one albo nierealne, albo drugorzędne. Do tego wszystkiego nasi intelektualiści, z właściwym sobie samokrytycyzmem, uznali, że są właściwie niepotrzebni, że wobec krachu wszelkich ideologii podejmowanie wysiłku formułowania nowych idei mija się z celem.

Oto jak w przybliżeniu można by przedstawić sytuację, kiedy okazało się, że Timișoara jest jedynie krótkim, spontanicznym zrywem, niemożliwym do utrzymania w dłuższej perspektywie. Cóż można było przeciwstawić zbliżającemu się nieuchronnie Tirgu Mures, które wsparte było na od lat ugruntowujących się przekonaniach, urazach, słabościach, profitach, strukturach...? Ich siła w tym, że są aż banalne, a tym samym prawie niedostrzegalne i przyswojone przez ludzi jako coś naturalnego. Tej „gramatyki” nie można zmienić z dnia na dzień. Jak wspomniałem wcześniej, w moim przekonaniu ciągle istnieje jeszcze szansa, aby to nie Tirgu Mures, lecz Timișoara była symbolem środkowoeuropejskiej tożsamości. Wiele się od tamtego czasu zmieniło i ciągle zmienia. Dobrze ilustruje te zmiany przykład moich przyjaciół Smarandy Enache i Eleka Szokoly, którzy są liderami działającej w Tirgu Mures „Ligi pro Europa”. Podobnie jak wielu intelektualistów swoje działania rozpoczęli od otwarcia na Europę i przemożnej woli sprowadzenia Europy do swojego miasta i regionu. Przyjeżdżali więc rozmaici zachodni eksperci, odbywały się seminaria, konferencje i szkolenia. Po jakimś czasie spostrzegli jednak, że niewielkie jest przełożenie tych poczynań na życie, które toczy się dookoła nich. A przy tym ta Europa często rozczarowywała w konfrontacji z tym wyobrażeniem o niej, jakie mieli z perspektywy swojego

Siedmiogrodu. Jako ludzi rzetelnie podchodzących do życia i niedających się zwieść ani łatwym splendorom, ani międzynarodowemu uznaniu bardzo ich ta sytuacja męczyła. Ostatnim razem odwiedziłem ich w marcu ubiegłego roku. Akurat trwał organizowany przez nich w każdą rocznicę zamieszek rumuńsko-węgierskich festiwal kulturalny, któremu towarzyszyły rozmaite projekty edukacyjne. W spotkaniach licznie uczestniczyli mieszkańcy, zwłaszcza młodzi Rumuni, Węgrzy i Cyganie, bo Niemcy i Żydzi byli już raczej w podeszłym wieku. Brali udział w integracyjnych warsztatach artystycznych, wspólnie poznawali wielokulturowe dziedzictwo swego miasta, redagowali wspólnie gazetę, na wspólnym forum dyskutowali o zaszłościach historycznych i budowaniu wspólnej przyszłości, nauczyciele dzieci cygańskich dyskutowali o udoskonaleniu programu ich edukacji... Wszyscy spotykali się wieczorami na spektaklu rumuńskiego teatru bądź na koncercie orkiestry kameralnej z Budapesztu. Pomyślałem, że ich organizacja równie dobrze mogłaby się nazywać „Liga pro Transylwanie”, bo tak brzmi łacińska i rumuńska nazwa Siedmiogrodu, a właściwie jeszcze inaczej: „Transylwanie pro Europa”.

[6/1997]

LEOPOLD UNGER

Księga czarna i czerwona

Habent sua fata libelli...

Książki mają swoje losy. Ale żeby do tego stopnia!?

Przez buchalterię do serca komunizmu

Żadna książka historyczna, zwłaszcza tak opasła, trudna w czytaniu, pełna dokumentów, statystyk, nazwisk, cytatów, odsyłaczy, nie wywołała w ciągu ostatnich lat takiego echa, a przede wszystkim takiego skandalu i takich ataków. „Książka nachalna”, „gwałt techniki reklamowej na pracy naukowej”, „operacja propagandowa”, „hucpa (*imposture*) intelektualna”, „dane manipulowane”, „liczby sfalszowane” – to tylko skromny wybór z litanii na temat *Czarnej księgi komunizmu: zbrodnie, terror, prześladowania* i jej autorów, a zwłaszcza Stéphanie'a Courtois, koordynatora całości, redaktora przedmowy i wniosków.

Jest się o co spierać. Ilościowo i jakościowo, na wagę i na treść. Sześciu autorów głównych: poza Courtois są tam historycy Nicolas Werth, Jean-Louis Panné, Jean-Louis Margolin, Karel Bartošek i Polak Andrzej Paczkowski, pięciu współpracowników i koautorów niektórych rozdziałów: Rémi Kauffer, Pierre Rigoulot, Pascal Fontaine, Yves Santamaria i Sylvain Boulouque, 850 stron gęstego druku, 15 stron indeksu z około 1500 nazwiskami, masa dokumentów, 32 strony zdjęć (mało: „komuniści nie chwalili się sukcesami”, wyjaśnia Courtois), wszystko razem, wydane przez Robert Laffont, składa się na pierwszą, według Courtois, próbę globalnego, „planetarnego” dotarcia i opisu jądra zjawiska pod nazwą komunizm, to znaczy zbrodni i terroru.

Księga, poza wstępem i zakończeniem, zawiera kolejno rozdziały dotyczące ZSRR (*Państwo przeciw narodowi*), Kominternu (*Rewolucja światowa, wojna domowa i terror*), Europy Środkowej i Wschodniej (*Druga Europa, ofiara terroryzmu*), Azji (*Komunizm azjatycki: między reedukacją i masakrą*), Trzeciego Świata (*Ameryka Łacińska w starciu z komunizmem, afrokomunizm i Afganistan*).

Samo wyliczenie tytułów rozdziałów przyprawia o dreszcze. Nic dziwnego, że Courtois oczekiwał kontrofensywy. I doczekał się – co w swojej przedmowie podkreśla – że podjął wszystkie możliwe w nauce kroki zapobiegawcze, zanim sformułował wniosek, iż terror był od samego początku jednym z zasadniczych czynników współczesnego komunizmu, w jego całości i przez cały czas jego istnienia. Że, inaczej, w bardzo wielkim skrócie mówiąc, masowa zbrodnia stanowiła w komunizmie istotę systemu sprawowania władzy.

Księga podejmuje próbę podliczenia rezultatów rządów komunistycznego terroru (czyli bez ofiar wojny). Naturalnie, jest to, jak powiada Courtois, tylko przybliżenie (raczej w dół, dodaje), ale jest to także jedyny sposób na uświadomienie sobie „wagi (czy zasięgu) problemu”. „Wagi” to naturalnie eufemizm. Bilans jest przerażający. ZSRR: 20 milionów zabitych; Chiny: 65 milionów; Wietnam: 1 milion; Korea Północna: 2 miliony; Kambodża: 2 miliony, Europa Środkowa i Wschodnia: 1 milion; Ameryka Łacińska: 150 000; Afryka: 1,7 miliona, Afganistan: 1,5 miliona... Bilans sięga – powiada Courtois – 100 milionów ofiar czerwonego terroru według wszystkich trzech uznanych w zasadach trybunału z Norymbergi rodzajów: zbrodni przeciw pokojowi (np. traktat z Hitlerem w 1939), zbrodni wojennych (np. Katyń) i zbrodni przeciw ludzkości (głód, deportacje, „rozkułaczenie” i inne likwidacje całej grupy, „wrogiej klasy” itd.).

Halucynacja? Wcale nie, rzeczywistość. I to bardzo starannie udokumentowana. Jeżeli, jak napisał Queneau, „historia to nauka o ludzkim nieszczęściu”, to *Księga* tę formułę potwierdza. Koszmarna „buchalteria” nie stanowi jednak celu samego w sobie. Jest tylko jednym (może głównym) z instrumentów, jakimi posłużyli się autorzy poszczególnych rozdziałów dla omówienia i zrozumienia tego kolosalnego zjawiska, jakim jest współczesny komunizm, jeden z dwóch totalitaryzmów, jakie nazwały i wykrwawiły XX wiek, i jakie, w Chinach, Korei czy na Kubie lub mniej bezpośrednio jak we Francji, gdzie partia komunistyczna uczestniczy w rządzie, jeszcze go w jakiś sposób znaczą.

Ostrość ataków na książkę, a zwłaszcza na Courtois (krytykowany także, co jest osobliwością wydarzenia, przez niektórych... współautorów), nie powinna dziwić. Książka ma (dzięki m.in. – co za paradoks – ostrości ataków przeciw niej), jak na tego rodzaju dzieło, kolosalne powodzenie. 130 000 egzemplarzy sprzedanych w ciągu pierwszego miesiąca nadaje jej wymiar ważnego zjawiska politycznego i ideologicznego. Nie mogło ono nie wywołać gwałtownej reakcji ze strony zwolenników (bezpośrednio zainteresowanych lub ich poputczyków) licznych, zwłaszcza we Francji, innej – nie głównie „zbrodniczej” – analizy komunizmu. *Księga* stawia bowiem sprawę jasno: terror i masowa zbrodnia tkwią w samym sercu systemu komunistycznego, terror komunistyczny nie był pomysłem Stalina, który miał zdradzić wielkiego Lenina, a pojawił się wraz z rewolucją, był obecny od początku w teorii i praktyce Lenina; Stalin, jak powiada Werth w najdłuższym i najlepiej udokumentowanym rozdziale (jedna trzecia całej książki), „był w Leninie”.

To jednak tylko początek rozumowania. Idąc tym śladem, Courtois dowodzi, że jakąś część zbrodni popełnianych przez rządy komunistyczne (np. „zamorzenie” głodem milionów chłopów tylko za to, że uznano ich za „kułaków” i tylko za to, że byli Ukraińcami, albo masowe wywózki całych narodów Czechołów czy Ingusów) zaliczyć można bez wahania i w pełni do kategorii zbrodni przeciw ludzkości. Stąd był już tylko jeden krok do zestawienia „doko-

nań” komunizmu i hitleryzmu, dwóch systemów totalitarnych, które umieścili zbrodnie u podstaw ich funkcjonowania, do porównania „totalitaryzmu (i zbrodni) rasy” do „totalitaryzmu (i zbrodni) klasy”. To prawda, że po jakimś czasie bolszewicki terror tracił na ostrości, w Europie Środkowej po kilku latach, w ZSRR czy Chinach po kilku dziesięcioleciach, że reżimy komunistyczne, stabilizując się, przechodziły na „represje na co dzień” (cenzura, zamknięte granice, prześladowanie dysydentów), ale „pamięć terroru” bardzo przyczyniała się do zapewnienia skuteczności systemu.

Mówiąc w wielkim skrócie i po dziennikarsku, *Księga* rzuciła ogromne wyzwanie: zrozumieć, jak to się stało, że tak wielki ideał przeszedł w tak wielką zbrodnię, że tak ogromna nadzieja przekształciła się w tak ogromny koszmar? Udało się? I tak, i nie, a raczej i nie, i tak.

Nie, bo awantura między autorami (Werth i Margolin są w sporze z Courtois) w jakiś sposób redukuje wiarygodność książki. Tak, albowiem niezwykła w kołach naukowych ostrość krytyki zewnętrznej potwierdza, że *Księga* trafiła w czuły i bolesny punkt. Zdumiewający sukces książki świadczy o ogromie ludzkiej ciekawości i wątpliwości, a także o ogromie potrzeby sprostania temu „zamówieniu”.

Dla uważnego czytelnika wydawnictw i czasopism historycznych, np. w Polsce, *Księga* zawiera tylko niewiele faktograficznych rewelacji. Jednak problemy natury, nie bójmy się tego słowa, ideologicznej, jakie, poza „buchalterią”, stawia ta „Czarna (rzeczywiście) książka”, są już dziś, miesiąc po jej ukazaniu się, niezbędnym etapem na drodze poznania zjawiska komunizmu, jednego z głównych, jeżeli nie głównego rozdziału historii XX wieku.

Historia ludzkości znaczone jest krwią. Ale żaden wiek tak nią nie spłynął jak nasz kochany wiek XX. My, współcześni, poznaliśmy wszystkie wielkie katastrofy możliwe: dwie wojny światowe, masakry w Turcji (Ormianie), Abisynii, Białym, Rwandzie i Bośni. Jedyne w historii zjawisko Shoah. I dwa totalitaryzmy. O wszystkich właściwie nieszczęściach powstały książki i filmy, każde prawie ma swoje muzeum, „użyźnia” całe gałęzie nauki. Także komunizm w jego utopijnym aspekcie ma bogatą literaturę. Ale jego realna tragedia była właściwie, w sensie globalnym, w jej światowym wymiarze, pominięta albo zafalszowana. *Księga* stara się zacząć to nadrobić.

Do niedawna historia była pisana przez pryzmat dziejów władzy. Potem przez pryzmat dziejów społeczeństwa. Teraz nie może już być pisana bez uwzględnienia dziejów prześladowań i ich ofiar. Dla książki, nawet *Księgi*, to nie najgorszy rezultat. Aby tak być mogło, trzeba było wywołać dyskusję. *Czarnej księdze* się to udało. Może nawet za bardzo. Jak do tego doszło?

Courtois, prosto z Siniawskiego i Dostojewskiego

Broda à la Siniawski, bary byłego gracza w rugby (był), Stéphane Courtois przypomina wyglądem rosyjskiego chłopca. Temperament, wprost przeciwnie, raczej anarchisty, prosto z powieści Dostojewskiego. Courtois, pięćdziesiątka chyba na karku, to prowokator, w najlepszym, intelektualnym sensie tego słowa. Z zawodu jest historykiem, prowadzi badania w ramach CNRS, głównego francuskiego ośrodka badań naukowych.

Do podjęcia się tak ogromnego i ryzykownego zadania, jak koordynowanie prac nad *Czarną księgą* i napisanie do niej przedmowy i zakończenia, Courtois był dobrze przygotowany. Naukowo i „biograficznie”. Niedawno brał udział w przygotowaniu i wydaniu dwóch bardzo kontrowersyjnych książek. W pierwszej, *Prawda archiwów*, Karel Bartošek, historyk pochodzenia czeskiego, mieszkający od dawna we Francji, pracujący także w CNRS, współautor *Czarnej księgi*, obala męczenniczą – według autora – legendę Artura Londona, więźnia stalinizmu, cudem uratowanego spod stryczka w serii procesów Słanskiego, autora książki *L'Aveu* (*Przyznanie się do winy*), która posłużyła za kanwę scenariusza głośnego filmu z Yves'em Montandem w fantastycznej roli. W drugiej, historyk Gérard Chauvy zaatakował inną francuską legendę, okupacyjną epopeję małżonków Lucie i Raymonda Aubrac.

Specjalność Courtois to historia komunizmu. Specjalność i pasja, co nie zawsze daje udaną mieszkankę. Courtois uzupełnia historię XX wieku, ale, być może, załatwia tą drogą porachunki. Także z sobą samym...

W maju owego roku 1968 student w Nanterre, sercu ruchu goszystowskiego, Courtois działał w „Niech żyje rewolucja”, grupce maoistowskiej, „ale nie prochińskiej”, jak oznajmiał jej bełkotliwy „program”. Lekkie, na szczęście, delirium trwało chyba do 1971 roku, kiedy Courtois przejrzał i dojrzał, aby móc się zdziwić, że mógł tak uwielbiać „największego zbrodniarza w historii” (doliczył się w *Czarnej księdze* 65 milionów ofiar „wielkiego sternika”).

Ale jak przejrzał, to dokładnie i do końca. Ostateczne „objawienie” nastąpiło z chwilą, kiedy Courtois spotkał Annie Kriegel, jedną z najbardziej żarliwych, gorliwych i... inteligentnych stalinowskich komunistycznych intelektualistek francuskich, która wtedy już zdążyła przejrzeć i przejść na pozycję wprost przeciwną. Razem założyli bardzo poważne pismo naukowe „Komunizm”, pierwsze właściwie na takim poziomie w tej dziedzinie we Francji, gdzie z uwagi na głębię „zakażenia” przedsięwzięcie tego typu było wyjątkowo trudne i ryzykowne. Razem z Kriegel Courtois wydał m.in. biografię Eugena Frieda, agenta Kominternu, który z upoważnienia Stalina kierował właściwie partią francuską w latach trzydziestych.

Przeciwnicy, w tym niektórzy spośród jego byłych towarzyszy, biją w Courtois jak w bębny: głównie zarzuca mu się manipulowanie danymi i obsesję spisku z udziałem niewidzialnych macek KGB. Ataki są ostre, ale dokumenty na

ogół przyznają rację Courtois. On sam się zresztą nie zraża. Na każdy atak, poza inwektywami, odpowiada propozycją dyskusji. Courtois niczego się nie boi. Ani kompartii francuskiej, ani nawet tak potężnej francuskiej instytucji jak „Le Monde”, której dyrekcję posadza o trockistowską nostalgię. Niektórzy twierdzą, że nie bez racji...

Courtois to człowiek ambitny. Swoje posłowie do *Czarnej księgi* zatytułował skromnie *Dlaczego?* Dlaczego nowoczesny komunizm przeistoczył się, prawie natychmiast, w krwawą dyktaturę, a potem w zbrodniczy ustrój? Drobiazg, można powiedzieć. W chwili kiedy te słowa dotrą do czytelników „Kultury”, Courtois będzie w pełnej wojnie o jego odpowiedź na to pytanie. W chwili kiedy te słowa były pisane, Courtois tę odpowiedź właśnie szykował.

„Od szatana do belzebuba”

Stéphane Courtois był w Brukseli z początkiem grudnia 1997 roku. Rozmowa, kurtuazyjna, choć fragmentami ostra, trwała prawie 2 godziny. Potem poszliśmy na znakomitą kolację. Oto streszczony zapis rozmowy (kolacji streścić się nie da...)

Leopold Unger: Te 850 stron to, w sporej mierze, Pańskie dzieło. Pan koordynował zespół, Pan napisał długą i rzeczową przedmowę i wnioski. Słusznie więc w Pana właśnie przede wszystkim godzą krytycy. Nie żalują sobie. Czego tam nie ma? Właściwie najmniej jest poważnej, rzeczowej dyskusji, najwięcej inwektyw. Dostał Pan nie lada wyróżnienia: jest Pan najbardziej chyba atakowanym autorem ostatnich lat. Co się dzieje?

Stéphane Courtois: Nic nadzwyczajnego. Nasza książka wprowadziła rzeczywiście we wściekłość pewną liczbę osób, w wielu – właściwie we wszystkich w jakiś sposób zainteresowanych – środowiskach. Było to zresztą do przewidzenia. Wiedziałem, że *Księga* wywoła podział, ba, przepaść nawet między tymi, którzy gotowi są pogodzić się z prawdą, a tymi, którzy – z powodów politycznych czy ideologicznych – nie zechcą jej uznać. Rzeczywistość przeszła jednak wszystkie moje oczekiwania. Przy czym ciekawe, choć to w istocie też nie zaskoczenie, że linia podziału przebiega nie między lewicą i prawicą – tendencjami czy środowiskami – a idzie, przecina wszystkie właściwie prądy. Ciekawe np., że katolicy są wyraźnie podzieleni. Gazeta „La Croix” opublikowała doskonałe *dossier* bardzo nam przychylne, podczas gdy „La Vie” (dawniej miała „catholique” w tytule) zjechała nas bez litości. To samo wśród protestantów. „La Réforme”, główne pismo protestanckie, wzięło naszą stronę, co wywołało ostry atak ze strony części jej czytelników. Najważniejsze, że ostro podzieliła się lewica...

L. U.: Najostrzejszy atak wyszedł ze strony pisma „Le Monde”. W tym piśmie podziału nie widać. Wprost przeciwnie. „Le Monde Diplomatique” wylał na was ogromne i generalne wiadro ... „nieczystości”.

S. C.: Podziału w „Le Monde” nie widać... na razie. W istocie istnieje i, jeżeli się nie mylę, jest głębszy, niż się na ogół sądzi. Redakcja nie jest jednomyślna ani na nasz temat, ani odnośnie do sposobu, w jaki kierownictwo „Le Monde” potraktowało naszą książkę. Presja „dołów” redakcji była wystarczająco silna, aby doprowadzić dyrekcję, która zdaje się być pod wpływem bardzo określonego goszystowskiego sposobu myślenia, do zaproszenia nas do wydrukowania odpowiedzi. Jest w drodze [10 grudnia 1997 – dop. L. U.].

L. U.: „Le Monde” to bardzo widoczny, ale tylko wierzchołek góry lodowej. Jak Pan tłumaczy oburzenie lewicy waszą książką?

S. C.: Ostrożnie. Nie całej lewicy. To przecież nie koniec dyskusji. Odwrotnie. Ale istotnie gwałtowność ataku jest zastanawiająca. Inwektywy trudno uzasadnić, ale istoty pretensji nie trzeba się domyślać, leży jak na dłoni. *Księga* dotarła do serca problematyki: do zbrodni jako istoty komunizmu. Podjęła się oceny systemu komunistycznego według jego rezultatów: dziesiątków milionów ofiar. Podjęła się odpowiedzi na pytanie, jak się to dzieje, że wszędzie, gdzie komunizm znalazł się u władzy, pozostawił za sobą miliony grobów. To dla niektórych nie jest łatwe do przelknięcia.

L. U.: Ale to nic nowego. System komunistyczny był już „podliczany” setki razy, w kontekście politycznym, gospodarczym itd. Na rynku znajdują się setki książek i świadectw, słowo „gułag” weszło do języka potocznego, jest nadużywane, służy do wszystkiego. Ktoś, kto (na jego szczęście) tego nie przeżył, ale chciał wiedzieć, wiedział. Dlaczego właśnie *Księga* wywołała burzę?

S. C.: Zgoda, kto chciał wiedzieć, wiedział. Dużo, a nawet jeszcze więcej. *Księga* jednak to w pewnym sensie nowa nie tylko ilość, ale także jakość. Po raz pierwszy ukazuje się globalny bilans całej epoki komunizmu, we wszystkich krajach, we wszystkich przejawach, dokonany z uwzględnieniem jednego tylko czynnika: jego zbrodniczego charakteru. Wszystko inne jest pominięte...

L. U.: To m.in. wam się właśnie zarzuca. Dla milionów ludzi komunizm miał przecież także inne oblicze, niósł nadzieję, jakiś ideał...

S. C.: Tak, to zresztą m.in. dzięki temu mógł się utrzymać tak długo, ale o tych innych „atrakcyjnych” aspektach komunizmu sporo już mówiono. Natomiast takiego globalnego „podsumowania” zbrodni jako istoty, a nie wypaczenia komunizmu nikt się jeszcze nie podjął.

L. U.: Ale dlaczego taki właśnie kąt ataku?

S. C.: Bo właśnie terror jest wspólny. Nie ma takiego modelu komunistycznego, który by terroru nie stosował.

L. U.: To także właściwie nie nowość...

S. C.: Tak, ale nie w tym ujęciu. To jest zresztą kolejne wytłumaczenie burzy. Po raz pierwszy, w każdym razie we Francji, tego rodzaju książka zredagowana jest z dystansu, z zachowaniem naukowej ostrożności, przez profesorów uniwersytetu i naukowców w ogóle. Tu już nie chodzi ani o uczestników wydarzeń, ani o wspomnienia świadków czy ofiar ustroju komunistycznego. To nie jest kronika osobistych przeżyć, ta *Księga* jest pracą historyczną. Przy czym powaga autorów jest nie do podważenia. Tym bardziej że większość opracowań *Księgi* opiera się, to ważne *novum*, na archiwach. Jasne, nie ma dostępu do archiwów Chin czy Korei Północnej, ale jeżeli chodzi o „matkę wszystkich archiwów”, to znaczy Moskwę, nie wspominając o krajach Europy postkomunistycznej, źródła, na jakich opiera się np. Nicolas Werth w swoim zasadniczym dla *Księgi* opracowaniu na temat ZSRR, nie mogą być kwestionowane.

L. U.: Chwileczkę. Jeżeli wszystko się zgadza i źródła są poza wątpliwościami, to jak wytłumaczyć polemikę nie między wami a waszymi krytykami, lecz między wami, współautorami, która zresztą wybuchła, zanim jeszcze się książka ukazała?

S. C.: Nie dramatyzujmy. Dwaj nasi autorzy Werth i Margolin, może pod wpływem ich przyjaciół politycznych na lewicy, mieli trudności, jakby to powiedzieć, z pogodzeniem się z... własnymi tekstami. W końcu jednak, po skrytykowaniu mojej przedmowy jako kładącej zbyt wielki nacisk na zbrodniczą treść systemu komunistycznego, w swoich tekstach niczego, choć mieli dużo czasu, nie zmienili. A przecież to właśnie ich opracowania, najbardziej w tej mierze właśnie przekonujące i naj... okropniejsze, moje wnioski uzasadniają. Moja przedmowa była dyskutowana przez 7 miesięcy i 17 zebrań roboczych. Jej obecni krytycy niczego wówczas nie zmienili. To dopiero kiedy 30 października 1997, zanim książka poszła do druku, „Le Monde” otworzył ogień, zaczęły się nieporozumienia.

L. U.: Nie ma nieporozumienia co do „podsumowania”. Nikt właściwie nie kwestionuje „buchalterii”. To wasza metoda się nie podoba. Czy jest np. dopuszczalne tak mechaniczne dodawanie ofiar najrozmaitszych, czasem aż sprzecznych modeli komunizmu?

S. C.: Dodawanie, jak Pan mówi, nie jest mechaniczne. Jest jak najbardziej uzasadnione: wszystkie ofiary „dodane” padły z rąk władzy komunistycznej. Naturalnie, to łatwe, można dowodzić, że komunizm chiński nie miał niczego wspólnego z sowieckim, a kambodżański z kubańskim. To nie rewelacja. Ale, z punktu widzenia terroru, wszystkie rządy komunistyczne były kopią jednego właściwie modelu. Tak więc, mimo różnic między nimi, zasadnicze cechy były wspólne.

ne: monopol partii, monopol ideologii, kult szefa, podporządkowanie państwa aparatowi partyjnemu, no i terror. W tym sensie, nawet po rozmaitych schizmach, system komunistyczny pozostał w swojej istocie systemem światowym.

L. U.: Według waszej metody można by z równym powodzeniem dokonać „podsumowania” systemu kapitalistycznego i udowodnić, że on także w swojej istocie był systemem zbrodniczym...

S. C.: Niech Pan spróbuje. Ale nie uda się Panu. Prawda, były państwa niekomunistyczne, które winne są zbrodni na wielką skalę. Francja masakrowała Algierczyków w czasie rewolty roku 1945 czy Malgaszów dwa lata później. Niech Pan sięgnie do mojej przedmowy. Jest tam sporo o zbrodniach państw demokratycznych czy niekomunistycznych dyktatur. Przypominam ludobójstwo Indian w Ameryce, handel ludzkim towarem, który tak wzbogacił burżuazję francuską i angielską, los Murzynów w Ameryce, masakry kolonialne itd. Ale, uprzedzam, nie uda się wszystkiego wymieszać. Nasze obliczenia nie obejmują np. ofiar działań wojennych, a dotyczą tylko ofiar prześladowań. Demokracje, to prawda, też popełniały okropieństwa, ale zbrodnia nie tkwiła w sercu systemu, nie stanowiła istoty jego sposobu rządzenia państwem. To jest „specjalność” komunistyczna. No, a poza wszystkim, my jesteśmy specjalistami od świata komunistycznego. Niech się inni, jeżeli potrafią, zajmą światem kapitalistycznym. Powodzenia.

L. U.: No, ale wy wykraczacie poza specjalizację komunistyczną. Oskarżacie przywódców epoki terroru o zbrodnie przeciw ludzkości, a przecież to pojęcie stosowane było jedynie wobec hitlerowców lub, ostatnio, ludobójców z Bośni czy Rwandy...

S. C.: Tu Pan dotknął bardzo drażliwej kwestii. To jedna z przyczyn ofensywy. Ja rzeczywiście uważam, że pewna część zbrodni dokonanych przez reżimy komunistyczne na ludziach tylko za to, czym oni byli, a nie za to, co robili, może i powinna być tak zakwalifikowana. Jak inaczej nazwać to, że z przyczyn ideologicznych i politycznych Stalin i jego ludzie postanowili zagłodzić na śmierć miliony chłopów ukraińskich za to, że byli „kułakami”, czyli klasą, lub Ukraińcami, czyli narodem, albo kiedy deportuje się w transportach śmierci całe grupy etniczne? Kiedy, jak powiedział Frossard, „zabija się człowieka, albowiem się urodził”, kiedy „zbrodnia klasy” równa się „zbrodni rasy”, wtedy są to zbrodnie przeciw ludzkości, tak według doktryny procesu w Norymberdze, jak i, bardziej współcześnie, nowego kodeksu karnego Francji. Czy mamy wymyśleć nową nazwę? Czescy prawnicy zaproponowali, żeby zbrodnie popełnione przez komunizm określać po prostu jako „zbrodnie komunistyczne”...

L. U.: I dlatego niektórzy podejrzewają was, że domagacie się „czerwonej Norymbergi”?

S. C.: To po prostu nieprawda. Niczego takiego Pan u nas nie znajdzie, to zresztą nie nasza sprawa. Po pierwsze, ewentualny „czerwony” proces z Norymbergi wytoczyć mogą narody rosyjski i inne bezpośrednio zainteresowane, a nie grupa francuskich historyków. Po drugie, sytuacja jest zupełnie inna. W Norymberdze zwycięzcy sądzili pokonanych. Stalin był wśród zwycięzców, nawet Karyń nie został wspomniany, choć z wyjątkiem stalinowców i poputczyków mało kto miał wątpliwości, kto jest odpowiedzialny za zamordowanie polskich oficerów.

L. U.: Poza procesem w Norymberdze była także szeroka denazyfikacja. Dlaczego, patrząc z Paryża, nie ma właściwie nigdzie dekomunizacji?

S. C.: No, to „Kultura” wie lepiej. Inny był koniec obu reżimów. Komunizm padł od implozji, i to w gnilnej fazie jego istnienia. Paroksyzm prawdziwego terroru był już oddalony w czasie. Z wyjątkiem osób odpowiedzialnych, politycznie lub bezpośrednio, za ofiary stanu wojennego w Polsce (których, jak widać z procesu „Wujka”, też już niełatwo ukarać), w innych krajach oprawcy albo już nie żyją, albo z uwagi na wiek i stan zdrowia nie są w stanie stawić się przed sądem. Postkomuniści, w zasadzie, przeszli wszyscy na wyznanie socjaldemokratyczne. Trzeba, sądzę, pogodzić się z myślą, że winni terroru odpowiedzą już tylko przed sądem ostatecznym. I historią. Dla młodych, a to są ich czasy, to wszystko stare dzieje.

L. U.: Jelcyn przyznał, że rewolucja roku 1917 to był „fatalny błąd”, ale słowa „przepraszam” nie wypowiedział... A przecież nawet Kościół katolicki uderzył się w pierś...

S. C.: Jelcyn to nie Kościół. Jest niewierzący. W ogóle, mamy dobry kontakt z „Memoriałem”, przywracanie pamięci w Rosji to wielki i mozolny trud. Milczenie Jelcyna i jego towarzyszy bierze się także z faktu, że oni wszyscy są rodem z wysokiego aparatu KPZR. Wcale nie mam pewności, czy społeczeństwo rosyjskie dojrzało do *mea culpa* jego przywódców.

L. U.: Na Zachodzie to także nie jest całkiem jasne. Widziałem Pana w debacie telewizyjnej (niedobrej zresztą) z Robertem Hue, szefem kompartii francuskiej. On co prawda żałuje, że komunizm popełnił „monstrualne” zbrodnie, ale unika, za cenę niezwykłych wygibasów, uznania prawdy w podstawowych dwóch sprawach. Nie uznaje, że Stalin „był w Leninie”...

S. C.: To pierwsze „nie” można krótko wytłumaczyć. Gdyby Hue „rozwiódł się” z Leninem, to poderwałby rację bytu swojej partii. FPK powstała w 1920 roku na kongresie w Tours z rozłamu w partii socjalistycznej, właśnie, mówiąc w skrócie, wokół ideologii Lenina. To tak jakby Kościół protestancki wyrzekł się Lutra.

L. U.: Druga sprawa: dlaczego Hue nie godzi się na aplikowanie wobec niektórych „monstrualnych”, jak sam mówi, komunistycznych zbrodni pojęcia „zbrodnie przeciw ludzkości”?

S. C.: To też proste. I bardziej dramatyczne. Gdyby Hue w tym punkcie uległ, to automatycznie wyraziłby zgodę na porównanie komunizmu i nazizmu. A tego naturalnie zrobić nie może. Przecież jego partia, przypominam, jest we francuskim rządzie, a premier Jospin jest, jak sam w parlamencie się wyraził, z tego dumny...

L. U.: Ale wy dokonujecie tego porównania. Niektórzy uważają, że identyfikujecie te dwa reżimy...

S. C.: Uważają, ale to nieprawda. Porównujemy, to najzupełniej normalne, ale nie identyfikujemy. Nazizmu i komunizmu identyfikować się nie da, ale porównywać trzeba. Chodzi tu o dwa totalitaryzmy, które naznaczyły świat w XX wieku i bez historycznego i naukowego ich porównania nie da się napisać dziejów naszych czasów.

L. U.: Każdy miał inny początek. Do komunizmu szło się, bo obiecywał pokój, równość i sprawiedliwość, do nazizmu szło się, mimo że zapowiadał krew i rasizm...

S. C.: Powoli, to nie takie proste. Utopie były zrazu po obu stronach. Jasne, ci co szli do Czeki czy SS, szli po władzę i krew, ale ci ludzie, którzy szli w ciemno za Leninem albo głosowali w 1933 roku na Hitlera, też wierzyli, że oni przyniosą im szczęście. Różnice w motywacji dojścia do partii, jednej czy drugiej, ujawniły się naprawdę dopiero później. Hitlerizm oparł się na jednym narodzie, miał fundamenty ultranacjonalistyczne. Komunizm miał mieć, od Lenina, zasięg światowy. Tak powstał mit światowej rewolucji proletariackiej.

L. U.: I to właśnie się Hitlerowi nie udało...

S. C.: Nie mogło się udać. Hitler zapowiadał, że jego celem jest podbicie narodów i zmuszenie ich siłą do służenia interesom Niemiec. Nie mogli więc mieć sojuszników. Lenin, odwrotnie, obiecał szczęście ubogim, i to w skali świata. Na tym polegał jego geniusz. Uzurpację władzy Lenin ubrał w mistyfikację. To był wielki reżyser i manipulator. To bolszewicy przecież wynaleźli nowoczesną propagandę i dezinformację. Rozdział napisany przez Wertha jest, także w tym punkcie, rewelacyjny.

L. U.: Hitler i Goebbels to też nie byli amatorzy. Jak wytłumaczyć, że hitlerizm trwał tylko 10 lat (o 10 za długo), a komunizm 80 (o 80 za długo)?

S. C.: Bo mit rewolucji światowej był nieporównanie bardziej nośny niż mit czystej rasy. No i bo, po parantezie Stalin–Hitler 1939–1941, komuniści byli po dobrej stronie w II wojnie światowej.

L. U.: Żydzi byli po obu złych stronach. Sowietci, po krótkim wahaniu, kiedy w ogóle nie uznawali specyfiki Holocaustu, zaczęli ostro podkreślać hitlerowskie zbrodnie na Żydach, aby, po prostu, ukryć rozmiar komunistycznych zbrodni. A czy Pan, poprzez Pańskie porównania obu totalitaryzmów, nie banalizuje tragedii Żydów, nie kwestionuje wyjątkowości, unikalności zjawiska *Shoah*...

S. C.: Nie, to też nieprawda. Trzeba czytać dokładnie. Nie ma u nas pod tym względem żadnych nieścisłości czy dwuznaczności. Ofiary jednego totalitaryzmu nie wymazują ofiar drugiego. My nie kwestionujemy wyjątkowości Oświęcimia czy Treblinki, komór gazowych, eksterminacji ludzi z powodów rasowych. To był prawdziwy szok, wstrząs sumień, i jest to zjawisko historycznie wyjątkowe. I w żadnym wypadku nie relatywizuje zbrodni komunistycznych.

L. U.: Co Pan odpowiada tym, którzy zarzucają Panu fałsze, manipulacje, hucpę, naginanie faktów, mówiąc w skrócie, obsesję w udowadnianiu za wszelką cenę, że zbrodnie jest istotą systemu komunistycznego, co miałyby wskazywać na Pańskie motywy nie naukowe, a ideologiczne?

S. C.: Na inwektywy nie odpowiadam. Na inne zarzuty odpowiemy, naturalnie.

L. U.: Ale, bądźmy uczciwi, w zarzucie o ideologię coś jest. Przecież sprawa przypomina także coś w rodzaju awantury w rodzinie. Wszyscy skłóceni autorzy są przecież z lewicy...

S. C.: Nawet ze skrajnej lewicy. To byli trockiści lub maoiści, jak ja sam. Przez kilka lat, po 1968 roku naturalnie, byłem zawodowym rewolucjonistą *full-time*. Prowadziłem nawet maoistowską księgarnię w Paryżu z pełnym wyborem literatury w rodzaju „czerwonej książeczki”. Byłem przekonany, jak wielu innych intelektualistów francuskich, że maoistowska rewolucja proletariacka była najbardziej demokratycznym doświadczeniem ludzkości. Byliśmy wierzący. Aż po dzień, kiedy znalazłem się wobec wszystkich niezbędnych elementów prawdy. I taki był koniec wiary.

L. U.: Coś Panu opowiem na zakończenie rozmowy. Rozmawiałem niedawno z nowym polskim premierem o nazwisku Jerzy Buzek. Waszej *Księgi* naturalnie jeszcze nie mógł przeczytać, ale opowiedziałem mu awanturę, jaką wywołała, i zapytałem, jak Polak, który miał „szansę” żyć pod obu totalitaryzmami, reaguje na zestawienie nazizmu i komunizmu. Odpowiedział, że w oczach Polaka oba totalitaryzmy stanowią identyczną negację naszych podstawowych wartości i że, jeżeli chodzi o konsekwencje ich zbrodni, to Polacy mieliby trudności w „wyróżnieniu” jednego czy drugiego. Dla Polaków – powiedział Buzek – „to nie jest debata teoretyczna”. Co na to francuski historyk?

S. C.: To dla nas trudna sprawa. Nigdy nie żyliśmy pod okupacją niemiecką porównywalną z tym, jak ona wyglądała w Polsce. Nigdy też nie żyliśmy pod oku-

pacją sowiecką, Czerwona Armia do nas nie dotarła, choć niektórzy tego pragnęli. A nasi komuniści, chociaż najbardziej gorliwi stalińscy, musieli jednak funkcjonować w ramach państwa demokratycznego. Polski premier powtarza właściwie znaną formułę Margarety Buber-Neumann, komunistki niemieckiej, więźniarki gułagu, zanim Stalin nie „podarował” jej Hitlerowi, który wysłał ją do Ravensbrück. Na identyczne pytanie ona odpowiedziała: „Nie ma wyboru między Szatanem a Belzebubem”.

„Rewolucje, jak drzewa, poznaje się po ich owocach”

„Sprawić, aby przemówiły milczenia historii...” Jeżeli ta formuła wielkiego historyka francuskiego Jules'a Micheleta oddaje intencje i ambicje autorów *Czarnej księgi*, to wykonali oni swoje zadanie, i to w podwójnym sensie. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd na Zachodzie (Europa posowiecka to naturalnie, jak zresztą przyznaje sam Courtois, zupełnie inna sprawa) mówi się obecnie o zbrodniach systemu komunistycznego, światowego i „narodowego”. No i bardziej niż autorzy sami się tego spodziewali, mówi się o ich książce. W tym sensie czasem nawet chamskie, wyraźnie ideologiczne ataki przydały książce, w większym stopniu niż rzeczowe analizy, także materialnego rozgłosu. Nie tylko nie zdyskredytowały książki, ale znalazła się ona w sercu tajfunu intelektualnego, i to w szerszych, jak wynika z liczby sprzedanych egzemplarzy, niż tylko zawodowo lub politycznie zainteresowanych środowiskach. W tym sensie także, ale o piętro wyżej, *Czarna księga* uruchomiła (naturalnie na Zachodzie, Wschód już to umie) coś w rodzaju mechanizmu pedagogiki zbrodni. Jeżeli taka pedagogika istnieje, to dzięki *Czarnej księdze* jesteśmy, po tej stronie byłej żelaznej kurtyny, w pełnym toku seansu reedukacyjnego.

Czarna księga nie jest objawieniem. Jest wydarzeniem. Nie jest rewelacją, „albowiem zbrodnie komunizmu nie stanowią dla nikogo, kto chciał wiedzieć, żadnej tajemnicy”. Tak naprawdę od 7 listopada 1917 te zbrodnie były tajemnicą tylko dla tych, a byli oni w pewnym okresie bardzo tutaj liczni i bardzo wpływowi, którzy uprawiali ślepotę jako najskuteczniejszy instrument zapewnienia sobie komfortu intelektualnego i spokoju sumienia. Wszyscy inni albo od początku nie mieli wątpliwości, albo, tak jak ludzie z pokolenia Courtois, wysiadali z pociągu złudzeń i manipulacji na rozmaitych przystankach. Było ich bez liku. Nie trzeba było czekać na znakomity zresztą rozdział Wertha, aby wiedzieć, że „Stalin (i jego gułag, czystki i egzekucje) był w Leninie”. Różnica między tymi panami sprowadza się, żeby sparafrazować Józefa Wissarionowicza, tylko do statystyki.

Żeby nie sięgać za daleko w przeszłość, czyż nie powinny były ludziom tutaj otworzyć oczu (do wyboru): XX zjazd i „tajny” referat Chruszczowa, polski Październik, masakra w Budapeszcie, najazd na Pragę, agresja na Afganistan. No a lektury? Suwarin, Koestler, Serge, Krawczenko (właśnie minęła 50. rocznica

jego słynnego paryskiego procesu i jednej z najbardziej cynicznych manipulacji francuskich komunistów), Solżenicyn, Szałamow, Lazitch, Pasqualini („epopeja” chińska), Pin Yathay (rozdział kambodżański), no i naturalnie David Rousset, który właśnie zmarł, Raymond Aron, Jean-François Revel i, *last but not least*, Herling-Grudziński (wszyscy, to zastanawiające, bardzo skromnie albo wcale niecytowani w *Księdze*). Właśnie dlatego, że można te pytania ciągle jeszcze, niestety, zadawać, *Czarna księga* stanowi prawdziwe wydarzenie. Żeby jeszcze raz przywołać Stalina, to także wściekłość jej przeciwników świadczy o tym, że jeżeli chodzi o zachodnich odbiorców, autorzy trafili w bardzo czuły punkt.

Po pierwsze, jest to wydarzenie psychologiczne. Znajomość tej przerażającej panoramy: wszystkie odmiany, geograficzne i chronologiczne, komunizmu u władzy, w jednym tomie, wszystkie między nimi różnice, ale przede wszystkim podobieństwa (zbrodnie na wolności i na społeczeństwie cywilnym) to próg, który musi być przekroczony, jeżeli Zachód chce w świadomy i uczciwy sposób dokonać obrachunku z XX wiekiem i chce być zdolny do podjęcia, z symbolicznie czystymi rękoma i sumieniami, wyzwań XXI wieku.

Po drugie, jest to wydarzenie intelektualne. *Czarna księga* postawiła na porządku dziennym debaty idącej poprzez zachodnią, zwłaszcza francuską (FPK jest w rządzie), lewicę na temat dziedzictwa komunizmu kilka tabu, mniej lub bardziej dyskretnie ukrywanych „pod dywanem”, lub wprost, pod presją teź lewicy, eliminowanych z dyskusji. Od tej chwili żaden szantaż „działania na korzyść Le Pena”, żadne przyzwolenie udziału (spóźnionego, ale niewątpliwego) komunistów we francuskim ruchu oporu, żadne przypomnienie roli ZSRR w pokonaniu Hitlera (byłego sojusznika Stalina) nie będą mogły przeszkodzić w porównywaniu nazizmu, czyli narodowego socjalizmu z komunizmem, w utożsamianiu niektórych zbrodni systemu komunistycznego ze zbrodniami przeciw ludzkości.

Czarna księga narzuca wniosek o równoległości dwóch krwawych utopii, o wiarygodnym i dopuszczalnym, a nawet koniecznym zestawianiu dwóch totalitaryzmów XX wieku zrodzonych z identycznej negacji demokracji „burżuazyjnej”, czyli dekalogu praw człowieka i obywatela, i z takiej samej idei *Gleichschaltung*, takiego samego grania na najgorszych instynktach ludzkich, na nienawiści i zawiści, zemście i odwecie, hipokryzji i nietolerancji, na bezlitosnym tępieniu przeciwnika, prawdziwego i wymyślnego, w celu utworzenia za wszelką cenę „nowego człowieka”.

Nie trzeba, choć warto, sięgać do klasyki Hannah Arendt. Ani, choć też warto, do Davida Rousseta, który w 1951 roku, 20 lat przed Solżenicynem, wydał w Brukseli swoją nie czarną, ale „Białą (choć bardzo czarną) księgę obozów sowieckich”, gdzie słowo „gułag” już było na swoim miejscu. Wystarczy zacytować zdanie z właśnie wydanej, pół wieku prawie po Roussecie, książki pod tytułem *Podręcznik gułagu* Jacques'a Rossiego, byłego „zeka”, Francuza, który wszystko przeżył (od Kołymy do... Polski). Zdaniem Rossiego, „nie warto zastanawiać

się, który z totalitaryzmów w naszym wieku był bardziej barbarzyński, kiedy oba narzuciły przymusową ideologię i pozostawiły góry trupów”.

Ignazio Silone powiedział: „Rewolucje, jak drzewa, poznaje się po ich owocach”.

Ano.

Pisane w Brukseli, 16 grudnia 1997

[1-2/1998]

REDAKCJA

Polska, Niemcy: co dalej?

Stosunki polsko-niemieckie wciąż jeszcze nie są normalne. Takie na przykład jak stosunki niemiecko-francuskie. Dotyczy to nie stosunków między państwami, z których uznanie przez Republikę Federalną Niemiec polskiej granicy zachodniej usunęło podstawowe źródło konfliktów i które kształtuje obecnie obojętna wola porozumienia i współpracy. Nie wyklucza ona, rzecz jasna, występowania między Polską a Niemcami sprzeczności interesów w takich lub innych sprawach (por. doskonały artykuł A. Krzemińskiego *Czwarte podejście*, „Polityka” nr 30, 25.07.1998). Ale te sprzeczności są normalnym i trwałym składnikiem stosunków międzypaństwowych, następstwem różnicy położenia geograficznego, poziomu i kierunków rozwoju gospodarki, a zwłaszcza – spoczywającego na każdym państwie obowiązku działania w pierwszym rzędzie na rzecz własnych obywateli. Nie zanikają po przystąpieniu do Unii Europejskiej, o czym świadczy historia czterdziestu lat, które minęły od podpisania traktatu rzymskiego i które obfitowały przecież w starcia między członkami Wspólnego Rynku, później Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a potem Unii – starcia powodowane tym, że każde państwo narodowe kierowało się przede wszystkim własnymi interesami. Różnice zdań w konkretnych sprawach między Polską a Niemcami nie pozbawiają zatem ich wzajemnych stosunków żadnego ze znamion normalności.

Jeśli stosunki polsko-niemieckie ciągle jeszcze nie są w pełni normalne, to dlatego, że nie ma normalnych stosunków między niemiecką a polską opinią publiczną. A nie ma ich w tej mierze, w jakiej składnikiem pierwszej są poglądy Związku Wypędzonych, a składnikiem drugiej – wciąż jeszcze bolesne wspomnienia okupacji hitlerowskiej i jej skutków, na które nakładają się i na których żerują tradycje endecji z jej przekonaniem, że Niemcy są odwiecznymi wrogami Polaków i że nic tego nigdy nie zmieni. Ktoś mógłby utrzymywać, że takim zjawiskom nie warto poświęcać uwagi, ponieważ są marginesowe i nie wywierają przeto wpływu ani na stosunki między oboma państwami, ani nawet na postawy większości tak w Niemczech, jak w Polsce. Że są marginesowe i że nie wywierają wielkiego wpływu, to prawda. Wnoszenie z tego, że nie warto się nimi przejmować, byłoby wszelako bezzasadnym optymizmem. Jakoż wiadomo z do-

świadczenia, że stanowisko zajmowane dziś przez niewielką mniejszość może jutro, w sprzyjających mu okolicznościach, zyskać jeśli nie czynne poparcie, to przynajmniej milczące przyzwolenie znacznej większości i zacząć wywierać wpływ na politykę państwa. A wtedy na zwalczanie go jest już zbyt późno.

Od kilku miesięcy stosunki polsko-niemieckie przeżywają kolejny okres zadrażnienia. Świadczą o tym uchwała Bundestagu z 25 maja 1998 i odpowiadające na nią oświadczenie Sejmu RP. Świadczą o tym fakty upominania się obywateli RFN ongiś zamieszkałych na obecnych ziemiach polskich o zwrot mienia utraconego w następstwie wojny. Świadczą o tym liczne, niemożliwe do sprawdzenia pogłoski o wykupywaniu przez nich nieruchomości w Polsce, korzystając z ulg podstawionych obywateli polskich. Zapewne nie należy tego dramatyzować. Warto jednak zauważyć, że obecny okres zadrażnienia związany jest nie tylko z kampanią wyborczą w RFN, która, jak każda kampania wyborcza, sprzyja demagogicznym wyskokom. Wpisuje się on również w bardziej długotrwałą koniunkturę określoną umiarem wraz z ich nosicielami wspomnień drugiej wojny światowej i okrucieństw popełnionych wtedy przez hitlerowskie Niemcy oraz zacieraniem się w pamięci i zwycięzców, i pokonanych okoliczności, w jakich powzięto i zrealizowano obowiązujące po dziś dzień decyzje wielkich mocarstw w kwestii granic, których skutkiem były powojenne przemieszczenia ludności. Ma to swoje strony dodatnie: ciągle rozpamiętywanie przeszłości nieuchronnie odtwarza dawne konflikty, co ilustruje przykład Irlandii Północnej. Ale ma to też swoje strony ujemne w tej mierze, w jakiej pozwala zgłaszać roszczenia lub wypowiadać poglądy, które milcząco zamazują pierwszorzędną odpowiedzialność hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy za wojnę i za wszystkie jej następstwa.

Tak więc, bez zbędnego dramatyzowania, warto jednak zastanowić się nad tym, co ze strony polskiej można zrobić, by wypędzeni przestali być trwałym składnikiem niemieckiego krajobrazu politycznego. Rozważania takie byłyby jednak płonne bez równoczesnego zastanowienia się nad tym, co trzeba zrobić, by bez reszty wyrugować z opinii polskiej ksenofobię zakorzenioną w manii prześladowczej: w urojeniu, że obcy – zwłaszcza Niemcy i Żydzi – niezmiennie grożą zniszczeniem jeśli nie samego narodu polskiego, to przynajmniej jego dotychczasowej tożsamości słowiańskiej i katolickiej.

Pierwszym krokiem, prostym, a zarazem uczuciowo najtrudniejszym, powinno być podjęcie przez stronę polską inicjatywy rozmów z władzami Związku Wypędzonych. Nie ma co dłużej udawać, że takowy nie istnieje ani odmawiać wszelkich z nim kontaktów, skoro działa on legalnie w Niemczech. Nie ma też co liczyć, że czas załatwi tę sprawę za nas. Pięćdziesiąt lat z 1944 roku, dla których wydarzenia związane z końcem wojny są najdawniejszymi wspomnieniami, mają dziś niemal sześćdziesiąt lat i przed sobą perspektywę jeszcze dwóch bez mała dziesięcioleci. Znaczy to, że Związek Wypędzonych może istnieć co najmniej równie długo. Co będzie później, ma dziś znacznie mniejsze znaczenie,

gdyż właśnie w ciągu najbliższych lat rozstrzygnie się sprawa przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, którą uchwała Bundestagu z 25 maja 1998 r. usiłuje powiązać z załatwieniem bliżej nieokreślonych „kwestii bilateralnych” oraz z przyznaniem prawa do swobodnego przemieszczania się i osiedlania, co jest oczywistym ukłonem w stronę wypędzonych.

Jeśli nie chce się, by ich głos połączony z głosami przeciwników utrzymania Unii lub jej rozszerzenia – a tacy istnieją, również w Niemczech – dodatkowo utrudnił lub wręcz storpedował już i tak trudne przecież rokowania z tym związane, pozostaje zdobyć się na wysłuchanie ich argumentów i na przedstawienie własnych. Na zapoczątkowanie rozmów, które mogą zapewne skończyć się zerwaniem, ale które nie mogą chyba pogorszyć już istniejącej sytuacji, o ile, rzecz jasna, spełnione będą pewne warunki dotyczące tego, kto ze strony polskiej miałby takie rozmowy prowadzić, z jakich pozycji wyjściowych i w jaki sposób.

1. Inicjatywa rozmów z rzecznikami Związku Wypędzonych nie powinna w żadnym przypadku wyjść od oficjalnych instancji Rzeczypospolitej, dla których jedynym partnerem są odpowiadające im hierarchicznie instancje RFN. Inicjatywa taka winna natomiast wyjść od polskich organizacji społecznych – może również partii politycznych – działających na ziemiach zachodnich. Byłoby wskazane, by – w zrozumieniu wagi sprawy, która wykracza poza wszelkie rozbieżności między Polakami – organizacje te odłożyły na bok w tym zakresie wszystko, co je dzieli, porozumiały się i wspólnie wyłoniły komitet do prowadzenia rozmów ze Związkiem Wypędzonych, zapewniając mu odpowiednich doradców, zwłaszcza znawców współczesnej problematyki niemieckiej, specjalistów w dziedzinie prawa międzynarodowego i prawa Unii Europejskiej oraz historyków drugiej wojny światowej i pierwszych lat powojennych.

Byłyby to zatem rozmowy wypędzonych z wypędzonymi. Znaczny odłam ludności zamieszkującej polskie ziemie zachodnie składa się bowiem z przesiedleńców z przedwojennych polskich Kresów Wschodnich, a raczej z ich potomków. Byłyby to więc również rozmowy ofiar – czy potomków ofiar – drugiej wojny światowej po obu stronach frontu. I byłyby to rozmowy, w których toku dyskusja o przyszłości tylko z wielkim trudem dałaby się odłączyć od wspomnienia krzywd, jakie przodkowie jednych i drugich wyrządzili sobie nawzajem. Dlatego tak ważne są w tym przypadku sprawy organizacyjne i proceduralne, które mogą takie rozmowy znacznie ułatwić albo wręcz uniemożliwić.

2. Wyjściowa pozycja polska w takich rozmowach jest doskonale znana i nie byłoby powodu przypominać jej tu raz jeszcze, gdyby niektórzy politycy i dziennikarze polscy w swym ideologicznym zaślepieniu nie wypowiadali się w sposób, który pośrednio podważa integralność terytorialną Rzeczypospolitej. Pozycja ta, najkrócej, jest taka oto: granice zachodnie Polski są wcieleniem w życie decyzji podjętych przez wielkie mocarstwa w Jałcie i w Poczdamie. Decyzji, które przesądziły również o zmianie wschodnich granic Polski, o przesiedleniu ludności polskiej z ziem utraconych przez Polskę na wschodzie na przyznane Pols-

ce dawne tereny wschodnie Rzeszy Niemieckiej oraz o przesiedleniu ludności niemieckiej z tych terenów do Niemiec w ich nowych granicach. Fakt, że decyzje te były podyktowane stosunkiem sił między mocarstwami w ostatniej fazie wojny, w niczym nie zmniejsza ich mocy prawnej. Toteż twierdzenie, że Polacy wypędzili Niemców z uzyskanych przez siebie ziem, jest po prostu fałszywe. Polacy zrealizowali tylko decyzję wielkich mocarstw. Jest osobną sprawą, jak to zrobili, o tym niżej.

W tym miejscu trzeba bowiem otworzyć nawias, by stwierdzić, że wszyscy ci politycy i dziennikarze polscy, którzy potępiają w czambuł Jałtę i Poczdam, którzy wypowiadają się tak, jak gdyby chcieli retroaktywnie wyprowadzić Polskę z koalicji antyhitlerowskiej, którzy zapominają albo nie wiedzą, że udział w tej koalicji jest jedynym tytułem Polski do jej obecnych granic, którzy podważają ciągłość istnienia państwa polskiego w różnych formach ustrojowych i z różnym zakresem suwerenności i którzy w antykomunistycznym ferworze gotowi są oskarżać „władzę ludową” również o zbrodnie, jakich nie popełniła – że wszyscy oni działają na szkodę Polski i oddalają perspektywę pełnej normalizacji stosunków między opinią polską a opinią sąsiadów Polski ze wschodu i z zachodu, gdyż tworzą wrażenie, że nie uznają powojennego porządku europejskiego. Nie jest rzeczą przypadku, że są to przeważnie rzecznicy postawy antyeuropejskiej, ksenofobicznej i antysemickiej, zamknięcia się Polski na wpływy z zewnątrz, ograniczenia demokracji i gospodarki rynkowej. Jeśli chodzi o wyborców, są w mniejszości, ale nie są pozbawieni wpływów w koalicji rządzącej, a nawet stanowisk w obecnym rządzie. Słuchać ich. I to oni, z ustami pełnymi „narodowych” frazesów, są dziś jedyną siłą prawdziwie antypolską. Koniec nawiasu.

Polska pozycja wyjściowa do ewentualnych rozmów z wypędzonymi zasadza się więc na stwierdzeniu, że są oni w pierwszym rzędzie ofiarami Trzeciej Rzeszy i jej zbrodniczej polityki, która spowodowała największą katastrofę w dziejach narodu niemieckiego. Nie umniejsza to w niczym polskich win. Nim jednak będzie się prosić o wybaczenie ich czy szukać innych form symbolicznego zadośćuczynienia ofiarom i ich potomkom, trzeba wreszcie ustalić fakty. O tym, że nie są one znane, świadczy najlepiej podawanie Węgier jako wzoru załatwienia kwestii wypędzonych, jak gdyby Węgry nie były w przeciwieństwie do Polski sojusznikiem Trzeciej Rzeszy, oraz pomijanie wszystkich okoliczności, w jakich ludność niemiecka okazała się zmuszona opuścić ziemie przyznane Polsce.

Na ziemiach polskich wojenne przemieszczanie się ludności niemieckiej ze wschodu na zachód rozłożyło się w czasie na kilka lat. Zaczęło się jeszcze przed upadkiem Trzeciej Rzeszy, trwało po zajęciu jej terenów wschodnich przez wojsko sowieckie i zakończyło się po przejściu kontroli nad nimi przez władze polskie. Jaki procent ogółu wypędzonych był przesiedlony przez Polaków? W jakich latach? W jakich warunkach się to odbywało? By móc je ocenić, trzeba przecież wiedzieć, w jakich warunkach – takich samych czy znacznie lepszych – dokonywało się przesiedlanie ludności polskiej ze wschodu. Trzeba wiedzieć,

w jakim stanie znajdowały się gospodarka i instytucje kraju, który wychodził z pięciu lat okupacji i przez który dopiero co przetoczył się front. Trzeba wiedzieć o nagromadzonych w Polakach pokładach nienawiści i o chęci odwetu, która nurtowała wtedy wszystkich, zarówno katolików, jak komunistów, pomijając nieliczne jednostki. Trzeba wiedzieć, że zanim władze polskie jako tako opanowały sytuację na ziemiach zachodnich, minęły dni, a gdzieś tam tygodnie, chaosu, bandytyzmu, samosądów i szabrownictwa. Dopiero znajomość całej tej złożonej sytuacji pozwoli ustalić, w jakiej mierze warunki wysiedlania ludności niemieckiej z Polski wynikały z powojennych zniszczeń i z powszechnego obniżenia wymagań, by nie rzecz: zdziczenia, a w jakiej – ze złej woli i chęci mnożenia szykan. Przy okazji trzeba też ustalić, jakie występki, przestępstwa, nawet zbrodnie zostały podczas wysiedlania popełnione oraz czy były one karane przez władze polskie i jak.

Oto tylko część pytań, na które powinna by udzielić wiarygodnej odpowiedzi komisja historyków polskich i niemieckich uprawniona do przebadania wszystkich archiwów i do przesłuchania żyjących jeszcze świadków wydarzeń. Byłoby dobrze, by Polskie Towarzystwo Historyczne i jego niemiecki odpowiednik powołały pospołu taką komisję i wyposażyły ją w odpowiednie środki gwoździ opracowania w możliwie krótkim terminie wspólnej księgi o przesiedlaniu przez Polaków ludności niemieckiej i o zakresie polskiej odpowiedzialności za to, co się wtedy działo.

3. Organizacja ewentualnych rozmów z wypędzonymi i ich przebieg muszą być przedmiotem uzgodnień między stroną polską a niemiecką. Nie do nas należy udzielanie wskazówek w tym względzie. Pozwolimy sobie tylko na jedną radę. Aby dać rozmowom szansę zakończenia się pozytywnymi wnioskami, trzeba, by odbywały się bez udziału mediów. Nie chodzi o ukrywanie czegokolwiek przed opinią publiczną. Chodzi natomiast o unikanie sensacji, demagogii i reklamiarstwa, o nadanie rozmowom charakteru maksymalnie rzeczowego, co wymaga wchodzenia w szczegóły techniczne bez obawy znudzenia publiczności. Chodzi o stworzenie klimatu dla spokojnej dyskusji, bez pośpiechu i bez zewnętrznych presji. Załatwienie tej sprawy czekało z górą pół wieku. Lepiej stracić jeszcze kilka lat i załatwić ją dobrze, niż wykonać kilka popisowych gestów, które niczego naprawdę nie zmieniają.

Rozmowy z wypędzonymi to tylko część działań na rzecz pełnej normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Ich dopełnieniem musi być wychowywanie polskiej opinii publicznej, uczenie jej widzenia w sąsiadach Polski – nie tylko w Niemczech, również Rosjanach i Ukraińcach – nie minionych i potencjalnych najeźdźców, ale przyszłych sojuszników. Dwadzieścia pięć lat temu bez mała biskupi mieli odwagę powiedzieć „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Dlaczego Kościół katolicki nie prowadzi systematycznej walki z ksenofobią, która jest przecież jawnie sprzeczna z nakazem miłości bliźniego? Dlaczego nie od-ucza konsekwentnie swych wiernych praktykowania moralności Kalego i nie

tłumaczy, że jeśli domagają się praw dla polskiej mniejszości w Rosji, to nie wolno im odmawiać takich samych praw mniejszościom w Polsce? Dlaczego tak się dzieje, że politycy, którzy uważają się za katolickich i narodowych, nie są dezawuowani, gdy wypowiadają poglądy, które wszędzie w Europie uchodzą za kompromitujące i skazują na ostracyzm?

Warunkiem normalnych stosunków z Niemcami i resztą sąsiadów jest również usunięcie chorobliwego nacjonalizmu z opinii polskiej. A to zależy tylko od nas samych.

[9/1998]

MAGDALENA ROSTRON

Islam i kultura

Olśnienie, jakie przeżyłam w Damaszku, nie da się co prawda porównać do epifanii danej tam Świętemu Pawłowi, ale ze Świętym Pawłem było częściowo związane. Całkiem niespodziewanie rozciągnęło się ono także na sprawy widziane dotąd przeze mnie z zupełnie innej perspektywy, a mianowicie sprawy islamu, jego kultury i związków z chrześcijaństwem.

Do Damaszku przyjechaliśmy z Kataru, niewielkiego emiratu na Półwyspie Arabskim, który wąskim, piaszczystym językiem liże szmaragdowe wody zatoki zwanej Perską. Po kilku latach pobytu w Katarze przyzwyczaiłam się widzieć islam i jego miejsce w kulturze i w o b e c kultury przez pryzmat dominującej tu, surowej, zamkniętej, mało tolerancyjnej odmiany tej religii, opartej na zasadach wahhabizmu. W osiemnastym wieku arabski jurysta z Nadżdy (obecnie w Arabii Saudyjskiej) Mohammed Ibn Abd al-Wahhab założył nową sektę muzułmańską, dając jej za podstawę „sztywny, antymistyczny purytanizm”, jak pisze Bernard Lewis w książce *The Arabs in History* (Hutchinson, London 1975). W swoim myśleniu al-Wahhab odwołał się do samych początków islamu w jego najbardziej prymitywnej formie, odrzucając późniejszy rozwój religijnej myśli muzułmańskiej, obrzędów i sztuki wizualnej. Wszystko to uważał bowiem za niezdrowe innowacje, które tylko splamiły czystość oryginalnych wierzeń propagowanych przez samego proroka Mohammeda (w polskiej wersji Mahometa). Zalecał skrajne uproszczenie religii, modlitwy i życia, co najwyraźniej musiało przemówić do wyobraźni prymitywnych mieszkańców pustyni, jaka rozciąga się na przestrzeni Półwyspu Arabskiego. Wielu przeszło na wahhabizm. Surowość i prostota tego myślenia, beduińska nieufność wobec intelektualnych rozważań i mistycznych uniesień, a także wobec sztuki, estetyki i kultury materialnej zachowały się tu w niezupełnie szczątkowej postaci do dzisiaj. Idea kultury w całej jej rozciągłości historycznej, etnicznej i etycznej nadal jest w tym myśleniu traktowana nieomal jak dopust Boży raczej niż wyraz twórczych poszukiwań człowieka. Pojęcia humanizmu, tolerancji, edukacji, wielości ludzkich cywilizacji i religii są pojęciami jakby niezupełnie realnymi, mało przystającymi do białoczar-nych, sztywnych i uproszczonych kategorii, w jakich interpretuje się człowieka i jego egzystencję. Dlatego wizyta w Damaszku, miasta starego jak świat i przez

wieki ośrodka krzyżujących się (w czasie krucjat także w dosłownym znaczeniu) cywilizacji, kultur, religii, olśniła mnie zupełnie inną, dotąd mało mi znaną, twarzą islamu.

W Damaszku naszym przewodnikiem po mieście był Mohammed, Palestyńczyk i muzułmanin. Mohammed zawiózł nas najpierw na Via Recta, ulicę Prosta, niedaleko której znajduje się Kaplica Annaniasza i kilka chrześcijańskich kościołów. To Annaniasz miał odszukać Saula z Tarsu i przywrócić mu wzrok. Mohammed, przyzwyczajony do europejskich turystów, gładko recytował wersy... Dziejów Apostolskich. Z ulicy Prostej pojechaliśmy do Bab Kisan obejrzeć Kaplicę św. Pawła postawioną ponoć w tym samym miejscu, gdzie prawie dwa tysiące lat temu uczniowie pomogli Pawłowi w ucieczce przed gniewem pobożnych Żydów, jaki wzbudziły jego nauki o Chrystusie głoszone przez Pawła w synagogach. Po Świętym Pawle przyszła kolej na słynny meczet Omajjadów, klejnot islamskiej architektury. Mohammed rzeczowo, bez zdziwienia, oburzenia czy pogardy objaśnił, że miejsce, na którym stoi meczet, zawsze było miejscem jakiegoś kultu religijnego. I tak w IX wieku p.n.e. Aramejczycy wzniesli tu świątynię ku czci swego boga Hadada, którego w czasach rzymskich zastąpił Jupiter. Potem, w okresie wczesnego chrześcijaństwa, stała tu bazylika św. Jana Chrzciciela, a kiedy Damaszek został podbity przez muzułmanów w roku 636, wschodnią część bazyliki przejęto na meczet, zezwalając zresztą chrześcijanom na modlitwy w pozostałym skrzydle świątyni. Pozwolenie to cofnięto na początku następnego stulecia: al-Walid, szósty kalif dynastii Omajjadów, postanowił zbudować tu meczet, który świetnością miał przewyższyć wszystkie inne meczety. Meczet zbudowano, jest istotnie wspaniały, a jeden z jego trzech minaretów, ten wzniesiony w południowo-wschodnim rogu, został nazwany imieniem Jezusa. Zgodnie z lokalną tradycją, to tutaj Jezus pojawi się ponownie w dniu Sądu Ostatecznego.

Mohammed zawiózł nas jeszcze za miasto, do wsi Malloulla, o domach jakby przylepionych do stromych zboczy, które schodzą ku wąskiej dolinie. Większość mieszkańców tej wsi to grekokatolicy, choć nie brak i muzułmanów. Mówi się tutaj dialektem aramejskiego, a więc prawdopodobnie językiem, jakim posługiwał się Chrystus. Oprócz grobu Świętej Tekli we wsi znajduje się także maleńki kościół bizantyjski. W kościele, kiedy zbierze się odpowiednio liczna grupa turystów (a wystarczy i pięć osób), zjawia się gruby mnich i odmawia *Ojciec nasz* po aramejsku. Mohammed z dumą wskazał nam aramejski kościółek, po czym dyskretnie usunął się gdzieś na bok, abyśmy mogli bez przeszkód poddać się religijnemu wzruszeniu.

Podróż do Damaszku była dla mnie podróżą do źródeł: do pierwszych wieków chrześcijaństwa oraz do początków kultury muzułmańskiej. W sumie przeżyłam tam kilka olśnień: konkretnością i rozległością historii, namacalnym wymiarem starożytnych, bliskowschodnich korzeni cywilizacji chrześcijańskiej, ale i bliskością obu wielkich religii, a także imponującą przeszłością oraz dawną

kulturą samego islamu. Islam objawił mi się przy tym jako religia o wiele bardziej tolerancyjna i przyjazna światu niż jej pustynna wersja, znana mi z Półwyspu Arabskiego. Największy podziw wywołały we mnie ślady wspaniałej architektury i dawnej materialnej kultury islamu wywodzącej się z czasów „islamskiego złotego wieku”, czyli okresu kilkuset lat świetności po pierwszych podbojach, kiedy na terenie Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz na śródziemnomorskim obszarze północnej Afryki wyrosła kwitnąca muzułmańska cywilizacja arabsko-języczna.

Przedislamscy Arabowie, pisze Lewis, byli prymitywnymi, niewykształconymi nomadami, bez znajomości pisma, bez śladów kultury formalnej. Udało im się jednak rozwinąć niezwykle bogaty język, a z nim poezję mówioną (spisaną dopiero w stuleciach tuż przed erą islamską), obfitującą w wyszukane metafory, o zawilej wersyfikacji i wyrafinowanych rymach. Ten język właśnie, wraz z religią muzułmańską narzuconą w czasach pierwszych podbojów, stanowił główny wkład arabskich najeźdźców w nową kulturę bliskowschodnią. „Wkład” – gdyż kultura owa nie została wcale przyniesiona w całości i gotowej formie przez beduińskich agresorów z Pustyni Arabskiej, gdzie narodził się islam. Pojawiła się ona raczej w rezultacie ich militarnego zwycięstwa i opanowania cywilizacji zastanych, istniejących w zasięgu ich podbojów. Cywilizacje te były mieszkanką kultury perskiej, wschodniochrześcijańskiej, żydowskiej, resztek greckiej i rzymskiej. W konsekwencji wojennych triumfów muzułmanów ich religia wraz z językiem arabskim zdominowały, a zarazem zjednoczyły wielorakie kultury oraz narody i plemiona, jakie zamieszkiwały ogromne obszary zagarniętych przez Arabów krajów Bliskiego Wschodu i północnej Afryki.

Na arabski zaczęto tłumaczyć dzieła z innych języków, dzięki czemu zresztą wiele tekstów starożytnych przetrwało do naszych czasów. Pojawiły się arabskie traktaty historyczne i geograficzne, rozkwitła poezja, literatura, sztuka, filozofia, nauki ścisłe. Arabowie szeroko czerpali zarówno z kultur podbitych, jak i znajdujących się w bliskim sąsiedztwie swojego imperium. Szczególną inspirację stanowiło tutaj Bizancjum, nigdy niezdobyte przez Arabów, a podbite dopiero całe wieki później przez muzułmańską Turcję. Artystyczne osiągnięcia bizantyjskich malarzy, złotników, poetów, muzyków oraz rozwój nauk, takich jak medycyna czy filozofia stały się dla arabskich muzułmanów fundamentem ich nowo powstającej cywilizacji, a płynące stamtąd wpływy greckie w postaci tłumaczeń dzieł filozofów i uczonych – Platona, Arystotelesa, Euklidesa, Archimidesa, Galena, Hipokratesa i innych, okazały się znaczącym czynnikiem kształtującym nie tylko wczesną kulturę islamu, ale nawet islamską teologię. Według muzułmańskich przekazów historycznych to bizantyjscy rzemieślnicy zdobili meczet Omajjadów w Damaszku i meczet Proroka w Medynie. Z kolei starożytna Persja, która wraz z religią Zoroastra i monarchią Sasanidów upadła – militarnie, nie kulturowo – pod naporem arabskich najeźdźców z pustyni, wniosła do islamskiej cywilizacji arabskojęzycznej składniki tak istotne, jak intelektualne

i praktyczne ramy polityki i etyki, nie mówiąc już o tym, że przydała jej szlif i wyrefinowania w dziedzinie kuchni, wyposażenia domów, gier i sportów, administracji i sztuki wojennej. Inne, już nie tak znaczące wpływy pochodziły z kultury żydowskiej oraz z chrześcijaństwa, zdomowionego w Syrii, Palestynie, Anatolii, w koptyjskiej części Egiptu, a także oczywiście w Hiszpanii, na Sycylii i we Włoszech.

Cywilizacja islamska, z jej bogato zdobioną architekturą i sztukami wizualnymi, ze świetnie prosperującymi miastami, ośrodkami handlu, edukacji, kultury – takimi jak Bagdad, Kair, Kordoba, Damaszk – stanowiła kontrast dla zacofanej Europy okresu wieków ciemnych (*Dark Ages*). Były to czasy rozkwitu arabskojęzycznego islamu, okres klasyczny, złoty wiek tej kultury, którego apogeum przypadło na dziesiąte i jedenaste stulecie naszej ery. Przymiotnik „arabskojęzyczny” jest tu nader znaczący, gdyż imperium muzułmańskie rządzone było wówczas z Bagdadu przez persko-arabską dynastię Abbasydów, a sam język arabski – wyszlifowany i udoskonalony, silnie wpływający na inne języki tego regionu świata – stał się językiem elit. Język ten chętnie wchłaniał też obce elementy leksykalno-syntaktyczne zapożyczane z okolicznych języków semickich, brane również z perskiego i tureckiego, a nawet z urdu i swahili. Przy tym dwustronnym działaniu lingwistycznym arabski przez kilka wieków pozostawał głównym i oficjalnym językiem islamskiego imperium – aż do czasów upadku świetności potęgi arabskojęzycznej, którą wyparła Turcja, zastępując arabski tureckim i usuwając go na społeczne i polityczne peryferie. Stołeczny Bagdad też stopniowo utracił status centralnego miasta imperium na rzecz niesłyszanie prężnego Kairu, aby w końcu ulec najazdom hord tatarskich w roku 1258. Rok ten przyjmowany jest za symboliczną datę końca złotego wieku arabskiej cywilizacji islamskiej, choć już przed podbojami tatarskimi muzułmańskie imperium Arabów i zarabizowanych Persów zaczęło cierpieć na polityczny niedowład. Niedowład przeszedł w kompletny paraliż, aby zakończyć się upadkiem kalifatu Abbasydów. Władza nad imperium muzułmańskim znalazła się w rękach tzw. mameluków, specjalnie wyszkolonych niewolników pochodzenia tureckiego, których za czasów Abbasydów brano do wojska, a którzy stopniowo przejęli kontrolę nad armią i całym islamskim imperium, głównie obszarami należącymi do Egiptu i Syrii. Mamelucy sprawowali tam władzę do czasów podbojów ottomańskich w latach 1516–1517. W ottomańskim państwie Turków język arabski zupełnie stracił na znaczeniu, a sami Arabowie, choć przecież współmuzułmanie, zostali zepchnięci do roli podrzędnej. Potęga Turków przetrwała parę stuleci aż do końca wieku siedemnastego, kiedy po wiekach zmagania z Turkami i poważnego zagrożenia z ich strony w bitwie pod Wiedniem chrześcijańska Europa zadała im ostateczny cios, aby przez następnych 200 lat już tylko przyglądać się powolnej śmierci ottomańskiego imperium, dogorywającego pod rosnącym naciskiem politycznym i gospodarczym Zachodu.

Kulturowo Turcy oparli się na wcześniejszych osiągnięciach cywilizacji islamskiej, czyli arabsko-perskiej, choć ich potęgą bazowała na elemencie militar-

nym, nie zaś artystycznym czy naukowym. Tureccy żołnierze słynęli z bitności, karności, okrucieństwa, ich władcy z przepychu (perska spuścizna), chciwości, potem dekadencji, lenistwa, przekupstwa. Swoją drogą, to te właśnie ich cechy przyczyniły się do wytworzenia w Europie obrazu muzułmanina jako krwiożerczego barbarzyńcy, a zarazem fanatyka i moralnego degenerata; obrazu z pewnością jednostronnego, jak pisał E. Said w książce *Orientalizm*, ale w jakimś stopniu uzasadnionego historycznie. Nie przyczyniły się do wzajemnego zrozumienia ani tolerancji, choć długo karmiły zachodnią fascynację Orientem, widzianym na ogół z daleka jako egzotyczny, a zarazem potworny owad. Arabowie, dyskryminowani przez Turków, także w Europie postrzegani byli zazwyczaj przez pryzmat ich uzależnienia od Turcji i niemożności samodzielnego wyrwania się spod okupacji. Religia muzułmańska, a więc religia zarówno Turków, jak i Arabów, pozostała dla Europy religią wroga, chociaż z upływem czasu straciła wymiar poważnego zagrożenia militarnego, stając się w oczach europejskich z jednej strony przeżytkiem przeszłości, niewnoszącym nic nowego do dynamicznie rozwijającej się kultury zachodniej, a z drugiej w formie islamskiego terroryzmu czymś politycznie nieakceptowalnym, nadającym się wyłącznie do eliminacji.

Po upadku ottomańskiej Turcji i uzyskaniu niezależności przez poprzednio podbite kraje arabskie język arabski, z języka pogardzanego jako mowa niewykształconych mas, znowu stał się oficjalnym językiem narodowym, tym razem już osobnych, niepodległych państw od Maroka do Omanu. Ani cywilizacja arabskojęzyczna, ani islam w wydaniu arabskim nie odzyskały jednak nigdy dawnego blasku, którym lśniły w ciągu kilku wieków, ożywiając stworzoną przez nie wówczas kulturę. Arabowie do dzisiaj skłonni są Turkom przypisywać winę za wszelkie zły strony ich obecnej sytuacji: za „polityczne represje, stagnację kulturalną, zacofanie gospodarcze itp.”, jak pisze C. E. Bosworth w eseju *The historical background of islamic civilisation*, zamieszczonym w zbiorowej publikacji *Islamic Civilisation*. I dalej:

Jednak ta uproszczona interpretacja przebiegu arabskiej historii ignoruje fakt, że podobne trendy nawiedziły również inne obszary islamskiego świata, takie jak muzułmańskie kresy zachodnie, Persję oraz Indie i że prawdopodobne jest, iż od początku były one wbudowane w tkankę społeczeństwa islamskiego.

W tym momencie pojawia się interesujące pytanie: dlaczego arabskojęzyczna cywilizacja islamska upadła? Dlaczego nie dane jej było podnieść się z tego upadku? Pytanie jest interesujące z tego względu, że świat arabski z jego religią nadal istnieje i należy do teraźniejszości podobnie jak świat chrześcijańskiego Zachodu – a w przeciwieństwie na przykład do świata starożytnej cywilizacji egipskiej, greckiej czy rzymskiej, które umarły śmiercią mniej czy bardziej naturalną, aby nigdy nie wrócić inaczej niż w formie kulturowej inspiracji. Dlaczego zatem wydaje się, że istniejący obecnie islamski świat arabski nie ma nam, lu-

dziom z pogranicza tysiącleci, nic do zaoferowania? Czy jest to problem arabski, czy islamski, czy też... arabsko-islamski? Obracając się od lat w kręgu rzeczywistości arabskiej, mam do tych pytań stosunek ambiwalentny, niekiedy zabarwiony negatywną emocją, czasami bardziej wyrozumiały, nawet pełen empatii. Widzę kolejne roczniki arabskich studentów kształcących się na imponującym architektonicznie uniwersytecie, który wybudowano za własne (ogromne!) pieniądze, ale według planów brytyjskich, i gdzie nauczają się – przynajmniej w założeniu – według standardów zachodnich, lecz gdzie wyniki tego nauczania są nader wątpliwe. Zderzają się tutaj bowiem coraz silniej dwa prądy: prąd rodzimy – arabski, beduiński, islamski – z mentalnością okcydentalną, z uznawanymi przez nią wartościami, z postępem, indywidualizmem, upartym kwestionowaniem *status quo*, kwestionowaniem, które jest motorem twórczego ruchu na przód. Świat arabskiego islamu jest natomiast światem intelektualnie statycznym, światem ludzi, którzy znaleźli Odpowiedź. Ich umysły znajdują się w stanie spoczynku. Bo też i nie ma czego szukać, o co pytać. Wyjaśnienie wszelkich wątpliwości znajduje się przecież w Koranie. Dlatego w sercu wiernego nie ma prawa gościć niepokój. Ten sam niepokój wszakże, chociaż przecież męczący, a nawet bolesny czy wręcz destrukcyjny, od stuleci jednak inspirował do działania człowieka Zachodu. I tak, popychany wewnętrznym niepokojem człowiek ten szuka nowych rozwiązań, przekracza granice i bariery, odsuwa horyzonty niemożliwego. Tworzy nowe światy, nowe formy i struktury, rozwija się, posuwa się do przodu, nawet jeśli czasami, zagubiony, kręci się w kółko jak pies za własnym ogonem. Nigdy nie stoi jednak w miejscu.

W roku 1930 w Kairze opublikowana została książka pod tytułem *Dlaczego muzułmanie stali się zacofani, podczas gdy inni poszli naprzód?* (*Why Have the Muslims Become Backward While Others Have Advanced?*), napisana przez Egipcjanina Shakiba Arslana. Za nią posypały się inne książki, broszury, artykuły – wszystkie na ten sam temat, powracający niczym bumerang: dlaczego my, Arabowie i muzułmanie, znaleźliśmy się w tyle za Europą, w tyle za resztą świata? W publikacjach tych powtarzają się słowa takie, jak dekadencja, zacofanie, choroba. W jednym z najbardziej krytycznych opracowań (*Critique of Religious Thought*, Sadiq al-Azm 1969) czytamy, że Arabowie łatwo dadzą się pokonać Izraelowi, o ile nadal charakteryzować ich będą „opóźnione w rozwoju nawyki myślowe, beduińskie i feudalne wartości, zacofane stosunki międzyludzkie, obskurantckie, kwietystyczne poglądy”, a wszystko to, według autora powyższych słów, uwarunkowane religią islamu (cyt. za: *The Closed Circle*, David Pryce-Jones, Paladin, London 1990). Sadiq al-Azm był syryjskim intelektualistą o marksistowskich poglądach, pochodzącym przy tym ze znanej i zamożnej rodziny z Damaszku. Nawiasem mówiąc, za swoje przekonania i krytyczny stosunek do islamu stanął przed libańskim sądem, a chociaż uniknął kary więzienia, to i tak dłuższy czas mieszkał za granicą. Propagujący radykalnie sekularne idee al-Azm nie był osamotniony w swojej negatywnej ocenie oddziaływania islamu na umy-

słowość arabską. Z podobnego założenia wyszli też inni: Atatürk, twórca nowoczesnego, świeckiego państwa tureckiego, Nasser w Egipcie, partia Baath w Syrii i Iraku, szach Iranu Mohammed Reza. Jednak większość arabskich intelektualistów islamskich kierowała swoje myślenie w odmienną stronę: przyznając zacofanie cywilizacyjne i technologiczne świata muzułmańskiego, twierdziła, że winę za nie ponosi... odstępianie od autentycznych wartości islamu i zaleceń koranicznych.

[...] Umiejętności techniczne mają potencjalnie uniwersalny charakter, a ich nabycie zależy od określonych obyczajów moralnych oraz zasad intelektualnych. Gdyby muzułmanie je posiadali, to z łatwością nabyliby umiejętności techniczne; a przecież zwyczaje te i zasady faktycznie zawarte są w Koranie (*Arabic Thought*, Albert Hourani, cyt. za: *The Closed Circle*, D. Pryce-Jones).

Ta linia rozumowania jest wśród islamistów bardzo rozpowszechniona. Wystarczy jednak bliżej przyrzeć się stosunkom panującym w krajach, które system państwa i rządów oparły na dosłownie rozumianym Koranie – jak Arabia Saudyjska czy Iran – aby zauważyć oczywiste braki i niedomagania takiego myślenia. Naturalnie, można byłoby się upierać, że braki owe widać z perspektywy standardów zachodnich, natomiast z punktu widzenia kultury i tradycji tych krajów wszystko jest w porządku, czyli tak jak powinno być. Jednakże najnowsze fale protestów społecznych w Iranie, oburzenie kobiet kuwejckich, którym odmówiono prawa głosu w tegorocznej elekcji, narastające niezadowolenie części społeczeństwa saudyjskiego – wszystkie te zjawiska wskazują na to, że standardy zachodnie są bardziej uniwersalne, niż chcieliby tego z jednej strony islamscy fundamentaliści, a z drugiej niektórzy politycznie poprawni publicyści i intelektualiści europejscy czy amerykańscy.

Istnieje jednak wspólny czynnik, łączący obydwie szkoły myślenia politycznego: islamistów nawołujących do powrotu do państwa koranicznego, opartego na dosłownej interpretacji Koranu i prawie szariatu, oraz mniejszości „postępowców”, którzy postulują – zależnie od konkretnej orientacji ideologicznej – reformy, rewolucję, westernizację lub sekularyzację muzułmańskiego świata. Czynnikiem tym, jak pisze David Pryce-Jones w cytowanej już książce *The Closed Circle*, jest odwoływanie się do wyidealizowanej, mitycznej przeszłości arabskiej i islamskiej, przeszłości, która została unicestwiona, ustępując miejsca obecnemu okresowi cywilizacyjnej zapaści. Odpowiedzialnością za „koniec złotej ery” i ponurą teraźniejszość obarcza się, jak już wspomniano, Turków, dalej Anglików, Francuzów, Niemców, czyli kolonializm i imperializm europejski, a także, w kategoriach bardziej generalnych, materializm i nacjonalizm. Żadna jednak z interpretacji nie wychodzi z konstruktywną propozycją, jak sprostować zaistniałej sytuacji, jak zmienić obecny status odtwórcy i biorcy, aby stać się twórcą i dawcą wartości. Nie inspirując do tworzenia nowych idei, miniona świetność cywilizacji islamsko-arabskiej działa raczej jak anestetyk, a zarazem środek nasenny.

This talk of Oriental culture, Islamie civilization, the sciences of the Arabs was repeated in every writing, and on all occasions in order to anaesthetize the nation, in order to prevent it from joining the stream of life of the West passing us near by. In addition to the thick and black shroud of ignorance laid upon the nation, we had the twofold ignorance to boast of our condition and to despise Europe... (Huseyin Cahit, cyt. za: *The Closed Circle*).

W konsekwencji jednostronnego gloryfikowania przeszłości dochodzi się do sytuacji, gdzie powodem do dumy wydaje się dla muzułmanów sam fakt, iż islam trwa w niezmienionej postaci od ponad czternastu stuleci. Europejczyk wzdyga się na myśl o średniowiecznej skazie bezruchu, dogmatyzmu, nietolerancji. Niezmienność islamu oznacza dla niego odwoływanie się do idei, których siła oddziaływania dawno przeżyła się i wyczerpała, a którym nie dane jeszcze było się odnowić poprzez wysiłek nowatorskiej myśli ludzkiej i zmiany, jakie mogłaby ona zapewne wprowadzić. Nie chodzi tu nawet w tej chwili o konkretne przemiany socjopolityczne czy kulturowe (jak na przykład stosunek do kobiet, stosunek do sztuki czy edukacji – te bowiem łatwo wprowadzić na papierze, dekretem z góry), lecz o nowe prądy intelektualne, o otwarcie się nie tylko na materialne zdobycze Zachodu: džinsy, coca-colę, telefony komórkowe itp., ale i na świat nowych wartości; tych wartości, które przecież dały Zachodowi niesłyszana przewagę w rozwoju nad światem islamu. Islamowi wyraźnie potrzebne jest jego własne odrodzenie, może na kształt europejskiego renesansu sprzed pięciu wieków. Zważywszy przy tym, że według kalendarza muzułmańskiego mamy rok 1420, to z historycznego punktu widzenia najwyższa już pora na nową epokę i nowe perspektywy, o ile islam pragnie stać się kulturowym partnerem Zachodu i wnieść do dorobku cywilizacyjnego świata coś jeszcze poza wspaniałą, lecz martwą przeszłością.

Powróćmy jeszcze raz do historii: otóż bezdyskusyjny jest fakt, iż renesans europejski był w dosłownym znaczeniu odrodzeniem się duchowym, intelektualnym, artystycznym i technologicznym Europy. Wolność od dogmatu, możliwość realizacji coraz śmielszych projektów i zamierzeń naukowych, artystycznych, możliwość eksploracji, ekspansja handlu i nowe rozwiązania technologiczne stały się, od szesnastego wieku począwszy, fundamentem, jaki zapewnił Europie nieznaną dotąd w historii siłę i dynamikę rozwoju. Łącząc te wartości z elementami mniej chwalebnyymi, niekoniecznie godnymi naśladowania – agresją, przemocą, wciąż udoskonalaną machiną wojenną, systemem kolonialnej represji i eksploatacji innych narodów, najpierw sama Europa, potem Europa i Ameryka, czyli obszar rozumiany jako Zachód, dopracował się pozycji, z której zmusił do wejścia na swoją orbitę ekonomiczną, polityczną i kulturalną niemal cały świat.

Tymczasem, po załamaniu się potęgi otomańskiej, a nawet jeszcze wcześniej, świat islamu pogrążył się w stanie dezorganizacji, korupcji, upadku standardów moralnych, zastoju myśli, nauki, gospodarki i rolnictwa, które tonęło w feudalnych, przedpotopowych układach. Inwazja Egiptu przez Napoleona w roku 1798 ostatecznie rozbiła mit o niezwyciężoności świata islamu i ugruntowała pozycję Za-

chodu. Dla arabskiego świata islamu miało to ogromne konsekwencje polityczne, ekonomiczne i kulturalne, konsekwencje trwające do dnia dzisiejszego.

Widziana w szerszym kontekście historycznym sprawa wygląda tak, że w pierwszych wiekach rozwoju kwitnąca wówczas cywilizacja islamska oparła się, jak opisano to powyżej, na intelektualnych i cywilizacyjnych zdobyczach cywilizacji podbitych przez muzułmańskich najeźdźców. Chętnie, a nawet entuzjastycznie, wchłonęła je i zaadaptowała na swoje potrzeby. Po jakimś czasie jednak stare źródła wyschły. Pozostał sam islam ze swoją świętą księgą Koranem. Koran natomiast jest zasadniczo zbiorem przepisów postępowania: praktycznym, prostym i jasnym.

Muzułmanin wie dokładnie, co ma robić, a czego nie robić. W naukach religijnych islamu zawiera się szereg wyraźnie określonych zakazów. Istnieją także pewne fundamentalne obowiązki, jakie muzułmanin ma do spełnienia: jest to tak zwanych pięć filarów islamu. [...] Niczego więcej się od niego nie oczekuje; nie istnieje dążenie do nieosiągalnych ideałów, nie ma potrzeby doskonałości, nie ma wymagania, aby człowiek próbował upodobnić się do Boga (Charles J. Adams, *Islamic faith*, w: *Islamic Civilisation*).

Wolna czy chociażby metaforyczna interpretacja Koranu jest bluźnierstwem karanym śmiercią. Jakakolwiek krytyka religii, prawa koranicznego, władzy jest niedopuszczalna. Wszelka umysłowa działalność ludzka bowiem może być tylko wariacją na jeden temat: mianowicie na temat wyższości islamu nad innymi religiami, kulturami, ideami. Człowiek zatem nie nastawia się na rozwój, którego pierwszym warunkiem jest zdolność do samokrytyki, ale na zachowywanie założeń Koranu.

Rozpatrując kwestię islamu w tym świetle, wydaje się, że religia ta już dała światu to, co miała mu do dania. W swojej obecnej postaci nie jest ona religią, jaka mogłaby zainspirować współczesny świat, nie tylko zresztą chrześcijański świat zachodni, ale i na przykład wielomilionowy świat buddyzmu. Lama Ole Nydahl, Duńczyk, świecki nauczyciel buddyzmu tybetańskiego, zapytany przez „Wysokie Obcasy” (nr 28, 9.10.1999) o to, co byłoby dla niego największym nieszczęściem, odpowiada: „Islam w Europie”. Z racji na swój statyczny, zachowawczy, antyliberalny i mało tolerancyjny charakter nieszczęściem byłby też islam w Ameryce i w Chinach, w Australii i w Indiach. O ile inne kraje i religie, naturalnie z wyjątkami, zezwalają na koegzystencję różnych systemów wierzeń – Indie są tu najlepszym przykładem, choć nadal występują tam regionalne konflikty na tle nietolerancji religijnej – o tyle na przykład w krajach ściśle koranicznych, jak Arabia Saudyjska, na inne religie po prostu nie ma miejsca i za aktywne uprawianie innych form wierzeń jest się surowo karanym. I to bez względu na fakt, iż sam Koran uznaje Jezusa (choć nie w boskiej formie, a tylko jako proroka Bożego), a chrześcijan nazywa „ludźmi Księgi”.

Nietolerancja religijna idzie w parze z wszelką inną. Sprawa pisarza Salmana Rushdiego i ceny wyznaczonej za jego głowę za domniemane bluźnierstwo ciąg-

nie się od ponad dziesięciu lat. Są też inni pisarze, dziennikarze, ludzie kultury, zagrożeni muzułmańskim dogmatyzmem, a nie tak znani jak Rushdie: bangladeski poeta Shamsur Rahman zostaje brutalnie zaatakowany przez islamistów za jego krytyczne stanowisko wobec fundamentalizmu (styczeń 1999); pisarka Taslima Nasreen, również narodowości bangladeskiej, zmuszona do pozostawania w ukryciu ze względu na groźbę śmierci z rąk wyznawców Allaha, którym nie podobają się jej książki (jesień 1998).

Podsumowując refleksje zainspirowane krótką wizytą w Syrii, dochodzę do wniosku, że pozytywny obraz islamu, jaki stamtąd wyniosłam – w przeciwieństwie do islamu fundamentalistycznych reżimów znad Zatoki Perskiej – wynika chyba tylko z faktu, iż religia ta została w jakiś sposób zmodyfikowana, złagodzona, „ucywilizowana” przez wielowiekową obecność chrześcijaństwa oraz przeszłość, w której współistniało obok siebie wiele odrębnych kultur. Natomiast ogromna część Półwyspu Arabskiego zamieszkiwana była niegdyś wyłącznie przez prymitywne ludy pustynnych koczowników. Chrześcijaństwo nigdy się tutaj nie zadomowiło, nie istniał też wielokulturowy wymiar życia, wszystko było tak samo biedne i, być może w obronie przed morderczą pustynią, zamknięte w sobie. To tutaj właśnie narodził się islam, który zapożyczył co prawda wiele koncepcji z judaizmu i chrześcijaństwa, ale w dużej mierze oparł się na beduińskich tradycjach plemiennych. Idąc za tokiem takiego myślenia, zaczyna się wydawać, że islam sam z siebie nie zdobędzie się na wewnętrzne odrodzenie, że potrzebne mu będzie otwarcie się na duchowy, intelektualny, moralny bodziec z zewnątrz, czyli z Zachodu. Na razie jednak wrota do tej jaskini są szczelnie zamknięte.

Czytając niedawno *Heban* Ryszarda Kapuścińskiego, natknęłam się na słowa odnoszące się wprawdzie do sytuacji na kontynencie afrykańskim, ale jakże adekwatne również w kontekście Arabów i islamu. Słowa te stanowią wymowny komentarz do pozycji kultur niezachodnich i sądzę, że warto nimi zakończyć powyższe rozważania:

Siła Europy i jej kultury, w przeciwieństwie do innych kultur, leży w jej zdolności do krytyki, przede wszystkim do autokrytyki. W jej sztuce analizy i dociekania, w jej ciągłych poszukiwaniach, w jej niepokoju. Umysł europejski uznaje, że ma granice, akceptuje swoją niedoskonałość, jest sceptyczny, wątpi, stawia znaki zapytania. W innych kulturach tego ducha krytyki nie ma. Więcej – są one skłonne do pychy, do uznawania wszystkiego, co własne, za doskonałe, słowem są one w stosunku do siebie bezkrytyczne. Winą za całe zło obarczają wyłącznie innych, inne siły (spiski, agentów, obcą dominację w różnych formach). Wszelką krytykę uznają za złośliwy atak, za przejaw dyskryminacji, za rasizm itd. Przedstawiciele tych kultur traktują krytykę jako osobistą obrazę, jako rozmyślną próbę ich poniżenia, nawet jako formę znęcania się. Jeżeli powiedzieć im, że miasto jest brudne, traktują to, jakby ktoś powiedział, że mają brudne uszy, szyje, paznokcie itd. Zamiast ducha autokrytyki noszą w sobie pełno uraz, kompleksów, zawiści, zadrażeń, dąsów, manii. To powoduje, że są kulturowo, trwale, strukturalnie niezdolni do postępu, do wytworzenia w sobie, wewnętrznie, woli przemiany i rozwoju (R. Kapuściński, *Heban*, Czytelnik, Warszawa 1998, s. 239–240).

ULB

Ukraina

Litwa

Białoruś

Deklaracja w sprawie ukraińskiej

W deklaracji, którą ogłaszamy, uważając ją za dalszy i ważny krok naprzód we współdziałaniu na emigracji emigrantów ze Wschodu, drugorzędne, a nawet zaciemniające istotę sprawy byłoby analizowanie podobieństw i różnic między imperializmem rosyjskim ubiegłego stulecia i współczesnym imperializmem sowieckim. Istotą sprawy jest sam imperializm, niezależnie od tego, w jakim wcieleniu występuje, jaką posługuje się motywacją lub maską, w jakich okolicznościach historycznych działa. Nie można tu nie wspomnieć krzywd wyrządzonych Ukrainie ze strony wielowiekowego polskiego imperializmu.

Niezależnie od swych form, celów i uwarunkowań imperializm jednakowo zniewala narody, które są jego ofiarami i jednakowo zatruwa naród, który jest jego nosicielem. Co powiedziawszy, nie można przecież pominąć jednej podstawowej różnicy: w przeciwieństwie do Rosji carskiej Związek Sowiecki jest dziś ostatnim imperium kolonialnym świata i prędzej czy później powszechny pęd wyzwolenia narodowego musi uderzyć także w jego anachroniczną egzystencję.

W strukturze imperialnej ZSRR istnieją dwa stopnie podległości: status „suverenności ograniczonej” w tzw. demokracjach ludowych Europy Środkowo-Wschodniej oraz status pełnej niesuverenności w inkorporowanych republikach związkowych. Polacy, Czesi czy Węgrzy mają bez porównania większe możliwości zachowania swej tożsamości narodowej i kulturalnej niż Ukraińcy, Białorusini, Bałtowie czy narody muzułmańskie. Pierwsi są poddawani procesom sowietyzacji, lecz wciąż jeszcze nie rusyfikacji. Drudzy są sowietyzowani i z każdym rokiem intensywniej rusyfikowani. Ale losy jednych i drugich są ze sobą ściśle związane: nie będzie wolnych naprawdę Polaków, Czechów czy Węgrów bez wolnych Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. I, w ostatecznym rozrachunku, bez wolnych Rosjan. Bez Rosjan wolnych od ambicji imperialnych, rozwijających własne życie narodowe, szanujących prawo do samostanowienia innych narodów.

Wysunęliśmy w naszej deklaracji na czoło Ukraińców jako największy w ramach ZSRR naród podbity; i jako naród najuparciej – obok Litwinów – dążący do wywalczenia sobie niezależnego bytu państwowego. W każdym razie dąży-

my do stworzenia takiej sytuacji, w której Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się swobodnie, czy chcą niezależnego bytu państwowego.

W ciągu dziesięciu niespełna lat odwilży za panowania Chruszczowa podnieśli na Ukrainie głowy potomkowie „rozstrzelanego odrodzenia”, usiłując odbudować częściowo choćby to, co zostało zniszczone za czasów Stalina. Potem przyszły, i trwają po dziś dzień, pogromy Breżniewa. Nic jednak nie wskazuje na to, by Ukraina skapitulowała. Przeciwnie, patrioci ukraińscy najęśniej zaludniają więzienia i łagry, opór na Ukrainie stał się synonimem oporu narodowego w imperium.

Ogłaszając zatem niniejszą deklarację, stawiamy w niej przed opinią publiczną trzy sprawy. Po pierwsze, samą sprawę ukraińską. Po drugie, sprawę wszystkich innych *nacmienszenstw* (stanowiących już w sumie, od pewnego czasu, *nacboldszenstwo* w ZSRR), które aspirują do samostanowienia, do zagwarantowanego na papierze przez konstytucję sowiecką *prawa wychoda*. I po trzecie wreszcie, sprawę narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie, im prędzej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo ona tylko może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi.

Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSRR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy.

Andriej Amalrik, Władimir Bukowski, Zbigniew Byrski, Józef Czapski,
Jerzy Giedroyc, redaktor miesięcznika „Kultura”, Natalia Gorbaniewska,
Gustaw Herling-Grudziński, Józef Łobodowski,
Władimir Maksimow, redaktor kwartalnika „Kontinent”,
Tibor Meray, redaktor naczelną węgierskiego pisma literackiego
„Irodalmi Ujság”,
Dominik Morawski, Wiktor Niekrasow, Aleksander Smolar,
Pavel Tigrid, redaktor kwartalnika „Svedectvi”

[5/1977]

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Dzieje osiemdziesięciolecia

„Starszemu pokoleniu, które wyszło z Ukrainy i marzy o niej – jako pamiątkę przeszłości, młodszemu pokoleniu, które Ukrainy nie zna – dla informacji i nauki, jednemu i drugiemu – dla zastanowienia się nad przeszłością, teraźniejszością i przyszłością Ukrainy i wolnej społeczności ukraińskiej w świecie”.

Tak brzmi dedykacja, którą Iwan Kedryn poprzedził potężny rozmiarami tom swoich wspomnień*. Obejmują one osiemdziesiąt lat (1896–1975), a więc całą epokę, i to nie byle jaką. Autor był osiemnastoletnim młodzieńcem, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa; był w sile wieku, gdy przyszła jej tragiczna powtórka; zaczął pisać swoje wspomnienia, mając 77 lat, na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Warto przytoczyć parę zdań z przedmowy wyjaśniającej, „Jak powstała ta książka”:

Spieszyłem się – podaje autor – z jej napisaniem nie tylko dlatego, że bez comiesięcznego przekazywania „towaru” moim sponsorom nie otrzymywałemby umówionego, skromniutkiego, ale koniecznego do przeżycia honorarium, lecz głównie dlatego, że nagiął mój wiek. Błagam Boga, aby pozwolił mi dokończyć tę pracę, choćbym nawet nie miał ujrzeć jej w druku.

Książka miała już wiele recenzji w emigracyjnej prasie ukraińskiej, przeważnie bardziej krytycznych niż przychylnych. Jeden z recenzentów napisał, że jej dokładne omówienie nawet w długim artykule jest absolutnie niemożliwe; należałoby jej poświęcić całą broszurę. Istotnie, materiał historyczny, który praca Kedryna objęła, jest olbrzymi. Wystarczy jeśli powiem, że wykaz nazwisk, zamakający opasły tom, liczy prawie 1500 pozycji (dokładnie 1485!). W tym nazwisk Polaków sto kilkadziesiąt, czyli kilkanaście procent, co samo przez się świadczy, jak wiele uwagi poświęcił Kedryn stosunkom polsko-ukraińskim.

Wspomnienia te mają wyraźny charakter autobiograficzny, autor opisuje szczegółowo wszystkie etapy długiego żywota, ale to tylko tło dla rozwijających się akcji historycznych. Jest w tej książce mnóstwo dygresji i powtórzeń, syn-

* Iwan Kedryn, *Życie – wydarzenia – ludzie. Wspomnienia i komentarze*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czerwona Kalyna”, Nowy Jork 1976, s. 724.

chronizacja niekiedy zawodzi, opowiadacz wybiega daleko naprzód albo cofa się wstecz, często powtarza się więc pozorny chaos. Pozorny, bo te nawroty i powtórzenia nie naruszają żywości narracji, a jednocześnie lepiej uwypuklają to, co Kedrynowi wydawało się najważniejsze. A przeważnie w wyborze tych najważniejszych wydarzeń nie chybia.

Zresztą, uprzedzając „surowych krytyków”, autor w przedmowie sam wylicza wady swojej książki: „niepotrzebne powtórki, zbyt wiele dygresji, przeskakiwanie ponad datami i wydarzeniami”. Jak już przed chwilą podkreśliłem, wady te coraz to stają się zaletami.

Oczywiście – przyznaje Kedryn – na pewno zdarzają się błędy rzeczowe, dotyczące dat, nazw, imion. Na swoje usprawiedliwienie podam nie tylko pośpiech, z jakim książka była pisana, ale także wielką trudność ze znajdowaniem źródłowej literatury dla sprawdzania historycznych dat i faktów.

Nieco dalej autor zastanawia się, czy te wspomnienia kogokolwiek interesują. Jednych tak, innych nie!

Na pewno – zauważa – odrzucą tę książkę ci wszyscy, którym nie po drodze z moimi ocenami różnych zjawisk, wydarzeń i osób... Nie istnieje idealny obiektywizm w oświeclaniu ludzi i wydarzeń, wszelkie komentarze są subiektywne, bo w przeciwnym razie wspomnienia byłyby nie wspomnieniami, lecz kroniką...

Moja opinia jest jednoznaczna: to książka niezmiernie interesująca i zasługująca na to, by dotrzeć do możliwie najliczniejszych czytelników. Niestety, odsetek Polaków na emigracji znających język ukraiński jest niezmiernie nikły i mało kto z nich do tych wspomnień dotrze. Wielka szkoda, bo Kedryn, omawiając bardzo dokładnie stosunki polsko-ukraińskie między dwiema światowymi wojnami, tym samym oświecił spory wycinek dziejów Drugiej Rzeczypospolitej. Inna rzecz, że nie jest to lektura dla Polaka przyjemna. Nieco dalej postaram się uzasadnić tę opinię.

A właściwie powinienem był zacząć od przedstawienia osoby autora polskiemu czytelnikowi. Kedryn – to publicystyczny pseudonim, prawdziwe nazwisko – Rudnyćkyj. Urodzony w Chodorowie w 1896 roku wcześniej stracił ojca; jego wychowaniem zajmowała się matka Olga. Uczył się we Lwowie, gdzie złożył maturę w Ukraińskim Akademickim gimnazjum, które autor nazywa „elitarną szkołą”. Zmobilizowany w 1916 do austriackiego wojska po kilku miesiącach dostał się do niewoli, przebywał w obozie jenieckim za Bajkałem, ale wkrótce po rewolucji lutowej, która obaliła carat, udało mu się psim śwędem przedostać na Ukrainę (do Kijowa), gdzie mieszkał do roku 1920. Następnie trzy lata spędził na emigracji w Wiedniu, a we wrześniu 1923 wrócił do Lwowa, po siedmiu latach nieobecności.

I właśnie wtedy zaczęła się poważna kariera dziennikarska Rudnyćkiego-Kedryna. Zaraz po przybyciu do Lwowa przyjęto go do redakcji dziennika „Diło”

jako stałego współpracownika. „Moja praca – wspomina – w »Dile« we Lwowie i dla »Diła« w Warszawie, trwająca, z krótką przerwą w 1925, do wybuchu drugiej wojny światowej we wrześniu 1939, należy do moich najpiękniejszych i najmielszych wspomnień i stanowi najważniejszy okres w mojej życiowej karierze dziennikarskiej”. Dla wyjaśnienia powyższych zdań: w latach 1925–1930 Kedryn przebywał w Warszawie w charakterze korespondenta lwowskiego „Diła”. Nawiązał liczne kontakty z warszawskimi środowiskami politycznymi i dziennikarskimi, najżywsze z redakcją „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, na którego łamach zamieszczał dość regularnie artykuły na interesujące to specjalistyczne czasopismo tematy. Współpracował również z „Buntem Młodych” (późniejszą „Polityką”), z „Tygodniem”, a w roku 1939, po zamknięciu „Biuletynu”, z nowo powstałym miesięcznikiem „Problemy Europy Wschodniej”. Wybór jego artykułów, pisanych po polsku, miał ukazać się pod wymownym tytułem *Grochem o ścianę*; przeszkodziła temu wojna. Kedryn podaje, że sprawą wydania tej książki zainteresował się metropolita Szeptycki i obiecał przyczynić się do jej sfinansowania.

Swoj pięcioletni pobyt w Warszawie Kedryn wspomina na ogół życzliwie. Nie obeszło się jednak bez błędów i nieporozumień. Tak na przykład Mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda* nazywa ni stąd, ni zowąd „wierszem”, a o miesięczniku „Droga” podaje błędnie, że „wychodził krótko”. No cóż, przy tak olbrzymim materiale nawet najwspanialsza pamięć musi od czasu do czasu zawieść, zwłaszcza u starego człowieka. To są rzeczy nie do uniknięcia.

Natomiast można było uniknąć wielu niepotrzebnych szpilek pod polskim adresem. Nie mam naturalnie na myśli poważnych, obiektywnie uzasadnionych zarzutów, których obalić, bez fałszowania przeszłości, niepodobna. Chodzi mi o tanie złośliwości, a zwłaszcza epitety, upokarzające dumę narodową i nienadające się rzeczowo uzasadnić. O tym za chwilę. Najpierw należy zająć się zarzutami i pretensjami w pełni uzasadnionymi.

O wyczerpującej odpowiedzi nie ma, oczywiście, mowy – trzeba by na to, zgodnie z zacytowaną na wstępie opinią jednego z ukraińskich recenzentów, całe broszury. Więc z przedstawionej, bardzo długiej listy polskich grzechów wybieram najważniejsze, najcięższe, według klasyfikacji Kedryna, który pod tym względem jest zgodny ze wszystkimi ukraińskimi historykami i publicystami.

A więc rząd polski zobowiązał się do przyznania Ukraińcom terytorialnej autonomii i tego zobowiązania nie dotrzymał. Nie tylko nie zgodził się na założenie ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie, ale systematycznie niszczył już istniejące szkolnictwo. Wcześniej jeszcze nie dotrzymał konwencji warszawskiej, zawartej w kwietniu 1920 z Symonem Petlurą. Tzw. normalizacja była zawsze jednostronna: korzyści z niej ciągnęła wyłącznie strona polska. Ciężkim błędem była pacyfikacja przeprowadzona przy zastosowaniu skrajnie brutalnych metod. Przy okazji Kedryn zbija znane twierdzenia Sławoja-Składkowskiego o rzekomo bezkrwawym przebiegu pacyfikacji. Niestety, były ofiary w ludziach, i to dość

liczne. Ukraińcy przedstawili swego czasu listę strat. Wielka szkoda, że polska strona tej listy nie uznała. Sławoj jeszcze na emigracji upierał się, że tych ofiar nie było. Cóż na to poradzić – byli!

Zanim przystąpię do omawiania tych zarzutów, ważna dygresja. Gdy Kedryn, dla lepszego podbudowania swoich opinii i ocen, szuka argumentów w przeszłości, zdarza mu się popełniać poważne gafy. Tak na przykład, po wysunięciu twierdzenia, że w przeszłości nigdy nie było samodzielnej ukraińskiej polityki opartej o własne siły, popełnia błędy historyczne. Cytuję:

Cała Kozaczyzna i cała Hetmańszczyzna to było nieustanne wahanie się między Warszawą i Moskwą. Tragicznie symbolicznego charakteru nabrały dwie największe postacie w historii Ukrainy od XV stulecia – Chmielnickiego i Mazepy: jeden, mając po Korsuniu i Żółtych Wodach [kolejność odwrócona – J. Ł.] wolną drogę na Warszawę, zawrócił, żeby nie być posądzonym o nielojalność wobec polskiego króla. Zaś perejasławską ugodę z carem Aleksym Chmielnicki podpisał po zborowskim i białocerkiewskim traktatach z Janem Kazimierzem. A Iwan Mazepa, zanim wszedł w konszachty ze Stanisławem Leszczyńskim i Karolem XII, przez dwadzieścia lat wiernie służył Piotrowi I (s. 65).

Wymowne i – całkowicie niesłuszne. Kedryn mylnie ocenia Chmielnickiego i Mazepę, a tym samym krzywdząco. Po Żółtych Wodach i Korsuniu droga na Warszawę wcale nie była otwarta, z czego Chmielnicki, jako doświadczony wojownik, doskonale zdawał sobie sprawę. Kwarciane wojsko koronne przestało istnieć – to prawda. Ale mimo bezkrólewia, które właśnie wtedy nastąpiło wraz ze śmiercią Władysława IV w Mereczu, było jeszcze dość sił w Rzeczypospolitej. Żeby iść na Warszawę, trzeba było przedtem zlikwidować dywizję Jeremiego Wiśniowieckiego, do którego coraz to dołączały mniejsze i większe poczty magnackie. Zanim by Chmielnicki doszedł nie do Warszawy, lecz do Lwowa czy choćby nawet Zamościa, miałby już na tyłach Janusza Radziwiłła z całym wojskiem litewskim, co zresztą stało się w następnym roku podczas oblężenia Zbaraża. Przecież musiał to brać w rachubę. Pomoc tatarska była w roku 1648 niedostateczna; tych kilka tysięcy Nogajców pod Tuhaj-bejem nie mogło wystarczyć. To dopiero później chan krymski otrzymał od Porty Otomańskiej upoważnienie, a nawet zachętę do podtrzymania Chmielnickiego całą siłą; natomiast zaraz po wybuchu, gdy poselstwo tatarskie przybyło do Sztambułu z wiadomością o Korsuniu, panujący ówczesnie sułtan nie tylko posłów nie przyjął, lecz każdemu z nich kazał wlepić sto kijów w pięty. Wracali więc do Bachczyseraju dosłownie „na rzęsach”.

Przyszły Piławce, Zbaraż i Zborów. Okazało się dowodnie, że na lojalną pomoc tatarską Kozacy liczyć nie mogą. Tatarom wcale nie zależało na powaleniu Rzeczypospolitej, chodziło im wyłącznie o zdobyc i jasyr. Historycy ukraińscy przywykli oskarżać Tatarów o zdradę: pod Zborowem, pod Żwańcem... Słusznie, ale zdrada szła w obydwu kierunkach. Gdy po zawarciu ugody perejasławskiej Krym przeszedł na stronę Rzeczypospolitej, przeciw Kozakom i Moskwie,

w wielkiej bitwie pod Ochmatowem, która mogła rozstrzygnąć losy całej wojny, Tatarzy także dali się przekupić, tym razem Chmielnickiemu.

Sądzę, że największym, zasadniczym błędem hetmana była rzeź jeńców po zwycięskiej bitwie pod Batochem. Potem przyszedł straszny odwet polski, gdy pod nóż szły całe ukraińskie wsie i osady, a o jakimś kompromisie, dopóki żył Chmielnicki, nie mogło być mowy. Hadziacz przyszedł za późno; obydwie strony powinny były pomyśleć o nim od razu, a co najmniej zaraz po Beresteczku.

Zarzut, że Chmielnicki nie liczył na własne kozackie siły, nie znajduje potwierdzenia w przekazach historycznych. Owszem, liczył na nie, a najlepszym dowodem wyprawa mołdawska (która zresztą była błędem), wynikła z daleko sięgających planów polityczno-państwowych, a nawet dynastycznych. Tyle że hetman zaporoski pomylił się w swoich obliczeniach, podobnie jak nie docenił chytrości Moskwy i jej przeniewierstwa. Starszy syn, Tymosz, zginął podczas oblężenia Suczawy i na tym skończyła się impreza mołdawska. Przychylny los oszczędził Chmielnickiemu najgorszego: wiadomości o Andruszowie i podziale Ukrainy między Rzeczpospolitą i Moskwę – umarł wcześniej. To bardzo skomplikowane sprawy i sądzę, że dzieje wojen polsko-kozackich w XVII wieku dopiero czekają na obiektywnego historyka.

Dość tej dygresji, wracajmy do przedstawionego przez Kedryna wykazu polskich win w bieżącym wieku. Nieudzielenie zgody na otwarcie uniwersytetu we Lwowie było nie tylko decyzją krzywdzącą i sprzeczną z zaciągniętymi zobowiązaniami; było także ciężkim idiotyzmem. To samo dotyczy likwidowania ukraińskich szkół. Najbardziej zakamieniały wróg Polski nie mógłby wymyśleć czegoś lepszego, bardziej skutecznego dla podsycenia ukraińskiej nienawiści.

Zajmijmy się teraz traktatem ryskim. Niepotrzebnie Kedryn napisał, że wszyscy Polacy uznali go za słuszny i pożyteczny. Według Kedryna, dopiero po drugiej wojnie światowej publicyści skupieni przy paryskiej „Kulturze” potępili ten traktat. A więc grubo poniewczasie. To nieścisłe. Przecież zaraz po Rydze w sejmie nazwano Władysława Grabskiego judaszem. Oczywiście z innych względów niż te, o które chodziło i chodzi Ukraińcom. Ale proszę przejrzeć roczniki „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, „Buntu Młodych”, jeszcze paru innych czasopism o tej samej czy zbliżonej orientacji! Co do mnie, już w 1932 roku w lubelskim miesięczniku studenckim „Trybuna” wypowiedziałem się na ten temat w sposób jasny i niedwuznaczny.

Pamiętam (miałem wtedy dwanaście lat) – gdy do Jejska (to nad Morzem Azowskim, Północny Kaukaz) dotarł tekst ryskiego traktatu, tamtejsi Polacy wpadli w deprymujące zdumienie. „Jak to – mówiła moja matka, której rodzina pochodziła z Witebszczyzny (pisałem już kiedyś o tym) – to Lida i Nowogródek po jednej stronie, a Mińsk i Bobrujsk po drugiej?! Przecież ta sama ziemia, ten sam lud, ten sam obyczaj, jakże można w taki sztuczny sposób szatkować!”. Ano właśnie. I nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego państwu polskiemu ma przypaść zachodni Wołyń, gdzie Polaków było bardzo mało (chyba niewiele więcej niż

Żydów), a Żytomierszczyzna, gdzie było gęsto od polskich, chodackowych zaścianków, ma zostać za kordonem.

Ale czy Polska mogła prowadzić w dalszym ciągu wojnę z Sowietami po bitwie nadniemeńskiej? Owszem, ale tylko pod warunkiem, że otrzymałaby wystarczającą pomoc z Zachodu. Kraj był zniszczony i wygłodzony, zwycięskiej armii brakowało wszystkiego: butów, bielizny, ciepłej odzieży, a przede wszystkim amunicji; w niektórych oddziałach żołnierze mieli niemal puste ładownice. Prowadzić nadal wojnę w obliczu zbliżającej się zimy? Bez odpowiedniego zaopatrzenia trochę trudno. *Cepnaja sobaka kapitalistycznego imperializmu* (łańcuchowy pies kapitalistycznego imperializmu) – wrzeszczały z każdej ściany i płotu propagandowe afisze sowieckie. Prawie z reguły „pies łańcuchowy” miał głowę Piłsudskiego albo magnata w konfederatce, a trzymał go na tym łańcuchu brzuchaty Lloyd George albo równie otyły marszałek Foch. Rzeczywiście, obydwa panowie marzyli po nocach tylko o tym, by polskiego „łańcuchowego psa” zaopatrzyć we wszystko, co było potrzebne do dalszego atakowania „ojczyzny proletariatu”!

Więc nie, w tamtych warunkach o kontynuowaniu wojny nie mogło być mowy. Natomiast można było zachować się w Rydze nieco inaczej. Na postawienie sprawy ukraińskiej niepodległości państwowej bolszewicy by się nie zgodzili: to był temat zakazany. Ale można było pseudoukraińskiej delegacji, z towarzyszem Rakowskim na czele, nie uznać i podpisać traktat wyłącznie z RSFR (taka była wtedy oficjalna nazwa, ZSRR jeszcze nie istniał), co by uratowało co najmniej pozory, jeśli nie honor. Świeżo odrodzonej Rzeczypospolitej nie było, niestety, stać na dalszy wysiłek wojenny. Niemniej, Ukraińcy mają całkowitą rację, gdy zarzucają, że jako wierni sprzymierzeńcy nie zostali potraktowani we właściwy sposób. Tu trzeba jednak uderzyć się w piersi.

Pacyfikacja! Wiele o niej pisano, różnie ją oceniano. Podjęta przez podziemie ukraińskie w roku 1930 akcja sabotażowa spowodowała tę „pacyfikację”, przeprowadzoną z udziałem nie tylko policji, także oddziałów wojskowych. To był chyba najczarniejszy rozdział w stosunkach polsko-ukraińskich za Drugiej Rzeczypospolitej. Nie zostało wyjaśnione w sposób niepodlegający żadnej wątpliwości, kto był inicjatorem pacyfikacji i kto powziął ostateczną decyzję. Najprawdopodobniej wydział bezpieczeństwa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Trudno czytać opisy akcji pacyfikacyjnej bez uczucia wstrętu i wstydu. Stało upalne lato 1930 roku, kiedy w trzech województwach (częściowo także na Wołyniu) doszło do masowych podpałów w polskich majątkach, najpierw zboża na pniu, następnie, już po żniwach, stodoł i spichrzów. Pacyfikacja zaczęła się, według oficjalnych danych, 16 września i trwała przez dwa miesiące (niektóre źródła ukraińskie podają, że aż do końca listopada). Jak to wyglądało, wiedziałem tylko tyle, co podawała prasa, czyli w gruncie rzeczy prawie nic. Dopiero po kilku latach, gdy już dobrze orientowałem się w tych sprawach, poznałem całą, niewesołą prawdę.

Temu, że masowe podpalania zaczęło organizować ukraińskie podziemie, nikt nie zaprzeczał. Kedryn twierdzi jednak, że po jakimś czasie niektórzy polscy właściciele sami zabawiali się w „pożarników” (dla podjęcia ubezpieczenia). Nie wiem, czy istotnie tak było, wiem natomiast, że pacyfikacja przyszła w chwili, gdy ukraińskie społeczeństwo, przerażone nonsensowną akcją i jej możliwymi skutkami, zaczęło przeciw niej występować, wzywać skrajne żywioły do opamiętania, więc zanosilo się na stopniowe uspokojenie. Kedryn przypomina, że metropolita Szeptyckiego, który w owych fatalnych dniach pojechał do Warszawy z nadzieją, że uzyska audiencję u marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego, mali ludzie nie dopuścili do nich i metropolita wrócił do Lwowa z pustymi rękami. To jeszcze bardziej zaogniło sytuację.

Zamiast – pisze Kedryn ze zrozumiałą goryczą – wykorzystać taką cudowną okazję do odprężenia polsko-ukraińskich stosunków, zamiast wykorzystać olbrzymi autorytet, jakim metropolita rozporządzał w społeczeństwie ukraińskim dla dobra całej sprawy, nie dopuszczono Szeptyckiego ani do Piłsudskiego, ani do Mościckiego.

Kedryn określił takie postępowanie jako „polityczny analfabetyzm” i znowu, niestety, ma rację.

Polska cenzura nie dopuściła do ogłoszenia listu pasterskiego podpisanego przez trzech (a więc wszystkich) ukraińskich biskupów katolickich. Był to akt już nie politycznego analfabetyzmu, lecz zwykłej, karygodnej głupoty. I tak przecież wszyscy Ukraińcy ten list przeczytali. Biskupi napiętnowali pacyfikację, ale także potępili metody terrorystyczne stosowane przez nacjonalistyczne podziemie. Cóż o tym wszystkim napisać teraz, po upływie prawie połowy stulecia?

Trudno było wymagać od polskiego rządu i administracji, żeby przyglądali się fali masowych podpałów z założonymi rękami. W każdym, nawet najbardziej liberalnym państwie akcja tego rodzaju musiała wywołać kontrakcję. Ale nie taką.

To nie była pacyfikacja – pisze Kedryn – lecz rewolucjonizacja, gdyż antypolskie nastroje wzrosły w jej wyniku w niebywałym dotąd stopniu.

To, co się działo, było oczywistym bezprawiem, zastosowano bowiem zasadę odpowiedzialności zbiorowej: pacyfikatorzy nie pytali, kto winien, kto nie, za sprawców podpałów uważano mieszkańców całej wsi podejrzanej o akty sabotażowe. Poddawanie chłopów nieludzkiemu biciu (także kobiet) było na porządku dziennym; nie oszczędzano nawet księży i starców. Felicjan Sławoj-Składkowski, gdy już na emigracji twierdził, że nie było wypadków śmierci, kłamał. Raz jeszcze – były. Stosunkowo nieliczne, ale były.

Kedryn nie pochwała akcji sabotażowej, która pacyfikację poprzedziła, przeciwnie, uważa ją za polityczny nonsens. Ale pacyfikacja była nonsensem jeszcze większym, a jej skutki fatalne. Miałem okazję przekonać się o tym we wrześniu 1939. Było to dwunastego albo trzynastego dnia kampanii. Szwadron zatrzymał się na krótki postój w dużej, ludnej wsi niedaleko Lwowa. Wpadłem do

sklepiku, licząc, że znajdę coś do kupienia. Nie było niczego, prócz papierosów i cukierków. Pytam właściciela, czy może słuchał radia i zna najświeższe wiadomości. Trzydziestoletni bodaj mężczyzna popatrzył wilkiem i powiada, że radio warszawskie przestało nadawać już od paru dni. *Czomuz wy Warszawy ne boryły?* – pyta z ironiczną satysfakcją w głosie.

Cofnąłem się nieco ku drzwiom, bo wydało mi się, że zanadto uważnie przygląda się memu karabinowi. *A co?* – odpowiadam pytaniem na pytanie: *A wy co, na Nimciw czekajete? Czekajte, szcze zapłacze hirkimi słożamy, jak Nimci tutki pryjdut!* Zainteresował się, pyta, skąd znam ukraiński. Powiadam, że część dzieciństwa spędziłem na Kubańszczyźnie. Przestał patrzeć ponuro, rozgadaliśmy się. *A nie dziw się – powiada – że my was, Lachów, nie kochamy... Patrz!* Zdjął marynarkę, podciągnął koszulę na plecach pokrytych sinymi i różowymi bliznami. *To pamiątka po waszej pacyfikacji. Dziewięć lat temu, także we wrześniu. Parobczakiem byłem wtedy, jeszcze dwudziestu nie miałem.*

„Pacyfikatorzy” nie ograniczali się do bicia. Niszczono po wsiach, gdzie były biblioteki „Proswity” oraz lokale powiatowych i wiejskich kooperatyw, wraz z całym majątkiem idącym w miliony. W Tarnopolu, Rohatynie i Drohobyczu zamknięto ukraińskie gimnazja pod pretekstem, że u kilku uczniów policja znalazła nielegalne ulotki. Za te wyczyny przyszło Polakom po latach ciężko zapłacić. A tak już zwykle w takich wypadkach bywa, że najciężej płacą najmniej winni lub w ogóle niewinni. Ponurą rolę odegrała w tym okresie (i w późniejszych latach) prasa pewnego pokroju, z zupełnie nieprzytomnie ukraiñożerczym krakowskim „Ilustrowanym Kurierem Codziennym” na czele. Ten starszy braciśzek „Tajnego Detektywa” miał, widać, największe moralne prawa do obrony polskości! Ten zarzut nie dotyczy wszystkich polskich dzienników i czasopism. Były także i takie, które zachowały się przyzwoicie, a nieliczne usiłowały w warunkach stworzonych przez cenzurę pisać prawdę, choćby zredukowaną. Niekiedy dochodziło do sytuacji wręcz zabawnych.

W pierwszym numerze lubelskiej „Trybuny” (styczeń 1932) umieściłem artykuł pt. *Serca za barykadą*. Kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby go przeforować. Dla porządku: był to organ ZPMD, która to organizacja w zasadzie nie wypowiadała się przeciw Ukraińcom. W Komitecie redakcyjnym powstały wątpliwości i sprzeczki, ten i ów uderzył w górny ton. „Posłanka Myłena Rudnyćka gotowa na najbliższym posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie powołać się na twój artykuł!”. „Wątpię – odpowiedziałem – ale bardzo bym się cieszył, bo to byłby dowód, że nie jest tak źle z antyukraińską cenzurą, jeżeli mój artykuł się ukáže”. Istotnie, mieliśmy wtedy w Lublinie dość inteligentnego cenzora. Na niego właśnie trafiło. Wkrótce popsło się radykalnie. Owego cenzora przeniesiono, a po nim rządziły się tępaki.

Naturalnie, moja wiedza w dziedzinie wschodoznawczej dopiero się wykluwała i trzeba było dalszych kilku lat usilnych lektur i osobistych kontaktów, by stać się znawcą zagadnienia. Wielkie znaczenie miała stała współpraca z takimi

czasopismami, jak „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, „Myśl Polska”, a w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny „Problemy Europy Wschodniej”. Również zaglądałem często do klubu „Prometeusz” przy Alejach Jerozolimskich (róg Nowego Świata), gdzie odbywały się częste odczyty, a po nich ożywione dyskusje.

Poznałem wielu wybitnych Ukraińców: pisarzy, profesorów, działaczy. A więc znakomitego poetę Jewhena Małaniuka, piękną Natalię Liwycką-Cholodną, prof. Ołeksandra Łotockiego, Romana Smal-Stockiego, prof. Doroszenkę, najwybitniejszego szewczenkologa Pawła Zajcewa, byłego posła Wasyńczuka, zdolnego dziennikarza Andrija Kryżaniwskiego i wielu innych. Toteż, czytając wspomnienia Kedryna, coraz to obracałem się w gronie znajomych. Prawie nikt z nich nie żyje. Kedryn ma dar dawania czytelnikom oszczędnej, a zarazem celnej charakterystyki opisywanych ludzi. Musi chyba mieć jakieś notatki z tamtych czasów, bo trudno uwierzyć, żeby potrafił zachować w pamięci tak wielką ilość nazwisk, faktów, dat.

Poczynając od roku 1936, zacząłem przekładać poetów ukraińskich, współczesnych i dawniejszych. Gdy po dwóch latach zebrała się spora garść tych przekładów, postanowiłem je uporządkować i wydać (w dwóch obszernych tomach). Idę z odpowiednią propozycją do księgarni Hoesicka, czyli do popularnego w kołach literackich dyrektora wydawnictwa Mariana Sztajnsberga. Piszę o tym na marginesie, ale sądzę, że anegdota jest warta zanotowania. Było to gdzieś koło połowy lipca 1939. Mówię, o co chodzi, podkreślam z naciskiem, bo wiedziałem, że Sztajnsberg jest bardzo ostrożny i nie lubi ryzykować, iż taka antologia może liczyć na podwójny rynek księgarski – będą ją kupować także Ukraińcy. Marianek (tak go nazywali bliscy znajomi) pomedytował, pocmokał, wreszcie powiada: „Wie pan, panie Józefie, niech pan wróci z tą propozycją 1 września. Jeżeli do tego czasu wojny nie będzie, to jej nie będzie także do wiosny. Wtedy będzie można wydać”. No i stary księgarz trafił w sedno. Antologia nie ukazała się po dziś dzień.

Więc przyszła ta wojna, a mało kto zdawał sobie sprawę, co z sobą przyniesie. Potem w Norymberdze sądzono i skazano przywódców niemieckich za popełnione zbrodnie wojenne. Że w sądzącym trybunale zasiadali zbrodniarze sowieccy, Jankesom, Anglikom i Francuzom wcale nie przeszkadzało. Dlatego ten sąd był bezwstydną farsą. Przy okazji zapomniano o Hiroszynie, co w jeszcze większym stopniu nadało Norymberdze cechy tragikomicznego przedstawienia.

Otóż największa zbrodnia Hitlera – nie w skali moralnej, lecz polityczno-historycznej – polegała na tym, że będąc niby sztandarowym antykomunistą, uczynił wszystko, by rosyjskiemu bolszewizmowi przełożyć szeroką drogę do zwycięstwa i opanowania prawie całej Europy Środkowo-Wschodniej. Nasze narody miały w owych latach wielką szansę, by wynieść się ponad nienawistne wspomnienia przeszłości i pójść ręką w rękę we wspólnym interesie, ale z tego nie skorzystały. Nie ma co, piękna wróżba na przyszłość!

Kedryn omawia bardzo dokładnie rozwój wypadków politycznych po ustabilizowaniu się państwa polskiego: udział Ukraińców w wyborach do sejmiku w roku 1922, działalność UNDO, próby normalizacji. Niezależnie od takich czy innych interpretacji i komentarzy, które mogą przekonać albo nie, podaje mnóstwo faktów o nieocenionej wadze dla przyszłego historyka.

O sprawach wewnątrzukraińskich Kedryn pisze bez rękawiczek, choćby chodziło o najbardziej bolesne, jest zdecydowanie krytyczny, niekiedy ostro bezwzględny. Sporo uwagi poświęcił rozłamowi w obozie nacjonalistycznym po śmierci pułkownika Konowalca, zamordowanego w Rotterdamie przez sowieckiego agenta. Nic dziwnego, że ta książka została przyjęta z mieszanymi uczuciami na ukraińskiej emigracji, a w niejednym czasopiśmie wywołała złą krew. Nie, nie jest zadaniem polskiego publicysty wtrącać się do tych spraw i uzurpować sobie ostateczną ocenę; to by zmusiło do zaangażowania się po jednej albo drugiej stronie. Ograniczę się do jednego tylko stwierdzenia. Sądzę, że Kedryn ma absolutną rację, gdy uwydatnia niesłychanie trudną sytuację tych działaczy i publicystów ukraińskich, którzy występowali legalnie, a więc mieli na co dzień kontakty z polską administracją i cenzurą.

Znajdowali się – streszczam Kedryna – między polskim młotem i kowadłem ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego. Tragiczny przykład: śmierć dyrektora Babija:

Każdy dyrektor i nauczyciel – teraz cytuję dosłownie – stale znajdował się między Scyllą ukraińskiego nacjonalizmu, entuzjazmującego uczniów, którzy myśleli o rewolucji, a nie o nauce, i Charybdą lojalności wobec państwowej władzy, żeby uratować szkołę przed zamknięciem. Ofiarą tej tragicznej sytuacji padł Iwan Babij, dyrektor Filii Akademickiego Gimnazjum we Lwowie, który 25 lipca 1934 roku zginął z ręki bojowca OUN za to, że wydał policji ucznia rozrzucającego w jego obecności rewolucyjne ulotki. Zabójstwo to było jedną z największych pomyłek naszego rewolucyjnego podziemia w okresie między dwoma światowymi wojnami w Zachodniej Ukrainie (s. 17).

Na osobne omówienie, a także dyskusję, zasługiwała sprawa truskawieckiego zamachu na Tadeusza Hołówkę oraz późniejszego ekspropriacyjnego napadu na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim, w konsekwencji czego stracono na mocy wyroku sądu doraźnego dwóch bojowców OUN, Wasyla Biłasa i Dmytra Danyłyszyna. Nie wszystko tam było jasne, a istniały poważne poszlaki, że rola polskiej policji w pierwszej sprawie była co najmniej dwuznaczna. Wątpię, czy kiedykolwiek – minęło tyle lat – zostanie wyjaśniona bez reszty. To, co na ten temat napisał Kedryn, już spotkało się z zastrzeżeniami w emigracyjnej prasie ukraińskiej.

Jak już wspomniałem, rachunek wystawiony Drugiej Rzeczypospolitej jest ogromny. Słuszny, ale nie zawsze. Niekiedy Kedryna ponosi temperament publicystyczny albo polityczna pasja. W pewnej chwili cytuję bez żadnego krytycznego komentarza (s. 278) następującą opinię: „Po przewrocie Piłsudskiego Polska stała się państwem na pół totalitarnym, a później prawie całkowicie totali-

tarnym”. To gruba przesada i solidnych argumentów przeciw temu twierdzeniu nie zabraknie. Pewnie, należałoby przedtem uzgodnić, co uznamy za państwo totalitarne, bo i tu bywa mnóstwo bałamuctwa i pospolitych nieporozumień. Niemniej z przykrością trzeba stwierdzić, że ogromnej większości zarzutów wysuniętych przez Kedryna zbić niepodobna. Dlatego też napisałem uprzednio, że dla Polaka lektura tej książki jest nieprzyjemna. Tyle że terminologia autora jest często niezbyt szczęśliwa. Tak na przykład Kedryn z reguły systematycznie używa określenia „Polska powersalska”. A niby dlaczego? Przecież jest to określenie nie tylko ubliżające polskiej dumie narodowej; jest ponadto zgoła nieprawdziwe.

Gdy doszło do traktatu wersalskiego, Druga Rzeczpospolita była już faktem dokonanym od wielu miesięcy. Że daleko było do jej definitywnej konsolidacji, że granice nie były wytyczone, że losy działań wojennych jeszcze nieprzesądzone, to inna sprawa. Ale Wersal państwa polskiego nie stworzył, przyjął jego istnienie do wiadomości. To nie polska pycha każe mi tak pisać, lecz stan faktyczny. Ledwie odzyskana niepodległość została utrwalona na krwawych polach bitew, a nie na zielonym suknie dyplomatycznych biurów. Co by przyszło z wersalskich postanowień, gdyby w sierpniu 1920 padła Warszawa? Dosłownie, nic! Więc po co upieranie się przy tym zwrocie – „powersalska” – równie obraźliwym, jak niezgodnym z rzeczywistością?!

Co do oceny dalszej przeszłości, Kedryn nie unikał błędów, wielce rozpowszechnionego w publicystyce, gdy ta wchodzi na teren historyczny (uwaga ta dotyczy nie tylko publicystów ukraińskich, także polskich, rosyjskich itd.): przykłada sprawdziany współczesne do dawno minionych wydarzeń. Stąd stale powtarzający się termin „polska okupacja” (także polska „zajmanczyna”, co brzmi jeszcze gorzej). Nie można stawiać znaku równania między średniowieczem i wiekiem XX! Ani wrzucać do tego samego worka wypraw Kazimierza Wielkiego i Jadwigi Andegawenki, sprzed przeszło sześciuset lat, oraz wojny polsko-ukraińskiej 1918–1919. Inne czasy, inni ludzie, inne pojęcia. Zresztą warto przypomnieć, że murów Halicza przed wojskami Jadwigi broniła załoga... węgierska. A Wielkie Księstwo Litewskie, w którego skład wchodziła Ruś Kijowska (późniejsza Ukraina), połączyło się z Polską dobrowolną unią. Czy Władysława Jagiełłę, Kazimierza Jagiellończyka, a nawet Zygmunta Augusta należy nazywać okupantami?

Ośmieszylbym się, gdybym napisał, że Śląsk znalazł się, poczynając od XIV wieku, najpierw pod czeską, potem pod austriacką i wreszcie pruską okupacją. Co innego rozbiory, bo wtedy świadomość narodowa rozwinęła się w całej pełni (choć nie wszędzie, na przykład Niemcy stały się świadomym narodem dopiero w wyniku wojen napoleońskich). A teraz propozycja: ustawmy raz jeszcze figury na historycznej szachownicy i rozegramy na nowo polsko-ukraińską partię. Jakie byłyby inne możliwe warianty, przy całkowicie odmiennej kolejności wydarzeń?

Wyobraźmy sobie, że nie było listopadowego zrywu polskiej młodzieży we Lwowie, miasto zostało opanowane bezkrwawo przez oddziały ukraińskie, Warszawa się z tym pogodziła, dywizje Hallera zostały użyte gdzie indziej i – co dalej? Coraz to natrafiam na twierdzenie, że wówczas Armia Halicka połączyła by się z oddziałami UNR i te wspólne siły odbudowałyby państwo ukraińskie w jego najdalszych etnicznych granicach. To bardzo optymistyczne twierdzenie! Polskie dywizje, które w maju 1920 weszły do Kijowa, były liczniejsze i lepiej uzbrojone od Armii Halickiej, a jednak zostały zmuszone do odwrotu. A wtedy Czerwona Armia nie zatrzymałaby się nad Bugiem czy Zbruczem, lecz poszłaby aż za San. Piękne perspektywy, prawda?

Tak, przykro przyznać, ale nie można inaczej. Polityka polskich rządów w stosunku do społeczeństwa ukraińskiego była mylna, niesłuszna, krzywdząca, a nawet ze stanowiska właściwie zrozumianej racji państwowej – wręcz nonsensowna. Zemściła się, bo zemścić się musiała.

I to nie są żadne biadania poniewczasie, nie żadne „mądry Polak po szkodzi”, bo spora gromadka ludzi wiedziała doskonale, na co się zanosi. Wystarczy, jeżeli powołam się na ankietę, jaką Włodzimierz Bączkowski rozpiął na kilkanaście miesięcy przed wojną: „Czy możliwa jest nowa chmielniczyzna?”. Większość biorących udział w ankiecie odpowiedziała twierdząco, i ja między nimi. Tak bardzo pomyliliśmy się?

Co do fatalnej polityki nie ma więc sporu. Ale co jednak było lepsze? Znaleźć się pod polską władzą na te dwadzieścia lat czy podzielić losy Kijowszczyzny, Zadnieprza, Wschodniego Wołynia? W tym drugim wypadku Ukraińcy halickcy trafiliby spod polskiego deszczu pod sowiecką rynnę. Była jednak pewna różnica między Berezą Kartuską a Kołymą, między więzieniem w Rawiczu a moskiewską czerezwyczajką. To nie żadne usprawiedliwienie dla polskiej strony, to tylko spokojne, rzeczowe rozróżnienie.

Piszę o tym wszystkim z najwyższą przykrością. Pamiętam w styczniu, może w lutym, w dodatku „Literacko-Artystycznym” do tygodnika „Wołyń” wychodzącego w Łucku zamieściłem kilka przekładów z poetów ukraińskich, między nimi wiersz Jurija Kosacza. Awantura! Nie wiedziałem, że Kosacz zdezerterował z polskiego wojska i dostał się nielegalnie do Paryża. Wojewoda Józewski mi powiada: „Czy pan wie, jakie ja miałem przykrości? Ta sprawa oparła się aż o Warszawę! Co pan wyprawia?! Wojsko mnie oskarża, że przy moim poparciu pan drukuje przekłady wierszy deztertera!”.

Skoro już się o tym zgadało, może także kilka słów na temat Józewskiego i jego wołyńskiej polityki prowadzonej nieprzerwanie w ciągu dziesięciu lat, aż do wiosny 1938 roku, gdy został przeniesiony do Łodzi, głównie pod nieustannym naciskiem czynników wojskowych. Najbardziej zaszkodziła Józewskiemu skandaliczna sprawa wsi Hrynki, położonej na terenie gminy Dederkały krzemienieckiego powiatu, a wywołana przez miejscowego dowódcę KOP i katolickiego proboszcza. Nie będę tu jej omawiać szczegółowo, przypomnę tylko, że

najpierw mieszkańcy wsi przeszli gromadnie na katolicyzm, a po krótkim czasie, przy powszechnym płaczu i kajaniu się, wrócili do prawosławia. Pierwsze wydanie prasa polska triumfalnie omówiła i rozdmuchała; o drugim pojawiły się lakoniczne, z lekka zawstyżone wzmianki.

Józewski ustosunkował się do tej „zbożnej akcji” negatywnie i to do reszty popsuło mu stosunki ze sferami wojskowymi, które chciały prowadzić swoją własną „politykę narodowościową”. Kedryn pisze o nim z niechęcią, twierdzi, że „szedł na drobne ustępstwa” i za ich cenę demoralizował wołyńskich Ukraińców. Dla mnie wojewoda był w owym okresie postacią dramatyczną, bo w pewnym sensie stał na stanowisku anachronicznym. Stąd wynikała sytuacja skrajnie paradoksalna. Podczas gdy nacjonaści ukraińscy zarzucali Józewskiemu, że jest zakamuflowanym ukraińszercą, nacjonaści polscy uważali go za zdrajcę i sprzedawczyka przygotowującego oddanie Wołynia (i Lwowa, naturalnie) przyszłej Ukrainie. Powiedzenie Kedryna o niewygodnym położeniu „między młotem i kowadłem” da się w pełni zastosować także do Józewskiego.

Ale sytuacja Drugiej Rzeczypospolitej była – obiektywni Ukraińcy powinni to uznać – również niesłychanie niewygodna, więcej – tragicznie i niebezpiecznie trudna. Udzielenie Ukraińcom autonomii byłoby niewątpliwie aktem sprawiedliwości. To oświadczenie traktuję jako aksjomat. I niewątpliwie ziemia czerwieńska* stałaby się wraz z Wołyniem prawdziwym Piemontem ukraińskim, co przekreśliłoby jakąkolwiek możliwość złagodzenia wrogich stosunków z Moskwą. Co prawda, 17 września okazało się dowodnie, że to złagodzenie było fikcją obwarowaną pozorami. Więc co pozostawało? Tylko zagrać *va banque* i prowadzić jawnie politykę „prometeuszowską”, a więc w stu procentach antysowiecką, co wymagałoby postawienia całej Rzeczypospolitej na stopę wojenną na długo przed rokiem 1939. Czy pozwoliłaby na to uboga polska gospodarka? Na pewno nie, a ponadto społeczeństwo nie byłoby do tak olbrzymiego wysiłku psychicznie zdolne.

Swego rodzaju rewelacją stały się dla mnie dokumenty, o których istnieniu nie wiedziałem. Ściślej, słyszałem to i owo, ale bardzo mgliście i odpowiednich tekstów dotychczas nie czytałem. Książkę Kedryna (poza bibliografią i wykazem nazwisk) uzupełniają cztery „dodatki” (s. 639–680). Chodzi mi, po pierwsze,

* Świadomie i celowo unikam obydwu rozpowszechnionych nazw: Zachodnia Ukraina i Wschodnia Małopolska; bo ta pierwsza drażni Polaków, druga drażni Ukraińców. Zresztą żadna z nich nie jest historyczna; powstały dopiero w XX wieku. Dbłość o ich przestrzeganie doprowadza niekiedy do wyników zgoła humorystycznych. Uwielbiam ruskie pierogi i okazuje się, że nie istnieją – zjawyły się w polskich restauracjach pierogi, najpierw małopolskie, następnie, żeby było piękniej i patriotyczniej – małopolskie. Proponowałem już kiedyś, żeby zdobyć się na jeszcze większą konsekwencję, mianowicie, odpowiednio przerobić znaną groźbę: „Zaczekaj, popamiętasz ruski miesiąc!” na „Popamiętasz małopolski miesiąc!”. Ładnie?

o informacje o kontaktach i umowach między UPA (Ukraińską Armią Powstańczą) z jednej strony, AK i następnie z WIN-em, z drugiej strony, w latach 1943–1947. Okazuje się, że istnieją oficjalne protokoły z wzajemnych spotkań.

Ale cóż – już było za późno w jednym i drugim wypadku. Jak prawie zawsze w przeszłości. Unia hadziacka spóźniła się o jakieś dziesięć lat. A że fatalny Perejasław był wcześniej, nie udało się uniknąć Beresteczka, Batocha i Andruszowa. Gdyby doszło do porozumienia polsko-ukraińskiego przed rokiem 1939, a nawet na samym początku drugiej wojny światowej, już po klęsce wrześniowej, może dałoby się uniknąć wzajemnej rzezi w latach następnych. Właściwie jednak w tych rozważaniach na temat stosunków polsko-ukraińskich na ziemi czerwieńskiej należałoby sięgnąć nieco bardziej w głąb historii, bo aż do Wiosny Ludów. Gdyby Polacy ustosunkowali się we właściwy sposób do ukraińskiego odrodzenia narodowego, poczynając od roku 1848, inaczej potoczyłyby się nasze wspólne dzieje.

Sporo uwagi Kedryn poświęcił emigracyjnym sprawom ukraińskim w Zachodniej Europie i w Ameryce (w ogóle na emigracji). Tę część książki pomijam. Czytelnik polski słabo orientuje się w tych jakże skomplikowanych sprawach, więc pobieżne omówienie nie wystarczy; wolę je odłożyć do innej okazji, jeśli się zdarzy.

Podkreśliłem ostro oskarżycielski ton, jakiego Kedryn używa, ilekroć pisze o Polsce. Ale jednocześnie stać go na energiczne uwydatnienie ogromnych różnic między położeniem Ukraińców w Rzeczypospolitej a obecnie, pod sowiecką władzą. Mimo wszystkich cieni, niesprawiedliwości i aktów przemocy, porównanie wypada na polską korzyść.

Bądźmy sprawiedliwi – wzywa Kedryn (s. 369) – w ocenie przeszłości i nie upraszczajmy wszystkich zjawisk, sprowadzając je do wspólnego mianownika.

A jakie wnioski na przyszłość? Cytuję fragment, który bez reszty określa stanowisko Kedryna:

Autor tych słów, który jak najbardziej krytycznie oceniał i ocenia narodowościową politykę Polski w okresie między dwoma wojnami [...] i który równie zdecydowanie piętnował odpowiedników polskich ukraińców po ukraińskiej stronie, stale powtarzał i powtarza, że porozumienie i współpraca między tymi dwoma narodami jest *conditio sine qua non* ich trwałego, państwowego istnienia. Polska i Ukraina zdołają tylko wtedy utrzymać się jako niezależne, suwerenne państwa, jeśli urodzą się polski i ukraiński Charles de Gaulle i Konrad Adenauer, którzy zrozumieli, że nawet od wieków trwająca nienawiść między dwoma narodami powinna ustąpić miejsca współpracy i przyjaźni, skoro tego wymaga historyczna konieczność i samo ich istnienie. To dlatego ukraińsko-polskie zagadnienie jest aktualne także obecnie. To dlatego ukraińsko-polskim stosunkom udzielono w tej książce najwięcej miejsca. Nie została ona napisana w celu dydaktycznym, ale jeżeli choćby trochę przyczyni się do przelaminowania w ukraińskiej i polskiej psychice resentymentów wspólnej, złej przeszłości, ta praca nie będzie nadaremna.

Na tym można by to omówienie zakończyć, ale pragnę poświęcić jeszcze kilka zdań samemu autorowi. W *Posłowniu*, zamykającym wspomnienia, Kedryn napisał:

Zdaję sobie sprawę, że różne myśli, wysłowione w tej książce, wielu osobom nie przypadną do smaku. Ale pisałem te wspomnienia i komentarze nie po to, żeby się komuś „spodobały”. W „Łysie Mykycie”^{*} ukazała się karykatura: nasi ludzie czekają na ukazanie się tej książki z pałkami w rękach. Dziękuję za dowcipną reklamę! Niezależnie od krytyk, autor, po postawieniu ostatniej kropki, odczuł wielką ulgę.

Zgodnie z zacytowaną na wstępie opinią (tu się powtarzam) jednego z ukraińskich recenzentów, dokładne omówienie wspomnień Kedryna wymagałoby całej broszury czy nawet drugiej książki. Gdybym miał dać omówienie wyczerpujące, musiałbym wypełnić chyba cały numer „Kultury”, co, oczywiście, nie jest możliwe. Pozwoliłem sobie na dość liczne dygresje, nawet natury osobistej, sądząc, że ożywią relację i lepiej podmalują tło. Nie obeszło się bez uwag polemicznych, które znowu – że użyję zwrotu samego Kedryna – nie każdemu „przypadną do smaku”. To zrozumiałe: przecież Kedryn na co drugiej, trzeciej stronie wdaje się w polemikę, często bezlitosną. Przeważnie z własnymi rodakami, ale także i z polską stroną. To dodatkowa zaleta tej bardzo ważnej książki. Powiedzmy – raczej księgi. Nie tylko z uwagi na jej niecodzienne rozmiary!

Mam też nadzieję, że Iwan Rudnyćkyj-Kedryn nie włączy niniejszego artykułu do kolekcji tych publicystycznych pałek, które, według rysownika-humorysty, z taką niecierpliwością oczekiwały na ukazanie się wspomnień.

[5/1977]

* „Łys Mykita” to satyryczno-humorystyczne czasopismo ukraińskie, od wielu lat ukazujące się na emigracji.

Dialog o Wilnie*

Drogi Tomas,

Dwaj poeci, jeden litewski, drugi polski, wychowali się w tym samym mieście. To chyba dostateczny powód, żeby o swoim mieście rozmawiali i nawet publicznie. Co prawda miasto, które ja znałem, należało do Polski, nazywało się Wilno, szkoła i uniwersytet używały języka polskiego, Twoje miasto było stolicą Litewskiej SRR, nazywało się Vilnius i przeszedłeś przez szkołę i uniwersytet w innej epoce, po drugiej wojnie. Niemniej jest to to samo miasto, jego architektura, krajobrazy jego okolic, jego niebo ukształtowały nas obu. Nie można wykluczać pewnych wpływów, żeby tak rzec, tellurycznych. Poza tym odnoszę wrażenie, że miasta mają swojego ducha czy aurę, i chwilami, chodząc ulicami Wilna, zdawało mi się, że tę aurę czuję w sposób niemal zmysłowy.

Niedawno ktoś z przyjaciół zapytał mnie, dlaczego z takim uporem wracam we wspomnieniu do Wilna, do Litwy, co widać w moich wierszach i pismach prozą. Na to odpowiedziałem, że, jak mi się zdaje, nie chodzi tu o sentymentalizm emigranta, bo nie chciałbym tam pojechać. Działa tu na pewno poszukiwanie rzeczywistości oczyszczonej przez upływ czasu, jak u Prousta, ale jest i inne wytłumaczenie. W Wilnie przeżyłem swój wiek chłopięcy, kiedy myślałem, że życie ułoży mi się jakoś zwyczajnie i dopiero później wszystko w tym życiu zaczęło się przekręcać, tak że Wilno zostało dla mnie punktem odniesienia jako możliwość, możliwość normalności. Tam też zresztą, czytając polskich romantyków, miałem już niejasne przeczucie swoich przyszłych nienormalnych losów, choć najbardziej wybujała fantazja nie mogłaby wtedy podsunąć obrazów mojej indywidualnej i historycznej przyszłości.

Chcę tutaj wprowadzić postać niemającą nic wspólnego z Wilnem, ale ważną dla wszystkich Europejczyków „stamtąd”, tj. z pogranicza języków, wyznań i kultur. Stanisław Vincenz pochodził z Podkarpacia, spod Czarnohory, dokąd jego rodzina wyemigrowała w wieku XVII z Prowansji. Poznałem go w roku

* Powyższy dialog był pisany z myślą o warszawskim „Zapisie” i ma się w nim ukazać, w jednym z najbliższych numerów.

1951, kiedy moje Wilno już nie istniało, we Francji, pod Grenoble – jako emigranta ciągnęło go do gór, tak zamykało się jakby koło wędrówek Vincenzów. Otóż byłem wrażliwy na jego nauki. Bo niezależnie od dzieła, jakie po sobie zostawił, Vincenz był wędrownym mędrce, gadułą, nauczycielem i niemal cadykiem dla ludzi różnych narodowości. Był w opozycji do dwudziestego wieku – choć, czy właśnie dlatego, że – przed pierwszą wojną zrobił w Wiedniu doktorat z filozofii Hegla. Dla Vincenza najważniejsze było to, co Simone Weil nazywa *enracinement*, a co jest niemożliwe bez ojczyzny. Ale ojczyzna-państwo to za duże i kiedy Vincenz marzył o „Europie ojczyzn”, miał na myśli małe jednostki terytorialne, jak jego ukochana Huculsczyzna zamieszkała przez Ukraińców, Żydów i Polaków, krainę wsławioną zresztą tym, że tam żył Baal Szem Tow, twórca chasydyzmu. Byłem wtedy, w czasie naszych pierwszych rozmów, bardzo obolały i Vincenz pomagał mi odnaleźć sens słowa „ojczyzna”. Nie jestem pewien, czy napisałbym w kilka lat później, dla celów autoterapii, *Dolinę Issy*, gdyby nie te rozmowy. I tak jak Vincenz całe swoje życie pozostał zakorzeniony w swoich Karpatach, tak ja, w każdym razie moja wyobraźnia, pozostałem wier-ny Litwie.

Ale wracam do naszego szczególnego miasta. Może uda się odnaleźć jakąś w nim ciągłość mimo przemian. Zajmiemy się też chyba uniwersytetem, na którym studiowaliśmy obaj i który teraz obchodzi swoje 400-lecie. Dobra to też okazja, żeby bez ogródek i dyplomatycznych wybiegów wymienić nasze poglądy na stosunki polsko-litewskie.

Wilna nie da się wyeliminować z dziejów kultury polskiej, a to ze względu na Mickiewicza, na filomatów, Słowackiego, Piłsudskiego. Nieraz zastanawiałem się nad pewnym podobieństwem Wilna mojej młodości i Wilna sprzed gór stu lat, które miało najlepszy uniwersytet w imperium z łaski Aleksandra I. Wtedy to było miasto masonerii – właściwie rozgromienie filomatów zbiega się czasowo ze zwróceniem się Aleksandra przeciwko masonerii w całym cesarstwie. Filomaci mieli swoje masońskie powiązania przez Kontrymą, bibliotekarza uniwersytetu. O lożach masońskich w moim, nowszym, Wilnie wiedziałem, i organizacja tajna „Pet”, do której zostałem przyjęty, będąc uczniem gimnazjum, też swoje powiązania miała, politycznie zwrócona była przeciwko endecji. Ale kiedy nie tak dawno temu spotkałem mego byłego profesora, jednego z najmłodszych profesorów prawa u nas, Stanisława Swianiewicza, dowiedziałem się od niego, że loż masońskich było dużo i prawie wszyscy profesorowie do jakichś loż należeli. W ogóle masońskość Wilna w jego relacji (a on jest człowiek absolutnie prawdomówny) mnie zdumiała. Czy można w tym dopatrywać się jakichś trwałych powołań Wilna, nie wiem. W każdym razie już w szkole średniej trafiłem do czegoś w rodzaju „ložy” – tego słowa używam nie w znaczeniu dosłownym, tylko na oznaczenie spiskowań elity, do której trzeba być przyjętym. I ta elita była usposobiona pogardliwie do „dobrze myślących”, tj. do całego spłotu: polskiego nacjonalizmu, Sienkiewicza, korporacji studenckich w deklach *etc.*

Taką „ložą” był też Akademicki Klub Włóczęgów, w którym znalazłem się zaraz po wstąpieniu na uniwersytet, a nieco później, podczas wielkiego, choć krótkotrwałego przybrania fali lewicowej we wczesnych latach trzydziestych, KI czyli Klub Intelktualistów, rodzaj komórki koordynującej i planującej posunięcia, tudzież urządzającej dyskusje w lokalu Związku Prawników, czyli studentów prawa. W tych „ložach” widzę dziedzictwo romantyczne – marzenie o zbawianiu ludzkości „od góry”, przez tych, którzy „wiedzą lepiej”.

A prawica, zwolennicy hasła „Bóg i Ojczyzna”, „stuprocentowej polskości”? Taka była większość mówiących po polsku. Językowo Wilno tamto, z czasu filomatów, musiało być polskie bardziej niż moje, nie wiem tylko, czy polska przeważnie była wieś okoliczna jak w moich czasach, czy białoruska. A może litewski język (jak wiadomo w tamtych okolicach stopniowo wypierany przez białoruski) bliżej wtedy do Wilna podchodził. W samym mieście wiek dziewiętnasty, rosyjskiego panowania, wycisnął swoje piętno i dlatego mówię, że tamto dawniejsze Wilno było może bardziej polskie. Bo przecie niemal połowę ludności mego Wilna stanowili Żydzi, a znaczna ich część przejęła język rosyjski czy też do tego języka ciążyła. Stąd rosyjskie gimnazja w moim Wilnie, obok polskich. Było też jedno, jeżeli się nie mylę, hebrajskie, i jakieś w jidysz szkoły. (Jak pewnie wiesz, było jedno gimnazjum litewskie im. Witolda Wielkiego, i jedno białoruskie). Do rosyjskich szkół posyłała swoje dzieci inteligencja żydowska do kultury rosyjskiej przywiązana – bo przecie Rosjan było w Wilnie mało, trochę tych, co z carskich czasów zostali, plus garstka emigrantów. Były i inne rosyjskie pozostałości, ta brzydka architektura właściwa rosyjskim miastom garnizonowym, tak kontrastująca ze starym Wilnem wąskich zaułków. Główna ulica nosiła kiedyś nazwę Świętojerski Prospekt i jeszcze kiedy chodziłem do szkoły, w języku codziennym nazywała się „Jerek”. „Jerek” był deptakiem, miejscem spacerów panów oficerów i studentów. Potem stopniowo przyzwyczajano się do nowej nazwy ulicy: Mickiewicza.

Z tym wszystkim, porównując Wilno z innymi miastami, zauważało się jego specyfikę. Psalmista nazywa Jeruzalem miastem „zwartym w sobie”, i to w pewnym stopniu stosowałoby się do Wilna, w silnym kontraście do miast zbudowanych na równinie, jak Warszawa. Zwartością Wilno przypominało Kraków, ale zasada tych dwóch miast jest różna, nie ma przecie w Wilnie rynku jako środka miasta. Z dzieciństwa zachowało mi się dość mgliste zresztą wspomnienie Dorpatu, czyli Tartu, może myślę się, odgadując coś wspólnego z Wilnem. A i w Pradze czeskiej czułem się o wiele bardziej „po wileńsku” niż w Warszawie. Zresztą Wilno historyczne tyle razy niszczyły pożary, że chyba samo położenie u zbiegu dwóch rzek i między pagórkami nadaje miastu ową „zwartość”.

To, że Wilno było prowincją, a nie stolicą dość mocno odczuwałem. I w wypadku polonizacji wszystkich tych ziem, etnicznie litewskich i białoruskich, prowincją by pozostało. Bo weźmy Francję. Ziemie na południe od Loary nie były francuskie, mówiły w języku *oc*, ale od czasu podboju w XIII wieku pod pretek-

tem krucjaty przeciwko albigensom były stopniowo sfrancuszczane. Jeszcze w XIX wieku cała wieś mówiła tam w *patois*, czyli w *oc*, ale kiedy kilka lat temu byłem w departamencie Lot, dowiedziałem się, że język ten znają w wioskach tylko ludzie po czterdziestce. To był język *maquis* podczas wojny, bardzo użyteczny, bo ludzie z miasta, tj. Francuzi, go nie rozumieli. Powiedzmy brutalnie: gdyby Polska nie przegrała swojej stawki historycznej, spolonizowałyby wszystkie ziemie aż do Dniepru, tak jak Francja rozciągnęła swój język aż do Morza Śródziemnego (a przecie kiedyś Dante zamierzał pisać *Boską Komedię* w języku poetów, tj. w *oc*!). I Wilno byłoby miastem regionalnym jak Carcassonne. Ale nie zapuszczajmy się w różne historyczne „gdyby”. W wieku XX program polskich nacjonalistów co do ziem etnicznie niepolskich był głupi, bo przecie Wilno czy Lwów to były enklawy. Myślę, że dzisiaj młodym dość trudno zrozumieć ten charakter przedwojennego Wilna jako enklawy: ni to Polska, ni to nie-Polska, ni to Litwa, ni to nie-Litwa, ni to prowincja, ni to stolica, choć przede wszystkim prowincja. I oczywiście Wilno, jak widzę z perspektywy, było dziwaczne, miasto pomieszanych, zachodzących na siebie stref, jak Triest albo Czerniowce.

Wyrosnąć tam to nie było to samo, co wyrosnąć na obszarach etnicznie jednolitych, sam język był inaczej odczuwany. Nie było gwary ludowej, wiejskiej czy miejskiej, o rdzennie polskich korzeniach, był język „tutejszy”, zabawny, bliższy może duchowi białoruszczyzny niż polszczyzny, choć co prawda przechowujący dużo wyrazów polskich pospolitych w wiekach XVI, XVII, a które w Polsce wyszły z użytku. Granica pomiędzy językiem „tutejszym” i mową gminu szlacheckiego (tą, którą słyszał i w dzieciństwie, i później w Paryżu uchem wewnętrznym Mickiewicz) była oczywiście płynna, tak samo jak pomiędzy mową drobnej szlachty i mową dworu czy też inteligencji wywodzącej się z dworu. Ale wszystko to było naprawdę obce polskim dialektom chłopskim. „Tutejszym” mówił wileński proletariat, to nie przypominało mowy ludu warszawskiego, gdzie zachował się chyba jakiś chłopski substrat. Dla mnie np. taki poeta jak Miron Białoszewski jest egzotyczny, tych źródeł językowych nie mam. Zaryzykuję twierdzenie, że nasz język był bardziej wrażliwy na poprawność tudzież na dobitność rytmiczną, stąd odczucie klarownej polszczyzny poetów XVIII wieku, jak Krasicki czy Trembecki jako „swojej”. Trudno to zanalizować. Co do mnie, to rzekłbym, że na mój język wpłynęło opieranie się pokusie języków wschodniosłowiańskich, w pierwszym rzędzie rosyjskiego, i szukanie rejestru, w którym mógłbym ze wschodniosłowiańskimi elementami współzawodniczyć – kiedy chodzi o modulację rytmiczną. Nie wiem, jak opór wobec rosyjskiego wpływa na Twój litewski. Ja wiem, że i dla mnie, i dla każdego, kto ma ucho wrażliwe na rosyjski, uleganie silnemu *beat* rosyjskiego jambu jest szkodliwe, że nie tędy idzie główny nurt polskiego.

Prowincjonalność Wilna. Bardzo mnie ona gnębiła i tęskniłem do wyrwania się na świat. Tak że nie trzeba stwarzać mitu o ukochanym, utraconym mieście,

jeżeli nie bardzo już mogłem tam wytrzymać, i kiedy ówczesny wojewoda, Boćciański, zażądał od Polskiego Radia w Wilnie, żeby mnie wyrzuciło z pracy jako politycznie podejrzanego, przymusowy wskutek tego wyjazd do Warszawy przyjąłem z ulgą. Bo Wilno było zadupiem: niesłychanie wąska baza, jeżeli odliczysz Żydów mówiących i czytających w jidisz albo po rosyjsku i lud „tutejszy”, nieczytający nic. Co zostawało? Trochę inteligencji szlacheckiego pochodzenia, na ogół dość tępej. I z tym łączy się kwestia narodowości. Bo gdybyśmy uważali siebie za Litwinów, to Wilno byłoby naszą stolicą i naszym centrum. Bardzo trudny problem, jak wiesz. Logiczne byłoby rozwiązanie fińskie. Bliżej tych spraw nie znam, nie wiem, jak Finowie o języku rodzinnym szwedzkim to rozwiązywali, ale chyba Helsinki były ich centrum, nie Sztokholm. Zasadniczo powinniśmy byli uważać się za Litwinów o języku rodzinnym polskim – i kontynuować w nowych warunkach Mickiewicz „Litwo, ojczyzno moja”, co znaczyłoby tworzyć literaturę litewską w języku polskim jako równoległą do literatury litewskiej w litewskim. Ale przecie nikt tego nie chciał – ani Litwini, najeżeni obronnie wobec kultury polskiej jako wynaradawiającej, ani ci wszyscy mówiący po polsku, uważający siebie po prostu za Polaków i odnoszący się pogardliwie do „kłausiuków”, do narodu chłopów. Jednostki myślące inaczej były nieliczne – choć bardzo ciekawe i cenne, i energiczne. W moim Wilnie byli to tzw. krajowcy, marzący o utrzymaniu tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego jako jedynej przeciwwagi wobec Rosji, czyli o federacji narodów wchodzących niegdyś w skład Wielkiego Księstwa. Te koła pokrywały się mniej więcej ze środowiskiem wileńskiej masonerii. Historia tej swoistej ideologii powinna być kiedyś napisana, ale jeżeli mówię, że to ciekawe, nawet fascynujące, to mówię teraz, *ex post*, bo jako młody człowiek ze wszystkimi awangardowymi ciagotami, zajęty nowoczesną poezją, francuskim ruchem intelektualnym etc., nie udzielałem temu co na miejscu większej uwagi. Zresztą to był ruch już wtedy przegrany, ostatnie echa. Ze strony litewskiej nie mógł liczyć nawet na cień sympatii, bo przedstawiał się jako przedłużenie „idei jagiellońskiej”. I niewątpliwie poza sentymentalnym przywiązaniem do idei Wielkiego Księstwa kryło się u wielu szlachciurów z pochodzenia marzenie o dominacji. Niemniej Ludwik Abramowicz i paru innych „krajowców” to byli ludzie głębocy i szczerzy w swoim oporze wobec polskiego nacjonalizmu. Byli to spadkobiercy szerokiego myślenia, na miarę ludzi oświeconych w osiemnastowiecznej dawnej Rzeczypospolitej. Nie myślę, żeby po stronie litewskiej był jakiś odpowiednik – tam chyba wszystko było nowym nacjonalizmem, siłą rzeczy spazmatycznym. Tak czy owak, jedyni spośród mówiących po polsku wilnian, „krajowcy”, Wilno uważali za stolicę, nie za prowincję. A ja teraz myślę, że ktokolwiek dobrze życzy temu miastu, powinien chcieć, żeby było stolicą – co automatycznie usuwa jakieś polskie roszczenia do „polskiego Wilna”.

Muszę tutaj poruszyć zagadnienie zdrady narodowej. Jak wiesz, tam gdzie są obolałe uczucia, łatwo o taki zarzut i pewnie doświadczyłeś tego na własnej skó-

rze. Idea „krajowa” była narażona na zarzut „zdrady” z obu stron – i ze strony polskiego, i litewskiego nacjonalizmu. Wiele mi się przypomniało, kiedy byłem w 1967 roku na *Rencontre mondiale de poésie* w Montrealu, razem z Adamem Ważykiem, i trafiliśmy w środowisko intelektualne Québecu, z jego francuskim fanatyzmem. Ale także kiedy w kilka lat później brałem udział w zjeździe poetyckim w Rotterdamie, na którym poznałem wielu Belgów języka flamandzkiego. Woleli mówić po angielsku niż po francusku, zresztą już lepiej angielski znali niż francuski. Przed wojną, w moim roku studenckim w Paryżu, trochę pachniały „zdradą” moje wizyty w Poselstwie Litewskim u Oskara Miłosza. No, ten był dla Polaków „zdrajcą” i obserwować mogłem, jak przenosi się, niby prąd elektryczny, taka wrogość, bez słów właściwie. Tutaj zbiorowość ma swoje tajemnicze sposoby porozumiewania się. Ale listy Oskara Miłosza do Christiana Gaussa, które odkryłem w Bibliotece Uniwersytetu Princeton i ogłosiłem w osobnej książeczce w Paryżu, dają odpowiedź na pytanie, jak i dlaczego ogłosił się Litwinem. Kiedy to zrobił, w roku 1918, nic o ruchu narodowym litewskim nie wiedział, po prostu wpadł w gniew, dowiadując się, że Polacy nie chcą uznać niepodległości Litwy (pewnie tu chodziło o nacjonalistycznych Polaków spod znaku Dmowskiego, działających dyplomatycznie podczas Konferencji Pokojowej). Następnie pracował na rzecz Litwy na forum międzynarodowym. Dzisiaj, z perspektywy, widać, że jego stanowisko w sprawie Wilna było słuszne. Niemniej, jeżeli Litwini go szanowali, to jednak odnosili się do niego nieufnie, bo nie był człowiekiem języka litewskiego, tylko polskiego. Prawdę mówiąc, francuskiego, przez co mógł zrobić wybór. Gdybym ja ogłosił się Litwinem, to jakież ja Litwin, jeżeli po polsku piszę? Ta nieufność była powodem jego dobrowolnej rezygnacji z kariery dyplomatycznej i zadowoleniem się skromnym stanowiskiem radcy w Poselstwie, choć przecie raz proponowano mu stanowisko ministra spraw zagranicznych. Zauważ pamiętliwość Polaków – to z drugiej strony. Niedawno, kiedy w Polsce Artur Międzyrzecki przetłumaczył Oskara Miłosza powieść *L'Amoureuse initiation* i zaczęto o twórczości Oskara pisać, pojawił się list do redakcji w „Tygodniku Powszechnym”, którego autor przypominał, że z polskością Oskar Miłosz nie miał nic wspólnego, bo wyrzekł się jej.

W litewskiej prasie emigracyjnej zdarzały się ataki na mnie za to, że, choć krewny Oskara Miłosza, jestem Polakiem, nie Litwinem. Natomiast wśród Polaków nieraz natrafiałem na podejrzliwość, że niby coś tam z moją polskością nie w porządku. I muszę przyznać, że cień racji w tym był, choć jako dziecko, w Rosji, recytowałem: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały”. W Rosji, w ogóle wobec Rosjan, zawsze czułem się Polakiem stuprocentowym, ale to nie sztuka. Co innego w starciu z etnią rdzenną, z Polakami „z Królestwa”. Moje stosunki z Polską były obolałe, nie mniej, a może bardziej niż u Gombrowicza, i byłoby przesadą dopatrywanie się w tym jakiegoś ciężenia ku Litwie, podczas kiedy naprawdę decydował mój indywidualny los, uchylanie się od pełnego włączenia się w jakąkolwiek ludzką wspólnotę, czyli mój garb, kalectwo. Ale też

trzeba w tym zobaczyć konflikt z polską inteligencją przedwojenną, bo moja umysłowość była o wiele bardziej międzynarodowa czy kosmopolityczna.

Dość trudno jest to teraz odtworzyć. Działały różne wpływy już w latach szkolnych, jak lektura pism literackich, które nie były właściwie pismami inteligencji polskiej, tylko polsko-żydowskiej – mówię o pismach wydawanych w Warszawie, jak „Wiadomości Literackie”. Stąd może mój wczesny bunt przeciwko Sienkiewiczowi i duszy polskiej, będącej *anima naturaliter endeciana*. A w latach studenckich przyszedł wpływ Oskara Miłosza, w którego tekstach politycznych, ogłoszonych pośmiertnie, możesz znaleźć bardzo trzeźwą ocenę sytuacji – w roku 1927 pisał, że Polska miałaby dane na zgrupowanie wokół siebie, przez ścisłe alianse, państw bałtyckich, Finlandii, Czechosłowacji, tak żeby stworzyć przeciwwagę wobec nacisków niemieckich, ale że na to Polska musiałaby wyrzec się swego *messianisme national outreuidant et chimérique*, czego nie potrafi, tak że za jakieś 10 lat dojdzie do katastrofy. O jeszcze jednym wpływie muszę powiedzieć, i to będzie dłuższa historia. Nie jesteś moim pierwszym przyjacielem Litwinem. Faktem jest, że w latach studenckich silnie oddziałał na mnie przyjaciel Litwin, i to nie z Wilna, ale, jak się wtedy mówiło, z „Litwy kowieńskiej”. Skąd do nas trafił? Jak wiesz, stosunki dyplomatyczne pomiędzy Polską i Litwą wtedy, za mego pobytu na uniwersytecie, 1929–1934, nie istniały, kordon był zamknięty i oba państwa płatały sobie figle – Polska podtrzymując finansowo „polskość” na Litwie, Litwa robiąc to samo wobec „litewkości” na Wileńszczyźnie. Poznałem go w 1929 roku na proseminarium z filozofii prawa, prowadzonym przez docentkę Ejnikównę: raptem zabiera głos duży drab, w rogowych okularach, ze strzechą konopianych włosów, niby próbuje mówić po polsku, ale to jest właściwie rosyjski przeplatany niemieckim. Nazywał się Pranas Ancevičius, czyli Franciszek Ancewicz. A oto jego dzieje, bardzo smutne. Pochodził z ubogiej chłopskiej rodziny, dostał się do gimnazjum, zachwyił się rewolucyjną literaturą rosyjską (Górki etc.) i został rewolucjonistą. Wziął udział w 1926 roku w przegranym puczu socjalistycznym Plečkajtisa i musiał z Litwy uciekać. Uciekł do Wiednia, gdzie mieszkał w kompleksie domów robotniczych im. Karola Marksa i gdzie pomagali mu socjaliści. W ogóle Pranas, czy Draugas, jak go nazywałem, miał całe życie być socjalistą radykalnym w stylu wiedeńskiego marksizmu, i w tym jego tragedia. Bo niewątpliwie był to człowiek spragniony politycznego działania, a skazany na los emigranta. W Wilnie wobec miejscowych Litwinów był „spalony”, jako że oni byli lojalni wobec rządu w Kownie, a on dla tego rządu był politycznym przestępcą. Z kolei litewscy komuniści szczególnie go nienawidzili, bo okropnie im dopiekał swoją dobrą znajomością spraw Związku Sowieckiego i wypowiadaniem swego zdania bez ogródek, tak że zastosoowali zwykłą u nich metodę oczerniania, ogłaszając go „polskim agentem”, prowokatorem itd. Rozpowszechniali pogłoski, że jest kupiony, opłacany, bo skąd miał pieniądze na studia? Ale ja mieszkalem z Draugasem na tym samym pięttrze domu akademickiego, na Bouffałowej Górze, i wiedziałem, że jego

skromne środki utrzymania (a Wilno było niezwykle tanim miastem) przychodziły z Ameryki, z litewskiej prasy, bodaj antyklerykalnej i lewicowej, do której pisał korespondencje (był zacieklej ateistą). Kiedy przesyłka pieniędzy spóźniała się, Draugas żył na kredyt. Byłem też świadkiem jego długotrwałych i ciężkich depresji, bo z dużymi zdolnościami szła u niego w parze neurotyczność. Otóż moje rozmowy z Pranasem – zważywszy, że przypadły na moje lata formacyjne – wyjaśniają, dlaczego, kiedy przeniosłem się do Warszawy, wiedziałem dziesięć razy więcej o komunizmie niż wszyscy moi literaccy koledzy wzięci razem, bo przecie Pranas śledził wszystko, co się odbywało za wschodnią granicą. I oczywiście moja perspektywa na Polskę i polskość, z natury endecką i parafialną, musiała być inna wskutek tego mego treningu.

Nie chciałem przesadzać z moim upolitycznieniem. Nie nadawałem się do żadnej politycznej decyzji ani działalności, co sobie wyrzucałem, ale nigdy nie umiałem pokonać mego indywidualizmu i poddać się dyscyplinie organizacyjnej. Pranas był prezesem ZNMS, czyli Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej na uniwersytecie, a jednak ja nie zapisałem się do tej organizacji, czyli on jako przyjaciel to było dla mnie jedno, a jego wiara rewolucyjna to drugie.

Pranas zrobił doktorat z prawa i zaczął wyklądać w Instytucie Badań Europy Wschodniej. Tutaj jest dobra okazja, żeby dotknąć spraw na pewno już dzisiaj zagadkowych, tj. niekonsekwencji w polskiej polityce wobec Litwinów, Białorusinów, Ukraińców. Rzecz w tym, że podobnie jak to widzimy w Ameryce, ścierały się w Polsce ze sobą różne siły, choć w latach trzydziestych z każdym rokiem wzmacniała się prawica i jej program „polonizowania” przy pomocy środków policyjnych, aż do okrutnych pacyfikacji wsi ukraińskich łącznie. W Wilnie nękaniami Litwinów zajmował się wojewoda Bociański – to było już po śmierci Piłsudskiego. A równocześnie powstał Instytut Badań Europy Wschodniej, który został założony przez siły zupełnie inne, co prawda już wypierane przez wojujący nacjonalizm o faszystowskim zacięciu. Siły, które można określić jako liberalne, nie bez masońskich powiązań, i wierne federacyjnym marzeniom Piłsudskiego. Niekoniecznie socjalistyczne czy masońskie – na przykład Swianiewicz był w Instytucie, podobnie jak wielu innych profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego, a on całe życie gorliwy katolik. W pewnej chwili administracja województwa zaczęła deportować siłą niektórych Litwinów, po prostu przerzucając ich przez granicę do Litwy, chciała też deportować Pranasę, a tam w Kownie naturalnie wsadziliby go do mamra. Właśnie ludzie instytutu go wybroniли. Pomysł założenia instytutu był znakomity – gdzie jak gdzie, ale w Polsce powinno się było uczyć o sąsiadach, przynajmniej ludzi przygotowujących się do służby w administracji i dyplomacji. Wykładano w instytucie to, co nazywa się dzisiaj sowietologią, na ileż lat wcześniej niż ta gałąź wiedzy rozwinęła się w Ameryce, tj. uczono ekonomii, geografii, zagadnień ustrojowych Związku Sowieckiego, ale także historii i języków naszego obszaru: litewskiego, łotewskiego, estońskiego, białoruskiego. Dość charakterystyczne, że wtedy kiedy eksczłonko-

wie naszej grupy „Żagary”, Henryk Dembiński i Stefan Jędrzychowski, byli w Wilnie okrzykami jako komuniści, a także nieco później, kiedy występowali jako oskarżeni w procesie, władzom instytutu nie przeszkadzało to ich zatrudniać. Sekretarzem instytutu był mój kolega poeta Teodor Bujnicki, dojeżdżał na wykłady z Warszawy Stanisław Baczyński (ojciec późniejszego poety Krzysztofa Baczyńskiego), bardzo lewy, dość typowy dla pewnej mentalności: piłsudczyk, legionista, uczestnik polskiego powstania na Śląsku, z tej polskiej inteligencji, która poszła walczyć o niepodległą Polskę w imię swoich radykalnych idei. Wydaje mi się, że Pranas Ancevičius i Baczyński szczególnie sobie przypadli do gustu, i że to on namówił Pranasę na przeniesienie się do Warszawy, z dala od sztykan miejscowej administracji, a także pomógł mu dostać pracę, już nie pamiętam w jakim instytucie badawczym czy bibliotece. To było zresztą tuż przed wybuchem wojny.

W latach studenckich Wilno było dla mnie przyległościami placu Katedralnego – z jednej strony uniwersytet, z drugiej kawiarnia Rudnickiego na rogu ul. Mickiewicza i zaraz obok Instytut Badań Europy Wschodniej. Na naszym uniwersytecie czuło się ciągłość bardziej niż na innych polskich uniwersytetach, z wyjątkiem Jagiellońskiego. Bo okres jego zamknięcia po powstaniu 1831 roku jakoś skracał się, ginął, i żyło się aurą filomatów. Wychowywać się w Wilnie, znaczyło należeć w pewnym tylko stopniu do XX wieku, głównie chyba za pośrednictwem kina. Czasem mi się dzisiaj miesza Akademicki Klub Włóczęgów, a zwłaszcza Klub Włóczęgów-Seniorów, z Towarzystwem Szubrawców złożonym z profesorów młodego Mickiewicza. Nawet łoża Gorliwy Litwin nadal zdaje się w moich studenckich latach działała.

W porównaniu z Wilnem Warszawa była miastem brzydkim, zżartym w jej środkowych dzielnicach i na niektórych peryferiach przez liszą nędzę, żydowskiej, chałupniczej i drobnokupieckiej, albo polskiej, proletariackiej, i nie umywała się do miast cywilizowanych, jak śliczna Praga czeska, niemniej Warszawa to był już wiek XX. Dla przybyszów z Warszawy, takich jak K. I. Gałczyński, Wilno przedstawiało się jako zupełna egzotyka. A mnie Warszawa przerażała. W środku studiów prawa przez rok byłem na Uniwersytecie Warszawskim i złe to było doświadczenie. Obląłem egzaminy (u profesorów, którzy nie umywali się do wileńskich) i wróciłem do Wilna.

Dotychczas nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zmarnowałem tyle lat na studiowanie prawa. Było tak: wstąpiłem na polonistykę, skąd uciekłem po dwóch tygodniach, i z chwilą kiedy zapisałem się na prawo, głupi upór (litewski?), wstyd rzucenia czegoś, co się zaczęło, zmusił mnie do przemęczenia się aż do dyplomu. Prawo to było wtedy ogólne wykształcenie, jak dziś w Ameryce antropologia czy socjologia, szli na prawo ci, co nie wiedzieli dobrze, co ze sobą robić. A humanistyka wymagała, żeby powiedzieć sobie: no cóż, będę belfrem w szkole średniej. W młodości ma się te górne i nieokreślone marzenia, trudno być trzeźwym i wyznaczyć sobie skromny zawód nauczyciel-

ski. Gdybym dzisiaj wybierał, z moją obecną wiedzą, wybrałbym nie polonistykę ani filozofię (a chodziłem na wykłady i seminaria z filozofii), ale tzw. filologię klasyczną, a także uczyłbym się hebrajskiego i biblistyki. Tylko że wtedy łacina i greka oznaczały tradycyjnie przepisany program, głównie więc poetów starożytności, a mnie na przykład greckie tragedie czytane w profesorskich przekładach okropnie nudziły, Wergilego miałem dosyć ze szkoły, czyli całą filologię uważałem za nudy na pudy. Dzisiaj łacina i greka, której zacząłem się uczyć skończywszy sześćdziesiąt lat, znaczą dla mnie co innego: dostęp do świata hellenizmu i początków chrześcijaństwa. Gdyby wtedy znalazł się ktoś mądry, kto by mną pokierował, może bym przez nudy przebrnął. Był tam profesor greki z prawdziwego zdarzenia, Stefan Srebrny, i u niego powinienem był studiować. A gdybym jeszcze nauczył się hebrajskiego, byłbym jednym z niewielu dobrze wykształconych literatów. Niemniej prawo w Wilnie było moim zdaniem lepsze niż na innych polskich uniwersytetach, to znaczy co roku w ciągu czterech lat wymaganych do dyplomu jeden przynajmniej kurs był z prawdziwego zdarzenia. Do tych zaliczam: teorię prawa (docentka Ejnik), historię ustroju Wielkiego Księstwa Litewskiego (Iwo Jaworski), prawo karne (Bronisław Wróblewski, który właściwie dawał kurs antropologii pod tym pretekstem), historię filozofii prawa (Wiktor Sukiennicki). Tak że w Wilnie, i w szkole średniej, i na uniwersytecie, otrzymałem jednak przyzwoite wykształcenie, choć mogłoby być lepsze. Zważmy, że szkolnictwo po roku 1918 musiało być nagle improwizowane, nie brak więc było postaci, które znalazły się na katedrach jakimś przypadkiem. W każdym razie jednak nie było w Wilnie żadnego tak niepoważnego profesora jak osławiony Jarra w Warszawie, który kazał do egzaminów uczyć się całego swego podręcznika teorii prawa na pamięć i ścinał, jeżeli student odpowiadał „swoimi słowami”, podczas kiedy jego podręcznik był jednym bełkotem.

Ważne, kiedy mówimy o Wilnie: w znacznym stopniu było ono miastem żydowskim. W zupełnie inny sposób niż Warszawa. Dzielnica żydowska w Wilnie to był labirynt wąskich uliczek, zupełnie średniowiecznych, domy połączone arkadami, wyboisty bruk szerokości dwóch, może trzech metrów. A w Warszawie ulice ohydnych czynszowych kamienic z XIX wieku. Nędza żydowska w Wilnie mniej rzuciła się w oczy, co nie znaczy, że jej nie było. Ale nie na tym polega różnica. Wilno było mocnym ośrodkiem kulturalnym żydowskim, z tradycjami. Przypomnę, że tu przecie, na bazie robotniczej, żydowskiej, tych co mówili w jidis, powstał przed pierwszą wojną Bund. Jego przywódcy, Alter i Ehrlich, potem zostali rozstrzelani przez Stalina. Wilno miało Instytut Historyczny żydowski, przeniesiony następnie do New Yorku. I myślę, że Wilno szczególnie przyczyniło się do odrodzenia hebrajszczyzny w Izraelu. Mieszkając w takim mieście, powinienem był zdobyć jakąś o tym wszystkim wiedzę, ale przeszkodę stanowił obyczaj. Żydowskie Wilno i nieżydowskie żyły osobno. Posługiwały się też w mowie i piśmie nie tym samym językiem. Jako student byłem usposobniony bardzo internacjonalnie, co było dość płytkie. Nie wiedziałem nic o historii

Żydów w Polsce i Litwie, o ich myśli religijnej, żydowskim mistycyzmie, kabale. Dopiero nieprędko, w Ameryce, miałem się tego uczyć. To daje miarę oddzielenia dwóch wspólnot, bo coś mówić o innych miastach w przedwojennej Polsce, jeżeli ja w takim sąsiedztwie zostałem ignorantem. Nikt, o ile wiem, nie odważył się w Polsce zaproponować, żeby hebrajski był wykładany w szkołach – jako jeden z języków „klasycznych”, żeby uczono historii intelektualnej Żydów polskich czy nawet żeby czytano i komentowano Stary Testament: ukamienowano by takiego. I jeżeli nienawiść Żydów do Polaków, przy dziwnym z ich strony wybaczeniu Niemcom i Rosjanom, bardzo mnie razi i boli, to muszę przyznać, że antysemityzm małostkowy, po angielsku rzekłbym *petty*, po francusku *mesquin* – może załazić za skórę nie mniej niż zbrodnie, bo jest czymś na co dzień.

Mam nadzieję, że w moim liście znajdziesz materiał do refleksji. I ty, i ja chcemy, żeby stosunki polsko-litewskie ułożyły się inaczej niż w przeszłości. Dwa narody mają za sobą straszne doświadczenia, zostały podbite, upokorzone, zdeptane. Nowe pokolenia inaczej będą ze sobą rozmawiać, niż to działo się w latach przedwojennych. Musimy jednak liczyć się z siłą inercji i z tym, że w próżni ideologicznej, jaka powstała, nacjonalizm czy w Polsce, czy w Litwie nieraz będzie wkraczał na utarte tory, jako że w historii każdego kraju istnieją powtarzające się wzory, *patterns*. W końcu XVIII wieku nastąpił w Polsce rozłam na obóz reform i obóz sarmacki i ten rozłam, pod różnymi przebraniami, utrzymał się do dziś, choć w warunkach niejawności albo półjawności, wymyka się definicjom. Być może wydana w Paryżu przez „Kulturę” książka Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog* zapowiada koniec tego rozłamu. Bo przecie w naszym stuleciu ostoją mentalności sarmackiej, która zrodziła nowoczesny nacjonalizm, był, przynajmniej do roku 1939, Kościół. Rysuje się teraz nowy sojusz, Kościół w Polsce ogniskuje w sobie wielkie energie postępu, a postęp nie może w tantym ustroju oznaczać nic innego jak skuteczną obronę człowieka. Ale to są złożone przemiany i nie z dnia na dzień, wcale też nie przesądzają o nagłym zniknięciu nastrojów nacjonalistycznych w wydaniu przedwojennym wśród znacznej części kleru.

Litwini w latach 1918–1939 nie lubili tego wszystkiego, co było mi w Wilnie bliskie: „krajowców”, marzeń federacyjnych, regionalizmu, masonów-liberałów, którzy kiedyś poszli za Piłsudskim. Jak się zdaje, woleli mieć do czynienia z *anima naturaliter endeciana*, bo wtedy przynajmniej widać wyraźnie wroga. Może mieli rację, nie będę rozstrzygać. A jednak ta właśnie linia, nie linia sarmacka, daje dzisiaj nadzieję przyjaźni pomiędzy Polakami i Litwinami. I ostatecznie taki jest polityczny rodowód, z tej właśnie linii, Jerzego Giedroycia, redaktora paryskiej „Kultury”, której jestem od wielu lat współpracownikiem.

Czesław Miłosz

Czesławie,

Wyjechałem z Wilna półtora roku temu i nie wiadomo, czy do tego miasta powrócę; w każdym razie nie nastąpi to w bliskiej przyszłości. Jeden z moich przyjaciół, też niedawny emigrant i dość ambitny sowietolog, twierdzi, że ogromne zmiany we Wschodniej Europie mogą zająć w ciągu dosłownie kilku lat. Wtedy nasza emigracja skończyłaby się w sposób naturalny. Chociaż jestem raczej optymistą, z tym poglądem się nie zgadzam: sprawa niewątpliwie potrwa, musimy się przyzwyczaić do tego drugiego życia na Zachodzie. W pewnym sensie przypomina ono życie pośmiertne. Spotykamy się z ludźmi, których nie mieliśmy nadziei na tym świecie spotkać, a z dawnymi znajomymi jesteśmy rozłączeni mniej więcej na zawsze. Kontakty z nimi mają charakter trochę spirytystyczny. Oddalają się od nas dawne pejzaże; widzimy natomiast rzeczy, o których mieliśmy bardzo mgliste pojęcie. Piszę to w hoteliku wenecjańskim, o kilka kroków od San Marco. Jeżeli pięć lat temu ktoś mi powiedział, że będę tutaj rozmawiał pisemnie z Tobą, odpowiedziałbym, że ma niesłychanie bujną wyobraźnię.

Pamiętam jeszcze każdy zaułek Wilna; mógłbym przejść przez to miasto, nie patrząc, myśląc o czymś swoim, a jednak znalazłbym tam wszystko. Czasami zresztą robię to we śnie. Ale odpływa ono ode mnie nieodwracalnie: wiem, że się zmienia, jednak nie uczestniczę już w tych zmianach. Zaczynam widzieć miasto w sposób uproszczony, ogólny, no i może bardziej historyczny. Nie doświadczam nostalgii. Gdy zdecydowałem się na emigrację, nie jeden mi mówił, że nostalgia to rzecz straszna; odpowiadałem zgodnie z prawdą, że odczuwam okropną nostalgię za Francją, Włochami i tak dalej – silniejszej już być nie może. Jestem szczęśliwy, słysząc dzwony Wenecji i wiedząc, że za pięć minut mogę znów zobaczyć San Giorgio Maggiore – może najpiękniejszą fasadę na świecie. Nie chciałbym powrócić do teraźniejszego Wilna, właściwie nie mogłem tam wytrzymać. Jednak lubię to miasto i teraz naprawdę zaczynam rozumieć, że ono też jest częścią Europy.

Znamy nie to samo Wilno; nawet można powiedzieć, że to są dwa krańcowo różne miasta. Taka absolutna zmiana nie jest zjawiskiem częstym. Myślę, że Warszawa, mimo że została doszczętnie zrujnowana, zmieniła się mniej. Może częściowo analogiczny do wileńskiego jest los Gdańska albo Wrocławia (i znacznie gorszy – los Królewca). Tam też zmieniła się ludność, język, modele cywilizacyjne; do tego, powiedzmy, przedwojenny Gdańsk miał polskie zaplecze i jakiś polski substrat, podobnie jak Wilno, należąc do Litwy historycznej, ocierało się o Litwę etnograficzną. Jednak wszystko jest nowe. Oczywiście pozostało niebo, Wilia (która nazywa się Neris), nawet piaszczyste łąchy w miejscu, gdzie do Wilii wpada Wileńka albo Vilnelė; pozostały niektóre drzewa – wiele drzew; ale co poza tym? Owszem, pozostała architektura. Jest to ważne.

Sądzę, że właśnie architektura nadaje miastom aurę; wszystko inne – styl życia, nawet krajobraz i klimat, jest w jakimś sensie jej pochodną. Wilno to miasto

barokowe. Jednak barok na ogół wymaga przestrzeni, dystansu, perspektyw; miasta w tej epoce są planowane już w sposób nowoczesny. Barok wileński – to barok na kanwie średniowiecznej; bo sieć uliczek jest średniowieczna – wszystko tu krzywe, ściśnięte, zagmatwane. Nad tym labiryntem wyrastają potężne kopuły i baszty rodem z zupełnie innego stulecia. Nic tu nie zjawia się w całości: jakieś części kościołów, ukośne mury, przepołowione sylwety wylaniają się zza rogu; wśród wilgotnych i brudnych korytarzy nagle strzela w niebo wspinała biała dzwonnica św. Jana albo otwiera się nieduży placik klasyczny. Dzieje i stosunki ludnościowe miasta – to taka sama gmatwanina. Zresztą znasz to dobrze. Za moich szkolnych czasów połowa tego Wilna stała w ruinach, wszystkie kościoły jednak jakimś cudem ocalały. Ogień artyleryjski zniszczył jedną z dwóch ładnych wież św. Katarzyny, którą zresztą odbudowano po pewnym czasie. Oczywiście władze sowieckie pozamykały większość kościołów – zrobiono tam magazyny papieru i wódki, potem ze zmiennym sukcesem część kościołów przystosowano do urządzania wystaw muzealnych; ale w każdym razie zewnętrzny wygląd pozostał. Miasto jest bardzo zrośnięte ze swym podłożem: w jasny dzień dobrze widać, że linie frontonów odzwierciedlają linię okolicznych lesistych pagórków, albo może to ona je odzwierciedla. Napisałeś kiedyś, że chmury nad tym miastem też są barokowe; owszem, są.

Nie chciałbym zatrzymywać się nad tym barokiem. Wilno ma wszystkie style europejskie (z wyjątkiem romańskiego), i to w dobrym gatunku. Pomieszanie jest naprawdę dziwne, jednak style współistnieją w bardzo żywy sposób. W latach szkolnych interesowałem się tym raczej na serio. Znałem nie tylko wszystkie zabytki wileńskie, ale prawie że każde okno i kolumnę. Zdobyłem pojęcie o architekturze, w każdym razie lepsze niż o innych sztukach; wykształciłem nieco wyobraźnię wzrokową, przestrzenną (muzycznej niestety mi brak). Miałem kilku przyjaciół z takim samym zacięciem architektonicznym: mogliśmy godzinami bawić się w odgadywanie stylów, wieków, nawet dziesięcioleci, albo w wyliczanie z pamięci różnych wileńskich ciekawostek. Ważną pomocą w tym była książka Mikołaja Worobiowa, wydana w roku 1940. Profesor Worobiov po wojnie wyemigrował do Stanów, gdzie popełnił samobójstwo (jego miła córka mieszka w Nowym Jorku, zupełnie nieoczekiwanie spotkałem ją w pierwszy dzień po przyjeździe do tego miasta). Książka jego, opublikowana wyłącznie po litewsku, jest czymś w rodzaju wileńskiego Ruskina czy Morrisa. Potem widziałem dużo miast, i „choroba wileńska” trochę mi przeszła. Jednak przyznam się, że w najgorsze dni życia, już jako człowiek dorosły, siedłem po prostu na dziedzińcu Skargi, na placu przed św. Anną albo przed św. Teresą, stałem i patrzyłem; i to zawsze pomagało.

Znajduję coś z tego teraz we Włoszech: topograficznie Wilno jest bardzo podobne do Rzymu. Nawet ma, tak samo jak Rzym, stratum zabytków pogańskich. Zacytuję tu małą anegdotkę. Przed wojną odbyła się wycieczka studentów litewskich do Europy; jeden z uczestników opisał tę wycieczkę bardzo wymow-

nie. W jego opisie znajduje się takie oto zdanie: „Przyjechaliśmy do Florencji; miasto jest ładne, w rodzaju Wilna, tyle że gorsze”. Najśmieszniejsze chyba jest to, że prawie z nim się zgadzam. W każdym razie strefa kulturalna Florencji i Wilna jest ta sama, Wilno należy do tego świata, do którego należy Florencja. Rosja jest zupełnie inna, może z wyjątkiem Petersburga, ale z Petersburgiem to złożona sprawa. Co się tyczy Tartu albo Tallina – moim zdaniem mają z Wilnem bardzo mało wspólnego (poza nieszczęśliwym losem): to Europa raczej skandynawskiego kręgu.

Otóż architekturę wileńską dość wcześnie zacząłem odbierać jako znak. Mówiła o czymś i stawiała jakieś wymagania. Była to wyniosła przeszłość wśród dziwnej i niepewnej teraźniejszości, tradycja w świecie nagle odartym z tradycji, kultura w świecie akulturalnym. Kultura, co tu ukrywać, w znacznym stopniu polska. Ale i włoska, niemiecka, francuska; przede wszystkim chrześcijańska (co zrozumiałem później). Mówisz, że dla Ciebie Wilno to możliwość normalności. Dla mnie nigdy normalnością nie było. W dzieciństwie bardzo silnie, choć niejasno odczuwałem, że świat jest zwichnięty, wywrócony, okaleczony. Później zacząłem myśleć – i właściwie myślę dotychczas – że żyjemy już po końcu świata, co zresztą nie zwalnia nas od żadnej odpowiedzialności. W moim Wilnie istniały tylko enklawy dające jakieś pojęcie o tym zaginionym normalnym świecie. Oczywiście normalność w ogóle jest rzeczą względną, i podejrzewam, że życie ludzkie nie układa się zwyczajnie nigdy; każdy o tej zwyczajności od czasu do czasu marzy, chociaż zawsze była to idealna średnia nieprzylegająca do faktów. A w naszej epoce najbardziej niewiarygodne losy są może najczęstsze, to znaczy najzwyczajniejsze.

Przeczytałem niedawno esej Tomasza Manna *Lubeka jako forma życia duchowego*. Mówi on o świecie spokojnym, dostojnym, zawsze poszukującym drogi środkowej; ważne w tym świecie są takie kategorie, jak rozum, obowiązek, dom. To się zmieniło na pewno. Kategorie te już nie są nam dane „od początku” przez tradycję; mogą być wyłącznie zadaniem: to znaczy musimy dorastać do poczucia obowiązku, do rozumnego i dostojnego życia, do jakiegoś własnego, niemechanicznego miejsca jeżeli nie w przestrzeni, to w czasie, i to dorastać z wielkim trudem, zawsze licząc się z przegraną. Jest to skutek przede wszystkim totalitaryzmów dwudziestowiecznych. Jeden z tych totalitaryzmów zjawiał się właśnie w umiarkowanej ojczyźnie Tomasza Manna, co jest kwestią odrębną.

Nie pochodzę z Wilna: urodziłem się w Kłajpedzie, skąd moi rodzice zmuszeni byli wyjechać w roku 1939, kiedy to miasto i okolice zajął Hitler. Miałem wtedy dwa lata. Dzieciństwo, inaczej mówiąc, okupację niemiecką, spędziłem w Kownie. Ale potem już zostałem wileńczykiem, jako jeden z tysięcy Litwinów, którzy za czasów wojny i po wojnie przyjechali do swej historycznej stolicy. Było to miasto dla nich zupełnie nieznane. Przed wojną ruch pomiędzy Wilnem a Litwą niepodległą, jak wiadomo, prawie nie istniał. Istniał natomiast mit Wilna, znaczący dla wyobraźni litewskiej, o czym później; ale to inny wymiar.

Istnieli też, i nawet istnieją, Litwini – rodowici wileńskimi; ciekawa to grupa ludzi, lecz niewielka i już raczej na wymarcu. Więc życie w Wilnie z początku było trudnym wrastaniem w nową glebę. No i w ogóle było chaosem.

Jak mówiłem, pół miasta zalegały ruiny. Na dawnym „Jerku” został spalony co drugi dom. Straszło tam jednak drewniane kino Helios (teraz mniej więcej na tym miejscu stoi dość pompatyczna nowa opera wileńska). Losy imienia tej ulicy zasługują na oddzielny opis. Władze litewskie przemianowały ją na ulicę Giedymina, zostawiając imię Mickiewicza jej przedłużeniu na Zwierzyńcu. Gdzieś w okolicach roku 1950 oznajmiono, że ulegając prośbom mas pracujących, nazwę się zmieni – ulica będzie prospektem towarzysza Stalina. Nosiła to dumne imię do XX zjazdu. Wtedy to jeden z moich znajomych, początkujący grafik, napisał do władz petycję, proponując powrót do dawnej nazwy. Wyrzucano go natychmiast z uczelni; starym zwyczajem trafił do rekrutów, czyli do Armii Czerwonej, skąd powrócił złamany. Pracował co prawda potem w swym fachu, ale był chory i zmarł, jak szeptem mówiono, z powodu zbyt silnej dawki promieni radioaktywnych, którą otrzymał gdzieś na bazie północnej. Ulica w końcu została, oczywiście, prospektem Lenina. Jednak moje pokolenie zawsze nazywało i nazywa ją „Giedyminką”. Trzeba powiedzieć, że Giedymin oficjalnie też pozostał, bo otrzymał plac Katedralny. W ten sposób wymazano z mapy religie, a nacjonalizm litewski, choć niezupełnie zlikwidowany, okazał się na miejscu mu należnym, bo drugim.

Całe getto (oraz ulica Niemiecka, od razu przemianowana na Muzealną) było niesamowitą martwą przestrzenią, prawdopodobnie zbliżoną w wyglądzie do tużpowojennej Warszawy. Ściany starej synagogi stały jeszcze, jednak zburzono ją niezwłocznie. Burzono także różne inne rzeczy niezupełnie odpowiadające nowemu porządkowi. Kiedyś rankiem zobaczyliśmy, że zniknęły Trzy Krzyże – wysadzono je nocą w powietrze. Odremontowano, potem zdjęto trzy figury świętych z frontonu katedry: prasa wyjaśniła, że nie było ich w pierwotnym projekcie Stuoki-Gucewicza (co nawet jest prawdą, tyle że w tym projekcie był krzyż, który zdjęto również). Przebąkiwano o jakiejś wielkiej magistrali, mającej łączyć dworzec z Antokolem; właśnie na linii tej przyszłej magistrali była Ostra Brama oraz dwa kościoły – poddominikański i św. Katarzyny. Mówiono również o budowie prawdziwie radzieckiego drapacza chmur na Łukiszkach, zamiast św. Jakuba (zbudowano podobny drapacz w Rydze). Po śmierci Stalina zapomniano jakoś o tych pięknych projektach. Ale całe miasto zostało otoczone szarymi standardowymi domami, w porównaniu z którymi garnizonowa architektura carska wyglądała raczej przyzwoicie; takie domy dość skutecznie zepsuły Antokol i gdzieś tam poczęły się wciskać również do historycznego centrum, na przykład właśnie do ulicy Muzealnej.

Moja szkoła, dawne gimnazjum jezuickie, stała u wylotu tej ulicy, tworząc jak gdyby wyspę wśród ruin. Była duża, bardzo mroczna, i wyniosłem stąd nie najlepsze wspomnienia. Różne kryzysy wieku młodzieńczego zbiegły się właśnie

ze wspomnianym poczuciem nienormalności, jakiegoś przekrzywienia świata. Już pierwszego dnia po szkole zabłądziłem w ruinach, i to męczące, bezsilne bląkanie w poszukiwaniu domu, które trwało dobre cztery godziny (nie miałem kogo zapytać o drogę, bo ludzi spotykałem mało, do tego niemówiących po litewsku), zostało dla mnie czymś w rodzaju prywatnego symbolu. Wileńska ludność była w tym wczesnym okresie bardzo nieliczna; poza tym była niepojętą magmą. Żydzi wyginęli prawie wszyscy; Polacy dość masowo wyjeżdżali do Polski (albo na Syberię), pozostawał raczej proletariatus, no i lumpy; Litwini należeli albo do nowej sowieckiej elity, albo do niedobitków inteligencji, często złamanych lub zastraszonych; zjawiało się sporo rosyjskich oraz innych imigrantów-czynowników, okupacyjnych oficerów z pięknymi córkami, ale także ludzi prostych, wiodących egzystencję żebraczą albo i gorszą. Z „tutejszego”, rosyjskiego, odłamków litewskiego powstawał nowy dziwny żargon. Miasto było bandyckie i niebezpieczne. Często wybuchały bójki, przeważnie na tle porachunków narodowych. A przede wszystkim czuło się ciężką rękę władzy.

Odczułem to na pewno inaczej niż większość, bo moja rodzina była częścią sowieckiej elity; a jednak odczuwałem. Korzystając z dość bogatej biblioteki ojca, interesowałem się mnóstwem rzeczy. Ale wkrótce musiałem się zorientować, że są nieistniejące, bo zabronione nazwiska i nieistniejące, bo zabronione problemy. Drażniło mnie to i poniżało. W kilku książkach, i to z literatury greckiej, wymazano nazwisko tłumacza. Spytałem ojca, co to znaczy – odpowiedział, że takie egzemplarze kupił w antykwariacie moskiewskim i nic bliższego o tłumaczu mu nie wiadomo. Znācznie później dowiedziałem się, że chodziło o Adriana Piotrowskiego (syna Tadeusza Zielińskiego), który zginął w czasie stalinowskich czystek. Innego tłumacza klasycznej literatury greckiej, tym razem na litewski, też nie wypadało wymieniać z nazwiska, bo był to prezydent niepodległej Litwy Smetona. Ale co tu mówić o Smetonie, kiedy oficjalnie nie istniała (bo była wroga i niedobra) więcej niż połowa literatury litewskiej; potem pojąłem, że rosyjskiej też. Nie istniała problematyka narodowa oraz religijna, co z czasem oczywiście wzbudziło u mnie dość żywe zainteresowanie tak pierwszą, jak i drugą. Nie istniała także większość krajów świata. Francja albo Anglia były dla mnie wyłącznie pojęciem literackim, w rodzaju wysp Jules’a Verne’a; Polska zresztą też. Były po prostu wymysły albo w najlepszym wypadku należały do przeszłości; w teraźniejszości pozostał jakiś niezróżnicowany i absolutnie niedostępny (bo wrogi) obszar. Już po uniwersytecie trafiła mi do rąk książka *Cale Wilno w roku 1913*. Na jednej z pierwszych jej stron widniał przydługi spis miast zagranicznych, do których z Wilna można kupić bezpośredni bilet kolejowy. Zaciekało mnie, ile tych miast pozostało. Znalazłem dwa: Królewiec i Lwów.

Robiono wszystko, aby wykarczować przeszłość i zaszczyć nową mentalnością. Łatwo zrozumieć, że nie chodziło wyłącznie o burzenie krzyży albo o to, że kina Casino i Adria nagle stały się Moskwą i Październikiem (noszą te nazwy dotychczas). Nową ideologię przymusowo wtłaczano wszystkimi sposobami,

i to tak, żeby specjalnie upokorzyć, pokazać człowiekowi, że nic nie jest wart. Starzy nauczyciele w szkole i profesorowie na uniwersytecie, dławiąc się od bezsilnej wściekłości, mówili rzeczy, w które nie wierzyli i których człowiek może w ogóle nie powinien mówić. Poeta Putinas, niemłody już i powszechnie poważany, milczał przez jakiś czas, potem jednak zaczął publikować, co należy. W powieści o roku 1863 przeszmuglował zdanie, które zrobiło wrażenie na wielu: że naród musi dojrzeć nie tylko do wolności, ale i do niewoli. Uważam to zdanie za kapitulankie. Nie należy zaprawiać się do roli niewolnika. Zresztą Putinas pisał do szuflady wiersze, które teraz wypływają w czasopiśmie emigracyjnych. Tłumaczył Mickiewicza, zasiadał w akademii nauk i był katastrofalnie nieszczęśliwy; zmarł po wielu latach takiego życia. Urządzono mu oficjalny pogrzeb.

Inny poeta, Sruoga, trafił do kacetu niemieckiego, skąd powrócił do Wilna. Zdążył napisać książkę o swych przejściach, dość ciekawą, cyniczną, trochę podobną w tonacji do Borowskiego. Na zebraniu pisarskim jeden z działaczy partyjnych powiedział dosłownie, że Niemcy prawdopodobnie mieli rację, trzymając takich ludzików w kacetach. Sruoga dostał szoku i zmarł wkrótce po tym zebraniu.

Było paru śmiałych albo takich, którzy w każdym razie nie mieli nic do stracenia, jak stary emigrant rosyjski, filozof religijny Karsawin; ci zginęli oczywiście. Ale ginęli i inni. W końcu przyzwyczajono się do wszystkiego – do obowiązkowych defilad, do narzuconych przyjaźni, do specjalnego języka diametralnie przeciwnego temu, co rzeczywiście ma się na myśli. Nastąpiło zmieszczanie i względny spokój. Ludzie – i to przede wszystkim warstwa edukowana – uważają codzienne kłamstwo za denary, które trzeba płacić cesarzowi, żeby mieć jako tako znośny żywot, i nie widzą w tym problemu moralnego. Może o to właśnie władzom chodziło.

Jest to zjawisko czasów nowych, już postalinowskich. Ale trzeba pamiętać, że na Litwie stalinizm właściwie nigdy się nie skończył: zmiękł w latach sześćdziesiątych nawet bardzo, ale pozostał sobą. Sądę, że sytuacja w Polsce jednak jest inna. Trochę inna jest nawet w Rosji. Wśród inteligencji na Litwie przeważa poczucie bezsilności i kompletna demoralizacja. Nie wyobrażam sobie członka akademii nauk Litewskiej SRR, który poszedłby za Sacharowem, chociaż na pewno są tacy, co podziwiają go w duchu. Zresztą istnieje wygodny sposób tłumaczenia się: że Sacharow to sprawa rosyjska, że Litwa to kraj okupowany, mający swoje problemy, i że trzeba wszystko poświęcić sprawie ratowania litewskiego języka i kultury, co oznacza siedzieć cicho. Nie wiadomo tylko, czy uratowana w ten sposób kultura będzie coś warta.

Centrum oporu na Litwie leży gdzie indziej. I tu powracam do Wilna powojennego i do osobistych wspomnień. Dość często słyszałem o wojnie partyzantkiej w lasach litewskich. Właściwie też powinna być należeć do zabronionych tematów, jednak przybrała tak potężny rozmiar, że nie sposób było o niej mil-

czeń zupełnie. Władza naturalnie starała się nie tylko zdławić partyzantkę, ale i wszelkimi sposobami opluć. Robi to dotychczas: najpewniejsza droga do sukcesu w oficjalnej litewskiej literaturze albo w filmach to zohydzenie partyzantki, czasem dość perfidne, bo z jakimś ściśle wyważonym procentem prawdy. Ta wojna była tragiczna i niesłychanie okrutna. Słyszałem także o masowych deportacjach; to już był temat ściśle zabroniony, ale wiedziałem, że ludzi, przede wszystkim wieśniaków, wywożą na Syberię, gdzie mają ciężkie życie. Nie można było tego nie znać. Zniknęło kilku uczniów z mojej klasy; w ich domu dowiedziałem się, że wywieziono ich wraz z rodziną, bo ojciec okazał się oficerem dawnego wojska litewskiego. Został wywieziony na Syberię brat mojego ojca; robiono starania, żeby go stamtąd wydostać, lecz nie miało to żadnego skutku; wkrótce zmarł, dopiero jego żona z córką powróciła po wielu latach. Znikali znajomi, należący do starej inteligencji. Niektórzy powrócili; dość znaczna ich część teraz pisze bardzo prawomyślne rzeczy.

Powiadasz o zbrodni roku czterdziestego. Obaj wiemy, że najgorsze wymiary ta zbrodnia przybrała po wojnie. Zdeponowany został, jak mówią, co szósty Litwin. Miało to związek z kołchozacją, ale nie tylko: przede wszystkim starano się raz na zawsze oduczyć naród od wszelkich prób decydowania i nawet myślenia o swym losie. Niezupełnie to się udawało, i teraz można już powiedzieć, że nie udało się w ogóle. Jednak nie z winy władz.

Partyzantka była zrywem beznadziejnym. Zachód, jak wiadomo, nie interesował się sytuacją w krajach bałtyckich. Pisałeś o tej sytuacji w *Zniewolonym umyśle*, za co każdy Litwin powinien Ci być wdzięczny; niestety nie słuchano tego, jak należy. Nawet teraz czytuję w prasie zachodniej katastrofalnie głupie elaboraty na temat państw bałtyckich. Jakoś przyzwyczajono się do myśli, że Rosja zawsze była i dla świętego spokoju powinna być na tych terenach, wszystko inne zaś jest nic nieznaczącym epizodem. Co prawda, zdarzają się i rozumniejsze głosy, prawdopodobnie częściej niż wtedy: to już zbawienny wpływ Solżenicyna i jemu podobnych. Litwa po wojnie wykrwawiła się bardziej od innych państw bałtyckich; jednak, może właśnie z tego powodu, pozostała z nich najbardziej uparta. Wojna leśna trwała do śmierci Stalina, a właściwie dłużej: ostatni partyzanci trzymali się dosłownie do naszych czasów.

Nie pozostało po tej wojnie dużo dokumentacji historycznej, a jeżeli istnieje, to przede wszystkim w głębi wiadomych archiwów. Strach przed taką informacją jest ogromny. Kilka miesięcy temu odbył się w Wilnie sąd nad byłym partyzantem, który się nazywa Balys Cajauskas: dostał wyrok piętnastoletni wyłącznie za to, że zbierał archiwalne materiały o wojnie leśnej (trzeba dodać, że już przedtem odsiedział swoich dwadzieścia pięć lat). W powojennych czasach słyszeliśmy, że w rękach partyzantów są przede wszystkim okolice na południowy zachód od Wilna, gdzieś opodal Druskiennik. Wokół Wilna litewskiej partyzantki nie było albo było znacznie mniej, bo ludność nie poczuwała się do litewskości; istniały tu natomiast przez jakiś czas oddziały Armii Krajowej, których

stosunki z Litwinami, zdaje się, nie zawsze układały się zgodnie. Jednak w samym mieście funkcjonowało litewskie podziemie. Nic o nim oczywiście nie wiedziałem i dopiero teraz zaczynam się dowiadywać; ale czułem, że coś takiego jest w powietrzu. Do więzienia trafił poeta, bliski przyjaciel ojca, Kazys Boruta, bo wiedział o czymś i nie doniósł. To nazwisko nie jest Ci obce – o ile wiem, za dawnych czasów tłumaczyłeś Borutę na polski. Po stalinowskim więzieniu Boruta pozostał człowiekiem prawym: kiedy na zebraniu litewskich pisarzy gromiono Pasternaka, on był jedynym, który wstał i wyszedł. Przyjaciółka Boruty, Ona Lukauskaite, trafiła do sądu razem z nim i dostała dziesięć lat. Została zwolniona po śmierci Stalina. Niedawno, mając już po siedemdziesiątce, wstąpiła do litewskiej grupy „Helsinki”.

Podziemie oczywiście było infiltrowane. Sporo nici w rękach trzymał niejaki Markulis, który okazał się agentem KGB; dziś zajmuje się medycyną sądową, ściślej mówiąc, preparowaniem trupów. Wiem, że brzmi to zanadto literacko, niemniej jest prawdą. W końcu wszystko zostało rozgromione. Za moich czasów uniwersyteckich była to sprawa przeszłości, ludzie siedzieli w gułagu albo leżeli pod ziemią; wśród pozostałych zaczynało się jakieś przystosowanie i stabilizacja, tym bardziej że reżym, mówiąc słowami Achmatowej, też przechodził na bardziej wegetariańską dietę. Jednak, bodajże w roku pięćdziesiątym dziewiątym, oznajmiono nam na zebraniu studenckim, że została wykryta organizacja, która na filologii zajmowała się wrogą działalnością. Członkowie tej organizacji rozmawiali między sobą o sprawach Litwy oraz, zdaje się, pisali jakieś odezwy. Nie miałem styczności z tymi ludźmi, nawet nie widziałem żadnego z nich na oczy, ale wtedy już przeszedłem mutację polityczną, więc poczułem do nich sympatię. Zarzewie oporu tliło się przez długie lata: oporu już nie zbrojnego, lecz ideowego. Uważam go za jedynie moralnie dopuszczalny, a także jedynie skuteczny. Naród nie może się zgodzić, żeby go łamano, pluto mu w twarz i kazano za to wszystko radośnie dziękować. Niepodobna wykorzenić normalnych ludzkich odruchów, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z przysłowiowym litewskim uporem i wytrwałością, która liczy sobie dobrych siedemset lat tradycji. Ostatnio nastąpił niewiarygodny rozkwit litewskiego samizdatu, co oznacza, że opór zdobył nowy i ważny wymiar. Jakoś trudno już nie zwracać uwagi na losy tego kraju. Wiem, że to nie jest zasługą litewskiej inteligencji, w każdym razie nie jest zasługą tej części inteligencji, którą się widzi. Istnieje, i to w sporych ilościach, zmieszczający *homo sovieticus*, który skromnie (albo i nieskromnie) bogaci się, z duszą na ramieniu przyjmuje wizyty zagranicznych rodaków, a z czasem sam zaczyna jeździć za granicę. Cicho i śmiertelnie nienawidzi Rosjan, ale właśnie jako Rosjan; system jest dlań wygodny, bez tego systemu nie wiedziałby, co począć, przez pewien czas przynajmniej. Ale istnieją także ludzie inni, przeważnie prości.

Znałem jednego z nich nazwiskiem Viktoras Petkus. Należy do najbardziej niezwykłych osobowości, jakie widziałem w życiu. Ten duży, flegmatyczny

Żmudzin spędził w gulagu piętnaście lat. Pierwszy raz trafił tam jako niepełnoletni za związki z podziemiem, chociaż broni nie trzymał w ręku; po śmierci Stalina został wypuszczony, lecz wkrótce znów aresztowany, tym razem za to, że miał w domu literaturę wywrotową. Należała do wspomnianej literatury Selma Lagerlöf oraz książka poety litewsko-rosyjskiego Bałtruszajtisa, opublikowana w roku 1911. Odsiedział osiem lat (tymczasem Bałtruszajtis, tak samo jak Lagerlöf, zostali zrehabilitowani). Po wyjściu oczywiście nie miał normalnej pracy, ale skolekcjonował jeden z lepszych w Wilnie księgozbiorów lituanistycznych. Wstąpienie do litewskiej grupy „Helsinki” uważał za rzecz najnaturalniejszą w życiu, chociaż na pewno zdawał sobie sprawę, tak samo jak wszyscy, że pierwszy trafi do więzienia. Został aresztowany. Sąd nad nim odbył się jednocześnie z procesami Ginzburga i Szczarańskiego, nawiasem mówiąc jego przyjaciół (przyjaźnił się również z Sacharowem i w ogóle nie należał do rusofobów). Byłem wtedy już na Zachodzie, we Francji; prawie nic nie mogłem zrobić dla niego, tyle że każdego ranka czytałem wszystkie dostępne mi gazety i czułem, jak postać Petkusa z dnia na dzień rośnie. Nie odpowiadał na żadne pytania sądu. Dał do zrozumienia, że jego zdaniem jest to sąd okupacyjny i bezprawny, z którym współpracować i nawet obcować nie należy. Potem po prostu milczał albo spał. Dostał nowych piętnaście lat.

Otóż w Wilnie często miewałem bardzo męczące poczucie, że teraźniejsi mieszkańcy jakoś nie przylegają do tego miasta. Nie są na miarę Wilna. Świat widziałem jako zniekształcony po części właśnie dlatego. A przecież okazało się to nieprawdą. Musimy pamiętać, że Wilno jest dziś centrum litewskiego oporu, który nie wahając się ani na chwilę, określić jako wielki. Moje osobiste kontakty z nim były bardzo nieznaczne (choć miałem swoją prywatną wojnę z reżimem i swoją grę *va banque*). Ale był częścią powietrza.

Stosunek władz do nacjonalizmu litewskiego zawsze był podwójny. Oczywiście starano się ukręcić mu kark, jednak drugą ręką jak gdyby po trochu podkarmiano. Robiono dziwne tymczasowe koncesje, i to nawet w epoce stalino-wskiej. Mówiłem już o placu Giedymina. W roku czterdziestym nacjonalizm był absolutnie zabroniony, jednak w czasie wojny zaczęto zezwalać na tromtadrację narodową nie tylko rosyjską, ale – w umiarkowanym stopniu – i litewską. Nagle okazało się, że można chwalić litewskich wielkich książąt (no bo dzielnie walczili przeciwko Niemcom). Wszystko to było bardzo przejrzyste (choć, trzeba powiedzieć, ambiwalentne); po wojnie sprawa zaczęła się gmatwać. Niektóre ustępstwa były taktycznym posunięciem w wielkiej grze o podbój narodu. Innym razem chodziło o manewry litewskiej sowieckiej elity, która w swych własnych interesach po cichu sabotowała rusyfikację (jak wspomniałem, w najgłębszym wnętrzu jest szalenie antyrosyjska, chociaż starczy troszeczkę ją nacisnąć, żeby zrobiła wszystko, co trzeba, i nawet więcej). Poza tym naturalnie jest łatwiej rządzić, podjudzając Litwinów przeciw Polakom, Polaków przeciw Litwinom, wszystkich przeciw Żydom i tak dalej (Polakom na Wileńszczyźnie też ro-

biono koncesje, choć może i niewielkie). No, a Rosjanie są dobrym straszakiem: nie róbcie tego a tego, bo Rosjanie nas zdławią. „Pieśń i plaska” oczywiście prosperuje, nawet w kształcie bardzo zestetyzowanych widowisk dla nielicznych, a „święta pieśń” są tak samo charakterystyczne dla reżimu jak defilady pierwszomajowe. Wielkich książąt już niezupełnie wypada pamiętać. Odbudowano jednak zamek w Trokach; rozgniewało to Chruszczowa, ale jego malowniczy gniew pozostał wspomnieniem. Istnieje także moda na dramat historyczny z różnymi niejasnymi aluzjami, zresztą dobrotliwie aprobowany przez cenzurę i krytykę partyjną. Słowem, i na Litwie korzystają z nacjonalizmu jako dodatkowego instrumentu kontroli (oraz kłapy bezpieczeństwa): mniej niż w Polsce, a jednak. Stosunek do katolicyzmu jest o wiele bardziej jednoznaczny: katolicyzm się nie wykorzystuje, po prostu stara się go zniszczyć. A sądzę, że nie tylko nacjonalizm, ale i katolicyzm jest realną siłą na tamtych obszarach.

Pamiętam tragikomiczne, bardzo upokarzające i dość częste wahania tak zwanej polityki narodowej. Zwłaszcza gdy chodziło o symbole (ten reżim jest na symbole niesłuchanie wrażliwy). Czerwony sztandar na baszcie Giedymina został zastąpiony przez trójkolorowy, ale nie przedwojenny litewski, tylko nowy, z przeważającą dawką czerwieni. Przez pewien czas zwracano godła miastom, ale to się skończyło, gdy doszło do herbu Wilna – św. Krzysztofa. Hymn narodowy, *stricte* zabroniony za pierwszej okupacji, znów był grany po wojnie na defiladach wileńskich, i to w najgorszym okresie; potem jednak zastąpiono go nowym, do którego słowa napisał mój ojciec.

Muszę tu powiedzieć parę słów o ojcu. Nie mogę go osądzać i nie będę tego robił. Wiem, że miał bardzo trudne życie. W młodości był lewicującym intelektualistą mniej więcej tego pokroju co Kazys Boruta czy Ona Lukauskaite. Przyjacielem jego, i to dobrym, był także Pranas Ancevičius przed swą ucieczką do Polski. Ten świat kowieńsko-wileńskiej inteligencji naprawdę jest maleńki, wszystko w nim powiązane. Więc o Ancewiczu słyszałem z dzieciństwa, chociaż jego postać istniała dla mnie w dość specyficznej perspektywie. W odróżnieniu od swoich przyjaciół mój ojciec został ortodoksem. Trudno mi powiedzieć, co przeszedł w roku czterdziestym, kiedy to zasiadał w sejmie z Jędrychowskim. Zdaje się, że decydujący wpływ na niego miała wojna; potem już się nie zmienił, uznał istniejącą sytuację za jedynie możliwą. Cynikiem nie był. Przyjaźnił się dalej z Borutą, i Litwa nie była dla niego pustym dźwiękiem. Zresztą jego osobista sytuacja (tym samym i moja) odznaczała się niejaką kruchością, bo po śmierci Stalina dowiedział się, że przygotowywano proces dawnych lewicowców z nim włącznie, tyle że nie zdążono. Ciężkie to sprawy. Przyznam się, że ludziom tego pokolenia jestem skłonny wybaczać więcej niż dzisiejszym arywistom: mieli w każdym razie problemy, czego tym teraźniejszym brak.

Uniwersytet Wileński. Zacząłem do niego uczęszczać, jak mówiłem, w epoce względnej stabilizacji. Oczywiście różnił się więcej od Twojego niż Twój od Wszechnicy Mickiewicza. Po roku 1939 przenieśli się do Wilna profesorowie

Uniwersytetu Kowieńskiego, który był niezły; ale za moich czasów już nie wykładali. Byli na emigracji, na Syberii albo nie istnieli w ogóle. Paru, jak wspomniany Putinas, dostali emeryturę. Zrazu po wojnie poziom uniwersytetu – w naukowym i każdym innym sensie – obniżył się katastrofalnie. Co prawda, językiem wykładów pozostał litewski; ale wykłady najczęściej sprowadzały się do ideologicznej sieczki oraz drylu wojskowego. Zaczęło się to zmieniać bardzo powoli. Było paru profesorów, o których zachowałem cieplejsze wspomnienia. Powiedzmy, profesor litewskiego Balčikonis, leksykograf w starym stylu, wielki dziwak, a jednocześnie człowiek odważny: o ile wiem, prawie cały swój zarobek oddawał rodzinom represjonowanym. Ten właśnie był jeszcze z Kowna. Albo taki profesor Lebedys, dobry znawca stuleci XVI i XVII na Litwie. Z logiki egzaminował mnie profesor Sezeman, dawny emigrant rosyjski, który wrócił ze stalinowskiego łagru (gdzie, jak mówią, potrafił zajmować się jogą oraz tłumaczyć na litewski Arystotelesa). Celowo piszę wyłącznie o nieżyjących. Już po tym jak ukończyłem uniwersytet, uformowała się w nim szkoła bałtystyki; przyciągnęła do siebie wielu, bo to sprawa patriotyczna, a jednocześnie jakby neutralna; zresztą widocznie nie taka znów neutralna, bo przywódca szkoły, profesor Kazlauskas, wkrótce utonął w Wilii w dosyć tajemniczych okolicznościach.

Aurę dawnego uniwersytetu przechowały wyłącznie mury, piękne sale biblioteczne i jeszcze piękniejsze dziedzińce. Jest ich dziewięć albo i trzynaście. Mówiliśmy, że istnieją w tym labiryncie miejsca, gdzie nigdy nie stąpała noga człowieka. Pozostał także dom akademicki na Bouffałowej Górze (*Touro kalnas*), gdzie spędzałem sporo czasu. No, może pozostała nie wyłącznie architektura, bo i biblioteka. W przeważającej części była polska (trochę zmieniło się to potem). Dużo książek trafiło do „spec-fondu”, więc były praktycznie niedostępne; a jednak znajdowałem ciekawe rzeczy. Dość szybko nauczyłem się polskiego, chociaż większość moich kolegów nie interesowała się tym językiem (sprawę miałem ułatwioną, bo moja babka po kądzieli była Polką i zapamiętałą miłośniczką Sienkiewicza, ojciec też po polsku potrafił czytać i trochę mówić). Napisałem nawet przydługi referat *Mickiewicz na Uniwersytecie Wileńskim*. Pracując nad referatem, przeczytałem mniej więcej połowę tego, co na wspomniany temat można przeczytać, dowiedziałem się więc i o dawnej wileńskiej masonerii (międzywojenna oczywiście to dla mnie *terra incognita*), i o Szubrawcach, i o Kontrymie. Po tym referacie założyliśmy nawet z przyjaciółmi kółko wzorowane na Szubrawcach, co było ryzykowne, zważając na wszechwidzące oko KGB, ale jakoś rozplynęło się w sztubackich figlach, no i w alkoholu. W każdym razie wiedziałem o tradycjach tego Wilna. Lecz czułem równocześnie, że do mojej tradycji należy raczej Poszka (Paszkievicz), dziwak wyśmiany przez Szubrawców, oraz Daukantas (Dowkont), który miał filomackie powiązania, jednak poszedł inną drogą, zostając pierwszym litewskim historykiem. Wzruszające są losy tego Dowkonta, postaci trochę komicznej i mającej coś ze świętości. Znaczący dla mnie był i pozostał Donelaitis, poeta osiemnastowieczny, moim zdaniem równy naj-

wiekszym w Europie. Tu trzeba powiedzieć co nieco o języku. Wilno, które teraz jest miastem na wpół litewskim, mówi dziwną *koine*, bo zjechali się tutaj przedstawiciele wszystkich dialektów Litwy, a swoją drogą słowiański (i sowiecki) żargon też ma wpływy. Więc nowa poezja litewska częściowo jest buntem przeciwko tej *koine* (w czym pomagają właśnie dawni pisarze), częściowo jej wymyślnym przetworzeniem. Notabene jamb rosyjski nie wzbudza we mnie sprzeciwu, bo to także jamb litewski, mający dużą tradycję i widać zgodny z duchem języka (prawdopodobnie rzecz tu w systemie akcentacji, ale nie będę tego tematu rozwijał, bo to już lingwistyka). Tak czy inaczej, literatura litewska – w niemałym stopniu związana z Wilnem – to moja własna przestrzeń; jednak z uniwersytetu wyniosłem miłość także do literatury polskiej. Do rosyjskiej też, i to wielką miłość.

Oczywiście nikt mnie tego nie uczył. Tu wspomnę swoje pierwsze przejścia polityczne. W szkole zostałem komsomolcem, i nawet zdawało mi się, że tutaj leży droga do naprawienia świata. Ciągnęło do Komsomołu mniej więcej wszystkich, toteż komsomolcy na uniwersytecie prezentowali się w różnorodny sposób – nie zawsze były to tępe głowy i stalinowcy, chociaż ci naturalnie przeważali i zawsze mieli ostatnie słowo. Należałem do tak zwanych wierzących, których, jak się orientuję, nie było wielu. Dwudziesty zjazd dla mnie i paru moich przyjaciół stał się szokiem (i to pomimo to, co już wiedzieliśmy); ale mogę podać absolutnie ścisłą datę mojej prawdziwej mutacji – było to czwartego listopada 1956 roku, kiedy zdławiono powstanie węgierskie. Potem nastąpiła sprawa Pasternaka. We czworo napisaliśmy do niego list ze słowami zachwytu. Wtedy to przeczytałem wszystkie jego wiersze i połowy wyuczyłem na pamięć. Próbowaliśmy robić studencki almanach literacki, który utknął w cenzurze i został napiętnowany publicznie jako wrogi. Na rok usunięto mnie z uniwersytetu. Rok ten uważam za błogosławiony. Czytałem od rana do nocy. Wtedy to zdałem sobie sprawę, czym jest poezja rosyjska, no i w ogóle czym jest literatura.

Nadieżda Mandelsztam lubi grę, którą sama wymyśliła: proponuje każdemu, żeby wymienić dziesięć naprawdę wykształconych (i niestarych) osób w Związku Sowieckim. Okazuje się, że jest takich tylko dwóch: jeden lingwista oraz jeden specjalista od kultury bizantyjskiej. Wtedy pani Nadieżda wyjaśnia, w czym rzecz: obaj przechorowali całe dzieciństwo i nie uczęszczali do sowieckiej szkoły. Nie miałem takiego szczęścia. Ale jeżeli zdobyłem jakieś wykształcenie, to zdobyłem je przez ten rok. Uniwersytet dał mi tylko podstawowe wiadomości z lituanistyki (z tym że duże jej obszary pozostały dla mnie niedostępne); zaznał się tam z Marksem, czego zresztą nie żałuję, oraz zajmowałem się trochę filologią klasyczną. Szukaliśmy z przyjacielem nawet jakiegoś rabina, żeby dał nam pojęcie o hebrajskim, ale gdzież ten rabin w powojennym Wilnie! W każdym razie okazało się, że można czegoś się nauczyć. Można płynąć przeciw Niagarze kłamstwa i niepotrzebnych informacji, i nawet wypłynąć, tyle że nikogo nie sposób ciągnąć za sobą – każdy musi robić to sam. Tu się przyznam,

że poza Wilnem kształtowała mnie Moskwa, miasto bardzo ciekawe, bo, jak powiada Zinowiew, jest tam wszystko, czego dusza zapagnie: katolicy i buddyści, awangardysty i dysydenci, matematycy i dziewczyny lepsze niż w Paryżu. Co prawda większość tych dziewcząt dzisiaj już jest właśnie w Paryżu. Albo w Londynie. Ale żarty na bok, Moskwa to kawał doświadczenia.

Mam jedno typowe sowieckie kalectwo – nie potrafię rozmawiać w żadnym języku obcym (poza rosyjskim i polskim), nawet teraz, w Stanach, angielski przychodzi mi z trudem. Czytam, co prawda, w kilku, ale zdaje się, że jestem tutaj skazany na bierność, co męczy mnie okropnie. No bo i po co człowiekowi ze Związku te języki? Książki zachodnie są mu dostępne w absurdalnie małych ilościach, periodyki niedostępne w ogóle, o podróżach szkoda gadać. Tym ważniejszy dla mnie okazał się polski; i nie dla mnie jednego. Znałem kilkunastu ludzi, dla których też był oknem na świat. Przez lata spotykaliśmy się w księgarni polskiej na „Giedymince”, trafiały do naszych rąk także książki, których w tej księgarni nie było, na przykład Twoje. Dyskutowaliśmy albo żartowaliśmy między sobą po polsku, częściowo żeby zmylić osoby niepowołane, częściowo ze snobizmu, częściowo z miłości do polszczyzny, bo temu językowi zawdzięczaliśmy niejedno.

Tutaj zbliżam się do sprawy stosunków litewsko-polskich. Dla mnie osobiście antagonizmy między naszymi narodami wydają się piramidalnym głupstwem, chciałbym uważać je za przewyciężone. Sądzę, że znaczna, prawdopodobnie większa część młodego pokolenia na Litwie nie odczuwa teraz do Polaków żadnej wrogości. Podejrzewam, że tak samo jest i na odwrót; może pokutuje gdzieś poczucie polskiej wyższości, pańskości, a może i nie. Przetoczyła się nad nami taka epoka, że dawne spory wydają się mało znaczącymi. Jednak może problem jest bardziej złożony.

Litwa zdobywała świadomość narodową dość późno, z niemałym trudem i właśnie w opozycji do Polski. Wpływ polskiej kultury, zwłaszcza po unii lubelskiej, był ogromny; myślę, że na ogół pozytywny, chociaż tutaj prawie nikt z Litwinów ze mną się nie zgodzi. Bez Polski nie znalibyśmy wielu rzeczy, prawdopodobnie także pojęcia praw politycznych. No i nasze odrodzenie narodowe miało typowe polskie obertony, a to sarmackie, a to mesjanistyczne, tyle że te modele w sposób paradoksalny zwracały się przeciwko polskiej kulturalnej przewadze. Wszystko było „na odwrót”: Jagiełło to zdrajca, Janusz Radziwiłł to bohater i tak dalej. Naród musiał stanąć na własnych nogach. Robił to czasem niezręcznie, popadając w dziecinne kompleksy, co łatwo wybaczyć, bo w początkach zdarza się to każdemu. Kompleksy jednak mają szalenie długie życie i stają się balastem. Mówisz o pamiętliwości Polaków: otóż pamiętliwość Litwinów, zdaje się, jest większa, sięga setek lat. Nawet jesteśmy z tego dumni, choć nie wiadomo, czy warto. Pamiętamy, że polska kulturalna (oraz społeczna) dominacja na Litwie w osiemnastym wieku zaczęła zagrażać Litwinom utratą języka i własnej historycznej drogi. Dołóż nawarstwione przez kilka stuleci bolesne

poczucie podrzędności narodowej i co za tym idzie pewną manię wielkości połączoną z manią prześladowczą. Łatwo się z tego śmiać, chociaż rodzą się tutaj i zdrowe ambicje. Osobiście nie mam zupełnie poczucia podrzędności narodowej; młode pokolenie litewskie od tego się uwalnia, bo Litwa teraz pod każdym względem prezentuje się chyba nie gorzej od innych krajów Europy Wschodniej; ale pewne archetypy pozostają i mogą się odrodzić, zwłaszcza że doświadczenia totalitaryzmu w ogóle nie sprzyjają postawom mądrym i tolerancyjnym. Istnieje jakiś nawyk demonizowania Polaków. Według tej mentalności (mającej wpływ, chociaż szczątkowy), ci Polacy przez wieki myślał wyłącznie o jednym: jakby tu Litwę do Polski przyłączyć, wynarodowić i w ogóle zgniebić. Są bardziej niebezpieczni od Rosjan (bo przecież katolicy oraz europejscy). Pokutuje stereotyp machiavellicznego Polaka ni to z Oszmiany, ni to z Alpuhary, który zawsze na swoim postawi, jeżeli nie siłą, to perfidią. Tutaj, na emigracji, stykam się z tą mentalnością często, i zawsze odczuwam wtedy okropny wstyd, bo to przecież jakaś niedojrzałość rodem wprost z Gombrowicza. Dojrzałego narodu, jakim Litwa jest teraz niewątpliwie, wynarodowić po prostu nie można, nawet gdyby ktoś tego bardzo chciał. Cały ten stereotyp to inercja i ciągnięcie do tyłu. Wygodny może być tylko reżimowi. Nie wolno więc o nim zapominać oraz trzeba wystrzegać się – także Polakom – działań mogących podsycać albo wskrzeszać te uczucia.

Sprawa naturalnie zahacza o Wilno. Istnieje specyficzna litewska mitologia Wilna; sądzą, że ona odgrywała w dziejach tego miasta większą rolę niż na przykład stosunki ekonomiczne. Dla Polaków Wilno było ośrodkiem kulturalnym na Kresach, ważnym, ale przecież prowincją. Dla Litwinów to symbol ciągłości oraz tożsamości historycznej, coś w rodzaju Jerozolimy. W dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu wyobraźnię litewską w znacznej mierze kształtował mit Wilna królewskiego i świętego, wydartego przemocą. Nie zawsze ten mit do mnie przemawia, zwłaszcza w swej wielk księżęco-królewskiej części, ale musimy się zgodzić, że coś w tym jest. Na przykład od Rygi czy Tallina Wilno różni się bardzo, bo nie było centrum hanzeatyckim, ale było właśnie miastem stołecznym, sakralnym, no i siedzibą wielkiego uniwersytetu. Nie było także ośrodkiem kolonizacyjnym, lecz wyrosło naturalnie ze swego terenu. Więc idzie w sporze o Wilno, jak zresztą zauważyłeś, o rangę historyczną tego miasta: czy musi być regionalnym centrum, czy może znajdować się w rzędzie tradycyjnych stolic wschodnioeuropejskich. Idzie także o rangę i trwałość Litwy. Bo Litwa bez Wilna jest państwem-efemerydą, a z Wilnem zdobywa całą swą przeszłość i całą historyczną odpowiedzialność.

Nie było większych walk między Litwą a Polską, problem Wilna jednak był poważny. Miasto stopniowo stało się polską (także żydowską) enklawą na litewskim terenie. We wspomnianej książce *Całe Wilno w roku 1913* znajdują się tylko dwa litewskie nazwiska: prawda, nie byle kto, bo Smetona i Basanavičius (pierwszy sygnatariusz aktu o niepodległości). Językiem okolic jeszcze w dzie-

więtnastym stuleciu był przeważnie litewski (właśnie pracując nad Mickiewiczem, dowiedziałem się o tym). Do rozsypiania tego historycznego, etnicznego, no i społecznego węzła potrzebne były głowy salomonowe, których dzieje nam na ogół skąpiły; zresztą brakło także czasu. Postępowano więc niemądrze. Litwini nie mogli i dotychczas nie mogą wybaczyć ani epizodu z Żeligowskim, ani polonizacyjnych zapędów Bociańskiego i innych; nie mogli także zrozumieć federacyjnych idei Piłsudskiego, no i mieli słuszość, bo nie w ten sposób federację się robi, nawet gdyby była możliwa, w co powątpiewam. Ale z drugiej strony nie chcieli zrozumieć, że Polacy też mają swoje prawa do Wilna, jako że polska ludność i kultura tam przeważały. Przymusowa litwinizacja, tak samo jak polonizacja, byłaby grzechem niewybaczalnym. W każdym razie stereotyp „perfidnego Polaka” wtenczas niestety bardzo się rozpowszechnił. Litwa kowieńska uważała się za coś w rodzaju Piemontu, którego celem jest zdobycie Rzymu, *alias* Wilna. Nie była to wyłącznie sprawa państwowa – raczej należała do sfery masowych uczuć. No i postawiono na swoim, chociaż siłą ironii historycznej upór litewski zwyciężył w najtragiczniejszych okolicznościach.

Obecnie jednak, zdaje się, obaj uważamy ten spór za rozstrzygnięty. Doświadczwszy wieku dwudziestego, Wilno jest nowym miastem. Co prawda, ciągle jest prowincją, i to gorszą, bo cały Związek to okropna prowincja. Ciągle jest enklawą, tyle że teraz litewsko-rosyjską enklawą w polskiej przeważnie okolicy. Jednak mam nadzieję, że stanie się stolicą Litwy demokratycznej. Litwini, i to w bardzo ciężkiej sytuacji, stworzyli dla tego przesłanki.

Trochę za wcześnie jest mówić o tej Litwie demokratycznej. A jednak sądzę, że powinniśmy ją mieć na uwadze jako możliwość i jako zadanie. Musimy także w tej perspektywie myśleć o nowych stosunkach polsko-litewskich. Myśleć właściwie nie o przyszłości, lecz o teraźniejszości, bo najbliższa przyszłość to ta sama bójka z totalitarnym systemem, tyle że prowadzona w jakichś głębszych formach, których przedsmak mamy już w Polsce. Wilno, ta wieczna enklawa, otrzymuje tutaj nową szansę. Jako miasto stref etnicznych, zachodzących na siebie, jest modelem całej Europy Wschodniej. Współżycie i wzbogacenie wzajemne musi tu zastąpić dawne tarcia, i właśnie ruch antytotitalarny jest w tym główną pomocą. Bo weźmy na przykład kwestię żydowską. Masz rację: Wilno nie może być tym samym bez żydowskiej dzielnicy, zniszczonej częściowo przez Niemców, częściowo przez Sowiety. Jednak nieliczni Żydzi pozostali w Wilnie grupą znaczącą. Stosunki ich z Litwinami nie są łatwe, bo naprawdę część Litwinów – tak samo jak część Polaków, Rosjan i innych – sprowokowano w czasie wojny do zbrodni. Są różnorakie tego przyczyny, w które nie będę wchodził; trzeba też powiedzieć, że setki Litwinów zajmowały się ratowaniem Żydów, narażając przy okazji życie; ale zbrodnia jest zbrodnią, i nic się na to nie poradzi. Ostatnio wśród emigracji litewskiej narobił szumu film telewizyjny *Holocaust*, gdzie mówi się o litewskim legionie SS likwidującym getto warszawskie. Formalnie biorąc, nie było takiego legionu, były raczej jednostki; ale zechciano

przy okazji „ocalić honor narodu”, jak gdyby można było coś ocalić przez przemilczenie, przekręcania i zwalanie winy na Niemców albo i na Żydów właśnie. Dowodzi to wyłącznie kompleksów i niezupełnie czystego sumienia. Otóż dla mnie, człowieka z tamtej strony, jest to niepojęte. Bo chyba przezwyciężyliśmy już ten kompleks. Znamy kilka aksjomatów. Przede wszystkim, że o żadnej zbrodni nie wolno milczeć. Po drugie, że byli i są kolaboranci, czasem w mniejszych, czasem w większych ilościach, zależnie od przyczyn historycznych, ale nie ma takiej rzeczy jak naród kolaborujący. Po trzecie, że antysemityzm i sowietyzacja – to na jedno wychodzi. Jest ogromną stratą dla kultury litewskiej, że zlikwidowano wszystkie ślady żydowskiego Wilna, także to, co było do ocalenia; i jest hańbą absolutną, że nie mówi się oficjalnie o wymordowanych Żydach – wspomina się wyłącznie o „niewinnych obywatelach radzieckich”. Zrozumienie tych prostych rzeczy bardzo pomaga w rozwiązaniu problemów litewsko-żydowskich i w codziennej współpracy. Antysemityzm na Litwie – poza oficjalnym – dziś jest bardzo osłabiony, może nawet na wymarcu. Oczywiście Żyd to widzi lepiej, ale słyszałem to także od Żydów.

Ten sam model może służyć do polepszenia stosunków litewsko-polskich, także litewsko-rosyjskich, chociaż różnice w każdym wypadku są znaczne. Sprawa litewkości albo polskości historycznie jest okropnie zagniatwana, bo pojęcie „Litwin”, tak samo jak pojęcie „Polak”, zmieniło się w ciągu wieków. W jednym sensie Litwinami są Mickiewicz i Syrokomla, w drugim Witkacy, Gombrowicz, no i Miłosz, w trzecim Paszkiewicz i Dowkont, w czwartym dzisiejszy pisarz litewski, a przecież Oskar Miłosz jeszcze w innym. Jedno jest jasne, że nasze narody są powiązane i nawet obejść się bez siebie nie potrafią. Stając się narodem i państwem nowoczesnym, Litwa musiała podkreślać, że różni się od Polski. Dzisiaj jednak to nie musi być podkreślane, bo jest zrozumiałe samo przez się; nie musimy także się rugać, bo, jak powiedziałem, to wyłącznie reżimowi na rękę. Powiadasz, że nowy nacjonalizm litewski siłą rzeczy był kurczowy i ciasny; może nie zawsze, bo były jakieś próby dialogu z Polakami, na które zresztą odpowiadano „przenigdy”; były różne nieoczekiwane zbliżenia, w tym osobiste i rodzinne; ale zgadzam się, że był tam niemały procent fanatyzmu i zwyczajnej rozbijającej głupoty, co odnosi się do każdego nacjonalizmu, francuskiego, flamandzkiego, może nawet retoromańskiego, bo ja wiem. Podobno małym narodowościom łatwiej to wybaczyć, ale tak czy inaczej nie powinniśmy tego wybaczać sobie sami. Jednak to raczej dawne czasy. Tak samo, powiedzmy, „Litwa Środkowa” jest *plusquamperfectum*. Do przeszłości należy zaliczyć także marzenia federacyjne „krajowców”: przecież nie ma teraz „krajowców” na Litwie, sam fakt ich istnienia był dla mnie nowością, co może źle o mnie świadczy; ale zgoda, że w tym programie były idee cenne, o czym warto pamiętać. Rozwiązanie typu fińsko-szwedzkiego byłoby dobrą rzeczą, chociaż to prawdopodobnie szansa stracona. To samo odnosi się do literatury litewskiej w języku polskim (choć może taka literatura w pewnym sensie istnieje: byłbym

skłonny zaliczyć do niej na przykład *Dolinę Issy*). Przede wszystkim jednak powinniśmy mieć na oku sytuację realną. A realna sytuacja to dwieście tysięcy Polaków na Wileńszczyźnie oraz ze dwadzieścia tysięcy Litwinów na Suwalszczyźnie. Nie ma już wśród nich arystokracji, prawie nie ma inteligencji: są to rolnicy i robotnicy, ludzie zdeptani przez reżim i mający prawo do ludzkiego życia. Oburzam się, widząc traktowanie Litwinów w kraju sejneńskim, tym bardziej że robi to polski Kościół mający tyle zasług. Ale jeżeli kiedyś zacznie się przymusowa, niedobrowolna litwinizacja na Wileńszczyźnie (dziś raczej nie ma jej, bo zastępuje ją rusyfikacja), to będę pierwszym, który powie „nie”. I mam nadzieję, że nie będę jedynym.

Masz rację, że za fasadą oficjalnego kłamstwa w całej Europie Wschodniej łatwo znaleźć nacjonalizmy. Jest to siła ambiwalentna, ale bardzo niebezpieczna. Cała wartość kultury światowej jest w różnorodności tradycji i języków; ale kiedy język i pochodzenie okazują się amuletem ratującym w czasie rzezi, to już wolę być tym zarzniętym. Humanizacja uczuć narodowych jest sprawą najważniejszą; no cóż, trzeba się do tego w miarę sił przykładać. W litewskim samizdacie są zjawiska bardzo pozytywne, wspominałem już o tym. Ale czasem słysząc głosy tradycyjne, podobne do endeckich, tyle że *à rebours*. Zdarza się to jednak nieporównanie rzadziej niż na emigracji, i to całe pocieszenie. Samizdat litewski na ogół nie jest sprawą inteligencji, a jednak dochodzi do inteligentnych wniosków. Co się tyczy mnie osobiście, to na Litwie jakichś dziesięć lat temu bywałem, a na emigracji bywam oczywiście posądzany o coś w rodzaju zdrady narodowej. No bo jestem kosmopolitą, judofilem, polonofilem, rusofilem nawet, a Litwini mnie często irytują, właśnie dlatego, że są moi. Znajdowano na przykład winę litewskiej grupy „Helsinki” w tym, że jesteśmy dysydentami nie litewskimi, ale „ogólnosowieckimi”. A jakże inaczej? Sprawa jest beznadziejna, jeśli nie jest wspólna; poza tym czujemy się emocjonalnie związani ze wszystkim, co się tam odbywa. Tam – to nie znaczy wyłącznie w Związku, ale w całej Wschodniej Europie. Jesteśmy dysydentami wschodnioeuropejskimi. Albo po prostu ludźmi wschodnioeuropejskimi, co na jedno wychodzi. Wilno staje się jednym z ośrodków, gdzie rodzi się na nowo formacja wschodnioeuropejska: może jest do tego przez historię predestynowane. Zresztą Ty także do tej formacji należysz: pisałeś o tym nie raz, i to najlepiej ze wszystkich.

Tomas Venclova

[1-2/1979]

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Fałszywa legenda

W maju br. [1979] redakcja „Kultury” uważała za wskazane złożyć wieniec na grobie atamana Symona Petlury, na historycznym paryskim cmentarzu na Montmartre. Powód – setna rocznica narodzin Petlury i pięćdziesiąta rocznica jego tragicznej śmierci. W maju 1926 roku został zamordowany przez Szaloma Szwarcbarta, który, jak wszystko wskazywało, był agentem sowieckiej policji politycznej, czyli GPU. Tak się ówczesnie nazywała.

Dowiaduję się, że ten gest „Kultury” wywołał mnóstwo listów protestacyjnych, napływających z różnych stron. Wydawało się, że sprawa została dawno wyświetlona, a więc nie powinna być podejmowana na nowo, a tym bardziej budzić zdziwienia. A jakże! Okazuje się, że nie brakuje osób, które zachowują się tak, jak gdyby nikt nigdy na ten temat nie napisał. Wobec tego przypomnijmy, w jaki sposób zginął Symon Petlura. Do idącego ulicą paryską podszedł nieznany osobnik i, nie mówiąc ani słowa, z bliska oddał do niego kilka strzałów. Były śmiertelne. Morderca został aresztowany i stanął przed sądem. Francuski trybunał uniewinnił go, przyjmując z dobrą wiarą, że Szwarcbart mścił się za śmierć całej swojej rodziny, która, jak zeznał, padła ofiarą pogromu, który rzekomo został zorganizowany przez Petlurę. Tak twierdził sam Szwarcbart oraz jego obrońca.

Jak wyglądała prawda? Czy Szwarcbart był mścicielem, czy agentem sowieckim, któremu kazano Petlurę zamordować? W ciągu minionych (już przeszło pięćdziesięciu) lat zapisano tysiące arkuszy papieru, a pewni czytelnicy zachowują się tak, jak gdyby tego w ogóle nie było. A więc trzeba zaczynać taniec od pieca?! Zdziwionych nie brakuje. No, to przyjrzyjmy się tematowi uważniej.

W niektórych listach do redakcji powtarza się informacja, że Szwarcbart był „żydowskim emigrantem”, który swego czasu przeniósł się z Ukrainy, kraju jego urodzenia, na Zachód. W wersji tej brakuje jednego istotnego szczegółu: kiedy mianowicie ów „emigrant” zjawił się w Paryżu i w jakich okolicznościach... Ale najważniejsza jest data zamachu. Powstaje zasadnicze pytanie: Jeżeli istotnie Szwarcbart działał na własną rękę, biorąc na siebie rolę mściciela, dlaczego czekał tak długo, dlaczego zwlekał z wykonaniem decyzji przez tyle lat? Pogrom w Płoskirowie odbył się w roku 1919, zamach paryski – w maju 1926 roku;

obydwie daty dzieliło całe siedem lat. Trzeba uściślić. Po wzięciu pod uwagę, że w latach 1919–1920 toczyła się wojna, należy te siedem lat skrócić do pięciu, licząc od chwili, gdy Petlura zamieszkał w Paryżu. Już to jedno, ta pięcioletnia zwłoka, wyglądało bardzo podejrzanie.

Ponadto od razu zwróciła uwagę zbieżność wydarzeń. W maju tego roku Piłsudski dokonał zamachu stanu i doszedł do władzy, a w niewiele dni później na paryskiej ulicy padają strzały „mściciela”. Logiczny wniosek narzucił się sam przez się. Dojście Piłsudskiego do władzy wzbudziło w Moskwie niepokój: a nuż ten przypomni sobie o roku 1920 i o sojuszu wojskowym z Petlurą? Widmo odnowienia tego sojuszu, widmo nowej wyprawy kijowskiej musiało zaniepokoić. Postanowiono działać natychmiast, nie czekając na wyjaśnienie sytuacji. By zatrzeć ślady, wybrano agenta narodowości żydowskiej, uznając wersję o słusznej zemście za najbardziej chwytliwą. Istotnie chwyciła. W warszawskich kołach wschodoznawczych nikt ani przez jedną chwilę nie miał najmniejszych wątpliwości, kto i dlaczego kierował ręką Szwarcbarta.

Powoływanie się na wyrok uniewinniający świadczy o bezgranicznej naiwności. I cóż to za argument?! Tak jakby wszystkie wyroki bywały słuszne i sprawiedliwe! Co paryski sąd wiedział o rzeczywistości politycznej i wojskowej na Ukrainie w tamtych latach? Tyle co nic! Zeznania Szwarcbarta, rozdmuchane i upiękzone przez wymownych (i wpływowych!) adwokatów, uznał za prawdziwe. Petlury już nie było wśród żywych, nie mógł przeciwstawić się oszczerczej kampanii. Nie mógł powołać się na wydany przez siebie rozkaz, w którym zapowiadał, że żołnierze z poddanych mu oddziałów, którym udowodni się udział w pogromach, będą rozstrzeliwani w trybie doraźnym*. Jak na organizatora akcji pogromowych całkiem niezłe! Sąd paryski w ogóle tego nie wziął pod uwagę, nie pofatygował się dokładnie sprawdzić istniejącego materiału historycznego.

Pogromów na Ukrainie w tamtych latach istotnie nie brakowało. Kto je urządzał? Różnie z tym bywało. Luźne, przez nikogo niekontrolowane watahy, bez określonej filiacji politycznej, oddziały wojskowe zarówno „białych”, jak i „czerwonych”, a najczęściej elementy kryminalne, którym najbardziej chodziło o rabunek, a przy okazji dopuszczały się masowych morderstw. Petlurowcy natomiast byli formacją dość mocno zdyscyplinowaną (w każdym razie w większym stopniu od innych), więc nadużyć z ich strony nie mogło być zbyt dużo. To bolszewicka propaganda, chcąc zohydzić dobre imię Petlury, którego w zamęcie wojennym na Ukrainie uważano za wroga Moskwy nr 1, puściła w ruch legendę o owych pogromach, którymi rzekomo zawinił.

* Takich rozkazów atamana Petlury było wiele, jak również dekretów Rządu Ukraińskiego. Były one zebrane i wydane w języku francuskim w Paryżu w 1927 roku pt. *Documents sur les Pogromes en Ukraine et l'assassinat de Simon Petlura*.

Legenda ta przydała się później na użytek francuskich obrońców Szwarcbarta.

Ocenę wyroku, niezależnie od meritum sprawy, należy pozostawić prawnikom. Nie ma kodeksu karnego, który by przewidywał prawo jednostki do wymierzenia sobie satysfakcji na własną rękę, gdyż w przeciwnym wypadku byłoby to usprawiedliwieniem modnego niegdyś w Stanach Zjednoczonych prawa lin-czu. Zagrały względy niemające nic wspólnego z obowiązującym prawem. Gdyby chodziło o morderstwo popełnione w stanie wzburzenia, można by je uznać za zabójstwo, ale i w takim wypadku należało sprawcę skazać, obniżając wysokość wyroku ze względu na okoliczności łagodzące. Wszystko wskazywało, że wyrok uniewinniający został przesądzony nie na sali sądowej, lecz za kulisami. Niezależnie od tego, sędziowie mogli być przekonani o prawdziwości zeznań mordercy.

Szwarcbart wyszedł z sądu jako bohater, jako mściciel rodziny, zgładzonej przed siedmiu laty. Raz jeszcze: trybunał wszystko przyjął na wiarę. Także przyjął bezkrytycznie wyjaśnienie, dlaczego Szwarzbart zwlekał ze swoją „zemstą” tak długo. A co się z tym „emigrantem” stało wkrótce po procesie? Gdzie się podział? Napisałem powyżej, że każdy, kto wyrok paryski bierze za absolutnie słuszny i zamykający całą sprawę raz na zawsze, grzeszy daleko idącą naiwnością, a i to w najlepszym wypadku, bo podejrzliwi łatwo mogą zwietrzyć złą wolę. „Wyrazem czego właściwie – zapytano w zakończeniu jednego z listów w dość zaczepnym tonie – miała być ta wiązanka kwiatów, złożona na grobie Petlury przez redakcję »Kultury«?”. Nie jestem członkiem redakcji, a tylko dość luźnym, choć od dawna, od pierwszego, rzymskiego jeszcze numeru współpracownikiem, jednak chętnie na to pytanie odpowiem. Zdziwionym korespondentom trzeba polecić, by sięgnęli do podręcznika historii i dowiedzieli się, że Symon Petlura był polskim sprzymierzeńcem od kwietnia 1920 roku, podwładne mu zaś oddziały zatrzymały konarmię Budionnego pod Zamościem. Wprawdzie było to już po bitwie warszawskiej i kontruderzeniu znad Wieprza, ale twardy opór ukraińskiego żołnierza nie pozwolił Budionnemu wdrzeć się w głąb Lubelszczyzny, a następnie ułatwił przeprowadzenie zwycięskiej akcji kawaleryjskiej pod Komarowem. W skali strategicznej Budionnyj wiele by nie zdziałał, ale mógłby zniszczyć spory szmat kraju. A jak sobie czerwona jazda poczyniała, wiemy ze znanej (i świetnie napisanej!) książki pt. *Konarmia*, autorstwa Izaaka Babla. Czy zdziwieni panowie o niej słyszeli?

Sprawa ta ma jeszcze jeden aspekt. Ilekroć poruszany jest ten temat, odnoszę wrażenie, które po namyśle zamienia się w przekonanie, że nie chodzi wyłącznie o Symona Petlurę. Chodzi także o zohydzenie ukraińskich dążeń niepodległościowych, o zakwestionowanie prawa tego narodu do samoistnego bytu. Tego się, naturalnie, nie mówi w niedwuznacznej formie, ale wniosek może być tylko jeden. Jeżeli główny bohater walk narodowych był organizatorem pogromów, w których zginęły tysiące czy choćby nawet setki Żydów, to czego można się spodziewać po takim narodzie? Ludność żydowska, uprzednio dość licznie

(mimo pogromów) zamieszkująca Ukrainę prawobrzeżną, ostatecznie wyginęła z rąk hitlerowskiego okupanta.

Warto dodać, że swoje ziarno dołożyło sowieckie NKWD, uniemożliwiając Żydom zbiorowe ucieczki ku wschodowi. Na skutek tego zginęło getto witebskie, Żydzi kijowscy zaś znaleźli się w wielkiej, zbiorowej mogile w Babim Jarze. A były już próby podrzucania Ukraińcom ścisłego współnictwa z Niemcami. Podobnie jak Polakom. Na pewno nie brakowało poszczególnych, haniebnych wypadków, ale nie w powszechnej, ogólnonarodowej skali. Niekiedy, gdy się czyta liczne oskarżenia, odnosi się wrażenie, że mordowali Żydów głównie Polacy, Ukraińcy i Litwini, a także, chociaż rzadziej, Łotysze i Estończycy, natomiast gestapo i esesmani tylko przyglądali się tym zbrodniom z radosnym rechem.

Niemcy inaczej „rozwiązywali” zagadnienie żydowskie w Europie Zachodniej i Środkowej, a inaczej na Wschodzie, na terenach zajmowanych podczas pierwszej, zwycięskiej ofensywy w roku 1941. Nie zwozili Żydów wschodnich do obozów zniszczenia (*Vernichtungslager*), lecz mordowali masowo na miejscu. Ludność Wołynia nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za egzekucję w Zdobunowie, podobnie jak mieszkańcy Kijowa nie zawinili Babiego Jaru ani mieszkańcy Witebska zagłady miejscowego getta. A z tą odpowiedzialnością bywa bardzo różnie. Nam, Polakom, uporczywie zarzuca się, że Oświęcim, Treblinka, Majdanek założone zostały na polskiej ziemi. No, pięknie, a Dachau, Sachsenhausen, Ravensbrück, Matthausen *etc.*? Tak, Żydów do tych łagrów nie zwożono. Ale ginęli przedstawiciele innych narodów. Najliczniej – Polacy.

Są to uwagi wykraczające poza główny temat. Wróćmy do Petlury i sprawy pogromów na Ukrainie. Nie mam zamiaru twierdzić, że ukraiński antysemityzm w ogóle nie istniał. Istniał, podobnie jak w Polsce, chociaż przyczyny i uzasadnienia były niekoniecznie takie same. Toteż należy je rozpatrywać w perspektywie historycznej. Faktem jest, że podczas wszystkich powstań kozackich, poczynając od końca XVI wieku, ofiarami, obok szlachty polskiej, padały skupiska ludności żydowskiej. W grę wchodziły przede wszystkim racje społeczne, zresztą krzyżujące się z religijnymi. Kto zawinił bardziej – szlachta, która wsie ukraińskie puszczała Żydom w arendę, czy owi żydowscy arendarze? Tak czy owak, rozpalona do białości nienawiść pańszczyźnianego chłopu kierowała się przeciw jednym i drugim. Bezstronny historyk mógłby te sprawy omówić i wyjaśnić pod warunkiem, że przystąpiłby do pracy badawczej bez nacjonalistycznych uprzedzeń takiego czy innego zabarwienia.

Pamiętam, jakieś dobre dwadzieścia lat temu przeczytałem artykuł, którego autor, dziennikarz żydowskiego pochodzenia, zapewniał, że antysemityzm na Ukrainie powstał wyłącznie z winy polskich panów. Czy miał na myśli ratunek udzielany Żydom przez Jareme Wiśniowieckiego, nie mogłem się dowiedzieć.

Powiedzmy, że Żydów mordowała w tamtej epoce głównie tzw. czerń, czyli uzbrojeni chłopscy powstańcy. Żydowscy arendarze byli utożsamiani ze szlacheckimi dziedzicami, stąd takie wydarzenia jak słynna rzeź humańska, w której

przez pokolenia dojrzewająca nienawiść wyładowała się najgwałtowniej („Lach, Żyd i sobaka – wira odinaka!”).

Naród ukraiński poniósł po niepowodzeniu walk wyzwoleniczych w latach 1918–1921 olbrzymie straty i ponosi je nadal. Eksterminacja inteligencji ukraińskiej (głównie pisarzy) zbiegła się prawie dokładnie z Wielkim Głodem, sztucznie spreparowanym przez Moskwę. Nie jest znana dokładna liczba chłopów zamorzonych głodem w okresie czynnego oporu przeciw kolektywizacji ani zesłanych w tym samym czasie do łagrów. W każdym razie straty te wyniosły kilka milionów istnień ludzkich. Zginęła najbardziej narodowo uświadomiona część włościaństwa oraz ogromna większość intelektualistów, naukowców, poetów i artystów (nazwano ten okres Rozstrzelanym Odrodzeniem – *Rostrilane Widrodzenia*).

Potem przyszedł poważny kryzys wywołany wojną i okupacją hitlerowską, a po zakończeniu wojny zaczęła się głucha, podziemna walka, wciąż trwająca i powodująca dalsze ofiary wśród najlepszych i najodważniejszych. Wiadomo, że w łagrach o najostrzejszym, najcięższym regulaminie, rozrzuconych w lasach i bagnach Mordwinii, znaczną większość stanowią Ukraińcy. Imię Symona Petlury jest dla nich drogowskazem ideowym i relikwią narodową. Oto dlaczego redakcja „Kultury” zdecydowała się w rocznicę jego tragicznej śmierci uczynić ów gest, tak skrytykowany przez niektórych czytelników. Nieświadomych prawdy?

Wypada na zakończenie powtórzyć: robienie z Symona Petlury (głównego bohatera owych walk wyzwoleniczych i postaci symbolicznej dążeń niepodległościowych) zwykłego reżymu, który wyżywał się w mordowaniu bezbronnych Żydów, idzie dokładnie po linii imperialistycznych interesów Moskwy. Pragnę stwierdzić w sposób jak najbardziej kategoryczny, że podtrzymywanie sfabrykowanej przez sowiecką propagandę oszczerzej legendy, przy jednoczesnym wybielaniu i, co gorsza, nawet apoteozowaniu „mściciela” Szaloma Szwarcbart, nie bardzo przystoi naszej emigracji politycznej i nie wychodzi na korzyść ani Polakom, ani Żydom.

I jeszcze jeden drobny szczegół. Któryś ze zdziwionych protestowiczów sprostował: „Jak wiadomo, Semen (a nie Simon!) Petlura...”. Że nie Simon, to dobrze wiadomo. Petlura pisał się Symon i tak zostało. Proszę zajrzeć do *Żywotów świętych* i przekonać się.

[11/1979]

Polacy, Litwini, Białorusini

Szukanie możliwości rzeczywistego dialogu i porozumienia między bliskimi sobie przez historię, kulturę i granice narodami – polskim, litewskim, białoruskim i ukraińskim – jest dla wszystkich wymienionych tu stron sprawą ogromnej wagi. Od wielu lat stara się jej służyć paryska „Kultura”. Wydaje się jednak, że w wypowiedziach na jej łamach istnieje pewna dysproporcja. Liczniejsze są głosy (lub też relacje o nich) ze strony litewskiej, ukraińskiej czy białoruskiej niż polskiej. Jeśli tak jest, to w istniejących warunkach nietrudno to wyjaśnić.

Dla prasy i środków masowego przekazu w kraju tematy dotyczące mniejszości narodowych w niektórych okolicach terenów północno-wschodnich i wschodnich, jak również ogromnej liczby Polaków mieszkających bezpośrednio poza granicą wschodnią – stanowią tabu. Stąd bliższa znajomość tych zagadnień wśród ogółu inteligencji w Polsce jest niemal żadna. Tym bardziej na emigracji. Jedynie mieszkańcom danego terenu znane są pewne problemy lokalne. Na tym tle u przeciętnego obywatela PRL istnieje dziwna obojętność na los Polaków za granicą wschodnią, jeśli pominąć powiązania rodzinne. Jej źródłem jest zupełny brak informacji na ten temat i nieznanie najnowszej historii. Dlatego też Polacy przyjeżdżający niekiedy z ZSRR do rodzin w kraju wyjeżdżają stąd zawiedzeni i rozgoryczeni powszechną niewiedzą o ich istnieniu i losie, a co za tym idzie także i obojętnością.

Polacy – Litwini

1. Od lat dwudziestych poczynając – czy nawet wcześniej – utrwaliło się wiele negatywnych schematów, które do dziś fatalnie ciąży na stosunkach polsko-litewskich. Przykładem ich przełamywania może być ciekawy i cenny dwugłos Cz. Miłosza i T. Venclovy („Kultura” nr 1/2, 1979). Wypowiedź tego ostatniego, jako przedstawiciela społeczności litewskiej, wydaje się szczególnie ważna. Tam jednak, gdzie autor nie opiera się na własnych przemyśleniach i spostrzeżeniach, lecz na pogłoskach, jego wypowiedź odbiega od rzeczywistości i nie służy dobrej sprawie. Chodzi tu o jedno z końcowych zdań, w których Autor wyraża swe oburzenie na skutek złego traktowania Litwinów w „kraju sejneńskim”.

Tym bardziej że, jak pisze, „robi to Kościół polski mający tyle zasługi” (tamże, s. 34).

Zdaje się, że i wcześniej wypowiadano podobne opinie na łamach prasy emigracyjnej czy nawet krajowej, ukazującej się poza cenzurą. Nie są mi one znane. O ile mi wiadomo, ze strony polskiej na emigracji nie wypowiadano się na ten temat. Nie powinno się jednak pozostawiać bez wyjaśnień tego rodzaju zarzutów ze względu na ich różne negatywne konsekwencje.

2. A oto co każdy znający Sejny i okolicę może łatwo ustalić w powyższej sprawie i co powinno być znane, jeśli wypowiedzi na ten temat mają służyć czemuś dobremu.

Wszędzie tam, gdzie są Litwini (dotyczy to kilku parafii), jest w całej pełni zapewnione duszpasterstwo litewskie i nauczanie katechizmu w tym języku. Prowadzi je grupa kilku księży, którzy już to czują się Litwinami, już to *con amore* opanowali literacki język litewski, by móc służyć Litwinom (ks. Jan J. Macko). Tak jest w głównym skupisku litewskim, Puńsku (2,5 tys. parafian), gdzie ofiarnie pracuje ks. Dżermejko. Ponieważ większość stanowią tu Litwini, dwie msze św. są po litewsku, a jedna po polsku. Duszpasterstwo litewskie istnieje ponadto w Żagarach, Smolnikach i Sejnach.

Miasteczko Sejny, ze względu na swoją przeszłość historyczno-kościelną oraz istniejącą tu prokatedrę (mającą tytuł bazyliki), zostało wybrane przez grupę aktywistów na miejsce manifestacji w tej właśnie świątyni na rzecz Litwinów. Żąda się w nich wprowadzenia nabożeństw litewskich do prokatedry. Ponieważ jednak ludność litewska w Sejnach stanowi zaledwie 5% i o 300 m od prokatedry ma ona własny kościół do całkowitej i wyłącznej dyspozycji – żądanie to nie jest spełniane (o przyczynach tej odmowy za chwilę).

Wspomniana grupa zorganizowała wiele wystąpień w tej sprawie w ciągu ostatnich kilku lat. Były to m.in. wystąpienia w czasie koronacji przez kard. Wyszyńskiego cudownej figury Matki Boskiej Sejneńskiej w roku 1976 (rozwiniecie transparentów z wyżej wymienionymi żądaniami, śpiewy, okrzyki). Kiedy indziej zakłócanie nabożeństw w bazylice śpiewem litewskim, niekiedy uliczne piosenki śpiewane przez grupę podpitych 20–30 osób itp.

Jest rzeczą widoczną i znaną, że działalność ta jest dziełem zawsze tej samej grupy, mającej niekiedy charakter bojówki. Gdy bp M. Sasinowski polecił podjąć budowę kościoła dla Litwinów w miejscowości mającej 18 km do świątyni parafialnej, akcja tego zespołu osób udaremniła realizację tego planu.

3. Według zgodnej opinii, bp łomżyński M. Sasinowski w trosce o zaspokojenie potrzeb grupy Litwinów w jego diecezji wykazał maksymalną uwagę i rzetelność. Jest znany jako człowiek prawy i niezdolny do tolerowania krzywdy w dziedzinie praw religijnych kogokolwiek. Można sądzić, że rozumie je lepiej niż inni, ponieważ przed ostatnią wojną i w czasie wojny dzielił losy polskiej emigracji we Francji i Anglii. Zarzuty pod jego adresem są szczególnie krzywdzące.

4. Dla każdego, kto zechce zapoznać się na miejscu z rzeczywistą sytuacją religijną mniejszości litewskiej w okolicy Sejn – i to bez sięgania do oficjalnych kościelnych źródeł informacji – staje się rzeczą najwyraźniej widoczną, że w całej sprawie nie chodzi wcale o jakieś upośledzenie czy krzywdę w dziedzinie praw religijnych mniejszości etnicznej. Chodzi natomiast o to, by posługując się tymi pozorami i zarzutami, nadać jak najszybszy rozgłos obecności grupy Litwinów na tym terenie, rozbudzić nienawiść i stworzyć problem polityczny.

Ogół ludności litewskiej w akcji tej nie bierze udziału, nie manifestuje żadnej wrogości, poczucia krzywdy w jakiejś dziedzinie czy też żądań, mając pełną opiekę religijną według swoich potrzeb. Widać natomiast działalność manipulowanej z zewnątrz grupy. Posługuje się ona bez żadnych skrupułów oszczerstwami i kłamstwem, prowokacją oraz rozbudzaniem nienawiści narodowej.

Istotną sprawą jest jednak ukryte podłoże i tło tej działalności. Stanowi je obecność wielkich bogactw naturalnych w Suwalszczyźnie, takich jak węgiel, ruda żelazna i inne. Według opinii osób śledzących akcję prowadzoną przez grupę inspiratorów, wprowadzenie dziś języka litewskiego do prokatedry w Sejnach to jutro przyłączenie, oczywiście „dobrowolne”, „kraju sejneńskiego” do ZSRR. I tej sprawie służą świadomie czy nieświadomie podtrzymywane krzywdzące opinie o niesprawiedliwym traktowaniu Litwinów przez Kościół polski.

5. Należy podać kilka danych liczbowych dotyczących ludności litewskiej. Podają je za wydawnictwami litewskimi (głównie za: M. Pożarskas, *Stosunki Litwy Radzieckiej i Polski Ludowej*, Kaunas 1974). Nie są one najnowsze, lecz brak mi w tej chwili innych. Otóż w roku 1966 mieszkało w Polsce około 30 tys. Litwinów, z czego większość w byłych powiatach Sejny i Suwałki (tamże, s. 56), co stanowi jedynie drobny procent żyjącej tu ludności. Ponadto grupy Litwinów osiedliły się w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i Krakowie. W roku 1957 Litwini zorganizowali Litewskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które w osiem lat później miało już 43 kółka oraz oddział warszawski. W roku 1972 Towarzystwo liczyło 1718 członków („Aušra” nr 18, 1972). Oddziały Towarzystwa działają w Warszawie i Wrocławiu, rozwijając bardzo ożywioną działalność kulturalną. Między innymi organizowane są wycieczki do Litwy Radzieckiej, spotkania z gośćmi przybywającymi z Litwy. Wychodzi także prasa w języku litewskim. Zarząd Główny Litewskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego wydaje czasopismo „Aušra” („Jutrzenka”), a jego oddział warszawski miesięcznik naukowo-kulturalny Towarzystwa „Varsnos”. Istnieje także szkolnictwo w języku litewskim, w tym liceum w Puńsku, z litewskim językiem wykładowym. W samym tylko byłym powiecie sejneńskim przed kilku laty istniało 7 litewskich zespołów amatorskich. Kiedy w czerwcu 1972 roku obchodzono w Sejnach 50-lecie utworzenia ZSRR, to przybyło nań około 2 tys. przedstawicieli społeczeństwa Litwy Radzieckiej z „Wilniusa, Kaunasu, Wareny, Alytusu, Luzdijaj, Kapuskasu, Wilkawiszkin, Szakiai” (M. Pożarskas, *ibid.*, s. 41).

By nie przedłużać, podaję tu tylko przykładowe wyliczenie niektórych instytucji i wydarzeń, ale nawet ono pokazuje zupełną nieporównywalność sytuacji

kulturalno-narodowej Polaków na Litwie, jakkolwiek są oni około dziesięć razy liczniejsi niż Litwini w Polsce. O wydawaniu prasy polskiej na wzór litewskiej w Polsce lub o zorganizowaniu polskiego towarzystwa społeczno-kulturalnego na Litwie – nie może być mowy. Wysunięcie samej myśli byłoby sprawą nierealną i niebezpieczną. Polacy mają do dyspozycji, gdy chodzi o prasę, czterostronicowy dziennik „Czerwony Sztandar”, organ KC Komunistycznej Partii Litwy, którego ubóstwo treściowe i martwota tłumaczeń różnych tekstów oficjalnych jest czymś głęboko przygnębiającym. Większość artykułów i doniesień nie jest nawet pisana przez Polaków i Polakiem nie jest redaktor naczelny.

6. Chodzi nam jednak przede wszystkim o porównanie sytuacji religijnej Polaków żyjących na Litwie. Na wstępie podaję nieco koniecznych tu liczb. Otóż w roku 1970 jedynie w Wilnie, według litewskich danych oficjalnych, mieszkało 68,3 tys. Polaków (S. Adlis, *Lietuvos TSR Guventoje*, Vilnius 1973, s. 104–107). Natomiast w całej republice ogólnosowiecki spis ludności z tego samego roku wykazywał 240 tys. ludności polskiej.

Według powszechnej opinii miejscowych Polaków rzeczywiste liczby są znacznie wyższe. W samym tylko Wilnie mieszka bowiem tysiące Polaków z pobliskiej Białorusi, to znaczy Wileńszczyzny przyłączonej do tej republiki, i tam zapisanych jako Białorusini. Korzystają oni oczywiście z duszpasterstwa w języku polskim.

W Wilnie na siedem otwartych kościołów (nie licząc Kalwarii) w czterech są nabożeństwa na przemian po litewsku i po polsku (łącznie z Ostrą Bramą). Natomiast w dwóch (św. Anna i św. Mikołaj) odbywają się nabożeństwa jedynie po litewsku, a jeden z kościołów (św. Ducha, dawniej Dominikanów) jest oddany wyłącznie dla Polaków. Duszpasterzem polskim jest tu od dawna ks. Bekisz, liczący dziś 85 lat i od dłuższego już czasu niezdolny do normalnej pracy. Jego pomocnikiem jest Litwin, ks. Józef Jodogajlis, człowiek o złotym sercu dla wszystkich, lecz również liczący już ponad 70 lat. Do kościoła tego kieruje się także ludność polska z Białorusi. Lecz z braku sił u księży duszpasterstwo w tym kościele nie może się równać z żadnym z prowadzonych w kościołach wileńskich. Wystarczy powiedzieć, że jeśli w każdym z kościołów bywają w ciągu roku setki ślubów i chrztów, to w kościele św. Ducha w ubiegłym roku był zaledwie jeden chrzest i jeden ślub.

Ludność polska w Wilnie i na Litwie, według ogólnej opinii, jest bardziej wierna praktykom religijnym i Kościołowi niż litewska. Uzasadnia się to faktem, że nie jest ona związana z aparatem władzy przez różne stanowiska w administracji, partii i innych instytucjach państwowych, jak litewska, i dlatego ma w dziedzinie religijnej większą swobodę. Jej udział w świadczeniach materialnych na Kościół jest ogromny.

7. Można i należy postawić hierarchii kościelnej na Litwie poważny zarzut religijnego zaniedbania Polaków, gdy chodzi o opiekę duszpasterską w języku polskim zarówno w Wilnie, jego okolicy, jak i gdzie indziej. A oto uzasadnienie

tego zarzutu. W ubiegłych kilkunastu latach Seminarium Duchowne w Kownie opuściła niewielka grupa młodych księży Polaków. Otóż z reguły ci księża nie są kierowani do parafii polskich, lecz litewskich, gdzie nie ma Polaków lub też nabożeństw dla nich.

Jest to nie tylko krzywda dla tych ostatnich, ale i powodowanie szkody dla całego Kościoła z pobudek nacjonalistycznych. Obecnie jest rzeczą znaną, że ludność polska w Kowieńszczyźnie pozbawiona celowo duszpasterstwa w języku rodzimym w okresie międzywojennym i później, zrażona i zniechęcona, uległa powoli zubożeniu religijnemu i laicyzacji. To samo może zagrażać polskim parafiom wokół Wilna, które już dziś mają niekiedy księży litewskich słabo znających język polski, nieuczących się go i niechętnych Polakom. Dopiero w roku bieżącym po raz pierwszy od zakończenia wojny do jednego z kościołów na peryferiach Wilna (Matki Boskiej Dobrej Rady) skierowano młodego księdza Polaka (jest nim H. J. Błażewicz). Być może jest to znak pomyślnych przemian w tej dziedzinie o zasadniczym przeciwieństwie dla Kościoła.

8. Prasa litewska na początku tego wieku rzuciła hasło, że całą ludność mieszkającą na Litwie należy uznać za Litwinów, z których część uległa polonizacji i mówi po polsku. To samo zdanie przyjmowane jest obecnie przez niektórych księży litewskich, lecz w rozumieniu programu duszpasterskiego. Byłby to program antykościelny w tej mierze, w jakiej prowadziłby niemal jedną piątą stanu posiadania Kościoła na Litwie do zubożenia religijnego.

Ludność polska w Wilnie z reguły uskarża się na częsty brak troski u księży litewskich w podejściu do jej potrzeb. Wyraża się to w braku zainteresowania polskimi ceremoniami religijnymi, śpiewem, kazaniami itd., w przeciwieństwie do tych samych zagadnień litewskich. Trzeba niewątpliwie wyższego poziomu duchowego, by nie robić tu różnic. Nikt też nie ma prawa żądać sympatii do Polaków. Lecz można i należy oczekiwać sprawiedliwości z pobudek chrześcijańskich.

To, co powiedziano wyżej, nie oznacza, że nie ma wśród księży litewskich przykładów prawdziwej postawy kapłańskiej w samym Wilnie i gdzie indziej. Nie robią oni żadnych różnic między ludźmi na tle narodowości. Zanotujmy tu ważny fakt pozytywny. Od niedawna dla Polaków w Kownie, w kościele św. Krzyża (pokarmelicki) została wprowadzona msza św. w języku polskim w każdą niedzielę o godz. 14.00 (mało dogodna godzina). Odprawia ją ks. Statkiewicz, nie najlepiej jednak znający język polski.

Osiągnięcie to jest efektem długoletnich starań, poczynając od lat sześćdziesiątych. Delegacje z Kowna udawały się z prośbami o pomoc do księży polskich do Wilna w sprawie nabożeństw i szkoły polskiej w tym mieście, gdzie mieszka około 30 tys. Polaków (a więc mniej więcej tyle, co cała ludność litewska w PRL).

Decydującym faktem, jak się zdaje, był memoriał ostatniego żyjącego kanonika honorowego kapituły wileńskiej ks. Chomskiego, liczącego 95 lat i pełniącego nadal obowiązki proboszcza w Białej Wace koło Wilna. Memoriał o otwarciu nabożeństw w Kownie skierowany był do biskupów litewskich i kard. Wy-

szynskiego. Jego skutek był na szczęście pomyślny. Warto tu dodać, że niewielka grupa Litwinów w Warszawie ma nabożeństwa w języku litewskim w doskonale położonej kaplicy w centrum miasta.

9. Jeden z emigracyjnych tygodników litewskich w Kanadzie, T. Ž., pisze m.in.: „Litwini dużo ucierpieli od Polaków i nadal cierpią np. problem Sejn” (por. „Kultura” nr 1–2, 1979, s. 151). Mówi się słusznie, że wyliczanie wzajemnych krzywd daleko nie prowadzi. Ale tu nie należy ukrywać bolesnych faktów, jeśli miały miejsce. Ich ukazanie i nazwanie po imieniu może bowiem rozładować ukryte kompleksy i pozwolić spojrzeć na bolesne wydarzenia w należytych proporcjach. W tym wypadku dla ich zachowania należałoby także pokazać to, co ucierpieli Polacy na Litwie w okresie dwudziestolecia, a następnie w czasie okupacji (ruch szaulisów). Inaczej rozmowa nie jest *fair play*.

10. Można zrozumieć obecną niechęć do Polaków. Nowoczesna Litwa tworzyła się przecież przez odcinanie się od Polski, a i obecnie wpływy kultury polskiej przez obecność silnego liczebnie elementu polskiego i całe dziedzictwo kulturalne (choćby historia Uniwersytetu Stefana Batorego, który obchodzi swe 400-lecie) – są nadal silne. Lecz nie można rezygnować z etycznych zasad kanalizujących i sublimujących pierwotne siły plemiennej niechęci czy wrogości. Nie prowadzi to bowiem do żadnego pozytywnego rozwiązania. Chodzi o to, co T. Venclova w odniesieniu do tego problemu nazywa „humanizacją uczuć”, uważając to słusznie za sprawę najważniejszą. Jest rzeczą znamioną, jak stosunkowo często u dużej części kierowniczej grupy, jaką jest w pewnym sensie duchowieństwo litewskie na Wileńszczyźnie, zauważa się w stosunku do Polaków zastępowanie motywacji religijnej i etycznej przez motywację etniczną. Jest to dla misji Kościoła rzecz niezwykle groźna. Jednocześnie jest ona na rękę polityce podziału, skłócenia i nienawiści między obydwojema narodami, prowadzonej od lat przez Rosję. Polityka ta jest, jak zwykle, bardzo zręczna, co można obserwować obecnie na Litwie.

I tak w środowiskach polskich w okolicach Wilna można spotkać na co dzień opinie: „gdyby nie Rosjanie, do których można się odwołać przeciwko Litwinom, to by nam tu ciężko było”. Można by podać długą listę spraw z reguły lokalnych, lecz dla strony polskiej uczuciowo i prestiżowo ważnych, jak np. poniższa. Gdy w roku 1966 zmarł w Święcianach miejscowy proboszcz, parafianie wystawili mu nagrobek z napisem polskim. Nowy proboszcz Litwin usunął napis polski i wstawił litewski. Na prośby o przywrócenie pierwotnego napisu nie reagował. W tej sytuacji Polacy zwrócili się do ministra kultu w Moskwie i ten wydał decyzję zgodną z żądaniem Polaków.

Zdaniem niektórych Litwinów z tzw. Litwy kowieńskiej, wiele tarć i trudności wynika stąd, że do Wilna i na Wileńszczyznę napłynęło w czasie wojny i po wojnie wiele osób związanych ideowo z ruchem szaulisów, często o niższym poziomie moralnym i nastawionych nacjonalistycznie. Litwini z północno-zachodnich terenów kraju są zadowoleni z przemieszczenia się tej grupy i nie zazdroszczą Polakom ich sąsiedztwa.

Należy dodać, że wobec Litwinów Rosjanie będą umiejętnie bronić ich interesów przeciwko Polakom celem umocnienia się władzy i rządów. Wyrazem tej polityki jest odpowiednie ujęcie najnowszej historii, wydawnictw popularnych, programów szkolnych itp. Pod koniec 1977 roku z wizytą na Litwie była grupa biskupów katolickich z NRD (był to rok dość uroczysty obchodzonego w Ostrej Bramie jubileuszu 50-lecia koronacji obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej). Po tej wizycie ówczesny minister kultu w Wilnie jedno ze szkoleniowych zebrań swego personelu w lutym 1978 roku poświęcił sprawie stosunku do Kościoła polskiego. W swojej wypowiedzi m.in. stwierdził: „Polscy biskupi ciągle chcieliby wydawać swoje dyrektywy także i dla Litwy. Biskupi litewscy odrzucili to kategorycznie. My również to odrzucamy. Nadszedł czas, by z tym skończyć. Trzeba nawiązywać kontakt z Kościołem katolickim w NRD”. Wypowiedź ta stała się później znana i, jak się zdaje, jest ona potwierdzeniem istniejących tu od dawna tendencji.

11. Istnieją także przykłady, nietrudne do zaobserwowania, ukazujące zdecydowaną postawę niektórych przedstawicieli kleru litewskiego co do duszpasterstwa w języku polskim na Białorusi. Postawa ta wyraża się opinią, że język ten powinien być eliminowany na rzecz białoruskiego. Oczywiście oczekiwanie wiernych na tych ziemiach nie jest brane w rachubę. Wyżej stawia się dążenie do osłabienia elementu polskiego, który na Litwie uważany jest za groźniejszy, w pewnym sensie, od rosyjskiego.

Podobną postawę zajmują dwaj księża litewscy, którzy (jako jedyni dotychczas) za zgodą władz sowieckich i kościelnych oraz na prośbę wiernych podjęli od niedawna pracę w polskich parafiach na Ukrainie (za Zbruczem). W tym wypadku zapewne nie bez znaczenia jest fakt, że księża ci nie mówią na co dzień po polsku, nie znając na tyle tego języka, podobnie jak duża część ich parafian. Jeśli sprawują liturgie w tym języku (raczej zbliżonym do polskiego), to dlatego, że takie jest oczekiwanie wiernych.

Sprawa stosunku do języka polskiego u niektórych księży litewskich może być interesującym przykładem jak gdyby powrotu do czasów sprzed unii, gdy Litwini i Rusini byli w stanie walki z Polakami. A to leży w planach polityki ZSRR, zmierzającej do połączenia w jedno Litwy i Białorusi w dalekosiężnie planowanym rozwoju tego mocarstwa. Plany te są jednocześnie likwidacją dawnej idei jagiellońskiej.

12. Na emigracji spotyka się opinię, że obecnie na Litwie nie dokonuje się litwinizacja Polaków, lecz przede wszystkim rusyfikacja. Opinii tej, niestety, słuszności przyznać nie można wobec nagminnie spotykanych faktów w terenie. Wśród Polaków nie tylko w Kownie, lecz także w okolicach Wilna łatwo jest spotkać ludzi, którym przy wyrabianiu dowodu osobistego wpisano litewskie brzmienie nazwiska i imienia oraz narodowość litewską, bez pytania o ich zgodę. Rzadko kto podejmuje trudną walkę w tej sprawie lub odkłada ją na później (np. do zmiany dowodu osobistego).

Przy zapisywaniu imion dzieci nowo narodzonych w urzędach bez ceremonii wpisuje się nie tyle imiona, ile nazwy litewskie, takie jak (dla dziewcząt): Audra (burza), Saulutė (słoneczko), Tajmutė (piosenka), Rasa (rosa). Litewska pisownia nazwisk znanych Polaków, nawet spośród żyjących obecnie w Polsce, jest czymś spotykanym na co dzień. Wystarczy zwiedzić muzeum obrazów w dawnej katedrze wileńskiej, by się o tym przekonać. Na Rossie, jako przykład w tym względzie, można oglądać nowy nagrobek twórcy pomnika grunwaldzkiego i żołnierza polskiego w Wilnie w roku 1918 Antoniego Wiwulskiego z nazwiskiem litewskim (Vivulskas) i takimże napisem.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Litwini chcą ukazać twórców swojej kultury. Ale wzbogacanie ich liczby przez odcinanie tych osób od znanego związku z polskością w ich twórczości i życiu jest rzeczą niegodną słusznych dążeń narodowych i nieprowadzącą, na dłuższą metę, do zamierzonego celu.

13. Wracając do kwestii życia religijnego, należy stwierdzić, że nie ma porównania w trosce o duszpasterską obsługę i opiekę ludności polskiej na Litwie i litewskiej w Polsce. Polacy na Litwie ciągle oczekują sprawiedliwości w tym, co w sposób widoczny leży w zakresie realnych możliwości litewskiego Kościoła katolickiego. Chodzi najpierw o kierowanie duszpasterzy Polaków do parafii polskich przez wykorzystanie istniejących sił osobowych, zarówno do Wilna, jak i na inne tereny.

Następnie chodzi o pełną i życzliwą akceptację kandydatów z rodzin polskich do seminarium duchownego, tym bardziej że uzyskało ono ostatnio nowe możliwości liczebnego rozwoju. Z seminarium wiąże się także sprawa nauki języka polskiego dla tych seminarzystów narodowości litewskiej, którzy będą pracować wśród Polaków.

Są to postulaty podstawowe, wypływające z samej religijnej misji Kościoła katolickiego. Nadzieje budzi stosunkowo szybki liczebny rozwój tak ważnej instytucji, jaką jest seminarium duchowne. W roku 1978/79 liczyło ono 73 studentów, a na rok 1979/80 pozwolono przyjąć aż 20 nowych kandydatów (warunki działalności seminarium i panujące w nim stosunki na skutek nacisków władz policyjnych to oddzielny problem).

Zagadnienie to nie jest, rzecz jasna, zagadnieniem tylko polskim, lecz żywotnym problemem Kościoła katolickiego na tych ziemiach w ogóle i poszerzeniem praw osoby ludzkiej w tak ważnej dziedzinie, jak życie religijne. Kościół katolicki na Litwie w okresie powojennym zawdzięcza wiele Polakom. Po stronie polskiej nie istnieją bowiem uprzedzenia w stosunku do Litwinów. Przyjeżdżającym z kraju do Wilna Polakom ich znajomi zarzucają niekiedy litwomanię. Jest to spowodowane wyrażanym często uznaniem dla zwartości i samoobrony Litwinów, o której słyszą oni w Polsce z radiostacji zachodnich.

Pomimo dużych trudności i kontroli trafiło z Polski na Litwę, dzięki świadomej i ideowej grupie Polaków, wiele pozycji z literatury religijnej i teologicznej. Korzysta się z niej szeroko przy formacji kandydatów do kapłaństwa i w dusz-

pasterstwie. Książki te są także tłumaczone i powielane, s. ko

W ubiegłych kilku latach Kościół litewski uzyskał zgodę na u. ci modlitewników dla wiernych. Obecnie jest już w druku dobrze ny skrót nauki katolickiej w języku litewskim, uważany za bardzo w. cję. Istnieje jednak na Litwie paląca potrzeba modlitewnika w języku. Jednocześnie nie widać, kto ze starych już i zapracowanych księży polskich by się podjął jego opracowania, choćby w formie tłumaczenia na polski wy. nia litewskiego, co, być może, ułatwiłoby jego zatwierdzenie. Sprawa ta wymaga stanowczego poparcia ze strony księży litewskich.

Były administrator wileński ks. Cz. Kriwajtis był zdania, że Polacy otrzymują książeczki do nabożeństwa od swoich krewnych w Polsce i dlatego nie popierał powyższego projektu. Jest to opinia niesłuszna i krzywdząca stronę polską. Nawet w Polsce od wielu już lat tego rodzaju książeczki są praktycznie nie do znalezienia i nie do nabycia w bardzo nielicznych zresztą sklepach katolickich. Następnie tylko niewielki procent jadących do Wilna odważa się zabierać tego rodzaju pozycję, nawet jeśli nie ma świadomości o zakazie i nieprzyjemnościach związanych ze znalezieniem przez celników rosyjskich przedmiotów religijnych, więc tylko część jadących osób je zabiera. Zwłaszcza gdy wiezie się nieco za dużo „ciuchów” i przedmiotów na prezenty i na sprzedaż, co jest rzeczą nagminną. Ostatnio nawet polscy celnicy zaczynają je kwestionować i zatrzymywać, zwłaszcza gdy chodzi o obywateli sowieckich. W sumie polskie książeczki do nabożeństwa, które są w rękach pewnej części wiernych, głównie stare, absolutnie nie zaspokajają istniejących potrzeb liczącej kilkaset tysięcy ludności. Dlatego też w Ostrej Bramie i gdzie indziej widzi się niekiedy osoby z ręcznie przepisywanymi modlitewnikami.

14. Jak wiadomo, do pierwszej wojny światowej na ziemiach dzisiejszej Litwy istniało, ogólnie biorąc, zgodne współżycie ludności języka litewskiego i polskiego w życiu religijnym. W kościołach respektowano wzajemnie prawa językowe i do dziś ta tradycja odgrywa w Wilnie bardzo ważną rolę. Czy ten stan, pomimo wszystkich przemian, nie powinien być przyjęty jako programowa zasada, postulat czy ideał, do którego należy dążyć wszędzie tam, gdzie jest ludność mówiąca po polsku?

Rozwój stosunków międzynarodowych nie idzie bynajmniej w kierunku uniformizacji i zniszczenia odrębności kulturalnej i językowej różnych grup narodowych w obrębie jednego państwa (chodzi tu o świat zachodni). Przeciwnie, jesteśmy świadkami jej budzenia się, uznania praw i szukania rozwiązań dla zgodnego ułożenia się stosunków między poszczególnymi grupami. Ich odrębności językowe i inne są uznawane za kulturalne bogactwo kraju, które jest często zagrożone przez zubożającą je kulturę masową. Przykładem może tu być współczesna Belgia, Szwajcaria czy Hiszpania, by na tych tylko krajach poprzestać.

Polacy – Białorusini

1. Pod tym ogólnikowym tytułem pragnę zwrócić uwagę jedynie na pewne aspekty religijnego i narodowego dramatu ludności polskiej zamieszkałej na dzisiejszej Białorusi (głównie zachodniej). Pomijam tu w zasadzie ten problem w stosunku do ziem, które pozostały za granicą wschodnią po traktacie ryskim. Poddane one zostały, jak wiadomo, bezwzględnej depolonizacji przez deportacje na Syberię i do Kazachstanu (po roku 1930) oraz stopniowe zniszczenie dawnych instytucji polskich, duszpasterstwa, zabytków itp. Może warto jedynie podać jeden przykład ukazujący położenie Polaków na tych właśnie ziemiach po zakończeniu wojny polsko-boszewickiej oraz sytuację w chwili obecnej na ziemiach włączonych do Białorusi po roku 1944.

Otóż we wrogim Polsce państwie, które świeżo zakończyło z nią wojnę, istnieje na Białorusi w latach dwudziestych szkolnictwo polskie, wychodzi prasa w języku polskim, pracują księża polscy, co prawda nieliczni. I tak w 1925 roku żyje tu 300 tys. Polaków, którzy mają 145 szkół polskich, w których pracuje 235 nauczycieli. W Mińsku istnieje polskie „technikum” pedagogiczne, które liczy 126 uczniów i 22 nauczycieli. Na uniwersytecie białoruskim studiuje w tym czasie 385 studentów Polaków. Wychodzi dziennik polski „Młot” (1500 egz.) i tygodnik „Gwiazda Młodzieży” (1000 egz.), jednakże w minimalnym nakładzie. Komuniści polscy zasiadają jako Polacy w urzędach, szkołach i innych instytucjach („Wychodźca”, 30.08.1925, Warszawa).

2. Dziś PRL i Białoruś to nie wrogie, lecz bratnie kraje, o czym bez przerwy zaświadczały obydwie strony. Białoruś powiększyła się obecnie nie tylko o ogromny teren do niedawna należący do Polski, lecz także o ludność polską. Jej liczba podniosła się wielokrotnie, jakkolwiek oficjalnie tylko o niemal jedną czwartą, a to dzięki szczególnego rodzaju zabiegom, o których za chwilę. Według spisu ludności z roku 1970 na Białorusi liczono bowiem 382 tys. Polaków.

Tymczasem, pomimo oficjalnego i sławionego braterstwa, ludność polska nie ma tu ani jednej szkoły, ani jednej instytucji polskiej, ani jednej gazety. Może ktoś spośród gorliwie zapewniających o braterstwie i współpracy zechciałby wyjaśnić ten pozorny paradoks.

3. Przejdźmy do nieco późniejszej historii. Z chwilą zajęcia przez Rosjan wschodnich terenów RP i po powojennym exodusie pewnej części ludności polskiej na zachód działaniem o zasadniczym znaczeniu narodowym stał się każdorazowy spis ludności. Jego założeniem bezwzględnie realizowanym była narzucona prawna zmiana narodowości przytłaczającej większości żywiołu polskiego. Dokonywano jej przez zapisywanie Polaków jako Białorusinów, wbrew oświadczeniom, oczywistym dowodom i protestom zainteresowanych. Okazywanie metryk, dowodów osobistych, własnych czy rodziców, nie miało najczęściej znaczenia. Na wsi, gdzie osobiste dokumenty dopiero obecnie zaczyna się ludności wydawać (na Łotwie posiadała je o wiele wcześniej), zadanie to było ułat-

wione, gdyż ludzie nie otrzymywali dowodów zmiany swej narodowości. Tylko osobom najbardziej obrotnym czy inteligentnym udawało się obronić swoją narodowość w urzędowym zapisie.

W miasteczkach czy miastach powiatowych (rejon), gdzie dowody wydawano, ludność polska nie chciała ich brać. Rzucano je na podłogę lub za okno, czym władza nie bardzo się przejmowała, zapewniając, że wszyscy sami po nie przyjdą. Było to całkiem zgodne z prawdą, ponieważ bez dokumentu osobistego nikt nie mógł być zatrudniony w przedsiębiorstwie państwowym (poza kolchozami) i był pozbawiony środków do życia.

Obecnie metody w tej dziedzinie są nieco mniej drastyczne, lecz nadal realizują ten sam cel: bezwzględne pomniejszanie liczebności elementu polskiego. Wprawdzie na skutek usilnych nalegań wpisuje się i narodowość polską, lecz określoną liczbę Polaków reguluje „rejspałkom”, wykreślając następnie u siebie dokonane poprzednio zapisy według swoich planów czy też odgórnych wskazań. Taka jest powszechna opinia ludności polskiej na Białorusi i na Ukrainie.

Zmiana wpisu dokonywana jest także przy wymianie starych dowodów osobistych. Jednak ich najnowsza wersja, ostatnio dopiero wprowadzana, nie posiada w ogóle metryki „narodowość”. Wydaje się, że jest to pomyślane jako sposób likwidacji odrębności etnicznych różnych grup narodowych, w tym także i polskiej. Jest ona liczniejsza niż np. etniczna grupa estońska, a nawet łotewska, lecz nie posiada własnej republiki, co ją skazuje na bez porównania szybsze wynarodowienie, pomimo niemałego przyrostu naturalnego (w 1960 roku liczono w ZSRR 1430 tys. Polaków, a w 1970 już tylko 1160, co oznacza niezwykły spadek, bo aż o 18%).

4. W latach 1944–1945 inne metody stosowano wobec poborowych, u których wybór narodowości decydował o skierowaniu do armii polskiej lub sowieckiej. Ponieważ wybór narodowości polskiej wśród poborowych był powszechny, stosowano odpowiednią presję, by go zmienić. Metody były różne. Na przykład ogół zgromadzonych dzielono na grupy i wyprowadzano je kolejno za wzgórze, skąd rozlegały się serie z broni maszynowej. Nie zdarzyło się, według uczestników tych wydarzeń, by ta próba, pozornego zresztą rozstrzelania, była skuteczna. Zawsze padała odpowiedź: „Strzelajcie, my Polacy”.

W innych wypadkach rozebranych do naga poborowych upierających się przy narodowości polskiej kierowano do pracy w lesie, redukując do minimum pożywienie. Był to jednak tylko pewien epizod w ogólnej polityce narodowościowej. Miała ona bowiem założenia bardziej przemyślane i długofalowe.

5. Na terenach bardziej odległych od nowej granicy polskiej, w takich powiatach, jak Brasław, Dżisna, Głębokie, Mołodeczno, Oszmiana, Wołożyn, Stołpce, Baranowicze, Łuniniec, Pińsk, Stolin, nacisk na zmianę narodowości był bezwzględny i tylko niewielki procent ludności mógł pozostać w zapisach przy polskiej. Natomiast o wiele większą swobodę pozostawiono w zachodnich rejonach *oblasti* Grodno i Brześć. Zasada ta stosowana jest do chwili obecnej.

Jej przeprowadzenie pozwoliło utrzymać oficjalną liczbę ludności polskiej na Białorusi, jak wspomniano, tylko o niecałą jedną czwartą wyższą obecnie od stanu z lat dwudziestych. Jak bardzo nie odpowiada ona rzeczywistości, świadczy np. fakt, że na wymienionych wyżej terenach o zmniejszonej liczbie Polaków można spotkać wioski czysto polskie i katolickie, w których jednak zaledwie kilka rodzin czy osób obroniło zapis: narodowość polska, pomimo ogólnego jej wyboru przez wszystkich.

6. Jednakże odpowiednio przeprowadzony spis ludności jest tylko przesłanką do dalszych działań w kierunku wynarodowienia i rusyfikacji. Służy temu przede wszystkim bezwzględne odcięcie od kultury polskiej w postaci szkoły, pism, książek, znajomości historii i łączności z krajem. Nawet wyjazd do rodziny w Polsce jest sprawą trudną, a niekiedy wprost niemożliwą. Książki polskie wysyłane na Białoruś giną lub są zwracane, a ostatnio robi to już polska poczta podporządkowana, jak widać, nadrzędnej tu polityce rosyjskiej.

Podpisywane porozumienia międzynarodowe nie mają żadnego znaczenia lub raczej mają duże znaczenie negatywne. Układ w Helsinkach mówiący o poszerzeniu wymiany i współpracy pomiędzy państwami, podpisany także przez ZSRR, został natychmiast zinterpretowany jako próba ideologicznego „rozmiękczenia” socjalizmu. Stało się to powodem nowych ograniczeń i zaostrzonej kontroli granicznej. Dodatkowo została ona wzmocniona obecnie, po wyborze Jana Pawła II (listy wysłane do ZSRR w czasie jego pobytu w Polsce masowo ginęły).

Tu nasuwa się dygresja ilustrująca skuteczność tych metod. Gdy przed kilku laty, po oficjalnym przyjęciu działaczy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Mińsku, znalazłem się w rodzinie polskiej, zagadnąłem żartobliwie 14-letniego synka moich gospodarzy: „A ty kim jesteś, Polakiem czy Rosjaninem?”. Odpowiedź była natychmiastowa i zdecydowana: „Ja Polakiem nie chcę być, bo u Polaków gierojów niet”. Odpowiedź ta wskazuje na ważny proces, zgodny z zamierzeniami polityki rosyjskiej, którym jest wynarodowienie młodszych pokoleń, głównie przez szkołę.

Programy szkolne, a przede wszystkim historia, mówią jedynie o polskim imperializmie, ucisku, gwałtach i wyzysku. Brak jest jakichkolwiek pozytywnych wzmianek o wartościach czy osiągnięciach kultury polskiej. Naukowe opracowania dotyczące omawianych tu terenów mają podobne założenia i za wszelką cenę starają się pomniejszyć znaczenie i zasięg wpływów kultury polskiej na dzisiejszej Białorusi.

Ponieważ Polacy zajmują tutaj, podobnie zresztą jak gdzie indziej, najniższe pozycje społeczne i odpowiedni procent kończących wyższe studia jest niższy w stosunku do Rosjan, Litwinów i Ukraińców, tylko rzadko wybitniejsze jednostki dochodzą do pełnej świadomości narodowej. Są one jednak zwykle osamotnione i rozproszone po ogromnym terytorium Rosji, gdzie otrzymują korzystne stanowiska, których w rodzinnych stronach nigdy by nie mogły osiągnąć.

7. Od zakończenia wojny, zwłaszcza w ostatnim czasie, udoskonalono system ruszczenia imion i nazwisk polskich. Ma on swoje duże osiągnięcia. Część

ludności, poddana wielostronnym działaniom zmonopolizowanych środków masowego przekazu, zaczyna w obronie swoich cech polskich obojętnieć.

Gdy rodzice zgłaszają w „sielowiecie” nowo narodzone niemowlę, to urzędnik wyciąga z szuflady listę imion i każe wybierać. Oczywiście nie ma na niej imion polskich. Dla dziewczynek przewidziane są takie, jak Zoja, Żanna, Oksana, Świetłana, a dla chłopców: Anatolij, Sierioża, Siergiej itp. Gdy jednego z księży wezwano do Grodna i postawiono mu zarzut, że na chrzcie nadaje dzieciom imiona polskie, obronił się odpowiedzią: „a wy co robicie?”.

Zmieniane są także i nazwiska. I tak Zacharzewski staje się, oczywiście bez wiedzy rodziców – Zacharew, Łukaszewicz – Łukaszew (przykłady autentyczne) itp. Zmiana ta wychodzi nagle przy „wybieraniu” dowodu osobistego w wieku lat 16. Przedtem dzieci w szkole podstawowej figurują pod nazwiskiem rodziców. Proces powtórnej zmiany jest sprawą niezwykle trudną i niewielu go rozpoczyna. W odpowiedzi na swoje starania słyszą bowiem stanowcze stwierdzenie: „Tu nie Polska, tu Białoruś”.

8. W istniejących obecnie warunkach polskość na Białorusi, na terenach należących do RP przed rokiem 1939, traci bardzo szybko. Tym bardziej że rosyjska najczęściej szkoła, zwłaszcza u chłopców, rozbudza szybko dumę z wielkości i osiągnięć ZSRR (wszystkie największe wynalazki techniczne i naukowe, o których mówią podręczniki szkolne, są oczywiście dziełem Rosjan). Niekiedy duma ta przeradza się w szowinizm rosyjski, pociągający za sobą, jak świadczą przykłady, psychiczną przemianę osób. Jej wyrazem jest np. zabranianie matce przez szesnastoletniego chłopca ze starej polskiej rodziny mówienia po polsku.

Polityka wynarodowienia osiąga nierzadko podwójny cel: zniszczenie lub rusyfikację oraz ateizację młodszych pokoleń. Ta ostatnia ma niewątpliwie wiele przyczyn, które łatwo tu podać. Niemniej powszechna opinia i katolików, i księży jest następująca: „ci, co się teraz dobrowolnie piszą na Ruskich, przestają chodzić do kościoła, bo wtedy łatwiej jest żyć”. Dotyczy to zwłaszcza okolic podmiejskich, gdzie ludność polska osiąga wyższą stopę życiową, buduje własne domy na wsi, kupuje samochody itp. Idzie za tym wyraźne zubożenie religijne i narodowe, zresztą także na tle dużej ignorancji w obu dziedzinach.

Prof. A. Kwilecki z Poznania napisał przed kilku laty, że Polacy żyjący w krajach socjalistycznych „nie są zagrożeni polityką asymilacyjną i dyskryminacyjną rządów państw zamieszkania” („Przegląd Zachodni” nr 5/6, 1975, s. 9). Jeśli pisał to z dobrą wiarą, w co można wątpić, to powyższa relacja pozwala ocenić słuszność tej opinii w stosunku do ZSRR.

9. Bardziej złożona i bolesna staje się powoli kwestia narodowości na gruncie kościelnym. Chodzi w niej o język w liturgii i nauczania wiernych. Nie należy ukrywać istniejących trudności, pomyłek i krzywd. Zanim do niektórych spośród nich przejdziemy, kilka danych liczbowych, o które tu niełatwo.

Ogólna liczba katolików na dzisiejszej Białorusi szacowana jest przez samego ministra kultu w Mińsku Zaleskiego na około 2200 tys., a być może i więcej.

Podał ją w roku 1978, w prywatnej rozmowie zmarłemu ostatnio (sierpień 1979) ks. P. Pupinowi z Rubieżewicz. By ją nieco uzasadnić, należy podać, że władze zbierają bardzo skrupulatnie przesłanki do swoich ocen szacunkowych. I tak żądają one od wszystkich księży danych liczbowych co do ilości spowiedzi, komunii św., chrztów, ślubów, święconych wielkanocnych, poświęceń kredy oraz sprawozdań co do liczby obecnych na głównych uroczystościach kościelnych, takich jak Boże Narodzenie i Wielkanoc. Jednocześnie prowadzą własne obserwacje i obliczenia. Do podanej wyżej liczby katolików (chodzi zawsze o obwód łaciński, bo inny nie istnieje) wchodzi także i ci, którzy do roku 1939 pozostawali poza granicą wschodnią. Po zajęciu tych ziem przez Niemców w roku 1941 nastąpiło tu ogromne odrodzenie religijne, które do dziś ma niemałe znaczenie. Niekiedy ludność zachowuje zatajone przed władzami ośrodki religijne, w postaci ukrytych obrazów, których policja ciągle poszukuje. W okolicach Mińska słynie np. w ten sposób ukrywany ciągle obraz św. Rocha. Wokół tych symboli religijnych, przechowanych pomimo najcięższych prześladowań religijnych w latach trzydziestych, gromadzą się duże grupy wiernych na modlitwy i śpiewy, naturalnie w języku polskim, gdyż innych praktycznie nie znają. W sumie według powyższych ocen, co piąty mieszkaniec Białorusi byłby katolikiem. Zdaniem wielu miejscowych księży jest to liczba dużo niższa niż rzeczywista.

10. W tej chwili otwartych jest na Białorusi jedynie 87 kościołów i pracuje 52, w przytłaczającej większości starych i często chorych, księży. Mają oni za sobą więzienia i łagry za czasów stalinowskich, co niekiedy jest ważnym argumentem w rozmowach z władzami.

Praktyki religijne i praca duszpasterska wyglądają tu nieco inaczej niż w normalnych warunkach. I tak w niektórych okolicach kilkanaście nieistniejących już parafii, w których kościoły zostały zniszczone lub zamknięte, obchodzi swoje doroczne, odwieczne odpusty w najbliższej i istniejącej jeszcze parafii mającej swego duszpasterza. (Jeszcze przed kilku laty można było na tych odpustach oglądać charakterystyczny dla ludności polskich wiosek typ antropologiczny i strój ich mieszkańców: wygolona twarz z sumiastym wąsem u najstarszych mężczyzn, eleganckie buty z cholewami u nieco młodszych itp.). Jeden z duszpasterzy w rejonie Mińska (po stronie polskiej sprzed roku 1939) wobec wielkiego napływu wiernych do spowiedzi zaczął ostatnio stosować rozgrzeszenie zbiorowe (podobny wypadek istnieje na Ukrainie w parafii Hreczany-Chmielnick). Budzi to jednak sprzeczności i krytykę innych księży. Wskazują oni, podając przykłady, że wobec braku głębszego uświadomienia religijnego na tych terenach takie rozgrzeszenie staje się źródłem różnych nadużyć i utwierdzania się w błędach.

Oficjalnym językiem w liturgii, od zakończenia soboru, stał się tu powszechnie, z inicjatywy księży, język polski, którym zastąpiono łacinę. Być może jest to jedna z największych popełnionych tu pomyłek. Obecnie staje się ona powoli przyczyną napięć i podziałów na tle narodowym, jak dotychczas, co prawda,

w ograniczonym zasięgu. Ich wynik będzie sprawą największej wagi dla Kościoła katolickiego na tych ziemiach. Kwestią języka polskiego w kościołach od kilkunastu już lat interesują się także władze państwowe na Białorusi i na Ukrainie i sondują opinie księży co do ewentualnego wprowadzenia do kościołów języka białoruskiego lub ukraińskiego. Jak dotychczas jednak, nie ma w tej sprawie żadnych nacisków.

O co chodzi? Otóż język polski dla dużej części powojennego pokolenia przedwojennych województw wschodnich stał się mało zrozumiały. Pokolenie najmłodsze i katolicy zza granicy po traktacie ryskim rozumieją go tylko w małym stopniu, a niekiedy nawet niemal wcale, gdy chodzi o jego formę literacką. Przy udzielaniu sakramentów i w pracy poza kościołem księża korzystają więc z języka rosyjskiego czy białoruskiego. Wymaga tego konieczność, jeśli sakrament (ślub, chrzest, spowiedź itd.) czy pouczenie mają być zrozumiałe.

Jednocześnie jednak ta sama ludność, która na co dzień często nie mówi już po polsku, w kościele modli się i śpiewa tylko w tym języku i stanowczo pragnie go słyszeć w liturgii i w kazaniach. Jest tu on dla niej, jak pokazują różne doświadczenia, czymś drogim i cennym, czego zdecydowanie broni. Jest to interesujący problem psychologiczny. Język polski, podobnie jak łacina, stał się tu symbolem odrębności wyznaniowej, kulturalnej i narodowej, zakorzenionym w głębokich pokładach psychiki dzięki wielu cierpieniom zań ponoszonym w dalszej i bliższej przeszłości. Jednocześnie stał się on wyrazem nieokreślonej nadziei na jakąś zmianę na lepsze w dziedzinie religijnej. Ma to zresztą także, jak za chwilę zobaczymy, swoje ważne uzasadnienie praktyczne.

Toteż wszelkie próby przechodzenia na miejscowy język białoruski w liturgii i głoszeniu kazań są natychmiast przez ludność odrzucane, chociaż w cichym udzielaniu sakramentów, jak już wspomniano, przyjmuje go ona jak rzecz zupełnie naturalną.

11. Jeden z duszpasterzy z dawnej nadgranicznej parafii (Krasne, ok. 40 km od Mińska) w wygłaszanych kazaniach zaczął niekiedy używać języka rosyjskiego ze względu na przybywającą tu ludność spoza dawnej granicy wschodniej. Spotkało się to z wdzięcznym przyjęciem. Ponieważ poszerzało jednak w sposób widoczny zasięg wpływu religijnego i przyciągało ogół mieszkańców, władze zakazały tej praktyki. Na marginesie tej kwestii warto zauważyć, że o ile język rosyjski w kazaniach przyjmowany jest spokojnie, o tyle białoruski budzi natychmiastowy sprzeciw u słuchaczy.

Obecnie na 52 pracujących na Białorusi księży tylko jeden z nich programowo i wyłącznie prowadzi od lat kilkunastu już pracę duszpasterską w języku białoruskim. Jest nim ks. Czerniawski, marianin, fanatycznie oddany idei i sprawie białoruskiej na terenie kościelnym. To negatywne określenie nie oznacza bynajmniej odmawiania mu prawa do patriotyzmu białoruskiego, który jest równie uzasadniony jak polski, litewski czy rosyjski. Ale też, jak każdy z nich, musi podlegać ocenie i normom moralnym, jeśli nie ma się przerodzić w nacjonalizm

i szowinizm. Normy te nakazują w walce o własne prawa szanować uczucia i prawa innych.

Ponieważ działalność ks. Czerniawskiego jest już od lat sprawą publiczną i powszechnie znaną, może i powinna być oceniana. Ks. Czerniawski jest absolutnie przekonany, czemu daje spontaniczny wyraz przy każdej okazji, że dla dobra Kościoła należy wprowadzić w całej pełni i bez wyjątku język białoruski do duszpasterstwa na terenie całej „republiki”. Można bronić słuszności lub niesłuszności tej opinii.

12. Za jej niesłusznością przemawiają dwa argumenty zasadnicze. Pierwszym jest to, że cały okres powojenny pokazuje wymownie regres języka białoruskiego na wszystkich płaszczyznach życia społecznego. Dobrym przykładem jest tu szybki i ciągły spadek liczby szkół z białoruskim językiem wykładowym. A wiadomo, jak ważną rolę w tej dziedzinie spełnia szkolnictwo. Powyższy przykład dowodzi w sposób widoczny, że język miejscowy jest jedynie etapem w ogólnej polityce przechodzenia do języka rosyjskiego.

Argument drugi dotyczy sfery czysto religijnej. Jak wiadomo, od kilkuset już lat, bo od początków katolickiego Kościoła łacińskiego na tych ziemiach, liturgia, nauczanie oficjalne, kościelny śpiew wiernych spełniający doniosłą rolę religijną itp. opierały się na języku łacińskim i polskim.

W toczącej się tutaj dramatycznej, a niekiedy tragicznej walce z prawosławiem i rusyfikacją języki te, każdy na swój sposób, broniły odrębności i niezależności religijnej w murach kościoła. Nawet język łaciński stał się dla ogółu czymś bliskim i co do ducha zrozumiałym. Do dziś można spotkać najstarsze na wsi babcie, które z zapałem i dumą potrafią wyśpiewać po łacinie *Te Deum*, *Gloria*, *Pater noster* itp. I do chwili obecnej zarówno publiczna, jak i prywatna pobożność wiernych opiera się na języku polskim.

Chodzi tu o bogaty zestaw tradycyjnych, od wieków śpiewanych pieśni religijnych, modlitw, książeczek do nabożeństwa i praktyk pobożnych, które dla ogółu ludności stanowią nieoceniony wprost zasób form wyrażania uczuć i przekonań religijnych, zwłaszcza przy braku pełnego wymiaru duszpasterstwa.

Dlatego próby zasadniczej przecież zmiany przez nadanie im charakteru białoruskiego co do języka i ducha, w obecnych warunkach odcięcia od religijnej książki, drukarni, swobody nauczania (ks. Czerniawski sam tłumaczy na białoruski teksty liturgiczne) – trzeba uznać za szaleństwo i działanie na szkodę Kościoła.

Przed kilku laty ks. Czerniawski w gronie kolegów księży wypowiedział skargę w związku ze swoją bezowocną podróżą do Rzymu: „miałem być biskupem i zacząć robienie porządku na Białorusi, ale ci Polacy, piśsudczycy, nie dopuścili”. Odpowiedź jednego z obecnych księży, już nieżyjącego (ks. P. Pupina), według jego osobistej relacji była następująca: „Czy ty wiesz, że zamiast życia, ty miałeś przynieść śmierć?”. Dyskusji na ten temat nie kontynuowano.

13. Jako rzecz nieulegającą wątpliwości należy chyba przyjąć, że w całej sprawie, o której tu mowa, w pierwszym rzędzie muszą być brane pod uwagę ocze-

kiwania, życzenia i prawa ludności w dziedzinie religijnej. Bo kto ma je wreszcie respektować w tym kraju, jeśli nie Kościół i jego kapłani?

Oczekiwania te zaś są aż nadto wyraźnie manifestowane przede wszystkim w związku z pracą ks. Czerniawskiego. Rozpoczęcie przez niego przed kilkunastu laty kazań w języku białoruskim w parafii Wiszniew spowodowało masowe opuszczenie kościoła przez obecnych. Powtarzało się to wielokrotnie, lecz wobec wielkiej odległości innych parafii ludność zaczęła je tolerować. Gdy niedawno ks. Czerniawski zaczął dojeżdżać do opuszczonej przez zmarłego proboszcza parafii Trąby i podobnie jak u siebie rozpoczął liturgię i kazanie po białorusku, cały kościół zaczął głośno płakać. Wobec tego padły słowa: „jak wy będziecie płakać, tak ja tu nie będę przyjeżdżał”. Kościół się pozornie uspokoił, bo to oznaczało groźbę całkowitego pozbawienia kapłana. Lecz w kościołach pod opieką ks. Czerniawskiego liczba wiernych jest wyjątkowo mała w stosunku do kościołów sąsiednich.

By zamówić mszę św., ludność nierzadko udaje się do Wilna i tam też wypowiada swoje bóle i skargi. Jest rzeczą interesującą, że u swych litewskich konfratrów ks. Czerniawski znajduje całkowite moralne poparcie swoich wysiłków.

14. A oto kilka z wielu różnych scen i dyskusji mających często miejsce na wspomnianych parafiach, scen szeroko znanych i komentowanych.

Modlącym się i śpiewającym w kościele po polsku ludziom ks. Czerniawski zwraca uwagę: „wy po białorusku macie się modlić”. Odpowiedź napomnianych: „A z czego mamy się modlić, kiedy nic nie ma? Z obłoków? A my i tak Polacy”. Ks. Czerniawski: „Jakie wy Polacy, kiedy wy żyjecie na Białorusi i białoruski chleb jecie”. Odpowiedź pada na tej samej płaszczyźnie: „A to czemu wy, ojcieńka, amerykańską pszenicę je i na Białorusi żyje? Trzeba do Ameryki”.

Innym razem konkluzja podobnej dyskusji jest następująca: „Ja bym wstawił inne mózgi i wam, i waszym księżom, żeby oni mądrzejsi byli”. „Ot i dobrze, że tak nie można” – pada odpowiedź.

Na tle tego rodzaju sytuacji doszło do faktu niesłychanego jak na Białoruś. Duża parafia Raków (koło Mińska) nie przyjęła propozycji ks. Czerniawskiego dojeżdżania do otwartego tam kościoła z posługą duszpasterską.

15. Z kolei kilka innego rodzaju przykładów rzucających pewne światło na złożony problem języka na tych terenach dziwnego przemieszania narodowego, kulturalnego, językowego i religijnego. Wiążą się one z osobą ks. K., najbardziej zapewne barwnej postaci wśród księży na Białorusi (trudno jest niekiedy używać tej nazwy geograficznej, gdy się pomyśli o przyłączonych do tej „republiki” 40 parafiach archidiecezji wileńskiej). Erudyta o nieprzeciętnej inteligencji, doktor po rzymskich studiach i świetny narrator. Chociaż liczy już sobie 85 lat, nie ujęły mu one nic z pełnej sprawności umysłowej i szybkiego refleksu w dowcipnej lub ciętej odpowiedzi. Choć nie pełni już funkcji proboszcza, zapraszany jest z kazaniem, które są dobrym, jasnym i mądrym pouczeniem dla ludzi. Białorusin z serca i czynu, wywodzący się z miejscowej biedoty i umiejący jej

skutecznie bronić za sanacji, podobno członek białoruskiej „Hromady” w tym okresie, a co najciekawsze przy tym wszystkim zapalony piłsudczyk. Niedawno w kazaniu wygłoszonym w Druskannikach cytował wstęp Marszałka Piłsudskiego do książki o tym pięknym uzdrowisku, za co po nabożeństwie tłumnie całowano go w rękę przed kościołem, a potem codziennie otrzymywał wiele kwiatów przez cały czas swego tam pobytu. Słyszał o książce ojca Warszawskiego TJ pomniejszającej Marszałka, szczególnie jego postawę religijną, i określa jej autora w słowach niezbyt parlamentarnych.

Oto seria znaczących obrazków z życia codziennego w relacji ks. K. „Wychozę w sutannie po południu na spacer za miasto. Spotykam grupę robotników wracających z fabryki. Pozdrawiam po białorusku: ‘dobry dzień’, odpowiadają ‘zdrastwujcie’. Po czemu tak? – pytam. ‘U nas teraz po rosyjsku’ – pada odpowiedź. Za chwilę idzie grupa dzieci. Ja znów: ‘dobry dzień’. Znów odpowiedź: ‘zdrastwujcie’. ‘Po czemu wy tak odpowiadacie?’ – pytam. ‘Bo my do rosyjskiej szkoły chodzimy’ – odpowiadają chórem dzieci. Wreszcie idzie grupa kobiet, które z daleka pierwsze pozdrawiają mnie po polsku ‘Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus’. Zaczyna się rozmowa na temat języka. ‘My howorim w domu i na polu po prostemu, ale z Bogiem w kościele i z księdzem po polsku’. A dlaczego? ‘Bo nasz język za prosty do Kościoła’, wołają wszystkie. ‘I nam bardzo nieprzyjemnie, jak ksiądz w kościele odzywa się po prostemu. Wszystko niech będzie na swoim miejscu’”. I oto jeszcze jeden promyk światła w językowym i narodowym labiryncie tych ziem. Nie ma z niego wyjścia tak prostego, jak o tym sądzi ks. Czerniawski.

Warto dodać, że o podobnym stosunku ludności do języka białoruskiego, jak u wyżej wymienionej grupy kobiet, mówią również badania sowieckie prowadzone w ostatnim czasie (por. Akadiemija Nauk SSSR, Institut Jazykoznanija im. J. Kołasa. *Polskije gowory w SSSR*, pod red. prof. nauk filologicznych W. W. Martynowa, Mińsk, Izdatielstwo Nauka i Tiechnika, 1973, t. I–II, nakład 1050 egz.).

Dodajmy jeszcze konkluzję ogólną. Wyznacznikiem narodowości, podobnie jak w Irlandii Północnej, nie jest tu język, lecz religia, a raczej wyznanie. Katolicy uważają się za Polaków, prawosławni uważani są za Białorusinów. Wyjątki od zasady „katolik i Polak” są nieliczne i dotyczą głównie inteligencji.

16. Jeżeli życie religijne na Litwie, jego trudności, walka w tej dziedzinie i osiągnięcia są rzeczą stosunkowo dobrze znaną na Zachodzie, to ta sama rzeczywistość na Białorusi stanowi niemal *carte blanche* w świadomości zachodniej, a także i w Polsce. W emigracyjnej prasie polskiej i innej ukazują się czasem bałamutne, a niekiedy fałszywe wiadomości na ten temat. W tym wypadku służą one mimo woli złej sprawie, jaką jest skazanie na powolną śmierć wielkiego, gdy chodzi o jego zasięg, Kościoła języka polskiego na tych ziemiach (zwykle bowiem są to dane pomniejszające ogromnie jego stan posiadania). „Kościół na Białorusi skazany jest na wymarcie” – mówią niekiedy pracujący tu, w ogromnej

większości starzy i przemęczeni, duszpasterze. „Pan Bóg jakby o nas zapomniał” – dorzuca ten czy ów.

Te opinie opierają się na doświadczeniu płynącym z ponadtrzydziestoletniej już bezwzględnej polityki sowieckiej dotyczącej tych ziem. Istnieje struktura kościelna na Litwie i na Łotwie (diecezje, biskupi, administracja), która nie traci, lecz na wielu odcinkach umacnia i rozwija swój stan posiadania. Nawet na Ukrainie, daleko za Zbruczem, możliwe jest po długich, kilkuletnich staraniach w Moskwie otwarcie nowej kaplicy czy sprowadzenie księdza, choć i tu nie istnieje zwykła administracja kościelna, lecz tylko odrębne parafie (w liczbie około 30). Natomiast na Białorusi powojenna presja i terror sprawiły, że z ponad kilkuset księży i trzystu z górą kościołów pozostało dziś zaledwie kilkadziesiąt (87) otwartych świątyń i 52 księży. Ogromna większość zamkniętych kościołów, niekiedy o dużej wartości historycznej i artystycznej, ulega szybko zniszczeniu, a niektóre z nich już dawno zostały po barbarzyńsku zdewastowane i zniszczone. Dopiero systematyczna dokumentacja, której nie ma i kto wie, czy będzie mogła być w ogóle kiedykolwiek przygotowana wobec zniknięcia wielu świątyń i zasadniczych trudności w dotarciu do pozostałych – ukazałaby pełniej to haniebne dzieło. Dziś wyjątkowo podejmuje się restaurację jakiegoś kościoła, zmieniając oczywiście jego przeznaczenie (w ten sposób został odremontowany i przeznaczony na salę koncertową dawny katolicki kościół w Mińsku, gdzie ogromna liczba katolików – podobno jedna czwarta mieszkańców miasta – nadal nie ma żadnej świątyni).

Od zakończenia wojny, poza kilkoma wyjątkami w ostatnich latach, nie pozwolono tu na przykład, choćby z sąsiedniej Łotwy czy Litwy, na żadnego duszpasterza. Liczba około 50 księży bardzo szybko maleje. Ci, którzy pozostają, biorą na siebie obsługę kościołów i parafii po zmarłych, co powiększa ich przemęczenie, bo z reguły mają ich po kilka. Niektórzy bowiem, ze względu na wiek i chorobę, nawet własnego kościoła nie są w stanie obsługiwać.

17. W wyniku wielu długotrwałych starań władze poczyniły dobrze obmyślane ustępstwa. Mają one charakter propagandowy i w niczym nie zmieniają faktycznego stanu rzeczy. Chodzi tu o kandydatów do kapłaństwa z Białorusi. O pozwolenie naczelników „po dziełach kulta” w *obłasti* zabiega od dawna wielu księży, ze znikomym skutkiem (decyzja zależy w gruncie rzeczy od KGB).

Oto w chwili obecnej cała Białoruś ma trzech seminarzystów. Po jednym w Rydze i Kownie i jednego, jak wieść niesie, w Białymstoku, w Polsce (ta ostatnia wiadomość niesprawdzona). Jeśli pomyśleć, że każdego roku umiera tu przeciętnie dwóch duszpasterzy, a studia w seminarium trwają 6 lat, to widać, w jakim kierunku ciągle idą zmiany.

Można jednak odpowiadać na zarzuty, podając, że Białoruś ma także swoich kandydatów do kapłaństwa. Co prawda jest ich w ogóle mało (podaje się liczbę ok. 10) z przyczyn, jak mówią księża, obiektywnych. Przyczyny te to ucieczka młodzieży ze wsi do miast, lęk przed kontaktem z księdzem, gdyż to pociąga za

sobą nieprzyjemności i kłopoty życiowe, rosnąca ignorancja religijna na Białorusi (na co powszechnie skarżą się duszpasterze) oraz chroniczny brak czasu na dodatkowe zajęcie się młodym człowiekiem. Tymczasem jest ono konieczne, ponieważ nawet chłopcy najlepszej woli wykazują duże braki w znajomości katechizmu i wykształceniu ogólnym (jest rzeczą interesującą, że problem kandydatów do seminarium przedstawia się bez porównania lepiej na Ukrainie za Zbruczem, skąd tylko w roku 1977 było aż 27 zgłoszeń; pozwolenie od władz państwowych na wstąpienie do seminarium w Rydze uzyskało dwóch: wszyscy kandydaci pochodzili z rodzin polskich).

18. Warto tu podać nieznane, lecz niebudzące zastrzeżeń, bo pochodzące z osobistych relacji wiarygodnych osób, fakty dotyczące polityki religijnej na Białorusi.

Rok 1956. Ks. K.K. zostaje wezwany przed pułkownika KGB w Wilnie. Rozmowa jest krótka i konkretna: „Wy Białoruś. Przyjeżdżajcie na Białoruś i powiedzcie wszystkim księżom, jakie mają mieć ‘odnaszenie’ do Białorusi”. K.K.: „Bardzo chętnie, ale jeden warunek: dajcie biskupa i Seminarium”. Pułkownik: „Po czemu? Białoruś nie prosi. Łotwa i Litwa tak, ale Białoruś nie. Tu nie ma z kim gadać”. Rozmowa nie miała żadnych konsekwencji praktycznych.

Rok 1970. Delegacja jednego z komitetów parafialnych, dopominając się o pewne pozwolenie u naczelnika kultu w Grodnie, m.in. stawia pytanie: „Dlaczego na Litwie wolno i to, i tamto w Kościele, a u nas nie?”. Odpowiedź naczelnika: „Eto drugoje dzieło. Ot tam zapadnyj naród, bolie kulturnyj i tam nada inacze”.

Rok 1978. W rozmowie ze śp. ks. P. Pupinem na temat otwarcia kościoła katolickiego w Mińsku naczelnik „po diełam kulta” w tym mieście, Maszerew, stwierdza: „ja wołę otworzyć 30 cerkwi niż jeden kościół”.

Rok 1979. Grupa 27 księży z Białorusi podpisuje petycję do władz wyznaniowych „republiki”, w której prosi o otwarcie seminarium duchownego i o biskupa dla tego kraju. W uzasadnieniu m.in. powiedziano. „Do nas przychodzą prości ludzie, robotnicy i kołchoźnicy, pytają i żalą się na nas: co wy robicie? dlaczego zostawiacie nas bez opieki? my się czujemy opuszczeni. Dlaczego się nie staracie, żebyśmy i po was mieli księży? Kto nas będzie uczył, jak wy umrzeć? Powinno być seminarium i biskup dla takiej wielkiej Białorusi!”.

Natychmiast po złożeniu petycji wezwano pierwszego z podpisanych ks. Pupina do ministerstwa kultu. Zaczęło się od ostrego rugania, które potem przeszło w nieco spokojniejszą rozmowę. Minister: „Co wy robicie? Jakim prawem występujecie z takim pismem?”. Ks. Pupin: „Nie możecie zabronić nam prosić!”. Minister: „Niech ludzie sami proszą. Wy jesteście tylko zatrudnieni przez komitet i poza służbą w Kościele nie macie nic do gadania. W takiej sprawie mogą przyjść tylko sami ludzie”. Ks. Pupin: „A jak wy macie sprawę do Moskwy, to kogo wysyłacie? Kołchoźników? Nie, jadą sami pierwsi sekretarze”.

Obecny, lecz milczący dotychczas przedstawiciel KGB stawia pytanie: „Księży jest coraz mniej, co myślicie robić dalej? Skąd weźmiecie księży?”. Ksiądz: „Zwrócimy się o pomoc do Litwy”. Odpowiedź: „Nie damy”. Ksiądz: „Zwrócimy się o pomoc do Polski”. Odpowiedź: „Nie damy”. Ksiądz: „To my w ‘podpolia’ zejdziemy, bo wy nas do tego zmuszacie”. Odpowiedź: „Tego nie lizia. Macie kandydatów?”. Ksiądz: „Tak”. Oficer: „Dajcie nam nazwiska”. Ksiądz: „Nie dam”. Oficer: „Dlaczego?”. Ksiądz: „Ja już raz dałem wam nazwisko jednego kandydata i wyście obiecali zgodę na jego wstąpienie do seminarium. I co? Jego matkę wyrzucili z kołchozu, siostrę zwolnili z pracy, ojciec umarł na serce, bo mu ciągle zarzucali, że źle wychował syna. Dyrektora szkoły, do której on chodził, przenieśli, a nauczycieli rozproszyli po całej obłasti za złe wychowywanie młodzieży. Dlatego nie dam wam nazwiska”. Dotychczas wspomniana petycja nie miała żadnych widocznych konsekwencji.

19. Tego rodzaju akty, wymagające odwagi i gotowości na różne szykany, chociaż nie przynoszą bezpośrednich rezultatów, są ważną formą walki o podstawowe prawa religijne. Walka ta na Białorusi jest szczególnie trudna, wobec tradycyjnej bierności szerszych mas wiernych, szczególnie po ostatniej wojnie pozbawionych warstwy inteligencji. Jednak coraz częściej spotyka się oznaki świadczące o budzeniu się świadomości palących potrzeb oraz odwagi pewnego działania w ramach istniejącego „porządku”. Ich wyrazem są w ostatnich latach udające się do Moskwy delegacje z Białorusi z prośbami o zgodę na sprowadzenie nowego księdza do parafii, która straciła dotychczasowego duszpasterza na skutek śmierci, zwykle w podeszłym już wieku.

Należy zwrócić uwagę na ciągle ten sam – jak dotychczas – rodzaj odpowiedzi, jaką otrzymują te delegacje. Brzmiały one: „Na Ukrainę księży dajemy, na Białoruś nikawo”. Tę samą odpowiedź usłyszał w Moskwie, przed z górą 10 laty, śp. ks. Ingielewicz z Ostrowca, gdy zwracał się tam w podobnej sprawie.

20. Jak widać, dotychczasowa polityka odnośnie do Kościoła katolickiego na Białorusi nie ulega zmianie. Trzeba jednak wierzyć, że przelana tam krew męczenników ostatniego półwiecza (w samej diecezji pińskiej od roku 1939 zginęło sześćdziesięciu siedmiu księży), cierpienia wyznawców wiary, modlitwy i naciski światowej opinii publicznej przyniosą zmianę na lepsze za naszych dni.

Wybór papieża z Polski wywołał i tam utajoną i widoczną falę radości, nadziei i ożywienia religijnego. Jednocześnie zaś spowodował nowe natężenie walki z religią i Kościołem w różnej formie – na tle obaw, a nawet strachu władz sowieckich przed odradzającą się siłą katolicyzmu.

Walka ta jest jednak w jakiejś, trudnej do ujęcia, mierze miarkowana świadomością potrzeby istnienia dostępnych instytucji Kościoła w postaci choćby istniejących parafii. Wynika to z konieczności liczenia się z nastrojami szerokich mas ludności, która swoją postawą opowiada się za Kościołem i broni swej wiary. Mówi się nawet, że postawa i sytuacja Cerkwi prawosławnej dla wielu światlejszych przedstawicieli panującego systemu przestaje być ideałem. Jej całkowite

podporządkowanie się władzy sprawiło bowiem, że utraciła ona, to znaczy Cerkiew, pełne zaufanie i głębszy wpływ na bardziej świadome grupy wiernych. A to sprzyja z kolei szerzeniu się różnych sekt, których działalność wymyka się spod kontroli władzy, co jest zjawiskiem dla niej bardzo niepokojącym.

W kościołach na Białorusi na zwisających z ołtarzy obrusach powtarzają się ofiarnie haftowane słowa znanej pieśni maryjnej: „Matko pociesz, bo płaczemy. Matko prowadź, bo zginiemy”. Wyrażają one tak dobrze ducha tych modlitw, które najczęściej chyba i z głębi serc płyną do niebios w tych świątyniach, tak nielicznych już na tych osnutych dziwną melancholią ziemiach. Przypadkowemu przybyszowi z Polski, gdy się nad tymi słowami zaduma, mimo woli nasuwa się myśl: cóż pomogą na takie jak ten ból, cierpienia i niepokoje słowa i melodie tych wesołych piosenek religijnych, którymi zbyt łatwo i nieopatrnie zastępuje się w Polsce owe, z tak częstego i trudnego losu na naszych ziemiach wyrosłe, stare pieśni?

21. Na koniec, dla pewnego porównania, kilka danych o Białorusinach w Polsce. Według dr. A. Barszczewskiego, kierownika katedry filologii białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim, liczba Białorusinów ma wynosić obecnie 250 tys. („Kultura” nr 5, 1979, s. 70). Autor nie podaje źródeł, na którym się opiera.

Od roku 1956 istnieje w Białymstoku Białostockie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe i wychodzi tygodnik białoruski „Niwa”. W latach pięćdziesiątych istniało 200 szkół podstawowych i 2 licea, w Bielsku i Hajnówce. Od roku 1956 liczba szkół zmalała o połowę. Skądinąd określa się ich liczbę na ok. 60.

Dodać także należy, co jest sprawą mniej znaną, że Białorusini – jawni lub ukryci – mają swój udział, według ustalonego klucza, w organach władz administracyjnych gminnych i wojewódzkich oraz w innych instytucjach państwowych. Ich dużą siłą jest cicha świadomość poparcia w Polsce ze strony mocarstwa ze wschodu.

Informacja dr. Barszczewskiego zawiera także wyjaśnienie, że Białorusini katolicy, z nielicznymi wyjątkami, za Białorusinów się nie podają. Ta opinia potwierdza tylko wyżej podaną informację o decydującym znaczeniu wyznania dla poczucia narodowego katolików na obecnej Białorusi i tłumaczy ich opowiadanie się za polskością.

Jednocześnie rzuca ona jeszcze światło na bezwzględną i konsekwentną politykę władz sowieckich wobec Kościoła katolickiego na tych terenach w okresie powojennym. Likwidacja katolicyzmu oznaczałaby także likwidację ostatniego bastionu polskości, którego wpływy przez z górą sześć wieków kształtowały i ducha, i kulturę tych ziem.

Chodzi jednak o coś więcej jeszcze. Tereny, o których tu mowa, ze względu na swe położenie geopolityczne, jako ziemie przygraniczne, są niezwykle bogatą i charakterystyczną, wielokulturową, wielojęzyczną i wieloreligijną rzeczywistością społeczną – zachowującą jednak bardzo znaczące elementy jednej, wspólnej kultury. Nie jest to kultura rosyjska. Obecnie toczy się walka o wielką

stawkę uniformizacji i narzucenia tej właśnie kultury, jeśli to określenie jest tu na miejscu. Bo przecież chodzi tu nie o rozwój, lecz o likwidację współżyjących ze sobą od wieków odrębności. Ukazywanie dostępnej nam o tym prawdy jest ważną formą obrony. Nie należy jej zaniedbywać.

Wiedeń, lipiec 1979

[1-2/1980]

BOHDAN STRUMIŃSKI

Dawne obciążenia i nowe perspektywy

Rozmowa z prof. Jurijem Szewelowem

Jurij Szewelow jest emerytowanym profesorem sławistyki Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, prezesem Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk, autorem wielu książek i artykułów z językoznawstwa słowiańskiego i literaturoznawstwa, które przyniosły mu rozgłos światowy. Urodził się w Łomży jako syn wyższego oficera carskiego, a młodość spędził w Charkowie, który był do połowy lat trzydziestych stolicą Ukrainy sowieckiej.

Prof. Szewelow drukował i po polsku w „Kulturze” (*Młodzież czwartego Charkowa*, 1951; *Pokój nr 101*, 1952; *Zachód jest Zachodem – Wschód jest Wschodem*, 1953).

W 1983 roku Jurij Szewelow obchodził siedemdziesięciolecie urodzin, co upamiętniła Ukraińska Wolna Akademia Nauk, wydając księgę prac ku jego czci (*Studies in Ukrainian Linguistics in honor of George Y. Shevelov*, Nowy Jork 1985).



Bohdan Strumiński: Oświadczył Pan w rozmowie prywatnej, że jest Pan polonofilem. Na czym polega Pańskie polonofilstwo i skąd się wzięło?

Jurij Szewelow: Zacznę od tego, że nie jestem *homo politicus* i dlatego moje sympatie do Polski nie są polityczne, lecz raczej psychologiczne i kulturowe. Do Polaków, z którymi się spotykałem, zawsze mnie przyciągało ich bezwarunkowe oddanie niepodległości narodu – była to dla nich kwestia bezdyskusyjna. Niepodległość uważali za coś tak normalnego jak powietrze potrzebne do oddychania. Pośród Ukraińców tego rodzaju postawy są rzadsze. Polacy dowiedli zresztą swego nastawienia ostatnio w czasach „Solidarności” i dowodzą wciąż w okresie po „Solidarności”. Poza tym mało miałem bliskich osobistych kontaktów z Polakami. Chętnie jednak zamieszczałem polskie artykuły, kiedy redagowałem pismo „Suczasnist”. Kilka razy spotkałem się z Giedroyciem, który opublikował parę moich szkiców w „Kulturze”. Podczas krótkiego pobytu w Polsce w 1958 roku poznałem polskich językoznawców. Spośród tych znajomości jedna złasz-

cza, z prof. Stieberem, przerodziła się w prawdziwą ludzką przyjaźń. Ale mimo to nie mogę powiedzieć, że dobrze znam Polaków i że wyodrębniam ich, traktując na specjalnych prawach w mojej psychice czy w moim intelekcie.

B. S.: Wspomnienie postaci prof. Zdzisława Stieberta przypomniało mi jego nekrolog, który Pan napisał, wyrażając wiarę w oczekujące Was spotkania i rozmowy na Polach Elizejskich. Może Pan zdradzić, o czym rozmawialiście Panowie w tych wysokich sferach?

J. Sz.: Sądzę, że na te same tematy, które poruszaliśmy przy naszym pierwszym spotkaniu w Warszawie, kiedy to odwiedził mnie w hotelu, a rozmawialiśmy po francusku, nie dlatego, że on nie rozumiał ukraińskiego ani ja polskiego, lecz po prostu przez ostrożność. Na Polach Elizejskich, jak przypuszczam, ściany nie mają uszu, tam chyba jeszcze nie zainstalowano odpowiednich aparatów i moglibyśmy spokojnie i swobodnie mówić – o tym samym co w Polsce. A w Warszawie rozmawialiśmy przede wszystkim na tematy językoznawcze; o badaniach nad ukraińską fonetyką historyczną i gwarami ukraińskimi, które prowadził prof. Stieber, jak również o roli poszczególnych ludzi we współczesnych konfliktach społecznych i kulturowych i czy uczestnicząc w nich, można zachować wolność i niezależność.

B. S.: Jak ocenia Pan oddziaływanie języka polskiego na ukraiński? Według Trubieckiego wpływ ten zmienił charakter ukraińszczyzny, nadając jej cechy języka zachodniosłowiańskiego. Czy zgadza się Pan z tym? Wreszcie czy wzajemny związek tych dwóch języków i rola polszczyzny były dobroczynne, czy też szkodliwe? Nie wiem, czy postawienie w taki sposób tej kwestii nie jest już dzisiaj bezprzedmiotowe?

J. Sz.: Myślę, że wpływy polskie były dla języka ukraińskiego bardzo pozytywne, przede wszystkim dlatego, że sprzyjały jego reorientacji, zmianie kierunku od Bizancjum, które wówczas było już martwe, ku Zachodowi, który był żywy.

B. S.: O jakim okresie Pan myśli?

J. Sz.: Przede wszystkim o XVI–XVII wieku, okresie największego nasilenia wpływów polskich. Sądzę, że otwarcie drzwi na Zachód było bardzo korzystne dla języka ukraińskiego i zgadzam się całkowicie, że na skutek tego zmienił się gruntownie charakter nie tyle samego języka, ile głównie słownictwa ukraińskiego. Jednocześnie jednak polskie wpływy mogłyby okazać się w swoich konsekwencjach szkodliwe, gdyby powstanie Chmielnickiego nie położyło im politycznego kresu. Gdyby bowiem oddziaływanie języka polskiego na ukraiński trwało również po powstaniu, i to tak samo aktywnie jak przedtem, to – jak sądzę – po stu latach nikt by nie mówił po ukraińsku.

B. S.: Zatem ocenia Pan dość pesymistycznie odporność tego języka czy też w ogóle języków na obce wpływy?

J. Sz.: Chyba wszystkie języki bardzo łatwo poddają się asymilacji, jeżeli nie zostanie jej przeciwstawiona wysoko rozwinięta świadomość niepodległości, podobna tej, która istnieje teraz w Polsce. Dodam, że w przypadku procesów asymilacji, którym poddają się klasy wyższe, nie można się spodziewać, żeby klasy niższe potrafiły utrzymać poprzedni stan. W moich oczach pozytywną historyczną rolę odegrały zarówno wpływy języka polskiego na ukraiński, silne do czasów Bohdana Chmielnickiego, jak samo powstanie Chmielnickiego, które ostatecznie uniezależniło Ukrainę od Polski, w wyniku czego za nadal silnymi wpływami polszczyzny nie stało już państwo polskie i jego polityczne aspiracje, jak to było przedtem. Inaczej mówiąc, Polska oddziaływała odtąd na Ukrainę wyłącznie kulturalnie, a nie w dwojaki, mieszany sposób polityczno-kulturalny.

B. S.: Do zbliżenia polsko-ukraińskiego mogłyby się przyczynić wzajemne przekłady literatur. Wydaje mi się jednak, że literatura ukraińska jest jak dotąd mało atrakcyjna dla Polaków. Aleksander Wat wręcz pisał, że winne tu są determinacje językowe, co zresztą pobrzmiewa humboldtyzmem.

J. Sz.: Jest w tym zaledwie część prawdy. Weźmy Szewczenkę. Nie wyobrażam sobie wiernych przekładów Szewczenki na jakikolwiek język, ponieważ cały urok jego poezji jest wynikiem niezwykle wyszukanej gry odcieni znaczeniowych, których zupełnie nie można oddać w tłumaczeniu na inny język. Ilekroć zdarzało mi się czytać tłumaczenie poezji Szewczenki, nigdy nie odtwarzały one jej urody. W przekładzie Szewczenko przeobraża się albo w naśladowcę folkloru, albo w trybuna politycznego i praktycznie traci swoje wartości poetyckie – przestaje być poetą. Co do tłumaczeń polskiej literatury na Ukrainie to obawiam się, że sporo utworów – przynajmniej z doby romantyzmu – też się nie nadaje do przyswojenia przez język ukraiński. Tym razem nie tyle ze względu na oddanie znaczeń, na semantykę, ile na nasycenie tej twórczości wybitnie polskimi problemami narodowymi. Oczywiście dobrze rozumiem, że ani Mickiewicz, ani Słowacki czy Krasiński nie ograniczali się w swojej poezji tylko do tych spraw. W przekładach jednak to wybija się na czoło i w znacznej mierze przesłania inne wartości ściśle literackie. Dlatego też rozszerzyłbym Pańską tezę: nie tylko czytelnik polski jest obojętny na literaturę ukraińską, lecz także i w bardzo wielkim stopniu czytelnik ukraiński (nieliczne wyjątki to tylko potwierdzają) mało zna literaturę polską i niezbyt się nią interesuje.

B. S.: Przywołał Pan okres romantyzmu, którego znajomość jest stosunkowo najlepsza po obydwu stronach, ponieważ istnieje do dziś zainteresowanie niewielkiego kręgu ludzi w Polsce Szewczenką i mamy też bardzo dobre przekłady polskich romantyków na ukraiński. Natomiast sytuacja wygląda bardzo źle, gdy sięgniemy do przykładów z literatury współczesnej. Polska może zaoferować atrakcyjne książki, które jednak na Ukrainie nie są znane. Pytanie tylko, czym może zrewanżować się ukraińska literatura XX wieku?

J. Sz.: Coś dałoby się znaleźć. Oczywiście po pierwsze trzeba odliczyć z rachunku utwory o nastawieniu propagandowym. A po drugie nie sędzę, by obecnie ukraińska proza czy poezja była atrakcyjna, gdyż jest ona prawie całkowicie poświęcona problemom wiejskim – to zjawisko w dość szerokim stopniu charakteryzuje współczesną literaturę ukraińską. Ale jeżeli się wybierze utwory oparte na temacie miejskim, choćby twórczość Waleriana Pidmohylnego (to pierwszy przykład, jaki przyszedł mi na myśl), to sędzę, że mogłyby one wzbudzić spore zainteresowanie. Jednakże zawsze byłem i jestem przekonany, że nie tyle literatura toruje drogę poznaniu danego narodu przez inny naród, ile... W tym miejscu przypomnę i sparafrazuję, co powiedział polski wybitny językoznawca Baudouin de Courtenay: „język literacki to gwara, która się opiera na armii i flocie”. I trzeba przyznać, że i dzisiaj w naszym świecie literatura, o ile wychodzi poza opłatki własnego narodu, też na ogół opiera się na armii i flocie. To znaczy, że dopiero wtedy, gdy stoi za nią jakaś polityczna i militarna siła, znajduje sobie drogę do innych literatur i może na nie oddziaływać. Podam przykład literatury rosyjskiej: Puszkina cenię jako bardzo wielkiego poetę, tyle że kto znał Puszkina w Europie Zachodniej w czasach, gdy żył lub bezpośrednio po jego śmierci? Nikt. Dopiero teraz Puszkina jest odkrywany na Zachodzie (dodajmy, że w odróżnieniu od Szewczenki jest poetą nie nazbyt trudnym do tłumaczenia). Najpierw powstało państwo rosyjskie, potem przyszedł Dostojewski, Tolstoj, a dopiero potem odkryto Puszkina czy raczej odkrywa się go. Dlatego myślę, że rację miał Baudouin de Courtenay i że można jego spostrzeżenie rozciągnąć też na literaturę.

Nie sędzę więc, by literatura ukraińska w jakimkolwiek kraju zachodnim, włącznie z Polską, mogła się stać popularna, póki sama Ukraina nie stanie się znana.

B. S.: Czy jednak za Miłoszem albo Gombrowiczem stała jakaś armia lub flota?

J. Sz.: Za Miłoszem i Gombrowiczem, chociaż może oni tego nie chcą, wciąż stoi armia polska. Tyle że przez armię i flotę rozumiem nie armaty i nie czołgi, lecz państwo, które nimi rozporządza. Polska jest państwem i w tym cała różnica.

B. S.: Ależ oni pisali na emigracji, i to przeciwko rządowi tego państwa!

J. Sz.: To nic nie znaczy. Tolstoj też nie pisał w duchu imperium rosyjskiego. Imperium rosyjskie nie bardzo wiedziało, co z nim zrobić, w końcu wydalonego go z Cerkwi, a nie zniszczono tylko dlatego, że nie było to wówczas możliwe. Niezależnie jednak od tego, także i wtedy stało za nim państwo rosyjskie.

B. S.: Psychologizujący językoznawca ukraiński Mychalczuk pisał, a powtarzali to inni, że Ukraińcy są bliżsi psychicznie Polakom niż Rosjanom. Czy Pan też to tak ocenia?

J. Sz.: Wszelkie rozważania o psychice narodu jako takiego muszą być bardzo subiektywne, a z drugiej strony mogą się bardzo łatwo przekształcić w narzędzie nie zawsze przyjemnych ideologicznych manipulacji. Toteż zastrzegając się, że mówię tylko o swoich subiektywnych wrażeniach, które nie zawsze przystają do konkretnej osoby czy to Ukraińca, czy Polaka, gdyż ta może być zupełnie odmienna od tych ogólnych idealnych wizerunków, to obydwie te narody bardzo się od siebie różnią – wyrażają dwa odmienne stereotypy postaw i cech. I jako takie bardzo różne występują też w folklorze. Zapewne mówiąc to, podświadomie jestem też pod wpływem właśnie folkloru.

Myślę, że Ukraińcy odróżniają się od Polaków z jednej strony większym liryzmem, co zresztą sam Mychalczuk określał jako element kobiecości w ukraińskim charakterze narodowym, a z drugiej strony są mniej skłonni do tego, co nazwałbym osobistą ekspansją.

B. S.: Podkreślił Pan tylko różnice między Ukraińcami a Polakami. A co z Rosjanami? Są bliżsi Ukraińcom czy Polakom?

J. Sz.: Nie tak dawno przeprowadziłem analizę porównawczą przysłów o Bogu w trzech zbiorach paremiologicznych – ukraińskim, polskim i rosyjskim. Widoczne jest odmienne podejście do pojęcia „Bóg” u tych trzech narodów. Nie będę się wdawał w szczegóły, bo bez poparcia materiałem faktograficznym nie da się tego uzasadnić, ale ogólnie różnice między trzema kompleksami przysłów, które mogą, choć nie muszą, określać odmienną psychikę narodową, są mniej więcej jednakowe dla wszystkich trzech narodów i przeciwstawiają każdy z nich dwóm pozostałym. Przysłowia ukraińskie są może trochę bliższe polskim niż rosyjskim. Mówię tu nie o ogólnej psychice narodów, lecz tylko o tym, co wynioskowałem z tych badań. W przysłowia ukraińskich i polskich mniej zauważalne są cechy pokory, posłuszeństwa, uległości.

B. S.: Wobec kogo?

J. Sz.: Wobec Boga. Ale przypuszczam, że można to uogólnić i na inne dziedziny.

B. S.: Bóg może być też losem, fatum, wszystkim?

J. Sz.: Tak. Stosunek do Boga w jakimś stopniu odzwierciedla stosunek do świata i do innych ludzi.

B. S.: Wracając do kwestii rzekomo kobiecej natury Ukraińców, to jak można ten obraz pogodzić ze stereotypem ukraińskiego rezuna, który był tak złowieszczo popularny do niedawna w Polsce? Kobieta-rezun?

J. Sz.: Po pierwsze trzeba przyznać, że kobiety mogą być bardzo aktywne w kłótniach, a przecież czasem polityka niezbyt wyraźnie różni się od kłótni. W historii takie rzeczy są możliwe. Poza tym sędzę, że wszystkie narody w określonych

sytuacjach przejawiają cechy „reżuństwa”, ponieważ jest ono istotną częścią dziejów ludzkości w ogóle i tkwi w samej psychice ludzkiej, mającej w sobie także cechy wilcze. Ale nawet w ramach konfliktów narodowościowych czy społecznych reżuństwo czy terror mogą się przejawiać odmiennie – wyrażać odmiennie psychiki. Można rżnąć i być przy tym tklwym wobec ofiary i można rżnąć i być sadystą. Są różne możliwości. Oczywiście sam tego nie doświadczyłem, ale mogę sobie wyobrazić, że różnice w charakterze narodów mogą się też przejawiać i w takich działaniach, które są wspólne całej ludzkości. Możliwe, że ujawniają się one nie tylko w sposobie, w jaki ludzie wzajemnie się mordują, lecz także w tym, jak jedzą i jak się kochają. Nie chcę twierdzić, że tak jest na pewno, że to stwierdzony fakt, bo obracamy się wciąż w sferze hipotez, przypuszczeń i sugestii, wywodzących się z jednej strony z folkloru, a z drugiej w znacznej mierze od pisarzy romantycznych.

B. S.: Istnieje pogląd (wśród Polaków wypowiedziany z ostrością przez księdza Bukowińskiego) o wielkiej różnicy między Ukrainą Wschodnią a Zachodnią. O ile druga może i chciałaby niepodległości, pierwsza, wschodnia, według tego poglądu, miałaby być na tyle zruszczona, że już nawet i nie pragnie niepodległości. Pan mieszkał w obydwu częściach Ukrainy. Czy zgadza się Pan z taką tezą?

J. Sz.: Sądzę, że nie chodzi tu o jakąś specyficzną odmienność psychologiczną, lecz po prostu o to, iż oficjalna propaganda sowiecka obok innych motywów szczególnie silnie podkreśla fakty z przeszłości, które mają dowodzić, że Ukraina nigdy nie może stać się niepodległa i że wszelkie jej próby w tym kierunku kończyły się klęską i że nie może być inaczej.

Tymczasem historia pokazała, że w latach 1917–1920 Ukraina Wschodnia w rzeczywistości sama, bez pomocy Ukrainy Zachodniej zdołała stworzyć własne państwo i prowadzić wojnę w obronie tego państwa. Ale minęło już od tamtej pory ponad 60 lat, w ciągu których ludzie wciąż tylko słyszeli, że odzyskanie niepodległości jest beznadziejne, że z tego nic nie będzie. Nie byłem w Kijowie po wojnie, ale moja dobra znajoma jechała tam kiedyś taksówką, rozmawiając z szoferem po ukraińsku. Szofer odpowiadał jej – jak zwykle w Kijowie – po rosyjsku. Kiedy zwróciła mu na to uwagę, powiedział: „Język ukraiński jest dobry, ale nic z niego nie będzie”. Myślę, że takie nastawienie do języka świadomie czy podświadomie odbija się też w myśleniu o możliwej niepodległości państwowej. Potrzebne są więc nowe doświadczenia, które pomogłyby zmienić tę postawę. Doświadczenia takie kiedyś nadejdą, tyle że nie sposób przewidzieć kiedy, nowy wybuch podobny do tego z lat 1917–1918 jest nie tylko jednak możliwy, ale i nastąpi prędzej czy później.

Na Ukrainę Zachodnią przed wojną oddziaływał zupełnie inny typ propagandy politycznej – takiej aktywnie, bojowo nacjonalistycznej – który odbił się bardzo wyraźnie na Ukraińcach zachodnich. Podczas wojny byłem kilka miesie-

cy we Lwowie, gdzie bardzo wyraźnie widziałem tę różnicę. Ale, powtarzam, ta różnica wytworzyła się pod wpływem panującej propagandy, czy tej uprawianej przez państwo, jak na Ukrainie Wschodniej i centralnej, czy tej, którą systematycznie posługiwały się niektóre ugrupowania partyjne. Różnica nie tkwi we krwi, nie tkwi w psychice narodowej, ani tym mniej w psychice regionalnej, lecz jest funkcją i zmienia się zależnie od okoliczności historycznych.

B. S.: W związku z tym takie pytanie: zachodni i wschodni Ukraińcy mają też chyba różny stosunek do Polski? Czy Pańskie obserwacje to potwierdzają?

J. Sz.: Mogę znowu przypomnieć swoje doświadczenia lwowskie. Kiedy przyjechałem do Lwowa, chciałem znaleźć mieszkanie. Powiedziano mi, że tam a tam jest wolne mieszkanie, ale gospodarz domu jest Polakiem. Jeżeli będę z nim mówił po polsku, to on mi może je wynająć, a jeżeli będę mówił po ukraińsku, to prawdopodobnie się to nie uda. Poszedłem do niego i zacząłem rozmowę po polsku. Z początku szło mi dobrze, ale nagle zapomniałem jednego zupełnie zwykłego słowa polskiego i użyłem go niepoprawnie, dokonując substytucji fonetycznej z formy ukraińskiej. Gospodarz się roześmiał: „A, to Pan nie Polak, tylko Ukrainiec!”. Na to ja: „Tak i myślę, że mieszkania już nie zobaczę”. Wtedy on na to: „Ale Pan jest ze wschodniej Ukrainy?”. Potwierdziłem. I mieszkanie dostałem.

B. S.: Czy gdyby był Pan z zachodniej, to nie wynająłby Panu?

J. Sz.: Prawdopodobnie nie.

B. S.: Ależ to świadczy o innym stosunku Polaków do zachodnich i wschodnich Ukraińców! A jaka jest różnica między stosunkiem wschodnich i zachodnich Ukraińców do Polaków?

J. Sz.: Przypomniałem ten epizod właśnie dlatego, że odzwierciedla on wzajemne nastawienie. Stosunek Ukraińców z tej części Ukrainy, którą przed wojną włączono do ZSRR, był wobec Polaków neutralny. Byli oni takim samym narodem jak powiedzmy Węgrzy, Rumuni, o których mało wiadano i wobec których nie przejawiano żadnych specjalnych uczuć – ani pozytywnych, ani negatywnych. Stosunek Ukraińców zachodnich do Polaków był – oczywiście nie zawsze, ale bardzo często – wrogi. Bardzo często obydwie strony patrzyły na siebie, jakby stały po dwóch stronach frontu. Naturalnie nie dotyczy to ludzi bardziej inteligentnych, którzy potrafili i chcieli myśleć samodzielnie, ale takich – jak zawsze – była mniejszość. Sytuacja na Ukrainie Zachodniej z mojego punktu widzenia, Ukraińca nie z zachodu, była wtedy całkiem nienormalna i niemożliwa do zmiany. I muszę powiedzieć, że nie wyobrażałem sobie wtedy, jak można na tych ziemiach Polaków i Ukraińców pogodzić. Myślę, że gdyby Stalin nie przesiedlił Ukraińców z Galicji Zachodniej, a Polaków ze Wschodniej, konflikt chyba by nie ustał. Ale wszystko to już historia, która nie ma żadnego znaczenia.

B. S.: Czy to znaczy, że widzi Pan dobre perspektywy dla poprawy stosunków polsko-ukraińskich?

J. Sz.: Tak. Jeżeli teraz coś przeszkadza przyjaźni, a przynajmniej wzajemnej tolerancji, to według mnie nie jakieś prawdziwe problemy, lecz tylko dawne obciążenia, mary przeszłości, które prędzej czy później wywietrzeją.

B. S.: Myślę, że tą nutą możemy zakończyć wywiad. Dziękuję bardzo.

[5/1986]

CZESŁAW MIŁOSZ

O konflikcie polsko-litewskim

Wilno jest dzisiaj miastem, gdzie dzieją się rzeczy wielkiej wagi i jedne z najbardziej radosnych w naszym stuleciu, na ogół skłaniającym do pesymizmu. Wbrew spodziewaniom nastąpiło wielkie przebudzenie się opinii publicznej, odrodzenie się ludzkiej godności i ducha prawdy. Jeszcze w 1980 roku, kiedy w moim sztokholmskim przemówieniu wspomniałem o tajnych klauzulach do paktu Ribbentrop-Mołotow i losie państw bałtyckich, zdawało się, że z samego moralnego obowiązku zakładam jedynie bezsilny protest przeciwko podziałowi Europy, ale że historia pozostanie zafałszowana na stałe. Dzisiaj o tamtych wypadkach pisze się w Wilnie otwarcie. Niezależnie od tego, ile wolności dla republiki zdołają wywalczyć Litwini, najważniejsza jest odzyskana zdolność organizowania się od dołu, którą starał się zniszczyć cały system policyjnego wychowania, jak się okazuje, bezskutecznie.

Z Wilna dochodzą jednak też wieści niepokojące, o odradzaniu się polsko-litewskiego konfliktu. Wygląda na to, że polska mniejszość językowa przygląda się temu, co się dzieje, spode łba, jakby nie czuła się współodpowiedzialna za losy kraju. Niewątpliwie działają tutaj zadawnione niechęci i urazy, które, jak wiadomo, z trudem poddają się rozumowemu tłumaczeniu. Co prawda, starając się sobie wyobrazić mieszkańców Wilna o języku macierzystym polskim, zwłaszcza młodzież, muszę przyznać, że ich sytuacja jest trudna, właśnie z powodu tego wszystkiego, co idzie z przeszłości i co skłania ich do przyjęcia, niejako automatycznie, postawy niechętniej wobec drogich Litwinom symbolów, np. trójbarewnej flagi litewskiej na baszcie Zamku.

Należy do mniejszości w mieście, które przed wojną mówiło po polsku (poza znacznym procentem mówiących w jidysz), co więcej, należy do mniejszości lekceważonej – bo inteligencja wyemigrowała po 1945 roku, a zostali najubożsi i mało piśmienni – coś za odmiana historycznych przeznaczeń. Ciekawe, jaką radę mógłbym dać młodemu człowiekowi z Wilna, który mówi i pisze po polsku (a nawet pisze wiersze, są tacy), gdyby zwrócił się do mnie z pytaniem, co ma robić. Musiałbym uznać, że przynależność do mniejszości skazuje go na od-ruchy obronne i na pewien prowincjonalizm, skoro patrzy ku Polsce, tam umieszcza swoje kulturalne centrum i tylko zabiega o utrzymanie swego języka. Czyli

przebywa w diasporze, co nigdy nie bywa wygodne ni płodne i może skłaniać bardziej aktywne jednostki do opcji na rzecz języka litewskiego albo rosyjskiego.

Moim zdaniem istnieje jednak inne wyjście, a polega ono na wyzwoleniu się z wielu stereotypów przyjmowanych nieświadomie. Wymaga to dużej pracy, która, wierzę w to, będzie wcześniej czy później dokonana, z trwałym skutkiem dla stosunków polsko-litewskich. I chyba właśnie w Wilnie mogłaby być zaczęta.

Zdobądźmy się na śmiałość w fantazjowaniu i wyobraźmy sobie kilka wariantów historii Litwy, bardzo różnych od tego kształtu, jaki przybrała naprawdę. W ciągu paru stuleci język polski był na Litwie tym, czym język angielski w Irlandii, szwedzki w Finlandii. Trzy te kraje bardzo się różniły, w jednym natomiast były podobne: w zależności politycznej od korony angielskiej w wypadku Irlandii, szwedzkiej w wypadku Finlandii, polskiej w wypadku Litwy. Również podobne było wkraczanie innego języka od góry, wskutek przyjęcia go przez właścicieli ziemskich i rozpowszechnienia się go wśród wykształconych, podczas gdy język rodzimy przechowywała wieś. Ten język rodzimy nie wszędzie odzyskał utracone tereny. Chociaż gaelicki istnieje, językiem niepodległej Irlandii stał się angielski. Irlandia dała literaturze angielskiej znakomitych poetów, którzy na ogół nie podkreślali swego irlandzkiego pochodzenia, ale nadszedł moment, kiedy stali się rzecznikami irlandzkiego patriotyzmu, choć pisali po angielsku. William Butler Yeats należy do Irlandii, nie Anglii. James Joyce, choć buntował się przeciwko pojęciu narodowej służby, pozostaje pisarzem Dublina. Samuel Beckett, piszący w dwóch językach, angielskim i francuskim, jest Irlandczykiem. Nikt też nie nazywa Anglikiem wybitnego współczesnego poety Seamusa Heaney'a. Cofanie się gaelickiego oznaczało, że angielski przejęła ludność miast, małych miasteczek i większości obszarów wiejskich, tak że tylko najbardziej odległe od centrów powiaty trwały przy języku przodków. Angielski wkroczył do szkół, kazań w kościołach, książek i gazet, ale posługiwanie się nim nie oznaczało dla irlandzkich patriotów opcji na rzecz Anglii.

Szwedzki w Finlandii, nie inaczej niż angielski w Irlandii, był językiem piśmiennictwa i stamtąd pochodzący poeci baroku uważani byli po prostu za poetów szwedzkich. Zmieniło się to jednak w dziewiętnastym wieku. Duże znaczenie ma fakt, że hymn narodowy fiński (1848) wyszedł spod pióra poety języka szwedzkiego, Johana Ludviga Runeberga. W przeciwieństwie do gaelickiego, język fiński zachował się nienajgorzej i zaczyna mniej więcej wtedy współzawodniczyć ze szwedzkim, wkraczając do piśmiennictwa, niemniej pojawia się też bardzo żywotna poezja i powieść szwedzko-fińska, jak najbardziej świadoma swojej przynależności do kraju i rozwijająca się swoiście, zyskując w międzynarodowych encyklopediach osobną rubrykę jako literatura Finland-Swedish. Z tych encyklopedii można się dowiedzieć, że w pierwszych dekadach naszego stulecia najśmielsi modernistyczni eksploratorzy języka szwedzkiego nie byli Szwedami. To, że mogli pojawić się Edith Södergran (1892–1923), Rabbe Enczell (1903–1974), Gunnar Björling (1887–1960) świadczy o istnieniu w Finlan-

dii środowiska, które dostarczało i podniety, i odbiorców. Inteligencja fińska mówiła przeważnie po szwedzku. Twórca niepodległej Finlandii, generał Mannerheim, po fińsku nie umiał. W niepodległym państwie dwa języki uznano za równouprawnione, posługiwano się nimi w prasie i w radiu. W ostatnich dekadach fiński coraz bardziej zdobywa przewagę, choć dalej wychodzą pisma w szwedzkim i działają wybitni poeci podtrzymujący tradycje literatury Finland-Swedish, jak Bo Carpelan (ur. 1926).

Litwa, w chwili kiedy znalazła się pod zaborem rosyjskim, była silnie spolonizowana. Po polsku mówił dwór, ale także szlachecki zaścianek, jak również robotnicy i rzemieślnicy w miastach, jeżeli ich językiem nie był jidysz. Świadomość odrębności Litwy, przechowywana jako dziedzictwo Wielkiego Księstwa Litewskiego, odradza się w epoce romantyzmu, ale bynajmniej nie jest równoznaczna z powrotem do języka litewskiego, bo ci, którzy dają jej wyraz, mówią i piszą po polsku. I ogromną w tym rolę odgrywa w początku dziewiętnastego wieku Uniwersytet Wileński.

Był to uniwersytet polski, i przez swój język wykładowy, i przez miejsce jego profesorów w kulturze polskiej, której chlubą są dotychczas Piotr Skarga i Maciej Sarbiewski, z czasów kiedy uniwersytet był jeszcze akademią jezuicką, następnie Jan i Jędrzej Śniadeccy, Marcin Poczubutt, Stanisław Jundziłł. I tam właśnie, nie gdzie indziej, narodził się wśród młodzieży studenckiej romantyzm polski, nie bez wpływów idących z Niemiec (między innymi Herdera), które sprzyjały zwróceniu się do folkloru, rozprawianiu o „duszy ludowej” i formowaniu nowoczesnego pojęcia narodowości. Dzieła Mickiewicza i Słowackiego wykarmiły patriotyzm polski. Ale nie będzie wcale przesady w twierdzeniu, że polski romantyzm powołał też do życia samo imię Litwy. Co prawda już w 1806 roku pochodzący ze Żmudzi Ksawery Bohusz czytał w Warszawie rozprawę naukową pt. *O początkach narodu i języka litewskiego*. Wcześniej też Feliks Bernatowicz (Geisztowt?) pisze powieść *Pojata, córka Lizdejki czyli Litwini w XIV wieku*, która zostaje wydana w 1826 roku. Inne daty wydania dzieł o Litwie dowodnie wskazują na ich romantyczny rodowód. Teodor Narbutt ogłasza w roku 1820 *Krótki rys pierwiastków narodu litewskiego z różnych dawnych autorów zebrany*. W latach 1835–1841 ukazują się w Wilnie jego dwutomowe *Dzieje starożytne narodu litewskiego*, następnie, w 1846, *Pomniki do dziejów litewskich*, w 1847 *Dzieje narodu litewskiego w krótkości zebrane*, wreszcie w 1856 *Pomniejsze pisma historyczne, szczególnie do historii Litwy odnoszące się*. Józef Ignacy Kraszewski dedykuje Litwie i Żmudzi swoje *Anafielas. Pieśni z podań Litwy*, drukowane w Wilnie 1840, 1843, 1845, po czym w swoim wileńskim piśmie „Atheŋeum” ogłasza w 1844 *Dainos*, wreszcie drukuje w Warszawie swoje dwutomowe dzieło *Litwa starożytna. Dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania itd.* Książd Ludwik Adam Jucewicz, urodzony w 1810, kształcił się w seminarium duchownym w Wilnie w okresie największego nasilenia wpływów polskiej poezji romantycznej, toteż zrozumiałe jest jego

zainteresowanie folklorem. Znał litewski i zebrał *Przysłowia ludu litewskiego*, 1840. Czuł się Litwinem i ubolewał, że „wajdeloci nasi” (Mickiewicz) posługują się obcym językiem, sam jednak pisał i wydawał swoje pisma po polsku: *Historia litewska dla dzieci*, 1840, *Rysy Żmudzi*, 1840, *Wspomnienia Żmudzi* – dedykowane Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, wreszcie *Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów*, 1846.

Myślę, że Litwini później szkodziли sobie, odcinając się od wielojęzycznej przeszłości Wielkiego Księstwa Litewskiego i starając się zatrzeć polski charakter wileńskiego uniwersytetu. Popychał ich do tego lęk przed następstwami unii lubelskiej, czyli przed polonizacją, a więc psychologia obłożonej twierdzy. Tym samym jednak powoływanie się na Mickiewicza traciło podstawy, bo trudno go pozbawić jego filomackiej młodości i zrobić z niego Litwina w nowoczesnym pojęciu, które za jego życia nie było jeszcze znane. Z pewnością sięgał do *Kroniki litewskiej* Strykowskiego, pisał *Żywile*, *Grażynę*, *Konrada Wallenroda* – wszędzie Litwa – ale folklor w jego utworach pochodzi z jego rodzinnych okolic, czyli jest białoruski, język rodzinny polski, a „Litwo, ojczyzna moja” jest apostrofą do Litwy jako rozległego obszaru między Bałtykiem i Prypecią, nie w znaczeniu narodowym.

Wspominałem o „co by było gdyby”. Popuszczając wodze fantazji, można sobie na przykład przedstawić wyłonienie się nowoczesnej Litwy na sposób irlandzki, to znaczy przy względnie słabym w tym udziale rodzimego języka. W istocie tylko zdumiewająca energia nielicznych jednostek, Vincasa Kudirki zwłaszcza, przywraca w końcu dziewiętnastego wieku językowi litewskiemu znaczenie jako instrumentowi wypowiedzi w mowie i piśmie, chroniąc go w ten sposób od zamknięcia się w opłotkach wioski, jak zamknął się w Irlandii gaelicki, którego używa tam dzisiaj na co dzień znikoma mniejszość. Natomiast wystarczy czytać dzieła, które wymieniłem, jak też wiele utworów literackich i pamiętników z okresu romantyzmu, żeby się przekonać, że świadomość przynależności do Litwy u pochodzących z niej ludzi była wcale żywa. Zapewne, zgodne to było z określeniem *gente Lithuanus, natione Polonus*, pojawiały się już jednak znaki wskazujące, że następuje ewolucja ku litewskości nie tylko *gente*, ale także *natione*. Przykładem jest chociażby piszący po polsku ksiądz Ludwik Adam Jucewicz. Oczywiście rządy Rosji carskiej i opór wobec nich ze strony szlachty i inteligencji szlacheckiego pochodzenia zmieniły to „gdyby” w nieprawdopodobieństwo, bo sprzyjały formowaniu się nacjonalizmu polskiego.

Nieco bardziej prawdopodobne było inne „gdyby”, czyli dwujęzyczność na wzór Finlandii. Gdyby Wilno w latach międzywojennych było stolicą Litwy, wątpliwe jest, czy można by było osiągnąć jego litwinizację przez wygnanie ludności, bo metody takie nie były wtedy stosowane. Dwie są, jak wiadomo, definicje narodu. Jedna, pochodząca od Herdera, mówi o wspólnocie krwi i języka. Druga, z rewolucji francuskiej rodem, opiera się na woli danej zbiorowości, żeby żyć razem. Alzatzcy, mówiący po niemiecku, należeli do narodu francus-

kiego, bo tak chcieli. Obecność dużej enklawy mówiącej po polsku w obrębie litewskiego państwa mogłaby skłonić do wybrania tej drugiej definicji i do językowej tolerancji. Mogłyby powstać szkoły, pisma, ruchy literackie „Litwo-polskie” i w takim wypadku również ja byłbym poetą litewskim języka polskiego.

Nierealistyczne. Pewnie że nie, skoro nastąpił podział w zależności od tego, jaką kto odzywa się mową. Litwini, panicznie bojący się polonizacji, budowali dokoła siebie mur obronny, ale taki sam mur budowali Polacy przekonani, że reprezentują „polskość”, najpełniej wcielając się w Warszawie i Krakowie, i że „odwiecznie polskie Wilno” Litwinom się nie należy. Znaczną przeszkodą do porozumienia był charakter kultury polskiej przekazywany przez język. Była to kultura z gruntu szlachecka, wyróżniająca się jej tylko właściwą hierarchią wartości i niemałym jest paradoksem, że *Pan Tadeusz*, napisany przez „Litwina”, dostarczał jej wzorów zachowania się, następnie zatwierdzonych przez *Trylogię* Sienkiewicza. Niektórzy twierdzą, że innej kultury niż szlachecka w Polsce nie ma i nigdy nie było i że wcale nie zniknęła wraz ze zniknięciem szlachty. Jakkolwiek jest, ta kultura szlachecka nie cechowała na Litwie jednej tylko klasy, przeciwnie, kształtowała umysłowość wszystkich mówiących po polsku. Ponieważ ostoją Litwy była jej własna stara kultura chłopska, musiało dochodzić do ciągłych starć, w których strona polska występowała z typowym szlacheckim pusem i pogardą dla „prostaków”. Konflikt pomiędzy panami i chłopami stawał się zarazem konfliktem narodowościowym, przy czym „panami” w ich własnym mniemaniu byli też ubodzy i analfabeci tylko dlatego, że mówili po polsku. I jeżeli w dziewiętnastym wieku można obserwować u wielu „Litwinów” wzmacnianie się ich więzów z ojczyzną jako pojęciem geograficznym, odbywa się też proces odwrotny, bo szlachtę Polski i Litwy łączy wspólna bohaterka walka z caratem, tak że terytorialne lojalności zostają zastąpione lojalnością wobec jednego, polskiego narodu, niezależnie od tego, gdzie mieszkają jego członkowie. I niewątpliwie tak pojęta lojalność cechowała większość mieszkańców Wilna i w okresie międzywojennym, i po 1939 roku.

Wspominam o tym wszystkim w celach praktycznych. Jedyne jasne uświadomienie sobie przeszłości może prowadzić do rewizji tych sposobów myślenia, które przyjmowane są bezrefleksyjnie, mocą nawyku, i które są jałowe. Wilno jest i będzie stolicą Litwy. I miasto, i okręg mają spory procent ludności o kulturze polskiej, nie jest to jednak, z rzadkimi wyjątkami, ludność napływowa i nie stanowi cząstki odciętej od zbiorowego organizmu mającego swój dom w dorzeczu Wisły. Bliższe prawdy będzie twierdzenie Litwinów, że są to Litwini spolonizowani, choć należy wprowadzić tutaj zasadniczą poprawkę. Jeżeli są spolonizowani, to nie są przez to obciążeni garbem, którego powinni się pozbyć, raczej wprost przeciwnie. Dodajmy nawiasem, że rubryka „narodowość”, wprowadzona w dowodach osobistych niektórych krajów, w tym Litwy po 1918 roku, postawiła na głowie pojęcie *nationalité, nationality*, które w krajach zachodnich oznacza po prostu obywatelstwo, nie przynależność do grupy etnicz-

nej. Tak więc samo ustawodawstwo sprzyjało zaszeregowaniu ludzi do jednej grupy albo drugiej i ponosi częściową odpowiedzialność za gorszące widowisko tzw. mniejszości, uważanej przez inne państwo za „swoich” – przed wojną Litwa finansowała Litwinów w Polsce, Polska – Polaków na Litwie.

Z pewnością trudno jest odrobić szowinistyczne działania trwające dziesięciolecia i złamać zadawnione nawyki. Możliwe, że jest już po prostu za późno. Jak słusznie gdzieś napisano, nie znalazł się sukcesor do spadku po Wielkim Księstwie Litewskim, bo nie chcieli tego ani Litwini, ani Polacy, ani Białorusini. A przecie to zaszczepienie języka polskiego na innym gruncie etnicznym, charakterystyczne zwłaszcza dla stolicy Wielkiego Księstwa, Wilna, okazało się niezwykle płodne, do tego stopnia, że aż do dzisiaj kultura polska stoi pod znakiem „Litwinów”. Dlaczego mieliby się tego bogactwa wyrzekać mówiący po polsku mieszkańcy Litwy, trudno zrozumieć. Prawdopodobnie dlatego, że zostali wydziedziczni i dąży się do tego, żeby zapomnieli o tym, co jest ich własne. Ale ich jest przeszłość Wilna, ich jest jego architektura, ich jest też przeszłość Uniwersytetu Wileńskiego, bo każdy rozsądny człowiek musi uznać, że jego lituanizacja wstecz należy do zabiegów niepoważnych, niezgodnych z prawdą historyczną. Zamiast więc patrzeć na siebie jako na ubogich braci odłączonych od polskiego narodu i usiłujących przetrwać w nieprzychylnym środowisku, mają prawo odzyskać dumę gospodarzy siedzących na swoim i nawet odnosić się do tamtych znad Wisły z pewnym poczuciem wyższości. Pod warunkiem jednak, że przestaną być grupą konserwatywną i mało twórczą, że wydadzą ludzi świadomych swego dziedzictwa, które nie jest dziedzictwem Polski, ale Litwy historycznej.

To, co mówię, jest przeciwne wyraźnej dzisiaj tendencji grup narodowościowych do zasklepiania się w sobie i obrony swego „stanu posiadania”. Litwa jest jednak wypadkiem tak szczególnym, że można spodziewać się innych rozwiązań. Paradoks na tym polega, że kultura polska jako szlachecka niosła ze sobą wiele obciążeń, które dzisiaj utrudniają identyfikację jej spadkobierców z Litwą i których dlatego należy się pozbyć. Przecie wielka odnowa ostatnich paru lat jest dziełem Litwinów, oni to są elementem najbardziej dynamicznym i tylko ścisła współpraca z nimi ze strony innych grup językowych może zapewnić wszystkim obywatelom Litwy reformy demokratyczne i życie w prawdzie.

[5/1989]

BOHDAN OSADCZUK

Podróż do Kijowa

Witam państwa serdecznie na pokładzie samolotu ukraińskiego zarządu cywilnej komunikacji lotniczej. Lecimy do stolicy Ukrainy Kijowa. Odległość z Berlina do Kijowa 1600 kilometrów. Czas kijowski różni się o godzinę od czasu środkowoeuropejskiego i o godzinę od czasu moskiewskiego. Proszę przesunąć zegarki o godzinę naprzód.

Takimi słowami powitała pasażerów na regularnej linii Aeroflotu między wschodnim Berlinem i Kijowem dość zażywna blondynka z ekipy odrzutowca typu Tupolew. Staliśmy się więc świadkami nowego epizodu postępującej żywiołowo ukraiinizacji. Tym razem w powietrzu. To wszystko musiało jeszcze wydawać się dziewczynie niezwykle, bo wypowiadała słowa informacji jakby sztucznie. Za to jej kolega steward w tej historycznej premierze czuł się w swoim żywiole. Mówił swobodnie, chętnie. Z szeroko uśmiechniętej twarzy widać było, że „nowe” sprawia mu przyjemność. Nam, to znaczy mnie, koledze Sysynowi z Kanady, Polakowi Andrzejowi Vincenzowi i niemieckiemu historykowi Torke z zachodniego Berlina takie wprowadzenie do Kijowa bardzo pasowało.

Po ukraińskim komunikacie przyszła kolej na niemiecki. Do Kijowa jechało akurat wielu Niemców z wciąż jeszcze – choć już niedługo – istniejącej NRD. Rosyjskiej zapowiedzi nie było. Widocznie liczba Rosjan na pokładzie samolotu była znikoma. Trasa lotu prowadziła ponad Poznaniem, chyba Przemyśłem i pomiędzy Lwowem i Iwano-Frankowskim, czyli dawnym Stanisławowem, albo – jak jakiś dowcipniś powiedział w Kijowie – „naszym San Francisco”. Śladów starej granicy na Zbruczu w postaci innych struktur przestrzennych czy osadniczych lub agrarnych nie ma, a Dniepr z jego odnogami i tak zwanym „morzem kijowskim” wygląda z perspektywy samolotu jak wielkie rozlewisko. Jego ogrom i piękno zaprezentuje się nazajutrz z Włodzimierzowskiego Wzgórza.

Ale najpierw na horyzoncie smukły łuk kijowskiego lotniska Boryspol, przypominający nieco słynne konkawy naszego rzeźbiarza Aleksandra Archipenki. Wewnątrz tłok i ścisk jak w Warszawie na Okęciu. Tylko z tą różnicą, że tu mniej kanciarzy i oszustów. Poza tym Boryspol pęka w szwach. Najwyższy czas dla stolicy Ukrainy wybudować przyzwoity, nowoczesny port lotniczy, na miarę szybko rosnącego ruchu międzynarodowego.

Kijów stale rośnie. Między Boryspolem i Darnicą powstaje nowa dzielnica mieszkaniowa. Tu na lewobrzeżnej stepowej nizinie jest jeszcze wiele miejsca. I w ten sposób potencjał stolicy przesuwa się z prawego na lewy brzeg Dniepru. Już przekroczono dwuipółmilionową poprzeczkę ludności i mimo wciąż jeszcze – w porównaniu z zachodnioeuropejską ciasnotą – imponującego rozmachu bulwarów i ulic zaczyna być ludno, dalszy zaś rozwój metra pożera olbrzymie sumy. Ze względu na specyficzne warunki gleby, ale chyba też na skutek ówczesnych poglądów na temat groźby wojny atomowej, kijowska kolejka podziemna jest chyba najgłębsza na świecie. Kiedy się zjeżdża pierwsze sto pięćdziesiąt metrów i potem drugie tyle na stacji Złotych Wrót, przybyszowi przyzwyczajonemu do półtorametrowej głębokości w Berlinie czy w Paryżu w głowie się kręci ze strachu. Do tego taśmy transportowe biegną w jakimś szalonym tempie. Kijowianie kpią sobie z naszych lęków i wchodzą na te potwory lekkim, spacerowym krokiem, nie przerywając rozmowy.

Od strony Dranicy i z mostu im. Patona Kijów wita przybysza zielenią pagórków i złotym blaskiem cerkiewnych kopuł. Nawet teraz, kiedy z owych legendarnych czterystu cerkwi pozostało tylko niewiele, można w pełni zrozumieć podziw i zachwyt podróżników arabskich, urzeczonych niezwykłą perspektywą grodu „złotych dachów”. Ale tę harmonię obrazu psuje paskudztwo z czasów Breżniewa i Szczerbyckiego: potworna figura stalowej matrony z mieczem, mająca być i pomnikiem wdzięczności, i symbolem groźby. Stoi to monstrum na stoku Wzgórz Peczerskich i w pierwotnym zamiśle miało być wysokie na osiemdziesiąt metrów, aby przewyższyć wieże i krzyże Peczerskiej Ławry. Zostało pięćdziesiąt metrów. Jedni mówią, że Kościół prawosławny przekupił Wuczeticza, autora tej okropności, który w epoce stalinowskiej i breżniewowskiej ponastawiał wiele takich straszydeł, między innymi również w Berlinie wschodnim, w dzielnicy Treptow. Według jednej wersji za milion rubli do własnej kieszeni rzeźbiarz obniżył swe „dzieło”. Według innej coś było nie tak jak należało i bogini miecza zaczęła się chwiać, więc musiano ją skrócić. Stoi ten pomnik nadal i straszy swoich i turystów.

Jeśli Lwów odegrał we wstępnej fazie współczesnego narodowego i społeczno-politycznego odrodzenia Ukrainy rolę swoistego Piemontu, to obecnie Kijów jest bezsprzecznie prawdziwą stolicą i ośrodkiem integracyjnym wszystkich ruchów i tendencji tego renesansu. We Lwowie dzieje się nadal bardzo wiele, ale mimo wszystko wpływ tej zachodniej metropolii, jeśli chodzi o promieniowanie na inne połacie kraju, jest ograniczony. Mimo ogromnych zmian, które nastąpiły w ciągu ostatniego półwiecza, dużego stosunkowo przemieszania ludności i napływu Ukraińców z centralnych i wschodnich ziem republiki, dominujący pozostał regionalno-prowincjonalny charakter tego miasta i jego zaplecza. W pewnym sensie nasuwa się porównanie z rolą i znaczeniem Krakowa w przedwojennej, a może nawet i w dzisiejszej Polsce. Moim galicyjskim rodakom brakuje wciąż jeszcze owej szczypty soli w postaci fantazji i wielkoduszości, bez

której w tak dużym geograficznie i tak skomplikowanym etnicznie państwie, jak dzisiejsza Ukraina, nie sposób wytworzyć wielkich ruchów, zdolnych do przyciągania często bardzo różnorodnych sił. Rolę czynnika lwowsko-halickiego osłabia też zaciekleść połączona z drobiazgowością w walce religijnej pomiędzy grekokatolikami i prawosławnymi. Elita kijowska pragnie, aby Ukraina była państwem prawosławnym, tolerującym inne wyznania, w tym również grekokatolicką mniejszość na zachodzie kraju.

Jednak kwestia odrodzenia religijnego nie jest dla stolicy Ukrainy zagadnieniem priorytetowym. Na pierwszym miejscu jest sprawa państwowości wraz z przywróceniem pamięci narodowej, następnie kwestia narodowościowa, to znaczy *modus vivendi* pomiędzy narodem ukraińskim i innymi mniejszościami zamieszkującymi te ziemie z dawien dawna. A z tym centralnym problemem wiąże się przede wszystkim kwestia przyszłych stosunków z Rosją.

Wielką zasługą Ruchu Ludowego Ukrainy było to, że jego teoretycy od razu sformułowali zasadę otwarcia wobec mniejszości narodowych, odrzucając koncepcje ukraińskiego nacjonalizmu integralnego. Już samo pojęcie „ludowego ruchu Ukrainy”, a nie „ukraińskiego ruchu ludowego” stworzyło fundament pod politykę partnerstwa i równouprawnienia w stosunku do innych narodowości. Dzięki temu uniknięto konfliktu z Rosjanami, jaki stał się udziałem krajów bałtyckich. Na Ukrainie nie ma ani *Interfrontów*, ani *Interdziwień*, jak w trzech republikach nadbałtyckich, w łonie ruchu zaś działa wielu utalentowanych działaczy rosyjskich na rzecz demokracji i niezawisłości Ukrainy. Byłoby jednak uproszczeniem, gdybym twierdził, że nie ma żadnych kłopotów na tym polu. Z bieżących obserwacji przy pierwszej wizycie niepodobna było dojść do niepodważalnych konkluzji. Wydaje mi się, że sprawa stosunków rosyjsko-ukraińskich układa się korzystniej z samą Rosją, a nawet z ogółem mniejszości rosyjskiej na Ukrainie, niż z przedstawicielami rosyjskiej kasty urzędniczej, partyjnej i wojskowej. Podczas kiedy parlamentariusze ukraińscy pod koniec sierpnia podpisali ze swymi rosyjskimi kolegami w Moskwie deklarację o współpracy na warunkach równouprawnienia i w duchu dwóch niezawisłych, samodzielnych republik, rosyjscy funkcjonariusze na Krymie żądali oderwania półwyspu od Ukrainy i przyłączenia do Rosji, a w Odessie działacze tego samego pokroju wystąpili z planem utworzenia odrębnej republiki „Południowych Rosjan”.

Sam Kijów jest rozpolitykowany po brzegi. Nie ma dnia, aby nie było jakiejś manifestacji, zebrań, publicznych dyskusji. Plac Rewolucji Październikowej przemienił się w stałe forum dyskusyjne. Plac ten, przylegający do głównego bulwaru stolicy Chreszczatyku i leżący *vis-à-vis* pagórka z ogromną figurą Lenina, i jeszcze wyżej potwornego hotelu-wieżowca Moskwa, gromadzi tłumy rozgadanych ludzi wszelkich zawodów i generacji. Trochę atmosfery Hyde Parku, trochę włoskich czy też greckich sporów i pogawędek. W każdym razie przybysz czuje się jak na południu Europy.

Miasto na oczach zmienia swe oblicze. Zrzuca z siebie starą powłokę sowieckiej szarości i jednostajności. Nabiera własnego kolorytu. Choć w świadomości kijowian tkwi mocno syndrom Czarnobyli, starają się tej niezabliźnionej rany strachu i niemocy wobec niewidzialnej śmierci nie ujawniać na zewnątrz. Zresztą burzliwe czasy wymagają napięcia, aktywności i ofiarności obywatelskiej. Polityka dominuje wszędzie. To, za co wczoraj prześladowano i karano, stało się chlebem powszednim. Nawet na publicznych gmachach powiewają żółto-błękitne flagi narodowe. Pod tymi sztandarami ciągną przez miasto publiczne manifestacje. Teraz chodzi o wojsko. Coraz więcej głosów matek i rodzin żąda powrotu żołnierzy ukraińskich na ojczystą ziemię. Na wiecach brzmi hasło tworzenia własnych sił zbrojnych. A pośród manifestantów coraz więcej oficerów w mundurach.

Z dala od Kijowa, na starych ziemiach kozackich, przetoczyła się ogromna fala obchodów pięćsetlecia Siczy Zaporoskiej. Pochód współczesnych pokoleń śladami swych bojowych przodków przyczynił się waleń do narodowego odrodzenia wschodnich ziem republiki.

Na długoletnich ugorach politycznych wyrastają coraz to nowe partie. Pierwsza ukonstytuowała się Partia Republikańska, wywodząca się z Ruchu Helsińskiego. Jest to ugrupowanie centrowe. Trochę na lewo od niej rozwija się Stronnictwo Demokratyczne. Istnieje socjaldemokracja, podzielona na dwa kierunki, powstała Partia Chłopska. Poważne wpływy w Kijowie i okolicach ma Partia Zielonych. Natomiast na zachodnich rubieżach kraju powstało kilka grup – jak się zdaje – orientacji zachowawczo-nacjonalistycznej. W ogóle stosunek do ruchu nacjonalistycznego w przeszłości, do spuścizny ideologicznej OUN, jest w środowiskach młodzieżowych, zwłaszcza na zachodzie republiki, często bezkrytycznie apologetyczny. Na razie jest w tym jeszcze sporo naiwności. Ale jeśli ruchy demokratyczne nie wyjaśnią totalitarnych pierwiastków tej ideologii, może nastąpić dużo niepotrzebnego zamieszania.

Podobnie jak w krajach ościennych, przeżywających w różnych stopniach nasilenia cykl reform demokratycznych, tak też na Ukrainie brak chęci do odradzania stronnictw historycznych. Nawet we Lwowie nie przywrócono do życia partii UNDO, pomimo całego dorobku i wielkich zasług w historii i kulturze politycznej tego regionu. To samo można zaobserwować na Wołyniu. Komuniści z sukcesem wykarczowali korzenie dawnych partii politycznych, wytrzebili biblioteki ze źródeł, a na pustkowiu tworzą się nowe autentyczne układy sił politycznych, wynikające z niedawnych doświadczeń i współczesnych potrzeb.

Choć zegary Ukrainy chodzą inaczej niż w Moskwie, to jednak spod pokrywy zgody narodowej słychać już groźne pomruki społecznego buntu. To prawda, że zaopatrzenie w chleb, masło, mąkę, nabiał i tłuszcze, ziemniaki, jarzyny i owoce jest bez porównania lepsze niż w Rosji. Ludzie nie głodują, ale ceny rosną, a towarów w sklepach coraz mniej. Tymczasem reforma gospodarcza znajduje się wciąż jeszcze w powijakach, centralizm zaś moskiewskich ministerstw dusi w zarodku każdą niezależną inicjatywę ukraińską.

Sytuacja społeczna jest napięta. Niezłatwione sprawy narodowe mogą jeszcze przez pewien czas hamować grożącą eksplozję społecznych buntów. Ale niezależni politycy ukraińscy muszą bacznie uważać, aby grożąca pożoga nie wtrąciła ich i całego kraju w otchłań chaosu i anarchii. I z tej strony czas nagli do ogłoszenia niepodległości.

Tu, w Kijowie, wszystko koncentruje się na wcieleniu w życie proklamacji parlamentu z dnia 16 lipca 1990 roku o suwerenności Ukrainy. Jest to postanowienie wymiaru historycznego i jako takie stanowi obecnie fundament dla bieżących i przyszłych aktów prawnych. Proklamacja suwerenności jest postanowieniem ramowym. Wymaga wypełnienia go konkretną treścią we wszystkich dziedzinach życia państwowego. Na tle straszliwego upośledzenia i nierówności w moskiewskim systemie kolonialnym odrobienie wszystkich zaległości dziejowych jest zadaniem na miarę kilku pokoleń. Niektóre, jak realizacja suwerenności ekonomicznej czy nawiązanie stosunków dyplomatycznych z zagranicą, wymagają podjęcia niezwłocznych kroków, zarządzeń i praktycznych decyzji.

Jednym z przejawów powstającej niezawisłości był kongres ukrajinistów w Kijowie. Zebrał on kilkuset intelektualistów z Ukrainy i z całego świata. W ten sposób powołana przed rokiem w Herculanium koło Neapolu Międzynarodowa Asocjacja Ukrajinistów stała się ważnym elementem przywrócenia przez długie lata zabranianych więzów nauki ukraińskiej z zagranicą. Z drugiej strony kongres kijowski stanowi ważny instrument dla tutejszych pionierów walki o pełną ukrajinizację duchową tego kraju. W ten sposób zespolono wzajemne wysiłki Kijowa i Lwowa z ośrodkami niezależnej nauki ukraińskiej na Zachodzie, głównie w Harvardzie w Stanach Zjednoczonych i w kanadyjskim Edmontonie. Fakt przyjazdu do Kijowa ukraińskich uczonych tej miary co Omelan Prycak, Jurij Szewelow i Ihor Szewczenko podniósł wydatnie znaczenie tej nowej osmozy. Drugim elementem przywracania jedności w dziedzinie nauki i kultury może się stać przywrócone do życia na Ukrainie Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, współdziałające z istniejącymi już od dawna instytucjami na emigracji, które przez długi czas kontynuowały tradycje tej zasłużonej placówki.

Niektórzy ziomkowie w Kijowie przeceniają znaczenie i możliwości emigracji. Odcięci przez wiele lat od normalnych związków wyrosli w mniemaniu, że jest to taka potęga, jak ją w swych groteskowych przejawach przedstawiała propaganda komunistyczna. W istocie poza wymienionymi ośrodkami naukowymi i kilkoma niezależnymi jednostkami, które indywidualnie utrzymują kontakty z elitą w poszczególnych krajach, emigracja może co najwyżej pomóc Ukrainie materialnie, i to oczywiście w skromnym zasięgu. W sensie idei politycznych emigracja ukraińska wyczerpała już od dawna swe zasoby duchowe, a to, co jej krańcowe skrzydło prawicowe – potocznie nazwane „banderowcami” – usiłuje przekazywać w fałszywym opakowaniu dla omamienia poszukujących nowych orientacji młodych ludzi, jest martwą papką, przeżytą i odrzuconą przez historię na równi ze stalinizmem-leninizmem.

Możliwe, że dla wielu weteranów niespełnionych snów o potęgę i władzę współczesny renesans Ukrainy jest czymś w rodzaju powrotu w krainę młodzińskich porywów i zmarnowanych, nieziszczonych marzeń. Ale w tej dziedzinie na Ukrainie i w samym Kijowie panuje niestety powszechna niewiedza. Jedną z wielu przyczyn nieświadomości – ale w danym wypadku poważną – jest brak niezależnej prasy i publicystyki. Dopóki się ten stan nie zmieni, niebezpieczeństwo przenikania wszelkich mitów i legend emigracyjnych na Ukrainę pozostaje realne.

Refleksje dobiegają końca. Zbliża się chwila pożegnania. Kończy się ostatni wieczór w Kijowie. Jutro nastąpi odlot z Boryspola w gronie smutnych, młodych kobiet obarczonych dzieciarnią. Jadą do swych mężów pozostających w Niemczech wschodnich. Przed nimi niezbadane losy. A pod nimi złocisto-zielony fragment stolicy Ukrainy. Lecimy na zachód. Czym jest Kijów? „Na pewno Europą” – mówi mój sąsiad, historyk niemiecki Hans Torke. Andrzej Vincenz trochę się zastanawia, a potem potakuje.

[11/1990]

IHOR SZEWCZENKO

Ukraina między Wschodem a Zachodem

„I zrozumij, jakij ty Azijat mizernyj”
Pantelejmon Kulisz (1882)

„Da, Skify-my! Da, Azjaty – my,
S raskosymi i żalkimi oczami!”
Aleksander Blok (1918)

W Kijowie nietrudno o ilustracje do tytułu mego eseju*. Na przykład ci z nas, którzy znaleźli czas na zwiedzenie katedry św. Sofii, zdali sobie sprawę, że ta jedenastowieczna świątynia, ze swymi bizantyjskimi mozaikami i greckimi napisami wewnątrz, na zewnątrz jest niemal całkowicie pokryta architektonicznymi dodatkami w stylu zachodniego baroku. Inny przykład: gdy otworzymy ostatnią książkę H. N. Lohvyna o sztychach w ukraińskich drukach XVI–XVIII wieku, to znajdziemy tam sztych z Poczażowa, datowany 1768, przedstawiający św. Łukasza Ewangelistę w trakcie malowania obrazu Najświętszej Marii Panny**. Jest Ona przedstawiona jako czysto bizantyjska ikona, natomiast Ewangelista siedzi w pozie zachodniej, barokowej i dramatycznej. Te dwa przykłady powinny wystarczyć, by pokazać, że w kulturze ukraińskiej, przynajmniej artystycznej – wpływy przychodzące ze Wschodu i z Zachodu następowały po sobie i współistniały między wiekiem jedenastym a osiemnastym.

Tutaj jednak powstaje pewna trudność: Bizancjum – czy też, jeśli kto woli, Konstantynopol – leży nie na wschód, lecz na południe, a nawet na południowy zachód od Kijowa. Wynika z tego, że w przypadku Bizancjum powinniśmy mówić o wpływie wywieranym na Ukrainę nie przez Wschód, lecz przez część cywilizacji śródziemnomorskiej. Mimo to czujemy instynktownie, że Wschód oznacza Bizancjum, a Zachód oznacza „Europę”. Skąd to przekonanie?

* Esej ten jest nieco rozszerzonym tekstem wykładu odczytanego na pierwszym kongresie Międzynarodowej Asocjacji Ukrainistów w Kijowie w sierpniu 1990. Oprócz *postscriptum* oraz okolicznościowych aluzji w tekście wersja obecna nie zamierza uwzględniać wszystkich gwałtownych zmian, które zaszły w Europie Wschodniej i na Bałkanach od końca roku 1990.

** Z *hlybyn. Hravjuri ukrajinśkyh starodrukiv XVI–XVIII stolit'* (Kijów 1990).

Przeciwstawne pojęcia „Wschód” i „Zachód” powstały dobre kilka stuleci, zanim Ukraina znalazła się w zasięgu cywilizacji. Jeśli mowa o literaturze, to – pozostawiając na boku Homera – spotykamy to pojęcie u Herodota, którego zadaniem było opisanie konfliktu między Grekami (to jest Zachodem) a Persami (czyli Wschodem). Jeśli chodzi o terminologię administracyjną, to pojęcia te pojawiły się w świadomości historycznej późnej starożytności na skutek podziału administracyjnego późnego Cesarstwa Rzymskiego na część wschodnią i zachodnią. Granica między nimi przebiegała na wschód od dzisiejszej – lub raczej wczorajszej – Jugosławii. Wynika z tego, że niemal cała była Jugosławia należała niegdyś do Zachodu. Klin wbity w Półwysep Bałkański przez słowiańskich najeźdźców w szóstym wieku przyczynił się do poczucia, że Wschód i Zachód są oddzielone od siebie. Administracja kościelna, zorganizowana na tych samych zasadach co państwowa, rozróżniała jednostki terytorialne Kościoła zachodniego od wschodnich, które nazywano *ecclesiae orientales*. To rozróżnienie nie oznaczało bynajmniej uprzedzenia antywschodniego. Wręcz przeciwnie, wśród wczesnych chrześcijan śródziemnomorskich Wschód cieszył się specjalnym szacunkiem jako miejsce narodzin Zbawiciela. Wszystko to było zrozumiałe z geograficznego punktu widzenia w ówczesnych ośrodkach władzy: Konstantynopol (to jest miasto Bizancjum) znajdował się w rzeczy samej na wschód od Rawenny, która była jedną ze stolic Cesarstwa Zachodniego, oraz od Rzymu, siedziby głównego patriarchatu zachodniego. Podział Kościołów, który nastąpił w wieku jedenastym, a jeszcze bardziej napaść zachodnich krzyżowców na Bizancjum w roku 1204, przyczyniły się do pogorszenia sytuacji, gdyż od tego czasu „Wschód” wyposażony jest w oczach Kościoła zachodniego w skojarzenia negatywne, a bizantyjscy z kolei zaczynają nienawidzić łacińskiego Zachodu.

Rebelia – niektórzy historycy mówią uzurpacja – Karola Wielkiego i jego koronacja w roku 800 jako osoby, która „rządziła Cesarstwem Rzymskim” – nawiasem mówiąc, w tym roku jeszcze nie użył tytułu „cesarza rzymskiego”! – były działaniami antybizantyjskimi, które stworzyły podwaliny pod powstanie nowocześniejszej Europy. Może z tego powodu poczynając od dziesiątego wieku a kończąc na piętnastym, można znaleźć teksty, z których wynika, że Bizantyjczycy nie uważali swej stolicy za część Europy, mimo że wiedzieli doskonale – jako że czytali, a nawet wydawali geografów starożytnych – iż granica między Azją a Europą przechodzi przez Bosfor i rzekę Don. Tak więc, gdy Kijów Włodzimierza przyjął chrześcijaństwo, znalazł się w sferze kulturowej, która w oczach Zachodu uchodziła za Wschód, a sama nie zawsze uważała się za część Europy. Ten punkt widzenia przetrwał do naszych czasów. Nawet dzisiaj nie tylko ludzie mieszkający w Sofii, Belgradzie, Bukareszcie czy Stambule, ale również ludzie mieszkający w Moskwie lub Kijowie podróżują „do Europy”, mimo że wiedzą jeszcze ze szkoły, iż Europa kończy się na Uralu i że wobec tego są Europejczykami w sensie geograficznym tego terminu. Nowoczesne ukraińskie dążenie „ku Europie”, którego przedstawicielami byli pisarze Chwyłowyj

i Zerow, uważać można za reakcję przeciwko stanowisku, które ma długą tradycję. To samo można powiedzieć o oświadczeniu, które przeczytałem, będąc w Kijowie w roku 1990, że centrum geograficzne Europy znajduje się w Ukrainie podkarpackiej. Oczywiście to odrzucenie „Wschodu” jest wyrazem postawy współczesnych wschodnioeuropejskich warstw wykształconych, choć nie wszystkich, jak pokazują dwie linijki Aleksandra Błoka, zacytowane na początku mego artykułu. Na poziomie folkloru wschodnioeuropejskiego jednakże pojęcie „Wschodu” zachowało swe asocjacje pozytywne, odziedziczone z późnego poganiaństwa i przejęte przez wczesne chrześcijaństwo: należy się modlić z twarzą zwróconą ku wschodowi, siedzibie bogów, później Boga, podczas gdy Zachód jest miejscem pobytu demonów, później Diabła.

Jeśli pojęcia „Wschód” i „Europa” wymagają wyjaśnienia w ramach naszego tematu, to pojęcie Zachodu wyjaśnienia takiego nie potrzebuje, gdyż jego kontekst geograficzny i kulturalny jest ten sam. Proszę o wybaczenie, jeśli w tym krótkim przeglądzie roli, jaką odegrał Zachód w kulturze ukraińskiej, nie będę dyskutował poszczególnych wczesnych wydarzeń, takich jak stosunki między księżną Olgą a cesarzem Ottonem I w dziesiątym wieku lub podróże książąt Iziasława i Jaropełka do Rzymu w wieku jedenastym, jeśli nie wskażę na wielką przewagę liczebną jedenasto- i dwunastowiecznych małżeństw członków dynastii kijowskiej z partnerami z Polski, Skandynawii, Węgier, Niemiec i Francji nad małżeństwami z partnerami pochodzącymi z Bizancjum i jeśli pominę takie fakty, jak kampanie wojskowe na zachodzie i koronację (1253) przez papieża księcia Daniela Halickiego, który – warto podkreślić – był jednocześnie wasalem Złotej Ordy. Opuszczam je, gdyż zamierzam zwrócić Państwa uwagę na zjawiska długotrwałe, szczególnie w dziedzinie historii kultury.

Z perspektywy historyka kultury wpływ zachodni na niektóre części obszaru Ukrainy rozpoczął się przed rokiem 1340, nasilił się po roku 1569 i trwał na szerokim obszarze ziem ukraińskich do roku 1793. Jeśli weźmiemy pod uwagę wpływ polskich elit na ziemie zachodnioukraińskie i na prawobrzeżną Ukrainę, to wpływ ten trwał do roku 1918, a nawet do roku 1939. Zachód ten był przeważnie ubrany w polski kontusz – późniejszy wpływ habsburski był ograniczony w czasie i przestrzeni – a jego główne posłanie kulturalne w decydującym punkcie zwrotnym w okresie przełomu z szesnastego na siedemnasty wiek zawarte było w polskim wariacie kontrreformacji. Jezuici wprowadzali łacinę i nowe metody pedagogiczne, a prawosławni je przejmowali. Nawet nowo powstałe zainteresowanie greką było jedynie reakcją na inkursje dokonane na Ukrainie przez łacinę i łaciński sposób bycia. Jedną z konsekwencji było, że w pierwszej połowie XVII wieku po raz pierwszy w historii elit ukraińskich powstała możliwość bezpośredniego kontaktu ze źródłami kultury starożytnej. Było tak dlatego, że Ruś Kijowska niemal nie znała greki. Jednakże, z praktycznego punktu widzenia, kultura wyższa docierała do Ukraińców nie za pośrednictwem łaciny i greki, ale poprzez polski. Wynikiem zwycięskiej kampanii tego ostatniego było

powstanie czegoś w rodzaju żargonu polsko-ukraińskiego, używanego w piśmie, a może i w mowie, przez lokalne elity prawosławne i greckokatolickie w wieku szesnastym i siedemnastym.

Ta ofensywa z Zachodu wywołała częściowo adaptację, a częściowo wrogą reakcję zagrożonych elit ukraińskich. Ruch ten nazywamy odrodzeniem się wiary „ruskiej”. Odrodzenie to znalazło wyraz w literaturze polemicznej i w powstaniu kolegium ostrońskiego oraz kolegium mohylańskiego, jak również innych szkół wywodzących się z tych dwu instytucji. Walka przeciw pozornie niezwyciężonemu Zachodowi prowadzona była w imię greckiej wiary przodków, ale w gruncie rzeczy prowadzono ją za pomocą tych samych broni, którym Zachód zawdzięczał swe sukcesy: jezuickich metod nauczania, katolickiej nauki i katolickiej literatury.

W ten sposób Zachód, bardziej niż Grecy, dostarczył większości ukraińskich elit bodźców i środków do obrony bizantyjskich wartości kulturalnych. Ta obrona „własnego” Wschodu Ukraińców za pomocą zachodniego oręża nie była wyjątkowym zjawiskiem w szesnasto- i siedemnastowiecznej Europie. Podobne mechanizmy działały wzdłuż innego pasa granicznego między kulturą zachodnią a bizantyjską. Na obszarach tych mówiono po grecku, lecz zostały one podbite przez Wenecję po roku 1204. Zjawisko to było specjalnie wyraźne na Krecie. Na tej wyspie nie powstał wprawdzie żargon grecko-wenecki, ale zdarzyło się coś podobnego, a mianowicie masowa penetracja elementów weneckich do słownictwa greckiego. Co więcej, w szesnastym i siedemnastym stuleciu Grecy poddani imperium weneckiego również odrzucali unię kościelną i tworzyli własną literaturę – tak zwaną literaturę kreteńską – ale tworzyli ją na podstawie bezpośrednich przekładów lub zapożyczeń z dzieł weneckich, częściowo nawet jezuickich.

Ofensywa Zachodu na ziemię ukraińskie groziła utratą jedności narodowej. Przychodzi tu na myśl porównanie z Serbami i Chorwatami. Jeśli chodzi o te dwa narody, to tożsamość językowa (z grubsza biorąc) nie doprowadziła do jedności narodowej, jako że te dwie grupy dzieliły granice i wiara, począwszy od jedenastego wieku. Trzy powody przyczyniły się do zachowania jedności narodowej Ukrainy: po pierwsze długi okres, w czasie którego większość ziem ukraińskich pozostawała pod panowaniem jednego, to jest polsko-litewskiego państwa, po drugie stosunkowo krótki okres, podczas którego ten sam obszar znajdował się pod panowaniem kilku państw (1772–1945), po trzecie nieobecność całkowitej katolicyzacji ziem zachodnioukraińskich.

Mimo zachodniej penetracji na ziemię ukraińskie – która trwała wiele stuleci – Ukraińcy stali się „Wschodem” w oczach Zachodu stosunkowo wcześniej, jeszcze przed pierwszym rozbiorem Polski. Stało się tak nie tylko dlatego, że większość Ukraińców wyznawała „wschodnią wiarę” i podporządkowana była wschodniemu patriarsze aż po koniec XVII wieku (bo ostatecznie unici podporządkowani byli patriarsze Zachodu). Stało się tak także dlatego, że państwo

polsko-litewskie (które jeszcze w XVI wieku uznawane było przez Zachód jako część Zachodu), poczynając od połowy wieku siedemnastego i daleko w głąb wieku osiemnastego, odczuwane było – nawiasem mówiąc bezpodstawnie – jako coś związanego ze Wschodem. Ten nowy sposób widzenia powstał zresztą już wcześniej. Weźmy jako przykład obraz Rubensa, obecnie w bostońskim Muzeum Sztuk Pięknych. Pochodzi on z roku 1625 i na podstawie Herodota przedstawia Tomyris, królową scytyjskich Masagetów z VI wieku przed Chrystusem z okolic Morza Kaspijskiego. Na obrazie Rubensa członkowie świty królowej występują w strojach polskiej szlachty. Nie tylko orientalizacja strojów polskiej szlachty i jej ukraińskich odpowiedników przyczyniła się do tej reputacji Rzeczypospolitej polsko-litewskiej. W wieku osiemnastym Żydzi Rzeczypospolitej (w tym tak wielu żyjących w miastach Ukrainy) również się do tego przyczynili, jako że ich lisie czapki i długie kaftany budziły odrazę oświeconych obserwatorów w krótkich żabotach i biało pudrowanych perukach.

Pod wpływem wypadków ostatniego półwiecza co najmniej jeden pesymistyczny polski krytyk podpisał się pod tezą, że jego kraj przesunięty został kulturalnie na Wschód, umieszczając swych rodaków z roku 1992, „Europejczyków mimo wszystko”, równo pośrodku między Azją a Europą. Ubolewam, że sugerował również, iż Azja zaczyna się za Bugiem, czyli na obecnej granicy polsko-ukraińskiej*.

Nic więc dziwnego, że sukces Jurija z Drohobycza w Bolonii – jedyne go Ukraińca, który został rektorem jednego z wielkich zachodnich uniwersytetów – możliwy był w wieku piętnastym, gdy Polskę uważano niedwuznacznie za część Zachodu. Jeśli przyjmiemy tę perspektywę, to łatwiej nam będzie zrozumieć, dlaczego w świadomości Ukraińców przyłączenie części terytorium ukraińskiego do niewątpliwego Zachodu datuje się od roku 1772, gdy to Galizien i Lodomerien przestały być częścią zorientalizowanej Polski i włączone zostały do imperium Habsburgów.

Jako wstęp do następnej części mojego tekstu chciałbym przytoczyć przykład z roku 1990. Nie jest może aktualny dzisiaj, ale zachowuje ważność w perspektywie szerszej. Gdy w kijowskim hotelu Moskwa – proszę zauważyć tę prestiżową nazwę – Aeroflot reklamował lot Kijów–Afiny–Kijów, to użył rosyjskiej, początkowo bizantyjskiej i nowogreckiej, formy dla miasta Peryklesa i Platona. Jeżeli dzisiejszy kijowianin leci również „v Afiny” zamiast „via Ateny” lub nawet „do Aten”, które to formy oznaczałyby kontynuację zachodnich tradycji Kolegium Mohylańskiego, to czyni tak, gdyż jego przodkowie padli ofiarą kontr-

* Por. Smecz w „Kulturze” nr 537, Paryż, czerwiec 1992, s. 73. Stając tak po stronie Pantelejmona Kulisza – zobacz pierwsze motto na początku tego artykułu – p. Smecz, podobnie jak Kulisz, nie oddał należytej sprawiedliwości osiągnięciom Polski w przekazywaniu kultury zachodniej ziemiom ukraińskim.

ofensywy bizantyjskiego Wschodu. Kontrofensywa ta trwała od roku 1650, choć jej postępy były różne w różnych okresach i na różnych obszarach terytorium Ukrainy.

W tym miejscu znowu powstaje trudność. Widzieliśmy na początku, że pierwotne wpływy bizantyjskiego „Wschodu” przysły do Ukrainy z południa, zarówno z samej stolicy Bizancjum, jak przez zbizantynizowane Bałkany. Warto więc się zastanowić nad tym, że drugi wpływ bizantyjskiego „Wschodu” przybył z północy, w jakiejś mierze z carstwa moskiewskiego, ale głównie później z cesarstwa rosyjskiego. Naturalnie, w początkowym stadium stosunków kulturalnych między Moskwą i Rosją z jednej strony a Ukrainą z drugiej kontrofensywę Północy poprzedziła obrona tubylczej oryginalności Północy typu bizantyjskiego. Szło to razem ze zręcznym wykorzystaniem zarówno ukraińskich osiągnięć kulturalnych, jak i usług członków ukraińskich warstw wykształconych. Przypomnijmy sobie dysputę, która miała miejsce w rezydencji patriarchy moskiewskiego z nieszczęsnym Wawrzyńcem Zyzanią w roku 1627; przypomnijmy sobie „oczyszczenie” tekstów religijnych przez patriarchę Nikona, rzekomo przy pomocy wzorów greckich, w rzeczywistości jednak głównie kijowskich; albo też moskiewskie wydanie *Anfologionu* z roku 1660, w którym teksty kijowskie pojawiają się w odmiennej, miejscowej ortografii, i przypomnijmy na koniec moskiewską karierę ukraińskich uczonych-hellenistów, takich jak Epifaniusz Sławniecki.

Sytuacja ta trwała aż do ostatniej ćwierci siedemnastego wieku. Wkrótce potem nastąpił punkt zwrotny. Jest on znany wszystkim. Neobizantyzm, główna podpora kultury carstwa moskiewskiego, przegrał, nie bez oporu ariergardy, do której należeli zarówno uczeni goście z Grecji, jak i imigranci oraz uczeni tubylcy, tacy jak Jewfimij z monastynu cudowskiego. Po upływie niecałych pięćdziesięciu lat nowe cesarstwo rosyjskie zaczęło importować kulturę z Zachodu na wielką skalę i to ono zaczęło wkrótce zaopatrywać swe ukraińskie posiadłości w wartości zachodnie. W latach 1730–1740 Włoch Rastrelli i Niemiec Johann Gottfried Schedel wzniesli lub zaprojektowali budynki w Kijowie (Wielka Dzwonnica, cerkiew św. Andrzeja). Nie zapominajmy jednak, że przybyli oni do Kijowa nie wprost z Włoch lub Niemiec, ale w ten czy inny sposób z Petersburga.

Przykład Rastrellego przywodzi nam na myśl jedną ważną cechę ukraińskich kontaktów kulturalnych zarówno ze „Wschodem”, jak i z Zachodem. Cechą tą jest brak bezpośredniego dostępu do źródeł podczas długich okresów historii Ukrainy. Ukraińcy otrzymywali wartości kulturalne zza granicy przez pośredników. Wspomniałem już, że Ruś Kijowska ledwo że знаła grecki – otrzymywała ona literaturę bizantyjską głównie przez Bułgarię. Jeśli chodzi o kulturę kontrreformacji (którą czasem nazywamy nieprecyzyjnie renesansem i barokiem), to Ukraińcy otrzymali ją głównie przez Polskę. Klasycyzm w architekturze przyszedł do nich przez cesarstwo rosyjskie. Nawet pisarze neoklasycy dwudziestego wieku zwrócili się ku francuskim poetom-symbolistom i *parnassiens*, nie bez

pewnej podniety otrzymanej od rosyjskich poetów tak zwanego Srebrnego Wieku. Prawda, że możemy zacytować paralele tej „wtórności” skądinąd, jak na przykład u Bułgarów, jako że barok i rokoko bułgarskiego odrodzenia mają niektóre ze swych korzeni w sztuce ottomańskiego Stambułu. Te paralele niewiele jednak pomagają. Faktem jest, że ukraińska wtórność oznaczała pewną słabość.

Nie zamierzam zajmować się tutaj „prawdziwym” Wschodem i jego koegzystencją kulturalną z Ukrainą: Kumanami, Karakałpakami, ich sojuszami z książętami ruskimi włącznie z sojuszem z roku 1223 przed bitwą nad Kalką, ich małżeństwami z rodzinami książąt kijowskich ani też tureckim graffiti w katedrze św. Sofii. Nie będę się też zajmował, gdy przejdziemy do późniejszych czasów, elementami tureckimi w strukturze instytucji Siczy Zaporoskiej ani też chanatem krymskim i jego ukraińską ludnością – chanat ów bywał to sojusznikiem Ukrainy, to jej wrogiem, a nawet podbijał ukraińskie ziemie. Na koniec nie zamierzam się zajmować Portą Ottomańską, którą Ukraińcy plądrowali, przeciw której prowadzili wojnę jako wojska pomocnicze Polski i której bywali niekiedy wasalami. Nie jest to moja dziedzina.

Odwagę się jedynie na jedno ogólniejsze przypuszczenie: że wczesne kontakty kulturalne Ukrainy z „prawdziwym” Wschodem są w naszych źródłach literackich reprezentowane niewystarczająco albo przemilczane. Przyczyną tego jest niekiedy nieliteracki poziom tych kontaktów oraz jednostronność wyznaniowa źródeł. Ograniczę się do dwóch uwag dotyczących tego „prawdziwego” Wschodu. Na najwyższym piętrze nieudolnie odrestaurowanej Złotej Bramy w Kijowie można było obejrzeć w roku 1990 eksponaty przedstawiające oręż dawnej Rusi. Zwiedzający mógł zdać sobie bez trudu sprawę, że „prawdziwy” Wschód dostarczał Rusi technologii wojskowej. Mógł się zapoznać z takimi tureckimi lub mongolskimi nazwami broni, jak *kujak*, *juszman*, *tegagliaj*, *bachte-reć* i – mógł tam znaleźć tylko jedno słowiańskie *zercalo*, ale nawet to „zwierciadło” było prawdopodobnie kalką pochodzenia wschodniego. Tutaj znowu, jak poprzednio w Bizancjum, ten „prawdziwy” Wschód był przeważnie południem. Zastanówmy się chwilę, gdzie leży Bakczysaraj czy Stambuł.

Ogólnie biorąc, my historycy koncentrowaliśmy się tak bardzo na osi Wschód–Zachód, tak ważnej dla rozwoju kultury ukraińskiej dzisiaj, że zwracaliśmy mniej uwagi na oś Północ–Południe. A jednak, jak wielokrotnie mówiłem, to właśnie jest oś, na której leży Moskwa, Bizancjum oraz jego dziedzic – cesarstwo ottomańskie. Na swym własnym terytorium to ostatnie było obrońcą prawosławia przeciw zagrożeniom pochodzącym z Zachodu. Kontakty kulturalne z ośrodkami prawosławnymi leżącymi wewnątrz granic cesarstwa ottomańskiego miały miejsce na osi Północ–Południe i tutaj Ukraina nie była tylko odbiorcą, lecz także miejscem, z którego wpływy szły dalej na południe.

Na pierwszym miejscu należy tu wymienić przedstawicieli pobizantyjskiego Kościoła wschodniego, patriarchów ekumenicznych i innych, biskupów, a nawet zwykłych *daskalów* (nauczycieli), w większości Greków. Zatrzymywali się

oni na pewien czas na Ukrainie, pomagając sprawie prawosławnej czy to bractw, czy też księcia Ostrońskiego i zarabiając jako nauczyciele, albo też przejeżdżając przez Ukrainę w drodze do Moskwy. W Moskwie były władza i pieniądze, ale zgodnie z często cytowanym świadectwem jednego z nich, Syryjczyka Pawła z Aleppo, na Ukrainie można było oddychać swobodnie. Po drugie, musimy wspomnieć o wzajemnych wpływach, które istniały między obszarem ukraińsko-białoruskim a krajami bałkańskimi w szerszym sensie tego słowa: metropolita kijowski Piotr Mohyla wspierał prasy drukarskie w Mołdawii i na Wołoszczyźnie, a w wiekach szesnastym i siedemnastym możemy śledzić wpływ, który ówczesni Grecy, Bułgarzy i Mołdawianie (w części przynajmniej wykształceni na Zachodzie) wywierali na kijowskie dzieła hymnograficzne.

Z drugiej strony wczesne druki kijowskie, w tym dzieła Symeona Połockiego, trafiały do Serbii i Bułgarii. Wymownym tego świadectwem jest pokaźna liczba dobrze zachowanych egzemplarzy tych wczesnych druków, które przechowywane są dzisiaj w bibliotece bułgarskiego sanktuarium narodowego i religijnego, jakim jest klasztor w Rile. Wreszcie w osiemnastym wieku Mychajło Kozaczynśkyj, absolwent, a następnie profesor Akademii Kijowskiej, wykładał w Serbii i pisał na tematy serbskie.

Przechodzę do uwag końcowych. Historyk kultury opisuje, nie jest jego zadaniem udzielać rad. Istnieje jednak możliwość udzielania rad pod maską opisu i zamierzam ulec tej pokusie. Po pierwsze, historyk kultury, który przewędrował wszcz i wzdłuż terytoriów byłych imperiów ottomańskiego, austro-węgierskiego i rosyjskiego (ograniczam się tutaj do imperiów, które zawały się w latach 1917–1918), zdaje sobie sprawę, że elity narodów, które były częścią tych trzech całości – pomijając oczywiście narody panujące – skazane były na prowincjonalizm kulturalny, kompensowany nieraz przez przesadne lub nawet nieuzasadnione pretensje do oryginalności w dziedzinie kultury. Po drugie, pomiędzy końcem wieku siedemnastego a pierwszą połową wieku osiemnastego Rosjanie zdecydowali, że jest dla nich bardziej korzystne zwrócić się ku Zachodowi nie przez pośrednictwo Ukrainy, lecz bezpośrednio, i ta decyzja wyszła im niewątpliwie na dobre. Bezprzykładnie szybki rozkwit kultury moskiewskiej, a później rosyjskiej między epoką cara Aleksego Michajłowicza a czasami Aleksandra I, za którego tworzył Puszkina, da się wytłumaczyć w znacznej mierze bezpośrednimi kontaktami z Zachodem. Wśród swych osiemnastowiecznych wędrownych uczonych Rosjanie mają Łomonosowa, który uczył się na uniwersytecie w Marburgu, a Ukraińcy Hryhorowycza-Barśkiego, który był nauczycielem na wyspie Patmos.

Na Ukrainie, w okresie panowania sowieckiego, przekonanie o potrzebie bezpośrednich kontaktów z Zachodem panowało w środowisku, z którego wyszli Chwyłowyj i Zerow: pamiętamy wszyscy projekt zrezygnowania z pośrednictwa Północy. I znamy wszyscy los zgotowany temu projektowi w latach trzydziestych. Dzisiaj żyjemy w nowych warunkach i projekt ten może stać się rze-

czywistością, jeśli podejmiemy do zadania, które stoi przed nami, spokojnie i bez polemik. Tym razem termin „Zachód” należy rozumieć jako cały szeroki świat. W tym szerokim świecie współcześni Hryhorowicze-Barscy mogą nie zwrócić na siebie uwagi tak wysoko postawionych osobistości jak ambasador Jęgo Imperialnej Mości przy Wysokiej Porcie, który wypytawał Barskiego w Stambule o to, co ten ostatni widział podczas swych peregrynacji. Zamiast tego zainteresowani będą rodacy żyjący na szerokim świecie.

Gdy zajmiemy się wprowadzaniem w życie idei bezpośrednich kontaktów z szerokim światem, to rzućmy okiem na Bułgarów i na Serbów, nawiasem mówiąc dwa narody bardziej „chłopskie” niż Ukraińcy. Ich młode elity zaczynają swe przygotowania od opanowania kilku języków obcych jako wstęp do studiów na Zachodzie. Ale przede wszystkim Ukraińcy muszą się pośpieszyć z nawiązywaniem bezpośrednich kontaktów na właściwym poziomie. Inaczej „szeroki świat”, który będą wchłaniać szybko, bez znajomości języków, bez podróży i bez wysiłku, składać się będzie z naśladowania džinsów, szaszetek na pasku, pepsi-coli i grup rockowych.



Ten rodzaj artykułu – krótki, ogólny szkic – nie wymaga przypisów. Jednakże dla przykładu i kontrastu wymienię dwa dzieła, które zbliżają się do naszego tematu: Eduard Winter *Byzanz und Rom im Kampf um die Ukraine. 955–1939* (Lipsk 1942) (autora interesują przede wszystkim problemy organizacji kościelnej) oraz Ivan L. Rudnyćkyj *Ukraine between East and West* w zbiorze esejów tegoż autora *Essays in Modern Ukrainian History* (Edmonton 1987), s. 1–9 (tekst ukazał się po raz pierwszy w roku 1963, przekład ukraiński w 1976, polski w 1988 roku. Autor zajmuje się rolą, jaką odegrał Zachód i oba Wschody – koczowniczy i bizantyjski – w powstaniu ukraińskiego charakteru narodowego). Ponadto w licznych artykułach ogłoszonych w miesięczniku „Suczasnist” między rokiem 1963 a 1991 wielu autorów (takich jak George Łucyk, Omeljan Pritsak, George Szevelov, Vasyl Stus i George Tarnavśkyj, aby wymienić najwybitniejszych) zajmowało się – przeważnie na sposób normatywny – wyborem Ukrainy między orientacją wschodnią a zachodnią, przy czym Bizancjum z reguły otrzymywało złe stopnie, a džinsy i gitary elektryczne niekiedy dobre. Porównaj też artykuł Bohdana Strumińskiego „Suczasnist” (1961–1991) w „Kulturze” nr 536 (maj 1992), szczególnie strony 128–131. Aby zilustrować odmienną perspektywę, z której patrzy na nasz temat współczesna nauka rosyjska, zacytuj: *Ruś między Wostokom i Zapadom: kultura i obszczestwo X–XVII w.* (*Zarubežnyje i sowjetskije issledowanija*, cz. I) [AN SSSR, Otdelenije Istorii (...)] (Moskwa 1991).

Przekład autoryzowany Andrzeja Vincenza

Postscriptum z czerwca 1992

Szybkie i sensacyjne zmiany, które miały ostatnio miejsce na Ukrainie, nie pozbawiają aktualności problemów, o których mowa w obecnym artykule. Zmiany takie mają tendencję do zwracania uwagi miejscowych elit oraz Ukraińców za granicą na Zachód i na przyszłość – co samo w sobie jest korzystne – lecz jednocześnie zachodzi przy tym ryzyko skrócenia i zamącenia perspektywy historycznej. Dziedzictwo bizantyjskie zarówno prawosławnych, jak i grekokatolickich Ukraińców oraz późniejsze długofalowe wydarzenia – ostatni jest rosyjski wpływ kulturalny na większość ziem ukraińskich – mogą zejść na drugi plan w upajającej atmosferze obecnych przemian, ale skutki tych wydarzeń nie znikną z dnia na dzień.

[12/1992]

ADAM W. KULIK

Widmo Perejaśławia

Upraszczając, można powiedzieć, że istnieją dwie szkoły pisania reportażu: pierwsza nakazuje przedstawienie nagich faktów bez jakiegokolwiek komentarza – ten ma dopowiedzieć sobie sam czytelnik, i druga, która zezwala na odautorskie to i owo. Obie niosą pewne ryzyko: pierwsza – możliwość opacznej interpretacji przez czytelnika, druga – podejrzenie o uprawianie propagandy przez dziennikarza. Tak czy owak, winienem panu Jerzemu Giedroyciowi podziękowanie za miejsce w „Kulturze” na „to i owo” będące odautorskim dopowiedzeniem do mojej relacji z podróży do Mińska w maju bieżącego roku.

Wyjeżdżając z Mińska, próbowałem rozwiązać dylemat: metropolita Filaret realizuje politykę moskiewskiego patriarchatu (Moskwy?), usiłując przynajmniej w sferze religii podporządkować bądź ściślej związać Białoruś z Rosją czy też wyraźnie demonstrowane przez niego podporządkowanie moskiewskiemu patriarchatowi jest swoistą reakcją obronną na ekspansję łacińskiego (czytaj: polskiego) Kościoła w Białorusi? Dopiero po przetrwaniu rozmów, jakie odbyłem z eminencją i jego księżmi, z ministrem Żylskim, zrozumiałem, że prawosławie musi czuć się poważnie zagrożone, skoro tak żarliwie, niemal demonstracyjnie jednoczy się. Oznacza to, że dostojnicy Kościoła odpowiedzialni za „księżą inwazję” na Białoruś niewiele zrozumieli z ostatnich 400 lat polskiej historii. Albo też znają tę historię doskonale, ale robią swoje, nie zważając na racje 40-milionowej Polski i 11-milionowej Białorusi.

W moim rozumieniu Polska ma (niezmiennie od wieków) do odegrania podobną rolę w stosunku do Wschodu, jak Francja w odniesieniu do nas. Niezmiennie od wieków ta szansa jest marnotrawiona przez bzdurne rojenia monarchistyczne pewnych grup Polaków lub podobne im działania łacińskiego Kościoła, który swoje cele realizuje naszym kosztem. Bardzo chciałbym, by ktoś mi wskazał korzyści, jakie Rzeczpospolita na przestrzeni czterech ostatnich wieków odniosła wskutek wprowadzenia unii na Wschodzie. Straty wyliczy nawet średnio obeznany z historią tego regionu Europy uczeń szkoły średniej: wplątanie I Rzeczypospolitej w wojny z Kozakami, którzy prowadzili je również w obronie prawosławia, zdegradowały ostatecznie kraj gospodarczo i politycznie, czyniąc go łatwym łupem Szwedów, a potem zaborców, wymuszenie ekspansję ka-

tolicyzmu zwrotu Ukrainy w kierunku Moskwy w XVII wieku, wtrącanie się Rosji przez całe XVIII stulecie w sprawy polskie pod pretekstem obrony krzywdzonych prawosławnych. No i wiek XX: unia pozwoliła zachować Ukraińcom tożsamość narodową, kazała im myśleć o budowie własnego państwa, ale Polacy zapłacili stoma tysiącami zabitych na Podolu, Wołyniu i dalszymi dwustu tysiącami zmarłych z głodu, wycieńczenia, ran. Można by się zastanawiać, czy unia w XIX stuleciu na dawnych obszarach Rzeczypospolitej nie przyjęła pierwszego impetu rusyfikacji, osłaniając w ten sposób ziemie rdzennie polskie, lecz są to raczej teoretyczne rozważania.

Podobnie jak przed paroma laty na Ukrainie Kościół łaciński stosuje na Białorusi politykę faktów dokonanych. Oczywiście rękoma Polaków – księży, biskupów. Nie mam powodu wątpić w wiarygodność danych, które mi podał metropolita Filaret (na 150 księży łacińskich Białorusinów jest tylko 26). Zamiast wsparcia naukowego, kulturalnego, moralnego, politycznego – lekceważenie podmiotowości politycznej nowych, a więc szczególnie na to uczulonych, państw. Nie chciałbym, by Białorusini czy Ukraińcy dopisywali do starych polskich grzechów nowe, ale najprawdopodobniej dopiszą: księży z Mozambiku, Irlandii czy Brazylii nie oskarża się o polonizację, bo ich za Bugiem nie ma, choć może przed innymi powinni tam się znaleźć. Nie można rządu Białorusi oskarżać o złą wolę, skoro zezwala na przyjazd 50 księży z Polski tylko w jednym roku. Być może to za mało jak na aspiracje polskiego Kościoła, ale czy nie wystarczające, jeśli weźmie się pod uwagę potrzeby Polaków tam mieszkających? Aż wierzyć się nie chce, jak niewiele nauczyły nas rozbiory, bezgłowa polityka II Rzeczypospolitej wobec mniejszości narodowych. Kto wie: gdyby przed wojną zamiast zamykać Ukraińcom, Białorusinom szkoły, wysyłać na nich karne ekspedycje wojskowe i policyjne, dać im autonomię, związać z kulturą, nauką, tradycją polską, czy po wojnie te narody nie stałyby się buforem, który odepchnąłby Polskę w bezpieczną strefę Austrii czy Finlandii? Co innego zagarnąć teren udający państwo przez kilka miesięcy, a co innego państwo posiadające wszystkie struktury, związane autonomią z innym. Narody pamiętają długo nie tylko krzywdy, także dobrodziejstwa – hegemonia sowiecka nie była Bułgarom tak uciążliwa właśnie przez tę pamięć sięgającą ubiegłego stulecia. Dwadzieścia lat rozsądnej polityki przedwojnia, szczególnie w stosunku do Ukraińców, zmieniłoby zupełnie obraz okupacji – Podola czy Wołynia nie byłoby, bo zabrakłoby powodu. Akcja „Wisła” także nie ujrzałaby światła dziennego. Już nie mówię o promieniowaniu polskiej kultury, sztuki na Wschód, na ziemie od 700 lat związane z naszą państwowością, więc w sposób naturalny skłonne do wchłaniania polskości. Zapominamy, że po 700 latach militarnej ekspansji na Wschodzie stoimy dokładnie w punkcie zerowym, że jeżeli coś tam zostawiliśmy, to należy to wyłącznie do szeroko rozumianej kultury.

Możemy lekceważyć podmiotowość Białorusi czy Ukrainy – poradzą sobie bez nas. Ten wariant już przerabialiśmy 350 lat temu, skończył się Perejaśla-

wiem (oddaniem najpierw części, potem całej Ukrainy, wzmocnieniem Rosji i w konsekwencji rozbiorami). Posmak Perejaśławia czułem w słowach egzarchy Filareta, kiedy z przekonaniem mówił o patriarchalnej zwierzchności Moskwy nad Białorusią. Ta sytuacja nie wynika z miłości Białorusinów do Rosjan. Sprowokował ją polski Kościół, pozostawienie spraw swojemu biegowi przez nasz rząd, sejm, senat. Coś tam robiliśmy w ostatnich latach, i dokładnie to coś mamy. Nic więcej.

Paweł Jasienica pisał, że wielkim, niespełnionym przeznaczeniem Rzeczypospolitej Polskiej była wolna, mocna gospodarczo i militarnie Ukraina. Wiedział, co mówi: dwa przyjazne, czterdziestomilionowe narody w środku Europy z łatwością sprowadziłyby takiego Stalina do wymiaru Ceașescu, ewentualnie skrzyżowanego z cesarzem Bokasą. W takiej konfiguracji politycznej rewolucja mogłaby sięgnąć najwyżej po Syberię i Mongolię. Dziś Białoruś, Ukraina stają się wolne. Na litość boską, nie udawajmy, że tego nie widzimy! Wspierajmy je nie dla nich, przede wszystkim dla samych siebie.

Ryszard Surmacz, dziennikarz, jeden z kilku (!) ludzi wiedzących, co naprawdę dzieje się na naszym Śląsku Opolskim, po wysłuchaniu mojej relacji z podróży do Mińska powiedział:

– Na Śląsku mamy sytuację identyczną. Niuans polega na tym, że my występujemy w roli Białorusinów, a Niemcy Polaków. Czyżby Kościół w Polsce nie zdawał sobie z tego sprawy?

[9/1993]

Ukraina sam na sam

Nie ziściły się sny o szlachetnej i hojnej Ameryce. Nie przyhołubiła nas zachodnia Europa, chociaż wielu ziomków w Kijowie i Lwowie myślało, że w Bonn i Paryżu tylko czekają na chwilę ogłoszenia niepodległości, aby ruszyć z pomocą „przedmurzu” starego kontynentu. Zawiodła miłość do Polski, oparta na naiwnej wierze, że podziwiany przez wiele lat za niesłychaną odwagę, tupet i kunszt rozwinięcia opozycyjnej mozaiki, zachodni sąsiad zgnębianego i stłamszonego narodu stanie się jego druhem i jeśli nie sojusznikiem, to przynajmniej powiernikiem lub choćby przyjaznym adwokatem ukraińskiej sprawy tam, gdzie Polska już zdobyła jakiś status, na przykład w Niemczech albo we Francji, może i w Ameryce. Byłem wówczas czymś w rodzaju stręczyciela między Kijowem a Warszawą, i wcale się tego nie wstydzę, a że z ożenku nic prócz zawiedzionej miłości nie wyszło, nie poczuwam się do winy. Po prostu przeceeniłem gotowość moich polskich przyjaciół do poświęcenia aktualnych przyziemnych i narodowo-regionalnych zadań w imię stworzenia wizji przyszłości w szerszym niż tylko nadwiślańsko-nadodrzańskim aspekcie. Zaliczam to do porażki naszej wspólnej koncepcji grupy „Kultury” w jej planach ziszczenia drugiego etapu w stosunkach polsko-ukraińskich. Nie nazywam tego – dla mnie osobiście i dla moich ukraińskich przyjaciół aktualnie niefortunnego rozdziału w dziejach naszych krajów i narodów – klęską naszej koncepcji, ponieważ ten pierwszy etap wykoncypowany przez Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego o uznaniu powojennych granic i pogrzebaniu wzajemnych roszczeń terytorialnych jest naszym wspólnym historycznym sukcesem. Na tym fundamencie rozwijają się współczesne związki pomiędzy Warszawą i Kijowem i na nim będą bazowały przyszłe stosunki polsko-ukraińskie. Układ warszawski z 18 maja 1991 roku regulujący stosunki międzypaństwowe między obydwoma państwami jest niejako ukoronowaniem długoletnich wysiłków redaktora i zespołu „Kultury”.

Obydwu rządów i działaczom politycznym w Warszawie i Kijowie zabrakło w decydującym momencie historycznego instynktu i spojrzenia w przyszłość, by wykorzystać wyjątkową szansę w postaci upadku imperium. Szansę tę przegrała przede wszystkim Warszawa, bo w Polsce były bardziej wyraziste i ukształtowa-

ne przesłanki do wystąpienia z inicjatywą stworzenia – broń Boże – nie federacji polsko-ukraińskiej, ale regionalnego systemu współpracy ekonomiczno-politycznej od krajów bałtyckich poprzez Białoruś i Ukrainę do Rumunii, Węgier i ówczesnej Czechosłowacji. Rosja byłaby może z cichym pomrukiem – ale na pewno nie z liczącym się protestem – taki nieformalny, ale jakże ważny regionalny system bezpieczeństwa i kooperacji, zaakceptowała. Zachód choć z dąsami, ale bez jakichkolwiek sankcji byłby również przyjął ów nowotwór do wiadomości. Tym bardziej że dotychczasowe struktury międzynarodowe w postaci NATO czy KBWE i Wspólnoty Europejskiej nie były – i wciąż jeszcze nie są – zdadne do wypełnienia powstałego *vacuum* na wschodzie kontynentu. W rok po idealnej dacie do tego rodzaju inicjatywy polskiej z projektem systemu kolektywnego bezpieczeństwa między Rosją a Niemcami wystąpił prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk w nadziei, że go poprą prezydenci czy premierzy Polski i Węgier. Pozostał sam ze swym planem. Rozmaite mądrale nad Wisłą przykryły strach przed własną odwagą mało przekonywającymi – a gdyby tak było istotnie, to kompromitującymi głośno deklamowaną suwerenność – zastrzeżeniami Stanów Zjednoczonych, a potem względami na Rosję. Zresztą w ogólnym podsumowaniu takie czy inne przyczyny zmarnowanej szansy są nieważne, chyba tylko jako ostrzeżenie i przestroga dla następnych pokoleń naszych polityków, bo taka okazja jak w latach 1991–1992 już tak rychło nie nastąpi.

Ale mimo że nie mam na to dowodów, uważam, że interwencje amerykańskie, a tym mniej rosyjskie, nie były powodem polskiego braku wyobraźni i inicjatywy. Prawdziwym źródłem było to, że idea stworzenia wokół ich państw centrum przyciągania innych potencjalnie słabszych partnerów okazała się równie obca jak ongiś plany Piłsudskiego i Petlury współczesnym im społeczeństwom. Z tą różnicą, że warunki tym razem były o całe niebo korzystniejsze, właściwie bajecznie wygodne i proste. Po stronie polskiej zadziałały – zdaje się, że podobnie jak dawniej – tendencje nacjonalistycznego egoizmu połączonego z zupełnym niezrozumieniem sensu partnerstwa z Ukrainą. Wówczas były to prądy endeckie, dziś są to popłuczyny postdmowszczyzny zmieszane z postperelowskim lekceważeniem wschodniego sąsiada, będące rezultatem duchowej sowietyzacji. Nie przeczy temu owczy pęd części inteligencji polskiej na Zachód, lecz jest właśnie konsekwencją tych procesów, swego rodzaju odtrutką na zniechęcony Wschód, który był w prymitywnej formie narzucany i jednocześnie zupełnie niezrozumiały. Przecież nie było poważnej krytycznej publicystyki, sięgającej do korzeni pojęć i zjawisk, nie mówiąc o braku naukowych Instytutów Wschodnich. Stąd też pojawienie się nowych państw na wschodnich granicach Polski wywołało nie tylko zdziwienie, ale i sceptycyzm, a nawet nieufność, a w ślad za tym tendencje izolacjonistyczne. Jest to rezultat duchowego zubożenia, zapoczątkowanego po pierwszej wojnie światowej, kiedy to problem polsko-ukraiński w polityce narodowościowej i w publicystyce – z małymi wyjątkami – sprymitywizowano do kwestii „Małopolski Wschodniej”, a znajomość

ukraińskiego, czyli języka najważniejszego sąsiada na wschodzie i ówczesnej najliczniejszej mniejszości w Polsce, zredukowano do znikomej grupy naukowców lub niepoważnie traktowanych dziwaków.

Nie chcę wywołać wrażenia, że po stronie ukraińskiej wszystko było cacy-cacy. Wcale nie, a może nawet jeszcze gorzej, jeśli się uwzględni prześladowania tych Ukraińców za Zbruczem, którzy po zmianie polityki narodowościowej Stalina w roku 1934 usiłowali w dalszym ciągu, jak dotąd, poświęcić się sprawom polskim, i systematycznie postępującą likwidację polonistyki na uczelniach Ukrainy. Ale z drugiej strony takie zjawiska jak polska odwilż w październiku w 1956 roku, a przede wszystkim ruch „Solidarności” wywołały masowy pęd do uczenia się polskiego, aby móc słuchać audycji radiowych lub czytać sporadycznie docierające zza Buga wydawnictwa polskie. No a w Galicji i na Wołyniu było – i w ułamku istnieje jeszcze – sporo starszych ludzi, którzy nauczyli się przymusowo polskiego, ponieważ przed wojną był to język urzędowy. Ale to wszystko jest tylko kroplą w morzu powszechnej i wzajemnej niewiedzy. Konkludując, należy stwierdzić, że i Polska, i Ukraina – pierwsza bardziej niż druga – zaprzepaściły wyjątkową szansę na ścisłe partnerstwo. Dziś kiedy Rosja okrzepła i będzie przy cichym poparciu Zachodu bacznie uważać, by nie dopuścić do zbliżenia na linii Warszawa–Kijów, można tylko studentom polecać prace na temat utraconych możliwości. A urządzanie bezpośrednich linii telefonicznych między Belwederem i rezydencją prezydenta Ukrainy w ramach prezydenckiej Rady Konsultacyjnej jest na tle klapy politycznej w naszych stosunkach niczym innym jak dokumentem nicości tej instytucji.

Oko w oko z Rosją

Machnąwszy ręką na Ukrainę, Polska nie przysporzyła sobie przyjaźni czy prestiżu w Rosji. Za popełnione błędy można liczyć tylko na ironiczne uśmieszki, nawet nie na solidną nagrodę. Tak się już zresztą stało, jeśli chodzi o polskie NATO-wskie zachcianki. Wątpię też, czy wyszehradzkie porozumienie stanie się kiedykolwiek skutecznym sojuszem. Zarówno Czesi, jak i Węgrzy traktują tę umowę z coraz większym dystansem. Można to zauważyć przy każdej okazji w spotkaniach z premierem czeskim Klausem lub z ministrem spraw zagranicznych Budapesztu Gezą Jeszenszkym. Muszę jednak stwierdzić, że ukraińskie nadzieje pokładane w Węgrach również skończyły się fiaskiem z tym wyjątkiem, że współpraca na linii Kijów–Budapeszt jest żywsza niż na osi Kijów–Warszawa. Lepiej też wyglądają stosunki Ukrainy ze Słowacją niż z Czechami.

Ale wszystko to mało znaczy. Ukraina jest zdana sama na siebie i musi ze wspomnianych porażek dyplomatycznych wyciągnąć wnioski. W praktyce sprowadza się to do stosunków z Rosją. Wielkie plany niektórych kręgów opozycji dotyczące Bloku Bałtycko-Czarnomorskiego są bez sensu. Ani państwa bałtyckie, ani Białoruś o tym nie myślą. Zaś alternatywne koncepcje naddunajsko-

-czarnomorskiej współpracy z Mołdawią, Rumunią, Bułgarią, Gruzją, Azerbejdżanem i Turcją – rozbiły się częściowo z winy Kijowa, który dał się wyprzedzić Moskwie, wbrew życzeniom Kiszyniowa i Tyflisu, ale również z powodu opieszałości dyplomacji tureckiej, wciąż jeszcze niegotowej do podjęcia nowych koncepcji.

Cóż więc będzie obecnie w obliczu powstawania innej Rosji? Uda się jakoś ułożyć stosunki w przyzwoity sposób wbrew temu, co zaszło na początku września w Jałcie? Czy pycha i zarozumiałość nowego cara Borysa Jelcyna stanie się jeszcze bardziej ewidentnym czynnikiem ukraińskiej polityki Moskwy? Większość polityków ukraińskich postawiła na niego, ale nie z sympatii, lecz – jak to się mówi – z braku laku. Tylko komuniści zarzucili mu pogwałcenie konstytucji. Wielu demokratów w Kijowie, którzy zapowiadali długą wojnę domową albo przewręt „smutę”, woli raczej o tych przepowiedniach nie wspominać. Konserwatyści żądają wzmocnienia bezpieczeństwa, umocnienia granic. Nacjoniści wymagają wystąpienia ze Wspólnoty Niepodległych Państw i utrzymania potencjału broni nuklearnych. Zwracają uwagę na uroczystość odsłonięcia przez Borysa Jelcyna pomnika Jarosława Mądrego z Rusi Kijowskiej w rosyjskim Jarosławiu, w atmosferze nawrotu do historiografii Rosji carskiej, czyli tezy o kontynuacji Rusi Kijowskiej w postaci państwa moskiewskiego. Owe uroczystości w połączeniu ze skreśleniem fundamentalnych postanowień w projekcie nowej konstytucji rosyjskiej w dziedzinie federalizmu zrodziły nowe odruchy zagrożenia z północy, a ogłoszenie nowej rosyjskiej doktryny wojskowej wywołało dodatkowe obawy. Wreszcie Andriej Kozyriew, rosyjski minister spraw zagranicznych, przyczynił się też do przyływu fali nieufności wobec zwycięzców w Moskwie. Praktykując swój stary styl podważania tajnych rokowań denuncjowaniem w przeddzień rozmów swego kontrahenta, tym razem w Odessie w kwestii rakiet Kozyriew nie zdołał zatrzeć negatywnego wrażenia, chociaż się zmitygował i zmienił taktykę.

Ale są też optymiści, którzy widzą w zwycięstwie Jelcyna pozytywną zmianę, rzutującą na przyszłość wzajemnych stosunków. Pierwszym, który się tak odezwał, był Ihor Juchnowski, były wicepremier i wybitny naukowiec ze Lwowa, w 1991 roku jeden z kandydatów na urząd prezydenta. Juchnowski przypomniał, że już 24 sierpnia 1991 roku w debacie o sytuacji po nieudanym puczu moskiewskim oświadczył w parlamencie Ukrainy, że „powstaje nowa Rosja, a będzie nią Rosja Jelcyna”. Ta Rosja wstąpiła na szlak narodowego samookreślenia, co nie oznacza izolacji, bo dziś żadne państwo nie może się odgradzić od innych. Ale wszelki imperializm niweluje narodowe kultury i zuboża nie tylko jego ofiary, ale i panujące nacje. Jelcyn to rozumie, a jego zwycięstwo oznacza również kres ideologii marksizmu-leninizmu jako ideologii lumpów żyjących cudzym kosztem. Jest to również zwycięstwo gospodarki rynku, a to leży w interesie Ukrainy. Takie, na ogół niepopularne, *credo* na rzecz Jelcyna wydaje mi się częściowo podyktowane sympatiami do autorytaryzmu prezydenta Rosji.

Ihor Juchnowski kreuje bowiem model „demokracji sterowanej” dla Ukrainy. Trochę inaczej i ciekawiej argumentuje inny „optymista”, poseł do parlamentu, członek Akademii Nauk Borys Mokin. Sukces Jelcyna to nie tylko definitywna porażka sowieckiego systemu, ale też ostateczne utwierdzenie niepodległości Ukrainy, bo zwycięzca w próbie sił moskiewskich jest przecież sygnatariuszem umowy białowieskiej o likwidacji ZSRR i jest rzeczą nieprawdopodobną, aby się z tego miał wycofać. Jeszcze ważniejszym elementem jest jednak likwidacja rosyjskich formacji komunistycznej orientacji. Dzięki temu pokrewne ukraińskie ugrupowania tracą sojuszników w Moskwie, a tym samym grunt pod nogami we własnym kraju, gdyż część ich zwolenników świadoma tego, że ci panowie nie znajdują partnerów w Rosji, prawdopodobnie przestanie ich popierać.

No dobrze, miną wybory w Rosji, a po nich zacznie się natarcie nowych władz na Kremlu w kierunku integracji „bliskiej zagranicy” z moskiewskim centrum – prorokuje pismo „Republika” i zapytuje, jakie wnioski wyciągnie rząd Ukrainy z dramatycznych przemian u potężnego sąsiada północnego, przypominając, że nieudany pucz moskiewski w sierpniu 1991 przyniósł niepodległość państwa ukraińskiego. Cóż przyniesie druga nieudana rewolta w Moskwie obecnie Ukrainie – zapytują za „Republiką” obserwatorzy w Kijowie i nie znajdują przekonującej odpowiedzi.

Własną drogą, ale jak?

Osamotniona na zewnątrz i skonfrontowana z nową Rosją oficjalna Ukraina jakby przykucnęła nad miedzą i tkwi jak ogromna, przestraszona kuropatwa w bezruchu, drepzcząc od czasu do czasu w miejscu. Niektórzy kompatrioci chwają sobie spokój i ciszę na ukraińskim chutorze jako kontrast do krwawych wydarzeń w Moskwie, mrugając znacząco, że kiedy Moskale z tanków walą w swój parlament, Ukraińcy załatwiają konflikty fortelem i intrygą. Nie można im zaprzeczyć, sęk jednak w tym, że nie wiadomo, do czego to doprowadzi. Na skutek takiego powszechnego kumoterstwa zacierają się wszelkie granice pomiędzy wczorajszą i dzisiejszą nomenklaturą, rządem i opozycją, mafią i policją, anarchią i odpowiedzialnością. Wszystkie przepisy dotyczące zwalczania korupcji, płacenia zysków walutowych z eksportu do kasy państwa, zmuszania urzędników do wykonywania służbowych czynności bez łapówek pozostają martwą literą. Dzisiejsza Ukraina to wczorajsza Rosja z czasów Gorbaczowa: ustawiczna walka na górze w formie przepychanki i potworny bałagan na dole. Za czasów komunistycznych urzędnicy bali się wyrzucenia z partii i interwencji u przełożonych, zwłaszcza sekretarzy partyjnych. Dzisiaj nikt się nikogo nie boi, a miarą jakichkolwiek akcji jest wysokość łapówki.

Nic dziwnego, że upadł gabinet premiera Kuczmy. Legendarny szef największej wytwórni rakiet na świecie, który działał w systemie zwartej dyscypliny przemysłu zbrojeniowego, okazał się w świecie mafii i korupcji niezdarnym dzieckiem. Utonął w lawinie papierków, zaplątał się w labiryncie intryg rozma-

tych lobby i na koniec został pogrzebany przez swych konkurentów – prezydenta Krawczuka i przewodniczącego parlamentu Pluszcza. Żegnając się już po dymisji z prasą 22 września, oświadczył z goryczą, że przyjmując stanowisko szefa rządu, nie wiedział, że czyni fatalny krok w swym życiu. Ale Kuczma nie wycofuje się zupełnie z polityki. Jako fachowiec z dziedziny kosmicznych pojazdów powiada: „jeszcze mnie nie wyrzucono z orbity i nie zbieram się też do roli meteorytu, co się spala”. Jego popularność wśród społeczeństwa pozostaje w kontraście do słabych wyników w rządzeniu. Ale wśród ludu krąży wersja o tym, że „Kuczma to nasz chłop. Chciał się rozprawić ze złodziejami, ale mafia rządzi krajem i go powaliła”. Zgorzkniały szykuje się do odwetu i wystartuje chyba w przyszłym roku w wyborach prezydenckich.

Władzę nad gabinetem przejął prezydent Krawczuk, tworząc coś w rodzaju superrządu ponad Radą Ministrów i wciągając do tej instytucji kilka reprezentacyjnych figur, w tym również szefa parlamentu Pluszcza, jakby się ubezpieczając na dzielenie odpowiedzialności za nowe klęski gospodarcze. Prezydent rządzi przy pomocy dwóch wicepremierów z lobby „czerwonych dyrektorów” Zagłębia Donieckiego: Juchyma Zwiahilskiego, byłego dyrektora jednej z największych kopalń węgla, a potem burmistrza metropolii zagłębia miasta Donieck, i Walentyna Łandyka, przewodniczącego populistycznej Partii Pracy, również stamtąd. Taka struktura nowej władzy jest z wielu względów znamienita. Ograniczamy się do dwóch: przesunięcia punktu ciężkości z zachodu na wschód, które zostało poprzedzone dymisją przedstawicieli zachodnich regionów w gabinecie – Juchnowskiego, Herca i Pynzenyka z Galicji, Zakarpacia i Wołynia. Jest to niezwykle doniosła decyzja, gdyż przenosi dotychczasowe priorytety i orientacje, ustawia politykę kijowskiego centrum władzy na odmiennym poziomie. Jest to jednocześnie manewr odzwierciedlający troskę Krawczuka o sytuację w przeważnie rosyjskojęzycznych okręgach przemysłu ciężkiego. Ale krok ten ma jeszcze inną wymowę. Kuczma opierał się na lobby przemysłowego okręgu Dniepropietrowska i Krzywego Rogu. Polakom okolice te znane z *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza jako barwne stepy, dziś są to najbardziej zadymione regiony Europy, podobnie jak Górny Śląsk, gdzie skoncentrowane są koncerny chemiczne, budowy maszyn i przemysłu kosmicznego, zakładów zbrojeniowych. Przełożone na język polityczny takie przesunięcie oznacza zwrot w kierunku konserwatywnym – a zatem uderzenie w obóz reformatorski. Wciąż jeszcze prezydent Krawczuk nie zaprezentował narodowi solidnej koncepcji wychodzenia z katastrofy gospodarczej. Jego oświadczenia są mgliste i niekonsekwentne, a w otoczeniu prezydenta nie ma ekonomistów z prawdziwego zdarzenia. Krawczuk występuje ostatnio z niejasnym programem „własnej drogi” do reform pomiędzy gospodarką planową i rynkową. Wydaje mi się, że jest to kolejny unik głowy państwa, gra na zwłokę, w myśl zasady: byle do wiosny, byle do wyborów. Ale tak jak sprawy stoją, można przypuszczać, że ani wybory do parlamentu w dniu 27 marca, ani głosowanie na nowego prezydenta w dniu 26 czerwca 1994 roku nie zmienią radykalnie dotychczasowych układów politycznych. [12/1993]

ANDRZEJ NOWAK

Tradycje polskiej polityki wschodniej

Państwo polskie ma na wschodniej granicy trzech nowych sąsiadów. Niepodległa Ukraina, niepodległa (przynajmniej formalnie) Białoruś, niepodległa (jak dotąd) Litwa odsuwają od nas strefę dominacji mocarstwa, w którego cieniu Polska znajdowała się przez ponad 250 lat. Nowy układ geopolityczny, jakkolwiek bardzo jeszcze niestabilny i opatrzony tak wieloma znakami zapytania, daje polskiej polityce zagranicznej szansę – jak to ocenia prof. Brzeziński – jakiej nie było od rozejmu w Andruszowie*. Szansę trwałego zabezpieczenia wschodniej granicy i zbudowania systemu równoprawnych układów z sąsiadami, układów wykluczających odtworzenie imperialnego systemu dominacji. Nowa sytuacja geopolityczna oznacza także, do pewnego stopnia, spełnienie marzeń, które prowadziły myśl polskiej polityki wschodniej, najczęściej wbrew realnym nadziejom, przez owe 250 lat. Jest to więc dobry moment, by szlak tej myśli przypomnieć, podsumować jej sens historyczny i zastanowić się – w jej perspektywie – nad przyszłością. Spróbujmy zatem.

Nowoczesna refleksja nad zasadami naszej polityki wschodniej rodzi się wraz z poczuciem zagrożenia polskiej niepodległości w pierwszej połowie XVIII wieku, w warunkach całkowitego zdominowania publicznego życia Rzeczypospolitej przez rosyjską „opiekę”. Władysław Konopczyński opisał zwięźle i celnie ten proces:

Czego nie dokonała przezorna polityka habsburska, to sprawił brutalny nacisk Rosjan. Polak zaczął odróżniać niepodległość narodową od swobody osobistej. Od samego też początku owa niepodległość konkretyzuje się w umysłach jako przede wszystkim obrona przed Rosją**.

Konfederacja barska, Rejtan, obrady Sejmu Wielkiego w hałasie antymoskiewskiej inwektywy, walka w obronie konstytucji majowej, Targowica, powstanie

* Zob. Z. Brzeziński, *Koniec zimnej wojny: szanse dla Polski i dla świata*, „Arka” nr 39–40/1992, s. 26–27.

** W. Konopczyński, *Konfederacja barska*, t. 1, Warszawa 1936, s. 14.

kościuszkowskie, wreszcie rzeź Pragi – wydarzenia i postaci zyskują wkrótce znaczenie symbolów tworzących nowe rozumienie narodowej tożsamości. One właśnie, wyrastając ponad wszelkie inne doświadczenia XVIII wieku, nakazywały spośród trzech zaborców w Rosji właśnie wskazać głównego wroga polskiej niepodległości.

Jeśli w Warszawie obydwu Sasów i Stanisława Augusta przeważał z mniejszym lub większym nasileniem wpływ rosyjskiej ambasady, to z chwilą likwidacji owej placówki – wraz z wymazaniem Rzeczypospolitej z mapy – panowanie imperatorowej objęło 63% ziemi polskiego państwa w granicach z 1772 roku. Po przyłączeniu obwodu białostockiego w 1807 roku do cesarstwa i utworzeniu osiem lat później Królestwa Polskiego wnuk Katarzyny zjednoczył pod swoim berłem około 82% przedrozbiorowego terytorium Rzeczypospolitej (dla porównania – Austria 11%, Prusy 7%). W latach dependencji przedpodziałowej, jak też w układzie kordonów po 1815 roku każde powstanie narodowe musiało zwrócić się przede wszystkim przeciw rosyjskiemu imperium.

Jak rozbić rosyjskie imperium? – to w ciągu ostatnich 250 lat pierwsze, podstawowe pytanie polskiej polityki wschodniej, a w każdym razie tego jej nurtu, który za cel nadrzędny stawiał sobie odzyskanie i zabezpieczenie pełnej, rzeczywistej niepodległości Polski. Początkowy bieg tego jednego tylko nurtu postaram się poniżej naszkicować (pominę zatem zupełnie rozwijające się paralelnie koncepcje ugody, oparcia państwowości polskiej na Rosji i jej potęgę).

To nie Piłsudski wymyślił strategię osłabienia nazbyt potężnego wschodniego sąsiada przez jego rozbięcie na narodowościowe atomy, przez odwołanie do separatystycznych tendencji nierosyjskich narodów imperium. Nie on pierwszy pomyślał o szansie, jaką dla sprawy polskiej niepodległości stanowiłaby rewolucja wewnątrz Rosji. Te właśnie dwa motywy – nadziei na przewrót wewnętrzny w samej Rosji oraz myśli o podniesieniu przeciw Moskwie narodowości „okrain” imperium – pojawiają się nieomal natychmiast, gdy tylko problem nieuchronnego starcia z przygniatającą potęgą rosyjskiego państwa pojawia się na horyzoncie politycznej wyobraźni Polaków. Pierwszy dokument, w którym oba są już w pewnym stopniu zapowiedziane, pochodzi z 1733 roku, a nosi tytuł *Zdanie narodu polskiego, osobliwie konfederacji sandomierskiej, dane do uwagi narodowi rosyjskiemu i kozackiemu*. Wątek wezwania samych Rosjan do buntu przeciw władzy nie tylko Polaków, ale i ich także gniozącej, ponowi 35 lat później *Oświadczenie konfederacji [barskiej – A. N.] stanom i obywatelom rosyjskim*. Obydwa teksty wiążą się ściśle w swej wymowie i celu z kontekstem polityczno-militarnym, w jakim się rodziły, a którego szerzej nie możemy tutaj omawiać*.

* Zob. W. Kriegseisen, *Trzy pisma propagandowe z okresu przedostatniego bezkrólewia*, „Kwartalnik Historyczny” 1983, z. 4, s. 809–822; A. Nowak, *Kto powiedział, że Moskale są to bracia nas, Lechitów... Idea słowiańskiego pobratymstwa i historia polskiego apelu wolnościowego do Rosjan – 1733–1831*, „Kwartalnik Historyczny” 1990, z. 1, s. 85–116.

Powiedzmy tylko tyle, że obydwie powstawały w czasie walki toczonych przez konfederatów (w 1733 roku dzikowskich, w 1768 roku barskich), walki, którą rozstrzygnąć miała interwencja rosyjskich oddziałów. Dwa te apele miały więc naturalnie sens dywersyjny – miały skłaniać swych adresatów do opuszczenia, a najlepiej odwrócenia bagnetu, z którym zostali przysłani do „przywracania porządku” w Rzeczypospolitej. Ten sam motyw utrwalił się odtąd na stałe w kolejno podejmowanych zrywach powstańczych, które zwracając się przeciw rosyjskiemu imperium, wśród jego poddanych będą także szukały potencjalnych sojuszników, starając się w każdym razie dotrzeć zawsze z antycarską propagandą i wolnościową ideologią pod żołdacki szynel.

Na progu kampanii 1792 roku książę Józef Poniatowski wysłał w głąb Rosji – jak zanotował z trwogą ambasador Katarzyny – „kilkuset apostołów wolności”. W dwa lata później Naczelną Radę Litewską kościuszkowskiej insurekcji wydała specjalną odezwę – w języku rosyjskim – wzywającą żołnierzy imperatorowej do wystąpienia przeciw caratowi. Z pomysłu Józefa Pawlikowskiego i samego Naczelnika podejmowane są jednocześnie próby agitacji powstańczej i antyrosyjskiej zarazem w szeregach kozaczyzny*. Pomysł wraca znów w powstaniu listopadowym, tym razem w wielu rozmaitych realizacjach, z których wymienić trzeba na pewno jedną przynajmniej: sformułowanie przez Lelewela słynnego przez następnych 150 lat hasła walki „za naszą wolność i waszą”. W dwujęzycznej, polskiej i rosyjskiej wersji, zatykane na proporcach przed polskimi liniami trafić miało do korpusów Dybicza. Kilka wydanych odezw, projekt antycarskiego apelu sejmowego do Rosjan (znów autorstwa Lelewela), sławna manifestacja żałobna ku czci dekabrystów, wreszcie mniej nieco znana inicjatywa wydania w formie propagandowej książeczki projektu konstytucji dla Rosji – to kolejne dokumenty uporczywie wracającej w 1830–1831 roku nadziei na poruszenie od wewnątrz carskiego imperium. Po klęsce powstania nadzieja przenosi się na emigrację. Stąd wydany zostaje w 1832 roku słynny apel Komitetu Narodowego Polskiego do Rosjan (wspólnego autorstwa Lelewela i Mickiewicza), wykorzystywany – obok kilku innych, mniej głośniejszych odezw – w próbach agitacji na terenach rosyjskiego zaboru przez emisariuszy emigracyjnej lewicy, w szczególności przez Szymona Konarskiego i jego konspiracyjnych współtowarzyszy. Są także wznawiane apele do Kozaków i Rusinów z myślą o ich poderwaniu do walki z Moskwą – pojawiają się one m.in. w propagandowym ekwipunku zaliwskich w 1833 roku**. Wyłapują je carscy żandarmi i celnicy na galicyjskiej granicy w okresie przygotowań do następnego, poronio-

* Tamże, s. 93–94; zob. także „Dziennik Bułhakowa”, [w:] W. Kalinka, *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, cz. 2, wyd. 2, Kraków 1891, s. 380, 384.

** Zob. A. Nowak, *Wokół Lelewelowskiej odezw do Rosjan (1832 r.)*, „Studia Historyczne” 1988, z. 3, s. 373–396.

negu powstania w 1846 roku. Czas Wiosny Ludów znów sypie kolejnymi przykładami, wzmacnianymi – jeśli idzie o antycarskie wezwania do Rosjan – ideowym wsparciem ze strony pierwszych emigrantów rosyjskich, Hercena, Bakunina, Sazonowa, Gołowina. W stosunkach z nimi właśnie dojrzewa na progu powstania styczniowego jeszcze jedna próba nawiązania współpracy z Rosjanami, rosyjskimi żołnierzami przede wszystkim, w polskiej walce z caratem. Dwa z trzydziestu tomów pomnikowego wydania serii dokumentów o powstaniu 1863 roku dają wyczerpujący przegląd owych prób, znanych w większości na tyle, byśmy ich nie musieli tutaj przypominać*.

Sto trzydzieści lat prób – bez żadnego efektu? Wiemy, że Rosjan nawróconych przez polską propagandę wolnościową w kolejnych jej wcieleniach i wariantach znacznie łatwiej policzyć niż tych carskich żołnierzy, którzy wiernie i z oddaniem spełnili obowiązek wobec cara – obowiązek *usmirienija polskiego miatieża*. Wiemy, że ciąg agitacyjnych apeli – tak do żołnierzy rosyjskich, jak i do nierosyjskich mniejszości imperium – nie wpłynął w najmniejszym stopniu na rezultaty polskich niepodległościowych zrywów w XVIII i XIX wieku.

Przypomniane tutaj w największym skrócie powstańcze odezwy swoje historyczne znaczenie odsłaniają jednak nie w doraźnej skuteczności, a raczej w jej braku. Stanowią one najpłytszą jakby warstwę myśli o rozbiciu rosyjskiego imperium z wykorzystaniem tkwiącego w jego politycznej, opresywnej strukturze, potencjału wybuchowego. Zdać sobie trzeba sprawę, że w każdym powstaniu przeważała intencja antyrosyjska *tout court*, nierozróżniająca caratu i jego poddanych i że większość z wymienionych odezw w swej bezpośredniej intencji nie wychodziła również poza doraźny, propagandowy cel, mający faktycznie raczej osłabić morale przeciwnika, niż poważnie poszukiwać w jego szeregach potencjalnego sojusznika. Rzecz w sytuacji walki normalna, jednak w swej ciągłości, w świadomości ponawianych już nawiązaniach, ciąg owych powstańczych apeli tworzył pewną tradycję, tradycję gestów przynajmniej, które złożyły stopniowo coraz głębszy ślad w politycznej wyobraźni niepodległościowej orientacji. Za kulisami powstańczego teatru, co ważniejsze, towarzyszył im rozwój rzeczywistych, w pełni poważnie branych programów odpowiadających polskiej polityce wschodniej.

W programach tych spotykają się te same, z pozoru sprzeczne i wykluczające się wątki, co w powstańczych apelach: wątek rewolucyjnego sojuszu antycarskiego z Rosjanami oraz wątek pobudzenia przeciw Moskwie nierosyjskich narodów imperium, przede wszystkim Ukrainy. Charakterystyczny jest tu przykład Józefa Pawlikowskiego, ideologicznego „mózgu” kościuszkowskiej insurek-

* Zob. S. Kieniewicz, *Rewolucyjny sojusz polsko-rosyjski w dobie powstania styczniowego*, [w:] *Związki rewolucyjne Polaków i Rosjan w XIX w.*, Wrocław 1972, s. 111–124; por. A. Nowak, *Rosja w publicystyce politycznej Wielkiej Emigracji przed powstaniem styczniowym*, „Przegląd Historyczny” 1991, z. 1, s. 79–81.

cji. W swym najsłynniejszym politycznym dziele, anonimowo wydanej broszurze z 1800 roku ze słynnym pytaniem w tytule: *Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?*, Pawlikowski stawia te dwa wątki obok siebie jako dwie drogi, których w poszukiwaniu niepodległości Polacy powinni spróbować. Rozważa wydanie caratowi „wojny opinii” (czyli ideologicznej, jakbyśmy to w XX wieku powiedzieli) w samym narodzie rosyjskim – przy pomocy hasła świeżej rewolucji francuskiej, a zarazem proponuje rozbicie państwa rosyjskiego przez powołanie tkwiących w nim sił odśrodkowych, w pierwszym rządzie Kozactwa, przez przeciwstawienie Petersburgowi „czteromilionowego żywiołu Małorosji”. W 1807 roku Pawlikowski wybierze już zdecydowanie drugą z tych ewentualności, proponując w poufnym memoriale złożonym Napoleonowi całkowity rozbiór polityczny cesarstwa Rosji na jej etniczne składniki*.

Przypominając ten memoriał, wchodzimy w kontekst, który dla koncepcji polskiej polityki wschodniej miał znaczenie zasadnicze – kontekst nadziei na wsparcie naszej walki z rosyjskim imperium o niepodległość przez mocarstwa zachodnie. Epoka napoleońska w naturalny sposób tę nadzieję rozbudziła, skłaniając twórców polskiej myśli politycznej tamtego czasu do podporządkowania roli Polski na wschodzie kontynentu ogólnemu scenariuszowi politycznej gry, jaki podyktować miał całej Europie przywódca największego mocarstwa Zachodu. Polska wchodzi wtedy w owych planach w funkcję przedmurza, autorzy zaś koncepcji polskiej polityki wschodniej w rolę suflerów wielkiej polityki Zachodu (w tym wypadku Cesarza Francuzów). Nie jeden Pawlikowski doradzał wówczas Napoleonowi rozbicie Rosji i postawienie na jej miejscu wielkiej Polski jako głównego w tym rejonie sojusznika Francji. Tajne memoriały w sprawie konieczności rozczłonkowania rosyjskiego molocha i budowy w jego miejscu wielu nowych państw narodowych (znów – na czele z Kozaczyzną) składał Napoleonowi przed kampanią 1812 roku także gen. Michał Sokolnicki. W swych projektach opierał się on na gotowych już planach spadkobierców idei mazepińskiej Ukrainy, hetmana Filipa Orlika i jego syna Grzegorza**. Od strony teoretyczno-propagandowej plany te wspierały najtęższe umysły Księstwa Warszawskiego. Hugo Kołłątaj w swoich *Uwagach...* z 1808 roku oraz Stanisław Staszic w dziele *O statystyce Polski* rysowali wizję odrodzonej, sięgającej po Dniepr Rzeczypospolitej jako przedmurza napoleońskiej federacji oświeconych narodów Europy. Rosja z „wielkiej rodziny narodów Europy” była w tych dziełach wykluczona***. I było to dla strategii polskiej polityki niepodległościowej

* Zob. [J. Pawlikowski], *Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość*, oprac. i wstęp E. Halicz, Warszawa 1967.

** Zob. O. Subtelny, *Peter Ts Testament: A Reassessment*, „Slavic Review” 1974, t. 33, nr 4, s. 675–677.

*** H. Kołłątaj, *Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju tylżyckiego poczęto zwać Księstwem Warszawskim*, Lipsk 1808; S. Staszic, *O statystyce Polski*, [w:] tenże, *Pisma filozoficzne i społeczne*, t. 2, Warszawa 1954.

opartej na mocarstwie zachodnim naturalne. Natężenie realnych nadziei na owo wsparcie ze strony Zachodu musiało być bowiem wprost proporcjonalne do natężenia kontrastu między Rosją i Europą, do wizji zagrożenia europejskiej równowagi i pokoju przez agresywne, „barbarzyńskie” imperium. Zainteresowanie sprawą polską było w geopolitycznych realiach Europy porewolucyjnej funkcją rusofobii. Świadomość tej zależności odzwierciedli się w ogromnym, niezgłębionym dotąd do końca, antyrosyjskim wysiłku propagandowym polskiej orientacji niepodległościowej na Zachodzie w ciągu całego niemal XIX wieku. To także część, czy może raczej pewien aspekt jednego z wariantów polskiej polityki wschodniej.

Wariant, o którym teraz mówimy, a mianowicie koncepcja osłabienia Rosji i jej ewentualnego rozbicia przy pomocy mocarstw zachodnich, najznakomitszego swego reprezentanta znalazł w księciu Adamie Jerzym Czartoryskim. Eksminister spraw zagranicznych Cesarstwa Rosyjskiego w ciągu trzydziestu lat swej emigracyjnej działalności – po powstaniu listopadowym – stworzył cały system wychodźczej dyplomacji i propagandy na użytek tej właśnie idei. Nie sposób prezentować tu pełnej skali jego starań o wciągnięcie Anglii i Francji w konflikt z Mikołajem I, nie sposób przedstawić wszystkie, jakże nowoczesne metody oddziaływania nie tylko bezpośrednio na polityków, ale i na publiczną opinię tych krajów. W tej roli książę Adam był już zresztą wielokrotnie przedmiotem uwagi badaczy*. Zwrócić natomiast chcemy uwagę na fakt zdumiewającego połączenia przez księcia owego „okcydentalistycznego”, by tak rzec, wariantu polskiej polityki wschodniej z pozostałymi wymienionymi dotąd koncepcjami rozwiązania problemu rosyjskiego imperium.

Między innymi po generale Sokolnickim odziedziczył Czartoryski ideę podważenia Rosji przez odbudowę kozackiej Ukrainy – złączonej przymierzem z Rzeczpospolitą. Kapitałne znaczenie kwestii ukraińskiej w rozgrywce między Polską i Rosją podkreślił także w swym przedśmiertnym liście do obozu księcia Maurycy Mochnacki, największy bodaj geniusz chłodnej analizy strategicznej w dziejach naszej XIX-wiecznej polityki wschodniej. „Poruszyć Ruś – albo nie masz polityki polskiej, albo jest ona cała w tym wielkim i niezmierzonym przedmiocie”, pisał w 1834 roku Mochnacki. Autor *Powstania narodu polskiego* zostawił w swym politycznym testamencie przesłanie skupienia całej walki niepodległościowej na tzw. Ziemiach Zabrzanych, a więc dzisiejszej Litwie, Białorusi i przede wszystkim właśnie Ukrainie. Pobudzenie innych żywiołów wieloetnicznego cesarstwa traktował już tylko jako pożyteczną dywersję w tej głównej rozgrywce. Wierzył, że Polska samodzielnie, w wysiłku powszechnego powsta-

* Por. M. Handelsman, *Adam Czartoryski*, t. 1–3, Warszawa 1948–1950; H. H. Hahn, *Dyplomacja bez listów uwierzytelniających. Polityka zagraniczna Adama Jerzego Czartoryskiego 1830–1840*, tłum. M. Borkowicz, Warszawa 1987.

nia narodowego, będzie w stanie oderwać pas ziem litewsko-ruskich od Rosji. To zaś, jak wierzył, odrzuci na zawsze Rosję od Europy i sprowadzi ją do „politycznej nicości”. Taki cel stawiał przed polską polityką, wychodząc z założenia fundamentalnej sprzeczności politycznego interesu Polski i Rosji*.

Z koncepcji Mochnackiego przyswoił sobie Czartoryski przekonanie o wyjątkowej randze kwestii ukraińskiej. Nie ograniczył się jednak tylko do niej. Listę żywiołów etniczno-religijnych, które mogłyby rozsadzić imperium i dać podstawę do nowej konstelacji politycznej za wschodnią granicą odrodzonej Polski, Hotel Lambert przedłużył wydatnie i uszczegółowił daleko bardziej niż jakikolwiek ośrodek myśli politycznej przed nim – i po nim (aż do piłsudczykowskiego centrum prometeizmu). Pierwszy opis owego pasa narodów podbitych, który stać się miał szatą Dejaniry mikołajewskiego imperium, Czartoryski przedstawił w artykule anonimowo opublikowanym na łamach francuskojęzycznego organu swej propagandy – „Le Polonais”. To jeden z ważniejszych być może, a całkowicie zapomniany dokument polskiej polityki wschodniej. Czartoryski wylicza w nim m.in. Tatarów krymskich, narody kaukaskie, a także – jako osobną kategorię – wszystkich muzułmańskich poddanych cara, Małorus i Kozaczyznę, Finlandię i chłopską ludność autochtoniczną Kurlandii, Łotwy i Estonii jako głównych aktorów swojego scenariusza wewnętrznego rozpadu cesarstwa**. Do tych narodów, grup etnicznych i religijnych (dojdzie później jeszcze grupa rosyjskich prześladowanych starowierców) będzie się starał docierać z niepodległościowymi, antycarskimi wezwaniami, wezwaniami do współpracy w przygotowaniu obalenia carskiego więzienia narodów. Historia misji Hotelu Lambert, podejmujących w latach czterdziestych i pięćdziesiątych to zadanie, wykracza poza ramy naszego szkicu. Dodajmy tylko, że podstawą planowanej przez Czartoryskiego „akcji uzgodnionej” owych żywiołów miała być zagrożona ekspansją caratu Turcja, a także wsparcie (finansowe, a w najlepszym wypadku i militarne) ze strony Francji i zwłaszcza Anglii. Polacy – agenci księcia mieli w odpowiednim momencie przygotowaną przez siebie akcją pokierować, koordynować jej przebieg, wprowadzić także do walki polskie legiony. Szczegółowym planom takiej akcji, prowadzonej bądź to od Kaukazu, bądź od Dunaju, towarzyszyła głęboka podbudowa ideowa, której fundament dał książę Adam w wydanym jeszcze w 1830 roku *Eseju o dyplomacji*. Rozwinął w nim zasadę prawa narodów do niepodległego bytu, uznając jej nadrzędność w stosunku do tak bliskiej wszystkim dyplomatom zasady utrzymania aktualnego porządku i równowagi. Wi-

* Zob. M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego*, oprac. S. Kieniewicz, t. 1–2, Warszawa 1984; T. Kozanecki, *Maurycy Mochnacki i obóz Czartoryskiego. Inedita z września–listopada 1834 roku*, „Przegląd Historyczny” 1956, z. 4, s. 721–765.

** Piszę na ten temat obszerniej w szkicu *Jak rozbić rosyjskie imperium? Koncepcje polityczne i fantazje kręgu Adama Czartoryskiego 1832–1847*, „Studia Historyczne” 1990, z. 2, s. 203–207.

dział w przyszłości książę miejsce dla niepodległości wymienionych w swoim szkicu z „Le Polonais” narodowości i grup etnicznych – a więc dla Królestwa Gruzji i Armenii, państwa Tatarów krymskich, połączonego z Małorosją państwa Kozaków, które łączyć by miały z Rzeczpospolitą więzy ścisłego sojuszu. Widział jednak książę w swoim planie także miejsce dla Rosji. Nie usuwał jej z kręgu europejskiego. Zakładał bowiem, że bez pozyskania również bodaj części Rosjan dla idei wyzwolenia ich kraju spod jarzma carskiego systemu, wyzwolenia, którego ceną musi być rezygnacja z imperium, jego wielki plan nie będzie trwał, w przypadku powodzenia pozostanie bowiem zawsze zagrożony rewizjonizmem potężnego rosyjskiego narodu. Wielki plan Czartoryskiego obejmował więc w praktycznych działaniach także zamiysł nawiązania kontaktów z grupami niezadowolonych oficerów rosyjskiej armii, skupionych głównie na swoistym zesłaniu na Kaukazie, gdzie można by – jak miał nadzieję książę – stworzyć również legion rosyjski, towarzyszący ogólnemu ruchowi wyzwolenczemu*. I ten plan jednak nie zdał swego pierwszego egzaminu, jakim stała się wojna krymska. Okazał się przedwczesny z punktu widzenia rozwoju narodowej, politycznej samoświadomości jego wieloplemiennych adresatów, okazało się również, iż nie doceniał on stopnia wewnętrznych sprzeczności i antagonizmów między nimi (choćby między Kozakami i Tatarami krymskimi czy muzułmańską i chrześcijańską ludnością Kaukazu). Pozostawał jednak na przyszłość – jako pewna możliwość, a w każdym razie nowa, oryginalna perspektywa polskiej myśli politycznej wobec rosyjskiego problemu.

Dziedzictwo tak szkiełowo i wrywkowo przedstawionych koncepcji niepodległościowej polityki wschodniej XVIII i XIX wieku, mimo niepowodzeń zamkniętych klęską styczniowego powstania, nie pozostało martwe. Nawiąże do niego Józef Piłsudski w latach 1918–1921, choć i jemu nie udało się jeszcze uzyskać trwałego powodzenia.

[7–8/1994]

* Tamże, s. 201–202 i 208–223.

ANNA STROŃSKA

Lachy i rezuny

Ilu obywateli III Rzeczypospolitej przyznaje się do swej ukraińskości? Autor opracowania *Stereotyp Ukraińca w świadomości młodzieży Polski południowo-wschodniej*, Jerzy Jestal z Instytutu Filozofii i Socjologii WSP w Rzeszowie, konstatuje, że są wsie zamieszkane w połowie przez Ukraińców, z których w najlepszym razie co piąty nie ukrywa, że nie jest Polakiem.

W tych stronach religia automatycznie równała się narodowości. Katolik znaczyło zawsze: Polak. Stąd podczas akcji „Wisła” zdarzały się nawet masowe przejścia na obrządek rzymski, np. w Lesku proboszcz znienacka pozyskał stu nowych wiernych...

Do dzisiaj nie wiadomo, ilu unitów mieszka w województwie, ilu – w samym Przemyślu. Wiosną telewizja informowała, że Wielkanoc podług swojego kalendarza będzie obchodzić 30 tys. grekokatolików. Metropolita nowo powstałej metropolii przemysko-warszawskiej w dwa miesiące później mówił o stu tysiącach, „Polityka” pisze o dwustu.

Dlaczego rzymscy katolicy tak ciężko dogadują się z grekokatolikami? Różnice głównie liturgiczne, w zasadzie tylko one, poza celibatem, bo spór o dogmaty to już z prawosławiem, rzadziej wyznawanym na południowym wschodzie Polski. Tymczasem walka unitów o własną świątynię w Przemyślu ma długą i przykrą tradycję. Władze peerelowskie – ponoć pod naciskiem Moskwy – proponowały przemyskim grekokatolikom cerkiew, ale prawosławną. Może strona sowiecka miała swoje widoki na poszerzenie strefy prawosławia jako wyznania w ówczesnych warunkach nieprzeszkadzającego w tłumieniu świadomości narodowej Ukraińców, w ich rusyfikacji, podczas gdy grekokatolicyzm sprzyjał tendencji najdokładniej odwrotnej. Nie upierałabym się, że grekokatolikom brakło podstaw do podejrzeń, iż Episkopat stawia na sytuację, w której część unitów ulegnie i przechyle się ku prawosławiu, ale większość pozbawiona katolicyzmu greckiego – wybierze rzymski, po czym problem zgaśnie.

Nie zgasił.

Minęło trochę lat i w kraju, w którym jedynym niekwestionowanym autorytetem był papież – polski papież, w jednej z najstarszych polskich diecezji wybuchł skandal, owieczki pokazały zęby. Właśnie tu, w Przemyślu, w którym sil-

ne niegdyś lewicowe orientacje są już tylko historią, teraz i w gustach politycznych, i w lokalnych władzach dominuje prawica. Podczas wizyty papieskiej nasza telewizja robiła co mogła, by zatuszować nastroje, kamery starannie omijały tłum wymachujący transparentami, skandujący hasła odległe od standardów brukselskich. To nie z przypadku papież nocował w odległym Lubaczowie, mając do dyspozycji okazałą siedzibę kurii przemyskiej. Chciał okazać dysgust? Jemu chciano zaoszczędzić afrontów? Pewnie jedno i drugie. Tak czy siak, w Przemyśle doszło do najmniej właśnie z tej okazji spodziewanego potwierdzenia, że w żadnym dzbanie ucho wieczne nie jest.

Daleko od „Zakierzonii” i zagmatwań polsko-ukraińskich – w Sejnach – też okresami wybuchały, a bez przerwy ślimaczyły się zatargi o prawo nawet nie do własnej świątyni, tylko do własnych nabożeństw. Litwini chcieli się modlić i słuchać kazań po litewsku: Polacy nie ustępowali. Z tej okazji sejneńskie dewotki wykrzykiwały do swych sióstr w Chrystusie: „Wasza Matka Boska to s z w e n t a krowa, a nie żadna Matka Boska”. Ujmujący przyczynek do bajd o polskiej tolerancji.

Rozkwita literatura nostalgiczna, mnożą się pamiątki, mocno cukrujące prawdę o Kresach. Albumy, wystawy przyświadczały idylli, co to niegdyś... i zawsze... i na pewno... Spod piór i spod kamer niegdyśiejszość w ciepłych światłach zgody, tolerancji i poszanowania czyjejś odmienności. Czy tak było na pewno? Co o tym powiedzieliby jeszcze nie ukraińscy, tylko rusińscy posłowie, bezskutecznie dopominający się pod austriackim zaborem w lwowskim sejmie o swoje prawa językowe; i ukraińscy studenci, domagający się swojego uniwersytetu we Lwowie za II Rzeczypospolitą? Jak to wyglądało w odczuciu chłopów spod Śniatynia, mroźną zimą przepędzanych przez Zbrucz pod pałkami policji?

Polskie irracjonalizmy... Lata czterdzieste wykazały, jaką fikcją była rzekoma wspólnota. Miraż zgasł w potokach krwi, którą spłynął Wołyń i Bieszczady, i w zasadzie cała „Zakierzonia”.

Powtórę za sobą z mojego *Sennika galicyjskiego*:

Nie było zgody polsko-ukraińskiej. Nigdy. Były pozory, iluzje, literackie bajki. Nienawiść smużyła się, eksplodowała, znowu cichła, przed kolejnym wybuchem. Konflikt przygasał, ale wracał, jak po unii brzeskiej, która doprowadziła w Przemyśle do pierwszego ostrego zwarecia rzymskich i greckich katolików. Grubo po unii, dopiero w 1687 roku, przemyscy unicy otrzymali swoją katedrę, ale spór powróci w naszych czasach, po ostatniej wojnie i nie przysporzy Rzymowi sympatii wśród miejscowych grekokatolików, rozpaczliwie a bezskutecznie dopominających się u kardynała Wyszyńskiego o pomoc w wyegzekwowaniu praw do swojej byłej świątyni. Kolejny ostry stan zapalny w roku 1991 z lekka uśmierzy papież.

Jest rok 1996 i stan zapalny trwa, gazety skoncentrowane na aferze – dla odmiany – z kościelną kopułą, usuniętą przez współautorów napięć z 1991 roku, mimo interdyktu obecnych i aktywnych oo. karmelitów bosych. Hałas wywoła-

ny tym pomysłem słysząc aż w Toronto. A w Przemyśle jedni tym bardziej (przypomnę wcześniejszą opinię socjologa) „skarżą się na zacieranie śladów ukraińskości”, a drudzy tym mocniej „obawiają się ukraińskich żądań zwrotu ziemi i budynków opuszczonych po akcji Wisła”...

Roszczenia są spore, raczej bezsporne i *nolens volens* już realizowane. Grekokatolicy odzyskali swoje byłe seminarium duchowne oraz cerkiew na Zasaniu (taka Praga przemyska), gdzie niegdyś mieli siedzibę oo. bazylianie, a po exodusie Ukraińców obiekt zamieniono na okręgowe archiwum. Teraz papiery wywędrowały do XIX-wiecznej łaźni miejskiej, przebudowanej dużym kosztem i ku ogólnemu niezadowoleniu. Mieczem wojujesz...

Szykowany zwrot kilku kamienic czy nawet działki budowlanej w śródmieściu to drobiazg, problemem – jakim! – jest obecna siedziba Oddziału Muzeum Narodowego, dawny pałac biskupi unitów. Korespondencja do grekokatolickiego hierarchy jak była, tak jest kierowana pod stary adres. Arcybiskup Martyniuk potwierdził roszczenia, dorzucając, że większość zbiorów to i tak ikony. No, niezupełnie.

Co będzie z muzeum, jeśli Ukraińcy nie pójdą (a nie pójdą) na ustępstwa? Przeniesienie zbiorów do zamku w Krasieczynie nierealne, choć jeszcze w roku 1975 konserwator zaprojektował podział na część muzealną oraz hotelową. Ta pierwsza w najlepszym razie nadaje się do sezonowych, i to – ze względów bezpieczeństwa – pomniejszych ekspozycji. Rzeczywista ochrona zbiorów w dzisiejszym Krasieczynie wymagałaby zawrotnych pieniędzy i armii ochroniarzy.

We Lwowie konsul generalny potwierdza, że przepychanka o kościelny dach, która akurat zbiegła się z 400-leciem unii brzeskiej, nie ma lokalnego charakteru. Jeszcze podczas wizyty ministra Skubiszewskiego w Kijowie, z 40-minutowej jego rozmowy z szefem ukraińskiej dyplomacji – dwadzieścia zajął temat – eufemistycznie nazwijmy go – przemyski. Polska była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy, ale na konferencji prasowej dziennikarze nie pytali o politykę. Pytali o deski zjedzone przez korniki i przez grzyb: na pewno, czy na niby?

Zgadza się, to był ich klasztor, ich kościół. Wrócili do swojego zespołu 1 czerwca 1946, po 120-letniej przerwie spowodowanej decyzją zaborcy: świątynia została przekazana unitom przez administratorów c.k. Galicji. *Divide et impera*, znana reguła. Jest jednak pewien szkopuł, po stronie ukraińskiej powtarza się kłopotliwe pytanie: „Dlaczego nikt nie zgłaszał pretensji po I wojnie światowej? Dlaczego Polacy wcześniej nie upomnieli się o swoje?”

W obozie reklamującym się hasłem „Polska nade wszystko” poparcie dla likwidatorów kopuły. „Nie będzie nam cebula górowała nad miastem...” A nie jest to kopuła cerkiewna, tylko barokowa. Gdyby konsekwentnie upierać się przy czystości stylów – należałoby z wież kościołów romańskich strącić hełmy dostawione za renesansu czy baroku. I pousuwać z gotyckich katedr renesansowe kaplice, barokowe ołtarze. Tylko że w tej rzekomej przepychance gustów

najmniej idzie o architekturę. Zawracanie głowy spekulacjami, czy Przemysł bez kopuły straci na urodzie, czy nie straci. Po interwencji telefonicznej ambasadora Ukrainy w Polsce, i drugiej – burmistrza Lwowa – zagrały ambicje. „Zarząd Miasta Przemyśla odczytuje te wystąpienia jako wyraźną ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski [...]”. Zarząd poszedł za ciosem, wyrażając „stanowczy protest przeciw postępowaniu Generalnego Konserwatora Zabytków, który podejmując działania sprzeczne z prawem, popiera naciski kół nacjonalistycznych po obu stronach granicy”. Protest powędrował do dziesięciu (!) adresatów, zaczynając od MZS, na przeorze oo. karmelitów kończąc. Rada Miejska podzieliła „oburzenie [...] z powodu koniunkturalnych i wasalnych działań generalnego konserwatora [...]”. I pooszło. Hej, kto Polak na bagnety! Niby drobiazg wystarczył, żeby rozgorzało to, co się tliło po obydwu stronach granicy.

W Gródku (dawniej Jagiellońskim) na rynku – obecny Majdan Hajdamaków – tablica ogłoszeń z opublikowanym w lwowskiej prasie protestacyjnym listem otwartym do polskiego konsulatu. Nie doczytałam czym. Jednym z wielu.

W Mościskach, też na rynku, też na tablicy ogłoszeń, duży, z daleka widoczny napis „Wandalizm XX wieku. P e r e m y s l”. I sugestie szowinistycznej organizacji Nadsanie: wstrzymać przekazy pieniędzy z Polski na budowę kościoła, nie zezwolić na budowę polskiej szkoły.

Opinia miejscowej Polki: „W Przemyśle na każdym skrawku stoi kościół, to już by im mogli zostawić ten jeden, żeby się na nas nie skrupiało”. I po chwili, ciszej: „Ci z Przemyśla ani przez dzień nie byli w naszej skórze”. Dociskam: „Czy tu się pogorszyło od afery z kopułą?” „Proszę pani, to nie do opowiedzenia! A my w rejonie mamy otwarte 22 kościoły, 8 fakultatywów [klas z językiem polskim – A. S.] dwie szkoły w budowie... Szło wytrzymać. My wszyscy mówimy: na co nam to było”.

Niezręczności polskie. W Oświęcimiu – po aferze „świętynnej” z ss. karmelitankami – znów wpuszczono słońca do składu porcelany. W awanturę o centrum handlowo-usługowe przy muzeum zaangażowanych coraz więcej osób, a co persona, to zdanie, a co przepis, to interpretacja.

Oświęcimska niezręczność jest grubsza, przede wszystkim – jest nagłośniona w Stanach, a z tym to my się liczymy, więc dotarło do nas, pomalutku, że hot dogów i lodów *à la Auschwitz* nie da się wycenić tylko w prawnych kategoriach. Przewodniczący przemyskiej rady miejskiej – z profesji adwokat – też „nie dopatrzył się przesłanek prawnych” w obronie kopuły. Jak gdyby szło akurat o to!

Herbowe, jednoznacznie polskie tablice z lwowskiego Arsenalu wyrzucono w rewanżu za kopułę. Że każdy pretekst dobry? Tym bardziej trzeba się wystrzegać pretekstów. Tamtego wieczoru konsul wydawał przyjęcie w hotelu Dniestr. Stawiło się niewiele z zaproszonych osób, nie pojawił się nikt z oficjeli, choć niektórzy przechadzali się w pobliżu. Tablic nie zniszczono, odnalazły się, oparte o drzewo, ale miejsce po nich zamurowano. Może w kościele oo. Karmelitów Bosych przybędzie jeszcze jedna flaga z tej okazji.

Nastrój w świątyni trochę poza zegarem, poza kalendarzem. Symbole wyraziste jak w stanie wojennym. Ze sklepienia pęk flag papieskich oraz narodowych. Te białoczerwone wiszą zresztą i przed kościołem, aż pięć. Poniżej deklaracja „Sercem kocham Jezusa”. Jakaś grzeszna ręka dopisała „Jezus kochał darmo”. Było więcej przemysleń, ale ktoś pozacierał teksty, z których jednak przebija nazwisko przeora.

Najulubieńsze przemyskie graffiti: hasło UPA plus tryzub wkomponowany w szubienicę. Wieść gminna niesie, że pod kościołem rozciągają się podziemne przejścia. Bardzo długie korytarze... Kiedy w 1991 zanosło się na sukces grekokatolików, ulica szemrała „Tam są lochy, kazamaty, będą mieli gdzie spiskować i robić składy broni”.

Zakonnica oprowadza wycieczkę. „Kościół patriotów” – rozrzuca się ktoś szeptem. Jedna ściana wyłożona kafelkami, na podobieństwo szpitalnej. Pośrodku – odcinająca się od tła, z daleka zauważalna mapa Polski. Jakiej? A jagiellońskiej. Bez słowa informacji: bo i po co. Do kogo mają przemówić, i tak przemówią kontury granic – powtórzmy za Ksawerym Pruszyńskim – tego wielkiego mocarstwa, które się kiedyś nazywało Rzeczpospolitą.

Kto pyta, nie błądzi. Ksiądz, zagadnięty przeze mnie „jaka to mapa”, odpowiada pogodnie „przedwojenna”. Na moją uwagę, że przed II wojną światową Inflanty z pewnością już nie były nasze, uśmiecha się i napomyka o Piłsudskim „który walczył w tych granicach...”. Z pewnością już nie w tych, ale oddajmy Ojcom Bosym sprawiedliwość: zadbali o pokrzepienie serc, przynajmniej na ich ścianie. Zadnieprze znowu nasze.

Przed głównym ołtarzem transparent „Bóg-Honor-Ojczyzna”. Kościół patriotów..., jeśli sprawa istotnie jest poza nacjonalizmem, poza polityką, dlaczego akurat tu tak intensywnie eksponuje się treści z repertuaru „prawdziwych Polaków”?

Ile zlej woli nie władowałyby w to polscy i ukraińscy ekstremiści – stulecia bliskości nie są do skreślenia. Nawet w tym przepolszczonym, przeładowanym polityką kościele oo. karmelitów tablica-przypomnienie: „O. Makary od Najświętszego Sakramentu Demeski 1566 (?) We Włodzimierzu. Z pochodzenia Kozak. Do karmelu wstąpił w Krakowie 1610. Podprzeor klasztoru w Przemyśle. Nawrócił wielu niewiernych oraz Rusinów schizmatyków, których pozyskał dla unii z Kościołem katolickim...”

Na bocznym ołtarzu orzeł – koronowany – przykucnął u stóp Matki Boskiej. Drugi, bez korony, wtulił się w tablicę „Niewinnej ludności polskiej bestialsko mordowanej przez bandy UPA na kresach południowo-wschodnich w latach 1942–1948”. I druga, z nazwiskami zmarłych karmelitów. Zwraca uwagę przerwa między latami 1783 a 1948. Rzekomo w ich efekcie rozgorzał spór. Czy rzeczywiście idzie tylko o ten kościół? Można rzucić żagiew na beton: nie robi szkody. W Przemyśle zapalka spadła na bardzo suche siano.

Województwo jeszcze zwleka, ale miasto już wycofało się z Euroregionu „Karpaty”. Nie podając powodu. To, co tu zaszło – i co przecież trwa – to nie jest spór o wyznanie. Nigdy nie był.

Młoda, skądinąd niegłupia dziewczyna, nie chce nawet słuchać. „Ja bym im nie dała żadnego z naszych kościołów. Chcą mieć własny, niech sobie wybudują”. Korygując komentarz: „Proszę pani, ja nie jestem nacjonalistką. Jestem szowinistką. Kiedy pojechałam do Odessy, to młodzi ludzie wpierali we mnie, że UPA zabijała tylko komunistów. Więc jestem i będę szowinistką, jak mój ojciec”.

Wbrew temu, co się dzisiaj wypisuje, władze peerelowskie – jeśli idzie o „antykościelność” – zwłaszcza w latach siedemdziesiątych (ale i wcześniej) trzymały propagandę na krótkiej smyczy. To samo odnosi się do kwestii narodowościowych. Nacjonalizm? Antysemityzm, a już zwłaszcza, Boże ucho, antyrusycyzm?! Wszędzie, tylko nie u nas. Wykluczone.

Nawet w haniebnym roku 1968 przyznawali się tylko do „antysyjonizmu”. Nie było żadnej tam nagonki na Żydów, było tylko zwalczanie brzydkich Żydów.

Jeśli się o czymś nie mówi, to coś nie istnieje. Milczenie jako polityczny sposób bycia. Udało się: niestety dzięki smyczy.

Szeptem, półgłosem – zanim zaczniesz się głos podnosić, zanim pomruk przejdzie w ryk. Taki jest mechanizm. Zawsze.

Zauważalni na naszych pograniczych, niedostrzegani w granicach własnego kraju: oto status Ukraińców w polskiej świadomości. W „najbogatszej” z zespołu polskich fobii narodowościowych – antysemityzmie – dominowała niechęć, lek przed spektakularną innością, ale nie tylko. W antysemityzmie rolę odgrywała zawiść. Ukraińcom nie było czego zazdrościć, tę fobię zdominowała – obok strachu – pogarda.

Tegośmy im nie żalowali. Kim był Ukrainiec w polskich oczach? Zapięklonym rezunem. Ciemnym chamem. Podwładnym, którego możliwości intelektualne wyczerpywały się na stawianiu trzech krzyżyków. Stereotypu nie psuła nam ani znakomicie przecież zorganizowana spółdzielczość ukraińska w przedwojennej Polsce, ani intensywne życie polityczne „hajdamaków” idące w kierunku niewróżącym nic dobrego Polakom. Oczywiście, jak w każdym ubogim i słabo rozwiniętym cywilizacyjnie kraju rozpiętość między masami chłopskimi a inteligencją była drastyczna, ale jeśli wspomnieć złogi analfabetyzmu na obszarach rdzennie polskich... Ukraińcy potrafili nas zaskoczyć. Cokolwiek mówić – UPA nie okazała się chaotyczną ruchawką, tylko wybornie zorganizowanym wojskiem. A te ich, kilkupiętrowe niekiedy, podziemne schrony, dowód imponującej sztuki inżynierskiej? W kryjówkach z powodzeniem mieściły się szpitale polowe, mogło w nich przebywać – i kpić z pościgu – po kilkadziesiąt osób!

Zapytany: kiedy było im lepiej w Polsce – przewodniczący Oddziału Związku Ukraińców w Polsce, Jarosław Sidor, odpowiada, że za Peerelu. „Bo ekstrema była tłumiona. Ta z jednej i ta z drugiej strony. Bo mieliśmy na sprzątaczkę”.

Polacy na Ukrainie są zobowiązani do zawieszania w swoich oddziałach obok flagi polskiej flagi ukraińskiej oraz godła Ukrainy – tryzub. W Przemyśle u Ukraińców wisi tylko ich sztandar. Nie ma orła, tylko duży okazały tryzub. I portret prezydenta Kuczmy. Nic nie przypomina, że jesteśmy w Polsce. Takie może i drobiazgi też dają efekt społeczny niewspółmierny do przyczyny.

Po tamtej stronie granicy Polaków jest nieporównywalnie więcej: Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie liczy 40 oddziałów, przy czym warunki ich funkcjonowania są gorsze, nawet znacznie gorsze. W projekcie ukraińskiej konstytucji brak wzmianki o reprezentacji mniejszości narodowych w parlamencie. Wprawdzie przedwojenna Polska odmówiła Ukraińcom prawa do własnego uniwersytetu, jednak działały ukraińskie szkoły średnie, w Przemyśle dwie: od 1895 oraz 1911. Funkcjonują trzy katedry ukrainistyki (na UJ, UW, KUL). Na Zachodniej Ukrainie – nie ma ani jednej. Fakultety polskie przy filologiach słowiańskich to nie to samo.

Ukraińcy w Polsce mieli swoją gazetę już w latach, kiedy na Ukrainie było to nie do pomyślenia. Zresztą i dzisiaj to głównie my finansujemy wychodzącą od niedawna „Gazetę Lwowską”, piśmko bynajmniej nie codzienne, bardzo niskonakładowe. Od jesieni 1992 roku rozgłośnia „Lwiwska Chwyla” nadawała audycję polską. Nieodpłatnie. Przed dwoma laty „Lwiwska” wyprosiła gości. Polacy znaleźli przytulisko w rozgłośni „Niezależnist”, tyle że z niedysiejszych siedmiu godzin tygodniowo pozostały dwie, opłacane, jakże by inaczej, w dolarach. Na szczęście znalazł się sponsor, lwowska filia LOT-u. Znając te i podobne fakty, łatwiej zrozumieć, dlaczego Ukraińcy w tym roku obchodzą w Polsce XIV festiwal swej kultury, my u nich – pierwszy. Chyba nie w rewanżu za to, że przemyscy chuligani nie przespali okazji, wtargnęli nawet do hotelu, szukając awantury.

Niedźwiedzią przysługą jest bagatelizowanie agresywności narodowej, również na własnym podwórku. Jednak trzeba przyznać: jakkolwiek spektakularne byłyby incydentalne – bo incydentalne – wybryki, w Przemyśle hałasuje niechby i kilkaset osób, to nastroje niekiedy trącą maglem, ale bazgranina na murach nie może być porównywana z natłokiem wydawnictw, z obfitą prasą szowinistyczną, w której gęsto od wystąpień antypolskich. Ekscesy zdarzają się po obu stronach, zorganizowane, zaprogramowane, działanie ekstremistów narodowościowych – po jednej. To – zwłaszcza z kijowskiej perspektywy – nie jest nurt dominujący, ale krytyczna sytuacja gospodarcza państwa, katastrofalna w efekcie sytuacja społeczeństwa sprzyja szowinistom.

Wszystko to niepokoi samych Ukraińców. Na konferencji naukowej (Master University, Hamilton, Kanada) gen. Piotr Hryhorenko oświadczył: „Nie chciałbym doczekać takiej Ukrainy, którą reprezentuje ukraińska myśl nacjonalistyczna”.

W roku 1995 ukazała się w Kanadzie przejmująca *Hirka prawda. Złoczyńca OUN-UPA* (Gorzka prawda. Zbrodnictwo OUN-UPA). Autor, Wiktor Poliszczuk, zaopatrzył książkę znamiennym dla treści podtytułem *Spowiedź Ukraińca*. Zadeedykował ją ofiarom szowinizmu. Napisał:

Chcę siebie osobiście oraz moje dzieci oczyścić z hańby, która do nas przyłgnęła wskutek działania OUN-UPA. Chcę, aby drogą tej prawdy zostały oczyszczone miliony Ukraińców, którzy nie wiedzieli...

Uczciwa i odważna książka. W Polsce też należałoby powtórzyć za cytowanym w *Gorzkiej prawdzie* Witalijem Korotyczem: „Wstydę się ludzi, którzy ze swej narodowości uczynili profesję”.

Osobliwe dowody pamięci. Obelisk w Hruszowicach, wystawiony z dala od czyichkolwiek grobów, zaopatrzony w inskrypcję „Chwała bohaterom UPA, którzy walczyli za wolną Ukrainę”, przybrany tablicami upamiętniającymi kurenie Żeleźniaka i Bajdy, przedstawia dwa rozdarte łuki, połączone tryzubem. Symbolika czytelna. Oczywiście idzie o ziemię polskie, do których roszczą sobie pretensje amatorzy „Zakierzonii”. Do Hruszowic – na uroczyste odsłonięcie obelisku – zmierzały dwa autokary z pasażerami w mundurach UPA. Wspominkarzy zawróciła z Medyki nawet nie nasza, tylko ukraińska straż graniczna, ale swąd pozostał. To właśnie wtedy ktoś podpalił drzwi w siedzibie Ukraińców, to wtedy Towarzystwo Orląt Przemyskich, zawsze pierwsze w dolewaniu oliwy do ognia, zakomunikowało, że użyje siły (?), by zapobiec Festiwalowi Kultury Ukraińskiej: czternastemu w Polsce, ale pierwszemu w Przemyślu.

Jakkolwiek niezgrabna, niepotrzebna byłaby awantura o katedrę – czasem trzeba i na nią spojrzeć oczami ludzi pamiętających lata alternatywy „Abo bude Ukraina, abo łącka krów po kolina”. Tym istotniejsze, pozwalające jednak optymistycznie oceniać perspektywy koegzystencji, są rezultaty sondażu przeprowadzonego wśród Polaków w Przemyślu. Spośród zapytanych, jak zapatrują się na powroty Ukraińców w Bieszczady, nie odpowiedziało 12. Nie miało zdania 107. Zdecydowanie przeciwnych było 126. Raczej przeciwnych – 136. Jednoznacznie zaaprobowało tę możliwość 85. W zasadzie („raczej tak”) opowiedziało się za nią aż 271.

Nigdy nie kochaliśmy sąsiadów – żadnych – ale to akurat jest powszechne zjawisko. Oczywiście, ma znaczenie intensywność niechęci, a w stosunku do Ukraińców daleko nam do obojętności. Badał tę sprawę dr Henryk Pietrzak z rzeszowskiej WSP. Otóż przy wyborach negatywnych Polacy w pierwszej trójce – po Cyganach i Rumunach – nieodmiennie lokują Ukraińców. To samo przy stereotypie „nieuczciwy”, „brudny”, „nienadający się do kontaktów towarzyskich”. Ukraińcy też zaczynają od Cyganów i Rumunów, ale trzecie miejsce rezerwują dla Żydów.

Rzuca się w oczy, że im bardziej jakiś rejon ucierpiał od UPA – tym więcej uprzedzeń przejmowanych przez młodzież. Najspokojniej wypowiadano się w Rzeszowie, już ostrzej w Lesku, najsurowiej w Przemyślu.

„Straszy się dzieci Ukraińcem” – konstatuje przemyslanin. Co mamy im do zarzucenia? Że brudni. Że nacjonaści. Nielubiący Polaków. Niekulturalni. Skłonni do rozboju. Zaciekli. Mściwi. Zazdrośni. Fałszywi. Głupi. Materialiści. Ordynarni. Zaborczy. Pozytywne konstatacje prawie się nie zdarzają.

Ukraińcy wyliczali głównie ujemne nasze cechy. Ich zdaniem „Polak to człowiek wrogo nastawiony do Ukraińca, zadufany w sobie, nietolerancyjny, leniwy, przesadnie ceniący wartości narodowe”.

Polacy dostrzegają ukraińską gościnność. Przywiązanie do tradycji. Solidarność narodową. Ukraińcy aprobują naszą zaradność.

Uderza brak przysłowia czy dowcipu o Ukraińcach, co wskazywałoby, że kształtowanie się stereotypu trwa. Również według socjologów wynika to w znacznej mierze „z zepchnięcia problematyki stosunków polsko-ukraińskich na margines życia publicznego”.

A tak, tu jest pies pogrzebany. Poza incydentami – z reguły niesympatycznymi incydentami – nie zauważamy Ukrainy.

Jak pisze Poliszczuk, istotnie „zbiorowa pamięć Polaków zdominowana jest stereotypem Ukraińca-rezuna, Ukraińca z OUN-UPA”.

Zasypie wszystko, zawieje... Może i tak. Na razie zbyt gorliwie odgarnia się te śniegi nie tylko po drugiej stronie granicy. Z tego, co dzisiaj słyszy się i czyta, wynikałoby, że na wschód od Medyki mieszkają nasi: przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie. Telewizji czy prasy w zasadzie nie interesuje kraj przecież większy od Polski, w przyszłości może i atrakcyjniejszy dla Zachodu jako karta w gospodarczo-politycznym pokerze. A nas niezmiennie absorbują byłe Kresy polskie. Nasz czytelnik wie o fatalnej kondycji dworku po Słowackich w Krzemieńcu, nasz telewidz ogląda księżycowe pejzaże po zamkach i kościołach, zruderowanych często już nieodwracalnie, to prawda; tylko jak długo można patrzeć na kraj większy od własnego, na sąsiednie, dzielące nas od supermocarstwa państwo z perspektywy ruin i cmentarzy? Co my wiemy o kulturze ukraińskiej? O codzienności przecież niesprowadzającej się do przemytu broni i rozrób w pociągach? O gospodarce, która – mimo katastrofalnego stanu – jednak funkcjonuje, dąży do kontaktów z Zachodem, jest wspierana pożyczkami. Przy całej obecnej bezradności ekonomicznej, przy groźnym rozchwianiu społecznym, Ukraina dysponuje dużą armią, a jeśli my przedrzemy się do upragnionego NATO – jej atuty geopolityczne nie zmaleją. Jednak i tu uładzą się porządki. A to duży rynek, w perspektywie – atrakcyjniejszy od polskiego.

Wierzę, iż po obydwu stronach do głosu dojdzie (oby w porę) pokolenie ludzi świadomych, jakim horrendalnym głupstwem jest traktowanie np. kultury w doraźnych kategoriach politycznych, sąsiadka – jeśli nawet – nie wrogość, to separacja, niewychylanie się poza chłodne dyplomatyczne powinności.

Choćby Lwów świadectwem, jak wiele trwałych śladów zostawiliśmy na Kresach, i tu nasz kompleks – historyczny – zderza się z ukraińskim. Żywym. Za młoda, za obolała jest ich państwowość, żeby się umieli zdobyć na tolerowanie niechby pamięci o naszej od stuleci dominacji. Polska zatraciła swoją wielką przecież niegdyś rolę w przekazie na Wschód kultury europejskiej. Nowe czasy. Pośrednicy już zbyt liczni. Czy to było do uniknięcia? Może – pomimo wszystko – było.

Przez lata, przez sowieckie lata, intelektualiści rosyjscy, litewscy, ukraińscy, poprzez Polskę – i poprzez język polski – docierali do wartości spoza o ileż w ich wypadku szczelniejszej żelaznej kurtyny. Warszawa była oknem na świat, drogowskazem, nie tylko przecież w kulturze.

Ukraińcy ciężko zapłacili za Perejasław. Ekspozuje się przede wszystkim cierpienia sowieckiej Ukrainy, ale przecież prośba Szewczenki „Daj Boże, żeby kaci ukrzyżowali carów, tych katów ludzkości” nie wzięła się z fantazji. Rzekome pojednanie dwu narodów zaowocowało np. obowiązującym od roku 1864 zakazem drukowania literatury w języku ukraińskim. Pisarze, którzy oparli się rusyfikacji, wydawali pod zaborem austriackim, głównie w polskim Lwowie. Blokada językowa, odcięcie narodu od własnych książek, przy równoległym – zaskakująco masowym – analfabetyzmie, to sztych bezbłędny. Ukraina *de iure* kraj pozaliteracki pomimo to zostaje Ukrainą Tyczyny, Hrabowskiego, Franki. Ojczyzną Kociubynskiego.

Sporo interesujących rzeczy dzieje się u sąsiadów, ale my wciąż wolimy być doceniani, niż doceniać. Co wiemy o współczesnej prozie i poezji ukraińskiej? Cichcem, bokiem przebiegł pokaz filmów ukraińskich.

A w Przemyślu – ciurkiem o kopule. Przeor Gut nie przyjął pisma konserwatora generalnego z nakazem wstrzymania przeróbek. Nie odbierał poczty. Nie otwierano furty, klasztor zamknął się przed interweniującymi.

Mój rozmówca, delegowany przez przeora o. Wojciech Twardzik, utyskuje, że z czystej sprawy architektonicznej (tak właśnie to ujął) robi się politykę. Póki co, walka trwa, zauważam. „Walka jak walka” opiera się ojciec Twardzik. „Jesteśmy u siebie”. A jeśli zapadnie decyzja – przywrócić kopułę? „Zobaczmy”. Proszę o konkretną odpowiedź. Ojciec z łagodnym uśmiechem: „Ja nie mogę jej udzielić”.

Czerwiec 1996

Apel w rocznicę Operacji „Wisła”

W 1997 roku przypada pięćdziesiąta rocznica przeprowadzenia Akcji „Wisła”, w wyniku której ofiarą masowych wysiedleń i zbiorowych działań represyjnych stała się ludność ukraińska południowych i środkowo-wschodnich regionów Polski. Wspomnienie tej ponurej akcji rzuca cień zarówno na współzycie społeczne wewnątrz naszego kraju, jak i na stosunki między narodem polskim i ukraińskim. W przeszłości stosunków polsko-ukraińskich są karty bolesne i tragiczne obok pamięci o dobrym współistnieniu i współpracy obu narodów. Ukraina i Polska, odrodzone w niepodległym i demokratycznym bycie, mają ważną rolę do spełnienia w budowie ładu europejskiego. Jest rzeczą ważną, aby widma przeszłości nie osłabiały możliwości wypełniania takiej roli i nie przeszkadzały w budowie polsko-ukraińskiej wspólnoty interesów i zamierzeń. Wymaga to z obu stron sprawiedliwej oceny przeszłości. Akcja „Wisła” była rezultatem systemu stalinowskiego oraz wyrazem totalitarnej ideologii i polityki. Potępiamy ją jednoznacznie i z całą mocą. Czcimy pamięć jej ofiar, wyrażamy współczucie wszystkim, którzy noszą bolesną pamięć krzywdy swoich rodzin i swojej społeczności oraz wyrażamy nadzieję, że Sejm RP doloży starań, by na miarę obecnych możliwości wynagrodzić krzywdy wtedy uczynione.

Andrzej Ananicz, Andrzej K. Aumiller, Leszek Balcerowicz, Marek Balicki, Jacek Baluch, Jerzy Bartmiński, Władysław Bartoszewski, Bogumiła Berdychowska, Zygmunt Berdychowski, Andrzej Bober, Henryka Bochniarz, Jacek Borkowicz, Wojciech Borowik, Adam Borowski, Andrzej Borowski, Bogdan Borusewicz, Juliusz Braun, Jarosław Broda, Piotr Buczkowski, Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Andrzej Celiński, Mirosław Chojecki, Jolanta Chocholak, Jerzy Ciemniowski, Ireneusz Cieślak, Leszek Chwat, Grzegorz Cyganik, Izabella Cywińska, Małgorzata Dąbrowska, Maria Dmochowska, Krzysztof Dołowy, Jan Dworak, Roman Duda, Małgorzata Dzieduszycka, Jerzy Eysymontt, Tomasz Fiałkowski, Czesław Fiedorowicz, Krzysztof Figel, Grzegorz Figura, Zbigniew Florczak, Władysław Frasyniuk, Andrzej Friszke, Andrzej Gaberle, Wojciech Gasparski, Radosław Gawlik, Bronisław Geremek, Jerzy Giedroyc, Zbigniew Gluza, Jarosław Gowin, Marian Grześczak, Jerzy Gwiżdż, Adam Hanuszkiewicz, Józefa Hennelowa, Lothar Herbst, Adam Hlebowicz, Gustaw Holoubek, Stanisław Husakowski, Barbara Imiolczyk, Aleksander Jackowski, Zbigniew Janas, Andrzej Janowski, Jan Janowski, Tomasz Jarnot, Mirosław Jasiński, Adolf Juzwenko, Małgorzata Kamińska, Wiesław Kamiński, Zdzisław Kamiński,

Bogdan Klich, Jerzy Kłoczowski, Antonina Kłoskowska, Aleksander Koj, Eugeniusz Koko,
 Jerzy Kolczyński, Mirosław Kopydlowski, Stanisław Kracik, Jan Król, Krzysztof Król,
 Waldemar Kuczyński, Zofia Kuratowska, Joanna Kurczewska, Jacek Kurczewski, Jacek Kuroń,
 Marek Kurzyniec, Marek Langda, Irena Lipowicz, Jan Lityński, Krzysztof Luks, Andrzej Łoś,
 Andrzej Machowski, Janusz Maciejewski, Piotr Madajczyk, Agnieszka Magdziak-Miszewska,
 Tadeusz Maj, Zbigniew Makarewicz, Aleksander Małachowski, Piotr Marciniak,
 Henryk Markiewicz, Tadeusz Mazowiecki, Zbigniew Mączka, Jerzy Meysztowicz,
 Andrzej Micewski, Adam Michnik, Zdobysław Milewski, Czesław Miłosz, Piotr Mitzner,
 Leszek Moczulski, Kornel Morawiecki, Piotr Mucharski, Zdzisław Najder,
 Małgorzata Niespodzińska, Zbigniew Nosowski, Maria Nowakowska, Jerzy Marek
 Nowakowski, Piotr Nowina-Konopka, Barbara Okoniewska, Jan Okoński, Michał Okoński,
 Jan Olszewski, Janusz Onyszkiewicz, Zbigniew Opacki, Mieczysław Orski, Piotr Pankanin,
 Aleksander Paszyński, Robert Pawłowski, Krzysztof Piesiewicz, Wiesław Pietruszak,
 Piotr Polmański, Adam Pomorski, Jerzy Przystawa, Włodzimierz Puzyna, Anna Radziwiłł,
 Krzysztof Radziwiłł, Jan Maria Rokita, Andrzej Romanowski, Zbigniew Romaszewski,
 Andrzej Rościszewski, Jan Rulewski, Józef Maria Ruszar, Paweł Saar, Henryk Samsonowicz,
 Tomasz Schoen, Krystyna Sienkiewicz, Jacek Sieradzki, Włodzimierz Siwiński,
 Bohdan Skaradziński, Krystyna Słomińska, Leszek Słomiński, Wiesław Słomiński,
 Artur Smółko, Stefan Starczewski, Joanna Starega-Piasek, Tadeusz Stegner, Bożena Steinborn,
 Stanisław Stępień, Maria Stolzman, Tomasz Strzembosz, Hanna Suchocka, Bolesław Sulik,
 Tadeusz Syryjczyk, Jarosław Szostakowski, Adam Szostkiewicz, Bernard Szweda,
 Iwona Śledzińska-Katarasińska, Jacek Taylor, Ludwik Turko, Jerzy Turowicz,
 Andrzej Urbanik, Andrzej Wajda, Roman Wapiński, Jan Waszkiewicz, Andrzej Werner,
 Andrzej Wielowieyski, Stefan Wilkanowicz, Tomasz Wiścicki, Jerzy Wociał,
 Jacek Woźniakowski, Henryk Woźniakowski, Jerzy Woźnicki, Wojciech Wrzesiński,
 Ludwika Wujec, Henryk Wujec, Krystyna Zachwatowicz, Bogdan Zadura,
 Maria Zajączkowska, Andrzej Zakrzewski, Paweł K. Zalewski, Marek Zieliński,
 Franciszek Ziejka, Wiesława Ziółkowska

Żydzi

Antysemityzm

Zagłada

Niewiedza czy świadomy fałsz

Dnia 26 stycznia br. wystosowałem do dyrektora zachodnioniemieckiej centrali telewizyjnej WDR i redaktora odpowiedzialnego za program filmowy *Holocaust*, panów Heinza Wernera Hübnera i Pereta Märthesheimera, obszerną depeszę, z której pozwalam sobie zacytować niewielki fragment:

[...] zwracam się z prośbą o sprostowanie w dzisiejszej dyskusji po filmie fałszu, jaki zakradł się do zakończenia trzeciego odcinka *Holocaustu*. Pojawia się w nim polski żołnierz w polskim pełnym umundurowaniu, jako współnik zbrodni hitlerowskich. Jest to kłamstwo historyczne. W czasie wojny nie istniała w Polsce umundurowana, regularna Armia Polska, żołnierze tej armii przebywali w tym czasie w obozach jenieckich w Niemczech albo w Sowieciech...

Po tym drobnym cytacie, obszerniejsze wyjaśnienie:

Zanim *Holocaust* trafił na zachodnioniemieckie ekrany, poprzedziły go przenikające na łamy prasy RFN odgłosy toczącej się na jego temat zaciętej zakulisowej dyskusji. Na różnych szczeblach. Wpierw, czy w ogóle ten serial, niezbyt wysokiego lotu artystycznego, bardzo kontrowersyjny, mówiący o sprawach drażliwych, zasługujących na rzeczowe potraktowanie, winien być zakupiony i wyświetlany w Niemczech. Później, kiedy już zakupu dokonano (było bardziej niż zrozumiałe, że Niemcy nie mogą ryzykować w opinii międzynarodowej negatywnej decyzji wobec filmu o takiej właśnie tematyce), potoczyła się dyskusja, w którym programie go umieścić, w jakiej oprawie wyjaśniającej, o jakiej godzinie etc., etc., i wyczuwało się w niej podskórny lęk przed reakcjami, jakie film musi wywołać. Lęk przed reakcją młodego pokolenia, nieprzygotowanego przez szkołę i rodzinny dom do terapii wstrząsowej, i lęk przed poruszeniem na nowo wciśniętych w podświadomość wspomnień i wynikających z tego kompleksów pokolenia starszego, aktywnego w czasach hitlerowskich – nie były lękami jedynymi i największymi. Były to jednak niemieckie kłopoty, nie moje. Przyznam się, wszystko, co dotyczyło w niemieckiej prasie amerykańskiego serialu, śledziłem nieuważnie i obojętnie. Tym bardziej że w środowisku polonijnym poprzedziła go niedobra legenda (jakże prawdziwa, jak się później przekonałem), że nie tylko rozmija się z rzeczywistością historyczną na styku wojennych losów

polsko-żydowskich i że jego ogólna wymowa jest antypolska, ale zawiera nadto jeszcze sceny wyraźnie uwłaczające polskiemu dobremu imieniu, szkalujące, wprowadzające w błąd. Ale i to, przyznam (dziś trochę ze wstydem), nie poruszyło mnie silnie.

Ponad osiem lat mieszkam na Zachodzie i wobec pewnych zjawisk obrosłem w grubą skórę. Tak więc przywykłem do smutnego faktu, że spora część wypowiedzi wspomnieniowych (dzienników, pamiętników), także utworów literackich pochodzących z kół żydowskiej emigracji ze wschodniej Europy (zwłaszcza w USA), jest Polsce i Polakom bardziej niż niechętna. Mógłbym wymienić wiele publikacji żydowskich autorów, w których jeśli nie cały naród polski obciążany jest niemal na równi z hitlerowskimi Niemcami zbrodnią eksterminacji 6 milionów Żydów, to w każdym razie poważna jego część, przy całkowitej obojętności, bierności czy nawet wewnętrznej aprobacie antysemitki nastawionej reszty. Dawniej przecierałem oczy ze zdumieniem, przywykłem bowiem do myśli, że naród mój nie tylko nie miał Quislingów i nie przyłożył ręki do totalnego mordy Żydów, Cyganów i innych narodowości, które Hitler wciągnął na swoją szaloną listę wyniszczenia, ale że sam również na tej liście figurował, zbrojnie z okupantem walczył i stracił parę milionów obywateli. Mimo chłopiących dopiero wówczas lat, przeżyłem ten straszny okres niezwykle aktywnie i odcisnął się w mej świadomości tysiącami faktów – od tych wspomnień do dziś nie potrafię się uwolnić. Zastanawiałem się więc czasem – czytając podobne enuncjacje i słuchając podobnych głosów – w jaki to zatem sposób ileś tysięcy Żydów na terenie mojego kraju zdołało jednak ocaleć, mimo że śmierć (i to często całej rodziny) była z reguły karą stosowaną przez Niemców za ukrywanie Żyda. A znam przecież wielu, którzy to ryzykowali. Miałem ich i wśród swych najbliższych. Leśnych ziemianek, w których przechowywały się rodziny żydowskie, opisanych w paru moich utworach literackich, nie wziąłem z fantazji.

Późną jesienią ubiegłego roku dotarła do mnie z kręgu Syndykatu Polskich Dziennikarzy na Obczyźnie wiadomość, że sceny *Holocaustu* przedstawiające żołnierzy polskich u boku Niemców w różnych akcjach eksterminacyjnych (między innymi w zbiorowej egzekucji Żydów) zostały przez telewizję zachodnioniemiecką usunięte. Ktoś dobrze poinformowany zauważył wówczas przy mnie ironicznie, że stało się to wcale nie na skutek protestów organizacji polonijnych z terenu RFN, ale że Niemcy taki właśnie, przycięty już film zakupili od Brytyjczyków, zmuszonych do retuszów przez tamtejsze polskie związki kombatanckie. Nie wiem, jak naprawdę było, w udostępnionej mi obecnie korespondencji między stowarzyszeniem Polski Wolnościowy Ruch Europejski a niemiecką telewizją znajduję zdanie: „po sprawdzeniu filmu przez jednego z niemieckich historyków wskazane przez Panów sceny zostały wycięte”. Dziś po obejrzeniu *Holocaustu* stwierdzić mogę, że zniknęła z niego jedynie scena, w której polscy żołnierze służą Niemcom jako egzekucyjny pluton. Usunięto więc akcent antypolski najbardziej jaskrawy, nic chyba ponadto. Już w pierwszym odcinku bowiem

pojawiają się osobnicy w polskich mundurach i rogatywkach na głowach, pikietujący wraz z Niemcami peron dworca (chyba warszawskiego), na którym wyładowuje się żydowską ludność. Ukoronowaniem zaś scen zniesławiających dobre imię polskiego żołnierza jest zakończenie odcinka trzeciego. Dobrze odkarmiony byczek w polskim mundurze i rogatywce z orzełkiem zjawia się na zaimprovizowanej przez dr. Weissa stacji sanitarnej i próbuje zagnać z powrotem do transportu „śmierci” wyrwanych przez doktora z tegoż transportu Żydów. Wymowa tej sceny jest tym obrzydliwsza, że sami Niemcy na próby ratowania przez dr. Weissa jego współplemieńców przytykają oko. I następnie scena z odcinka czwartego: wkroczenie oddziału polskiego wojska wraz z Niemcami na teren warszawskiego getta, gdzie właśnie zaczęło się powstanie.

Tu muszę na chwilę oderwać się od inkryminowanych scen, w ogóle antypolskiego charakteru filmu (książki pod tym samym tytułem także), by parę słów powiedzieć o całej atmosferze towarzyszącej wyświetlaniu *Holocaustu* w Niemczech. To, co w tym tygodniu w tym kraju się działo, będzie na długo zapewne, jako fenomen socjologiczno-psychologiczny, przedmiotem rozważań historyków, socjologów, psychologów i innych specjalistów od rozsypywania gordyjskich węzłów ludzkich zachowań i tajników ludzkiej duszy, nie wyłączając, oczywiście, specjalistów w sutannach. Jeżeli nazwę ten tydzień wielką ogólnonarodową mszą żałobną, odprawioną przez Niemcy Zachodnie za miliony pomordowanych Żydów, nie ma (proszę mnie fałszywie nie zrozumieć) w określeniu „msza żałobna” cienia ironii pod jakimkolwiek adresem. Te dwa słowa tylko, w moim mniemaniu, najprecyzyjniej oddają atmosferę zachowania się całych Niemiec w tych właśnie dniach. Tu, oczywiście, nasuwa się refleksja: dlaczego tak późno do tego doszło, dlaczego asumpt do tejże ogólnonarodowej mszy dać musiała dopiero produkcja, łagodnie mówiąc, nie najlepsza artystycznie, coś w rodzaju półwesternu w technikolorze, dlaczego kilkadziesiąt znakomitych (przez mnie samego wcześniej oglądanych) filmów na ten sam temat przeszło bez echa, podobnie jak setki książek i innych publikacji, do otrzymania przecież w każdej niemieckiej bibliotece czy księgarni.

To, czego widownią, w związku z *Holocaustem*, w tych dniach były Niemcy, przekroczyło wszelkie wcześniejsze przewidywania, nawet instytucji zawodowo zajmujących się przewidywaniem. Jeżeli odcinek pierwszy oglądało (przypuszcza tak na podstawie różnych obliczeń sama telewizja) ponad sześć milionów telewidzów, to drugi już dziesięć, a trzeci i czwarty około dwudziestu milionów. Film był wyświetlany we wszystkich trzecich programach, pokrywających swym zasięgiem całą RFN. Specjalnie utworzone wieloosobowe biura w Kolonii i Berlinie Zachodnim przyjmowały codziennie od dziewiątej godziny rano do pierwszej w nocy za pośrednictwem kilkunastu numerów telefonicznych tysiące pytań telewidzów z całych Niemiec, zgłaszanych uwag i pretensji, także, oczywiście, wymyślań, ale i spowiedzi, monologów wypełnionych przyznawaniem się do własnych i cudzych win, rozdzieraniem szat i szlochami, że to niemożliwe, albo

że ja to osobiście widziałem(łam) czy też (najczęściej), jak do tego w ogóle mogło dojść. Mało tego. Redakcje telewizyjne zostały zasypane tysiącami listów i depesz. I to jeszcze nie wszystko... Prawie w całych Niemczech w szkołach i gimnazjach lekcje religii i nauk społecznych (*Socialkunde*) musiano w tym tygodniu przeznaczyć na dyskusję nad filmem i problemami zbrodni hitlerowskich, tego bowiem domaga się od swych wychowawców młodzież. Dyskutowano w klubach, na zebraniach różnych stowarzyszeń, związków i stronnictw, w zakładach pracy, w kościołach (tym bardziej że jednym z często stawianych przez młodzież pytań było: co zrobiły kościoły, aby zapobiec zbrodniom). Poza tym w prasie ukazały się niezliczone na ten temat artykuły, a obraz nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał jeszcze, że po każdym wyświetlonym w telewizji odcinku *Holocaustu* toczyła się na małym ekranie przez około dwie godziny (na żywo nadawana) dyskusja ekspertów. Słowem, narzucona Niemcom hollywoodzka produkcja dokonała tego, czego nie potrafiło dokonać wiele filmów o podobnej tematyce, wśród których były także arcydzieła. Doprowadziła do ogólnonarodowej dyskusji nad przeszłością narodu, jego czynami, winą, nad piętnem, którym odcisnął się w historii i świadomości innych narodów. Doprowadziła do bicia się w piersi czy też wypierania się, do mówienia, że się o niczym nie wiedziało lub że wiedziało wszystko, że to tylko garstka zwyrodniałców z SS dokonała tych zbrodni albo że cały naród w ten czy inny sposób maczał w tej zbrodni palce. Słowem: zmusiła do nowych przemyśleń jeszcze, jak się okazało, nieostygłej przeszłości.

Wracam do mojej (zacytowanej na początku) prośby, skierowanej do panów Hübnera i Märthesheimera. Pozostawiono ją bez odzewu. Bez odzewu pozostawiono – jak się w kilka dni później dowiedziałem – kilkadziesiąt wysłanych na tenże sam adres podobnych depesz różnych organizacji polonijnych, Polaków zamieszkujących w Niemczech czy nawet Niemców w jakiś sposób sentymentalnie związanych z naszym krajem lub po prostu dotkniętych rażąco nieprawdą, nieuczciwością historyczną, która na nowo gmatwa, i tak już dość pogmatwane, stosunki polsko-niemieckie.

Przyznam się, że nie miałem wielkich nadziei, aby fałsz znajdujący się w filmie został przez TV niemiecką sprostowany. To też jest częścią mego nabytego w czasie paroletniej lekcji pobytu w Niemczech doświadczenia. Fałsz ten był pewnym Niemcom bardzo na rękę. Przy całej bowiem niemieckiej skłonności do ekspiacji (nie powątpiewam, że szczerzej), zauważyłem u nich inną jeszcze skłonność. Skłonność do poszukiwania współników (jakież to ludzkie!). Już dzisiaj nie dziwi mnie wcale, że jeden na pięciu poznanych bliżej Niemców przy okazji rozmowy na tematy ostatniej wojny instynktownie niemal ciągnie do tematu żydowskiego i w końcu bąknie: „Słyszałem, że Polacy są urodzonymi antysemitami”. Skąd słyszał, gdzie, od kogo, nie umie zazwyczaj wyjaśnić, ot tak się słyszało, tak się mówi... Bardziej uprzejmy nie wypowiada tego zdania (mającego kilka wariantów) w formie twierdzącej, lecz pyta: „Czy to prawda, że Po-

lacy są urodzonymi antysemitami?” Co w rezultacie na jedno i to samo wychodzi. Dawniej zadawałem sobie zbyteczny trud, grzecznie i długo tłumacząc (zaczynając wywód od króla Ćwieczka), jak to Polska w czasach, kiedy gdzie indziej palono Żydów na stosach, przyjmowała ich na swych ziemiach, nadawała im wolnościowe przywileje, że chłop polski na szlachcica awansować praktycznie mógł tylko przez oszustwo, Żyd legalnie, przez chrzest itd., itd. Trud zbyteczny, bo i tak nie byłem rozumiany. Ja mówiłem swoje, on myślał swoje, bo przecież, w jego mniemaniu, coś w tym musiało być, skoro tych sześć milionów wymordowano głównie na polskiej ziemi. Dzisiaj po prostu na tego rodzaju zdanie twierdzące mówię brutalnie: „Nie myśmy przecież Żydom zafundowali komory gazowe i krematoria”. Na pytanie to samo zdanie rzucam w formie odpowiedzi.

Tą anegdotyczną dygresją chciałbym tylko podkreślić, jak bardzo fałsze *Holocaustu* były pewnym Niemcom na rękę. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu również prowadzona po każdym wyświetlonym odcinku dwugodzinna prawie dyskusja ekspertów, wśród których znalazło się wielu historyków. Byli między nimi tacy, którzy próbowali fenomen niemieckiego totalnego mordu na Żydach umiędzynarodowić i wytłumaczyć na tle ogólnoeuropejskiego antysemityzmu, byli inni, którzy usiłowali ograniczyć go do specjalnej kategorii Niemców (czyli zepchnąć problem w dziedzinę psychopatii), zawęzić do specjalnych jednostek, specjalnych oddziałów.

Ale w tejże samej (cztery razy po mniej więcej dwie godziny) dyskusji tylko na samym początku jeden z dyskutantów zwrócił uwagę, że przecież prócz milionów Żydów zginęły z rąk niemieckich także miliony Polaków, Rosjan i innych narodowości i jeszcze jeden później, który podniósł sprawę męczeństwa Cyganów, o których (niemających żadnej państwowości) nikt się nie upomni i ich resztkom w Niemczech nie dano nawet nędznej satysfakcji w postaci renty za najbliższych. Natomiast, chociaż w dyskusji (cztery razy pod dwie mniej więcej godziny) wiele było mowy na temat niskiej jakości filmu, hollywoodzkiej tandety, trywialności, nieprawdopodobieństw sytuacyjnych (przychodzenie mężczyzny do bloku kobiecego, umieszczenie żony Aryjki razem z mężem Żydem itd.), to nikt z ekspertów nie sprostował słowem, że w filmie znalazło się nieprawdopodobieństwo czy po prostu fałsz, kłamstwo dotyczące przecież nie drobiazgu, ale dobrego imienia całego sąsiedniego narodu, a mianowicie że polscy żołnierze nie wykonywali nigdy funkcji niemieckich katów. Nikt z ekspertów nie powiedział, że po wrześniu w kraju polska armia (poza oddziałami partyzanckimi, mającymi inny charakter, i następnie powstańcami warszawskimi) w ogóle nie istniała, jakże więc mogła cokolwiek robić u boku Niemców. Powtarzam: nikt z ekspertów nie wytknął tego, choć znajdowali się wśród nich, prócz wspomnianych historyków (dla których taka sprawa nie może być obca), także ludzie, jak na przykład znany publicysta i krytyk niemiecki profesor Reich-Ranicki, który osobiście przeżył getto warszawskie i, jeśli się nie mylę, ocalał dzięki polskiej pomocy.

Do zaproszonych przez niemiecką telewizję ekspertów nie mam pretensji, że nie wspomnieli o współpracy komórek akowskich z organizacjami żydowskimi w Polsce, o akcji „Żegota”, o przerzucaniu ludzi przez mury getta, melinowaniu ich, wyrabianiu aryjskich papierów, pomocy w żywności, lekarstwach i broni (czego polska strona też nie miała za wiele). Mogli panowie eksperci tego nie wiedzieć, nie umiemy swej działalności reklamować. Były jednak w tejże dyskusji głosy stwierdzające kategorycznie, że takiej działalności w ogóle nie było. Na przykład ekspert zaproszony z Francji, kierownik jakiegoś instytutu naukowego – Żydówka, pani dr Ritha Karlmann – powiedziała wręcz, że na Wschodzie nikt nie bronił eksterminowanych Żydów, żadnych objawów tego rodzaju działalności nie było (i basta!). Od pani dr Rithy Karlmann dowiedziałem się natomiast, że Żydów bronili tylko Francuzi i Holendrzy. Francuzi tak gorliwie, że na skutek tego sami wiele ucierpieli, a Holendrzy w obronie swych Żydów dokonali nawet powstania (*Aufstand gegen die Deutschen*). Przyznaję, że nie wiedziałem ani o jednym, ani o drugim, co kładę na karb swego głębokiego niedokształcenia i pani dr Karlmann jestem wdzięczny za przekazanie mi tych brakujących wiadomości. Dotychczas było mi tylko wiadomo, że Francuzi sami stworzyli rasistowskie ustawy idące dalej niż ustawodawstwo norymberskie, że wydawali Żydów Niemcom bez większych skrupułów, a odpowiedzialny za to na szczeblu rządowym człowiek spokojnie zażywa sobie starości w słonecznej Hiszpanii, udzielając prasie cynicznych wywiadów o swej bojowej młodości. Jeśli chodzi natomiast o Holendrów, to wiedziałem, że społeczeństwo to przeciwstawiało się deportacjom Żydów, pomagało w ich ucieczkach za granicę, moralnie potępiając akcję eksterminacyjną. Ale, jak widać, mało wiedziałem i nawet w moim wieku można się jeszcze czegoś nauczyć.

Skoro już jestem przy dyskusji ekspertów (cztery razy po mniej więcej dwie godziny) i powiedziałem, że nie wspomniano w niej, iż armia polska nie brała udziału w żadnych akcjach eksterminacji Żydów – i to nie wspomniano nawet wówczas, kiedy do studia telewizyjnego napłynęły liczne w tej sprawie (w tym i moja) depesze i wiele osób (jak wiem) telefonicznie zwróciło uwagę na ów fałsz, to muszę od razu na wyrost zastrzec, że nie do przyjęcia jest dla mnie argument o braku na takie sprostowanie czasu. Bo nie zdziwiłbym się, gdybym z takim właśnie tłumaczeniem sprawy otrzymał wkrótce list od arcyuprzejmego pana Hübnera, dyrektora WDR. A nie do przyjęcia jest dlatego, że dyskutujący panowie znajdowali czas na odpowiedzi i wyjaśnienia nawet spraw marginesowych, czasem wręcz banalnych, czasem mało istotnych, jak na przykład, czy dr Dorf jest postacią historyczną, czy wymyśloną, gdzie znajdowały się zakłady produkujące cyklon B, ile miejsc miała komora gazowa, czy Niemcy, jako naród, mają wrodzone skłonności do okrucieństwa. A nawet – w trosce o spokój i spójność rodzin byłych esesmanów – był czas na spełnienie telefonicznych życzeń, z których jedno, charakteryzujące pozostałe – przytaczam za korzystającą ze stenogramu dyskusji gazetą „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Oto ono:

[...] naszej rodzinie grozi prawdziwa katastrofa, jeżeli natychmiast nie stwierdzicie różnicy między plutonami egzekucyjnymi (*Erschiessungskommando*), a formacjami *Waffen-SS*.

Oczywiście, panowie dyskutanci tę różnicę wyjaśnili. Pod koniec dyskusji (cztery razy po dwie mniej więcej godziny) przewodniczący zwrócił się do prowadzącego biuro obsługi telefonicznej i zbierającego depesze, czy jest jeszcze jakieś do wyjaśnienia pytanie. Padła odpowiedź, że nie. To „nie” ze strony niemieckiej telewizji, w tak istotnej dla honoru naszego narodu i kraju sprawie, poważnie obciąża, moim zdaniem, klimat wzajemnych naszych stosunków.

Być może dla widza *Holocaustu* w Japonii, na Cejlonie albo w Tajlandii będzie sprawą obojętną, czy jakiś ukazany w filmie w roli zbrodniarza żołnierz ma polski mundur, rogatywkę i orzełek na niej, czy jest nazwany Polakiem, czy wbrew wymowie munduru próbuje się go (w jednym wypadku) nazywać Litwinem. Po prostu nie wiem, nie myślę zabierać głosu na temat reakcji widzów krajów, których nie znam. Twierdzę natomiast, że to, co może być obojętne dla Japończyka, Cejlończyka, Tajlandczyka, nie jest obojętne dla szarego Niemca. Szczególnie w owej, nakreślonej przeze mnie, niemal historycznej atmosferze, jaka towarzyszyła wyświetlaniu omawianego filmu. Nie jest obojętne, że otrzymuje na ekranie z pieczęcią poważnych autorytetów, historyków i innych ekspertów „dowód” polskiego współnictwa w zbrodni. Kierownictwo telewizji niemieckiej, kończąc dyskusję nad filmem, od razu na gorąco podjęło zobowiązanie powtórzenia go wkrótce w pierwszym programie ogólnokrajowym. Powinno chyba przedtem to i owo przemyśleć.

Tutaj dochodzimy do jeszcze jednej niebagatelnej wcale sprawy. Odpowiedzialności twórców za słowo, za obraz, za zestaw faktów, za ich interpretację. To ogólnie. Konkretnie zaś, jeśli chodzi o *Holocaust*, do odpowiedzialności twórców tego filmu za to, co się stało. Jeżeli postawić pytanie, czy historyczny, uwłaczający naszej narodowej pamięci, fałsz znalazł się w filmie na skutek niewiedzy jego twórców i jakiegoś przeoczenia czy też świadomej prowokacji – słowem na skutek chęci dania upustu nienawiści do naszego kraju i narodu – ja osobiście opowiadam się za tym drugim. Film w momencie powstawania miał zbyt wielu konsultantów z różnych dziedzin, aby twórcy mogli kryć się za parawanem niewiedzy. I dlatego zarzucam im świadome „polakożerstwo”. Napawa też głębokim smutkiem fakt jeszcze inny, że drogi narodów zamieszkujących przez parę wieków tę samą ziemię rozchodzą się coraz bardziej.

[3/1979]

Mój ostatni samolot

Samuel Pisar, polski Żyd, oświęcimskie dziecko, obywatel amerykański, międzynarodowy adwokat, przyjaciel i doradca supermożnych, jest także pisarzem. W swojej ostatniej książce pod bardzo niedobrym tytułem *Krew nadziei*, stanowiącej sumę jego obozowego doświadczenia i zawierającej jego posłanie do współczesnego zwariowanego świata, Pisar przytacza fragment rozmowy z pewną „dostojną osobą”.

Nasze demokracje – mówiła dostojna osoba – zagrożone są od wewnątrz i od zewnątrz. Mam wobec mojej rodziny obowiązek podjęcia pewnych kroków zaradczych. Mam już ubezpieczenie na życie, na dom i na samochód. Jediną rzeczą, której nie mogę ubezpieczyć, jest moja wolność. Czy mógłby mi pan pomóc w otrzymaniu stałej wizy, upoważniającej mnie do wjazdu do USA w każdej chwili. Kiedy wybuchnie dramat, chciałbym mieć pewność, że będziemy mogli wsiąść na ostatni okręt lub na ostatni samolot...

Proszę pana – odpowiedział Pisar dostojnej osobie – pan zapewne przesadza w ocenie totalitarnego zagrożenia w Europie. Historia nie jest fatalistyczna. Wiem, że zagrożenie istnieje, ale ucieczka nie stanowi rozwiązania.

Nie wiem, czy Pisar słusznie odpowiedział dostojnej osobie, bo przecież kiedy odchodzić będzie ostatni statek, to już będzie po „zagrożeniu”, ale mniejsza... Pisar przypomniał sobie tę rozmowę, kiedy wraz z Henrym Kissingerem uczestniczył niedawno w dyskusji przed zgromadzeniem 400 prezesów największych banków świata w Meksyku.

Mimo – wspomina Pisar – naszych podobnych poglądów na *détente*, uderzył mnie skrajny pesymizm Kissingera. A przecież on miał szczęście, on mógł wraz ze swoją rodziną wsiąść na ostatni statek, w chwili kiedy ja byłem już w mocy sił ciemności. Tak więc jego ojciec miał rację, a mój się mylił. No, a jak jest dziś?

Ano... Książka Pisara nabrała specjalnej aktualności po wyświetleniu serialu pt. *Holocaust* i po wizycie Papieża w Polsce. Jest częścią ogromnej dyskusji, jaka się toczy przez świat w ogóle i świat polsko-żydowski w szczególności. Mój ojciec się mylił i wraz z całą rodziną padł ofiarą – jak je określa Pisar – „sił ciemności”. Mnie jednak udało się wsiąść na ostatni statek (nie jeden raz w ciągu mojej krótkiej biografii). Dzięki temu mogę dziś pisać do „Kultury” i zabrać

głos w tej dyskusji. Będzie to głos dość specjalny: będzie się składał z trzech głosów i z wielu podgłosów.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Najpierw rdzenni Polacy

1. Holocaustu, czyli zagłady, nie można dobrze sfilmować. Nikt nie opisze ani nie sfilmuje zagłady tak, aby mogła oddać nasze własne tragedie – tych, co zginęli, i tych, co przeżyli.

2. *Holocaustu* nie oglądałem, z powodów jak wyżej. Śledziłem jednak bardzo pilnie jego opad i dyskusję, jaka się po serialu wywiązała. Choć bowiem Holocaustu dobrze sfilmować nie można, choć serial amerykański zawiera, jak wynika z dyskusji, ogromne błędy, to spełnił jednak bardzo wielką rolę. Złamał barierę milczenia, wskrzesił w gnijącym świecie – jak to ujął francuski poeta Paul Eluard – „krzyk, który jeśli ustanie, zginiemy”. Znaczenie filmu wykracza poza kryteria artystyczne czy ścisłość dokumentacyjną. Serial dokonał tego, czego nie dokonało 100 filmów czy książek dokumentarnie ścisłych: wstrząsnął sumieniami, przemówił do wyobraźni.

Dziś obraz rządzi światem i ludźmi wstrząsnąć mogą nie pisane dzieła o ogromie zagłady, a film o dramacie jednej rodziny. Historia Kaina i Abela na ekranie telewizyjnym jest bardziej przekonująca niż setka tabel statystycznych o wzroście przestępczości. Dzięki temu „westernowi” Amerykanie dowiedzieli się w ogóle o istnieniu słowa „Holocaust”, a młodzi Niemcy „zobaczyli”, to czego dokonali ich rodzice. Francuzi, którzy ciągle jeszcze nie rozliczyli się z ich własnej kolaboracji, postanowili właśnie na fali opadu po *Holocaustie* wytoczyć nareszcie proces z ustawy o zbrodniach przeciwko ludzkości, uchwalonej jeszcze w 1964 roku. Oskarżonym jest René Bousquet, były delegat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych rządu Vichy przy hitlerowskich władzach okupacyjnych w Paryżu, który przez ostatnich 35 lat robił ładną karierę w biznesie. Mówiąc w skrócie, bardzo dużo brudnej piany wyszło na wierzch właśnie i tylko dzięki trzęsieniu ziemi po wyświetleniu *Holocaustu*...

3. W tej skali detale są nieważne, a liczy się rezultat. Ale oczywiście nie dziwię się oburzeniu Odojewskiego („Kultura” nr 3/1979) na „świadome antypolskie fałszerstwa” serialu. Na jego miejscu też napisałbym artykuł. Ale inny.

4. „Pan nie powinien na ten temat milczeć, powiedziała do mnie, jak do Pi-sara, pewna „dostojna osoba”, której zdanie szanuję. Pisuje pan o wszystkim, niech pan zabierze głos, to w końcu także pańska sprawa. Niech pan Odojewskiego poprze”.

5. Nie chciałem zabrać głosu i poprzeć Odojewskiego, choć to rzeczywiście także moja sprawa. Nie chciałem z trzech powodów.

Po pierwsze, nie odpowiada mi podejście Odojewskiego. Nie lubię i nie podzielam spiskowej interpretacji historii. Odojewski przywykł – jak pisze – „do smutnego faktu, że spora część wypowiedzi pochodzących z kół żydowskiej

emigracji ze Wschodniej Europy jest Polsce i Polakom bardziej niż niechętna...”. Ta niechęć tłumaczy – według Odojewskiego – w dużym stopniu i antypolskie fałszerstwa *Holocaustu*, i niemożność przekonania rozmaitych telewizji o konieczności poczynienia pewnych skrótów, a także brak obiektywizmu w dyskusjach, jakie się po filmie przed kamerami TV toczyły.

Otóż, ja nie wiem, co to znaczy „spora część” ani co to są „koła żydowskiej emigracji”. „Koła” te nie mają monopolu na fałszerstwa i ignorancję. Pierwszym, który zaprotestował, i to w Polsce, przeciw „fałszerstwom”, był Nahum Goldman, prezes Światowego Kongresu Żydów, inaczej mówiąc właśnie „sporej części kół...”. Spore części i koła można znaleźć wszędzie, także i w Polsce, a operowanie w tak delikatnej materii ogólnikami do niczego nie prowadzi, w każdym razie nie prowadzi do rzeczowej dyskusji.

Po drugie, nie odpowiadała mi metoda Odojewskiego. Jego słuszna krytyka antypolskich szczegółów *Holocaustu* jest w swej metodzie odbiciem podstawowego błędu *Holocaustu* właśnie, a mianowicie ahistorycznego podejścia autorów serialu do nazizmu. Hitlerizm wyskoczył tam nagle, nie miał żadnej genezy i prehistorii. Film jest bardzo przejmujący, ale mało uczący.

Artykuł Odojewskiego jest także uczuciowy, ale ahistoryczny. Problem polsko-żydowski nie powstał z powodu wyświetlenia *Holocaustu*. Cóż za paradoks! Serial, który miał (i częściowo zaczął) wywołać obrachunek Niemców z Niemcami, służy – według i poprzez artykuł Odojewskiego – do porachunków polsko-żydowskich. Trudno przyjąć oburzenie nawet uzasadnione jako sposób dyskusji.

Po trzecie, milczałem, bo uważam, że po wymazaniu polskiego żydostwa z historii o polskich Żydach powinni pisać tzw. rdzenni Polacy.

Wszystkie te zastrzeżenia znikły naturalnie po przeczytaniu ważnego artykułu Andrzeja Szczypiorskiego i wzruszającej wypowiedzi Andrzeja Koraszewskiego w „Kulturze” z maja 1979, a także po otrzymaniu, niestety z opóźnieniem, numeru „Spotkań” z wypowiedzią Jacka Zaborowskiego. Rdzenni Polacy zabrali głos. Przyszła pora i na mnie. Uważam, jak oni, że można o sprawach polsko-żydowskich, gdzie narosło tyle bólu, uprzedzeń i demagogii, pisać spokojnie i poważnie. Oto moja propozycja podejścia do końcowej fazy wspólnej historii Polaków i Żydów.

CZĘŚĆ DRUGA

Za dużo Żydów, czy za mało socjalizmu?

„Zamyka się epilog prawie tysiącletniej historii Żydów w Polsce, w kraju, który szczycił się, że zawsze – nawet w okresie barbarzyńskiego średniowiecza – był azylem dla prześladowanej i przepędzanej ludności żydowskiej. Wprawdzie były i w Polsce w różnych okresach objawy antysemityzmu, a największe skupisko Żydów na świecie właśnie na naszych ziemiach stanowiło niełatwy problem społeczny, jednak nigdy przedtem w naszej historii hasło antyse-

mityzmu nie zostało wypisane na państwowych sztandarach, nigdy nie było narodowym programem.

Wydawało się, że po wymordowaniu przez hitlerowców prawie całej trzymilionowej masy Żydów polskich, na zawsze zniknie problem, który można byłoby wygrywać. Okazało się to złudzeniem. Okazało się, że dla stworzenia i wykorzystania problemu wystarczy nawet garstka, jaka ocalała z hitlerowskiego piekła...”

Władysław Bieńkowski, *Motory i hamulce socjalizmu*,
Instytut Literacki, seria „Dokumenty”, Paryż 1969

To, co Bieńkowski nazywa „epilogiem tysiącletniej historii Żydów polskich”, już nastąpiło. Ostatni exodus żydowski w Europie – jak to obrazowo nazwali reporterzy zachodni – już się dokonał. Tylko ostatnie krople krwi żydowskiej jeszcze się sączą z Polski w kierunku Izraela i Austrii, Danii czy Szwecji; więcej jest w tej chwili odmów ze strony władz bezpieczeństwa, zwłaszcza wobec osób, których żydowskie pochodzenie może budzić wątpliwości, niż udzielonych „dokumentów podróży”, stwierdzających lakonicznie, iż „posiadacz niniejszego nie jest obywatelem polskim”. Ciska zapanowała nad tą trumną, ślady dramatu garstki ludzi zostały sprawnie zatarte i coraz rzadziej można już znaleźć resztki trującego opadu lat 1967–69 w atmosferze współlistnienia i hołubienia *status quo*. I tylko czasem w listach czy w rozmowach odezwa się jeszcze echa tragedii rozdartych rodzin, rozłączonych kochanków, wypalonych nadziei, porzuconych czy zawiedzionych przyjaciół, nie mówiąc już o skutkach bankructw zawodowych, o piekle readaptacji, murze obcości języka i obyczajów.

Świat chce mieć spokój, świat ma inne zmartwienia, śmiesznie mała grupka polskich Żydów zniknęła, roztopiła się w świecie. Koniec, kropka...

10 PRZYKAZAŃ

Nie ma – jak dotąd – próby przedstawienia „ostatniego etapu” historii polskich Żydów w całej złożoności operacji lat 1967–1969. I nie ma w tym chyba nic dziwnego. Z wielu przyczyn bowiem każda podjęta – według do dziś popularnych, ale uproszczonych kryteriów – próba przedstawienia wygnania kilku tysięcy Żydów z Polski jako tragedii w wymiarze światowym jest skazana na fiasco. W odczuciu świata, zgodnie z informacjami, jakimi on dysponuje, nie jest to ani tragedia, ani żydowska, ani światowa.

1. Nie przesadzaj!

Exodus Żydów polskich wypadł „w złym momencie”. Mimo że przez jakiś czas przyciągała uwagę tania egzotyka pociągu „Szopen” na dworcu wiedeńskim lub – jeszcze taniej porównywanego do „Exodusu” – statku w porcie kopenhaskim, świat nigdy nie był skłonny uwierzyć w prawdziwe rozmiary tragedii polskich Żydów. Zbyt wiele działało tu „konkurencji”. Biafra przytłaczała rozmiarami autentycznego ludobójstwa, Czechosłowacja – głębością narodo-

wego dramatu. Cynicznie mówiąc – słusznie – jeden Palach wytoczył więcej łez niż wszyscy razem żydowscy emigranci z Polski.

Zachód nie rozumiał również, dlaczego wyjazd Żydów z Polski do bogatych krajów kapitalistycznych czy do Izraela ma być tragedią, podczas gdy wyjazd Włochów lub Irlandczyków do USA, Jugosłowian czy Arabów lub Hiszpanów do wszystkich krajów bogatej Europy stanowi ukoronowanie marzeń i ogromną szansę życiową.

Do zatarcia tragicznych rysów polskiego exodusu przyczynił się także niewątpliwy dramat setek tysięcy czy milionów Żydów w ZSRR. Dla zdolnych jeszcze do wzruszeń humanistów na Zachodzie, nie mówiąc już o tym, co zwykło się nazywać „światowym żydostwem”, fakt, iż ogromna liczba sowieckich Żydów nie może wyjechać, choć rzeczywiście o niczym innym nie marzy, jest – i słusznie – najprawdziwszym dramatem, natomiast komfortowy wyjazd polskich Żydów stanowił szansę, za jaką w istocie powinni być wdzięczni władzy ludowej w Warszawie.

2. Nie znikaj!

Obraz zbiorowiska ludzkiego, jaki prezentuje światu emigracja żydowska z Polski, uniemożliwia oddanie konturów niewątpliwego przecież jej dramatu. Przede wszystkim jest to emigracja rozproszona. Niewielkie grupki znalazły schronienie w USA, Kanadzie czy Australii, gros exodusu wylądowało w rozmaitych krajach, przede wszystkim w Danii, Szwecji, no i w Izraelu, do którego – chociaż stanowił przymusowe uzasadnienie wyjazdu – dotarło jedynie ok. 30%.

Jeżeli pominąć związki prywatne – a więc z natury rzeczy liczbowo skromne – emigracja z lat '68–'69 nie zachowuje żadnych elementów więzi, nie posiada żadnej organizacji czy reprezentacji, nie odczuwa żadnej potrzeby integracyjnej. Przyczynia się do tego fakt, że wszystkie kraje docelowe praktykują politykę szybkiej absorpcji, ale także i to, że naturalną koleją wspólnota losu prześladowanych znika natychmiast po uwolnieniu się od prześladowców.

Jest to tym bardziej naturalne, że w Polsce przed ostatnią falą antysemityzmu społeczność żydowska jako taka właściwie nie istniała, a jeżeli chciałby ją sztucznie odtworzyć, to jawiłaby się ona wewnętrznie rozbita: klasowo, zawodowo i środowiskowo. Proces asymilacji był – jak się okazało pozornie – bardzo daleko posunięty, interes specyficznie i grupowo żydowski nie istniał, a interesy poszczególnych Żydów miały charakter środowiskowy i zawodowy, a nie narodowy. Żydowski działacz stalinowski był naturalnie związany ze stalinowcem „rdzennie polskim”, który zresztą nierzadko był antysemitą, a Żyd-pisarz razem ze swymi kolegami „aryjskimi” zwalczał albo padał ofiarą polskiego albo żydowskiego cenzora czy dzierzymordy.

Trudno dziś negować, że, w większym niż myślano stopniu, antysemityzm w określonych kręgach istniał – zbyt wiele było rozczarowań – ale nie ulega

kwestii, że dopiero rzucenie hasła od góry zaktywizowało go i że dopiero szantaż albo związanie określonych korzyści z udziałem w antysemitowskiej rozróbce nadało akcji masowy charakter i zorganizowane formy.

Tak więc w Polsce roku 1968 grupa żydowska sformowana została przez samych antysemitów dla celów rządowych i partyjnych i nic dziwnego, że rozpadła się natychmiast po przekroczeniu granicy.

3. Nie dziw się!

Spółeczeństwo polskie pożegnało swoich Żydów bez żalu i bez łez. Nie jest to pretensja, a tylko stwierdzenie faktu. Przyczyny tej obojętności wymagają delikatnego podejścia. Każda z ofiar wypędzenia zna przecież przypadki szlachetnej i wzruszającej postawy polskich przyjaciół, no i wiadomo, że w dziedzinie postaw społecznych wszelka próba uogólniania jest niebezpieczna i może być krzywdząca.

Bez aspiracji do syntezy można więc powiedzieć, że społeczeństwo polskie w rozgrywkach ostatnich przedmarcowych lat widziało przede wszystkim konflikt wewnątrzpartyjny, gdzie nie Żydzi padali ofiarą, a komuniści, i to z rąk nie Polaków, a innych komunistów. Potem, po Marcu '68, kiedy zjawisko stało się wyraźne i cynicznie antysemitowskie, było już za późno, i mimo niesmaku i zawstydzenia, chodziło się na antyżydowskie wiece i zebrania lub po prostu milczało się ze zwyczajnego strachu. Na pomarcowej fali bowiem wszelka próba przeciwstawienia się ofensywie antysemitowskiej kończyła się sankcjami, także ekonomicznymi.

W świetle tego nie należy się dziwić, że nie znalazło się zbyt wielu Polaków, skłonnych do ryzykowania posady („ja mam żonę i dzieci!”) w imię zwalczania tego, co było dla nich kolejnym etapem degeneracji systemu, który przecież bez przerwy od objęcia władzy kogoś zwalczał, niszczył, prześladował. Mniejsza o to, jak nazywane były poszczególne etapy prześladowań: walką z kułakami, z żołnierzami Armii Krajowej, z klerem czy działaczami katolickimi, pisarzami czy ostatnio rewizjonistami, w świadomości Polaków władza komunistyczna utrzymała się w postaci stałej i wszechobecnej przemocy, w kształcie molocho nieustannie wołającego o dalsze ofiary. Zgodnie z tą popularną i niepozabawioną słuszności teorią, musiała przyjść kolej na Żydów. Wyrafinowane rozważania odnośnie do różnic między poglądami politycznymi a pochodzeniem rasowym jako motywacja prześladowania nie miały naturalnie sensu w warunkach, kiedy tak jak nikt nie wybierał sobie pochodzenia, ani nie mógł go ukryć, bo mogło mu być to przypomniane w każdym odpowiednim momencie, tak i poglądy bwały z zasady narzucone i rzadko odpowiadały rzeczywistości tym, jakie kolejna ofiara wyznawała naprawdę.

Dla Polaków więc, tych niezaangażowanych w walkę frakcji, heca antyżydowska, aczkolwiek wyjątkowo haniebną i odrażającą, nie była żadnym przełomo-

wym faktem w dziejach systemu socjalistycznego ani nie może być decydującą w jego ocenie. Dla polskiej inteligencji ów system polityczny nie zdegenerował się nagle przez sam fakt antysemitowskiej nagonki. Stalinowski czy neostalinowski stupajka, cenzor czy tajna policja były odpychające również bez antysemityzmu, choć trudno negować, iż ten ostatni kwiatusek wymownie upiększył całość buketu.

Na próby nadania prześladowaniu Żydów wartości nadrzędnej „normalni” Polacy odpowiadają, że kiedy skarżyli się żołnierze Armii Krajowej, chłopci, intelektualiści katoliccy, to Żydzi jako grupa nie tylko nie protestowali, ale nawet byli obecni wśród prześladowców. Niezależnie od łatwej do dowiedzenia demagogii tego argumentu, rasistowskiego przecież *à rebours* (Żydzi jako grupa nie istnieli, a Polacy też przecież jako „grupa” nie protestowali), nie wolno go nie brać pod uwagę, tym bardziej że przekroczył on granice Polski.

„Żydowskie żale” traktowane były również jako spóźnione, bo przecież, według polskiej opinii, dla każdego, kto miał oczy i chciał widzieć, powinno było być widoczne, że formuła socjalistycznej dyktatury – tak jak się ją realizuje w Polsce – była od początku antynarodowa i antypostępowa i nie dawała żadnej szansy rozwiązania kwestii polskiej, żydowskiej czy jakiegokolwiek innej narodowej.

Zgodnie z tym poglądem, fakt, że Żydzi przejrżeli dopiero, kiedy sami stali się obiektem prześladowań, nie daje im prawa do wyjątkowego współczucia. Argument ten jest znowu demagogiczny, niemniej jest popularny nie tylko w Polsce, ale i wśród niektórych kół żydowskich na Zachodzie, w myśl zasady: „nikt im nie kazał tak długo w Polsce siedzieć”.

4. Nie uogólniaj!

Do zaciemnienia obrazu sytuacji, w jakiej doszło do exodusu, przyczyniły się zupełnie zasadnicze błędy ze strony prasy zachodniej, przede wszystkim żydowskiej. Można zrozumieć oburzenie opinii zachodniej w obliczu cynicznego i bezkarnego prześladowania resztki Żydów na największym żydowskim cmentarzu na świecie. Nie można natomiast zgodzić się z wrzucaniem przy tej okazji do jednego worka wszystkich Polaków. Wprost przeciwnie – trzeba było i trzeba jeszcze ciągle wskazywać na głęboki rozłam między władzą a społeczeństwem polskim. Pomijając inne i może ważniejsze świadectwa tego rozłamu, wystarczy wskazać tu na dowód w tym przypadku specyficznie wymowny: zaskakująco szerokie w masach poparcie sprawy Izraela w 1967 roku. Jeszcze większe rozbićcie zarysowało się po brutalnym spacyfikowaniu demonstracji młodzieżowych w Marcu '68.

Tymczasem miast podjąć w kampanii prowadzonej przeciw prześladowaniu Żydów w Polsce te właśnie elementy rozłamu i wskazać na wspólnotę losu prześladowanych, niektóre gazety na Zachodzie błędnie i zbędnie obciążały odpowiedzialnością wszystkich Polaków, sięgając nawet do aberracyjnych analogii z hitlerowcami z Oświęcimia.

Było to nie tylko nieprawdziwe, ale i szkodliwe. Mniejsza o rozważania na temat sprawiedliwości i prawdy historycznej. Powiedzmy tylko, że efektem takiej uogólniającej ofensywy był jednolity front wszystkich pokoleń Polaków wobec posądzenia ich o zbrodnie, do których się nie poczuli. Po raz pierwszy od 1956 roku opinia publiczna w Polsce działała solidarnie z władzą, chodziło przecież o dobre imię całego narodu. Polscy attachés prasowi za granicą otrzymali polecenie zbierania najgłupszych choćby antypolskich wypowiedzi z najbardziej nieznanymi i najbardziej nieodpowiedzialnymi pisemkami świata, które natychmiast cała prasa polska szeroko kolportowała i komentowała.

5. Nie upraszczaj!

Choć prześladowanie Żydów w Polsce od 1967 roku i w latach późniejszych – było niewątpliwie, prześladowcy z minimalnymi wyjątkami nie sięgali do metod gestapowskich. Poza brutalną pacyfikacją młodzieży, i to w olbrzymiej większości „aryjskiej” (żydowskiej choćby chcieć – nie starczyło), akcja dyskryminacji toczyła się za parawanem ideologicznej akcji „antysyjonistycznej”, zmierzająca do oczyszczenia aparatu władzy i polityki z „elementu niepewnego”, często pod zarzutami ściśle zawodowymi („brak kwalifikacji”), czy wreszcie – jak to było w odniesieniu do profesorów czy dziennikarzy – na zasadzie sporu ideologicznego. Niszczenie pokonanego przeciwnika, autora odrzuconej tezy, niefortunnej krytyki władzy, było zawsze, niezależnie od etapu i pochodzenia ofiary, rzeczą w tym ustroju najzupełniej naturalną. Nikogo nie dziwił przecież i nie oburzał jawnie fakt, że przedtem wyrzucano w Polsce niemarksistowskich profesorów, katolickich dziennikarzy itp. Oczywiście, w rzeczywistości Żydów nie wyrzucano za poglądy, a wyłącznie za pochodzenie, i to w prowokacyjnym celu, oczywiście rasistowska motywacja była ewidentna, nie zawsze leżała jednak na powierzchni, czasem trzeba się jej było mozolnie dokopywać.

Tymczasem nierzadkie były wypadki, kiedy wydarzenia w Polsce przedstawiano w uproszczony sposób jako *bad guys fighting good guys*, przy czym *good guys* to byli zawsze i tylko Żydzi. Nie dopatrzono się np. bardzo specyficznego charakteru polskiego modelu władzy socjalistycznej z drugiej połowy lat 60., kiedy to dokonywał się swoisty sojusz polskiego socjalizmu z polskim faszyzmem, Gomułki i Moczara z Piaseckim i Hrabym, najbardziej autentycznymi z żyjących w Polsce przedstawicielami prawdziwego faszyzmu przedwojennego. W wyniku tego swoistego sojuszu i w poszukiwaniu utraconego „kontaktu z masami” w propagandzie partyjnej można było nawet natrafić na argumenty z arsenału tradycyjnego antykomunizmu w jego najbardziej kołtuńskiej postaci, to jest połączonego z antysemityzmem. Miał to być argument na rzecz ustanowienia forsowanego przez frakcję Moczara jakiegoś komunizmu czy socjalizmu narodowego, jakiejś polskiej odmiany nazizmu. Sprowadzanie wymiaru ofiar takiego systemu do kilku tysięcy Żydów jest naiwnością.

6. Nie zawężaj!

W rzeczywistości więc sprawa żydowska w Polsce po czerwcu 1967, a zwłaszcza po Marcu 1968, nie stanowiła wcale *ding an sich*. Był to fragment większej całości, specyficznie polski refleks faszyzacji życia społecznego, ustanowienia hegemonii policji nad partią i rządem, walki o pozycje w kierownictwie partii i państwa – walki, która objęła cały aparat ucisku i cały aparat partyjny i państwowy. Nie ulegało kwestii, że manewr żydowski był tylko jednym ze środków działania w tej bezpardonowej walce i że obecność Żydów miała ewentualnie skompromitować jedną z zaangażowanych frakcji lub też dostarczyć kozła ofiarnego. Mimo tragedii skazanych Żydów w istocie chodziło nie o ich los, a o los wszystkich Polaków. Mniejsza o szczegóły tej ponurej hecy, wiele razy już ją opisywano, wystarczająco kompromitujący jest fakt, iż obie strony uznały, że odwołanie się do argumentu żydowskiego może im zapewnić większe szanse w rozprawie z konkurencyjnym gangiem. Ważniejsze jest dla naszych rozważań, że dla Polaków myślących i czujących – a takich było znacznie więcej, niż się na Zachodzie myślało, sprawa żydowska – choć bolesna – była jednak wtórna w stosunku do sprawy polskiej.

Nic dziwnego więc, że wszystkie próby nadania priorytetu niewątpliwie prześladowanym Żydom z pominięciem ogólnonarodowego aspektu ugruntowywania się (najbardziej chyba ponurej w historii) władzy pogardzanych, zawodowo podejrzliwych i smutnych, nieufnych, zawistnych, tchórzliwych i sfrustrowanych, bo izolowanych policjantów, były skazane na niepowodzenie i na niepopularność wśród milionów Polaków, głównych ofiar neostalinizmu.

Obojętność Polaków wobec, według nich, niepodstawowych dla owego okresu cierpień Żydów, tłumaczy także fakt, iż wokół prześladowań Żydów powstał natychmiast zjednoczony front na całym świecie, że wielcy ludzie ogłaszali protesty, a organizacje międzynarodowe zaczęły zbierać podpisy – i fundusze, podczas gdy nikt poważnie nie zainteresował się losem zakneblowanej Polski „aryjskiej”. Moralne i faktyczne *autodafe* literatury polskiej, kafkowskie zdejmowanie z afisza sztuk klasyków, procesy młodych intelektualistów skazywanych na ciężkie roboty za kolportowanie „Kultury”, wszystkie te bolesne ciosy, które w najlepszym razie trafiały do kronik sądowych na dalekich stronach prasy światowej, dla inteligencji polskiej były znacznie bardziej istotne, niebezpieczne i znamienne dla degeneracji władzy niż niewątpliwie rasistowskie usuwanie oficerów, urzędników czy profesorów o żydowskich rysach twarzy.

Dlatego młodzież wyszła na ulice w obronie ocenzonego Mickiewicza czy w obronie studentów bitych za głoszenie prawa do swobodnego myślenia, dlatego Kościół zagrzmał „w obronie polskich dzieci katowanych przez komunistyczną policję”, natomiast nikt, z wyjątkiem kilku pisarzy i studentów, publicznie nie zaprotestował przeciw antysemityzmowi i dlatego w odważnej pomarcowej interpelacji niezależnych parlamentarzystów katolickich nie znalazło się

nawet miejsce dla wspomnienia o krzywdzie resztek polskich Żydów. Dlatego też ci Polacy, którzy ze szczerym oburzeniem i wstrętem mówili w domu o Gomułce i Moczarze, a z pełnym poczuciem ryzyka zanosili żywność strajkującym studentom, obojętnie nieraz wysłuchiwali oczywistych bredni na zebraniach, kiedy wyrzucano urzędników o innych nazwiskach, niżby na to wskazywały ich nosy. Tym bardziej iż zajmowali ci urzędnicy nieraz wysokie stanowiska i należeli do wyobcowanej kasty mandarynów.

Można jeszcze dodać, że napiętnowanie antysemickiego charakteru akcji utrudniał fakt, iż w nagonce brała udział pewna grupa Żydów, żydowski komunści byli zawsze zdecydowanymi przeciwnikami syjonizmu czy w ogóle jakiegokolwiek ideologii żydowskiej odrębności i teraz znowu, choć prostacko antysemicki charakter akcji nie ulegał kwestii – towarzyszyli awangardzie „antysyjonistycznej” ofensywy. Pogardliwie traktowani przez starych i nowych faszystowskich sojuszników, choć przyczynili się ci Żydzi do zatarcia antysemickich konturów całej kampanii, nie uniknęli naturalnie „odstrzału”.

7. Nie rozpaczaj!

Pewna – bardziej prymitywna – część społeczeństwa polskiego nie mogła zrozumieć powodów do alarmu, skoro przed Żydami otworzyły się granice państwa. Nie negując przykrości związanych z przymusowym przesiedleniem, wielu Polaków patrzyło na wyjeżdżających Żydów z pewną zawiścią. Jest to o tyle zrozumiałe, że Polacy (prawie każda rodzina ma kogoś za granicą) znają różnice w stopie życiowej, wiedzą, że przy wielu wadach – ustrój demokracji burżuazyjnej potrafił zapewnić szeroki zakres swobód osobistych, że „jak ktoś dzwoni o 5. rano, to jest to na pewno mleczarz...” itd., itp. Zawiść ta rosła, w miarę (jeżeli chodzi o maluczkie) jak propaganda inspirowana przez policję donosiła, iż każdy emigrant otrzymuje od razu na dworcu w Wiedniu 5000 dolarów, mieszkanie z basenem i samochód... Jest także spora część inteligencji polskiej, która uważa, że po najeździe Czechosłowacji, w którym udział wojska polskiego był dla niej znacznie większym wstydem niż milcząca obecność na wiecu przeciw Dajanowi, Polska znalazła się sama „po inwazji”, jest krajem okupowanym. Wiele z tych Polaków byłoby zadowolonych, gdyby mogło spokojnie i z bagażem wyjechać. Oczywiście, 30 milionów Polaków ani nie może, ani nie chce z powodu garstki gangsterów przenieść się np. do Kanady, ale robienie tragedii z powodu zamiany „kraju okupowanego” i biednego na wolny i bogaty do nich nie przemawia i ich nie przekonuje. Nawet jeżeli ta „zamiana” poprzedzona była falą prześladowań i nawet jeżeli wygnani Żydzi nie chcieli opuszczać kraju, który uważali za swoją ojczyznę.

Tym bardziej że wygnańcy nie potrafili oderwać się od indywidualnego wymiaru i materialnego kształtu doznanej krzywdy. Nikt rozumny i uczciwy nie neguje, że krzywda się stała. Ale nie było celowe sprowadzanie do ram dramatu

rzeczywiście odrażających metod celnych, poniżającego szantażu pakowaczy, administratorów, łapówkarstwa na rozmaitych szczeblach czy odrażającej atmosfery handlu mieniem pożydowskim. Polskie władze bezpieczeństwa znalazły zresztą na to natychmiast antidotum. Rozesłały mianowicie do polskich placówek zagranicznych spisy rzeczy wywiezionych z kraju przez niektórych, względnie „zasobnych”, emigrantów. W ten sposób pozbawiony wyobraźni zachodni, nie mówiąc już o krajowym, „kontrahent” polskiego attaché prasowego oglądał spis wywiezionego mienia, często przekraczającego jego własny stan posiadania, i oczywiście nie sięgał myślą do tego wszystkiego, co w dziedzinie pozamaterialnej, a więc trudno uchwytnej, towarzyszyło „emigracji”.

8. Nie zapomnij!

Zachodnie środowiska żydowskie, poświęcające swój czas, energię i... pieniądze przesiedleńcom z Polski, miały nieprecyzyjny pogląd na rodzaj prześladowań, jakim podlegali w kraju pochodzenia ich podopieczni. Niektórzy wyobrażali sobie np., że podstawowym elementem terroru było zamykanie synagog i eliminowanie języka żydowskiego. Przez jakiś czas tego typu pretensje – którym towarzyszyło bilansowanie strat materialnych – przysłoniło w zachodniej prasie moralną stronę prześladowań: upokarzanie, izolację, bezradność wobec absurdalnych i oszczerczych oskarżeń, jakie spadły na polskich Żydów.

Równocześnie dla filantropijnych organizacji żydowskich, szczerze oddanych akcji pomocy wygnańcom, podstawowe zadanie sprowadzało się do zapewnienia środków do życia w okresie przejściowym między przekroczeniem granicy polskiej a osiedleniem w kraju docelowym. Wszelkie próby zainteresowania tych organizacji zbieraniem materiałów statystycznych, biograficznych czy rzeczowych w zakresie powodów wyjazdu, procedury dyskryminacyjnej itp. były odrzucane z niechęcią. Jest coś szalenie paradoksalnego i zabawnego w katerycznej odmowie Jointu zbierania jakichkolwiek materiałów dotyczących ostatniej fazy istnienia polskiego Żydostwa, paradoksalnego i zabawnego, albowiem chodzi o ten sam Joint, który w oglupiającej propagandzie moczarowskiej prasy był główną centralą szpiegowską, połączeniem Dajana i CIA. W wyniku tego zafascynowania filantropią zmarnował się niezwykle cenny materiał historyczny, dotyczący w tym samym stopniu Żydów co i Polaków, degeneracji ustroju demokracji ludowej, no i kolejnej klęski socjalizmu w rozwiązaniu kwestii narodowej.

9. Nie poddawaj się!

Zachód, a przede wszystkim niektóre organizacje izraelskie, nie potrafiły zrozumieć, że spora liczba osób pochodzenia żydowskiego, zmuszonych do opuszczenia swojej ojczyzny i wyrzeczenia się obywatelstwa, wyjechała z Polski dlatego, że był to jedyny kraj, w którym... nie pozwalano im być Polakami, że ich stosunki z Polską nie układają się w zależności od humoru Gomułki czy sto-

pnia upadku partii komunistycznej. I że, z rozmaitych powodów, wielu z tych ludzi pozostaje Polakami, będąc w Szwecji, Danii czy nawet w Izraelu. Nie warto się tu wdawać w zawile rozważania na temat czynników decydujących o przynależności do narodu, wystarczy natomiast stwierdzić, że wielu emigrantów jest nadal z Polską związanych tysiącnymi nićmi osobistymi, że mają tam rodziny, bliskich, a nawet bardzo bliskich przyjaciół, że czekają w Szwecji czy Danii (bo Izrael jest wyklęty przez rząd polski) na brata czy siostrę, dziewczynę czy chłopca.

Rozproszona geograficznie i światopoglądowo mała grupka emigrantów polskich atakowana jest przy tym z Polski – z kraju, gdzie utopiła większość swego życia i wszystkie swe złudzenia – przez swych byłych prześladowców, poszukujących obecnie szybkiego alibi. Potrzebują oni tego alibi przede wszystkim wobec opinii w Polsce, albowiem wygnanie Żydów nie przyniosło, bo nie mogło przynieść, rozwiązania żadnego z ważnych problemów społecznych. Szukają też alibi wobec zagranicy, gdzie co jakiś czas ktoś z obrzydzeniem wspomina winowajców exodusu Żydów polskich.

Tak np. propaganda warszawska na użytek krajowy próbuje obarczyć byłych Żydów polskich odpowiedzialnością za fatalną opinię, jaką ma ostatnio Polska na świecie, tak jakby można było kogokolwiek rozsądnego przekonać, że jakakolwiek grupa żydowska na świecie mogłaby wyrządzić Polsce większą krzywdę niż jej obecni „właściciele”. Wobec zagranicy podejmowane są z kolei próby przerzucenia na całe społeczeństwo odpowiedzialności za hecę antysemicką, czyli, jak się to w Warszawie nazywa, „za zdrowy odruch narodu polskiego”, a tym samym za wszystkie niepowodzenia i kompromitacje, za które w istocie odpowiada wyłącznie nieudolne kierownictwo i skorumpowany aparat. W tym retroaktywnym poszukiwaniu alibi główni odpowiedzialni za „czasy pogardy” 1967–1970 w Polsce nie cofali się przed żadnym draństwem. „Życie Literackie” opublikowało w październiku i listopadzie 1969 serię bredni, mających demaskować antysocjalistyczną działalność żydowskich emigrantów z Polski, należących od dawna do szpiegowskiej siatki, kierowanej z Wiednia przez inż. Wiesenthala. Przy tej okazji pisemko to posunęło się do profanacji pamięci żydowskich żołnierzy poległych w czasie ostatniej wojny w walce o wolność Polski. Jeden mianowicie ze wspomnianych artykułów oskarża brata jednego z emigrantów o pozostawanie w służbie CIA i przynależność do siatki szpiegowskiej NATO, podczas gdy ów brat, oficer 2. Korpusu, poległ na włoskim froncie w 1944 roku i pochowany jest na cmentarzu wojskowym w Loretto.

Najśmieszniejsze, ale i najbardziej obraźliwe i niegodne, a zarazem reprezentatywne dla taktyki rządu polskiego, były wypowiedzi ministra spraw zagranicznych. Ów pan, w czasie oficjalnej wizyty w Paryżu, pozwolił sobie na określenie wygnania Żydów z Polski jako „emigracji wyłącznie zarobkowej”. Według niego, nagle i naraz, wszyscy Żydzi polscy postanowili sobie poprawić byt, spakować manatki i wyjechać, tak jakby nic się nie stało po Czerwcu '67 i po Marcu '68, jakby nie było „5. kolumny”, „Mośków od Dajana”, „połamiemy im kości”, tak

jakby nie było masowych moralnych egzekucji, zbiorowych wyroków itd. Prawa gościnności tradycyjne we Francji – a może i jakiś polityczny trend – uchroniły polskiego dygnitarza od właściwej odpowiedzi na miejscu, ale dla sytuacji wygnańczej grupy jest znamienne, że mimo nieukrywanego obrzydzenia żadna z gazet paryskich nie zareagowała jak należy na ewidentną kpinę ze zdrowego rozsądku gospodarzy, to znaczy francuskich... dziennikarzy. Jedyna znana nam próba reakcji, merytorycznie przez redakcję niekwestionowana, została z zażenowaniem odrzucona, „bo nie chcemy mieć kłopotów z ambasadą polską”.

10. Nie pchaj się!

I wreszcie – otwarta pozostaje sprawa wymagająca szczególnie subtelnych sformułowań, mianowicie pogląd sprowadzający źródła wielu nieporozumień do dużego udziału ludzi z tzw. żydowskim pochodzeniem w działalności Komunistycznej Partii Polski przed wojną, a potem we władzach partii i państwa socjalistycznego.

Przez parę wieków, aż do drugiej wojny światowej, znaczna część ludności żydowskiej w Polsce faktycznie była grupą narodowościową, odrębną tak przez swój język, jak i przez obyczajowość i religię. Okoliczność ta była wybitnie wartościowa dla kultury polskiej, która – jak wiele innych wielkich kultur światowych – sporo zawdzięcza ludziom znajdującym się na przecięciu czy styku kilku formacji kulturowych czy wprost żyjących na peryferiach narodu. Jednocześnie wielu Żydów, zwłaszcza tych świeżo asymilowanych, nie miało tak silnego związku z polską tradycją narodową (dobrą i złą), jak „prawdziwi” Polacy, dzięki czemu posiadali znacznie większą, bo wolną od balastu, ruchliwość umysłową, no i wynikające z tej ruchliwości większe zrozumienie dla hasel internacjonalistycznych. Co prawda, w dochodzeniu do komunizmu podstawową atrakcją dla Żydów był marksistowski program definitywnego rozwiązania kwestii żydowskiej, niemniej dla świeżo niepodległej, w świeżo odzyskanym państwie opinii polskiej ważny był fakt, że znaczna liczba Żydów włączyła się do działalności organizacji, która w swoim programie proponowała okroić Polskę z połowy jej terytorium bądź w ogóle przyłączyć ją do wspianalej wspólnoty narodów sowieckich. Po drugiej wojnie światowej niemniej ważny był udział Żydów w organach ucisku, które spełniały rolę jawnie agenturalną wobec ZSRR, przy czym wielu ludzi wyznawało pogląd, iż to Stalin, aczkolwiek sam Żydów nie ubóstwiał, posłał ich do tych organów, zgodnie z wypróbowaną przez niego zasadą, że należy używać ludzi innych narodowości do tępienia Ukraińców, Gruzinów, Litwinów. Być może, że chciano także zapewnić sobie możliwość rzucenia w odpowiednim momencie hasła: „Wszystkiemu winni Żydzi”.

Historycznie teza ta sprawdzała się bez pudła. Przed wojną hasło brzmiało „Precz z żydokomuną” i było prorządowe. Po wojnie brzmiało ono identycznie, i było antyrządowe. W 1956 roku fakt udziału Żydów w przygotowaniach do

polskiego Października miał skompromitować Gomułkę, a w 1968 – udział Żydów miał, m.in. według Gomułki właśnie, zożydzić wspaniały zryw polskiej młodzieży i bunt intelektualistów.

Tyle byłoby refleksji poexodusowych, częściowo choćby uzupełniających znany już z wielu różnej jakości zapisów faktograficzny opis ostatniego etapu prawie tysiącletniego długiego marszu Żydów polskich. Nie są to naturalnie wszystkie uwagi, jakie mogą się w tej sprawie nasuwać, ale wydają się one niezbędne dla zrozumienia głębszych implikacji exodusu.

PIĘĆ ETAPÓW

Umieszczenie sprawy udziału Żydów w działalności partii komunistycznej i władz państwa socjalistycznego w ostatnim punkcie powyższego dekalogu nie jest przypadkowe. Jest to bowiem najbardziej drażliwy i kontrowersyjny z tych wszystkich czynników, jakie sprawiły, że mimo upływu lat od „odstrzału” polskich Żydów, mimo opublikowania setek najrozmaitszych relacji z samej akcji wysiedlania, ostatnia fala emigracji, złożona przecież w olbrzymiej większości z ludzi władających piórem, nie potrafiła opublikować syntezy skomplikowanych zjawisk ostatniego okresu, jaki dane było przeżyć Żydom na terenie Polski. Czynniki te okazały się mniej drażliwe naturalnie dla „prawdziwego” Polaka, Władysława Bieńkowskiego. W każdym razie nie przeszkodziły mu one, a nawet wprost przeciwnie, skłoniły go do podjęcia próby takiej syntezy. Pozbawiony kompleksów i pozbawiony złudzeń Bieńkowski podchodzi do ostatniego rozdziału historii swego kraju, swojej partii i swojej ideologii spokojnie, bez uprzedzeń, ze znanstwem rzeczy i ludzi, ze znajomością kulis wydarzeń, ich wzajemnych związków przyczynowych.

Motory i hamulce socjalizmu to książka znamienita, ważna i interesująca. Jeżeli jednak nią się tutaj zajmujemy, to dlatego, że jest to pierwsza w polskiej literaturze politycznej ostatnich lat próba niesekciarskiego, no i nie antysemitckiego podejścia do sprawy żydowskiej. I to mimo że oczywiście sprawa żydowska stanowi dla Bieńkowskiego zagadnienie wtórne, któremu, obok sporadycznych odniesień, autor poświęca oddzielnie tylko niewielki, i to wysoce kontrowersyjny rozdział. Jednak na tle koszmarnego zalewu pseudoliteratury i pseudopublicystyki, pełnej po prostu ukrytej lub też wprost jawnej propagandy antysemitkiej, ten mały rozdziałik zasługuje na uwagę i upowszechnienie. I choć tak z punktem wyjścia, jakim jest dla Bieńkowskiego rażąco wysoki, według niego, udział Żydów w działalności partii komunistycznej i we władzach Polski socjalistycznej, i z wieloma refleksjami nie można się zgodzić, to trzeba przyznać, że od czasu publicystyki Leszka Kołakowskiego i tygodnika studenckiego „Po prostu” nie powstał nad Wisłą tekst, który by na ten temat tyle dawał do myślenia.

W sprawie żydowskiej Bieńkowski stwierdza od razu na wstępie: „Nigdy w dziejach antysemityzm nie odgrywał samoistnej roli, zawsze był osłoną dla

programów, które dla ich łatwiejszej przyswajalności odwoływały się [...] do za-bobonów gromadzonych w psychice społecznej od średniowiecza. Wznosząca się fala antysemityzmu zawsze oznaczała przyływ reakcyjnych tendencji społecznych, zawsze wymierzona była w siły lub idee postępu...”

Dla Bieńkowskiego wygnanie Żydów jest „finałem procesu trwającego równie pół wieku”, a jego główne źródło tkwi „w stosunku między rewolucyjną partią w Polsce a ludnością żydowską i w roli, jaką Żydzi w różnych okresach w Komunistycznej Partii Polski i w ruchu komunistycznym odgrywali”.

Rozumowanie Bieńkowskiego zawarte w rozdziałiku, który nosi eufemistyczny tytuł *Przyczyny i preteksty. Refleksje nad sprawą żydowską*, da się rozbić na kilka etapów.

Etap pierwszy – Luksemburgizm: za dużo Żydów

Bieńkowski przypomina to, co się w historii polskiego ruchu rewolucyjnego nazywa błędami luksemburgizmu, a co z grubsza polegało na niedocenianiu hasła niepodległości Polski. To niedocenianie stwarzało ostrą barierę między komunistami a społeczeństwem polskim i izolowało ruch rewolucyjny od ludności. Inaczej było w odniesieniu do Żydów „z natury rzeczy mniej wrażliwych na problem suwerenności narodowej”. Bieńkowski dodaje natychmiast, że „biedota żydowska widziała w Komunistycznej Partii Polski drogę do usunięcia rasowej i narodowościowej dyskryminacji i prześladowań, inteligencja, a także niektóre elementy burżuazyjne, widziały w programie rewolucji socjalistycznej drogę do społecznej asymilacji i jedyną metodę rozwiązania kwestii żydowskiej w ogóle”. W dalszym ciągu Bieńkowski wskazuje, że również po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku partia pozostawała w izolacji z powodu wyeliminowania z propagandy i ideologii słownictwa i elementów tradycji narodowej. Natomiast, jak pisze Bieńkowski, „przeszkody te w nikłym stopniu mogły odgrywać rolę dla elementu żydowskiego. Nie odmawiając Żydom Polski, polskości i patriotyzmu [...], to przecież bariera, jaką stanowiła spychająca Polskę i narodowe jej problemy internacjonalistyczna frazeologia komunistów, nie stanowiła przeszkody dla Żydów, również dla inteligencji żydowskiej. W efekcie udział elementu żydowskiego był w ruchu komunistycznym nieproporcjonalnie duży, a przeważający w jego kadrze kierowniczej. To z kolei przyczyniało się do wyobcowywania partii w stosunku do społeczeństwa polskiego, stanowiło jeszcze jedną, wykorzystaną przez reakcyjną propagandę, barierę. Niewątpliwie w polityce personalnej Kominternu, a w konsekwencji Komunistycznej Partii Polski odgrywał rolę fakt, iż aktywiści żydowscy w mniejszym stopniu podlegali podejrzeniom o polski nacjonalizm”.

Etap drugi – stalinizm: za dużo Żydów

Jeżeli chodzi o okres po drugiej wojnie światowej, to Bieńkowski stwierdza, że wśród ocalałych Żydów uratowała się także „spora ilość starego aktywu komunistycznego oraz tacy, którzy się do ruchu włączyli w czasie wojny, często w szeregach armii. W czasie budowy zrębów odrodzonego państwa i budowy aparatu partyjnego, kierującego tym historycznym procesem, udział owych ocalałych Żydów był znaczny, a wśród górnego aktywu oni w dużej mierze stanowili stary wypróbowany ideologicznie trzon”. Po 1948 roku, kiedy to niektórych działaczy (nie-Żydów, jak podkreśla Bieńkowski) poddano represjom po posądzeniu ich o tendencje nacjonalistyczne, „rola aktywu żydowskiego pochodzenia, jako niepodważanego o polski nacjonalizm, wzrosła w całym aparacie. Szczególnie duży był ich udział w niektórych służbach wymagających większego politycznego zaufania, w placówkach służby zagranicznej, zarówno dyplomatycznej, jak i handlowej, a nawet wojskowej”. Równocześnie „na klimacie, jaki w społeczeństwie wytworzył się dookoła nielicznej ocalałej ludności żydowskiej zaciążył fakt szerokiego użycia Żydów w rozbudowanym aparacie bezpieczeństwa. Polityka kierowana przez pełnomocników Berii, a realizowana przez kierownictwo partii dążyła do tego, aby ostry reżim policyjny realizować przy znacznym udziale Żydów, w pewnym sensie świadomie przeciwstawiając ich społeczeństwu polskiemu...”.

Etap trzeci – rewizjonizm: za dużo Żydów

Nadszedł XX zjazd i polski Październik. Bieńkowski stwierdza, że „załamanie się i częściowe ujawnienie systemu stalinowskiego wywołało u większości ludzi ideologicznie zaangażowanych objawy ostrego kryzysu [...], który dotknął także część partyjnych aktywistów i inteligencji twórczej pochodzenia żydowskiego. Wielu z nich od gorliwej wiary w nieomylność partii przerzuciło się do nieufności i krytycyzmu. „Rewizjonizm” z tej strony wywołał szczególne rozdrażnienie kierownictwa. Bieńkowski dodaje, że w „międzyczasie w stosunku do ludzi pochodzenia żydowskiego zaczęła zachodzić zmiana zasadniczej natury”, mając – jak wynika z jego słów – na myśli całą serię aktów antysemickich ze strony tego rozdrażnionego kierownictwa. „Zmiana ta – pisze Bieńkowski – nie mogła nie wywrzeć wpływu na postawę aktywistów żydowskich [...], co przejawiało się w przypadkach ucieczki za granicę Żydów pełniących różne nieraz bardzo poufne funkcje, co z kolei wpływało na atmosferę nieufności i podejrzliwości...”.

Etap czwarty – walka o władzę: za dużo Żydów

Przechodząc do etapu następnego, czyli do wydarzeń roku 1968, Bieńkowski pisze, że w chwili otwarcia „ostatniego aktu dramatu ważną rolę odegrał fakt, iż szczególnie dostrzegalny był udział Żydów w niektórych zawodach

twórczych (literaci), w nauce, w tzw. aparacie ideologicznym (prasa, radio, telewizja, wydawnictwa). Kiedy bowiem [...] przyszło likwidować ostatnie ogniska »liberalizmu« – w naukach społecznych, wśród literatów, w aparacie ideologicznym – rozprawę z tymi grupami inteligencji trzeba było przesłonić jakimś wygodniejszym pretekstem. Sytuacja sama wsunęła w ręce wysłużony sztandar antysemityzmu, zaktualizowany i przystosowany do bieżących wydarzeń [...]. W autorytatywnym oświadczeniu [Gomułka po wojnie 6-dniowej – dop. L. U.] obywatele polscy żydowskiego pochodzenia zostali uznani za faktycznych lub potencjalnych agentów wrogich imperialistycznych sił...”.

Jak to obrazowo pisze Bieńkowski, „zajścia studenckie stały się pretekstem do rozpoczęcia właściwej akcji. Po kilkunastodniowym huraganowym ostrzale przez prasę, radio, telewizję, w którym nie brakło argumentów czerpanych wprost z tradycyjnego antysemickiego arsenału, rozpoczęło się polowanie na czarownice [...] Rozgrywało się to w atmosferze, w której jakakolwiek obrona przed najbardziej absurdalnymi zarzutami była niemożliwa [...]. Atak na Żydów był niezwykle wygodnym parawanem, ponadto obliczony był na pozyskanie poparcia przynajmniej ze strony części społeczeństwa [...]. Organy, których zadaniem było oczyszczenie kraju z Żydów, wiedziały, że akcja ta nie może być przeciągana w czasie, toteż wykazywały pośpiech. Szło o to, aby przez pozbawienie możliwości zarobkowania, stworzenie atmosfery ostracyzmu i zamknięcie wszelkiej perspektywy, jak największą ilość ludzi zmusić do emigracji. Kampania antysemicka sterroryzowała, odsunęła i zmusiła do milczenia wszystkich, którzy zachowali zdolność myślenia, zwyczajną ludzką uczciwość i obywatelską troskę o losy kraju. Na powierzchnię wypłynęły elementy zdeprawowane, ciemne czarnosecinne siły, gotowe do pójścia w każdym kierunku. Piętno przez te siły odciśnięte na życiu kraju rozpoczęło nową fazę naszych dziejów...”.

Etap piąty – Polska *Judenrein*: za mało socjalizmu

Swoje refleksje na tematy żydowskie Bieńkowski kończy dramatycznym fragmentem zacytowanym jako motto do niniejszego szkicu. Natomiast kwintesencję, może niezamierzoną, swych rozważań zawarł w jednym krótkim zdaniu: „Okazało się dość nieoczekiwanie, że ustrój socjalistyczny nie rozwiązał problemu żydowskiego, że przeciwnie sam stworzył pożywkę, która utajonym bakteriom antysemityzmu pozwoliła przetrwać i odżyć”.

Gdyby nawet istniał zamiar jakże łatwej, ale z oczywistych przyczyn niemożliwej polemiki z Bieńkowskim, to jego własna konkluzja czyni jakikolwiek spór najzupełniej zbędnym*.

* Mimo zbieżności należy się oczywiście wystrzegać identyfikowania spostrzeżeń Bieńkowskiego z konkluzjami, do jakich doszedł Andrzej Werblan w czerwcu 1968 roku. „Miesięcznik Literacki” z tej daty opublikował mianowicie artykuł Werblana o jawnie reakcyjnej treści,

Wynika z tej konkluzji bowiem jasno i niedwuznacznie, że to nie nadmiar Żydów, a niedosyt socjalizmu i demokracji był źródłem izolacji partii i antysemityzmu w Polsce. Tych kilka słów z książki Bieńkowskiego tłumaczy lepiej źródła antyżydowskiej hecy w Polsce niż najbardziej nawet dokładna – wcale zresztą nie taka jednoznaczna i warta przeprowadzenia – statystyka udziału Żydów w partii komunistycznej, we władzach państwa socjalistycznego, ich proporcje we władzach bezpieczeństwa i w... ucieczkach.

Po prostu, socjalizm, w jego polskim wschodnioeuropejskim czy rosyjskim wydaniu, ten – inaczej mówiąc – narodowy socjalizm, ta swoista wersja nazizmu, ten sojusz prawdziwej prawicy – autentycznej reakcji społecznej, jaką jest kasta kurczowo i kosztem narodu trzymająca się władzy – z aparatem policyjnym pozbawionym w ogóle ideologii, a ożywionym jedynie chęcią przejęcia i utrzymania korzyści związanych z trzymaniem narodu „za buzię”, taki „socjalizm” pozwala odżyć wszelkim wersjom nacjonalizmu, wstecznictwa, a w tym i antysemityzmu, tego beblowskiego „socjalizmu imbecyli”.

Można powiedzieć, że to nie w roku 1948, a dopiero w 1968 Gomułka stanął na czele prawdziwego odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Obok tego starego modelu polski neostalinizm i jego ideologiczny produkt – „neoantysemityzm” wniosły jednak do historii światowego obskurantyzmu także coś nowego. Bieńkowski mówi o tym na marginesie w całej notce: „W antysemityzmie współczesnym charakterystyczne jest, że o ile propaganda podsycza nienawiść, wskazując na odrębność i obcość Żydów, to w istocie główne uderzenia kierują się w te grupy, które uległy w poważnym stopniu asymilacji”.

To znaczy w tych Żydów, którzy myśleli zgodnie z tym, co pisał pewien polski Żyd nazwiskiem Izaak Deutscher, wskazując na przykłady Freuda, Marksa, Trockiego, Heinego czy Spinozy – że staną się wielkimi, „kiedy przekroczą granice judaizmu”.

Okazało się jednak, że w Polsce Gomułka i Moczara jest to niemożliwe i że granic judaizmu Żydzi tam przekroczyć nie mogą. I że jak spróbują przekroczyć, to zawsze im to ktoś uniemożliwi. I że zawsze się znajdzie ktoś – nawet w rządzie i w partii komunistycznej – kto najpierw Żydów polskich napiętnuje za to, że są inni niż pozostali, a potem za to, że starają się ową odrębność ukryć. Najsmutniejsze zaś, że ten ktoś za pomocą hasła antysemitckiego osiąga to, co dla niego najważniejsze, a mianowicie neutralizację i zubożenie społeczeństwa.

Według niektórych, a wśród nich – jak widać z cytatów z książki Bieńkowskiego – nie brak nawet najbardziej światłych i postępowych przedstawicieli polskiej inteligencji, wystarczy „nieproporcjonalnie” duża liczba Żydów w ja-

gdzie kierownik wydziału oświaty KC PZPR proponuje ustanowienie swoistego *numerus clausus* dla żydowskich komunistów.

kimś środowisku, aby problem antysemityzmu automatycznie powstał. To nieprawda, to krzywdzi naród polski. Jak bowiem wynika z tego, co się już po *Endlösung* w Polsce dzieje, nawet całkowity brak Żydów oficjalnego rządowo-partyjnego antysemityzmu nie zlikwidował, a „antysyjonizm” pozostał ulubionym zajęciem ideologów komunizmu polskiego.

Faktyczne i ostateczne oczyszczenie partii, władzy ludowej i Polski z Żydów nie przyniosło spodziewanych korzyści. Dało jedynie kilka tysięcy posad i mieszkań, natomiast pozwoliło ostatecznie obalić mityczną tezę o odwrotnie proporcjonalnej zależności, jaka rzekomo zachodzi między liczbą Żydów w partii a jej popularnością w narodzie. Nikt poważny przecież nie posunie się do twierdzenia, że popularność partii jest dziś większa, niż była w roku 1967, przed pozbyciem się Żydów. Istotną stratę poniosło też kierownictwo partii. Wyrzucając bowiem resztki Żydów, partia pozbawiła się dość efektywnej możliwości dywersyjnego działania. Już teraz nikt nie da się nabrać na hasło: „Żydzi winni...!”.

W 1956 roku młody, a już znany polski filozof Leszek Kołakowski pisał: „Utrzymywanie antysemityzmu potrzebne jest politycznej reakcji zwłaszcza tam, gdzie chodzi o skupienie uwagi ludności na urojonych źródłach społecznych nieszczęść, w celu odwrócenia uwagi od jej źródeł rzeczywistych [...]. Walka z Żydami rzadko bywa celem samym dla siebie [...]. Antysemityzm ma stworzyć uniwersalny symbol zła, który następnie chce się związać w umysłach z tymi zjawiskami w polityce, kulturze, nauce, które trzeba zwalczać. Trzeba z żydostwa uczynić obelgę, którą będzie się piętnować wszystko, co ma być unicestwione [...]. Cokolwiek wtedy w kulturze, w polityce, w życiu ma być zohydzone i stać się przedmiotem nienawiści, może być przedstawione jako produkt żydowski”.

Przeczytajcie Bieńkowskiego! Jakże niewiele się w Polsce zmieniło między 1956 a 1969 rokiem. Bieńkowski i Kołakowski, dwa pokolenia Polaków, dwóch polskich patriotów, dwóch ludzi lewicy, dwóch intelektualistów. Jakże tragiczna jest ta przerażająca identyczność diagnozy!

W 1956 roku Kołakowski tak kończył swój artykuł: „Kiedykolwiek cień antysemityzmu [...] przemyka przed bramami naszych domów – uwaga! kanalia stoi za rogiem!”.

W 1968 roku Bieńkowski tak woła: „Na powierzchnię życia kraju wypłynęły elementy zdeprawowane ciemne, czarnosecinne siły, gotowe pójść w każdym kierunku!”.

Kanalia nie stoi więc za rogiem. Kanalia jest już w domu. Prawda, że ten dom jest *Judenrein*, ale przecież od początku było wiadomo, że tu nie chodzi o Żydów.

CZĘŚĆ TRZECIA

Drogi i krew

1. Powyżej zamieszczony artykuł Leopolda Ungera napisany został w lecie 1970 roku, a wydrukowany w grudniu 1970 roku w naukowym kwartalniku angielskim „Soviet and East European Jewish Affairs” w Londynie. Po 9 latach, mimo że artykuł pisany był naprawdę na gorąco i tuż po banicji, nie muszę dziś w artykule zmieniać nawet jednego przecinka, co chyba o czymś świadczy...

2. Odojewski pisze, że „fałsz *Holocaustu* był na rękę pewnym Niemcom” poszukującym współników w odpowiedzialności za zagładę. To prawda, ale czy tylko pewnym Niemcom? A gdzie są w tej wspólnej dla wszystkich Polaków sprawie dobrego imienia narodu, gdzie są, powtarzam, władze z Warszawy? Dlaczego Odojewski piętnuje tylko „zachodnich ekspertów”, w tym pewną panią doktor „Żydówkę” i pewnego pana profesora, co „osobiście przeżył getto”? Dlaczego rząd warszawski uniemożliwiał (i w chwili pisania tych słów ciągle uniemożliwia) wyjazd Bartoszewskiego do USA, gdzie ten najlepszy i najbardziej wiarygodny świadek „Żegoty” był zaproszony właśnie w celu mówienia o stosunkach polsko-żydowskich i w celu obalenia fałszów *Holocaustu*? A przecież Bartoszewski zaproszony był przez polską Fundację Kościuszki przy współpracy *Bnai Brith*, największej żydowskiej organizacji w USA. Gdzie tu spisek „sporej części...”. Komu milczenie Bartoszewskiego jest na rękę? Dlaczego kiedy najbardziej popularny magazyn francuskiej telewizji (15 milionów widzów) szykował program o warszawskim getcie, to władze polskie, mimo zaproszenia, nie delegowały Bartoszewskiego ani żadnego innego wiarygodnego i prawdziwego polskiego członka „Żegoty” czy innych akcji pomocy Żydom, natomiast przysłały pewnego korespondenta prasy warszawskiej, znanego raczej z działalności „antysyjonistycznej” przed i po Marcu 1968 roku? Kto komu jest tu „bardziej niż niechętny”?

3. Historia polskiego żydostwa jest długa, wspaniała, tragiczna i wspólna z historią Polski, ale – choć Żydów polskich już nie ma – ich historia nie jest zamknięta.

4. Może potrafi ją zamknąć polski papież. Mówiąc o Oświęcimiu jako o Golgocie współczesnego świata i modląc się nad żydowskimi prochami krematoryjnymi, „gdzie nikt nie może pozostać obojętny”, papież tchnął wymiar historii w polsko-żydowską niedolę. Szkoda wielka jednak, że papież, który odwiedził dziesiątki miejsc w Polsce, nie przystanął choć na chwilę przed mogiłą warszawskiego getta. Oświęcim jest grobem pewnego etapu europejskiej i chrześcijańskiej cywilizacji. Grób i symbol polskich Żydów mieści się gdzie indziej – w getcie w Warszawie. A może papież chciał pójść do getta, tylko władze się na to nie zgodziły? Myślę, że postać polskiego papieża u pomnika getta warszawskiego dałaby prawdziwy znak i symbol pojednania.

5. Odojewskiego „napawa głębokim smutkiem fakt, iż drogi narodów zamieszkujących przez kilka wieków tę samą ziemię rozchodzą się coraz bardziej”. To nieprawda, nie rozchodzą się. Z braku przechodniów. Dziś już nie liczą się drogi, liczy się tylko krew. Nie ta, co w żyłach, ale ta, co została przelana.

Pisane 9 czerwca 1979

[7–8/1979]

Polacy i Żydzi – podsumowanie dyskusji

Rzetelny i wnikliwy artykuł Andrzeja Szczypiorskiego w majowym numerze „Kultury” pt. *Polacy i Żydzi*; poruszające do głębi myśli i zebrane cytaty Andrzeja Koraszewskiego pod nagłówkiem *Holocaust a sprawa polska* w tymże numerze; list do Redakcji czytelnika z Holandii, który – dotknięty do żywego antypolskim wybuchem Begin w wywiadzie telewizyjnym – woła o „znalezienie dróg i sposobów, które by jednak spowodowały bardziej obiektywne i wyważone stanowisko w tej nieszczęsnej sprawie kierowniczych kół żydowskich w świecie i w Izraelu”; ważka wypowiedź podpisana przez Zespół Problemowy Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w londyńskim piśmie „Tydzień Polski” z 9 czerwca 1979 – wszystko to są materiały, które, zda się, wskazują na nowy klimat dyskusji. Zachęca mnie to, aby do tej bolesnej i skomplikowanej sprawy dorzucić swe trzy grosze, szczególnie że dla przyszłego historyka – polskiego i żydowskiego – świadectwo współczesnych świadków, pokolenia okresu niepodległości i okupacji, będzie najważniejsze. Wszak o nic innego już, niestety, nie chodzi, jak tylko o sprawiedliwy sąd historii.



Odwieczne wypowiedzi na ten temat cechowała, obustronnie, nieszczerłość. Z reguły prawdę mówią sobie tylko ludzie, którzy mogą sobie spojrzeć w oczy z tej samej płaszczyzny. W Polsce Niepodległej argument publiczny był nieodłączny od polityki: prasa codzienna, jak to bywa, szukała poklasku ulicy i partyjnej korzyści. Prasa żydowska w języku polskim (tj. „Nasz Przegląd”, „Chwila”, „Nowy Dziennik”) musiała liczyć się ze słowami, aby sytuacji nie zaogniać, a zarazem nie narażać się cenzurze. Krępowała ją też pewna dwuznaczność syjonistycznej postawy: zachęcanie do wyjazdu do Palestyny gwoźli odbudowy ojczyzny – i obrona praw obywatelskich w diasporze. Pamiętam taki patetyczny nagłówek, który żywo odzwierciedla ówczesny nastrój: „Polska, czy oni tego chcą, czy nie, to także my!”.

W Polsce Ludowej, gdzie – jak pisze Szczypiorski – „państwo redaguje za pośrednictwem swych cenzorów każdy skrawek zadrukowanego papieru” – nigdy nie było ani nie ma mowy o jakimkolwiek obiektywnym poglądzie na te sprawy; niektóre z najgłupszych i najgrubszych niemi szytych gryzmołów właśnie tam się wykocyły. Może i tam kiedyś zaświta świadomość, jakie zubożenie w życiu narodu spowodowała zagłada i wygnanie Żydów. Bądź co bądź jest to w naturze systemu, że zmiany kursu zachodzą przez noc, dzisiejszy dogmat jest jutrzejszym błędem i omyłką, a pismak, co dziś wedle instrukcji szkalował, jutro przelknie i pochwali.

Na emigracji można sobie wzajemnie pozwolić na szczerość, bez ubocznych motywów. Co więcej, pobyt na emigracji uczulił, zda się, polską wrażliwość na pewne podstawowe rysy żydowskiej *psyche* – rysy trudne do zrozumienia „z drugiej ręki”.



We wspomnianych artykułach, które dają asumpt do niniejszego przyczynku, jest zawarte domniemanie, że propagowanie mitu o niepoprawnym, wojującym antysemityzmie Polaków jest jakąś programową, przemyślaną akcją kierowniczych kół żydowskich. To znowu jedna z teorii „konspiracji”, która maskuje istotny stan rzeczy. Ten zbiorowy rzeczownik „kierownicze koła żydowskie” (jak starzy „Mędrzy Syjonu”) sam w sobie jest mitem, a przywódcy tych rozmaitych instytucji, organizacji i partii żydowskich po całym świecie, którzy sobie najczęściej uzurpują prawo do przemawiania w cudzym imieniu, nie mają uzgodnionych celów i przekonań, przeciwnie, tak jak w innych społecznościach są ze sobą skłócenie i w wiecznym konflikcie.

Nie trzeba się uciekać do teorii konspiracji. Jest faktem, że pośród Żydów, na obu półkulach, istnieje szeroko rozpowszechnione i głęboko zakorzenione przeświadczenie, że Polacy są na ogół antysemitami. Żydzi, którzy w słowie czy piśmie dają wyraz antypolskim sentymentom, nie są rzecznikami jakiejś przemyślanej akcji (łatwiej byłoby wówczas temu przeciwdziałać), ale spontanicznie wyrażają swoje przekonania. Jeśli tego nie tłumaczyć po prostu żydowską złośliwością i perwersją, wypada ludziom dobrej woli szukać przyczyn, dla których właśnie taki, a nie inny stereotyp Polaka zarył się w żydowskiej świadomości. Dociekać, zrozumieć, dlaczego tak jest – to wstępne kroki ku lepszej drodze.



Źródło tego stanu rzeczy leży w układzie stosunków polsko-żydowskich w Polsce Niepodległej między wojnami; jest tysiącrotnie wzmożone doświadczeniami pod okupacją i niejako przypieczętowane wydarzeniami 1968 roku.

Osąd, że Polacy *per se* byli i są niepoprawnymi antysemitami jest – jak mówi Szczypiorski, sięgając po przymiotnik najbardziej w jego oczach potępiający – po prostu głupi. Osąd, godzi się dodać, także głęboko krzywdzący nie tylko dla tysięcy szlachetnych i przyjaznych Żydom ludzi, ale i dla tych obojętnych – dziś już chyba większość ludności w Polsce – których te sprawy nie grzeją ni ziębią i którzy prawdziwego Żyda w życiu nie widzieli. Żydzi, którzy sami są ofiarą „stereotypowania” winni być szczególnie ostrożni w operowaniu nieselektywną klasyfikacją. Co więcej – takie „załatwienie” sprawy zatrzaskuje drzwi do owocnej dyskusji i stępie ostrze prawdziwych zarzutów.



Jeśli chodzi o sytuację Żydów w Polsce między wojnami, trzeba patrzeć na to w kontekście ówczesnych warunków ogólnych i tego, co się działo na świecie, dookoła. Polacy antysemityzmu nie wymyślili, jest to zjawisko odwieczne, skomplikowane, wieloplanowe i – w pewnym sensie – tajemnicze, żadna z analiz wyczerpująco go nie wyjaśnia. Teza marksistowska, że antysemityzm ma podłoże wyłącznie ekonomiczne i że w społeczeństwie bezklasowym nie będzie istniał, okazała się złudna (choć może trafniej byłoby powiedzieć, że to wizja społeczeństwa bezklasowego okazała się złudna). Teza syjonizmu, że źródłem antysemityzmu jest stan bezdomności Żydów, brak własnej ojczyzny, też – jak się okazuje – problemu w całości nie rozwiązuje. Faktem jest, że mniejszości etniczne, jeśli są cyfrowo pokaźne, współzawodniczące i łatwo rozpoznawalne, stwarzają dla państwa trudne problemy. Tolerancja i mądrość polityczna konieczne do łagodzenia (nie mówię o rozwiązaniu) tych problemów należą w świecie do niezwykle rzadkości. Różnice kulturalne i religijne, które w bardziej światłych czasach uważać się będzie za wartości godne kultywowania jako że wzbogacają one sumę ludzkiego dorobku, były i są w świecie pretekstem do antagonizmu i dyskryminacji.

W Polsce między wojnami wszystkie te warunki, które powodują zaognienie problemów mniejszości, istniały w klasycznej formie. Na domiar złego teologiczny antyjudazm, nauka z ambony o winie Żydów za śmierć Chrystusa, była codzienną pożywką – jest to niezawodnie jeden z głównych elementów, który antysemityzm krzewi i podsyca.

Nieproporcjonalnie wysoki udział jednostek pochodzenia żydowskiego w ruchu radykalnym i rewolucyjnym, w czasie gdy przynależność do partii komunistycznej była przestępstwem, również był elementem dysharmonii. Proces asymilacji dostępny był stosunkowo małej garstce. O asymilacji większości nie mogło być mowy, nie tylko z uwagi na obiektywne trudności takiego procesu, ale i dlatego, że przygniatająca większość społeczeństwa żydowskiego – zarówno jego odłamu religijnego, jak i syjonistycznego – asymilacji zasadniczo się sprzeciwiała i ją zwalczała.

Nowe państwo, po stu pięćdziesięciu latach pod zaborami, przy paraliżującej społecznej i etnicznej strukturze, przy gospodarczym zubożeniu, predyspozycji do anarchii i braku tradycji demokratycznych, było skonfrontowane z trudnościami, od których bieleje włos. Powstały polityczne ugrupowania, które główny swój program opierały na antysemityzmie. Biorąc to wszystko pod uwagę, można ubolewać, lecz nie można się dziwić, że antysemityzm w ówczesnej Polsce stopniowo wzrastał.

Żyd polski, w retrospekcji, ma prawo się skarżyć na dyskryminację, na ekscesy, na próby bojkotu gospodarczego, na getto ławkowe, na judzenie prasy, na Przytyk i Myślenice, ale godzi się pamiętać, że w porównaniu z tym, co się działo w Niemczech po 1933 roku, życie żydowskie w Polsce było idyllą. Była względnie wolna prasa, była żydowska reprezentacja w Sejmie i Senacie, stosunkowo nieskorumpowany wymiar sprawiedliwości, prosperujące wolne zawody i mieszczaństwo, bujne i swobodne życie kulturalne – w języku polskim i jidysz, płaszczyzny życia politycznego, kulturalnego i towarzyskiego, gdzie tworzyła się symbiotyczna tkanka wspólnej egzystencji. Wymazywanie tego z pamięci, wyrzucanie dziecka z kąpielą, jest objawem miopii i umysłowego zubożenia.



To jest jednakowoż historia czasów już odległych, o drugorzędnym wpływie na formowanie opinii o stosunkach polsko-żydowskich.

Elementem, który wszystko przesłania i o wszystkim w życiu i mentalności żydowskiej decyduje, jest okres męczeństwa i zagłady pod okupacją. To jest właśnie ten obnażony nerw i punkt węzłowy – także jeśli chodzi o wynikający stąd stosunek Żydów do Polaków. Aby cokolwiek w tej materii zrozumieć, trzeba się w ten stan wżyć, niejako „od wewnątrz”.

Nie trzeba tu powtarzać, że eksterminacja Żydów w obozach śmierci na ziemiach polskich stanowi swym zasięgiem i metodą zjawisko bez precedensu. Bezmiar cierpienia i strat zostawił na tych, co przeżyli, ślady nie do zatarcia. Przez trzydzieści lat badań, poszukiwań, spotkań nie natknąłem się w Europie, Ameryce czy Izraelu na jedną bodaj osobę żydowskiego pochodzenia, w której ro-

dzinie nie było ofiar. Nie godzi się cierpieniem licytować, ale jeśli ktoś mówi „dość tego hałasu – myśmy też cierpień”, wystarczy przypomnieć, że tylko Żyd szedł do gazu wyłącznie za to, że był Żydem i w stosie dziecinnych bucików w Oświęcimiu nie ma innych jak te, które zdjęte zostały z nówek dzieci żydowskich.

Więc gdy się bada poglądy, reakcje Żydów, trzeba mieć na uwadze, że w tym pokoleniu ma się do czynienia z organizmem fizycznie i duchowo okaleczonym. Dominuje tu żal do świata, do tzw. chrześcijańskiej cywilizacji, że z przyczyn takich czy innych, prawdziwych czy urojonych, gdy wiadomo już było, że Niemcy dokonują ludobójstwa, nikt w rzeczy samej palcem nie ruszył. Papież milczał, duchowieństwo milczało* – to milczenie na zawsze huczy w uszach. Czy tak trudno było napiętnować zbrodniarzy *urbi et orbi*, przypomnieć, że esencją religii jest miłość bliźniego, że szantaż i donos to niewybaczalny grzech. Wiemy, jaki głęboki rezonans ma w społeczeństwie słowo papieskie i księży. Znalazł takie słowa, dwadzieścia lat później, Jan XXIII, w swej modlitwie pokutnej, krótko przed śmiercią**. Znalazł słowa Papież Wojtyła nad prochami w Oświęcimiu. Czy wątpi ktoś, że gdyby w czasie największej próby podniósł się ogromny głos duchowieństwa, wzywający do niesienia pomocy Żydom, uratowałoby to setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy ludzi? Byłoby się czym pochwalić.

Docieramy do trzewi zagadnienia: jaki jest i jaki – po wielkiej rozwadze – ustali się, pośród Żydów i Polaków, sąd o roli Polaków w okresie i procesie zagłady żydowskiej.

Żydowski *vox populi*, oparty na pisemnym i słownym świadectwie tych, którzy tam byli, opiewa, że z reguły Polacy nie tylko że Żydów nie ratowali, ale przedstawiali dla nich główne niebezpieczeństwo demaskowania. Wiadomo było tym, którzy szukali ukrycia, że trudno było liczyć na pomoc lub nawet neutralność ludności – obawa była nie przed żołnierzem czy policjantem niemieckim, który nie rozróżniał Żyda od Polaka, ale przed sąsiadem czy przechodniem, z tą wyostrzoną polską wrażliwością na żydowski wygląd, wymowę czy strach w oczach.

To jest zarzut podstawowy. Zachodzi pytanie, czy można temu skutecznie i przekonująco zadać klam.

* Milczały również i nie spieszyły z pomocą potężne organizacje żydowskie w USA. I nie wzruszyło ich nawet dramatyczne samobójstwo Sz. Zygelbojma. [Redakcja]

** „Wyznajemy teraz, że przez wiele, wiele stuleci oczy nasze były porażone ślepotą, tak że nie widzimy już piękna Twego wybranego ludu i nie rozpoznajemy w jego twarzy rysów naszego pierwotnego brata. Wyznajemy, że piętno Kaina jest na naszym czole. Przez stulecia Abel leżał zbroczony krwią i łzami, bośmy zapomnieli o Twej miłości. Wybacz nam klątwę, którąśmy fałszywie rzucili na Żydów. Wybacz nam, żeśmy Cię ukrzyżowali po raz wtóry. Albowiem nie wiedzieliśmy, cośmy czynili...” (Modlitwa pokutna Jana XXIII dnia 3 czerwca 1963).

Cytuje się liczbę ok. 100 000 Żydów, którzy okupację przeżyli – więc przypuszczalnie dzięki pomocy swych polskich rodaków. Mówi się o tych kryjówkach na strychach i piwnicach, zamurowanych pokoikach, celach klasztorów lub po prostu szafach, gdzie się Żydzi uchowali. Za ukrywanie Żyda groziła kara śmierci; za niepoinformowanie o ukrywającym się Żydzie groziła kara śmierci. Na przekór temu istnieje dokumentacja, bardzo niepełna, która wymienia ponad 600 nazwisk osób i całych rodzin zamordowanych przez Niemców za udzielenie pomocy Żydom. W Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie jest 300 drzew ku czci Polaków szczególnie zasłużonych. Rada Pomocy Żydom „Żegota” ma niezmiernie zasługi, uznane przez Instytut Yad Vashem.

Byłoby najczarniejszą niewdzięcznością i moralną ślepotą nie zapamiętać na wieczną chwałę niesłychanej szlachetności, samopoświęcenia i heroizmu tych, którzy w okolicznościach, od których się wyobrażnia wzdryga, z narażeniem życia swego i swych rodzin ukrywali i niesli pomoc swym żydowskim współrodakom. Ci szczęśliwcy, którzy dzięki temu przetrwali, nie robią z tego sekretu. Wypadków takich, nie tylko tych udokumentowanych, ale i tych, których pamięć poszła z dymem, musi chyba być tysiące.

Trzeba na obie strony medalu spojrzeć obiektywnie. Nikt nie może się spodziewać świętości od pospolitych zjadaczy chleba. Posiew nienawiści nie wschodzi żniwem miłosierdzia. Wojna, nędza, bezprawie są pożywką dla ludzkiej nikczemności – nie brakło jej objawów w tych warunkach także pośród Żydów.

Ale gdy kładzie się na szali wszystko, co jest wiadome – heroizm i ofiarność, podłość i łotrostwo – w opinii żydowskiej nie ma wątpliwości, co było regułą, a co wyjątkiem. Zdaje się, że szczerze wyrażona opinia większości Polaków podzielałaby to zdanie – ale nie mnie na ten temat mówić. Gdy Szczypiorski mówi, że „walka o ocalenie Żydów była moralnym obowiązkiem. Fakt, że jego spełnienie wymagało bohaterstwa, dowodzi tylko jednego – nieopisanego zdziczenia hitlerowskich Niemiec” – trzeba, niestety, dodać, że wymagało to bohaterstwa głównie dlatego, że otoczenie groziło donosem i szantażem. Nie tylko „szumowiny”, których nie brak było, ale wielki odłam ludności.

Gdyby Żydzi się czuli w swoim naturalnym elemencie, pośród współrodaków, z którymi ich łączy wspólny los i wspólna walka z wrogiem, ucieczka i znalezienie schronu na szerokich szlakach kraju, po wioskach, gdzie noga Niemca nie powstała, byłyby stosunkowo proste. Ale Żydzi znali nastroje i postawę ludności, wiedzieli, na co mogą liczyć – byli w potrzebie. Gdy mowa o 100 000 ocalałych (cyfra jest niestwierdzalna) – trzeba zapytać, ilu z nich uratowało się dzięki, a ilu na przekór postawie współrodaków.

Gdy trwał proces palenia w krematoriach, pociągi do Chełmna, Bełżca, Sobiboru, Treblinki, Majdanka i Oświęcimia szły dzień i noc, miesiącami, dym buchał z kominów. Godzi się zapytać – gdyby było wiadomo, że to nie „żydki się palą”, tylko rodzimi polscy ojcowie, mężowie, matki, żony i dzieci, jak długo by ten proces potrwał. Przecież żywiołowy wybuch gniewu i zemsty narodu byłby

nie do opanowania, cała siła Reichu by mu nie sprostała, gdyby szyny przyszło zębami rwać.

Komu się dziwić, jeśli Żydzi, których myśl o tym nigdy nie opuszcza, nie zawsze są w swych wypowiedziach rozważni i umiarkowani, skrupulatnie licząc słowa, by, broń Boże, kogoś nie urazić?



W tym związku także słowo o Beginie. Chciałbym wierzyć, że fragmentaryczne sprawozdanie z jego wywiadu w holenderskiej telewizji po pokazaniu filmu *Holocaust*, w którym, wedle słów korespondenta, powiedział m.in., że „na 30 milionów Polaków najwyżej stu pomagało Żydom...” – okazałoby się po zbadaniu, jak to często bywa, zniekształcone. Nie mam w tej chwili możliwości sprawdzić. Jeśli cytat okazałby się ścisły* – co, niestety, wydaje mi się możliwe – to nad tym szczerze ubolewam. Sformułowanie takie go pomniejsza – jest niegodne, fałszywe, krzywdzące i niepotrzebne.



Przechodząc do czasów powojennych, tj. normalnych w tym sensie, że eksterminacja i polowanie na Żydów się skończyło i niedobitki zaczęły wychodzić na światło dzienne – trudno powiedzieć, że ogarnęła ich ze strony ludności fala współczucia i sympatii. Wręcz przeciwnie – okazało się, że ci, którzy swe pochodzenie mniej lub więcej skutecznie zamaskowali, uznali za wskazane – tak jak to często było w partyzantce – maskaradę kontynuować, zweryfikować fałszywe papiery i nazwiska, byle współrodaków swą żydowską obecnością nie drażnić. Fakt, że paruset (są tacy, co skrzętnie liczyli i twierdzą, że doliczyli się paru tysięcy) Żydów, przedwojennych komunistów, którzy się uchowali przeważnie, choć nie wyłącznie w Rosji i objęli, pod protektorem Stalina, niektóre kierownicze stanowiska, także w UB, wystarczył, by rozładować sympatie tam, gdzie takie, w stanie szczątkowym, były. Powszechnie wyrażany był pogląd, że Hitler „rozwiązał” problem żydowski korzystnie dla Polaków – do dziś wielu jest takich, którym by wstyd to na głos przyznać, prywatnie temu potakują, jak taka „zrównowazona” opinia podsyci żydowską histerię, nietrudno sobie wyobrazić.

* Cytat jest ścisły. [Redakcja]



Szczypiorski interesująco tłumaczy wydarzenia 1968 roku. Można się zgodzić, że w tych haniebnych manewrach w efekcie nie o Żydów chodziło, lecz po prostu o zmianę warty przy korycie. Fakt, że nagonka antyżydowska i argument antysemitki – tak jak dawniej, tak jak zawsze – okazał się skuteczny i wywołał natychmiastowy odzew, ma swą własną wymowę. Świat, który obserwował te wydarzenia nagim okiem, nie dostrzegał i nie pamięta subtelności partyjnych i osobistych gier, a tylko notuje to, co się najbardziej w oczy rzuca i co potwierdza już i tak podejrzaną reputację. Nie rozróżnia też pośród wygnańców tych, których Szczypiorski prosi o wybaczenie, i tych, którym ręki nie poda. Jeśli są, w obu kategoriach, tacy, którzy dziś na świecie źle o Polsce mówią, to nie trzeba się dziwić – przemawia z nich gorzka i zawiedziona miłość. Wygnanie nie było szkołą dla ambasadorów dobrej woli. A jest ono przecież częścią prawdy o Polsce.

Żyjemy (przelotnie?) w okresie, kiedy od antysemityzmu wypada się w dobrym towarzystwie odżegnywać – jest w tym dla Żydów pewna satysfakcja. Apologetyka Polaków za stosunek do Żydów w czasie okupacji nie jest skuteczna, gdy chce równoważyć ogólne stanowisko obojętności i wrogości, co było regułą, z aktami ofiarności i poświęcenia, które były wyjątkiem. Trzeba przyjąć, że społeczeństwo polskie z tej przetragicznej próby moralnej, na jaką je los wystawił, nie wyszło obronną ręką. Można tylko zapytać, czy w identycznych warunkach, które nie mają analogii w historii, jest wiele społeczeństw, które by taką próbę przeszły lepiej? Czy, powiedzmy, gdyby sytuacja była odwrócona i życie Polaka zależne by było od ofiarności Żyda – czy bilans ludzki i moralny byłby lepszy? Spojrzenie w przepastne głębie duszy ludzkiej nie napawa optymizmem – ale to już chyba kłótnia z Panem Bogiem, który też w tej sprawie nie okrył się chwałą.



Rozeszły się na zawsze drogi „dwu najsmutniejszych narodów na ziemi”. Siły twórcze i talent żydowski nie wzbogacą więcej polskiego życia i polskiej kultury – i niech kto chce, z tego się cieszy. I dla zdziesiątkowanego narodu żydowskiego wyrwa niczym niezastąpiona: bo właśnie tam, kątem przy macosze, w surowym często klimacie, kwitła najbardziej twórcza, życiodajna, prężna gałąź narodu w diasporze.

[11/1979]

MICHAŁ BORWICZ, JÓZEF LICHTEN I IN.

Sprawa stosunków polsko-żydowskich

Czterdzieści lat temu na szczycie jednego z domów walczącego getta warszawskiego wywieszone zostały obok siebie dwie flagi: biało-niebieska i biało-czerwona. Bojownicy żydowscy, których życie obliczone było na godziny, skierowali do społeczeństwa polskiego te słowa odezwy: „Wśród dymu pożarów i kurzu krwi mordowanego getta Warszawy ślemy Wam bratnie pozdrowienia... Toczy się walka o Waszą i naszą wolność. O Wasz i nasz ludzki, społeczny, narodowy honor i godność... Niech żyje braterstwo broni i krwi walczącej Polski...”

Były to słowa pożegnania, tragiczny i piękny zarazem w swej godności końcowy akord zamykający blisko tysiąc lat współżycia Polaków i Żydów na ziemi polskiej.

W czterdzieści lat po powstaniu w getcie, które było szczytowym punktem największej w dziejach tragedii ludzkiej, my, niżej podpisani, uważamy za swój moralny obowiązek wydobyć z zapomnienia ten manifest Masady dwudziestego wieku. Trzej z nas byli w czasie drugiej wojny światowej emisariuszami, którzy z rozkazu Polski Podziemnej i polskiego rządu w Londynie nieśli przez granice i fronty relacje naocznych świadków i dokumenty zbrodni ludobójstwa oraz rozpaczliwe apele ginących, które miały wstrząsnąć i obudzić sumienie obojętnego świata. Trzej pozostali to działacze żydowscy na Zachodzie, z których każdy ma za sobą dziesiątki lat walki i aktywnej wierności wobec spuścizny polskiego żydostwa.

Ze społeczności żydowskiej w Polsce, liczącej przed wojną ponad trzy miliony obywateli – pozostała dziś kilkutyśieczna garstka. Dzielnice żydowskie wraz z otaczającym je murem zrównane zostały z ziemią przez wspólnego wroga. Lecz dziś wyrasta w to miejsce inny mur, dzielący Polaków i Żydów. Po obu jego stronach gromadzą się pokłady uprzedzeń i poczucie krzywdy, z której rodzi się wrogość i nienawiść.

Nienawiść jest bumerangiem bijącym w każdego, kto ją szerzy, bez względu na to, czy jest stroną słabszą czy silniejszą. Plonem nienawiści zasianej w dusze niemieckie stał się hitleryzm. Dzieckiem nienawiści jest nieludzka tyrania sowiecka. Ofiarami nienawiści byli zarówno Polacy, jak i Żydzi. Nienawiść wyrasta ze zbiorowej odpowiedzialności, która obarcza winą za występki i negatywne

właściwości jednostki czy mniejszości wszystkich ludzi tej samej narodowości, wyznania czy rasy. Mściwa nienawiść jest ślepa na to, co w innym człowieku czy zbiorowości ludzkiej jest piękne, dobre i szlachetne. Widzi w nim tylko to, co złe czy zbrodnicze. Żydzi pamiętają polski antysemityzm, którego istotne nasilenie sięga końca ubiegłego stulecia, lecz zapominają, że był on zwalczany przez znaczny odłam polskiej inteligencji liberalnej i demokratycznej, ruch robotniczy oraz najwybitniejszych twórców polskiej kultury. Orędownikami Żydów byli Adam Mickiewicz, Józef Ignacy Kraszewski, Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Stefan Żeromski, Andrzej Strug i inni. Polscy antysemita pamiętają, że choć w niepodległej Rzeczypospolitej wypadki gwałtu i okrucieństwa fizycznego były rzadkie – Żyd, nawet wychowany w kulturze i języku polskim, nie czuł się pełnoprawnym obywatelem; odczuwał boleśnie nie tylko getto ławkowe na uniwersytecie, ale pogardę i nieufność prowadzącą niejednokrotnie do bojkotu i dyskryminacji niemającej zresztą żadnego legalnego oparcia w polskim ustawodawstwie. Znane hasło „żydokomuna” czyniło z każdego Żyda potencjalnego wroga państwa i agenta obcego mocarstwa. Nie pamiętano zarówno o udziale Żydów w insurekcji kościuszkowskiej i w obu powstaniach 1831 i 1863 roku, jak i o ochotnikach żydowskich walczących o wolność Polski w Legionach i innych formacjach ochotniczych. Nie pamięta się faktu, który przypominał niedawno życzliwy Polsce brytyjski historyk Norman Davies, że ochotnicy żydowscy, którzy pragnęli brać udział w wojnie z bolszewikami, zostali wyrzuceni z wojska i internowani w obozach. Kto dziś pamięta, że słynny ustęp w odezwie pietrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 27 marca 1917 roku, tak szeroko wykorzystywanej obecnie przez propagandę komunistyczną, domagający się dla Polski „prawa do całkowitej niepodległości”, zredagowany został i wprowadzony do rezolucji nie przez Rosjan, lecz przez polskiego Żyda Henryka Ehrlicha, przywódcę Żydowskiej Partii Socjalistycznej BUND, rozstrzelanego w czasie wojny na rozkaz Stalina.

Żydzi z kolei obciążają cały naród polski odpowiedzialnością za szmalcowników, elementy kryminalne występujące we wszystkich krajach okupowanych, które wydawały Żydów na śmierć w ręce niemieckich morderców. Nienawiść każe zapomnieć, że znaczna część Żydów, którzy przeżyli Holocaust poza obozami, zawdzięcza swe ocalenie bohaterstwu Polaków, ryzykujących życie własne i najbliższych, że niepełny rejestr Polaków zamordowanych za ukrywanie Żydów obejmuje 621 rodzin, że na liście tych, których Izrael uczcił w Yad Vaszem, najwięcej jest polskich nazwisk, że w próbach niesienia pomocy powstaniu w getcie byli polegli i ranni żołnierze AK. Nienawiść każe wielu autorom żydowskim pomijać albo pomniejszać działalność Rady Pomocy Żydom, powołanej przez władze Polski Podziemnej, i wysiłki zarówno władz polskich w okupowanym kraju, jak i rządu polskiego w Londynie, czyniących wszystko, co leżało w ich mocy, by głos rozpaczki ginących Żydów dotarł do rządów i opinii publicznej na Zachodzie. Przerzucanie na naród polski odpowiedzialności za lu-

dobójstwo, którego następną po Żydach ofiarą była ludność polska, odczuwane jest boleśnie przez stronę polską jako ciężka krzywda. Podobne uczucie budzi w Żydach fakt, że Polacy obciążają wszystkich Żydów odpowiedzialnością za zbrodnie bezpieki w okresie stalinowskim, kiedy wiele kluczowych stanowisk w aparacie terroru i w partii było obsadzonych przez Żydów, lecz nie chcą uznać, że Polacy pochodzenia żydowskiego pozostają w awangardzie ruchu wolnościowego w Polsce od 1956 roku, z odwagą i poświęceniem przełamując barierę strachu.

Czas już, by położyć kres temu wzajemnemu antagonizmowi. Wyrządza on szkody obu stronom i jest szczególnie bolesny dla tych Żydów, którzy będąc patriotami polskimi, nie zapominają o swym żydowskim pochodzeniu i chcą być wierni swemu dziedzictwu i religii. Nie służą temu celowi ani wzajemne rekryminacje, ani próby roztrząsania, kto w tym tragicznym bilansie ponosi większą winę. Po obu stronach ludzie dobrej woli dążą do nawiązania dialogu i wzajemnego zrozumienia. Szukajmy w tym dialogu tego, co dziś łączyć powinno Polaków i Żydów.

Jest to przede wszystkim wspólna determinacja, by nigdy więcej nie powtórzyła się próba totalnego zniszczenia fizycznego całego narodu. Niestety, zarówno Polacy, jak i Żydzi wciąż żyją w cieniu tej groźby: Polska – z racji swego położenia geograficznego i aktualnego dziś zagrożenia sowieckiego; Izrael – otoczony olbrzymią przewagą wrogiej ludności arabskiej, czekającej na sposobność zniszczenia młodego państwa, cudem odrodzonego po dwóch tysiącach lat. Tylko Polacy, naoczní świadkowie Holocaustu, którzy sami od pierwszego do ostatniego dnia wojny byli ofiarami hitlerowskiego terroru, są w stanie zrozumieć poczucie zagrożenia ocalałych Żydów, którzy powrócili dziś do swojej Ziemi Obiecanej. Znaczna część mieszkańców Izraela pochodzi z Polski, ukazuje się tam dziennik w języku polskim. „Kultura” i inne polskie wydawnictwa znajdują w Izraelu licznych odbiorców. Występy polskich zespołów śpiewaczych i artystycznych spotykają się z serdecznym przyjęciem ze strony starszego pokolenia Żydów, tęskniących za krajem swego dzieciństwa, za swoim „miasteczkiem Belz”, uwiecznionym w żydowskiej piosence.

Każde zbliżenie, każdy gest solidarności Polaków w kraju i Polonii światowej wobec losów Izraela przyczyniłby się skuteczniej do rozładowania polsko-żydowskich antagonizmów aniżeli tomy apologetycznej literatury.

Polacy i Żydzi są współnikami niedoli w Związku Sowieckim, gdzie obie narodowości są najbardziej prześladowane ze wszystkich mniejszości narodowych. Jedni i drudzy są ofiarami okrutnej dyskryminacji i prześladowań. Gdyby żydowska diaspora, dysponująca wielkimi wpływami w świecie zachodnim, zechciała rozciągnąć swoją walkę o prawo do emigracji Żydów na osoby innych narodowości i wyznań pragnących powrócić do swego ojczystego państwa, a więc przede wszystkim Polaków – inicjatywa taka spotkałaby się na pewno z gorącym przyjęciem w Polsce i na emigracji.

Rzucając te pierwsze myśli, służące zbliżeniu Polaków i Żydów, zdajemy sobie w pełni sprawę, że ściągamy na siebie ataki ekstremistów po obu stronach. Nie odwiedzie nas to od inicjatywy podyktowanej wolą służenia idei braterstwa bliźnich bez względu na ich pochodzenie, religię, kolor skóry i rasę. Czynimy to wierni nakazom Dekalogu, wspólnego źródła obu naszych religii i fundamentu, na którym opierają się najwyższe wartości naszej cywilizacji. Jesteśmy przekonani, że służymy w ten sposób najlepiej sprawie Polaków i Żydów.

*Michał Borwicz, Józef Lichten, Szymon Wiesenthal,
Jan Karski, Jerzy Lerski, Jan Nowak*

[9/1983]

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

List

(czasowo) Wiedeń, 16 września 1983

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 9/432 „Kultury” ukazało się oświadczenie-apel w sprawie stosunków polsko-żydowskich podpisane przez trzech wybitnych i zasłużonych działaczy społecznych żydowskich z Polski żyjących na Zachodzie oraz przez trzech emisariuszy Polskiego Państwa Podziemnego z lat drugiej wojny światowej.

Od kilkudziesięciu lat próbuję robić, co jest w mojej mocy, dla przezwyciężenia wzajemnych antagonizmów, uprzedzeń i urazów w stosunkach polsko-żydowskich i lepszego zrozumienia się Polaków i Żydów, gdziekolwiek żyją. Toteż witam ważne oświadczenie służące tej samej sprawie z ogromną satysfakcją i proszę o podanie do wiadomości publicznej, że solidaryzuję się z nim i dołączam do niego mój podpis.

Z wyrazami poważania

Władysław Bartoszewski

[10/1983]

JAN JÓZEF LIPSKI

Polscy Żydzi*

Przed 40 laty stanęli do swej ostatniej dla większości z nich walki bojowcy z warszawskiego getta. Walkę tę podjęli nie w obronie życia, bo uratować je mogli ucieczką – lecz w obronie ludzkiej godności. Był to więc czyn przede wszystkim symboliczny, o znikomej wadze praktycznej, natomiast o ogromnym znaczeniu moralnym zarówno dla Żydów, jak i dla całej ludzkości, w tym przede wszystkim dla narodu polskiego.

Refleksja nad sensem powstania w getcie warszawskim jest naszym obowiązkiem, jeśli wartości, w imię których stanęli do walki powstańcy getta, uważamy za wartości również nas obowiązujące. Jest to więc obowiązek nie tylko wobec pamięci poległych, ale też wobec nas samych. A ponadto wielu z nas było świadkami tragedii Żydów w Polsce, co też zobowiązuje – choćby tylko do świadczenia. Gdyby naród polski i Warszawa zapomniały o nich, o ich ofierze – nie byłibyśmy godni wyznawania tych wartości, w obronie których ginęli powstańcy getta.

Krótko, jasno, dobitnie sformułował te wartości ostatni z żyjących przywódców powstania w getcie warszawskim, Marek Edelman, który po złamaniu oporu getta przez hitlerowców – opuścił wraz z nieliczną grupą bojowców martwe już getto kanałami, by raz jeszcze wziąć broń do ręki w Powstaniu Warszawskim 1944 roku. W jego liście otwartym, wyjaśniającym, czemu odmówił swego udziału w oficjalnych obchodach rocznicy powstania w getcie – czytamy: „Czterdzieści lat temu walczyliśmy nie tylko o życie – walczyliśmy o życie w godności i wolności”.

* Tekst wygłoszony podczas mszy św. w intencji poległych i zamordowanych mieszkańców getta w Warszawie w kościele dolnym św. Stanisława na Żoliborzu dnia 16 kwietnia 1983 roku.



Podstawowe wartości ludzkie, a o nich to mowa, mają to do siebie, że albo się je przyjmuje, albo odrzuca; albo służy się im – albo się je zwalcza. Bywa też, że się je ignoruje. Natomiast nadmiar słów i komentarzy, wygłaszanych w najlepszych intencjach, raczej im szkodzi, niż pomaga. Ograniczę się więc do minimum, niezbędnego do naszej dalszej wspólnej refleksji.

Bojownicy getta, chwytając za broń, nie mogli w ten sposób uratować życia ani innym, ani sobie. Szanse utorowania sobie i innym zbrojnie drogi do wolności były tak znikome, że praktycznie aż żadne. Pozostał więc jedyny sens walki: powiedzieć „nie” i pozostać w ten sposób aż do końca wolnym od konieczności wypełniania rozkazów morderców. Tę wolność mogła dać tylko broń w ręku. Toteż Gandhi, bezwzględnie konsekwentny przeciwnik użycia siły i broni – pytany o swój stosunek do walki warszawskiego getta, tym razem zrobił wyłom w swej konsekwencji; właśnie dlatego że walka ta nie miała na celu i nie mogła mieć tryumfu i zwycięstwa i że jej sens wyczerpywał się w jej symbolicznym sensie moralnym.

Tu jednak konieczne jest ostrzeżenie. Jeśli pełni podziwu dla bojowników getta, broniących orężnie godności ludzkiej, przyjmujemy pogląd, iż godności zabrakło tym, których hitlerowcy mordowali bez oporu z ich strony – popełnimy niebezpieczny moralny błąd i bynajmniej nie opowiemy się po stronie tych wartości, o które walczyli powstańcy getta. Śmierć bezbronnej ofiary ma również swój pełny wymiar ludzkiej godności – lub przynajmniej może mieć ten wymiar. Bohaterstwo powstańców warszawskiego getta, którym chwala po wszystkie czasy, nie powinno nam przesłaniać ofiary milionów zabijanych bez oporu.

Dla nas, którzy patrzyliśmy na śmierć i jednych, i drugich – pozostaje obok obowiązku pamięci i czci konieczność odpowiedzi na szereg gorzkich pytań i wspomnień, rodzaj rachunku własnego sumienia narodowego.

Przede wszystkim my wszyscy, którzy przeżyliśmy drugą wojnę światową w Warszawie – pamiętać będziemy, że w tych ostatecznych momentach walki i zagłady nie stanęliśmy czynnie w obronie mordowanych. Pozostaje to do dziś ciężkim doznaniem. Dowództwo Armii Krajowej i Delegatura Rządu Rzeczypospolitej na Kraj nie miały moralnego prawa, a tym bardziej racjonalnych uzasadnień, by w obronie współmieszkańców stolicy i całego kraju spowodować rozszerzenie zagłady na całą ludność Polski. Zarazem jednak pozostał wstyd i wyrzut sumienia, jak zawsze, gdy w obawie o własną skórę godzimy się bez czynnego sprzeciwu na zbrodnię dokonywaną przy nas. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że walka i śmierć żołnierzy AK niosących pomoc gettu, przeraźliwie i ostatecznie realna dla poległych – miała przecież wymiar i znaczenie jedynie symboliczne. A ten wstyd i wyrzut sumienia dręczy wielu z nas. Łatwo wówczas pogodziliśmy się z myślą, że nie musimy zginąć pod murami walczącego getta.

Sumienie narodu polskiego byłoby chore i obumierające, gdybyśmy nie zadali sobie innego pytania: czy jeśli nie w walce z bronią w rękę, to w dziele pomocy i ratunku zrobiliśmy tyle, ile było można?

Oddając hołd powstańcom getta oraz pomordowanym jego bezbronnym mieszkańcom – mamy prawo i obowiązek oddać dziś hołd i tym Polakom, którzy stracili życie, ratując Żydów. Dużo było w polskim narodzie poległych heroicznie na tym najbardziej ryzykownym, najbardziej godnym czci dla jego bojowników odcinku polskiej wojny. Trzeba było wówczas bohaterstwa ogromnego, by w Polsce walkę na tym właśnie odcinku podjąć. Czy można od każdego z milionów zwykłych ludzi żądać bohaterstwa? Są jednak czasy i sprawy, które domagają się bohaterstwa. My, którzy pamiętamy, pytajmy się, czy nie zbyt wiele było jednak obojętności, co prawda zmieszanej ze strachem, lecz przecież obojętności? Czy wszyscy zrobiliśmy tyle, ile można było, czy też mniej lub nic – w czasie gdy i ginący ludzie, i nasze własne normy moralne wołały o więcej, niż można.

Krzywdzi się jednak nieraz Polaków, wyciągając w świecie zbyt daleko idące uogólnienia ze zjawisk współpracy niektórych Polaków w tropieniu Żydów – lub w ich szantażowaniu. Przestępczy i amoralny margines istnieje niestety we wszystkich społecznościach, a jego ofiarą padali wówczas w Polsce nie tylko Żydzi, lecz i generał Grot-Rowecki, i tysiące innych żołnierzy konspiracji. Nieodpowiedzialne uogólnienia w tym przedmiocie mamy prawo odrzucić, tak jak winniśmy odrzucić uogólnienia krzywdzące inne narody. Antypolonizm nie jest moralnie niczym lepszym niż antysemityzm lub antyukrainizm.

Rocznica powstania w getcie jest nie tylko rocznicą powstania i nie tylko rocznicą ostatecznej zagłady getta, i nawet nie tylko umowną rocznicą zagłady milionów ludzi. Jest rocznicą faktycznej zagłady społeczności, którą polsko-żydowski pisarz Adolf Rudnicki nazwał kiedyś „narodem Żydów polskich”, oplakując jego koniec. Niedobitki, które ocalały, nie są już tą zbiorowością ani nie są w stanie jej zregenerować.

Śmierć jest, czy też bywa, straszna. Śmierć tysięcy i milionów przeraża. Ale zagłada narodów budzi przerażenie szczególne. Żydzi polscy zapewne nie stanowili zbiorowości aż tak odrębnej od Żydów reszty świata, by ich przeciwstawić przez ostre wyodrębnienie pozostałym – ale w każdym razie stanowili szczególną część narodu żydowskiego, część, której nie można było uśmiercić, nie zabijając zarazem czegoś i w nas, narodzie polskim.

Współżyliśmy na tych ziemiach od dawna, co najmniej od ponad 700 lat. Spotykając polskiego Żyda, prawie nigdy wiedzieć nie możemy, czy jego ród nie jest dłużej autochtoniczny niż nasz. Pierwsza Rzeczpospolita była krajem dużej tolerancji i humanitarnym, szczególnie w epoce swego rozkwitu. Dzieje nasze nie notują w tym czasie tego, czego pełna jest historia Europy: krwawych prześladowań Żydów, wygnań, ograniczania rozwoju ich kultury.

Gdy Polska utraciła niepodległość – symbolem wspólnych dążeń stali się: pułkownik Berek Joselewicz, jeden z naszych bohaterów narodowych – i jego

rówieśnik, mickiewiczowski Jankiel z *Pana Tadeusza*. Setki nazwisk Żydów polskich wpisały się do dziejów walk powstańczych o wolną Polskę – i setki, i tysiące pracowały dla niej, wzbogacając naszą narodową kulturę i życie społeczne.

Przypomnę tu postać symboliczną dla współżycia narodów, Michała Landego. Podczas wielkiej manifestacji patriotycznej 8 kwietnia 1861 roku, gdy niesiony na czele pochodu krzyż padł wraz z tym, który go niósł – podniósł go młody uczeń szkoły rabinackiej Michał Landy, by paść od następnej salwy. Grób jego znajduje się na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej, gdzie chcielibyśmy móc złożyć w tych dniach kwiaty ku czci poległych i zamordowanych w getcie warszawskim.

Dla tego chłopca krzyż – mimo całego dystansu różnic w wierze, tradycjach, a nawet przesądach – był symbolem miłości wspólnej ojczyzny i wspólnych wartości, toteż nie brzydził się go ani się nie lękał, wziął z szacunkiem do rąk znak obcej mu wiary.

Nie zawsze jednak tylko w takich aktach wyrażało się współżycie narodu polskiego i żydowskiego. Jad antysemityzmu zaczął już od połowy XIX wieku zatruwać nasz etos narodowy. W niepodległej Rzeczypospolitej dochodziło niestety do wydarzeń gorszących, których nie możemy wspominać bez wstydu: bojówki antysemickie, pogromy, nienawiść tak wielka, że aż kazała głoszącym swą katolickość bojówkarzom pobić w kościele katolickiego kapłana, gdyż pochodził z Żydów i za Żyda się uważał, propaganda antysemicka. Kto wie, ilu więcej Żydów przeżyłoby uratowanych na ziemiach polskich, gdyby nie ta trucizna.

Po wojnie – pogrom w Kielcach. Zapewne mają rację ci, którzy przypisują go prowokacji – ale prowokacja udać się nie może, gdy nie ma dla niej gruntu. Jeszcze w 1968 roku przeciw ruchowi studentów i intelektualistów użyto propagandy antysemickiej. Ci, którzy to wywołali, nie odnieśli na szczęście wielkich sukcesów, raczej znikome, niestety – nie żadne.

To już jest stała praktyka: przeciw polskim dążeniom niepodległościowym i wolnościowym usiłuje się wywołać falę antysemityzmu. Tak jest do dziś. Wczoraj i dziś antysemityzm próbowało się użyć jako kłody na drodze opozycji, KOR-u, „Solidarności”, przeciw wszystkiemu, co chce być w Polsce wolne i niezależne.

Znalazł on pożywkę i możliwość regeneracji w latach stalinowskich, gdy wielu Żydów czy też osób żydowskiego pochodzenia znalazło się w aparacie władzy, ucisku i przemocy. Podobnie jak w Czece i GPU znalazły się setki Polaków na wysokich nieraz stanowiskach, z Feliksem Dzierżyńskim na czele. Nie obciążajmy narodu polskiego ich zbrodniami – i pamiętajmy, że Żydzi w aparacie bezpieczeństwa to akurat tacy sami Żydzi – jak ich polscy koledzy z tego samego aparatu to Polacy. I jedni, i drudzy to służą obcego najazdu i idei nienawiści, gotowi popełnić zbrodnię na każdym: na Polaku, Żydzie, własnej matce.

Tragizm tej rocznicy, którą obchodzimy – to tragizm śmierci i zagłady, a również tragizm straconej szansy. Tyle setek lat współżycia – i tak jednak ma-

ło było przez te wieki wzajemnego rozumienia się, poznania i miłości – mimo pięknych przykładów. Aż dziwne, jak stosunkowo mało przeniknęliśmy się, jak mało nam, Polakom, znana jest wielka, bogata kultura Żydów polskich. Kultury umierają jednak inaczej niż ludzie. Do dziś dnia mamy na przykład szansę duchowej hellenizacji – i Europa korzystała dotąd, i oby dalej chciała korzystać z tej szansy. Mamy więc nadal szansę na to, co nazwałbym częściową judaizacją naszej kultury, przez co mam na myśli takie jej wzbogacenie, by bez utraty własnej tożsamości przyswoić sobie, poznać, zrozumieć to, co było wielkie w kulturze Żydów polskich. Zmniejszy to tragizm zbyt mało mimo wszystko płodnego współżycia naszych narodów przez wieki.

Cześć i hołd, które składamy poległym i pomordowanym, będą czymś gestem, jeśli nie połączymy go z pamięcią o tym, czym żyli i co kochali, jeśli nie będzie połączony z serdecznym aktem miłości i wobec tych, co przeżyli, i tych, co odeszli, i tego wszystkiego, co ukochali, co było głęboką treścią ich dusz i co może jakoś stać się i naszym, polskiego narodu, bogactwem. Z miłością i czcią branym nie od kogo innego przecież, jak od braci, z którymi przeżyliśmy na tej ziemi stulecia.

Jeśli wolno mi tu jako metafory użyć wyrażenia, które biorę wprost z dogmatyki Kościoła katolickiego, z jego *credo*, a co wierzący przyjąć by mogli nie tylko w metaforycznym sensie: oby to zbliżenie narodu zamordowanego i narodu wciąż jeszcze żywego oraz ich kultur dokonało się w duchu wiary w świętych obcowanie.

[6/1983]

Żydzi i Polacy dzisiaj

Zacznę *in medias res*, a więc pozornie nie na temat. Na jednym z dostępnych memu telewizorowi kanałów od kilku tygodni pokazywany jest amerykański serial pt. *Wichry wojny* (*The Winds of War*, według powieści pod tym samym tytułem Hermana Wouka). Bardzo ciekawe informacje na temat stanowiska Wouka wobec tego serialu i innych spraw z tym związanych podał w ostatnim numerze „Kultury” (nr 1/436–2/437 z 1984 r.) Józef Garliński i polecam czytelnikom tego artykułu zapoznanie się z nimi, bo wiążą się ściśle z moim tematem.

Oglądałem ten serial dość niesystematycznie, ponieważ jest kiczem jeszcze gorszym od *Dallas*, zwłaszcza w partiach „towarzyskich i uczuciowych”, a ponadto występuje w nim niejaka p. Ali MacGraw i gra rolę aroganckiej amerykańskiej idiotki tak przekonująco, że nie mogę na nią patrzeć. Oglądałem jednak niektóre odcinki, ponieważ pokazywane są w nich m.in. samoloty i okręty wojenne w akcji, czyli rzeczy, na które większość mężczyzn patrzy z przyjemnością (w kinie lub TV, oczywiście; moim faworytem są łodzie podwodne). Słyszałem, że serial ma akcenty antypolskie, ale sam ich nie dostrzegałem – do przedwczoraj. Dla czytelników nieznających *Wichrów wojny* podam, że jest to rodzaj historii drugiej wojny światowej. Jej węzłowe momenty oglądane są tu oczyma kilku osób należących do tej samej rodziny. Głównym bohaterem jest komandor amerykański, który jako swego rodzaju prywatny informator prezydenta Roosevelta wysyłany jest w różnych misjach w co ciekawsze dla tematu miejsca. Rzecz ułożona jest chronologicznie.

Przedwczorajszy odcinek ukazywał sytuację na przełomie 1940/1941, przed wejściem USA i Związku Sowieckiego do wojny i przed rozpoczęciem akcji eksterminowania Żydów przez Hitlera. Odcinek zawierał dłuższą sekwencję morską z łodziami podwodnymi i kontrtorpedowcami i nie było w nim pani MacGraw, oglądałem więc rzecz z przyjemnością – do momentu, gdy akcja przeniosła się do siedziby Hitlera w Berchtesgaden. Akcja ta wygląda następująco: odbywa się przyjęcie. Führera zawiadamiają, że przybył „główny gość”, mianowicie Heinrich Himmler, Hitler wychodzi mu na spotkanie. Na ustronnym tarasie odbywa się poufna rozmowa. Chodzi o organizację akcji mordowania Żydów na zajętych terenach wschodnich (pamiętajmy, że w tym momencie granica

niemiecko-sowiecka wzdłuż Bugu jest jeszcze „granica przyjaźni”). Himmler raportuje, że *Einsatzkommando* złożone z ludzi sprawdzonych przez niego osobiście jest już sformowane. Dorzuca, że ludzie ci będą tylko organizatorami, bo praktyczną stronę (tzn. mordowanie w sensie technicznym) wykonają ochotnicy z terenów okupowanych. Tutaj dodaje: „Przeprowadziliśmy na ten temat dyskretną ankietę w Polsce i dała ona b a a r d z o obiecujące rezultaty”. W tym miejscu niemal obliczuje się z zachwytem. Puente, w chwilę potem koniec odcinka.

Serial jest chałą, ale sprawa nie jest błaha i warta jest poematu, a co najmniej artykułu. Serial ten oglądają dziesiątki, jeśli nie setki milionów ludzi na mniej więcej połowie kuli ziemskiej. Oglądając, uczą się historii, a raczej tego, co twórcy tego filmu podają jako historię. Dla większości widzów jest to jedyne zetknięcie z obrazem ostatniej wojny i obraz ten pozostaje w ich pamięci na zawsze w postaci stereotypów, których nic już nie zmieni. Stereotypy te mogą niekiedy wpłynąć na ich zachowanie, np. na sposób traktowania ludzi należących do określonych grup narodowych (a więc i Polaków). Sprawa szkalowania narodu polskiego jako zbiorowości krwiożerczych antysemitów, którzy wykonali za Hitlera to, co on tylko zaplanował na papierze, ma więc także aspekt praktyczny, choć nie on jest tu najważniejszy. Najważniejsze jest to, że obraz zasugerowany scenką jak ta, którą tu opisałem, jest kłamstwem, czyli spaceniem rzeczywistego stanu rzeczy, czyli złem samym w sobie. Ponadto kłamstwo to uwłacza pamięci tych wszystkich Polaków, którzy w jakiegokolwiek formie pomogli, starali się pomóc czy chociażby – nie będąc w stanie lub nie mając dość odwagi, by czynnie pomóc – współczuli swym prześladowanym przez politycznych bandytów współrodakom. W liczbie wyżej wymienionych osób znajdowali się moi rodzice i z tej racji poczułem się osobiście znieważony przez autorów/realizatorów/scenarzystów opisanego odcinka *Wichrów wojny*. Dodało mi to energii, by napisać ten artykuł, ale względy osobiste nie są jego główną siłą napędową. Temat, który tu poruszam, chodzi mi po głowie od dawna.

Sprawa „Żydzi – Polacy” jest rodzajem tabu dla strony polskiej. Na to, by dotykać tabu, należy mieć ważne powody i uprawnienia moralne. Te ostatnie można by nazwać nieco pompatycznie czystymi intencjami i czystymi rękoma. Uważam, że mam ważny powód dotknięcia wspomnianego tabu i że mam wymagane uprawnienia. Zaczę od tej drugiej sprawy, a ściślej od rąk. Muszę w związku z tym napisać kilka słów o sobie. Czynię to nie przez egotyzm, bo szczerze nie uważam siebie ani mych losów za zjawiska interesujące dla osób postronnych, ale dlatego, że czytelnik tego artykułu ma prawo wiedzieć, z kim zacz ma przyjemność lub też nieprzyjemność obcować intelektualnie.

Gdy zaczęła się wojna, miałem 6 lat. Byłem więc w ciągu jej trwania tylko przedmiotem, a nie podmiotem jakiegokolwiek działania, ale byłem przedmiotem już świadomym i tamte sprawy są częścią mojej dzisiejszej, dorosłej osobowości. Podmiotowość – z uwagi na naturę owych czasów bardzo ograniczoną – mieli moi rodzice jako dorośli. W praktyce podmiotowość ich wyrażać się mog-

ła jedynie nieprzykładaniem ręki do zła i czynieniem tyle dobra, na ile pozwalały okoliczności. Okoliczności pozwalały na niewiele, ponieważ zostaliśmy na jesieni 1939 roku wysiedleni z Wielkopolski do tzw. GG i spędziliśmy tam wojnę przygarnięci przez dobrych ludzi, którzy sami następnie zostali wygnani z domu w 1945 roku przez komunistów. Moi rodzice byli normalnymi, tzn. porządnymi i ciężko pracującymi ludźmi, więc i w wojennych warunkach świadczyli bliźnim – w tym więc i Żydom – tyle dobra, na ile ich było stać.

Gdy z wioski, w której mieszkaliśmy, zgarnięto w ciągu jednego dnia wszystkich Żydów, zamknięto pod gołym niebem za ogrodzeniem z drutu kolczastego, a po kilku dniach popędzono na dworzec do formującego się transportu – wiedzieliśmy, że ci ludzie idą na śmierć. Do dziś mam w oczach taki obraz: mały chłopiec (ja) patrzy przez furtkę na drogę, którą wolno ciągnie pochód zabiedzonych, objuczonych mizernym dobytkiem ludzi; pochód prowadzony jest przez niemieckich żandarmów z karabinami w rękach, a chłopiec (ja) wie, że ci ludzie idą na śmierć. Na pytanie: „co mógł w tej sytuacji zrobić chłopiec czy choćby jego dorośli rodzice, aby tym ludziom pomóc?”, odpowiedź jest prosta: „nic”. Ściślej: prawie nic, bo rodzice chłopca zrobili niejedno, ale nie o tym chcę pisać. Wspominam o tym dlatego, że ów obraz pochodzący z życia i jest częścią mego systemu motywacyjnego, czy jak tam nazywa się zbiór odruchów kierujących decyzjami i tzw. nastawieniem do świata. Obraz ten w części przyczynił się do tego, że stałem się w wiele lat później emigrantem. Byłem w dalekim, egzotycznym kraju, gdy zaczęła się marcową nagonka na Żydów (pomiędzy innymi). Wiedziałem o tym z prasy i w pewnym momencie uznałem, że dobrowolny powrót do t a k i e g o państwa byłby swego rodzaju akceptacją tego, co się tam dzieje, a więc i owej nagonki. Akceptacja zaś była w niezgodzie z obrazem. Nie twierdzę, że był to jedyny motyw mojej ówczesnej decyzji (której później nieraz żałowałem, ale to inny temat), twierdząc jednak, że obraz utrwalaony przed wieloma laty w pamięci małego chłopca (mnie) odegrał w tym dużą rolę.

Dorzuć jeszcze kilka uwag do podtematu „ja i Żydzi”, ponieważ jest niezbędnym wstępem do głównego tematu, czyli sprawy zaznaczonej w tytule tego artykułu. „Niezbędnym”, ponieważ uważam, że ma się prawo występować w jakiegokolwiek sprawie właściwie tylko we własnym imieniu. „My” – to często już uzurpacja. Jeśli więc piszę „ja i Żydzi”, to owo „ja” nie jest wyrazem megalomanii, tylko uczciwości pióra. Otóż dla mnie termin „Żyd” ma charakter raczej funkcjonalny niż genetyczny (a już tym mniej „rasowy”, ponieważ rasy są tylko trzy: biała, czarna i żółta, a Żydzi należą do białej tak jak ja). Chcę przez to powiedzieć, że za Żyda uważam człowieka, który np. uczęszcza do synagogi, daje swego syna obrzezać i/lub mówi w jidysz lub po hebrajsku. Człowieka, który mówi po polsku jak ja, należy do tej samej kultury literacko-obyczajowo-historycznej co ja i poczuwa się do solidarności z moim narodem, uważam za Polaka, także w wypadku, jeśli nazywa się np. Abraham Zylbersztajn i Niemcy wy-

mordowali mu całą rodzinę w czasie wojny. Innymi słowy termin „Żyd” ma dla mnie raczej ten status, co termin „szachista”, a nie ten, co określenie „koń”.

Żydzi mieszkali w Polsce przez 600 lat i wielu z nich niewątpliwie spolszczyło się w tym sensie, że porzucili mozaizm i jidysz i ich potomstwo stanowiło już funkcjonalnych „rdzennych Polaków”. Ponieważ niewiele tylko osób zna dziś swą genealogię aż do XIV wieku wstecz, prawie żaden „rdzenny Polak” nie może być pewny, czy jego przodkowie nie byli Żydami. Genetyczne stanowisko prowadzi więc (poza innymi względami) do potencjalnych paradoksów tego rodzaju, że ktoś, kto jest „antysemitą genetycznym”, sam jest z pochodzenia Żydem, a więc jest przeciwko sobie samemu, choć o tym nie wie.

Nie lubię paradoksów w myśleniu i z tego choćby powodu nie jestem antysemitą. Dodam, że nie jestem też filosemitą, ponieważ cały ten problem dla mnie nie istnieje. Jednych Żydów lubię, a innych nie, wolno mi. O tych, których nie lubię, napiszę poniżej.

Ten przydługi wywód miał na celu wykręcenie zapalnika z bombki (bombka to współczesna odmiana tabu, wybuchającego w ręku tym, którzy nie umieją się z nim obchodzić), jaką stanowi automatyczny zarzut „jesteś antysemitą!” wobec każdego, kto poruszy traktowany tu temat od strony polskiej i zgłosi np. zastrzeżenia co do bezstronności i uczciwości takich seriali, jak *Wichry wojny* czy *Holocaust*. Otóż twierdząc, nie będąc antysemitą, że intencje ich są nieuczciwe.

Jest to w najlepszym razie uleganie lub schlebienie rozpowszechnionemu już stereotypowi *Pologne = antisemitisme* (napis taki, zrobiony niezmywalną farbą, na murze starych koszar w pobliżu mego domu pojawił się kilka lat temu w czasie wyświetlania serialu *Holocaust* w lokalnej telewizji i widnieje do dziś; przyglądam mu się z zadumą w czasie każdego spaceru w tamtą stronę). W gorszych wypadkach jest to tani sposób upuszczania swych urazów i nienawiści. „Tani”, ponieważ wiadomo, że Polacy nie mogą oddać wet za wet. Są jedną z nielicznych na świecie grup narodowościowych, która nie ma żadnego liczącego się przedstawicielstwa (bo kto?, „rząd” PRL?, niezliczone i skłócone wzajemnie komitety i komiteciki na emigracji?!), żadnego wpływowego *lobby* ani nawet (chwała Bogu!) żadnych terrorystycznych bojówek, które to formy wspólnej sprawy mogłyby „antypolonistom” zrobić jakieś kuku, a zatem zmusiłyby ich do pewnego zastanowienia i ostrożności. Kilka lat temu, recenzując na tym miejscu („Kultura” nr 1/352–2/353 z 1977 r.) historycznie antypolską książkę pani R. Heller Stone (Amerykanki) o Leśmianie, zwróciłem uwagę na to, że autorka nie odważyłaby się napisać książki w takim tonie (i z taką masą błędów rzeczowych – wykaz na życzenie) ani o Murzynach, ani o Hindusach (nie mówiąc już o Żydach), ponieważ kosztowałoby ją to karierę uniwersytecką.

Użyłem powyżej trzech terminów: „stereotypy”, „urazy” i „nienawiść”. Zajmę się nimi kolejno, zaczynając od urazów. Celem tego artykułu nie jest rozważanie *habet* i *debet* stron polskiej i żydowskiej, tylko analiza zjawiska, które istnieje i jest niekorzystne dla obu stron. Sianie niezgody nie prowadzi do niczego

dobrego. Dlatego uraza Żydów do Polski i Polaków, którą mogą w wielu wypadkach zrozumieć, winna być mimo wszystko trzymana w ryzach. Nietrzymanie jej w ryzach zwiększa niezgodę i umacnia szkodliwe stereotypy.

Do takich stereotypów należy rozpowszechnione już na świecie przekonanie, że nie tylko większość Polaków to eksszmalcownicy i kaci, ale też że w czasie okupacji w Polsce cierpieli i ginęli wyłącznie Żydzi, Polakom natomiast wiodło się niemal świetnie. Wielu moich miejscowych znajomych z niedowierzaniem przyjmuje informację, że w Oświęcimiu ginęli także Polacy. Nie chodzi tu o licytację na cierpienia, tylko znów o „proste” wypaczenie prawdy. Prawda zaś była taka, że Polacy istotnie w czasie okupacji mieli sytuację lepszą od Żydów, ale „lepszą” w tym sensie, w jakim lepiej jest być chorym na tyfus niż na dżumę. Polak miał szansę przeżycia dziewięć na dziesięć (zginęły trzy miliony „rdzennych Polaków” na trzydzieści milionów), Żyd – jedną szansę na dziesiątki tysięcy. Rozdział szans był bardzo nierówny, to prawda, ale to jeszcze nie znaczy, że było „świetnie”. Dziewięć na dziesięć to też jest coś: rosyjska ruletka przy pomocy nagana z trochę większym bębenkiem. Szanse zresztą by się wyrównały, gdyby Hitler miał więcej czasu. Nie tylko moi rodzice, ale także ów mały chłopiec przy furtce (ja) dobrze o tym wiedzieliśmy, nie wiedzieliśmy natomiast zupełnie, ile Hitler będzie miał czasu. To wiadomo dopiero teraz.

Powiedziałbym nawet, że szczególnie dobrze wiadomo to teraz nad jakimś hollywoodzkim basenem w zacisznym ogrodzie, gdzie dwa–trzy lata temu zebrało się zapewne kilku panów, w większości przypuszczalnie urodzonych już po wojnie, i to po dobrej stronie oceanu, i zaczęło się zastanawiać, czym by tu jeszcze okraszyć scenariusz *Wichrów* Wouka. Rezultat ich namysłów widziałem przedwczoraj – a wraz ze mną parę milionów ludzi, którzy tyle będą wiedzieli o Polsce, ile im ci panowie powiedzieli. Kim są ci – i inni – panowie, a także, *pardon*, panie?

Jest wśród nich sporo Żydów amerykańskich. Sam mieszkalem w Ameryce dość krótko, ale wiem od znajomych (m.in. znajomych pochodzenia żydowskiego w sensie funkcjonalnym), którzy spędzili w Stanach Zjednoczonych długie lata, że niechęć czy wręcz nienawiść do Polski i Polaków jest postawą bardzo wśród amerykańskich Żydów (zwłaszcza tych pochodzących z Niemiec) rozpowszechnioną. Niekiedy jest ona także rozpowszechniana, m.in. w postaci broszurek z *Polish jokes*. Ale to jeszcze nie wszyscy panowie i panie. Polska jako Ciemnogród zaludniony przez głupich i brudnych antysemitów, bigotów lub/i faszystów stała się obecnie częścią lewicowego schematu na Zachodzie. Antypolonizm jest więc już nie tylko łatwym i na nic nienarazającym wentylem urazów i uprzedzeń, ale także oznaką postawy „postępowej”. *Uttille cum dulci*.

Co myślę o lewicowcach, napisałem dwa lata temu na tymże miejscu w artykule *O lewicy* („Kultura” nr 5/416, 1982). Nie zmieniłem zdania, więc nie ma właściwie potrzeby wracać do tego tematu. Na użytek jednak czytelników, którzy tamtego artykułu nie znają lub nie pamiętają, przypomnę jego główną tezę:

lewicowość jest nienawiścią, przebierającą się w piękne pozory (pokój, sprawiedliwość, równość płci i ras, kwiatki, czyste powietrze, te rzeczy), jest więc bardzo atrakcyjna dla ludzi sfrustrowanych. Ponieważ frustracja jest wynikiem zawiedzionych ambicji, ofiarą jej zazwyczaj padają albo ludzie ambitni, lecz niezdolni, albo też zdolni, ale mający bardzo wysokie ambicje, np. władzy czy choćby „przywództwa duchowego”. Nic dziwnego więc, że lewicowość jest tak rozpowszechniona na Zachodzie wśród ludzi należących do intelektualnej „klasy średniej” (dziennikarze, nauczyciele, personel uniwersytecki, ostatnio też kler). Ponieważ właściwym tworzywem lewicowości jest nienawiść, potrzebni jej są wrogowie, którzy są wszystkiemu winni. I tutaj „antysemicka, faszystowska Polska” znakomicie spełnia swoją rolę, obok Chile, CIA, rakiet (zachodnich oczywiście), Izraela... Tu ktoś mi przerwie, twierdząc, że się zapędziłem, bo jakże to: antysemita Polska i semicki Izrael w jednym szeregu wrogów „postępu”? Odpowiem, że mój oponent nie rozumie lewicowej „dialektyki”: Polska jest zła, bo jest antysemita, OK? Izrael jest zły, bo jest antypalestyński, OK? Gdzie sprzeczność? Nie ma sprzeczności, OK?! OK. I tak plucie na Polaków nabiera cech zabawy nie tylko przyjemnej, ale i pożytecznej.

Piszę to wszystko nie w celu roztkliwiania się nad naszym losem, tylko z zamiarem zaproponowania środków zaradczych. Uważam, że cierpliwe znoszenie tej sytuacji nie tylko ubliża mojej godności osobistej, ale jest także tolerowaniem zła w sensie głębszym. Sianie niezgody i nienawiści zawsze mści się w końcu na wszystkich uczestnikach zabawy, zarówno gonionych, jak i goniących.

Z racji braku jakiegoś przedstawicielstwa serio dla sprawy polskiej nie widzę możliwości akcji grupowej. Wszystkie uchwały typu „my, zebrani, protestujemy przeciw...”, etc. są bezskuteczne i niepoważne, ponieważ nie mają żadnej sankcji. Można by i należało stworzyć polską organizację tego typu, co istniejąca w USA żydowska *Anti-Defamation League*, która nie protestuje, tylko przyciska szkalujących pismaków do muru, wytacza procesy o zniesławienie, ma dokumentację na temat, kto, gdzie i za czyje pieniądze wyprodukował jakiś paszkwil i w ogóle *means business*. Tu jest piękne pole do popisu dla amerykańskiej Polonii, która jest najliczniejsza, ma (a przynajmniej powinna mieć) najwięcej pieniędzy i jest główną ofiarą dyskryminacji. Piękne pole, ale – szczerze mówiąc – wątpię, czy na nim wiele wyrośnie i w tej chwili na to nie liczę w ogóle. Liczę tylko na akcje indywidualne.

Idea, którą sam mam zamiar realizować w miarę możliwości i innym polecam, jest taka: należy bojkotować osoby lub/i instytucje, o których na pewno wiadomo, że przyczyniły się do zniesławienia Polski i Polaków i nie zrobiły niczego, by to później odwołać czy w inny sposób złagodzić skutki wyrządzonego zła. Osoby te i instytucje należy w formie uprzejmej, lecz jasnej i zdecydowanej informować o powodach bojkotu. Jest to ta sama metoda, którą (w nędznym wykonaniu) zastosował Zachód wobec Sowietów w 1980 roku na olimpiadzie w Moskwie, po inwazji Afganistanu. Idea była dobra, wykonanie kiepskie, ale

wrażenie to jednak zrobiło i brak np. reprezentacji amerykańskiej bardzo wpłynął na ciężar gatunkowy całej olimpiady.

Kluczem do proponowanej tu akcji jest właśnie słowo „ciężar gatunkowy”. Jest oczywiste, że bojkot wywiera pewien skutek tylko wówczas, gdy strona bojkotująca coś znaczy dla strony bojkotowanej i puste krzesło przy stole psuje stronie humor. Wśród Polaków za granicą jest spora grupa osób, które w swoich środowiskach zawodowych liczą się i są cenione. Nie wymieniam nazwisk, bo jest to propozycja dla każdego z osobna, a nie szantaż moralny. Polacy z Polski, jakkolwiek szanowani i zasłużeni, mają mniejszą możliwość stosowania tej metody, ponieważ ich bojkot może być zawsze wzięty przez bojkotowanego za rezultat jakichś machinacji rządowych i będzie bez znaczenia. Drobnny przykład, czym jest brak wolności, czyli brak podmiotowości osobistej.

Zilustruję proponowaną akcję dwoma hipotetycznymi przykładami. Dajmy na to, że panowie, którzy zrobili serial *Wichry wojny*, zwracają się do znanego i cenionego w świecie filmowca czy autora Polaka z propozycją zrobienia dla nich filmu lub scenariusza. Moim zdaniem powinien on odmówić, o ile poczuwa się do wspólnoty z polskim losem i ma poczucie godności. Powinien też powiedzieć głośno, dlaczego odmawia. Tyle.

Drugi przykład: pani Stone, która w międzyczasie została profesorem slawistyki (nie wiem, ale przypuszczam), postanawia urządzić międzynarodowe sympozjum na temat Leśmiana i zaprasza cenionego polskiego profesora z jakiegoś dobrego uniwersytetu na Zachodzie. Powinien postąpić jak wyżej.

„Ofiary muszą być” – mawia redaktor Giedroyc – i jest oczywiste, że bojkot może oznaczać nie tylko utratę honorarium, ale także narażenie się różnym wpływowym osobistościom i klikom. Bojkotującymi jednak z natury rzeczy mogą być tylko ludzie, którzy mają mocną pozycję i uznanie, a zatem mogą sobie pozwolić na pewne ofiary. Sądzę, że akcja tego rodzaju, prowadzona przez dostatecznie liczną grupę osób i dostatecznie długo, wpłynęłaby otrzeźwiająco na tych i owych i podniosła ciężar gatunkowy społeczności polskiej jako całości.

Na zakończenie uwaga techniczna, dotycząca tego artykułu. Podpisuję go jako „Broński”, czyli pseudonimem. Używam pseudonimu głównie dlatego, by nie mieszać rzeczy pisanych popularnie czy publicystycznie z moimi publikacjami zawodowymi w bardzo wąskiej i „ezoterycznej” dziedzinie. W „Kulturze” pisuję pod tym pseudonimem od 15 lat i stałym czytelnikom coś on już mówi, podczas gdy moje prawdziwe nazwisko mało komu by coś powiedziało poza moją branżą naukową. Moje artykuły nie są anonimowe, bo Redaktor zna mnie i przekazuje mi listy czytelników, na które odpowiadam „jako ja”, o ile zachodzi tego potrzeba. Dotyczy to i tych uwag.

JAN KARSKI

Shoah (Zagłada)

W połowie października br. zaproszono mnie oraz kilka innych osób na prywatny pokaz filmu *Shoah*. Wśród obecnych był profesor teologii katolickiej, Monsignor George Higgins; szczerzy przyjaciel Polaków i były ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie Richard Davies oraz ceniony i życzliwy Polsce pisarz Abraham Brumberg.

Film trwa ponad dziewięć godzin. Nie ma w nim aktorów. Zawiera jedynie wywiady z ofiarami żydowskiej gehenny, jej bezpośrednimi sprawcami oraz naczynymi świadkami. Pokazane są również oryginalne dokumenty i raporty niemieckie. Niektóre wywiady (z Niemcami) są filmowane z ukrycia. Poza tym są pokazane obozy, komory gazowe, przyobozowe wsie i miasteczka, tak jak wyglądały w czasie wojny i tak jak wyglądają dzisiaj. Twórcą filmu jest Francuz Claude Lanzmann. Filmował w Polsce, Czechosłowacji, Grecji, Holandii, Izraelu, Szwajcarii, Rumunii oraz Ameryce. Poświęcił tej pracy kilkanaście lat życia.

Shoah jest na pewno największym filmem o tragedii Żydów, jaki powstał po wojnie. Nikt nie zdołał odtworzyć zagłady Żydów podczas drugiej wojny światowej tak dogłębnie, z tak krew mrozącą w żyłach brutalnością i brakiem litości dla widza. Jednocześnie konstrukcja filmu, powiązanie ludzi, wydarzeń, natury i czasu są pełne urzekającej poezji. Kojące piękno drzew wyrosłych na miejscach kaźni, nieskazitelnie czysta tafla stawu zawierającego popioły spalonych Żydów, wieśniacze łąki i zagony pokrywające straszne tajemnice obozów koncentracyjnych, procesja wychodząca z kościoła, który był miejscem zbiórki deportowanych Żydów, przejmujące modły w synagodze tych, którzy przeżyli, stara kobieta, która ocalała i śpiewa żydowską pieśń „z tamtych czasów” – wszystko to wstrząsa grozą lub urzeka pięknem. Jedno jest nieludzko straszne, drugie niewypowiedzianie niewinne. Kto zobaczy ten film, nigdy go nie zapomni.

Dowiedział się o filmie *Shoah* Papież i w audyencji, udzielonej francuskim i belgijskim kombatanom, chwalił film i sumienność jego twórcy. Podkreślił także moralne znaczenie tego filmu.

Przedmiotem filmu są męczarnie i wreszcie zagłada bezbronnych Żydów, w tym ponad trzech milionów obywateli polskich wyznania mojżeszowego lub żydowskiego pochodzenia. Nic więcej. Film nie opisuje ogólnego tła wojennych

lat, podboju przez Trzecią Rzeszę prawie całej Europy i okrucieństw, dokonywanych wobec podbitych narodów. Nie mówi o cierpieniach nieżydowskiej ludności w Polsce, Rosji, Grecji czy Serbii. Rygorystyczna konstrukcja filmu na to nie pozwala.

Intencją Lanzmanna jest uzmysłowić widzowi, iż gehenna Żydów była zjawiskiem jedynym, z niczym nieporównywalnym. Ma w tym niewątpliwie rację. Równanie zagłady Żydów z cierpieniami i stratami nieżydowskiej ludności Europy jest wprawdzie uczuciowo zrozumiałe, ale błędne. Owszem, wszystkie narody ponosiły mniejsze lub większe ofiary, ale wśród Żydów ofiarami byli wszyscy. O tym Lanzmann nie zapomina ani na chwilę i zrozumie to każdy, który ten film zobaczy.

To bezkompromisowe ograniczenie tematu wywołuje wrażenie, iż Żydzi byli opuszczeni przez całą ludzkość, iż cała ludzkość była nieczuła na ich los. Jest to jednak nieścisłe, a poza tym deprymujące, szczególnie dla powojennego i przyszłych pokoleń żydowskich. Żydzi byli opuszczeni przez rządy, przez tych, którzy mieli władzę fizyczną czy duchową. Nie byli opuszczeni przez ludzkość. Przecież w Europie paręset tysięcy Żydów zostało uratowanych. W Polsce przeżyło ich kilkadziesiąt tysięcy. Za ukrywanie Żyda w Polsce groziła kara śmierci temu, kto to czynił i jego rodzinie. W zachodniej Europie, choć kary nie były tak ostateczne, pomaganie czy ukrywanie Żydów też narażało na wielkie niebezpieczeństwo. Niemniej setki tysięcy chłopów, robotników, inteligentów, księży, zakonnic, narażając siebie i bliskich, udzielało Żydom pomocy w każdym kraju Europy. Ilu ich zginęło – Bóg jeden wie.

W Polsce powstała tajna organizacja, której jedynym zadaniem było ukrywanie i pomoc ukrywającym się Żydom. Jej szef, Władysław Bartoszewski, żyje w Warszawie. Żyje w Łodzi bohaterski przywódca powstania w warszawskim getcie, Marek Edelman. Żyją inni w innych krajach. Powinni być choćby wspomniani. Uprzymiśnienie widzowi, szczególnie młodemu pokoleniu Żydów i nie-Żydów, iż tacy ludzie byli, wydaje mi się konieczne, niezależnie od takiej czy innej konstrukcji filmu. Dla jednych jest to konieczne, aby nie stracili wiary w ludzkość i w swoje w tej ludzkości miejsce. Dla drugich, aby zrozumieli, do czego prowadzi brak tolerancji, rasizm, antysemityzm i nienawiść oraz co może miłość bliźniego. Jest to ważniejsze niż jakakolwiek konstrukcja. Szczególnie, iż jest to film tak potężny i tak wielki, i będzie miał wpływ na widza.

Technika filmu polega na wywiadach, albo zaplanowanych, albo przypadkowych, z nieznanymi Lanzmannowi ludźmi. W tej drugiej grupie są wypowiedzi kilku Polaków, mieszkańców przyobozowych miast i wsi. Niektóre świadczą o współczuciu i dobroci serca, większość przeraża. Oto jakieś małomiasteczkowe kobiety pytane, co myślą o zniszczeniu Żydów, odpowiadają, iż po ich zagładzie żyje im się lepiej niż dawniej. Zająły pożydowskie domy, okazalsze niż te, w których mieszkaly przed wojną. Oto jakaś kobieta z innej grupy, choć niepytana, poucza Lanzmanna, że to, co spotkało Żydów, to kara boska za wyda-

nie Zbawiciela na śmierć. Mówi to na tle kościoła tuż przed procesją. Snadź przykazania II Soboru Watykańskiego, określające taką postawę jako grzech, nie doszły do tej parafii. Oto miejski inteligent, także niepytany, wrywa się z tłumem przed kamerę filmową, aby poinformować Lanzmanna, co jakoby widział jego przyjaciel. Oto jakiś rabin miał tłumaczyć zebranym na deportację Żydom, że swój los zawdzięczają własnym przodkom, którzy, wydając Chrystusa na śmierć, wołali, aby Jego krew spadła na nich i na ich potomstwo. Inteligent nie dodaje, iż Żydzi i rabin byli otoczeni przez esesmanów z rewolwerami lub pałkami w łapach. Oto rolnik, pytany, czy żałuje, że Żydów już nie ma, odpowiada z uśmiechem, że i tak, i nie. Gdy był młody, lubił Żydówki. Teraz jest stary i wszystko mu jedno. Inny Polak z okolic Trebłinki opowiada o transporcie Żydów z zachodniej Europy, który obserwował. Na dojazdową stację tuż przed Trebłinką zajechały pulmanowskie wagony. Siedzieli w nich grubi Żydzi i ufryzowane Żydówki. Na stolikach wewnątrz wagonów stały „flakony z perfumami”. Widział walizy ze złotem. Na stacji jeden z Żydów wyszedł z wagonu i udał się do bufetu stacyjnego, aby coś tam sobie kupić. Drzwi wagonu nie były strzeżone. Wolno mu było wyjść – tuż przed Trebłinką. O Boże!

Film zawiera także wywiad ze mną. Okoliczności tego wywiadu ujawniają metodę pracy Lanzmanna oraz zaplanowane ramy *Shoah*. Lanzmann odwiedził mnie w 1977 roku, wręczył mi materiały dotyczące jego kwalifikacji, poprzednich filmów, pochlebnych recenzji itp. i opowiedział o swoim projekcie. Słyszał i czytał o mnie. Jest moim obowiązkiem udzielenie mu filmowanego wywiadu. Początkowo odmówiłem. Odszedłem od moich wojennych przeżyć i przez ponad trzydzieści lat do tych wspomnień nie wracałem. W końcu zgodziłem się, prosząc o pisemne sformułowanie pytań. Chcę się przygotować. Lanzmann odmówił: nie chce przygotowanych odpowiedzi. Będzie pytał o to, co należy do filmu. Ja będę mówił to, co pamiętam. Zgodziłem się, zastrzegając jedynie, aby mnie nie wplątywał w jakieś polityczne dyskusje, oceny czy konkluzje. Odpowiedział, że bynajmniej nie leży to w jego intencjach.

Wywiad odbył się w 1978 roku u mnie w domu. Filmował dwa dni, w sumie około ośmiu godzin. Lanzmann to trudny człowiek. Namiętny. Całkowicie oddany swej pracy. Bezwzględny w indagacji i ustalaniu faktów. Parę razy załamałem się nerwowo. Raz załamał się on. Żona, nie mogąc tego znieść, wyszła z domu.

Z ośmiu godzin filmowania zobaczyłem na ekranie około czterdziestu minut wywiadu, opisującego męczarnie Żydów w warszawskim getcie oraz skargi i rozpaczliwe żądania o pomoc żydowskich podziemnych przywódców, skierowane do zachodnich rządów. I czas, przeznaczony na moją relację, i konstrukcja *Shoah* zmusiły Lanzmanna do pominięcia tej części wywiadu, która według mnie była najważniejsza w tej mojej żydowskiej misji z końca 1942 roku. O męczarniach Żydów mówili inni ponad siedem godzin. Wielu zrobiło to lepiej niż ja. Dla mnie centralnym punktem mojego wywiadu było to, iż przedarłem się na Zachód i poinformowałem o tragedii i żądaniach Żydów czterech członków an-

gielskiego Gabinetu Wojennego z Edenem na czele, prezydenta Roosevelta i trzech kluczowych członków amerykańskiego rządu, delegata apostolskiego w Waszyngtonie, żydowskich przywódców w Stanach Zjednoczonych, wybitnych pisarzy i politycznych komentatorów. Przecież o tych rzeczach nikt poza mną w filmie nie mógł mówić, a to wykazywało, jak rządy alianckie, które jedyne były zdolne przyjąć Żydom z pomocą, zostawiły Żydów ich własnemu losowi.

Włączenie tego materiału do filmu, jak również choćby ogólnych wiadomości o tych, którzy starali się Żydom pomagać, przedstawiłoby zagładę Żydów we właściwszej perspektywie historycznej. Przywódcy narodów, potężne rządy albo decydowały o zagładzie, albo w tej zagładzie brały udział, albo wobec tej zagłady zachowały obojętność. Ludzie, zwykli ludzie, tysiące ludzi współczuło z Żydami lub szło im z pomocą.

Film *Shoah* poprzez swoją potęgę talentu, woli i okrutnej prawdy, ale także samoograniczenie spowodował konieczność następnego filmu, równie potężnego, równie prawdziwego – filmu, który przedstawi tę drugą rzeczywistość zagłady. Rządy, organizacje społeczne, Kościoły, ludzie talentu i serca powinni znaleźć jakąś formę wspólnego wysiłku, aby taki film wyprodukować. Nie po to, aby zaprzeczać temu, co film *Shoah* pokazał. Po to, by go uzupełnić. Przecież żydowska gehenna czasów drugiej wojny światowej ciąży nad ludzkością jak klątwa.

[11/458, 1985]

RAFAEL F. SCHARF*

Z otchłani

Szukaliśmy tytułu na dzisiejszy wieczór poezji pisanej w getcie i w obozach – takiego, aby nikogo nie zwiódł, aby wiadomo było, o czym będzie mowa, a z drugiej strony – aby nie odstraszył. Wiadomo, większość ludzi – trudno się dziwić – od tych smutnych spraw ucieka. Jedni pytają, po co to, dla innych stało się to wszystko bardzo odległe, jak grecka mitologia, ale dla niektórych jest to zaledwie wszechobecne wczoraj.

Tytuł, który mi się wpierw nasunął, brzmiał: *Z otchłani* – albowiem pod tym tytułem ukazał się, w Warszawie w 1944 roku, zbiór wierszy pisanych w getcie i w obozach. Uważam to wydarzenie za całkowicie unikatowe w historii literatury.

Wiersze zawarte w tym tomiku zostały przedrukowane i historia ich powstania została opowiedziana po raz pierwszy po wojnie w antologii pod tytułem *Pieśń ujdzie cało...*, zredagowanej w 1947 roku w Krakowie przez Michała Borwiczę, który był moim kolegą z ławy szkolnej w Hebrajskim Gimnazjum w Krakowie, jego prawdziwe nazwisko Maks Boruchowicz.

Boruchowicz znalazł się w czasie wojny w getcie na Janowskiej we Lwowie. Został stamtąd wyprowadzony przez przyjaciół z PPS-u i przetrwał wojnę jako dowódca partyzantki w mieleckim. Nie uchroniło go to od losu emigranta, wkrótce po wojnie musiał Polskę opuścić i w latach osiemdziesiątych zmarł w Paryżu roku

Czytając te wiersze, człowiek naraża się na to, że jego wrażliwość literacka tępieje pod ich obuchem. W porównaniu z tym tradycyjne tworzywo poetyckie wydaje się sztuczne i trywialne. Kochanowski w *Trenach*, opłakujący swą Urszulę; Słowacki w *Ojcu zadżumionych*, opisujący śmierć swej rodziny; Ugolino w *Piekle* Dantego, wżerający się w czaszkę swego syna; Jeremiasz bledzący nad upadkiem Jerozolimy; Hiob, mąż boleści, wystawiony na szatańską próbę wiary

* Rafael F. Scharf, *Pieśń ujdzie cało...* Wprowadzenie do wieczoru poezji pisanej w getcie, który odbył się w londyńskim POSK-u 1 marca 1994 roku z inicjatywy ZASP-u pod kierownictwem Ireny Delmar. Utwory Władysława Schlengla recytowali: Tessa Ujazdowska, Stefan Gołębowski, Daniel Woźniak.

– to są wspaniałe dzieła literatury, ale czymże one są w porównaniu ze stopniową zagładą narodu i prawdziwym cierpieniem na skalę, która jest nie do ogarnięcia?

Gdy prawdziwa dola człowieka objawia się w gettach, w obozach, w fabrykach śmierci, w komorach gazowych – czy literatura, kunsztowne metafory, „przędza myśli i uczuć kwiaty”, jak mówił Mickiewicz, literatura, która przynosi *katharsis* i pociechę, nie zakrawa na jakieś okrutne urągowisko? I sam fakt pisanie, który jest wyrazem wiary w człowieka, nie przeczy sam sobie? To zapewne miał na myśli Adorno, gdy wypowiedział słynne zdanie, że „pisanie poezji po Oświęcimiu jest barbarzyństwem”.

Wiersze pisane w getcie trzeba widzieć w tym kontekście. Osąd oparty na normalnych kryteriach, estetyczne normy, systemy krytyczne nie wchodzi tutaj w grę. Mierzac je przyjętymi kategoriami, wiele z tych wierszy wypadłoby uznać za prymitywne, niedojrzałe, niektóre wręcz złe.

Banalna fraza, że to były wiersze „pisane krwią”, nabiera tu świeżego, dosłownego znaczenia. Były one pisane przez ludzi stojących na krawędzi otwartego, masowego grobu, w pośpiechu, nim padnie strzał. One są jak przekaz wydrapany paznokciami na ścianie celi śmierci. Rozpacz dyktuje zdania, które są okrutne, oskarżenia, które są niesprawiedliwe, przekleństwa na oprawców, na widzów, na świat.

Są to głosy mężczyzn i kobiet poza obrębem prawa – ludzkiego i boskiego. One mówią o cierpieniu, o nadziei i jej utracie, o bezsile i samotności, o samym dnie egzystencji. One świadczą o odwadze, woli do życia w warunkach skrajnej agonii, o śmierci – własnej, swoich najbliższych, tych wszystkich, których się kochało.

Były one także wyrazem walki i oporu. Były dowodem człowieczeństwa, na przekór wysiłkom Niemców, by Żydów zredukować do stanu podludzi. Parę ludzkich słów – napisać albo bodaj ich wysłuchać – to był łyk świeżego powietrza, chwilowa ucieczka od rzeczywistości. To był rodzaj zaklęcia, magii, co uzdrowia.

Borwicz opisuje moment, gdy w obozie na Janowskiej, który był jednym z bardziej wyrafinowanych miejsc kaźni, jeden z jego towarzyszy na „apelplacu” jest u kresu wytrzymałości, gotów wyzionąć ducha, i jak on, Borwicz, szepce mu parę linijek wiersza, który mu przyszedł do głowy. Ów towarzysz jakoś odżywa, wraca mu chęć i siła przetrwania. Jest takich przykładów wiele. Josif Brodski mówi, że trudniej jest złamać człowieka, który czytuje poezję, niż takiego, który na nią jest nieczuły.

Drobną ilustrację, jak takie wiersze powstawały, czerpię znowu ze wspomnień Borwicza. Trzeba pamiętać, że za przekroczenie zakazu pisanie w obozie groziła śmierć – a pisało się między jednym biciem a drugim, jedną egzekucją a następną.

Lodowaty styczeń 1943 – pisze Borwicz. Szesnaście godzin (bez przerwy) na dobę na siarczystym mrozie. Człowiek zamienia się w takich warunkach w sople lodu. Rąbanie lodu

i usuwanie śniegu we Lwowie, tym razem na ul. Zamarstynowskiej. Podczas tego zajęcia zaczynają gnębić mnie coraz wyraźniej słowa tworzonego odruchowo wiersza. Uświadomiwszy sobie tę (zrazu instynktowną) czynność, zaczynam – nie przerywając pracy – uściślać i precyzować w myśli poszczególne linie wierszowe. Gdy pierwsza zwrotka była gotowa, pomyślałem o zanotowaniu jej. Odwołując wózek z lodem do kanału, znalazłem na ulicznej stercie śmiecia kartkę brudnego papieru. Zdobyłem ołówek, za czym – zastępując biurko śmieciarskim wózkiem – zgrabiając od zimna ręką zanotowałem, w stosownej chwili, gotową zwrotkę. Papier i ołówek powędrowały do kieszeni. Zaczęło się budowanie w myśli następnej strofy.

Gdzie tu jest jakieś porównanie z procesem „pisania” w normalnym tego słowa znaczeniu?

Pod jednym względem Niemcy nie mieli szczęścia w wyborze ofiary. „Naród Książki” umiał się obchodzić z piórem i wierzył w słowo pisane. Potrzeba utrwalenia wydarzeń na piśmie, pozostawienie śladu po sobie, była przemożna. Obawa, że te wydarzenia, których Żydzi byli świadkami i ofiarą, pozostaną nieznane albo będą niewiarygodne, była większa aniżeli troska o własne życie. Chaim Kaplan, w pamiętniku pisanym w getcie, który jest jednym z najbardziej przejmujących dokumentów naszych czasów, pisze w przededniu deportacji do Treblinki: „Jeśli ja zginę, co się stanie z moim dziennikiem?”

W warszawskim getcie, od czerwca 1940 do lipca 1942, ukazało się 56 różnych publikacji – 26 w jidysz, 20 w języku polskim, 10 w hebrajskim. To, co się z tego zachowało, dzięki graniczącym z cudem splotom okoliczności, to jest zaledwie cypel lodowca – ale już to samo w sobie czyni ten okres zagłady Żydów najgruntowniej udokumentowanym okresem w historii. Dlatego sądzę, że poglądy tzw. rewizjonistów, którzy usiłują zaprzeczać temu, co się stało, są irytujące, ale nie są niebezpieczne i prawdzie nie zagrażają.

Jednym z najbardziej ponurych i serce rozdzierających obrazów, jakie sobie można wyobrazić, był widok getta po „akcji” – puste mieszkania, z których wywleczono lokatorów, pierze fruujące z poduszek i pierzyn rozprutych w poszukiwaniu skarbów, porzucona odzież, zabawki, łachy, zwłoki tych, którzy nie dotrzymali kroku, i papiery – pojedyncze kartki albo zeszyty na klatkach schodowych, na bruku, unoszone wiatrem – pismo, myśli, idee, uczucia stłamszone w pół słowa...

Niewątpliwie najbardziej popularnym poetą piszącym w getcie warszawskim w języku polskim był Władysław Szlengiel, którego nazwiska większość z Państwa na pewno nigdy nie słyszała. Urodzony w 1914 roku, zginął w bunkrze w 1943 roku, w czasie powstania w getcie. Przed wojną był to początkujący pisarz, autor piosenek, szlagierów w stylu Tuwima, Hemara, Własta, Jurandota czy Refrena („Jadziem Panie Zielonka”, „Dziś panna Andzia ma wychodne” – kto to pamięta?), satyrycznych tekstów, drukowanych od czasu do czasu w „Naszym Przeglądzie”, żydowskiej gazecie warszawskiej w języku polskim, albo – co nadawało specjalną rangę – w „Szpilkach”.

Szlengiel był zamknięty w getcie od jego utworzenia do zniszczenia i tam wyrósł na jego głównego piewce. Jak życie w getcie wyglądało, jest nam dobrze

znane. Szalał głód, tyfus dziesiątkował ludność tak szybko, że nie nadążano z uprzątnięciem zwłok z rynsztoków. Nikt nie wiedział, kiedy go wyrwie ze snu zgłęb „akcji”, czy będzie wywleczone z łóżka, czy wyszedłszy z domu, wróci cało.

Co wieczór Szlengiel ukazywał się na scenie w *sui generis* kabarecie, w kawiarni „Sztuka” na Lesznie. On był organizatorem wieczorów, konferansjerem, głównym autorem tekstów. W tych tekstach odbija się historia getta w jego wszystkich aspektach – od nostalgii za utraconym rajem przedwojennej Warszawy, poprzez upokorzenia życia codziennego, ustawiczny lęk, okrucieństwa okupanta, obcowanie ze śmiercią, pragnienie zemsty, bunt. Gdyby nie było innych świadków, innego opisu, moglibyśmy odtworzyć sobie z tych wierszy pełny obraz życia w tych niewiarygodnych warunkach. Wiersze Szlengla wypełnią dzisiejszy wieczór.

Częstym tematem wierszy pisanych w getcie i obozach jest kłótnia z Panem Bogiem. Jest to w tradycji żydowskiej dysputy talmudycznej, gdzie argument pro i kontra jest uświęconym instrumentem dociekania prawdy. Opowiada się, że w getcie w Wilnie *quorum* rabinów urządziło sąd nad Panem Bogiem i w świetle oczywistej niesprawiedliwości, krzywdy, cierpienia i okrucieństw, które On toleruje, orzekli, że Bóg jest winny. Po czym spostrzegli, że zbliżył się czas wieczornej modlitwy i poszli zmówić modły.

Izabella Gelbard-Czajka ma *Pieśń o kupcu żelaza Abramie Gepnerze*, zastępcy prezesa Czerniakowa w warszawskim Judenracie, człowieku nieskazitelnego charakteru, który widzi, że ten rachunek sprawiedliwości boskiej szwankuje, „saldo wciąż się nie zgadza – bilans nieuczciwy”. Czajka dochodzi do wniosku: „Nie było Boga w getcie – chyba go teraz za to dławi wstyd”.

Józef Bau, w wierszu zatytułowanym *Głód*, modli się:

chleba mojego powszedniego
choćby na kredyt
– użycz mi, Panie!
Boże, byłeś Ty głodny kiedy?

Stefania Ney opowiada o małym chłopcu, Herszku, który prosi Boga, by mu zezwolił na bezpieczny powrót z jednej z jego szmuglerskich wypraw: „O Boże, żebym jeszcze dziś wrócił z tej drogi!” – modli się Herszek.

Ale Bóg w czasie wojny ma ważniejsze sprawy
I ciężko porozumieć się z getta do nieba.
Więc kiedyś Herszek poszedł i więcej nie wrócił,
Bo żandarm zabił Herszka, jak niósł kilo chleba.

Henryka Łazowertówna podejmuje temat dzieci-szmuglerów:

Przez mury, przez dziury, przez cegły
Po nocy, o świcie i w dzień

Zgłodniały, zuchwały, przebiegły
Przesuwam się cicho jak cień.

A jeśli dłoń losu znienacka
Dotknie mnie kiedyś w tej grze,
To zwykła jest życia zasadzka,
Ty, mamó, nie czekaj już mnie.

Nie wrócę już do Ciebie,
Nie dotrże z dala głos.
Uliczny pył pogrzebie
stracony dziecka los.

I tylko jedną troską
Na wargach grymas skrzepł,
Kto Tobie, moja mamó,
przyniesie jutro chleb?

Nie sposób w ramach krótkiej prelekcji choćby wymienić wszystkich nazwisk autorów, których „pieśń uszła cało...” Halina Nelken, Natan Gross, Henryk Vogler, Henka i Ilona Karmel – jest tu materiału na niejeden taki wieczór.

Godzi się także wspomnieć tych, którzy pisali w owym czasie poza gettem, w ukryciu, na tzw. aryjskich papierach. Zuzanna Ginczanka, piękna, czarująca dziewczyna, o wybitnie semickich rysach, ukrywająca się wpierw we Lwowie, potem w Krakowie, zadenuncjowana, rozstrzelana zimą 1944 roku.

Krzysztof Kamil Baczyński, który walczył w szeregach AK i stał się jednym z czołowych poetów podziemia – po wojnie ciążyła na nim ta akowska przeszłość, a żydowskie pochodzenie było całkowicie przemilczane, choć niektóre z jego najlepszych wierszy można rozszyfrować, tylko rozumiejąc ukryte aluzje do losu Żydów.

Stanisław Jerzy Lec (ten od *Myśli nieuczesanych*) w swych wierszach pisanych w ukryciu pisze o tym wiecznym strachu, że może być zdradzony przez nieopatrne słowo, przez gest, przez towarzysza czy sąsiada, przez własne oczy, na których tęczówce wypalony jest obraz zagłady Żydów.

Mieczysław Jastrun, nazwisko rodzinne Agatstein, urodzony w 1903 roku, uznany już był przed wojną za wybitnego poetę, w wierszach pisanych w ukryciu – *Godzina Strzeżona* i *Tu także jak w Jeruzalem*, daje wyraz swemu osamotnieniu, że wciąż umiera „obcy i sam”.

Sytuacja ludzi na „aryjskich papierach” miała swoją tragiczną specyfikę (moja Matka się tak uchowała). Wielu ludzi, którzy ryzykowali życie i wszystko co mieli, by wydostać się z getta, nie potrafiło znieść tego odwiecznego strachu ściganej zwierzyny i wracało do getta, by dzielić do końca los swego ludu.

U poetów piszących w tych warunkach powtarza się nuta gorczy i wyrzutu wobec wrogości czy obojętności otoczenia. Baczyński mówi o „winie przez za-

niedbanie". Ginczanka, w parafrazie Słowackiego, tak kończy swój wiersz *Non omnis moriar*:

Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze –
Niech piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach,
O, jak będzie się palić w rękach im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmienia ręce obie;
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydłonych nagle w aniołów przerobi.

Jastrun wypomina:

nie rzucił nikt dobrej ziemi
na ten masowy grób –
milczeniem pozdrowieni
wolni od zdrady słów!
Gdyście ustami jak rany
pragnący wołali wody
Z pociągów odrutowanych
Nikt wody nie podał...

Ale najbardziej przejmujący głos na temat samotności umierania i porachunku z własnym sumieniem pochodzi od samego Miłosza, w pierw w słynnym *Campo di Fiori*, pisanym podczas wojny i opublikowanym, w pierwszej wersji, w tomiku *Z otchłani*, o którym wspominałem, a o wiele lat później we wstrząsającym wierszu *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*. W nietypowym dla niego, surrealistycznym opisie, od którego ciarki przechodzą, Miłosz przedstawia scenę, pod ziemią zburzonego, spalonego getta, gdzie tajemniczy strażnik-kret przedziera się przez zwały trupów:

Powoli, drążąc tunel, posuwa się strażnik-kret
Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole.
Dotyka ciał pogrzebanych, liczy, przedziera się dalej,
Rozróżnia ludzki popiół, po tęczującym oparze,
Popiół każdego człowieka po innej barwie tęczy.
Boję się, tak się boję strażnika-kreta.
Jego powieka obrzmiała jak u patriarchy
Który siadywał długo w blasku świateł.
Czytając wielką księgę gatunku.
Cóż powiem mu, ja, Żyd Nowego Testamentu,
Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót Jezusa?

Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu
I policzy mnie między pomocników śmierci:
Nieobrzezanych.

Miłosz porusza tu bolesny i skomplikowany problem, którego nie można przeoczyć i nie wolno przemilczać, problem polsko-żydowskich stosunków, przed wojną i po wojnie, ale nade wszystko w czasie wojny. Trzeba o tych sprawach mówić z wzajemnym respektem; trzeba mówić prawdę, tak jak ją widzimy – choć ją często widzimy nie tak samo. Nie godzi się nam licytować w cierpieniu, ale trzeba pamiętać, że losy Polaków i Żydów pod okupacją były nieporównywalne. Musimy widzieć w sobie nawzajem to, co najlepsze, a nie to, co najgorsze. Musimy wierzyć, że wyrasta nowe pokolenie, wolne od wzajemnych przesądów i uprzedzeń. Wydaje mi się, że takie spotkanie jak dzisiaj stanowi dobry omen.

Proszę Państwa, mam dla Was dobrą wiadomość – zbliżam się do końca. Ograniczyłem się do powierzchownego omówienia kilku utworów powstałych w getcie i obozach, to wszystko, na co zezwalał czas. Temat zagłady Żydów zajmuje poczesne miejsce w literaturze polskiej. Tuwim, Wittlin, Słonimski, Wierzyński, Broniewski, Borowski, Nałkowska, Kamińska, Szyborska, Ficowski, Rudnicki, Wojdowski, Wygodzki, Grynberg – ich utwory zostawiają niezatarty ślad w świadomości współczesnych czytelników i będą pożywką dla czytelników w przyszłości. Nasuwa się pytanie, czy to piśmiennictwo, które ilustruje głębie, do których człowiek, *homo* zwany *sapiens*, zdolny jest się stoczyć, a także, choć rzadziej, wyżyny, do jakich może się wznieść – czy to piśmiennictwo podtrzyma w ludzkości promyk nadziei, czy też tylko pogłębi jej cynizm i rozpacz – pytanie, na które nikt z nas nie ma odpowiedzi.

Chciałbym zakończyć paroma prostymi słowami – nie moimi. Są to słowa dzieci, podchwyczone przez kogoś, potem utrwalone na papierze: „Tato – mówi żydowski chłopiec – jak ja podrosną, ja chcę być Niemcem”.

Głos dziecka, zasłyszany w obozie śmierci w Bełżcu: „Mamusiu, ja przecież byłem grzeczny... Ciemno, ciemno...”.

W dzień wyzwolenia, po wyjściu z kryjówek: „Mamo, czy wolno już płakać?”.

I inny jeszcze głos dziecka: „Mamusiu, czy jak nas zabiją, to będzie bolało?” „Nie, kochanie, tylko chwileczkę...”

To trwało tylko chwileczkę, ale wystarczy, by spędzać nam sen z powiek po wsze czasy.

[6/1994]

O religii i o Kościele
bez namaszczenia

Papież Jan Paweł II

„Kultura” łączy się z całym narodem w radości i dumie, że po raz pierwszy Polak zasiadł na Piotrowym tronie i że wybór padł na ks. kardynała Karola Wojtyłę, którego indywidualność i wyjątkowe kwalifikacje pozwalają nam mieć przekonanie, że sprostą tak trudnemu zadaniu. Jego pontyfikat przypada bowiem w okresie ciężkim, jeśli nie tragicznym, nie tylko dla Kościoła, ale dla całej naszej cywilizacji.

Jest jeszcze za wcześnie na zanalizowanie tego historycznego wydarzenia i próby sformułowania tego, czego oczekujemy od pontyfikatu Jana Pawła II. Obecnie możemy tylko solidaryzować się z opinią pewnego księdza polskiego, zacytowaną 21 października br. przez korespondenta „Le Monde” Manuela Lucberta:

Dla nas, polskich katolików, wybór Kardynała Wojtyły jest wyzwaniem. Jest okazją do rachunku sumienia. Nie jesteśmy odpowiedzialni ani za nasze odosobnienie, ani za nasz prowincjonalizm. Ale to wydarzenie powinno nam dać siłę, żeby się z tego wyrwać, żeby stać się bardziej uniwersalnymi, a zatem i bardziej katolickimi.

Chcemy jeszcze podkreślić, że nowy Papież wywołał ogromną falę nadziei wśród wszystkich chrześcijan w bloku sowieckim, a także u wszystkich ludzi na świecie, walczących o sprawiedliwość i wolność człowieka.

Miesięcznik „Kontynent” wysłał do Jana Pawła II telegram gratulacyjny następującej treści:

Wasza Świętość – razem z całym narodem polskim, razem z całą Europą Wschodnią, razem ze wszystkimi chrześcijanami świata jesteśmy głęboko uradowani wybraniem Waszej Świętości na tron papieski. Od tej chwili, jak nigdy przedtem, wzrok wszystkich cierpiących na ziemi jest zwrócony do Stolicy Apostolskiej.

W imieniu czasopisma „Kontynent” Władimir Bukowski, Natalia Gorbaniewska, Władimir Maksimow, Ernst Nieizwiestny, Wiktor Niekrasow.

Pomyślne proroctwa i pobożne życzenia laika na progu nowego pontyfikatu w wiecznej sprawie praw cesarskich i boskich

Pomińmy zrozumiałą całkiem, ale dla tych rozmyślań nieważną euforię Polaków na wieść, że *Pontifex Polonus* osiadł na Stolicy Apostolskiej. Pomińmy także kwestię doraźnych skutków tego wydarzenia dla sprawy Kościoła w Polsce, a także, w konsekwencji, dla perspektyw walki w Polsce toczonych w obronie swobód obywatelskich i praw ludzkich. Jasne jest przecież, że sprawa znaczy tyle, że wiernym rozwodzić się nie wolno lub że, jeśli się rozwodzą, winni są łamania prawa kościelnego. Jednakże Kościół nie powinien i nie musi wcale żądać, aby państwo wyręczało go w tej sprawie przymusem prawnym i załatwiała za niego ten przykry problem. Z pewnością w wielu innych kwestiach rozdzielanie takie jest bardziej kłopotliwe. Niemniej ogólna zasada rozdziału wydaje mi się zarówno zgodna ze zdrowym rozsądkiem, jak i najwłaściwsza z punktu widzenia obrony praw ludzkich, a także założeń chrześcijańskich.

Przypadkiem szczególnie jaskrawym, gdzie ścierają się te dwie postawy, jest konfrontacja chrześcijaństwa z komunizmem.

Dla tradycjonalistów, postrzegających świat przez kategorie odziedziczone z epoki szoku po rewolucji francuskiej i nieznacznie tylko skorygowane, zło komunizmu i jego niszczycielska siła wywodzą się stąd, że jest on ateistyczny. Jest to wszakże mylący sposób percepcji. Kościół nie cierpi prześladowań ani ograniczeń w demokratycznych ustrojach rządzonych przez ateistów lub ludzi religijnie obojętnych. Z drugiej strony, jeśli dopuścimy fantazyjne przypuszczenie, że któregoś dnia narada partii komunistycznych ogłosi, iż właśnie istnienie Boga zostało naukowo udowodnione, przy czym, zbyteczne dodawać, Bóg wyraża swoją nieomylną wolę ustami Biura Politycznego, łatwo przewidzieć, że ani opresywny i antykulturalny charakter komunizmu, ani sytuacja religii i Kościoła na opanowanych przezeń obszarach nie uległyby przez to żadnej zmianie.

Despotyczne formy rządzenia i w szczególności prześladowania religijne w tym ustroju nie pochodzą stąd, że komunizm jest ateistyczny, ale stąd, że jest

totalitarny, że zatem jest jak gdyby konstrukcyjnie napędzany dążeniem do zniszczenia wszystkich form życia zbiorowego i wszystkich krystalizacji kultury nie narzuconych przez państwo. Znamienna dla integryzmu katolickiego koncentracja krytyki na sprawie ateizmu, to znaczy na błędach doktrynalnych komunizmu, jest z kilku powodów myląca i nieskuteczna. Nade wszystko nie pozwala ta postawa wypracować pojęć oddzielających indyferentyzm religijny liberalnej demokracji od państwa ideologicznego sowieckiego typu, przeszkadza zatem w uwolnieniu Kościoła od tradycji, która w liberalizmie widziała wroga *par excellence*; co więcej, atakując komunizm za błędną teorię teologiczną czy antyteologiczną, utrudnia krytykę totalitaryzmu jako takiego, niezależnie od jego doktrynalnej podbudowy. Tymczasem totalitaryzm, bez względu na kostium ideologiczny – rasistowski, komunistyczny czy religijny – jest w tej chwili najbardziej złowrogą groźbą dla kultury i dla wartości chrześcijańskich. Jest niezawodnie prawdą, że totalitarna strona tradycji chrześcijańskiej nie jest w tej chwili żadnym niebezpieczeństwem realnym, niemniej chrześcijanie, którzy walczą o prawo do życia w sytuacji totalitarnej, stawialiby siebie w niezręcznej pozycji, jeśli by nie opierali swoich roszczeń na wyraźnej akceptacji pluralistycznych zasad życia społecznego, to znaczy na radykalnym odrzuceniu totalitaryzmu, niezależnie od jego ideologicznych treści, które mogą być ateistyczne, ale mogą być także religijne (istnieje nadal potężny potencjał totalitarny w islamie). Ponadto przy założeniu, że jądrem zła w komunizmie jest ateizm, sprawa konfrontacji chrześcijaństwa z komunizmem zostaje umiejscowiona w ramach walki idei, co jest wszelako wadliwą interpretacją sytuacji, przynajmniej w krajach wepchniętych w klatkę sowytyzmu: idea komunistyczna nie ma tam bowiem żadnej siły własnej, nie jest praktycznie wyznawana i stanowi tylko legitymizację przemocy sprawowanej nad społeczeństwem. Integryzm osłabia przeto skuteczność antytotalitarnego oporu, dając jakby do zrozumienia, a przynajmniej nie wykluczając wyraźnie możliwości, że totalitaryzm nie byłby naganny, gdyby jego forma dogmatyczna określała się za pomocą *credo* nicejskiego zamiast *Dzieł zebranych* Lenina. Pod tym względem integryzm w osobliwy sposób zbiega się z tą formą katolickiego „progresizmu”, która w komunizmie nie widzi niczego złego poza tym, iż błądzi on w sprawach teologicznych. W obu przypadkach łatwo o sugestię, że zadaniem chrześcijaństwa jest nawrócenie komunizmu na prawdziwą doktrynę, nie zaś opieranie się niszczycielskiej funkcji totalitarnego systemu, który zawsze, bez względu na aktualną fasadę ideologiczną, musi zmierzać do unicestwienia kultury chrześcijańskiej. Wbrew pozorom zatem integryzm, podobnie jak progresizm, jest względem komunizmu słaby, chociaż nie z tych samych powodów; integryzm dlatego, że nosi na sobie relikty mentalności teokratycznej, progresizm dlatego, iż uważa komunizm za całkiem godziwe rozwiązanie problemów doczesnego życia.

Tymczasem opór antytotalitarny, jeśli ma być skuteczny, musi zakładać niezbywalne uprawnienia wszystkich osób do swobodnego wyboru form własnego

życia duchowego. Musi zatem uznać, między innymi, tradycyjną republikańską zasadę rozdziału Kościoła od państwa. Zasada ta obfituje w różne komplikacje prawne, których roztrząsać nie zamierzam i zresztą nie umiałbym. Dwie sprawy zasługują wszelako na podkreślenie w granicach tych rozważań. Zasada rozdziału Kościoła od państwa nie była nigdy i nie może być urzeczywistniona w państwie komunistycznym ani zresztą w żadnym państwie ideologicznym. Zakłada ona bowiem, że uprawnienia każdego człowieka z osobna do wyznawania lub niewyznawania wiary, jak też uprawnienia zbiorowości religijnych do głoszenia wiary chronione są porządkiem ustaw, mają znaczenie powszechne i że z punktu widzenia roli Kościoła w świecie nie jest ważne, że nowy papież do Rzymu z Krakowa zjechał, ważne jest natomiast, że życie swoje pasterskie spędził w otoczeniu politycznym wrogim, a w otoczeniu społecznym przyjaznym, że sprawę konfrontacji Kościoła z komunistycznym systemem władzy wybornie zna z doświadczenia i że również z tej racji obecność jego może być rozstrzygająca dla nowej interpretacji sporu między „integrystyczną” a „progresistyczną” tendencją w chrześcijaństwie; że zaś ten spór dla losów chrześcijaństwa i świata jest kluczowy, zbyt wiele dowodzić.

W tej kwestii całkiem prywatnie wyrażam opinie, podsyte życzliwością dla sprawy chrześcijaństwa takiej, jak ją pojmuję. Przyznaję, że zarówno „integryści”, jak „progresiści” mają pewne dobre argumenty, w szczególności gdy je we wzajemnych krytykach wysuwają, ale punkt widzenia, któremu sprzyjam, nie wydaje mi się wcale być obojga „synteza” albo czymś pośrednim, ale raczej stanowiskiem samodzielnie dobrze uzasadnionym; myślę także, że jest to stanowisko, które wśród chrześcijan czynnych i dzielnych ma wcale niemało obrońców i niczym nowym nie jest; niemniej wolno każdemu na własną rękę próbować je zrekonstruować.

Mówimy o Kościele jako instytucji, która ma głosić światu dobrą wieść o odkupieniu i pojednaniu i nie może żądać od wiernych, by od spraw świata uciekali i w osamotnieniu pustelniczym własne hodowali cnoty, ale domaga się, by w cierniach doczesności szukali Królestwa i niejako na każdego nakłada odpowiedzialność nie za siebie tylko, ale i za innych. Stąd trudność, nieuchronna i trwała, dokładnego wyznaczenia granicy między rzeczami boskimi i cesarskimi; nie wierzy wszakże chrześcijaństwo (pomijając marginalne sekty), by ludzie mogli własnymi wysileniami zbudować na ziemi Królestwo i zło doszczętnie wytępić; zamiar stworzenia raju doczesnego ludzkimi rękami wydawać się nawet musi dziełem pychy demonicznej, niczym budowa wieży Babel, z której prócz przestrogi i konfuzji języków nie zaznała ludzkość nic więcej. Nie jest z pewnością zadaniem Kościoła formułowanie przepisów na dobry ustrój polityczny ani pisanie konstytucji państwowych. Z drugiej strony jednak, mówiąc, że coś jest dobre lub złe, chrześcijaństwo nie może ściśle rozgraniczyć osądu osób – o co zawsze chodzi głównie – od osądu instytucji. Powiadając na przykład, że odmawianie zapłaty najemnikom oraz uciskanie wdów i sierot należy

do grzechów o pomstę do nieba wołających, potępia Kościół nie tylko jednostki, ale i instytucje; toteż w życiu codziennym moralne nakazy i zakazy muszą być często rozumiane jako idee społeczne, jako zajmowanie stanowiska w sprawach politycznie ważnych. Tym samym istotna część pracy Kościoła musi podlegać regułom rządzącym organizmami świeckimi. Tej dwuznaczności niepodobna całkiem uniknąć. Zwierzchnik Kościoła mówi za Pawłem, że od Chrystusa wziął Kościół zarówno łaskę, jak urząd apostołski i na tym autorytet swój wspiera; ale mówi też, jak Piotr centurionowi Surge, *et ego ipse homo sum*, wstań, bom i ja człowiek.

Na różnej interpretacji granic między tym, co cesarskie, i tym, co boskie, wspierają się wspomniane tendencje skrajne w chrześcijaństwie – „integrystyczna” i „progresistyczna”.

Z grubsza mówiąc, katolicki integryzm wydaje się anachronicznym przedłużeniem sytuacji, w której Kościół widział głównego swojego wroga w liberalizmie, to znaczy sytuacji, która klasyczny swój wyraz znalazła za pontyfikatu Piusa IX. Racjonalizm, teoria ewolucji, zasada oddzielenia Kościoła od państwa – oto gdzie koncentrował się atak Kościoła w tych czasach. Dzisiejszy tradycjonalizm, choć nie domaga się teokracji, nadal utrzymuje mentalność z epoki Sylłabusa w tym przynajmniej sensie, że chętnie korzystałby z pomocy świeckiego ramienia w obronie wiary przed krytyką i że chciałby zapewnić Kościołowi instytucjonalne prawo do szczegółowego nadzoru nad sprawami świeckimi.

Jeśli „integryzm” w formie doskonałej jest anachroniczną negacją autonomicznej sfery *profanum*, to „progresizm”, także w wersji doskonałej, jest rezygnacją z autonomii wiary i Kościoła, próbą podporządkowania wiary wymogom tak czy inaczej pojętych doktrynalnych względów politycznych. Jeśli integryści gotowi są sprzymierzać się – a w oczach przeciwników wręcz identyfikować się – z tymi siłami politycznymi, które dla jakichkolwiek względów własnych mogą zapewnić Kościołowi przywileje, to progresizm gotów jest do przymierza czy identyfikacji ze wszystkimi, którzy wyznają hasła egalitaryzmu, nawet jeśli wedle wszystkich doświadczeń muszą one zmierzać do zniszczenia chrześcijaństwa na mocy własnych założeń (przynajmniej jeśli chrześcijaństwo miałoby być czym innym niż zbiorem haseł politycznych). Z punktu widzenia tradycji chrześcijańskiej mamy w obu wypadkach do czynienia z zatarciem granicy między *sacrum* i *profanum*.

Weźmy najprostszy przykład: sprawę rozwodów. Dla „progresizmu” sprawa ta prawie nie istnieje, a zakaz rozwodów w Kościele uchodzić musi za jeszcze jeden objaw kościelnego zacofania. Dla integrystów z kolei jest rzeczą naturalną, że skoro rozwody są niedopuszczalne na mocy sakramentalnego charakteru związku małżeńskiego, powinny być one zakazane przez państwo. Otóż *non sequitur*. Kościół, oczywiście, ma prawo oznajmić, że rozwody nie istnieją w świetle tradycji i prawa kościelnego, że jednak państwo samo jest religijnie neutralne, więc przynależność wyznaniowa lub wiara jednostek nie mają zna-

czenia – pozytywnego ani negatywnego – dla ich sytuacji w stosunku do państwa. Oczywiście jest jednak, że zasady takiej żaden system totalitarny przyjąć nie może, oznaczałoby to bowiem rezygnację z jego pretensji ideologicznych. Państwo komunistyczne nie jest państwem świeckim: nieograniczona władza jednej partii, mającej, teoretycznie przynajmniej, własną otoczkę doktrynalną (całkiem niezależnie od tego, czy kto ją na serio traktuje), nie może być neutralna w stosunku do wierzeń religijnych i organizacji kościelnej. Dyskryminacja ideologiczna i prześladowanie Kościołów nie są przypadkową skazą czy uleczalnym błędem komunizmu, ale nieuchronną konsekwencją ustrojowych założeń: nie ateizmu doktrynalnego, ale formy władzy, która zmierza do upaństwowienia wszystkich dziedzin życia i komunikacji międzyludzkiej. Faktyczna skala prześladowań, ograniczeń i dyskryminacji bywa, oczywiście, różna i zmienia się zależnie od wielu okoliczności, ale wszelkie w tym względzie rozluźnienia czy koncesje są wymuszone bądź naciskami społecznymi, bądź okresami kryzysu, kiedy to rządzący aparat nie panuje nad sytuacją (nawet w Związku Sowieckim w czasie wojny z Niemcami nastąpiło osłabienie represji przeciw religii). Ideałem komunizmu pod tym względem jest sytuacja w Albanii, gdzie wszystkie formy kultu religijnego są surowo karalne, a ateizm jest obowiązującym dogmatem państwowym. Bliskie ideału są Chiny, a zresztą i sam Związek Sowiecki; zakaz taki nie jest tam wprowadzić formalnie wpisany do prawodawstwa, lecz Kościoły pozbawione są wszelkich praw publicznych, obozy koncentracyjne wypełnione są ludźmi skazanymi za „propagandę religijną”, świątynie systematycznie niszczone, kapłan popełnia przestępstwo kryminalne, udając się, na przykład, do umierającego człowieka z ostatnim namaszczeniem i jest prawnym obowiązkiem rodziców wychowywać dzieci w komunistycznym, a więc ateistycznym duchu, pod groźbą ich przymusowego odebrania. Jeśli w Polsce represje nigdy nie osiągnęły tego poziomu, to tylko dzięki sile społecznego oporu; jeśli dzisiaj szefowie partii, w sytuacji głębokiego kryzysu społecznego, zabiegają o minimum porozumienia z Kościołem (nie rezygnując zresztą z niezliczonych ograniczeń i z utrzymywania stałego kagańca cenzury, bez której komunizm u władzy nigdy nie istniał i jest nawet niewyobrażalny), to nie dlatego, by przeszli demokratyczną konwersję, ale w strachu przed eksplozjami ludowego gniewu. Realny rozdział Kościoła od państwa nie jest możliwy w warunkach komunizmu, jeśli to słowo zachowuje sens określony zarówno przez wszystkie doświadczenia historyczne, jak przez jednoznaczne doktrynalne założenia leninizmu.

Z drugiej strony, rozdział Kościoła od państwa nie pozbawia bynajmniej Kościoła uprawnień do zabierania głosu we wszystkich sprawach publicznych, chociaż uprawnienie to nie jest wynikiem żadnego szczególnego przywileju, ale częścią uprawnień powszechnych przysługujących jednostkom i organizacjom w pluralistycznej strukturze państwowej.

Dokładnie te same słabości „integryzmu” i „progresizmu” wychodzą na jaw w innych warunkach: w militarnych dyktaturach i despotycznych (choć nie to-

talitarnych) państwach Trzeciego Świata, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej. W krajach tych „integryzm” ma tendencję do identyfikowania się z opresywnymi strukturami władzy, o ile są one antykomunistyczne i pozwalają Kościołowi zachowywać różne przywileje pod warunkiem lojalności politycznej. „Progresizm” w tych samych sytuacjach ma tendencję do identyfikowania się z opozycją komunistyczną. Oba sposoby reagowania są zgubne zarówno dla losów demokracji, jak dla tych wartości chrześcijaństwa, których ocalenie jest dla ludzkości najważniejsze. Integrystyczna identyfikacja musi być podejrzana o to, że w imię przywilejów instytucji zamyka oczy na gwałcenie praw ludzkich, identyfikacja progresistyczna nie może odeprzeć zarzutu, że przyczynia się do tryumfu sił politycznych, które wszędzie i bez wyjątku, jeśli opanują narzędzia przemocy, niszczą zarówno chrześcijaństwo, jak prawa obywatelskie i ludzkie. Powiedzenie, że w niekomunistycznych lub antykomunistycznych tyraniach chrześcijanie powinni „na razie” walczyć o sprawy wspólne, a wszystko, co ich od komunizmu różni odłożyć na „potem”, jest świadectwem zdumiewającego braku pamięci lub zakłamania, wiadomo bowiem, że w warunkach władzy komunistycznej nie istnieje już „potem”. Doświadczenia w tej sprawie są tak nieodparte i tak bezwyjątkowe, że wstyd je powtarzać. Ci chrześcijanie, którzy niedawno zwalczali, jak też powinni byli, skorumpowany reżym południowowietnamski, dziś w znacznej liczbie (choć niedającej się określić) zapelniają obozy koncentracyjne Wietnamu Zjednoczonego, o czym, jak się zdaje, mało słychać w progresistycznych publikacjach katolickich. Policyjne dyktatury komunistyczne ustanawiane były wszędzie pod hasłami demokratycznymi, nie zaś komunistycznymi, i z poparciem różnych sił demokratycznych, które miały być następnie i były wdeptane w ziemię. Gotowość chrześcijan do podejmowania się owej roli nawożu dla tyranii i nazywanie tej gotowości „teologią wyzwolenia” nie jest mniejszą aberracją przez fakt, iż wyrasta z dobrej woli. Tymczasem chrześcijaństwo, które staje po stronie ludzi prześladowanych, uciskanych i biednych przeciwko dyktaturom w krajach niekomunistycznych, nie musi wcale z tej racji zaciemniać zasadniczej swojej opozycji względem totalitaryzmu. Kościół może nawet łatwo uniknąć podejrzeń o złą identyfikację, ponieważ nie jest partią polityczną; jeśli nie występuje w imię „doskonałego ustroju politycznego”, ale w imię uprawnień osoby ludzkiej do wolności duchowej, i jeśli wyzbywa się śladów własnej tradycji teokratycznej, jest w jego mocy zachować wyróżnione miejsce własne w konfliktach społecznych i nie narażać się na zarzut, iż zwalcza tyranie w jednej formie, sprzyjając zarazem ustanowieniu innej formy tyranii (a pod tym względem zarówno „integryści”, jak „progresiści” mają nieco racji we wzajemnych swoich zarzutach).

To, co w języku progresizmu nazywa się „dialogiem” chrześcijańsko-komunistycznym, jest prawie zawsze dziełem oszustwa lub samooszustwa. Najczęściej „dialog” polega na wymianie nieobowiązujących i łatwych do przyjęcia frazesów humanitarnych, których głównym celem jest nie dopuścić do ujawnienia

rzeczywistych przeciwieństw i zablokować słownymi zakłęciami doświadczenie historyczne. Od chrześcijanina w takich wypadkach oczekuje się oznajmienia w rodzaju: „ach, my także jesteśmy za sprawiedliwością społeczną i wyzwoleniem człowieka”, za co komuniści mają odpłacić się zapewnieniem: „ach, my szanujemy waszą dobrą wolę i gotowość do współpracy, chociaż sami kierujemy się światopoglądem naukowym”, rezygnując przy tym kurtuazyjnie z podkreślenia, że partnerzy „dialogu” są ciemnymi ofiarami średniowiecznych zabobonów. W dzisiejszych warunkach „dialog” tak pojęty jest werbalnym parawanem, który ma przysłonić ponure realności życia chrześcijańskiego na obszarach komunistycznego panowania.

Niezależnie od tego, jak się sprawy miały w historii, w dzisiejszym świecie sprawa chrześcijaństwa i sprawa obrony instytucji demokracji przedstawicielskiej są pozytywnie związane, co jest widoczne wszędzie, gdzie instytucji tych nie ma, czyli na znacznej większości naszego globu. Wszędzie tam, choć niejednokrotnie, chrześcijaństwo jest zagrożone; może ono bowiem, stosownie do doświadczeń historycznych, być niszczone na różne sposoby; nie tylko przez prześladowania i przemoc, ale także przez wyjałowienie wewnętrzne, mianowicie przez redukcję bądź do samej struktury instytucjonalnej, bądź do samej moralistyki albo, co gorsza, moralistyki politycznej. Być może nawet przemiany liturgiczne sprzyjają jednemu lub drugiemu niebezpieczeństwu; obstawanie przy niezmienności form liturgicznych może zapewne objawiać brak zaufania do treści chrześcijaństwa, które wszakże przechowują się w różnych i zmiennych środkach ekspresji; ale również w przyspieszonym ruchu likwidacji odziedziczonych narzędzi komunikacji liturgicznej może tać się niebezpieczeństwo podobne: można bowiem zapomnieć treść przez zapomnienie formy. Rozmyśla o tym, jak się zdaje, wielu katolików w przygnębiającym chłódzie zmodernizowanych świątyń.

[12/1978]

O katolicyzmie

Powołanie Polaka na najwyższy urząd w Kościele katolickim jest zdarzeniem w tzw. porządku wiecznym bez znaczenia, ale w porządku ziemskim i zwłaszcza polskim doniosłym. Pomijając oczywiste konsekwencje tego wyboru: wzmocnienie pozycji Kościoła w Polsce, skupienie większej uwagi świata na tej części Europy i – przypuszczalnie – zmianę stylu Watykanu, wynikającą z faktu, że na tronie papieskim zasiadł człowiek obeznany z Drugim (w sensie doczesnym) Światem od podszewki, na uwagę zasługuje mniej widoczne, ale też ważne następstwo: *Polonia fidelior*. Obserwując powszechną radość i wzruszenie Polaków, nietrudno dojść do wniosku, że decyzja konklawe przyczyniła się też do utrwalenia i intensyfikacji postawy, oznaczanej skrótowo jako „Polak-katolik”: na widok kardynała Wojtyły w białej sutannie nawet nie bardzo katolicy Polacy poczuli się lepszymi katolikami. Skrót „Polak-katolik” nie brzmi najlepiej, trąci prowincjonalnym zacieśnieniem i nietolerancją, ale dziś wobec faktu, że Polska praktycznie nie posiada mniejszości wyznaniowych i że Kościół stanął w obronie zagrożonych wartości cywilizacyjnych, określenie to straciło wiele ze swego odium i oznacza raczej to, że w świadomości polskiej katolicyzm jest wielkością realną, ważną i uznaną za dodatnią. „Katolicyzm” jest jednak abstrakcją i refleksją nad tym, co stanowi istotne cechy tego pojęcia w dzisiejszych czasach, i w odczuciu szeregowych katolików wydaje się na miejscu.

Semantycznie biorąc, słowo „katolicyzm” określa pewną pozycję w drzewie klasyfikacyjnym i pozycja ta jest wyznaczona nazwą rodzajową „wyznanie chrześcijańskie” i różnicą gatunkową „odrębne od innych wyznań chrześcijańskich z uwagi na...”; podobnie też pojęcie „chrześcijaństwo” jest nazwą gatunkową, oznaczającą specjalny rodzaj wiary w istnienie sił pozaziemskich, wpływających na ludzkie losy według własnego uznania. Z tego punktu widzenia pojęcie katolicyzmu zawiera w sobie jako postulaty znaczeniowe pojęcia chrześcijaństwa i wiary w ogóle. Zauważmy w tym miejscu, że tylko niewielu katolików-niespecjalistów potrafi wskazać na istotne różnice doktrynalne pomiędzy katolicyzmem a dwoma pozostałymi najważniejszymi odgałęzieniami chrześcijaństwa: prawosławiem (różnicą tą jest tzw. kwestia *filioque*, dotycząca pozycji Ducha Świętego w Trójcy) i protestantyzm (odmienna interpretacja Przejawów

nia). Większość katolików zapytanych o to, co dzieli ich od innych wyznań chrześcijańskich, wskaże raczej na różnice rytualne i stosunek do zagadnienia nadrzędności papieża, a więc na sprawy należące raczej do porządku ziemskiego. Ten brak zainteresowania dla spraw doktrynalnych wydaje się nie tyle skutkiem niedokształcenia i lenistwa umysłowego, ile istotną cechą „wiary” w sensie, jaki nas tu interesuje, to znaczy bardziej pragmatycznym niż semantycznym. W popularnym wyobrażeniu wiara polega na tym, że pewna grupa ludzi akceptuje dany opis rzeczywistości nadmysłowej, mimo że nie ma na to żadnych dowodów ani przesłanek racjonalnych – i wyobrażenie to akcentuje raczej niedowodliwość i nieracjonalność opisu niż motywy skłaniające ludzi do jego akceptacji. Jako wyjaśnienie motywacji przyjmuje się zazwyczaj, że opis ten – „mit”, mówiąc bardziej nowocześnie – uzasadnia i usensownia zjawiska, które bez niego wydają się absurdalne: cierpienie, śmierć, sam fakt istnienia. Sądzę, że ujęcie takie przecenia ludzką nieracjonalność z jednej strony, a wyłącznie intelektualną naturę człowieka z drugiej i że głównym, choć podświadomym motywem akceptacji jakiegoś wierzenia religijnego jest potrzeba obdarzenia kogoś – proroka, przywódcy religijnego lub istniejącego już Kościoła – zaufaniem. Jest to więc raczej deklaracja przyjaźni, gest oznaczający gotowość do wspólnoty, a nie operacja metafizyczna.

Dla uwypuklenia tego ludzkiego, więziotwórczego elementu wiary wydaje się korzystne przyjęcie odrębnego od wiary pojęcia gnozy – bezpośredniego „poznania” świata pozaziemskiego – i przyjrzenie się schematowi powstawania religii: hipotetycznemu i ogólnikowemu, lecz odpowiadającemu z grubsza historii znanych religii. Inicjatorem religii jest zawsze gnostyk, człowiek, który pod wpływem wizji czy intensywnych przemyśleń wchodzi w posiadanie całościowego oglądu świata pozaziemskiego i przekazuje jego opis bliźnim. Przyjęcie lub odrzucenie takiego opisu jest już kwestią wiary i już tu występuje ludzki motyw zaufania, nie tyle w dany opis, co do danego gnostyka. O ile opis zostanie przyjęty przez pewną grupę ludzi, staje się religią, o ile nie – faktem z historii ludzkiej kultury, zdarzeniem z pogranicza religii, filozofii i poezji, takim jak opisane w *Ziemi Ulro* Miłosza systemy, w istocie religie w stanie poronnym. Zaakceptowany opis wymaga interpretacji, i to nie tylko dlatego, że zazwyczaj ma formę poetycką i wieloznaczną, ale dlatego że – jak każdy przekaz wyrażony słowami – opisuje stany rzeczy tylko do pewnej granicy dokładności, tak jak mozaika wyobrażająca krzew różany nie przekazuje całej informacji o nim. Pomiędzy poszczególnymi kamyczkami-pojęciami widnieją przerwy, które wymagają dopełnienia, czyli interpretacji. Przy rozbieżnościach interpretacji w wypadku krzewu różanego decyduje kryterium eksperymentalne, ale w wypadku rozbieżności teologicznych tylko autorytet interpretatora – czyli w istocie ilość, a niekiedy jakość zwolenników gotowych daną interpretację podtrzymać. Ich gotowość wypływa nie z przekonania intelektualnego, gdyż właśnie chodzi o sprawy leżące poza zasięgiem normalnego rozumowania, lecz z zaufania do interpretatora. Przypuszczalnie źródeł tego zaufania jest wiele i rozmaitych, ale w wy-

padku religii odziedziczonej od pokoleń głównym z nich jest chęć kontynuowania wspólnoty utworzonej wokół „zespołu prawd do wierzenia podanych”, nawet jeśli zespół ten jest przestrzenią, w której poruszają się niedoprecyzowane cienie. W zjawisku wiary w tym sensie, w odróżnieniu od gnozy, punkt ciężkości spoczywa na kontakcie z innymi ludźmi, i fakt, że religia dostarcza pociechy w nieszczęściach bez wyjścia, przypisać należy nie tyle wyjaśniająco-kojącej roli mitu, ile poczuciu więzi z innymi ludźmi mit ten akceptującymi.

By lepiej zilustrować ten społeczny motyw wiary, nadrzędność poczucia wspólnoty nad metafizyką – i to nadrzędność dyskretną, odmienną od obrzydliwych, bo obrzydzonych „humanizmów” werbalnych – przytoczę zdarzenie, o którym kiedyś czytałem. W którymś z oflagów w Niemczech w czasie wojny głód i beznadziejność doprowadziły do niezwyklego upadku morale wśród jeńców – rozprężenie dyscypliny, klótnie na każdym kroku – tak, że komendant jednego z baraków zaczął obawiać się, że wobec ogólnej degrengolady Niemcom uda się nawet zwerbować konfidentów. Uciekł się do następującego środka: pewnego rana odgrodził kąt baraku kocem i powiedział: „Panowie, za tą zasłoną mieszka dama i spodziewam się, że będziecie się zachowywali tak, jak obecność prawdziwej damy wśród polskich oficerów tego wymaga”. Po pierwszych śmiechach i wzruszeniach ramionami część oficerów podchwyciła tę mistyfikację, po paru dniach obecność damy była respektowana powszechnie, atmosfera zmieniła się i nowy duch wstąpił we wszystkich. Zmiana była tak widoczna, że Niemcy zaniepokoiли się i po dojściu przyczyny zareagowali: pod grozą ciężkich sankcji kazano „dame” usunąć z baraku w ciągu 24 godzin. Jeńcy opowiedzieli się przeciwko temu, sytuacja stała się poważna – nie pamiętam niestety końca tej historii, ale nie zdziwiłbym się, gdyby damy broniono z narażeniem życia. *Se non e vero e ben trovato* i mimo że analogia z rzeczywistymi wierzeniami religijnymi nie jest pełna, bo nie ma w nich świadomej mistyfikacji, opowiadanie to powinno figurować w podręcznikach na temat socjologii religii. Najważniejszym punktem, który ilustruje, jest związany z przyjęciem wspólnego „mitu” *esprit de corps*, ale uwypukla ono jeszcze jedną cechę społecznej roli wierzeń: że raczej sankcjonują, niż narzucają normy zachowania. Jeńcy wrócili do swych norm, nie przyjęli nowych. Inherentna dowolność interpretacji wyjściowego opisu gnostycznego pozwala na przystosowanie na pozór arbitralnej i oderwanej od świata doktryny, a ściślej jej aktualizacji, do już istniejącego podłoża. Losy chrześcijaństwa wschodniego, bizantyjsko-orientalnego, i chrześcijaństwa zachodniego, rzymsko-europejskiego, ilustrują tę przystosowywalność wyraziście. Nie wierzę w stymulującą rolę chrześcijaństwa jako takiego na rozwój zachodniej cywilizacji, przypuszczam, że było odwrotnie, że zwiększająca się prężność i aktywność Zachodniej Europy przystosowała do swoich celów interpretację chrześcijaństwa odpowiadającą tej aktywności, ryzykując i realizując w momentach przełomowych odłączenie się znacznych partii pierwotnej wspólnoty – najpierw w formie ortodoksji, później katolicyzmu, a jeszcze później przez podział protestantyzmu na podwyznania, w których orientują się jedynie

fachowi teolodzy. Przypuszczalnie istnieje jakaś naturalna, odwrotnie proporcjonalna relacja pomiędzy więzią religijną a niereligijnymi formami wspólnoty ludzkiej, zwiększającymi kontrolowalność świata i że wzrost wiedzy pozytywnej, większe bezpieczeństwo i dobrobyt prowadzą nieuchronnie do rozluźnienia zorganizowanych form wiary. Zachodni protestantyzm i późniejszy, quasi-protestancki a typowo zachodni ruch „odnowy posoborowej” stanowią część ogólnego procesu demokratyzacji instytucji społecznych, dopuszczenia większej liczby ich członków do współudziału w decyzjach, ale w dziedzinie religii oznaczało to jakby demokratyzację gnostycyzmu – podkreśla to w swej świeżo wydanej książce *La confusion des langues. La crise idéologique de l'Eglise* (Calmann-Lévy, 1978) Alain Besançon, od którego zapożyczyłem to uogólnione znaczenie terminu gnoza – czyli oznaczało przesunięcie punktu ciężkości z więziotwórczej na mitotwórczą stronę religii. Z punktu widzenia naszkicowanego tu powyżej schematu rozwoju religii oznacza to kierunek wstecz, a więc paradoksalnie „odnowa” ta ma charakter w pewnym sensie reakcyjny, i istotnie, uczestnicząc niekiedy w nowoczesnych mszach odprawianych nieomal na skrzyni od mydła przy pomocy musztardówki, podczas gdy naokoło stoją puste gotyckie katedry, miałem wrażenie ogólnego zwijania interesu.

Posoborowy kryzys uwypuklił różnice rozwoju krajów katolickich, przede wszystkim nierównomierność rozwoju w nich więzi cywilnych, niereligijnych, szczególnie wyrazistą w przeciwstawieniu Europy Zachodniej i Wschodniej – w tej ostatniej więź religijna jest chyba jedyną nieskorodowaną przez komunizm. Utrzymanie w Polsce bardziej tradycyjnych form katolicyzmu, mądry sabotaż nadmiernej i w polskich warunkach destrukcyjnej „odnowy” można więc uznać za wielką zasługę Episkopatu. Z perspektywy XVI- i XVIII-wiecznej anarchii, XIX-wiecznych zaborów i neozaboru w wieku dwudziestym tradycyjna sylwetka „Polaka-katolika” nie wydaje się tak anachroniczna i bezsensownie konserwatywna jak wygląda na tle abstrakcyjnych i ahistorycznych rozważań zachodnich postępów. Konieczne jest oczywiście małe *granum salis*: można przypuszczać, że dla wielu „Polaków-katolików” przedmiot wiary przypomina nieco ową damę z przytoczonego opowiadania, a sama wiara wyraża się raczej przywiązaniem do tradycji i rytuału oraz czymś w rodzaju globalnego a niezbyt sprecyzowanego zaufania do „tych na górze” w Kościele – i może należałoby sobie życzyć, by stan ten utrzymał się. Rygorystyczne „pogłębianie” wiary, domaganie się na przykład tego samego stosunku intelektualnego wobec dogmatu o Wniebowzięciu NMP co wobec prawa Archimedesusa musi prowadzić do „trudności”, które można przełamać tylko albo odchodząc od katolicyzmu całkowicie, albo rozwijając w sobie *double-think*, czyli hipokryzję intelektualną. Może więc należałoby sobie życzyć czy też spodziewać się utrzymania w tej dziedzinie *status quo*, czyli koncepcji Kościoła jako wspólnoty dżentelmanów, dwornych wobec i z uwagi na Damę, gdyż mniej nęcąca wydaje się druga alternatywa: zbiorowisko zdeorientowanych gnostyków i agnostyków.

[12/1978]

ALAIN BESANÇON

Drugie milczenie Kościoła

Podobnie jak w religii, w polityce trzeba umieć nazwać przeciwnika. Trzeba go nazwać, aby przedmiot sporu był klarowny, a cel walki jasno wytyczony, a także dlatego, że nazwanie go po imieniu będzie pierwszym dowodem odwagi i trzeźwości, które wreszcie umożliwią i spór, i walkę. Można by w tym miejscu zrobić zastrzeżenie, że chrześcijanin, a zwłaszcza mnich chrześcijański ma samych przyjaciół, skoro winien „kochać nieprzyjaciół swoje”. Nic nie wydaje mi się równie zgubne jak takie pomieszanie kategorii. Nakaz kochania nieprzyjaciół zakłada bowiem, że dokonano uprzednio rozróżnienia między przyjaciółmi a nieprzyjaciółmi. Ponadto, jak słusznie pisze św. Tomasz, nic nie jest miłosierdziu równie wstrętne jak kochanie nieprzyjaciół jako nieprzyjaciół. Znaczy to bowiem „miłość do zła bliźniego”, a nawet „miłość do zła w bliźnim”, i oto ześlizgujemy się z zasad Ewangelii w stronę pacyfizmu Tolstoja albo masochizmu Dostojewskiego, z którymi się je niekiedy myli (p. *Summa* IIa, IIae, qu 25, ad 8). Jednak to pomieszanie kategorii nie jest bez udziału w upokarzającym strachu, jaki wpoili nam nasi główni wrogowie, wzbraniający nam nazwać ich pełnym głosem wrogami. Nasz strach idzie w ten sposób na konto miłosierdzia.

W głębi serca każdy wie, kim są główni wrogowie rodzaju ludzkiego w XX wieku: hitlerowski nazizm i leninowski komunizm.

Kościół miał dość czasu, by nie tylko nazwać, ale wręcz wykrzyczeć ich imię w czasach, kiedy ich nacisk nań nie był jeszcze zbyt silny: taki był cel dwu encyklik ogłoszonych w odstępie pięciu dni w 1937 roku, *Divini redemptoris* (o komunizmie) i *Mit brennender Sorge* (o hitleryzmie). Wówczas nie było jeszcze możliwe pełne rozpoznanie tych dwu plag tak trudnych do ogarnięcia umysłem, bo wykraczających w znacznej części poza obręb tego co ludzkie, a także dlatego, że nie rozwinęły jeszcze w pełni swych skrzydeł (przynajmniej jeśli idzie o hitleryzm). Kiedy jednak niebezpieczeństwo wzrosło, Kościół, zamiast kontynuować analizę, by postawić przed całym światem jasną diagnozę, stanął niczym porażony. Zapanowało milczenie, lub raczej dwa następujące po sobie milczenia. Pierwsze jest słynne. Mam na myśli milczenie *pontifexa* rzymskiego, niemal na pewno poinformowanego (podobnie jak równie milczący Roosevelt i Churchill) o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”. Jest jednak i drugie mil-

czenie, to, które Kościół zachowuje od 1964 roku. Gdy papież Pius XII w słowach niepozostawiających wątpliwości potępił komunizm, a 322 biskupów zażądało, by został napiętnowany „jako taki” w dokumencie soborowym, z powodów niewyjaśnionych jeszcze przez historię petycja ich nie została nawet poddana pod dyskusję, zniknęła gdzieś, przepadła, i od tego czasu samo słowo „komunizm” zniknęło z dokumentów kościelnych. Minęło prawie dwadzieścia lat. Przez ten czas komunizm dokonywał na ziemi coraz głośniejszych, powszechnie znanych zbrodni: niekiedy przyznawali się do nich sami ich sprawcy. Ideologia komunizmu pod różnymi formami przenikała do ciała Kościoła, do jego myśli, jego języka, jego kleru. Im obecność komunizmu była agresywniejsza, groźniejsza, straszniejsza, tym rzadziej nazywano go po imieniu. Jan Paweł I odważył się przez okamgnienie wspomnieć po łacinie imię Lenina. Odtąd zapadła jeszcze głębsza cisza.

Kiedy się jednak wzbrania dojrzeć coś równie fundamentalnego w swym polu widzenia, wypacza się cały obraz, zdeformowany nieuchronnym promienianiem punktu ciemności. Stwierdzić to można na wielorakie sposoby.



Milczenie wymaga uzasadnienia. Istniało coś, co przyjęto nazywać „społeczną doktryną” Kościoła, wypracowaną głównie za pontyfikatów Leona XIII i Piusa XI. Zwykła ona przeciwstawiać sobie nawzajem dwa kierunki równie sprzeczne z doktryną Kościoła, liberalizm nowoczesnych systemów politycznych i socjalizm, zrodzony w tych systemach i pragnący je zreformować. Dychotomię tę Kościół utrzymał, deformując ją i amplifikując, aby odpowiedzieć na wyzwanie komunizmu. Kościół milcząco uznał, że należy potępić po równi, symetrycznie, „kapitalizm” i bolszewicki „socjalizm”. Nie zwrócił przy tym uwagi, że wchodzi w ten sposób bezwiednie w świat ideologii. W rzeczywistości dualizm ideologiczny dzieli świat na dwie antagonistyczne rzeczywistości, z których jedna ma skapitulować przed drugą. Te dwie rzeczywistości określa się mianem kapitalizmu i socjalizmu. Naprawdę jednak oba te pojęcia, dalekie od objęcia pełnego obrazu rzeczywistości, gruntownie przeciwdziałają rozpoznaniu jej. Normalne, spontaniczne, nieskończone złożone funkcjonowanie nowoczesnego społeczeństwa nie da się sprowadzić do pojęcia kapitalizmu, które tylko w ideologii marksistowsko-leninowskiej ma precyzyjną konotację. Grzechem pojęcia kapitalizmu jest jego niewystarczalność. Idei socjalizmu zaś absolutnie nie udało się wcielić w życie. Społeczeństwo socjalistyczne nie istnieje, istnieje tylko ideokratyczna dominacja partii nad zrujnowanymi i zatomizowanymi resztkami społeczeństwa. Grzechem pojęcia socjalizmu jest jego ekscesywność. Utopia u władzy pozostaje utopią: ogromny aparat służący materialnemu, inte-

lektualnemu i duchowemu zniewalaniu bezustannie stara się nadać pozory realnego istnienia czemuś, co nie istnieje.

Jest więc bardzo niepokojące, że hierarchia katolicka podejmuje tę dychotomię i przeprowadza swojego rodzaju ontologiczne równanie między naszym światem, zwanym światem kapitalistycznym, a światem zwanym socjalistycznym. Jeśli uznać, że socjalizm istnieje, powołany on jest do tego samego co wszelka rzecz pod słońcem, do poddania się prawu Bożemu: należy go zatem *n a w r ó c i ć*. A skoro przyjmuje się go *à la lettre*, jako częściowo już zrealizowany projekt ustanowienia na ziemi „sprawiedliwości społecznej”, jedyną możliwą krytyką wobec niego jest wskazywanie na jego odstępstwa od pierwotnego zamierzenia. Kościół będzie więc wytaczał wobec niego zarzuty z dziedziny „praw człowieka”, żądał odeń większej wierności własnym zasadom i projektom społecznym i domagał się zgody na „duchowy suplement”, jakim byłoby uznanie religii. Tym sposobem Kościół kompletnie mija się z celem. O komunizmie należy powiedzieć nie że jest niesprawiedliwy, tyrański czy ateistyczny, ale przede wszystkim, że jest fałszywy, że nie istnieje, że jest kłamstwem podniesionym do wyżyn zasady powszechnej. Sam fakt przyjęcia za dobrą monetę, choćby dla celów krytycznych, jego projektu etycznego, jego pretensji filozoficznych czy jego „dokonań” równoznaczny jest z przyznaniem mu konsystencji ontologicznej, której nie posiada, i prowadzi do tego, co Solżenicyn słusznie piętnuje jako *osobiste uczestnictwo w kłamstwie*, nieodwracalne ustępstwo wobec ideologii. Jeśli z drugiej strony sprowadzić nasz świat do pojęcia „kapitalizmu”, niezliczone niesprawiedliwości, które się w nim co dzień zdarzają, nabierają sensu i znajdują przyczynę: kapitalizm. Jeśli zatem uznamy, że kapitalizm (a nie nasz rzeczywisty świat, dla którego nie jest on wystarczającą definicją) istnieje, trzeba go przezwyciężyć. Kościół wysunie więc wobec niego żądania znacznie radykalniejsze niż wobec socjalizmu, jeśli bowiem kapitalizm istnieje, jest z natury swej niesprawiedliwy. Wzywać się zatem będzie do zmiany jego „struktur”, z natury „niesprawiedliwych” i „nie do zaakceptowania”. W ten sposób dokonamy dalszego kroku w stronę ideologii. Socjalizm wymaga poprawek, a kapitalizm zmiany: w gruncie rzeczy socjalizm nie twierdzi niczego innego.

Choć za wcześnie może na wyciąganie takich wniosków, choć spór nie jest jeszcze zamknięty, skutki błędnego punktu wyjścia można dostrzec w finale polskiej rewolucji.

Rzecz nie w tym, by w najczarniejszych latach stalinizmu Kościół polski nie był zdolny do trafnej diagnozy. W swym oświadczeniu na soborze 20 września 1965 roku prymas kardynał Wyszyński dowodził, że nie sposób mówić o jednym świecie nowoczesnym, skoro istnieje i inny: „świat ukształtowany wedle zasad diamentu” (*diaktyczeskij materializm*). Jak widzimy, Wielki Kardynał nie nadaje socjalizmowi żadnej, ale to żadnej konsystencji. Nasz świat nie jest podzielony na dwoje, ale nie stanowi też jedności, ponieważ pewna jego część została odeń oderwana i przekształcona przez ideokratyczną partię „zgodnie z za-

sadami diamatu". Socjalizm nie istnieje, zamiast niego powstało natomiast państwo diamatu. Nie sposób jednak, dorzuca Wyszyński, zawrzeć przymierza czy podpisać jakiegokolwiek umowy z państwem diamatu, ponieważ neguje ono istotę prawa:

Prawa osoby ludzkiej są całkowicie podporządkowane celom rewolucji. Jednak nawet tak ujęte nie są one niczym stałym, przeciwnie, są funkcją „woli klasy panującej z mocą prawa”. Diamat podważa i odrzuca wszelkie stałe normy prawne i wszelkie stałe zasady. W świecie, którym rządzi, nie istnieją ani ład społeczny, ani nietykalne zasady, ani odwieczne idee. [...] Pojęcie prawa ustępuje w nim przed pojęciem celu, który uświęca środki, z przemocą i zniewalaniem włącznie. W chwili gdy diamat osiąga swój cel, porzuca środki, które straciły rację bytu. Dziś służą jako oręż w walce, jutro się je odrzuci. To samo dzieje się z umowami, układami czy konwencjami podpisywanymi ze względów taktycznych, ale bynajmniej nie traktowanymi przez świat diamatu jako wiążące, podczas gdy druga strona uważa się za moralnie zobligowaną. Uгода między Kościołem a państwem diamatu wiąże Kościół, wcale natomiast nie wiąże państwa z chwilą, gdy osiągnie swój cel, którym jest zniewolenie Kościoła. Wszelka zawarta umowa ma dla państwa wartość wyłącznie praktyczną, neutralizuje przeciwnika, wcale natomiast nie ma siły prawa. „Przeciwnik” natomiast, czyli Kościół, ma honorowy obowiązek dotrzymywać obietnice. Tym sposobem żaden układ z państwem diamatu nie zapewnia Kościołowi bezpieczeństwa. Nie istnieje żadna norma prawna, zabezpieczająca człowieka dziś przed złamaniem jej jutro. W tych warunkach liczy się tylko jedno: autorytet moralny Kościoła, wiara i stałość wiernych.

Warto było zacytować dłuższy fragment tego oświadczenia, ogłoszonego pod szacowną kopułą, bo stanowi ono chyba szczyt jasności widzenia, na jaki kiedykolwiek zdobyły się doczesne władze duchowne w obliczu tak śliskiego wroga.

Kiedy się zaczęła polska rewolucja, ta szlachetna walka społeczeństwa cywilnego o wyemancypowanie się od państwa diamatu, przed przywódcami jej zarysowały się dwie drogi. Pierwsza polegała na publicznym oświadczeniu, że socjalizm nie istnieje, jego ideologia jest jałowa, a władza bezprawna. Taka droga wystawiłaby Polaków na duże ryzyko. Istniały jednak pewne szanse, że zadając przeciwnikowi cios w serce, ogłaszając publicznie, że król jest nagi, uda się nim zachwiać. Jeśli nie, uwolniono by przynajmniej zmobilizowane masy od ciężaru kłamstwa, które im się klei do skóry, i przywrócono by im godność i prawdę. Inna droga, ta, którą w zasadzie wybrano, polegała na praktycznym poszerzaniu obszaru wolności społeczeństwa cywilnego. Dokonywano rewolucji nie nazywając jej po imieniu, w nadziei, że poddane zmasowanemu naciskowi państwo diamatu zrezygnuje ze swej monopolistycznej wszechwładzy i zadowolony się ograniczoną sferą administracji. Bezpośrednie ryzyko takiej drogi było niewątpliwie mniejsze. Istniały jednak inne, nie mniej groźne niebezpieczeństwa. Po pierwsze: wyzwolenie spod władzy, której rządy oparte są na dyktacie kłamstwa, martwocie języka i kontroli nad Słowem, dokonuje się poprzez prawdę, powrót do żywego, spontanicznego języka, odzyskanie przyjętego znaczenia

słów. Jeśli tego zabraknie, zmusza się masy do „osobistego uczestnictwa w kłamstwie”, co je osłabia, dezorientuje i atomizuje, nawet jeśli doskonale wiedzą, jaka jest prawda. Po drugie, przyznanie państwu diamatu choćby cienia tytułu do nazywania się „socjalistycznym” wystawia nas na walkę fałszywymi nabojami, które wypaczają świadomość celu batalii. Domagając się uparcie dialogu z władzami, zaczyna się koniec końców żywić nadzieję, że uda się skłonić partię komunistyczną do utożsamienia się z dobrem narodu polskiego i postrzega się walkę między polskim społeczeństwem i międzynarodowym ruchem komunistycznym jako konflikt między polskim narodem i imperium rosyjskim, co nie odpowiada prawdzie. Doszedłszy do punktu, w którym poprzez nieustanny „dialog” nadało się przeciwnikowi znamiona prawomocnego istnienia, pozostaje tylko skapitulować i ratować życie, kiedy przeciwnik okazuje się silniejszy i postanawia skończyć z tą zabawą. Można poświęcić życie dla prawdy (nazywa się to męczeństwem) i dla wolności (wówczas nazywamy to męstwem). Jednak w ustroju tego typu odzyskanie wolności tożsame jest z rewindykacją prawdy. Jeśli rezygnuje się z prawdy, wolność traci smak, a cena jej wydaje się wygórowana.

W dzień po (wojskowym) ataku partii i zdławieniu „Solidarności” abp Glemp, nowy prymas Polski, ostrzegał przed zbyt silnym oporem: „Może to nie przynieść rezultatu, bo władza w stanie wojennym nie jest – jak powiedziałem – władzą dialogu, przynajmniej w zasadniczej części władza uważa, że wyjątkowość stanu wyjątkowego podyktowana jest wyższą koniecznością, jest wyborem mniejszego zła zamiast największego. Przyjmując prawidłowość takiego rozumowania, przeciętny człowiek podporządkuje się nowej sytuacji” (kazanie z 13 grudnia 1981).

Rozumowanie jest proste: państwo diamatu stanowi część wspólnego dobra społeczeństwa. Kardynał twierdził w 1965 roku, że „państwo diamatu w żadnej mierze nie służy wspólnemu dobru. Samo pojęcie wspólnego dobra robi się mętne i bezcielesne i nie może stanowić normy praw człowieka i praw państwa”. Tymczasem Konferencja Episkopatu Polskiego oświadcza natychmiast po wzięciu w obronę „drastycznie ograniczonych praw obywatelskich”, że „broni również państwa jako wspólnego dobra”. Tego samego państwa diamatu, o którym mówił kardynał. Apostołowie modlili się za Nerona (umierając w imię prawdy), bo zapewniał korpusowi politycznemu minimum egzystencji. Prymas zaś podtrzymuje błagalny dialog z państwem komunistycznym, chociaż nie godzi się ono na wspomniane wyżej minimum i pragnie zmiażdżyć społeczeństwo. Jedyne co pozostaje, to życie bez godności, indywidualne biologiczne życie, bez prawdy, która nadaje mu znamiona życia ludzkiego.

Ponieważ taką kapitulację trzeba uzasadnić, prymas musi poczynić dalszy krok i oto oświadcza: „To nic, że ktoś może Kościół oskarżać o tchórzostwo, o kunktatorstwo, o rozładowywanie radykalnych nastrojów. Kościół broni każdego życia ludzkiego, a więc w stanie wojennym będzie wołał, gdzie tylko mo-

że, o spokój, o zaniechanie gwałtów, o zażegnanie bratobójczych walk. Nie ma większej wartości nad życie ludzkie!”.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Ani przez sekundę nie zarzucam prymasowi jego politycznej decyzji niesprzeciwiania się sile. Była to, jak każda decyzja polityczna, decyzja koniunkturalna: historia ją osądzi. Ja sądzić jej nie zamierzam. Powodowany duszpasterską troską, chcąc uniknąć masakry, prymas miał prawo błagać swój naród, by nie stawał do broni. Ale jako biskup nie miał prawa poprzeć tego błagania twierdzeniem, że zgodnie z zasadami chrześcijaństwa życie ludzkie jest najwyższą wartością. Pismo Święte uczy wprowadzić, że życie ludzkie jest wielką wartością, uczy jednak także, że należy umieć je poświęcić w imię wartości odeń wyższych, takich jak zbawienie duszy czy wiara w prawdziwego Boga. Gdyby życie ludzkie i pokój były wartościami najwyższymi, Juda Machabeusz nie byłby wiecznie przywoływany jako wzór. Poza poświęceniem się dla celów wyższych ludzie mogą też narażać życie dla celów ziemskich. Kościół nie tylko nigdy nie potępiał walki *pro aris et focis*, zbrojnej walki na śmierć i życie w obronie honoru, sprawiedliwości i tego minimum wolności, bez którego nie ma godnego życia ludzkiego, ale wręcz przeciwnie, pochwałał ją. Walka przeciw niszczeniu lub wypaczaniu Stworzenia jest słuszna, Stworzenie bowiem jest dobre.

Jak było możliwe przejście od problematycznej decyzji politycznej do kategorycznego stwierdzenia fałszywej zasady?

Sądzę, że przypisać je należy znowu uporczywemu milczeniu na temat komunizmu i usprawiedliwiającej symetrii z kapitalizmem, w jakiej się go plasuje. Obdarzony tym samym stopniem rzeczywistego istnienia co nasz świat, „socjalizm”, jak wszelka rzecz pod słońcem, nie może być absolutnie zły. A skoro samo jego istnienie nie stanowi, jak się zakłada, zagrożenia dla natury i zbawienia człowieka, nie ma powodu zwalczać go z narażeniem życia. W ten sposób życie, którego bydlęcego poniżenia w socjalizmie nie chce się przyznać, staje się najwyższą wartością.

Znamy i inne zastosowanie tej zasady, tym razem na skalę planetarną, w postaci inspirowanego przez Kościół ruchu pacyfistycznego. Spór wokół broni nuklearnej doszedł w tej chwili w Stanach Zjednoczonych do apogeum, sięgając w dziedzinę etyki i teologii. Jeśli dobrze pojmuję, biskupi amerykańscy rozumują jak następuje: wojna obronna jest zasadna, jeśli zastosowane środki są proporcjonalne do celu. Tymczasem broń atomowa wprowadza dysproporcję między środkami a celami. Jest to broń absolutna, której użycie może uzasadnić tylko zło absolutne. „Socjalizm” nie jest złem absolutnym, a „kapitalizm” (czyli nasz normalny, rzeczywisty świat) ze swymi nadużyciami i niesprawiedliwością nie jest absolutnym dobrem: i jeden, i drugi są dobrem i złem względnym. Zatem broń nuklearna nie może być uznana za dopuszczalny oręż w walce między nimi.

Jeśli chodziło o konflikt podobnej natury, jak np. w XIX wieku między Francją a Niemcami, rozumowanie to byłoby poprawne. Pomija ono jednak za-

sadniczą asymetrię, której niewątpliwym dowód wszak istnieje: prawo, a ściślej mówiąc obowiązek zniszczenia „kapitalizmu”, jaki sobie zawsze uzurpował komunizm, czyli prawo do zniszczenia rzeczywistego świata wszystkimi dopuszczalnymi środkami z bronią atomową włącznie, jeśli tylko będzie to militarnie możliwe, a politycznie wskazane. Nie istnieje symetria między tym, co jest – choćby było niedoskonałe – a agresywną nicością. Jeśli Kościół z drugiej strony przyzna rację Celsusowi i Machiavellemu i uchyli się od swego obowiązku bycia *defensore civilitatis, polis* w obronie własnej odwróci się od Kościoła. Uchybianie naturze nie uchodzi bezkarnie.

Powiedziałem wyżej, że utrzymywanie punktu ciemności w środku pola widzenia całe je w końcu wypacza. Milczenie Kościoła draży go i powoli wyprowadza na manowce. Ontologiczne równanie czy też symetryczne przyrównanie kapitalizmu do socjalizmu, będące u zarania niczym innym jak fałszywą interpretacją rzeczywistego faktu, wpływa w końcu na całość systemu teologicznego i godzi nawet w depozyt wiary. Nazwijmy to wypaczenie po imieniu: chodzi o spirytualizm.

Intelektualna i uczuciowa struktura spirytualizmu najlepiej pasuje do odmowy stawiania kwestii komunizmu i do symetrycznego widzenia świata. W wielkim porywie unanmistycznym pozwala ona zaprzeczyć podziałowi świata, z egzaltacją witać jego stopniową unifikację i zrastanie się różnych jego części. Encyklika *Gaudium et spes*, która zawiera skądinąd wiele cennych myśli, oświadcza z ni to saint-simonowskim, ni to teilhardowskim entuzjazmem: „Dzięki mnożącym się środkom wymiany między narodami rodzina ludzka zaczyna stopniowo czuć i kształtować się jako wspólnota w łonie wszechświata” (33, § 1). I dalej: „W ten sposób rodzi się powoli bardziej uniwersalny typ cywilizacji (*universalia*), który sprzyja jedności rodu ludzkiego i odzwierciedla ją przez sam fakt poszanowania dla odrębności każdej kultury” (54). Przeciwno tej właśnie globalizującej filozofii protestował Wielki Prymas, zwracając uwagę uczestników Soboru na nieodwracalne rozdarcie, jakie w ten rzekomo jednoczący się świat wprowadza państwo diamentu. Otwierając czule ramiona na przyjęcie całego świata, spirytualizm pozwala go zarazem krytykować, ale z pozycji jedności i znowu symetrycznie. Zarzuca mu mianowicie, że hołduje materializmowi. Materializm jest jeden, tak jak i świat, choć ma dwa oblicza, teoretyczny materializm świata socjalistycznego i praktyczny materializm świata zachodniego. Ten paralogizm o zadziwiającej naiwności sprowadza więc do wspólnego mianownika materializmu teorię marksizmu-leninizmu i nadmierną pogoń za dobrami materialnymi, powszechną w naszym zachodnim świecie (byłaby ona równie powszechna w świecie sowietyzmu, gdyby istniały tam dobra materialne). Pomieszano w ten sposób dwa różne porządki, z których jeden wymaga krytyki intelektualnej, a drugi krytyki moralnej.

Komunizm na takiej krytyce uciepieć nie może: dokonał on zniszczenia materii na skalę niespotykaną dotychczas w historii. Pochwały tego spirytualizmu

praktycznego słyhać czasami z ust kompetentnych dostojników Kościoła, którzy w obliczu tamtego świata, wypranego nie tylko ze zbytku, ale i z towarów pierwszej potrzeby, pozbawionego bogactw, urody, prawdy i prawa, zapewniają, że łatwiej tam o prawdziwe „chrześcijaństwo” niż w naszym świecie przeładowanym „materią”. Natomiast w nasz świat krytyka ta uderza z całą mocą, atakując jego materialną naturę, jego prawdziwy charakter, jego integralność rzeczy stworzonej. To, co niegdyś kontemplowano z radością jako twór Boga, spirytualista uważa jedynie za haniebny nadmiar materii. Bogactwo, przyjmowane (i rozdawane) niegdyś wśród dziękczynnych modłów, staje się wstydlivym i bezprawnym *impedimentum*; wkrótce i zwykły dostatek spotka ten sam los. Prawo, a w szczególności prawo do własności, staje się przeszkodą na drodze do eterycznych sfer ducha. Spirytualista nie poważa człowieka, który działa we własnym interesie, oblicza zyski i ostrożnie pnie się po hierarchicznej drabinie dóbr. Spirytualista pragnie absolutnej bezinteresowności, rezygnacji ze stanu posiadania, entuzjazmu dla istoty. Spirytualista gardzi krętymi, żmudnymi, niedoskonałymi ścieżkami polityki. Instynktownie szuka magicznego skrótu, kaptuły, która go wyniesie (*Aufhebung*) automatycznie w sferę mistyki, nad którą polityka nie ma władzy. Jak Lamartine, o którym powiadano, że nie siadał w Izbie ani po prawicy, ani po lewicy, tylko na suficie. W ten sposób spirytualista ma nadzieję przezwyciężyć tragiczny rozłam między „kapitalizmem” a „socjalizmem”. Jednak ten ostatni odnosi zwycięstwo za zwycięstwem, bo nasz świat nie może się „uspirytualizować” inaczej, niż przestając istnieć, podczas gdy niewiele trzeba, by praktyczny spirytualizm świata komunistycznego nałożył sobie koronę spirytualizmu teoretycznego: wystarczy, by zrozumiał, że przejście na ten język leży w jego interesie. Są w Kościele ludzie, którzy ze wszech sił starają się go o tym przekonać.

Jest jeszcze inny aspekt spirytualizmu, który nęci trwający w milczeniu i obstający przy duchu symetrii Kościół: jego abstrakcyjny uniwersalizm. Mniej zwracając uwagę na ludzi niż na Człowieka, spirytualizm zaciera granice, zapomina o historii i wszystkiego oczekuje od przyszłości. W dziedzinie religii pierwszeństwo daje uniwersalistycznemu „posłaniu” kosztem konkretnych warunków, w jakich mozolnie stawiał krok za krokiem lud Boży i skromnie rozprzestrzeniało się Objawienie. W kolejnym przypiływie ducha symetrii spirytualiści zechcą postawić na jednym planie Żydów i muzułmanów, złączonych z chrześcijanami wiarą w jedyne Boga. Zapomną przy tym, że wiara Żydów zrodziła chrześcijan, ale nie muzułmanów, i że wiara chrześcijan w Chrystusa prowadzi wstecz do Abrahama i Mojżesza, ale nie do Koranu, choć księga ta poświęca Mu wiele miejsca. Fakt, że „posłanie” takie, nawet jeśli jest ono „monoteistyczne”, z łatwością wszyscy mogą podzielać, pozwala zapomnieć o naturalnej solidarności między poszczególnymi rodzinami ludzkimi, która winna łączyć chrześcijan między sobą i wiązać ich z żydami.

Aktem, z którym spirytualizm natychmiast się utożsamiał, nawet jeśli nie odzwierciedla on wszystkich jego aspektów – za wcześniej na ocenę – było przyję-

cie Jasira Arafata w Rzymie. W jego osobie zatriumfowała antymateria, ten terrorysta nie jest bowiem przyjacielem świata takiego, jakim on jest, a z teoretycznego punktu widzenia reprezentuje Nędzarza przez duże „n”. Triumfował jednak również uniwersalizm, ta wizyta bowiem, tak obiecująca dla człowieczeństwa, napawała rozpaczą zarówno Palestyńczyków, muszących się utożsamiać z Arafatem, jak i chrześcijański naród libański, którego Rzym nie zechciał przyjąć, bo „trzyma broń w ręku”, jak wreszcie Żydów, obrażanych ze wszystkich stron. Dlatego też prezydent Izraela natychmiast przypomniał pierwsze milczenie Kościoła, za Piusa XII. Tymczasem przyjęcie Arafata więcej ma wspólnego z jego drugim milczeniem, choć warto zauważyć, że w tym przypadku drugie milczenie praktycznie tożsame jest z pierwszym.

Ostatnim skutkiem milczenia Kościoła jest bezustanny potok słów, który musi on z siebie wylewać, by zrekompensować swoje milczenie i zapomnieć o zalegającej ciszy. Wokół wiecznie przemilczanego punktu centralnego, wokół nigdy niewypowiedzianego decydującego słowa narasta niebotyczna góra enuncjacji kościelnych, bo trzeba przecież mówić, wciąż mówić i mówić, aby nikt nie spostrzegł, że się mówi o niczym. Jednak milczenie staje się z każdym upływającym rokiem cięższe, a słowa puste, bo nieskończone zastępy ciał i dusz wciąż giną w milczeniu, a ich obrońca nie staje w ich obronie, nie dodaje im otuchy, nie woła o pomstę ani nie wystawia im pomnika chwały.

Z upoważnienia Autora przełożyła z francuskiego Julia Juryś

[3/1983]

O. ALBERT OSTATEK

Dlaczego przestałem prenumerować „Kulturę”?

31 stycznia 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką przykrością rezygnuję z dalszej prenumeraty „Kultury”. Powód: zbyt wiele niechęci, lekceważenia, nawet pogardy i wrogości w stosunku do religii, a szczególnie do Kościoła katolickiego. Czasami odnosi się wrażenie, jakby Kościół był większym złem czy wrogiem dla narodu polskiego niż nawet komunizm. Dlatego musi być zwalczany wszelkimi sposobami: prawdą i nieprawdą. Artykuły pisane przez ludzi o wielkich nazwiskach, katolików, ale zdradzających żenującą nieznajomość własnej religii i własnego Kościoła. Artykuły pisane z wielką napuszością, w rzeczywistości pełne fałszu i zmyśleń. Odnoszę wrażenie, że przez te artykuły „Kultura” staje w jednym szeregu ze wszystkimi postkomunistami w Polsce, a przede wszystkim z Jerzego Urbana „Nie”, chociaż nigdy tamtego pisma nie czytałem, nie chciałem czytać, nawet kiedy byłem w Polsce. Proszę mi wybaczyć tę bolesną uwagę, ale przecież chodzi o obronę najbardziej podstawowych wartości kulturalnych narodu polskiego. A przecież wśród ludzi „Kultury” nie brakuje pisarzy „Kultury” doskonale obeznanych ze sprawami Kościoła i religii, pisanych obiektywnie, czego dowodem jest świetny artykuł Dominika Morawskiego w styczniowym numerze „Kultury” tego roku.

Jeszcze raz proszę o wybaczenie za wszystko, co piszę, ale jest tak bardzo wiele rzeczy w „Kulturze”, które boją, a nawet za które trzeba się wstydzić, bo to przecież piszą katolicy, za takich przynajmniej się podają.

Łączę wyrazy szacunku

o. Albert Ostatek

List

Szanowny Panie Redaktorze,

Przysłał mi Pan kopię listu ks. Ostatka, stwierdzając przy tym, że ten list bardzo Pana zmartwił, gdyż ks. Ostatek był jednym z najstarszych prenumeratorów „Kultury”. Okazuje się jednak, pisze Pan dalej, że to nie wystarczyło do zorientowania się w linii pisma i wskutek tego lata redaktorskiej pracy wydały się Panu przysłowiowym rzucaniem grochu o ścianę. Z faktu, że Pan list przysłał do mnie (między innymi?) wynikałoby, że uważa mnie Pan za współwinnego tego stanu rzeczy. Ma Pan w tym chyba rację. Nie mam większych wątpliwości, że zarzuty autora wobec linii pisma, oskarżenia o niechęć i nawet wrogość do Kościoła katolickiego są w dużej mierze, choć zapewne nie wyłącznie, skierowane do mnie. Mnie zatem z tego powodu jest równie przykro jak Panu. Przykro mi uchodzić za wroga Kościoła, w którym się wychowałem, którego członkiem nadal jestem i któremu w miarę moich sił i zdolności z całego serca pragnę służyć. Przykro mi być stawianym w jednym szeregu z Jerzym Urbanem (ja tego jego „Nie” też nigdy nie miałem w ręku i podobnie jak ks. Ostatek nie zamierzam mieć) i z innymi postkomunistami; nie mówiąc już o posądzeniu mnie o żenującą nieznajomość własnej religii i złośliwe produkowanie fałszów i zmyśleń (zakładając oczywiście, że to wszystko też do mnie się odnosi).

Skąd się to wszystko wzięło? Oczywiście jest w moich artykułach wiele elementów krytycznych, bo widzę wiele rzeczy złych, które pilnie wymagają naprawy. Ale czy ks. Ostatek nigdy nie zauważył w nich elementu wiary i pozytywnego zaangażowania i troski o Kościół? Czy wytknął mi kiedykolwiek rzeczowy błąd (jak przynajmniej jeden inny czytelnik, przyznałem się wówczas do pomyłki) albo istotną czy domniemaną niesprawiedliwość (jak to robią czasem niektórzy czytelnicy)? Czy zechciałby mi udowodnić wrogość wobec Kościoła albo sprzyjanie komunistom czy postkomunistom?

Myślę, że przyczyną nieporozumienia jest to, że nieco inaczej wytyczamy linię przedziału między tym, co w Kościele jest boskie a tym, co ludzkie, między tym, co jest święte i nietykalne a tym, co może podlegać zmianom i adaptacji (*aggiornamento*), zatem może także, i nieraz powinno, podlegać krytyce. Wszyscy uznajemy istnienie takiej linii, ale nie jest ona nigdy jednoznacznie palcem

Bożym wykreślona i o tyle jest kwestią naszej zarówno indywidualnej, jak i wspólnotowej (kościelnej) odpowiedzialności. Ale ta linia, jakkolwiek wytyczona, przebiega zawsze wewnątrz Kościoła i jest całkiem różna od tej (może jeszcze bardziej tajemniczej), która oddziela Kościół od tego, co już Kościołem nie jest, powiedzmy, od tych, co są wobec niego obojętni czy aktywnie wrodozy. Należę do tych, którzy tkwiąc mocno i głęboko wewnątrz Kościoła – uważają, że jest naszym obowiązkiem aktywny współudział w trosce o kształt i misję Kościoła we współczesnym świecie i że jedną z form tej troski (inną jest np. modlitwa) jest otwarta i odpowiedzialna debata na temat problemów, przed jakimi Kościół w tym szybko zmieniającym się świecie stoi. Ta debata, która zawsze w Kościele istniała, ale szczególnie rozkwitła po ostatnim soborze, jest za obecnego pontyfikatu surowo, zdaniem wielu zbyt surowo, kontrolowana i ograniczana w obawie, że przynosi ona więcej szkód niż pożytku. Niemniej trwa ona nadal z niezmiennym bodaj wigorem. W konsekwencji kwestia wolności wewnątrzkościelnej debaty stała się teraz jej centralnym problemem, w otoczeniu wielu konkretnych, szczegółowych problemów.

To, co się obecnie dzieje w Kościele polskim i co stanowi szczególną troskę ks. Ostatka, jest swoistym wycinkiem szerszej ogólnościowej debaty. Do niedawna w warunkach totalitarnej opresji wszelka krytyka wewnątrzkościelna w Polsce była podporządkowana naczelnemu zadaniu walki o ludzką godność i wolność, której Kościół był głównym katalizatorem. Teraz ta sytuacja uległa zmianie. Zdaniem wielu ludzi Kościoła i spoza Kościoła zmianie uległy nie tylko zewnętrzne okoliczności (bo znikł komunizm), ale także priorytety moralne wewnątrz katolickiej hierarchii. Wskutek tego sprawa tych priorytetów w sposób naturalny stała się przedmiotem wewnątrzkościelnej debaty i krytyki. To wcale nie znaczy (w każdym razie nie musi znaczyć), by ludzie walczący pod egidą Kościoła o wolność i godność ludzką nagle przedzierzgnęli się we wrogów Kościoła. Wprost przeciwnie, postępują oni (przynajmniej w wielu wypadkach) w myśl tych samych zasad, które Kościół nauczył ich cenić i które znalazły tak jasny i piękny wyraz w soborowej deklaracji o wolności religijnej. Jeśli choćby tylko część krytyków Kościoła tymi zasadami się kieruje, to warto chyba posłuchać, co mają do powiedzenia i nie odpisywać ich zbyt niecierpliwie na straty do obozu Jerzego Urbana.

Z moich artykułów widać, jakie jest moje stanowisko w obu tych debatach, światowej i polskiej. Stanowisko ks. Ostatka jest ewidentnie odmienne. Czy to znaczy, że nie ma możliwości porozumienia pomiędzy nami? Nic podobnego. Obaj pragniemy służyć sprawie Chrystusowej w świecie, czyli Kościołowi. Ja też, jak o tym usiłowałem ks. Ostatka przekonać. Chciałbym go również przekonać, że jestem gotów każdy mój pogląd poddać rewizji, jeśli mi ktoś wykaże, że ten a ten mój pogląd jest błędny. (Co mi po błędnych poglądach?, jak w podobnej sytuacji powiedział mój przyjaciel). Mam nadzieję, że nie powstrzyma mnie od tego fałszywa duma czy ledwo uświadomione przesady. Ale to znaczy,

że droga do porozumienia (które na tym padole chyba nigdy nie będzie kompletne) prowadzi przez dalszą debatę. Innej drogi nie ma. Nie ma jej w każdym razie w naszych czasach, jeśli kiedykolwiek istniała w przeszłości. Zwłaszcza w Kościele mamy dziś za sobą epokową deklarację soborową o wolności religijnej (*Dignitatis humanae personae*). Na tym zasadza się wolność religijna: że nikogo nie można do wiary zmusić, jak tylko mocą przekonującego argumentu (choć niekoniecznie musi to być argument natury intelektualnej). Na tym *mutatis mutandis* zasadza się też każda inna wolność. I śmiem powiedzieć, że na poszanowaniu wolności i przekonującego argumentu opiera się linia redakcyjna „Kultury”.

[4/1992]

O wizycie papieża w kraju – krytycznie

Zdaję sobie sprawę, że jestem w minimalnej mniejszości, przyznając, że nie dzielam entuzjazmu milionów moich rodaków, które wyległy na powitanie i zbiorowe uwielbianie papieża Jana Pawła II w czasie jego czerwcowej podróży po Polsce. Mało tego. Jestem wprost boleśnie świadom, że krytykując tę postawę tłumów, od najskromniejszego obywatela poprzez przedstawicieli mediów do najwyższych dostojników kościelnych i państwowych, głęboko ranię ich uczucia patriotyczne i religijne. Jest to bolesne, bo wiem również, że zmieszane z tym zbiorowym omamieniem były rzetelne głębokie uczucia osobistej czci i miłości do ich i mojego sławnego rodaka i tego wszystkiego, co on swoim wysokim urzędem reprezentuje. W tej sytuacji nie mam wielkich szans na przekonanie czytelnika, że to dwutygodniowe *jamboree* rozlane na całą Polskę było w sumie zjawiskiem wysoce niepokojącym, zgoła patologicznym, mającym, wbrew pozorom, niewiele wspólnego z prawdziwym chrześcijaństwem. Tylko głębokie przekonanie, że cała ta impreza stała się poważnym zagrożeniem dla zdrowego rozwoju polskiej myśli religijnej i przyszłości polskiego Kościoła, każe mi pisać to zasadniczo negatywne podsumowanie kolejnej wizyty papieża w jego rodzinnym kraju.

Mojej negatywnej oceny nie zmienia fakt, że papież w swych rozlicznych homiliach głosił na ogół autentyczną prawdę. Czegóż innego należało się spodziewać od najwyższego przedstawiciela chrześcijańskiego Kościoła? Głoszenie Ewangelii jest jego podstawowym obowiązkiem, tak samo zresztą jak każdego księdza i wyznającego publicznie swoją wiarę świeckiego chrześcijanina. Przedmiotem negatywnej oceny jest nie treść papieskich wystąpień, lecz okoliczności tych wystąpień i sztuczne ramy, w jakie zostały ujęte. Na długo przed rozpoczęciem papieskiej podróży (wolę to określenie od pretensjonalnej „pielgrzymki”) kazano nam nasłuchiwać jakiegoś specjalnego „nauczania papieskiego”, jak gdyby papież mógł nauczać czegoś innego, niż to, co głosi każdy kapłan, czyli objawioną 2000 lat temu Dobrą Nowiną Chrystusa Pana. Różnica między tym, co głosi papież a tym, co głosi ksiądz w parafialnym kościele miała zatem leżeć nie w treści głoszonego słowa, lecz w tym, kto to słowo głosi, a zatem papież – i to właśnie Jan Paweł II, nasz polski papież, którego dlatego, że jest Polakiem, spe-

cialnie kochamy. Nie ulega wątpliwości, że dla olbrzymich rzesz, które towarzyszyły papieżowi wszędzie od Gdańsk po Kraków oraz Nowy i Stary Sącz, to było bez porównania ważniejsze niż to, co papież głosił. I msza św. na krakowskich Błoniach, odprawiona przez kardynała Sodano w zastępstwie chwilowo chorego Jana Pawła II, nie była dla nich tym samym co msza odprawiona przez uwielbianego gościa. I tu dotykamy jednego z dwóch teologiczno-duszpasterskich problemów, jakie nasuwa zastosowana przez organizatorów reżyseria papieskiej (*sit venia verbo*) pielgrzymki. Oba tym problemom – drugi sprecyzuję za chwilę – należy się bliżej przyjrzeć.

Nastąpiło tu, zamierzone niewątpliwie, ale dlatego szczególnie niewłaściwe, przesunięcie akcentu z ewangelicznego posłania na osobę posłańca. Nie jest to zresztą nowość. Cała zastosowana w ciągu obecnego pontyfikatu strategia podróży papieskich (a także innych osobistych interwencji Jana Pawła II w życiu Kościoła) w większej lub mniejszej mierze zakłada i praktycznie niesie w sobie niebezpieczeństwo takiego przesunięcia akcentu. Karol Wojtyła w swym duchowym wnętrzu jest zapewne nadal tak samo skromny i niepożądający osobistego wyniesienia, jaki był już jako metropolita krakowski i kardynał, świadomie grający drugie skrzypce przy prymasie Polski kardynale Wyszyńskim. Natomiast jest niewątpliwie dumny – i trudno się temu dziwić – ze swego bezprecedensowego wyniesienia na tron papieski, widząc w tym szczególne zrządzenie Opatrzności. Wielokrotnie sam o tym mówił. Jest zatem dumny nie tyle z siebie, ile z wielkiego urzędu, który Bóg kazał mu sprawować. Jest jednak przy tym skłonny do przeceniania nadprzyrodzonego charakteru tego urzędu i związanej z tym szczególnej Bożej opieki – wbrew historycznemu doświadczeniu Kościoła, który znał tyluż papieży prawdziwie świętych, co zgoła zbrodniczych, tyluż głęboko mądrych, co tragicznie omylnych*.

Ta obecna wersja mistyki Stolicy Apostolskiej wychodzi daleko poza praktykę ostatnich papieży, także przedsoborowych, ale nade wszystko stanowi odwrót od zamierzonej przez Vaticanum II, choć tylko częściowo w dokumentach soborowych zrealizowanej, rewaluacji roli biskupów, tak w rządach ich diecezji, jak i w rządach całym Kościołem (tzw. zasada kolegiałności). Papież jest dziś znów absolutnym władcą Kościoła w sensie tradycyjnych świeckich monarchii „z łaski Bożej”, jakkolwiek oczywiście ograniczonym ogólnymi wymaganiami doktryny katolickiej. Jan Paweł II siłą swej osobowości i mistyki swych przekonań zdołał narzucić tę koncepcję papieństwa całemu Kościołowi (choć nie bez znacznych oporów, o których poniżej), w tym zwłaszcza swemu rodzinnemu Kościołowi polskiemu. I tym tłumaczy się owo, pod pewnymi względami aż ab-

* Warto tu zwrócić uwagę na znakomitą historię papieństwa pióra oksfordzkiego uczonego, notabene praktykującego katolika, Eamona Duffy pt. *Saints and Sinners*, Yale University Press 1997. Ostatni rozdział książki daje mądrze zrównoważoną historię pontyfikatu Jana Pawła II aż do tej daty. Książka zasługuje na możliwie rychły przekład na język polski.

surdalne, zachwianie wewnętrznej równowagi i godności polskiego Kościoła, jakiego byliśmy świadkami w ciągu owych dramatycznych dwóch tygodni w czerwcu 1999 roku*.

Drugi problem teologiczno-duszpasterski, który nasuwa czerwcową wizytę papieską, dotyczy recepcji papieskiego nauczania przez wiernych. Nie ulega wątpliwości, że kolejne masowe nabożeństwa i homilie, mimo ich widowiskowego charakteru niesprzyjającego skupieniu, były również okazjami do zupełnie swoistych głębokich przeżyć religijnych i do refleksji. Ja z wdzięcznością czytałem tekst homilii wygłoszonej w Elku, w której papież dopominał się o los tych wszystkich, którzy w imponującym rozwoju gospodarczym kraju nie z własnej winy pozostają w tyle i cierpią rosnącą nędzę. To kwestia elementarnej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Ale nie dostrzegłem w homiliach specjalnej ekspozycji tego ani szczególnego zainteresowania tym, co się powszechnie nazywa „nauczaniem papieskim”. Na przykład jednym z kluczowych elementów nauczania Jana Pawła II jest kategoryczny zakaz stosowania tzw. sztucznych środków antykoncepcyjnych. Zakaz ten, po raz pierwszy wyraźnie sformułowany w roku 1930 w encyklice Piusa XI *Casti connubii* i równie wyraźnie wznowiony w encyklice *Humanae vitae* Pawła VI w 1968 roku, jest jednak w Kościele posoborowym szeroko (choć przeważnie milcząco) kwestionowany, a nade wszystko w praktyce (także sakramentalnej, w spowiedzi) ignorowany. W Polsce, nie mniej niż w innych krajach, środki antykoncepcyjne są praktycznie do nabycia. Gdyby tak nie było, małżeństwa katolickie musiałyby mieć o wiele więcej dzieci niż dwoje czy kilkoro, co dziś jest powszechnie praktykowaną normą. Zakaz ten jest też na pewno ignorowany przez tych, którzy w setkach tysięcy wylegli na powitanie papieża. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ci ludzie i wtedy, i dziś jeszcze nie zdali sobie sprawy, że postępują wbrew nauczaniu uwielbianego przez siebie Ojca Świętego. A nie jest to dla papieża sprawa małej wagi. Jest to jedno z dwóch zagadnień etyki seksualnej (drugim jest prawo do życia każdego zarodka, istoty ludzkiej od chwili poczęcia), w których Jan Paweł II jest skłócony z większością kompetentnych myślicieli chrześcijańskich, w tym także wielu katolickich, i w których zdecydowanie broni swojego stanowiska bez żadnych szans kompromisu, żądając absolutnego posłuszeństwa całej podległej mu hierarchii**.

* Porównania ze świeckimi przykładami personalnego absolutyzmu w minionym stuleciu, w rodzaju np. „kultu jednostki”, byłyby nie na miejscu i mylące ze względu na zupełnie inny kontekst świeckich dyktatur. Porównywalne są jednak pewne absurdy. I tak monotematyczność i ideologiczne zaangażowanie prasy katolickiej owych dni żywo przypominały przebrzmiałe komunistyczne eulogie. Jeden z niesionych w tłumie transparentów głosił: „Tatusiu święty, kochamy Cię” – symptomatyczny dowód rezygnacji z politycznej i religijnej dojrzałości.

** Zdaniem amerykańskiego biografy papieża, kardynał Karol Wojtyła był w dużej mierze współautorem kontrowersyjnej encykliki *Humanae vitae*. W roku 1968, gdy Paweł VI jeszcze

Mimo to, o ile wiem, papież w ciągu całej swej dwutygodniowej tury po Polsce słowem o tej sprawie nie wspomniał. Przyznaję, że nie czytałem wszystkich homilii papieskich, ale znamienne jest, że w homilii wygłoszonej w Łowiczu, której tematem było powołanie rodzicielskie i życie rodzinne, nie ma o tym wzmianki. Miło byłoby pomyśleć, że papież zmodyfikował swój pogląd, ale to jest mało prawdopodobne. Raczej uznał, że poruszenie tej sprawy w euforycznej atmosferze pielgrzymki do Ojczyzny mogłoby tę atmosferę całkowicie zepsuć. O ile mi wiadomo, żaden z kościelnych komentatorów również tej sprawy nie poruszył, licząc zapewne na to, że mało kto wśród tych tysięcznych rzesz zdawał sobie sprawę, że taki kłopotliwy element papieskiego nauczania w ogóle istnieje. I lepiej było nie wywoływać wilka z lasu.

Oczywiście rzuca to pewien cień na całą tę patriotyczno-religijną imprezę. Ale gotów jestem się zgodzić, że jest to szczegół, którego nie należy wyolbrzymiać. Ważniejsze jest, że rzuca on cień na stan całego polskiego chrześcijaństwa, w tym zwłaszcza na ten jego element, w który i ja przez wiele lat jako dziennikarz byłem zaangażowany, mianowicie na chrześcijańską (nie tylko kościelną) służbę informacyjną. Polacy nie tylko nie wiedzą, że papież całkiem inaczej niż oni widzi intymny problem planowania rodziny. Nie wiedzą również wielu innych rzeczy. I zapewne wolą nie wiedzieć, że gdyby ich córka (albo żona, albo kochanka) padła ofiarą gwałtu, to według nauczania papieskiego powinna przezwyciężyć swój wstręt i urodzić, i pokochać dziecko gwałciela; papież ostatnio znowu przypomniał ten obowiązek ofiarom masowych gwałtów w Kosowie. Nie wszyscy się z tym zgadzają. Wiele jest rzeczy w nauczaniu i rządach papieża Jana Pawła II, z którymi wielu ludzi w Kościele się nie zgadza. Także jego bracia w biskupstwie. Wśród nich tacy ludzie jak były arcybiskup Wiednia kardynał Koenig oraz były arcybiskup San Francisco kardynał Quinn od lat wołają o daleko idące reformy w Kościele. Ale to jest osobny, olbrzymi temat. W ramach naszego tematu przebieg pielgrzymki dowodnie wykazał, że Polacy jak jeden mąż zgadzają się z papieżem. Nie dlatego, żeby lepiej wiedzieli, czego dzisiejszemu Kościołowi potrzeba, lecz dlatego, że nic o Kościele Powszechnym nie wiedzą. I nie chcą wiedzieć. Wystarczy, że papież wie. Bliska mi koleżanka po fachu, znakomita felietonistka londyńskiego „Tygodnia Polskiego” napisała dosłownie: „[...] nie widzę w tej orgii uwielbienia zbiorowej hysterii. Nie chcę widzieć. Chcę widzieć potrzebę miłości do człowieka, któremu można ufać”. (Dla równowagi dodam, że Krysia Cywińska w swoim poprzednim felietonie bardzo trafnie skrytykowała budowę monstrualnej bazyliki w Licheniu). Ale

się wahał, czy zignorować opinię większości powołanej przez siebie komisji, która zalecała dopuszczalność umiarkowanej antykoncepcji, opinia wysoce cenionego przez papieża kardynała Wojtyły przeważała szalę na niekorzyść papieskiej komisji (Jonathan Kwitny, *Man of the Century. The Time and Life of Pope John Paul II*, Warner Books, New York 1997, s. 218–220).

może jestem trochę niesprawiedliwy. Nie wszyscy wierni Polacy potracili głowy. Publicysta katolickiego „Tygodnika Powszechnego” Adam Szostkiewicz uciekł na krótko z objęć własnego pisma, by na łamach „Polityki” (z 19.06.) bardzo łagodnie skrytykować papieża i zacytować trzeźwą opinię zagranicznej dziennikarki: „Rozumiem tłumy wiernych na spotkaniach z papieżem, ale czy wasze media też tak muszą? Wszystkie wielkie gazety i telewizje wyglądają tak samo. Ciepłko, emocje, zero refleksji”. Może więc nie jestem w swej krytyce tak osamotniony, jak to mi się zrazu zdawało. Także w mej bardzo konserwatywnej rodzinie w kraju mój uczony brat Karol (imiennik papieża), lat 90, emerytowany profesor uniwersytetu, napisał w liście do mnie:

Gdybym był organizatorem tych uroczystości, to zaleciłbym ludziom, by zamiast „Niech żyje papież” powtarzali równie głośno bez końca „Chcę być dobry! Chcę być dobry!”. A gdybym był papieżem, to zabroniłbym pod groźbą kary stawiania mi pomników i nazwania aż 72 szkół moim imieniem. Zakaz przestałby obowiązywać dopiero po 10 latach od mojej śmierci.

Ja na to mogę tylko odpowiedzieć: Amen.

[9/1999]

Kościół ukraiński widziany z Rzymu

Nowy pontyfikat otworzył nowy rozdział w dziejach katolickiego Kościoła ukraińskiego. Zmienił się przede wszystkim klimat psychologiczny. Sądzę, że ogólna sytuacja tego Kościoła partykularnego byłaby dzisiaj jeszcze lepsza, gdyby nie zahamowanie przemian w Polsce na skutek wprowadzenia stanu wojennego. I to nie tylko z punktu widzenia położenia mniejszości ukraińskiej w PRL, ale i sytuacji kościelnej tego obrządku w ogóle. Jan Paweł II w swych aktach i wystąpieniach uznał prawo katolików ukraińskich obrządku wschodniego do „zachowania własnej tożsamości narodowej i własnego dziedzictwa duchowego”. Wyszedł naprzeciw postulatом biskupów ukraińskich, które w ciągu poprzednich pontyfikatów nie mogły być zrealizowane. Napotykały na przeszkody nie tylko w postaci subiektywnego nastawienia w Kurii Rzymskiej, ale i w samym profilu tych pontyfikatów. Zmiany te dotyczą także płaszczyzny dyplomatycznej. W tzw. watykańskiej *Ostpolitik* skończył się priorytet nadawany układom i stosunkom instytucjonalnym z rządami komunistycznymi. Zaczęła natomiast obowiązywać zasada paralelizmu. Co to znaczy? Postępy w normalizacji stosunków między Stolicą Apostolską a danym rządem muszą być zharmonizowane, zestrojone z postępami w położeniu danego Kościoła lokalnego i jego stosunków z odnośnymi władzami państwowymi. Dialog – w optyce pontyfikatu Jana Pawła II – jest możliwy, jeśli zachodzi spójność hierarchii i jedność działania danego Kościoła. Kiedy w czasie pontyfikatu Pawła VI dialog ograniczał się do kontaktów dyplomatycznych, zwyciężali komuniści i istniała zawsze obawa, że Watykan przejdzie ponad głowami danego Episkopatu w celu osiągnięcia kompromisu z władzą świecką. Jan Paweł II ustalił wytyczne dla dyplomacji watykańskiej uniemożliwiające kontynuowanie tej praktyki, a więc pojawianie się tego niebezpieczeństwa. Nastąpiło dowartościowanie Kościołów lokalnych, a także obrządków wschodnich, znajdujących się w unii ze Stolicą Apostolską. Postulat wolności religijnej stawiany jest obecnie – nie tak jak dawniej – w sposób oderwany i samoistny, ale stanowi integralny składnik praw człowieka i swobód obywatelskich w ogólności.

Jan Paweł II podjął przede wszystkim decyzję mającą na celu wprowadzenie ustroju synodalnego w Kościele ukraińskim po to, by hierarchia i wierni mogli

znaleźć warunki do zjednoczenia. W czasie poprzednich pontyfikatów synody ukraińskie w Rzymie nie miały aprobaty Stolicy Apostolskiej – nie miały ważności kanonicznej. Miały poniekąd charakter konspiracyjnych zebrań, stanowiących rodzaj wyzwania pod adresem Kurii Rzymskiej. Jan Paweł II, zwołując najpierw Synod nadzwyczajny, a potem dając swą aprobatę na zwołanie Synodu zwyczajnego, usankcjonował tym samym autonomię Kościoła ukraińskiego. Po raz pierwszy Synod biskupów ukraińskich zebrał się jako najwyższy organ Kościoła z pełną ważnością kanoniczną. Stanowisko Papieża oznacza faktycznie podwójne uznanie dla tego Kościoła. Po pierwsze: zabezpieczenie prawa do egzystencji z własnym obrządkiem i do jedności własnej hierarchii. Jest to aspekt niesłychanie istotny (a jak mi się wydaje, niedostatecznie doceniany przez świeckich działaczy ukraińskich), choćby z uwagi na to, że władze sowieckie uważają ten Kościół za nieistniejący, a więc nielegalny. Po drugie: potwierdzenia ciągłości hierarchicznej w związku z uprzednim rozwiązaniem sprawy sukcesji kardynała Slipyja jako Arcybiskupa Większego Lwowa. Niemniej ważne są wszystkie inne akty papieża bezpośrednio lub pośrednio zwrócone ku zagwarantowaniu Kościołowi i wspólnocie ukraińskiej w diasporze nie tylko możliwości przetrwania, ale także rozwoju kanonicznie uregulowanego. Papież oświadczył kiedyś, że czuje głęboko „solidarność pomiędzy dwoma narodami słowiańskimi, Polakami i Ukraińcami, które tyle przecierpiały za swą wierność chrześcijaństwu i Stolicy Apostolskiej”. Papież dał wyraz swym uczuciom i trosce o instytucjonalne wzmocnienie autonomii Kościoła ukraińskiego, m.in. w listach do kardynała Slipyja z okazji ostatnich świąt Bożego Narodzenia i w przesłaniu przeczytanym po ukraińsku przez kardynała Rubina 17 lutego w Bazylice św. Sofii z okazji jubileuszu 90-lecia urodzin kardynała Slipyja.

Kilka słów na temat sytuacji Kościoła ukraińskiego w Polsce. Chodzi mi o rozwianie nieporozumień i niecisłości, jakie ta kwestia budzi na emigracji. Od sierpniowych wydarzeń w Gdańsku 1980 roku przez cały okres procesu odnowy aż do puczu wojskowego mieliśmy do czynienia ze znacznym ożywieniem wśród Ukraińców zamieszkałych w Polsce. Rozpoczęli oni również rewindykowanie swych praw: prawa do korzystania z pełnej wolności w dziedzinie religijnej, społecznej i kulturalnej. Październikowy numer paryskiej „Kultury” z ubiegłego roku przynosi wiele dokumentów, wśród nich artykuł, który ukazał się na łamach „Tygodnika Solidarność”. Artykuły solidaryzujące się z postulatami ukraińskimi ukazały się także w „Tygodniku Powszechnym” oraz w piśmie katolickiej młodzieży „Spotkania”, wychodzącym w Lublinie poza zasięg cenzury. Kler i wierni przesiedleni na ziemie zachodnie domagali się uprawnień dla własnego obrządku – nie tylko tolerowania tych uprawnień w praktyce dzięki życzliwej postawie Episkopatu i duchowieństwa polskiego. Episkopat polski poparł przedłożony w sejmie projekt legalizacji obrządku grekokatolickiego i ormiańskiego. Przewidywano, że po tej legalizacji papież mianuje wikariusza generalnego biskupa ukraińskiego jednym z koadiutorów abpa Glempa, prymasa

Polski. Rozpoczęło się zwracanie cerkwi unickich – niektóre z nich były przejęte przez Kościół polski tylko dlatego, by je zabezpieczyć od rabunków i zniszczeń, np. na terenie diecezji przemyskiej i administracji apostolskiej w Lubaczowie. W sierpniu ubiegłego roku odbył się wielki obchód w Wambierzycach na Dolnym Śląsku, w którym uczestniczyło kilka tysięcy katolików ukraińskich. W nabożeństwie koncelebrowanym przez wikariusza generalnego mitrata Dziubinę wzięli udział m.in. kardynał Rubin z Rzymu i abp Gulbinowicz, metropolita wrocławski. Nie zamierzam niczego upiększać, bo nie wszystko szło gładko. Były przypadki – jeśli chodzi o oddawanie cerkwi – gdzie nie wykazano należytej wrażliwości. Dzięki jednak postawie i presji biskupów ograniczano takie wysoki. Były ponadto przypadki, że niektórzy proboszcze we wschodnich rejonach pogranicznych zajęli stanowisko ultranacjonalistyczne. Trzeba jednak brać pod uwagę, że szowinistyczna propaganda antyukraińska, która przez tyle lat zatruchiła polskie umysły, pozostawiła ślady. Znaczna większość studentów i inteligencji oraz działaczy związkowych zajęła jednak stanowisko otwarte i pozytywne wobec tzw. kwestii ukraińskiej.

Każdy postęp – wracam do mego rzymskiego punktu obserwacyjnego – zwłaszcza w naszych burzliwych czasach, napotyka na trudności i przeszkody. Kwestia ukraińska w jej wymiarze katolickim, widziana z Rzymu, jest uwikłana w podwójne uwarunkowanie: dyplomatyczno-polityczne i ekumeniczne. Przywódcy sowieccy są przewrażliwieni i bardzo czujni wobec każdego aktu ze strony Stolicy Apostolskiej, który oznacza potwierdzenie osobowości, tożsamości grup etnicznych lub religijnych w ZSRR innych niż Rosjanie i prawosławni. Dyplomacja watykańska dąży przede wszystkim do poprawy położenia katolików obrządku łacińskiego w ZSRR (temu służy pośrednio dialog ekumeniczny z patriarchatem rosyjskim). Stara się więc o unikanie wszystkiego, co mogłoby nadmiernie prowokować przewrażliwienie i irytację Moskwy, zwłaszcza jeśli chodzi o sytuację ukraińskich katolików obrządku wschodniego. Kiedy Jan Paweł II wezwał wiernych ukraińskich 17 lutego 1980 roku do nietracenia nadziei, podnosząc ich wierność dla własnej tożsamości duchowej i tradycji, powiedział równocześnie, że „ta tożsamość nie powinna stanowić oznaki antagonizmu wobec naszych braci prawosławnych”. Innymi słowy, nie powinna przeszkadzać dialogowi ekumenicznemu. Niestety ten dialog jest pojmowany w sposób odmienny przez Stolicę Apostolską i przez prawosławnych biskupów rosyjskich. Przedstawiciele patriarchatu rosyjskiego są zainteresowani w spotkaniach z delegatami Stolicy Apostolskiej na płaszczyźnie wielostronnej (np. w ramach Komisji Teologicznej Katolicko-Prawosławnej). Kiedy jednak spotykają się na płaszczyźnie jedynie bilateralnej (w Rzymie bądź w Moskwie), reagują z irytacją na każdy przejaw ewolucji w Watykanie na rzecz praw katolików ukraińskich.

Stolica Apostolska, znając słabość i lękliwość rosyjskiej hierarchii prawosławnej, która w znacznej mierze utraciła twarz wobec własnych wiernych na skutek podporządkowania się władzy świeckiej, chciałaby pośrednio – poprzez Sekre-

tariat dla Jedności Chrześcijan – wzmocnić autorytet rosyjskiego prawosławia i pomóc mu w uzyskaniu pewnego choćby marginesu wolności. Uczynić go bardziej wrażliwym na zjawisko rozbudzenia religijnego i na postulaty grup kontestujących postawę hierarchów. Trzeba przyznać, że w komisji mieszanej przedstawiciele watykańskiego sekretariatu natrafiają na duże trudności w doprowadzeniu do konkretnych rezultatów w dialogu ekumenicznym. Wydaje się, że nieraz ludzą się, iż mogą kontynuować wysiłki dla osiągnięcia zbliżenia pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem, utrzymując postawę ustępliwą wobec patriarchatu rosyjskiego i dając się nadmiernie uwarunkowywać przez postępowanie przedstawicieli tego patriarchatu, które faktycznie sprowadza się do ultimatum o charakterze szantażowym: albo usunięcie cierń unicki, albo dialog znajdzie się w impasie. Na tym tle łatwo zrozumieć słynny list Pimena do papieża. Nie było rzeczą przypadkową, że wymiana listów została ujawniona w Moskwie, choć miała charakter poufny. Przyczynili się jednak do tego sami przedstawiciele Kościoła ukraińskiego, którzy ujawnili treść uchwał Synodu biskupów przed aprobatą papieża. Odpowiedź Jana Pawła II na list Pimena była ostrożna i dyplomatyczna, o czym w swoim czasie pisałem na łamach „Kultury”, ale chyba nie pozostawiła wątpliwości co do rzeczywistych intencji i stanowiska papieża. Kardynał Slipij w swej deklaracji z czerwca ubiegłego roku mógł zatem wyrazić zadowolenie, że papież potwierdził zdecydowane stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec praw katolików ukraińskich. Głównym motywem kontestacji Pimena jest uroczysta deklaracja rzymskiego Synodu ukraińskiego na temat nieważności tzw. Lwiwśkocho Sobora w 1946 roku. Ta deklaracja jest prawomocnym dokumentem z punktu widzenia prawa kanonicznego i została uchwalona, wraz z pozostałymi dokumentami, w obecności kardynała Rubina jako osobiste go reprezentanta papieża. Mimo skargi Pimena i dalszych nacisków stanowisko Watykanu w tej sprawie nie uległo zmianie.

Dialog ekumeniczny będzie i powinien być kontynuowany, ale jeśli ma być szczery i rzetelny, nie może być – jak stwierdza słusznie kardynał Slipij – przeprowadzany z uszczerbkiem dla prawdy i ze szkodą dla niezbywalnych praw katolickiej wspólnoty ukraińskiej. Papież uważa jednak, że pełne urzeczywistnienie postulatów katolików ukraińskich wymaga stopniowej realizacji i brania pod uwagę wszystkich okoliczności historycznych, prawnych i politycznych. Rozwiązanie ostateczne, tzn. zatwierdzenie ustroju patriarchalnego istniejącego w innych Kościołach wschodnich pozostających w unii z Rzymem, może nabierać form konkretnych wtedy, kiedy stosunki pomiędzy Stolicą Apostolską i rosyjskim Patriarchatem Prawosławnym z jednej strony a stosunki z Moskwą na płaszczyźnie dyplomatycznej z drugiej strony wykażą wyraźnie odczuwalny postęp. Paweł VI powiedział w roku 1969, że tytuł patriarchy (dla głowy Kościoła ukraińskiego) „nie może być udzielony w obecnej koniunkturze”. Oznacza to, że rozstrzygające są rachuby polityczne, a nie spory o charakterze eklezjologicznym, historycznym i prawnym. Mimo to zajmę się pokrótce tymi ostatnimi

aspektami. Niektóre ukraińskie dokumenty kościelne i działacze ukraińscy na emigracji, wysuwając postulat uznania tytułu patriarchy, wychodzą z założenia, że faktycznie on istnieje, choć ogranicza się do liturgii i pism wewnątrzkościelnych o charakterze nieprawnokanonicznym. Chodzi im o uznanie *de iure* i argumentują to następująco:

1. W razie odzyskania niepodległości przez Ukrainę pomoże to katolikom w utrzymaniu jedności ze Stolicą Apostolską, zanim patriarcha ekumeniczny Konstantynopola obdarzy tytułem patriarchy metropolitę prawosławnego Kijowa.

Otóż z historycznokościelnego punktu widzenia najpierw musiałaby powstać autokefalia prawosławnej metropolii kijowskiej (były dwie próby powołania jej do życia, jedna w roku 1917, druga w latach późniejszych – nie miały jednak podstaw kanonicznych). Patriarchat Moskwy i całej Rosji strzeże dziś zazdrośnie swej hegemonii. Gdyby taka możliwość nastąpiła, to prawo do tytułu patriarchy miałby jednak metropolita Kijowa, a nie Arcybiskup Większy Lwowa. W liście pasterskim kardynała Slipija do biskupów i wiernych na Ukrainie i w diasporze z okazji 90-lecia urodzin mieści się pewna sprzeczność. Z jednej strony kardynał Slipij wyraża zadowolenie z nominacji koadiutora dla Arcybiskupa Większego Lwowa, co zabezpiecza sukcesję i ciągłość hierarchiczną – z drugiej zaś strony wzywa do modlitwy za „patriarchę Kijowa i całej Rusi i w przyszłości, za dotąd anonimowego i nieznanego. Przyjdzie czas, kiedy Bóg go ześle dla naszego Kościoła i ujawni jego nazwisko” (tłum. z angielskiego). Tę sprzeczność być może da się wytłumaczyć tym, że przed aresztowaniem kardynała Slipija jego jurysdykcję Watykan rozciągnął tymczasowo na teren Rusi Kijowskiej. W każdym razie w Watykanie wytknięto tę sprzeczność, wychodząc z założenia, że rozciągnięcie tytułu patriarchy na Kijów i Ruś nie ma podstaw historycznych i prawnych, nie mówiąc już o tym, że nie istniały tam nigdy legalnie uznane struktury Kościoła unickiego (były jedynie na terenie Galicji Wschodniej).

2. Drugi wysuwany argument dotyczy dekretu II Soboru Watykańskiego o Kościołach wschodnich. Stwierdza on, że tytuł patriarchy przysługuje w przypadku jurysdykcji terytorialnej. Równocześnie jednak stwierdza, że Arcybiskup Większy lub patriarcha jest głową terytorium lub obrządku. O tym, że jest też mowa o obrządku, rusofile zapominają. Tak twierdzą rzecznicy tezy ukraińskiej.

Otóż faktycznie atrybuty Arcybiskupa Większego są zrównane z patriarchą. W dotychczasowej praktyce wobec płynności terytorialnej i jurysdykcyjnej istnieją różne interpretacje dekretu soborowego o Kościołach wschodnich. Raz punkt ciężkości jest stawiany na terytorium, drugi raz na obrządek lub też na osobę.

Według interpretacji watykańskich – nazwijmy je „nieżyczliwymi” – dla postulatów katolików ukraińskich, domagających się uznania ustroju patriarchalnego, patriarcha na czele obrządku stanowi deformację prawnokościelną. Biskup musi mieć bowiem jurysdykcję na danym terytorium. Zarzuca się katoli-

kom ukraińskim w diasporze, że zastosowali uniwersalne pojęcie obrządku wbrew eklezjologii wschodniej, która – jeszcze raz podkreślam – unifikuje terytorium i obrządek. Natomiast według innych interpretacji – „życzliwych” dla sprawy unitów ukraińskich – tak duża grupa około 4 milionów wyznawców (nieporównywalnie większa od szczątkowych katolickich wspólnot wschodnich na Bliskim Wschodzie – oprócz maronitów) zasługuje na uznanie ustroju patriarchalnego *de iure*. Droga więc nie jest zamknięta.

Polska szkoła eseju

Wychowanie do nienawiści, wychowanie do godności*

Zaszczytne to wyróżnienie stawia mnie w jednym szeregu z ludźmi, w obliczu których, rzecz jasna, pycha mnie rozpiera, ale także niejake poczucie niewygody. Są w tym szeregu osoby, którym szczególnie powinniśmy być wdzięczni jako przewodnikom duchowym. Kiedy myślimy o ludziach takich, jak Albert Schweitzer, Martin Buber, Karl Jaspers, Sarvepalli Radhakrishnan, Janusz Korczak – by wspomnieć kilku z nieżyjących – wdzięczność nasza z tej racji nade wszystko ku nim się zwraca, że uczyli nas oni, jak, nie unikając walki, można zarazem być wolnym całkiem od nienawiści, języka nienawiści się wyrzec. Otóż sprawie nienawiści właśnie chciałem kilka słów poświęcić.

Chociaż nie jest moim zamiarem wdawać się teraz w kwestie aktualnie polityczne, to jako Polak tak przez niemieckich przyjaciół wyróżniony, nie mogę się powstrzymać od myśli, że każda sposobność jest dobra, aby sprzyjać sprawie niemiecko-polskiego pojednania, a to nie tylko w negatywnym sensie, tj. nie tylko, by masę narosłej historycznie nienawiści między narodami naszymi usuwać; ja uważam pojęcie Europy Środkowej jako kulturalnie związanego obszaru bynajmniej nie za przestarzałe, odważam się też wierzyć, że wznowienie takiej przestrzeni kulturalnej, wolnej od panowania, jest zarówno możliwe, jak też godne starań, a nawet że może się okazać, iż jest to sprawa dla losów Europy rozstrzygająca. Również o tym myślę, kiedy robię tych parę uwag abstrakcyjnych o zjawisku nienawiści.

To, że świat bez nienawiści jest wart pożądania, jest samo w sobie hasłem tak mało pożywnym, że trudno znaleźć kogoś, kto by mu nie przytaknął, co samo już, niestety, świadczy o tym, że hasło to bez bliższych wyjaśnień niewielką ma wartość. Ale że taki świat, jeśli jest w ogóle możliwy – możliwy jest tylko przez taką walkę, która dziś bez nienawiści się toczy, albo, inaczej mówiąc, że jest on tym bardziej prawdopodobny, im mniej nienawiści ukrywa się w obecnych konfliktach – to już bynajmniej za oczywiste nie uchodzi. Wszystkie prawie przeja-

* Przemówienie wygłoszone 17 października 1977 roku we Frankfurcie z okazji przyznania autorowi nagrody pokojowej niemieckiego księgarstwa; przełożył z niemieckiego autor.

wy propagandy nienawiści ukazują się przecież jako sposoby zbudowania braterskiej wspólnoty na świecie, a nienawiść do zła (albo tego, co każdorazowo jako zło bywa określone) czyni automatycznie nienawidzącego świętym, zupełnie jak gdyby chodziło tu o przykład logicznego prawa podwójnej negacji: kto nienawidzi tego, który nienawidzi rzeczy świętych, sam jest święty. Zgoła śmiesznie nawet brzmi powiedzenie, że nienawiść, bez względu na przedmiot, rodzi zło. Kto przypomina proste słowa Spinozy „nienawiść nigdy nie może być dobra”, kto powtarza przykazanie Świętego Pawła z Listu do Rzymian: „złem zwyciężaj” (Rom. XII, 21), ryzykuje wręcz, że się jako naiwny kaznodzieja na pośmiewisko wystawi albo że jako wróg lepszego świata na nienawiść zasłuży.

W związku z tym powtarzam zasady, które wolno nam uważać za ekstrakt tego, co nie tylko najlepsze, ale także najbardziej nieodzowne nam i najbardziej niezmiennie w moralnej nauce wielu wielkich proroków religijnych i wielu wielkich filozofów:

- Że nie istnieje prawo do nienawiści, bez względu na okoliczności;
- Że nonsensem jest powiedzenie, iż ktoś zasługuje na nienawiść;
- Że jest w naszej mocy żyć bez nienawiści;
- Że nienawiści się wyrzec, nie znaczy wcale wyrzec się walki;
- Że każde uprawnienie uprawnieniem być przestaje, skoro się usiłuje przez nienawiść utwierdzić albo też, co na jedno wychodzi, że jest to działanie samoniszczące – nienawiść zaprzęgać do służby sprawiedliwości.

Są to myśli z tradycji dawnej wzięte; niektóre z nich są najoczywistej sądami wartościującymi, inne zaś opierają się na doświadczeniu. Można wszelako przeciw nim wysuwać zarówno moralne, jak rzeczowe argumenty. Argumenty te dają się sprowadzić do trzech: po pierwsze, nienawiść jest zjawiskiem naturalnym, przeto nieuchronnym; po wtóre, nienawiść jest skuteczna w każdej walce, a więc również w walce o sprawiedliwość; po trzecie, nienawiść bywa moralnie usprawiedliwiona, istnieją ludzie i rzeczy godne nienawiści.

Argumenty te wymagają odpowiedzi.

Co do pierwszego. Możliwe jest wprowadzić, że nienawiść jest zjawiskiem naturalnym w tym samym znaczeniu, co wszystkie pasje żywiołowe. Jeśli by jednak miało to znaczyć, że nikt nie jest zdolny żyć bez nienawiści, to taki sąd byłby z pewnością na mocy doświadczenia fałszywy; jakkolwiek nieliczni byliby ci, którzy nienawiścią nigdy się nie powodują, istnieli przecież i istnieją tacy ludzie. Jeśli natomiast znaczy ten sąd, że większość albo i przytłaczająca większość nas jest zbyt słaba, by się od nienawiści uwolnić, to może to być prawdą, ale ta prawda nie ma znaczenia dla moralnej oceny nienawiści i nie pomniejsza w niczym prawomocności nakazu, który żąda, byśmy bez nienawiści żyli. Wszystkie nakazy moralne są do pewnego stopnia przeciwne naturze, byłyby wszakże zbyt słabe, gdyby ich zadania tak czy owak spełnione były mocą instynktu. Nikt z nas nie staje się mniej złym przez to, iż tak wielu z nas w złem żyje, skoro skądinąd wiadomo na pewno, że jest w naszej mocy powściągać pasje przyrodzone.

Bylibyśmy niechybnie w gorszym położeniu, gdybyśmy się zgodzili z mniemaniem Lutra, wedle którego Bóg daje nam przykazania, którym w ogóle niepodobna nam sprostać, wedle którego zatem Bóg domaga się od nas wyczynów najzwyczajniej niewykonalnych. Jeśli założymy, że prawo moralne zasadniczo przekracza nasze uzdolnienia, wtedy różnice moralne między ludźmi muszą niemal całkiem zniknąć, bez względu na to, jakbyśmy zdawali się na boskie miłosierdzie. Jakoż chciałbym Lutrowskiemu zwątpieniu przeciwstawić zasadę Kantowską: skoro wiemy, że wedle prawa moralnego powinniśmy coś uczynić, to wiemy zarazem, że to uczynić możemy, a nawet tylko stąd, iż powinniśmy, dowiadujemy się, że mamy moc to zrobić, choć niekoniecznie wiemy, czy w chwili próby faktycznie naszym obowiązkom sprostamy. Nie mamy żadnej niezawodnej wiedzy co do tego, czy świat bez nienawiści jest w ogóle możliwy, czy też są przyczyny naturalne, które go wykluczają. Jeśli jednak nie antycypujemy takiego świata na serio, jeśli jesteśmy przeświadczeni, że nienawiści na ziemi nigdy się wykorzenić nie da, to przez to nasza własna nienawiść, to znaczy ta, co w każdym z nas się tli, nie doznaje wcale usprawiedliwienia. Zło na świecie być musi, ale biada temu, przez którego przychodzi – również to ostrzeżenie należy do najtwardszych cegieł w budowlu cywilizacji chrześcijańskiej. Bez niego, to znaczy bez przekonania, że żadna statystyka zła nie uniewinnia zła we mnie, pojęcie odpowiedzialności byłoby próżne i zbędne.

Jeśli przeto bezsporną jest rzeczą, że nienawiść rodzi nienawiść, to jest to fakt naturalny, nie zaś bezwarunkowa konieczność, której tak samo nie moglibyśmy przeciwdziałać, jak faktowi, że swobodnie puszczone ciała spadają, miast się wznosić do góry. Jeśli więc pyta kto: „Czyż mamy oczekiwać, że ofiary Himmlera lub Berii nie będą nienawidziły swoich oprawców, że ludzie torturowani, poniżani, pozbawieni godności, wolności i praw elementarnych, będą wolni od nienawiści do swoich ciemieżców i katów, że wszyscy będą naśladować Chrystusa?”, odpowiedziałbym: Nie, czegoś takiego oczekiwać nie możemy. A jednak nadal pytanie pozostaje otwarte, czy nawet w tych warunkach, nieludzkich i okrutnych, mamy uprawnienie do nienawiści, czy nienawiść nasza, jakkolwiek byłaby naturalna i oczekiwana, jest także moralnie prawomocna, to znaczy, czy są ludzie, którzy na nienawiść zasługują.

Otóż wydaje się, że, ściśle biorąc, na nienawiść niepodobna zasłużyć tak samo jak na miłość. Ani jedna, ani druga nie dają się wyprowadzić z reguł sprawiedliwości. Zasłużyć na cokolwiek można tylko mocą prawa, ale żadne prawo nie może żądać, narzucać albo wymuszać miłości: a więc nienawiści również nie. Jedna i druga dawane są darmo, bez podstaw prawnych.

Ale można zapytać: czy nie ma ludzi, spraw, ruchów, systemów, które na mocy sprawiedliwości zasługują na całkowite zniszczenie, i czy nienawiść nie jest tym właśnie, co dążenie do zupełnego unicestwienia? Na to odpowiedziałbym tak: Są z pewnością ludzkie urządzenia, instytucje, ruchy, systemy polityczne, opinie, może i ludzie zasługujący na zniszczenie. Nienawiść jednak nie jest

tożsama z pragnieniem zniszczenia, a tym mniej – z przekonaniem, że coś na zniszczenie zasługuje. Nienawiść nasza zwraca się przeciw ludziom i grupom ludzkim, przeciw narodom, rasom, klasom, partiom, przeciw bogatym albo biednym, przeciw czarnym albo białym – nie przeciwko abstraktom, jak systemy polityczne i opinie. *Odium peccati*, nienawiść do grzechu, to metafora: możemy nienawidzić tylko grzeszników, w tym, być może, nas samych. Nienawiść to więcej niż dążenie do zniszczenia. Podobnie jak miłość zawiera ona pewien rodzaj nieskończoności, nienasyceń. Nie dąży po prostu do zniszczenia, ale do nieustającego cierpienia, równa się przeto pragnieniu zostania diabłem, a natura diabła na tym właśnie polega, iż nie może zaznać nasycenia w dziele niszczenia.

Tym samym jednak odpowiedzieliśmy w części na drugie pytanie: czy nienawiść może być kiedykolwiek skuteczna w służbie dobrej sprawy i w tym znaczeniu święta? Że w odpowiedzi narzuca nam się jednoznaczne „nie”, widzimy, kiedy stawiamy sobie pytanie dodatkowe: dlaczego wszystkie systemy totalitarne potrzebują nienawiści jako nieodzownego środka? Potrzebują jej nie tylko, by zapewnić sobie pożądaną gotowość do mobilizacji i nie tylko, a nawet nie głównie po to, by skanalizować, przeciwko innym obrócić, i tak we własną broń przekuć ludzkie zrozpaczenie, beznadziejność i nagromadzone masy agresywności. Nie, zapotrzebowanie na nienawiść wyjaśnia się tym, że niszczy ona wewnętrznie tych, co nienawidzą, że czyni ich bezbronnymi wobec państwa, że równa się duchowemu samobójstwu, samozniszczeniu, a przez to wydziera korzenie solidarności również między tymi, co nienawidzą. Wyrażenie „ślepa nienawiść” jest pleonastyczne – nie ma innej. Ponieważ – przynajmniej w postaci doskonałej – wypełnia ona całą przestrzeń duchową człowieka, w czym jest także do miłości podobna, mogłaby nienawiść uchodzić na pozór za środek osobowej integracji. Że rzecz się ma przeciwnie, ukazuje to z jednej strony asymetrię nienawiści i miłości, z drugiej strony ujawnia racje, dla których żaden totalitaryzm nie może z nienawiści zrezygnować. Ponieważ czysta negatywność nienawiści unieruchamia wszelkie porozumienie ludzkie, rozkłada ona wewnętrzną spójność osobową i jest dlatego niezastąpiona jako sposób duchowego rozbijania ludzi. Nasza integracja wewnętrzna dochodzi do skutku w porozumieniu z innymi, w zaufaniu i przyjaźni, nigdy w skierowanej ku sobie, w sobie monadycznie zamkniętej próżni „Ja”. Wszystko przeżerająca energia nienawiści udamremnia wszelkie porozumienie i przez to rozkłada mnie duchowo wcześniej, nim jestem zdolny rozbić „mojego” wroga. W tym znaczeniu wolno powiedzieć, że żyć w nienawiści to żyć w śmierci i że nienawiść, która w sposób trwały owłada duszą, przemienia się w coś takiego jak podwójnie wynaturzona namiętność samonekrofiliczna. Ruchy i systemy totalitarne wszelkich odcieni potrzebują nienawiści nie tyle przeciw zewnętrznym wrogom i zagrożeniom, ile przeciwko własnemu społeczeństwu; nie tyle by utrzymać gotowość do walki, ile by tych, których wychowują, i wzywając do nienawiści, wewnętrznie spustoszyć, obezwładnić duchowo, a tym samym uniezdolnić do oporu. Nieustające,

bezgłośnie, lecz całkiem jasne orędzie totalitaryzmu powiada: „Wy jesteście doskonali, tamci są zgnili ze szczętem. Już dawno żylibyście w raju, gdyby złość waszych wrogów nie stała na przeszkodzie”. Zadaniem tego wychowania jest nie tyle zbudować solidarność w nienawiści, ile wytworzyć w wychowankach poczucie samozadowolenia i przez to uczynić ich moralnie i intelektualnie bezsilnymi. Samozadowolenie w nienawiści ma mi dać uczucie, że jestem szczęśliwym posiadaczem wartości absolutnych. Tak to nienawiść kulminuje w końcu w groteskowym samoubóstwieniu, które, podobnie jak u upadłych aniołów, jest tylko odwrotną stroną rozpacz.

Kiedy kochamy prawdziwie, jesteśmy bezkrytyczni wobec przedmiotu naszej miłości. Kiedy nienawidzimy prawdziwie, jesteśmy bezkrytyczni zarówno względem nas samych, jak względem tego, czego nienawidzimy, albowiem być krytycznym to umieć różnicować, a nienawiść odbiera nam wszelką zdolność do różnicowania. Przecistawia naszą totalną i bezwarunkową słuszność równie totalnej, bezwarunkowej i nieuleczalnej nikczemności innych.

Oto jest tajna broń totalitaryzmu: zatruć nienawiścią całą tkankę duchową człowieka i przez to pozbawić go godności. W moim szale niszczenia sam zniszczeniu ulegam, w moim samozadowoleniu, w mojej niewinności godność moja nie może ocaleć; ginie zarówno spójność moja własna, jak porozumienie i solidarność z innymi. Nie ma prawie czegoś takiego, jak solidarność w nienawiści, nienawidzący nie stają się przyjaciółmi przez to, że mają wspólnego wroga do nienawiści. Poza chwilami bezpośredniej walki są również sobie obcy albo wrorzy. Nie ma też bodaj społeczeństw, w których wrzałoby tyle podziemnej, ale i ujawnionej nienawiści, jak te, które jedność swoją budują na nienawiści i obiecują nam zinstytucjonalizować braterstwo. Powiedzieć zaś, iż należy nienawiść odpłacać nienawiścią, to powiedzieć, że po to, by w sprawiedliwej walce zwyciężyć, trzeba najpierw utracić racje sprawiedliwości własnej walki. Bynajmniej tak być nie musi, że bez nienawiści jesteśmy w walce bezsilni; siła w walce mniej z własnej nienawiści pochodzi, a bardziej z tchórzostwa przeciwnika. Nasze tchórzostwo jest też naszym wrogiem głównym, a wyrzec się nienawiści i fanatyzmu nie znaczy wcale wycofać się z placu boju. Możliwe, że wielu z nas nie potrafi inaczej własnego tchórzostwa pokonać, jak przez fanatyzm i zaślepienie. Jeśli jednak wyciągamy stąd wniosek, że trzeba mobilizować nienawiść do skutecznej walki, natychmiast prawomocność tej walki stawiamy pod znakiem zapytania.

Wychowanie do demokracji to wychowanie do godności, to zaś zakłada nieoddzielnie jedno i drugie: gotowość do walki i wolność od nienawiści. Swoboda od nienawiści, osiągnąta przez ucieczkę od konfliktów, to cnota pozorna, niczym czystość kastrata. Wszystkim konfliktom ludzkim właściwy jest wszelako mechanizm samonapędowy i samowzmacniający: nic zwyczajniejszego i trywialniejszego, aniżeli nieznaczący w sobie konflikt, który przeradza się we wrogość śmiertelną, ponieważ sposób jego rozwiązywania stwarza nowe i coraz ostrzej-

sze konflikty. Duch koncyliatorski i gotowość do kompromisu bez tchórzostwa i bez konformizmu, zdolność do usuwania nadmiaru wrogości bez czynienia ustępstw w tym, co się uważa za jądro sprawy, jest to sztuka, która z pewnością nikomu bez trudu nie przychodzi jako dar naturalny. Od naszej umiejętności przyswajania sobie tej sztuki zależy wszelako los demokratycznego ładu na świecie.

Przeciwstawiają się sobie dwie formy główne wychowania: można je schematycznie określić jako metodę edukacji kalwińskiej i jezuicką. Na historyczną dokładność tych nazw, które dziś brzmią anachronicznie, nie będę kładł nacisku. Chodzi raczej o ukazanie dwóch przeciwstawnych teorii natury ludzkiej, z których każda podsuwa własne prawidła wychowawcze. Doktryna kalwińska wychodzi z założenia, że ludzka natura jest beznadziejnie zepsuta, że zbawienie zależy bez reszty od darmo dawanej, niezasłużonej i dla oczu ludzkich irracjonalnie rozdzielanej łaski; wychowanie tak samo nie może wydobyć potępionych z otchłani zraty, jak nie może tam strącić powołanych do chwały. Stąd też zadania wychowania nie na tym polegają, by ludziom na drodze zbawienia pomóc, ale na tym raczej, by przymusem pomniejszyć masę czynów obrażających Boga: ale tylko dla Boga, nie dla ludzi. Sztywność nieodwołalnej podwójnej predestynacji czyni wysiłek wychowawczy sprawą beznadziejną lub zbyteczną. Doszczętne zepsucie natury ludzkiej czyni ją diabelską i godną nienawiści, a potrzeba trzymania w ryzach zewnętrznej grzeszności dopuszcza wszystkie środki. Jezuicka filozofia zakłada, przeciwnie, że nikt na ziemi nie jest znieprawiony w sposób beznadziejny i absolutny, a także że wszystkie naturalne popędy i energie zawierają w sobie coś dobrego i mogą być skierowane ku dobru, tak że pomoc nadprzyrodzona znajduje zawsze coś, o co się może zaczepić. Bez względu na to, jak ta zasada – nie inaczej zresztą niż wszystkie zasady, które życiu sprzyjają – mogła być i była faktycznie nadużywana, zawiera ona przecież, jak myślę, postawę zasadniczo życzliwą względem ludzi. Zachęca nas, byśmy jak długo tylko można nie wyrzekali się nadziei na porozumienie z innymi; nie pozwala nam przekonaniom być bez wątpliwości, że ktokolwiek wciela zło czyste, osłabia przeto gotowość do nienawiści.

Zjawisko nienawiści ma trzy wymiary: moralny, polityczny, religijny. Chciałem tylko wyrazić przeświadczenie, że moralna i polityczna strona nienawiści nie przeczą sobie wzajem, to znaczy że nie ma wypadków, kiedy nienawiść mogłaby być moralnie potępiona i zalecona zarazem jako przydatny środek polityczny, by otworzyć drogę światu wolnemu od nienawiści: środek uświęca cel. Jednakowoż tradycja religijna, przynajmniej w kręgu naszej kultury, domaga się czegoś więcej niż rezygnacji z nienawiści: mamy ponadto dobro świadczyć naszym prześladowcom, modlić się za wrogów naszych. Czy i to żądanie, gwałt naturze czyniące, może uchodzić za powszechną powinność? Na to tylko najbanalniejsza odpowiedź się nasuwa: można być pewnym, że jest i zawsze będzie bardzo niewiele takich, którzy prawdziwie do tego wymagania dorośli; ale na

barkach tych nielicznych wspiera się gmach naszej cywilizacji i to niewiele, do czego my jesteśmy zdolni, im zawdzięczamy.

Na wszystkich obszarach świata ludzkiego, zarówno tych, które przywodzą na pamięć *hortus deliciarum*, jak i tych, co przypominają raczej kolonię karną, zderzające się ze sobą, wzajem się podniecające, naładowane nienawiścią pretensje i resentymenty zdają się w każdej chwili grozić nam wszechniszczącą eksplozją; z drugiej strony nasze zobojętnienie albo ucieczka od napięć obiecują nam łagodną, stopniową, ledwo zauważalną apokalipsę; poszukujemy tajemnej formuły alchemicznej na ogień czyścowy, ogień, który oczyszcza i który przynosi ból tylko razem z nadzieją. Nikt nie może się chęłpić, że odkrył taką formułę, domyślamy się wszelako niejasno, że nie całkiem na próżno się trudzimy, usiłując ją odnaleźć w naszej tradycji filozoficznej i religijnej. Stąpając po gruncie bagnistym i niepewnym, błędząc, zawracając, krążąc tu i ówdzie, mamy tylko, by przetrwać duchowo, nieliczne niezawodne znaki orientacyjne, które można w całości sprowadzić do prostych, od niepamiętnych czasów znanych nakazów i zakazów, a wśród nich i ten jest: gotowość do walki bez nienawiści, duch pojednawczy bez ustępstw co do istoty sprawy.

W świecie wyładowanym nienawiścią, zawiścią i żądzą zemsty, w świecie, który – nie tyle wskutek ubóstwa natury, ile przez gargantuiczną naszą żarłoczność – zdaje się nam coraz ciaśniejszy, nienawiść należy do tych zeł, o których wolno powiedzieć, że nie usuną ich żadne zabiegi instytucjonalne. W tym wypadku wolno nam, bez narażania się na śmieszność, przypuścić, że każdy z nas, gdy w sobie to zło poskramia, przyczynia się do tego, by je poskramiać w świecie i tak niesie w sobie niepewną i kruchą antycypację znośniejszego życia na naszym statku szaleńców.

[12/1977]

Dostojewski i Sartre

Prawdopodobnie nie napiszę książki o Dostojewskim, nic jednak nie stoi na przeszkodzie, żeby opowiedzieć, jaka byłaby to książka. Nie rywalizowałbym w niej z mnóstwem gruntownych monografii i bystrych analiz poszczególnych dzieł, natomiast zakładałbym pewną wiedzę o Dostojewskim u czytelnika, oświecając tę postać i jej miejsce w literaturze światowej nieco inaczej, niż jest to przyjęte. Być może właśnie ta inna interpretacja jest przyczyną, dla której pisanie o nim książki wydaje mi się zadaniem niebezpiecznym i niewdzięcznym.

Studiując Dostojewskiego i wykładając go amerykańskim studentom, nie mogłem nie zauważyć, że pisarz ten zmienia się zależnie od tego, kto o nim mówi. Nie jest to chyba uznawane przez dostojewskologów różnych narodowości, jako że pretendują oni do naukowego obiektywizmu, mimo że ich sympatie i antypatie nie są bez wpływu na metodę ich badań i ich wywody. Dzieje recepcji Dostojewskiego w ciągu stu lat, jakie upłynęły od jego śmierci, mogłyby posłużyć za przykład następujących po sobie mód intelektualnych i wpływu różnych filozofii na umysły badaczy. Zostawiając tymczasem na boku autorów rosyjskich, można z grubsza rozróżnić kilka faz w recepcji Dostojewskiego na Zachodzie, poczynawszy od *Zbrodni i kary* czytanej w przekładach już w końcu XIX wieku i wysoko ocenionej przez Nietzschego. Na ogół jednak tak zwana *âme slave*, której Dostojewski miał być wyrazicielem, była traktowana z lekką ironią, a krytyka francuska podżartowywała sobie z Soni Marmieladow, świętej prostytutki, jakby żywcem wziętej z sentymentalnej powieści.

Zwycięski pochod powieści Dostojewskiego przez kraje zachodnie w pierwszych dekadach dwudziestego wieku ma bezpośredni związek z odkryciem nowego wymiaru w ludziach: podświadomości, i kultu sił dionizyjskich, w których jednoczy się Eros i Tanatos. Niemniej opór stawiany wtedy rosnącym wpływom rosyjskiego pisarza przez takich pisarzy jak Middleton Murry czy D. H. Lawrence jest zastanawiający. D. H. Lawrence powiadał o nim, że „zdumiewająca przenikliwość miesza się u niego z ohydłą perwersją. Nic nie jest czyste. Jego dzika miłość do Jezusa miesza się z przewrotną i jadowitą nienawiścią do Jezusa. Jego moralna odraza do diabła miesza się z utajonym uwielbieniem diabła”.

Te głosy sprzeciwu ustąpiły wkrótce miejsca powszechnemu podziwowi i sława Dostojewskiego rośnie równolegle do sławy Zygmunta Freuda. Co prawda Freud, który z powodów oczywistych uważał powieść o ojcostwie, *Braci Karamazow*, za największą powieść kiedykolwiek napisaną, pomylił się w swojej rozprawie o epilepsji Dostojewskiego, opierając się na błędnych szczegółach biografii pisarza, jak udowodnił Joseph Frank. Freudyzm silnie, w ciągu dekad, działał na prace o Dostojewskim, w okresie recepcji jego dzieła, który można nazwać psychologicznym. Względnie krótkotrwała i trudna do wydzielenia była faza, kiedy badacze wprowadzali do swoich analiz filozofię egzystencji, żeby następnie zarzucić śledzenie myśli autora wypowiadającego się przez usta swoich postaci i skierować całą uwagę na artystyczną budowę niezwykle powieści Dostojewskiego, tak niezwykle, że pytanie, czy nie oznaczały one końca powieści w ogóle, nie wydaje się bezpodstawne.

Moi studenci okazali się bardzo pojętni, kiedy zajmowałem się psychologią postaci albo kiedy starałem się im pokazać, jak wiele z intencji autora odkryła metoda badań strukturalnych. Dość łatwo też, a nawet, jak to zwykle ludzie młodzi, z uciechą, przyswajali sobie rozbieżności pomiędzy dziełem i niezbyt ponętną kuchnią, jaką jest osobowość geniusza. Natrafiali jednak na kłopoty, kiedy przychodziło do pewnych faktów. Na przykład trudno im było zrozumieć, dlaczego Dostojewski kochał władzę autokratyczną, i to nie tylko wtedy, kiedy po powrocie z Syberii zmienił się z rewolucjonisty w konserwatystę. Skazany na śmierć z grupą 21 swoich kolegów, postawiony przed plutonem egzekucyjnym i w ostatniej chwili ułaskawiony, co było komedią z woli cara, na syberyjskim zesłaniu pisze trzy ody, jedną o wojnie krymskiej, z pogrozkami pod adresem Francji i Anglii, drugą z okazji śmierci Mikołaja I, w której porównuje cara-żandarma do słońca i mówi, że nie jest godzien wymówić jego imienia (*ustami griesznymi, jęwo nazwat' nie smieję*), trzecią na koronację Aleksandra II. Wiersze są bardzo złe i nie należy całkowicie wykluczać ubocznego motywu, tj. chęci polepszenia swego losu, ale zgadzają się z tym, co wiemy skądinąd o poglądach ich autora.

Ten szczegół biograficzny, jak i inne podobne, należy do strefy, gdzie drogi większości dostojewskologów przestają być moimi drogami, tj. ku czemu innemu kieruje się nasza uwaga. Dla mnie Dostojewski jest najciekawszy jako człowiek, który miał w życiu tylko jeden prawdziwy romans, z Rosją, i który Rosję obrał za prawdziwą bohaterkę swoich utworów. Mogłoby się zdawać, że psychologia jego postaci i odkrycia w dziedzinie budowy powieści czynią go pisarzem prawdziwie międzynarodowym, natomiast jego nacjonalizm, jego uwielbienie tronu i ołtarza, jego szowinistyczna nienawiść do katolików i Żydów, jego kpiny z Francuzów i Polaków zamykają go w kręgu jednego kraju. Moim zdaniem, tak nie jest, przeciwnie, im bardziej Dostojewski jest rosyjski, im bardziej ulega, z miłości do Rosji, fobiom i obsesjom, tym większa jest jego rola świadka całej intelektualnej historii ostatnich dwóch wieków. Powiedział prze-

cież sam: *Wsio w buduszcem stoletii* – „Wszystko zależy od następnego stulecia” – a daru proroczego nie da mu się odmówić.

Jedną z podstawowych lektur w rodzinie Dostojewskiego była *Historia Rosji* Karamzina i przyszły pisarz znał ją od dziecka. Dzieło to widzi źródło wielkości Rosji w niczym nieograniczonej władzy monarchów. Kiedy Dostojewski był uwięziony w pietropawłowskiej twierdzy, napisał zeznania, w których przedstawił swoje poglądy na monarchię, brzmiące tak szczerze, że wyłącznie chęć uratowania własnej skóry nie mogłaby ich podyktować. Według niego rewolucja we Francji była koniecznością, natomiast w Rosji nikt przytomny nie może myśleć o republikańskiej formie rządów, pamiętając o niesławnych, zdaniem Dostojewskiego, dziejach Nowgorodu. Moskwa dostała się pod jarzmo tatarskie wskutek osłabienia władzy księcia, została ocalona przez jej wzmocnienie – tak jak później siłę dał jej „wielki pilot” Piotr Wielki.

W jaki sposób socjalista spod znaku Fouriera mógł tak pisać? Można to złożyć na karb typowego dla „dostojewszczyzny” rozdwojenia, bliżej jednak chyba byłibyśmy prawdy, twierdząc, że dwie te tendencje, socjalistyczna i autokratyczna, współistniały ze sobą u Dostojewskiego zawsze, zmieniały się jedynie akcenty. Jego kolega z kółka Pietraszewców, Mikołaj Danilewski, przeszedł podobną ewolucję, ale jako chwalcę caratu i teoretyk panslawizmu w swoim dziele *Rosja i Europa* nie wyrzekał się socjalistycznych marzeń młodości, tylko włączał je do swojej totalitarnej doktryny.

Dostojewski myślał jak mąż stanu. W rozmowach toczonych na katordzie w Omsku za najważniejsze zadanie stojące przed Rosją uważał zdobycie Konstantynopola. Dzieło jego dojrzałego wieku, poczynając od jego pierwszej podróży na Zachód latem 1862 roku, tym się wyróżnia, że poprzednio był artystą, teraz natomiast artysta w nim i mąż stanu pracują razem. Jego książki opisują sytuację duchową inteligencji rosyjskiej, stają się kroniką jej przemian duchowych z dekady na dekadę, nawet z roku na rok. I stawiają zasadnicze pytanie: co te przemiany oznaczają dla przyszłości Rosji, czym jej grożą. Nie będzie wiele przesady, jeżeli powiemy, że jest w nich coś ze śledztwa, przeprowadzonego przez niezwykle inteligentnego sędziego śledczego, który wie, czego szukać, bo sam jest oskarżycielem i oskarżonym.

Inteligencja rosyjska w powieściach Dostojewskiego dyskutuje o podstawowych problemach egzystencji ludzkiej, bynajmniej nieobcych bohaterom powieści zachodniej, czy w jej osiemnastowiecznej odmianie, czy też romantycznej, np. u George Sand. Nigdzie indziej jednak dyskutanci nie stawiają sprawy tak ostro i nie wyciągają tak skrajnych wniosków. Przeżywają oni w dramatyczny sposób to, co rówieśnik młodego bohatera *Zbrodni i kary* Raskolnikowa, Nietzsche, nazwał „śmiercią Boga”. Przy czym ateizm nie jest bynajmniej prywatną sprawą jednostki, jak najbardziej interesuje on władzę, ponieważ ateista z reguły staje się rewolucjonistą, potwierdzając tym drogę prekursora pokoleń inteligencji rosyjskiej Wissariona Bielińskiego. W *Zbrodni i karze* zbrodnia Ras-

kolnikowa ma charakter niejako zastępczy. Naprawdę marzy on o wielkim czy nie rewolucyjnym, któremu usprawiedliwienia dostarczyłaby historia. Jest w swoich poglądach i aspiracjach zupełnie osamotniony: z jednej strony stoją władze reprezentowane przez oficera policji Porfirego, z drugiej lud rosyjski. Kiedy jest na zesłaniu na Syberii, współwięźniowie, prości chłopci, chcą go zabić, bo jest ateistą. Tak więc już *Zbrodnia i kara* zawiera formułę ważną dla całej dojrzałej twórczości Dostojewskiego. Obroną i ostoją Rosji są władze państwowe oraz szczerze pobożny, jak Dostojewski wierzył, lud rosyjski, natomiast inteligencja jej zagraża. Jak zagraża, pokazała powieść *Biesy*. Pośród zdumiewających przenikliwością diagnoz w tej powieści być może najgłębiej sięga okrzyk starego wojskowego, który przysłuchiwał się rozmowie o tym, że nie ma Boga: „Jeżeli nie ma Boga, to jaki ze mnie kapitan?”. Człowiek ten uchwycił związek pomiędzy religią i źródłami władzy. Nie należy zapominać, że inteligencja rosyjska karmiła się wolterianizmem i rozważaniami o rewolucji francuskiej. A ścięcie Ludwika XVI tylko dzisiaj wydaje się jednym z sensacyjnych wydarzeń, w jakie obfituje historia, ani mniej, ani bardziej ważnym od innych. W istocie był to koniec porządku opartego na przekonaniu, że król rządzi, ponieważ jest nosicielem Boskiej sakry, a niżej rządzą z jego upoważnienia. Odtąd należało szukać innych źródeł władzy – choćby w spisku kierowanym przez jednego człowieka, Piotra Wierchowieńskiego, jak w *Biesach*. Powieść, która miała w intencji autora koronować jego dzieło, *Bracia Karamazow*, ma za przedmiot bunt synów przeciwko ojcu. Pojawia się przy tym pytanie, czy fakt, że ojciec jest zły i niemożliwy, nie obala automatycznie jego autorytetu. Iwan Karamazow odpowiada na to „tak” i obiera tę wypowiedź za podstawę buntu zarówno przeciwko ojcu, jak Bogu Ojcu. *Bracia Karamazow* są w istocie traktatem o obaleniu przez inteligencję rosyjską autorytetu Boga Ojca, cara ojca i ojca rodziny.

Intelektualiści zachodni, pisząc o Dostojewskim, stale zdumiewają się, że człowiek równie głęboko wnikający w psychikę swoich postaci mógł mieć poglądy tak reakcyjne. Starają się te poglądy usunąć z pola widzenia, w czym pomaga hipoteza o „polifoniczności” powieści Dostojewskiego. Pomijają jednak różnicę, jaka dzieli ich od tego rosyjskiego pisarza. Żaden z nich, w swoich rozprawach czy powieściach, nie obiera za centrum swoich zainteresowań troski o interes państwa. Przeciwnie, są oni uczuciowo po stronie tych postaci, które istniejący porządek chcą obalić. Natomiast dla Dostojewskiego Rosja jako państwo nie oznaczała tylko pewnego terytorium zamieszkanego przez Rosjan. Od Rosji zależała przyszłość świata: od tego, czy zostanie ona zarażona ideami ateizmu i socjalizmu przychodzącymi z Zachodu, tak jak już została zarażona jej inteligencja, czy też carat i pobożny lud rosyjski zdołają uratować ją, powołaną do ocalenia ludzkości. Alosza Karamazow, w dalszych tomach niedokończzonej powieści, miał reprezentować nowy typ działacza, pracującego w harmonii z wiarą ludową.

W swoim słowianofilskim idealizowaniu rosyjskiego ludu Dostojewski się pomylił. Nie znajdował jednak żadnej innej nadziei i dylemat przedstawiał się

jasno: jeżeli „święta Rosja” nie zdoła się oprzeć, inteligencja zrobi z niej to, co bohaterowie *Biesów* zaczęli realizować w skali jednego prowincjonalnego miasta. W długich dziejach recepcji Dostojewskiego w różnych krajach, najwyżej, jeżeli chodzi o zrozumienie jego intencji, należy postawić grupę rosyjskich filozofów działających w początku XX wieku, zwłaszcza ich wypowiedzi w zbiorze *Wieczy* (1908) i *Iz głubiny* (1918). Według nich, proroctwa Dostojewskiego, te negatywne, zaczęły się spełniać. Wolno powiedzieć, że nie powinno to dziwić, skoro byli przeciwnikami rewolucji. Ale opinia spełniania się proroctw Dostojewskiego była rozpowszechniona również wśród rewolucjonistów i 1905, i 1917 roku. Wielbicielem powieści *Biesy* był pierwszy komisarz oświaty po rewolucji październikowej, Łunaczarski.

Trudno nie widzieć w Dostojewskim proroka rosyjskiej rewolucji – pisał w 1918 roku Mikołaj Bierdiajew. – Rosyjska rewolucja jest przepojona tymi zasadami, które przeczuwał Dostojewski i których dał genialnie ostrą diagnozę. Dostojewskiemu dane było przeniknąć do głębi dialektykę rosyjskiej rewolucyjnej myśli i wyciągnąć z niej ostateczne wnioski. Nie pozostał na powierzchni społeczno-politycznych idei i struktur, sięgnął w głąb i wyjawiał tę prawdę, że rewolucja rosyjska jest zjawiskiem metafizycznym i religijnym, a nie politycznym i społecznym. Tak to udało mu się poprzez religię dotrzeć do istoty rosyjskiego socjalizmu.

Rosjanie rozumieli polityczne troski Dostojewskiego, ponieważ, jak on sam, myśleli w sposób państwowy, to znaczy przywiązywali wagę do następstw takiej czy innej idei, jeżeli chodzi o byt państwa czy to antyrewolucyjnego, czy rewolucyjnego. Ich zachodnich kolegów zajmowała jednostka, nie Francja, Anglia czy Ameryka. Co prawda rozpowszechniło się wśród nich w ciągu XX wieku przekonanie, że szanujący się człowiek traktuje istniejący porządek społeczny, kapitalistyczny, jako przejściowy i po cichu czeka na jego koniec. Zdumiewające podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej, opisanych przez Dostojewskiego, i postaw intelektualistów zachodnich sto lat później prowadzi do wniosku, że niepokój o przyszłość Rosji pozwolił mu opisać zjawisko o ogromnym wymiarze zarówno przestrzeni, jak czasu.

Termin „intelektualiści zachodni” jest niewątpliwie zbyt ogólny i narażający na nieporozumienia. Gdyby jednak wybrać postać, która by ogniskowała cechy zwykle łączone z tym terminem, znaleźlibyśmy się na pewniejszym gruncie. Istnieje taka postać: jest nią Jean-Paul Sartre, nazywany niekiedy Wolterem XX wieku. Co w nim uderza, to ta sama co u jego rosyjskich poprzedników niezwykła i n t e n s y w n o ś ć w dyskusowaniu idei. Europejski przewrót umysłowy zaczynający się w XVI wieku dotarł do Rosji ze znacznym opóźnieniem i wykształceni Rosjanie w ciągu kilku dekad przyswoili sobie idee, które w zachodniej Europie kształtowały się stopniowo, w ciągu kilku stuleci. Stąd zapewne wyjątkowa siła i jadowitość tych idei, które w dodatku nie natrafiały na dobrze rozwinięty, o rozlicznych funkcjach, organizm społeczny. Z powodów zasługujących na osobną analizę w XX wieku powstało w krajach Zachodu specyficzne

vacuum, w którym został zamknięty intelektualista, snujący swoje koncepcje poza jakąkolwiek kontrolą ze strony pospolitych zjadaczy chleba. To tak jak u Dostojewskiego, gdzie Raskolnikow czy Iwan Karamazow są sam na sam ze swoim rozumowaniem. Nie tylko intensywność zbliża Jeana-Paula Sartre'a do tych postaci, również abstrakcyjność jego myśli.

Czyż niedziwne, że w wolnomyślniej od dawna Francji, w kraju, który wiele widział i zasadnicze spory był skłonny zbywać wzruszeniem ramion, nagle „śmierć Boga” staje się sprawą tak podstawową, jak była kiedyś dla młodych Rosjan, pryncypialnie dyskutujących przy wódce? Bo niewątpliwie dla egzystencjalizmu francuskiego, od którego – znów analogia – następuje przejście do obowiązku akcji przerabiającej świat, jako że człowiek, detronizując Boga, sam staje się Bogiem i ma swojej odpowiedzialności dowieść działaniem.

Rozdział pt. *Sartre jako bohater Dostojewskiego* otwierałby zapewne ciekawe perspektywy. Należałoby też tutaj wprowadzić motyw pokrewieństwa pomiędzy niektórymi aspektami filozofii Sartre'a i filozofii samego Dostojewskiego. Mam na myśli przede wszystkim owo słynne „piekło to inni” Sartre'a, czyli zagadnienie stosunków pomiędzy podmiotem i innymi ludźmi, też podmiotami: poszczególny człowiek dąży do zdobycia władzy nad innymi, do zamienienia ich w przedmioty, a ponieważ patrząc na nich, widzi w ich oczach tę samą chęć zamienienia go w przedmiot, inni stają się jego piekłem. Jest to dokładnie problematyka dumy i poniżenia u Dostojewskiego. Kiedy Sartre pisał *L'Être et le Néant* (w 1943 roku), nie mógł znać książki Bachtina o poetyce Dostojewskiego, gdzie rzecz jest przedstawiona dokładnie. A przecie „egzystencjalna psychoanaliza” w tym dziele Sartre'a zbiega się z wnioskami Bachtina, mimo że Sartre tych swoich związków z rosyjskim powieściopisarzem nie zdaje się być świadomy.

Specyficzne cechy życia rosyjskiego w dziewiętnastym wieku mogą utrudniać wydzielenie problemów, które zaprzętały ówczesną inteligencję, jako nadal aktualnych. A przecie Sartre, ze swoim poszukiwaniem wolności, idzie śladem *Człowieka z lochu*, a więc postaci rozpoczynającej serię wielkich filozoficznych monologów u Dostojewskiego. Z kolei heglizm wprowadzony do Francji w latach dziewięćset trzydziestych przez Rosjanina Aleksandra Kojève'a, czyli Kożewnikowa, i tak decydująco oddziałujący na Sartre'a, jest już w tle rozważań Raskolnikowa o wielkich ludziach, których historia rozgrzesza, jeżeli działali w jej służbie. Oczywiście, Raskolnikow, rewolucjonista zahamowany, w topografii Petersburga udzielający szczególnej uwagi placowi, gdzie dokonał się nieudany bunt dekabrystów, zrobiłby lepiej, gdyby zamiast bezsensownie mordować lichwiarke, oddał się dziełu rewolucji, ale w latach sześćdziesiątych, kiedy odbywa się akcja powieści, jest na to za wcześnie i należało czekać do lat siedemdziesiątych na postać Nieczajewa – Piotra Wierchowieńskiego z *Biesów*. Iwan Karamazow natomiast przeprowadza najbardziej zasadniczą rozprawę z niemoralnością Boga w imię prometejskich obowiązków człowieka, co jest też rdzeniem myśli i prób działania Sartre'a.

Co robić? Taki tytuł powieści Czernyszewskiego jest znamieny dla inteligencji rosyjskiej XIX wieku i mógłby też stać się maksymą dla nieustrudzonej działalności Sartre'a. Był on stale w poszukiwaniu *une cause*, której mógłby oddać swoje siły. Wszystkie te *causes* łączyły się nadzieją obalenia istniejącego porządku i zastąpienia jego porządkiem innym, choć co do tego, jakim – Sartre ciągle zmieniał zdanie. Jego lokowanie nadziei w coraz to nowych krajach i kolejne rozczarowania miały w sobie coś komicznego i patetycznego: Związek Sowiecki, Jugosławia, Kuba, Chiny – żeby wreszcie rozdawać ulotki na ulicy z młodymi goszystami. W tej swojej potrzebie ciągle nowych odpowiedzi na pytanie *co robić?* Sartre nie był bynajmniej odosobniony, przeciwnie, występować może jako przykład takiego samego niepokoju u tysięcy intelektualistów i półintelektualistów.

Trudno nie dopatrzeć się w tym polowaniu na *causes*, narzucone przez aktualność, fenomenu wewnętrznej pustki, która musi być wypełniona poczuciem bezinteresownego dążenia do takiego czy innego szlachetnego celu. Podobnie bohaterowie Dostojewskiego są wyrwani z tej tkaniny codziennego życia, która ich mniej rozgarniętemu otoczeniu zapewnia spokój małych dążeń i małych osiągnięć. Religia i kalendarz obrzędowego roku nic ich nie obchodzi, moralność tradycyjna jest odrzucona, bogacenie się jako cel jest dla nich wstrętne i nieskuteczne, pieniądze zdobyć można przez zbrodnię, zbieg okoliczności, spadek, grę w ruletkę, lichwę, nigdy przez pracę. Rosja, ta zwyczajna, poddaje się pewnemu rytmowi obyczaju, oni natomiast są zamknięci w zaklętym kręgu swoich umysłów i oddają się rojeniom o swojej wyjątkowej roli jako potencjalnych zbawców ludzkości. Są dotknięci chorobą niewystarczalności życia i Dostojewski próbuje nazwać to *taedium vitae*, zwłaszcza u postaci silnych, powołanych do zaangażowania, ale z nadmiaru introspekcji do niego niezdolnych, jak Swidrygajłow czy Stawrogin.

Prawdopodobnie choroba ta, przybierająca w naszym stuleciu charakter masowy w miarę postępów wykształcenia, nie ma dotychczas wystarczająco dokładnej diagnozy. Przyczyn jej trzeba, jak się zdaje, szukać w osłabieniu percepcji bytu czy też w koncepcji bytu jako absurdu. Koszmary, jakie nawiedzają Swidrygajłowa i Stawrogina, dałyby się sprowadzić do *La Nausée*, jak nazywa się powieść Sartre'a sprzed jego licznych rewolucyjnych zaangażowań. *L'Être-en-soi*, czyli cały świat pozaludzki, nie budzi u Sartre'a uczuć pietyzmu i podziwu jak dawniej na przykład choćby u Goethego, przeciwnie, napiera na niego swoim brakiem sensu i zmusza do ucieczki w sferę ludzkich działań. Jest to więc kwestia metafizyczna. Niejeden chrześcijanin dzisiejszy zdziwiłby się, gdyby mu powiedzieć, że „Wolter XX wieku” nie tylko był okazowy dla intelektualistów niechętnych religii, ale zapowiadał przemiany odbywające się wewnątrz Kościołów. Gdyż jeżeli Kościoły od pewnego czasu gorliwie poszukują szlachetnych społecznych *causes*, którym mogłyby służyć, dzieje się to być może dlatego, że w odczuciu i hierarchii kościelnej, i wiernych, metafizyczna strona chrześcijań-

469
vacuum inteli-
 poza izonej
 u Do^r od-
 swędo-
 dęte

iając po sobie tylko zespół wskazań o współżyciu
 wiele inteligencji albo żyją w podziemiu, albo
 społeczeństwie. Raskolnikow nie uznaje za swoją wi-
 -j siostry, za winę uznaje swoją słabość, wskutek któ-
 -zez społeczeństwo. Po pierwszej, sentymentalnej fazie
 -dy bohaterami jego byli „biedni ludzie”, Dostojewski wpro-
 -a świadomych i innych, na niższym szczeblu świadomości, i tyl-
 -go fascynują, aż po, ku jego własnemu przerażeniu, niemal identy-
 -wanem Karamazowem i jego opowieścią o Wielkim Inkwizytorze.
 -y, trzeba stwierdzić, że ów podział na wtajemniczonych i resztę jest cał-
 -n istotny dla następców rosyjskiego rozdzielenia w naszych czasach. Być
 może nieostrożnością ze strony Simone de Beauvoir, towarzyszkii Sartre'a, było
 nazwanie powieści o ich środowisku *Les Mandarins*. Nie będzie wielkiej przesady,
 jeżeli powiemy, że poczucie przynależności do wybranych jest bardzo pod-
 noszące na duchu, do wybranych, tj. tych, którzy przenikają sekret procesu his-
 torycznego i znają przyszłość. Łączy ich wtedy już nie wiara, ale wiedza, szcze-
 gólna *gnosis*, która pozwala wydawać sądy dedukowane z rzekomo niewzruszo-
 nych przesłanek, bez troski o dotykającą a zbyt przyziemną dla filozofa rzeczy-
 wistość.

Co oznacza ta szczególna mutacja bohaterów Dostojewskiego, których rysy
 możemy dostrzec w innym społeczeństwie i innej epoce? Jeżeli inteligencja ro-
 syjska stała się prekursorem inteligencji europejskiej i amerykańskiej, to na jakiej
 zasadzie? Dlaczego eksport – bo wszystko, czym karmiła się wykształcona Ro-
 sja, łącznie z wzorami literackimi Dostojewskiego, było eksportem z Niemiec,
 z Francji, z Anglii – dlaczego eksport przyczynił się do zbudowania takiego lustra?
 Przyzwyczailiśmy się uważać, że społeczeństwa, jeżeli są do siebie podobne
 przez swoje formy gospodarki, ustroju, rozwarstwienia społecznego, znajdują
 też podobne środki wyrazu w filozofii, w literaturze, w sztuce. Przekonanie to
 zdaje się należeć do tej części marksistowskiego dziedzictwa, która stała się
 wspólną własnością. W czym jednak carska Rosja, z jej podziałem mieszkańców
 na kasty zapisywane w państwowych rejestrach, ze skrajną centralizacją władzy,
 z ogromną niepiśmienną masą chłopską, może przypominać rozwinięte kraje
 Zachodu w drugiej połowie XX wieku? Czyżby, jak już wspomniałem, aż do te-
 go czasu nie było na Zachodzie odpowiednika rosyjskiej inteligencji, tj. specyficz-
 nej warstwy oddzielonej od pospolitych zjadaczy chleba, cierpiącej z tego powo-
 du i wyznaczającej sobie szczególną prometejską rolę? Czy też trzeba po prostu
 przyjąć tezę, że idee mają swój żywot autonomiczny i że są ważniejsze niż różni-
 ce gospodarcze i ustrojowe? Gdyby tak było, rozpadnięcie się metafizycznego
 fundamentu i władzy, i indywidualnej etyki, to co Nietzsche nazywał „śmiercią
 Boga”, było na Zachodzie przez długi czas i dobrze znane, i przesłanianie, bo sama
 złożona *praxis* gospodarczego wzrostu odsuwała na bok takie problemy.

W pewnym momencie nagle pojawiły się one na powierzchni, co zbiegło się
 z kryzysem parlamentaryzmu.

Działalność terrorystycznych grup w latach sześćdziesiątych i siedemdziesią-
 tych, takich jak The Weatherman czy Symbionese Army w Stanach Zjednoczo-
 nych, Czerwone Brygady we Włoszech itd. oznacza, tak jak w *Biesach*, że za-
 kwestionowana zostaje prawomocność władzy. Tam, w Rosji, grupa Nieczaje-
 wa, której proces dostarczył Dostojewskiemu materiału do powieści, odrzucała
 prawomocność władzy monarszej i całego systemu wspartego na jej sakralności.
 Tu, na Zachodzie, przyszła kolej na władzę powołaną w wyborach. Oczywiście,
 rewolucyoniści wiedzą, jaka jest „prawdziwa” wola ludu w odróżnieniu od tej
 pozornej, siebie nieświadomej, i działają w imieniu tej „prawdziwej”.

Fascynujące zbieżności motywacji tych grup z motywacjami, jakie znajduje-
 my w *Biesach* – jak też znaczne różnice, przede wszystkim ze względu na udział
 mass mediów – nie skusiły bodaj żadnego powieściopisarza, co być może dowo-
 dzi, że powieść przestała reagować na wypadki z domeny życia publicznego, po-
 grążając się w skrajną subiektywizację. Dostojewski *Biesy* pisał na gorąco, kiedy
 jeszcze toczył się proces grupy Nieczajewa. Jest jednak też inne wytłumaczenie
 tego braku zainteresowania literatury wydarzeniami o wielkiej, bądź co bądź,
 wadze. Dostojewski myślał o przyszłości Rosji i niebezpieczeństwie, jakie jej za-
 groża, myślał jak obrońca porządku, dajmy na to dobry prokurator. Powieść je-
 go zaraz po ukazaniu się oburzyła inteligencję postępową jako paszkwil na ruch
 rewolucyjny. Sympatie światłej opinii publicznej zwracały się bowiem ku mło-
 dym buntownikom różnego pokroju, których otaczał nimb bohaterstwa i mę-
 czeństwa i których procesy zmieniały się w procesy wytoczone ustrojowi. Po-
 wieściopisarz, który by dzisiaj obrał za swój temat złośliwą analizę myślenia i za-
 chowania się jakiejś grupy terrorystycznej, naraziłby się na zarzut, że jest zwo-
 lennikiem istniejącego porządku, co uchodzi za niewybaczalny grzech wśród lu-
 dzi na pewnym umysłowym poziomie. Zważmy, że uzasadnienia dla terrorysty-
 cznej działalności dostarczyły pisma filozofów, Jeana-Paula Sartre'a, Herberta
 Marcusego i innych – zarówno działalności w skali państwa, na przykład ludo-
 bójstwa stosowanego w Kambodży przez wychowanków Sorbony, jak uprawia-
 nej przez siatki organizacji podziemnych. Trudno więc, skoro tak wielu ludzi
 intelektu jawnie albo po cichu sympatyzuje z terrorem, żeby zdobyli się na jego
 obraz wielostronny, ale negatywny, jak to zrobił Dostojewski w *Biesach*. Zresztą
 w swoich czasach Dostojewski też musiał wyłamać się z kanonów obowiązują-
 cych inteligencję. Na próżno szukalibyśmy podobnych ujęć pod piórem pisarzy
 w rodzaju Czernyszewskiego. Wypada więc odejść od przyjętej opinii, jakoby ge-
 niusz zamieszkał w Dostojewskim pomimo jego poglądów reakcyjnych. Raczej od-
 wrotne twierdzenie okazuje się prawdziwe: był wielkim pisarzem, ponieważ miał
 coś w rodzaju jasnowidzenia, a ten dar zawdzięczał swojej reakcyjności.

Cytowany już przeze mnie Mikołaj Bierdiajew dostrzegł u Dostojewskiego
 zrozumienie procesów sięgających głębiej niż stosunki społeczne i polityka. „Do-

stojewski znakomicie odsłonił ontologiczne konsekwencje fałszywych idei – powiada. Dostojewski przewidział, że rewolucja w Rosji będzie ponura, okrutna i mroczna, że nie przyniesie odrodzenia ludowi. Wiedział, że wybitną rolę będzie w niej odgrywał Fiedka kryminalista i że zwycięstwo będzie należało do Szigalewa”. Oczywiście, nie możemy dzisiaj nie zapytywać siebie, czy diagnoza Dostojewskiego, poczęta z lęku o Rosję, nie zawiera przepowiedni dotyczących również Zachodu. Można z łatwością przyjąć założenie, do którego skłania zresztą ewolucjonizm wykładany w szkołach i na uniwersytetach, że istnieją prawidłowości rozwoju historycznego i że podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej XIX wieku i postaw dzisiejszej inteligencji na Zachodzie należy do takich właśnie prawidłowości, dając jako wynik tam upadek caratu, tutaj zbliżający się upadek ustroju opartego na wolnych wyborach. W wypowiedziach bohaterów Dostojewskiego nie było miejsca na demokrację. Raskolnikow wierzył w dyktatorskie rządy wielkich ludzi, teoretykiem grupy rewolucyjnej w *Biesach* staje się logiczny w swojej obronie powszechnego niewolnictwa Szigalew, natomiast potężny umysł filozofa, Iwan Karamazow, obiera Wielkiego Inkwizytora za opiekuna ludzi, którzy nie zasługują na nic lepszego, bo są krnąbrnymi dziećmi i zostawieni sobie nie umieliby się rządzić. W istocie *la volonté générale* Rousseau nie mieści się w horyzontach tych marzycieli. W odrzynie do demokracji, utożsamianej z mieszczańską przeciętnością, zgodni są oni z samym Dostojewskim, który szwajcarski kanton Uri kojarzy w *Biesach* z samobójstwem Stawrogina, a Amerykę w *Zbrodni i karze* z samobójstwem Swidrygajłowa.

Dziewiętnasty wiek na Zachodzie żyje triumfem nowej idei, ludu jako źródła władzy, skoro nie istnieje już, po ścięciu Ludwika XVI, inne źródło, nadanie przez Boga. Antymonarchizm staje się częścią wolnościowej retoryki. W Stanach Zjednoczonych, które powstały z buntu przeciwko autorytetowi króla Anglii, rówieśnik Dostojewskiego, Walt Whitman, pisze poezję, jakiej nigdy nie było, poezję obywatela, równego wśród równych. Można zdumiewać się szybkością, z jaką ten cały nurt przybiera na sile i niknie, ustępując miejsca w następnym stuleciu jadowitym kpinom z wolnych wyborów i powołanych przez nie izb ustawodawczych, jak też z niezawisłego sądownictwa. Obierając Jeana-Paula Sartre'a za model, znajdujemy w nim przejście do innej retoryki, retoryki Rewolucji, która ma to do siebie, że całkowicie pomija kwestię źródeł wiedzy, co w praktyce prowadzi do dyktatury nielicznych „wiedzących”, rzekomo działających w zastępstwie ludu, a poszczególnego człowieka pozbawia tej ochrony, jaką dawały niezawisłe sądy.

Tak więc demokracja została opuszczona przez najbardziej reprezentatywnych intelektualistów, podobnie jak carat został niegdyś opuszczony przez rosyjską inteligencję. Wyciąganie stąd wniosków na przyszłość byłoby kuszące, łatwo tu jednak ulec oczywistościom tylko pozornym. Inteligencja rosyjska była izolowana wśród niepiśmiennych mas chłopskich, które doprowadzały ją do rozpacz jako siła inercji. Przygoda w środowisku Dostojewskiego za jego mło-

dości ma tutaj nie tylko anegdotyczne znaczenie. Pietraszewski, założyciel kółka, za udział w którym Dostojewski trafił na Syberię, jakiś czas przedtem założył dla swoich chłopów wzorowy falanster według recepty Fouriera. Chłopi budynki falansteru spalili.

Izolacja intelektualisty w XX wieku ma inny charakter. Pismo Sartre'a „*Les Temps Modernes*” natrafiało na publiczność, która mogła je czytać, ale nie chciała, woląc ilustrowane magazyny, komiksy, telewizję. Powszechne dążenie do konsumpcji, postępy medycyny, *permissive society* wprowadziły zupełnie nowe dane do rachunku, tworząc rodzaj miękkiej substancji, przeciwko której są wymierzone pióra intelektualistów i bomby terrorystów. I właśnie ta substancja wydaje się czymś trwałym, od czego nie ma odwrotu.

Niezależnie od wszelkich analogii, różnice pomiędzy Rosją Dostojewskiego i dzisiejszym Zachodem są, zaiste, zbyt poważne, także jeżeli chodzi o przeszłość historyczną poszczególnych obszarów, zawsze obecną i działającą w dniu dzisiejszym. Funkcja słowa pisanego i przenoszonych przez słowo idei była zawsze w Rosji inna niż w krajach zachodnich. Ta złożoność społecznego organizmu, która, w przeciwieństwie do Rosji, gdzie jej nie było, wchłaniała na Zachodzie i resorbowała przeróżne trucizny, nadal istnieje, przybierając, jak się zdaje, coraz to mniej ideologiczne postacie.

Odrodzenie się w XX wieku „przeklętych problemów”, z którymi borykają się bohaterowie powieściopisarza z zacofanej Rosji, urąga wszystkiemu, co wiemy o „prawidłowościach historii”. Być może więc szukanie znaków jutra w tak nieoczekiwanym zjawisku byłoby mnożeniem paradoksu przez paradoks. Niemniej nie ma nigdzie takiego opisu podstawowych napięć i konfliktów XX wieku jak w *Legendzie o Wielkim Inkwizytorze* Dostojewskiego. Rosyjscy wielbicielowie pisarza uważali ten tekst za równy siłą Ewangelii i Objawieniu św. Jana, czyli tak głęboko sięgający w sedno kondycji ludzkiej, że nigdy nie straci aktualności. Jednakże jego apokaliptyczne rysy mogły tylko razić w wieku, kiedy tekst został napisany, w wieku nieapokaliptycznym, przeciwnie, pełnym wiary w Postęp. Co pierwszym czytelnikom wydawało się tylko przerażającą i niejasną fantazją, dla nas nabrało dobitności rzeczy dotykanych. Gdyż Wielki Inkwizytor w tej przypowieści występuje jako ten, który wie, że człowiek nie umie być wolny, że jest czcicielem bogów, a jeżeli nie ma bogów, to kłania się idolom i w ich imię jest zdolny do największych okrucieństw. Człowiek pożąda autorytetu i boi się wolnego wyboru. „On jest słaby i podły – mówi Inkwizytor. – Cóż z tego, że teraz wszędzie buntuje się przeciwko naszej władzy i dumny jest ze swego buntu? To duma dzieci, które się zbuntowały w klasie i wyгнаły nauczyciela. A przecie nadejdzie kres upojeniu dzieciątek i będzie ono drogo je kosztowało. Zburzą świątynie i krwią zaleją ziemię. Ale przekonają się wreszcie, głupie dzieci, że choć są buntownikami, są buntownikami bezsilnymi i że nie potrafią wytrwać przy swoim buncie”. W tym sformułowaniu zawiera się tak wiele, że tekst staje się prawie niemożliwy do rozwikłania: Dostojewski jako zwolennik władzy

autokratycznej cara i przeciwnik rewolucjonistów niepostrzeżenie przechodzi w Dostojewskiego, który ma pretensję do Chrystusa za to, że nie zaprowadził Królestwa Bożego na ziemi. Najważniejszym chyba wnioskiem legendy jest stwierdzenie, że ludzie są zbyt nędzni, żeby mogli wznieść się ponad prawa Natury, ta natomiast jest pod kontrolą „wielkiego ducha niebytu”, czyli diabła, to też kto chce ludźmi rządzić, musi powziąć taką decyzję jak Wielki Inkwizytor, tj. z nim współpracować.

[1/1983]

KRZYSZTOF POMIAN

Malarz spalonej ziemi

Józefowi Czapskiemu

Czerń, brąz, biel, szarość przechodząca niekiedy w błękit, gdzieś tam plamy czerwieni. Wyraźna preferencja dla barw ciemnych, kojarzonych przez tradycję z ziemią i wodą – ale wodą zastygłą w kałużach – z jesienią i zimą, z żałobą i śmiercią. Czerwień – kolor ognia i krwi – jest tu przeważnie zgaszona, biel – przybrudzona, a błękit – przyćmiony, jak gdyby w powietrzu unosiły się dymy i kurz. Brak zieleni i żółci: w tym świecie nie świeci słońce, a życie, jeśli trwało, upodobniło się do otoczenia. Nic w tym monotonnego wszelako dzięki wygrywaniu wszelkich możliwych odcieni szarości i brązu oraz dzięki różnorodności stosowanych materiałów i technik. Olej i akryl, emulsja i szelak, drewno, płótno, lateks i papier, piasek przyklejony do wielkich podmalowanych fotografii, słoma, skórka zajęcza, narzędzia i inne wyroby metalowe przytwierdzone do ram czy do płótna – każdy środek jest dobry, jeśli pozwala artyście pokazać, co chce, a zarazem zając stanowisko wobec znaczeń, w jakie wyposaża przedstawiane przedmioty.

Albowiem chodzi tu właśnie o przedstawienie czegoś, o udostępnienie postrzeżeniu wzrokowemu takich konfiguracji plam barwnych, które byłyby rozpoznawalne jako odwzorowane w dwa wymiary przedmioty znane z doświadczenia. Pole: czarne skiby ziemi niezaoranej wszakże, ale, na pierwszym planie, przeoranej i zwęglonej, a nieco dalej płonącej jeszcze – widać pełgające płomienie i dymy; na horyzoncie niewielki zagajnik, w tle kawałek nieba. Równina, gdzie jedyną roślinnością są trzy bezlistne brzoźki, przecięta drogą, wydeptaną i rozjeżdżoną, zbrukaną czarnymi plamami. Inna równina, może ta sama zresztą, ale teraz przysypana śniegiem porysowanym głębokimi czarnymi bruzdami – śladami kół? gąsienic? – odcina się od skrawka ciemnego nieba. Las pni i gałęzi odartych z igliwia i liści. Wnętrze strychu zbudowanego z potężnych bali o wyraźnych słojach, pokrytych siatką pęknięć; stromy dach, podłoga z desek. Inne wnętrza, raczej gmachów publicznych wzniesionych z kamienia, wypalone lub wyburzone. Monumentalne architektury. Groby. Ogniska. Takie, niepełne zresztą, wyliczenie przedstawianych przedmiotów daje jednak nikłe tylko pojęcie o obrazach. Wspomniany przed chwilą stary strych byłby całkiem zwyczajny, gdyby nie miecz wbity w podłogę do połowy brzeszczotu. Środek innego

strychu zajmują trzy krzesła. Nic w tym dziwnego. Ale na każdym znajduje się rozżarzona biel z domieszką żółci zwieńczona pasmami czerwieni. Oko wnioskuje natychmiast, że na krzesłach płoną ogniska. Cóż to za ogień jednak, który nie ogarnia samych krzesel, drewnianych przecież, i nie rozprzestrzenia się we wnętrzu. Równie zaskakujące są trzy ogniska zastygłe niejako na podłodze z desek, po której pełźnie wąż, albo zawieszone na ścianach ogromnej hali zbudowanej z drewnianych belek. Inna zagadka: portrety znanych postaci historycznych zanurzone w gęstwinie leśnej wśród poskręcanych korzeni, których końce, spiętrzone, płoną w sercu lasu. Jeszcze inna: nad prostym grobem z krzyżem u wezłowia unosi się uskrzydłona forma, w której łatwo rozpoznać paletę.

Pejzaże, wnętrza, lasy, architektury: różnorakie przestrzenie stanowią niejako pierwszą warstwę omawianych obrazów. Do drugiej należą ognie, palety, skrzydła, węże, wizerunki i pozostałe rekwizyty rozmieszczone w każdorazowo innej przestrzeni; w tej sztuce, która nie zna postaci ludzkich, zastępują one aktorów. Warstwa trzecia – to napisy. Artysty nie zadowala bowiem nadawanie tytułów utworom. Wpisuje on nazwę obrazu w sam obraz, czyni jego nieodłącznym składnikiem. Wtapia znaczenie w przedstawienie. Dokładniej: po prostu zwięża właściwą wszelkiemu przedstawieniu wieloznaczność, gdyż dookreśla nazwą tożsamość rekwizytów lub czas i miejsce przedstawianej sceny. To, co by inaczej było tylko równiną, nie jest nią: to *Piaski Brandenburgii*. I las nie jest po prostu lasem: to *Las Teutoburski*, gdzie Herman-Arninius rozgromił legiony Yarusa. Ogień na strychu – to *Ojciec, Syn i Duch św.*, albo *Czwórca*, gdy dochodzi wąż, albo *Parsifal II* albo *Duchowi bohaterowie Niemiec*. Las z portretami – to *Drogi mądrości doczesnej*, a grób – to przeważnie *Grób nieznanego malarza*.

Rozróżnienie przestrzeni, rekwizytów i napisów ma dwojakie uzasadnienie rzeczowe. Po pierwsze, choć większość omawianych obrazów ma budowę trójwarstwową, zdarzają się takie, które ukazują samą przestrzeń bądź przestrzeń z rekwizytami, ale bez napisu. Po drugie, co ważniejsze, zabieg ten odtwarza kolejność, w jakiej postrzegamy każdy obraz i uświadamiamy sobie jego znaczenie. Wchodząc do sali wystawowej i patrząc z odległości na obraz, przeważnie o dużym formacie, widzimy przede wszystkim przestrzeń, rozpoznajemy pejzaż, wnętrza, las czy architekturę. Pomniejsze plamy barwne, niezrozumiałe dla oddalonego spojrzenia, utożsamiamy dopiero w miarę podchodzenia do obrazu ze znanymi z doświadczenia zjawiskami, odkrywając zarazem rolę, jaką pełnią w całości. Ale tylko przy dużym zbliżeniu widzimy napisy na tyle wyraźnie, by móc je odczytać – i scalić ze spostrzeżeniem znaczenie, jakie artysta nadał ukazanym kształtom. Gdy po tym wszystkim, cofniemy, ponownie ogarniamy wzrokiem cały obraz, postrzegamy go inaczej niż za pierwszym razem: wiemy, co widzimy. Umiemy włączyć to w niewidzialną otoczkę, z której wyrasta i w której znajduje swe dopełnienie.

Anselm Kiefer, autor omawianych dzieł, ma lat 39. Urodził się w Donaueschingen, studiował w Karlsruhe i w Düsseldorfie, mieszka w Buchen/Oden-

wald. Malarz to wybitny, najciekawszy zapewne w swym pokoleniu. Zainteresowany bardziej kompozycją niż rysunkiem czy kolorem, które podporządkowuje poszukiwaniu całościowego efektu, umie nadać swym obrazom wewnętrzny dramatyzm, wbudować w nie napięcie i narzucić je widzowi. Sprawić, by to, co widzi, zwróciło go ku rzeczywistości niewidzialnej. Przyczynia się do tego przeciwstawianie pierwszego planu dalszym dzięki mistrzowskiemu operowaniu perspektywą, granie kontrastami faktury, zaskakujące kojarzenie rekwizytów z przestrzenią i napisów z przedstawieniami. Ale największy udział ma w tym sama scena udostępniana spojrzeniu widza: zazwyczaj ślad czegoś, co się dokonało, wynik działań, które trzeba uwzględnić, by zrozumieć znaczenie nadane dziełu przez artystę.

Widzimy spaloną ziemię: kiedy spłonęła? I czy coś na niej kiedyś wyrosło? Kto podpalił płonącą jeszcze równinę? Jakie pojazdy wyłobiły drogi w piaskach Brandenburgii? Na czyj rozkaz, przez kogo wydany i w jakiej epoce wzniesiono przytłaczający rozmiarami i wspaniałością gmach, z którego pozostała ruina? Co doprowadziło go do tego stanu? Dlaczego zginął nieznany malarz? Nie każdy obraz budzi takie pytania. *Upadek Ikara* Piotra Bruegla Starego pokazuje ostatnią chwilę przed zatonięciem bohatera. Dwie nogi wystają jeszcze z wody, ale spokój krajobrazu pozostał niezłamany: oracz nie uniósł głowy znad pług, pasterz nie zmienił kierunku wzroku, oczy rybaka nie przestały pilnować wędki. Powody upadku Ikara są nieistotne, bo samo wydarzenie, które wkrótce przeminie bez śladu, w niczym nie zakłóciło porządku przyrody i zestrojonego z nim biegu spraw ludzkich. *Ikar = Piaski Brandenburgii* Kiefera – to Ikar o skrzydłach szerniałych od ognia i dymu, zmiażdżony i potrzaskany, na płonącej ziemi, z pożogą w tle. Ten Ikar nie padł ofiarą lekkomyślnego непослушенства. Został zestrzelony. Toteż jego los skłania nie do zadumy nad obojętnością świata dla klęski geniusza, ale do zapytania, kogo on uosabia i za czyją sprawą oraz w jakich okolicznościach skończył swój lot.

Widzimy rozplaszczoną na ziemi, czarną, uskrzydloną postać. Napis powiadamia, że chodzi o Ikara – mógłby to być również upadły anioł – i o piaski Brandenburgii, co oczywiście, gdy porównać odtworzony tu pejzaż z innymi. Obraz podaje się zatem za rejestrację śladu określonego zdarzenia, za coś w rodzaju fotografii miejsca wypadku z obwiedzionym kredą zarysem ciała ofiary. Podobnie *Śmierć Brunhildy* – to tylko dogorywające ognisko – stos – na srebrzystoszarym tle. *Śpiew Wylanda* – to wypalone pole, poryte koleinami, z przytwardzonym do obrazu ołowianym skrzydłem zastąpionym w innej wersji żelazną kratą, kątownicą i trzema parami cęgów. Inaczej niż malarze historyczni z ubiegłego stulecia, Kiefer nie ukazuje zdarzeń i bohaterów. W jego twórczości przestrzeń z rekwizytami prawie nigdy nie ilustruje napisu. To napis ją dookreśla, dopełnia i przedłuża ku temu co niewidzialne, gdyż apeluje do wiedzy widza: do znajomości eposu germańskiego, mitologii antycznej czy dziejów najnowszych. Fingując ślad wydarzenia, do którego odsyła napis, obraz pobu-

dza i ukierunkowuje pracę wyobraźni, i prowokuje pytania. Dzięki swym walorom plastycznym przyciąga i przytrzymuje spojrzenia widza, by poruszyć jego umysł i jego pamięć. Pod warunkiem wszakże, by był to widz obyty z historią, świadom tradycji.

Właściwym żywiołem Kiefera jest historia. Historia, która przeorała piaski Brandenburgii, odarła z liści i igieł Las Teutoburski, spróbowała utysiącletnić się w kamiennych gmachach, by obrócić je później w ruinę, i po dziś dzień wstrząsa ziemią na polach dawnych bitew. I jest nim tradycja nawarstwiona w słojach i szczelinach belek, budulcu wiekowych domów przekazywanych wraz z nią przez pokolenia pokoleniom. Tradycja Niemców i historia Niemiec. Albowiem Kiefer jest malarzem niemieckim nie tylko z uwagi na przypadłość życiorysu. Podczas gdy galerie i wystawy w RFN wypełniają dzieła młodych artystów, które odsłaniają wyłącznie ich seksualne obsesje lub rewolucyjne przekonania, i które by mogły bez zmian wyjść z pracowni Paryża, Mediolanu czy Nowego Jorku, ustosunkowuje się on, malując, do politycznej i duchowej przeszłości swej ojczyzny, a tym samym – do jej teraźniejszego rozdarcia. Jako wypowiedzi o Niemcach i o Niemczech jego obrazy zasługiwałyby na uwagę, nawet gdyby nie miał zająć ważnego miejsca w sztuce naszego czasu. Ponieważ ma, zasługują na nią w dwójnasób.

Kiefer, rocznik 1945, należy do pokolenia, dla którego hitleryzm to zamknięty akt niemieckiego dramatu. Skazany przez tych, co przeżyli, na zapomnienie i ukrywany w latach cudu gospodarczego przed dziećmi i młodzieżą. Gdzieś tam toczyły się procesy zbrodniarzy wojennych, a kombatanci na dorocznych zjazdach wspominali pułkową młodość i poległych kolegów. Ale rówieśnik Kiefera, znany reżyser filmowy Volker Schlöndorff, usłyszał o najbliższej przeszłości własnego kraju dopiero we Francji, gdzie rodzice oddali go do szkoły. Wspomnienia z Trzeciej Rzeszy złożone w prywatnej pamięci jednostek i rodzin do publicznej pamięci narodu niemieckiego przenikały z trudem, wbrew cenzurze – we freudowskim, rzecz jasna, słowa tego rozumieniu – która usiłowała je zepchnąć do nieświadomości. Bo też zaiste nie wiadomo, co począć ze wspomnieniami z czasów, które nieuleczalnie skaziły wszystkie czyny godne na pozór podania potomnym za wzór, tak że moralność musi je potępić, choćby prawo nie znajdowało w nich znamion przestępstwa. Które cnoty obywatelskie obróciły w posłuszeństwo bezprawiu, a bohaterstwo – w ofiarę na rzecz zorganizowanej zbrodni. I zmusiły patriotów, by przyczyniali się do klęski własnego kraju, świadomi nieszczęść, jakie sprowadzi, ale w przekonaniu, że zwycięstwo panującego w nim ustroju byłoby katastrofą i dla Niemiec, i dla świata.

W roku 1945, wkrótce po zakończeniu wojny, Martin Heidegger podjął próbę wyjaśnienia, dlaczego w kwietniu 1933 dał się wybrać na rektora uniwersytetu we Fryburgu, jaką rolę odegrał, nim ustąpił w lutym 1934, i co właściwie powiedział w słynnej mowie rektorskiej *Die Selbstbehauptung der deutschen Universität*. Artykuł, ogłoszony dopiero rok temu, świadczy, że Heidegger uwa-

żał za nieodzowne rozliczenie się z tego epizodu przed sobą samym i przed potomnością. Miał słuszość. Jak bowiem można było upatrywać w ruchu narodowosocjalistycznym pozytywne możliwości? Jak można było oczekiwać odeń skupienia i wewnętrznego odnowienia ludu? A takie nadzieje, co wyznaje, Heidegger żywił w 1933 roku. Ale pytania ich dotyczące nie otrzymały odeń odpowiedzi. Co gorsza, nie zostały nawet wysłowione ani we wspomnianym tu artykule, ani gdzie indziej, jak gdyby przenikliwość filozofa porażona była w tym punkcie nieuleczalną ślepotą. A przecież nie był nazistą, odrzucał ideologię hitlerowską, a po ustąpieniu z urzędu budził nieufność lub zgoła wrogość władz Trzeciej Rzeszy. W jego życiorysie pozostaje jednak dziesięć miesięcy, których nie zdołał przeświecić i które rzuciły cień na całość jego twórczości.

Dwanaście lat rządów Hitlera postawiło w stan oskarżenia całą historię Niemiec we wszystkich jej wymiarach. Myśl niemiecką w osobach Fichtego, Nietzschego i Heideggera, współwinnych rzekomo, wraz z wieloma innymi, unicestwienia rozumu. Muzykę Wagnera. Literaturę: Hölderlina i Kleista, Mörikego i Stefana George. Wszystkie ruchy, które dążyły do zjednoczenia, statystów i wojskowych, którzy je urzeczywistnili, Prusy obwieszczone „odwieczną kolebką militarysty i reakcji”, Bawarię, bo w Monachium powstała NSDAP, Nadrenię-Westfalię jako siedzibę zakładów Kruppa. Istnienie NRD, która usiłowała zawłaszczyć nurt demokratyczny i antyfaszystowski, wyróżniany według doraźnych kryteriów politycznych, a zarazem wytaczała proces wszystkiemu, co religijne, narodowe, „feudalne” i „burżuazyjne”, przyczyniało się do fałszowania obrazu przeszłości. I przyczynia nadal, choć dziś zrehabilitowano już tam Marcina Lutera, barona Steina, generała Scharnhorsta, a nawet pułkownika Stauffenberga i innych zamachowców z 20 lipca 1944, wciąż gwałtownie atakowanych przez „Prawdę”. Symbolizując obecne roszczenia NRD do bycia jedynym prawowitym spadkobiercą Prus, posąg konny Fryderyka Wielkiego wrócił w 1981 roku na dawne miejsce przy Unter den Linden. Rok później, tym razem w Berlinie Zachodnim, odbyła się seria wystaw usiłujących pokazać złożoność i wieloznaczność historii Prus, a zarazem uzasadnić prawo Republiki Federalnej do sięgnięcia po niektóre składniki ich dziedzictwa. Choć dzieją się w sferze kultury i dotyczą przeszłości, wydarzenia takie uruchamiają z reguły lawinę komentarzy, pytań, domysłów, a niekiedy pomówień, jednoznacznie politycznych i prognostycznych. W czterdzieści lat po upadku Trzeciej Rzeszy każda niemal postać i bez mała każde wydarzenie z historii Niemiec pozostaje ciągle podejrzane o przynależność do genealogii narodowego socjalizmu. A każde zwrócenie się Niemców ku ich tradycjom budzi natychmiast lęk sąsiadów.

Malarstwo Kiefera nawiedzają wspomnienia wojny. *Operacja Lew morski* czyni aluzję do zamierzonej przez Hitlera inwazji na Wielką Brytanię; trzy zabawkowe okręty wojenne pływają w basenie umieszczonym w czarno-białym pejzażu z ogniami płonącymi na horyzoncie. Trzy inne obrazy z tej serii: *Operacja Hagenbewegung*, *Operacja Wintergewitter* i *Operacja Barbarossa* – ukazują rów-

niny pokryte śniegiem i pocięte bruzdami zbiegającymi się w oddali; za każdym razem scena jest ujęta w paletę, jak gdyby malarz chciał zwrócić uwagę na swą rolę pośrednika między tym, co przedstawione a widzom, jak gdyby chciał zasugerować, że paleta – to przyrząd do odsłaniania niedostępnych pospolitemu spojrzeniu śladów przeszłości. Ale wojna obecna jest również we wstrząsającym, opisanym na wstępie pejzażu *Chrabąszcz lata*, którego tytuł cytuje pierwsze słowa dziecinnej rymowanki wypisanej przez Kiefera na samej linii horyzontu; w przekładzie: „Chrabąszcz lata, na wojnie tata, mama na Pomorzu, Pomorze ogień orze”. W prawym górnym rogu przebija zarys palety. W programowym obrazie *Malarstwo spalonej ziemi* paleta znajduje się pośrodku. Widzimy przez nią splekaną czerń ziemi i czerwień ognia. Na lewo od palety płomienie ogarniają samotne drzewo: wojna. Wojna – to także wspomniany już Ikar i inne obrazy z cyklu *Piaski Brandenburskiej*, które pokazują jeśli nie płonącą ziemię, to krajobraz przemielony przez koła i gąsienice.

Wspomnienia wojny, wspomnienia Trzeciej Rzeszy. Monumentalne *Wnętrze* o przeszklonym stropie, z którego wypadły szyby, wypalone, ze śladami sadzy i dymu, i płonącym pośrodku ogniskiem, ma za pierwowzór zaprojektowaną przez Speera dla Hitlera salę mozaik nowej kancelarii Rzeszy. Do innego projektu Speera nawiązuje majestatyczna kolumnada umieszczona przez Kiefera pod czarnym niebem i poświęcona *Nieznanemu malarzowi*; jego grób, który otacza z trzech stron, znajduje się w środku pierwszego planu, gdzie wskazuje nań wbity w przepaloną ziemię drąg zwieńczony paletą. Narożnik podobnej kolumnady odcina się na tle nocy, obejmując grobowiec, też z drągiem zwieńczonym paletą; jeszcze jeden hołd *Nieznanemu malarzowi*. Kamienne architektury są zresztą zazwyczaj u Kiefera siedzibami śmierci. Oto czarne pnie bez gałęzi, niczym las kolumn, między którymi płonie ognisko. Za nimi – rzeka. Na drugim brzegu – ruina neoklasycznej budowli przypominającej ni to Bramę Brandenburską, ni to Propyleje z dwoma gmachami w stylu Partenonu na placu Królewskim w Monachium; Kiefer wykorzystał tu projekt pomnika poległych Wilhelma Kreisa. Obraz nazywa się *Ren*, ale ukazuje grobowiec: żołnierza? artysty? Do tej żałobnej wymowy przyczyniają się pospół kolorystyka i geometria: czarne pnie na białym tle przecięte pod kątem prostym przez czarny zarys brzegów; budowla na drugim planie odpowiadająca ognisku na pierwszym i powtarzająca w pomniejszeniu grę pionów i poziomów, czerni i bieli; umieszczenie środka tej budowli wraz z ogniskiem na osi symetrii; podporządkowanie stosunku planów regułom perspektywy. Jest w tym coś z rygorystyki Mondriana, na którego Kiefer powołuje się zresztą w kilku innych obrazach.

W maju-czerwcu bieżącego roku wystawa Kiefera odwiedziła Paryż w drodze z Düsseldorfu do Jerozolimy; przeżycie, jakim było zderzenie z jego malarstwem, pobudziło do spisania tych uwag. Przeżycie złożone: zachwyt i niepokój zarazem. Zachwyt sztuką. I niepokój wobec fascynacji wojną, przypomina Trzeciej Rzeszy, podejmowania tematów obciążonych czarnymi skojarzenia-

mi. Autorzy katalogu upatrują w tym tylko prowokację artystyczną, awangardowy gest mający wytrącić widza z równowagi, spowodować skandal. Kiefera nie sposób jednak zaliczyć do awangardy, o ile to słowo oznaczać ma cokolwiek określonego. Najróżniejsze techniki, którymi się posługuje, nie są już dziś swoście awangardowe; należą do kanonicznego repertuaru współczesnego malarstwa. Co więcej, używanie ich przez Kiefera jest niekiedy umotywowane treściowo: malarz spalonej ziemi ma pełne prawo tworzyć swe dzieła przy pomocy palnika. Ale różnice między Kieferem a awangardą sięgają głębiej. Nie wychyla się on bowiem w przyszłość przeciwstawioną dniu dzisiejszemu, co było zawsze najważniejszym bodaj z jej wyróżników. Zwraca się ku przeszłości. Nie usiłuje wyzwolić się od tradycji, by osiągnąć stan historycznej nieważkości, w którym wszystko jest możliwe i dozwolone. Przeciwnie, nawiązuje do niej zarówno tematyką swych dzieł, jak ich wykonaniem. Nad miasto przedkłada wieś: drewniane strychy i drogi polne. Nad masy – jednostkę; tytuł pewnego rysunku głosi: „Każdy przebywa pod własnym sklepieniem niebieskim”. A od nowoczesności woli archaikę: bohaterów mitów i legend, postaci i sceny historyczne, czas wpisany w przedmioty i krajobrazy. Jako malarz – jest konserwatystą.

Nie chodzi więc o awangardowy wybryk w rodzaju zapelniania obrazów o dużym formacie odrobionymi, jak żywe, fallusami. Zapewne, przywołując wspomnienia wojny i Trzeciej Rzeszy, Kiefer chce poruszyć widza. Nie by cieszyć się wywołaniem skandalu. Ale by zakwestionować nawyk utrwalania w pamięci narodu wspomnień o tym tylko, co zdaje się dobre i wzniosłe. Nie ważne, czy artysta oświadczył cokolwiek tej treści. Wystarczy, że taka jest wymowa jego dzieł. Jakoż kamiennym gmachom publicznym, wzniesionym wczoraj za ledwie, pomnikowym, zakrojonym na wieczność, a przecież już zrujnowanym, przeciwstawia drewniane strychy prywatnych domów, stare – widzimy strome sklepienia i splekane belki – ale wciąż ożywione duchowym ogniem, który płonie, nie powodując zniszczeń, wartościami chrześcijańskimi: Trójcą św., Graalem, Wiarą, Nadzieją i Miłością. Artysta potępia kamienny świat Trzeciej Rzeszy. I operacje wojenne, po których została jedynie ziemia jałowa, spalona ogniem bitewnym. Czasy obrazoburców. W jednym *Sporze o obrazy* czołgi szarżują na paletę, ziemia płonie. W innym czołg miażdży płonącą paletę na drewnianej podłodze, niszcząc zarazem sztukę i moralność. Wszystko to nie znaczy wszelako, jakoby Kiefer akceptował obłożenie Trzeciej Rzeszy anatemą, zakaz wspomniania o niej, wygnanie jej z pamięci, wykreślenie z historii. Obrazoburcy byli również w Bizancjum; ich nazwiska figurują na pierwszym wymienionym teraz obrazie. O tym, co się stało, nie wolno zapomnieć, jak nie wolno, gdy mowa o Norymberdze, myśleć tylko o Hansie Sachsie i o operze Wagnera, pomijając *Parteitag* i proces zbrodniarzy wojennych. Toteż cztery obrazy, z których jeden nazywa się *Norymberga*, a trzy pozostałe – *Śpiewacy norymberscy*, należy czytać jako aluzje do wszystkich tych wydarzeń.

Jakiś jezuicki zbiór rozważań historycznych, na który przypadkiem trafił, dostarczył Kieferowi tytułu dwóch obrazów: *Drogi mądrości doczesnej*. Chodzi więc o mądrość przynależną do świata widzialnego, do historii świeckiej, w której ścierają się narody. W obu obrazach scena przedstawia Las Teutoburski, na co wskazuje napis: „Bitwa Hermana”. Tu i tam w środku płonie ognisko, a na okoku wyłaniają się twarze połączone z ogniskiem pępowiną wijących się korzeni. Na wcześniejszym obrazie są to Herman, legendarny pogromca legionów Varusa, i jego żona Thusnelda, wojskowi: Blücher, Clausewitz i Schlieffen, oraz pisarze i myśliciele, m.in.: Fichte, Hölderlin, Kleist, Rilke i wyróżnieni, bo oznaczeni tylko imionami, Stefan [George] i Martin [Heidegger]. Niektóre z tych twarzy wracają na drugim obrazie w towarzystwie m.in. Kanta i Kruppa, Mörikego i Bismarcka, Herwegha, wybitnego uczestnika Wiosny Ludów, Schlagera, wielbionego przez nacjonalistów żołnierza *Freikorps*, rozstrzelanego przez Francuzów za sabotaż podczas okupacji Ruhry, i Horsta Wessela, bohatera nazistów. Ogień, który płonie w środku, wzniecony zapewne przez Hermana i tożsamy z niemieckością, jest więc ogniem bitewnym i duchowym zarazem, zdolnym do niszczenia i tworzenia. A historia Niemiec, przeplatanie się zmagania z myślą i słowem, i walk zbrojnych, snów o pokoju powszechnym i jawnej przemocy, otwarcia na wartości uniwersalne i utwierdzenia własnej odrębności – historia wzniosłości i podłości, wielkoduszności i bestialstwa, które zapowiada ostatni z wymienionych, jawi się jako napiętnowana nieuleczalną dwuznacznością.

Kiefera fascynuje ta dwuznaczność. Oto mur z cegieł zamykający coś, co kiedyś było podwórzem albo ulicą, a teraz, podmokłe i przysypane ściółką, stało się siedliskiem grzybów, na pewno niejadalnych, może nawet trujących. W samym centrum tego żalosnego pejzażu wyrasta z ziemi szarawa łodyga zakończona dużym przelamanym owalem pełnym zwojów i fałd. Ten twór, wielokrotnie wyższy od pobliskich grzybów – to stos pacierzowy przechodzący w mózg widziany z profilu, domalowany na podcieniowanej czarno-białej fotografii. Tytuł utworu: *Martin Heidegger*. Czy ma to znaczyć, że myśl Heideggera jest tylko wytworem błota, w którym wyrosła? Czy, odwrotnie, że nawet tam mogło zakwitnąć coś tak niezwykłego, jak myśl Heideggera? Czy też, wreszcie, że myśl ta, której wielkość i złożoność kontrastują z wulgarnością otoczenia, jest zarazem wspańska – i niebezpieczna, jak trujące grzyby? Trzecia wykładnia zdaje się najbliższa zamysłowi malarza, którego łączy z Heideggerem niewątpliwe duchowe pokrewieństwo. Upodobanie do wsi i dróg polnych. Przekonanie o ścisłym związku budowania z zamieszkiwaniem i zachowywaniem widoczne w przeciwstawianiu trwałości starych strychów ruinom kamiennych architektur. I, stanowiące o podobieństwie malarstwa do metafizyki, wprowadzanie samego siebie pod znak zapytania.

Albowiem twórczość Kiefera jest nieustannym zapytywaniem o samego siebie, próbą określenia własnej tożsamości w języku malarskiej mitologii, której by był jednoosobowo autorem i bohaterem. Co znaczy: być malarzem? I co

znaczy: być Niemcem? Płomienie tańczą na napiętych sznurach utrzymujących w powietrzu paletę. To ogień duchowy, niepowodujący skutków widzialnych. Gdzie indziej paleta ukazana jest jako dusza wznosząca się ku niebu albo trzymają ją anioł stróż artysty. Malarz ma jednak do czynienia nie tylko z ogniem duchowym. *Malować = palić* głosi tytuł jednego obrazu. A chociaż w innym, zatytułowanym *Malowanie*, paleta unosi się nad równiną, piaszczystą drogą, w smugach deszczu, ale to chyba unikat. Ogień powraca natomiast stale i wciąż, fascynujący i przerażający, jak w wizjach spalonej ziemi czy pożaru ogarniającego całą gminę Buchen. Malarz ma więc do czynienia z ogniem duchowym i z ogniem fizycznym, z światłem wiekuistym i z narzędziem wojny. Jako przynależny do tego dwuznacznego żywiołu może on, wedle Kiefera, być również żołnierzem, uczestnikiem walk i ich ofiarą – stąd groby nieznanego malarza – z obrazotwórcy może przemienić się w obrazoburcę. Tej możliwości, którą urzeczywistniła niedawna przeszłość, Kiefer jest świadom nie tylko jako malarz. Również jako Niemiec. Spadkobierca kraju, którego część, odcięta krwawą linią zasieków i muru – piaski Brandenburgii, miasta Brandenburgii – nawiedza jego obrazy, jak gdyby upominała się o przyłączenie do reszty. I dwuznacznego dziedzictwa, którego ciemnych i groźnych składników nie potrafi się wyrzec, choć je potępia. Niemiec: strażnik twórczego i niszczycielskiego zarazem ognia wznieconego przed wiekami w Lesie Teutoburskim.

Nota: Wiele informacji podanych w tym szkicu zaczerpnąłem z katalogu wystawy Kiefera: J. Harten i M. Heinz, wyd., *Anselm Kiefer*, Düsseldorf–Paris 1984. O Heideggerze w latach 1933–1934 pisałem szerzej w: *Z okazji Marcina Heideggera*, „Znak” nr 240, 1974, s. 702–713. Wspomniany tu artykuł Heideggera ukazał się po francusku w „Le Débat” nr 27, 1983, s. 73–89. Por. też wywiad udzielony przez Heideggera w 1966 roku i ogłoszony w „Der Spiegel” z 31 maja 1976, wkrótce po śmierci filozofa.

[9/1984]

Szlachetność, niestety

Zadaję sobie pytanie, jak w ciągu mego literackiego życia zmieniały się poglądy ludzi piszących na literaturę. Moje pokolenie, które startowało około roku 1930, było przejęte obowiązkami poety wobec społeczeństwa i odnosiło się niechętnie do wszystkiego, co można było posądzić o „estetyzm”. Dzisiaj umiałbym nazwać ten konflikt lepiej, przedstawiając go na szerszym, nie tylko polskim tle, choć niewątpliwie nasza ówczesna niechęć np. do poezji Leśmiana, najbardziej związanego z ogólnoeuropejską poetyką sprzed pierwszej wojny, wystarczyłaby, żeby wskazać, o co chodziło.

W ciągu paru dziesięcioleci poprzedzających rok 1914 wyraźnie została narysowana linia oddzielająca zawód czy nawet zakon artysty od życia ludzkiej *polis*. Joseph Conrad w przedmowie do *Murzyna z załogi Narcyza* stwierdzał, że artysta zwraca się „do tej części naszych natur, która, z powodu warunków egzystencji zbliżonych do stanu wojny, jest z konieczności ukrywana pod bardziej odpornymi i twardymi cechami – niby ranliwe ciało pod stalową zbroją”, a tym samym różni się od myśliciela, naukowca, człowieka czynu, tą zbroją przede wszystkim zajętych. Bohater powieści Jamesa Joyce'a *Portret artysty z czasu młodości* Stefan Dedalus zrywał z katolicką Irlandią, oświadczając: *non serviam* – nie będę służył, co mogłoby też być zastosowane do Conrada odmowy służenia Polsce. Tomasz Mann w całej twórczości, poczynając od *Buddenbrooków* i *Tonia Krögera*, będzie zajmował się „nieczłowieczeństwem” sztuki i oddzieleniem artysty od zwykłych śmiertelnych.

Z perspektywy czasu widać, że to przekonanie o szczególnych prawach zawodu, właściwe erze symbolizmu czy też po niej odziedziczone, nie tylko sprzyjało nadużyciom pod hasłem „kapłaństwa sztuki”, ale także miało wpływ dobroczynnie hamujący, tj. chroniło od pokus „brania udziału” w wydarzeniach poprzez uległość wobec haseł chwili. Wskazuje na to przykład wybitnych poetów rosyjskich dwudziestego wieku uformowanych w owej szkole sprzed 1914 roku: Mandelsztama, Chodasiewicza, Pasternaka, Achmatowej, Cwietajewej.

Potrafili oni w niezwykle trudnych, nieraz rozpaczliwych, warunkach utrzymać godność swojej liry. Natomiast gwałtowne ataki na dumne odosobnienie artysty, na wieżę z kości słoniowej itd., z jakiegokolwiek przychodziły strony, czę-

sto od samych zainteresowanych czujących potrzebę całopalenia, zmniejszały odporność, jak gdyby otwierając na oścież bramę do wewnętrznej fortecy.

W latach trzydziestych, jeżeli ujmemy rzecz w wielkim skrócie, polskie środowisko literackie gotowało przesłanki do późniejszego wstąpienia w służbę sprawy, byle by była podniosła nazwana. Leśmian w swoim *Traktacie o poezji*, tam, gdzie mówi satyrycznie o zbiorowym królu-szczurze, doskonale ujmuje sytuację, tak jak oceniał ją obrońca sztuki wychowany w erze symbolizmu. Trzeba dodać, że *Zeitgeist* pierwszej połowy dwudziestego wieku miał wyraźne upodobania: niepisane prawo nakazywało środowisku być po stronie republikańskiej Hiszpanii i wystrzegać się związków z prawicą. Toteż odstępstwo Gałczyńskiego, kiedy zaczął drukować w „Prosto z mostu”, zostało przyjęte z rodzajem zgrozy.

Nikt chyba dzisiaj nie potrafi odtworzyć aury późnych lat trzydziestych. Już okres między wojnami wydaje się niezwykle krótki w porównaniu z czterdziestowieciem, jakie nas dzieli od końca drugiej wojny, cóż więc te parę lat zsuwania się ku niej po równi pochyłej? W ogólnym zarysie tak to wyglądało, że nacjonalizm, który nigdy nie miał szczęścia do artystów i intelektualistów, zaczął o nich zabiegać, ale przyciągnąwszy młodzież, zwiększał napięcia pomiędzy Polakami i Żydami, co z kolei stawiało tamę ambicjom intelektualnym takich pism jak „Prosto z mostu”. Bo jak przyciągnąć środowisko, skoro było ono przemieszane, polsko-żydowskie? Historia zbliżonych do siebie „ruchów” tego krótkiego okresu, takich jak polska „Falanga” czy rumuńska „Żelazna Gwardia”, nie została bodaj dotychczas napisana, w znacznym chyba stopniu ze względu na nadużywanie słowa „faszizm”, aż przestało cokolwiek konkretnego oznaczać. Faszystowskie, bo wręcz powołujące się na Mussoliniego czy Salazara, były właśnie te ruchy. Podawały przy tym siebie za „falę wstępującą”, ogłaszały, że przyszłość do nich należy. *Zeitgeist* ich jednak nie lubił i artystyczno-literacka wspólnota o tym wiedziała. Toteż zarówno wtedy, jak następnie w latach wojny niewielu znalazło się w niej zwolenników tego „ideolo”, czy, jak w niektórych krajach Europy, równoznacznego z kolaboracją, czy też, jak w Polsce, z chorobliwie nierealistycznym marzeniem o polskim imperium. Natomiast już w okolicach roku 1939 istniał pewien podkład, który wyjaśnia późniejszą podatność na hasła odbudowy albo „socjalistycznego budownictwa”.

Podróżując po Stanach Zjednoczonych i biorąc udział w różnych literackich sympozjach, miałem możność stwierdzić, zwłaszcza u ludzi młodych, obsesyjne przejście się tematem obowiązków poety wobec społeczeństwa. Z trudem i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że minęło pół wieku od czasu, kiedy mnie to trapiło. W dziwnej roli, przyjmowany już jako poeta amerykański na podstawie trzech moich tomów wierszy w przekładach, mam za sobą inne doświadczenia niż ktokolwiek z moich tutejszych kolegów, choć moi amerykańscy rówieśnicy mogliby znaleźć analogie z New Yorkiem lat trzydziestych, kiedy to „niezaangażowani” (w różne odmiany marksizmu) mieli trudności z dostępem do druku w pismach.

Kiedy słucham tych debat, ogarnia mnie wielka niemożność. Żadne z zasadniczych pytań nie znalazło w ciągu dziesięcioleci rozstrzygnięcia, przybyło natomiast wiedzy o zmiennych taktykach, podstępach, atakach, unikach. Gdzieś u sedna jest moja wątpliwość, czy poeta może być życzliwy wobec społeczeństwa. Pragnienie sprawiedliwości, dobra, nienawiść do krzywdzicieli są nierozdzielnie związane z samym powołaniem poety, ale każde społeczeństwo, w jakim żyje, musi zaprzeczać potrzebom jego serca. Bo niezależnie od wszelkich politycznych teorii, modeli, haseł, jest ono zawsze poddane prawu liczby, natomiast on pozostaje pojedynczym człowiekiem i stara się nazwać, co czuje wobec zbiorowiska. Czy stara się? Tylko rzadko, ponieważ wstydzi się swoich nieprzyzwoitych, niezgodnych z tym co zbiorowo przyjęte, odczuć. Są one „niby ranliwe ciało pod stalową zbroją”. Gdyby sięgnąć do porównań ze świata przyrody, mają one coś wspólnego z niepokojem, a nawet lękiem, jakie nas nawiedzają, kiedy przyglądamy się ulowi (zwłaszcza otwartemu) czy mrowisku. Ruch i energia: ale energia bynajmniej nie dobroduszna, raczej złowroga, nieustępliwa, niecofająca się przed niczym w dążeniu do celu. Pomijam cywilizacje wiejskie, bo choć były poddane tym samym prawom, występowało to w nich inaczej, niejako w rozrzedzeniu.

Literatura nowoczesna pojawia się jako konfrontacja z miastem – na przykład literatura rosyjska w konfrontacji z Petersburgiem (nie bez udziału w tym opisów Mickiewicza i ich wpływu na *Jeźdźca miedzianego* Puszkina). Miasto jest molochem, dżunglą, tajemniczym gąszczem zwycięskich i pokonanych indywidualnych przeznaczeń. Można łatwo zrozumieć jego rolę w budzeniu rewolucyjnych energii, biorących się z protestu przeciwko nieludzkości. Zamiast wielkich uogólnień wystarczyłoby zbadać percepcje poszczególnego człowieka, kiedy idzie ulicą np. New Yorku. Wszystkie one mają za tło poczucie zagrożenia. Bo sklepy i przedsiębiorstwa są zagadkowe przez to, że jedne powstają, inne znikają i że nie można pozbyć się myśli o ich ciągłym balansowaniu na granicy bankructwa, jeżeli nie przyciągną czymkolwiek klienteli. Współzawodnictwo reklam, neonów, okien wystawowych nie jest niewinne, wyraża wolę krwiożerczą. Przypomina też w każdej chwili, że aby iść tą ulicą jako przechodzień pełnoprawny, należy zaliczać się do potencjalnych kupujących, że natomiast dla ubogich jest ona piekłem. I poczucie zagrożenia to niekoniecznie lęk przed napaścią ze strony osobnika z nożem, który potrzebuje kilkudziesięciu dolarów na heroinę. To przede wszystkim świadomość, że w tym, tu, teraz, jestem na powierzchni, ale mogę spaść i zmienić się w człowieka luźnego, bez przynależności do biura, sklepu, fabryki, co oznacza nie tylko brak zarobku, ale brak miejsca odniesienia. Zresztą zło kapitalizmu było nieraz opisywane, mało jednak celnie, ponieważ jest ono natury ontologicznej i przez to wymyka się ocenie marksistów, dla których ten wymiar nie istnieje.

Znamy dostatecznie ustrój, który powstał z buntu przeciwko kapitalizmowi, zwany socjalistycznym. I rzeczywiście cechy tej walki człowieka z człowiekiem,

które są tak widoczne na nowojorskiej ulicy, zostały w nim znacznie złagodzone. Istnieje pewna tajemnica, wyjawianie której nie leży w niczym interesie: oto tzw. socjalizm uwolnił wielką liczbę ludzi od przekleństwa Adama, czyli od pracy w pocie czoła. Po prostu obowiązuje w nim inna drabina kar i nagród – polityczna, a przy jej stosowaniu jest obojętne, czy ktoś pracuje, czy udaje, że pracuje, czy ma zawodowe kwalifikacje, czy ich nie ma. To z kolei przynosi ze sobą upowszechnione ubóstwo oraz zmniejszenie strachu gospodarczego, i przez inną zasadę stosunków międzyludzkich, i przez to, że nie bardzo już wiadomo, gdzie spadać. Nie znaczy to jednak, że bezlitosna energia właściwa ludzkiemu społeczeństwu nagle się ulotniła. Wręcz przeciwnie, przesunęła się tylko do aparatu represji i tam brutalnością przewyższyła swój odpowiednik w krajach kapitalistycznych, już uczłowieczonych przez odpowiednie ustawodawstwo. Niesłyszany zasięg tego aparatu represji, olbrzymie budżety pochłaniające wysoki procent dochodu narodowego, najnowocześniejsze środki techniczne w jego rozporządzeniu, całe armie policji jawnej i tajnej – wszystko to wymierzone jest przeciwko poszczególnemu człowiekowi, który nie ma żadnych praw i żyje w stanie zbliżonym do niewolnictwa.

Literaci polscy po roku 1945 przystosowywali się do tego ustroju i nawet wielu z nich posługiwało się jego retoryką, której celem jak wiadomo jest ukrywanie rzeczywistości przy pomocy niby-to-realizmu. Działo się to nie bez udziału obudzonej przed wojną gorliwości społecznej, było też następstwem eksplozji uczuć patriotycznych i humanitarnych za okupacji hitlerowskiej. Nazizm dowiódł, że energia zbiorowa zwrócona w jednym kierunku, wola mocy zaiste, nie ma żadnych powściągów ani granic w zbrodni; i choć trudno winić o to niemiecką filozofię, trochę nieswojo się robi, kiedy się przypomni, że w ciągu całego dziewiętnastego wieku była ona filozofią woli. Wobec tego, co pokazała okupacja niemiecka w Polsce, elementarny odruch moralny występował u piszących na plan pierwszy. Niektórzy co prawda rozumiejąc, że poddanie się jemu całkowite nie pozwala na dystans, bez którego nie ma dzieła sztuki, próbowali kontynuować swoje przedwojenne zamysły (np. Iwaszkiewicz). Dla wszystkich jednak doświadczenie lat wojny było kluczowe i ono to miało dostarczać głównie tematów aż do chwili, kiedy wyrośnie nowe pokolenie, wojny nie pamiętające. Ta literatura zaangażowana spełniała także funkcję zastępczą, w podwójnym znaczeniu. Zaspokajała wymagania urzędowe przy pomocy lekkiego podretuszowania rzeczywistości (antyhitleryzm utożsamiony z prosowiezmem), czyli pozwalała przynajmniej poruszać sprawy bolesne a zabronione. Dostarczała też alibi tym, którzy dobrze znali wydarzenia, jakie nastąpiły wskutek paktu pomiędzy Hitlerem i Stalinem w roku 1939, a więc terror i wywózki z części kraju okupowanej przez Sowiety, ale o tym musieli milczeć. Zarazem utwory tego rodzaju stanowiły naturalny pomost do pochwał odbudowy przeprowadzanej pod zarządem komunistów.

Szanse pisarza, który chciałby zachować swoje wyniosłe odosobnienie, nie były w tych warunkach dobre. To znaczy teoretycznie, zwłaszcza po roku 1956,

mógł to robić i powstał cały margines, na którym rozwinęła się powojenna poezja polska, o światowym rozgłosie. Czy było to jednak odsuniecie się, podobne do alienacji poety amerykańskiego, czy też wręcz przeciwnie, ciągle napięcie pomiędzy obroną praw sztuki i pragnieniem powiedzenia przemilczanej prawdy o życiu w tym ustroju? Jeżeli za przykład obierzemy poezję Zbigniewa Herberta, raczej to drugie. U niego ten konflikt jest postawiony jasno, a nawet stanowi sam trzon jego twórczości. Zważywszy, że publiczność polska była nadmiernie wrażliwa na wszelkie aluzje polityczne i tego przede wszystkim szukała w metaforach poezji i prozy, można się tylko dziwić, że w równie niezdrowych warunkach mogło powstać tyle utworów artystycznie wybitnych. Być może pomagała tutaj pewna niejasność w ocenie prawdziwego stanu rzeczy, podtrzymywana przez cenzurę. Tak że i piszący, i ich odbiorcy przebywali w świecie „jak gdyby”, a tym samym mniej byli narażeni na wyrzuty sumienia, zakładając, że żyją w kraju mniej więcej normalnym. Tymczasem był to kraj okupowany, z torturami w więzieniach i z aparatem terroru uzależnionym od Moskwy. Ostra świadomość tych faktów musiałaby całkowicie sparaliżować artystów. Przy pewnym nasileniu społecznego demonizmu sztuka jest w niego wpatrzona, niby królik w węża, jak to miało miejsce za okupacji hitlerowskiej.

Jest paradoksem, że pewne uspokajające hasła, takie jak w początkach Polski Ludowej „łagodna rewolucja” (wcale nie była łagodna), „odbudowa”, następnie „stabilizacja” oraz przeprowadzana w myśl tych haseł codzienna propaganda, stwarzały rodzaj otoczki umożliwiającej powstanie strefy pośredniej, w której było miejsce na sztukę. Rosły pokolenia, miały swoje prywatne życie, swoje poczucie względnej normalności. Zarazem ujawniała się wewnętrzna sprzeczność właściwa sztuce wyzwolonej z obowiązków społecznych, oddanej awangardowym eksperymentom, raczej popieranej przez władze, które po roku 1956 wołały ten rodzaj wyładowań energii, jako że odwracał uwagę od polityki. Sprzeczność, bo jednak w warunkach upolitycznienia wyobraźni zbiorowej utworom „oderwanym” grozi wegetariańskość, tak że nie tylko mogą być oskarżone o stosowanie uników, ale sama siła ich formy na tym cierpi.

W tej perspektywie, świata „jak gdyby”, należy ocenić prawdziwą rewolucję świadomości, jaka dokonała się w okresie bezpośrednio poprzedzającym „Solidarność”, za „Solidarność” i następnie po ogłoszeniu stanu wojennego. Nastąpiło rozdarcie zasłony i cała prawda o istocie systemu, jak też o historii stosunków polsko-rosyjskich, znalazła się w zasięgu wszystkich. Upolitycznienie wyobraźni osiągnęło stopień tak wysoki, że można go porównać tylko z jej przemianą podczas drugiej wojny światowej. I tak jak wtedy poezji przypada pierwsze miejsce wszędzie tam, gdzie słowo pisane występuje w obronie człowieka, przeciwko terrorowi i okrucieństwu. Zarazem znikł ten margines, na którym można było wierzyć, czy udawać, że się wierzy, w trwałą wartość sztuki, niezależnie od jej bezpośrednich obowiązków. Obraz artysty, pisarza, narzucony mu obecnie przez społeczeństwo i przez niego przyjęty, jest dla niego wysoce po-

chlebny w sensie moralnym, umieszcza go wśród sprawiedliwych. Jego odosobnienie w społeczeństwie tym razem wydaje się definitywnie skończone. Taka jednak integracja nie obywa się bez kosztów i, rzecz można, sprzeczna jest z samą zasadą nieufności sztuki wobec nowoczesnego społeczeństwa.

Wypada, niestety, stwierdzić, że utwory literackie powstające z protestu przeciwko nieludzkości nieczęsto mają długie życie. W miarę upływu czasu rewelacje, czyli nazywania zbrodni po raz pierwszy, tracą swoją świeżość, skoro zło, które zwalczały, staje się znane powszechnie. Tak więc kiedy wszystko wiadomo o hitleryzmie, wiersze przeciwko niemu pisane, niegdyś mocne emocjonalnie, pozostają jako szlachetne dokumenty, ale chorują na zbytnią oczywistość. Coś podobnego może zdarzyć się dzisiaj w literaturze polskiej, co doskonale ujął Zbigniew Herbert:

nasze zeszyty szkolne szczerze udręczone
ze śladem potu łez krwi będą
dla korektorki wiecznej jak tekst piosenki pozbawiony nut
szlachetnie prawy aż nadto oczywisty

(Do Ryszarda Krynickiego – list)

Najgorszym skutkiem wewnętrznej inwazji 13 grudnia 1981 roku nie jest policyjna gospodarka kulturą i rozbicie związków twórczych, ale właśnie obsesja moralnego obowiązku piszących, jeżeli nie godzą się na kolaborację. Gdyby nie została rozgromiona „Solidarność”, upolitycznienie straciłoby wkrótce swoją intensywność i powstałaby pewna równowaga pomiędzy obowiązkami artysty i obywatela. Raz jednak jeszcze *La Pologne martyre* przyciągnęła całą uwagę piszących, zazdrosna, zaiste, bogini. Znowu wypada zacytować Herberta, który jest świadomy sprzeczności i rozpaczliwie próbuje ją przezwyciężyć, co właśnie sprawia, że pisze poezję wysokiej próby:

na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników – przyznasz – mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżać świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet
(jak wyżej)

Raz jeszcze, jak w dziewiętnastym wieku, poezja polska znalazła się w służbie uciemiężonego narodu. I gdyby można było postawić znak równania pomiędzy szlachetnością uczuć i sztuką, pomiędzy etyką człowieka i etyką artysty, należałoby to przyjąć jako szczęście w nieszczęściu. Jeżeli jednak ta służba w wieku ubiegłym narzuciła poezji polskiej jeden temat, jak też uniemożliwiła rozwój prozy, istnieją dzisiaj powody, dla których zamknięcie się w partykularnym kręgu jeszcze bardziej oddala od widzenia zjawisk w szerszej skali, bez czego nie ma prawdziwie wielkiego pisarstwa.

Zapewne, komunizm, walka z komunizmem... Temat jak najbardziej uniwersalny i już samo włączenie Polski do imperium o planetarnych ambicjach, jak też gorzka wiedza przez to zdobyta, dają wyjątkową szansę polskiej literaturze, pozwalając jej na dojrzałość większą, niż to jest możliwe w literaturach zachodnich. Pojawia się jednak znaczna przeszkoda w postaci ciągłego przeciwstawienia Wschód–Zachód. Jest to przeciwstawienie mające może jakąś polityczną przydatność, ale dla poety jałowe, ponieważ cechy demoniczne cywilizacji dwudziestego wieku zostają, kiedy się je stosuje, przesłonięte, i co jest jedynie objawem choroby, jest podawane za przyczynę. Ktoś, nie pamiętam, Zinowiew czy Besançon, zauważył, że komunizm jest rakiem, czyli nie ma swojej konsystencji niezależnej od organizmu, skoro są to te same komórki zachowujące się nieco inaczej niż w stanie zdrowia. I rak rozszerza się na powierzchnię całej planety nie zawsze w formach od razu widocznych i łatwo uchwytnych. Toteż, niestety, cała wolnościowa retoryka zwrócona przeciwko tyranii brzmi nieco zbyt podniośle, jako że zabrakło takiego przeciwnika, jakim był na przykład carat, jest tylko „ogromny pysk nicości” jak w wierszu Herberta *Potwór Pana Cogito*. Ten wiersz jest zresztą przykładem, że jakiegokolwiek uogólnienia dotyczące sytuacji literatury należy przyjmować ze szczyptą soli, jeżeli jeden poeta o wysokiej świadomości potrafi wymknąć się regułom, zgodnie z którymi jego istnienie jest niemożliwe. *Potwór Pana Cogito* jest wierszem uniwersalnym, i odczytywany amerykańskim studentom, jak to nieraz robiłem, jest dla nich znakomicie zrozumiały. Wyostrzona świadomość: bez niej nie może dzisiaj powstawać sztuka większej miary. Zakłada to jednak dystans wobec struktur społecznych i sięganie do głębszych przyczyn choroby. Że życie pod rządami komunistów jest koszmarem kłamstwa i brzydoty, stało się znanym i oczywistym, czyli nastąpił koniec aluzyjności, metafor i satyry. Wątpliwe, czy można tu jeszcze coś dodać i czy warto. Klucie potwora szpileczkami jest zajęciem bezcelowym, drobne to satysfakcje i najwyżej dostarczające złudzeń aktywności. Ale nie można też wycofać się w „sztukę czystą”, wyniosłe obojętną na ludzkie cierpienia. Po wielu dekadach różnego rodzaju zaangażowań zamknęło się koło i wracamy, przynajmniej w naszej części Europy, do nieufnych postaw z początku stulecia, bogatsi o znajomość horroru, który czaił się pod powierzchnią złudnego ładu, zanim z rokiem 1914 wy dostał się na powierzchnię i po dziś dzień nam towarzyszy.

Tekst przygotowany na konferencję „Contemporary Poland in Historical Perspective”, Yale University, 23–25 maja 1984.

[9/1984]

Twórcza siła

Poznałem Czapskiego w Campobasso na krótko przed bitwą pod Monte Cassino, a więc chyba w kwietniu 1944. Nie pamiętam już, po co wyskoczyłem na pół dnia z Venafro, gdzie znajdowała się nasza artyleria, na tyły do Campobasso, gdzie wyznaczono miejsce postoju kilku biur czy ekspozyturom biur Korpusu. Nie pamiętam też, jak doszło do mojego spotkania z Czapskim, pamiętam tylko nasz wieczorny spacer po ulicach zaciemnionego miasta. Rozmawialiśmy o nadchodzącej bitwie. I oczywiście o naszych przeżyciach „na nieludzkiej ziemi”, w „innym świecie”. Miało jeszcze upłynąć pięć lat do ukazania się jego książki; i siedem do ukazania się mojej. Wróciłem późną nocą do mojej baterii podniecony, przejęty. W wieczornym spacerze w ciemnościach przyfrontowego miasta włoskiego, w spacerze przerywanym wciąż przystawaniem jakby dla dobitniejszego zaakcentowania tego, co każdy z nas mówił, odzywały się co chwila wspólne nuty rzadkiego wówczas spojrzenia na doświadczenie sowieckie.

Po kampanii włoskiej skierowano mnie do Rzymu, do redakcji „Orla Białego”. W Rzymie odnowiliśmy znajomość, która szybko zamieniła się w przyjaźń. Często zachodziłem do hotelowego pokoju Czapskiego, nieraz zastawałem go tam na rozmowach z Jerzym Giedroyciem. Nie jest przedmiotem mojego dzisiejszego wystąpienia na wieczorze poświęconym Czapskiemu współpraca tych dwóch niezwykłych ludzi, która z Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu uczyniła rozdział nie mniej wcale ważny od naszych działań bojowych. Zamierzam mówić wyłącznie o pisarstwie Czapskiego. Ściślej: o jego pisarstwie związanym z pobytem w ZSRR.

W tamtym okresie rzymskim daleko było jeszcze do książki *Na nieludzkiej ziemi*, stał on pod znakiem maleńkiej książeczki *Wspomnienia starobielskie*. Wyszła w roku 1944 po polsku nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu i w rok później – z moim słowem wstępnym – po francusku w serii „Témoignages”. Mam ją przed sobą, biorę ją po tylu latach do rąk z takim samym wzruszeniem jak niegdyś. Sześćdziesięciostronicowy tomik z rysunkiem cerkiewki na okładce, zamknięty autoportretem jenieckim autora. Do czego wydał mi się wtedy i wydaje dalej podobny? We *Wspomnieniach starobielskich* Czapski opi-

suje książeczkę bibulek do papierosów, na których swoje wiersze obozowe utrwał poeta krakowski Lech Piwowar, zamordowany potem w Katyniu. Taką delikatną i kruchą książeczką bibułkową były i są dla mnie same *Wspomnienia starobielskie*, pisane z maksymalną zwięzłością, ograniczone do rzeczy esencjalnych, rzadko i nieśmiało dające folię własnym uczuciom, pomyślane przede wszystkim jako świadectwo. Świadectwo, które podczas burzy wyrzuca się w butelce za burtę do morza, z nadzieją, że zostanie wyłowione, odczytane i zrozumiane. Można też, pamiętając datę wydania *Wspomnień starobielskich*, użyć innego porównania: był to nasz pierwszy „gryps” przemycony zza krat i drutów kolczastych „niehumanitarnej ziemi”.

Po książeczce książka, wielka nie tylko objętościowo. Przeczytałem ostatnio na nowo *Na niehumanitarnej ziemi*, zastanawiając się, na czym polega piękno tej książki. Myślę, że na wyrzeczeniu się wszelkich pokus elaboracji literackiej. Przemawia tu wprost Czapski, jakim go znamy: uważny, chłonny, wrażliwy na ludzkie cierpienie, starający się zapamiętać dokładnie, cokolwiek dane mu jest usłyszeć i zobaczyć, zachłannie niemal otwarty na bieżącą chwilę, lecz równocześnie zakorzeniony mocno w przeszłości, „dźwigający za sobą – jak to sam określa – muł własnego życia, a także drogi skarb wspomnień dawniejszych o ludziach, którzy odeszli, o chwilach, które nie wrócą”. Czapski o czujnym zawsze oku malarskim. Czapski gorący patriota, organicznie wyzuty z jakichkolwiek ciągów nacjonalistycznych czy szowinistycznych. Czapski głęboko wierzący chrześcijanin. Czapski rozkochany w poezji polskiej. Czapski ukształtowany tyłem przez kulturę zachodnioeuropejską, ile przez kulturę rosyjską. Wszystko to w *Na niehumanitarnej ziemi* obraca się wokół osi poszukiwań zaginionych kolegów i narodzin armii polskiej w ZSRR z taką konwersacyjno-narracyjną bezpośredniością, tak wciąż pulsuje w modulacji głosu raczej niż stylu, że często książka robi wrażenie mówionej na żywo przez autora do słuchaczy-czytelników.

W miarę pisania *Na niehumanitarnej ziemi* – wyznaje Czapski w przedmowie – nie słabła we mnie, ale narastała świadomość tragicznej przeciwstawności Polski i Rosji, naszych koncepcji, naszych dróg historycznych. Narastało poczucie śmiertelnego zagrożenia Polski.

Czujemy to wraz z Czapskim wyraźnie. Czujemy jednak także coś więcej. Wspominałem na początku, że podczas mojego pierwszego spotkania z Czapskim w Campobasso związało mnie z nim natychmiast rzadkie wtedy u nas spojrzenie na doświadczenie sowieckie. W znakomitej większości Polacy wyszli w wojsku lub z wojskiem z ZSRR, z obcego „domu niewoli”, żeby posłużyć się tytułem książki Marty Rudzkiej, czyli Beaty Obertyńskiej, złoścąc „niehumanitarnej ziemi”, nie chcąc pamiętać, że zostali tam inni ludzie, równie uciskani i zadrażniani mieszkańcy imperium, obywatele – jeśli wolno ich w ogóle tak nazwać – państwa opartego na cywilizacji więziennej. *Strana gospod, strana rabow* – kraj panów, kraj niewolników. Przeklinało się sowieckich panów i mimochodem, niekiedy nawet z odcieniem wyższości i pogardy, przymykało się oczy na

los sowieckich „wiecznych niewolników”. Nie ma ani śladu takiej ślepoty i małoduszności w postawie Czapskiego.

Nie – wybucha on naraz w rozdziale o Buzułuku – tego nikt nie może zrozumieć, musi przyjść genialny pisarz, obserwator, nowy Tolstoj czy nowy Proust, rosyjski czy polski, który by mógł opisać to, co w Rosji jest wszędzie, co chwila, co zdradza nagle w życiu zwykłym, powszednim, jeden gest nikły, jedno spojrzenie niezapomniane. Nie trudne warunki, nie głód, to wszystko jest mniej ważne w porównaniu z tym zdławieniem człowieka, z niemymi spojrzeniami ludzi, wśród których nie ma prawie takiego, który by nie miał kogoś najbliższego w obozach na północy.

Przyszli w końcu, bo musieli przyjść, pisarze przyzywani przez Czapskiego. Pasternak, Solżenicyn, Nadieżda Mandelsztam, Grossman. Achmatowa, która na pytanie starej kobiety w ogonku przed więzieniem „Potrafi to pani opisać?” odpowiada jednym słowem: „Potrafię”. Gdy wyda kiedyś owoce – a wierzę, że wyda – nasza dążność do porozumienia z „wiecznymi niewolnikami” na Wschodzie, gdy bardziej ludzka stanie się „ziemia niehumanitarna”, będzie na niej usłyszany i w pełni doceniony polski głos Czapskiego.

Prowadzi mnie to, na zakończenie już, do innego fragmentu *Na niehumanitarnej ziemi*, szczególnie mi bliskiego. W Taszkencie tłumaczy Czapski na gorąco ewakuowanym tam pisarzom rosyjskim – była wśród nich także Achmatowa – list Norwida do Władysława Zamoyskiego z roku 1864. „Kto patriotyzm zamieni na wyłączność, jak to Polacy pojmują, a pojmują jedynie przez prześladowania Mikołaja i przez ucisk cenzury mikołajewskiej, ten musi koniecznie z Ojczyzny zrobić sektę i skończyć fanatyzmem!! – oto co się dziś dzieje!”. Ale „Ojczyzna nie jest to sekta”, a „patriotyzm jest to siła twórcza, a nie siła wyprzedzająca się i zeschnięcia”. Niedługo

[...] myśleliśmy, że narodowość zależy na sile apropiacji, nie zaś na sile wyłączności purytańskiej. Dlatego to, bijąc Tatarów, podgalano czupryny po tatarsku, i bito Tatarów, i noszono się z tatarską na koniu. Mówiono także po łacinie, po włosku i po hiszpańsku w epokach najwięcej narodowych – polskich! – ale to nie była sekta: był to naród!

Myślę, że Czapski był zawsze i pozostał, w szczęściu i nieszczęściu, spadkobiercą tej polskiej „siły twórczej”, do której Norwid wzdychał na paryskim bruku emigracyjnym.

[4/1985]

Dar Józefa Czapskiego

Dzięki szczęśliwemu doprawdy zbiegowi okoliczności dzisiejszy wieczór, od dawna planowany przez księży palotynów, poprzedza zaledwie o trzy dni otwarcie, w czwartek 21 marca, nowej, paryskiej Biennale malarstwa w olbrzymiej hali kompleksu La Villette, na którą Józef Czapski został zaproszony z dziesięcioma obrazami.

Jedenaście lat temu, pisząc o pięknej monografii poświęconej Czapskiemu przez Murielle Gagnebin, zapytywałem, dlaczego nie był on jeszcze wówczas uznany w skali światowej za jednego z wielkich malarzy naszych czasów.

Paryska Biennale młodych malarzy została założona w roku 1959 – jej pierwszym laureatem był Jan Lebenstein. Ale jej prestiż światowy nie przetrwał roku 1968 i od paru już lat tutejszy establishment artystyczny zastanawiał się nad formułą, mającą zapewnić Paryżowi rangę równą Biennale weneckiej czy manifestacji *Documenta* w Kassel. Zaproszono w tym celu kustoszy muzeów sztuki nowoczesnej z krajów o największym znaczeniu na światowym rynku artystycznym – Niemiec, Włoch i Stanów Zjednoczonych. Pierwszą ich radą było znieść granicę wieku i zaprosić starych mistrzów na równi ze wschodzącymi gwiazdami. W toku dyskusji niemiecki gość rzucił nazwisko Czapskiego. *Czapski, Czapski, qui est Czapski?* zakłopotali się awangardowi eksperci francuscy. „Jak to, macie tu wielkiego malarza i nawet o tym nie wiecie?”. Główny francuski komisarz wystawy przyjechał do Maisons-Laffitte, żeby wybrać trzy obrazy Czapskiego. Wyjechał, prosząc, by wystawił ich dziesięć. Stanowi to konsekrację formalną, którą można porównać w zakresie sztuk plastycznych z przełomowymi chwilami odkrycia przez Zachód Gombrowicza czy Miłosza.

Myślę, że wszyscy udamy się na te Biennale i ułatwia mi to dzisiejsze zadanie. Spośród polskich twórców najwięcej tekstów poświęciłem właśnie Miłoszowi (pierwszy 40 lat temu), Gombrowiczowi (pierwszy 35 lat temu) i Czapskiemu (pierwszy 25 lat temu). Niech Państwo nie oczekują ode mnie uczonego opisu malarskiej drogi Czapskiego, której ostatnia faza, rozpoczęta parę lat temu, jest nadal w twórczym rozwoju. Uczyniła to świetnie ostatnio Joanna Pollakówna w szkicu zatytułowanym *Olśnienie i medytacje – o malarstwie Józefa Czapskiego* w bieżącym numerze „Zeszytów Literackich” (zima 1985). Radzę Państwu

przeczytać ten wnikliwy tekst, jedyny, który obejmuje jego twórczość z ostatnich kilku lat, o której Pollakówna pisze, że „wyzwoliła ona w malarskim myśleniu Czapskiego te najwyższe możliwości, które, od dawna utajone, spełniły się teraz w serii znakomitych, czystych i skupionych obrazów”. Wolę dziś zaproponować inne podejście do obrazów Czapskiego, jako świetnej lekcji pozwalającej rozróżnić między rzeczywistością, na którą się patrzy, i rzeczywistością, którą się widzi. Nic w tym nowego, sam język na to wskazuje. *On ne voit rien quand on se contente de regarder*, pisał Rousseau z górą dwieście lat temu w *Nowej Heloizie*. Bracia Goncourt przed stu laty piszą z punktu widzenia twórcy: *Apprendre à voir, c'est le plus long apprentissage de tous les arts*.

Czapski zaczął malować z górą 60 lat temu, w chwili gdy spojrzenie malarzkie należało kontrolować dogmatycznie, równomiernie rozkładając na płaszczyźnie obrazu barwne plamy wyrównyujące się walorowo. Jego koledzy kapiści jak ryby pływali w tęczowym pryzmacie kolorów. Czapski, mimo teorii, która czerń usunęła z palety, potrzebował linii cienia, który by nie był niebieski. Minęło jednak wiele lat, zanim czerń (dla teoretyka heretycka) narzuciła się malarzowi tak silnie, by brutalną nieraz krechę określić sylwetki, podkreślić wyraz obrazu. Kapiści zarzucali Czapskiemu brak jednolitego stylu, a sam Czapski długo myślał (a bodajże jeszcze dłużej pisał), że to, co jego spojrzenie przemienia w wizję, należy do czystej estetyki: zachwyt czerwoną plamą letniej sukni, zaskoczenie niespodziewanym odbiciem w szybie wagonu. Świat Czapskiego – podziemne korytarze metra i stacji kolejowych, ciemne kawiarnie, sale teatralne, galerie malarstwa i muzea, gdzie sylwetki zwiedzających równie są ważne jak obrazy na sztalugach, narzuca się nam w jego obrazach tak silnie, że niweczy sztuczny podział na „formę” i „treść”. Styl Czapskiego – to wierność dochowana pierwotnej wizji, przeciwieństwo łatwej stylizacji. Często, włączając się po Parryżu, staję jak wryty, rozpoznając od razu: „to Czapski”. Nie wchodzi tu w grę żal, że nie jestem w tej chwili z Józiem, że nie otworzy swego zeszytu oprawionego w szare płótno, w którym zapisy myśli nagłych, wklejone artykuły i listy, szkice notowane na gorąco waloryzują się wzajemnie, stanowiąc uroczą i jednolitą całość; zarazem jedyny w swoim rodzaju dziennik i najwierniejszy autoportret. Nie, wzruszenie, jakie odczuwam, wywołuje sama wizja, nie myśl o hipotetycznym obrazie Czapskiego wywołanym tą wizją. Czapskiemu bowiem zawdzięczam, że na ten wycinek rzeczywistości nie patrzę z roztargnieniem – że lekcja jego malarstwa pozwoliła mi go ujrzeć i zobaczyć. Sztuka zatem – a z pewnością sztuka Czapskiego – jest w pierwszym rzędzie maszyną wrażeniotwórczą. Wiedział o tym Proust, który pisał:

Kobiety przechodzą ulicą, odmienne od tych, które chodziły po niej dawniej, gdyż są to Renoiry, te same Renoiry, w których kiedyś nie umieliśmy rozpoznać kobiet.

Pisałem ten tekst w trakcie odczytywania *Daru* Władimira Nabokowa, ostatniej jego powieści napisanej po rosyjsku. Jej dziesięć pierwszych stron zajmuje

opis krótkiej przechadzki bohatera z domu, gdzie właśnie wynajął pokój pod numerem siódmym Traunbergerstrasse w Berlinie 1 kwietnia 192... Pod domem stał furgon firmy transportowej, bardzo długi i bardzo żółty, doczepiony do również żółtego ciągnika.

Wzdłuż furgonu – pisze Nabokow – ciągnęła się nazwa firmy, w niebieskich literach wysokości metra, z których każda, łącznie z kwadratową kropką, rzucała w prawo cień czarnej farby, nieuczciwą próbę przejścia w trzeci wymiar.

Przechodząc przez jezdnię w stronę narożnej apteki

[...] odwrócił głowę, zmuszony do tego odbłaskiem, który uderzył go w skroń rykoszetem. Ujrzał, z tym uśmiechem, którym witamy tęczę czy różę, romb oślepiąco białego nieba wyładowanego z furgonu – komodę z lustrem, przesytytą – jak ekran filmowy – odbiciem kryształowo jasnym gałęzi kołyszących się nie jak na drzewie, a po ludzku, z niepewnym wahaniem tych, którzy nieśli to niebo, te gałęzie, szybujące fasady kamienic.

Kupiwszy w aptece migdałowe mydło, Fiodor Godunow Czerdyncew powraca do domu:

Chodnik był pusty tym razem, z wyjątkiem trzech niebieskich krzeseł, jakby ustawionych przez dzieci. Wewnątrz furgonu mały brązowy fortepian leżał na plecach, związany tak, że nie mógł się podnieść, jego trzy metalowe zelówki sterczały sztywno w powietrzu.

I oto wreszcie podłużny pokój i czekająca nań cierpliwie walizka:

Zatrzymał się przez chwilę nieruchomo przy oknie. W zsiadłym mleku nieba otwierały się raz po raz opalizujące kręgi, tam gdzie przesunęło się ślepe słońce, a w replce na szarym dachu furgonu wątle cienie lipowych gałązek starały się daremnie osiągnąć kontury, rozplywając się przed samą materializacją. Dom naprzeciwko był do połowy otoczony rusztowaniem, a ceglana część jego fasady obrosnięta bluszczem łącznie z oknami. Na drugim krańcu ścieżki wzdłuż podwórza zauważył czarną jamę piwnicy z węglem. Sam w sobie widok będący, jak pokój, samodzielnym bytem; ale teraz pojawił się pośrednik i widok stał się widokiem z tego pokoju i żadnym innym.

Co za wizualny połów z kilkuminutowej przechadzki! Ale również cztery jak najbardziej prawdopodobne obrazy Józefa Czapskiego: długi, jaskrawo żółty furgon z niebiesko-czarnym napisem przyczepiony do również żółtego ciągnika; komoda z lustrem odzwierciedlającym niebo niesiona przez tragarzy; uwięziony sznurami fortepian na plecach w czarnej jamie furgonu; widok z okna własnego pokoju. Przyszło mi wówczas na myśl, że tytuł powieści Nabokowa odnosi się do daru widzenia, do tych chwil, w których blask i urok rzeczywistości powszedniej, banalnej, może nawet brzydkiej dla tych, którzy nie widzą a tylko patrzą, napędniają czułością do życia, bo jest jedyne i niepowtarzalne. Coś podobnego ma na myśli Proust, opisując swe *moments bienheureux*, błogosławione chwile, zawsze spowodowane zmysłowym doznaniem: czy będzie nim smak legendarnej magdalenki, nierówny układ kamienia na dziedzińcu Hôtel de Guer-

mantes, dźwięk srebra w sąsiednim pokoju, czy widoki bliźniaczych wież kościelnych w Martinville, trzech drzew w Hudimesnil, krzaku głogu w kwiatach koło Balbec.

Kochany Józiu! Jest nas wielu, którym Twój dar wizji uwieczniony w znakach Twego malarstwa pomógł rozpoznać inne znaki zawarte w otaczającej nas rzeczywistości, przemawiające do przeczucia kielkującego w półmroku zmysłów, mimowolnej pamięci, wyobraźni. Twoje dzieło jest cennym drogowskazem do nieuchwytnych chwil uprzywilejowanych naszego życia. Za ten Twój dar, w przededniu Twoich imienin, gorąco Ci dziękuję.

[4/1985]

KONSTANTY A. JELEŃSKI

Samotna droga Jana Lebensteina

Czytając po raz pierwszy wiersz Zbigniewa Herberta *Potęga smaku*, przyszło mi na myśl, że poeta używa w nim liczby mnogiej nie tylko ze względu na zwykłą konwencję autorską, że myśli o nielicznych twórcach swego pokolenia odpornych na „heglowskie ukąszenie”, którzy dosłownie nie byli w stanie dostosować się do wymogów polskiej wersji żdanowizmu i temu zawdzięczają swój spóźniony debiut dopiero w latach 1955–1956.

Jednym z nich był niedawno zmarły Leopold Tyrmand, którego tu wspominam, gdyż był w najcięższym okresie blisko z Herbertem związany. Dwóch innych podziwiałem na równi z Herbertem od chwili zetknięcia się z ich dziełem – Mirona Białoszewskiego i Jana Lebensteina. Do Lebensteina ten wiersz pasuje jak ulał. Zauważcie państwo, że Herbert swą wczesną postawę „odmowy, niezgody i uporu” przypisuje cechom wrodzonym, niemal fizjologicznym: włóknom duszy, chrząstkom sumienia. To one każą „wyjść, skrzywić się, wycedzić szyderstwo”. Ciężko zapewne mieć taką naturę i często trzeba za nią drogo zapłacić. Ale jest to również natura dosłownie zbawienna. Zbawiła ona Lebensteina nie tylko od kapitulacji przed Lewiatanem w okresie jego wczesnej młodości. Pozwoliła mu, jakby za sprawą instynktownej samoobrony (którą sam nieraz, wraz z innymi przyjaciółmi, brałem za skłonność autodestrukcyjną), uniknąć pułapek wczesnego, błyskawicznego powodzenia, z jakim spotkał się na Zachodzie. Powróć jeszcze do tej mimowolnej doprawdy strategii, która przejawia się inaczej, gdy jest się otoczonym żelazną kratą i strażą, inaczej zaś gdy władca jest niewidzialny (a może zgoła nieobecny), gdy każdy wymierzony w siebie cios przyjmuje z poklaskiem, nagradza subwencją, za obelgę płaci zakupem, pod jednym tylko warunkiem – uznania reguł obowiązującej gry towarzyskiej i jej echa na tak zwanym rynku sztuki.

Lebenstein jest moim przyjacielem od 27 lat, ale obrazy jego zafascynowały mnie wcześniej, skoro tylko zetknąłem się z nimi, chyba w roku 1955, poprzez reprodukcje w krajowych wydawnictwach. Gdy w roku 1958 powstała Galeria Lambert, namówiłem Kazimierza Romanowicza, by zorganizował mu wystawę i ustaliliśmy jej datę na rok następny. Wystawa zbiegła się niespodziewanie z pierwszą paryską Biennale młodego malarstwa, na której Jan otrzymał pierw-

szą nagrodę, ufundowaną przez miasto Paryż. Ogromny ten sukces Lebensteina nie ograniczał się do Paryża. W tym samym roku 1959 obrazy jego figurują na wystawach dwóch wielkich muzeów (Stedelijk w Amsterdamie i Sztuki Nowoczesnej w Sztokholmie) oraz na trzech najważniejszych okresowych podsumowaniach, jakimi są Documenta w Kassel, oba Biennale w Wenecji i w Sao Paulo. Sukces tej miary całkiem nieznanego młodego malarza jest rzadki i w grę wchodzi różne czynniki. Jednym z nich był tu schyłek ruchu dominującego od końca wojny, abstrakcji nieformalnej (reakcji na wcześniejsze formy geometryczne) – ekspresjonistycznej w amerykańskim Action Painting, bardziej lirycznej we francuskim tasyzmie. Sprzyjało też Lebensteinowi ówczesne odkrycie zarazem malarstwa polskiego na fali październikowego przełomu, i hiszpańskiego za sprawą wyzwania rzuconego przez młodych twórców i intelektualistów skostniałej tyranii generała Franco. Spostrzeżono wówczas ze zdziwieniem, że sztuka może stać się otwarta w społeczeństwach zamkniętych.

Na tym tle silna, magnetyczna forma wczesnych obrazów Lebensteina mieściła się w obowiązującej jeszcze konwencji abstrakcyjnej, wnosząc zarazem coś nowego, tajemniczy element organicznej konieczności. Trudno mi dziś patrzeć na te obrazy, jakbym nie znał jego dalszej twórczości, a przecież żadna z moich interpretacji tego wczesnego okresu nie koliduje z jego późniejszym rozwojem. W artykule napisanym w roku 1960 dla nowojorskiego tygodnika „Arts” ostrzegałem przed klasyfikacją Lebensteina jako abstrakcjonisty i pisałem, że jego figury osiowe są „zaszyfrowaną pieczęcią Erosa i Tanatosa”. Tak, ale czy mogę zaręczyć, że zdanie to podyktowało mi wówczas oko krytyka, a nie intuicja przyjaciela? Wcześniej również zauważyłem w rozwoju dzieła Lebensteina mimetyzm stworzenia: od pierwotnego kręgowca, ideogramu szkieletu (tak określił w pięknym wierszu to dzieło ze zwykłą sobie celnością Aleksander Wat), poprzez stwory „przedpotopowe”, do „natury w człowieku”, w rozdarcu między jej skłóconymi składnikami.

Najlepiej to ujęła Mary McCarthy w przedmowie do nowojorskiej wystawy z roku 1972:

Figury osiowe Lebensteina są nadal podstawą jego wizji życia. Wizja ta wzbogaciła się, stała się jeszcze bardziej malarska, jej punkty odniesienia się pomnożyły. Ale zasada jest bisekstylna – przekrój wzdłuż środkowej osi. Najniższy kręgowiec podzielony został absurdalnie sztywną linią kręgosłupa. Absurdalna ława oddziela sędziów od przysięgłych czy oskarżonych. Nie wiem, czy Lebenstein czyta Platona, ale patrząc na jego obrazy publiczności w kinie, zafascynowanej ekranem, przyszła mi na myśl smutna, zdegradowana wersja mitu jaskini, podobnie jak rozdwojone figury osiowe są echem innego mitu z *Sympozjonu*, który mówi nam, jak Zeus podzielił na dwoje pierwotnych ludzi, skąd początek bólu i szaleństwa miłości.

Amerykańska pisarka uchwyciła ten moment, gdy Lebenstein wyszedł już poza swą pierwszą serię figur osiowych, które cieszyły się na całym świecie tak wielkim powodzeniem. Rozumiem tę fascynację. Stawały się coraz silniejsze, w mia-

rę jak zapadał w nich zmrok, mimo blasku sutych czerwieni czy złota. Znaki malarskie, a zarazem znaki heraldyczne. Herbarz postawy pionowej: krzyże, kręgosłupy, organiczne i magiczne zaklęcia, totemy. Moment natężenia sławy międzynarodowej był wówczas szczególnie niebezpieczny dla artysty, gdyż bardziej jeszcze niż dziś krytyk, muzeum, galerie utożsamiały każdą nową i oryginalną formę z podpisem: byle zastygł, byle skostniał, a za tę cenę przejdzie raz na zawsze do „nomenklatury”. Nie mogło na szczęście skostnieć dzieło, które od kości pierwotnej wyszło dlatego właśnie, że jego powołaniem było nawarstwienie nie tylko barw i form, ale przede wszystkim znaczeń. Dodajmy dziś, że wejście do nomenklatury zagroziła także Jankowi *Potęga smaku*.

Młody krytyk włoski Elverio Maurizi w tymże 1972 roku wtórował Mary McCarthy:

Lebenstein wydaje się niweczyć dualizm duch–materia. Tak jakby punktem wyjściowym była dla niego nowa interpretacja jakiegoś śpiewu dalekiej przeszłości, anabaza czasu i pamięci, malarz umie nadać nowe znaczenie wymiarowi mitycznemu.

Zauważmy, że nawrót do mitologii stanie się u progu lat osiemdziesiątych hasłem ostatniej awangardy, która jedynie grą słów, wymyślonym przez Achille Bonito Olivę terminem „transawangardy”, nawiązuje do sztuki nowoczesnej, wiekowej „moderny”. Sama zaś sztuka nowoczesna od dobrych dziesięciu lat przestała być ową „nieustanną rewolucją”, jaką była za sprawą identyfikacji z rewolucją społeczną i wydaje się nam dziś epoką zamkniętą, wielkim etapem sztuki zachodniej, o czym świadczy świeżo ukuty inny termin – „postmodernizm”.

Dodajmy, dla ściślejszej oceny, nieporozumienia między Lebensteinem i zachodnim establishmentem artystycznym, że był on początkowo przedmiotem zabiegów i hołdów krytyków; nie będę ich tu wymieniał, dość że zajmują dziś czołowe stanowiska w instytucjonalnym trybunale, decydującym o karierach artystów i cenach ich obrazów. Zrazu najlepiej do Janka usposobieni, na próżno szukali z nim wspólnego języka. Nie gorszył ich na pewno fakt, że ten polski malarz był przeciwnikiem komunistycznego reżimu. Ale każda z nim rozmowa schodziła na nieznane im tory, na pamięć mało mającą wspólnego ze zdradą socjalizmu przez biurokratów partyjnych. Oni o próbach pogodzenia marksizmu z egzystencjalizmem, Janek o losie żywych ludzi, tych, których zakatrupiono, wprawdzie maluczkich, lecz nieoczekiwanych. Kończyło się, po paru kieliszkach wódki niezbędnych do podtrzymania dialogu głuchych, na tym, że Janka „potęga smaku” nie tylko kazała mu „skrzywić się, wycedzić szyderstwo”, ale wprost spuścić rozmówców ze schodów. Ze szkodą dla sławy i spraw bytowych – zapewne. Ale z korzyścią wywojowania sobie tej najtrudniejszej dziś do uzyskania pozycji – *d'un artiste maudit*.

Nic dziwnego, że pokusiła Lebensteina w owym czasie orwellowska metafora *Zwierzęcego folwarku*. Cykl litografii wykonany w roku 1974 na podstawie

tej rewelacyjnej książki przerasta ilustrację, gdyż starczyło mu sięgnąć do postaci, które już oswoił w swym malarstwie i dać im do odegrania bajkę, którą znał z doświadczenia na pamięć*. W przeciwieństwie do artystów, którzy stale coś „kontestują”, zwykle w imię dalekich utopii, Lebenstein nie kontestuje niczego, wystarczy mu konstatacja. Wie, że społeczeństwo współczesne jest wszędzie klatką, tam żelazną, tu zaś z gutaperki (której plastyczność ograniczona jest zbiorowym mimetyzmem).

Przychodzi mi czasem na myśl, że zniechęceni, smutni krytycy, dawni jego stronnicy, czasem jednak zerkali w stronę pracowni na rue des Ecoiffes, choć może to po prostu prywatny układ Lebensteina z Zeitgeistem, który mu się zwierza zawczasu, wiedząc, że Janek z tych zwierzeń skorzysta po swojemu. I tak, w roku 1975, Lebenstein maluje wspaniały cykl obrazów pod znakiem Strindberga, całkiem, rzecz prosta, nieświadomy, że *Planeta Strindberg* zostanie zaproponowana młodemu malarzom jako zbiorowe zadanie na weneckiej Biennale w roku 1980, zapewne jako droga wyjścia z ich narcyzowskich gier z poprzedniej dekady, o której komisarz wystawy Michael Compton napisał, że jest epoką na zawsze zamkniętą.

Dzieło malarskie – oświadczył Jan Lebenstein w wywiadzie udzielonym w tym okresie warszawskiemu piśmie – zawsze jest zawieszone między pytaniem i odpowiedzią, jak plankton poddany ciśnieniu swego środowiska. Pytania dotyczą postawy wobec swego własnego życia, swej autobiografii, wobec swego otoczenia i przyrody, wobec wątpliwości i obaw dotyczących losu sztuki.

Mądra i prosta wypowiedź, oczywiście utwierdzona przez dzieło, którego siła i uczciwość jest dziś wyjątkowa. Podczas gdy najgłośniejsi artyści owych lat strzelali jak z procy swymi conceptami w samą instytucję sztuki w zachodnich społeczeństwach liberalnych, za co ta sama instytucja odpłacała im się honorami i pieniędzmi, Lebenstein malował w coraz większym odosobnieniu. Jak gdyby tylko dzieło uparcie indywidualne, wykonane poza nawiasem wszelkich instytucji, mogło przynieść dziś jego twórcy coś w rodzaju piętna wyklętego samotnika, piętna, za którym uganiają się – całkiem świadomie na próżno – rozmyślni prowokatorzy.

Czas powrócić kilka lat wstecz do wydarzenia, które zostanie kiedyś uznane za ważne dla polskiej kultury, wydarzenia o wielkim znaczeniu dla obecnej fazy malarstwa Lebensteina. Zaczęło się od pomysłu Józefa Sądziaka, by w roku 1972 zamówić u Lebensteina witraże do kaplicy i sali spotkań naszych dzisiejszych gospodarzy, księży palotynów, na rue Surcouf. Jednocześnie namówił ksiądz Sądziak Czesława Miłosza, by przetłumaczył z oryginału *Pismo Święte*. Obaj czuli

* Otrzymałem ostatnio z kraju *Folwark zwierzęcy* w tłumaczeniu mojej matki Teresy Jeleńskiej, wzorowo wydany przez Oficynę Wydawniczą. Wydanie to zawiera wspaniałe reprodukcje całego cyklu litografii Lebensteina.

porażkę uczonych przekładów biblistów, powołanych decyzją watykańskiego Soboru. Osiągniętą może ścisłość semantyczną przypłacono w nich utratą tchu, jedności, hieratycznej poezji tekstu Wujka. Pomysł Józefa Sądziaka, by zlecić Lebensteinowi ilustracje przekładu Miłosza, był wyrazem podobnej troski w zakresie plastycznym. Siła kulturotwórcza osobistych związków jest dziś niedoceniana, a przecież dzięki porozumieniu tej trójki przyjaciół powstało dzieło jakby w przewidywaniu chwili, gdy nakazem historii stanie się znalezienie formy niezbędnego dialogu między polską sztuką i Kościołem katolickim. Sprawa ta przerasta mnie z wielu względów. Pozostanę zatem przy Lebensteinie, gdyż byłem z obawą, nieśmiałością, rosnącym zrozumieniem, świadkiem powstawania jego rysunków i gwaszy do przekładu Miłosza. „Dla ateisty prawdziwego – pisze Miłosz w *Ziemi Ulro* – religia winna być godnym podziwu tworem ludzkiej wyobraźni”. Stosując ten cytat do siebie, dodam, że nie ośmieliłbym się czegokolwiek powiedzieć o wymiarze, który siłą rzeczy narzucił się artyście w ciągu tej pracy, właśnie dlatego, że owo „zewnątrz” skazuje mnie na powściągliwość. Ograniczę się do stwierdzenia, że z kwadraturą koła, jaką jest dziś sztuka sakralna, poradził sobie Lebenstein, odwołując się do tradycji i pozostając sobą. Wydaje mi się to receptą jedyną, a odkryć ją na nowo jest dziś niezmiernie trudno. Swobodniej się czuję, dzieląc się z Państwem mym wrażeniem, że krajobrazy Lebensteina równoległe z tą pracą malowane z natury w kanionach Colorado i w Alpach mają dostojność, wierność pierwotnej wizji, suwerenność, jaką może dać tylko dumą, gdy bez wysiłku przemienia się w pokorę, i że ten ostatni etap przypisuję drodze, jaką wybrał, by dać nam ujrzeć na nowo świat *Pisma Świętego*.

[7-8/1985]

Przeciw humanizmowi

Przystępuję do skreślenia moich poglądów na tak zwaną naturę człowieka, to jest do próby odpowiedzi na pytanie, czym ludzie są. Czynię to niechętnie z dwóch względów. Po pierwsze dlatego, że muszę tu użyć wielu danych dostarczonych przez innych, w szczególności przez przyrodników, czego bardzo nie lubię. Po drugie dlatego, że moje poglądy mogą wywołać niemałe oburzenie, i to u osób zazwyczaj bliskich mi poglądami; stąd muszę się liczyć z polemikami, napaściami itp., czego chciałbym uniknąć. Niestety, skoro raz postanowiłem ogłosić rozważania o sprawach mojego życia, nie da się uniknąć tego rodzaju uwag. Jest mianowicie tak, że inne moje myśli, np. o równości ludzi, o wojnie, zakładają pewną, jak mówią poetycko, wizję człowieka, czyli, prościej, pewne poglądy na to, czym ludzie są, a więc i czym ja jestem. Skądinąd wydaje mi się, że istnieje pewien obowiązek ogłoszenia tych rzeczy: jestem stary, nie mam już żadnej przyszłości i nic mi nie grozi od ludzi, zwłaszcza w kraju, gdzie uznaje się pewną wolność przekonań i gdzie w dodatku istnieje ubezpieczenie na starość. Staremu łatwiej jest takie rzeczy pisać niż młodemu, który musi się liczyć ze środowiskiem. Postanowiłem więc te rozważania ogłosić.

Zacznę od takiej oto uwagi. Natrafiamy w życiu na dwa rodzaje przedmiotów. Z jednej strony na pewne byty rzeczywiście istniejące w przyrodzie – np. na wulkany, pluskwy i urzędników skarbowych; następnie spotykamy poglądy, mniemania, wierzenia i tym podobne przedmioty nierzeczywiste, które bytują tylko w głowach ludzkich, a nie w świecie poza nimi. Do tego należą między innymi teorie naukowe, systemy filozoficzne, programy polityczne, ideologie, wierzenia religijne. Moja reakcja na te dwa rodzaje przedmiotów jest różna. Kiedy natykam się na jakąś rzecz niezwykłą – np. na bardzo wielką pluskwę albo bardzo uprzejmego poborcę podatkowego – dziwię się. Natomiast kiedy dowiaduję się o mniemaniach, wierzeniach itp., moją zasadniczą reakcją jest nieufność, krytycyzm. Tak na przykład kiedy czytam komentarz pana redaktora naczelnego mojej gazety do wypadków w Iranie i o spędzaniu płodu. Te dwie postawy znajdujemy także u filozofów: pierwszą, powiedzmy, u Arystotelesa, drugą u Kanta.

Otóż tej drugiej, kantowskiej postawy będzie mi potrzeba w rozmyślaniach o człowieku. Co prawda człowiek jest zwierzęciem zadziwiającym, jak to pięknie powiedział Sofokles:

Wiele jest dziwów na świecie,
Lecz człowiek największy dziw przecie,
On to w sine tonie mórz oślep się rzuca, nie zważa
że go pęd ryczących burz po drżących toniach wytarza...

Ale o tym człowieku naopowiadano tyle historyjek, że w rozmyślaniach o nim trzeba nam będzie zacząć od usunięcia fałszywych poglądów, ideologii, wierzeń i, aby to od razu jasno powiedzieć: zabobonów.

Najważniejszy z nich to humanizm, czyli po polsku człowiekochwalstwo. Jeśli mamy wierzyć naszym – dziwnie pod tym względem zgodnym – pisarzom, filozofom, politykom, duchownym, to humanizm jest dzisiaj najbardziej rozpowszechnionym wierzeniem. To jest główny, nienaruszalny dogmat niemal wszystkich systemów filozoficznych, wszystkich zgoła programów politycznych i bodaj przytłaczającej większości kazań wygłaszanych w naszych świątyniach. O wszystkim innym wolno, a nawet wypada wątpić, tylko nie o nim. Kto ośmiela się nie być humanistą, jest wyrzutkiem społeczeństwa, podłym barbarzyńcą.

Proszę zauważyć, że nie chodzi tu jeszcze o osądzenie humanizmu. Stwierdzam po prostu fakt, że on jest podstawowym wierzeniem ludzi piszących i mówiących publicznie, przynajmniej w naszej Europie. Co prawda samo stwierdzenie powszechności tego wierzenia zawiera już jakby zaczątek ujemnego o nim sądu. Bo kiedy wszyscy, albo prawie wszyscy, zgodnie coś twierdzą, owo coś jest z góry podejrzane. W każdym razie nieufność wobec takich rozpowszechnionych wierzeń jest jedną z kardynalnych zasad metody filozoficznej. Ale oczywiście jest to tylko podejrzenie. Aby wiedzieć, co nasz humanizm jest naprawdę wart, trzeba go będzie zanalizować.

I

A więc pierwsze pytanie: co to jest humanizm? Słowo ma kilka znaczeń – nazywa się np. „humanizmem” wykształcenie w kulturze greko-łacińskiej i jej rozumienie; mówi się też o „humanitarnym postępowaniu” – wtedy „humanizm” oznacza pewien typ moralności. Ale najważniejsze znaczenie tego wyrażenia, w jakim ja tutaj wyłącznie go używam, jest takie: humanizm to pogląd, zgodnie z którym człowiek (po łacinie: *homo*) jest czymś bardzo wartościowym, wzniosłym: „Człowiek to jest wielka rzecz”. Tak rozumiany humanizm jest po prostu wyrazem gorącej sympatii do człowieka. Co w tym kontekście znaczy „człowiek”, to inna sprawa, którą zajmę się za chwilę. Na razie wystarczy stwierdzić, że humanizm w szerokim tego słowa znaczeniu jest niczym innym, jak nazwą tego rodzaju uczuć.

Tylko że humanizm głoszony dzisiaj nie ogranicza się do tych ogólników, lecz zawiera obok sympatii także swoisty pogląd na człowieka, czyli, wyrażając się uczenie, antropologię filozoficzną, stanowiącą podbudowę wspomnianej sympatii. Jeśli dobrze rozumiem, na ten pogląd składają się przede wszystkim trzy twierdze-

nia. Po pierwsze, że człowiek jest istotą wyższą, to jest bogatszą, lepszą, godniejszą od innych istot w świecie. Po drugie, że owa wyższość jest nie tylko stosunkowa, ilościowa, ale także zasadnicza, jakościowa: człowiek ma nie tylko więcej inteligencji niż małpa, ale całkiem inny, wyższy rodzaj inteligencji. Po trzecie (tak przynajmniej u wielu humanistów), że człowiek jest czymś jedynym w swoim rodzaju, że jest wyniesiony ponad przyrodę, że żyje wprawdzie w świecie, ale do świata właściwie nie należy, nie jest częścią przyrody. Stąd człowiek jest często uważany przez humanistów za świętość, za wcielenie jakiejś wartości sakralnej.

Dla ścisłości wypada zauważyć, że obok powyżej opisanego – że tak powiem wulgarnego – humanizmu, istnieje jeszcze humanizm niektórych nowoczesnych filozofów, który można by nazwać pesymistycznym. Ten ostatni uważa wprawdzie człowieka za istotę zasadniczo różną od innych bytów, ale bynajmniej nie lepszą ani wyższą – przeciwnie, twierdzi się w tych kołach, że Człowiek jest czymś niezmiernie biednym i nieszczęśliwym. Co nie przeszkadza, że i ci filozoficzni humaniści uważają go za byt całkowicie różny od reszty stworzeń. Wobec tego jednak, że ta odmiana humanizmu jest mało rozpowszechniona, zajmę się tylko humanizmem wulgarnym.

Przystępując do jego analizy, wypada zacząć od znaczenia słowa „człowiek” – bo mało jest w gwarze humanistów słów równie mętnych jak ten właśnie rzeczownik. Proszę wziąć na przykład pod uwagę następujące trzy twierdzenia:

- (1) człowiek tworzy sputniki,
- (2) człowiek pochodzi od małpy,
- (3) człowiek to wielka i święta rzecz.

Kto tworzy sputniki (1)? Przecież nie Czesław, który nie tylko żadnego sputnika, ale jako żywo nawet taczek nie potrafi zmagistrować. Skądinąd to chyba nie gatunek ludzki – bo ja przynajmniej nigdy nie widziałem, by jakikolwiek gatunek cokolwiek zrobił. Owe sputniki zrobili pewni, niektórzy ludzie, ale ci, co się nad Człowiekiem unoszą zachwytem, zdają się przy tym także myśleć o ludzkości jako całości. Ale w (2) to nie tylko niektórzy ludzie mają od małpy pochodzić, i zapewne mowa jest nie o ludzkości, ale o wszystkich ludziach jednostkowych. Za to w (3) niepodobna o nich wszystkich myśleć, bo wtedy trzeba by powiedzieć, że Sinobrody, Stalin i ów brodaty ideolog, który morduje dziecko, aby zmanifestować swoje „rewindykacje”, są czymś wielkim i świętym. Chodzi więc zapewne raczej o człowieczeństwo, o coś, co mimo wszystko w każdym człowieku tkwi i co ma być właśnie godne i wielkie. Mamy, krótko mówiąc, do czynienia ze strasliwym myślowym bałaganem.

Co gorsze, ten bałagan jest nie tylko sprawą teoretyczną. Wielu rewolucjonistów powiada, że wszystko czyni dla dobra człowieka i właśnie dla tego dobra morduje, zabija pracą i niewoli miliony ludzi. Jakie takie uporządkowanie tego śmietniska pojęciowego, jakie za sobą zwykle wlecze humanizm, jest więc sprawą arcypraktyczną i nawet palącą.

Mnie się wydaje, że mamy do czynienia z pomieszaniem aż trzech różnych pojęć, a mianowicie pojęcia człowieka (przez małe „c”), to jest pojedynczego, jednostkowego człowieka; pojęcia człowieczeństwa – a więc jakiegoś zbioru cech każdemu człowiekowi właściwych; i wreszcie pojęcia gatunku ludzkiego, pojętego jako zbiorowisko, stado czy nawet rodzaj organizmu. Podobnie mielibyśmy pomieszanie pojęć mrówki-jednostki, mrówkowatości i mrowiska – albo krowy, krowowatości i stada obejmującego wszystkie krowy.

Pomieszenie tych pojęć, a w każdym razie dwóch ostatnich, zawdzięczamy – jeśli wolno się tak wyrazić – w znacznej mierze Hegłowi. Hegel był zupełnym ignorantem w logice – jak zresztą znakomita większość filozofów nowożytnych do XIX wieku włącznie. Temu trzeba m.in. przypisać, że pomieszał oderwane pojęcie człowieczeństwa z pojęciem ludzkości jako stada. Na próżno młody Marks buntował się przeciw temu niechlujstwu myślowemu – proszę np. przeczytać jego świetną krytykę heglowskiej filozofii prawa – i on uległ później czarowi Hegla. Za nim poszli jego uczniowie i wielu innych.

Ale jeśli mamy mieć jakiegokolwiek szanse na zrozumienie, czym jest człowiek, a więc czym jesteśmy my sami, trzeba stanowczo zerwać z tym kompromitującym prostactwem i myśleć tak, jak myślą zwykli ludzie, niezarażeni heglowską filozofią. Kto tak myśli, stara się widzieć to i tylko to, co stoi przed nim, po prostu. Otóż w świecie są tylko pojedynczy ludzie. To jest jedyna pełna ludzka rzeczywistość. Ci pojedynczy ludzie mają co prawda pewne cechy wspólne (np. każdy człowiek może kłamać) i istnieją między nimi różne powiązania, stosunki, relacje, wskutek czego pojedynczy ludzie tworzą grupy, zespoły, narody i tym podobne. Ale nie wolno zapominać, że gdy mowa o człowieku, chodzi w ostatecznej analizie zawsze i wyłącznie o jednostkę ludzką. Jeśli coś jest prawdą o wszystkich jednostkach, to tym lepiej. Że jednostka ludzka ma, że tak powiem, także wymiar społeczny, to rzecz pewna – ale to są wszystkie sprawy wtórne. Drugim wyrażeniem, które wymaga rozbioru, jest „wyższy”. Ogólnie mówiąc, nazywamy jedną rzecz „wyższą” od innej, kiedy jest lepsza, zdatniejsza do czegoś, sprawniejsza. Na przykład mówię, że moja nowa elektryczna maszyna do pisania jest wyższa od starej, mechanicznej (dokładniej: mówię, że należy do wyższej klasy albo wyższego typu) dlatego, że mogę na niej lepiej, łatwiej i szybciej pisać. W rzeczy samej umiem na niej napisać stronę w 12 minut, podczas gdy na dawnej potrzebowałem ich aż 15 (zechcą panny sekretarki nie uśmiechać się pogardliwie na moje ślimacze tempo). Takie jest moim zdaniem najogólniejsze znaczenie słowa „wyższy”.

Ale są przynajmniej dwa rodzaje wyższości, które chcę nazwać „stosunkową” i „zasadniczą”. Wyższość stosunkowa zachodzi, gdy niższa istota może wprowadzić daną rzecz zrobić, ale nie tak dobrze, nie tak łatwo i szybko jak wyższa – albo jeśli może w danej dziedzinie robić tylko prostsze, łatwiejsze rzeczy, a nie bardziej złożone. Tak na przykład możemy mówić o stosunkowej wyższości Czesława nad Danielem w stolarce, gdy obaj umieją wprowadzić zrobić taczki,

ale Czesław potrzebuje na to tylko trzech godzin, podczas gdy Daniel musi pracować godzin sześć, no i taczki Czesława będą lepsze, doskonalsze od Danielowych. Będziemy także mówili o stosunkowej wyższości w wypadku, gdy Daniel umie zrobić tylko ławkę, ale w przeciwieństwie do Czesława nie potrafi zrobić tacek.

Nasuwa się tu następujące pytanie. Załóżmy, że Daniel jest tak niedołączny, że niczego zgoła z drzewa zmaistrować nie potrafi. Czy wypada nam powiedzieć, że Czesław jest od niego zasadniczo wyższy w stolarce, tak jak jest wyższy od, powiedzmy, ślimaka? Wydaje się, że nie – że i tu wyższość jest tylko stosunkowa. Bo choć Daniel obecnie niczego z drzewa nie umie zrobić, to jednak mógłby się zasadniczo tej sztuki nauczyć. Za to nie widzę, jak mógłbym nauczyć stolarki ślimaka.

Aby zachodziła wyższość zasadnicza, potrzebne są dwa warunki. Musi najpierw być tak, że istota wyższa może coś w jakiejś dziedzinie zrobić (albo nauczyć się robić), a niższa nie może. Tak jest na przykład, kiedy chodzi o naszego Daniela i ślimaka w stolarce. Po drugie musi istnieć przynajmniej jedna dziedzina, w której pierwszy warunek jest spełniony, a która sama jest wyższa od dziedzin, w których niższa istota może coś zrobić. Nie wystarczy, że istnieje byle jaka dziedzina wyższości. Powiadają na przykład, że nietoperz umie się kierować fałami dźwiękowymi dla człowieka niedostępnymi – a przecież trudno go nazwać istotą zasadniczo wyższą od człowieka.

Co to znaczy, że jedna dziedzina jest wyższa od innej, niełatwo powiedzieć. Można najwyżej przytoczyć parę przykładów. Tak np. nazwiemy matematykę dziedziną wyższą od sztuki pływania w wodzie; podobnie uważa się, że tworzenie symfonii muzycznych jest czymś wyższym od rąbania drzewa. Przyjmuje się zwykle, że dziedziny stanowiące razem tzw. kulturę – a więc nauka, sztuka, religia – są wyższe od wszystkich innych.

Można by co prawda sądzić, że ta definicja jest kołowata, bo sprowadza wyższość istoty do wyższości dziedziny. Wydaje się jednak, że jest to, mimo wszystko, pewien postęp – bo dość samą w sobie mętną wyższość człowieka sprowadza do dużo jaśniejszej wyższości dziedziny, nad którą dyskusja jest możliwa. Warto więc tej ostatniej używać jako pojęcia pierwotnego, bez definicji. Bo wszystkiego nie można przecież definiować – gdzieś trzeba się zatrzymać.

Możemy teraz sformułować sens naszego humanizmu. Jego treścią jest bodaj następujące twierdzenie: *Każdy człowiek jest istotą zasadniczo wyższą od wszystkich innych istot w świecie.*

II

Dlaczego ludzie przyjmują to twierdzenie i uważają je za prawdziwe? Przeglądając humanistyczne piśmiennictwo, widzę, że głosi się je dzisiaj w większości wypadków bez żadnego zgoła uzasadnienia. Tak czynią nieraz przede wszyst-

kim nowocześni politycy i ideologowie. Używają, mniej lub bardziej świadomie, wypróbowanego sposobu przekonywania: powtarzać twierdzenie z wielką stanowczością, a bez żadnego uzasadnienia. Bodaj większość współczesnych, przynajmniej w Europie, daje się w ten sposób przekonać i humanizm przyjmuje.

Natrafiamy tu na zagadnienie, które mam nadzieję omówić, gdy będzie mowa o wierzeniach religijnych. Powiem na razie tylko tyle, że przyjmowanie bez żadnego uzasadnienia twierdzeń, które się uważa za ważne, jest nierozumne i, jeśli wolno użyć humanistycznego zwrotu, niegodne człowieka. Trzeba więc spytać, jakie to względy przemawiają za humanizmem.

Myśliciele różnych czasów przytoczyli wiele takich względów. Za wiele nawet, powiedziałbym – wygląda tak, jak gdyby rozpaczliwie szukano uzasadnienia czegoś, w co się wierzyło, zanim te dowody wynaleziono. Były one różne, zależnie od okresu i szkoły. I tak w starożytności i średniowieczu powoływano się w tym względzie przede wszystkim na ludzki rozum i mowę. Od czasu odrodzenia mówi się zwłaszcza o tzw. kulturze, a więc nauce, sztuce i religii. Od XVII wieku mniej więcej kładzie się nacisk na ludzką samoświadomość. Egzystencjaliści widzą istotną różnicę między nami a innymi zwierzętami w tym, że tylko my umiemy się trwożyć, a one nie. Wreszcie już w średniowieczu, a następnie u fenomenologów XX wieku uzasadniano nieraz naszą zasadniczą wyższość nad innymi stworzeniami, powołując się na ludzką zdolność do tzw. idealizacji, to jest poznawania bytów idealnych.

Rozpatrzmy pokrótce te uzasadnienia!

Zagłoba zgadza się z Arystotelesem o tyle, że według niego człowiek różni się od zwierzęcia „rozumem i mową” – a według greckiego filozofa ten sam człowiek jest *zoon logon echon* – żyjątkiem (taki przekład wymyślił Wąsik) posiadającym logos, a logos znaczy tutaj zarówno rozum, jak i mowę. I w rzeczy samej, rozpatrując subtelność naszego rozumu (przynajmniej w najlepszych egzemplarzach ludzkiego gatunku) i złożoność ludzkiej mowy, trudno nie dojrzeć ogromnej różnicy między nami a naszymi młodszymi braćmi i, co za tym idzie, ogromnej nad nimi wyższości. Temu nikt przytomny nie zaprzeczy. Sęk tylko w tym, czy owa wyższość jest naprawdę zasadnicza, istotna? Czy one są całkiem „bezrozumne i nieme”?

Otóż twierdzą stanowczo, że to jest nieprawda, że takie rzeczy może opowiadać tylko osobnik, który nigdy nie miał psa i nic o psach nie wie. Ja miałem wiele z nimi do czynienia i wiem, że nie są one ani bezrozumne, ani nieme. Zaczniemy od rozumu. W domu moich rodziców był jamnik imieniem Piwko. Otóż moja śp. matka miała zwyczaj przygotowywać w niedzielę zimną wieczerzę, którą stawiano zawczasu na stole. Ponieważ Piwkowa wszeteczność i przeżyłość były w domu dobrze znane, odsuwano krzesła od stołu, aby nie mógł się do jadła dostać. Ale to nie pomagało: bestia ciągnął zębami krzesło do stołu, wskakiwał na nie i z niego na stół, po czym wieczerza przygotowana na kilka osób zniknęła w jego dziwnie pojemnym brzuchu. Piwko miał też zwyczaj wkra-

dać się do szafki z żywnością, siedzieć w niej cicho, aż ją zamknięto, po czym wyjadał całą zawartość. Moja matka mawiała, że gdyby jamniki miały skrzydła, ród ludzki nie mógłby wytrzymać z nimi konkurencji. Rzecz pewna w każdym razie, że Piwko rozumował, i to nie gorzej od niejednego ludzkiego złodzieja. A jeśli o mowę chodzi, to czyż pp. humaniści nie zauważyli, jak piesek ogonem macha, aby powiedzieć, że jest zadowolony, że warknie na pobratymca, gdy zajęty jest kością, aby powiedzieć „wara”; że skamle, kiedy coś znalazł ciekawego? Nie potrzebuję się nawet powoływać w tym względzie na wyniki naukowców, którzy zgodnie twierdzą, że znaleziono u wielu zwierząt dość złożoną mowę i rozumowanie.

Rzecz jasna, że ta mowa i ten rozum są w porównaniu z ludzkimi biedne, proste, ograniczone. Jesteśmy niewątpliwie o tyle wyżsi od innych zwierząt, że posiadamy i rozum, i mowę znacznie lepiej rozwinięte, potężniejsze, sprawniejsze. Ale mówić o istotnej, zasadniczej różnicy – wolne żarty! Chodzi wyłącznie o stopień. Rozumowanie i mowa nie są wyłączną właściwością ludzi.

Bardziej przekonywające jest na pierwszy rzut oka oświeceniowe powoływanie się na kulturę.

Istotnie, kulturotwórczość jest zapewne cechą najjaśniej odróżniającą ludzi od innych zwierząt. Nawet mój Piwko nie napisał nigdy rozprawy z dziedziny topologii, niczego w rodzaju V Symfonii ani Bhaghawat-Gity. Nie potrafił też jako żywo zrobić cekaemu, a tym mniej pocisku nuklearnego.

Ale czy można powiedzieć, że nie ma u zwierząt niczego, co by odpowiadało naszej kulturotwórczości albo że to coś jest całkowicie, zasadniczo różne i niższe od niej? Wydaje mi się, że nie. Zaczniemy od techniki – bo ona, wbrew twierdzeniom nowoczesnych snobów, oczywiście należy do kultury. Widziałem sam w filmie zwierzę, które wyszukiwało sobie kamyk, aby nim muszlę rozbijać; wiadomo też, że małpa nieraz gałąź wyłamała i strącała nią banany. Wspomniany już Piwko używał krzesła jako narzędzia. Bobry budują zapory, aby wodę zatrzymać. Jakąś technikę więc niektóre zwierzęta mają. Także sztuka nie jest im całkiem obca. Pies wyje sobie do księżyca, a skowronki umieją wcale ładnie śpiewać. Nawet jeśli o religię chodzi, znaleziono podobno coś w tym rodzaju u mrówek – jakieś zebrania bardzo podobne do naszych nabożeństw.

Wydaje się więc, że możemy przyjąć istnienie u innych zwierząt jakichś zaczątków każdej z naszych czynności kulturalnych. I nie bardzo widać, dlaczego miałyby być one czymś zasadniczo różnym od naszych. Nie ma dowodu, by kulturotwórczość była wyłączną właściwością ludzi i wiele zjawisk zdaje się świadczyć, że tak nie jest.

Położenie jest podobne, jeśli chodzi o samoświadomość. Humanisci twierdzą nieraz, że tylko ludzie są świadomi sami siebie, a inne zwierzęta nie. Muszę się przyznać, że to jest jeden z najdziwniejszych poglądów, jakie kiedykolwiek spotykałem. Moim zdaniem zwierzęta, przynajmniej wyższe, posiadają samoświadomość.

domość, i to nieraz w wysokim stopniu. Posiada ją na przykład niewątpliwie krowa, która zdaje sobie doskonale sprawę ze swojego stanowiska w stadzie, o czym świadczy jej zachowanie. Nie jest to możliwe bez jakiegoś zrozumienia tego, czym ona sama jest. Jeden z moich znajomych, chłop z Gruyères (kraj, gdzie wyrabiają sławne sery), opowiadał mi, że jego ulubiona krowa (nazywał ją „Ljoba”, jak w *Rand des vaches*) zdechła ze zmartwienia, kiedy zastąpiono jej rozbity wielki dzwon mniejszym. Ta krowa miała wysokie mniemanie o sobie, a więc i samoświadomość. Pewnie, że nasza ludzka jest bogatsza, jaśniejsza, lepsza. Ale moim zdaniem nie można rozsądnie twierdzić, byśmy tylko my ją posiadali. Nie ma dowodu, by samoświadomość była wyłączną cechą ludzi i wiele zjawisk zdaje się przemawiać przeciw temu.

Według Kierkegaarda i jego uczniów wyłączną cechą człowieka ma być trwoga. Owa trwoga to nie strach. Bo strach, powiadają, jest zawsze obawą przed czymś – boję się na przykład złego psa – natomiast trwogę czuje się przed nicością, czyli przed śmiercią. Powiadają tedy, że inne zwierzęta znają wprawdzie strach, ale nie trwogę. Tylko my ludzie umiemy się trwożyć. „Człowiek jest tym bardziej człowiekiem – napisał Kierkegaard – im bardziej się trwoży”. Otóż, pomijając oczywiste pomieszanie pojęć w sprawie owej nicości (studentów pierwszego semestru paliłem bez litości za mniejsze głupstwa), nie bardzo wiem, co z tym rozumowaniem począć, bo nigdy żadnej trwogi w ich słowa znaczeniu nie zaznałem (z czego wynika, że dla nich w ogóle nie jestem człowiekiem), choć śmierci nieraz patrzyłem w oczy i wiele potężnego strachu przeżyłem. Wiem także z doświadczeń pierwszej mojej wojny (1920, w konnicy), że koń potrafi bać się śmierci bardziej niż człowiek. Mój przynajmniej, który był poprzednio ranny, aż się kurczył ze strachu na bliskie szczekanie cekaemu. Myślę też, że owa trwoga Kierkegaarda i jemu podobnych to wynik jakiegoś chorobliwego stanu autorów. Powiem więc, że nieprawdą jest, by istniała zasadnicza różnica między ludźmi a zwierzętami, polegająca na tym, że tylko ludzie się trwożą.

Natomiast ostatnia myśl humanistyczna, ta, która powołuje się na idealizację, wygląda znacznie poważniej. Stwierdza się, że ludzie są zdolni do poznawania przedmiotów zwanych „idealnymi”, na przykład matematycznych, i wartości. Czy takie przedmioty istnieją, o to spierają się myśliciele od czasów Platona. Jeśli o mnie chodzi, myślę, że istnieją i że ludzie umieją nieraz je poznać. O tyle więc mają humaniści rację. Chodzi jednak o to, czy tylko ludzie tę zdolność posiadają, czy przypadkiem nie znajdujemy czegoś podobnego także u innych zwierząt. Otóż nie jestem tego pewny, choć nie znam zjawisk, które całkiem jasno świadczyłyby o takiej zdolności u małp czy psów. Podejrzewam tylko, że i one nie są jej całkiem pozbawione. Podejrzewam tak głównie dlatego, że pewien rodzaj myśli oderwanej znajdujemy u innych zwierząt. Tak np. mają one nieraz pewne zrozumienie liczb i stosunków. Chryzyp, słynny logik grecki, miał

sprzęg logiczny, który nazywał „psim sylogizmem”: „pierwsze albo drugie, albo trzecie; otóż ani pierwsze, ani drugie, a więc trzecie”. Stwierdzał bowiem, że pies goniący za zającem używa tego sylogizmu na rozdrożu: obwąchuje pierwszą drogę, potem drugą, i skoro nie znalazł na nich zajęczego zapachu, już bez wąchania biegnie po trzeciej: wyciągnął logiczny wniosek. To dowodzi bezpośrednio tylko zdolności do rozumowania, nie idealizacji, ale u istot obdarzonych świadomością obie są jakoś związane, więc nie dziwiłbym się, gdyby wyższe zwierzęta i tę ostatnią posiadały. Trzeba też powiedzieć, że o tej dziedzinie niemal nic nie wiemy. Można więc chyba powiedzieć, że nie ma dowodu, że zdolność do poznawania bytów idealnych jest wyłączną cechą ludzi.

A więc żadne ze znanych mi uzasadnień humanizmu nie jest przekonujące.

III

Co więcej, istnieje kilka względów, które dość wyraźnie przemawiają przeciw humanizmowi.

Jest najpierw rzeczą jasną, że każdy człowiek ma głowę, kończyny, wątrobę, nerki, serce i tak dalej, jak małpy i owce. Różnice zachodzące między ciałem człowieka a ciałem, powiedzmy, szympansa, są nie większe, a przeciwnie, znacznie mniejsze niż te, które istnieją między szympansem a dżdżownicą. Temu chyba nawet najbardziej zajadły humanista nie zaprzeczy. Za to nie dostrzega się niekiedy, iż także w zachowaniu człowieczym znajdujemy wszystkie główne cechy zachowania małp i innych wyższych zwierząt. Weźmy na przykład Edwarda, urzędnika bankowego, i zacznijmy mu się przypatrywać o pół do siódmej rano. Znajdujemy go na legowisku, wprawdzie misternie skleconym i zwanym „łóżkiem”, ale przecież legowisku, śpiącego jak wróbel w gnieździe. Budzi się, ziewa jak pies. Myje się, to jest idzie do wody, jak słoń. Potem je, a zjadłszy, idzie do swojego banku. Żadne inne zwierzę co prawda do banku nie chodzi (chyba na smyczy z człowiekiem), ale jeśli się zastanowić nad sensem pracy Edwarda w banku, łatwo dojrzeć, że jest to zespół – bardzo trzeba przyznać złożony – czynności, mających na celu jedno tylko: zarobek, to jest, w gruncie rzeczy, jado. Marsz Edwarda do banku to w gruncie rzeczy to samo co wychodzenie szakala na polowanie. Nasz Edward śpiewa w chórze parafialnym – ale psy także wyją do księżycy, choć nie tak pięknie. Edward potrafi też pięścią zdzielić znajomego, który zanadto się do jego narzeczonej zaleca – dokładnie jak każdy samiec w podobnej sytuacji. No, i czasem idzie kupą na „wroga”, tak samo jak wilcy stadem ruszają na zdobycz. Człowiek jest zwierzęciem. Wniosek: Każdy człowiek posiada wszystkie główne cechy innych ssaków.

Zarazem ludzie dzisiejsi pochodzą od zwierząt, które ludźmi nie były. Rozwój do obecnego, człowieczego stanu trwał wiele tysiącleci i było wiele postaci pośrednich. Mówiło się dawniej, że człowiek pochodzi od małpy. Stąd złośliwe

pytanie zadane przez anglikańskiego arcybiskupa Tomaszowi Huxleyowi: „Czy pan szanowny od małpy przez Swoją prababkę czy Swojego pradziadka pochodzi?”. Dziś nikt tego nie mówi. Ale niech się nasi humaniści nie cieszą pochopnie – bo choć zgodnie ze współczesnym stanem zoologii człowiek nie pochodzi od małpy, to jednak pochodzi od jakiegoś zwierzaka jeszcze pierwotniejszego, który jest także przodkiem małp dzisiejszych.

Powie mi ktoś, że to tylko teoria. Niewątpliwie: jest to teoria naukowa i jako taka nie jest bezwzględnie pewna. W zasadzie mogłoby być także całkiem inaczej. Tylko że w obecnym stanie naszej wiedzy niepodobna rozsądnie w jej prawdziwość wątpić, tak mniej więcej, jak nie można wątpić, że Ziemia obraca się wokół Słońca – choć teoria śp. ks. kanonika Kopernika jest także tylko teorią. Powiedziałbym, że mało jest w zoologii poglądów równie dobrze uzasadnionych jak ten. Jestem, jeśli o mnie chodzi, w tym szczęśliwym położeniu, że znałem dobrze dwóch wybitnych zoologów, bardzo owej teorii niechętnych (byli tak zwanymi spirytualistami, tj. zakładali, że w człowieku jest „duch” istotnie wyższy od zwierzęcej świadomości). Otóż obaj powiedzieli mi, że dziś o teorii pochodzenia ludzi od nieczłowieczych zwierząt poważnie wątpić nie można. Człowiek nie tylko posiada wszystkie główne cechy innych zwierząt, ale ma także wspólne z nimi pochodzenie. Ergo, każdy człowiek dzisiejszy jest potomkiem jakiegoś nie-człowieczego zwierzęcia.

Dochodzą do tego jeszcze dwie myśli uboczne, których uzasadnienie wydaje mi się mniej pewne, ale które zasługują przecież na wymienienie.

Chodzi najpierw o ogrom wszechświata. Humanisci mówią nieraz tak, jak gdyby człowiek był nie tylko na Ziemi, ale i w świecie istotą jedyną, wyniesioną ponad całą przyrodę. Otóż ten pogląd nie jest na niczym oparty. Bo świat, jakim go obecnie znamy, jest naprawdę ogromny. Eddington pisał ongiś, że nasza mgławica składa się z około stu milionów gwiazd i że istnieje prawdopodobnie równie wiele innych mgławic. Dziś, o ile wiem, mowa jest już nie o milionach, ale o miliardach. O niektórych gwiazdach wiemy, że posiadają planety. W tych warunkach prawdopodobieństwo, że istnieją we wszechświecie inne cywilizacje, inne istoty rozumne, podobne do nas, wydaje się *a priori* znaczne. W rzeczy samej, astrofizycy (Sagan i Szklowski) wysunęli w latach sześćdziesiątych hipotezę, zgodnie z którą byłoby ich około 10 000. Jakkolwiek by z tym było, twierdzenie, że życie inteligentne istnieje tylko na Ziemi, jest najzupełniej bezpodstawne. Jeśli wolno coś założyć w tej sprawie, to raczej, że nie jesteśmy bynajmniej wyjątkiem. We wszechświecie istnieją prawdopodobnie stworzenia równe ludziom albo od nich wyższe.

Wreszcie uwaga o rzekomej wyższości moralnej ludzi. Mówi się, że Człowiek (zawsze przez wielkie „C”) jest nie tylko pod względem umysłowym, ale także jeśli chodzi o uczucia i moralność istotą wyższą od innych zwierząt. Otóż i to twierdzenie jest chyba bezpodstawne. Jestem wprawdzie przekonany, że uczucia, jakie przeżywa na przykład kochająca kobieta, są głębokie i mocne, ale

– błagam piękne panie, by mi nie miały za złe moich poglądów – wydaje mi się, że wierny pies przeżywa nie mniej żywe i nie mniej mocne uczucia, gdy cieszy się z powrotu swego pana. A gdy o moralności mowa, to znamy, rzecz pewna, bohaterów i świętych, ale znamy także zbrodniarzy. Co gorzej, ludzie i tylko ludzie popełniają chronicznie czyny, które nasza moralność potępia, a które są w świecie innych zwierząt całkiem albo prawie całkiem nieznanne. Tylko ludzie zabijają stale innych ludzi, a więc osobników należących do tego samego co oni gatunku – wojna jest przecież zjawiskiem towarzyszącym całym naszym dziejom. Ludzie i tylko ludzie męczą umyślnie i okrutnie innych przedstawicieli swego gatunku. Przypisywanie ludziom moralnej wyższości nad innymi zwierzętami jest bodaj jeszcze bardziej bezpodstawne niż zakładanie ich rzekomej zasadniczej wyższości w innych dziedzinach. Ze stanowiska zwykłej ludzkiej etyki przeciętny człowiek nie jest moralnie lepszy, jest raczej gorszy od innych zwierząt.

Niezależnie od tego wszystkiego humanizm jest *a priori* podejrzany. Rzecz w tym, że każdy z nas jest skłonny do pochopnego uznawania za prawdziwe tego co mu miłe. A miło jest myśleć, że się jest czymś bardzo wielkim i wzniosłym, czyli że humanizm jest prawdą. Nie tylko moja przyjaciółka Fanny (szpetna jak noc) wierzy, że jest ładna, a mój dobry kolega Gawel, że jest najlepszym pilotem na lotnisku (choć lata jak niedorozwinięty nosorożec): każdy z nas jest taki. A więc tworzymy humanizm. Myślę, że gdyby krokodyle mogły wyrazić swoje uczucia, utworzyłyby na pewno krokodylizm. Jest to jeszcze jeden powód, by takim historyjkom nie wierzyć.

Zbierając razem osiągnięte wyniki, mogę więc, opierając się na doświadczeniu i rozumowaniu, to jest w ramach wiedzy powiedzieć, że:

po pierwsze – jestem na pewno i w pełni *z w i e r z ę c i e m*;

po drugie – jestem bardzo prawdopodobnie tylko *z w i e r z ę c i e m*;

po trzecie – nie widzę żadnego powodu, by uważać siebie samego, innych ludzi, człowieczeństwo czy gatunek ludzki za coś *p o n a d p r z y r o d z o n e g o*, a tym bardziej świętego.

Tak więc humanizm naukowy jest fałszem, a nawet sprzecznością, czymś w rodzaju drewnianego żelaza albo kwadratowego koła. Bo nauki zdają się być zgodne w przeczeniu, by ludzie byli czymś zasadniczo różnym od innych zwierząt – a to właśnie twierdzi „naukowy” humanizm. Taki humanizm jest więc, jak powiedziałem we wstępie, zabobonem.

Uwaga marginesowa: pogląd tutaj przedstawiony nie jest materializmem, ale raczej jego odwrotnością. Materializm sprowadza mianowicie człowieka do zwierzęcia, usiłując dowieść, że czynnik specyficznie ludzki, duch, nie istnieje. Natomiast tutaj usiłowano sprowadzić zwierzę do człowieka, bynajmniej nie przecząc istnieniu ducha, ale starając się wykazać, że trochę tego ducha jest i w piesku, i w delfinie.

IV

Z tego, że humanizm zwany „naukowym” jest zabobonem i nie wytrzymuje krytyki, nie wynika jeszcze, by każdy humanizm był taki. Bo poza naukowym istnieją przynajmniej dwa inne rodzaje humanizmu, a mianowicie humanizm oparty na intuicji i humanizm religijny.

W pierwszym przypadku humanista twierdzi, że ma jakiś bezpośredni wgląd w swoją własną, a tym samym i innych ludzi, wyższość i godność.

Niestety, ja sam tak przyjemnego wglądu nie mam: im bardziej się sobie przypatruję, tym bardziej widzę, że jestem po prostu bardziej rozwiniętym zwierzęciem. Mocno podejrzewam, że położenie innych ludzi, choć lepszych ode mnie, jest podobne. Nie wiem więc, co z takim „intuicyjnym” humanizmem począć.

Drugi rodzaj humanizmu nienaukowego oparty jest na wierze. Jeśli ktoś wierzy na przykład, że w człowieku jest „obraz Boży”, jak uczy Księga Rodzaju, to jest to jego dobre prawo i nie można tej wiary nazywać zabobonem – ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze, że nie będzie się starał swoich wierzeń podpierać nauką, bo takiej podpórki (której poważna wiara zresztą nie potrzebuje) w nauce nie znajdzie. Po drugie, że nie będzie szukał wyższości człowieka w jego rzekomym rozumie, mowie, samoświadomości, kulturze i tym podobnych – bo zdaje się być rzeczą jasną, że człowiek nie jest pod tymi względami czymś wyjątkowym.

W każdym razie nawet jeśli się przyjmie humanizm typu religijnego, wnioski naturalistyczne pozostają w mocy: że człowiek jest w pełni zwierzęciem, że nie różni się zasadniczo od reszty zwierząt pod żadnym względem, jakkolwiek byłaby jego godność oparta na wierzeniach religijnych. A jeśli tak, wolno wyciągnąć z tych rozważań szereg dość ważnych wniosków.

Niektóre spośród nich należą do filozofii – na przykład, że nie ma zasadniczej różnicy między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi, że każda filozofia, która zaczyna od człowieka i jest na ludziach ześrodkowana – tzw. filozofia antropocentryczna – jest kiepską filozofią; że etyka powinna być oparta na prawach biologicznych i tym podobne.

Ważniejsze są wnioski praktyczne, jakie wyciągam dla mojego własnego życia. Aby zacząć od sprawy podstawowej: skoro ani ludzie, ani ludzkość nie są jako żywo niczym świętym, ale po prostu częściami przyrody, trudno zrozumieć, dlaczego miałbym siebie, moje życie itp. poświęcać służbie tym twórcom. Skądinąd naturalistyczny pogląd uniemożliwia także przesadne o mnie samym mniemanie, czyli pychę; a wiemy z doświadczenia, że pycha jest jedną z najszkodliwszych rzeczy dla szczęścia. Ten sam pogląd chroni też od grozy, w której zdaje się żyć tylu współczesnych, bo wydaje im się, iż ich życie zależy od widzimisie, więc w gruncie rzeczy nie ma żadnego sensu, podczas gdy mój pogląd temu zaprzecza. Wreszcie ten sam pogląd daje mi klucz do zrozumienia mojego miejsca w świecie – i zarazem klucz do zachowania się, tj. etykę.

Chodzi nie tylko o pogląd praktycznie wartościowy, bo pozwalający na wyciągnięcie dobrych wniosków. Jest on poza tym i przede wszystkim prawdziwy. Ja przynajmniej nie widzę, jak w obecnym stanie ludzkiej wiedzy można by było uznać sprzeczne z nim humanistyczne poglądy.

[11/1985]

O naszej Europie

Dnia 21 stycznia 1986 odbyła się na University of Michigan, Ann Arbor, konferencja poświęcona kulturze Europy Środkowej. Celem jej było przeciwdziałanie „jałtanizacji” programów uniwersyteckich w Ameryce, wyrażającej się brakiem w nich miejsca dla krajów położonych między Rosją i Niemcami. Główne referaty odczytali: Czesław Miłosz, György Konrád z Budapesztu, Daniilo Kiš z Belgradu, Tomas Venclova wykładający w Yale i Jozef Škvoreckí, powieściopisarz czeski mieszkający w Toronto. Podajemy tekst referatu Miłosza w jego własnym przekładzie z angielskiego.

Zakładam, że istnieje coś takiego jak Europa Środkowa, mimo że wiele osób zaprzecza jej istnieniu, poczynając od polityków i dziennikarzy, którzy uparcie nazywają ją Europą Wschodnią, a kończąc na moim przyjacielu Josifie Brodskim, który woli zarezerwować dla niej nazwę Azji Zachodniej. W tych dziesięcioleciach dwudziestego wieku Europa Środkowa zdaje się istnieć tylko w umysłach niektórych jej intelektualistów. Jednakże przeszłość tego regionu, wspólna mimo wielu jego języków i narodowości, jest tam zawsze obecna i bardzo konkretna dzięki architekturze tamtejszych miast, tradycji tamtejszych uniwersytetów i dziełom poetów. Również teraźniejszość nie jest pozbawiona znaków wskazujących na jedność, której zdaje się przeczyć różnorodność. Zastanawiając się nad literackimi utworami pisanymi w języku czeskim czy polskim, węgierskim czy estońskim, litewskim czy serbsko-chorwackim, odnajduję w nich pewien ton i pewną wrażliwość, nie do znalezienia gdzie indziej, bo ani w zachodnioeuropejskim, ani w amerykańskim, ani w rosyjskim piśmiennictwie.

W tym referacie postawiłem sobie niewdzięczne zadanie: staram się określić specyficznie środkowoeuropejskie postawy czy sposoby myślenia. Zadanie jest niewdzięczne, bo przy tego rodzaju próbach nie rozporządzamy dokładnymi narzędziami analizy i musimy z góry zgodzić się na nieostrość, choćbyśmy chcieli się jej ustrzec.

Europa Środkowa nie jest pojęciem geograficznym. Nie jest łatwo wytyczyć jej granice, choć idąc ulicami jej miast, trudno wątpić o jej upartym życiu, czy to będzie w moim barokowym Wilnie, czy w inaczej barokowej Pradze, czy w średniowieczno-renesansowym Dubrowniku. Uczucia i myśli jej mieszkańców muszą wystarczyć do nakreślenia linii mentalnych, które zdają się być trwalsze niż granice państw.

Najbardziej uderzającą cechą środkowoeuropejskiej literatury jest świadomość historii, zarówno dawnej, jak obejmującej dzień dzisiejszy. Świadomość ta

wyraża się w ujmowaniu różnych tematów, niekoniecznie historycznych, i można ją wysłedzić w wierszach miłosnych czy w powieściach zajmujących się miłosnymi powikłaniami. Narratorzy i postacie, które pojawiają się w tych utworach, żyją w czasie inaczej modelowanym niż czas w utworach zachodnich. Wypadki danego politycznego dziesięciolecia, ale także dziesięcioleci, które te osoby ukształtowały, również wypadki towarzyszące życiu ich rodziców, stale przeblęskują w tle i wprowadzają wymiar rzadko spotykany u zachodnich pisarzy. U tych ostatnich czas jest neutralny, bezbarwny, nieważki, płynie bez zygawków, nagłych zakrętów, stromych progów, podczas gdy u tych pierwszych jest intensywny, spazmatyczny, pełen niespodzianek i, rzecz można, bierze aktywny udział w opowieści. Dzieje się tak dlatego, że czas kojarzy się z niebezpieczeństwem zagrażającym istnieniu narodowej wspólnoty, do której należy dany pisarz. Podejrzewam, że wyobrażenia historyczna zawsze karmi się pamięcią zbiorową i poczuciem zagrożenia. W tym względzie widzę podobieństwo pomiędzy literaturą środkowoeuropejską i literaturą żydowską.

Narody tej części Europy, nawet jeżeli niektóre z nich mają za sobą okresy świetności i dobrobytu, od dawna zaznają obcego panowania, które grozi utratą ich narodowej tożsamości. Były one uciskane przez wrogów, czy byli to Turcy, Austriacy, Niemcy czy Rosjanie. Klęska Niemiec w pierwszej wojnie światowej i rozpad monarchii Habsburgów oraz rosyjskiego cesarstwa przyniosły w skutku pojawienie się organizmów, których same nazwy, symboliczne czy prekursorские, mogą zapowiadać federalistyczne dążenia w przyszłości: Czechosłowacja, złożona z Czechów i Słowaków, oraz Jugosławia złożona ze Słowian południowych. Po krótkiej przerwie rosyjsko-niemiecki pakt 1939 roku położył kres narodowej niepodległości na tym obszarze, podczas gdy druga wojna światowa zakończyła się powrotem do nieznośnej sytuacji z wieku ubiegłego, z tą różnicą, że imperium sowieckie przejęło władzę po trzech obalonych monarchiach.

Smutne dzieje. Nie jest jednak pewne, że wielkość i potęga państw idą w parze z rozkwitem nauki, sztuki i literatury. Nie brak przykładów na prawdę wręcz odwrotną i nie można wykluczać, że nieprawdopodobne gąszcz i labirynty politycznych opresji są niezbędne, żeby pobudzić ludzkiego ducha, choćby po to, żeby uwolnił się od nich i zaznaczył swoją suwerenność.

Słyszę zarzut, że ktokolwiek mówi o Europie Środkowej, wskrzesza widmo Mitteleuropy, bo tak czy owak obszar ten musi być albo strefą wpływów rosyjskich, albo niemieckich. Na to odpowiem, że jeżeli tak ma być zawsze, pakt Ribbentrop–Mołotow 1939 roku, który dokonał podziału terytoriów, był zaiste wiekopomny. Trzeba jednak przyznać, że moja Europa jest domeną zacieklej nacjonalizmów, zwróconych przeciwko zewnętrznej kontroli, ale również zwracających się jeden przeciwko drugiemu i, jako taka, może być łatwo odpisana na straty, ponieważ, skoro stanowi potencjalne ognisko zadrążeń, dobrze, że ma przynajmniej jednego strażnika. Gdyby nie rządy Moskwy – brzmi argument – narodowości tego regionu skoczyłyby sobie do gardeł. Spójrzcie tylko na spory

węgiersko-rumuńskie, słowacko-węgierskie, polsko-ukraińskie, polsko-litewskie. Ten stary argument obrońców kolonialnego *status quo* ma niezbyt dużą siłę przekonywającą, a jeżeli o nim wspominam, to dlatego, że intelektualista, należący do jednej z narodowych grup, jest w znacznym stopniu kształtowany przez nacisk, jakiemu poddaje go dana narodowa wspólnota. Jeżeli jest pisarzem, tradycja nakazuje widzieć w nim przywódcę, wychowawcę, obrońcę, Świętego Jerzego walczącego ze smakiem. Może protestować, bo romantyczny nacjonalizm wydaje mu się przebrzmiały, niemniej przez sam swój opór wchodzi w szczególny związek z ludźmi swego języka: jego wyobrażenia historyczna zależą od tej więzi. Dotykam tutaj zagadnienia zbyt złożonego jak na krótki odczyt. W każdym razie znajduję dość powodów, żeby wierzyć, że najbardziej energiczne umysły w krajach, o których mówię, skutecznie opierają się narodowemu szowinizmowi i reprezentują znaczną siłę, zdolną pracować na rzecz zjednoczenia Europy Środkowej; w każdym razie mają poczucie wspólnych jej losów i tych cech, które różnią ją od jej wielkich sąsiadów z zachodu i wschodu.

Upokorzona narodowa duma jest zwykle żyznym gruntem dla złudzeń, litoowania się nad sobą i przeróżnych mitologii. Obserwując to, mieszkaniowiec gorszej Europy otrzymuje zaprawę w ironii. Samo bycie Polakiem, Czechem albo Węgrem staje się przedmiotem tej ironii i zabarwia jego stosunek do życia. Dzielny wojak Szwajk, który powtarza dawną grę niewolnika Ezopa z jego panem, zyskuje więc trwałe znaczenie. Ironia znajduje dość pokarmu w obecnym międzynarodowym układzie, gdyż ten jest zniewagą dla rozumu. W erze antykolonializmu, w tej samej chwili kiedy rozpadały się imperia brytyjskie i francuskie, niepodległe państwa połowy Europy zostały zamienione w kolonialne satrapie kontrolowane z zewnątrz. Podstawowym faktem są granice imperium i garnizony jego armii, podczas gdy mentalność narodu panów jest odczuwana przez podbitą ludność jako obca, niemal niemożliwa do zrozumienia i barbarzyńska. Rosyjski samopodziw, więcej, samouwielenie, wykracza poza zwykłe granice narodowej pychy i nosi znamię dziewiętnastowiecznego mesjanizmu, który w tej części świata nie zostawił dobrych wspomnień. Podobnie rosyjska współczesna literatura i sztuka, trzymająca się *clichés*, zastygła wskutek cenzury, wydaje się jałowa i mało pociągająca. A przecie niezliczeni Szwajkowie muszą w swoich stosunkach z Rosjanami udawać nabożny szacunek i wdzięczność wobec wielkiego brata.

Oczywiście, jest marksizm. Dziesięciolecia komunistycznych rządów wprowadziły radykalne zmiany na całym tym obszarze, obalając społeczne przegrody, urbanizując ludność i tworząc społeczeństwo masowe. Ten proces miał odpowiednik w przemianach, jakie zaszły w zachodniej Europie wskutek samego postępu technicznego. Były tam one przykładem egalitarnych tendencji naszej epoki. Co zdarzyło się jednak po zdobyciu władzy przez komunistów w mojej części Europy, może być porównane do baśni o geniuszu wypuszczonym z butelki. Przestając być chłopami, którzy odnosili się raczej obojętnie do narodowe-

go dziedzictwa, robotnicy przemysłowi ukazują się jako nosiciele aspiracji zarówno narodowych, jak wolnościowych. Na przykład ruch „Solidarności” w Polsce jest typowy dla połączenia społecznej rewolty z niechęcią do rządu się obcych. Gwałtowny i narzucony gwałtem skok rzucił te kraje daleko od tego, czym były przed drugą wojną światową, co przyniosło w wyniku nowe konflikty i nowe cierpienia.

Wyobraźmy sobie teraz środkowoeuropejskiego intelektualistę spotykającego kolegów z zachodniej Europy, Ameryki i Ameryki Łacińskiej. Jak długo milczy albo w rozmowie oszczędza wrażliwość swoich rozmówców, wszystko idzie dobrze. Kiedy jednak zaczyna mówić swobodnie, ma wrażenie, że patrzają na niego jak na potwora ironii i cynizmu. To nieporozumienie jest z pewnością jednym z najdziwniejszych zjawisk, jakie można obserwować dzisiaj i jego dokładne zbadanie pozwoliłoby prawdopodobnie wnikać w samo sedno trudności człowieka współczesnego. Wskazówką jest tutaj niewątpliwie stosunek naszego intelektualisty do marksizmu. Wyczuwa on pewną aurę dookoła tego słowa, rodzaj nabożnej czci, i to również u ludzi dalekich od politycznych zaangażowań. On sam nie podaje się ani za marksistę, ani za antymarksistę, po prostu wzrusza ramionami i uśmiecha się, bo wie za dużo. Istnieją, jego zdaniem, tematy demoniczne, do których trzeba podchodzić ostrożnie, jako że liczne pułapki i pokusy czekają tam na nierozważnych. Marksizm apeluje do szlachetnych odruchów w człowieku i stąd jego siła przyciągania. Nie można zakomunikować prawdy o nim komuś, kto nie widział go w akcji. Niemniej jego produkt, biurokratyczno-totalitarne państwo, monopolizujące wszelką polityczną i gospodarczą władzę, zostało proroczo opisane przez autora rodem z Pragi, Franza Kafkę. Bezpośrednie doświadczenie przyczyniło się do faktu, że najbardziej jak dotychczas wyczerpujący zarys dziejów filozofii marksistowskiej wyszedł spod pióra innego środkowego Europejczyka, Leszka Kołakowskiego.

Przymiotnik „demoniczny” zastosowany do marksizmu nie jest przesadą. Po pierwsze, liczba ludzi zamordowanych albo zadręczonych na śmierć w jego imię wielokrotnie przewyższa liczbę ofiar narodowego socjalizmu. Po drugie, doktryna obiecująca obumieranie państwa doprowadziła do pojawienia się wszechpotężnego państwa z jego wszechobecną policją. Po trzecie, zamiast żeby skończył się ucisk człowieka przez człowieka i znikła alienacja, zamknięto człowieka w strefie alienacji całkowitej, gdzie jednostka nie należy do siebie, zarówno dosłownie, jak przenośnie.

A jednak spotkanie mojego intelektualisty z jego zachodnimi rozmówcami jest utrudnione przez trwały wpływ systemu na jego myśl. Spetryfikowana doktryna marksistowska w jego krajach jest nie więcej niż liczmanem, niemniej praktyczne jej wyniki są namacalne. Przede wszystkim duża liczba ludzi została tam uwolniona od przekleństwa Adama, czyli pracy w pocie czoła. Jeżeli, jak mówią w Polsce: „Państwo udaje, że nam płaci, a my udajemy, że pracujemy”, możemy mówić o odwróceniu warunków kapitalistycznych, gdyż strach ekono-

miczny, strach przed bezrobociem, w znacznym stopniu tam znika, zresztą tak czy owak czas pracy jest tam zużywany na działalność równoległą, na zdobywanie rzeczy albo pieniędzy przez prywatne transakcje, stanie w kolejkach *etc.* Może nie stosuje się to do ciężkiego przemysłu, ale masy urzędników, często ledwo piśmiennych, potwierdzają ten wzór, tak zresztą jak chłopci, czy zostali skolektywizowani, czy nie, z ich prywatnym sektorem gospodarki. Powstały tam nawyki co do funkcji jedyne go pracodawcy, państwa. Wymaga się od niego, aby dostarczało każdemu minimum środków do życia i czyni się je odpowiedzialnym za brak towarów na półkach sklepów. Strach więc przesunął się z dziedziny ekonomii w dziedzinę politycznego nadzoru. Imigrantom z bloku sowieckiego do krajów zachodnich niełatwo przychodzi zrozumieć zasadę polegania każdego na sobie, która zakłada nędzę, bezdomność albo głód jako karę za przegraną. Wszystko to nie pozostaje bez wpływu na umysł środkowoeuropejskiego intelektualisty. Szukając takich zachodnich rozmówców, którzy by wykazali zrozumienie dla jego poglądów, zauważa, że tylko konserwatyści biorą poważnie jego wstręt do politycznego ucisku i jego obronę wolności. Liberalowie zdają się mieć uszy zamknięte, bo ich prawdziwą pasją jest bicie się w piersi i nienawiść do kapitalistycznego systemu. Jednak postać, o której mówię, nie może być sprzymierzeńcem konserwatystów, z wyjątkiem chyba polityki zagranicznej, ponieważ uznaje za pewne, że *welfare State* odpowiada ludzkiej elementarnej potrzebie przyzwoitości i potrzebie bezpieczeństwa. Zdaje sobie sprawę z dylematów, które powstają, kiedy opieramy się na państwie i jego mnożąc się bez końca biurokracji, ale ma nadzieję, że mogą one być zażegnane bez wyrzekania się wolnych decyzji jednostki.

Jeżeli jego sposób myślenia może wydać się ludziom Zachodu dziwny, dzieje się tak, podejrzewam, dlatego, że nosi on ślady heglizmu, który stał się u niego niemal instynktowny. Mój środkowy Europejczyk rozumie w kategoriach ruchu historii i życia idei, których zwycięstwo albo rozkład wskazują, w jakim kierunku pójdą ludzkie społeczeństwa.

Zafascynowanie Marksem, widoczne przez kilka dziesiątków lat u najbardziej twórczych artystów i myślicieli, świadczyło, jego zdaniem, o sile rewolucyjnego nurtu. Teraz jednak marksizm został zarzucony u góry, przez elitę, zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie, a równocześnie przyciąga umysły niższe i rozpowszechnia się wśród ludzi dopiero wychodzących z analfabetyzmu. Podobne zsuwanie się od góry do warstwy powszednich mitów charakteryzuje myśl Freuda. Jakaż więc jest prognoza? Prawdopodobnie taka: dziewiętnastowieczne pojęcie „naukowości” musi odbyć swoją drogę. Marks chciał dedykować swój *Kapitał* Darwinowi, i chociaż Darwin propozycji nie przyjął, więc pomiędzy różnymi naukowymi i pseudonaukowymi teoriami ewolucji jest oczywista. Ponieważ człowiek nowoczesny został wychowany w duchu dziewiętnastowiecznej nauki, marksizm nadal przyciąga wielu, choć usycha stopniowo od góry, gdzie jego koherencja jako filozofii została podana w wątpliwość. Przesza-

dzając nieco, powiedziałbym, że środkowy Europejczyk jest skłonny dzielić ludzi, gdziekolwiek ich spotyka, na trzy kategorie: protomarksistów, marksistów i postmarksistów, do tego stopnia poważnie odnosi się do idei – sił wcielonych w główne filozoficzne kierunki jego epoki.

Czy świat jego jest apokaliptyczny? Nie w tym sensie, w jakim jest apokaliptyczny dla wielu pisarzy Zachodu. Wygląda na to, że odrzuca on rozmyślanie nad możliwymi skutkami wojny nuklearnej jako bezużyteczne i przesuwając samą możliwość wojny w dziedzinę absurdu humoru po to, żeby pisać opowiadanie o chłopskim weselu, na którym pijani goście używają w bitce nie noży, ale broni atomowych, albo o rakiecie międzykontynentalnej umieszczonej przez władzę na czymś prywatnym balkonie. Za to ponure wizje przyszłości w innym, być może głębszym, znaczeniu pojawiają się często w literaturze tej części Europy. Nie zapominajmy, że słowo „robot”, dziś powszechnie przyjęte, zostało wprowadzone przez Karela Čapka i że powieści oraz sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza okazały się prorocze. Opisał on z góry, przed Orwellem, totalitarne rządy partii „niwelistów” i los artystów kontrolowanych przez, jak je nazwał, Ministerstwo Mechanizacji Kultury. Przyszłość w takich utworach jest rozpatrywana w odniesieniu do wewnętrznego rozkładu społeczeństwa burżuazyjnego, które jest zbyt słabe, aby skutecznie opierać się „niwelistom” – ci zdobywają władzę i likwidują swoich oponentów. Tutaj natrafiamy na główny składnik dzisiejszej krytyki Zachodu, równoległej, choć nie identycznej z antyzachodnią propagandą, bez ustanku uprawianą przez niwelistów, czyli partie komunistyczne. Propaganda mówi o dekadencji kapitalizmu, której przeciwstawia zdrowie tak zwanych socjalistycznych społeczeństw. Nie potrzeba jednak wyjątkowej przenikliwości, żeby zauważyć, że słowo „dekadencja” można zastosować do obu stron, jeżeli, a przyjmuję, że jest to poprawne, dekadencja oznacza utratę pojęć dobra i zła. Całkowita relatywizacja dobra i zła przez uzależnienie ich od społecznych kryteriów danego historycznego momentu jest ogromnie ważnym wydarzeniem w dziejach europejskiego umysłu i w tym względzie Nietzsche, który zapowiadał „nihilizm europejski”, był nie mniej apokaliptyczny niż Dostojewski, który w *Biesach* nakreślił główne cechy rosyjskiej rewolucji. A niechęć do zrozumienia, że utrata metafizycznego fundamentu jest wielką tragedią, cechuje ludzi dzisiaj dokładnie tak, jak przewidział Nietzsche. Człowiek jednak nie może już używać swoich wybiegów, które pozwalały mu na ucieczkę od problemu, z chwilą kiedy napotyka totalitarne państwo. Przedmiot pogardy ze strony rządzących, niechroniony już przez dziesięcioro przykazań, ofiara, jeden z milionów do zbycia, odkrywa, by tak rzec, empirycznie niewątpliwą linię oddzielającą dobro od zła. Na tej długości geograficznej, o której mówię, doświadczenie narodowego socjalizmu dowiodło, że nie można relatywizować podstawowych wartości i wchodzić co do nich w kompromisy bez popadnięcia we współnictwo ze zbrodniarzami. Jednakże – i tutaj wracam do apokaliptycznego myślenia w Europie Środkowej – sprawy przestały wyglądać tak prosto pod rządami komunistów. Program na daleką metę zmierzający do stopniowego wchło-

nięcia społeczeństwa przez państwo ma to do siebie, że trudno już w praktyce rozróżnić pomiędzy podłością i uczciwością, kłamstwem i prawdą. Rok 1984 Orwella zdumiewa precyzją diagnozy, nawet jeżeli posuwa za daleko swoją negatywną ocenę umysłu „prołów” i nie bierze pod uwagę prywatnych gospodarczych transakcji, tego marginesu, bez którego system nie mógłby się utrzymać. Ogólnie biorąc, obserwator systemu nie skłania się jednak do większego optymizmu niż Orwell. Jego zdaniem nie jest wykluczone, że państwo totalitarne logicznie następuje po duchowym spustoszeniu nowoczesnego człowieka i stanowi rodzaj kary, jak w biblijnej opowieści o wieży Babel. Jeżeli tak jest, przyszłość planety będzie naprawdę niewesoła.

A jednak inna właściwość ludzkiego typu, który opisuję, sprzeciwia się tym przygnębiającym wróżbom. Każdy, kto trochę zna historię Czechów, Węgrów czy Polaków, wie, że niektóre zasady zachowania się, obowiązujące tam inteligencję, mają za sobą wiele stuleci. Pojęcie obywatelskiego obowiązku, wierność marzeniom o tym, jakie powinno być polityczne i społeczne życie w danym kraju, oto co cechuje społeczno-religijne ruchy czeskich husytów, polskich socynian, wydaje obszerne utopijne dzieła o idealnym chrześcijańskim państwie, jak np. *De Republica emendanda* Andrzeja Frycza Modrzewskiego (1554), inspiruje pedagogiczną, naukową i teatralną działalność Jana Amosa Comeniusa. Niewątpliwie wolnościowe i zwrócone zarówno przeciwko supremacji Kościoła, jak i państwa dążenia te zapowiadają wielki romantyczny i demokratyczny zryw w końcu osiemnastego i w początku dziewiętnastego wieku, kiedy to trzeźwe idee Oświecenia podchwycyło z schillerowskim entuzjazmem. Wszystko to bynajmniej nie jest zapomniane i nadaje środkowoeuropejskiemu piśmiennictwu odcień nostalgii, utopizmu i nadziei.

Brak jest dzisiaj podstaw, aby spodziewać się, że obecny międzynarodowy układ zmieni się w możliwej do przewidzenia przyszłości. Po wojnach napoleońskich mocarstwa podzieliły między siebie łupy na kongresie wiedeńskim i ustanowiony porządek trwał, z niedużymi zmianami, do roku 1914. Długa walka rewolucjonistów z lajdactwem sprzymierzonych monarchów nie zapobiegła powtórzeniu się tego samego wzoru w Jaltie. Z perspektywy Moskwy nowo zdobyty obszar jest posiadłością, która ma być stopniowo asymilowana i sowietyzowana, chociaż, jak dotychczas, to zamierzenie niezbyt się udało, jak wskazują wydarzenia roku 1956 na Węgrzech, 1968 w Czechosłowacji i lat osiemdziesiątych w Polsce. Niemniej czołgi rosyjskie są na podporządku, żeby udzielić lekcji. W takich okolicznościach niech mi będzie wolno stwierdzić bez ogródek, że wyobrażenia humanisty nie powinna być utożsamiana z wyobraźnią polityczną, a nawet zwraca się przeciw niej, bo zajmowanie się prawdopodobieństwami, łącznie z szansą na przetrwanie planety, strategią, wskaźnikami ewolucji itd. są dość szkodliwym zajęciem dla kogoś, kto para się humanistyką. Co do mnie (a chyba jasne, że w tym referacie nakreśliłem też swój portret), sądzę, że Europa Środkowa jest aktem wiary, projektem, a nawet, powiedzmy,

utopią, ale powody mego opowiedzenia się za nią są całkiem realistyczne. Jak wskazuje sama nazwa licznych *Centers for Russian and Eastern European Studies*, podział Europy na Zachód i Wschód został przyjęty na amerykańskich uniwersytetach. Można się temu sprzeciwiać, powołując się na to, że taki podział myli granice polityczne z kulturalnymi granicami w przeszłości. Ci, którzy tak rozumują, wysuwają argument, że kulturalny podział Europy na dwie połowy był przez wiele wieków identyczny z podziałem na strefę Rzymu i strefę Bizancjum i że kościelna łacina oraz prawo rzymskie wyznaczały wschodnie granice Zachodu. W tym argumentie można wyczytać skargę narodów dumnych z ich przynależności do kultury zachodniej i teraz uwschodnianych siłą. Skarga ta nie jest bezzasadna. Niemniej fakty nie upoważniają do tak wyraźnego podziału, gdyż ani stara granica religijna pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem nie stanowi dokładnego wyznacznika, ani kraje położone między Niemcami i Rosją nie były tak znowu bardzo zachodnie. Idee przenikające z zewnątrz były tam rozwadniane i przerabiane, aż zyskiwały inną jakość, miejscowe obyczaje wykazywały dużą trwałość, instytucje przybierały inne formy niż w zachodniej części Europy, która mogła tylko śledzić z zakłopotaniem husytyzm w późnym średniowieczu czy „raj heretyków” (*paradisum hereticorum*) w Polsce i w Siedmiogrodzie. I nawet dzisiaj przeciętny Francuz czy Amerykanin nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co to jest Kościół unicki czyli grekokatolicki. Poza tym, niezależnie od prozachodniego snobizmu, my, z tych przeważnie rolniczych marchii, mieliśmy niejedną powód do sporu z zachodnimi społeczeństwami oddanymi handlowi i manufakturze. Obecny niejednoznaczny stosunek do kapitalistycznego Zachodu nie jest niczym nowym.

Higienicznym, by tak rzec, powodem do wybrania terminu Europa Środkowa jest to, że pozwala on szukać specyficzności jej kultury i chroni nas od mylnych analogii. W ostatnich dziesięcioleciach można było obserwować w europejskiej literaturze i sztuce ciekawe zjawisko: żelazna kurtyna i różnice dwóch politycznych systemów tylko częściowo zatamowały krążenie idei i mód, wbrew wszelkim wysiłkom, aby hermetycznie zamknąć granice i narzucić rosyjskie modele. W poezji, w malarstwie, w teatrze Warszawa, Praga i Budapeszt są podobniejsze do Paryża, Amsterdamu i Londynu niż do Moskwy. A przecie szukanie w Europie Środkowej ech zachodniego surrealizmu, egzystencjalizmu, strukturalizmu czy teatru absurdu byłoby nieproduktywnym zajęciem. Jeżeli są wpływy, są one przenoszone w inny wymiar, często zmieniane w ich przeciwieństwo wskutek jedynych w swoim rodzaju zbiorowych doświadczeń. Jestem skłonny zgodzić się z Milanem Kunderą, kiedy mówi, że w obecnej chwili literatura naszej Europy ma więcej siły i energii niż jej zachodnie odpowiedniki. Wolno się zastanawiać nad brakiem związku między standardami codziennego życia i standardami sztuki, niemniej jest faktem, że na przykład tłumacz poezji polskiej na angielski ciągle znajduje ważne utwory w kraju tak nędznym i uciskanym jak Polska.

Inny aspekt wymiany kulturalnej może być wydobyty dzięki pojęciu Europy Środkowej, a jest tym miejsce rosyjskiej literatury i sztuki w kosmopolitycznej erze przed rewolucją, kiedy to rosyjscy artyści i pisarze wnosili swój wkład do ogólnoeuropejskiego ruchu modernizmu i symbolizmu. Badanie symbolizmu mogłoby dostarczyć ciekawych przykładów, gdyż rosyjski symbolizm nie był podobny do francuskiego, natomiast symbolizm polski (przepraszam za wracanie do swego podwórka) był z kolei inny niż symbolizm rosyjski, jak tego dowodzi w swoich dziwacznych utworach dramatycznych Stanisław Wyspiański czy w swoim malarstwie Jacek Malczewski. Wiedza o rozbieżnych ścieżkach w obrębie tego samego nurtu może być użyteczna w przyszłości, kiedy rosyjska literatura i sztuka odzyskają swoją spontaniczność.

Sumując, nie traktuję moich słów o Europie Środkowej jako wyrazu ubolewań nad tym, że sprawy są dzisiaj takie, jak są. Wiele jest do zrobienia, w badaniach literackich, w krytyce, w historii sztuki, w historii ruchów umysłowych. Starając się wydzielić te elementy, które są wspólne nam wszystkim, mówiącym językami naszego obszaru, uprawiając od dawna zaniedbane studia porównawcze naszego dziedzictwa, możemy przyczynić się do zmniejszenia narodowych konfliktów, nawet jeżeli dzień tak czy inaczej pojętej federacji środkowoeuropejskiej jest odległy.

[4/1986]

Jeleński: Szkic do portretu

Był pełnoprawnym obywatelem wielu światów. Polszczyzny przede wszystkim, ale nadto co najmniej czterech innych języków. Eseju, w którym spełniał się jako pisarz, oraz rozprawy krytycznej, artykułu publicystycznego, recenzji, noty polemicznej, przekładu. Literatury polskiej i powszechnej; malarstwa, historii i polityki. Polskiego ziemiaństwa i liberalno-lewicowej inteligencji. Międzynarodowego środowiska intelektualistów, artystów i pisarzy, emigracji żołnierskiej i kręgów, których uczestnicy w różnych okresach opuścili PRL. Przyszłości, z którą czuł się związany i czasu teraźniejszego, który go fascynował. Paryża jako jednej ze stolic kultury polskiej i Paryża jako centrum kultury francuskiej, a w jakiejś mierze też – europejskiej i światowej. Zresztą traktowano go jak swego w wielu miejscach, w wielu krajach, w wielu metropoliach. On jednak nigdzie nie czuł się chyba w pełni u siebie. Gdzieś w latach sześćdziesiątych, podczas PRL-owskiej nagonki na Gombrowicza, odpowiedział jakiemuś wolontariuszowi oszczerstwa z warszawskiej „Kultury”, który usiłował unaocznić swym czytelnikom pogardę paryskiego światowca dla literatury narodowej: „Nigdy nie mówię: »U nas w Paryżu«”. Jakoż nigdy bodaj nie użył tego zwrotu. Co więcej, choć Polskę opuścił mając lat siedemnaście, a w Paryżu mieszkał od 1951 roku, nigdy nie wystąpił o obywatelstwo francuskie i do końca legitymował się dokumentem uchodźcy politycznego.

Znaliśmy się zaledwie trzynaście lat. Po raz pierwszy spotkaliśmy się u palotynów po moim tam odczycie, jesienią 1974 roku, i tamże, w mieszkaniu niezapomnianego ks. Józefa Sadzika, odbyliśmy pierwszą, długą, wieczorną rozmowę. Na pozór różniło nas niemal wszystko: pochodzenie społeczne, rodowód ideowy, życiorys, staż emigracyjny, nawet temperament, w moim przypadku znacznie bardziej gwałtowny. Jeśli jednak po tej rozmowie nastąpiło wiele innych, jeśli Konstanty Jeleński wkrótce stał się dla mnie Kotem, jeśli nasza znajomość szybko i najzupełniej naturalnie zaowocowała przyjaźnią – to chyba dlatego, że zachodziło tu jakieś, stopniowo przez nas obu odkrywane, powinowactwo duchowe zakorzenione we wspólnocie zainteresowań i wartości. Widywałam się, jak na paryski tryb życia, względnie często. Niekiedy wpadałem do jego biura i szliśmy na obiad z czerwonym winem do jednej z małych, ludowych

restauracyjek, które bardzo lubił, a których trochę uchowało się jeszcze w okolicach placu Republiki. Co kilka miesięcy spędzaliśmy razem wieczór na ożywionych dyskusjach o literaturze, malarstwie, polityce polskiej i francuskiej, na ogół przy akompaniamencie wybuchów śmiechu. Czasem byliśmy tylko w trójkę: moja żona, Kot i ja. Czasem grono było nieco szersze. Ostatnia taka beztraska i wesoła kolacja z udziałem Kota, Wojciecha Karpińskiego i Tomasza Łubieńskiego odbyła się w listopadzie lub grudniu ubiegłego roku. W lutym, podczas kolejnego wieczoru, który miał się okazać ostatnim, nastrój był już inny. Kot sprawiał wrażenie zmęczonego i przygnębionego. Rozmawialiśmy o tym, co będzie mógł robić teraz, gdy emerytura, na którą był właśnie przeszedł, pozostawi mu nareszcie dużo wolnego czasu, ale temat wyraźnie go nie interesował. Wtedy przypuszczaliśmy z żoną, że sprawia mu trudność dostosowanie się do nowego trybu życia. Dziś wydaje nam się, że odczuwać już musiał pierwsze ciosy choroby.

Przyjaźń z Kotem – to nie tylko rozmowy, w których jego partia była niekiedy istnym dziełem sztuki. To również listy, które pisał z wielką łatwością, przy najróżniejszych okazjach: by skomentować jakieś wydarzenie, przekazać wrażenia z lektury czy z obejrzenia czegoś, przesłać ciekawy wycinek z gazety czy po prostu zastąpić spotkanie, do którego akurat nie mogło dojść z braku czasu. Listy szybkie, o dużych, wyraźnych literach stawianych czarnym długopisem, niekiedy podkreślone, wolne od troski o styl i dzięki temu zachowujące chyba lepiej niż rzeczy drukowane sposób mówienia, melodię i barwę głosu.

W polszczyźnie, jak w innych językach europejskich, słowa „amator” i „dyletant” nabrały w ciągu ostatnich dwustu lat zabarwienia uwłaczającego. Jak więc określić dziś kogoś, kto zgodnie z ich pierwotnymi znaczeniami zajmuje się tym, co lubi i co mu sprawia przyjemność? „Miłośnik” brzmi nieco staroświecko. Może właśnie dlatego ten termin zdaje się dobrze przylegać do Jeleńskiego-pisarza: niczym miłośnik sztuk i piśmiennictwa w dawnym stylu nie poczytywał swego pisania za zawód, lecz uprawiał je jako czynność bezinteresowną. Było w tym coś z postawy wielkiego pana, który bawi się piórem, nie przywiązując wszakże nadmiernej wagi do efektów tej zabawy. Nie znaczy to, że Jeleński skłonny był pozwalając, by jego bezinteresowności nadużywano. Gdy zasłużony właściciel i dyrektor szwajcarskiej oficyny L'Age d'Homme uznał po ogłoszeniu drugiego wydania *Anthologie de la poésie polonaise*, że może nie wypłacać za nie honorarium, Kot, który dostrzegł w tym – i słusznie – wyraz lekceważenia dla swej pracy, wystosował doń długi, sarkastyczny list godny każdego zbioru korespondencji ilustrującej stosunki autorów z wydawcami. Skądinąd jednak, w ciągu trzydziestu z górą lat, rozsiewał swe utwory i nie podejmował nawet próby zgromadzenia ich w kolejnych tomach, choć przecież żył wśród ludzi cierpiących na ogół istne męki, póki kilku szkiców, które wydrukowali już w czasopiśmie, nie objęła jedna okładka. *Zbiegi okoliczności* powstały, jak wiadomo, z inicjatywy przyjaciół: Wojciecha Karpińskiego i Piotra Kłoczow-

skiego. Ale znaczna część spuścizny pisarskiej Jeleńskiego pozostaje jeszcze rozproszona, toteż nie ogarniamy dziś w pełni jej rozmiarów. Najważniejszym obowiązkiem jego przyjaciół będzie teraz zebranie wszystkiego, co pozostawił, porównanie różnojęzycznych wersji, przetłumaczenie utworów, których sam nie spolszczył, i udostępnienie całości czytelnikom. Wtedy dopiero zajmie on ostatecznie miejsce należne mu w powojennej historii kultury polskiej.

Jak każdy urodzony eseista Jeleński myślał nie systematycznie, lecz dygresyjnie. Przywiązywał wagę nie do rozumowania, formalnego schematu podporządkowanego ostrym kryteriom poprawności, ale do skojarzeń zdolnych odsłaniać treściowe związki między przedmiotami, przeważnie niespodziewane i niewidoczne, nim nie zwrócił na nie uwagi swego czytelnika lub rozmówcy. Odpowiadało to jego fascynacji „zbiegami okoliczności”, zaskakującymi spotkaniami ludzi, wydarzeń, rzeczy, grą przypadku, która sprawia, że dwa równoległe na pozór tory przecinają się w tym, a nie innym punkcie, choć nie widać po temu żadnych racji, lub powoduje jakieś zgoła nieprzewidywalne następstwa. W tej „metafizyce ateisty”, którą głosił pół żartem, pół serio, wyrażała się jego oświeceniowość. Oświeceniowość szczególna: nie wolteriańska z właściwym jej poczuciem wyłącznego posiadania prawdy i przekonaniem o własnej wyższości oraz towarzyszącą temu nieodłącznie nietolerancją. Bliższa raczej, na co zwróccono już uwagę, Jana Potockiego. Jeleński był człowiekiem Oświecenia, który przeczytał i przyswoił sobie Blake'a i Lichtenberga. Reprezentował Oświecenie późne, świadome swych ograniczeń i jednostronności, nauczone bowiem przez rewolucję i terror, że gdyby „światłość” wyrugowała bez reszty wszelki „mrok”, to w świecie nie ostałby się żaden cień, w który ta jednostka mogłaby się schronić – a zatem skłonne, wbrew wolterowskiemu *écrasez l'infame*, przyznać prawo do istnienia przeciwności siebie samego w imię wartości przez samego siebie wyznawanych. Jeleński-racjonalista tropił zatem, nie bez przekornego rozbawienia, przejawy działania w świecie czynników irracjonalnych, a Jeleński-libertyn okazywał szacunek religii, choć nie wyznawał jej ani nie praktykował. Przy czym swego rozdzielenia nie przeżywał tragicznie, lecz rozładowywał wytwarzane przez nie napięcia dzięki ironicznemu dystansowi wobec samego siebie i swych poglądów, dzięki nieustannej otwartości na innych, gotowości uznania racji oponenta, choćby tytułem próby, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Jestem pewien, że lubił Hume'a, acz – rzecz dziwna – nigdy z nim o tym nie rozmawiałem.

Ale wyrozumiałość dla stanowisk sprzecznych z jego własnym miała u Jeleńskiego wyraźnie określone granice. Nie rozciągała się na nacjonalizm, programową wrogość wobec obcych, zwłaszcza wobec Żydów, sympatię dla dyktatur, bałwochwalczy stosunek do narodowej przeszłości i otaczanie kultem tego tylko co swojskie, rdzenne, wczepione, niczym roślina, w swe miejsce urodzenia. Do endecji odnosił się z niezmienną i jednoznaczną wrogością i nie był skłonny przyznać jej jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Wypowiedzi na ten temat wyzwały jego natychmiastową reakcję. Gdy ogłosiłem kiedyś w „Kulturze”

krótką notę o pewnym emigracyjnym antysemicie, dostałem od Kota liścik z wyrazami uznania nazajutrz po ukazaniu się numeru. Gdy zaś pewien wspólny znajomy, w jednym ze swych artykułów, okazał, zdaniem Kota, ustępliwość wobec endecji, otrzymał odeń wielostronicowy list z rozbiorem i krytyką wyrażonych w tym artykule poglądów. Paradoksom polskiego nacjonalizmu Jeleński poświęcił zresztą wnikliwy referat wygłoszony na kolokwium zorganizowanym – z jego inicjatywy i przy jego czynnym udziale – w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Bowiem polemika z endecją była dlań równie aktualna dziś, co w latach pięćdziesiątych, gdy wpisał się w nią kilkoma artykułami, które trafią kiedyś do antologii polskiej myśli demokratycznej. A może nawet jeszcze bardziej, gdyż orientacja ta żywotna jest obecnie nie tylko na emigracji. Nie dziwi, że jej językiem posługuje się władza, ta – jak pisał Jeleński w 1968 roku – „garstka zupaków”, która „nawiązuje do najgorszych tradycji narodowych ciemnogrodów”. Echa jej głosu pobrzmiwają jednak, co bardziej niepokojące, w wypowiedziach niektórych dostojników Kościoła, a jeszcze wyraźniej – u niektórych publicystów świeckich, którzy występują w roli jego rzeczników. Jej wpływ rozciąga się również na pewne odłamy opozycji.

Wspomniałem, że Jeleński w żadnym realnym miejscu nie czuł się chyba bez zastrzeżeń u siebie. Czuł się tak, jak sądzę, wyłącznie w kulturze polskiej, która istnieje zapewne w szczególnym i niepowtarzalnym stężeniu tam, gdzie trzdzieści sześć milionów osób mówi żywą, codzienną polszczyzną i gdzie tysiącletnia tradycja, powielana w zachowaniach jednostek i zbiorowości, utrwalała się w krajobrazach i zabytkach, ale która nie jest do żadnego realnego miejsca przypisana, odtwarza się bowiem i odnawia w Maisons-Laffitte, Londynie i Monachium, w San Francisco, gdy nad tamtejszą zatoką ma swe widzenia Miłosz, czy w Neapolu przyswojonym naszej duchowej geografii przez Herlinga – jak niegdyś w Buenos Aires, gdy pisał tam Gombrowicz, jak na Syberii czy w Kazachstanie ubiegłego stulecia i stalinowskich wywózek, jak bez przerwy, od dwustu niemal lat, w Paryżu i w Rzymie. Otóż w sporze między endecją a nami wszystkimi, którzy – jak Jeleński – uważamy jej wpływy za zgubne, choć skądinąd różnimy się między sobą, chodzi nie tylko i nie przede wszystkim o sprawy polityczne. Chodzi o coś nieporównanie bardziej doniosłego: o samo rozumienie Polski, polskości, kultury polskiej. Program endecki zakłada odwrócenie się od Zachodu, zamknięcie w narodowym samouwielbieniu i w katolicyzmie pozbawionym wszakże w praktyce swego wymiaru uniwersalnego, który przekreślają zachowania jednostkowe i zbiorowe skażone skrajnym etnocentryzmem. Zakłada też przejęcie z tradycji tego tylko, co daje się pogodzić z wzorcem „Polaka-katolika”. Dla Jeleńskiego kultura polska stanowi część kultury europejskiej, do której wnosi własne, unikalne wartości i od której nie może się izolować pod groźbą wyjałowienia. Przy czym nie jest tak, by kultura europejska mogła być utożsamiona z katolicyzmem czy nawet z chrześcijaństwem; jest ona niezbywalnie pluralistyczna, wewnętrznie skłócona, trawiona konfliktem w obrębie same-

go *sacrum* oraz między *sacrum* a *profanum*, między partykularyzmami narodowymi a uniwersalnością, między „ludem” a „elitami”. Z podobnych konfliktów i napięć czerpie swe bogactwo również kultura polska, z której nie sposób – bez zubożenia jej i zniekształcenia – usunąć wkładu Żydów, Niemców, Ukraińców i Litwinów, jak nie sposób usunąć z niej ani kalwinów i arian, oświeceniowych farmazonów, romantycznych bluźnierców czy socjalistów, ani katolików jezuickiego chowu, sarmatów o podgolonych łbach, towiańczyków i zmartwychwstańców czy nawet endeków. Wyłożenie w *The History of Polish Literature* takiej właśnie pluralistycznej wizji kultury polskiej Jeleński uważał za jedno z wielkich osiągnięć Czesława Miłosza, toteż niestrudzenie zabiegał o wydanie jego dzieła po polsku, w nadziei że okaże się to skutecznym lekarstwem na polskie stereotypy i polskie kompleksy.

Każdy z nas wystawiony bywa na pokusę manicheizmu, ale nie każdy potrafi się jej oprzeć. Kot był chyba najmniej manichejską umysłowością, jaką kiedykolwiek spotkałem. Choć „socjalizm realny” bezwarunkowo i jednoznacznie potępiał, choć nie znajdował dlań żadnego usprawiedliwienia, nie utożsamiał go wszelako ze złem absolutnym. Był w tym – jak w całym swym nastawieniu – bardziej historykiem, empirykiem i pragmatykiem niż ideologiem. Nie uważał też, że cokolwiek wrogie jest „realnemu socjalizmowi” zasługuje z tego tytułu na bezwarunkową aprobatę. W szczególności zaś nie znosił przekonania, że diabła można wypędzić tylko Belzebubem i że zatem skuteczna walka z sowieckim totalitaryzmem, w wersji oryginalnej lub uwzględniającej polskie swoistości, wymaga zamknięcia oczu na zbrodnie niektórych jego przeciwników lub na naruszanie praworządności czy demokracji przez innych. Świata, w którym żyjemy, nie dzielił na dwie części: równomiernie czarną i równomiernie białą. Widział w nim raczej wielobarwną mozaikę o dość zawiłym rysunku, która tylko gdzieś zawiera połacie jednolitej czerni, czystej zaś bieli nie ma nigdzie. Uznanie rzeczywistości za złożoną i wstręt do umysłowego prostactwa stanowiły o niepodatności Jeleńskiego na wszelkie doktrynerstwo i fanatyzm; nawet w jego polemikach z endecją nie ma zacietrzewienia czy chęci słownego zniszczenia przeciwnika. Podobną cechą odznaczają się jego wypowiedzi na temat „realnego socjalizmu” i jego piewców: dźwięczy w nich często szyderstwo, ale bez nienawiści. Odporność Jeleńskiego na doktrynerstwo i fanatyzm przejawiała się bowiem w konsekwentnym odróżnianiu przezeń ustroju, który potępiał i zwalczał, od jednostek, które usiłował zrozumieć. Zdawał sobie sprawę, że zło w świecie ma za sprawców nie tylko złych ludzi działających z niskich pobudek, ale również – kto wie czy nie częściej – ludzi skądinąd czcigodnych, ożywionych czystymi i dobrymi intencjami. Mechanizm, który to powoduje, który przeinacza, znieprawia i zmienia w ich własne przeciwieństwo piękne słowa, wzniosłe czyny i szlachetne zamiary, szczególnie interesował Jeleńskiego w zjawisku komunizmu. Świadczy o tym niezwykle artykuł, jakim pożegnał Tuwima w 1954 roku. Oraz, jeszcze dobitniej, otwartość i życzliwość, jakie okazywał przyjeżdża-

jącym z Polski coraz liczniej po 1956 roku pisarzom i artystom, często ekskomunistom lub byłym *compagnons de route*, czym przyczynił się, jakże istotnie, do przełamania lodów między emigracją polityczną a intelektualistami z kraju. W jednym ze swych szkiców Jeleński zwrócił uwagę na „fakt, jak mało stosunkowo znaczą w literaturze tzw. »opinie« czy »światopogląd«, o ile ważniejsze są cechy osobiste: zdolność obserwacji, inteligencja, wrażliwość, samodzielność sądu, przywiązanie do prawdy”. Stosował to nie tylko do literatury, a tym, w których te cechy dostrzegał, świadczył szacunek i przyjaźń, nie zważając na ich wcześniejsze uwikłania polityczne, gdy tylko miał podstawy sądzić, że działali w dobrej wierze i nigdy nie popełnili czynów niegodnych.

Jak Gombrowicz i Mieroszewski, jak Herling i Miłosz, Jeleński, gdyby nie „Kultura”, nie urzeczywistniłby zapewne wielu swych możliwości. To w „Kulturze” ukazały się przecież niemal wszystkie jego artykuły pisane po polsku lub przez niego na polski przełożone; nie trzeba być wielkim znawcą dziejów czasopiśmiennictwa emigracyjnego, by wiedzieć, że – z nielicznymi bardzo wyjątkami – mogły one być ukazać się tylko tam. Ale „Kultura” była dla Jeleńskiego nie tylko miejscem, gdzie drukował swe utwory. Była czymś o wiele ważniejszym: „formą zbiorowej komunikacji z kilkoma ludźmi rozrzuconymi po świecie, z którymi przeważnie nie sposób było spotkać się raz na tydzień w kawiarni”. Inaczej mówiąc: formą uczestnictwa w tej idealnej kulturze polskiej, która istnieje wszędzie, gdzie żyją jej twórcy. I na tym jednak nie koniec. Z Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Zofią i Zygmuntem Hertzami łączyła go głęboka przyjaźń, a z samym pismem i jego redaktorem naczelnym – wspólnota pewnych podstawowych wartości, „wrogość wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm”, krytyczna ocena dwudziestolecia, przywiązanie do przeszłości, ale bez nostalgii, otwarcie na sprawy kraju. Piszę o tych sprawach, dziś chyba oczywistych, by jakoś streścić niezliczone rozmowy z Kotem na temat „Kultury” właśnie, jej współpracowników i jej redaktora naczelnego. Przyjechałem z Warszawy pełen uprzedzeń właściwych środowisku, z jakiego się wywodzę, i czternaście lat temu o wiele silniejszych niż teraz, choć nadal nie do końca chyba przewyciężonych przez wszystkich mych warszawskich przyjaciół. Moja droga do Lafitu prowadziła – mówiąc skrótowo – przez dwa miejsca, gdzie te uprzedzenia uległy stopniowo wykarczowaniu: przez mieszkanie Kota na rue La Vrillère i przez piętérko w kawiarni Cluny, w której spotykamy się zazwyczaj z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. To oni – a zwłaszcza Kot, choćby dlatego, że widywałem go częściej niż Gustawa – pozwolili mi zrozumieć „Kulturę” i przyjść tam pewnego dnia trochę tak, jak przychodzi się, po długim błądzeniu, do znalezionej wreszcie domu. To pod ich wpływem, w latach 1978–1979, gdy wraz z Pierre'em Nora i Marcellem Gauthier przygotowywaliśmy „Le Débat”, było już dla mnie oczywiste, że musi się w nim ukazać artykuł o „Kulturze” i że powinien być napisany przez Jeleńskiego; pomysł ten doczekał się realizacji słonecznym latem 1980 roku. „Kultura”

wracała zresztą w naszych rozmowach również później. Gdyby nie pomoc Kota i jego rady, nie wiem, czy udało by się doprowadzić do wystawy Czterdziestolecia, której francuski katalog przejrzał uważnie w maszynopisie, a w kilku punktach – skorygował i uzupełnił. A z wielu obrazów, na których przechowam w pamięci jego postać, w tej chwili tkwi mi przed oczami scena z wernisażu tej wystawy: Kot z Leonor Fini przed gablotą poświęconą Stempowskiemu, Czapkowskiemu i Jeleńskiemu.

Nie idealizujemy jednak. Stosunki Kota z „Kulturą” nie zawsze były harmonijne. Łatwo to zrozumieć. Wspólnota wartości wyznacza zasadnicze wybory, ale w życiu codziennym większą od niej rolę odgrywają często charaktery ludzi i wymagania instytucji. Jerzy Giedroyc powiedział kiedyś o „Kulturze”, że jest zakonem. Aby być członkiem tego zakonu, nie trzeba było koniecznie mieszkać w Laficie. Mieroszewski nigdy tam nawet nie był, gdyż nigdy po wojnie nie wyjechał z Anglii, ale w zakonie „Kultury” piastował wysoką godność, gdyż złożył jej śluby wierności i podporządkował cały swój sposób życia. Jeleński nie miał temperamentu zakonnika. Był człowiekiem światowym. Poza pisaniem do „Kultury” zajmował się wieloma innymi sprawami, a w latach, gdy działał w Kongresie, reprezentował instytucję, z którą stosunki „Kultury” były – najogólniej mówiąc – złożone, choć Józef Czapski i Jerzy Giedroyc stali u jej kolebki. W ciągu lat współpracy zdarzały się też rozbieżności bardziej zasadnicze, które dotyczyły zwłaszcza spraw krajowych i stosunku do lewicy zachodniej. Jednym z takich tematów spornych było nieustępliwe dążenie Jerzego Giedroycia do nawiązania i utrzymania ścisłych związków ze środowiskiem dysydenckim, a później – opozycyjnym w Polsce, w czym Kot upatrywał niepotrzebne narażanie ludzi na niebezpieczeństwo. Tak właśnie ocenił kiedyś u nas w domu wydawanie „Kultury” i książek Instytutu Literackiego w formacie kieszonkowym, nie wiedząc, jak i my wtedy, że apelowali o to od dawna sami czytelnicy krajowi. Innym zarzutem Kota wobec „Kultury” było jej rosnące – zwłaszcza od drugiej połowy lat siedemdziesiątych – upolitycznienie, które istotnie zepchnęło tematykę literacką jak gdyby na dalszy plan. Skądinąd zaś Kot był osobowością tak różną od Jerzego Giedroycia, że przy najlepszej woli musiały powstawać między nimi tarcia i zadrażnienia. Tym bardziej zdumiewa fakt, że ich współpraca przetrwała trzydzieści sześć lat i że Kot żywił dla Redaktora autentyczny podziw, temperowany wprowadzając domieszką krytycyzmu, który jednak w niczym nie zmniejszał jego głębokiej uczuciowej więzi z „Kulturą” ani jego umiejętnością zaszczepiania jej innym.

Jako postać publiczna, zwłaszcza podczas ostatnich piętnastu lat, Jeleński, widziany z oddalenia, mógł wydawać się kimś niemal apolitycznym. Nie podpisywał petycji i protestów, nie ogłaszał w gazetach artykułów na aktualne tematy, nie występował na zgromadzeniach; jego wypowiedzi dotyczyły książek, obrazów, problemów kultury. Były to tylko pozory. Zawsze czynny, pozostał taki do ostatnich dni. Widziałem przecież, ile czasu poświęcał całymi latami spra-

wom Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne i jak bardzo przejmował się jej losami, przekonany, jak najsluszniej, że ta skromna instytucja w istotnej mierze umożliwia intelektualistom z krajów bloku sowieckiego utrzymanie kontaktu z kulturą Europy Zachodniej. Od chwili pojawienia się w Polsce opozycji demokratycznej Kot był całym sercem po jej stronie; zaświadczył o tym m.in. pracą, jaką włożył w przygotowanie francuskiej edycji książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, która tylko dzięki niemu doszła do skutku. A jest to zaledwie jeden przykład codziennych zabiegów, których pełny wymiar odsłaniał się tylko z bliska: recenzji wewnętrznych, tłumaczeń, telefonów, zebrań, listów, mających na celu dopomożenie ludziom i dziełom.

Jego reakcją na 13 grudnia 1981 roku było bezzwłoczne podjęcie starań o subwencje dla wydawnictw emigracyjnych, by mogły publikować teksty napływające z kraju, co do których przypuszczał, że będzie ich więcej niż przedtem w następstwie represji wobec „drugiego obiegu”. Już w styczniu lub lutym 1982 roku spotkaliśmy się, Kot i ja, z Francisem Suttonem, ówczesnym przewodniczącym Fundacji Forda, którego Kot namówił bodaj na przyjazd do Paryża, aby przedstawić mu szacunek potrzeb i wstępne projekty. Po dalszych dwóch lub trzech miesiącach, w ciągu których Kot napisał, jak przypuszczam, kilkadziesiąt listów i przeprowadził kilkaset rozmów telefonicznych – a robił to przecież w czasie wolnym od pracy w Institut National d'Audiovisuel – odbyło się zorganizowane przezeń w domu „Kultury” pierwsze zebranie poświęcone utworzeniu Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej. O tym, czym Fundusz zajmował się przez pięć lat swego istnienia, każdy może dowiedzieć się ze sprawozdania ogłoszonego przez Komitet Wykonawczy. Z natury rzeczy nie ma w nim jednak mowy o roli Kota: o tym, że podczas pierwszych miesięcy istnienia Funduszu pełnił funkcję koordynatora, zwoływał zebrania, często u siebie, redagował niezbędne dokumenty; że w ciągu całych pięciu lat poświęcał sprawom Funduszu wiele uwagi, że w każdej sytuacji można było na niego liczyć i że było tak aż do ostatniego posiedzenia Komitetu Wykonawczego 27 marca bieżącego roku. Obok tego znajdował czas na pilnowanie interesów Polskiego Pen Clubu, które były przedmiotem jego spotkań z Alexandrem Blochem i René Tavernierem, i obfitej korespondencji. I nadal zajmował się wszystkim, co absorbowało go również w poprzednich latach. Nie zaniedbał chyba żadnej sprawy, którą uważał za godną poparcia – dyskretny i sprawny zarazem duch opiekuńczy kultury polskiej na świecie.

Wiersze, powieści i obrazy były dla Kota czymś znacznie ważniejszym niż tylko tematami esejów – częścią osobowości. Wracały w rozmowach i w listach, określały jego tożsamość. Żył nimi. W malarstwie współczesnym najwyżej cenił nadrealistów, a z Polaków – Czapskiego i Lebensteina. W literaturze polskiej – Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego i Herberta. Łatwo zauważyć, że wszyscy ci malarze i pisarze byli również jego przyjaciółmi i że uznanie krytyka spletało się tu nierozłącznie z poczuciem osobistej bliskości. Nie znaczy to,

jakoby oceny dzieł zależały u Jeleńskiego od stopnia jego zażyłości z ich autorami. Ale znaczy, że w doborze przyjaciół kierował się, po części chyba bezwiednie, stosunkiem do ich utworów, przynajmniej gdy szło o osoby uprawiające literaturę i sztukę. Nim poznał Gombrowicza, przeżył olśnienie *Ferdydurke*, a *Ocalenie* zachwyciło go wiele lat przed spotkaniem Miłosza; podobnie obrazy Lebensteina odkrył dla siebie, nim ich autor zjawił się w Paryżu. Takich przykładów da się przytoczyć więcej. Zresztą Jeleński nie cofał się ani przed odsłanianiem słabości utworów, które omawiał, ani przed zgłaszaniem wątpliwości czy zaznaczaniem niezgody z poglądami przyjaciół, choć zapewne większą przyjemność sprawiało mu wyrażanie aprobaty. Był przykładem krytyka, dla którego dzieła istnieją nie jako zamknięte w sobie, autonomiczne struktury, ale jako emanacje żywych ludzi – uważał zatem, że z tymi ludźmi trzeba się niejako utożsamić, jeśli chce się właściwie odczytać dzieła same. Toteż przyjaźń z autorami, którą kultywował jako wartość samoistną, była dlań również kluczem do zrozumienia ich dzieł.

Wybór utworów, który przesądzał poniekąd o wyborze przyjaciół, nie był u Jeleńskiego następstwem kaprysu czy przypadku. Zapewne jakąś rolę odgrywały w tym jego ulubione „zbiegi okoliczności”. Zasadniczo jednak jego upodobania artystyczne i literackie były pochodnymi postawy, jaką sam zajmował wobec tradycji. Jeleński nie był w żadnej mierze tradycjonalistą; paseistyczne odwracanie się od terażniejszości było mu z gruntu obce. Ale nie był też w żadnej mierze wyznawcą, choćby platonicznym, futurystycznego odcinania się i od tradycji, i od terażniejszości. Uważał, że tradycji nie trzeba sztucznie konserwować i że nie trzeba też z nią zrywać. Wystarczy wyrastać z niej spontanicznie i naturalnie, jak wyrasta się z dzieciństwa i młodości, których wiek dojrzały jest przedłużeniem, choć się do nich przecież nie sprowadza, i o których pamięta, choć nauczył się wiele nowego. Ta postawa wobec tradycji, znamienita dla doświadczonych przez historię ludzi późnego Oświecenia, wyznaczała zarówno poglądy polityczne Jeleńskiego, jak jego kryteria estetyczne. W polityce odrzucał popołu rewolucję i reakcję; w literaturze i sztuce – awangardę i akademizm. Uznawał natomiast w polityce rozsądny reformizm, a w literaturze i sztuce – krytyczne nawiązywanie do tradycji: niekiedy polemiczne, prześmiewcze lub zgoła kontestatorskie, niekiedy tylko wybiórcze, ale zawsze świadome odrębności czasu terażniejszego i przyszłego, od tego, który już minął, i powodowanej tym absurdalności powielania dawnych wzorów. Nie sposób tu dowieść i dowodzić chyba nie trzeba, że dzieła malarskie i pisarskie przyjaciół Jeleńskiego odznaczają się różnorodnym wprowadzie, ale zawsze krytycznym nawiązywaniem do tradycji. Odsłania się tu wspólnota zasadniczych przekonań, która stanowiła, niezależnie od ewentualnych powierzchownych rozbieżności, ostateczną i trwałą podstawę uznania, jakim ich darzył, i bliskości z nimi, do jakiej się poczuwał.

Wspomnienia nie mają końca, a skończyć trzeba. Jeleński należy już do historii, Kot – do pamięci przechowującej to, co odtąd na zawsze niewidzialne. „A czas niezwrotny jak bieży, tak bieży”...

[7-8/1987]

Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości

To płynie jak rzeka. Od lat wirujemy w delikatnych i odurzających zapachach wielkich słów. Prawda i dobro, dobro i sprawiedliwość, porozumienie i *consensus*, szczęście jednostki i przyszłość narodu to pojęcia atakujące umysły i narzucające styl myślenia.

Inna znów rozbrzmiewa jak głuche bicie w bęben. Od lat bowiem paru bijemy się w piersi za przeszłość, za ksenofobię, niechęć do sąsiadów i pogardę dla mniejszości narodowych, za błędy polityczne i głupotę przodków opłacaną historią. Dzielne okrzyki i efektowne, skrojone według najnowszej mody płaszcze pokutne...

Fenomen ten ma jednak swoje liczne skazy. Polski intelektualista przypomina bardzo bohatera *Ucieczki z Bizancjum* Josifa Brodskiego, a więc po części i samego autora, dobrego poetę i eseistę. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym nieco może zaskakującym porównaniu. Autor *Ucieczki z Bizancjum* mocno już, jak mu się zdaje, osadzony w świecie sprawiedliwym i wolnym, ostrze swej krytyki świata, z którego objąć się wydobył, zwraca nie ku Rosji, w jej obecnym czy przeszłym kształcie społecznym i politycznym, lecz ku kulturze Bizancjum jako tradycji, do której z upodobaniem odwoływali się władcy Trzeciego Rzymu. Brodski zdaje się uważać dawne ziemie wschodniej despotcji chrześcijańskiej za miejsce przeklęte, kulturę islamu ocenia przez pryzmat współczesnego terroryzmu, widząc w niej jedynie splątanie fanatyzmów, okrucieństwo uznaje za istotę złego *genii loci* Azji Mniejszej, mongolskie rządy nad Rusią, w konsekwencji, za błogosławieństwo, gdyż opóźniły one wpływy bizantyjskie! Z jaką pogardą ten były więzień łagrów sowieckich mówi o brudnych Turkach, cuchnącym Stambule, ropuchach meczetów i odcisku stopy Mahometa przechowywanej jako najwyższą świętość w muzeum w Topkapi... Wspomniana relikwia wyrывa z głębi duszy przerażonego poety pełen zgrozy okrzyk: – Yeti!*

* Dodajmy, że w Jerozolimie w meczecie el-Aqsa muzuhnanie przechowują jako relikwie także odcisk stopy Jezusa.

Potępienie wielkorosyjskich tradycji? Ucieczka od Bizancjum, a raczej od jego literackiego stereotypu? Czytam coś wręcz przeciwnego, przewrotną rehabilitację dawnej i współczesnej imperialnej Rosji w jej agresywnej i butnej duchowości, poczucie wyższości kulturowej prowadzące do nieskrywanej pogardy dla tego co obce, inne bądź niezrozumiałe (jakże charakterystyczny jest pogardliwy wtręt o japońskiej manii fotografowania!).

Jednak nie groźne a urojone Yeti, lecz prawdziwy choć niewidoczny odcisk zniewolenia, lekka, smakowita trucizna niechęci do innych jest prawdziwym niebezpieczeństwem lektury *Ucieczki z Bizancjum*. Czy może więc tak drażniący wszystkich Zinowiew ma sporo racji? Polski intelektualista, którego dla skrótu będę dalej nazywał Pinem, jest skonstruowany podobnie i podobnie skażony, brak mu tylko równej pewności siebie. Potrafi on zachować postawę stróża imponderabiliów, pozostać wzorem dobrych i szczerych intencji, lecz jeżeli nawet nie obrazi nikogo przez swą nieuwagę, to niczego poza wygłoszeniem szlachetnych deklaracji nie robi. Nabyta w przeszłości umiejętność skrywania swoich prawdziwych uczuć i emocji wyrobiła w Pinie automatyczny wręcz odruch lęku przed byciem szczerym i mówieniem wprost nawet o rzeczach dlań skądinąd najważniejszych. Natomiast uwrażliwia go ona niezwykle na zachowanie innych, których o nieszczerłość i niechęci podobne swoim podejrzewa. Poza tym, podobnie jak liczni księża ratunek moralny widzą w wymuszeniu na wiernych obowiązku chodzenia do kościoła i do tego co niedzielę sprowadzają przesłanie Ewangelii, tak Pin sądzi, że wartości, o które walczy, da się ocalić przez rozpamiętywanie ich w niezależnej publicystyce i licznych dyskusjach, gdyż krok dalej – strach, ciemności, pieje kur.

Waćpanowie, piszcie na Berdyczów!

Światem polskiej myśli, obok szlachetnych intencji i idealizacji celów, rządzą także minoderia, prywatna i lenistwo duchowe. Pomyłono kategorię sprzeciwu ze śmiałością myślenia, a odwagę cywilną z jego niezależnością. Niewielka grupa odważnych, skupionych wokół „Biuletynu Informacyjnego” i „Zapisu”, utorowała drogę, którą dziś, z ożywieniem i zadowoleniem, paradują w tę i z powrotem tłumy śmiałków. Drogę, że poprzestaną przy przywołanym obrazie, poszerzono i utwardzono, podzielono na kierunki marszu, odżyły nawet na niej tradycyjne podziały na ruch prawo- i lewostronny, zapomniano jedynie o tym, że drogę ową wyrąbano wielkim wysiłkiem nielicznych w środku dżungli i że należałoby raczej złapać za siekiery i pracować dalej, uświadamiać sobie wyraźniej cel i wielkość czekającego jeszcze wysiłku, wreszcie, szukać dlań sprzymierzeńców, a nie czynić z niewielkiej przestrzeni promenadę pawi i papug.

Stadne zachowania Pinów nie są zjawiskiem chwilowym i przypadkowym. To skutek nie tak znów starych tradycji, od których nie potrafimy się oderwać. Od dziesięcioleci w rządzonej przez komunistów Polsce zajmowano uwagę od-

biorcy mass mediów tzw. tematami dyżurnymi. Dziś, gdy Pin z heroizmem odkrywa kolejne obszary tabu, jego kolega czyni to samo i, co dziwniejsze, z mniejszym heroizmem powtarza te same pytania i podobne znajduje na nie odpowiedzi. Powstania narodowe? Wszyscy piszą o powstaniach. Mniejszości narodowe? Już gotowe są teksty, tłumaczenia, z kart różnych pism przelewa się dobra wola. Problem żydowski? Kampania dobrej woli od początku wzmożonego zainteresowania i drobna czkawka po słynnym tekście Błońskiego *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*, jakby ktoś powiedział ciut za dużo. Nowe schematy i nowe poziomy ideologizacji. W efekcie mamy zamiast „socjalistycznej ojczyzny” innego potworka – „katolicki naród” – i podobnie triumfalne orzeczenia o pluralizmie niezależnej myśli i życia opozycyjnego, którym, wybaczyć Czytelniku, wierzę tylko o tyle, o ile znajduję ich odzwierciedlenie w rzeczywistości, powinienem więc raczej napisać – którym zupełnie nie wierzę.

Szlachetny patriotyzm i zgubny nacjonalizm, nieudana reforma i papierowe o nią boje, ogólna niemożność i niezwykle aktywność indywidualna, przesłanie moralne społecznej nauki Papieża i nostalgiczna, nierzeczywista Europa Środkowa i, co najśmieszniejsze, zgodność wszystkich we wszystkich zasadniczych kwestiach z... podskórnym piekłem prywatnych, zaciętych niechęci. No cóż, każdy Pin z osobna i wszyscy razem mówią przecież o podstawowych wartościach, razem rozważają po raz setny klęski powstań (czyżbyśmy ciągle jeszcze pewnych kwestii nie zrozumieli?), razem powołują się na Mochnackiego i Brzozowskiego, razem martwią się śmiercią krytyki (ostatnio martwią się tym Burek i Nyczek), razem podziwiają Miłosza, cytują Kołakowskiego, odwołują się do Herberta, wiążą nadzieje z nowym wcieleniem Zagajewskiego, dedykują swe prace Michnikowi... Nie przeszkadza natomiast Pinom, gdy tak wspólnie i ochoczo wędrują po tematach, brak jakiegokolwiek refleksji filozoficznej, która towarzyszyłaby owemu przemożnemu podobno dążeniu do zmian; ba, brak nawet wysiłku, który byłby próbą scalenia ostatnich doświadczeń Polaków bądź stworzenia historycznej syntezy. Jak można wierzyć zapewnieniom, że myśli i działaniu Pinów przyświeca autorytet Brzozowskiego, skoro wydawnictwa niezależne nie zdobyły się na przedruk żadnej z jego prac? (Skandal z wydawaniem *Pism wszystkich* w państwowych wydawnictwach znany jest zainteresowanym). Zresztą, nie można się tej inercji dziwić, bo które wydawnictwo stać na dopłacanie do interesu?

O czym więc myśli Pin? A o kim lub o czym miałby myśleć? Oczywiście, o sobie. Przyznajmy jednak, że także o Sprawie, gdyż najczęściej to on sam, w swym mniemaniu, Sprawę uosabia. Myśli więc Pin o sobie i myśli te ofiarowuje innym nawet wówczas, gdy wali się jego świat. Pisze dziennik o własnych cierpieniach, prześladowaniach, jakim podlega, uczuciach i heroicznych wątpliwościach. Skrobie wspomnienia z internowania (m.in. Mazowiecki, Kuczyński, Szczypiorski), nawet wierszem (Woroszyński), notuje męki emigracyjne (Bran-dys), publikuje korespondencję rodzinną (Bielecki), pisze osobistą historię prze-

szłości (Michnik)*. Mamy więc stos makulatury o więziennym parzeniu herbaty i zakulisowych sporach doradców, a tylko jedną pracę będącą próbą syntetycznej i obiektywnej oceny rozstrzygających dla najnowszych dziejów Polski wydarzeń, tj. pracę Jerzego Holzera. Mija już siódmy rok, zacierają się kontury tamtego czasu; czytelnik zachodni może w każdej chwili sięgnąć do wielu poświęconych doświadczeniu „Solidarności” prac (N. Aschersona, T. G. Asha, A. Brumberga, C. Barkera, N. Davisa, M. Dobbsa, G. Koenena, G. Sanforda, M. Touraina i innych), nasz Pin natomiast z lubością zanurza się w wyznania starych lub dawnych komunistów i nawet czasy stalinowskie, tak odległe, poznaje przez plotkę i egotyczne, mylące tropy wyznań nielicznych, rozmowy lub wywiady.

Jak myśli Pin? Niesamodzielnie, z dużą dozą subiektywizmu, najchętniej z wkalkulowaną asekuracją, czyli odpowiednim cytatem, przypisem lub aluzją, które odsyłają do Szanowanego Autorytetu lub najnowszej mody intelektualnej. Sztuka napisania artykułu opiera się na dwóch zasadach – nekrofilii intelektualnej i wysokim tonie szlachetności, które się bynajmniej nie wykluczają. Wszelka krytyka, powie ktoś, jeżeli nie jest nawet nekrofilia, zawsze żyje z żerowania na cudzych poglądach i tekstach. Rzecz w tym, że Pin potrafi czynić to ze szczególną pasją – omawiając twórczość Gombrowicza, nie może nie odwołać się do Miłosza, omawiając Miłosza – do Herberta, omawiając Herberta – do Barańczaka, mówiąc o którymkolwiek z powyżej wymienionych – do Konwickiego, od tego ostatniego – do Błońskiego, od Błońskiego do Tischnera, od Tischnera do Papieża, a od Papieża do... No, tak, łatwiej powołać się na wszystkich świętych i samego Boga niż na własne poglądy. Albowiem Pin najczęściej chce udowodnić dwie rzeczy naraz: wielkość kultury, którą przecież reprezentuje, i własne parantele myślowe, gdyż w końcu myśli tak samo jak ci, których cytuje, albo bardzo podobnie.

Są jednak nekrofile nałogowi i zielonoświątkowi. Są tacy, którzy żyją z cudzych myśli, koczują na polach cudzej twórczości lub wydzierają karty z dawnych ksiąg, łącząc je zgrabnym komentarzem, i są tacy, którzy do cudzego źródła zaglądną rzadko, lecz gdy już im się to czasem zdarzy – piją nieumiarkowanie. Są więc pisarze tacy jak Wojciech Karpiński, prawie zawsze i wszędzie do wielkich tego świata się odwołujący i tworzący piękne, lecz nijakie, letnie myślowo eseje – na wzór, chociażby, tak ważnej dla autora *Chusteczki imperatora*, rozmowy prowadzonej z Tomaszem Mannem, którą Mann musi być chyba wyjątkowo znużony!** Są też tacy, którym nie można odmówić silnej indywidualności, jak Adam Michnik, ten jednak wytrawny publicysta polityczny,

* Równoległe, podobną relację, lecz konstruowaną „z drugiej strony” monstrialnej lady, która dzieli Polskę, zawierają książki M. F. Rakowskiego. Nie ma w tym żadnego paradoksu.

** Por.: W. Karpiński, *Tomasz Mann – rozmowa i milczenia*, „Zeszyty Literackie” 1986, nr 5.

sięgnąwszy do literatury, przekroczył wszelkie możliwe granice przyzwoitości, podając za tekst własny pękaty zbiór cytatów z innych autorów. Chodzi, oczywiście, o książkę *Z dziejów honoru w Polsce*, której absolutnie nie tłumaczy podtytuł *Wypisy więzienne*, a w której prawdziwym horrendum jest rozdział poświęcony poezji Herberta, rzecz mogąca nawet z miłośników poezji uczynić jej „gardzieli”.

Pin myśli stadnie, czyli, żeby być precyzyjniejszym, środowiskowo. Jeżeli więc nie broni *status quo*, jeżeli nie walczy na murach Częstochowy, mówiąc inaczej, jeżeli nie broni Substancji (on jest jej solą), to tworzy dyskusje pozorowane lub wyładowuje się w rozgrywkach personalnych, inicjując dyskusje zastępcze. Przykładem pierwszej może być polemika Kulerskiego i Michnika w 25. numerze „Krytyki”, poświęcona poważnemu skądinąd problemowi polskiego antysemityzmu, która bardzo mnie rozśmieszyła z powodu nieoczekiwanej zamiany miejsc, przykładem drugiej, dyskusja wokół *Myśli staroświeckiego Polaka*. Jednym z objawów tej choroby nijakości i mazgajstwa jest otaczanie milczeniem tekstów szczególnie, wydawałoby się, do sporu predestynowanych, jak chociażby ostatnich, krytycznych wystąpień Romaszewskiego (np. szeroko kolportowanego tekstu *Jak Polak z Polakiem*). Nic, cisza, bo też czy jest się o co spierać? Czy inni mają pomyśleć, że się kłócimy?

Pin myśli stadnie, więc ci spośród Pinów, którzy trzeźwy osąd przenoszą ponad grupowe czy koteryjne interesy, mogą budzić agresję. Efektem tego jest sytuacja, w której najbardziej ożywcze i interesujące teksty wychodzą spod pióra Pinów, którzy wolą nawet dziś pisać pod pseudonimami, choć i oni nie skąpią w swych tekstach miejsca na autokreację. Przecież to jedynie anonimowość daje pełną swobodę w krytycznej ocenie własnego środowiska, uwalnia od potrzeby mizdrzenia się, choroby powszechnej i nieznającej granic. Tu moimi faworytami są Spektator i Charłamp, dziw tylko, jak oni, prawdziwie niezależne Piny od niezależnych Pinów, zdołali ocaleć, i to w Warszawie?

Czy Pin ma swoje ulubione tematy? Owszem, poza mówieniem o sobie i wysiłkiem nadążania za aktualnie dyskutowanymi problemami, ma Pin jeden cel stały: niestrudzenie śledzić konsekwencje oddziaływania totalitarnej władzy na życie społeczne, przyglądać się duszom tych, na których losach despotyzm wyćisnął niezatarte piętno, dociekać mechanizmów i w efekcie wszelkim zjawiskom antywolnościowym przeciwdziałać. Pin, potomek romantyków, pisze o wolności ogólnie, swobodnie, eseistycznie, gdyż tak najwygodniej – o najpiękniejszych wartościach najlepiej pisać, pracując na pięknym materiale – na szczęście, jest wielka literatura, galeria tragicznych kafkowskich bohaterów czeka wręcz na kolejnych interpretatorów. Ci spieszą, analizują, porównują, by w konkluzjach zawrzeć ostrzeżenie skierowane do wszystkich, do ludzkości całej. Z tego ciągłego wspinania się na palce łatwo może zrodzić się „kicz intelektualny”. Ileż w prasie i wydawnictwach niezależnych ukazało się na przykład artykułów i prac poświęconych wydarzeniom marcowym 1968 roku? I cóż z tego? Czy pozostanie z nich jakikolwiek ślad, z tych szlachetności poniewczasie,

potępień i dociekań zakulisowych przyczyn? Obawiam się, że nie. Pozostanie natomiast rzetelna analiza języka politycznego tego czasu dokonana przez Jakuba Karpińskiego (*Mówi Warszawa...**), która więcej mówi nam o wydarzeniach i ludziach niż najrozleglejsze eseje czy wywiady z naocznymi świadkami, którzy przeważnie mają w takim przypadku coś do ukrycia. Niestety, niewielu jest wśród Pinów takich autorów, którzy przystępują do pracy wtedy, gdy potrafili ugruntować w sobie pewne przekonanie, że zrobili wystarczająco dużo, aby nie pozostać gołosłownym. Pin – wręcz odwrotnie – ma tylko „ugruntowane przekonania”, których pochodzenia ideowego często sam nie potrafi rozpoznać, a które pozwalają mu oceniać i rozstrzygać wszelkie właściwie kwestie.

Wielu spośród nas w tym czy innym okresie życia ulegało gnostyckiej pokusie, aby z wiary uczynić podstawę wiedzy o świecie. Młodzi ludzie budują często niezachwianą pewność własnej wizji świata z wiary, z „ugruntowanego przekonania”. Dzieje się tak niezależnie od tego, czy wiara ta wypływa z zawiedzionej miłości, odkrycia buddyzmu Zen, przeżywania poezji czy gorącej i naiwnej miłości Ojczyzny. Tej łatwości budowania konfliktowych obrazów świata, w której autor jest najczęściej jednym z jego biegunów, sprzyja „podatność ideowa” młodzieży wynikająca m.in. z lekceważenia konkretnego i pogardy okazywanej tzw. przyziemnym sprawom. Podobne zafascynowania zdarzają się także ludziom dojrzałym, ale są one najczęściej albo krótkotrwałe (najszybciej do domu zwiła najstarsza część 10 milionów), albo są efektem zainfekowania we wczesnej młodości, a więc oznaką choroby długotrwałej. Pin wie, że tylko koń Pana Jezusa nie zmienia poglądów, więc druga z powyższych uwag go nie dotyczy. Cóż więc pozostaje? Ależ tak, Pin jest wiecznie młody i dlatego w swym myśleniu kieruje się tym, co wypływa z jego „głębokiego przekonania”. Oto jedna z przyczyn, dla których ów okręt polskiej inteligencji, o którym pisał kiedyś Miciński, wypływając z takich „głębokości”, zawsze osiada na mieliznie. Pojęcie wiecznej młodości jest jednym z tych idiotyzmów, którymi ludzkość karmi się od swych mitycznych początków; w powyższym rozumowaniu chodzi jednak o niedojrzałość w myśleniu. Dyskusja, już paroletnia, wokół stosunków polsko-żydowskich jest znakomitą przykładem wymiany „przekonań” przy zachowaniu dyskretności odległości od faktów bądź z ich jednostronnym dobraniem. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że tematem tym ostatecznie zajęli się historycy i okres bezkarnych harców, ułatwionych bez wątpienia brakiem wielu ustaleń, skończy się bezpowrotnie**.

Pin ma także swój ulubiony styl i swoich stylistów. Jest to styl podniosły, namaszczone, od pierwszych zdań promieniujący świadomością wagi omawianych

* Pierwodruk w numerach 9. i 10. „Kultury” z 1972 roku, następnie w zbiorze szkiców *Mowa do ludu*, Puls Publications, 1984.

** I tu znów można odwołać się do niezwykle wyważonego, wręcz wzorcowego tekstu Jakuba Karpińskiego *Asymetria* („Aneks” 1986, nr 41/42).

spraw, wielkością autora lub doniosłością chwili. Dziś literatury nie czyta się, lecz z nią „rozmawia”, autora się nie czyta, lecz „słucha”, autorowi się „przysłuchuje”, autor nie pisze, lecz „wyznaje”, nie analizuje świata, lecz „pochyla się nad nim z uwagą i odwagą”, autor ukazuje zagrożenia, autor odsłania mechanizmy, autor nie tworzy tekstu, lecz „przejmujący zapis wewnętrznych zmagania”, autor, autor, autor widziany przez autora, autor kreujący się przez kreowanie swego poprzednika, autokreacja, czyli mdląca, obrzydliwie słodka, eseistyczna autokracja. Do diabła z bohaterem literackim, do diabła z samoistnym dziełem sztuki – dość mamy myślenia o myśleniu, wolna sztuka nie istnieje! – istnieje tylko uwikłanie, cierpiący, pochylony nad cierpieniem autor i piękna forma, gdyż mowa jest zawsze o autorze znakomitym, który „dotyka tego, co niewyrażalne” każdym swoim słowem. Pin może aż tak się przejąć ukochanym autorem jak Jan Zieliński, który przeczytawszy w 7. numerze „Zeszytów Literackich” o nieszczęściu choroby, która dotknęła Wojciecha Karpińskiego, sam natychmiast dostał wysokiej gorączki, lecz niezwykłość tej sytuacji krytyk zrozumiał dopiero wówczas, gdy okazało się, że i Gombrowicz także miał kiedyś anginę. Jakby więc mało było tej paranoi, trzeba weń jeszcze wmieszać Autorytet, gdyż bez niego nie da się nawet...*

Styl namaszczone, naszpikowany zdobniczymi i metaforycznymi epitetami, *campus martius* dla erudycyjnych popisów, to konsekwencja przypisania sobie przez Pinów wyjątkowej roli we współczesnych dziejach Polski. Pin wie, że trzeba chronić „obszar kulturowego dziedzictwa”, „sekretny ogród pamięci”, że winien bronić podstawowych wartości, „których obecność intuicyjnie wyczuwamy”, jak pisał Michnik, że winien odpowiadać na „najprostsze i najbardziej podstawowe pytania”. Pin wie, o co chodzi, intuicyjnie oczywiście, więc lepiej nie zadawać mu głupich pytań w rodzaju: o jakie wartości chodzi? co jest najważniejsze?, no bo i jakże to tak; przecież wiadomo: Europa, basen Morza Śródziemnego, Rzym, chrześcijaństwo, prawo i sztuki piękne, alfabet i moralność. Wie też Pin, skąd i dlaczego ucieka. Sęk w tym, że owa ucieczka z totalistycznego świata zamienia się na poziomie politycznym w „ucieczkę z Bizancjum”, a na pozostałych w ucieczkę w pustowielosłowie i piękną formę, tworzoną dla jej własnej urody.

Pozostały, owszem, pewne tematy i pozostały pewne teksty, do których raz po raz dołączyć można coś nowego, choć to rzadkość. Nie dość, że łatwo wyrzekamy się wielu tematów, że utrwalając stereotypy, podobnie jak Brodski, przekreślamy wiele wątków własnej przeszłości prowadzących na Wschód, to lubujemy się w mętnościach stylu i chorujemy na anachronizm, szczególnie raziący w eseistyce poświęconej przełomowym wydarzeniom z naszej dziewiętnastowiecznej historii. Czy nie jest zadziwiający upór, z jakim wszyscy piszą o tym

* Jan Zieliński, *Plaszcz wygnanica*, „Zeszyty Literackie” 1987, nr 18.

pięknym rzekomo stuleciu? Dlaczegoż to nie chcecie pisać eseistyki o latach międzywojennych, Panowie? Dlaczego ten okres zdominowała jedynie biografistyka wielkich: Piłsudskiego i Dmowskiego? Można by o to zapytać inaczej: dlaczego ci naprawdę nieliczni młodzi ludzie, którzy dziś angażują się w politykę, z takim uporem recytują formuły zaczerpnięte ze słownictwa stronnictw politycznych z przełomu wieków? Dlaczego dziś rozbrzmiewa stary spór między prawicą i lewicą, dlaczego jedni narzekają na kompromisowość opozycji wyrosłej z nurtu lewicowego, wielu innych zaś straszy dzieci wskrzeszeniem endecji? Obawiam się, że można na to odpowiedzieć poprzez sugestię zawartą w pytaniach wcześniejszych; ponieważ polska refleksja polityczna zatrzymała się na roku 1920. Skądinąd przeraża mnie fakt, że ostatnie dziesięć lat istnienia zorganizowanej opozycji w Polsce nie zrodziło żadnego dziecka politycznego, że organizująca się młodzież sięga do wzorców bardzo odległych w czasie, a współczesnych nie tylko nie zauważa, ale wręcz wyraźnie nie chce, o czym najlepiej może świadczyć błyskawiczny rozłam między starymi i młodymi w nowo powstałej PPS. Zdaje się, że jedną z nieostatnich przyczyn tej sytuacji jest owo intelektualne rozumienie charakteru opozycji w krajach bloku sowieckiego, w tym i w Polsce. Stąd niedaleko już do rzeczywiście zgubnego namaszczenia, z jakim naczelne Piny nauczyły wsłuchiwać się we własne słowa, wracające do nich z zachodnich środków przekazu; miast uprawiania czynnej polityki, miast uczynienia ze zmiennych i bogatych form zaangażowania społecznego prawdziwej broni politycznej, usiłowano i wciąż usiłuje się szachować władzę przy pomocy słów. Ale dość o tym, albowiem zbliża się era krytycyzmu, nawet w warszawskiej „Krytyce” zwrócono ostatnio ostrze przeciwko sobie*. Nadchodzi więc chyba nowa Pinowa moda – krytyczna swoboda; wszystkich będą już niedługo krytykować wszyscy, autorzy peanów zamienią się w Kasandry, a nielicznym dotychczas trzeźwym pozostanie jedynie pójść się wypowiedzieć z grzechu pychy, iż sądzili, że Pinowi nie w smak myślenie, gdy tu, proszę, wręcz na odlew, i w lewo, i w prawo, i to jeszcze jak – myśli.

Obcięte ucho Malchusa

Żadna ucieczka z Bizancjum nie jest możliwa. Tak jak drzewo nie może opuścić miejsca, w którym rośnie, tak i człowiek, a Pin być może nawet w szczególności, nie może odżegnać się od tradycji, z której wyrasta. Szczegółowość sytuacji Pina, podobna w tym sytuacji intelektualistów w ogóle, niezależnie od miejsca ich pochodzenia, wynika ze szczególnego właśnie charakteru jego związków z tradycją, przeszłością i zmiennymi losami kultury, z której wyrasta jego myśle-

* Porównaj: Jerzy Surdykowski, *Kształty oporu* i Krzysztof Wolicki, *Gadanie*, „Krytyka” 1987, nr 25.

nie, sposób odczuwania świata, typ religijności i wiele innych, bardzo zagmatwanych najczęściej, czynników.

Żadna istotniejsza zmiana w myśleniu Pinów nie nastąpi dopóty, dopóki nie uświadomimy sobie jego podstawowych ograniczeń. Nie można uciec z Bizancjum dopóty, dopóki nie przestanie się myśleć źle o Turkach czy muzułmanach, dopóki myśl nie wyzwoli się z – niepostrzeżonych często na pierwszy rzut oka – klisz niechęci i równie dobrze skrywanych formuł usprawiedliwień. Jest to rzecz o tyle trudna, że wiele owych klisz czy też formuł nie występuje bezpośrednio w dyskursie, są one często wręcz przez samych dyskutantów niezauważane, gdyż zostały sformułowane na przykład o wiele wcześniej i przy zupełnie innej okazji lub uwarunkowane zostały przez odmienny czas polityczny i stosunki społeczne, a mimo to w niezmienionej postaci odciskają się na później powstałej myśli.

Klisze i formuły tu wspomniane mają często charakter nieuchronnej presupozycji. Polska odmiana tej choroby nosi eufemistyczną nazwę: o s t r o ż n o ś ć, a w istocie zbudowana jest z alfabetu strachu przed jakąkolwiek formą wyraźniejszego wypowiedziania własnych przekonań. Kto wystąpi z bardziej zdecydowanym programem, ten zostanie okrzyknięty zdrajcą i nic mu nie pomoże wskazywanie na przykład Afganistanu. Będzie on niebezpiecznym maniakiem, szykującym zamach na substancję narodu i naród cały. Z drugiej strony wszelkie próby wyzyskania ustępstw władzy, rzekomo wywalczonych przez reprezentującą niezależne kręgi społeczne opozycję, mogą zostać uznane za kolaborację. Jednym słowem, ani knuć, ani oficjalnie działać nie wypada; według naczelnych Pinów wypada tylko jedno: trwać na bezkompromisowym stanowisku obrońców podstawowych wartości umiejętnie zagarniętych pod siebie.

Klisz niechęci jest stokrotnie więcej niż zasygnalizowanych tutaj marginalnie formuł usprawiedliwień. Strach nie tylko przed radykalizacją myślenia, lecz przed jakąkolwiek jego zmianą prowadzić musi prędzej czy później do nietolerancji. Nietolerancja wobec osób bądź organizacji niezależnych, o nieco bardziej radykalnych poglądach od warszawsko-gdańskiego centrum, jest obecnie najpoważniejszą z chorób toczących zarówno ciało, jak i ducha opozycji demokratycznej w Polsce.

Skierowanie na chwilę uwagi w stronę praktyki życia politycznego Pinów bynajmniej nie oddala nas od ich sposobu myślenia. Jest nam ono potrzebne, aby wskazać, że myślenie to, wówczas gdy jest skierowane nie do zmarłego myślicie-la, lecz do współczesnego, przeciętnego rozmówcy, nacechowane jest zarówno niechęcią, jak i potrzebą jego pozyskania. Dzieje Polaków pod rządami komunistycznymi można byłoby ująć najkrócej następującym zwrotem: między służalczością a pogardą. Tak było z każdym Pinem, nie wyłączając autora tego tekstu. Tak niewola dotyka każdego ze zniewolonych – w urzędach i życiu prywatnym zniewaleni i upokarzani, jako urzędnicy i reprezentanci władzy w pracy zniewalający i upokarzający innych, sobie podobnych. Jaka więc może być myśl zro-

dzona w takim piekle, któremu z bezmyślną wyrozumiałością przygląda się, w znacznym stopniu nim zarażony, Kościół? Polska na pewno nie jest Chrystusem narodów. Polska może być, co najwyżej, nazwana Piotrem, który w obronie Prawdy obciął ucho Malchusowi, by następnie trzykrotnie się Jej zaprzec ze strachu o własną skórę. Nawet wielkość szkód pierwotnie wyrządzonych przeciwnikowi dziwnie w tym porównaniu wydaje się adekwatna w stosunku do tego, czego udało się dokonać. Nieszczęściem bowiem współczesnej Polski jest jej, jak mawia pewien Pin, inteligencja klamkowa, ze szlachetnymi Pinami na czele, która w pełni przejęła tradycje dawnej klamkowej szlachty – wściekłą dumę i mizdrzenie się do najsilniejszych. I, nie łudźmy się, nic się nie zmieni w kondycji polskiej myśli niezależnej dopóty, dopóki nie stanie się ona rzeczywiście niezależna, albowiem nic się nie zmieni, dopóki Polska nie stanie się wolnym krajem. Oto jedna z prostych tajemnic obecnej, nienaturalnej sytuacji. Pin, nawet jeśli dopuszcza do siebie myśl o tym, że coś w kwestii wolności narodowej jest nie tak, jak być powinno, to zawsze będzie widział przed sobą zniewolone miliony, nad których świadomością trzeba organicznie popracować, sam o sobie zaś będzie z całą naiwnością pisał jako o niezależnym duchu. Tymczasem – na co wskazywać miał przykład Brodskiego – niełatwo jest pozbyć się skażonego dziedzictwa Niniwy temu, kto dawno już jej mury opuścił, a cóż dopiero pozostać czystymi tym, którzy wciąż są jej mieszkańcami i więźniami zarazem.

[9/1988]

WOJCIECH KARPİŃSKI

Płomień

Uderzał bezpośredniością – w życiu, pisaniu, malowaniu, mówieniu – a jednocześnie miał w sobie wiele postaci i każdą był w pełni. Malarz, pisarz, krytyk sztuki i literatury, działacz, publicysta, żołnierz, kwestarz, przyjaciel, był przede wszystkim żywym człowiekiem. Gruntownie dobrym, promiennym, reagującym natychmiast – na krzywdę, na dowcip, na momenty zachwycenia i momenty przerażenia.

Rzucał się w rozmowę, w dyskusję, żył chwilą, a jednocześnie tkwił w strumieniu czasu. Pamięć była ważnym motorem jego działania, jego sposobem rozpoznawania się w świecie. Wplątany w korzenie życia doczesnego, tkwił też mocno, myślami, uczuciem, w życiu duchowym. Był mu ten inny wymiar potrzebny, wierzył w jego istnienie. Ktokolwiek się z Józefem Czapskim zetknął, z jego osobą czy z jego dziełem, nie wątpił o obecności w nim tej potrzeby, tego wymiaru. Był żywym dowodem istnienia „innego świata”. A jednocześnie o konfesyjnym i instytucjonalnym kształcie swojej religijności mówił mało, on, który rozmowy, rozmowy istotne, tak cenił.

Także w życiu wewnętrznym był raczej rysownikiem niż filozofem. Kreślił szkice interesujących go światów, nie budował ideologii, systemów. Nie przez dedukcję odkrywał ludzi i siebie, nie dawał się szantażować spekulacjom, to stanowiło jego siłę; był jednak żywą, krytyczną, analityczną myślą zafascynowany, to też stanowiło jego siłę. Chciał chwytać mgnienia rzeczywistości, był malarzem, a jednocześnie walczył o otwarcie malarstwu i malarzom, także rozumianym jako sposób postrzegania świata, szerszych horyzontów. „We Francji nie istniał nigdy przesąd, popularny w Polsce, że malarz ma prawo być głupi”, napisał kiedyś z wyzywającą ironią. On nie był głupi, pracował nad tym, żeby nie być głupim. Uderzał mądrością konkretną i ludzką, która nie podlega okrutnej i celnej, Gombrowiczowskiej formule: im mądrzej, tym głupiej, bo jego mądrość nie była mądrością spekulacji i instytucji, kapłanów i filozofów. To była jego mądrość, Józefa Czapskiego, przez niego zdobywana i rozwijana.

Posługując się nakrochmalonym językiem słów uczonych, obcych mu, można by powiedzieć, że był zwolennikiem idiografii, ustalania, opisu i wyjaśniania jednostkowych faktów, nie zaś nomologii, wykrywania naukowych praw rzą-

dzących sferą ducha i ciała. Chciał odnaleźć prawdę przeżycia, utrwalić sens doznanego szoku. Szukał wyjaśnienia faktów. Wtedy, gdy starał się oddać sobie właściwymi środkami wrażenie, jakie zrobiła na nim gra światła i czerwonych plam widoczna przez chwilę na dojrzałej w kawiarni czyjejś twarzy. Wtedy także, gdy szukał kilku zaginionych towarzyszy broni, i wtedy, gdy szukał kilkunastu tysięcy towarzyszy niewoli. I wtedy, gdy z ledwo napotkanym rozpoczynał rozmowę i chciał się dowiedzieć, co tamten uważa i czuje. I wtedy, gdy otwierał szary kajet i notował tok myśli, szkicując siebie.

Posługując się słownictwem trochę mu bliższym, lecz ciągle jeszcze odległym od jego bezpośredniości, powiedzieć by można: był poszukiwaczem epifanii, łowcą chwil, gdy rzeczywistość odsłania się oku, sercu, ciału, rozumowi – dostatecznie skupionemu, aby te znaki odkryć. Nie wierzył jednak w objawianie się w pustce. Nasze dochodzenie do rzeczywistości dzieje się tu, na tej ziemi, w chwili dzisiejszej, dzięki pracy przeszłej, z otwarciem ku jutru. Nie wydaje mi się więc krewnym Joyce'a (choć kto wie, jego powinowactwa z wyboru były tak szerokie – znajduje się wśród nich Beckett, jeszcze bardziej radykalny w oczyszczeniu). Potrafił być jednocześnie zafascynowany Tolstojem (w późniejszych latach bardziej Tolstojem artystą niż moralistą, choć moralistą także) i Dostojewskim, Alioszą i Iwanem, tym, który wierzył i poszukiwał świętości, i tym, który spalał się w buncie, i Kirilowem, i Szatowem, na Piotra Wierchowienieńskiego patrzył z przerażeniem, tylko Stawrogin był mu nieskończenie odległy.

Czy fascynował go też Gogol? Jeżeli tak, to wyszedł raczej spod *Plaszcza* niż z *Nosa* (skąd – wedle złośliwych krytyków – wychynął Nabokov). Vladimir Nabokov był mu obcy, on przyjaźnił się z tej rodziny z Siergiejem i Nikołajem, ale i w tej dziedzinie nie bywał dogmatyczny i kilka wierszy Władimira, kilka jego opisów, a zwłaszcza jego miłość do kultury rosyjskiej, do Puszkina, do słowa i poezji, były Czapskiemu bliskie, choć odmiennych sobie wybierali przyjaciół, z którymi zamierzali prowadzić rozmowy pod drzewami na Elizejskich Polach (niebieskich, nie paryskich). Już je prowadzą, prowadzili je obaj jeszcze tutaj, były dla obu ważne, stanowiły ich sposób istnienia w czasie, w kulturze. Myślę jednak, że ze sobą nawzajem mało rozmawiają.

Różnorodność duchowych powinowactw Czapskiego oddaje jego bogactwo czy też raczej je współtworzy. Te parantele były dla niego ważne, życiodajne. Buntował się, chciał samodzielnie budować swój świat wewnętrzny, ale nie zamierzał zaczynać od zera. Nie uważał, że stwarza nową literaturę, nowe malarstwo. To także stanowiło jego siłę. Towarzyszył radykalizmowi krytycznej świadomości współczesnej tylko do pewnego punktu. Malarstwo nie było dla niego skończone, ani powieść, ani poezja. Dawna sztuka nie była dla niego martwa. Interesował się skrajnie sceptycznym spojrzeniem Paula Valéry, nihilizmem Ciorana, przeżył kiedyś Nietzschego, kryzys ekspresji przedstawiony w *Liście Lorda Chandosa* Hofmannsthal'a odbierał jako przesłanie osobiste, list do siebie i o sobie, ale nie totalna krytyka i milczenie były jego punktem dojścia. Współczesne

trucizny połykał bez szkody. Dlaczego? Bo łączyły go namiętne związki z przeszłością, z życiem.

Był postacią historyczną, co tylko utrudnia rozpoznanie sytuacji, bo był jednocześnie kimś innym. Kim był? Józefem Czapskim, Józiem nie tylko dla rodziny i przyjaciół, tych już były setki, ale dla tych, na których padł promień jego obecności.

Kim będzie (jest)? Władzą spojrzenia. Umiejętnością nazywania ludzi, rzeczy, problemów. Odkrywania ich kształtu, ich wzajemnych związków. Miał ten dar: słowami i farbami kreślić portret osoby, krajobrazu, rzeczy martwych i bez ruchu – i rzeczy w ruchu, żywych, grup ludzi trwających w czasie i w przestrzeni.

Dzieła Czapskiego, jego obrazy, jego rysunki, jego eseje, książki pozwalają mi patrzeć – na nie, na niego, na mnie i na innych. Budzą we mnie nie tylko zachwyt, że oto widzę nowy i trafny obraz czy rysunek, czytam żywą opowieść o ludziach, rzeczach i problemach, lecz także uczą patrzeć i mówić, także tych, którzy sami nie zamierzają malować ani pisać. Ożywiają przed nami świat, ożywiają nas, ożywiają Czapskiego. To nie jest frazes. Wiem o tym. Nie maluję i nie rysuję, ale płótna Czapskiego nie tylko nauczyły mnie rozpoznawać je wśród dzieł innych twórców, lecz także rozpoznawać potencjalne obrazy Czapskiego na stacjach metra, w pejzażu, w teatrze, w kawiarni. Jego książki dosłownie uczyły mnie mówić i myśleć o malarstwie. Kreślone przez niego słowami portrety ludzi i stanów duchowych uczyły mnie, choć nie nauczyły, szkicowania sylwetki ludzi czy zjawisk.

Czym jest, gdzie jest, widok zająca sprzed lat, gest ręki, która go wtedy wskazywała, pytał (przed laty) Miłosz w jednym z wierszy. Gdzie jest ból, gdzie jest radość, olśnienie, gdy zjawiają się, zarazem chwilowe i trwające w czasie? Ale – posuwając się dalej – czym jest, gdzie jest dar wywoływania tych stanów? Artyści są indywiduami, indywidualistami, lecz uczą nas (istoty niepozwalające się schwytać regułom i potrzebujące reguł) patrzeć i mówić. Zapala się czyjeś spojrzenie, gdy patrzy na obraz, gorszy lub lepszy, namalowany wczoraj bądź przed wiekami. Budzi się czyjś głos, pragnienie, żeby przemówić, gdy słyszy czyjś głos żywy (co to znaczy, że głos jest żywy?).

Wiem, odsyłam pytanie na wyższe piętro, poszukuję praw i wyjaśnień, choć tak się od tego odżegnuję, gdy zastanawiam się nad Józefem Czapskim, nad jego istnieniem, uderzająco intensywnym. Jeden ze szczególnie bliskich mu wierszy – potrzebował poezji, choć jej nie tworzył; przez nią poznawał świat, świat poetów i swój świat – mówiący o tym, że nasze życie splata się z innymi żywotami, zamykają słowa jakby dla niego napisane: „A mój udział jest czymś więcej niż tego życia wąty płomień albo wąska lira”. Ale to lira, niekiedy wąska, niekiedy ciężka – czy paleta, czy pióro – pomagają nam zrozumieć, że nasz udział jest czymś więcej; to płomień, czasem wąty, czasem wybuchający wieloma językami, lecz zawsze przecież mający swój kres, to wewnętrzny płomień stanowi o tym większym udziale. Ten płomień oświetla, powoduje, że widzimy, potrafi-

my rozróżniać i nazywać rzeczy, że rzucamy cień, że żyjemy. Niektórym dana bywa władza, aby ten płomień utrwalić – słowami, barwami, następstwem dźwięków. Potrafią przekazać chwilę, gdy widzą jasno w zachwyceniu.

Wąska lira, ciężka lira, widzieć jasno w zachwyceniu – cytaty, nawiązania, kontynuacje, domena francuska, domena niemiecka, domena rosyjska, gwoździe diamentowe cytatów, za to się chwytam, żeby jakoś określić, czym jest dla mnie jego odejście, jego obecność. Na czym polegała swoistość i siła tego płomienia, który zgasł?



Spotkałem go jesienią 1965 roku. Paryż, nieistniejąca już winiarnia La Reine Pédaque (Pod Królową Gęsią Nóżką), ulica La Pepinière przy dworcu Saint-Lazare i przy biurze Kongresu Wolności Kultury. Poszedłem tam z Zygmuntem Hertzem. Usiedliśmy niedaleko wejścia. Po pewnym czasie Zygmunt spojrzał w głąb sali i powiedział: „O, jest Józio”. Zobaczyłem siedzącego przy dalszym stoliku mężczyznę o siwych włosach, w grubych okularach, pochylonego nad kajetem, w którym zapamiętało coś mazał, nikogo nie dostrzegając. Zygmunt podszedł do niego i poprosił do naszego stolika. Czapski zrazu był zaskoczony i jakby rozdrażniony, że oderwano go od interesującego zajęcia, ale po chwili w jego oczach zapaliła się iskierka ciekawości. Przyszedł niewiarygodnie wysoki, o dość niezgrabnych, raptownych ruchach. Wydał mi się wówczas zarazem bardzo stary (zbliżał się do siedemdziesiątki) i bardzo żwawy. Usiadł. Natychmiast zaczął rozmawiać z nieznanym sobie studentem. Najpierw mówiliśmy o książkach, potem trochę o malarstwie. Następnego dnia pod drzwiami *chambre de bonne*, w którym mieszkalem dzięki uczynności znajomych znajomych, zastałem od niego list. Poczta jakoś odcyfrowała adres. Najpierw wydawało mi się, że tekst jest w ogóle nieczytelny. Wymagał tylko innego spojrzenia: powoli zgadywałem poszczególne słowa. Był to dalszy ciąg naszej rozmowy. Potem było wiele listów. Z Polski w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pisałem na adres jego francuskich przyjaciół, a on czasami dla konspiracji pisał po francusku, choć jego pismo, jedyne, rozpoznawalne było, gdyby ktoś się tym interesował, w okamgnieniu.

Ale przecież to nie wtedy go poznałem. Wiedziałem, kim jest, gdy podchodził do stolika. Znałem go, jego gusta malarskie i literackie, jego styl, nawet jego głos, wysoki, zwracający uwagę w kawiarni czy na salach muzealnych. Słuchałem go w audycjach Wolnej Europy, ale przede wszystkim czytałem jego teksty.

Znałem jego szkice i artykuły w „Kulturze”, znałem *Oko*. Także *Na nieludzkiej ziemi*, *Wspomnienia starobielskie*, *Lettre ouverte à Jacques Maritain et François Mauriac* pisany w 1944 roku w momencie upadku Powstania Warszawskiego, czytałem je w Bibliotece Narodowej w Warszawie na Rakowieckiej jesz-

cze jako uczeń liceum. To właśnie te tytuły – *Na nieludzkiej ziemi*, *Wspomnienia starobielskie* – wywołały zaniepokojenie bibliotekarzy, powiedziano mi, że tego rodzaju książek się nie wypożycza. Poznałem więc Czapskiego jako pisarza, ale na szczęście interesowałem się także malarstwem i poznałem go jako pisarza o sztuce. Piszę na szczęście, bo Czapski był wówczas dostrzegany w pierwszym rzędzie jako barwna i sympatyczna postać historyczna, świadek ważnych wydarzeń, w dalszej kolejności – jako zapalczywy, może trochę egzaltowany publicysta, w końcu wreszcie jako dziwaczny malarz. Pamiętam wypowiedzi o nim ludzi starszych: malarze twierdzili, że powinien więcej pisać, literaci, że malować. Wszyscy zgadzali się, że to czarujący człowiek. Ta postawa wobec Czapskiego do dzisiaj zasłania i dzieło, i człowieka.

Poznałem go więc najpierw jako pisarza. Kłopot z Czapskim polega właśnie na peszącej współobecności wielu osobowości w jednej, wielu talentów, wielu technik i rodzajów artystycznych. Posługiwał się nimi w jednym celu: aby uchwycić otaczającą go rzeczywistość, aby utrwalić i rozwinąć swój świat wewnętrzny. Może więc zamiast sztucznie szatkować go na malarza, pisarza, publicystę, lepiej mówić o nim jako o autorze – znakomitych – migawek rzeczywistości, rysunków świata i siebie, portretów układających się w dynamiczny autoportret. Taki był w pisaniu, taki był w malowaniu i taki był w rozmowie.

Taki jest jego dziennik, może jego autoportret najpełniejszy. Nikt dobrze nie wie, co te nagryzmolone dziesiątki tysięcy trudnych do odcyfrowania stron zawierają. Znam teksty drukowane, wspaniałe. Wielokrotnie oglądałem rękopisy. Oglądałem, bo wczytywanie się zajęłoby miesiące, lata: nerwowy zapis, czasem przechodzący z jednego języka w drugi, kontynuacja rozmowy z kimś czy lektura, zanotowany numer telefonu, szkic raptowny, doskonały (a czasem chybiony) czyjeś twarzy nagle ujranej, ta sama twarz w nowym ujęciu, szkic do przyszłego obrazu, albo wyrwany fragment przeniesiony do następnego kajetu, który zostanie wykorzystany (albo nie) do projektowanego płótna. A obok list od kogoś i szkic odpowiedzi. Ciągły dialog.

Uwielbiał rozmowy. Lubił dyskusje, ale nie systematyczne, lecz płynną konfrontację poglądów zawsze ilustrowanych przeżyciami, szkicami z rzeczywistości, które miały potwierdzić lub podważać daną tezę. Miał olbrzymią tolerancję wobec stanowisk odmiennych, lubił sprzeciw. Nie znosił tylko zmyślania, grymasów niezgodnych z wewnętrzną prawdą. Takimi ludźmi przestawał się interesować. Takich pisarzy czy malarzy usuwał ze swojego świata.

Rozmawiać lubił w wąskim gronie, najchętniej w cztery oczy. Obecność trzeciego stanowiska i punktu odniesienia chyba mu przeszkadzała. Zapamiętałem go u francuskiego historyka Philippe'a Ariesa – siedział w kunsztownym mieszczańskim fotelu, tak niepasującym do jego sylwetki Don Kichota, krzyżował swoje niemożliwie długie nogi, kręcił się, czuł się niewygodnie, choć pana domu cenił i lubił i był przez niego lubiany. Ale chyba we dwójkę, w pokoju Józia czy w anonimowej kawiarni, rozmowa potoczyłaby się żwawiej.

Prawdziwe spotkania z nim łączą się z jego pracownią, oglądaniem nowych obrazów, pokazywaniem dziennika i fotografii płócien z ostatnich wystaw. Najchętniej pólśiedział z butami na łóżku. Ręce trzymał założone za głowę i patrzył na rozmówcę albo przed siebie, jakby z pamięci wywoływał obrazy, którymi chce się podzielić. Jego opowieści podobne były do jego tekstów. Przerzucał się z tematu na temat, kreślił szybkie, czasem złośliwe portrety ludzi, niekiedy naśladował ich głos, mówił o problemach i lekturach, o sobie. I, jak w pisaniu, ważną rolę grały odpowiednio dobrane cytaty. W jakimś momencie nie wytrzymał i chciał jak najszybciej przeczytać fragment wiersza czy prozy ilustrujący jego wywód. Wówczas jedną ręką opierał się o łóżko, a drugą sięgał na półkę nad głową, gdzie powinna stać potrzebna książka, mocno popodkreślana flamastrem, z jego „gwoździem diamentowym”. Książki i albumy zlatywały na tapczan i na głowę. Przerzucał je nerwowymi ruchami. Po pewnym czasie znajdował tam lub gdzie indziej potrzebny cytat i rozmawiał dalej – najczęściej już o czymś innym, bo spadające książki wywoływały nowe obrazy, nowe skojarzenia.

Podobnie czytał. Był czytelnikiem wspaniałym, impulsywnym. Świadczy o tym jego szkice i fragmenty dzienników, świadczą też książki, które przeszły przez jego ręce, te z półki nad głową i nie tylko. Czytał z piórem w ręku, podkreślał, stawiał wykrzykniki i znaki zapytania, smarował na marginesie komentarz, na końcu książki wypisywał ważniejsze strony i tematy, czasem jeszcze na okładce notował najbardziej znaczące odniesienia.

Z książkami też rozmawiał. Bywały to dyskusje ostre. Nie tylko aprobował, ale także zaznaczał swój sprzeciw, nawet u pisarzy sobie tak bliskich jak Brzozowski czy Simone Weil. Niekiedy bywał brutalniejszy. O pewnym skrajnym (chyba wyjątkowym) wypadku wiem od niego. Było to pod koniec lat sześćdziesiątych. Czytywałem wtedy z przejściem Georges'a Bataille'a. Opowiadałem Czapskiemu o tych próbach ateologicznej mistyki, o przetworzeniu Nietzschego, o podjęciu problemu transgresji. Któregoś dnia postanowił poznać Bataille'a. Kupił w Paryżu *Madame Edwarda*, czytał ją w pociągu do Maisons-Laffitte i z taką niechęcią zareagował na mieszaninę mistycyzmu i erotyki (plus bodajże na rysunki Bellmera, zachwycał się nimi Kot Jeleński, Czapski ich nie znosił), że gdy pociąg za Sartrouville przecinał Sekwanę, wyrzucił książkę za okno. Zaimponowała mi ta reakcja, uważałem jednak, o czym mu nie wspominałem, że lepiej było mi książkę ofiarować; nie miałem jej, a była droga.

Potrafił być ostry w sądach o książkach czy obrazach, ale zawsze gotów był do zmiany zdania. Podobnie wobec ludzi – starał się ich dostrzegać z wielu stron. Nie był skłonny do potępień. Ta wielowarstwowość spojrzenia wywoływała sympatię – ktoś, kto chciał rozumieć, budził chęć do rozmowy, do spotkania. Połączenie ostrości spojrzenia i tolerancji nie we wszystkich jednak wzbudzało entuzjazm. W *Dzienniku* Lechonia można odnaleźć żywe ślady irytacji postawą Czapskiego.

Trudne złączenie wierności sobie i umiejętności uczenia się stało u źródeł uderzającej duchowej młodości Czapskiego do lat ostatnich. Wobec siebie był również stale pełen zwątpień. I nadziei. Stale chciał się uczyć, uczyć na własnych potknięciach. Mówią o tym zapiski w jego dzienniku. Mówią o tym jego obrazy. To przecież w płótnach późnych, po przekroczeniu osiemdziesiątki, osiągnął – w niektórych martwych naturach i przede wszystkim w ostatnich krajobrazach – niezrównaną siłę wyrazu.

Po pierwszych spotkaniach do jego tekstów wracałem wielokrotnie i słyszałem w nich ten sam wysoki *timbre* głosu, to samo podkreślanie pewnych słów, kursywę w druku, gestem i tonacją w rozmowie, to samo widzenie, błyskawiczne i celne, to samo używanie czasu teraźniejszego, gdy opowiadał o Delacroix czy o Corocie, o Degasie czy o Danielu Halévy, czy też o sobie sprzed lat kilku bądź kilkudziesięciu – dla niego wszystkie ważne problemy były współczesne.

Jego proza, często na granicy gramatycznej poprawności, brzmiała oryginalnie i naturalnie. Potem przekonałem się, że ta naturalność była wynikiem długiej pracy. Słowa o przyspieszonym rytmie, niektóre używane w swoistym sensie, cytaty inkrustujące opowieść, zawsze rozjaśniające, zawsze odkrywcze, nawet gdy się powtarzały, bo podporządkowywał je za każdym razem nowej tonacji. Dążył do kondensacji efektu. Z ciemności pojawia się kilka szczegółów, opisanych jego, Czapskiego stylem, znakomicie dobranych, nawzajem się wyjaśniających. Tak powstały w *Oku* wprowadzenia do poszczególnych części: *Tło paryskie i polskie*, *Tło rosyjskie*, *Tło paryskie*. Zarówno te teksty, jak i niektóre sylwetki malarzy i pisarzy, jak i szkice snów, książek, problemów, obrazów w *Wyrwanych stronach* należą do najważniejszych dzieł polskiej prozy dwudziestego wieku, polskiej prozy w ogóle.

Jest w nich siła ewokacji, umiejętność łączenia ze sobą wielu rzeczy, wielu dziedzin (za Hofmannsthalem uważał, że ta umiejętność stanowi pierwszą zasadę twórczości), jest niezrównana energia słów. Dlatego Czapski zajmuje, moim zdaniem, miejsce wyróżnione w „szkole ontologicznej” polskiej prozy – nie chodzi mi o poglądy religijne czy filozoficzne, lecz właśnie o to, ile się w swych tekstach potrafi zawrzeć rzeczywistości, w jakim stopniu jest się władnym zatrzymać w słowach obrazy życia duchowego, przymusić słowa, aby znaczyły, stały się zrozumiałe i nośne dla innych.

Dwa cytaty, dwa drogie mu „diamentowe gwoździe”, najcelniej chyba określają tajemnicę tego twórczego płomienia, który rozjaśniał jego życie. Pierwszy to końcowa strofa wiersza *Manche freilich...* Hugona von Hofmannsthala. Czapski często do tego wiersza powracał, w szkicu o Pawle Hostowcu dał jego znakomity polski ekwiwalent:

Jedni umierają, pisze poeta, tam gdzie się poruszają ciężkie wiosła statków, inni mieszkają przy sterze, znają lot ptaków i krainy gwiazd. Jedni tkwią u korzeni zawilego, pełnego zamętu życia, inni mają swe przybytki przy sybillach – królowych. Ale na tych szczęśliwców lek-

kich pada cień, cień od tamtych, dławionych w zamęcie życia, i związani oni są ze sobą, ci le-
kcy i ci ciężcy, jak powietrze z ziemią... Zmęczenia zapomnianych ludów nie może on sprzed
powiek swoich usunąć, ani nie potrafi jego przerażona dusza z pamięci swej zetrzeć niemego
zapadania się dalekich gwiazd. I losy wszystkich w jego los wrośnięte, wetkane, to więcej niż
smukły płomień jego życia i jego wąska lira.

Ten wiersz, tę strofę – podaję ją w niedawno opublikowanym tłumaczeniu
Pawła Hertza – uznać można za motto całego życia i dzieła Czapskiego, lecz
myślę o tych słowach przede wszystkim, gdy zastanawiam się nad magią jego pi-
sarstwa:

Z moim losem wiele losów się splata,
Wszystkie snuje w nieładzie istnienie,
Mam w nim większą część niż tego życia
Smukły płomień albo wąską lirę.

Drugi cytat to słowa Dürera. W monografii Pankiewicza Czapski wkłada je
w usta swojego nauczyciela. W późniejszych rozważaniach o naturze pracy
twórczej przytacza je jako słowa, do których miałby szczególne prawo Corot,
malarz, który obudził w Czapskim przed laty, w Londynie, twórczą siłę. Ale
przecież Czapski rozpoznał się w tych słowach. O nich myślę, gdy oglądam jego
obrazy:

Czym jest piękno, nie wiem. Prawdziwa sztuka tkwi w naturze, kto ją może z niej wydo-
być, ten ją posiada. Im bardziej dzieło twoje zgodne jest z życiem, tym jest lepsze. Nie wyob-
rażaj sobie, że mógłbyś stworzyć coś lepszego niż to, co Bóg stworzył. Z siebie samego nie
może wykonać człowiek żadnego dobrego obrazu, ale jeżeli długo badał przedmiot i cały nim
nasiąknął, to sztuka tak zasiana przyniesie owoc i wszystkie skarby tajemne serca będą wyra-
żone w dziele, w nowym stworzeniu.

[3/1993]

JÓZEF MARIA BOCHENSKI

Co to znaczy być Polakiem?

Poniższe rozważania mają na celu sprecyzowanie sensu określenia „X jest
Polakiem”. Można je uważać za filozoficzne z dwóch względów: 1. Filozofia
zajmowała się zawsze przygotowaniem dociekań naukowych, jeszcze nieistnieją-
cych, zwłaszcza gdy chodzi o analizę pojęć. Otóż istnieje bardzo niewiele stu-
diów naukowych dotyczących naszego przedmiotu. 2. Jest rzeczą filozofa doko-
nywać syntezy danych należących do różnych dziedzin. Otóż, aby móc na nasze
pytanie odpowiedzieć, potrzeba informacji z dziedziny historii, językoznaw-
stwa, literatury i różnych gałęzi socjologii.

Nacisk będzie położony tutaj nie na dociekania doświadczalne, ale na analizę
pojęć. Dane empiryczne użyte w tym studium zasługują zapewne na nazwę ba-
nalnych, wszystkim dobrze znanych (aczkolwiek naukowo przeważnie niezba-
danych). Jeśli podjęto się trudu ich zestawienia, to dlatego, że posiadanie ich ra-
zem wydaje się nie bez pożytku*.

I

Przyznanie się do polskości jest przyznaniem się do narodu polskiego, zakła-
da więc pewne określenie tego narodu, bo aby przyznać się do czegoś, trzeba
wiedzieć, czym to coś jest. To zakłada z kolei przynajmniej szkicowe określenie
pojęcia narodu w ogóle. Wypada nam więc na wstępie szukać odpowiedzi na
dwa pytania: 1. Czym jest naród? 2. Czym jest naród polski? Wbrew temu, co
można by sądzić, oba są trudnymi pytaniami.

1. Złożoność pojęcia narodu. Aczkolwiek poczucie solidarności
narodowej sięga w Europie XVI wieku, pojęcie narodu powstało, jak się zdaje,
dopiero w XIX wieku, a mianowicie w narodach, które nie miały wówczas
własnego państwa, to jest na kontynencie europejskim w Niemczech, Polsce
i we Włoszech. W innych, np. we Francji, nie było znane aż do drugiej wojny
światowej – tym mniej można o nim mówić w innych częściach świata. Pierwsza

* Autorowi chodzi także o sformułowanie jego odejścia od ideologii nacjonalistycznej,
której był wyznawcą za młodu.

znana autorowi międzynarodowa dyskusja na temat tego pojęcia miała miejsce w roku 1922.

Tym tłumaczy się być może fakt, że nie istnieje powszechnie przyjęta definicja narodu. Definiowano go przez wspólny członkom odcień obyczaju, a więc moralności (o. Woroniecki), odcień kultury, ostatnio przez wspólną ideologię (Lehmann). Wszystkie te definicje zawierają wprawdzie część prawdy, ale żadna z nich nie jest adekwatna. Żadna nie uwzględnia też dwóch ważnych faktów dotyczących tego słowa.

Jeden z nich to różnorodność znaczenia, zależnie od kraju. Tak na przykład we Francji pojęcie narodu łączy się stale z pojęciem państwa – podczas gdy nic podobnego nie jest do pomyslenia np. na Łotwie albo w Armenii. W wielu krajach naród definiuje się po prostu przez język, podczas gdy w innych nie jest to możliwe ze względu na wielość języków narodowych (Szwajcaria) albo na wspólny język kilku narodów (Irlandia i Anglia).

Drugi fakt to złożoność pojęcia i, co za tym idzie, postaw ludzkich odnoszących się do narodu. Niektóre spośród nich są biernie nabyte przez wychowanie w ramach danego narodu – np. przywiązanie do pewnego krajobrazu i pewnych obyczajów. Inne są przyjęte, przynajmniej częściowo, przez decyzję: przyznanie się do pewnej kultury i ideologii narodowej. Ich waga, znaczenie nie jest jednakowe. Tak np. uznanie pewnych zasad moralnych i określonej ideologii jest nieraz znacznie ważniejsze niż przywiązanie do krajobrazu. Niemniej wszystkie odgrywają pewną rolę w pojęciu narodu i stosunku do niego.

Ten drugi fakt uniemożliwia definiowanie narodu przez jedną tylko cechę i prowadzi do rozróżnienia dwóch pojęć narodu: podstawowego albo ludowego z jednej strony, pełnego z drugiej.

2. **Podstawowe pojęcie narodu.** Naród jest zespołem, grupą ludzi. Tym samym jest przedmiotem realnym, jednostkowym, a nie idealnym, ogólnym. Ten zespół jest zawsze związany z pewnym krajem. To związanie nie ginie w wypadku wychodźstwa: wychodźca czuje się związany z krajem ojczystym tak długo, jak długo uważa się za członka danego narodu. To jest bodaj jedyna cecha wspólna wszystkim narodom. Inne znajdujemy tylko w pewnych, ale nie we wszystkich narodach.

Na pierwszym miejscu wypada wymienić tutaj znajomość języka narodowego i przywiązanie do niego. Tej cechy jako charakterystyki narodu brak tylko tam, gdzie istnieje wielość języków narodowych, albo język wspólny paru narodom. W przeważającej liczbie innych narodów jest to jednak, obok stosunku do kraju, cecha najbardziej powszechna.

Wreszcie należą tutaj obyczaje i swoisty odcień moralności. Do obyczajów należą m.in. pieśni i obrzędy – np. na Boże Narodzenie – i u wierzących także obrzędy religijne odprowadzane na sposób przyjęty w danym kraju.

Ten zespół cech – stosunek do kraju, mowa i obyczaj – charakteryzuje naród w podstawowym tego słowa znaczeniu. Można by nazwać to pojęcie narodu

„ludowym”, jako że masy jego niewykształconych członków pojmują naród w ten właśnie sposób. Rota Konopnickiej wymienia dwa pierwsze i najważniejsze składniki tego pojęcia:

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród
Nie damy pogrześć mowy...

3. **Pełne pojęcie narodu.** Obok tego podstawowego istnieje także inne, bogatsze pojęcie narodu, zawierające razem z wymienionymi inne składniki, w szczególności historię, kulturę i ideologię danego narodu. Przez „ideologię” rozumiem tu (z Lehmannem) zespół poglądów i wyobrażeń określających rolę danej grupy ludzi w dziejach ludzkości. W ludzkich postawach odpowiadają tym cechom narodu ich znajomość i przynajmniej częściowo dodatnia ocena, połączona z przywiązaniem do tak rozumianego narodu. To pojęcie, które nazwę „pełnym”, znajdujemy tylko w jego inteligencji, względnie elicie. Normalny, wykształcony członek narodu zna je lepiej niż cudzoziemiec i umie lepiej ocenić ich dodatnie strony. To nie znaczy, że pochwała w nich wszystko. Jego ocena bywa zróżnicowana, zwłaszcza gdy w dziejach są różne okresy, w czasie których naród przyznawał się do różnych postaw kulturowych i różnych ideologii.

Jak dalece wymienione dwa pojęcia narodu się różnią, świadczy następujący fakt. W czasie kryzysu bitwy pod Warszawą w 1920 roku włościanie mojej rodzinnej wsi Cuszów w Kieleckiem mówili na huk dział „nasi biją Poloków”. Równocześnie w inteligencji był powszechny zryw do obrony kraju i narodu. Różnica pochodziła z przyznawania się do narodu polskiego w dwóch różnych znaczeniach: podstawowym u czuszkowskich włościan, w pełnym – u „Poloków”.

4. **Dwupiętrowość narodu.** Gdy chodzi o niektóre narody, położenie komplikuje się jeszcze przez istnienie, jeśli wolno się tak wyrazić, dwupiętrowego pojęcia narodu. Takie pojęcie znajdujemy całkiem jasno w dawnej Polsce i w Wielkiej Brytanii (Szkocja!), a być może także gdzie indziej.

W Polsce naród dwupiętrowy powstał skutkiem stworzenia unii lubelskiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Równolegle do federacji dwóch państw powstał także naród drugiego piętra, w szerszym tego słowa znaczeniu, którego państwem była właśnie owa Rzplita. Słowo „Rzeczpospolita” odpowiada w tym kontekście nie francuskiemu *république*, ale angielskiemu *commonwealth* i powinno być tłumaczone przez „wspólnota” albo wyrażenie podobne. Stosowanie go do współczesnej Polski polega więc na nieporozumieniu.

Brakło niestety terminologii dla wyrażenia dwupiętrowości w pojęciu tak powstałego narodu. Jednym ze skutków tego braku jest dwuznaczność wyrażenia „Polska”. Oznacza ono bądź Polskę etnograficzną, to jest Koronę, bądź Rzplitą jako całość. Podobna dwuznaczność obarcza nazwę „Polak”, która może oznaczać albo członka pierwszopiętrowego narodu polskiego, Koroniarza, albo członka drugopiętrowego narodu Rzplitej, który mógł być Litwinem albo Rusinem.

Obecnie, mimo zniknięcia Drugiej Rzplitej, pojęcie dwupiętrowego narodu nie straciło bynajmniej znaczenia, zwłaszcza gdy chodzi o dyskusje historyczne.

II

1. Pytania. Pytanie „co znaczy być Polakiem?” może więc odnosić się najpierw do narodu bądź w podstawowym, bądź w pełnym znaczeniu. Ale stawianie pytania w pierwszym rozumieniu nie jest celowe, i to z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że określenie, kto jest Polakiem w tym znaczeniu, nie napotyka na żadne trudności – wiadomo, kto ma pozytywny stosunek do kraju, mowy i obyczaju. Po drugie dlatego, że to nie masy ludowe, ale elita rozstrzyga o zachowaniu się jej narodu – a dla elity istotnym składnikiem pojęcia Polaka jest stosunek do kultury i ideologii. Celowe będzie więc nasze pytanie pojmować w sensie „być Polakiem znaczy dla wykształconego przyznanie się do jakiej kultury i ideologii?” Wobec ścisłego związku, jaki zachodzi między tymi dwoma składnikami (np. w wypadku tolerancji) będziemy je omawiali razem.

2. Rola decyzji osobistej. Przyznanie się do określonego narodu jest wprawdzie uwarunkowane przez okoliczności niezależne od woli jednostki, np. przez miejsce i chwilę urodzenia – ale jest także rzeczą osobistej decyzji. Ta decyzja może występować nawet w stosunku do narodu w podstawowym znaczeniu, mianowicie wtedy, gdy ktoś wynaradawia się, porzucając nawet przywiązanie do kraju i mowy. Przede wszystkim jest ona jednak potrzebna, gdy chodzi o naród w pełnym znaczeniu, czyli o kulturę i ideologię, do której ktoś się przyznaje.

3. Możliwe odpowiedzi. Nasuwa się tutaj najpierw pytanie 1) czy kultura itd., o którą chodzi, jest historyczna, to jest czy rzeczywiście żyła względnie żyje w narodzie – czy też chodzi o zerwanie z tradycją i przyjęcie czegoś całkiem nowego? Następnie, w razie wyboru ideologii historycznej, decyzja musi dotyczyć co najmniej dwóch spraw: 2) tam, gdzie naród posiadał kolejno różne ideologie i kultury, które wykluczają się wzajemnie, przyznający się do niego musi rozstrzygnąć, które spośród nich chce uważać za swoje. Konieczna jest też 3) decyzja co do stopnia, w jakim wybrany ideał narodu ma być historyczny, wierny rzeczywistości.

A. Wypada więc najpierw rozstrzygnąć, czy się chce przejąć jakąś tradycję, czy też tworzyć nową. Pytanie robi wrażenie absurdalnego, jako że w pojęciu przyznania się do czegoś zdaje się leżeć istnienie tego czegoś przed aktem przyznania. Widocznie nie jest jednak całkiem absurdalne, skoro wielu współczesnych Polaków zdaje się odrzucać wszelkie związanie z tradycją i chce Polski całkiem nowej pod względem ideologicznym i kulturowym.

Logiczna struktura tej postawy jest prawdopodobnie następująca: zakłada się przyznanie do narodu w podstawowym znaczeniu, to jest do kraju, języka i obyczaju. Tę narodowość chce się następnie uzupełnić przez nową ideologię i kulturę.

B. W razie wypowiedzenia się za wiernością tradycji, tam, gdzie w dziejach danego narodu znajdujemy wielość kultur i ideologii, nasuwa się pytanie „jakiej tradycji?”

C. Wobec tego, że żadne ludzkie rozumienie przeszłości nie jest całkowicie przedmiotowe, obraz narodu, do którego się przyznajemy, jest zawsze przynajmniej częściowo mityczny, to jest stworzony przez nas. Aby tylko jeden przykład przytoczyć, większość Francuzów jest przekonana, że ich naród był i jest wyjątkowo tolerancyjny – podczas gdy w rzeczywistości od nocy św. Bartłomieja, poprzez mordy, rewolucyje, aż do wydania Niemcom dziesiątek tysięcy Żydów na śmierć, ten naród dawał prawie stale przykład nietolerancji.

Stwierdzenie częściowo mitologicznego charakteru każdej ideologii, każdego obrazu kultury, nasuwa dość trudne zagadnienie stosunku składnika historycznego przyjętej kultury do jej składnika mitologicznego. Bez tego ostatniego obejść się nie możemy – ale historia uczy, że mity narodowe prowadzą nieraz do skrajnie nieracjonalnych postaw. Żydzi wierzą, że są narodem wybranym, Niemcy, że ich naród to *Herrenvolk* powołany do rządzenia innymi, Serbowie, że ich naród jest największy w świecie itd. Stąd ważny postulat: Przyznając się do określonego narodu, należy baczyć, by mitologiczny składnik tego przyznania był jak najbardziej ograniczony.

III

Po tych ogólnych rozważaniach możemy przystąpić do analizy wypadku polskiego. Polacy posiadają swój własny język, którym nie mówią członkowie żadnego innego narodu; posiadają też tylko jeden język, a nie wiele, jak Belgowie i Szwajcarzy. Określenie, co znaczy być Polakiem, jest więc o tyle ułatwione. Ale gdy idzie o ideologię, zagadnienie nie jest pozbawione trudności.

1. Zerwanie z tradycją. Pierwsze pytanie, na jakie trzeba nam odpowiedzieć, brzmi: czy naród, do którego współczesny myślący Polak się przyznaje, może być pojęty jako zrywający z całością dawnej polskiej historii, kultury i ideologii?

Zdaje się być faktem, że niejednen współczesny Polak chciałby zająć takie stanowisko. Przejawia się to najczęściej w woli uzupełnienia podstawowego pojęcia narodu nie przez ideologię zaczerpniętą z przeszłości polskiej, ale przez wizerzenia „zachodnie”, w szczególności amerykańskie.

Wypada jednak stwierdzić, że myślącemu Polakowi nie jest łatwo przyjąć taką ideologię. Zakładałoby to wyrzeczenie się przywiązania do polskiej historii i kultury – to jest do Polski, o którą Polacy walczyli w ciągu wieków. Zakłada także, że wchodząc do Europy, Polska nie wniesie niczego poza swoim kraj-obrazem i językiem, które, bądźmy szczerzy, nie interesują nikogo prócz samych Polaków. Zakłada wreszcie, że myślący wykształcony Polak jest w stanie wyrzec się swojego przywiązania do kultury, literatury itd., w których wyrósł i którymi

duchowo żył dotychczas. Otóż to wszystko jest wprawdzie możliwe, ale wysoce nieprawdopodobne.

Narzuca się więc wniosek, że pierwsze rozwiązanie naszego zagadnienia – zerwanie z tradycją – nie jest dla myślącego Polaka możliwe. Być Polakiem w pełnym słowa znaczeniu musi więc polegać na przyznaniu się do jakiejś polskiej tradycji kulturowej i ideologicznej.

2. **Wielość tradycji.** Ale naród Polski należy do tych, które w ciągu swoich dziejów przyznawały się kolejno do paru różnych ideologii.

Można mianowicie rozróżnić pod tym względem trzy okresy: 1) klasyczny, obejmujący Polskę Jagiellońską i wiek następny aż do Sobieskiego włącznie, 2) saski i 3) porozbiorowy. Początek XX wieku i druga Rzplita (1918–1939) są okresem, w którym rozpowszechnił się i został rozbudowany nacjonalizm, przejęty w zasadzie z okresu saskiego. Nie jest to więc nowa ideologia, tym bardziej że przyznawała się do niego tylko część inteligencji. Mimo to, aby być w zgodzie z przyjętą terminologią, mówić będziemy tutaj o ideologii „narodowej”, względnie nacjonalistycznej.

O nowej ideologii i kulturze Polski pod ponownym jarzmem moskiewskim (1945–1989) i współczesnej trudno mówić. Trudno też uznać „kulturę” polskiego getta w Detroit czy Chicago za nowy etap w dziejach. Przyznający się do polskości ma więc wybór tylko między trzema ideologiami: klasyczną, porozbiorową i „narodową”.

2. **Eliminacja mesjanizmu.** Z tych trzech wypada jednak wyeliminować główną ideologię porozbiorową, a mianowicie mesjanizm. Jego centralną tezę jest twierdzenie, że naród polski jest „Chrystusem narodów” – jak On niewinny, cierpi straszliwie jak On dla zbawienia narodów.

Przyjęcie tej postawy jest możliwe, co więcej, według moich informacji ideologia mesjanistyczna jest jeszcze wyznawana w pewnych kołach katolickich. Wydaje się jednak, że normalny współczesny Polak nie może jej przyjąć. Jeśli się dobrze orientuję, głównym powodem tej niemożliwości jest rozpowszechnione obecnie pragnienie czynnej roli Polski. Istnieją jednak także inne argumenty przeciw jej przyjęciu. Ideologia Chrystusa narodów przenosi chrześcijańskie wierzenie dotyczące Boga-Człowieka na stworzenie, musi więc wywierać na wierzących chrześcijanach wrażenie bałwochwalstwa. W każdym razie nie ma dla tej ideologii żadnej postawy w wierze chrześcijańskiej – a jej wyznawcy są z reguły wierzącymi chrześcijanami.

Skądinąd uderza czysto mitologiczny charakter mesjanizmu. Historia ludzkości jest, jak pisał Hegel, *Schlachtbank der Geschichte*, rzeźnią, nieprzerwanym szeregiem mordów na narodach. Naród polski nie jest bynajmniej jedynym narodem cierpiącym – wystarczy wspomnieć los Ormian i Żydów. W świetle wszystkiego, co wiemy, twierdzenie, że tylko Polska odgrywa rolę owego Chrystusa, jest prostym wymysłem.

Z tych względów ideologia mesjanistyczna musi być wyeliminowana. Polak współczesny ma więc tylko wybór między ideologią Polski klasycznej i Polski okresu saskiego.

3. **Znaczenie ideologii saskiej.** Wymienienie ideologii saskiej w tym kontekście może wywołać zdziwienie, jako że powszechnie i słusznie uważa się czasy saskie za okres upadku. W rzeczy samej Polska przestała być wówczas przedmurzem Zachodu i poczęła odgrywać rolę forpoczty Wschodu. Stwierdzamy tym samym ówczesne odejście od zasadniczych składników kultury i ideologii epoki klasycznej. Nie jest nawet pozbawiona prawdopodobieństwa hipoteza, że utrata niepodległości była skutkiem tego zerwania z niemal wszystkim, co stanowiło ideową ośnowę Polski klasycznej.

Ale wśród składników kultury i ideologii tego okresu znajdujemy jeden, który miał mieć trwałe znaczenie: nacjonalizm, przejawiający się m.in. we wrogości do wszystkiego co obce. Jest to o tyle ważne, że stanowi zupełne przeciwieństwo Polski okresu klasycznego, a zarazem jest uderzająco podobne do postawy narodowców XX wieku.

Otóż ideologię tych narodowców można lubić albo jej nie lubić, ale niepodobna przeoczyć, że odegrała znaczną rolę w II Rzplitej. Toteż musi być wzięta pod uwagę, gdy chodzi o nasz wybór.

4. **Dwie ideologie.** Dzieje II Rzplitej charakteryzuje spór między federalistyczną i etnograficzną koncepcją Polski. Ma on przeważnie postać sporu politycznego, ale nietrudno dojrzeć poza nim starcie dwóch przeciwstawnych ideologii narodowych: klasycznej i „narodowej”.

Ten spór miał ujemne skutki dla II Rzplitej. Zwolennicy nacjonalizmu zmarnowali zwycięstwo nad Rosją i stworzyli państwo kompromisowe – za wielkie na Polskę etnograficzną, a za małe – na jagiellońską federację. Dalszy rozwój wypadków – Jałta – sprawił, że polityczny spór dwóch wizji Polski został, przynajmniej tymczasowo, rozstrzygnięty na korzyść nacjonalizmu: jagiellońska federacja nie jest obecnie możliwa.

Ale niemożliwość urzeczywistnienia zamiarów politycznych nie jest tym samym co niemożność przyjęcia podstawowych składników ideologii – mimo klęski poniesionej przez federalizm polski nie ma powodu do uważania ideologii, której był wyrazem, za przeżyłą.

Wynika z tych rozważań, że współczesny Polak ma w dalszym ciągu wybór między dwiema ideologiami narodowymi, klasyczną i nacjonalistyczną.

IV

1. **Kultura Polski a Zachód.** Kultura Polski klasycznej pochodzi z Zachodu. Jej chrześcijaństwo przyszło z Czech i jest łacińskie, jej początkowy ustroj jest ustrojem późnego feudalizmu, jej filozofia późną scholastyką. Co

więcej, Polska przeżyła przed Anglią wydarzenie stanowiące punkt zwrotny w dziejach Zachodu, a mianowicie spór o inwestyturę, w którym zachodni Europejczycy zdali sobie po raz pierwszy sprawę, że istnieje coś niezależnego od władzy państwowej: św. Stanisław (†1079) zginął w tym sporze niemal sto lat przed św. Tomaszem Becketem (†1170).

Toteż podstawowe prawa Polski klasycznej są nie tylko typowo zachodnioeuropejskie, ale są nieraz wyrazem zasad, które gdzie indziej w Europie zostały przyjęte dopiero później. Zachodnioeuropejska jest zasada praworządności (*neminem captivabimus*) i zasada równości (szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie); parlament polski był jednym z najstarszych w Europie. W Polsce jagiellońskiej panowała nieznana praktycznie nigdzie indziej wolność prasy: kanclerz Zamoyski powiedział posłom moskiewskim, że „w tej Rzplitej ksiąg drukować ani nakazujem, ani zakazujem”.

To wszystko – wyidealizowane przez ideologię – odnosi się oczywiście tylko do szlachty. Ale, po pierwsze, demokracji w dzisiejszym powszechnym rozumieniu nie było wówczas w żadnym większym państwie europejskim; po drugie, szlachta polska była stosunkowo najliczniejsza w tej części świata.

2. Cechy oryginalne. Zestawienie tych faktów historycznych świadczy, że podstawowa kultura i ideologia Polski klasycznej jest zachodnioeuropejska. Ale nie jest ona pozbawiona także cech oryginalnych. Najbardziej podstawowym jej składnikiem zdaje się być pluralizm; większość innych cech przypisywanych narodowi polskiemu przez tę ideologię jest konsekwencją pluralizmu. Wymienimy jako takie przyznanie się do narodu w szerszym, drugopiętrowym znaczeniu, otwartość, tolerancję i europejskość. Dwie inne cechy narodu polskiego to, zgodnie z tą ideologią, upowszechnienie mentalności szlacheckiej i specyficzny typ religijności.

A. Naród w rozumieniu Polski klasycznej to przede wszystkim naród Rzplitej jako całości, drugopiętrowy, którego pierwszopiętrowy naród Korony jest tylko częścią.

B. Bodaj najbardziej uderzającą cechą kultury Polski klasycznej jest tolerancja, sformułowana przez Zygmunta Augusta w słowach „nie jestem królem ludzkich sumień”. Jest to *unicum* w okresie reformacji w Europie. Wskutek przyjęcia tej zasady Rzplita jest w XVI wieku jedynym wielkim krajem europejskim, który nie zaznał ani wojen religijnych, ani wypędzenia Żydów. Aby przytoczyć tylko jeden przykład ówczesnej tolerancji w Polsce: Servet, antytrynitarz, żył długo i bezpiecznie w Krakowie, choć głosił poglądy obrzydłe zarówno katolikom, jak protestantom. Nieszczęśnik wrócił jednak do Genewy, gdzie Kalwin kazał go rychło (1555) spalić na stosie.

Ta tolerancja Polski klasycznej wynika z jej otwartości na kultury obce. Nic nie jest bardziej przeciwne jej ideologii niż ksenofobia. Jeśli wolno ufać intuicji Sienkiewicza, tolerancja panuje jeszcze w Rzplitej XVII wieku. W każdym razie nie ma w *Trylogii* śladu antysemityzmu.

C. Jako trzeci składnik ideologii Polski klasycznej obok tolerancji i otwartości wymienię jej europejskość. Polska jest jednym z krajów stanowiących wschodni, krwawy brzeg zachodniej Europy i jej ideologia epoki klasycznej jest tego w pełni świadoma. Ten składnik nie jest na pierwszy rzut oka widoczny, bo mowa jest o przedmurzu i obronie nie Europy, ale chrześcijaństwa, tak że odnosi się wrażenie myśli religijnej. To jest jednak nieporozumienie. Chrześcijaństwo jest zespołem narodów wyznających wiarę chrześcijańską, a ten zespół był wówczas praktycznie identyczny z Europą.

Warto zauważyć, że europejskość Polski klasycznej jest bez porównania głębsza niż u wielu innych narodów. U nich chodzi najczęściej o korzyści gospodarcze, podczas gdy Polacy związani są z Europą wiekami krwawej walki w jej obronie. Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia w tym kontekście słów, które Sienkiewicz wkłada w usta Sobieskiego:

Jeśli nas zguba czeka, jeśli imię nasze ma być imieniem umarłych, nieżyjących, to niechże sława po nas ostanie i wspomnienie onej służby, którą nam Bóg wyznaczył. Niechże potomni, patrząc na one krzyże i mogiły, powiedzą: „Tu chrześcijaństwa, tu krzyża przeciw mahometańskiej sprośności, póki tchu w piersiach, póki krwi w żyłach bronili i za inne narody polegli”. To jest służba nasza, Boguszu! Otośmy forteca, w której Chrystus mękę swoją zatknął na murze, a ty mnie prawisz, abym ja, żołnierz boży, ba, komendant, pierwszy bramę otwierał i pogan jako wilków do owczarni puszczał i Jezusowe owieczki na rzeź wydawał! Wolej nam od czambułów cierpieć, wolej nam bunty znosić, wolej na ową straszną wojnę pociągnąć, wolej poleć mnie i tobie, wolej całej Rzeczypospolitej zginąć, niżli imię poharbić, sławy zbyć i owo stróżowanie, ową służbę bożą zdradzić.*

D. Obok tolerancji i otwartości oryginalną cechą kultury Polski klasycznej jest upowszechniona szlacheckość, mam na myśli przejęcie przez masy ludowe ideałów warstwy szlacheckiej. Podobno to zjawisko występuje poza Polską tylko w Japonii. Pomnik postawił mu w *Potopie* tenże Sienkiewicz. Michałko, pacholek księzowski, prawdopodobnie poniewierany i wyzyskiwany, odpowiada na pytanie, co chce za wiadomość, że król szwedzki jest na plebanii: „szablę”. Dostaje ją, walczy i ginie w walce. Piszący te słowa wziął udział w potrzebach 1920 i 1939 roku razem z oficerami i szeregowymi ludowego pochodzenia i mógł się naocznie przekonać, jak dalece to rozpowszechnienie było faktem.

Szlacheckość ma u nas zwykle złą prasę. Widzi się w niej nieraz tylko butę, pogardę innych, pieniactwo i tym podobne wady. Ale to nie jest oczywiście wszystko. Ideał szlachecki zawiera także przywiązanie do wartości rycerskich – bojowości, służby, lojalności i honoru. Wydaje się, że one właśnie znalazły zrozumienie w masach ludowych polskich dzięki rozpowszechnieniu mentalności szlacheckiej.

* *Pan Wołodyjowski*, rozdz. 31, s. 319. Podkreślenia moje.

3. Religijność. Na oddzielne omówienie zasługuje wreszcie czwarta oryginalna cecha polskiej kultury: specyficzna religijność Polaków. Ta cecha nasuwa pewne trudności, dlatego że w Polsce istnieje od wieków, obok głównego nurtu katolickiego, także inny, wtórny typ religijności względnie światopoglądu, reprezentowany w okresie klasycznym przez protestantyzm, później przez Oświecenie itp. Wobec istnienia tego drugiego nurtu utożsamianie Polaka z katolikiem („Polak-katolik”) nie odpowiada rzeczywistości.

Niemniej większość, przytłaczająca większość Polaków składała się z katolików i wiara katolicka należy bez wątpienia do najbardziej charakterystycznych składników ich kultury. Pod tym względem naród polski podobny jest do dwóch innych „narożnych” narodów europejskich, hiszpańskiego i irlandzkiego.

Ale właśnie wymienienie tych narodów rzuca światło na specyficzność polskiego katolicyzmu. Bo wbrew rozpowszechnionym mniemaniom religijność Polaków nie jest identyczna z religijnością Francuzów czy Anglików. Dowód co do tych ostatnich mieliśmy podczas drugiej wojny światowej, kiedy żołnierze polscy w Wielkiej Brytanii odmawiali nieraz chodzenia na lokalne nabożeństwa, twierdząc, że „nie są katolickie”. Katolickie to one były – ale nie były polskie.

Istnieniu specyficznego katolicyzmu polskiego jako wartościowego odcienia wspólnej wiary przeczy wielu polskich inteligentów zapatrzonych w wierzenia i praktyki Kościoła francuskiego. Piszący te słowa należał do nich w młodości: chciał zastąpić „grubiański zabobon polski” przez cywilizowaną religijność Gallow. Zrozumienie, że się mylił, zawdzięcza przypadkowi, odkryciu, że figury tzw. Chrystusa fraszobliwego istnieją na całym obszarze Rzplitej i tylko na nim. Te figury są wyrazem uczuciowego stosunku pewnego typu do Chrystusa, stosunku spotykanego widocznie tylko w dawnej Rzplitej.

Na czym specyficzność religijności polskiej polega, niełatwo jest powiedzieć. Praktyka religijna – nabożeństwo – jest zdumiewająco posoborowa (język narodowy). Stosunek Polski klasycznej do innowierców jest także o tyle posoborowy, że ówczesny Polak w przeciwieństwie do wielu innych nie odczuwał niechęci do protestantów: ich wiara wydawała mu się najwyżej dziwna. Typowe dla polskiego katolicyzmu jest także przywiązanie do tradycji i do Stolicy Apostolskiej. Pewne jest też, że nie grzeszy on intelektualnością: poważnej teologii polskiej nigdy nie było i dotąd nie ma. Ale czym ten katolicyzm jest pozytywnie, nie wiemy, jako że polscy intelektualiści zamiast analizować, wolą przeważnie odrzucać go w czambuł.

4. Konsekwencje praktyczne. Przyjęcie postawy, której wyidealizowany obraz podaliśmy tutaj, pociąga za sobą daleko idące konsekwencje praktyczne, w szczególności polityczne.

a) Zachodniość podstawowych składników kultury Polski klasycznej wyklucza nie tylko „przestawienie się” na Wschód, ale także pojmowanie roli Polski jako kulturowego pomostu między Zachodem a Wschodem. Ze stanowiska tej

ideologii naród polski jest i będzie narodem zachodnioeuropejskim albo go nie będzie.

b) Przyznanie się do Rzplitej w dawnym słowa znaczeniu prowadzi do wzięcia na serio żądań terytorialnych narodów, które do niej ongiś należały, np. roszczenie Litwinów do Wilna.

c) Inną konsekwencją przyznania się jest zaniechanie przypisywania Koronie osiągnięć dawnej Rzplitej jako całości. Za przykład może służyć zwycięstwo grunwaldzkie, odniesione nie przez samą Koronę, to jest przez naród polski, Polskę w ciaśniejszym, pierwszopiętrowym znaczeniu, ale przez połączone siły polskie i litewskie, to jest przez wojska Rzplitej.

d) W wyniku uznania zasady tolerancji logicznie konieczne jest odrzucenie wszelkiej dyskryminacji ze względu na pochodzenie. Fakt, że ktoś jest pochodzenia niemieckiego, tatarskiego czy żydowskiego nie ma żadnego znaczenia. Ta ideologia wyklucza w szczególności antysemityzm.

e) Programowa europejskość kultury zobowiązuje z jednej strony do popierania dążeń ku jedności Europy, z drugiej uniemożliwia uważanie dobra narodu za najwyższe dobro.

V

Drugą ideologią, którą Polak współczesny może przyjąć bez wielkich trudności, jest ideologia „narodowa”*, kontynuująca zdaniem piszącego zasadniczą postawę okresu saskiego, ale która otrzymała jasne sformułowanie dopiero w wieku XX. Istnieją zapewne tu i ówdzie podobieństwa między nią a ideologią klasyczną, ale uderzają przede wszystkim znaczne różnice. Gdy chodzi o wiele zasadniczych twierdzeń, ta ideologia jest przeciwieństwem klasycznej.

1. Cechy podstawowe

a) Pojęcie narodu. Ideologia „narodowa” operuje zdecydowanie pierwszopiętrowym, węższym pojęciem narodu polskiego. O żadnym pluralizmie językowym, a także kulturowym nie może być w tej ideologii mowy.

b) Nacjonalizm. Do tak pojętego narodu odnosi się podstawowe hasło tej ideologii „dobro narodu jest najwyższym dobrem”.

c) Zachodniość. Mimo politycznej prorosyjskiej orientacji odnosi się wrażenie, że jeśli chodzi o przyznanie się do kultury Zachodu, nie ma różnicy między ideologią „narodową” i klasyczną.

d) Stosunek do katolicyzmu. Początkowo negatywny, ten stosunek przemienił się z czasem w kategorię afirmację katolicyzmu Polski. Uderza też tendencja do reinterpretacji religijności polskiej w sensie nacjonalistycznym i nietolerancyjnym. Jest to dalsze przeciwieństwo do ideologii klasycznej.

* Używam cudzysłowu, aby odróżnić tę ideologię od innych ideologii polskich, także narodowych.

2. Konsekwencje praktyczne. Z tych założeń wynika wiele konsekwencji praktycznych, przeważnie sprzecznych z konsekwencjami ideologii klasycznej.

a) Zwolennicy ideologii „narodowej” nie są skłonni czynić ustępstw terytorialnych innym narodom. W szczególności nie ma mowy o wyrzeczeniu się Wilna i Lwowa.

b) Ze stanowiska tej ideologii wszystkie osiągnięcia dawnej Rzplitej należy przypisać narodowi polskiemu w ciaśniejszym, pierwszopiętrowym znaczeniu.

c) Z nacjonalizmu zdaje się wynikać nietolerancja. Nie jest ona wprawdzie wyraźnie sformułowana jako ogólna zasada, ale była zawsze cechą zwolenników ideologii „narodowej”. Wyraźnie sformułowana jest wrogość względem Żydów.

d) Europejskość Polski ulega relatywizacji. Wobec tego, że dobro narodu polskiego jest najwyższym dobrem, nie może być podporządkowane niczemu innemu, a więc także dobru wspólnoty europejskiej.

3. Ocena cudzoziemców. Bez względu na to, jak wielki odsetek Polaków przyznaje się do ideologii „narodowej”, cudzoziemcy zdają się uważać ją za panującą w Polsce. Świadczą o tym dwa fakty. Jeden z nich to narzucenie Polsce, w chwili gdy powstawała po I wojnie światowej, traktatu zobowiązującego ją do tolerancji. Drugi fakt to sympatia, z jaką spotykała się nieraz oczywiście oszczercza nagonka antypolska prowadzona przez Żydów.

Pierwszym warunkiem zmiany położenia w tym względzie jest zdanie sobie przez Polaków sprawy z jego przyczyny. Tą przyczyną nie są fakty, np. pogromy, ale wypowiedzi Polaków wyznających ideologię „narodową”. Wypadałoby też zrozumieć, że jak długo wielu Polaków nie zna żadnej innej ideologii, trudno wymagać, by cudzoziemcy wiedzieli, że ona istnieje.

Ale aby ocena Polski uległa radykalnej zmianie, potrzebne by było jasne przyznanie się większości Polaków do tolerancyjnej ideologii klasycznej i jej konsekwencji.

VI

Z powyższych rozważań wolno wyciągnąć następujący główny wniosek: Pojęcie „X jest Polakiem”, może mieć trzy różne znaczenia zależnie od pojęcia narodu polskiego, do którego X się przyznaje.

1. W razie użycia podstawowego pojęcia narodu, X jest Polakiem wtedy i tylko wtedy, gdy jest przywiązany do Polski jako kraju, do mowy polskiej i tradycyjnych obyczajów, w tym u wierzących do polskiego typu religii.

W razie gdy do pojęcia narodu należą także jego historia, kultura i ideologia:

2. Jeśli są nimi kultura i ideologia Polski klasycznej (XV–XVII wiek), X jest Polakiem dokładnie wtedy, gdy przyznaje się do dwupiętrowego pojęcia narodu, do otwartości, tolerancji, europejskości i innych cech Polski klasycznej.

3. Jeśli przyjęta jest ideologia „narodowa”, jest Polakiem wtedy i tylko wtedy, gdy pojmuje naród nacjonalistycznie, tj. jednopiętrowo, a jego dobro uważa za najwyższe dobro.

Wspólna Polakom w dwóch ostatnich znaczeniach jest polskość w pierwszym, podstawowym, tj. ludowym znaczeniu oraz przywiązanie do innych składników kultury polskiej.

Obok wspomnianych dwóch ideologii logicznie możliwe jest zarówno odrzucenie wszelkiej tradycyjnej kultury i ideologii polskiej, zastąpienie ich przez kulturę i ideologię obcą – jak i rozumienie narodu polskiego na sposób mesjanizmu. Wydaje się jednak, że współcześni Polacy niełatwo by takie pojęcia polskości uznali za swoje.

[6/1993]

Sen rozumu

Czy śmiać się z nich? Ależ z kogo? To było dawno, prawie wszyscy z nich umarli, a ci, co jeszcze żyją, zatarli ślady. To jednak, że się zbłąźnili, nie jest tylko ich sprawą, francuskich mistrzów myśli. Przecie oni, jak zawsze pewni, że uprawiając swoją specjalność, czyli kształtując słowami idee, robią to w imieniu całej ludzkości, rzeczywiście byli mistrzami myślenia inteligencji zachodnioeuropejskiej, ale nie tylko, bo swoich czytelników mieli na innych kontynentach. Ich żalosna nagość teraz, ich odpowiedzialność, na którą powoływali się, a o której nic nie chcieli wiedzieć, mówią za dużo o fantasmagoriach i majaczeniach społeczeństw ludzkich w ogóle, żeby zbywać ich przygodę lekko, jako wypadek jednego tylko kraju.

Tamten Paryż był mi dobrze znany i płaciłem cenę, a nawet niewiele brakowało, a zostawiłbym tam skórę. Toteż przeczytałem gruntowną analizę ówczesnego stanu umysłów wyższych w nadsekwajskiej stolicy z zacięciem i satysfakcją, także z szacunkiem dla sumienności amerykańskiego badacza. Książka ta, Tony Judt, *Past Imperfect* (podwójny sens oddałoby przetłumaczenie tego jako *Czas przeszły niedokonany*): *The French intellectuals 1944–1956*, University of California Press 1993, rok wcześniej ukazała się w Paryżu w wersji francuskiej.

Autor na trzystu stronach próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak historia Francji – i Europy – w dwudziestym wieku przyczyniła się do pewnych nawyków myślowych, które dzisiaj wydają się trudne do pojęcia. Zaczyna się od okresu międzywojennego, i – jako że ten pamiętam – ani mi do drwiny, chyba że chciałbym drwić z samego siebie. We Francji nastąpiło wtedy załamanie się wiary w demokrację parlamentarną i mnożyły się akty samoobrzydzenia w literaturze i sztuce. Judt wspomina o surrealizmie, ze swojej strony przyznałbym temu kierunkowi jeszcze więcej wagi, zwłaszcza takim objawom, jak tomik wierszy naczelnych surrealistów sławiący dziewczynę, która otruliła swoich rodziców, bo krępowała jej swobodę, czyli zaprotestowała przeciwko moralności (burżuazyjnej). Ideologia rozczarowania przybierała wtedy odcień przeważnie prawicowy, ogromny wpływ na opinię miała „Action française” Maurrasa z jej nawoływaniem do środków gwałtownych. Popularność zyskały nihilistyczne i antysemityczne powieści Céline'a. W polityce kunktatorstwo rządu Bluma obciążało ra-

chunek Republiki. W każdym razie ton, na prawicy czy na lewicy, był podobny, zaciekle, wzgardliwy wobec praw jednostki, bo przecie szukano rozwiązań dla całej zbiorowości, całościowych. Rozczarowanie parlamentaryzmem nawiedzało też inne kraje Europy, i to niezależnie nawet od tego, co przygotowywało się w Niemczech. Rok 1931 w Wilnie na przykład: tokował Henryk Dembiński, nie przysięgłbym, że jego antykapitalistyczne diatryby nie były zbliżone w tonie do wrzasków powstającej wtedy narodowej młodzieży. A czy nas (mnie też, tak jest) nie pociągał w *Czarodziejskiej Górze* Tomasz Manna fanatyk Naphta, przeciwnik łagodnego humanisty Settembriniego?

Judt przypomina, że współpracownicy najbardziej wpływowych pism powojennych: „Les Temps Modernes”, „Esprit” i „Témoignage Chrétien” mieli zarówno prawicowe, jak lewicowe rodowody. Pochwała gwałtu, retoryka zbawczego terroru pozwoliłaby nawet postawić obok siebie takie postacie, jak – z jednej strony – chwalczy Trzeciej Rzeszy Drieu La Rochelle, który popełnił w 1944 samobójstwo, i Brasillach, rozstrzelany, a z drugiej – Jean-Paul Sartre i Maurice Merleau-Ponty. Ale wszystko to musiało wygotować się w tyglu klęski wojennej, rządu Vichy, *Résistance* i jej legendy, dość daleko odbiegającej od prawdy, skoro nieznaczny tylko procent mieszkańców kraju uczestniczył w Ruchu Oporu. Rząd Pétaina znajdował odzew i poparcie u znacznej części inteligencji, przede wszystkim katolickiej. Wyjątkiem był François Mauriac (Bernanos wyemigrował do Ameryki w 1938), ale redaktor „Esprit”, Emmanuel Mounier, przez pewien czas należał do grupy w orbicie Vichy (tzw. grupa Uriage). W 1944 nastąpiło zaciekle polowanie na kolaborantów i pośpieszne poprawianie sobie biografii, tak że owa czystka przedstawiała się jako widowisko niezbyt budujące. Im ktoś miał mniejszy udział w oporze albo żaden, tym gorliwiej nawoływał do surowej kary. Poza tym niezbyt łatwo było znaleźć podstawę prawną w wytaczanych procesach. Robert Brasillach został właściwie skazany i stracony za przestępstwo głoszenia drukiem swoich skrajnie prawicowych poglądów, co robił zarówno przed wojną, jak w czasie wojny. W Polsce – gdzie warunki za okupacji były zupełnie inne niż we Francji – jeden nieszczęsny Emil Skiński nadawałby się na kozła ofiarnego, ale chyba nawet najzacieklejsi nie żądali dla niego kary śmierci. Ściganie kolaborantów we Francji, które na ogół rozeszło się po kościach, nasuwa różne porównania z „lustracją” w Polsce lat ostatnich i wskazuje, że tego rodzaju przedsięwzięcia tylko rzadko mogą się udać.

Autor znajduje podobieństwa powojennej sytuacji we Francji, Italii i Czechach: dużo dwuznaczności, zamazania konturów, proteuszowej przemiany ludzi, którzy urządzali się nieźle w ustroju faszystowskim albo pod niemiecką okupacją i następnie nadrabiali skrajnością, przeskakując na przeciwny brzeg. Wojna co prawda wzmocniła nawyki językowe datujące się sprzed 1939 roku, tak że młodzi pisarze nie umieli myśleć inaczej, niż posługując się słownictwem walki, ataku, ruchu, kontaktu z masami i tak dalej, stąd ich podświadome ciążenie do takiego samego języka używanego przez stalinizm.

Wskutek wojny inteligencja francuska odkryła Historię jako przymus zaangażowania – czy ktoś chce, czy nie chce. Dość zdumiewające, że Hegel pojawia się w kręgu jej zainteresowań późno, bo dopiero w latach trzydziestych, kiedy heglista Alexandre Kojève (Kożewnikow) wtajemniczał słuchaczy jego publicznych wykładów w dialektykę pana i niewolnika. W tamtych latach młody Sartre, na stypendium w Berlinie, zupełnie się historią współczesności, czyli hitleryzmem nie interesował, odkrył natomiast Heideggera, czego owocem stało się jego główne dzieło, *L'Être et le Néant*, czyli *Byt i nicość*.

Obowiązki wobec społeczeństwa, konieczność rewolucji i służby sprawie. Judt wyraża przypuszczenie, że inteligencja francuska lat powojennych w niejednym przypomina inteligencję rosyjską dziewiętnastego wieku. I rzeczywiście, sam muszę tu dodać, że czytając „zaangażowane” teksty Sartre'a, miałem dziwne uczucie, że skądś to już znam. Sartre oczywiście nie wiedział, że przed nim prawie to samo o związkach literatury ze społeczeństwem pisali Rosjanie, poczynając od Bielinskiego, a w Polsce Stanisław Brzozowski. Prawie na pewno też nie wiedział, że „analizy egzystencjalne” przeprowadzał na długo przed nim Michał Bachtin w swoim dziele o poetyce Dostojewskiego.

Historia, majestatyczna, skoro runął hitleryzm mający trwać tysiąc lat i Europa została wyzwolona, przede wszystkim dzięki bohaterstwu i wielomilionowym stratom Czerwonej Armii. Jej zwycięstwa miały dostarczać decydującego argumentu na rzecz wyższości ustroju socjalistycznego, do którego, mocą konieczności dziejowej, należała przyszłość. Zapewne, Francja została wyzwolona przez Amerykanów, tutaj jednak liczne emocjonalne zahamowania nie pozwalały się z tego cieszyć. Za dużo wstydu, za dużo gorczy, za dużo narodowego poniżenia. Mała partia komunistyczna francuska, wtrącona w okropną pułapkę przez pakt Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku i używana do akcji przeciwko wojnie (*Mourir pour Danzig*), po ataku niemieckim na Rosję zasłynęła w *Résistance* dzięki dyscyplinie jej członków i zyskała tytuł „partii rozstrzelanych”. To też przyczyniło się do wzrostu antyamerykanizmu, tak że język, w jakim niedawno komuniści mówili o hitlerowcach, przydał się w artykułach o imperializmie amerykańskim, okupacji amerykańskiej i tak dalej. Pisarz czy uczony przychylnie odnoszący się do Amerykanów otrzymywał piętno „kolaboranta”. Prawdziwe wyzwolenie było na Wschodzie, szczęśliwe kraje tamtej gorszej Europy zostały teraz ogarnięte zbawienną przemianą.

Stronice intelektualnych czasopism zappełniły się artykułami o nieprawościach kapitalizmu, jego dekadencji i koniecznej rewolucji. Z książki Judta wynika, że w odrzucie do kapitalizmu i do ustroju demokratycznego, który dostarcza mu „maski”, pierwszeństwo niekoniecznie należy się Sartre'owi i Simone de Beauvoir, choć był to czas niepodważalnego autorytetu Sartre'a w Paryżu. Dzielnie sekundowali mu katolicy z „Esprit” i „Témoignage Chrétien”, posuwając się w przeciwstawianiu dwóch ustrojów, złego na Zachodzie, dobrego na Wschodzie, bardzo daleko, a cytaty, które dzisiaj ocenilibyśmy jako wyjątkowo niemą-

dre, wychodziły spod pióra Emmanuela Mouniera. Trwająca tu i ówdzie w Polsce legenda jego „personalizmu” zdaje się więc opierać po prostu na braku informacji. Mounier usprawiedliwiał pokazowe procesy w imperium Stalina: rzekomo była to wola społeczeństwa, które musiało się bronić i utożsamiało się ze swoimi organami ścigania.

Założenie, że rewolucja w zachodniej Europie i na innych kontynentach jest potrzebna i nieunikniona prowadziło do filozoficznych debat o terrorze, który ukazywał się jako coś wyższego i świętego, tak jakby pisał o tym sam Feliks Dzierżyński. Maurice Merleau-Ponty, filozof i profesor, w swojej książce *Humanisme et Terreur*, 1947, uzasadniał terror przy pomocy dialektyki, jako wyższy stopień humanizmu, co, można podejrzewać, było głównie krasomówstwem. Jednakże jego czytelnicy i słuchacze, rodem z Kambodży, brali jego wywody najzupełniej dosłownie, jak się okazało, kiedy w swoim kraju zdobyli władzę.

Jakkolwiek debaty o wyższych celach Historii odbywały się w uniwersyteckich murach, trudno było nie ustosunkować się do wiadomości przeciekających zza żelaznej kurtyny.

Autobiograficzna książka Wiktora Krawczenki *Wybrałem wolność* podawała fakty o istnieniu gułagów. Kiedy komunistyczny tygodnik „Les Lettres françaises” napisał, że książka jest „falszywką” sfabrykowaną przez Amerykanów, Krawczenko wytoczył mu proces, który wygrał, ale szanowane nazwiska świadków obrony, twierdzących, że obozy pracy przymusowej są w Związku Sowieckim niemożliwe więcej znaczyły w opiniotwórczym Paryżu, i wyszedł z procesu moralnie oczerniony. Trudniej było uporać się z Dawidem Roussetem, Francuzem i byłym więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych. Ogłosił on artykuł, domagając się zbadania przez organizacje międzynarodowe systemu sowieckich łagrów, na co odpowiedział mu w „Les Lettres françaises” Pierre Daix i zarzucił mu kłamstwo. W procesie o zniesławienie w 1950 roku Rousset przedstawił wiarygodnych świadków i proces wygrał, ale i ten proces nikogo w intelektualnym Paryżu nie przekonał. Również dokładne na ogół reportaże z terroru w demokracjach ludowych – proces Petkowa w Bułgarii, następnie Rajka na Węgrzech, Slanskiego i towarzyszy w Pradze, nie podważyły wiary w prawa dziejowe, które są po stronie zasadniczo sprawiedliwego, bo postępowego, wschodniego bloku.

Jeżeli ktoś miał wątpliwości, posługiwano się argumentem niedopuszczającym sprzeczności: „Jeżeli odrzucić marksizm, historia nie ma sensu”. Nikomu nie przychodziło jakoś do głowy odpowiedzieć, jak to zrobił Karl Popper, że przyszłość społeczeństw jest niemożliwa do przewidzenia i że doktryna powołująca się na swoją znajomość przyszłości musi być fałszywa.

Judt sporo stron poświęca psychologii Sartre'a, który był wyrocznią dla takich jak on bezpartyjnych zwolenników komunizmu w krajach Zachodu. Zauważa u niego dziwne poczucie własnej małej wartości, potrzebę korzenia się

przed siłą ucieleśnioną w „masach”. Podejrzewa nawet, że jego raczej bierny okres wojenny znajdował kompensatę w „zaangażowaniu” i aktywizmie za wszelką cenę.

Kluczem do zachowania się umysłowej elity był jednak obyczaj towarzyski. Kto wyłamywał się z niego, tracił wpływ, przestawano go słuchać. Obowiązywał co najmniej antyantykomunizm. Występowanie przeciwko światłu ze Wschodu utożsamiano z torowaniem drogi faszyzmowi. Mounier pisał: „Antykomunizm jest niezbędną i wystarczającą siłą krystalizacji na rzecz powrotu faszyzmu”. Stąd izolacja jednostek ośmielających się wypowiedzieć własne zdanie, jak Raymond Aron, którego wprowadzić nie umiano pozbawić głosu, jednakże jego pisma (*L'opium des intellectuels*, 1955) przeważnie tylko reagowały na to, co było głównym nurtem. Przygody Alberta Camusa, niegdyś redaktora podziemnego pisma „Combat”, następnie bliskiego przyjaciela Sartre'a, wskazują, jak łatwo było zostać poddanym ostracyzmowi – w jego wypadku nastąpiło to po ogłoszeniu *L'homme révolté* (*Człowiek zbuntowany*) w 1951 roku, bo wspominał tam o łagrach. Toteż prawdę o imperium Stalina pisali głównie cudzoziemcy, im jednak ich analizy były przenikliwsze – jak w *Zniewolonym umyśle* Miłosza (Judt *dixit*) – tym bardziej ich autorzy stawali się podejrzani.

Wiele sądów obiegowych w Paryżu wynikało po prostu z niewiedzy o innych krajach, a także z braku zainteresowania ich przeszłością i teraźniejszością. Ponieważ idee wypracowywane we Francji miały mieć wartość uniwersalną, stosowano je też do obszarów, których rzeczywiste życie było zupełnie nieznane. Po drodze na wschód, np. Sartre'a, nabierały więc znaczenia podróży misyjnych, dla przekonywania tubylców, jak są szczęśliwi, choć ci swoje przecież wiedzieli.

Rok 1956 – kiedy ukazał się raport Chruszczowa i wybuchło powstanie na Węgrzech – zamyka pewien okres, przynajmniej dla niektórych. Jorge Semprun (pisarz hiszpański mieszkający w Paryżu) tak o tym powiada:

Nie do zniesienia było życie w mroźnym świetle tej schizofrenicznej wiary, w obłądnym i kastrującym rozszczepieniu moralnego i intelektualnego sumienia. Sekretne raporty oswobodziły nas, a przynajmniej dały nam szansę wyzwolić się z tego wariactwa, z tego uśpienia rozumu.

Być może najwięcej wyjaśnia towarzyski obyczaj oraz zmieniające się mody. Wojna w Algierii dostarczyła okazji do nowego zaangażowania i moda na antykolonializm wyparła modę na wschodni socjalizm, choć Sartre jeszcze w 1965 roku jeździł w podróż misyjną (do Wilna!). Poważny rozbiór przyczyn długotrwałej aberracji nie został jednak – zdaniem Judta – w Paryżu przeprowadzony, rozwiała się, przesunęła się gdzie indziej uwaga. Zaiste, czas przeszły pozostał niedokonany.

Wydziwianie dzisiaj jest zbyt łatwe i nie na wiele się przydaje, skoro fascynacja potęgą Historii ucieleśnioną w pochodzie sowieckiego piechura od Wołgi po Elbę nie ograniczała się do Francji. Kompleks własnej słabości i we Francji, i w innych krajach tej fascynacji pomagał i rozumowania paryskich publicystów

nie były obce wielu ich kolegom piszącym w innych językach. Wyjątkowy rozgłos paryskich wypowiedzi tłumaczy się, zdaniem Judta, nieobecnością – jeszcze – Italii i Niemiec w ogólnoeuropejskim koncercie. Przebieg prokomunistycznej choroby był zresztą w Italii podobny, chociaż ze znacznymi modyfikacjami, głównie dzięki mniejszej niż we Francji dozie egocentryzmu narodowego i większemu otwarciu na inne kultury.

Zdając relację z tych spostrzeżeń amerykańskiego historyka, wkroczyłem na teren, na który nie lubię się zapuszczać, raz to zrobiłem w *Zniewolonym umyśle* i dosyć. W każdym razie myślę, że to, co przydarzyło się paryskim luminarzom, nie przemawia na niekorzyść polskich, czeskich, węgierskich uczonych, pisarzy i artystów, bo jeżeli tamci, mając tak znaczną wolność wyboru, wybierali źle, ci mogliby przynajmniej powołać się na ograniczone pole intelektualnego manewru.

Niemają to paradoks, że we Francji, kraju Praw Człowieka i Obywatela, słabe były – w przeciwieństwie do krajów anglosaskich – tradycje liberalizmu, czyli obrony praw obywatelskich, silne natomiast jakobińskiej gwałtowności. Jakie dziedzictwo pomagało w Polsce umysłowemu zniewoleniu? Chyba nie złota wolność szlachecka? Ale że mogła to być szkoła romantycznego zaangażowania, zawsze w służbie, zawsze ze wzrokiem śledzącym wyroki bogini Historii, trudno wykluczyć.

Zostawmy przeszłość, co jest najciekawsze, to jakie wnioski można z przeszłych aberracji wyciągnąć dla przyszłości. Całe omawiane tutaj zjawisko świadczyło o asymetrii i obawiać się można, że następująca cytata nie straciła wiele z aktualności:

Wschodnioeuropejscy intelektualiści wiedzieli wszystko o Francji, wiedzieli wszystko o Niemczech, Anglii czy Włoszech. Kultura zachodnioeuropejska była kulturą europejską, zachodnioeuropejska historia polityczna była kością przeszłości kontynentu, podczas gdy kulturalne i polityczne pomniki drugiej połowy Europy znajdowały się poza polem widzenia. Wschodnioeuropejscy intelektualiści traktowali Woltera, Diderota, Balzaka, Hugo, Anatola France'a (nie mówiąc już o Robespierre, Blanquim i Clemenceau) jako część własnego kulturalnego dziedzictwa. Wzajemności nigdy nie było. Wtórny, marginalny status kultur i ludów wschodniej Europy był przykrą, ale uznaną prawdą. Jak długo poeci, muzycy, powieściopisarze i filozofowie z Wilna, Lwowa, Pragi, Budapesztu i Bukaresztu mogli przenikać w świat Francuzów, wybaczała paryskim intelektualistom brak odpowiednich gestów w odpowiedzi. Co jednak charakteryzuje sytuację po roku 1945, to właśnie to – że Francuzi zamknęli swoje intelektualne granice. Wspólnota światowych intelektualistów została na nowo zdefiniowana z wyłączeniem tych, którzy stali się ofiarami stalinizmu, z własną zgodą czy bez. Wschodnioeuropejscy pisarze też to zrozumieli – jak wskazałem wyżej – sami z początku byli skłonni rozróżniać w ten sposób. Co natomiast zdawało się nie do wybaczenia i nie do pojęcia, to niezdolność Francuzów zobaczenia tego, co oni – Polacy, Czesi i inni – teraz już widzieli. Bo inteligencja wschodniej części Europy była teraz podwójnie wyłączona: pozbawiana swojej narodowej kultury przez komunistów i mająca dostęp do uniwersalnej kultury Europy, zamknięta przez jej pełnoprawnych strażników.

Pozostaje zapytać, na ile opisana asymetria należy do fazy minionej. Pokolenie Sartre'a i Camusa znalazło następców w pokoleniu Lévi-Straussa, Barthes'a,

Lacana, Foucaulta, ale przecież myśl nadal budowała swoje zamki w sztucznej przestrzeni, z której doświadczenie historyczne milionów ludzkich istnień tam na wschodzie było wyłączone. Jeżeli przyjąć, że światopogląd tamtego, starszego pokolenia kształtowały czynniki trudno uchwytnie, jak szczególny przebieg wojny we Francji, gwałtowność słownictwa, echa jakobińskiej retoryki Cnoty, konformistyczna towarzyskość dobrze myślących, moda, możliwa, a nawet prawdopodobna będzie zależność poglądów następnego pokolenia od czynników równie kapryśnych, od tonu bardziej niż od jasności rozumu. Kto wie, czy od międzywojennego samoobrzydzenia i pogardy dla demokracji burżuazyjnej nie przebiega prosta linia aż do nowych -izmów, do bezustannych podejrzeń, demaskacji, dekonstrukcji, przy założeniu, że każda ludzka wypowiedź ukrywa coś, do czego nie chce się przyznać. Co prawda w zupełnie zmienionej Europie ostatnich dekad szybko następujące po sobie paryskie mody znalazły nowe terytory, emigrując za ocean, na uniwersytety wzgardzonej do niedawna Ameryki, świecąc tam opóźnionym światłem nieistniejących gwiazd. Tylko w Ameryce można spotkać marksistów spod znaku Althussera, wyznawców Lacana i Derridy. Judt zresztą widzi pewną niestosowność w tej wędrówce za granicę wybitnych nazwisk, które otoczkę blasku w domu straciły.

Inna Europa: przede wszystkim wskutek okrzepnięcia Niemiec i Włoch. Zapewne to też wpłynęło na inną perspektywę we Francji, poczynając od lat siedemdziesiątych. Choć nowe odsłania się wszędzie tak samo: jako triumfalny pochód języka angielskiego, amerykańskich filmów i telewizji, czyli dokładnie jako ta cywilizacja, która taką grozą napelniała literatów piszących w „Les Temps Modernes” i „Esprit”. Tyle że nie ma już podziału planety na dwie części, jedną, na której pleni się niellogicznie okrutne i chaotyczne życie, i drugą, na której spełniał się, choćby kosztem życia, filozoficzny zamysł.

[12/1994]

Fiłosofow – Czapski – Stempowski

W 1978 roku szczęśliwy przypadek pozwolił mi poznać dr Zofię Dobrowolską (1899–1993). W jej otwockim sanatorium przy ul. Mickiewicza 5 Dymitr Fiłosofow spędził ostatnie lata życia i zmarł tam w 1940 roku. Różne okoliczności, a przede wszystkim choroba pani Dobrowolskiej, sprawiły, że kontakty z nią ograniczyły się, niestety, do jednego spotkania i trzech dość długich rozmów telefonicznych. Myślę, że warto odnotować niektóre fragmenty tych rozmów, tak jak je wówczas zapisałem.

Dobrowolska mówiła o Fiłosofowie z dużym szacunkiem (nazywała go stale „Redaktorem”), bardzo ciepło i z wyczuwalnym sentymentem. Wspominała odwiedzających go przyjaciół Rosjan (m.in. Chiriakową, Gomolickiego) i Polaków, wśród których szczególne miejsce zajmowali Czapscy – Maria i Józef. Często przyjeżdżała Maria Dąbrowska i Stanisław Stempowski. Stempowski tłumaczył na język polski teksty Fiłosofowa, a Dąbrowska czytała mu kolejne rozdziały *Nocy i dni*; miał on wówczas powiedzieć do Dobrowolskiej: „Ona nic już więcej na takim poziomie nie napisze”. Najczęściej bywał Józef Czapski. Tuż przed wybuchem wojny, po otrzymaniu karty mobilizacyjnej, przywiózł razem z Ludwikiem Heringiem „dwie fury” swoich obrazów i książek do Otwocka. Pozostały tam do lata 1944, gdy wobec zbliżającego się frontu Maria Czapska uznała, że drewniany dom sanatorium, tuż pod lasem, jest miejscem niebezpiecznym. Obrazy i księgozbiór wróciły do Warszawy, na Bemowo, gdzie spłonęły doszczętnie podczas powstania. Czapska, po wyrzuceniu jej przez Niemców z mieszkania w al. Szucha, mieszkała przez pewien czas u Zofii Dobrowolskiej, która zapamiętała, że posłała ona na prośbę Janusza Korczaka do getta Biblię – był to egzemplarz Dymitra Fiłosofowa. (Czapska wspominała w 1957 roku w „Kulturze”, że podczas spotkania w getcie Korczak prosił ją także o Mszal rzymski.)

Fiłosofow zmarł 5 sierpnia 1940 roku. Ustanowił doktor Dobrowolską egzekutorką swego testamentu. Został pochowany na cmentarzu prawosławnym na Woli, niedaleko Michaiła Arcybaszewa. Zarząd cmentarza i duchowieństwo odmówili przyjęcia opłat za pogrzeb „wobec zasług Dymitra Fiłosofowa dla Kościoła prawosławnego”. Grób był zgodnie z wolą zmarłego – ziemny, bez kamiennego nagrobka. Dobrowolska opiekowała się mogiłą, jak długo mogła. Po-

tem na tym miejscu zaczęto chować budowniczych Pałacu Kultury i Nauki, którzy zginęli w wypadkach lub zmarli. W 1975 roku Miron Białoszewski zanotował:

Pospacerowałem troszeńkę po cmentarzu. Patrzyłem, gdzie leży stary przyjaciel Józia, Dymitr F. Raz nam (tj. jemu i Heringowi) proboszcz pokazywał, ale dawno.

Żadnych śladów już wtedy znaleźć nie mógł i ubolewał nad stanem niszczonego wówczas cmentarza: „a to taki zabytek. Ze starymi wałami. Stare groby i drzewa. Jedno z tych miejsc w Warszawie prawdziwych”.

Dopiero w 1995 roku, dzięki staraniom Ziemowita Feddeckiego, powstał symboliczny grób Filosofowa w pobliżu dawnej mogiły (zob. „Kultura” 1996, nr 3).

Zofia Dobrowolska, wykonując wolę Filosofowa, spaliła jego korespondencję prywatną, a wśród niej listy Dymitra Mereżkowskiego i Zinaidy Gippius („paliłam te kartony w ogrodzie, dym był taki, że przyjechała straż pożarna”). Część księgozbioru i archiwum zaginęła, oddana na przechowanie po likwidacji sanatorium. Resztę, zabraną do domu w Warszawie, miała – jak chciał Filosofow – przekazać do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas mojego jedynego pobytu w mieszkaniu doktor Dobrowolskiej na ul. Fałata pokazano mi tylko kilka książek z dedykacjami dla Filosofowa, zaproszenia i program „Domku w Kołomnie” oraz parę krótkich liścików Czapskiego do Dobrowolskiej, która podarowała mi wówczas kilkanaście fotografii Filosofowa z 1939 roku. Wśród książek były m.in. *Lutnia Puszkina* z dedykacją Tuwima i *Geniusz sierocy* z dedykacją Dąbrowskiej. W tomie poezji Lermontowa zobaczyłem zakreślony wiersz bez tytułu, który w przekładzie Mieczysława Jastruna zaczyna się słowami:

Patrzę w dni przyszłe pełen trwogi
Patrzę na przeszłe dni z tęsknotą

a kończy:

Dusza uwiędła mi znużona
Tchnieniem fatalnych burz zwarzona
Pod rozpalonym słońcem bytu.

Filosofow, czytając ten wiersz swojej opiekunce, powiedział: „To o mnie, o całym moim życiu”.

Zapowiadane przekazanie Bibliotece Uniwersyteckiej książek i papierów wciąż się odwlekało. Nie udało mi się odwiedzić ponownie pani Dobrowolskiej, choć obiecywała mi pokazać resztę archiwum. Nie zwlekałem więc dłużej i postanowiłem podzielić się choćby tymi niepełnymi wiadomościami z Józefem Czapskim. Odpisał natychmiast. Jego obszerny, dyktowany list (z odręcznymi dopiskami) publikuję tu w całości. Nie zawiera żadnych rewelacji. Czapski wielokrotnie pisał o Filosofowie w *Tumulcie i widmach*, w dzienniku. Mówił też o nim w wywiadzie udzielonym pod koniec życia Andrzejowi Mietkowskiemu,

którego fragment *Mereżkowski i Filosofow w Polsce* opublikował „Puls” (1993, nr 60). List Czapskiego z 1986 roku jest przede wszystkim wyrazem jego czulej pamięci o Filosofowie i serdecznego stosunku do Zofii Dobrowolskiej. Bardzo ucieszyły ją słowa Czapskiego.

Na początku 1987 roku zjawił się w Warszawie Stuart Durrant, historyk z Kanady, rusycysta zajmujący się Srebrnym Wiekiem, interesował go Filosofow, z którym – jak mówił – jest spowinowacony (ktoś z tej rodziny w pokoleniu ojca Dymitra F. trafił przez Francję do Kanady). Chciał dotrzeć do archiwum Filosofowa, gdyż spodziewał się w nim listów Sergiusza Diagilewa (brat cioteczny Filosofowa), którym również się zajmował. Zofia Dobrowolska dała się uprosić i zgodziła na rozmowę z Durrantem. Nie znam dokładnie jej przebiegu, wiem, że pozwoliła sfotografować portret Filosofowa malowany przez Witkacego, a właściwie zdjęcie tego portretu, bo oryginał zaginął.

Nie są mi w pełni znane losy księgozbioru i papierów Filosofowa po śmierci Zofii Dobrowolskiej, która zmarła 18 marca 1993 roku. Jakaś część archiwum pozostaje w rękach rodziny. Do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego nic nie trafiło. Parę rosyjskich broszur, przeważnie tomików wierszy z dedykacjami autorów, podarowała mi siostrzenica Dobrowolskiej.

W 1994 roku w almanachu „Lica” (Moskwa–Petersburg, nr 5) ukazał się obszerny artykuł Stuarta Durranta *Po materiałach archiwu D. W. Filosofowa* przynoszący omówienia i cytaty korespondencji Filosofowa, m.in. listy Zinaidy Gippius, Dymitra Mereżkowskiego i Borysa Sawinkowa, zachowane – jak pisze Durrant – „w osobistym archiwum Filosofowa znajdującym się obecnie u autora artykułu w St. John's w Kanadzie”. Brak bardziej szczegółowych informacji o losach i pochodzeniu tego archiwum.

Drugi ogłaszany tu list o Filosofowie napisany był przed wojną w 1932 roku przez Jerzego Stempowskiego. Odpis tego listu, sporządzony ręką Stanisława Stempowskiego, znajduje się w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego wraz z wieloma listami Filosofowa do Marii Dąbrowskiej i Stanisława Stempowskiego. Nie zawiera nazwiska adresata, ale był nim bez wątpienia Wacław Lednicki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiego Towarzystwa dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Na zaproszenie tego Towarzystwa Jerzy Stempowski wygłosił w Krakowie 15 III 1931 odczyt *Polacy w powieściach Dostojewskiego*.

Nieznane mi są losy projektu wydania wyboru pism Filosofowa. (Czapski, w publikowanym tu liście, pisał, że w 1939 roku był gotowy do druku tom przekładów.) Być może uda się jeszcze odnaleźć jakieś ślady w krakowskich archiwach. Wydaje się jednak, że na zaniechanie tej publikacji miała wpływ polemika wokół artykułu Filosofowa *Mickiewicz w Odessie i na Krymie*, w którym zarzucał polskim badaczom nieznajomość literatury i historii Rosji. Ogłoszona w 1934 roku w „Przeglądzie Współczesnym” rozprawa spotkała się ze sprzeciwami historyków literatury, a burzliwą dyskusję obszernie zrelacjonował Julian

Krzyżanowski w „Ruchu Literackim”. Filozofowa szczególnie ostro zaatakował Manfred Kridl w artykule pod wymownym tytułem *Niepowołany mentor*, opublikowanym przez „Wiadomości Literackie”. W tym samym tygodniku rychło stanęła w obronie Maria Dąbrowska. Warto może przytoczyć obszerniejszy fragment jej artykułu *O dobre obyczaje polemiczne*, mający wyraźny związek z projektem wydania po polsku pism Filozofowa:

Filozofow od lat czternastu wiecie wśród nas twardy żywot emigranta, pogrążonego w niedostatku i pracy. W ciągu tego czasu wszystkie chwile, wolne od żmudnej roboty redakcyjnej, poświęcał niezmordowanie studiom nad polską literaturą i dziejami polskich walk o niepodległość. Jest niepoślednim, a kto wie – może nawet niepospolitym, znawcą naszej literatury XIX w. Nie ma bodaj w tej dziedzinie faktu, do którego zbadania nie docierałby ze skrupulatnością i pedanterią zagorzałego miłośnika. Z pracy tej wynika sympatia, aby nie powiedzieć braterska miłość, do naszej ojczyzny zarówno wczorajszej, walczącej o wolność, jak dzisiejszej – triumfującej. To zaś sprawiło, że w redagowanych przez siebie dziennikach rosyjskich („Swoboda”, „Za Swobodu”, „Mołwa”) wielokrotnie poruszał polskie sprawy kulturalne i literackie z wielką przenikliwością i trafnością. Artykuły te nie były, niestety, nawet odnotowywane przez nasze przeglądy prasy i stanowiły radość jedynie bardzo nielicznych polskich czytelników. Niejednokrotnie namawiany przez przyjaciół do pisywania w prasie polskiej, [...] jego znakomite uwagi, właśnie jako stojącego nieco z boku, a tak świetnie obeznanego z przedmiotem cudzoziemca, mogą niejedną z naszych domowych spraw kulturalnych oświecić w sposób nowy i oryginalny.

List Jerzego Stempowskiego odwoływał się do innego – jakże dziś aktualnego – argumentu przemawiającego za publikacją prac rosyjskiego pisarza: system sowiecki może na długo zniweczyć znajomość Rosji w Polsce i „na skutek takiej czy innej ewolucji spraw rosyjskich w stosunkach obu narodów wystąpi niemożliwa prawie do wypełnienia luka”. Zagadnienie to niepokoiło Stempowskiego i dał temu wyraz, pisząc kilka lat później w „Scenie Polskiej” (czasopiśmie teatralnym redagowanym przez Tymona Terleckiego):

Ostatnie szeregi tych, którzy się uczyli rosyjskiego w szkole, dobiegają dziś czterdziestki. Ale i spośród nich nikt prawie nie miał okazji pogłębienia tych elementarnych wiadomości. Jedyna katedra literatury rosyjskiej znajduje się w Krakowie, gdzie z oczywistych przyczyn rusycyści są i będą nieliczni. Zajmujący tę katedrę świetny znawca literatury i rzeczy rosyjskich Wacław Lednicki na próżno od lat odbywa tam rodzaj pokuty.

[...] Kilkunastu zaledwie, w najlepszym razie kilkudziesięciu siwych już dziś panów może się u nas pochwalić, że czytało kiedyś wszystkie te głośne książki, znane młodszym tylko ze słyszenia. Na wyprzedzających i licytacjach najlepszą, nieraz rzadką, książkę rosyjską można kupić za złotówkę wobec braku popytu na ten towar. *Russicum – non legatur*. W czasopiśmie literackim nawet bezbożne brednie na tematy rosyjskie przechodzą niepostrzeżenie w braku oświeconego w tej dziedzinie czytelnika.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że tutaj historia zatoczyła koło. Język? Przymusowa, nudna nauka mowy Puszkina dała kiepskie rezultaty – uczniowie mówili „lekcje kacapa”. Literatura? Książek rosyjskich latami było aż za wiele i często bezwartościowych. Teraz nie ma wcale. I pism Dymitra Filozofowa także.

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO

Maisons-Laffitte, 27 VII 1986

Szanowny i Drogi Panie,
nie umiem Panu powiedzieć wzruszenia i wdzięczności za list Pana, który tylko co otrzymałem. Dał mi Pan wiadomości o Pani dr Zofii Dobrowolskiej, którą podziwialiśmy – moja siostra Maria, która już pięć lat temu zmarła – i ja. Wiem tylko to, że pani Doktor dotrwała aż do śmierci Filozofowa przy nim. Jej troska o Filozofowa była niezwykła i, jak to Pan aluzyjnie pisze, miała podkład nie tylko wspaniałego i wiernego lekarza, ale człowieka oddanego Filozofowi z całą miłością. Trzeba było znać Filozofowa, żeby wiedzieć, co to znaczy.

Jeżeli dzisiaj wiele myślę o ludziach, których znałem w życiu, nie waham się nazwać Filozofowa jednym z najwybitniejszych ludzi, których znałem. Wybitnych nie tylko inteligencją, ale żelazną wolą. Kiedy Polska zawarła pokój z Sowietami, Mereżkowscy, którzy najbardziej głosili braterstwo polsko-rosyjskie, ale to w formie przyszłego w świetle sojuszu trzeciej Rosji i Polski. (Trzecia Rosja, to znaczyło Rosja pierwszej rewolucji, przedkomunistycznej). Rosji demokratycznej, równie przeciwnej Sowietom, z którymi walczyli, jak i powrotowi carskich rządów. Mereżkowscy, w chwili kiedy Piłsudski zawarł pokój z Sowietami, bo fizycznie, materialnie nie był w stanie prowadzić wojny jeszcze dalej na wschód, otóż Mereżkowscy wówczas wyjechali do Paryża. Z tej trójki (Mereżkowski, Zinaida Gippius i Filozofow) jeden Filozofow pozostał w Polsce, redagując przez wiele lat pismo rosyjskie „Za Swobodu”, i które do końca było pismem działającym w kierunku zgody przyszłej Rosji z przyszłą Polską. Ja wiem tylko to, że Filozofow w każdej chwili czekał, że Sowiety mogą wkroczyć do Polski i zostawił swoją ostatnią wolę, prośbę być otrutym w razie wejścia Sowietów. Miał zresztą zawsze na nocnym stoliku truciznę. Umarł jak żył, niezłomny wróg Sowietów i człowiek wierny Polsce.

Wszystko to się rozpoczęło od kontaktu Sawinkowa, który – dawny terrorysta sławny – był wówczas na czele socjalrewolucjonistów w Paryżu i którego przedstawicielem w Warszawie był Filozofow. Ja tutaj mogę tylko grać rolę najskromniejszego obserwatora. Byłem już wówczas w Paryżu jako malarz, ale co roku dojeżdżałem do Polski i kiedy byłem w Warszawie, co dzień odwiedzałem Filozofowa, który był – dosłownie – i dla mojej siostry, i dla mnie – mistrzem. Otóż wiem, że wtedy Filozofow i Sawinkow, który do Warszawy dojeżdżał, spotykali się w Belwederze z Piłsudskim. Były to spotkania tajne. Jednym ze skutków tych kontaktów było ogłoszenie przez Piłsudskiego, że Polska toczy wojnę z Sowietami, a nie z Rosją. I jeszcze w ostatnich dniach przed wyjazdem Mereżkowskich do Paryża (wyjechali oni zaraz, gdy się dowiedzieli o zawarciu pokoju z bolszewikami) trwała organizacja paru oddziałów kozackich, które również walczyć chciały z Sowietami. I wtedy – już nie mogę powiedzieć po ilu

tygodniach czy miesiącach – Sawinkow, który był na czele tej organizacji rosyjskiej antysowieckiej, ale nie carskiej, zdradził i przeszedł na stronę sowiecką. Ten jego krok był od dłuższego czasu organizowany przez agentów sowieckich. Agentką główną była jakoby pani Dickhoff-Derenthal, kochanka Sawinkowa.

Fiłosofow, jego przedstawiciel w Warszawie, otrzymał nagle list od niego, już z terenów sowieckich, wzywający go również do Rosji, by razem tam prowadzić robotę. Po tej wiadomości Fiłosofow natychmiast wyruszył do Piłsudskiego, który wtedy już nie był Naczelnikiem Państwa i mieszkał pod Warszawą, przekazując mu całą korespondencję Sawinkowa, którą z nim prowadził do momentu jego zdrady. Dotychczas nie wiemy, jakie były plany Sawinkowa. Fakt jest, że natychmiast trafił do Łubianki, że w Moskwie zorganizowano wielki proces, w którym Sawinkow wszystko wysypał. Był on na Łubiance traktowany jednak jako jakaś *persona grata*, bo co dzień auto wywoziło go na spacer i ciągle łudzono go, że nie jest więźniem tylko, ale że chcą mieć z niego sojusznika. Trwało to niedługo i pewnego dnia, według wersji oficjalnej, Sawinkow rozbił szybę korytarza Łubianki i zabił się, wyskakując przez okno.

Fiłosofow wtedy po raz ostatni odwiedził Piłsudskiego w Sulejówku i całą sprawę Piłsudskiemu przedłożył, który miał to przyjąć bardzo spokojnie i miał tylko powiedzieć: „No cóż, to wszystko ta jego żona”. Od tego czasu cała sytuacja Fiłosofowa w Polsce była uwarunkowana stosunkiem jego do Piłsudskiego. O spotkaniach Fiłosofowa z Sawinkowem u Piłsudskiego w nocy (te spotkania kończyły się dobrze po północy) wiedziałem na drugi dzień od rana, kiedy mi to opowiadał Fiłosofow. Mówił mi, że gdy tak radzili u Piłsudskiego, miał wrażenie, że jest w polskim dworze. Przez okna Belwederu widać było tylko drzewa ogrodu Łazienkowskiego. I tyle wiem, że Piłsudski pił bardzo czarną herbatę.

Fiłosofow do śmierci został, wbrew szerokiej opinii rosyjskiej, związany z linią polityczną propolską. I wiem z własnego doświadczenia, że ten zagoniony pracą Rosjanin zrobił się naprawdę sojusznikiem Polski, o czym świadczyć może drobny szczegół. Ja z siostrą byliśmy już wtedy w Paryżu i dostawaliśmy co tydzień, czy co dwa tygodnie, paczki z prasą polską od niego. Do tego stopnia pragnął, byśmy za granicą pozostali naprawdę Polakami, że nawet zakazywał nam częstszych stosunków z Rosjanami, żebyśmy się nie zarazili duchem emigrantów: „macie szczęście być dziećmi niepodległego narodu i tego się trzymajcie”.

W 1939 roku był już gotów tom tłumaczonych z rosyjskiego artykułów Fiłosofowa dotyczących Polski. Pan teraz pisze o ewentualności wydania jego artykułów. Jest to w warunkach dzisiejszych chyba niemożliwe. Cóż wiemy, jak sytuacja historyczna dalej się potoczy i czy jednak ten ślad polsko-rosyjskiej współpracy kiedyś nie będzie mógł być zanotowany w ruchu, który – cóż wiemy – może się rozwinąć? Wspomina Pan również „Domik w Kołomnie”. Taka była nazwa klubu, który stworzył Fiłosofow, gdzie spotykali się intelektualiści polscy i rosyjscy, z wykładami. Był wśród nich m.in. Jerzy Stempowski, Tuwim. Nawet ja miałem odczyt, chyba o Wyspiańskim, o jego witrażach.

Kiedy pojawił się na horyzoncie Hitler, zbudziło to naturalnie ogromne zainteresowanie wśród emigracji rosyjskiej i naturalnie w piśmie Fiłosofowa. Zaraz jednak szybko Fiłosofow stwierdził na przykładach antysemickich posunięć Hitlera, że nie ma mowy, żeby z tym ruchem mieć jakiegokolwiek związek i wtedy zrobił odczyt w tej sprawie w jakiejś sali teatralnej, przy względnie nielicznej frekwencji. Kiedy po odczycie odwiedziłem go, jeszcze w teatrze, powiedział mi słowa, które dotychczas pamiętam: „Jeżeli kiedyś będziesz mówił z uczuciem, że nie masz oddźwięku na sali, pamiętaj, że może jeden człowiek cię usłyszy, i to już jest wiele”.

Odezwanie się Pana do mnie tak mnie wzruszyło, bo zdaje mi się to prawie jedynym przekazem, który z tamtych czasów dostałem. Chyba dla mnie osobiście najważniejszą rzeczą w Pana liście była wiadomość, że pani doktor Dobrowska jeszcze żyje. Niech Pan Jej przekaże, jak bardzo moja siostra i ja Ją czuliśmy i pokochali.

Na razie list mój na tym kończę i pragnąłbym, żeby do rąk Pana dotarł. Jeszcze raz, z głębi serca, dziękuję za list.

Józef Czapski

[Na marginesie, dużymi literami, podobnie jak podpis: „List dyktowałem, bo jestem prawie ślepy. J. C.”]

LIST JERZEGO STEMPOWSKIEGO

Warszawa, 22 I 1932

Szanowny i Drogi Panie Profesorze,
w ostatnich tygodniach z rozmów między moim ojcem, Józefem i Marią Czapskimi i mną wynikł projekt wydania po polsku artykułów D. W. Fiłosofowa, odnoszących się do spraw polskich, literackich i społecznych.

Przesłanki ogólne powyższego projektu są następujące:

Od 12 lat wszelkie stosunki kulturalne polsko-rosyjskie są zawieszone. Rosjanie znają Polskę z „Izwestij” i „Krasnoj Gaziety”, Polacy znają Rosję ze swych, że tak powiem, gazet. Oczywiście stan ten, jakkolwiek by długo trwał, należy uważać za przejściowy. Po jego zniknięciu, na skutek takiej czy innej ewolucji spraw rosyjskich, w stosunkach obu narodów wystąpi niemożliwa prawie do wypełnienia luka. Obie strony, w zakresie stosunków kulturalnych, staną zapewne na stanowiskach przedwojennych, nie znajdując w swych wspomnieniach nic, co by odnosiło się do okresu przejściowego, co by oswajało wzajemnie ze zmianami dokonanymi przez fakty polityczne. Ewolucja A. F. Kierenskiego w kierunku nacjonalizmu daje przeczenie tego stanu, jaki wówczas może się łatwo wytworzyć.

Pisane na przestrzeni 12 lat artykuły D. W. Filosofowa o literaturze, teatrze, zjawiskach kulturalnych i społecznych polskich stanowią jedyny w swoim rodzaju pomost łączący dwie epoki stosunków polsko-rosyjskich. Pan sam zna autora i wie, ile dobrego smaku, talentu i wnikliwości mają wszystkie jego pisma i wystąpienia. Większość ich ma autentyczną wartość literacką i może być z przyjemnością czytana przez wszystkich amatorów dobrej krytyki.

Zbiór artykułów, o jakim myśleliśmy, pomijałby oczywiście wszystkie sprawy specyficznie rosyjskie i wszystkie sprawy politycznie aktualne. Wybór artykułów kierowałby się w szczególności zasadniczymi przesłankami, o których piszę wyżej.

Koszta takiego wydawnictwa, przy dzisiejszych niskich kosztach druku, ważyłyby się, zależnie od szerokości wyboru, od 800 do 1000 zł.

Oczywiście wartość takiej książki zależałaby w znacznej mierze od charakteru jej wydawców. Dopiero ogłoszenie jej przez poważną instytucję społeczną, stojącą z dala od polityki i świata oficjalnego, nadałoby jej w całej pełni wartość patrzącą w przyszłość, o którą może nam chodzić.

Przypuszczam, że Pan, zasadniczo przynajmniej, podziela te poglądy. W tej supozycji, jak również mając w pamięci nasz zeszłoroczny wieczór poświęcony Dostojewskiemu, chciałbym prosić Pana, Drogi Panie Profesorze, o łaskawe zbadanie, czy nie udałoby się pozyskać dla opisanego wyżej celu tej samej instytucji, która potrafiła znaleźć w Krakowie tyle nieprzewidzianych wielbicieli Dostojewskiego. W razie zasadniczej zgody szczegóły, jak to wynika z ogólnego charakteru całego przedsięwzięcia, byłyby, jak sądzę, bardzo łatwe do ustalenia.

Najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunku łączy szczerze oddany

Jerzy Stempowski

PS Do naszego wydawnictwa weszłoby po kilka artykułów z następujących działów, na które rozbite są dziś wycinki: 1. Teatr. 2. Literatura polska. 3. Wspomnienia. 4. Cerkiew prawosławna w Polsce. 5. Mniejszości narodowe w Polsce. 6. Emigracja rosyjska w Polsce. 7. Rosja Sowiecka a Polska. 8. Europa a Polska.

[4/1999]

MARIUSZ WILK*

Zapiski sołowieckie

„Dawniej w Rosji panował zwyczaj odmawiania oczyszczających modlitw w domu, gdzie przebywał cudzoziemiec i kropienia święconą wodą wszystkich przedmiotów, które on dotykał”.

Wasilij Kluczewskij, *Kurs russoj istorii*, V, 410

1.

Ondatra zibethica. Czyli piżmaki, szczury wodne. Na Sołowki przywiezione (z Michigan) za czasów łagru i hodowane na wyspach Długiej Zatoki ze względu na cenne futro. Zeka nazywali je „sowieckimi owieczkami” i podkradali im mięso. Obecnie żyją tu w stanie dzikim. Rozmnożyły się. Opowiedział mi Smirnow, że dziesięć sztuk wlało mu w „mordę” – rodzaj więcierza. Podniosły siatkę pod samą powierzchnię wody i wystawiły pyszczki, ciężko dysząc. Mużyki kołami przytopili „mordę”. Głębina w tym miejscu była niewielka, jakieś pół metra, więc wyraźnie, jak w akwarium, widzieli, co się działo. Piżmaki mogą jakiś czas przebywać pod wodą bez powietrza. Zatem siedziały spokojnie. Raptem, po paru minutach, jeden rzucił się na drugiego i w mgnieniu oka go zagryzł. To był sygnał. W „mordzie” zakotłowało się, a na powierzchnię jeziora wypłynęły pęcherze krwi. Piżmaki wiodły zacięty bój, każdy przeciw każdemu. Po chwili wszystkie były martwe...

– Tak oto – komentował Smirnow – brak tlenu mózgi im naruszył i agresję wyzwolił. Dzisiaj mużyki siedzą na Wyspach, jak te piżmaki w „mordzie”, a naczałstwo ich przydusza kołem reform do dna. Tylko patrzeć, kiedy zaczną się gryźć.

2.

Pierwsi cudzoziemcy, angielscy żeglarze Thomas Southem i John Spark, przybyli na Wyspy Sołowieckie w 1566 roku. W ich dzienniku podróży czytamy:

29 czerwca przy wschodnim wietrze wyszliśmy z Żyżgina o piątej po południu. Idąc kursem na południowy zachód, w odległości 30 mil od Żyżgina minęliśmy wyspę zwaną Anzer. 15 mil dalej, wedle tegoż kursu, osiągnęliśmy cypel wyspy Awdon (Sołowiecki).

* Mariusz Wilk jest akredytowanym korespondentem „Kultury” w Rosji.

Nie wiadomo, skąd Anglicy wzięli nazwę *Awdon*? W żadnych innych źródłach jej nie ma. Natomiast w *Słowniku cerkiewnosłowiańskim* (protorejera Djaczenki): *a w d o n* – to *riabskij*, niewolniczy...

3.

W 1865 roku Wasilij Kluczewskij, wtedy student IV roku wydziału historyczno-filologicznego Uniwersytetu Moskiewskiego, przedstawił swoją dysertację kandydacką pt. *Skazanija inostrancew o Moskovskom gosudarstwie*. Rok później praca ukazała się w wydaniu książkowym. Wasilij Osipowicz był pierwszym rosyjskim historykiem, który zwrócił uwagę na relacje cudzoziemców o Rosji. Swoje zainteresowanie motywował następująco:

Spowszedniałe zjawiska życia codziennego, mimo których współcześni przechodzili obojętnie, przywykły do nich, szczególnie zajmowały cudzych obserwatorów; albowiem nieobeznany lub mało obznajomiony z historią naszego narodu, obcy jego pojęciom i zwyczajom, cudzoziemiec nie był w stanie prawidłowo objaśnić wielu zjawisk życia rosyjskiego, często nie potrafił ich nawet bezstronnie ocenić, natomiast opisać je, pokazać ich najbardziej charakterystyczne cechy, wreszcie opowiedzieć o pierwszych wrażeniach, jakie na nim wywoływały, mógł lepiej i pełniej niż ludzie, którym owe zjawiska opatrzły się z domowej perspektywy. Dlatego zapiski cudzoziemców mogą być ważnym dopełnieniem rodzimych zabytków historycznych.

4.

Rosja i Sołowki – temat konferencji zorganizowanej na Wyspach Sołowieckich przez niemiecki fundusz „Friedrich-Naumann-Stiftung”, riazański oddział „Memoriału” i sołowieckie muzeum. Głównymi uczestnikami dyskusji mieli być studenci moskiewskich uczelni z sołowieckiego *strojotriadu*, czyli ochotniczego hufca pracy, oraz pracownicy muzeum. Ci ostatni nie stawili się. W spotkaniu wzięli też udział goście: profesor Karl Schlegel z Niemiec, Andriej Blinuszow i Julia Sereda z riazańskiej Karty, radca niemieckiej ambasady Dietrich Stedemann, publicystka Sonia Margolina i fotograf Jurij Brodskij. Dyskutowano w sali hufca, w *Praczeznym korpusie monastyra*. Atmosfera panowała wakacyjna, pachniało młodym potem i dymem ogniska. Na stołach stały soki owocowe z importu, leżały czekoladki, ciastka, banany i jabłka. Sołowieckim dzieciom ślinka by pociekła, pomyślałem, bo takich rzeczy nie jadają. Niemieccy goście, nienagannie punktualni, siedzieli z boku, pobłyskując złotymi oprawkami okularów i rozsiewając wokół siebie zapach drogich wód kolońskich, jakich tutaj się nie pija. Młodzież schodziła się leniwie, w drzwiach szumiało, tłoczno. Żartowali, śmiali się. Wysmukli, o twarzach miękkich, subtelnych, jakże niepodobni do swoich sołowieckich rówieśników, prymitywnych, zidiociałych od wódki. Wśród uczestników spotkania rozdano program, pytania do dyskusji: „Kto win-

ny? Co robić? Czy przeszłość może być lekcją dla przyszłości?” Niemcy powoli się irytowali, nieprzywykli do lekceważenia czasu. Zatem redaktor Blinuszow zaczął spotkanie. Na wstępie omówił reguły dyskusji, przedstawił gości spotkania i oddał głos profesorowi Schlegelowi, by ten zagał. Profesor rzekł, że nie daje mu spokoju cisza, zmowa milczenia, która towarzyszyła wyczynom nazistów w Niemczech i przyjechał na Sołowki, żeby się dowiedzieć, co młodzi Rosjanie myślą tutaj, na szczątkach SŁON-a, o swoich dziadkach i ojcach? Jako historyk interesuje się wpływem niedawnej przeszłości na rzeczywistość dnia dzisiejszego. Następnie puścił dyktafon po sali, by każdy się doń przedstawił i wyjaśnił motywy swojego przybycia na Sołowki. Zrobiło się zamieszanie, studenci udawali wesółków, popisywali się jeden przed drugim, niektórzy jawnie kpili. Zrazu było widać, iż nie zamierzają się odkrywać i na patos organizatorów spotkania odpowiedzą żartem. – *No i pticy letiat' na siewier, jesli im nadojest' tieplo* – zanuciła piosenkę Wysockiego dziewczyna z filologii rosyjskiej, śliczna i płowa. A potem jeszcze dorzuciła, że jak każdy humanista, nie lubi alkoholu w kolektywie i woli pić sama, tutaj zaś, na Sołówkach, łatwo się odosobnić. Gruchnął śmiech i oklaski. Oni przyjechali na wakacje, a nie roztrząsać grzechy ojców. Redaktor Blinuszow, jakby nieco zażenowany niefrasobliwością rosyjskiej młodzieży, postanowił dać przykład i opowiedział o swojej drodze do „Memoriału”. O dziadku, komendancie sowieckiego łagru, o tym, jak przed małym Andrieuszem Blinuszow w domu skrywano prawdę, a kiedy pytał o wychudłych ludzi za drutem kolczastym na zdjęciach z rodzinnego albumu, to mu mówiono, że to dziadkowi żołnierze. Sam Andriej pracował parę lat w riazańskiej milicji, póki nie doszło do palowania ludzi, którzy mieli rację. Wtedy wymówił służbę.

– A gdyby nie mieli racji, to byś ich pałował? – zapytał przyszczaty chłopak z tyłu, z pozoru chłopiek roztropek. Znów oklaski, tym razem i goście bili brawo. Andriej się zmieszał.

W miarę rozwoju dyskusji zagrały emocje i z młodzieży opadła maska. Przez śmiech przebierały przekonania, czasami nawet wiara. Coraz wyraźniej zaznaczał się rozdział między organizatorami spotkania a studentami. Kością niezgody okazało się pytanie Karena Akopiana, zamieszczone w programie dyskusji: „Czy może być mowa o duchowym odrodzeniu się społeczeństwa bez szczerzej pokuty całego narodu?” Zadęciu moralnemu członków „Memoriału”, ich kategorycznemu imperatywowi wspólnej pokuty (*pokajanija*) za grzechy ojców i dziadków, młodzi Rosjanie przeciwstawili życie na własny rachunek. – Jeśli chcesz pokutować, idź do klasztoru, módl się lub powieś – powiedział ów przyszczaty, co przed chwilą zebrał oklaski – innym zaś pozwól żyć, jak oni chcą. Nie wolno rozliczać ludzi za grzechy przodków, bo to prowadzi do zbiorowej odpowiedzialności, a jednocześnie rozmywa osobistą winę. Historię piszą raz ci, raz tamci – z różnych obozów, z przeciwstawnych pozycji. Zasługi wedle jednych bywają błędami wedle drugich i nikt nie może dać gwarancji, że za dzisiej-

sze medale jutro nie będziesz siedział. Dlatego nie szukaj usprawiedliwienia w podręcznikach, układanych przez innych, ale sam pisz własne życie i czytelnie się pod nim podpisuj.

– A czy takie lekceważenie historii, relatywizowanie jej, nie zagraża powrotem SŁON-a? – spytał Andriej Blinusow.

Wyszedłem z sali, nieciekawo ani odpowiedzi, ani konkluzji. O jakim powrocie SŁON-a może być mowa, jeśli duch owego zwierzęcia jest wciąż obecny na Sołowkach? Ba, nie tylko tutaj. Wszak niedawno, w Moskwie, kiedy powiedziałem, że przyjechałem z Sołówek, zapytano, za co mnie posadzili. Dla wielu Rosjan łagier na Wyspach wciąż istnieje. I rzeczywiście, wystarczy spojrzeć nieco uważniej, choćby na chwilę oderwać wzrok od fantów i grantów zachodnich, by zobaczyć wokół siebie drut kolczasty. Realny, konkretny drut, którym dorosli tu grodzą ogrody, a dzieci plotą się weń nawzajem, bawiąc się w tiumę. Minionej zimy zjedzono na Sołowkach kilka psów. Z głodu! Marzeniem mojej znajomej jest prywatyzacja pokoju z kuchnią w połączonym baraku, gdzie żyje od dwudziestu lat. Niestety, według ostatniej inwentaryzacji pomieszczeń mieszkalnych w posiołku ów barak nie istnieje. Mój sąsiad, Sasza Ch., się powiesił, bo przegrał konkubinę w sztos. A błatne przykazanie *nie pojman – nie wor*, określające moralność SŁON-a, słyszałem tutaj nie raz. Na Wyspach ślady SŁON-a widać co krok, zarówno w landszafcie, jak i w ludzkich głowach. Rzecz jasna, żyjąc w najdroższym sołowieckim hotelu i organizując spotkania z młodzieżą, która tu przyjeżdża tylko na wakacje, trudno pojąć, o czym myślałem, wracając do domu.

5.

28 marca 1959 roku Miłosz pisał do Mertona:

Geoffrey Gorer utrzymuje, że było tylko jedno społeczeństwo oparte na zasadzie grzechu – w przeciwstawieniu do społeczeństwa zachodniego, opartego na zasadzie winy – a mianowicie carska Rosja. Czuję, że tu utrafił w sedno. Wina jest indywidualna, to jest m o j a wina. Grzech jest uniwersalny – nie ja jestem winien, lecz społeczeństwo, a ja mogę zostać zbawiony nie przez mój wysiłek (łaskę daną mnie), lecz przez zbiorowość. Dlatego właśnie oni zawsze poszukują Królestwa Bożego, ale umiejscowionego w czasie, podstawiając pod nie komunizm, a w przyszłości być może inny rodzaj eschatologii. Natomiast osobista odpowiedzialność zostaje rozmyta i w roku 1945 byłem świadkiem morderstw, popełnianych przez rosyjskich żołnierzy z głębokim poczuciem grzechu, ale bez jakiegokolwiek poczucia osobistej winy.

Po tej cytacie warto wrócić, na moment, do wczorajszej dyskusji w sołowieckim monastyrze. Karen Akopian pyta, czy jest możliwe duchowe odrodzenie społeczeństwa bez szczerzej pokuty całego narodu? [Nawiasem mówiąc, słowo pokuta (*pokajanije*) robi obecnie w Rosji niebywałą karierę, wystarczy wspomnieć tytuł głośnego filmu Tengiza Abuladze. O *pokajanii* śpiewa Biczewska (do słów wiersza ojca Romana), do *pokajanija* wzywa Sołżenicyn, *pokajanije* nie

schodzi z ust neofitom prawosławia, pielgrzymującym na Sołowki i wnet o *pokajanii* będą się muzyki w szynkach spierać, niczym u Dostojewskiego]. Ale przecież pokuta to zadośćuczynienie za grzechy, zatem pytanie umieszczone w programie wczorajszej dyskusji potwierdzałoby intuicję Gorera („jest tylko jedno społeczeństwo oparte na zasadzie grzechu”) – rzecz dotyczy społeczeństwa rosyjskiego. No tak, powie ktoś, ale z drugiej strony są studenci z ochotniczego hufca pracy, którzy tak się byli zacierzowali. Oni chcą żyć normalnie, jak żyją ich rówieśnicy na Zachodzie, i nie zamierzają, bynajmniej, kajać się kolektywnie za grzechy przodków. Może więc młodzi Rosjanie zerwą wreszcie z wielowiekową tradycją „społeczeństwa opartego na zasadzie grzechu” i przestaną szukać Królestwa Bożego na ziemi, a zaczną żyć wedle indywidualnej odpowiedzialności za własne czyny? Niestety, obawiam się, że to pytanie jest równie akademickie, jak cała dyskusja w Praciecznym korpusie, bowiem rzeczywistość za oknem wykrzywiła mordę i do tych, co chcą się kajać, i do tych, co myślą żyć na własny rachunek.

6.

Rossika – osobny gatunek piśmiennictwa, wyodrębniony i sklasyfikowany przez specjalistów przedmiotu (np. J. Limonowa, redaktora wielotomowej *Rossii glazami inostrancew*), obejmujący relacje cudzoziemców o Rosji, zarówno naoczne, jak i oparte na słuchach z ust trzecich. Dla przykładu Miechowita, prekursor polskich zainteresowań Rusią, autor słynnego *Traktatu o dwóch Sarmacjach* (wyd. Kraków 1517), sam tu nigdy nie był, zaś wiadomości o wschodnich sąsiadach czerpał najprawdopodobniej z opowiadań jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli w bitwie pod Orszą. Stąd moc niejasności i fantazjowania w jego dziele. Inny klasyk tego gatunku, Siegmund von Herberstein, autor *Rerum Moscoviticarum Commentarii* (wyd. Wiedeń 1549), bywał co prawda w Moskwie dwukrotnie, w latach 1517 i 1526, jako poseł Habsburgów, lecz jego opis państwa ruskiego, choć szczegółowy i z mapami, też nie jest wolny od fantazji, zwłaszcza tam, gdzie Herberstein sam nie chadzał, tylko się opierał na relacjach innych, na przykład w opisanu Wysp Sołowieckich. I dopiero angielscy żeglarze XVI wieku, jak Thomas Southern i John Spark, pisali rzeczywiście o tym, co sami widzieli. Później bywało różnie. Pisywali o Rosji dyplomaci, najemnicy, uczeni i szpiegowie, podróżnicy, pisarze, więźniowie i zsylni. Między innymi: jezuita Antonio Possevino, legat papieski Grzegorza XIII, niemiecki awanturnik Heinrich Staden, oprycznik Iwana Groźnego, francuski kondotier Jacques Margeret, kapitan straży przybocznej Borysa Godunowa, ostatni król Rzeczypospolitej Stanisław August Poniatowski, nieszczęsny faworyt carycy Katarzyny II i książę Adam Jerzy Czartoryski, zausznik cara Aleksandra I, poseł króla Sardynii Joseph de Maistre, ten żył w Petersburgu aż czternaście lat, pani Anne Louise Germaine de Staël, która tu uciekła przed Napoleonem, Astolphe de Custine,

Aleksander Dumas ojciec, Théophile Gautier, potem rewolucjoniści wszelkich maści i odcieni, dalej goście generalissimusa Stalina André Gide i Lion Feuchtwanger, i stalinowscy zeka Aleksander Weissberg-Cybulski, Gustaw Herling-Grudziński, Aleksander Wat, wreszcie całkiem niedawno laureat Literackiej Nagrody Nobla Claude Simon, zaproszony przez Michaiła Gorbaczowa, i Ryszard Kapuściński, autor *Imperium*. Rzecz jasna nie wszyscy pisali o tym, co sami widzieli, niektórzy woleli powtarzać, co im pokazywano, inni nie mogli zobaczyć tego, co naprawdę by chcieli, a jeszcze inni oglądali to, czego w ogóle tam nie było, zaś nie dojrżeli byli tego, co wszyscy widzieli.

Dlatego zapiski cudzoziemców o Rosji czytać należy wybrednie i ostrożnie – podkreśla Kluczewskij – bowiem najczęściej, poza nielicznymi wyjątkami, cudzoziemcy pisali na wycucie, wedle pogłosek, i zazwyczaj wyciągali ogólne wnioski z przypadkowych zdarzeń, a publika czytająca owe relacje nie mogła ani potwierdzić, ani zakwestionować ich wiarygodności; nie darmo jeden z zagranicznych pisarzy jeszcze na początku XVIII wieku powiedział, że naród rosyjski na przestrzeni wielu stuleci miał to nieszczęście, iż każdy mógł o nim rozpuszczać po świecie najróżniejsze brednie, nie ryzykując ośmieszenia.

7.

Wraz z rozwojem mass mediów pojawił się w Rosji nowy typ cudzoziemców piszących (mówiących) o niej – zagraniczni korespondenci. Niestety, ich relacjom, w większości wypadków, można zarzucić to samo, co Kluczewskij miał za złe ichnim poprzednikom. Na początku lat dziewięćdziesiątych pracowałem w Moskwie dla jednej z polskich gazet, miałem więc okazję z bliska się przyjrzeć robocie kolegów korespondentów. Zwłaszcza jednego zapamiętałem, mniejsza o nazwisko, ten pisał do dwóch czy nawet trzech czasopism (na raz!), a ze wszystkich zdarzeń bieżącego dnia najważniejsze dlań było popołudniowe wydanie „Izwestij”, z których zdążał preparować parę gorących *news* i wieczorem je nadawać jako własne. Inni, nie tak wygodni, biegali na wszelkie możliwe konferencje prasowe, konwentykle i bankiety, gdzie pilnie łykali *czepuch* (bzdury, banialuki), którą im tam serwowano. A trzeba przyznać, że Rosjanie są mistrzami w podawaniu tejże, o czym niejednen cudzoziemiec mógł się być przekonać, choćby markiz de Custine. Niektórzy jeszcze oglądali rosyjskie TV i stamtąd czerpali natchnienie. Należy też dodać specjalny sklepik na Biegowej, gdzie każdy korespondent mógł się zaopatrzyć w produkty spożywcze, których w Moskwie wtedy brakowało, i wiele innych przywilejów, oddzielających nas, niczym matowa szyba, od rzeczywistości, by zrozumieć, że obraz Rosji w zagranicznych mass mediach i Rosja w rzeczy samej to dwie różne rzeczy. Oprócz ludzkiego czynnika, jak lenistwo, ignorancja, brak wiedzy (wspomniany kolega Gogola nie czytał, a *Powieść minionych czasów* przypisywał Puszkiniowi!), równie istotne są ogólne braki mediów: ich pośpiech (wszak należy zdążyć do kolejnego wydania) uniemożliwiający namysł i skupienie niezbędne do zobaczenia zjawisk głę-

szych, podskórnych, często ważniejszych dla prawidłowej diagnozy niż efektowny, acz powierzchowny *news*; stadny instynkt żurnalistyki, który sprawia, że korespondenci walą kupą na miejsce zdarzeń (czy to będzie wojna, czy pucz, czy też konferencja prasowa), a potem piszą, pokazują i komentują wszyscy to samo; ciągła pogoń za sensacją, skandalem i świeżą krwią, przy jednoczesnym lekceważeniu powszedniości, nieatrakcyjnej z punktu widzenia masowego widza; wreszcie skupienie uwagi na *gorących toczkach* i kulisach wielkiej polityki, z pomijaniem peryferii i prowincji; wszystko to sprawia, iż znakomita część dziennikarskich relacji o dzisiejszej Rosji nie wychodzi poza banał, stereotyp lub podanie.

8.

W ramach obchodów 300-lecia Ruskiej Floty na Morzu Białym urządzono regaty żeglarskie z udziałem cudzoziemców. 2 sierpnia do Zatoki Pomyślności weszło siedem zagranicznych jachtów: trzy z Holandii, dwa z Niemiec i po jednym ze Stanów Zjednoczonych i z Wielkiej Brytanii. Stały naprzeciw spalonego hotelu, nieopodal hałd węgla. Wspaniałe, błyszczące, kolorowe. Stalowe liny błyszczą w słońcu, cicho sączy się muzyka, chyba Bach, u Holendrów czajnik gwizdże, zapach kawy, świeżych tostów, dobrego tytoniu. Leniwy poranek, słońce przypieka, ni obłoków, ni wiatru. Cudzoziemcy opalają się, do szortów porozbierani, uśmiechnięci, gwarni po ptasiemu. Niektórzy się szwendają, zaglądają w byle dziurę, fotografują. A z boku muzyki stoją, gapią się niedobrze, popluwają i klną bełkotliwym matem. Cuchnie od nich wódka, kapusta, juchtem i mazutem. Raptem, cóż to? Pomruk z dala: *Gospodi pomiluj, Gospodi pomiluj, Gospodi pomiluj*. Wzdłuż ściany monastyrskiej kroczy procesja, dzisiaj święto proroka Illi. Czarne rjasy, baby zakutane, woń ładanu, czcze oddechy, śpiewają. Upał, duszno, nawet sztandary cerkiewne oklapły. W Świętych Wrotach procesja minęła Holendra w szortach, bez koszuli, z wielkim sandwiczem w dłoni. Stanął jak wryty, szynkę dożuwa, sam jeden naprzeciw tłumku prawosławnych, zdziwiony, niepojmujący posykiwań, oburzonych spojrzeń, wrogości. Białe, miękkości, dobrze odżywiony, niczym przybysz z innej planety.

9.

Postronny, wedle *Słownika języka polskiego* Lindego, to cudzoziemski, zagraniczny, obcy. Tutaj, w Rosji, jak chyba nigdzie indziej cudzoziemcy czują się wyobcowani, inni. W wielu relacjach, wspomnieniach, dziennikach podróży powtarza się, niby refren, motyw rosyjskiej podejrzliwości, szpionomanii i le dwie tajonej agresji wobec przybyszów z obcych krajów. Sam to odczułem, nie raz, zwłaszcza w tak zwanej ruskiej *głubinkie*, gdzie wystarczy inny styl bycia, sposób ubierania czy akcent, by wzbudzić nieufność. Zapewne to duch kolekty-

wizmu, wyrósłszy z prawosławnej *sobornosti*, nie może ścierpieć niczego, co w ramach kolektywu się nie mieści. Warto przy tym zauważyć, że nie tyle narodowość, wiara czy też język określają twoją przynależność do owego kolektywu, ile wspólna dola (cela, zona...) i ten sam pan (państwo...). Rosja jest krajem wielonarodowym, kulturowo złożonym, różnorodnym, a niewiary w niej więcej niż kultów i sekt, choć niewątpliwie prawosławie spróbuje (już to czyni) odwojować utracone pozycje, zatem to nie twoja narodowość wzbudza tutaj niechęć, ale to, że możesz w każdej chwili stąd wyjechać, i nie twoje przekonania czy wiara są przedmiotem sądów, ale to, że żyjesz sobiepan, na własny rachunek, i z boku się przypatrujesz tutejszemu życiu. Warto, myślę, sięgnąć do etymologii słowa *inostraniec*, by w pełni rzecz pojąć. Bowiem *strana* w języku starosłowiańskim, skąd do ruskiego przyszła, oznacza stronę, a dopiero później w kraj się zamieniła, natomiast wyraz *inoj*, czyli inny, powstał z prasłowiańskiego *inb*, czyli *j e d e n* lub *s a m* (stąd *inok*, mnich). Zatem *inostraniec* to nie tylko cudzoziemiec, ale także ktoś z innej strony (nie trzyma naszej!), poje-dynczy, nie taki jak wszyscy. Postronny.

10.

Ostatnio wśród Rosjan wzrasta zainteresowanie relacjami cudzoziemców o Rosji. Mnożą się wydania głośniejszych pozycji, do niedawna zakazanych bądź pochłanianych przez cenzurę. Oprócz wspomnianego zbioru *Rossija glazami inostrancew*, wyszły *Lettres de St. Petersburg 1803–1817* de Maistre'a, trzy tomy *Impression de voyage en Russie* Dumasa, *Private Dairy of the Travels* sir Wilsona, książki Feuhtwangera i Gide'a, wreszcie, na koniec, wydano pełną wersję *La Russie en 1839* de Custine'a, ze znakomitymi komentarzami Wiery Milczinowej i Aleksandra Ostapowa. To zaledwie parę przykładów.

Zwłaszcza edycję pełnego de Custine'a, półtora wieku z okładem po francuskiej, śmiało można nazwać wydarzeniem na rosyjskim rynku czytelnictwa. Albowiem dotąd znali go tylko w okrojonym widzie, przyciętym nożycami cenzora na potrzeby agitacji. Dawniej czytano de Custine'a w oryginale, rzecz jasna w wyższych sferach, znających francuski, i pełno śladów oburzenia po nim zostało w druku. Kto tylko na markiza się nie zżymał: i Jakow Tołstoj, agent tajnej policji, i Nikołaj Giercz, pismak na usługach tejże, i Ksawery Łabęcki, pisujący wiersze po francusku pod pseudonimem Jean Polonius, acz broszurę przeciw de Custine'owi podpisał: *Un Russe*, i Chomiakow, i Tiutczew, i Dostojewski. Można by sporą antologię ułożyć. Nie dziw zatem, że i dziś, kiedy *La Russie en 1839* wyszła wreszcie po rosyjsku w całości, wzbudziła nie mniejsze gniewy, choć i głosy zachwytu tu i ówdzie słychać, a w „Woprosach Filosofii” Jekatierina Cimbajewa nazwała nawet książkę de Custine'a „najznakomitszym dziełem cudzoziemca o naszym kraju” (2/1994).

Jednakże nie zachwytu, a obrazy przeważają, czasami nader fikuśne. Ot, choćby próba filozoficzna Borysa Paramonowa *Markiz de Custine: introdukcja*

k seksualnoj istorii komunizma („Zwiezda” nr 2/1995), gdzie *La Russie en 1839* została odczytana, przez okulary doktora Freuda, jako zemsta nieszczęsnego pederasty za odrzuconą miłość do cara Mikołaja I. W eseju Paramonowa pełno napomknien hermetyczno-erotycznych, miejscami na obsesję zakrawających lub zgoła na kpinę. Pomnik Piotra Wielkiego, dla przykładu, budził lęk w markizie dlatego, że koń depczący żmiję, symbol fallusa, uosabiał dlań rosyjskiego Imperatora gnębiącego (homo)seksualną swobodę. Zatem to nie Francuz był przenikliwy, tylko jego zboczenie, dzięki któremu obnażony został stary ruski archetyp: „jeźdźców” (władzy) i „bab” (narodu). Innymi słowy, car de Custine'a nie zechciał (ujeżdżać) i ten mu odpłacił paszkwilem.

– *Wot piedierast* – jak mawia Wasia o człowieku, który za skórę mu zalażł.

11.

La Russie en 1839 w Polsce wyszła w całości zaledwie rok temu. Wcześniej, jak i w Rosji, krążyła w kalekich wydaniach. Jedno z nich – przekład Mariana Górskiego – wziąłem na drogę, jadąc pierwszy raz do Moskwy. I już wtedy zirytowała mnie tendencyjność zarówno samej podróży de Custine'a, jak i jego listów. Dziś, po sześciu latach życia w Rosji, czytając pełną wersję (w tłumaczeniu Pawła Hertza), zauważam, że nie tylko dawne wątpliwości ożyły, ale i nowych przybyło. Cóż, jak przystało na klasyka gatunku, w relacji markiza, niby w zwierciadle, widać główne niedostatki samego *genre*: brak czasu, lekceważenie ortodoksji i nieznamość języka. O innych, kiedy indziej.

Po pierwsze – sam podróżopisarz zanotował: „Rosjanie powtarzają mi raz po raz, że trzeba spędzić w Rosji przynajmniej dwa lata, zanim wolno będzie oceniać ich kraj, rzekomo najtrudniejszy na świecie do określenia”. A w innym miejscu natrząsa się z cudzoziemców, którzy daremnie tropią prawdę o Rosji, będąc tu tylko przejazdem. I co? Sam pobyl w Rosji zaledwie dwa i pół miesiąca, a popelniał o niej aż cztery tomy. Pustosłowiem nadrabiał drogi. Nic dziwnego, że Dostojewski nazwał go, z przekąsem, „osławionym turystą”. Zaś Paramonow twierdzi, i w tym się z nim zgadzam, iż by taką książkę napisać, niekoniecznie w ogóle trzeba tu przyjeżdżać.

Po wtóre – markiz, jak katolicy w większości, miał nikłe pojęcie o prawosławiu i, co za tym idzie, nie doceniał roli ortodoksji w formowaniu „rosyjskiego ducha”. Nie on pierwszy zresztą (i bynajmniej nie ostatni), by wspomnieć choćby de Maistre'a, który pisał był z Petersburga do kawalera de Rossi, iż „grecka wiara w ogóle nie istnieje, albowiem zewnętrznie ruska religia polega na żegnaniu się i pokłonach, duchowo zaś to maniakalna i bezmyślna nienawiść do rzymskiego Kościoła”. Podobne zwroty możemy znaleźć i u de Custine'a, na przykład: „Bezustanne żegnanie się znakiem krzyża na ulicy przed świętym obrazem, przy stole przed posiłkiem i po nim (jak się to dzieje nawet w najlepszych domach), oto wszystko, czego naucza Kościół wschodni”. Markiz, gdzie indziej przenikliwy, prawosławia wyraźnie niedowidzi, zaślepiony pasją wyka-

zywania wyższości katolicyzmu, jakby był zapomniął o słowach kniazia K., na początku swojej podróży, iż właśnie ortodoksja jest owym „kluczem, który ci pozwoli zrozumieć wszystko w kraju, dokąd zmierzasz”. (*Nota bene*: w tłumaczeniu Pawła Hertza, słówko „klucz”... wypadło).

Po trzecie wreszcie – nieznajomość rosyjskiego języka uniemożliwiała markizowi kontakt z *głubinkoj* Rosji i sprawiała, że albo brylował w salonach po francusku albo w milczeniu podziwiał niemotę północnego landszaftu, częścią którego był dlań lud rosyjski. Zatem konkludował: „Oto dlaczego nadal nie wiemy, co dzieje się w Rosji. Prawdziwy charakter ludzi mieszkających w głębi tego ogromnego i groźnego państwa stanowi zagadkę dla większości Europejczyków”.

12.

„Dołoj Niebożenko i Podkorytowa!” – pod takim hasłem 5 listopada odbył się wiec pod drzwiami Niebożenki, Walentyna Wiktorowicza, Głowy Administracji Sołówek. Należy zaznaczyć, że wiecowano w ramach ogólnorosyjskiej akcji protestu przeciw wstrzymywaniu wypłat zarówno pensji, jak i emerytur i rent. Niewypłacalność państwa osiągnęła kres ludzkiej cierpliwości: pracownicy służb komunalnych i elektrowni nie otrzymują zarobków od lutego, lekarze i nauczyciele od kwietnia, zaś emerytury i renty ostatni raz wydawano w lecie. Na Wyspach od dawna krążą też słuchy, jakoby *dieńgi* z budżetu, przeznaczone na wypłaty pensji i emerytur, Głowa Administracji i jego zam. Podkorytow (*no-men omen* do kwadratu!) puszczają w obieg pod procenty. Morze powoli zamarza, zbliża się koniec nawigacji, a mieszkańcy Sołówek nie mogą kupić produktów na zimę. W sklepach już nawet chleba nie dostają na kredyt. A za co nabyć drwa na opał? Dodam jeszcze, że w tym roku ani grzybów, ani śledzia nie było, a zaraza poraziła ziemniaki, i tuszę, iż czytelnicy „Kultury” potrafią wyobrazić sobie rozpacz Sołowczan.

Dzisiaj od rana pada mokry śnieg, wielkimi płatami. I od razu taje. Morze Białe sztormi już od tygodnia. Porywisty, lodowaty wiatr nieomal z nóg mnie zwalił, kiedy wyszedłem zza monastyrskiej ściany na odkrytą przestrzeń Świętego Jeziora. Na ulicy Siwko przed gmachem Administracji lepka, rozkiśła breja błota. Latem rów tu rozkopali (czyżby transzeję?) i porzucili robotę w pół dzieła. Pod drzwiami Głowy Administracji zgromadziła się kupa narodu, ze sto osób błoto miesi. W większości sołowieckie staruchy, koślawe, przygięte, zamotane jak kukły. Dostrzegam znajomych. Jest cały szpital, czyli ordynator, dwie siostry i sprzątaczką, obok grupka nauczycieli, komitet weteranów w komplecie, kilku robotników z elektrowni, Nadieżda Kiryłowna z biblioteki, baba z bani, reporter z radia, leśnik, Fokin i gównos, jak nazywają tutaj właściciela wozu ase-nizacyjnego. Nieco w oddali, pod zieloną trybuną z przegniłych desek, reliktem brezniewowskich „czasów zastoju”, stoi paru muzyków w waciakach, w walon-

kach, w uszankach, na kacu. To sołowieccy bezrobotni. Naród się burzy. Matem kryje. Ręce swędzą. Nikt nie wie, co dalej. Czeka na Głowę, obiecał wyjść. Ponoć dzwoni do Archangielska, by wyjaśnić, kiedy przyślą *dieńgi*. Jakby wcześniej nie mógł.

– *Dołoj Niebożenko!* – zacharczało spod trybuny.

– *Dołoj Podkorytowa!*

W drzwiach Administracji pojawił się Walentyn Wiktorowicz. Masywny, w nowej skórzanej kurcie, twarz nalana, oczy wypukłe, na wpół schowane pod daszkiem kraciastej oprychówki. Tłumek przycichł, przybliżył się, rozsierdzony, nacisnął. Niebożenko się cofnął i stężał.

– *Nu dawajcie, kakisje woprosy?*

Wybuchnął jazgot. Babki krzyczały, jedna przez drugą, piskliwie: że to koniec, że tak dłużej nie można, że są doprowadzeni do ostateczności (*wsje dowiedieny do ruczki*), że nawet w czasie wojny było lepiej, bo chociaż chleb przydzielowy dawali, a teraz już nie tylko psy, ale i koty przychodzi żreć, i nawet desek na trumny brakuje, a oni tam, w Administracji, mordy swe tymczasem wypaśli...

– *Wot tak!* – ryknął Niebożenko, pokraśnawszy. Babki zamilkły, śnieg padał, a Niebożenko ryczał dalej: że w sądzie ich może zgnoić za obrazę urzędnika na służbie, że teraz w Rosji prawo i porządek, i wara od władzy państwowej, a w ogóle to cwana intryga przed zbliżającymi się wyborami (w grudniu), ot kozła ofiarnego szukają, kozła potrzebują, ale on, Niebożenko, na kozła się nie da. Dlatego, już spokojniej, o pytania prosi i po kolei na wszystkie odpowie. Bez obraz, bez krzyków i bez demagogii (*sic, sic!*)

Wystąpiła ordynator, Lina Pietrowna. Że kojek w szpitalu dwadzieścia sześć, ale żarcia tylko na cztery, że lekarstw brak, igły wyszły, a cały spirytus ukradli. Z węglem też ledwo ledwo, może na tydzień wystarczy, więc grzeją tylko tyle, by kroplówki nie zamarzały. Wczoraj jedna siostra zemdląła z niedożywienia. A samoloty dzisiaj nie na każdą kieszeń, więc jeśli zamknąć szpital na Sołówkach, to jakby wyrok śmierci na staruchów wydać. Z Archangielska dzwonili, że *dieńgi* wysłali, ale *dieńgi* z Archangielska do szpitala nie doszły. Więc gdzie się były podziały?

Niebożenko po papiery posłał, by czarno na białym pokazać, a w międzyczasie z elektrowni wystąpili. Że silniki na ostatnim dychaniu, że najmniejsza awaria i szlag je trafi. A bez prądu woda w rurach zamarźnie i cały system wodociągowy na Sołówkach w jeden mig się rozwali. Ludzie kipią złością i są gotowi przerwać pracę i niechaj nikt nie mówi o nielegalności elektrycznych strajków, bo oni nie nazwą tego strajkiem, tylko, po prostu, nie wyjdą na robotę z głodu.

Przynieśli papiery. Niebożence ręce drżą, kartki w nich szeleszczą. Szuka, czyta, cyfry cytuje...

– *Wieszat' was, suki* – raptem zawył pijany bomż, wychynawszy zza trybuny, i chwiejnym krokiem ruszył na Niebożenkę. Na szczęście dlań, towarzysze za poły go przytrzymali, nieco przy tym poszarpali, kułakiem po licu zdzielili

i krew z nosa puścili, aż się uspokoił. Mamrotał jeszcze, na poły płacząc, że wszystkich ich, *bljadi*, z góry do dołu, od Moskwy do Sołówek, trzeba wymieść do cna (*paganoj mietłoj*). Niebożenko udał, jakby nic nie widział i kontynuował czytanie.

Nudno się zrobiło. Komu cyfry na papierze ciekawe? Ludzie powoli zaczęli wyciekać. Wiatr jeszcze silniej zaduła, śnieg jeszcze gęściej lepił. Na placyku przed Administracją została garstka, pod trybuną zrobiło się pusto. Niebożenko wreszcie zakończył, ale nic z tego nie wynikło, i podsumował:

– *W oblasti dienieg niet!*

Ktoś kopnął z rozmachu mimo przebiegającego psa. Pies zaskowytał krótko, podkulił ogon pod siebie i wczuł się pod trybunę. Naród stopniał jak śnieg, ludzie rozmyli się w mroku. Wspomniałem złość nieżyjącego Lochy Rudego, który nie raz powtarzał, że trzeba by wreszcie porządek zrobić i wszystkich na ch... powywieszać: i monachów, i naczelników-czynowników, i muzealników-darmozjadów. – Pamiętaj Mar, ruski muzyk jest cierpliwy, ale gdy się zbiesi, to jak dym popełźnie i oczy wyje...

13.

W posiołku martwa cisza, muzyki odpoczywają po Świącie Październikowym. Za oknem gęsta brudnoszara mgła, jak ta „ciemna woda”, do której w ubiegłym wieku Fiodor Dostojewski porównywał przyszłość w Rosji (*Dziennik pisarza*, maj 1876). Świata za Babią łudą nie widać, jakby był szczel, do szczętu. I tylko czasami za szybą przeciągają jakieś cienie, do piżmaków podobne.

[3/1997]

Autorzy

A. B. C. pseudonim nierozszyfrowany.

BARTOSZEWSKI Władysław (ur. 1922), historyk czasów najnowszych, w czasie wojny żołnierz AK, członek Komitetu Pomocy Żydom i Rady Pomocy Żydom „Żegota”, uczestnik powstania warszawskiego, za rządów Bieruta więzień polityczny, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych członek opozycji demokratycznej, w latach 1990–1995 ambasador RP w Austrii, w roku 1995 oraz w latach 2000–2001 minister spraw zagranicznych RP.

BESANÇON Alain (ur. 1932), francuski historyk myśli społecznej, filozof i politolog, profesor i dyrektor Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Paryżu, badacz historii i kultury rosyjskiej XIX wieku oraz systemu komunistycznego.

BIELECKI Czesław, pseudonim Maciej Poleski (ur. 1948), architekt, publicysta, polityk, przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych (1997–2001), doradca prezydenta Lecha Wałęsy, długoletni współpracownik „Kultury”.

BOCHEŃSKI Józef Maria (1902–1995), dominikanin, historyk filozofii, logik, w latach 1948–1972 profesor uniwersytetu we Fryburgu, w 1958 roku stworzył tam Instytut Europy, długoletni współpracownik „Kultury”.

BORWICZ Michał (1911–1987), publicysta, historyk, w czasie wojny więzień obozu śmierci we Lwowie, od 1947 roku przebywał we Francji.

BRÓŃSKI Maciej patrz **SKALMOWSKI** Wojciech.

BRUS Włodzimierz (ur. 1921), ekonomista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, w 1968 roku usunięty w ramach czystek marcowych, od 1971 roku przebywa w Anglii, profesor na uniwersytecie w Oksfordzie.

BYRSKI Zbigniew (1913–1998), dziennikarz, w latach: 1935–1937, 1943–1948, 1949–1969 kolejno członek: KPP, PPR, PZPR; w 1969 roku wyjeżdża do USA, pracownik związków zawodowych, stały korespondent „Kultury”.

CHARŁAMP Witold patrz **JASTRUN** Tomasz.

CZYŻEWSKI Krzysztof (ur. 1958), animator kultury, eseista, tłumacz, dyrektor Ośrodka Fundacji „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Powołał do istnienia pismo „Krasnogruda”, współpracował m.in. z „Kulturą” i „Borussią”.

DZWONKOWSKI Roman, pseudonim P[aweł] Lida (ur. 1930), ksiądz, socjolog, historyk Kościoła katolickiego w ZSRR, wykładał w Instytucie Socjologii KUL w Lublinie.

GIEDROYC Jerzy (1906–2000), do 1939 roku urzędnik państwowy, redaktor „Buntu Młodych” i „Polityki”, w czasie wojny żołnierz Brygady Strzelców Karpackich, następnie 2. Korpusu, prowadził wówczas Wydział Prasy i Wydawnictw. W 1946 roku tworzy Instytut Literacki, w rok później „Kulturę”, którymi kierował do śmierci w 2000 roku. Od 1947 roku we Francji (Maisons-Laffitte pod Paryżem).

GÖMÖRI George (ur. 1934), poeta węgierski, tłumacz, krytyk literacki, polonista na Uniwersytecie w Oksfordzie.

GRUPIŃSKI Rafał (ur. 1952), publicysta, historyk kultury, poseł na Sejm V kadencji, wiceprezes wydawnictwa Prószyński i S-ka.

HELLER Michał, pseudonim Adam Kruczek (1922–1997), rosyjski historyk czasów najnowszych, w 1957 roku wyemigrował do Polski, w 1969 do Francji, gdzie wykładał na Sorbonie, długoletni współpracownik „Kultury”.

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (1919–2000), pisarz, w latach 1940–1942 więzień łagru, następnie żołnierz armii gen. Andersa, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, odznaczony *Virtuti Militari*. W latach 1945–1946 redaktor działu literackiego w „Orle Białym”; współzałożyciel „Kultury”, z którą współpracował w latach 1947, 1956–1996. Od 1955 roku w Neapolu, w latach 1966–1996 włoski korespondent „Kultury”.

HOSER Henryk (ur. 1942), ksiądz palotyn, arcybiskup, misjonarz, lekarz medycyny, sekretarz pomocniczy Kongregacji Ewangelizacji Narodów, w latach 1996–2002 pełnił funkcję przełożonego palotyńskiej Regii Miłosierdzia Bożego we Francji.

JAGŁA Ryszard patrz MICEWSKI Andrzej.

JASTRUN Tomasz, pseudonim Witold Charłamp, później SMECZ (ur. 1950), poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki i reporter, długoletni współpracownik „Kultury”.

JELEŃSKI Konstanty A. (1922–1987), krytyk, eseista, tłumacz, żołnierz 1. Dywizji Panczernej gen. Maczka, w latach 1952–1973 brał udział w pracach Kongresu Wolności Kultury, długoletni współpracownik „Preuves” i „Kultury”.

KACZMAREK Robert (ur. 1947), inżynier, publicysta, działacz opozycji demokratycznej i „Solidarności”, doktor Uniwersytetu Pierre et Marie Curie w Paryżu, kierownik laboratorium w Wyższej Szkole Elektrycznej w Gif-sur-Yvette we Francji.

KARPIŃSKI Jakub, pseudonim Marek Tarniewski (1940–2003), socjolog, historyk, politolog, skazany w procesie „taterników”, w latach 1969–1971 więziony, członek redakcji pism niezależnych „Zapis” i „Głos”, w latach 1978–1995 przebywał za granicą, od 1992 roku w Pradze i Warszawie.

KARPIŃSKI Wojciech (ur. 1943), krytyk literacki, eseista, członek redakcji „Zeszytów Literackich”.

KARSKI Jan, właściwie Jan Kozielski (1914–2000), kurier i emisariusz polityczny, historyk, w latach 1942–1943 poinformował władze RP na uchodźstwie, rządu Wielkiej Brytanii i USA oraz organizacje żydowskie o zagładzie Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej, po wojnie przebywał w USA, od 1952 roku profesor na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie.

KISIELEWSKI Stefan (Kisiel, Tomasz Staliński) (1911–1991), pisarz, kompozytor, publicysta polityczny, działacz katolicki, wieloletni współpracownik „Tygodnika Powszechnego”, poseł na Sejm Koła „Znak”, drukował w „Kulturze” pod własnym nazwiskiem i pseudonimami.

KOŁAKOWSKI Leszek (ur. 1927), filozof, eseista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, usunięty w ramach czystek marcowych, w 1968 roku wyjechał z Polski, profesor Uniwersytetu w Oksfordzie, od 1976 roku pełnomocnik KOR.

KOSTRZEWA Robert (ur. 1959), socjolog, od 1980 roku w USA. Wydawca amerykańskiej antologii tekstów „Kultury” *Between East and West. Writings from „Kultura”*, New York 1960.

KRUCZEK Adam patrz HELLER Michał.

KUKLIŃSKI Ryszard J. (1930–2004), pułkownik Wojska Polskiego i Armii Stanów Zjednoczonych. W latach 1971–1981 przekazywał na Zachód najbardziej tajne dokumenty dotyczące Polski, ZSRR i Układu Warszawskiego.

KULIK Adam W. (ur. 1950), pisarz, poeta, dziennikarz, reporter, badacz pogranicza wschodniej Polski.

KWIATKOWSKA Jadwiga patrz WIRPSZA Aleksander.

L. B. patrz Andrzej Micewski.

LEDERER Jiří (1922–1983), czeski dziennikarz i publicysta, w latach 1948–1949 studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim; w latach 1968–1969 redaktor pisma „Literární noviny”, następnie „Literární listy” i „Listy”; sygnatariusz Karty 77, wielokrotnie więziony, od 1980 roku na emigracji.

LEM Stanisław, pseudonim P. Zławca (1921–2006), pisarz, wybitny twórca utworów science fiction; filozof, futurolog i satyryk.

LICHTEN Józef (1906–1987), dyrektor Departamentu ds. Kulturalnych i Religijnych Anti-Defamation League of B'nai B'rith w Nowym Jorku, członek Międzynarodowego Komitetu Współpracy Katolicko-Żydowskiej; był wykładowcą papieskiej uczelni North American College w Rzymie, rzecznik dialogu z Polakami.

LIDA P[aweł] patrz DZWONKOWSKI Roman.

LIPSKI Jan Józef (1926–1991), żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, krytyk i historyk literatury, publicysta, polityk; w latach 1956–1957 członek redakcji „Po prostu”, jeden z założycieli Klubu Krzywego Koła, w roku 1976 współzałożyciel KOR, od 1989 roku senator RP.

ŁOBODOWSKI Józef (1909–1988), poeta, eseista, tłumacz, za antysanacyjne poglądy relegowany z uniwersytetu i wojska. W latach 1937–1939 współpracownik „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, redaktor tygodnika „Wołyń”, żołnierz kampanii wrześniowej. Z Francji przedostaje się do Hiszpanii. W latach 1949–1975 współtwórca i redaktor „Radia Madryt”, współpracował z „Wiadomościami” i „Kulturą”.

MARKOWSKI Leon, brak informacji biograficznych.

MENCWEL Andrzej (ur. 1940), historyk i krytyk literatury i kultury polskiej, antropolog kultury, eseista; profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wykłada historię i antropologię kultury (polskiej i porównawczej) w Instytucie Kultury Polskiej na Wydziale Polonistyki UW i na Wydziale Reżyserii Akademii Teatralnej w Warszawie.

MICEWSKI Andrzej, pseudonimy w „Kulturze” m.in.: L. B., Leo Breit, Jan Kowalski, Pierre Olfenius, Ryszard Jagła, Witold Bardzki, Zdzisław Madziarski, Zygmunt Merka, Zygmunt Ossowski (1926–2004), historyk, publicysta, działacz katolicki, w latach 1971–1973 redaktor naczelny i dyrektor wydawnictwa Verum, w latach 1976–1986 członek redakcji „Tygodnika Powszechnego”, w 1990 roku szef grupy doradców prezydenta Lecha Wałęsy, w latach 1993–1997 poseł na Sejm.

MIŁOSZ Czesław (1911–2005), poeta, pisarz, eseista, tłumacz. Po 1945 roku pracował w służbie dyplomatycznej PRL. W 1951 roku podjął decyzję o pozostaniu na Zachodzie. Od 1960 roku był profesorem na uniwersytecie w Berkeley. W 1980 roku otrzymał literacką Nagrodę Nobla.

MORAWSKI Dominik (ur. 1922), dziennikarz, współzałożyciel KIK, publicysta katolickiej prasy krajowej, od 1963 roku w Rzymie, komentator polityki międzynarodowej w mediach włoskich, długoletni współpracownik „Kultury”.

MYCIELSKI Zygmunt (1907–1987), kompozytor, pisarz, publicysta, po kampanii wrześniowej przebywał w niewoli we Francji, po wojnie w Polsce pełnił funkcję prezesa Związku Kompozytorów Polskich; redaktor naczelny „Ruchu Muzycznego”, od 1968 roku członek opozycji demokratycznej.

NAJDER Zdzisław, pseudonim SOCJUSZ (ur. 1930), historyk literatury, publicysta, polityk, w latach 1982–1987 dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, profesor Uniwersytetu Opolskiego.

NOWAK Andrzej (ur. 1960), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Pracowni Dziejów Rosji i ZSRR Instytutu Historii PAN w Warszawie, redaktor naczelny czasopisma „Arcana”.

ODOJEWSKI Włodzimierz (ur. 1930), pisarz, od 1969 roku poza krajem (od 1971 roku w Monachium), długoletni kierownik literacki Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

OSADCZUK Bohdan (ur. 1920), ukraiński dziennikarz, profesor historii najnowszej na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie Zachodnim, długoletni współpracownik „Kultury”.

OSTATEK o. Albert (1917–2004), paulin, bibliofil, znawca literatury amerykańskiej, propagator czytelnictwa w języku polskim wśród Polonii amerykańskiej.

POLESKI Maciej patrz BIELECKI Czesław.

POMIAN Krzysztof (ur. 1934), filozof, historyk, eseista. Po usunięciu z pracy na Uniwersytecie Warszawskim do 1972 roku pracował w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej, następnie wyjechał do Francji, w 1984 roku został profesorem w Krajowym Ośrodku Badań Naukowych, od 1999 roku jest także profesorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, a od 2001 roku – dyrektorem tworzonego w Brukseli Muzeum Europy.

POSPIESZAŁSKI Antoni (ur. 1912), do wojny nauczyciel gimnazjalny, po wojnie osiedlił się w Londynie, w latach 1952–1975 dziennikarz w sekcji polskiej BBC.

PROKOP Jan (ur. 1931), romanista i polonista, krytyk literacki, wykładał literaturę polską na uniwersytetach w Kanadzie, USA, we Włoszech i w Polsce (KUL).

REDAKTOR patrz GIEDROYC Jerzy.

ROSTOW Eugene V. (1913–2002), prawnik amerykański, ekspert prawa międzynarodowego, w latach 1966–1969 podsekretarz stanu w Departamencie Stanu USA, profesor Yale University, doradca prezydenta Ronalda Reagana.

ROSTRON Magdalena, anglistka, wykładowca na Qatar University w Doha.

SCHARF Rafael (1914–2003), dziennikarz i literat, ukończył hebrajskie gimnazjum, a potem prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, od 1938 roku przebywał w Wielkiej Brytanii, gdzie w czasie wojny służył w armii; po wojnie pracował w zespole przygotowującym procesy zbrodniarzy wojennych, jeden z założycieli Instytutu Badań Spraw Polsko-Żydowskich w Oksfordzie oraz współtwórca Fundacji Judaica Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie.

SIKORSKI Radosław (ur. 1963), dziennikarz, polityk, studiował w Oksfordzie filozofię i nauki polityczne, w latach 1986–1989 był korespondentem w Afganistanie, Angoli i Jugosławii; senator RP, od 2005 roku minister obrony narodowej RP.

SKALMOWSKI Wojciech, pseudonim Maciej Broński (ur. 1933), absolwent filologii orientalnej i iranistyki, od 1968 roku przebywał za granicą (Iran, USA, Belgia), emerytowany profesor iranistyki (flamandzkiego) Katolickiego Uniwersytetu w Louvain, długoletni współpracownik „Kultury”.

SMECZ patrz JASTRUN Tomasz.

SOCJUSZ patrz NAJDER Zdzisław.

SPINELLI Barbara (ur. 1946), dziennikarka włoska, znawczyni spraw Europy Środkowej i Wschodniej, była korespondentka dzienników „La Repubblica”, „Corriere della Sera”, od 1985 roku współpracowniczką dziennika „La Stampa”.

STROŃSKA Anna (ur. 1931), reportażystka, prozaik, dramatopisarka, studiowała m.in. dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, w latach 1953–1963 wchodziła w skład redakcji „Gazety Krakowskiej”, w latach 1963–1981 była dziennikarką „Polityki”.

STRUMIŃSKI Bohdan (1930–1998), językoznawca-slawista, badacz związków polsko-ukraińskich; w 1963 roku więziony za przekazanie za granicę artykułu o sytuacji narodu ukraińskiego w ZSRR; od 1975 roku przebywał w USA, wykładał na uniwersytecie w Harvardzie.

SULIK Bolesław (ur. 1929), od roku 1946 w Anglii, dziennikarz, publicysta, członek redakcji wydawanego w Londynie miesięcznika literackiego „Kontynenty”, autor filmów dokumentalnych, od roku 1991 mieszka w Polsce, był członkiem i przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

SZEWCZENKO Ihor (ur. 1922), urodzony w Polsce ukraiński historyk sztuki, bizantynista, emerytowany profesor Harvardu, wykładowca uniwersytetów w Europie Zachodniej, autor prac poświęconych historii Ukrainy i Polski.

TARNIEWSKI Marek patrz KAPIŃSKI Jakub.

TATAROWSKI Konrad W. (ur. 1948), historyk literatury polskiej, historyk mediów, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego; po internowaniu na emigracji, pracownik Radia Wolna Europa.

TIMOSZEWICZ Jerzy (ur. 1933), historyk teatru, od 1957 roku współredaktor „Pamiętnika Teatralnego”, wykładowca w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie, edytor pism Leona Schillera, Jerzego Stempowskiego i Tymona Terleckiego.

TORAŃSKA Teresa (ur. 1946), dziennikarka i pisarka, współpracuje z „Gazetą Wyborczą”.

UNGER Leopold, pseudonim Brukselczyk (ur. 1922), dziennikarz, długoletni współpracownik „Życia Warszawy”, w 1968 roku emigruje, od 1969 roku publicysta brukselskiej „Le Soir”, długoletni współpracownik „Kultury”.

VENCLOVA Tomas (ur. 1937), litewski poeta, krytyk literacki i tłumacz, uczestnik ruchu opozycyjnego, od 1977 roku przebywa na emigracji w USA, profesor Yale University.

WILK Mariusz (ur. 1955), polonista, pisarz, działacz SKS i „Solidarności”, na początku lat 90. osiedlił się w Rosji, był rosyjskim korespondentem „Kultury”.

WIRPSZA Aleksander, pseudonim Jadwiga Kwiatkowska, Leszek Szaruga, Spektator (ur. 1946), poeta, eseista, prozaik, tłumacz poezji niemieckiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, długoletni współpracownik „Kultury”.

WOLICKI Krzysztof (1926–2001), teatrolog, tłumacz i dziennikarz, długoletni współpracownik „Kultury”.

WOROSZYLSKI Wiktor (1927–1996), poeta, publicysta, tłumacz, w roku 1966 wykluczony z PZPR, następnie działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel niezależnego miesięcznika „Zapis”.

ZNAWCA P. patrz LEM Stanisław.

REDAKTORZY ANTOLOGII

KERSKI Basil (ur. 1969), dziennikarz, eseista, redaktor naczelny dwujęzycznego Magazynu Polsko-Niemieckiego DIALOG (Berlin–Gdańsk).

KOWALCZYK Andrzej Stanisław (ur. 1957), eseista i historyk literatury, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, autor książki *Giedroyc i „Kultura”* (1999), edytor epistolografii i eseistyki Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Jerzego Giedroycia, Witolda Gombrowicza i Bolesława Micińskiego.

Indeks nazwisk i pseudonimów

- Abbasydowie, dynastia II 192
 Abramowicz Ludwik II 223
 Abramowski Edward I 296
 Abuladze Tangiz II 592
 Achmatowa Anna II 237, 485, 495
 Adams Charles J. II 197
 Adlis S. II 256
 Adorno Theodor II 402
 Agnelli II 15
 Agurski Michał II 69
 Akbar Sayd Fazel II 80
 Akopian Karen II 591, 592
 al-Azm Sadiq II 194
 al-Walid, kalif II 190
 Alberska Małgorzata I 19
 Aleksander I, car II 220, 304, 593
 Aleksander II, car II 464
 Aleksy Michajłowicz II 304
 Aleksy, car II 206
 Alijew Gejdar II 71
 Alter Wiktor II 228
 Althusser Louis II 579
 Amalric Jacques I 268
 Amalrik Andriej II 202
 Amin Idi II 79
 Ananicz Andrzej II 335
 Ancevičius Pranas (Anczewicz Franciszek) zw. Draugasem II 225, 226, 227, 239
 Anders Władysław I 225 II 602
 Andreotti Giulio II 9
 Andriejewa Nina II 150
 Andropow Jurij Władimirowicz I 323, 439, 444, 445, 486 II 67, 68, 69, 70, 71, 72, 75, 87, 106
 Andrzejewski Jerzy I 29
 Antoniuk Tadeusz I 480
 Arafat Jasir II 35, 433
 Archimedes II 191, 424
 Archipenko Aleksander II 291
 Arcybaszew Michaił II 581
 Arendt Hannah II 181
 Ariès Philippe II 555
 Aron Raymond I 29, 272 II 90, 181, 577
 Arslan Shakib II 194
 Arystoteles II 191, 240, 507, 512
 Ascherson Neal II 544
 Ash Timothy Garton II 544
 Atatürk Kemal II 195
 Aubrac Lucie i Raymond II 172
 Augstein Rudolf II 87
 Auleytner Wacław I 400
 Aumiller Andrzej K. II 335
 Baal Szem Tow II 220
 Babel Izaak II 249
 Babij Iwan II 212
 Baburin Siergiej II 151
 Bach Johann Sebastian II 595
 Bachtin Michaił II 468, 575
 Baczyński Krzysztof Kamil I 76 II 227, 405
 Baczyński Stanisław II 227
 Bądkowski Lech I 121
 Baez Joan I 80
 Bahr Egon I 175
 Bajda II 332
 Baka Władysław I 397, 398
 Bakatin Wadim II 145, 151, 152
 Bakunin Michaił II 320
 Balčikonis Juozas II 240
 Balazs Artur I 96
 Balcerowicz Leszek I 48, 51, 57, 58, 59, 68, 105 II 335
 Balicki Marek II 335

Baluch Jacek II 335
 Balzak Honoré de II 578
 Bałtruszajtis Juozas II 238
 Bałuka Edmund I 340
 Baranauskas Atanas II 165
 Barańczak Stanisław I 415 II 544
 Barański Marek I 80
 Barbulis Gienadij II 149
 Barca I 275
 Barcikowski Kazimierz I 257,387,472
 Bardzki Witold I 195
 Barker Colin II 544
 Barszczewski Aleksander II 274
 Barthes Roland II 578
 Bartmiński Jerzy II 335
 Bartošek Karel II 169,172
 Bartoszcze Michał I 48,334,485
 Bartoszewski Władysław I 56 II 335,366,
 381,398,601
 Baryła Józef I 490
 Basanavičius Jonas II 243
 Bataille Georges II 556
 Bau Józef II 404
 Baudouin de Courtenay Jan Nieciślaw II 280
 Bączkowski Włodzimierz II 214
 Beauvoir Simone de II 470,575
 Beauvois Daniel I 31
 Beck Józef I 56,84
 Becket Tomasz II 566
 Beckett Samuel II 286,552
 Begin Menachem II 34,35,36,369
 Beim Józef I 479
 Bekisz, ks. katolicki II 256
 Bell Daniel I 166
 Bellmer Hans II 556
 Bem Józef II 165
 Bence György II 29
 Berberysz Ewa I 10,19
 Berdychowska Bogumiła I 20 II 335
 Berdychowski Zygmunt II 335
 Berent Wacław I 131,135
 Beria Ławrientij II 69,119,145,362,457
 Berlin Isaiah II 166
 Berlinguer Enrico I 275 II 9,10,11,12,13,
 14,15,16
 Bernanos Georges I 50 II 574

Bernatowicz Feliks Aleksander Geisztowt
 II 287
 Besançon Alain I 43,213 II 46,96,124,424,
 425,426,428,430,432,491,601
 Białoszewski Miron II 222,501,582
 Biały Adam I 339
 Biczewska Żanna II 592
 Bielecki Czesław ps. Maciej Poleski I 6,9,
 11,91,283,303,304,306,308,310,312,314,316,
 318,320 II 543,601,604
 Bieliński Konrad I 363 II 575
 Bieliński Wissarion II 465
 Bieńkowski Władysław II 10,350,360,361,
 362,363,364,365
 Bierdiajew Mikołaj I 274 II 467,471
 Bierezin Jacek I 144
 Bierut Bolesław I 71,383,389,432,443 II 601
 Billig Michael II 166,167
 Bismarck Otto von I 500 II 482
 Biłas Wasyl II 212
 Björling Gunnar II 286
 Blake William II 533
 Blanqui Auguste II 578
 Blinuszow Andriej II 591,592
 Bloch Alexander II 538
 Blücher Gebhard Leberecht von II 482
 Blum Léon II 573
 Blumsztajn Seweryn I 139,140,308
 Błażewicz H. J. II 257
 Błok Aleksander II 297,299
 Błoński Jan II 543,544
 Bober Andrzej II 335
 Bobkowski Andrzej I 13,19,29
 Bocheński Aleksander I 230
 Bocheński Józef Maria II 507,559,601
 Bochniarz Henryka II 335
 Bociński Ludwik II 223,226,244
 Bogucka Teresa I 119
 Bohusz Ksawery II 287
 Bokassa Jean-Bédél II 309
 Bolecki Włodzimierz I 10
 Böldin Walerij II 143,144
 Borejsza Jerzy I 316
 Borkowicz Jacek II 335
 Borowik Wojciech II 335
 Borowski Adam II 335

Borowski Andrzej II 335
 Borowski Tadeusz II 235,407
 Borusewicz Bogdan I 363 II 335
 Boruta Kazys II 237,239
 Boruta-Spiechowicz Mieczysław I 150
 Borys Godunow II 143,593
 Borwicz Michał właśc. Boruchowicz Maks
 II 377,380,401,402,601
 Bosworth C. E. II 193
 Boulouque Sylvain II 169
 Bousquet René II 348
 Bożyk Paweł I 451
 Brandt Willy I 352,353 II 20
 Brandys Kazimierz I 29 II 543
 Brasillach Robert II 574
 Bratkowski Stefan I 364
 Braun Juliusz II 335
 Brezniew Leonid I 48,168,173,175,195,196,
 263,412,424,435,439,445,478,487,492 II 35,
 41,64,67,68,69,70,71,72,73,74,75,105,106,
 109,110,116,119,121,124,126,127,134,202,292
 Breza Tadeusz I 433
 Broda Jarosław II 335
 Brodski Josif II 402,521,541,547,550
 Brodskij Jurij II 590
 Broniewski Władysław II 407
 Broński Maciej zob. Wojciech Skalmow-
 ski
 Bruegel Piotr Stary II 477
 Brumberg Abraham II 397,544
 Brus Włodzimierz I 449 II 13,601
 Brzeziński Zbigniew I 173,369 II 14,317
 Brzozowski Stanisław I 131 II 543,556,575
 Buber Martin II 455
 Buber-Neumann Margaret II 180
 Bucharin Nikołaj II 110
 Buczkowski Piotr II 335
 Budionnyj Siemion II 249
 Budrewicz Jerzy I 480
 Bugaj Ryszard I 114 II 335
 Bujak Zbigniew I 56,79,117,235,261,273,
 308,310,314,363,364,372,489 II 335
 Bujnicki Teodor II 227
 Bukowiński II 282
 Bukowski Władimir II 87,202,411
 Bunin Iwan I 437

Burebista, król Daków II 29
 Burek Tomasz II 543
 Burnham James I 29
 Bush George II 153
 Buvac Drago II 118
 Buzek Jerzy II 179
 Byrski Zbigniew II 31,32,34,36,38,40,42,49,
 202,601
 Cahit Huseyin II 196
 Cajauskas Balys II 236
 Camus Albert I 29 II 577,578
 Carillo Santiago II 10,11,12,13,16
 Carnap Rudolf II 33
 Carpelan Bo II 287
 Carrère d'Encausse Hélène II 128
 Carrington Robert II 31
 Carter James I 173,174,367,478 II 14,40,
 41,46,50,64,83
 Casaroli Agostino, kardynał I 178,197
 Castoriadis Cornelius I 275 II 95
 Castro Fidel II 31
 Ceaușescu Nicolae I 470,506 II 10,27,28,
 29,123,163,309
 Céline Ferdinand II 573
 Celiński Andrzej II 335
 Celsus Aulus Cornelius II 431
 Cergowski Sławbor I 115
 Chamberlain Neville II 35,42,43,157
 Charlamp Witold zob. Tomasz Jastrun
 Chauvy Gerard II 172
 Chazbułatow Rusłan II 150
 Chessman Caryl II 22
 Chiaromonte Nicola I 432 II 12
 Chiaromonte Gerardo II 12
 Chilecki Andrzej I 11
 Chirac Jacques II 15
 Chiriakowa Eugenia II 581
 Chłopicki Józef I 215
 Chmielnicki Bohdan II 206,207,278,279
 Chmielnicki Tymosz (syn Bohdana) II 207
 Chocholak Jolanta II 335
 Chodasiewicz Władysław II 485
 Chojecki Mirosław I 292,308 II 335
 Chomeini Ruhollah I 444 II 31,37,80
 Chomiakow Aleksiej II 596

Chomski Leopold II 257
 Chomsky Noam II 33
 Christie Agata I 441
 Chruslińska Iza I 19
 Chruszczow Nikita I 174, 200, 213, 469 II 68,
 69, 70, 72, 90, 95, 100, 101, 104, 117, 123, 124, 148,
 180, 202, 239, 577
 Chrzanowski Tadeusz ps. Tymoteusz Klemp-
 ski I 10, 209, 210
 Chrzanowski Wiesław I 96, 278, 386
 Churchill Winston II 425
 Chwat Leszek II 335
 Chwylowyj Mykoła II 298, 304
 Ciastoń Władysław I 479
 Ciemniowski Jerzy II 335
 Cieślak Ireneusz II 335
 Cimbajewa Jekatierina II 596
 Ciołkosz Adam I 275
 Cioran Emile M. II 552
 Claudin Fernando II 13
 Clausewitz Carl von I 283, 440 II 482
 Clemenceau Georges II 578
 Clinton Bill II 154, 155, 156, 159, 160
 Cohen Stephen II 87
 Colletti Lucio II 11, 13
 Comenius zob. Komeński Jan Amos
 Compton Michael II 504
 Conrad Joseph I 130, 131, 217 II 485
 Constant Benjamin I 129
 Corot Jean-Baptiste Camille II 557, 558
 Corvalan Luis II 11
 Courtois Stéphane II 169, 170, 171, 172, 173, 180
 Craxi Bettino II 12
 Croce Benedetto II 9
 Cronkite Walter II 56
 Curie Pierre II 602
 Curie-Skłodowska Maria II 602
 Custine Astolphe de II 593, 594, 596, 597
 Cwietajewa Anna II 485
 Cwignun II 71
 Cyganik Grzegorz II 335
 Cywińska Izabella II 335
 Cywińska Krystyna II 444
 Cywiński Bohdan I 132, 295
 Czaadajew Piotr I 212
 Czapska Maria II 581, 585, 587

Czapski Józef I 13, 27, 29, 431 II 202, 475,
 493, 494, 495, 497, 498, 499, 536, 537, 538, 551, 552,
 553, 554, 555, 556, 557, 558, 581, 582, 583, 585, 587
 Czartoryski Adam Jerzy I 215 II 322,
 323, 324, 593
 Czechow Antoni I 437
 Czerniakow Adam II 404
 Czerniawski Adam II 267, 268, 269, 270
 Czernienko Konstantin II 68, 69, 87, 89,
 106, 119, 122, 123
 Czernyszewski Nikołaj II 469, 471
 Czubiński Lucjan I 475
 Czuma Andrzej I 140
 Czuma Benedykt I 140
 Czyż Andrzej I 481
 Czyżewski Jan I 479, 481
 Czyżewski Krzysztof I 15 II 163, 601

 Ćwiek Jerzy I 479

 Čapek Karel II 526

 Dachowski Mieczysław I 472, 494
 Daix Pierre II 13, 576
 Dajan Mosze II 35, 356, 357
 Daniel, książę halicki II 299
 Daniel Jurij I 29 II 72
 Danilewski Mikołaj II 465
 Dante Alighieri II 222, 401
 Danyłyszyn Dmytro II 212
 Darnton John I 273
 Darwin Charles II 525
 Daszyński Ignacy I 226, 275
 Daukantas Simonas (Szymon Dowkont)
 II 240, 245
 Davies Norman II 378, 544
 Davies Richard II 397
 Dawid, król Izraela I 37
 Dąbrowska Maria I 124, 135, 136 II 581,
 582, 583, 584
 Dąbrowski Bronisław, biskup I 193, 197,
 278, 279
 Dąbrowski Jan Henryk I 131
 Dąbrowski Waldemar II 335
 Dedijer Vladimir II 10
 Degas Edgar II 557

Delacroix Eugène II 557
 Delmar Irena II 401
 Dembiński Henryk II 227, 574
 Derrida Jacques II 579
 Deutscher Izaak II 364
 Dębicki Mieczysław I 480
 Diagilew Sergiusz II 583
 Dickhoff-Derenthal Aleksander II 586
 Diderot Denis II 578
 Djaczenko, protojerej II 590
 Dmochowska Maria II 335
 Dmowski Roman I 44, 226, 304 II 224,
 548
 Dobbs Michael II 544
 Dobraczyński Jan I 308, 412, 443
 Dobrowolska Zofia II 581, 582, 583, 585,
 587
 Dołgich Władimir II 70
 Dołowy Krzysztof II 335
 Donelaitis Kristijonas II 240
 Doroszenko Dmytro II 211
 Dostojewski Fiodor I 212, 431 II 172, 280,
 425, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472,
 473, 474, 526, 552, 575, 588, 593, 596, 597, 600
 Dowkont zob. Simonas Daukantas
 Drewnowski Jan I 163, 170
 Dreyfus Alfred I 50
 Drieu La Rochelle Pierre II 574
 Drucki-Lubecki Franciszek Ksawery I 132, 215
 Dubczek Aleksander I 194, 197 II 10, 13,
 114, 124
 Duda Roman II 335
 Duffy Eamon II 442
 Dumas Aleksander (ojciec) II 593, 596
 Dumas Roland II 154
 Dürer Albrecht II 558
 Durrant Stuart II 583
 Dworak Jan II 335
 Dybciak Krzysztof I 20
 Dybicz Iwan II 319
 Dzieduszycka Małgorzata II 335
 Dziergwa Roman I 128
 Dzierżyński Feliks I 213, 216 II 386, 576
 Dziubina Stefan II 449
 Dzwonkowski Roman ps. P[aweł] Lida
 II 253, 601, 603

Dżermejko II 254
 Džilas Milovan II 64, 125

 Eddington Arthur II 516
 Edelman Marek II 157, 160, 383, 398
 Eden Anthony II 400
 Ehrlich Henryk II 228, 378
 Eichmann Adolf II 32
 Eisenhower Dwight II 55, 57, 58
 Ejnikówna II 225, 228
 Eksteins Modris I 130
 Elias Norbert I 128
 Eluard Paul II 348
 Enache Smaranda II 167
 Enckell Rabbe II 286
 Erdman Anna I 120
 Erdman Dawid I 120
 Erdman Elias I 120
 Erdman Nikołaj II 141
 Euklides II 191
 Eyckens Mark II 160
 Eysymontt Jerzy I 96 II 335
 Ezop II 523

 Fallaci Oriana II 37, 38
 Fallenbuchl Zbigniew I 321
 Feddecki Ziemowit II 582
 Feutwanger Lion II 594, 596
 Fiałkowski Tomasz II 335
 Fichte Johann Gottlieb II 479, 482
 Ficowski Jerzy II 407
 Fiedorowicz Czesław II 335
 Figel Krzysztof II 335
 Figura Grzegorz II 335
 Filaret, metropolita Kościoła prawosław-
 nego II 307, 308, 309
 Filosofow Dymitr W. II 581, 582, 583, 584,
 585, 586, 587
 Fini Leonor I 436 II 537
 Fiodorczuk Witalis II 71
 Florczak Zbigniew ps. Pelikan I 12
 II 335
 Foch Ferdinand II 208
 Fontaine André I 268
 Fontaine Pascal II 169
 Forlani Arnaldo II 14

Foucault Michel II 579
 Fourier Jean Baptiste Joseph II 465,473
 France Anatol II 578
 Franco Francisco II 502
 Frank Joseph II 464
 Franko Iwan II 334
 Frasyniuk Władysław I 75,261,340,363,373
 II 335
 Fredro-Boniecki Tadeusz I 46
 Freud Zygmunt II 364,464,525,596
 Fried Eugen II 172
 Friszke Andrzej I 19 II 335
 Frossard André II 176
 Frycz-Modrzewski Andrzej II 527
 Fryderyk Wielki, król Prus II 479
 Funar George II 165

Gaberle Andrzej II 335
 Gagnebin Murielle II 497
 Galen II 191
 Galicz Aleksander I 140
 Gálczyński Konstanty Ildefons II 227,486
 Gandhi Mahatma II 384
 Garliński Józef II 389
 Gasparski Wojciech II 335
 Gauchet Marcel II 536
 Gaulle Charles de I 100,216
 Gauss Christian II 224
 Gautier Théophile II 593
 Gawlik Radosław II 335
 Gelbard-Czajka Izabella II 404
 Gella Aleksander I 163
 George Stefan II 479,482
 Gepner Abram II 404
 Geremek Bronisław I 55,56,63,79,268,352
 II 125,335
 Gide André II 594,596
 Giedroyc Jerzy I 5,6,8,9,10,11,12,13,14,15,
 16,17,18,19,23,24,27,28,29,30,31,32,33,35,
 36,37,38,83,91,101,136,227,243,277,281,
 297,308,321,325,329,347,351,367,377,385
 II 19,45,183,202,229,277,307,311,335,395,
 493,537,601,604,606
 Giedroyc Henryk I 18
 Giedymin, wielki książę litewski II 233
 Giercz Nikołaj II 596

Gierek Edward I 44,62,71,139,140,141,142,
 152,179,182,185,191,193,196,202,203,204,205,
 212,251,259,353,381,383,389,409,411,412,435,
 443,444,451,469
 Giertych Jędrzej I 169
 Gil Mieczysław I 97
 Ginczanka Zuzanna II 405,406
 Ginzburg Aleksander II 238
 Gippius Zinaida II 582,583,585
 Glemp Józef I 10,238,239,249,263,274,277,
 278,286,317,323,324,326,327,334,339,348,
 403 II 429,448
 Gluza Zbigniew II 335
 Głódź Sławoj Leszek I 99
 Goebbels Joseph II 178
 Goethe Johann Wolfgang von II 469
 Gogol Mikołaj II 552,594
 Goldman Nahum II 349
 Gołębiowski Stefan II 401
 Gołwin II 320
 Gombrowicz Witold I 11,13,19,23,29,136,
 433,434 II 224,243,245,280,497,531,534,
 536,538,539,544,547,551,606
 Gomolicki Leon II 581
 Gömöri George II 25,601
 Gomułka Stanisław II 108
 Gomułka Władysław I 71,184,197,201,202,
 203,205,251,327,383,389,431,443,444,462,
 467,469,470 II 20,90,91,354,356,357,360,
 363,364
 Goncourt Edmond i Jules II 498
 Gorbaczow Michail I 43,44,50,57,105,373,
 386 II 68,69,95,96,97,98,99,100,103,104,
 105,106,107,108,109,110,111,112,113,114,
 115,116,117,118,119,120,121,122,123,124,
 125,126,127,129,132,133,134,137,138,139,
 141,142,143,144,145,151,315,594
 Gorbaczow Raissa I 57
 Gorbaniowska Natalia I 18 II 202,411
 Gorczyńska Renata I 20
 Gorer Geoffrey II 592
 Gorki Maksym I 439 II 45,225
 Gorresio Vittorio II 9
 Gowin Jarosław II 335
 Górecki Jan I 479
 Górnicki Wiesław I 253

Górny Andrzej I 373
 Górski Marian II 597
 Grabski Tadeusz I 498
 Grabski Władysław I 57 II 116,207
 Gramsci Antonio II 9
 Greene Graham I 29
 Gribow Anatolij I 487,488
 Griszyn Wiktor I 69 II 119,123
 Gromyko Andriej I 173 II 69
 Gross Jan Tomasz I 15
 Gross Natan II 405
 Grossman Leonid II 495
 Grot-Rowecki Stefan II 385
 Grudzień Zdzisław I 204
 Grupański Rafał I 10 II 541,602
 Grydzewski Mieczysław I 432
 Grynberg Henryk II 407
 Grzegorz XIII, papież II 593
 Grześczak Marian II 335
 Grześkowiak Alicja I 99
 Guetta Bernard I 270
 Gulbinowicz Henryk II 449
 Gut Andrzej, przeor II 334
 Gwiazda Andrzej I 62
 Gwiżdż Jerzy II 335

Habielski Rafał I 20
 Habsburgowie, dynastia II 522,593
 Hahn Hans Henning II 322
 Halévy Daniel II 557
 Halicz Emanuel II 321
 Haller Józef I 150 II 214
 Handelsman Marcelli II 322
 Hanuszkiewicz Adam II 335
 Harten Jürgen II 483
 Hassner Pierre II 46
 Haupt Zygmunt I 13
 Havel Václav II 83
 Havemann Robert II 10,13
 Hayenes John E. II 55
 Heaney Seamus II 286
 Hegedus András II 10
 Hegel Georg Wilhelm II 220,510,564,575
 Heidegger Martin II 478,479,482,483,575
 Heine Heinrich II 364
 Heinz Mack II 483

Heller Michał ps. Adam Kruczek I 31,197
 II 67,141,147,602,603
 Heller Stone R. II 392
 Hemar Marian II 403
 Heng Samrin II 32
 Hennelowa Józefa II 335
 Heraklit II 144
 Herberstein Siegmund von II 593
 Herbert Zbigniew I 29 II 489,490,491,
 501,538,543,544,545
 Herbst Lothar II 335
 Herc II 316
 Hercen Aleksander II 320
 Herder Johann Gottfried von II 287,288
 Hering Ludwik II 581,582
 Herling-Grudziński Gustaw I 8,10,12,13,
 16,18,19,28,29,267,291,308,431 II 7,181,
 202,493,534,536,538,594,602
 Herodot II 298,301
 Hertz Aleksander I 31
 Hertz Paweł II 558,598
 Hertz Zofia I 18,19,23,24 II 536
 Hertz Zygmunt I 20,23,24 II 536,554
 Herwegh Georg II 482
 Hess Rudolf II 22,23
 Higgins George II 397
 Himmler Heinrich II 389,390,457
 Hipokrates II 191
 Hitler Adolf I 180,213,214,215 II 23,32,
 41,42,46,88,97,124,139,157,159,170,178,180,
 181,211,232,340,375,389,390,393,479,480,
 488,587
 Hlebowicz Adam II 335
 Hlond August, prymas I 179
 Hofmannsthal Hugo von II 552,557
 Hölderlin Friedrich II 479,482
 Holoubek Gustaw II 335
 Holzer Jerzy I 31 II 544
 Hołowko Tadeusz II 212
 Homer II 298
 Honecker Erich I 373 II 123
 Horodyński Dominik I 178,230
 Horthy Miklós II 29
 Hoser Henryk I 18,37 II 602
 Hostowiec Paweł zob. Jerzy Stempowski
 Hourani Albert II 195

- Hrabowski Pawło II 334
 Hrabyk Klaudiusz II 354
 Hryhorenko Piotr II 331
 Hryhorowycz-Barśkyj Dmytro II 304,305
 Hübner Heinz Werner II 339,342,344
 Hue Robert II 177,178
 Hugo Wiktor II 578
 Hume David II 533
 Hupałowski Tadeusz I 472,475,476,494
 Husakowski Stanisław II 335
 Huxley Thomas Henry II 516
- Illyés Gyula II 28,29
 Imiolczyk Barbara II 335
 Ingielewicz Józef II 273
 Iwan Groźny, car I 213,216 II 593
 Iwaszkiewicz Jarosław I 431,432,433,434,435,436,437 II 488
 Iwaszkiewiczowa Anna I 431,436
 Iziasław, książę kijowski II 299
- Jackowski Aleksander II 335
 Jackson Henry („Scoop”) II 131
 Jadwiga Andegaweńska, królowa II 185,213
 Jagielski Mieczysław I 472
 Jagła Ryszard zob. Andrzej Micewski
 Jakowlew Aleksander II 143
 Jakubowski Iwan I 464,465,466,491,492
 Jan Chrzyciel II 190
 Jan III Sobieski, król Polski II 564,567
 Jan Kazimierz, król Polski II 206
 Jan Paweł I, papież II 426
 Jan Paweł II, papież I 80,178,181,182,183,184,185,186,187,188,189,192,219,220,260,264,268,274,281,294,317,326,329,330,335,403 II 264,373,411,421,441,442,443,444,447,448,449,450,544,604
 Jan XXIII, papież II 373
 Janas Zbigniew I 117 II 335
 Jankowski Henryk I 15 II 335
 Janowski Andrzej II 335
 Janowski Gabriel I 114
 Janowski Jan II 335
 Januszecki Benedykt I 479
 Jarnot Tomasz II 335
 Jaropek, książę kijowski II 299
- Jarosław Mądry, książę kijowski II 314
 Jaroszewicz Piotr I 179,409,412
 Jarra Eugeniusz II 228
 Jaruzelski Wojciech I 5,8,9,16,44,45,46,48,52,65,66,67,70,71,85,109,112,113,116,120,238,239,243,249,251,252,253,254,255,256,257,258,259,268,270,271,275,285,287,292,301,308,316,321,323,325,326,327,333,334,335,338,339,340,344,345,347,348,351,352,353,367,368,371,373,374,375,381,382,383,386,387,389,392,397,398,403,404,439,444,445,460,462,464,467,468,469,470,471,472,475,476,477,478,481,482,483,484,485,487,488,490,492,493,494,495,496,497,498,499,500,502,505,506 II 90,91,106,109,112,114,116
 Jasienica Paweł I 291 II 309
 Jasiński Antoni I 472,480,494
 Jasiński Mirosław II 335
 Jaspers Karl II 455
 Jastrun Mieczysław II 405,406,582
 Jastrun Tomasz ps. Witold Charłamp, Smecz I 10,73 II 301,545,601,602,605
 Jawliński Grigorij II 141,142
 Jaworski Iwo II 228
 Jedlicki Jerzy I 132
 Jedynak Bonifacy I 363,479
 Jedynak Tadeusz I 373
 Jefferson Tomasz II 136
 Jelcyn Borys II 119,141,142,145,146,148,149,150,151,152,156,159,177,314,315
 Jeleńska Rena I 432
 Jeleńska Teresa II 504
 Jeleński Konstanty A. I 19,27,29,431 II 497,501,531,532,533,534,535,536,537,538,539,556,602
 Jerzy św. II 523
 Jesienin Siergiej II 149
 Jestal Jerzy II 325
 Jeszenszky Geza II 313
 Jewfimij II 302
 Jędrzychowski Stefan II 227,239
 Jodogajlis Józef II 256
 Johnson Lyndon II 54,55,57,60,131
 Joselewicz Berek II 385
 Jospin Lionel II 178
 Joyce James II 286,485,552

- Józewski Henryk II 214,215
 Jucewicz Ludwik Adam II 287,288
 Juchnowski Ihor II 314,315,316
 Juda Machabeusz II 430
 Judt Tony II 573,574,575,576,577,578,579
 Jundziłł Stanisław II 287
 Jurandot Jerzy II 403
 Jurczyk Marian I 117
 Jurek Marek I 47
 Jurij z Drohobycza II 301
 Juryś Julia II 433
 Juzwenko Adolf II 336
- Kaczmarek Czesław I 338
 Kaczmarek Lech I 194
 Kaczmarek Robert I 10,53 II 602
 Kaczorowski Ryszard I 65,66
 Kaczyński Jarosław I 96
 Kadafi Muamar II 40
 Kádár János II 25,26,27,28,109
 Kafka Franz II 524
 Kalinka Walerian II 319
 Kalwin Jan II 566
 Kałużny Jerzy I 128
 Kałużyński Zygmunt I 316
 Kamińska Zofia II 407
 Kamińska Małgorzata II 336
 Kamiński Wiesław II 336
 Kamiński Zdzisław II 336
 Kania Stanisław I 44,196,231,251,462,470,471,474,475,477,486,487,488,492,493,494,496,497,506
 Kaniowski Michał II 45
 Kant Immanuel II 457,482,507
 Kaplan Chaim II 403
 Kapuściński Ryszard II 198,594
 Karadzić Radovan II 154
 Karamzin Nikołaj II 465
 Karlmann Rita II 344
 Karmal Babrak II 79,81
 Karmel Henka II 405
 Karmel Ilona II 405
 Karol Wielki, król Franków II 298
 Karol XII, król Szwecji II 206
 Karpiński Jakub ps. Marek Tarniewski I 139,140,143,355 II 109,112,546,602,605
- Karpiński Wojciech I 20 II 532,544,547,551,602
 Karsawin Lew II 235
 Karski Jan, właśc. Jan Koziński II 380,397,602
 Katarzyna II I 213 II 318,319,593
 Kauffer Rémi II 169
 Kauffman Michael I 368
 Kawalerowicz Jerzy I 437
 Kazimierz Jagiellończyk, król Polski II 213
 Kazimierz Wielki, król Polski II 213
 Kazlauskas Jonas II 240
 Kedryn Iwan właśc. Rudnyckij Iwan II 203,204,205,206,207,209,211,212,213,215,216,217,305
 Kelus Jan Krzysztof I 121,288
 Kennedy John F. II 55,57,60,64,136
 Kerski Basil I 5 II 606
 Kęcik Wiesław I 295
 Kędzia Mieczysław I 481
 Kiefer Anselm II 476,477,478,479,480,481,482,483
 Kielanowski Jan I 294
 Kieniewicz Stefan II 320
 Kierenski Aleksander F. II 587
 Kierkegaard Søren II 514
 Kipling Rudyard II 150
 Király Károly II 27
 Kirilenko Andriej II 68
 Kiriłłowna Nadieżda II 598
 Kis János II 29
 Kisielewski Stefan ps. Kisiel, Tomasz Staliński I 6,8,9,29,70,161,165,209,433 II 602
 Kissinger Henry II 14,43,121,347
 Kiszczak Czesław I 343,344,345,347,364,368,374,387,391,392,397,398,403,404,459,462,463,494
 Kiš Danił II 521
 Klaus Vaclav II 313
 Kleist Heinrich von II 479,482
 Klempski Tymoteusz zob. Tadeusz Chrzanowski
 Klich Bogdan II 336
 Kliszko Zenon II 91
 Kluczewskij Wasilij II 589,590,594

- Kluz Kazimierz, biskup I 194
 Kłoczowski Jerzy II 336
 Kłoczowski Piotr II 533
 Kłoskowska Antonina II 336
 Koch Edward II 49
 Kochanowski Jan II 401
 Kociolek Stanisław I 498 II 116
 Kociubynskij Mychajło II 334
 Koenen Gerd II 544
 Koenig Franz II 444
 Koestler Arthur I 29 II 10, 180
 Kohl Helmut I 56, 444 II 126
 Koj Aleksander II 336
 Kojève (Kozewnikow) Alexandre II 468, 575
 Koko Eugeniusz II 336
 Kolbe Maksymilian, św. I 263
 Kolczyński Jerzy II 336
 Kołakowski Leszek I 31, 135, 136, 272, 291, 439, 450 II 7, 8, 9, 45, 46, 112, 360, 365, 413, 524, 543, 602
 Kołatkowski Leon I 480
 Kołłataj Hugo II 321
 Kołodziej Andrzej I 387
 Komarkova Bożena II 85
 Komeński (Comenius) Jan Amos II 527
 Konarski Szymon II 319
 Koniew Iwan I 469
 Konopczyński Władysław II 317
 Konopnicka Maria II 378, 561
 Konowalec Jewhen II 212
 Konrád György II 29, 521
 Kontrym Bolesław II 220, 240
 Konwicky Tadeusz I 120, 121 II 544
 Kopaczi Sandor II 70, 71
 Kopczyński Krzysztof I 20
 Kopernik Mikołaj II 516
 Kopydłowski Mirosław II 336
 Koraszewski Andrzej II 349, 369
 Korczak Janusz II 455, 581
 Korek Janusz I 20
 Korotycz Witalij II 332
 Kosacz Jurij II 214
 Kosiński Jerzy I 74
 Kostecki Jan I 340
 Kostrzewa Robert II 131, 602
 Koszeliwec Iwan I 29
 Kościelniak Zdzisław I 475
 Kowal Jan, pseud. I 162, 163
 Kowalczyk Andrzej Stanisław I 5, 20, 59 II 606
 Kowalczykowie Jerzy i Ryszard, bracia I 320
 Kozaczynskij Mychajło II 304
 Kozanecki Tadeusz II 323
 Kozyriew Andriej II 155, 314
 Koźniewski Kazimierz I 273, 308, 316
 Kraśniewska Wiktoria zob. Barbara Skarga
 Kracik Stanisław II 336
 Krasicki Ignacy II 222
 Krasieński Zygmunt II 279
 Kraszewski Józef Ignacy II 287, 288, 378
 Krawczenko Wiktor II 180, 576
 Krawczuk Leonid II 148, 312, 316
 Krawczyk Jacek I 18, 19
 Kreis Wilhelm II 480
 Krępski Tadeusz I 498
 Kridl Manfred II 584
 Kriegel Annie II 10, 172
 Kriegseisen Wojciech II 318
 Kriuczuk Władimir II 145
 Kriwajtis Cz. II 261
 Kropiwnicki Jerzy I 96
 Król Jan II 336
 Król Krzysztof II 336
 Król Marcin I 230
 Kruczek Adam zob. Michał Heller
 Krupp II 482
 Krynicki Ryszard II 490
 Kryżaniwskij Andrij II 211
 Krzemiński Adam II 183
 Krzyżanowski Julian II 584
 Křižkova Maria Rut II 85
 Kuberczyk Tomasz I 124
 Kubiak Hieronim I 257
 Kuczma Leonid II 315, 316, 331
 Kuczyński Waldemar I 451 II 336, 543
 Kudelski Zdzisław I 20
 Kudirko Vincas II 288
 Kukliński Ryszard J. I 10, 12, 364, 367, 368, 369, 459, 472, 480, 496 II 116, 124, 603
 Kukliński Włodzimierz I 367

- Kulerski Wiktor I 363 II 545
 Kulik Adam W. II 307, 603
 Kulik Ewa I 363
 Kulikow Wiktor I 231, 367, 464, 475, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 498
 Kulisz Pantelejmon II 297, 301
 Kundera Milan II 528
 Kuratowska Zofia II 336
 Kurczewska Joanna II 336
 Kurczewski Jacek II 336
 Kuroniowie, rodzina I 146
 Kuroń Grażyna I 116, 119
 Kuroń Jacek I 6, 60, 61, 62, 73, 111, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 139, 141, 142, 143, 145, 152, 158, 159, 160, 209, 284, 285, 292, 293, 296 II 336
 Kurowski Stefan I 114
 Kurzyniec Marek II 336
 Kuśmierek Józef I 197
 Kwaśniewski Aleksander I 16, 17
 Kwiatkowska Jadwiga zob. Aleksander Wirp-sza
 Kwiatkowski Tadeusz I 479
 Kwilecki Andrzej II 265
 Kwitny Jonathan II 443
 Lacan Jacques II 579
 Lagerlöf Selma II 238
 Lamartine Alphonse de II 432
 Landy Michał II 386
 Langda Marek II 336
 Lanzmann Claude II 397, 398, 399
 Lawrence David Herbert II 463
 Lazar György II 28
 Lazitch Branko II 181
 Le Pen Jean-Marie II 181
 Lebedys Jurgis II 240
 Lebenstein Jan II 497, 501, 502, 503, 504, 505, 538, 539
 Lec Stanisław Jerzy II 405
 Lechoń Jan II 556
 Lederer Jiří II 83, 84, 86, 603
 Lednicki Wacław II 583, 584
 Le Duc Tho II 43
 Lehmann Paul II 560, 561
 Lehrer II 37
 Lejkin Nikołaj I 214
 Lelewel Joachim II 319
 Lem Stanisław ps. P. Zławca I 10 II 95, 603, 606
 Lenin Włodzimierz Iljicz I 48, 50, 213, 235, 357, 439, 440, 446 II 67, 68, 69, 70, 74, 98, 142, 170, 177, 178, 180, 233, 293, 414, 426
 Leon XIII, papież II 426
 Leopolda zob. Roman Zimand
 Lepri Stanisław I 436
 Lermontow Michaił II 582
 Lerski Jerzy II 380
 Leszczyński Stanisław zob. Stanisław Leszczyński, król Polski
 Leśmian Bolesław II 392, 395, 485, 486
 Levi Arrigo II 11
 Lévi-Strauss Claude II 578
 Lewada Jurij II 146
 Lewicki Borys I 29
 Lewis Bernard II 189, 191
 Lichaczow Dymitr II 147
 Lichten Józef II 377, 380, 603
 Lichtenberg Georg Christoph II 533
 Lida P[awel] zob. Roman Dzwonkowski
 Ligaczow Jegor II 119
 Linde Samuel Bogumił II 595
 Lindsay John II 60
 Lipowicz Irena II 336
 Lipski Jan Józef I 291 II 383, 384, 386, 603
 Lipski Leo I 13
 Lis Bogdan I 340
 Lityński Jan I 139, 140, 144, 292 II 336
 Liwyčka-Cholodna Natalia II 211
 Lizna František II 85
 Lloyd George II 208
 Lohvyn Hryhorij N. II 297
 London Artur II 172
 Lubecki zob. Drucki-Lubecki Franciszek
 Ksawery
 Lucbert Manuel II 411
 Ludwik XV, król Francji I 213
 Ludwik XVI, król Francji II 466, 472
 Lukács György II 29
 Lukauskaitė Ona II 237, 239
 Luks Krzysztof II 336
 Lustiger Jean-Marie, kardynał I 219
 Luter Marcin II 177, 457, 479

- Łabęcki Ksawery ps. Jean Polonius II 596
 Łabentowicz Mariusz I 485
 Łandyk Walentyn II 316
 Ławrynienko Jurij I 29
 Łazowertówna Henryka II 404
 Łączkowski Paweł I 96
 Łętowska Ewa I 91
 Łoś Andrzej II 336
 Łobodowski Józef I 29 II 202, 203, 247, 603
 Łomonosow Michaił II 304
 Łopuszański Jerzy I 46, 47
 Łotocki Ołeksandr II 211
 Łubieński Tomasz II 532
 Łučkyj George II 305
 Łukasiewicz Maciej I 13
 Łukaszewicz Jerzy I 204, 206
 Łunaczarski Anatolij II 467
 Łysenko Trofim II 97
- MacGraw Ali II 389
 Macharski Franciszek, kardynał I 339
 Machcewicz Paweł I 20
 Machiavelli Niccolo I 318 II 431
 Machowski Andrzej II 336
 Maciejewski Janusz II 336
 Macierewicz Antoni I 96, 98
 Mackiewicz Józef I 29, 165 II 164
 Mackiewicz Stanisław ps. Cat I 226
 Macko Jan J. II 254
 Maczek Stanisław II 602
 Madajczyk Piotr II 336
 Madžruh Sayed Bahauddin II 78
 Magdziak-Miszewska Agnieszka II 336
 Magri Ugo Enzo II 13
 Mahomet II 189, 541
 Maistre Joseph de II 593, 596, 597
 Maj Tadeusz II 336
 Majewski Henryk I 98
 Makarewicz Zbigniew II 336
 Maksimow Władimir II 202, 411
 Malczewski Jacek II 529
 Malicki Tadeusz I 480
 Malina Zdzisław I 481
 Malý Václav II 85
 Małachowski Aleksander II 336
 Małaniuk Jewhen II 211
- Mandelsztam Nadieżda II 241, 495
 Mandelsztam Osip II 485
 Mann Tomasz I 50, 433, 437 II 232, 485, 544, 574
 Mannerheim Carl Gustaf II 287
 Mao Tse-tung II 41, 96
 Marchais Georges II 10, 12, 13, 16
 Marciniak Piotr II 336
 Marciniak Stefan I 472, 480
 Marcuse Herbert II 471
 Marczenko Georgij II 110
 Margeret Jacques II 593
 Margolin Jean-Louis II 171, 175, 169
 Margolina Sonia II 590
 Markiewicz Henryk II 336
 Markowski Leon I 409 II 603
 Marks Karol I 237, 238, 240 II 90, 102, 241, 364, 510, 525
 Marshall George Catlett I 212 II 143
 Martyniuk Jan, arcybiskup II 327
 Martynow W. W. II 270
 Mathias, król Węgier II 165
 Mauriac François II 574
 Maurizi Elveiro II 503
 Maurras Charles II 573
 Mazepa Iwan II 206
 Mazewski Alojzy Antoni I 369
 Maziarski Wojciech I 51
 Mazowiecki Tadeusz I 15, 16, 44, 51, 55, 56, 62, 63, 65, 66, 67, 68, 70, 73, 74, 75, 77, 78, 79, 109, 295, 353, 387 II 159, 336, 543
 Märthesheimer Peret II 339, 342
 Mączka Zbigniew II 336
 McCarthy Mary II 502, 503
 Mencwel Andrzej I 20 II 603
 Meray Tibor II 202
 Mereżkowscy Zinaida (Gippius) i Dymitr II 585
 Mereżkowski Dymitr II 582, 583, 585
 Merleau-Ponty Maurice II 574, 576
 Merton Thomas II 592
 Messner Zbigniew I 398
 Meysztowicz Jerzy II 336
 Miastowski Sławomir I 67, 308
 Micewski Andrzej ps. Ryszard Jagła I 10, 173, 210, 278, 400, 434 II 336, 602, 603

- Michajlin I 488
 Michelet Jules II 180
 Michnik Adam I 16, 43, 44, 52, 55, 56, 63, 66, 68, 71, 116, 119, 139, 140, 142, 143, 144, 146, 152, 292, 293, 340 II 8, 29, 125, 229, 336, 538, 543, 544, 545, 547
 Miciński Bolesław II 546, 606
 Mickiewicz Adam II 89, 104, 220, 222, 223, 227, 235, 239, 244, 245, 279, 287, 288, 319, 355, 378, 402, 487
 Miechowita, właśc. Maciej Karpiga z Miechowa II 593
 Miedwiediew Roj A. II 13
 Mieroszewski Juliusz I 5, 6, 11, 20, 28, 31, 32, 33, 125, 126, 136, 170, 303 II 311, 536, 537
 Mietkowski Andrzej II 582
 Międzyrzecki Artur II 224
 Migala Bonawentura I 11
 Mikojan Anastas I 469
 Mikołaj I, car I 213 II 322, 464, 495, 597
 Mikołajska Halina I 294
 Milch Baruch II 46
 Milczina Wiera II 596
 Milewski Mirosław I 472, 473, 479, 480, 485 II 116
 Milewski Zdobysław II 336
 Mill John Stuart I 129
 Miloszević Slobodan II 155, 158
 Miłosz Czesław I 11, 12, 18, 20, 23, 29, 136, 297, 432, 433 II 10, 229, 245, 253, 280, 285, 336, 406, 407, 422, 463, 464, 466, 468, 470, 472, 474, 497, 504, 505, 521, 534, 535, 536, 538, 539, 543, 544, 553, 573, 577, 592, 603
 Miłosz Oskar II 224, 225, 245
 Miodowicz Konstanty I 404
 Mitterrand François I 262, 351, 352, 353, 444
 Mitzner Piotr II 336
 Mlynář Zdeněk II 10, 13
 Mochnacki Maurycy I 131 II 322, 323, 543
 Moczar Mieczysław I 196 II 118, 354, 355, 356, 364
 Moczulski Leszek I 78, 79, 97, 158, 159, 160, 305, 340 II 336
 Modzelewski Karol I 103, 139, 141, 142, 152
 Mohammed Ibn Abd al-Wahhab II 189
- Mohammed Reza Pahlawi, szach II 195
 Mohyla Piotr II 304
 Mokin Borys II 315
 Molczyk Eugeniusz I 460, 477, 485, 498 II 116
 Molotow Wiaczesław I 30, 31, 469 II 114, 285, 522, 575
 Mondrian Piet, właśc. Pieter Cornelius Mondriaan II 480
 Montand Yves II 172
 Morawiecki Kornel I 387, 388 II 336
 Morawski Dominik II 202, 435, 447, 603
 Morawski Zygmunt I 374
 Mościcki Ignacy I 84 II 209
 Mounier Emmanuel II 574, 576, 577
 Mörike Eduard II 479, 482
 Mucharski Piotr II 336
 Mugabe Robert II 31
 Murawchik Joshua II 55
 Murry Middleton II 463
 Mussolini Benito II 486
 Muszyński Marek I 373
 Mycielski Zygmunt I 29, 211 II 604
 Mysyrowicz Witold I 308
- Nabokov Nikołaj II 552
 Nabokov Siergiej II 552
 Nabokov Vladimir II 498, 499, 552
 Nagy Imre I 194
 Najder Zdzisław ps. Socjusz I 6, 8, 65, 66, 96, 255, 308 II 336, 604, 605
 Nałkowska Zofia II 407
 Namiotkiewicz Walery I 480, 481
 Napoleon Bonaparte I 316 II 135, 136, 321, 593
 Narbutt Teodor II 287
 Narożniak Jacek I 288
 Narożniak Jan I 475
 Nasreen Taslima II 198
 Nasser Gamal Abdel Naser, znany jako Gamal Abdel lub Dżamal Abdel II 195
 Nelken Halina II 405
 Neron II 429
 Ney Stefania II 404
 Niebożenko Walentyn Wiktorowicz II 598, 599, 600
 Nieczajew Siergiej II 468, 471

- Niedziałkowski Mieczysław I 275
 Niezwiastny Ernest II 411
 Niekrasow Wiktor II 202, 411
 Niemojowska Tuta I 431
 Niesiołowski Stefan I 99, 103, 140
 Niespodzińska Małgorzata II 336
 Nietzsche Fryderyk II 463, 465, 470, 479, 526, 552, 556
 Niezabitowska Małgorzata I 81
 Nikon, patriarcha II 302
 Nixon Richard I 52, 173
 Nkomo Joshua II 31
 Nora Pierre II 536
 Norwid Cyprian Kamil II 89, 495
 Nosowski Zbigniew II 336
 Nowak Andrzej II 317, 318, 319, 320, 604
 Nowak-Jeziorański Jan I 20, 369 II 114, 121, 380
 Nowakowska Maria II 336
 Nowakowski Jerzy Marek I 325, 420 II 336
 Nowina-Konopka Piotr II 336
 Nyczek Tadeusz II 543
 Nydahl Ole II 197
 Nyers Rezsó II 25
 Ochab Edward I 462, 469
 Odojewski Włodzimierz II 339 II 348, 349, 366, 367, 604
 Okoniewska Barbara II 336
 Okoński Jan II 336
 Okoński Michał II 336
 Okudźawa Bułat I 140
 Olechowski Andrzej I 96
 Oliva Achille Bonito II 503
 Olszewski Jan I 95, 96, 114, 278, 387 II 336
 Olszowski Stefan I 348, 412, 472, 498 II 116, 118
 Ommajadowie, dynastia II 190
 Onyszkiewicz Janusz I 56 II 336
 Opacki Zbigniew II 336
 Orlik Filip II 321
 Orlik Grzegorz II 321
 Orłow Jurij II 72
 Orski Mieczysław II 336
 Orszulik Alojzy I 77, 193, 194, 209, 210, 273, 274, 278, 294, 387
 Orwell George I 11, 421 II 31, 526, 527
 Orzeszkowa Eliza I 263 II 378
 Osadczuk Bohdan I 18, 35 II 291, 311, 604
 Osiecka Agnieszka I 18
 Osipowicz Wasilij II 590
 Ossietzky Karl von I 281 II 46
 Ostapow Aleksandr II 596
 Ostatek Albert, o. II 435, 437, 438, 604
 Otton I, cesarz II 299
 Owen David II 159
 Ozdowski Jerzy I 210
 Paczkowski Andrzej II 169
 Paderewski Ignacy I 226
 Pajestka Józef I 156
 Palach Jan II 351
 Panasiuk Piotr I 480
 Panić Milan II 155
 Pankanin Piotr II 336
 Pankiewicz Józef II 558
 Panné Jean-Louis II 169
 Panufnik Andrzej I 433
 Paramonow Borys II 596, 597
 Parylewiczowa I 84
 Parys Jan I 96, 98
 Pasqualini Jean II 181
 Passent Daniel I 316
 Pasternak Borys I 29 II 124, 125, 237, 241, 485, 495
 Pasternak Marian I 481
 Pasteur Ludwik I 157
 Paszkiewicz Mieczysław II 245
 Paszyński Aleksander I 56, 61 II 336
 Patočka Jan II 83, 84
 Paweł Apostoł II 189, 190, 416, 456
 Paweł Syryjczyk z Aleppo II 304
 Paweł VI, papież I 184 II 443, 447, 450
 Pawlak Antoni I 10
 Pawlakowie, rodzina I 97
 Pawlikowski Bronisław I 479, 497
 Pawlikowski Józef II 319, 320, 321
 Pawłowski Robert II 336
 Peciak Andrzej I 19
 Peres Szymon II 36
 Pétain Philippe I 210, 434 II 574
 Petkow Nikola II 576
 Petkus Viktoras II 237, 238
 Petlura Semen (Symon) II 205, 247, 248, 249, 250, 251, 312
 Pfaff William I 229
 Piasecki Bolesław I 210, 273, 291, 434 II 354
 Pidmohylny Walerian II 280
 Piesiewicz Krzysztof II 336
 Pietraszewski Ignacy II 473
 Pietrowna Lina II 599
 Pietruszak Wiesław II 336
 Pietrzak Henryk II 332
 Piłsudski Józef I 8, 9, 105, 226, 243, 271, 304, 319 II 208, 209, 212, 220, 226, 229, 244, 248, 270, 312, 318, 324, 329, 548, 585, 586
 Piłsudski Rowmund I 161
 Pimen, metropolita II 450
 Pinior Józef I 117, 308
 Pinkowski Józef I 472, 473, 475, 477
 Pinochet Augusto I 444
 Pintor Giovanni II 13
 Piotr Apostoł II 416
 Piotr I Wielki, car II 144, 206, 213, 214 II 465, 597
 Piotrowski Adrian II 234
 Piotrowski Grzegorz I 340
 Pisar Samuel II 347, 348
 Pius IX, papież II 416
 Pius XI, papież II 426, 443
 Pius XII, papież I 183, 184 II 426, 433
 Piwowar Lech II 494
 Platon II 191, 502, 514
 Platt Dobrosława I 20
 Plečkajtis II 225
 Pluszcz Leonid II 15, 316
 Poczobutt Marcin II 287
 Pol Pot, właśc. Saloth Sar II 32, 42
 Poleski Maciej zob. Czesław Bielecki
 Poliszczuk Wiktor II 331, 333
 Pollakówna Joanna II 497, 498
 Polmański Piotr II 336
 Pomian Grażyna I 6, 18, 20
 Pomian Krzysztof I 8, 14, 17, 18, 20, 27, 83, 128, 251, 379, 450 II 126, 127, 129, 475, 531, 604
 Pomianowski Jerzy I 11, 12, 16
 Pomorski Adam II 336
 Poniatowski Józef II 319

- Popiełuszko Jerzy, ks. I 10, 80, 85, 103, 333, 334, 335, 337, 340, 393
 Popper Karl II 576
 Pospieszalski Antoni II 437, 441, 604
 Pospieszalski Karol II 445
 Possevino Antonio II 593
 Paszkiewicz Dionizy (Poszka) II 240
 Potocki Jan II 533
 Pożarskas M. II 255
 Pressler Larry I 274
 Primakow Jewgienij II 144
 Pritsak Omeljan II 305
 Prochanow Aleksander II 150
 Prokop Jan I 45 II 604
 Proust Marcel II 219, 495, 498, 499
 Prus Bolesław właśc. Aleksander Głowacki II 378
 Pruszyński Ksawery II 329
 Prycak Omelan II 295
 Pryce-Jones David II 194, 195
 Przemysław Grzegorz I 9, 52, 85, 334
 Przystawa Jerzy II 336
 Puchała Franciszek I 472, 475, 476, 480, 496, 498
 Pupin P. II 266, 268, 272
 Puszkina Aleksander I 214 II 280, 304, 487, 552, 584, 594
 Putinas-Mykolaitis Vincas II 235, 240
 Putrament Jerzy II 13
 Puzyna Włodzimierz II 336
 Pużak Kazimierz I 158, 275
 Pynzenyk II 316
 Queneau Raymond II 170
 Rabińska Krystyna I 130
 Radaj Stanisław I 467
 Radhakrishnan Sarvepalli II 455
 Radice Lombardo II 13
 Radkiewicz Stanisław I 343, 364
 Radziwiłł Anna II 336
 Radziwiłł Janusz II 206, 242
 Radziwiłł Krzysztof II 336
 Rahman Shamsur II 198
 Rakowski Mieczysław F. I 9, 46, 107, 108, 109, 178, 257, 270, 308, 386, 387, 397, 398, 399, 400, 403, 404, 405 II 544

- Rakowski II 208
 Rapacki Adam II 134
 Rastrelli Warołomiej, właśc. Bartolomeo Francesco II 302
 Ratzinger Joseph, kardynał I 337
 Ravera Camilla I 275
 Reagan Ronald I 321, 337, 367, 368, 369, 375, 444, 492 II 49, 50, 51, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 61, 62, 64, 93, 119, 123, 125, 126, 131, 135, 137, 604
 Reale Eugenio I 31
 Redaktor zob. Jerzy Giedroyc
 Refren (Ref-Ren), właśc. Feliks Konarski II 403
 Reich-Ranicki Marcel II 343
 Reiff Ryszard I 239
 Rejchert Miloš II 85
 Rejtan Tadeusz II 317
 Renoir Auguste II 498
 Reperowicz Stanisław I 258
 Revel Jean-François II 181
 Ribbentrop Joachim von I 30 II 114, 285, 522, 575
 Rigoulot Pierre II 169
 Rilke Rainer Maria II 482
 Robespierre Maksymilian de II 578
 Rodziewiczówna Maria I 132
 Rojtszwańc Lejzorek I 381 II 99
 Rokita Jan Maria I 75 II 336
 Romanow Grigorij II 69, 123
 Romanowicz Kazimierz II 501
 Romanowski Andrzej II 336
 Romaszewski Zbigniew I 10 II 336, 545
 Roosevelt Franklin Delano II 41, 57, 131, 389, 400, 425
 Rossanda II 13
 Rossi Jacques de II 181, 597
 Rostow Eugene V. II 131, 604
 Rostron Magdalena II 189, 605
 Rościszewski Andrzej II 336
 Rousseau Jean-Jacques I 132 II 472, 498
 Rousset David II 181, 576
 Roy Claude II 13
 Rożek Michał I 226
 Różański Józef I 316
 Rubens Peter Paul II 301
 Rubin Władysław, kardynał II 448, 449, 450
 Ruckoj Aleksandr II 150
 Rudnicki Adolf II 227, 385, 407
 Rudnyčka Mylena II 210
 Rudnyčka Olga II 204
 Rudnyčkyj Iwan zob. Iwan Kedryn
 Rudyj Locha II 600
 Rudzka Marta właśc. Obertyńska Beata II 494
 Rulewski Jan I 485, 490 II 336
 Runeberg Johan Ludvig II 286
 Rurarz Zdzisław I 308, 368
 Rushdi Salman II 197, 198
 Ruskin James II 231
 Ruszar Józef Maria II 336
 Rybicki Józef I 79, 150
 Rylejew Kondratij I 214
 Ryżkow Mikołaj II 119, 142
 Saar Paweł II 336
 Sacharow Andriej I 51, 439 II 45, 46, 47, 72, 95, 100, 110, 122, 124, 125, 144, 235, 238
 Sacharow Władimir II 70
 Sachs Hans II 481
 Sadzik Józef II 504, 505, 531
 Sagan Carl II 516
 Said Edward II 193
 Saint-Exupéry Antoine de I 130
 Salazar António de Oliveira II 486
 Salvadori Massimo II 11, 13
 Samsonowicz Henryk II 336
 Sand George II 465
 Sandauer Artur I 316, 443
 Sanford Gifford II 544
 Santamaria Yves II 169
 Sapiełło Piotr I 475
 Sapielha Adam, kardynał I 323
 Sarbiewski Maciej II 287
 Sarewicz Zdzisław I 479
 Sartre Jean-Paul II 46, 463, 464, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 574, 575, 576, 577, 578
 Sasanidowie, dynastia II 191
 Sasi (Wettinowie), dynastia II 318
 Sasinowski Mikołaj, biskup II 254
 Saul z Tarsu II 190
 Sawczuk Włodzimierz I 498
 Sawicka Elżbieta I 13
 Sawinkow Borys II 583, 585, 586

- Sazonow Siergiej II 320
 Scharf Rafael F. II 369, 370, 372, 374, 376, 401
 Scharnhorst Gerhard von II 479
 Schedel Johann G. II 302
 Scheller Max I 60
 Schiller Leon II 605
 Schlageter Albert Leo II 482
 Schlegel Karl II 591
 Schlengel Władysław II 401
 Schlesinger James II 134
 Schlieffen Alfred von II 482
 Schlöndorff Volker II 478
 Schmidt Helmut I 244, 271
 Schoen Tomasz II 336
 Schweitzer Albert II 455
 Sekuła Ireneusz I 108
 Sellmer Izabela I 128
 Semprun Jorge II 13, 577
 Sereda Julia II 590
 Serge Regianni II 180
 Servet Michał II 566
 Seweryn-Blajfer Bogusława I 139, 143, 144
 Sezeman Wasilij II 240
 Shmeruk Chone I 124
 Sidor Jarosław II 330
 Siemionowna Głafira I 214
 Sienkiewicz Henryk I 132, 265 II 220, 225, 240, 289, 566, 567
 Sienkiewicz Krystyna II 336
 Sieradzki Jacek II 336
 Sikorski Radek I 449 II 605
 Sikorski Władysław I 84, 225, 226
 Silone Ignazio I 29, 432 II 10, 182
 Simis Konstanty II 74
 Simon Claude II 594
 Singer Bashewis I 124
 Siniawski Andriej I 29 II 72
 Siła-Nowicki Władysław I 115
 Siwak Albin I 368, 369
 Siwicki Florian I 464, 467, 472, 476, 481, 482, 484, 485, 486, 487, 490, 491, 494, 495, 496, 499, 500, 505
 Siwiński Włodzimierz II 336
 Skalmowski Wojciech, ps. Maciej Broński II 77, 389, 421, 601, 605
 Skalski Jerzy I 472, 494, 498, 499
 Skaradziński Bohdan II 336
 Skarga Barbara, ps. Wiktoria Kraśniewska I 31
 Skarga Piotr II 287
 Skirdo Mitrofan II 74
 Skiński Emil II 574
 Skubiszewski Krzysztof I 56 II 327
 Slanski Rudolf II 172, 576
 Slapszak Svetlana II 158
 Slipyj Josef, kardynał II 448, 450, 451
 Sławiniecki Epifaniusz II 302
 Sławoj-Składkowski Felicjan II 205, 206, 209
 Słomińska Krystyna II 336
 Słomiński Leszek II 336
 Słomiński Wiesław II 336
 Słonimski Antoni II 407
 Słowacki Juliusz II 89, 220, 279, 287, 401, 406
 Słowikowski Jan I 479
 Smal-Stocki Roman II 211
 Smech zob. Tomasz Jastrun
 Smetona Antanas II 234, 243
 Smirnow II 589
 Smolar Aleksander II 202
 Smolarowie, bracia I 13
 Smółko Artur II 336
 Smrkovsky Josef I 195 II 10
 Sobczak Anatolij II 150
 Socjusz zob. Zdzisław Najder
 Sodano Angelo, kardynał II 442
 Sofokles II 507
 Sokolnicki Michał II 321, 322
 Sokołow Jordan II 119
 Solżenicyn Aleksander I 11, 29, 201, 212, 271, 274, 439 II 72, 87, 100, 181, 236, 427, 495, 592
 Southern Thomas II 589, 593
 Södergan Edith II 286
 Spark John II 589, 593
 Spasowski Romuald I 308, 368
 Speer Albert II 480
 Spektator zob. Wirpsza Aleksander
 Spinelli Barbara I 67 II 605
 Spinoza Baruch II 364, 456
 Spychalski Marian II 91
 Srebrny Stefan II 228
 Sruoga Balys II 235
 Stachura Bogusław I 479, 494

- Staden Heinrich II 593
 Staël Anne Louise Germaine de II 593
 Stalin Józef Wissarionowicz I 85, 175, 200, 201, 212, 213, 214, 216, 444, 446, 450, 470 II 42, 64, 67, 68, 69, 70, 75, 88, 91, 97, 99, 100, 116, 134, 137, 142, 145, 159, 170, 172, 176, 177, 178, 180, 181, 202, 228, 233, 236, 237, 238, 239, 283, 309, 313, 359, 375, 378, 488, 509, 576, 577, 594
 Staliński Tomasz zob. Stefan Kisielewski
 Stanisław August Poniatowski, król Polski I 213, 215, 226 II 318, 593
 Stanisław ze Szczepanowa, św. I 181, 182, 219 II 566
 Stanisław Leszczyński, król Polski II 206
 Stanković Slobodan II 118
 Starczewski Stefan II 336
 Starega-Piasek Joanna II 336
 Staszic Stanisław II 321
 Statkiewicz II 257
 Stauffenberg Claus Schenk Graf von II 479
 Stefan, św. II 26
 Stefan Batory, król Polski I 216
 Stegner Tadeusz II 336
 Stein Edyta II 479
 Steinborn Bożena II 336
 Stelmachowski Andrzej I 96, 387
 Stempowski Jerzy, ps. Paweł Hostowiec I 13, 19, 24, 29 II 537, 557, 583, 584, 586, 587, 588, 605, 606
 Stempowski Stanisław II 581, 583, 587
 Stępień Stanisław II 336
 Stieber Zdzisław II 278
 Stochaj Stefan I 481
 Stroessel Walter I 368
 Stolzman Maria II 336
 Stomma Stanisław I 230
 Stone Shepard II 395
 Straszewicz Czesław I 29
 Straszewski Konrad I 479
 Strielanyj Anatol II 149
 Strindberg August II 504
 Strońska Anna II 325, 605
 Strug Andrzej II 378
 Strumiński Bohdan II 277, 284, 305, 605
 Stryga Michał I 489
 Strykowski Julian II 288
 Strzelecki Jan I 135, 136, 159
 Strzembosz Adam I 96
 Strzembosz Tomasz II 336
 Studemann Dietrich II 590
 Stuoki-Gucewicz Wawrzyniec II 233
 Stus Vasył II 305
 Subtelny Orest II 321
 Suchocka Hanna II 336
 Sukiennicki Wiktor II 228
 Sulik Bolesław II 336, 605
 Sulima Roch I 129
 Supruniuk Mirosław Adam I 10
 Surdykowski Jerzy II 548
 Surmacz Ryszard II 309
 Susłow Michaił I 231, 275 II 75
 Sutton Francis II 538
 Suwarin Borys właśc. Boris Souvarine II 180
 Swianiewicz Stanisław I 31 II 220, 226
 Symeon Połocki II 304
 Syrokomla Władysław II 245
 Syryjczyk Tadeusz I 59, 60, 61 II 336
 Sysyn Frank II 291
 Szaciło Tadeusz I 480, 490
 Szacki Jerzy I 129 II 166
 Szadkowski Zygmunt I 65
 Szaruga Leszek zob. Aleksander Wirpsza
 Szalamow Warłam II 181
 Szatalin Stanisław II 142
 Szczarański Anatolij II 238
 Szczegłow Afanasij I 475, 484
 Szczepański Jan Józef I 293, 294, 316
 Szczepański Maciej I 196, 204, 205
 Szczerbicki (Szczerbyćkyj) Władimir II 69, 119, 292
 Szczypiorski Andrzej II 349, 369, 370, 371, 374, 376, 543
 Szekspir William I 318
 Szemielow Mikołaj II 119
 Szeptycki Andrzej, metropolita II 205, 209
 Szeremietiew Romuald I 98
 Szewardnadze Edward II 71
 Szewczenko Ihor II 295, 297, 605
 Szewczenko Taras II 279, 280, 334
 Szewelow Jurij (Szevelov George) II 277, 295, 305
 Szklarski Wacław I 472, 499

- Szklowski Josif II 516
 Szlengiel Władysław II 403, 404
 Szokoly Eleka II 167
 Szostakowski Jarosław II 336
 Szostkiewicz Adam II 336, 445
 Szpakowska Małgorzata I 128
 Szpotański Janusz I 140, 144, 145
 Sztajnsberg Marian II 211
 Szwarchart Szalom II 247, 248, 249, 251
 Szweda Bernard II 336
 Szyborska Wisława II 407
 Śledzińska-Katarasińska Iwona II 336
 Śliwiński Jan I 353
 Śmigły-Rydz Edward I 84
 Śniadecki Jan II 287
 Śniadecki Jędrzej II 287
 Światło Józef I 368
 Święcicki Henryk I 481
 Świtalski Kazimierz I 84
 Škvorecki Jozef II 521
 Takács Lajos II 27
 Taraki Nur Mohammad II 79
 Tarnawskij George II 305
 Tarniewski Marek zob. Jakub Karpiński
 Tarnowski Stanisław I 215
 Tatarowski Konrad W. II 153, 605
 Tavernier René II 538
 Taylor Jacek II 336
 Tekla, św. II 190
 Tepes Vlad II 29
 Terlecki Tymon II 584, 605
 Terracini Umberto I 275
 Thatcher Margaret I 382, 444
 Thibaud Paul I 267
 Thierry Michel I 158, 160
 Tichonow Nikołaj I 482 II 69
 Tigrid Pavel II 202
 Timoszewicz Jerzy II 581, 605
 Tischner Józef I 69, 267 II 544
 Tito, właśc. Josip Broz I 195 II 12
 Tiutczew Fiodor II 596
 Tobin James II 64
 Toeplitz Krzysztof Teodor I 316
 Togliatti Palmiro II 10
 Tokarczuk Ignacy, biskup I 411
 Tołstoj Aleksy I 433
 Tołstoj Jakow II 596
 Tołstoj Lew I 212 II 148, 280, 425, 495, 552
 Tomasz, św. II 425
 Tomyris, Scytyjka, królowa Massagetów II 301
 Torańska Teresa I 105 II 605
 Torke Hans II 291, 296
 Torquemada Tomas de I 47
 Toruńczyk Barbara I 139, 140
 Trembecki Stanisław II 222
 Trentin Bruno II 15
 Tresalti Emilio I 219
 Trocki Lew I 306, 444 II 364
 Trojan Jakub II 85
 Trubiecki Grzegorz II 278
 Truman Harry S. II 131, 139
 Trzeciakowski Witold I 56
 Tuczapski Tadeusz I 481, 482, 496
 Tuhaj-bej II 206
 Turati Filippo I 275
 Turbacz Marek I 163
 Turgieniew Iwan I 437
 Turko Ludwik II 336
 Turowicz Jerzy I 46, 49, 63, 75 II 278, 336
 Tuwim Julian II 403, 407, 535, 582, 586
 Twardzik Wojciech II 334
 Tyczyna Pawło II 334
 Tykociński Władysław I 368
 Tymiański Stanisław I 67, 68, 69, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80 II 151
 Tyrmand Leopold I 307 II 55, 501
 Ujazdowska Tessa II 401
 Unger Leopold, ps. Brukselczyk I 12, 31 II 121, 127, 169, 173, 366, 605
 Urban Jerzy I 46, 98, 253, 308, 316, 333, 335, 340, 367, 374, 459 II 435, 437, 438
 Urbanik Andrzej II 336
 Ustinow Dmitrij II 69
 Vaculik Ludwik II 84
 Vajda Mihály II 30
 Valéry Paul II 552
 Vance Cyrus II 32, 42, 43, 159
 Vegetius Flavius I 283

Venclova Tomas II 246,253,258,521
 Verne Jules II 234
 Vincenz Andrzej II 220,291,296,305
 Vincenz Stanisław I 24 II 219,606
 Vogler Henryk II 405

 Wachowski Mieczysław I 96
 Wagner Richard II 479,481
 Wajda Andrzej II 336
 Walczyński Henryk I 479
 Walendowscy Anna i Tadeusz I 120
 Walentynowicz Anna I 225
 Wałęsa Lech I 44,45,55,56,62,63,65,66,67,
 68,70,71,73,75,76,77,78,79,80,84,85,88,95,
 96,97,112,116,117,121,192,194,238,239,240,
 243,247,249,257,259,260,268,270,274,278,
 281,299,301,321,322,334,340,349,352,353,
 363,372,375,376,377,378,385,386,391,392,
 393,394,397,398,399,403,404,439,444,490
 II 125,601,603
 Wańkowicz Melchior I 20,120 II 89
 Wapiński Roman II 336
 Warszawski Józef TJ II 270
 Wasiluk Jan I 479,481
 Wasynczuk Antoni II 211
 Waszkiewicz Jan II 336
 Wat Aleksander II 279,502,594
 Wawilow Nikołaj II 97
 Ważyk Adam II 224
 Wąsik II 512
 Weber Max I 126
 Weil Simone I 29 II 220,556
 Weissberg-Cybulski Aleksander II 594
 Werblan Andrzej II 363
 Wergiliusz II 228
 Werner Andrzej II 336
 Werth Nicolas II 169,170,171,175,178,180
 Wessel Horst II 482
 Węgrzyński Zbigniew I 153,154
 Whitman Walt II 472
 Wieloch Jan I 479
 Wielowieyski Andrzej I 278,387 II 336
 Wierny Józef I 355
 Wierzbicki Józef I 98
 Wierzyński Kazimierz I 437 II 407
 Wiesenthal Szymon II 358,380
 Wilczek Mieczysław I 108

Wilk Mariusz I 10 II 589,605
 Wilkanowicz Stefan II 336
 Wilson Woodrow sir II 596
 Winiecki Jan I 114
 Winter Eduard II 305
 Wirpsza Aleksander, ps. Jadwiga Kwiatko-
 wska, Leszek Szaruga, Spektator I 10,
 17,20,415 II 545,603,605
 Wiścicki Tomasz II 336
 Wiśniewski Julian I 150
 Wiśniowiecki Jeremi II 206,250
 Witkiewicz Stanisław Ignacy (Witkacy) II
 245,526,583
 Witos Wincenty I 31,226
 Witt Czesław I 472,481,498
 Wittlin Józef II 407
 Władysław IV, król Polski II 206
 Władysław Jagiełło, król Polski II 213,
 242
 Własow Andriej II 33
 Włast Andrzej, właśc. Baumtitter Gustaw
 II 403
 Włodarczyk Wojciech I 96
 Włodzimierz Wielki II 298
 Włosik Bogdan I 52,334
 Wocial Jerzy II 336
 Wojdowski Bogdan II 407
 Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II, papież
 Wolański Marian S. I 20
 Wolicki Krzysztof I 10,95 II 548,606
 Wolter II 578
 Wołek Tomasz I 10
 Worobiov Mikołaj II 231
 Woroniecki Jacek, właśc. Adam Korybut
 Woroniecki II 560
 Woroszyński Wiktor I 9,115,139 II 543,
 606
 Woslenski Michail II 99
 Wouk Herman II 389
 Woźniak Daniel II 401
 Woźniakowski Henryk II 336
 Woźniakowski Jacek II 336
 Woźnicki Jerzy II 336
 Wójcicki Ryszard I 479
 Wróblewski Bronisław II 228
 Wrzaszczyk Tadeusz I 204

Wrzesiński Wojciech II 336
 Wuczetich Jewgienij Wiktorowicz II 292
 Wujec Henryk I 292,294 II 336
 Wujec Ludwika II 336
 Wundt Wilhelm I 216
 Wygodzki Stanisław II 407
 Wysocki Piotr I 215
 Wysocki Włodzimierz I 140,591
 Wypiański Stanisław I 265 II 529,586
 Wyszyński Stefan, prymas I 178,181,183,
 184,192,194,219,231,286,294,323,327,338
 II 254,258,326,427,428,442

 Yamani Ahman Zaki II 36
 Yathay Pin II 181
 Yeats William Butler II 286

 Zaborowski Jacek II 349
 Zabłudowski Tadeusz I 128
 Zachwatowicz Krystyna II 336
 Zadura Bogdan II 336
 Zagajewski Adam II 543
 Zajączkowska Maria II 336
 Zajcew Pawło II 211
 Zakrzewski Andrzej II 336
 Zakrzewski Ryszard I 65
 Zaleski II 265
 Zalewski Paweł K. I 339 II 336
 Zamiatin Eugeniusz II 110
 Zamoyski Jan, kanclerz II 566
 Zamoyski Władysław II 495
 Zaremba Paweł I 31
 Zastawny Krzysztof I 19
 Zawidija Andriej Fiodorowicz II 151

 Zbyszewski Wacław I 18
 Zerow Mykoła II 299,304
 Zieja Jan I 295
 Ziejka Franciszek II 336
 Zieliński Jan I 20 II 547
 Zieliński Marek I 10 II 336
 Zieliński Tadeusz II 234
 Zimand Roman ps. Leopolda I 10,152,
 153,154,155
 Zinowiew Grigorij J., właśc. G. J. Rado-
 mylski I 274,441 II 87,242,491,542
 Ziolkowska-Boehm Aleksandra I 20
 Ziolkowska Wiesława II 336
 Znawca P. zob. Lem Stanisław
 Zola Emil I 50
 Zoroaster „Zaratustra” II 191
 Zvěřina Josef II 85
 Zwihiński Juchym II 316
 Zygelbojm Szymon II 373
 Zygmunt August, król Polski II 213,566
 Zyzania Wawrzyniec II 302

 Żaba Norbert I 11
 Żak Leszek I 305
 Żeleński (Boy) Tadeusz I 443
 Żeleźniak II 332
 Żeligowski Lucjan II 244
 Żeromski Stefan I 124,131,135,136,159,265
 II 378
 Żukrowski Wojciech I 248,253 II 13
 Żuławski Juliusz I 46,158
 Żylski II 307
 Żyrinowski Władimir II 151

Spis treści

Świat przed i po upadku bloku sowieckiego

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI, ADAM MICHNIK Dwugłos o eurokomunizmie	7
REDAKTOR [JERZY GIEDROYC] Niemcy	19
GEORGE GÖMÖRI Dylematy „giętkiego” reżimu	25
ZBIGNIEW BYRSKI Na progu ósmej dekady	31
REDAKCJA Kraj Sacharowa i świat	45
ZBIGNIEW BYRSKI O kontrrewolucji Ronalda Reagana	49
ADAM KRUCZEK Zmiana warty	67
MACIEJ BRONSKI Sytuacja w Afganistanie	77
JIRÍ LEDERER Karta 77 i chrześcijaństwo	83
P. ZNAWCA Stan rzeczy	87
P. ZNAWCA Czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia?	95
Gorbaczow z perspektywy polskiej	107
ROBERT KOSTRZEWA, EUGENE V. ROSTOW Pax sovietica, pax americana	131
ADAM KRUCZEK W sowieckiej prasie	141

ADAM KRUCZEK	
W sowieckiej prasie	147
KONRAD W. TATAROWSKI	
Biedna Bośnia, czyli o samotności ginących	153
KRZYSZTOF CZYŻEWSKI	
Pomiędzy Timișoarą a Tirgu Mures	163
LEOPOLD UNGER	
Księga czarna i czerwona	169
REDAKCJA	
Polska, Niemcy: co dalej?	183
MAGDALENA ROSTRON	
Islam i kultura	189

ULB. Ukraina – Litwa – Białoruś

Deklaracja w sprawie ukraińskiej	201
JÓZEF ŁOBODOWSKI	
Dzieje osiemnastolecia	203
CZESŁAW MIŁOSZ, TOMAS VENCLOVA	
Dialog o Wilnie	219
JÓZEF ŁOBODOWSKI	
Fałszywa legenda	247
P. LIDA	
Polacy, Litwini, Białorusini	253
BOHDAN STRUMIŃSKI	
Dawne obciążenia i nowe perspektywy	277
CZESŁAW MIŁOSZ	
O konflikcie polsko-litewskim	285
BOHDAN OSADCZUK	
Podróż do Kijowa	291
IHOR SZEWCZENKO	
Ukraina między Wschodem a Zachodem	297
ADAM W. KULIK	
Widmo Perejaśławia	307
BOHDAN OSADCZUK	
Ukraina sam na sam	311

ANDRZEJ NOWAK	
Tradycje polskiej polityki wschodniej	317
ANNA STROŃSKA	
Lachy i rezuny	325
Apel w rocznicę Operacji „Wisła”	335

Żydzi – Antysemityzm – Zagłada

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI	
Niewiedza czy świadomy fałsz	339
LEOPOLD UNGER	
Mój ostatni samolot	347
RAFAEL F. SCHARF	
Polacy i Żydzi – podsumowanie dyskusji	369
MICHAŁ BORWICZ, JÓZEF LICHTEN I IN.	
Sprawa stosunków polsko-żydowskich	377
WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI	
List	381
JAN JÓZEF LIPSKI	
Polscy Żydzi	383
M. BROŃSKI	
Żydzi i Polacy dzisiaj	389
JAN KARSKI	
Shoah (Zagłada)	397
RAFAEL F. SCHARF	
Z otchłani	401

O religii i o Kościele bez namaszczenia

REDAKCJA	
Papież Jan Paweł II	411
LESZEK KOŁAKOWSKI	
Pomyślne proroctwa i pobożne życzenia laika na progu nowego pontyfikatu w wiecznej sprawie praw cesarskich i boskich	413
MACIEJ BROŃSKI	
O katolicyzmie	421

ALAIN BESANÇON	
Drugie milczenie Kościoła	425
O. ALBERT OSTATEK	
Dlaczego przestałem prenumerować „Kulturę”?	435
ANTONI POSPIESZALSKI	
List	437
ANTONI POSPIESZALSKI	
O wizycie papieża w kraju – krytycznie	441
DOMINIK MORAWSKI	
Kościół ukraiński widziany z Rzymu	447

Polska szkoła eseju

LESZEK KOŁAKOWSKI	
Wychowanie do nienawiści, wychowanie do godności	455
CZESŁAW MIŁOSZ	
Dostojewski i Sartre	463
KRZYSZTOF POMIAN	
Malarz spalonej ziemi	475
CZESŁAW MIŁOSZ	
Szlachetność, niestety	485
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI	
Twórcza siła	493
KONSTANTY A. JELEŃSKI	
Dar Józefa Czapskiego	497
KONSTANTY A. JELEŃSKI	
Samotna droga Jana Lebensteina	501
JÓZEF MARIA BOCHENSKI	
Przeciw humanizmowi	507
CZESŁAW MIŁOSZ	
O naszej Europie	521
KRZYSZTOF POMIAN	
Jeleński: Szkic do portretu	531
RAFAŁ GRUPIŃSKI	
Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości	541

WOJCIECH KARPIŃSKI	
Plomień	551
JÓZEF MARIA BOCHENSKI	
Co to znaczy być Polakiem?	559
CZESŁAW MIŁOSZ	
Sen rozumu	573
JERZY TIMOSZEWICZ	
Filosofow – Czapski – Stempowski	581
MARIUSZ WILK	
Zapiski sołowieckie	589
Autorzy	601
Indeks nazwisk i pseudonimów	607

Ważniejsze błędy dostrzeżone w druku

Tom I

Strona	Wiersz	Jest	Powinno być
13	21 od góry przypis 3	braci Smolarów w Londynie „Prawda w oczy, groch o ścianę.	braci Smolarów w Uppsali, następnie w Londynie „Prawda w oczy, groch o ścianę”.
14	4 od góry 10 od góry	pod koniec 1992 roku podemującym	na początku 1992 roku podejmującym
16	15 od góry	w grudniu 1995 roku z prezydentem	w lutym 1996 roku z prezydentem
17	6 od góry	rozpoczęło	rozpoczęło
20	9 od góry	Jerzy Giedroyc, Krzysztof Pomian, <i>Autobiografia na cztery ręce</i>	Jerzy Giedroyc, <i>Autobiografia na cztery ręce</i> , oprac. Krzysztof Pomian
320		Brak informacji o numerze i roczniku „Kultury”	[9/1983]
508	13 od góry	Besangon	Besançon

Tom II

Strona	Wiersz	Jest	Powinno być
55	przypis	Murawchik	Muravchik
129		Brak informacji o numerze i roczniku „Kultury”	[7–8/1987]
305	10 od dołu	Pritsak Omeljan	Pritsak Omeljan właśc. Prycak Omelan
435		Brak informacji o numerze i roczniku „Kultury”	[4/1992]
452		Brak informacji o numerze i roczniku „Kultury”	[9/1982]
609	16 od dołu	Chauvy Gerard	Chauvy Gérard
617	13 od dołu	Lloyd George	Lloyd George David
619	19 od góry	Murawchik	Muravchik
620	23 od góry	Parylewiczowa	Parylewiczowa Wanda
625	23 od góry	Turbacz Marek	Turbacz Marek, właśc. Stanisław Krasnowolski
626	15 od dołu	Wołek Tomasz	Wołek Tomasz, ps. Józef Wierny